

Tarot

Piers Anthony



calibre 0.9.43

Piers Anthony

Tarot

Tytuł oryginału Tarot

Przełożył Konrad Majchrzak

Dedykuję

Świątemu Zakonowi Wizyjnemu

Wprowadzenie

Historia powstania tej książki jest niezwykle zawiła. Wstęp, który macie przed sobą, nie jest integralną częścią książki i ci z was, którzy nie są dość cierpliwi, aby wczytywać się w długie wyjaśnienia autora, ze spokojnym sumieniem mogą go opuścić. W podobne wyjaśnienia i komentarze zaopatrywałem także poprzednie powieści, a więc część moich czytelników na pewno już się zdążyła do nich przyzwyczaić.

W kwietniu 1975 roku pracowałem nad niewielką powieścią *But What of Earth?* zamówioną przez wydawnictwo Laser Books. Mam nadzieję, że wielbiciele moich powieści science fiction nie będą mi mieli za złe, iż odwołuję się do ziemskich kategorii czasowych, ale nawiązuję teraz do czasów niemalże prahistorycznych, kiedy nie powstały jeszcze serie Xanth i Adept. Wydawnictwo początkowo obiecało mi dać na napisanie książki trzy miesiące, ostatecznie jednak ograniczyło termin do dwóch, nie pozostawiając mi zbyt wiele czasu na pisanie. Dzisiaj mam już własny komputer i napisanie powieści w przeciągu dwóch miesięcy nie stanowi dla mnie problemu. Wtedy jednak sytuacja wyglądała zgoła inaczej. Najpierw powstawała wersja robocza pisana ręcznie ołówkiem, następnie dopiero maszynopis w dwóch kopiach. Ponieważ posługiwałem się zwykłą maszyną do pisania, przepisywanie zabierało mi zwykle mnóstwo czasu.

Tak więc, 23 kwietnia 1975 roku miałem już napisaną pierwszą wersję powieści, a 24 kwietnia zasiadłem w fotelu, aby posłuchać taśmy z wykładem Johna White'a. Taśmę tę przysłał mi ojciec. Słuchałem wykładu i jednocześnie przeglądałem stos broszurek, które nadesłała mi pewna sekta religijna. Jednego z członków tej sekty miałem okazję poznać osobiście podczas zawodów judo. Sam jestem agnostykiem, więc nie opowiadam się ani za, ani przeciwko żadnej z religii. Staram się być obiektywny i gdy tylko nadarza się okazja — próbuję nauczyć się czegoś nowego. Ale wracając do zawodów — mylicie się, jeśli sądzicie, że ja i nowo poznany brat zakonny byliśmy przeciwnikami. Wprost przeciwnie — razem układaliśmy ciężkie maty, na których zmagali się znacznie młodsi od nas zawodnicy. Chęć do wykonywania tego rodzaju prostych usług charakteryzuje przeważnie tych, którzy są już na tyle dobrzy w danej dziedzinie, że czują się odpowiedzialni za innych. Po skończonej pracy zajęliśmy nasze miejsca w rzędzie krzeseł i przedstawiliśmy się sobie — on przybliżył mi nieco swój zakon, natomiast ja wyjawiałem mu, że jestem pisarzem.

— Piers Anthony? — krzyknął. — Naprawdę?

Ku mojemu zdumieniu moje nazwisko nie było mu obce, znał nawet kilka moich książek. Byłem zaskoczony, bowiem z góry założyłem, że ktoś, kto nosi zakonny habit, nie może się interesować powieściami science fiction. Jak się okazało, zakon, do którego należał, był na tyle liberalny, że pozwalał swoim członkom na czytanie dowolnie wybranych książek i zajmowanie się najrozmaitszymi rzeczami, chociażby uprawianiem judo — nie ograniczał bynajmniej służby Bogu do przebywania w zamkniętym klasztorze. Brat, którego miałem okazję poznać, uprawiał w przeszłości zapasy i stąd wzięło się jego zamiłowanie do judo.

Zawody się skończyły, ale znajomość pozostała. Razem z jedną z moich córek, która podówczas liczyła sobie cztery lata, odwiedziłem zgromadzenie, którego członkiem był ów brat poznany na

zawodach, i wdałem się w dyskusję z kilkoma innymi braćmi i siostrami. Nie byłem kandydatem na konwertytę i moi rozmówcy doskonale to rozumieli. Moja chęć bliższego zapoznania się z tym zakonem miała charakter czysto zawodowy. Jako pisarz interesowałem się wieloma rzeczami i miałem nadzieję, że także w tym wypadku uda mi się znaleźć jakiś ciekawy materiał do moich powieści. Tak się rzeczywiście stało. Nowo poznane prawdy wywarły na mnie ogromne wrażenie, zwłaszcza że bracia i siostry, którzy je głosili, nie podejmowali żadnych prób nawracania mnie na „właściwą drogę”. Wizyta w zgromadzeniu zaowocowała postacią brata Pawła ze Świętego Zakonu Wizyjnego, która to postać odgrywa jedną z bardziej znaczących ról na kartach mojej książki *But What of Earth?* Oczywiście zarówno imię Paweł, jak i nazwa zakonu zostały przeze mnie wymyślane, bowiem ani poznany brat, ani zakon nie byli zainteresowani tego rodzaju rozgłosem. Nawiasem mówiąc, nazwisko brata Pawła — Cenji — to było imię mojego psa — Cenji Basenji. Nasze wszystkie zwierzaki, podobnie jak dzieci, miały imiona zaczynające się na P lub C, chyba że zostały nazwane już wcześniej, zanim trafiły do nas. Temu właśnie bratu, który był pierwowzorem jednego z moich powieściowych bohaterów, przedstawiłem rękopis książki i poprosiłem o opinię na jej temat. W końcu nie zawsze ma się do czynienia z takim zakonem i z takim bratem zakonnym, któremu nieobce są wschodnie techniki walki, a który jednocześnie występuje jako orędownik pokoju. Pewnie myślicie, że te dwie rzeczy wzajemnie się wykluczają. Nic podobnego — mistrzowie wschodnich technik walki bardzo często głoszą pokój i zachęcają do samodoskonalenia się. Po przeczytaniu książki brat uznał, że jest wiarygodna i dobrze oddaje naturę jego zakonu.

Przy wydaniu nastąpiły jednak pewne komplikacje. Doszło nawet do tego, że zwolniono redaktora, który dokonywał adiustacji tekstu, i zaniechano dalszego wydawania moich książek, co równało się zerwaniu kontraktu. Możliwe, że obydwie te wydarzenia nie miały ze sobą nic wspólnego, ostatecznie jednak książka została odprzedana innemu wydawcy, który zdecydował się ją opublikować w jej oryginalnej postaci, to znaczy bez naniesionych przez redaktora poprawek, które w moim przekonaniu niewiele miały wspólnego z fachową redakcją tekstu i świadczyły wyjątkowo źle o ich autorze. Wracając jednak do sedna sprawy — książka, o której piszę, jest o tyle ważna, że w niej po raz pierwszy wystąpił brat Paweł, który jest także jednym z głównych bohaterów *Tarota*. Tak się złożyło, że akurat 24 kwietnia 1975 roku — kiedy to moja starsza córka była chora, a mnie czekało przepisywanie na maszynie rękopisu *But What of Earth?* — postanowiłem przejrzeć nadesłane mi religijne broszurki i posłuchać taśmy ojca. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że teksty broszurek i nauki Johna White’a nagrane na taśmie idealnie się dopełniają. Książeczki były o tyle interesujące, że oprócz obszernego omówienia podstawowych prawd wiary, w oparciu o które funkcjonował zakon, zawierały także ilustracje — były nimi zupełnie mi nieznane karty Tarota. Wizerunki przedstawione na kartach zafascynowały mnie, a szczególnie karta trzynasta, która przedstawiała Śmierć. Taśma okazała się równie atrakcyjna — White w pasjonujący sposób tłumaczył pewne nadnaturalne zjawiska będące ośrodkiem zainteresowania parapsychologii. To, czego się wtedy dowiedziałem o zakonie, plus informacje uzyskane z taśmy zainspirowały mnie do napisania kolejnej powieści, której głównym bohaterem stał się brat Paweł z książki *But What of Earth?* Jego to poglądy religijne i nadnaturalne zjawiska, którym musiał stawić czoło, złożyły się na powieść, o której od początku wiedziałem, że będzie jedną z bardziej znaczących książek w moim literackim dorobku.

Tego dnia napisałem jeszcze 1400 słów nowego tekstu, odpisałem na kilka listów, zebrałem w ogrodzie 27 ślimaków i powróciłem do pracy nad *But What of Earth?* Nawiasem mówiąc, te ślimaki ogromnie dawały nam się we znaki; całymi tuzinami wpełzały nocą do naszego ogrodu i bezlitośnie

obgryzały wszystko, co napotkały na swej drodze. Co parę dni powracałem do pracy nad *Tarotem*, np. robiłem notatki i czasami, jak na przykład 27 maja, na nich tylko poprzestawałem, zaniehbując wszelkie inne terminowe prace. Tego dnia udało mi się napisać aż 2600 słów tekstu, z reguły jednak nie miałem na zajmowanie się *Tarotem* zbyt wiele czasu. Musiałem ukończyć pracę nad *But What of Earth?* oraz nad dwoma innymi powieściami wchodzącymi w skład jednej serii — *Cluster* i *Chaining the Lady*; obydwie poświęcone były wschodnim sztukom walki. *Tarot* również został włączony do tego cyklu i w ten właśnie sposób postać brata Pawła przewinęła się aż przez trzy powieści, które w całości liczyły sobie siedem tomów.

Ażeby pogłębić wiedzę na temat Tarota, kupiłem sobie specjalną talię kart. Do zestawu kart dołączona była instrukcja wyjaśniająca, jak należy odczytywać poszczególne symbole. Posłużyłem się Tarotem dla własnych celów, próbując uzyskać odpowiedzi na niektóre nurtujące mnie pytania natury osobistej. Możecie mi wierzyć, że podszedłem do Tarota bardzo sceptycznie, nie wierzę bowiem w żadne nadnaturalne zjawiska. Zrobiłem to wszystko równie nieświadomie jak dziecko przytykające zapaloną zapałkę do beczki z prochem. I cóż się okazało — otóż nie tylko uzyskałem odpowiedzi na wszystkie pytania, ale w dodatku odpowiedzi te okazały się na tyle trafne i satysfakcjonujące, że poczułem się jak motyl, którego nieoczekiwanie przebito szpileczką i zamknięto w muzealnej gablotce.

Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób talia kart, a więc coś z pogranicza czarnej magii, mogła wyrzeć aż tak ogromne wrażenie na człowieku bądź co bądź niewierzącym i powątpiewającym w całą sprawę. Długo się nad tym zastanawiałem, aż w końcu doszedłem do wniosku, że to nie magii zawdzięczam, iż doznałem swoistego rodzaju iluminacji. Symbolika Tarota jest po prostu na tyle zagęszczona, że za jej pomocą można wytłumaczyć praktycznie wszystko. Karta, na której namalowana jest Śmierć, ma mnóstwo znaczeń. Może sięgać w przeszłość i wtedy oznacza śmierć w rodzinie, może wybiegać również w przyszłość i wtedy jest zwiastunem czyjejś śmierci. Wystarczy, że ktoś w naszej rodzinie faktycznie umarł w ostatnim czasie i już jesteśmy skłonni uwierzyć w potęgę Tarota. Gdyby ani jedno, ani drugie wytłumaczenie do nas nie trafiało — Tarot ma w zapasie jeszcze kilka innych. Karta przedstawiająca Śmierć może również oznaczać jakiś kres, niekoniecznie życia. Dzięki niej możemy się na przykład dowiedzieć, że w najbliższym czasie stracimy pracę. Śmierć w Tarocie oznacza również Transformację, Zmianę — co również można interpretować na wiele sposobów. Także inne symbole Tarota są naszpikowane znaczeniami. Karta przedstawiająca Kochanków również oznacza Zmianę — a więc albo jakiś romans, albo trudną decyzję. Konia z rzędem temu, kto nie przypomni sobie, że faktycznie musiał podejmować w ostatnim czasie jakąś ważką decyzję. W końcu codziennie stoimy przed jakimś wyborem i żaden z nich nie jest prosty. Tak więc symbole Tarota są na tyle płynne, że pozwalają na wyciąganie właściwie zupełnie dowolnych wniosków, a jeśli dołączyć do tego przypisaną umysłowi ludzkiemu skłonność do interpretowania zdarzeń, kojarzenia odległych czasem faktów — efekt murowany. W ten oto sposób udało mi się wyjaśnić tajemnicę Tarota; chcę jednak zaznaczyć, że uzyskane wyjaśnienie w żaden sposób nie zmniejszyło mego szacunku dla Tarota. Z tego też względu Tarot przez długi czas stał się ośrodkiem mojego zainteresowania, co zaowocowało powieścią. Napisałem krótkie streszczenie powieści i wysłałem je do wydawnictwa, którego współwłaścicielem był John White. Niestety, tak się złożyło, że jeden z jego współpracowników zgubił mój rękopis i ze współpracy nic nie wyszło. Był to pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni sygnał, że z wydaniem tej powieści będą ogromne trudności. W lutym 1976 roku napisałem na maszynie pięćdziesięciostronicowe streszczenie powieści i wysłałem

je swojemu agentowi, aby spróbował zainteresować nim jakieś inne wydawnictwo.

Kupiło książkę wydawnictwo Avon, wypłacając mi zaliczkę wysokości 5000 dolarów. Nareszcie więc coś ruszyło z miejsca! Wkrótce potem Del Rey podpisał ze mną umowę na pierwszą powieść z cyklu Xanth. Jakby tego było mało, również w tym samym czasie rozpoczęliśmy przygotowania do budowy domu w pewnym oddalonym od ludzi leśnym zakątku na Florydzie. Ponieważ termin wyznaczony na napisanie powieści z serii Xanth był najbardziej naglący — od tej właśnie książki zacząłem pisanie i ją pierwszą ukończyłem. Jak się okazało, był to przełomowy moment w mojej karierze zawodowej. Wtedy to po raz pierwszy moje dochody wzrosły z czterocyfrowych na sześciocyfrowe. O ile jednak Xanth miał charakter czysto rozrywkowy, to *Tarot* miał być książką poważną, a więc nieco trudniejszą, w której nie wszystko pozostawało do końca wyjaśnione.

W połowie listopada 1976 roku zabrałem się już poważnie do pracy nad *Tarotem*. Napisanie tej powieści zajęło mi dziesięć i pół miesiąca, a więc trwało dłużej niż zwykle. Opóźnienie spowodowane było tym, że w owym czasie miałem na głowie także budowę nowego domu i przeprowadzkę. Obie te rzeczy bez przerwy odrywały mnie od pracy nad książką. W dodatku wydawca okazał się nieuczciwy i musieliśmy wszcząć przeciwko niemu proces. W rezultacie zostaliśmy zupełnie bez pieniędzy, a budowa domu utknęła w połowie. Niektóre z naszych ówczesnych przeżyć uwieczniłem w mojej późniejszej powieści *Shade of the Tree*, która, podobnie jak *Tarot*, długo musiała czekać na wydanie. Jak widać, życie pisarza nie należy do najłatwiejszych! Kiedy przystąpiłem do przepisywania na maszynie ostatecznej wersji *Tarota*, właśnie byliśmy w trakcie przeprowadzki do naszego nowego domu, czyli do P's 'n' C's Trees, która to nazwa była skrótem od naszych imion — Piers & Penny, Carol & Cheryl. Był już 28 sierpnia i nie mogliśmy dłużej zwlekać z przeprowadzką, głównie ze względu na dzieci, które następnego dnia zaczynały już lekcje szkolne w Citrus County. Ponieważ budowa domu nie została jeszcze zakończona, tymczasowo rozlokowaliśmy się w budynku, który miał nam służyć za magazyn, a przez dwa tygodnie pełnił rolę mojego gabinetu. Prąd nie był jeszcze doprowadzony i posiłki gotowaliśmy na dworze, nad ogniskiem. Nie było również wody — codziennie trzeba ją było pompować i dźwigać w wiadrach do domu. Spaliśmy w śpiworach na poddaszu, upchani jeden przy drugim jak śledzie. Wysoka temperatura powietrza sięgająca 90 stopni w skali Fahrenheita utrzymywała się do późnych godzin nocnych — leżeliśmy dosłownie złani potem. Mimo tych niesprzyjających warunków moja praca nad maszynopisem posuwała się szybko. Nie przeszkadzał mi nawet brak światła. Chociaż mogłem pracować tylko w ciągu dnia, udało mi się ustanowić swoisty rekord — brakujące 349 stron tekstu przepisałem w ciągu ostatnich dziesięciu dni września. Udało mi się to osiągnąć tylko dzięki temu, że skoncentrowałem się wyłącznie na pisaniu. W październiku musiałem się już zająć zupełnie czymś innym, mianowicie meblowaniem mieszkania. Zastanawiacie się zapewne, jak zniosła to moja żona? — otóż całkiem spokojnie. Była wszak żoną pisarza nie pierwszy już rok.

Rękopis *Tarota* dałem do przeczytania ojcu, który od dawna interesował się podobnymi sprawami, i pewnemu profesorowi, który opracowywał właśnie książkę na mój temat. Obaj odnieśli się do *Tarota* entuzjastycznie. Całkowicie mogłem zaufać inteligencji i dobremu smakowi literackiemu. Takie rzeczy wyczuwa natychmiast każdy autor. Niestety, książka owego profesora nigdy się nie ukazała; zamiast niej wydano publikację innego profesora, który ocenił *Tarota* niżej niż serię Xanth. Jeden egzemplarz wysłałem również do brata z zakonu, który to zakon zainspirował mnie do napisania książki. Ów brat został już w tym czasie przeniesiony do innego miasta, ale wciąż

utrzymywałem z nim kontakt listowny i wiedziałem, że pragnął zobaczyć rękopis *Tarota*. Nigdy więcej się do mnie nie odezwał i od tego czasu straciłem wszelki kontakt z zakonem. Dopiero kilka lat później dowiedziałem się od jednego z byłych członków zakonu, że moja powieść znalazła się na indeksie ksiąg zakazanych. Bardzo żałuję, że tak się stało, bowiem w moim przekonaniu *Tarot* wyrósł właśnie z fascynacji zakonem i obowiązującą w nim regułą. Wy tłumaczenia mogą być dwa — albo ja nie rozumiałem, na czym polega działalność i charakter zakonu, albo oni nie zrozumieli, czym jest *Tarot*. Z całą pewnością nie spodziewałem się, że sprawy przybiorą taki obrót. Być może omyliłem się i błędnie zinterpretowałem ich intencje — jeśli tak, to Święty Zakon Wizyjny w *Tarocie* nie ma nic wspólnego z rzeczywistością i jest tylko iluzją, projekcją mojego umysłu. Odkrycie tej prawdy nie napawa mnie radością.

Tak czy inaczej, byłem niewątpliwie dumny, że udało mi się napisać powieść, o której mogłem powiedzieć, że jest jedną z najlepszych moich książek. Tego samego zdania był mój agent. Nadal podtrzymuję tę opinię sprzed dziesięciu lat. Jak się może domyślicie, znowu jestem w trakcie przeprowadzki i znowu czekam na zawarcie umowy z „uczciwym i rzetelnym” wydawcą. I jeszcze coś — piszę kolejną „powieść mojego życia”. Nazwałem ją *Tatham Mound*. Pisarze są niepoprawni. Nigdy się niczego nie nauczą. Prędzej czy później — w moim przypadku co dziesięć lat — rzucają wszystko, nie trzymają się żadnych terminów, i postanawiają stworzyć coś naprawdę ambitnego. Pierwszą taką powieścią w mojej karierze był *Macroscope*, a drugą *Tarot*. W takich wypadkach zawsze są jakieś komplikacje. Sprawa z *Tatham Mound* też już się ciągnie ze dwa lata, ale o tym napiszę już gdzie indziej, kiedy przyjdzie na to czas. Jeśli chodzi o *Tarota*, to nie myślcie, że skończyło się tylko na tym nieprzyjemnym incydencie z zakonem. Nowe trudności pojawiły się, kiedy wydawca zdecydował, że książki nie można opublikować bez dokonania koniecznych, jego zdaniem, skrótów i cięć. Zmieniono również redaktora, który wstępnie zaaprobował mój tekst. Zwyczajnie jest to niepomysłna wiadomość dla pisarza — tak było i tym razem. Nigdy nie zdarzyło mi się zmienić wydawcy ze względu na zbyt niskie stawki, kością niezgody zawsze byli redaktorzy. Tak samo jest zresztą i dzisiaj. Postawiony w sytuacji podbramkowej zdecydowałem się zmienić wydawcę raczej, niż pozwolić na okaleczenie tekstu. Było to oczywiście przedsięwzięcie nader ryzykowne, między wydawcami obowiązuje bowiem coś w rodzaju niepisanej ugody, w myśl której nie chcą oni publikować książek, które ktoś inny odrzucił. Aby się utwierdzić w przekonaniu, że moja decyzja jest słuszna, poprosiłem o przeczytanie książki żonę. Chciałem, aby wyraziła swoją opinię, czy *Tarot* wydaje jej się tak samo dobrą książką jak mnie i czy zgadza się ze mną, iż proponowane poprawki są w większości nieuzasadnione. Moja żona, podobnie jak mój agent, rzadko czyta moje powieści. Oboje wierzą mi na słowo i jeśli twierdzę, że dana powieść jest dobra, nie próbują tego kwestionować. Nie jestem też wcale pewien, czy moi redaktorzy faktycznie czytają książki, które im daję — jestem natomiast przeświadczony, że robią to moi czytelnicy i ostatecznie tylko to się liczy. Zarówno żona, jak i agent umocnili mnie w przekonaniu, że *Tarot* jest dobrą książką. Nie potrzebowałem dłużej się zastanawiać — natychmiast zacząłem się rozglądać za nowym wydawcą. Odebrałem *Tarota* z wydawnictwa Avon i w zamian obiecałem napisać kolejną książkę z cyklu Cluster. W ten właśnie sposób powstał *Thousandstar*. Myślcie pewnie, że napisałem jakiegoś gniotą byle mieć kłopot z głową? — nic podobnego. Bardzo się starałem, aby uczłowieczyć mojego bezokiego i niesłyszącego bohatera — przybysza z obcej planety. Jakoś przebrnąłem przez tę powieść i dzisiaj należy ona do moich ulubionych. Zawsze staram się przykladać do tego, co robię; tak było i tym razem. Podczas gdy ja pracowałem nad *Thousandstar*, mój agent próbował zainteresować *Tarotem* jakieś wydawnictwo. Del Rey z miejsca książkę odrzucił, podobnie zresztą

Berkley. Żaden z moich dotychczasowych wydawców nie chciał przyjąć jednej z moich najlepszych powieści!

Ponieważ z podobnymi trudnościami spotkałem się już wcześniej, kiedy próbowałem znaleźć wydawcę dla powieści *Macroscope*, wiedziałem, co należy robić. Zwróciliśmy się do wydawnictwa Jove, w którym nigdy wcześniej nie publikowałem, gdzie zaproponowano mi 15 000 dolarów zaliczki w zamian za możliwość wydania książki, z tym jednak zastrzeżeniem, że zgodzę się, aby została wydana w trzech tomach. Przedyskutowałem sprawę z moim agentem, który zgodził się ze mną, że książka stanowi niepodzielną całość i w związku z tym nie może być pocięta na części. Zdecydowaliśmy się wziąć mniejszą zaliczkę w wysokości 11 500 dolarów w zamian za to, że książka pozostanie nietknięta. Myślicie, że to już był wreszcie koniec problemów? O nie! Problemy Piersa Anthony'ego nigdy nie kończą się tak łatwo — zawsze jest jakaś kolejna góra do pokonania. Po jakimś czasie wydawnictwo Jove doszło jednak do wniosku, że nie może sobie pozwolić na opublikowanie w jednym tomie książki liczącej aż ćwierć miliona słów. Koszt wyposażenia książki w okładkę sztywną byłby za wysoki, podobnie zresztą jak koszt papieru. Redaktorka, która dokonywała adiustacji tekstu, użyła całego swego czaru, ażeby mnie przekonać do podzielenia książki na trzy części. Rozmawiałem z nią co prawda tylko telefonicznie, ale, jak sami wiecie, młode kobiety potrafią być czasami niezwykle przekonujące. Wyprosiłem tylko tyle, żeby nie nadawać mojej powieści miana trylogii. Uważam, że przy pisaniu trylogii lub nawet większej serii bardzo ważne jest przestrzeganie pewnych zasad — czytelnik, który nie zna poprzednich tomów, nie może czuć się zagubiony zaczynając czytanie od dowolnie wybranego tomu. Zawsze trzymałem się tej reguły i dzięki temu moje książki dawały się czytać w zupełnie dowolnej kolejności. W przypadku *Tarota* ten warunek na pewno nie mógłby zostać spełniony i moja reputacja pisarza narażona byłaby na szwank. *Tarot* stanowi nierozzerwalną całość i może być właściwie zrozumiany jedynie wtedy, gdy czytelnik zapoznaje się z wszystkimi trzema częściami i to we właściwej kolejności. Redaktorka przyznała mi w końcu rację i w umowie umieściliśmy specjalną klauzulę, w myśl której powieść nie mogła być określana jako trylogia. W praktyce mój wymóg nigdy nie został spełniony i ilekroć książka była publikowana, zawsze klasyfikowano ją jako trylogię.

Wydawnictwo Jove wypuściło pierwszy tom w 1979 roku i... przestało publikować książki science fiction. Cały dział, który do tej pory zajmował się literaturą SF, został przejęty przez wydawnictwo Berkley, które poprzednio odrzuciło moją powieść. W 1980 roku opublikowało kolejne dwa tomy *Tarota*. W ten właśnie sposób zniszczono jedną z najlepszych powieści, jakie dane mi było napisać. Podzielona na części wydane w dużym odstępie czasu, nazwana niesłusznie trylogią — poniosła całkowitą klępkę finansową. Nie została także dostrzeżona przez krytyków. To, że w końcu odniosła sukces, zawdzięczam, o ironio, moim pomniejszym powieściom fantastyczno-naukowym, które okazały się bardzo poczytne i ustawiły mnie finansowo.

W końcu *Tarot* mógł zostać opublikowany w takiej formie, jaką dla niego przewidziałem, a więc w jednym tomie. Wprowadziłem jedynie drobne zmiany. Tekst oryginalny poszerzyłem o wstęp, który właśnie czytacie, a każdy z rozdziałów poprzedziłem krótkim omówieniem poszczególnych kart Tarota Animacji. Poprzednio zamiast omówień każdy z rozdziałów poprzedzały cytaty, ale z pewnych względów, o których poniżej, musiałem z nich zrezygnować. Na końcu książki zamieściłem też pięć krótkich eseików, które poprzednio funkcjonowały jako wprowadzenia do pięciu głównych części powieści. Po namyśle uznałem, że mogą być one traktowane zarówno jako część powieści, jak i jako

niezależne komentarze do Tarota Animacji i dlatego zamieściłem je wszystkie razem w dodatku zamieszczonym na końcu książki. Jak widzicie, cała powieść była pomyślana jako zamknięta całość, nie poddająca się żadnym przeróbkom nie tylko ze względu na treść, ale także i formę. Struktura powieści została podporządkowana pięciu kolorom z talii Tarota. Wracając do cytatów — musiałem z nich zrezygnować nie dlatego, że przestały mi się podobać, ale ze względu na trudności, z jakimi się spotkałem przy każdej niemal próbie uzyskania formalnego zezwolenia na ich przedruk. Musiałem pisać do każdego z wydawców i efekty tego pisania były bardzo różne. Niektórzy byli życzliwi i zezwalali na przedruk nie żądając w zamian zapłaty, większość jednak wyceniała każdy z cytatów na 50 dolarów, a jeden z wydawców zażądał aż 100 dolarów. Byłem doprawdy wstrząśnięty. Na szczęście dał się jakoś ubłagać i uiściłem opłatę tylko jeden raz. Niektórzy z wydawców w ogóle nie odpowiedzieli na moje listy, a jeden z nich nie zgodził się, aby cytat z wydanej przez niego książki znalazł się w powieści fantastyczno–naukowej. Dowiedziałem się o tym w ostatniej chwili i gorączkowo zacząłem szukać czegoś innego. Udało mi się znaleźć coś naprawdę interesującego — fragment z powieści Stephena Kinga *Salem's Lot*. Tak się złożyło, że znałem akurat agenta, z którym współpracował pan King. Był nim Kirby McCauley, który był także moim agentem. Poprosiłem go i uzyskałem zezwolenie na zamieszczenie cytatu. W ogóle nie zażądał zapłaty. Również Stephen King nie domagał się ode mnie pieniędzy, chociaż miał do tego pełne prawo. Od tej pory zadzierzgnęło się między nami coś na kształt przyjaźni. Dowiedziałem się, że córka Stephena Kinga uwielbia czytać moje książki i przesłałem jej moją trylogię zatytułowaną *Adept*. W zamian otrzymałem od Stephena Kinga egzemplarz jego książki *Pet Sematary* z olbrzymią, zajmującą całą stronę dedykacją. Mogę mieć tylko nadzieję, że na nasze stosunki nie wpłynie fakt, iż zaczęliśmy być dla siebie konkurencją — w ostatnim czasie Stephen King napisał powieść fantastyczno — naukową, ja zaś zamierzam napisać horror. Dwa cytaty do *Tarota* zaczerpnąłem z książki G. Legmana *The Rationale of Dirty Joke*. W książce tej Legman przedstawił i omówił tysiące tzw. świńskich dowcipów. Gdy starałem się uzyskać od niego zezwolenie na przedruk fragmentu jego książki, opowiedziałem mu swój ulubiony kawał i co się okazało — mimo że w swojej książce opisał ich tysiące, tego jednego nie znał.

Jednym z cytatów, które bardzo mi się podobały, był fragment książki Arthura Koestlera *The Ghost in the Machine*. Książka omawia stany świadomości. Zapłaciłem za możliwość użycia cytatu i dopiero później zorientowałem się, że w mojej książce nie zamieszczono adnotacji, komu go zawdzięczam. W styczniu 1983 roku napisałem do jego agencji list z przeprosinami, mimo iż przeoczenie to nie było moją winą. Odpowiedź dostałem w lutym. Brzmiała ona mniej więcej tak: „Jesteśmy pewni, że Pan Koestler przejdzie nad tą sprawą do porządku dziennego”. W marcu Arthur Koestler i jego żona popełnili samobójstwo.

Przed kolejnym wydaniem *Tarota* zacząłem się zastanawiać, czy warto znowu rozpoczynać batalię o cytaty i doszedłem do wniosku, że nie mam na to ochoty. Cytaty oczywiście nadal mi się podobały, ale uzyskanie zgody na ich ponowny przedruk przerastało moje siły.

W przeciągu kilku lat, które minęły od pierwszego wydania książki, otrzymałem wiele listów dotyczących kart Tarota. Bardzo się tych listów bałem, jako że większość z nich pisali ludzie bardzo dobrze obznajomieni z Tarotem. Odpowiedź na niektóre pytania wymagała naprawdę dogłębnej wiedzy na temat Tarota, a ja takowej nie posiadałem. Nie byłem przecież żadnym znawcą tych kart ani nawet okultystą; jestem tylko pisarzem i z Tarotem zapoznałem się niejako rutynowo. W ten

sposób uzyskałem kolejny interesujący materiał do napisania ciekawej powieści. Przypuszczam, że niektóre wyjaśnienia, których wtedy udzieliłem moim korespondentom, mogły ich nieco rozczarować. Pragnę jednak zaznaczyć, że w zapoznanie się z Tarotem włożyłem wiele trudu i na każde z pytań odpowiedziałem najlepiej jak umiałem. Chciałbym się teraz z wami podzielić choćby częścią moich spostrzeżeń na temat Tarota.

Otóż istnieje wiele odmian kart Tarota. Poszczególne talie różnią się między sobą wielkością i kolorami. Na temat tego, jak należy interpretować poszczególne talie, napisano wiele książek, przy czym każdy z wróżących uważa, że tylko jego interpretacja jest trafna i właściwa. Na rynek wypuszczono setki różnych talii i właściwie każda z nich doczekała się omówienia w postaci książki. Jedną z takich książek jest *The Book of Tarot* Freda Gettinga, która w prosty i przystępny sposób objaśnia, na czym polega Tarot. Tym, którzy chcieliby dokładnie zapoznać się z Tarotem, polecam dwutomowe, prawie tysiącstronicowe wydanie *Encyklopedii Tarota* Stuarta R. Kapłana, wybitnego znawcy tych kart. Tak się złożyło, że wpadła mi w ręce talia Tarota, której pan Kapłan w swojej książce nie uwzględnił. Na jego prośbę pożyczyłem mu tę talię i... nigdy już nie otrzymałem od niego żadnej odpowiedzi. Mimo to nadal jestem skłonny polecać wam książkę Kapłana, zwłaszcza tym, którzy chcą gruntownie zapoznać się z Tarotem. Z książki tej można się dowiedzieć na temat Tarota prawie wszystkiego, więcej niż można sobie wyobrazić. Pan Kapłan wydał także katalog *Best of Cards* zawierający spis najrzadziej spotykanych talii Tarota. Każdą z tych talii można sobie zamówić. Inną ciekawą książką poświęconą Tarotowi jest *Tarots* autorstwa Italo Calvino. W 1976 roku zapłaciłem za egzemplarz aż 104 dolary. Tekst liczy sobie około trzydzieści tysięcy słów i jest ilustrowany odbitkami z najstarszych, a więc najbardziej autentycznych kart Tarota, znanych jako Tarot Visconti-Sforza i pochodzących mniej więcej z połowy XV wieku.

Właśnie oglądając tę talię doszedłem do wniosku, że karta znana obecnie jako Pustelnik początkowo przedstawiała Czas. W wyniku ikonograficznego przekłamania, nie zamierzonego zresztą, pierwotne znaczenie uległo zatarciu i zostało zastąpione przez inne. Jak mi się wydaje, fakt ten umknął uwagi współczesnych badaczy Tarota. Ale zdaje się, że miałem napisać o książce, a nie tylko o talii. Książka Italo Calvino jest historią, której fabuła została wymyślona w oparciu o pewien układ kart Tarota. Z tego punktu widzenia jest nawet dosyć interesująca, ale mimo wszystko uważam, że cena sto dolarów za egzemplarz była przesadzona.

Karty Tarota są o tyle ciekawe, że mogą służyć najrozmaitszym celom, i to niezależnie od tego, jakim rodzajem talii będziemy się posługiwać. Tarot może być traktowany jako gra, nawet jako gra hazardowa, albo też jako materiał do budowy karcianych domków. Za pomocą tych kart można przewidywać przyszłość, badać czyjąś osobowość, a nawet przeprowadzić coś w rodzaju testu Rorschacha. Karty Tarota są także wykorzystywane jako materiał do badań naukowych. W ten sposób ustalono na przykład, ile jest rodzajów talii Tarota, jaka jest jego historia i znaczenie. Tarot może być również traktowany jako sposób na zrobienie pieniędzy. Na Tarocie zarabiają przecież handlowcy, kolekcjonerzy i prawdopodobnie także wróżbici. Tarot może być stosowany jako narzędzie medytacji — można zastanawiać się nad znaczeniem poszczególnych kart, ich symboliką i podobnymi rzeczami z pogranicza psychologii. Wymieniłem aż pięć zastosowań kart Tarota, czyli dokładnie tyle, ile mamy w Tarocie kolorów: Pałki, Kielichy, Miecze, Monety i Aura.

No tak, zapomniałem, że winien wam jestem wyjaśnienie. Otóż do tej pory nie ustalono, jaka jest

właściwa liczba kart i kolorów w Tarocie. Standardowa talia Tarota składa się z 78 kart — 22 kart tzw. Wielkich Arkanów i 56 kart Małych Arkanów. Karty Wielkich Arkanów są kartami atutowymi i oznaczone są numerami od 0 do 22. Karty Małych Arkanów składają się z czterech kolorów: Kielichów (Kiery), Monet (Kara), Mieczy (Piki) i Patek (Trefle). Każdy kolor składa się z 14 kart — licząc od 1 (As) do 10, i z czterech kart dworskich — Króla, Królowej, Rycerza i Giermka. Już przy pierwszym kontakcie z Tarotem przyszło mi do głowy, że coś w tym systemie nie gra. Wiedziałem, że każdy z kolorów odnosi się do żywiołów, z których — w myśl wierzeń starożytnych — składa się świat. Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale w przeciwieństwie do tego, co się powszechnie sądzi, starożytni wyróżniali nie cztery, a pięć elementów budowy wszechświata: Ogień, Wodę, Powietrze, Ziemię i Ducha. Na tej podstawie wywnioskowałem, że w Tarocie funkcjonował niegdyś jeszcze piąty kolor, z jakiegoś powodu nie uwzględniany we współczesnych taliach Tarota. W dodatku przekonałem się, że między znawcami standardowego Tarota nie ma zgody co do właściwej interpretacji poszczególnych kart i ich układów. Nie mogłem zacząć pisać powieści, której struktura opierałaby się na tak mglistych przesłankach. Postanowiłem wprowadzić pewien ład w całe to zamieszanie i dlatego zdecydowałem się przywrócić piąty, brakujący kolor. W ten sposób moja talia Tarota, którą nazwałem Tarotem Animacji, rozrosła się z 78 do 100 kart. Szczegółowy opis tej talii zamieściłem w dodatku na końcu książki. Moja powieść wyjaśnia, jak to się stało, że talia Tarota została okaleczona, i dlaczego do czasów obecnych przetrwała tylko jej ułomna wersja.

Od razu chciałbym zaznaczyć, że talii Tarota Animacji nie można nigdzie kupić. Tak naprawdę istnieją jego dwie wersje — Klasyczna (tzw. Tarot Classic), pochodząca z XIV wieku i odnosząca się tematycznie do czasów swojego powstania — od razu chciałbym zaznaczyć, że wszelkie twierdzenia o starożytnym, egipskim pochodzeniu Tarota uważam za bezpodstawne, co zresztą dokumentuje moja powieść — oraz Kosmiczna (tzw. Cluster), odnosząca się do czasów, które dopiero mają nadejść. Wersja ta zostanie wówczas opublikowana. Obydwie wersje operują takimi samymi symbolami, z tą tylko różnicą, że Tarot Kosmiczny ma jedną kartę więcej i nieco inne wizerunki. Dodatkowa karta jest pusta, nie przedstawia żadnego wyobrażenia i symbolizuje Ducha. Duch ten ma piętnaście różnych wcieleń, z których każde odnosi się do innego gatunku istot żyjących w naszej galaktyce. Tym samym liczba kart atutowych w Tarocie Animacji zwiększa się do 44. Ponieważ my, ziemianie, nie jesteśmy w stanie w pełni zrozumieć, na czym polegają poszczególne wcielenia Ducha, określiłem je umownie mianem Nieznanego. Próbowałem na własną rękę opublikować talię Tarota Animacji, ale okazało się to znacznie trudniejsze niż myślałem. Napotkałem tak wielkie przeszkody, że nie mam ochoty nawet o nich pisać. Ponieważ koszt wydania talii byłyby niewspółmiernie wysokie w stosunku do zysku, nigdy nie zdecydowałem się na druk. Jeśli tylko w przyszłości pojawią się jakieś nowe szanse, wtedy na pewno nie omieszkać powrócić do sprawy. Istnieje kilka talii Tarota Animacji zrobionych niejako własnym sumptem. Jedną z nich jest wspaniała, ręcznie wykonana talia owinięta w piękną, koronkową tkaninę. Talia ta została wykonana przez członków pewnego zgromadzenia religijnego wyznającego zasady pokrewne tym, które ustanowił Święty Zakon Wizyjny. Członkowie zakonu podarowali mi ją w dowód uznania za książkę. Również inni moi czytelnicy wykonali kilka egzemplarzy talii. Co innego jednak jest narysować jedną talię, a co innego podjąć się druku na wielką skalę. W zastępstwie, każdy z was może wykonać swoją własną wersję Tarota Animacji. Pomogą wam wskazówki, które zamieściłem w aneksie. Możecie także wykorzystać zwykłą talię używaną do gry i uzupełnić ją o brakujące karty. Nie martwcie się, jeśli wasze ilustracje nie będą perfekcyjne. Wykonanie ma naprawdę drugorzędne znaczenie, o wiele ważniejsze są przekazywane treści. Są one tak samo inherentne w stosunku do

formy zewnętrznej, jak nasza osobowość w stosunku do wyglądu zewnętrznego. Ja sam nie wykonałem nawet pełnego zestawu kart atutowych, chociaż mam pewne wyobrażenie na temat tego, jak powinny wyglądać poszczególne wizerunki. Ujmując rzecz najbardziej skrótowo — wersja Kosmiczna odnosiłaby się do przyszłości, natomiast wersja Klasyczna — do przeszłości. Na karcie oznaczonej symbolem 0 i znanej jako Głupiec albo Ignorancja zamieściłbym wyobrażenie Ziemi zbroczonej krwią. Jej kształt przypominałby jednak bardziej zero niż kulę. Mag, czyli karta oznaczająca Umiejętność i oznaczona symbolem 1, mogłaby przedstawiać brata Pawła na tle wiatraka. Jedną ręką wskazywałby w górę, a drugą w dół, co byłoby wyraźnym nawiązaniem do podstawowych żywiołów. Pamięć, albo inaczej Arcykapłanka lub Papieżycyca, czyli karta oznaczona symbolem 2, mogłaby przedstawiać matkę Mary w jej własnym biurze. Działanie, albo Cesarzowa, albo też karta atutowa numer 3, mogłaby przedstawiać śliczną dziewczynę na tle amarantowego pola. Myślę, że po tych kilku przykładach macie już pewne wyobrażenie na temat ikonografii Tarota Animacji. Zaznaczam, że celowo nie zachowałem typowej dla zwykłego Tarota numeracji, uważam bowiem, że samo uporządkowanie kart i poszczególne znaczenia są znacznie ważniejsze od numerków jako takich. Dlatego też w mojej talii Tarota karta przedstawiająca Śmierć i symbolizująca Zmianę jest przyporządkowana numerowi 17, a nie 13, jak w zwykłym Tarocie. Karta ta przedstawiałaby bawiące się dziecko. Dopiero w trakcie czytania powieści przekonaliście się, jaki horror kryje się za tym zupełnie niewinnym z pozoru obrazkiem. Na zakończenie chciałbym was jeszcze zapewnić, że żadne z proponowanych przeze mnie wyobrażeń nie musi być traktowane obligatoryjnie i każdy z was, kto zdecyduje się na wykonanie własnej wersji Tarota Animacji, może zbudować ją tylko w oparciu o własną wyobraźnię.

Wszystkie moje powieści, a już szczególnie *Kirlian Quest*, zawierają pewne dodatkowe wyjaśnienia i informacje pomagające czytelnikowi lepiej zorientować się w zawiłościach danej książki. Podobnie postąpiłem przy pisaniu *Tarota*. Ponieważ powieść ta jest nierozzerwalnie związana z Tarotem Animacji, chciałbym wam pokrótce przedstawić, w jaki sposób można się tą talią posługiwać przy wróżeniu. Rozkład kart, który za chwilę poznacie, nazwałem Satelitarnym. Po to, żeby rozłożyć karty i zrozumieć, co mają nam do przekazania, nie potrzeba żadnych specjalnych umiejętności. Nie musicie się w tym celu udawać do żadnego uznanego wróżbity czy też medium. Sami możecie być jednocześnie i Pytającym, i Interpretatorem. Na podstawie własnych doświadczeń mogę was zapewnić, że taki indywidualny kontakt z kartami jest znacznie przyjemniejszy. Z góry was jednak muszę ostrzec, że jeśli naprawdę chcecie nauczyć się wróżenia — musicie koniecznie wziąć do ręki karty i nie ograniczać się do przeczytania samego opisu, który jest dosyć skomplikowany i łatwo moglibyście się w nim pogubić. Jeżeli faktycznie zginiecie w nadmiarze szczegółów, radzę wam pobieżnie przejrzeć resztę wstępu i przejść do dalszych części książki, które być może wydadzą się wam bardziej interesujące. Jak już pisałem — sam jestem sceptycznie nastawiony do wszelkich nadnaturalnych zjawisk, wy jednak możecie być wolni od tego rodzaju uprzedzeń i dlatego wierzę, że Tarot Animacji rzeczywiście do was przemówi. Nie martwcie się, jeśli nie będziecie umieli wykonać własnej wersji Tarota Animacji. Przy rozkładzie, który za chwilę wam przedstawię, każda talia Tarota, a nawet zwykłe karty, jakich używa się do gry, zdadzą egzamin. Oczywiście nie dowiecie się z nich tyle, ile moglibyście wyczytać z oryginalnej talii Tarota Animacji, ale w końcu karty, podobnie zresztą jak i sam rozkład, są tu tylko środkiem, a nie celem.

Przystępując do wróżenia musicie najpierw wybrać sobie kartę, którą uznacie za waszego reprezentanta. Zwykle wybiera się w tym celu jedną z kart dworskich, ale nie jest to absolutnie

konieczne. Kobieta uwielbająca ruch, zapalona turystyka — może wybrać dla siebie kartę przedstawiającą Królową Pątek, a więc kartę należącą do Koloru Natury.

Nastolatek marzący o zrobieniu wielkiej fortuny i to jeszcze przed trzydziestką — powinien wybrać dla siebie Rycerza Moneta z Koloru Finansów. Ja sam, sfrustrowany artysta, posługujący się słowami jako środkiem wyrazu, zwykle wybieram dla siebie Króla Aury z Koloru Sztuki. Każdy z kolorów odpowiada innej dziedzinie życia i dlatego każdy wróżący powinien sobie wybrać kartę najbardziej zbieżną z własnym charakterem i zainteresowaniami. Ta karta, którą uznacie za personifikację własnej osoby, będzie od tej pory najważniejszą dla was kartą w całej talii. Powinniście ją sobie wybrać jeszcze przed przystąpieniem do wróżenia.

Zaraz potem możecie zacząć tasować karty, dołączając do talii również kartę, którą uznaliście za swojego reprezentanta. Karty będą układać się w określonym porządku, którego nigdy nie powinniście próbować odtwarzać. Bez względu na to, czy talia jest tasowana przed ponownym użyciem, czy też nie — karty zaczynają żyć własnym życiem i są w stanie przekazać coraz więcej informacji. Pod żadnym pozorem nie wolno zaburzać ich naturalnego uporządkowania przez stosowanie jakichś sztywnych, mechanicznych układów. Inne talie Tarota nie są aż tak wrażliwe, wy jednak macie do czynienia z zupełnie niezwykłym Tarotem Animacji, który jest żywy i przemawia do was naprawdę. Wszystkie karty należy kłaść rewersem ku górze w zupełnie dowolnym porządku, z zachowaniem podziału na pięć części. W każdym z pięciu plików powinno się znaleźć po dwadzieścia kart.

Gdy podzielicie karty, możecie przystąpić do odkrywania. Zaczniście od dowolnie wybranego zestawu i odkrywajcie karty tak długo, aż natraficie na kartę reprezentującą waszą osobę. Gdy wreszcie ją znajdziecie, weźcie kartę do ręki i spróbujcie przeanalizować sytuację. W którym z zestawów natrafiliście na swoją kartę? Każdy z pięciu plików kart ma przypisane następujące znaczenia: 1. CZYNIĆ, 2. MYŚLEĆ, 3. CZUĆ, 4. MIEĆ, 5. BYĆ. Podział ten odpowiada kolorom Tarota Animacji, których jest również pięć: 1. Natura (Pałki), 2. Nauka (Miecze), 3. Wiara (Kielichy), 4. Interesy (Monety) i 5. Sztuka (Aura). Jak widzicie, nic tu nie jest przypadkowe. Wszystkie znaczenia dopełniają się i układają w jednolity wzór budowany w oparciu o podział na pięć części. Cyfra pięć ma w ogóle fundamentalne znaczenie dla Tarota Animacji — odpowiada liczbie palców u jednej ręki. Idąc dalej tym tropem — dwie ręce to dziesięć palców, a więc dokładnie tyle, ile wynosi liczba blotek w każdym kolorze. Jeśli teraz podniesiecie dziesięć do kwadratu, otrzymacie dokładną liczbę kart w talii Tarota Animacji, a więc sto. Starożytni, w przeciwieństwie do współczesnych, przykładali bardzo dużą wagę do liczb i przypisywali im znaczenie magiczne. Sami widzicie, że współczesna talia Tarota składająca się z 78 kart jest okaleczona, a jej magiczne własności w dużym stopniu zatracone. Gdybyście z komputera usunęli 22% części, również przestałby pracować jak należy. Wracając do rzeczy — zawsze powinniście sprawdzić, czy pytanie, na które szukacie odpowiedzi, jest adekwatne do tego, co reprezentuje sobą dany zestaw kart. Tylko wy sami jesteście władni to osądzić. Jeśli uznacie, że karta znalazła się w nieodpowiednim zestawie, nie próbujcie pytać więcej — najwyraźniej talia daje wam w ten sposób do zrozumienia, że nie należy o daną rzecz pytać.

Jeżeli treść pytania jest adekwatna do zestawu, możecie przystąpić do rozkładania kart. Kartę, którą uznaliście za personifikację waszej osoby, należy położyć dokładnie na środku stołu i obrócić

ją obrazkiem ku górze w linii wyznaczającej kierunek wschód — zachód, tzn. w pozycji horyzontalnej. Pozostałe karty z zestawu należy brać pojedynczo i kłaść również obrazkami ku górze. Kartę oznaczoną numerem 1 krzyżujecie z wybraną przez was kartą (oznaczoną numerem 0, a więc symbolizującą Głupca czyli was) i kładziecie ją w linii wyznaczającej kierunek północ — południe, czyli w pozycji wertykalnej. Kartę numer 2 kładziecie poniżej, numer 3 na lewo, numer 4 powyżej i numer 5 na prawo od skrzyżowanych kart. Wszystkie karty układacie w pozycji wertykalnej. W ten sposób otrzymacie układ sześciu kart, z dwoma kartami skrzyżowanymi pośrodku. Numer 1 będzie definiować Problem, który chcecie rozwiązać, numer 2 mówić o Przeszłości, numer 3 — o Teraźniejszości, numer 4 — o Przyszłości i numer 5 ujawni wam wasze Przeznaczenie. Każdą z tych kart należy interpretować zgodnie z pozycją, w jakiej się znajduje. Karty dworskie będą reprezentować ważnych dla was ludzi, natomiast pozostałe karty będą niosły takie znaczenia, jakie im wyznacza talia. Taki rozkład kart powinien optymalnie odzwierciedlić sytuację, w jakiej się znajdujecie i odkryć wam na koniec wasze Przeznaczenie. Sami będziecie musieli jednak spróbować zinterpretować dany układ. Nikt inny nie będzie wam mógł w tym wyręczyć, bowiem karty będą mówiły tylko do tej osoby, która zadaje pytania, i tylko ona będzie w stanie właściwie zrozumieć udzielone jej przez talię odpowiedzi. Inni będą oczywiście mogli dzielić się z wami własnymi spostrzeżeniami, ich uwagi będą miały jednak charakter wyłącznie doradczy. Nie mogą przecież wiedzieć o was wszystkiego.

Jeśli jednak nie będziecie sobie umieli sami poradzić z odczytaniem danego układu kart, pomoże wam Kosmiczna wersja Tarota Animacji czyli Cluster. Aby sobie pomóc, będziecie musieli wystrzelić satelitę, czyli na kartę, która sprawia wam trudność, położyć kartę zastępczą wyciągniętą z wersji Kosmicznej i oznaczoną numerem 1. Satelita przejmie funkcje karty sprawiającej trudności, nie będzie się jednak odnosić do całego układu, a tylko do jednego z jego aspektów. Jeżeli, na przykład, położycie satelitę na karcie oznaczonej numerem 2, a więc na karcie reprezentującej Przeszłość, wówczas satelita przejmie jej funkcje i również będzie się odnosił tylko do Przeszłości. Satelita powinien wam pomóc w interpretacji. Jeśli nadal jednak będziecie mieć wątpliwości, proponuję jeszcze inne rozwiązanie. Należy wybrać z talii dalsze trzy karty i umieścić je poniżej karty sprawiającej trudności, w kolejności przeciwnej do ruchu wskazówek zegara. Można też umieścić je na lewo lub na prawo, lub też powyżej — zależnie od tego, ile będziecie mieć miejsca. W ten sposób otrzymacie podzbiór złożony z pięciu kart — pięć, przypominam, jest cyfrą znaczącą — albo inaczej dużego Satelity. Trzy nowe karty dodane do układu będą oznaczać kolejno Przeszłość, Teraźniejszość i Przyszłość, ale znowu będą się odnosić nie do całego układu, lecz tylko do karty sprawiającej trudności. Jeżeli w dalszym ciągu nie będziecie sobie umieli poradzić z interpretacją, możecie położyć na jednej z dodanych trzech kart kolejną kartę i w ten sposób wybudować nowego satelitę. Tą techniką możecie się posługiwać aż do skutku. No, chyba że zabraknie wam kart.

Wówczas będziecie musieli zaprzestać wróżenia. Wolno wam bowiem korzystać tylko z tych kart, które znalazły się w waszym zestawie. Brak kart sygnalizuje, że należy zakończyć wróżenie. Jeśli karta reprezentująca was znalazła się w niewłaściwym zestawie, a mimo to zdecydowaliście się kontynuować wróżbę, w krótkim czasie zabraknie wam kart. Karty skończą się również bardzo szybko, jeśli okaże się, że wasza karta leży na samym spodzie zestawu. Także i w tym wypadku radzę wam zaprzestać wróżenia. Jeśli wszystko układa się w jak najlepszym porządku, ale liczba kart, którymi możecie się posłużyć, jest niewielka — nie próbujcie pytać więcej. Najwidoczniej talia

powiedziała wam już wszystko i należy się tym zadowolić. Radziłbym zaniechać w ten dzień wróżenia i odłożyć je na inny termin. Jeśli jednak usilnie będziecie chcieli się czegoś jeszcze o sobie dowiedzieć — zmieńcie pytania. Każda wróżba jest ważna tylko wtedy, jeśli postępujecie uczciwie i nie kontynuujecie wróżenia na siłę. W tym wypadku wszystko to, co odczytacie z kart, będzie nieważne, a odpowiedzi, które otrzymacie, będą błędne lub absurdalne. Nie wińcie wtedy Tarota Animacji, lecz samych siebie.

Jest jeszcze coś, o czym muszę wam powiedzieć, a czego nie dostrzegają inni badacze Tarota. Poza wszystkimi swoimi tradycyjnymi zastosowaniami, karty Tarota są także obrazem życia Jezusa Chrystusa lub też, ujmując rzecz bardziej ogólnie, historią mówiącą o człowieku i jego wędrówce, której celem jest osiągnięcie duchowej doskonałości i jedności ze światem. Poszczególne karty symbolizują kolejne etapy wędrówki. Karta przedstawiająca Głupca wyznacza początek podróży i symbolizuje pierwotną niewinność. Kolejne cztery karty kształtują osobowość Głupca i są personifikacjami archetypów Ojca i Matki. W dalszym etapie wędrówki dochodzi do przebudowy osobowości Głupca, jego mistycznej śmierci, w wyniku której pierwiastki duchowe zaczynają triumfować nad materialnymi. W kartach ten etap symbolizowany jest przez wodę przelewaną z jednego naczynia do drugiego. Mistyczna śmierć uwalnia także złe moce uosabiane przez Diabła. Moce te zostają ujarzmione i w ostatnim etapie drogi reprezentowanym przez Sąd Ostateczny dochodzi do zespolenia się wszystkich przeciwnych pierwiastków i do osiągnięcia stanu pełnej integracji ze Światem. Ujmując rzecz skrótowo — Tarot jest swoistego rodzaju zakazaną lekcją religii, obrazkową Biblią dla analfabetów, którymi były masy w średniowieczu. Na tym właśnie polega wielkie znaczenie Tarota i powód, dla którego ortodoksyjny kościół umieścił Tarota na indeksie. W miarę jak coraz bardziej zagłębiałem się w symbolikę Tarota, narastał mój szacunek dla tych kart, czemu dałem wyraz pisząc swoją powieść. Mam nadzieję, że ci z was, którzy przeczytają moją książkę, także zrozumieją na czym polega wyjątkowość Tarota i będą umieli docenić jego wartość bez względu na własny światopogląd.

I to już chyba wszystko. Napisałem bardzo długi wstęp, o wiele dłuższy niż zamierzałem. Na zakończenie chciałbym tylko jeszcze ostrzec tych, którzy z moją książką zetkną się po raz pierwszy — *Tarot* jest powieścią kontrowersyjną, uderzającą w pewne konwencje religijne i obyczajowe. Z tego względu niektórym czytelnikom może się wydać obrazoburczy, a nawet wzbudzić awersję. Jedną z moich młodych czytelniczek, która знаła moją wcześniejszą książkę z serii Xanth, sięgnęła po *Tarota* sądząc, że to kolejna łatwa powieść z gatunku fantastyczno — naukowych. Gdy jej matka przeczytała fragment *Tarota*, natychmiast zarekwirowała wszystkie moje książki i kategorycznie zabroniła ich czytania. Jeśli przebrniecie przez *Tarota* i książka was w żaden sposób nie poruszy, nie wzbudzi w was niechęci ani odrazy — znaczy, że jej nie zrozumieliście.

Piers Anthony marzec 1987

Szaleństwo (Głupiec)

W roku Pańskim 1170 Pierre Valdo, zamożny kupiec z Lyonu w południowej Francji, doznał religijnego olśnienia, wyrzekł się dóbr doczesnych i wędrował po kraju w dobrowolnym ubóstwie. To jawne szaleństwo przyciągnęło zarówno prześladowców, jak i zwolenników; tych drugich nazywano „biedotą z Lyonu”. W roku 1183 Papież Lucjusz III obłożył klątwą rosnącą w liczbę sektę waldensów, którzy odwoływali się do Biblii, miast do autorytetu papieskiego, odrzucali składanie przysięg i potępiali karę śmierci. Nigdy nie czynili znaku krzyża, nigdy też nie czcili narzędzia męki, na którym zawisł Chrystus, ani bolesnej i szyderczej korony cierniowej. Mimo tej klątwy waldensi prosperowali w krajach chrześcijańskich; tysiące osiedliło się w Alpach Kotyjskich, na granicy francusko-włoskiej. Ich nieustraszeni misjonarze przemierzali południową Francję, południowe Niemcy i północne Włochy. Ich śladem szła Inkwizycja, prześladując brutalnie przez kilka wieków. Dlatego pastory wędrowali w przebraniu, świadomi, że posiadanie przy sobie literatury dotyczącej ich wiary grozi torturami i śmiercią. Niełatwo jednak było nauczać bez pomocy naukowych, skoro wielu z nawróconych było ciemnymi analfabetami. Ta sytuacja, pozornie bez wyjścia, dała w rezultacie jedno z najważniejszych narzędzi edukacyjnych tego tysiąclecia.

Tłem wydarzeń jest Ziemia w niedalekiej przyszłości. Presja spowodowana wzrostem ludności i kurczeniem się zasobów naturalnych doprowadza ludzkość na krawędź katastrofy. Nie ma dość żywności i energii dla wszystkich. W tym samym czasie następuje jednak fenomenalny przełom w technologii podróżowania: teleportacja. Pozwala ona na wysyłanie ludzi, w jednej chwili, na nadające się do zamieszkania, dziewicze planety krążące wokół odległych gwiazd. Wydaje się, że wreszcie dylemat stojący przed ludzkością został rozwiązany: *ci wszyscy ludzie mają gdzie się podziać.*

Prowadzi to do największego exodusu w historii gatunku; tyle ludzi opuszcza Ziemię, że w ciągu dekady wyludni się ona całkowicie. Niestety, teleportacja wymaga ogromnych ilości energii. Jej źródła są eksploatowane w sposób rabunkowy. Przynosi to ze sobą szczególny efekt uboczny w postaci obniżenia poziomu technologicznego ludzkiej cywilizacji; ludzie zmuszeni są wrócić do prymitywniejszych urządzeń mechanicznych. Lampy naftowe zastępują światło elektryczne; drewno zastępuje ropę naftową; konie zastępują samochody; narzędzia kamienne zastępują metalowe. Baza przemysłowa kurczy się wraz z emigrującym do swoich światów marzeń wysoko kwalifikowanym i inteligentnym personelem. Program kolonizacyjny przebiega jednak bezładnie i chaotycznie, tak jak przebiegały podobne programy i ruchy w przeszłości, mimo znaków ostrzegających przed nagłym załamaniem.

To czyste szaleństwo. Ludzkość przypomina pięknego marzyciela z oznaczonej numerem 0 karty

Taro ta — Głupca — idącego na północny zachód, ze wzrokiem wzniesionym w poszukiwaniu wielkich przeżyć, a stopami niosącymi go wprost ku przepaści. Czeką go wielkie przeżycie, o tak! Jakież nadzieje wiążą się z tymi nowymi światami! Cóż za wspaniały cel — bez — bolesne zredukowanie ziemskiej populacji do właściwego poziomu! Jakiej jednak katastrofy należy się spodziewać, skoro cała ta przygoda nie podlega żadnej sensownej kontroli.

Są też aspekty pozytywne. Głupiec ma przynajmniej marzenia i szlachetne aspiracje, a być może także zdolność rozpoznawania i wybierania pomiędzy dobrem i złem. Krok w kierunku przepaści, uczyniony na własny rachunek, jest może lepszy niż pozbawione ambicji pozostanie w domu. Szaleństwo przyszłej Ziemi jest sprawą złożoną, pełną bardzo szlachetnych i frustrujących pierwiastków, które mimo wszystko mogą ocalić to, co dla tej Ziemi jest najważniejsze.

Tutaj mamy historię jednego z tych elementów, historię jednego wątku z olbrzymiego gobelinu: poszukiwanie Boga Tarota przez brata Pawła.

1

Umiejętność (Mag)

Rok Pański 252. Cesarz Decjusz dopiero od roku sprawuje władzę, ale już dał się poznać jako okrutny prześladowca kłopotliwych chrześcijan. Kazał pochwycić pewnego pobożnego młodzieńca, nasmarować jego ciało miodem i wystawić go na palące słońce oraz ukłucia much i szerszeni. Innego chrześcijańskiego młodzieniaszka potraktowano w sposób zgoła odmienny: związano mu ręce i nogi sznurami, okryto kwiatami i ułożono nagiego na łożu w zakątku przepelnionym śpiewem ptaków, szemraniem wody, orzeźwiający zefirem i aromatem kwiatów. Po czym przystąpiła do niego dziewczyna o pięknym ciele, a obnażywszy się przed nim całowała i pieściła jego ciało, by wzbudzić jego męskość i połączyć się z nim w najwyższym z ziemskich uniesień. Młodzieniec ofiarował był swą miłość Bogu: przeżycie miłosnych uniesień z kobietą śmiertelną splugawiłoby go tylko. Nie posiadał żadnej broni, jednak jego zręczność i odwaga sprostały sytuacji. Odgryzłszy własny język, plunął nim w twarz nierządnicy. Bólem zadany sobie pokonał pokusę pożądliwości i zdobył dla siebie koronę zwycięstwa duchowego. Paweł, sam szczerzy chrześcijanin, był świadkiem tych cierpień. Przerażony, uciekł na pustynię, gdzie mieszkał samotnie w jaskini po kres swoich dni. Stał się tym samym pierwszym chrześcijańskim pustelnikiem i znany był pod imieniem Świętego Pawia Eremity.

Olbrzymie skrzydła wiatraka obracały się na wietrze, jednak woda nie płynęła. Jedyne wąły strumyczek wydobywał się z rury, a zbiornik był prawie pusty. Groziło to klęską, jako że było to główne źródło czystej wody dla tej okolicy.

— Brat Paweł rozważał sytuację:

— Albo to spadek poziomu wód gruntowych, albo awaria pompy — powiedział.

— Poziomu wód! — wykrzyknął przerażony brat Jakub. — Nie pompowaliśmy aż tyle!

Jego niepokój był autentyczny i bardzo głęboki: bracia ze Świętego Zakonu Wizyjnego wierzyli w celowość konserwacji urządzeń i ściśle jej przestrzegali. Wszyscy oni złożyli byli śluby ubóstwa i gorszyło ich marnotrawstwo czegoś tak cennego jak woda.

— Ale mieliśmy suszę — powiedział brat Paweł. Zaiste, słońce aż paliło, nie czyniąc jednak żadnej szkody jego brązowej skórze. — Być może nieświadomie przekroczyliśmy miarę w tych szczególnych okolicznościach.

Brat Jakub był szczupłym, nerwowym mężczyzną traktującym wszystko bardzo poważnie.

— Jeśli taka wola naszego Pana...

Brat Paweł zauważył widoczne zatroskanie swojego towarzysza i złagodniał.

— Niemniej, sprawdzimy najpierw pompę.

Pompa była ruchomą krzywką, która przetwarzała obrotowy ruch wałka młyńskiego w pionowy ruch tłoka przymocowanego do pręta. Pręt ten zanurzony był w studni i napędzał cylinder wypompowujący wodę. Brat Paweł wyciągnął narzędzia i ostrożnie rozmontował mechanizm, odłączając wałek od łopatek i wydobywając cylinder na powierzchnię. Mały, srebrny krzyżyk przeszkadzał mu w pracy, kiedy się pochylał, schował go więc z szacunkiem do kieszonki koszuli. Pociągnął nosem.

— Mam nadzieję, że to nie zapach ognia piekielnego — zauważył.

— Co takiego? — Brat Jakub nie grzeszył nadmiarem poczucia humoru. Brat Paweł otworzył mechanizm, z którego wydobyły się kłęby dymu.

— No i mamy winowajcę! Nasze drewniane łożysko się nadpaliło i wykrzywiło, zmniejszając wydajność pompy.

— Nadpaliło? — zapytał zdziwiony brat Jakub. Wyraźnie mu ulżyło, kiedy usłyszał, że problem jest czysto mechaniczny, a nie spowodowany obniżeniem poziomu wody czy też bliskością ogni piekielnych. — Przecież to pompa wodna!

Brat Paweł uśmiechnął się z wyrozumiałością. Pogłębiające się bruzdy wokół ust wskazywały, że był to wyraz twarzy, z którego często korzystał — być może zbyt często, jak na człowieka jego powołania. Tę sieć zmarszczek uzupełniały jednak inne — zdradzające poważną stronę jego charakteru, a może nawet wskazujące na kryjący się w głębi ból.

— Nie wszystko tutaj jest mokre, bracie. Ten cylinder jest szczelnie zamknięty. Przy silnym wietrze, kiedy obroty wałka są bardzo szybkie — siła wiatru, jak wiesz, jest zmienną zależną od sześcianu jego prędkości — łożyska tak się rozgrzewają poprzez tarcie, że mogą się zacząć tlić.

— Rzeczywiście, wczoraj mieliśmy dobry wiatr — zgodził się brat Jakub. — Brat Piotr postanowił zemleć mąkę na całotygodniowy wypiek. Nie przyszło nam do głowy, że młyn mógłby...

— Nie ma w tym waszej winy — powiedział szybko brat Paweł. — Używanie młyna wtedy, kiedy przynosi to najlepsze efekty, jest rzeczą rozumiałą i rozsądną, a przecież silny wiatr ułatwia wszystkie prace. Ten tutaj to tylko jeden z problemów naszej upadającej technologii. Wymienię łożysko, ale dobrze byłoby, gdybyśmy trochę nasz młyn oszczędzali przy bardzo silnej wicherze. Czasami lepiej zmarnować trochę dobrego, sprzyjającego wiatru niż stracić łożysko.

Uśmiechnął się do siebie nie przerywając pracy i zastanawiając się jednocześnie, czy odkrył jakąś nową życiową maksymę i czy taka maksyma warta jest tego, aby ją włączyć do własnej filozofii życiowej.

Sięgnął po zapasowe łożysko i zaczął je montować. Jego ciemne dłonie były silne i pewne.

— Jesteś prawdziwym sztukmistrzem — zauważył brat Jakub. — Zazdroszczę ci takiej biegłości w sprawach mechanicznych.

— Chciałbym, żeby sprawy duchowe były równie łatwe — odpowiedział brat Paweł. Miły wysiłek fizyczny spowodował, że zaczął się pocić. Był mocno zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu z krótko przystrzyżonymi, czarnymi włosami. Twarz miał lekko puciołowatą, ale zarys mięśni był bardzo wyraźny na jego ramionach, kiedy dźwigał coś ciężkiego.

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby pompa znajdowała się na powierzchni, gdzie łatwiej ją naprawiać? — spytał brat Jakub, obserwując zmagania brata Pawła z ciężkim cylindrem.

Brat Paweł wyciągnął go bez trudu, ale opuszczenie go i umieszczenie we właściwym miejscu sprawiało mu trochę kłopotu.

— Niewątpliwie — ale wówczas nie mielibyśmy wody — wyjaśnił brat Paweł. — Pompy powierzchniowe wykorzystują zasysanie, które faktycznie jest ciśnieniem atmosferycznym pchającym ciecz do góry. Wynosi ono około piętnastu funtów na cal kwadratowy, co jest wystarczające do pompowania wody z głębokości nie większej niż dwadzieścia osiem stóp, a i to bez uwzględnienia tarcia i innych niesprawności całego układu. U nas poziom wody znajduje się na głębokości trzydziestu stóp. Dlatego też stosujemy pompę ciśnieniową umieszczoną w pobliżu wody; tego rodzaju urządzenie nie podlega takim ograniczeniom. Jest może trochę nieporęczne ale tutaj niezastąpione.

— Tak, teraz rozumiem. Nie wystarczy zaprząć wiatrak do pompy; musi to być zrobione właściwie.

— Podejrzewam, że podobnie jest z mocą naszego Boga — powiedział brat Paweł z zadumą. — Ona jest, istnieje, jak wiatr: olbrzymia, ukryta moc, często ignorowana lub nie postrzegana przez człowieka. A jednak realna; wystarczy tylko podjąć wysiłek, żeby ją zrozumieć. Naszym zadaniem jest spożytkowanie tej potencjalnej siły, zastosowanie jej bezpośrednio w życiu człowieka. I choć wydaje nam się, że mamy wszystkie niezbędne elementy — nie zadziała, bo nie są one umieszczone we właściwym miejscu, nie są dostosowane do naszej szczególnej sytuacji, albo też część mechanizmu jest zepsuta, choć na powierzchni nic na to nie wskazuje.

— Nie uważam tego za analogię — powiedział brat Jakub. — To prawda w sensie dosłownym. Wiatr jest Bogiem, a także woda; nie możemy istnieć niezależnie od Niego. Nawet przez chwilę, nawet w najmniejszym stopniu.

Brat Paweł przerwał na moment pracę i uniósł ręce w geście poddania. — Masz oczywiście rację. Jednak musi istnieć jakiś proces umożliwiający łączność pomiędzy mocą tam, w górze — wskazał prawą dłońmią niebo — a materią tu, na dole. — Jego lewa ręka wyciągnięta była w kierunku zakopanego cylindra.

— Nazwałbym ten proces modlitwą — powiedział brat Jakub.

Złożona i zamontowana pompa działała sprawnie. Silny strumień czystej wody wydobywał się z

rury i spływał do zbiornika. Brat Jakub był zachwycony.

Nie odzywając się więcej, brat Paweł wrócił do swego pokoju, umył dłonie, ramiona i twarz, i zmienił ubranie robocze na habit: długą, czarną szatę z wykładanym kołnierzem. Miał prowadzić lekcję, a był już spóźniony. W sprawach zaś dotyczących dzieła bożego na Ziemi należało być punktualnym.

Nagle się rozpromienił.

— Powietrze, Ziemia, Woda, Ogień! — wykrzyknął. — Wspaniale. Dzięki Ci, Boże, za to objawienie.

Nie wahał się rozmawiać z Bogiem bezpośrednio; w jego przypadku taka poufałość rodziła szacunek, nie lekceważenie. Święty Zakon Wizyjny zachęcał do kontaktów z Bogiem, i to w każdy sposób, który wydawał się przynosić obopólne zadowolenie.

Stanął przed klasą, pięciorgiem młodych ludzi z pobliskiej osady. Takie spotkania odbywały się okresowo, w zależności od potrzeby. Wraz z wyczerpywaniem się źródeł energii i malejącą liczbą ludności na Ziemi wzrastało zapotrzebowanie na systemy technologiczne i społeczne bliższe naturze, stąd i większa regularność takich sesji. Bracia i siostry prowadzili je na zmianę; w obecnym tygodniu kolej przypadła na brata Pawła.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział brat Paweł, ściskając dłonie wszystkich obecnych. — Zatrzymało mnie, by tak rzec, nałożenie się na siebie pierwiastków, pierwiastków przyrody.

Jedna z dziewczynek ożywiła się. Była drobną, jasnooką nimfą, o ładnej, delikatnej twarzyczce okolonej ciemnoblonde lokami. Mogła mieć około piętnastu lat, choć w obecnym czasie niewłaściwe odżywianie często hamowało wzrost młodzieży, opóźniając jej dojrzewanie. Miesiąc dobrego odżywiania mógłby uczynić cuda w jej przypadku, w sensie fizycznym — a być może także duchowym. Trudno być bardzo pobożnym na głodny żołądek. Przynajmniej trudno tym, którzy nie są wyćwiczeni w tego rodzaju dyscyplinie.

— Coś pan chce przez to powiedzieć, czyż nie tak, proszę pana? — spytała.

— Zwracajcie się do mnie: bracie — powiedział brat Paweł. — Jestem bratem Pawłem ze Świętego Zakonu Wizyjnego. Tak, przyszła mi do głowy pewna anegdota i dziękuję ci, że zadałaś to pytanie.

Zawsze najlepiej jest zaczynać na poziomie osobistym; zbyt wczesne wprowadzenie teologii może zniechęcić młode umysły. Nie usiłował przecież nawracać, raczej wyjaśniać, a i to powinno być przeprowadzone właściwie. Ludzie są o wiele bardziej skomplikowani niż wiatraki, choć pewne paralele istnieją.

— Wielkie rzeczy — burknął jeden z chłopców.

Był mocno zbudowanym młodzieńcem, szerokim w ramionach i sprawiał wrażenie gbura. Głód nie zahamował jego wzrostu! Najwyraźniej przysłali go tutaj rodzice, którzy nie mogli już sobie z nim

poradzić. Stacja Zakonna nie była co prawda poprawczakiem, być może jednak znajdzie on tu jakieś oświecenie. Nigdy nie uda się odgadnąć środków, jakie Bóg zastosuje, tym bardziej, że ich różnorodność jest tak wielka, jak złożoność natury ludzkiej w porównaniu z wiatrakiem.

— Mamy tutaj wiatrak, którego używamy, między innymi, do pompowania wody z głębi ziemi — powiedział brat Paweł. — Ale tarcie spowodowało, że nadpaliło się łożysko w pompie. Czy nic wam to nie sugeruje?

Twarze całej piątki — trzech chłopców i dwóch dziewczynek — nie wyrażały niczego, pozostały obojętne.

— Podczas studiów w zakonie kładziemy duży nacisk na pierwiastki — kontynuował brat Paweł. — Nie pierwiastki atomowe współczesnej nauki — choć te też studiujemy — ale klasyczne żywioły, pierwiastki przyrody. Powietrze, ziemia, woda, ogień: zauważamy, że objawiają się one ciągle na nowo i na nowe sposoby. Ukazują się w typach osobowości, w astrologii, w talii Tarota — ich symbolika jest uniwersalna. Mógłbym teraz...

— Wiatrak! — powiedziała blondynka. — Wiatr to powietrze! I pompuje wodę!

— Spod ziemi — dodał jeden z chłopców.

— I się spalił — dokończył ten gburowaty. — No i co z tego?

— Cztery żywioły — wszystkie razem — powiedziała pierwsza dziewczynka, wyraźnie z siebie zadowolona. Aż zaklaskała z radości.

Jest coś wielce pociągającego — pomyślał sobie brat Paweł — w młodej dziewczynie krzyczącej z uciechy: być może natura czyni ją tak atrakcyjną, by wydać ją za mąż, nim stanie się ciężarem dla rodziców.

— Myślę, że to trafne. Jak dopasowanie elementów w układance.

— Cóż w tym takiego wspaniałego? — Chciał wiedzieć ten sam chłopak.

— Jest to ćwiczenie w rozumowaniu — powiedział brat Paweł. — Kiedy szukamy paraleli, zbiegów okoliczności, nowych aspektów spraw — odnajdujemy znaczenia i rozwijamy się. Należy ćwiczyć i umysł, i ciało. Wierzyli w to starożytni Grecy; stąd mamy i twierdzenie Pitagorasa, i Olimpiady. My też w to wierzymy. W tym tkwi prawdziwy sens istnienia Świętego Zakonu Wizyjnego. Świętego i światowego — bo obejmującego cały świat; Wizyjnego — bo dotyczącego wizji takiej jak ta, którą przeżył święty Paweł na drodze do Damaszku i dzięki której nawrócił się na chrześcijaństwo. Nie należy go mylić ze świętym Pawłem Eremitą. Nie jesteśmy kościołem, raczej bractwem. Pragniemy, by nastąpiło zbliżenie między ludźmi, chcemy nauczać ich Uniwersalnego Prawa Tworzenia i chcemy przygotować Ziemię na nadejście nowej ery, której świt już dostrzegamy. Próbuje pomóc tym, którzy są w potrzebie, jakakolwiek by ona nie była, służąc im radą i pomocą materialną. Duży nacisk kładziemy na zastosowania praktyczne — nawet wiatraki — w tych czasach cofającej się cywilizacji technicznej.

— To wspaniałe! — powiedziała dziewczynka. — Czy każdy może wstąpić?

Niech ją Bóg błogosławi; świetnie mu pomaga w jego robocie!

— Każdy, kto zechce, po pewnym okresie terminowania. Są pewne etapy, przez które przechodzi nowicjusz, w zależności od swoich umiejętności i wiary. Życie tutaj nie zawsze jest łatwe. Musicie rzeczywiście zrozumieć zakon, zanim będziecie wiedzieć, czy chcecie być jego częścią.

— Dlaczego nosisz habit, studiujesz Biblię i te wszystkie inne sprawy? — zapytał inny chłopiec. Miał brązową skórę jak brat Paweł, wynik mieszania się ras. — Czy nie możesz po prostu iść i czynić dobro bez tych wszystkich dodatków?

— Doskonałe pytanie — powiedział brat Paweł. — Rzeczywiście chcesz odkryć wzajemny stosunek pomiędzy ideą i formą. A wiedz, że dobra idea może być zmarnowana, jeśli nie będzie ujęta we właściwą formę. I tak, na przykład, dobry pomysł na książkę można całkowicie zniszczyć, pisząc niejasno i niezgrabnie. Świetny pomysł na uzyskanie energii z wiatru spełźnie na niczym, jeśli źle zaprojektujemy przekładnię. Być może człowiek jest tylko ideą istniejącą w zamyśle Stwórcy — i ta idea musi dopiero uzyskać właściwą formę. Tak też jest z nami w Świętym Zakonie Wizyjnym; uważamy, że forma jest ważna, w rzeczywistości wręcz tożsama z podstawową ideą.

— Toż to czysty McLuhanizm — powiedział trzeci chłopiec. Miał jasną cerę, ciemne włosy, był zgrabnym młodzieniaszkiem, trochę starszym od pozostałych i prawdopodobnie lepiej wykształconym. Użył słowa, które niewielu znało, sprawdzając nim wiedzę nauczyciela.

— Nie całkiem — odpowiedział brat Paweł, zadowolony, że ma okazję sprostać wyzwaniu. Lubił wyzwania, zapewne bardziej niż powinien. — Środek przekazu może niczym się nie różnić od samego przekazu, ale nie jest przekazem. Być może inne środki wyrazu równie dobrze służyłyby naszym celom, ale my posiadamy system, który według nas działa sprawnie i tak długo będziemy się go trzymali, aż dojdziemy do wniosku, że należy go zmienić. — Zamknął na chwilę oczy, odmawiając w myślach modlitwę dziękczynną i ciesząc się, że sesja przebiega tak dobrze. Czasami miał trudności z nawiązaniem kontaktu, ale tutaj miał do czynienia z bystrymi i wrażliwymi umysłami. — Uważamy, że Bóg dał nam wspaniałe narzędzie w postaci Biblii, żeby kierować naszymi krokami, ale być może kiedyś...

— Bzdury — zauważył gburowaty. — Bóg nie istnieje, a Biblia niczego nie uczy. To wszystko zabobony.

Teraz już rękawica została rzucona. Wszyscy patrzyli na brata Pawła, chcąc wiedzieć, jak zareaguje. Rozczarowali się jednak.

— Być może masz rację — powiedział bez cienia złośliwości. — Sceptycyzm jest rzeczą zdrową. Jeślibym miał mówić o sobie, to muszę przyznać, że Chociaż czasami czuję podobnie jak ty — na ogół jestem absolutnie przekonany, że Bóg jest kimś realnym i bardzo ważnym. Jest to jednak sprawa, w której każdy sam podejmuje decyzję — a nasz zakon zapewnia wolność takiej decyzji. Nie narzucamy bowiem żadnej religii, żadnej też nie unikamy; przedstawiamy tylko fakty i materiały.

Ktoś zachichotał. Brat Paweł odnotował to z pewną konsternacją, bo nie chodziło mu przecież o wygrywanie na punkty dyskusji, ale o wyjaśnienie stanowiska zakonu. Gdzieś musiał pobłądzić, jako że słuchacze wydawali się bardziej zainteresowani jego widoczną bystrością umysłu niż jego filozofią.

Niezadowolony z obrotu spraw chłopak przepchnął się do przodu.

— Uważam, że błagujesz. Nie zależy ci na decydowaniu o czymkolwiek, chcesz postępować ściśle według wytycznych zakonu. Jesteś jak automat.

— Być może — zgodził się brat Paweł, poszukując usilnie sposobu, dzięki któremu mógłby zaspokoić gniew młodego człowieka i osiągnąć jednocześnie cele tej sesji. — Masz zapewne na myśli koncepcję predestynacji; w tym sensie wszyscy jesteśmy automatami, a możliwość decydowania jest iluzją. Jeśli w każdej sytuacji świat jest dokładnie zdeterminowany przez istniejące siły i ich układy, czyż możemy powiedzieć o sobie, że posiadamy wolną wolę? Mimo to wolę założyć...

— Cholerny z ciebie mięczak! — krzyknął chłopak. — Zgadzasz się ze wszystkim, co powiem! A co zrobisz, jeśli cię popchnę, o tak? — I wyrzucił gwałtownie obie ręce do przodu.

Ale brata Pawła już tam nie było. Uchylił się zwinnie w bok, zostawiając w miejscu tylko jedną, wyprostowaną nogę. O tę nogę potknął się chłopak i runął głową do przodu. Brat Paweł chwycił go jednak i opuścił powoli na podłogę, nie zwalniając wszakże uchwytu, którym trzymał jego ramię.

— Nigdy nie sygnalizuj zamiarów — powiedział łagodnie. — Nawet mięczak czy automat może uniknąć takiego ataku, a tobie będzie wstyd.

Chłopiec zaczął się podnosić; w oczach miał żądzę mordy. Sądził, że upadek był przypadkowy. Lecz brat Paweł nacisnął lekko dłoń, którą trzymał, dotknął jej wręcz jednym palcem i chłopak padł na podłogę pod wpływem nagłego bólu. Był całkowicie bezbronny, choć patrzącym mogło się wydawać, że tylko udaje. Bolesny chwyt przy użyciu jednego palca. Niemożliwe!

— Mała znajomość odpowiednich technik — wyjaśniał brat Paweł. — Ta tutaj to aikido, japońska technika walki. Jak widzicie, moja wiara w nią jest silniejsza niż niewiara tego młodego człowieka. Gdyby jednak ćwiczył tę formę walki, z łatwością odwróciłby sytuację, bo jest bardzo silny. Jak zauważyłem wcześniej, idea bez formy jest bezwartościowa.

Chcąc sprawdzić, czy uda się jeszcze uratować sytuację, puścił chłopca, a ten wstał szybko z twarzą czerwoną jak burak, ale nie zaatakował.

— Naukowe zastosowania w każdej dziedzinie mogą dać dobre rezultaty — ciągnął brat Paweł. — Czy to w aikido, czy w modlitwie... Zwrócił się do chłopca. — A teraz wypróbuj to na mnie.

— Co takiego? — Młodzieniec ponownie był kompletnie zaskoczony.

— Posłuchaj — powiedział brat Paweł. — Zaatakuję cię w ten sposób. — Uczynił krok do przodu z agresywnie uniesioną pięścią. — Ty jednak odwrócisz się ode mnie, stawiając lewą stopę w ten

sposób, jak to się robi przy elemencie judo zwanym padem *tai otoshi*... — Pokierował chłopcem i pomógł mu ustawić stopy. — Po czym chwycisz moją koszulę i wyrzucisz silnie swoją prawą stopę, o tak, dokładnie w moje golenie. Zauważ, jak twoje ciało samo pada we właściwy sposób. Stąd nazwa tego rzutu. — W tym miejscu praktycznie uniósł chłopca z siłą, która dla pozostałych była zupełnie niezauważalna, a którą chłopak odczuł ku swemu wielkiemu zdziwieniu. — A ponieważ ja rzucam się ostro do przodu, moje stopy zawadzają o twoją nogę, podczas gdy ty ciągniesz mnie za koszulę... — To nie była co prawda koszula, tylko luźny przód habitu, niemniej efekt był taki sam. — I ja tracę całkowicie równowagę, i walę się na ziemię. — Brat Paweł potknął się fachowo o wystawioną nogę i wylądował z hałasem na plecach i boku, uderzając dodatkowo lewą dłonią w słomianą matę, której w Stacji używano w miejsce dywanu.

Chłopak stał w osłupieniu, a zaniepokojona czwórka zerwała się na równe nogi. Nie wiedzieli, że brat Paweł był specjalistą od takich upadków, a hałas spowodowany był przede wszystkim uderzeniem dłoni o matę, co było efektem ubocznym, bo głównym zadaniem tej dłoni była amortyzacja lądowania. Muskularne i kościste ramiona i dłonie lepiej znoszą razy niż tors.

— A jeśli to nie wystarcza, stosujesz ucisk lub wykręcasz mi ramię, żeby utrzymać mnie w bezruchu. — Brat Paweł podniósł się, chłopiec zaś podskoczył, aby mu pomóc, myśląc, że może odniósł jakąś kontuzję. Jego wrogość zniknęła bez śladu.

— Czy studiowałeś toto tutaj? — zapytał z podziwem ciemnoskóry chłopiec.

— Tak, to również — powiedział brat Paweł. — Czasami członkowie zakonu muszą ujarzmić kogoś, kto jest chwilowo, że tak powiem, niedysponowany. Jesteśmy przeciwni używaniu broni, bo może uczynić poważną krzywdę drugiemu człowiekowi, natomiast metody samoobrony czy kontroli przy użyciu gołych rąk... — Wzruszył ramionami, uśmiechając się do byłego przeciwnika. — Jak widzicie, powalił mnie nie czyniąc mi krzywdy.

Odpowiedzieli mu wszyscy uśmiechem i wiedział, że znów wszystko jest tak jak powinno być. Bóg wskazał mu właściwe rozwiązanie.

— Naturalnie, nie musicie wstępować do Świętego Zakonu Wizyjnego, żeby się tego nauczyć. Wszystkie nasze kursy obrony, czytania, higieny, uprawiania roli, mechaniki, liczenia i tkania są dostępne dla każdego, kto ma niezbędne zainteresowania i zdolności. — Uśmiechnął się ponownie. — Damy się nawet namówić na jedną lub dwie sesje poświęcone rozumieniu religii.

Blondynka roześmiała się z uznaniem.

— Czy ty prowadzisz takie zajęcia, bracie?

Brat Paweł spuścił wzrok.

— Żałuję, ale brak mi subtelności i wiedzy, żeby poprowadzić tę konkretną lekcję. Pracuję jednak nad tym i mam nadzieję, że za kilka lat będę odpowiednio przygotowany. — Podniósł oczy. — Dziękuję wam wszystkim za uwagę na naszym wstępnym spotkaniu. Teraz oprowadzę was po Stacji. — Pociągnął nosem. — Najwyraźniej brat Piotr kończy już wypiek. Może przejdziemy przez kuchnię

i spróbujemy jego wyrobów. Według mnie nie ma nic lepszego od gorącego chleba z kamiennego pieca, z niewielką ilością ubitego w domu...

Przerwał mu jednak inny brat, który właśnie się pojawił.

— Matka przełożona życzy sobie natychmiast cię widzieć — wyszeptał. — Poprowadzę tę grupę zamiast ciebie.

Czyżby znów był w kłopotach?

— Dziękuję, bracie Samuelu.

I brat Paweł ruszył w kierunku wyjścia.

— Co chcielibyście zobaczyć najpierw? — zapytał brat Samuel.

Brat Paweł był już w drzwiach, kiedy usłyszał odpowiedź jednego z nich: *Pad tai otoshi*. — Uśmiechnął się do siebie, jako że biedny brat SmubcI znany był ze swego sztywnego kręgosłupa i nie posiadał najmniejsi wiedzy na temat wschodnich technik walki. Uratuje go zapewne smakowity zapach z piekarni, który już dotarł do wiecznie głodnych młodych ludzi.

W drodze do gabinetu przełożonej spoważniał i opanowały go wątpliwości. Czy postępował właściwie z tą grupą, czy był tylko zręczny i dowcipny, imponując im siłą fizyczną i retoryką, a nie wartościową informacją? Zaiste, niełatwo znaleźć odpowiedź!

Pamięć (Arcykapłanka)

Rok Pański 705: Córka angielskiego misjonarza wśród ludów germańskich była tak wielkiego umysłu i pobożności, że została wyniesiona na tron papieski jako Jan VII. Choć w męskim przebraniu, pozostała — niestety — kobietą, a tym samym naczyniem grzechu. Ulegając niskim popędom, dopuściła jednego z domowników do swego łoża, ponosząc skutki tego demonicznego spełnienia, jakie przypadają kobietom jej pokroju. W roku 707, w dzień Zielonych Świąt, podczas uroczystej procesji ulicami Rzymu, w otoczeniu całego duchowieństwa, gdzieś pomiędzy Koloseum a kościołem pod wezwaniem św. Klemensa, ta, którą później znano jako papieżycę Joannę, wydała na świat bastarda. W ten sposób papieżycza została zdemasowana jako nierządnicza w przebraniu duchownego. Cała ta sprawa została naturalnie zatuszowana przez Kościół i uznana za mit, ale są tacy, którzy ją pamiętają. Świadczy o tym karta Tarota oznaczona numerem Dwa, zatytułowana Papieżycza. Czyż nie odzwierciedla ona, mimo wszystko, prawdziwej natury tej płci?

Brat Paweł szedł obok przepysznych warzywników Stacji, kierując swe kroki do gabinetu przełożonej. Był piękny, słoneczny dzień. Miał głęboką nadzieję, że spisał się dobrze, mimo to podśpiewywał nerwowo przez całą drogę.

Wyraz twarzy przełożonej spowodował, że poczuł się jeszcze bardziej niepewnie. Zanosilo się na coś poważnego i obawiał się, że znów był pobłądził. Choć dyscyplina w zakonie była sprawą subtelną i trudno uchwytną, popełniał wiele błędów i wielokrotnie odprawiał pokutę.

Przełożona wstała, kiedy wszedł, i podeszła, żeby go przywitać.

— Miło cię widzieć, Pawle. Sprawileś się dobrze.

Uprzejme słowa! Więc tym razem nie chodzi o żadne jego partactwo.

— Staram się czynić, jak Pan nakazuje, matko Mario — powiedział skromnie, kryjąc ulgę.

— Aha — zgodziła się matka przełożona. Nie usiadła, lecz spacerowała nerwowo po gabinecie.

— Pawle, nadszedł krytyczny moment podjęcia decyzji i muszę zrobić coś, co mi się zupełnie nie podoba. Wybacz mi.

Niewątpliwie działo się coś poważnego! Przyglądał się jej badawczo, zwlekając z odpowiedzią i starając się znaleźć najwłaściwsze słowa.

Matka przełożona Maria była młodą kobietą, nie starszą od niego samego, a nieskazitelny habit zakonny nie był w stanie ukryć atrybutów jej kobiecości. Włosy miała ciemnobrązowe, z rozdziałkiem pośrodku i skrywające uszy, a mimo że spięte mocno z tyłu głowy — okalały jej gwarz

jak jakaś mistyczna aureola. Wyłożony, biały kołnierz obejmował delikatną, jasną szyję, a krzyż wisiał równiutko na piersiach. Szatę miała tak długą, że dotykała podłogi, skrywając stopy. Marszczyła się i falowała podczas ruchu. Wiedział, że przełożona osobowość ma łagodną i otwartą; surowa zaś jest tylko w ostateczności. Tak łatwo byłoby ją kochać jako piękną dziewczynę, gdyby nie to, że należało ją miłować jako odpowiedzialną kobietę i współtowarzyszkę. I naturalnie jako matkę przełożoną.

Najlepiej więc będzie pozwolić jej, żeby zrzuciła z siebie ciężar, jaki właśnie dźwiga, nie zważając na jej uczucia, które zresztą niełatwo urazić. Było oczywiste, iż wierzy, że to, co ma mu do przekazania, dostarczy mu zmartwień — i pewnie tak będzie — ale był pewien, że jest w stanie je znieść.

— Proszę mówić bez skrępowania, matko.

Przełożona podeszła do biurka i wzięła coś z niego, ruchem tak szybkim, że wydawało się, jakby się na to rzuciła.

— Proszę, weź to — powiedziała, podając mu niewielkie pudełko. Brat Paweł wyciągnął rękę i prawie musiał je wyrwać z jej trzęsącej się dłoni. Choć kompetencje i pozycja czyniły ją „matką”, czasami przypominała małą dziewczynkę, tak niepewną, że bywało to żenujące. Już kiedyś przyszło mu do głowy, że ktoś starszy byłby odpowiedniejszy na to stanowisko. Jednak stacji było wiele, a wiek nie był kryterium decydującym.

Zajrzał do pudełka. Zawierało talię kart Tarota — tę na swój sposób skondensowaną, symboliczną wiedzę wszystkich czasów.

Dopiero teraz usiadła, jakby pozbyła się ciężaru.

— Potasuj je, proszę.

Brat Paweł wyjął talię z pudełka i rozłożył kilka kart na blacie biurka. Ułożone były według porządku, poczynając od Głupca, to jest karty oznaczonej numerem 0, poprzez Maga, Arcykapłankę (zwaną również Papieżycą), Cesarzową, Cesarza i pozostałe z dwudziestu dwu Atu lub Wielkich Arkanów i z pięćdziesięciu sześciu kart w czterech kolorach lub Małych Arkanów. Kolory te to Pałki, Kielichy, Miecze i Monety, odpowiadające konwencjonalnym Treflom, Kierom, Pikom i Karom, lub takim żywiołom, jak Ogień, Woda, Powietrze i Ziemia. Każda karta miała piękny kolorowy rysunek. Brat Paweł, jak wszyscy bracia i siostry z zakonu, studiował symbolikę Tarota, cenił ją wysoko i posiadał dokładną wiedzę na temat poszczególnych kart. W uzyskaniu tej wiedzy pomocne było jedno z zalecanych przez zakon ćwiczeń: wziąć czarno-białe oryginały i pokolorować je zgodnie z instrukcją. Wydawać by się to mogło dziecinną zabawą; zadziwiający był wszakże fakt, jak wiele dało się odkryć podczas tej rzekomo prostej czynności. Kolory bowiem, podobnie do liczb i obrazów, służą konkretnym celom symbolicznym.

Podczas gdy rozmyślał, jego palce przerzucały karty z biegłością nie pasującą zupełnie do jego ascetycznego powołania. Nie zawsze wszak był bratem, ale jak Paweł apostoł, któremu zawdzięczał swoje zakonne imię, pozostawił za sobą awanturnicze życie. Tylko w akcie skruchy rozważał błędy

przeszłości. Miał nadzieję, że kiedyś — kiedy będzie już godzin — zapieczętuje na zawsze tę puszkę Pandory.

Potasował karty i zwrócił talię przełożonej.

— Czy zastanawiałeś się na tym, czego mogę od ciebie oczekiwać? — zapytała przełożona, trzymając talię w delikatnych dłoniach.

Brat Paweł twierdząco skłonił głowę. Było to niewinne kłamstewko, ponieważ przez cały czas jego myśli krążyły niesfornie wokół tej talii. Naturalnie, był ciekaw, dlaczego tu się znalazł; w końcu nie wzywano by go w środku zajęć tylko na pogawędkę! Niemniej, kłamstewko, nawet niewinne, było kłamstwem.

— Spróbujmy powróżyc — powiedziała.

Jakże szybko zapłacił za kłamstwo. Jej zamiary powinny były być dla niego oczywiste już wtedy, kiedy dawała mu talię; jak mógł przeoczyć coś takiego.

— Obawiam się, że ja...

— Mówię zupełnie poważnie. Tarot jest właściwym sposobem podejścia do problemu — szczególnie w tym przypadku. Niech ta karta reprezentuje ciebie.

Odkryła pierwszą kartę, uważając, by góra karty była na górze, a dół na dole, co było szczególnie istotnym, podczas gdy brat Paweł usiłował ukryć swoje podniecenie. Popęłnił głupi błąd, który za chwilę wprawi ich oboje w zakłopotanie. Starał się wymyślić jakiś sensowny pretekst, żeby tylko przerwać wróżenie, ale jedyne, co przychodziło mu do głowy, to bluźniercza anegdota o papieżu Joannie, personifikacji „wszetecznicy babilońskiej”, którym to epitetem różnowiercy, zwłaszcza purytanie, obdarzali Kościół katolicki. Tego rodzaju myśli były czymś skandalicznym w obecności matki przełożonej Marii, która była kryształowo czysta. Chyba że wezwwała go tutaj, żeby... Nie, to niemożliwe! Za tak niegodną myśl sam sobie będzie musiał wyznaczyć pokutę!

Karta była Asem Pałek i przedstawiała wynurzającą się z chmury rękę trzymającą pałkę, z której wyrastały świeże listki.

— Zadziwiające — zauważyła przełożona. — Oznacza to początek wielkiej, nowej przygody.

Wielka, nowa przygoda — z nią? Całą siłą woli stłumił tę myśl, tę diabelsko kuszącą myśl! W tej chwili wolałby, żeby miała osiemdziesiąt lat i wielką owłosioną brodawkę na nosie. Wówczas jego myśli byłyby czyste.

— Chciałbym wyjaśnić...

— Weźmy następną. — Wzięła następną kartę z wierzchu talii. Czowała się teraz swobodniej; karty pomagały jej się wysłowić. — Tę skrzyżujemy z twoją — powiedziała, kładąc ją na pierwszej tak, żeby tworzyły krzyż.

Boże, miej litość! — myślał gorączkowo. Zdziwiona przyglądała się drugiej karcie.

— As Kielichów!

— Widzisz, ja... ja... — jąkał się brat Paweł.

Przełożona zmarszczyła brwi. Była jedną z tych kobiet, które skonsternowane wyglądają jeszcze milej niż kiedy są zadowolone, o ile coś takiego jest w ogóle możliwe. Milcząc wyłożyła następną kartę. Był to As Mieczów. Potem czwartą: Asa Monet. W każdym przypadku na obrazku była wynurzająca się z chmur ręka, w której tkwił odpowiedni przedmiot.

Jej szarozielone oczy patrzyły na niego z wyrzutem.

— Nie wiedziałem, co zamierzasz — wyjaśniał brat Paweł niezbyt przekonująco. — Ja... stare nałogi... nie chciałem cię wprawić w zakłopotanie.

Bez wątpienia w piekle Dantego był specjalny krąg dla takich jak on! Matka Maria odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się.

— Zapomniałam, że byłeś kiedyś szulerem. — Zerknęła na cztery asy i skrzywiła się. — Wygląda na to, że ciągle jesteś.

— Na emeryturze — powiedział szybko brat Paweł. — Nawrócony.

— Mam nadzieję. — Zebrała karty.

— Potasuję je jeszcze raz, tym razem właściwie — zaproponował.

Machnęła przecząco dłonią.

— Uczymy się na błędach. — Ale lody zostały przełamane. — Pawle, nieważne jest jak potasowałeś, o ile tylko sformułowałeś pytanie właściwie.

A on oczywiście nie sformułował żadnego pytania; głowę miał pełną czczych pomysłów związanych z tą talią. Papieżyca Joanna i tym podobne. Jego twarz była skorupą pokrywającą pustkę umysłu.

— Rzeczywiście, rozpoczniesz wkrótce nadzwyczajną podróż — jeśli się zgodzisz.

Nagle uświadomił sobie, że jego pokuta będzie polegała na przyjęciu misji, niezależnie od jej uciążliwości. Upadająca cywilizacja stwarzała wiele nieprzyjemnych sytuacji.

— Pojadę tam, gdzie zostaną skierowany — powiedział brat Paweł.

— Nie tym razem. Ani ja, ani zakon nie może cię wysłać. Musisz się zgłosić na ochotnika. Ponieważ dobrze cię znam, wiem, że to uczynisz, i dlatego czuję się odpowiedzialna. — Popatrzyła na sufit z nie ociosanych bali. Wiedział, że odmawia krótką, cichą modlitwę. — Boję się o ciebie,

Pawle, i moja dusza cierpi.

Wieczna kobieta! Sprawa misji dotarła tu na dół poprzez hierarchię zakonu, a ona się martwi, bo on, być może, ją zaakceptuje. To nie była czysta retoryka z jej strony; w tym momencie jej jedna dłoń ścisnęła lekko talię Tarota, druga zaś dotykała krzyża na piersiach. Nigdy nie widział jej w takim napięciu. Wyglądało to tak, jakby ona miała poczucie winy, nie on!

— Wszyscy idziemy tam, gdzie jesteśmy potrzebni — powiedział.

— Jednak niektóre potrzeby są silniejsze i ważniejsze od innych — wyszeptała przełożona, patrząc mu w oczy, z twarzą śmiertelnie poważną. Co ona chce przez to powiedzieć? — Bracie, posyłam cię do Pieła.

Nie uśmiechnął się. Nigdy przedtem nie przemawiała takim językiem! Nie oznaczało to także przekleństwa; nigdy by się tak nie zachowała. Kiedy wymawiała słowo „Pieła”, dało się słyszeć, że zaczyna się ono dużą literą, tak jak w przypadku Tarota; miała więc na myśli siedlisko Diabła.

— Mam nadzieję, że w przenośni?

— Dosłownie, Pawle. I powrót będzie trudniejszy niż droga w tamtą stronę.

— Niewątpliwie. Szczególnie, jeśli będzie trzeba najpierw umrzeć. Czyżby chciał być dowcipny, sugerując, że mógłby powrócić do życia,

jak Jezus? Przecież nie miał takiego zamiaru! Nie uśmiechnęła się.

— Nie, będziesz jak Dante, będziesz żywym zwiedzającym. Być może zobaczysz też Niebo.

— Na to nie jestem jeszcze przygotowany.

Tym razem był bardzo poważny. Niebo napawało go większym lękiem niż Pieła. To, co opisywała, musi być czymś rzeczywiście wyjątkowym!

Przełożona potrząsnęła nerwowo głową, odsłaniając przy tym jedno ucho, jakby kawałek zakazanego szczegółu anatomicznego.

— Znalazłam się jak w pułapce pomiędzy tym, co właściwe, i tym, co niewłaściwe, a nie wiem, które jest które. — Odwróciła się od niego; nie zauważył przedtem, że miała obrotowy fotel. — Pawle, jestem zobowiązana przedstawić ci to jako zaplanowaną misję — ale jako siostra, jako przyjaciel, muszę nalegać, żebyś odmówił. Nie chodzi tylko o to, że smutkiem napawa mnie myśl, iż mogłabym cię już nigdy nie ujrzeć — a boję się tego, choć bez wyraźnego powodu — ale o to, że misja ta to prawdziwy horror. Horror!

— Teraz dopiero jestem zaintrygowany — powiedział brat Paweł, którego obawy słabły w tym czasie, kiedy jej wyraźnie rosły. — Czy mógłbym dowiedzieć się czegoś więcej?

— Wszystkiego, co tylko jest nam wiadome — powiedziała. — Poproszono nas, abyśmy posłali

naszego najbardziej kompetentnego przedstawiciela na planetę Tarot w celu stwierdzenia autentyczności i wiarygodności tamtejszego bóstwa. Mężczyznę silnego, niezbyt starego, nie fanatyka, z otwartym umysłem i dużym poczuciem obiektywizmu. Wydaje się, że jesteś takim mężczyzną.

Brat Paweł zignorował komplement, wiedząc, że był nie zamierzony.

— Planetę Tarot?

— Jak wiesz, Ziemia skolonizowała około tysiąca nadających się do zamieszkania światów w bieżącym programie teleportacji. Jeden z tych światów nazywa się Tarot i występuje tam pewien problem.

— Powiedziałaś: Piekło. O ile dobrze rozumiem, nie wysyła się kolonistów w warunki ekstremalne. Jeśli planeta jest tak piekielna...

— Nie powiedziałam, że jest piekielna. Powiedziałam Piekło w sensie dosłownym.

— Aha, już rozumiem. Wstępne badania wykazały, że nadaje się do zamieszkania...

— Inspektorzy najprawdopodobniej przesadzili. Jak mogli uznać tę konkretną planetę...! — Rozłożyła ręce. — Przecież sama jej nazwa...

— O właśnie, trochę mnie to zadziwia. Większość tych nazw uwzględnia gusta szerokiej publiczności. „Konkwista”, „Błonia”, „Zefir” — jakże mogli wpaść na taką nazwę jak „Tarot”?

— Wygląda na to, że jeden z członków grupy badawczej miał ze sobą talię Tarota. I kiedy czekał w bazie na powrót współtowarzyszy, wyłożył sobie karty do wróżenia. I...

Przerwała.

— I coś się wydarzyło.

— O tak. On... karta... ilustracja jednej z kart pojawiła się w rzeczywistości. W formie trójwymiarowej animacji.

Zainteresowanie brata Pawła wyraźnie wzrosło. Posiadał bowiem spore doświadczenie w sztuczkach kuglarskich i zjawisku halucynacji.

— Wypił coś mocniejszego?

Potrząsnęła głową.

— Twierdzą, że nie. Żadnego alkoholu, żadnych narkotyków, żadnych grzybów, kleju czy wyciągu z sałaty. Dlatego zresztą zabawiał się kartami. Pozostali członkowie grupy też widzieli tę animację.

— Wobec tego to nie halucynacja. Może jakaś sztuczka?

— Nie. Sztuczka też nie.

— Która to była karta?

— Dziesiątka Mieczów.

Brat Paweł powstrzymał się od zagwizdania, zadowolając się poważnym skinieniem głowy.

— Oznaczająca tragedię! Czy obraz był adekwatny?

— O tak. Dziesięć długich mieczów przebijających nieboszczyka. Wszystkie dość solidne.

— To musiało wstrząsnąć obecnymi!

— Wstrząsnęło. Wyciągnęli miecze i obrócili ciało twarzą do góry. Był to jakiś mężczyzna, nikt, kogo by znali. A z grupy nikogo nie brakowała. Pochowali go, miecze zatrzymali i złożyli pisemny raport.

— Dowody materialne. Mądrze.

— Niezbyt. Kiedy przybyli na Ziemię, przedmioty, o których twierdzili, że były mieczami, okazały się po prostu kawałkami kamienia podobnymi do stalaktytów z jakiejś jaskini. Druga grupa, wysłana w celu zweryfikowania tej całej historii, wykopała ciało — i znalazła padlinę tamtejszego zwierzęcia.

— Zbiorowa halucynacja? — sugerował brat Paweł. — Zabili jakieś zwierzę, sądząc, że zabili człowieka? Z powodu zmęczenia i poczucia winy, a może dlatego, że cała sytuacja przypominała ilustrację z tej konkretnej karty? Stalaktyty rzeczywiście trochę przypominają miecze.

— Taki był oficjalny werdykt. — Przerwała na chwilę, po czym ciągnęła dalej. — Druga grupa przywiozła ze sobą karty Tarota i rozegrała szereg gier, tym razem służbowo, ale zjawisko się nie powtórzyło. Najwyraźniej pierwsza grupa była przepracowana i niewyspana, a druga świeża i wypoczęta. Nadano więc planecie imię Tarot i uznano za nadającą się do kolonizacji.

— Tak po prostu? — spytał brat Paweł, unosząc jedną brew.

— Tak po prostu — odpowiedziała matka przełożona z kwaśną miną, zapominając się przy tym tak dalece, że również uniosła jedną brew. — Mieli pewną liczbę planet do przebadania, nie mogli sobie pozwolić na marnowanie czasu w pogoni, jak to sformułowali, za dzikimi duchami.

— Ileż można stracić przez pośpiech! — zauważył brat Paweł. Odczuwał rosnące podniecenie, a zarazem zadowolenie, że coś takiego w ogóle się wydarzyło. Tajemnica? Dzikie duchy? Niewątpliwie chciałby coś takiego ujrzeć na własne oczy!

— Kolonizacja przebiegała normalnie — kontynuowała. — Przewieziono milion osób w ciągu czterdziestu dni, rozmieszczono w obozowiskach wyposażonych w sprzęt niezbędny na terenach dziewiczych i zostawiono samych sobie. Kontakt utrzymywano za pomocą promu kursującego raz w

miesiącu. Kolonizacja to — zmarszczyła brwi z dezaprobatą — coś takiego, jak wrzucenie nie umiejącego pływać na głęboką wodę.

— Bez wątpienia — zgodził się brat Paweł. — Jednak większość emigrantów z chęcią podejmuje to ryzyko, a prawie wszyscy wydają się nieźle pływać.

— Tak. Nie jest to sposób, jaki ja bym wybrała — ale przecież nie miałam wpływu na decyzje z tym związane. W każdym razie koloniści osiedlili się — i zaczęła się zabawa.

— Więcej animacji z kart Tarota?

— Nie, raczej nie. Były to animacje Nieba — i Piekła. Mam na myśli potoczne rozumienie Bram Niebiańskich z latającymi aniołami i harfistami siedzącymi na chmurkach. A z drugiej strony — ogniste pieczary z czerwonymi, ogoniastymi diabłami wymachującymi widłami.

— Najwyraźniej dosłowne przedstawienie pewnych wyobrażeń religijnych — powiedział brat Paweł. — Wielu wierzących posiada bardzo materialne poglądy na sprawy niematerialne.

— To prawda. Ten nowo skolonizowany świat wydaje się zawierać wyjątkową koncentrację schizmatyków wszelkich odcieni. Tutaj jednak mieliśmy do czynienia z projekcjami materialnymi. — Wysunęła szufladę biurka i wyjęła kilka fotografii. — Sceptycy wykonali zdjęcia — oto i one. — Rozłożyła je na blacie. Przyglądał się im uważnie.

— Nie mamy tu do czynienia z — że tak powiem — fotografią trikową? Bo rzeczywiście robią wrażenie autentycznych!

— Zdjęcia trikowe wykluczono. Ale to jeszcze nie wszystko. Koloniści utworzyli orkiestrę — w każdej przypadkowej próbcie ludności rzędu miliona znajdują się przeróżne zawody i umiejętności — która grała wiele utworów klasycznych. Pewnego dnia wykonali poemat symfoniczny Saint-Saens'a *Danse macabre* i...

— Och, nie. Chyba nie tańczące szkielety!

— Niestety, tak. Cała orkiestra wpadła w panikę i dwóch muzyków zatratowano na śmierć. Z tego, co wiem, po tym wydarzeniu orkiestrę rozwiązano i do tej pory nie utworzono nowej. Kiedy ci rozważniejsi i mniej nerwowi przeprowadzili śledztwo, nie znaleźli najmniejszego śladu po chodzących szkieletach.

— Zaczynam rozumieć — powiedział brat Paweł, odczuwając niezbyt pobożną radość spowodowaną możliwością stawienia czoła wyzwaniu. — Na planecie Tarot straszny.

— Można to i tak wyrazić — zgodziła się. — Traktujemy jednak całą sprawę poważniej. — Poczekała aż jego twarz przybierze właściwy wyraz powagi. — Większość duchów niezbyt nadaje się do filmu. — Z szuflady biurka wyjęła szpulę.

Jej znaczenie natychmiast dotarło do brata Pawła.

— Film z tymi szkieletami?

— Zgadza się. Wygląda na to, że jeden z kolonistów filmował koncert. Sądził, że szkielety są częścią widowiska, dopóki nie wybuchła panika.

— To chciałbym zobaczyć!

— Zobaczysz.

Przełożona nastawiła projektor i pokręciła korbką. Obraz zamigotał na ścianie po przeciwnej stronie pokoju.

Był to rzeczywiście taniec śmierci. Najpierw widać było tylko muzyków, grających na surowych, miejscowej roboty skrzypcach; potem na scenę wtargnęły szkielety, tańcząc w takt muzyki. Film był oczywiście bez dźwięku; nie pozwalał na to prymitywny projektor na korbkę. Brat Paweł był jednak w stanie dostrzec, jak grający oddychają, ruchy ich dłoni na instrumentach i gesty dyrygenta; rytm był wyraźny. Jeden ze szkieletów przemknął blisko kamery, przesłaniając na moment orkiestrę swoimi białymi zębami. Brat Paweł przyglądał się bacznie, usiłując stwierdzić, jakiego rodzaju połączenia stawowe posiadają jego kości; trudno było uwierzyć, że może się poruszać bez mięśni, ścięgien czy drutów. A jednak poruszały się wszystkie. Potem zaczął się tumult; obraz przekrzywił się i zniknął.

— Z tego, co wiem, emigrantów obowiązywał limit jednego kilograma, jeśli chodzi o rzeczy osobiste — zauważył brat Paweł. — Skąd więc tak skomplikowane urządzenie, jak kamera filmowa?

— Bywają niewielkie i lekkie rzeczy — powiedziała przełożona. — W tym jednak przypadku dwóch emigrantów połączyło swoje przydziały wagowe, a także pomogło im troje członków rodziny, rozdzielając między siebie części projektora, takiego jak ten tutaj. Zrobili to raczej z potrzeby niż jakiejś filozofii, niemniej wykazali się sporą pomysłowością. A teraz widzimy, że był to także szczęśliwy zbieg okoliczności. Przecież nikt na Ziemi nie uwierzyłby w tę całą historię. Film zaś jest dowodem, którego nie można zignorować: coś się dzieje na planecie Tarot, coś niezwykłego. I władze chcą wiedzieć, co to takiego.

— Ale dlaczego zwracają się z tym do nas? — spytał brat Paweł. — Należałoby się spodziewać, że wyślą naukowców z wyrafinowanym sprzętem.

Jej nieświadomy ruch dłonią zdawał się mówić: „cierpliwości”.

— Wysłali. Jednak zjawisko wydaje się mieć charakter okresowy. Okresowość, nieregularność — przekleństwo mechaników i badaczy zjawisk psychicznych! Jak można zrozumieć zjawisko, które występuje tylko podczas nieobecności badającego?

— To znaczy, że eksperci nic nie odkryli? — zapytał.

— Absolutnie nic. Przeprowadzili także wywiady z kolonistami i spisali katalog wydarzeń. Stwierdzili również, że zjawiska zachodzą tylko w pewnych miejscach i o pewnych porach — na ogół. I tylko w obecności tych, którzy w nie wierzą.

— To brzmi znajomo — powiedział brat Paweł. — Wierzący doświadczają pewnych przeżyć; niewierzący zaś nie. Tak bywa z wszelką wiarą.

Przypomniała mu się dyskusja z chłopcami i dziewczętami podczas dzisiejszej lekcji: jego wiara była silniejsza niż ich brak wiary.

— Dokładnie tak. Tyle że sceptycy z tej kolonii także zobaczyli na własne oczy niektóre zjawiska. I uwierzyli.

Tak jak Szaweł z Tarsu ujrzał wielkość Boga na drodze do Damaszku i nawrócił się na chrześcijaństwo. Jak chłopcy z osady, którzy byli świadkami potęgi płynącej ze znajomości wschodnich technik walki.

— W co uwierzyli?

— W to, co ujrzeli. Może i byli sceptykami, kiedy rozpoczął się „danse macabre”, jednak namacalność szkieletów, ich materialność sprawiła, że nie ostał się ani jeden. Zresztą nastąpiły dalsze zjawiska, dalsze animacje. W jednym przypadku pojawił się Bóg — a przynajmniej krzew gorejący, który przemawiał całkiem wyraźnie, twierdząc, że jest Bogiem.

— Zarozumiały krzew! Wygląda mi to na przypadek odpowiedni dla księży, rabinów czy innych świętych mężów.

— Właśnie oni następni przeprowadzali badania. Udali się wprost do rejonów, gdzie rzeczony zjawiska występują. — Przerwała, a brat Paweł nie poganiał jej pytaniami. Dłuższą chwilę patrzyła na blat biurka, jakby badała każdą szparkę w jego włóknistej powierzchni, po czym na nowo podjęła: — To była klęska. Dwóch zrezygnowało ze stanu duchownego, dwóch trzeba było zatrzymać pod kluczem z powodu zaburzeń psychicznych, a dwóch zmarło. Wydaje się, że mieli do czynienia raczej z Piekłem, a nie z Niebem. I w ten oto sposób zadanie to trafiło do nas.

— Czy te zjawy zabijały w sensie dosłownym? Odbierały ludziom życie? Czy śmierć nie nastąpiła w wyniku stratowania lub innych powodów czysto fizycznych?

— Te zjawy, widma, jakkolwiek by nazwać to, czego ci ludzie doświadczali, rzeczywiście niszczyły umysły i odbierały ludziom życie. — Zwróciła oczy na brata Pawła, oczy tak pełne troski o niego, że prawie promieniejące. Zdawał sobie sprawę, że podobnie patrzyłaby na okaleczonego grzechotnika lub podarty manuskrypt; to właśnie czyniło ją piękną. — Teraz wiesz, czego się boję. Czy jesteś gotów iść do Piekła?

Gotów? Był pełen entuzjazmu!

— Brzmi to fascynująco. Na czym dokładnie polegałaby moja misja? Na egzorcyzmowaniu Diabła Tarota?

— Nie. Obawiam się, że nie posiadasz takiej mocy, ja zresztą też i nikt z naszego zakonu. — Uśmiechnęła się. — Święci mężowie, którzy ponieśli taką porażkę, byli wybitnymi, żarliwymi ludźmi, wielkimi uczonymi, a wiara ich była prawdziwa i sprawdzona. Dziwne jest dla mnie to, że

zostali aż tak doświadczeni, podczas gdy większość kolonistów, będących przecież przypadkową próbką mieszkańców Ziemi, uniknęła podobnego losu.

Brat Paweł skinął głową.

— Być może nie ma w tym nic dziwnego. Prawdopodobnie duże doświadczenie i silna wiara to tylko obciążenia w tej konkretnej sytuacji.

— Być może. Faktem jest, że ci, w których życiu religia zajmuje poczesne miejsce, wywołują najsilniejsze reakcje ze strony planety Tarot. Ci zaś, których najważniejszym zmartwieniem jest napełnienie brzucha, po prostu tylko tym się zajmują.

Tak się przypadkowo złożyło, iż właśnie w tym momencie silna woń gorącego chleba przepłynęła przez pokój, powodując, że ślina napłynęła do ust brata Pawła.

— Czyżbyś sugerowała, że napełnienie brzucha jest także moim jedynym zmartwieniem? — spytał z uśmiechem. Teraz, kiedy już wiedział mniej więcej, na czym ma polegać jego misja, opuściło go napięcie.

— Znasz mnie zbyt dobrze, żeby mnie o to podejrzewać, Pawle! Ale nie jesteś teologiem. Twoje doświadczenie jest szersze i dotyczy wielu aspektów ludzkiej kondycji. Jest także większe niż większości ludzi. Ty znasz wagę modlitwy — i instalacji rur. Teologii — i hazardu.

— To bardzo trafne paralele.

— Dziękuję. Jesteś świadom rzeczy, których nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić. — Brat Paweł miał głęboką nadzieję, że tak właśnie jest; gdyby bowiem podejrzewała jaka mieszanka różnorodnych myśli kotłuje się w jego mózgu, byłaby wstrząśnięta. Przypomniała mu się zabawa z dzieciństwa, gra, w którą grywał z przyjaciółmi, zwana Niebo lub Piekło. Losowo wybierano dziewczynkę i chłopca, i zamykano ich w ciemnej szafie na ubrania. Przez pełną minutę chłopiec miał albo całować dziewczynkę (Niebo) lub spuszczać jej lanie (Piekło). Kiedyś przyśniło się bratu Pawłowi, że zamknął się z matką przełożoną w takiej szafie. Obudził się przerażony, zlany zimnym potem. Obecnie samo wspomnienie tego snu było mu niemiłe. Dopóki nie wymaże go z pamięci całkowicie, nie będzie zasługiwał na żaden awans czy wyróżnienie w Świętym Zakonie Wizyjnym. Ale ona była nieświadoma tej otchłani, jaka w nim była, i za tę jej nieświadomość był wdzięczny Bogu.

— Dlatego sędzę, że nie skoncentrujesz się wyłącznie na religijnych implikacjach tego problemu — kontynuowała pogodnie. — Prawdopodobnie zajmiesz się także troskami samych kolonistów. Być może odkryjesz nie tylko to, co się faktycznie przydarzyło duchownym, ale również ustalisz, dlaczego to samo nie stało się udziałem kolonistów i dlaczego wiara niesie ze sobą niebezpieczeństwo, jest obciążeniem. Ale jeszcze ważniejsze jest...

— Chyba się domyślam — wyszeptał brat Paweł.

— Chcemy się ostatecznie upewnić, czy to zjawisko jest w swojej naturze materialne czy

duchowe. Do tej pory zaobserwowano tylko jego obrzeża i wydaje się, że posiada ono elementy obydwu pierwiastków. Jedno z wyjaśnień powiada, że służy ono do sprawdzenia człowieka, jego dojrzałości; że Bóg, by tak rzec, zdecydował się objawić człowiekowi w tak wyzywający sposób. Nie chcemy zignorować tego wyzwania, a już na pewno nie chcemy ryzykować ponownego ukrzyżowania Chrystusa! Ale nie możemy także narazić się na śmieszność, traktując zbyt poważnie zjawisko, które być może posiada całkiem doczesne, ziemskie korzenie.

— Bóg ma całkiem doczesne, ziemskie korzenie — wskazał brat Paweł, bez żadnej intencji negowania jej wywodu.

— Ale posiada też niewątpliwie duchowe gałęzie. Jedna bez drugich...

— Tak, doceniam subtelność problemu.

— Jeśli to zjawisko rzeczywiście wywodzi się od Boga, musimy je rozpoznać i odpowiedzieć na wezwanie — powiedziała matka przełożona. — Jeśli jest czysto materialne, chcielibyśmy dokładnie wiedzieć, czym jest, jak działa i dlaczego religia jest narażona na jego ciosy. Na pewno niełatwo będzie tego dokonać. — Zamilkła na chwilę. — Dlaczego jestem tak pełna entuzjazmu Pawle, a zarazem pełna obaw? Przekonywałam cię, żebyś nie jechał i w tym samym czasie...

Brat Paweł uśmiechnął się.

— Boisz się, że zawiodę. Lub że faktycznie znajdę tam Boga. — Obie możliwości byłyby żenujące, bo jest oczywiste, że Bóg Tarota to Bóg Ziemi. Bóg Człowieka.

— Tak — powiedziała niepewnie. — Czyż po tych wszystkich wiekach wiary potrafimy stawić czoło rzeczywistości? Być może Bóg jest inny niż oczekujemy, a mimo to czy moglibyśmy Go odrzucić? Musimy Go poznać! Przeraza mnie to! Krótko mówiąc...

— Krótko mówiąc — dokończył brat Paweł — chcesz, abym podążył do Piekła — i sprawdził, czy nie ma tam Boga.

A

Nieznane (Duch)

Zagadka świadomości od dawna wprawiała w zakłopotanie ludzkie umysły. Czym jest? Gdzie się znajduje? Nie potrafimy jej zdefiniować; wiemy tylko, że ją posiadamy. Arthur Koestler bardzo interesująco przedstawia ten problem w swojej książce Duch w Maszynie, gdzie przyrównuje świadomość do lustra, w którym człowiek ogląda swoje działania, lub do sali lustrzanej powtarzającej jego odbicie w nieskończoność. Powiada też, że najlepsi uczeni posiadają świadomość nieskończoności, wyczucie tajemnicy, ponieważ wiedzą, że zjawiska, które obserwujemy, są przezroczyste dla innego poziomu rzeczywistości. Nawet najprostsze maszyny wydają się mieć ducha, ślady nieskończoności, czegoś, czego do końca pojąć się nie da. Nieznane przenika nasze istnienie i być może jest częścią tego, co w ogóle czyni egzystencję znośną.

Stacja Świętego Zakonu Wizyjnego znajdowała się, co właśnie brat Paweł odczuwał dotkliwie, na całkowitym odludziu. Nic zawsze tak było. Kiedyś był to teren getta. W ciągu pięciu lat programu teleportacji, oficjalnie nazywanego TP, a popularnie Tempo, kilka miliardów ludzi wyekspediowano do około tysiąca kolonizowanych planet. Było to tempo zdolne wyludnić ten świat w bardzo krótkim czasie.

Nie było jednak polityką Świętego Zakonu Wizyjnego ingerowanie w sprawy świeckie. Brat Paweł mógł sobie prywatnie myśleć, co chciał, natomiast nie wolno mu było narzucać swoich politycznych czy ekonomicznych opinii innym. To samo zresztą dotyczyło jego poglądów religijnych.

Wędrował więc teraz przez prawdziwe pustkowia otaczające Stację, obok sterczących w niebo stalowych szkieletów zrujnowanych wieżowców, przypominających obecnie resztki dinozaurów. Przy zimowych śniegach wrażenie nie było tak silne; kości były przykryte białym puchem jak kocem. Ale teraz było lato. Celem tej wędrówki było zanikające, kurczące się stale centrum cywilizacji technologicznej planety. Krzewy stawały się coraz wyższe i bujniejsze, z upływem kilometrów, jak gdyby ich wzrost dotrzymywał kroku postępowi, po czym ustąpiły miejsca niewielkim skupiskom siedzib ludzkich, podobnym wioskom średniowiecznym. Każde takie skupisko ludności otaczało jakiś ciągle jeszcze funkcjonujący bastion technologii: małą elektrownię wodną, opalaną drewnem cegielnię lub służący przeróżnym potrzebom wiatrak.

Małe osady — pomyślał. Społeczeństwo rozpadające się na składniki pierwotne pod naciskiem spowodowanym brakiem energii. Elektronika była praktycznie martwa tam, gdzie brakowało elektryczności; przemysł samochodowy nie mógł istnieć tam, gdzie nie było benzyny. Zwierzęta pociągowe i rzemiosło szybko odzyskały dawne znaczenie, lecz brat Paweł był daleki od nazywania tej sytuacji złem. Zanieczyszczenie środowiska należało do przeszłości, z wyjątkiem terenów, gdzie wydobywano surowce mineralne; dzieci nie znały pojęcia inflacji, skoro wymiana towarów była sposobem prowadzenia handlu. Życie było trudniejsze, ale zdrowsze, mimo regresu w technologii

medycznej. Wzmocnione poczucie wspólnoty było błogosławieństwem; sąsiad był bardziej skłonny do pomocy sąsiadowi, a ci, którym to nie odpowiadało, odeszli. Na odległość wielu lat świetlnych.

Mimo to zbliżał się do osady bardzo ostrożnie. Zdarzali się bowiem złoczyńcy, którzy potrafili być okrutni dla obcych. Brat Paweł był człowiekiem pokoju, co nie oznaczało, że był słabeuszem lub głupcem. Zawsze w pobliżu ludzkich osad wkładał swój habit zakonny, aby go brano za tego, kim był. Bronił się będzie słowami i uśmiechem tam, gdzie to możliwe, a kiedy wszystko zawiedzie — skorzysta z siły fizycznej.

Choć był bratem w zakonie o niewątpliwie religijnych konotacjach, nie oczekiwał ani nie otrzymywał z tego powodu żadnych korzyści. Wykonywał przeróżne usługi za wyżywienie i nocleg; zawsze istniało duże zapotrzebowanie na kogoś umiającego się obchodzić z urządzeniami mechanicznymi. Dostarczał także najnowszych wiadomości, uzyskując w zamian wskazówki dotyczące dróg i miejscowych warunków. Drogę do TP znali wszyscy. Niektóre tereny zamieszkałe były przez autentycznie prymitywne plemiona, same siebie nazywające Saksonami, Hunami, Scytami, Celtami i Piktami, pod wieloma względami przypominające swoje historyczne pierwowzory. Saksonowie byli Amerykanami pochodzenia północnoeuropejskiego; Hunowie Amerykanami z Europy środkowej z domieszką orientálną; Scytowie wydawali się potomkami fanów powieści przygodowych typu fantasy. Wiedział, że w innych częściach świata zachodził podobny proces; nikogo nie dziwili Inkowie w Azji. Napotkał też duże plemię, zwane Songhoy, którego korzenie sięgały Czarnej Afryki w wieku dziesiątym. Zamieszkiwali, jak na ironię, pustkowia pokryte czarnymi kraterami utworzonymi w wyniku rabunkowej eksploatacji węgla w kopalniach odkrywkowych. Kiedyś tego węgla było tyle, że starczyłoby go dla całego świata, teraz zniknął zupełnie.

Święty Zakon Wizyjny, zawsze gościnnie dla pokojowo nastawionych podróżnych, nieraz przyjmował w swych progach szamanów, druidów i innych przedstawicieli stanu kapłańskiego i pomagał im, nigdy nie poddając w wątpliwość ich wiary czy autorytetu religijnego. Czarownik Voodoo nie tylko znajdował gościnę w Stacji, lecz także rozmówców traktujących go z pełną powagą i znających dość niezłe jego praktyki magiczne. Pozytywne skutki takiej polityki dotyczyły teraz bezpośrednio brata Pawła. Mały srebrny krzyż, który nosił na piersiach, stał się potężnym talizmanem wszędzie tam, gdzie panowała religia — a zasięg tego panowania rozszerzał się z roku na rok. Wpływy polityczne sięgały tylko tak daleko, jak zbrojne ramię miejscowego watażki; władza duchowa sięgała tam, dokąd dotarła wiara i religia. Władza laicka ustępowała władzy duchowej, jak w średniowieczu. Tak więc brat Paweł zbierał owoce wyrosłe z nasion zasianych przez jego własny zakon. Posiadał on nadto przekonywającą wiedzę na temat kultur czarnych społeczności zarówno ze starożytnej Afryki, jak i współczesnej mu Ameryki. Przeto radził sobie doskonale.

Po wielu dniach młej, pieszej wędrówki dotarł do terenów cywilizacji dwudziestowiecznej. Były one zelektryfikowane, posiadały radio, telefony i transport samochodowy. Część drogi przebył w pociągu ciągniętym przez opalany drewnem parowóz; lokomotywy dieslowskie i opalane węglem wyszły już z użytku. Do produkcji energii elektrycznej wykorzystywano słońce, a nie paliwa kopalne, ponieważ TP nie była jeszcze w stanie nabyć wyłącznych praw do całego światła słonecznego dla swego programu emigracyjnego. — Być może jutro to zrobi — jak powiadano w gorzkim dowcipie.

Tereny cywilizowane nie posiadały wyraźnych granic, a to dlatego, że linie elektryczne nie

docierały na peryferia. W nagłych przypadkach można tam było korzystać z akumulatorów i baterii. Łączność radiowa sięgała dość daleko, tak że wybrane, wysunięte placówki mogły otrzymywać wiadomości z innych części świata. Całe to pogranicze używało jako paliwa drewna, gdziekolwiek to tylko było możliwe.

Jazda pociągiem była przyjemna i pozwoliła bratu Pawłowi oszczędzić trochę zmęczone nogi. Miał tylko lekkie wyrzuty sumienia, że pozwolił sobie na użycie karty kredytowej zakonu przy opłacie za podróż, pocieszał się jednak faktem, że dzięki temu w ciągu jednego dnia pokonał znacznie dłuższy odcinek drogi niż w ciągu tygodnia pieszej wędrówki. A poza tym przybędzie na czas.

Noc spędził w Stacji Koordynatora Zakonu na ten region, jego wielebności ojca Crowdera. Brat Paweł był nieco przerażony majestatycznym wyglądem tego siwowłosego hierarchy, a słowa jego wielebności onieśmieliły go jeszcze bardziej.

— Jakże ci zazdroszczę twojej młodości i odwagi, bracie! Zapewne kilometr po nierównym terenie przebiegasz poniżej trzech minut.

— Aa... czasami...

— Nigdy nie udało mi się zejść poniżej trzech minut dziesięciu sekund. Ani pięciu minut na milę. Kiedyś natomiast udało mi się w ciągu trzydziestu sekund podciągnąć się piętnaście razy na belce w kaplicy. — Uśmiechnął się smutno. — Nakrył mnie na tym kościelny. Nie powiedział ani słowa, ale żebyś widział jego spojrzenie! Nigdy już nie miałem odwagi powtórzyć tego wyczynu. Jestem pewien, że ciebie taki drobiazg nie powstrzymałby od zaplanowanych ćwiczeń.

Najwyraźniej ojciec coś niecoś o nim wiedział — szczególnie o ćwiczeniach sprawnościowych, które uprawiał, kiedy sądził, że nikt go nie widzi. Miał nadzieję, że się nie zarumienił.

— Misja, którą masz przed sobą, wymaga o wiele więcej odwagi niż takie sprawy — ciągnął jego wielebność Crowder. — Ty posiadasz i odwagę, i przytomność umysłu, i odświeżającą obiektywność spojrzenia. Właśnie człowieka z takimi przymiotami szukaliśmy. A jednak sprawa nie będzie łatwa. Nie tylko musisz stanąć twarzą w twarz z Bogiem — musisz jeszcze zawyrokować o jego autentyczności. Tego zadania ci nie zazdroszczę. — Położył silne, ogorzałe dłonie na ramionach brata Pawła. — Niech Bóg cię błogosławi i natchnie siłą — powiedział z widoczną szczerością.

Niech Bóg cię błogosławi... Brat Paweł zachwiał się, przymykając oczy w nagłym bólu.

— Spokojnie, bracie — powiedział ojciec Crowder, podtrzymując go. — Wiem, że jesteś wyczerpany męczącą podróżą. Idź do swojego pokoju i połóż się. Odpocznij. Rano wsadzimy cię do autobusu jadącego do stacji teleportacji.

Na słowach jego wielebności można było polegać. Wypoczętego i nakarmionego umieszczono go w autobusie, który wyruszył w czterogodzinną podróż do samego serca cywilizacji. I w ten sposób dotarł do stacji TP: do Ameryki dwudziestego pierwszego wieku.

Jeszcze na stopniach autobusu powitał go funkcjonariusz TP ubrany w jaskrawoniebieski mundur.

— Świetnie — powiedział młody człowiek, przyglądając się z kwaśną miną wymiętemu podróżą habitowi brata Pawła. — Jesteś przedstawicielem Wizualnego Zakonu...

— Świętego Zakonu Wizyjnego — poprawił go brat Paweł z pobłażaniem. Druid nigdy nie popełniłby takiego błędu, ale ten tutaj to tylko świecki urzędnik. — Święty i Wizyjny, bo chcemy by nasza Wizja ogarnęła...

— Tak, tak. Proszę pana tędy.

— Nie „pana”. Jestem bratem. Bratem Pawłem. Wszyscy ludzie są braćmi...

Ale władczy funkcjonariusz już ruszył przodem, zmuszając brata Pawła do pospieszenia za nim. Ruszył przeto za nim.

— Przed wyjazdem chciałbym skorzystać ze źródła prądu stałego w celu naładowania baterii mojego kalkulatora — powiedział. — Nie jestem zbyt zdolnym matematykiem, a mogę napotkać zawilości, które będą wymagały...

— Nie ma na to czasu — przerwał mu mężczyzna. — Wysyłka już od kilku godzin czeka na twój przyjazd, co spowodowało niekorzystne zmiany w naszym programie. Musi odejść w ciągu najbliższych trzydziestu minut. Zaledwie starczy czasu...

Powinien był pamiętać. Czas, w formie harmonogramów, był jednym z głównych bogów Tempa, ustępującym tylko Energii. Brat Paweł przyzwyczajony był do planowania rozkładu dnia według słońca na niebie. W związku z obecną misją razem z kalkulatorem pożyczono mu także dobry zegarek, ale jeszcze nie przyzwyczał się do niego. — W żadnym wypadku nie chciałbym zbecześcić waszego harmonogramu, ale jeżeli mam właściwie wykonać swoje zadanie...

Z grymasem irytacji mężczyzna wprowadził go do budynku. Wewnątrz był telefon.

— Złóż zamówienie na nowe baterie — powiedział szybko, podając słuchawkę bratu Pawłowi.

Cóż za sprawność! Brat Paweł od lat już nie miał do czynienia z telefonem. Do której części tego urządzenia należy mówić? Wybrał rozwiązanie pośrednie, mówiąc na tyle głośno, żeby głos dotarł do obu końców. Zamówił baterie opisawszy je dokładnie.

— Udziela się pozwolenia — odezwał się głos z górnej części słuchawki. — Należy je odebrać w Zaopatrzeniu.

— Zaopatrzeniu? — Ale telefon zamilkł. Takie wydawały się panować tutaj zwyczaje, tutaj — w cywilizacji.

— Chodźmy — powiedział funkcjonariusz. — Odbierzemy je po drodze. Tak też się stało; krótka chwila w sąsiednim budynku wystarczyła, żeby

baterie znalazły się w posiadaniu brata Pawła. Ci ludzie może nie byli zbyt towarzyscy, ale niewątpliwie kompetentni!

— Jeszcze to — powiedział pracownik z Zaopatrzenia, podając mu ciężką, metalową bransoletę.

— Och, bracia nie noszą biżuterii, tylko krzyż — zaprotestował brat Paweł. — Złożyliśmy śluby ubóstwa...

— Biżuteria, też coś! — parsknął mężczyzna. — To rejestrator molekularny. Kiedy wrócisz, będzie na nim kompletny zapis: wszystko, co widziałeś lub słyszałeś, a także pewne rzeczy, których sam nie zauważyłeś. To urządzenie jest bardzo czułe w dużym zakresie promieniowania i na kombinacje różnych związków chemicznych. Noś je na lewym przegubie i to wszystko. Nie należy go jedynie przykrywać.

Brat Paweł był zaskoczony.

— Jeśli dobrze rozumiem moją misję, to polega ona na badaniach przeprowadzonych osobiście i na złożeniu osobistego sprawozdania. Nie można przecież oczekiwać od maszyny zgłębienia natury Boga.

— Ha, ha, ha! — powiedział mężczyzna głosem pozbawionym jakiegokolwiek wesołości. — Proszę ją tylko założyć.

Brat Paweł niechętnie wyciągnął lewe ramię. Mężczyzna włożył mu bransoletę, zatrzasnął ją na przegubie. Powinien był sobie zdawać sprawę z tego, że władze świeckie kontrolujące teleportację nie zgodziłyby się na współpracę, gdyby nie miały w tym jakiegoś własnego interesu. Było im całkowicie obojętne, czy Bóg przejawiał swoją obecność na planecie Tarot: ich Bogiem była Maszyna. Maszyna obejmująca zarówno Czas, jak i Energię — rządząca wszystkim. A może tak było sprawiedliwie; któż może już teraz powiedzieć, że Bóg Tarota nie jest bóstwem „maszynowym”? Właściwe przeto było, aby i Maszyna wysłała swego przedstawiciela.

— A to jest krótkofalówka — powiedział zaopatrzeniowiec, podając zestaw małych prętów. — Trzymaj to do góry, mów tutaj, to drugie urządzenie jest odbiornikiem. Podstawowe wyposażenie wszystkich agentów działających w terenie.

— Nie jestem waszym agentem — powiedział brat Paweł tak łagodnie, jak tylko umiał. — Jestem przecież — przypominał sam sobie — człowiekiem pokoju.

— Kto opłaca podróż, w obie strony? — zapytał mężczyzna.

Brat Paweł westchnął. Kto płaci, ten wymaga. Oddaj cesarzowi, itd. Wziął krótkofalówkę i włożył do kieszeni. Może ją nosić; nie musi w ogóle używać.

— Proszę pamiętać — powiedział zaopatrzeniowiec, marszcząc brwi — że całe wyposażenie ma wrócić do nas w dobrym stanie.

— Już je mogę zwrócić — powiedział brat Paweł.

Nikt nie zareagował. Zaprowadzono go do następnego budynku, gdzie został poddany przeróżnym uciążliwym badaniom i przygotowaniom. Szybkość i brak delikatności podczas tych wszystkich

czynności kojarzyły mu się w dziwny sposób z kopalnią odkrywkową, którą kiedyś widział, i ze sposobem, w jaki pozyskiwano tam węgiel. Potem pospiesznie umieszczono go w kapsule w kształcie termosu i zamknięto ją hermetycznie. Pozostawało mu czekać.

Rozejrzał się po komorze. Była całkiem obszerna, ale dość szczelnie wypełniona wszelakim sprzętem złożonym luzem. Skrzynie i pudła byłyby oczywistą stratą; liczył się każdy gram. Większość przedmiotów rozpoznał bez trudu: ręczne maszyny liczące, kołowrotki, maszyny tkackie, maszyny do szycia z napędem nożnym, mechaniczne maszyny do pisania, siekiery, piły, piece opalane drewnem, i tym podobne. Bardzo sensowny i praktyczny ładunek dla jakiejś kolonii tak zacofanej, jak niektóre odległe tereny na Ziemi.

Niepokoili go te maszyny liczące. Czym mógłby wytłumaczyć swoją przemożną chęć zabrania ze sobą kalkulatora elektronicznego? Nie pasował zupełnie do technologii, z jaką będzie miał do czynienia podczas misji. Może był krótkowzroczny. Trudno przecież uznać za przekonywające wyjaśnienie, że maszyny liczące, leżące tutaj, zbyt wolno mnożą i dzielą, są niezdolne do wykonania pewnych przekształceń czy wyciągnięcia pierwiastka trzeciego stopnia z liczby π . Wystarczyłyby przecież suwak logarytmiczny, tym bardziej że nie wymagał baterii. Dlaczego nie wziął ze sobą suwaka? Pozostawałby on w większej zgodzie z ogólną filozofią Świętego Zakonu Wizyjnego. Władze świeckie na Ziemi używały kalkulatorów, których użyteczność trwała tylko tak długo, jak ich źródła energii. On, brat zakonny, powinien uczyć ludzi, jak korzystać z suwaka logarytmicznego, który może funkcjonować tak długo, jak długo funkcjonują umysły i dłonie.

— Jestem hipokrytą — powiedział półgłosem. — Boże, naprostuj moje drogi i wybacz mi.

Spojrzał na zegarek — wreszcie zaczynał nabierać tego przyzwyczajenia — i nastawił licznik upływu czasu. Naturalnie, teleportacja miała być natychmiastowa, zresztą wbrew teorii względności, ale pozostawał czas oczekiwania, a ten przynajmniej mógł zmierzyć. Lubił liczyć i odliczać. Zawsze to lepsze niż przyznać się przed sobą do pewnej nerwowości.

Kątem oka dostrzegł srebrzystą obręcz na przegubie lewej dłoni. Pokryta była wyszukany wzorem, na podobieństwo modernistycznego malowidła wykonanego jako płaskorzeźba. Niewątpliwie chodziło o zamaskowanie soczewek i innych mechanizmów znajdujących się wewnątrz. Jeśli chcesz coś schować, najlepiej umieść to w bogato zdobionym opakowaniu o skomplikowanym kształcie. Tak jak uczynił to złotnik z Syrakuz, chcący ukryć zbyt małą ilość złota w koronie wykonanej przez siebie dla Hierona, władcy tego miasta. Tyle że Archimedes wykrzyknął „Eureka!” i korzystając z zasady wypierania ciał przez wodę wykrył oszustwo.

Prawdopodobnie obręcz już zapisywała wszystko dookoła. Jak to dobrze, że nie potrafi zapisywać jego myśli! Co jednak będzie, kiedy przyjdzie mu załatwić potrzebę fizjologiczną? Czy wystarczy trzymać rękę nad głową, żeby urządzenie nic nie widziało? A co będzie, jeśli tak uczyni i usłyszy zniecka jego okrzyk „Eureka!”?

Uśmiechnął się do siebie. Śmieszna próżność śmiertelników! Cóż to w końcu za różnica, jaką część jego anatomii mogłoby zarejestrować to urządzenie? Kiedy świeccy eksperci będą przeglądać zapis molekularny, szybko ich znudzą drobne szczegóły wypierania ciał przez wodę wewnątrz ludzkiego organizmu. Niech więc maszyna rejestruje i zatrzymuje całą informację, jaką potrafi

zebrać, aż kielich się przeleje od nadmiaru.

Nagle to go uderzyło: kielich! Ta bransoleta przypominała Kielich w Tarocie, zawierający nie płyn lecz informację. A małe aparaty nadawczo–odbiorcze to Pałki. Jego zegarek symbolizował trzeci kolor — Monety, złociste krążki, ponieważ w zasadzie był takim krążkiem z oznakowaniami i wskazówkami pokazującymi porę dnia, co w przyrodzie należało do oryginalnego, złocistego kręgu słonecznego. Trzy kolory. A co mogło być czwartym, Mieczami?

Przez moment był w kłopotcie. Miecze reprezentowały walkę i gwałt; nie miał przy sobie żadnej broni. Były także kolorem powietrza i choć powietrze znajdowało się wszędzie wokół niego, nie dostrzegął znaczącego związku. Miecz był również skalpelem, narzędziem chirurgii i medycyny; istniała też ostrość myśli... Tak, właśnie tego szukał! Najostrzejsza, najbardziej wyrafinowana myśl powiązana była z symboliką liczb, z matematyką. Kalkulator! W ten sposób miał pełen komplet symboliki Tarota. Jaka szkoda, że nie zabrał ze sobą talii Tarota. Pozwoliłaby mu oderwać myśli od spraw bieżących.

Siedział na piecu, czekając aż przesyłka, której był częścią, zostanie wreszcie wysłana. Po całym tym pośpiechu mogli przynajmniej zająć się tą sprawą, kiedy tylko znalazł się w kapsule! Może wstrzymywały ich problemy techniczne, takie jak przestawianie wagonów na boczne tory, ustawianie wszystkiego w kolejce przed wielkim skokiem. Trudno mu było wyobrazić sobie, jak w tej dziewiętnastowiecznej scenerii może wyglądać wyrzucenie go na odległość być może pięćdziesięciu lat świetlnych. Powinien był się dowiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się planeta Tarot; teraz, tuż przed skokiem, wydawało się to bardzo ważne. Czy skok na odległość siedemdziesięciu pięciu lat świetlnych jest bardziej ryzykowny niż na odległość pięćdziesięciu lat świetlnych? Idea podróży natychmiastowej, nie trwającej w czasie, niepokoiła go w jakiś nieokreślony sposób, na podobieństwo napływających fal nudności, które mogą, choć nie muszą, doprowadzić do wymiotów. Nigdy nie zrozumie, na czym polega teleportacja. Czyżby stary Albert Einstein się mylił? Ale przecież teleportacja istniała — a może jednak nie istniała?

Według zegarka minęła dopiero minuta od czasu, kiedy ostatnio na niego zerknął, w sumie zaś dwie i pół minuty od nastawienia licznika. Nic mu to nie mówiło; jego własny zegar biologiczny utrzymywał, że zestarzał się znacznie więcej niż owe dwie i pół minuty!

Utrzymywały się ciągle pogłoski i plotki na temat owej niezgodności z teorią względności, dementowane z całą stanowczością przez TP. Nauka dwudziestego wieku osiągnęła wiele rzeczy, które w dziewiętnastym uważane były za niemożliwe; dlaczego nauka dwudziestego pierwszego wieku nie miałyby wyrugować pewników wieku dwudziestego? Mimo to zauważył, że ma teraz takie same kłopoty z odrzuceniem pewnych pojęć teorii względności, jakie miał kiedyś z ich przyjęciem. O ile łatwiej było wierzyć pogłoskom i szeptom, będąc zamkniętym w kapsule. Nie było wątpliwości co do tego, że Ziemia się wyludnia i że olbrzymie ilości zużywanej energii doprowadzają do regresu cywilizacyjnego całej ludzkiej społeczności, ofiary głodu energetycznego. Wiadomo także było, że cały mechanizm umożliwiający emigrację, TP, został uznany za niemożliwy przez najlepsze mózgi przeszłości. Wniosek oczywisty: ludzie opuszczają Ziemię, ale nie docierają na inne planety. Cały ten ogromny program TP może być pułapką, podstępem, który...

Wątpliwości ustąpiły nagle miejsca ostrej klaustrofobii. Zaczął rozglądać się nerwowo, szukając

wzrokiem jakichś dysz czy wylotów rur, przez które trujący gaz dostałby się do środka. Żydzi w nazistowskich Niemczech, jakieś pół wieku temu; obiecano im ulgę i pomoc...

Nie, to nie miało sensu! Po co ta cała sceneria dla jednego członka półreligijnego zakonu? Gdyby ktoś chciał się go pozbyć, znalazłby o wiele prostszy sposób! Zakon zresztą nie pozwoliłby się tak oszukiwać, a ojciec Crowder nigdy by nie usankcjonował czegoś takiego; o tym brat Paweł był absolutnie przekonany. I matka przełożona, tak anielska w swej trosce o dobro wszystkich...

Matka przełożona Maria. Po cóż się oszukiwać? Zgodził się podjąć tę misję na jej prośbę. Och, błagała go, by jej zaniechał, w sposób wielce czarujący. Ale straciłby wiele w jej oczach, gdyby uległ.

Obecna linia rozumowania nie przynosiła więcej pożytku od poprzedniej. Nie czekała go ani śmierć, ani miłość. Miał natomiast stwierdzić autentyczność Boga Tarota i zadanie to fascynowało go. Po cóż miał się rozpraszać powierzchownie nieracjonalnymi lub niemożliwymi problemami, podczas gdy jego właściwe zadanie przewyższało nieracjonalności i niemożliwość obydwu? Jak bowiem może zwykły śmiertelnik wyrokować o Bogu?

Brat Paweł wyjął z kieszeni kalkulator, swój symbol myśli, metaforyczny Miecz Tarota. Był to dość wczesny model, być może sprzed dwudziestu pięciu lat. Antyk, ale sprawny. Święty Zakon Wizyjny dbał o urządzenia, które przechowywał, obawiając się, że w przyszłości mogą pozostać jedynym rezerwuarem technologii, z którego przyjdzie ludzkości czerpać. Kalkulator posiadał pewną liczbę białych przycisków i pewną liczbę czarnych. Przez wduszenie tych przycisków we właściwej kolejności mógł sformułować każdy prosty problem matematyczny i uzyskać jego natychmiastowe rozwiązanie. Natychmiastowe — jak podróż pomiędzy światami! W tym przypadku pomiędzy światami pojęć, nie przestrzeni.

Włączył go od niechcienia, obserwując, jak zielone zero pojawia się w okienku wyświetlacza. — Dwa — powiedział półgłosem, dotykając zarazem właściwego guzika i zero w cudowny sposób zmieniło się w 2. — Plus trzy — równa się pięć — i zielone 5 pojawiło się przed jego oczyma.

Brat Paweł uśmiechnął się. Podobała mu się ta mała maszynka; nie mogła co prawda konkurować z komputerem Kolonii, ale swoje ograniczone zadania spełniała dobrze. — Zapamiętajmy to — powiedział, wduszając przycisk PAMIĘĆ i przycisk DODAWANIE. To powinno zapisać tę liczbę do pamięci w postaci liczby dodatniej. Teraz dotknął przycisk WEJŚCIE i ponownie pojawiło się wesolutkie zero, zielone jak zawsze. Wdusił PAMIĘĆ i PRZYWOŁANIE i powróciła 5. Świetnie, pamięć funkcjonuje prawidłowo.

— Zamieńmy to teraz z kilogramów na funty — ciągnął. Był to bowiem stary kalkulator, zawierający komplet archaicznych jednostek miar, odpowiadających dacie jego produkcji. Wcisnął guzik ZMIANY, po czym guzik ODEJMOWANIE reprezentujący obecnie kilogramy. Następnie guzik DZIELENIE odpowiadający funtom. Te podwójne oznaczenia były początkowo mylące, lecz niezbędne w sytuacji, kiedy dwadzieścia przycisków spełniało funkcje pięćdziesięciu. Odpowiedź: 11.023113.

— Wpisz tę bezużyteczną informację w Pamięć Dwa — powiedział, wduszając kolejno PAMIĘĆ,

2, DODAWANIE i WEJŚCIE. Odczyt wrócił do zera. Ach, zapomniał już, co to za pyszna zabawa! — Teraz liczba 99999999 pomnożona przez liczbę w Pamięć Jeden. — Wystukał rządkiem ośmiu dziewiątek, potem MNOŻENIE, potem PAMIĘĆ, 1, PRZYWOŁANIE i RÓWNOŚĆ. Zmarszczył brwi.

W lewym rogu okienka wyświetlacza pojawiła się czerwona kropka. Przepelnienie — powiedział. — Brak miejsca dla liczby dziewięciocyfrowej! Wymaż to. Uderzył kilkakrotnie przycisk WYMAZYWANIE i wyłączył kalkulator, żeby nie zużywać baterii, podczas kiedy będzie się zastanawiał.

— No dobrze — powiedział po chwili. — Trzymajmy się w jakichś granicach. Pomnóżmy Pamięć Jeden przez Pamięć Dwa. — Włączył ponownie kalkulator i szybko wystukał właściwą sekwencję. Rezultatem były same zera. — Och, zapomniałem! Wyłączenie wymazuje wszystko z pamięci! Muszę zacząć od nowa. — Nacisnął 5, wpisał ją w pamięć Jeden, zamienił kilogramy na funty, wynik wpisał w Pamięć Dwa, wymazał odczyt, zapomniał na chwilę, po co to wszystko robi, i wdusił Przywołanie Pamięć Dwa. Rezultatem było zero.

— Coś jest nie w porządku — powiedział. Ponownie powtórzył całą sekwencję, obserwując własne palce szybko biegające po klawiszach i dostrzegł, gdzie popełnił błąd. Opuścił bowiem przycisk 2 Pamięci Dwa, a zamiast niego wdusił guzik MNOŻENIE. — Nie mogę tego wpisać w MNOŻENIE PAMIĘĆ! Musiałbym bowiem wdusić wtedy PAMIĘĆ MNOŻENIE PRZYWOŁANIE, żeby to przywołać, i biedne urządzenie sądziłoby, że zwariowałem, i wyświetliłoby światełko przepelnienia, żeby mnie otrzeźwić. — Kiedy to mówił, jego palce automatycznie wystukiwały tę bezsensowną sekwencję. W okienku ukazało się 11.023113.

Patrzył na ten wynik przez dłuższą chwilę. Potem wymazał całą sekwencję i powtórzył wszystko od początku, z pełną świadomością wduszając błędne MNOŻENIE PAMIĘĆ, wiedząc przecież, że nie miało prawa zaistnieć. Rezultat był identyczny: uzyskał tę samą liczbę.

, — Ależ to oznacza, że urządzenie ma trzecią pamięć, a zostało zbudowane tylko dla dwu — powiedział.

Sprawdzał je teraz w sposób metodyczny, nie istniało bowiem dla niego nic bardziej intrygującego niż tajemnica lub paradoks. Wpisał liczbę 111 w Pamięć Jeden, 222 w Pamięć Dwa i 333 w PAMIĘĆ MNOŻENIE. Potem wywoływał kolejno każdą z nich. Pojawiły się jak wybrane karty w ręku sztukmistrza — magika: 111 — 222 — 0.

— Zero! — wykrzyknął. — Więc to nieprawda!

Dla pewności jednak powtórzył całą operację, sprawdzając tym razem najpierw MNOŻENIE PAMIĘĆ — i pojawiło się 333. Sprawdził 222 i znalazł je, potem 111 — też było na miejscu. Nie ma wątpliwości; miał teraz trzy pamięci. Trzecia jednak była nieregularna, okresowa, pojawiająca się zgodnie z jakimiś własnymi prawami, jak gdyby była na wpół szalona.

— Na wpół szalona... — powtórzył głośno, myśląc o czymś innym. Ale jeśli przyjmie takie założenie, nie rozwiąże tej tajemnicy. Spojrzał na zegarek. Rzeczywiście udało mu się nieźle

wypełnić czas tymi obliczeniami! Dziesięć minut i czterdzieści dwie sekundy od momentu nastawienia licznika. Ale ile czasu mają oni zamiar jeszcze zmitrężyć przy teleportacji jego kapsuły?

Wymazał wynik i ponownie wdusił PAMIĘĆ MNOŻENIE. Ukazało się 333.

— Duch w maszynie — powiedział. — Sekretna pamięć, nieznana...

— Znalazłeś mnie więc — odpowiedział mu jakiś głos. — A przecież byłem tu zawsze, czekając na wywołanie.

Brat Paweł oderwał oczy od kalkulatora, zerknął na zegarek — dziesięć minut, czterdzieści dziewięć sekund — i powoli podniósł wzrok. Po drugiej stronie maszyny do szycia zobaczył jakiegoś mężczyznę. Był młody, łysiejący i miał cofniętą dolną szczękę. Nie, to nie była dobra charakterystyka; wygląd zewnętrzny miał tak niewiele wspólnego z osobowością.

— Przepraszam, nie zauważyłem twojego przybycia — powiedział brat Paweł. — Czy także udajesz się na planetę Tarot?

Mężczyzna uśmiechnął się, lecz w ruchu jego warg było coś dziwnego.

— Być może — jeśli takie będzie twoje życzenie.

— Brat Paweł ze Świętego Zakonu Wizyjnego. — Wyciągnął dłoń.

— Jestem Antares — powiedział mężczyzna, nie czyniąc żadnego ruchu, żeby uścisnąć ofiarowaną mu dłoń.

— A więc panie Antares — a może bracie Antares? Czy jesteś badaczem?

— Tylko Antares. Określenia związane z płcią są zupełnie nieistotne i nic nie znaczą dla mojego gatunku, zaś mojego osobistego miana nie mógłbyś pojąć. Czy mnie znasz?

Brat Paweł przyjrzał mu się ponownie, tym razem dokładniej. Cóż, zwyczajny sobie człowiek, w ciemnej tunice.

— Przykro mi, ale jedyny Antares, jaki znam, to jasna, czerwona gwiazda.

— No właśnie.

— Jesteś związany w jakiś sposób z gwiazdą Antares? — spytał zdumiony brat Paweł.

— Tak, jestem emisariuszem sfery Antaresa — potwierdził mężczyzna.

— Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że nasze kolonie sięgają tak daleko. Czyż Antares nie jest odległy o setki lat świetlnych od Słońca?

— Tak, około pięciuset waszych lat świetlnych, znajduje się bowiem w konstelacji Skorpiona. My

nie jesteśmy kolonią, lecz oddzieloną sferą. Jest wiele sfer w tej galaktyce, a także w innych galaktykach; każda na wysokim poziomie rozwoju w centrum, a coraz niższym poziomie technologii i kompetencji w kierunku obrzeży, zgodnie ze zjawiskiem regresu sferycznego. Tak więc każde imperium posiada pewne naturalne granice, zależne od...

— Skorpion — powtórzył brat Paweł w zadumie, wyłapując z przemowy obcego tylko to, co było mu w jakiś sposób bliskie. — Konstelacja.

— Ten skorpion, który w waszej mitologii zabił swoim jadem Oriona — powiedział mężczyzna. — Naturalnie, w rzeczywistości gwiazdozbiór, który nazywacie Pasem Oriona, znajduje się w sferze Mintaka, być może największej i najbardziej wpływowej sferze tego sektora galaktyki, nie licząc sfery Sador. Niewątpliwym olbrzym, choć nigdy przez nikogo nie zabity w naszej skromniejszej sferze. Wojny pomiędzy sferami są praktycznie nieznane, a to z powodu problemów z łącznością i transportem.

Brat Paweł ciągle z pewnym opóźnieniem przyswajał sobie treść tego, co dyszał.

— Być może się mylę. Wydajesz się jednak sugerować, że jesteś człowiekiem z... z systemu istniejącego w tej części kosmosu, którą znamy jako...

— Nie człowiekiem, solaryjski bracie Pawle. Jestem Antarejczykiem, istotą rozumną, obcą twojemu gatunkowi pod każdym względem z wyjątkiem intelektu.

— Obca istota! Czy to miał być dowcip? — Brat Paweł popatrzył na swój zegarek. Licznik wskazywał dziesięć minut i czterdzieści dziewięć sekund. Za chwilę podda próbie prawdziwość twierdzeń Antaresa. — Żałuję, że niewiele obcych istot spotkałem w swym życiu. Twój kształt wydaje mi się jednak ludzki — a może to tylko miraż?

— To ciało mojego solaryjskiego gospodarza. Moja aura została do niego przeniesiona, abym mógł przekazać twojemu gatunkowi technologię teletransmisji materii. W zamian uzyskaliśmy od was technologię kontrolowanej syntezy wodorowej.

— Teletransmisja materii! Ten przełom w technologii pochodzi od ciebie?

— Tak. Inaczej wasza sfera nie miałaby jej jeszcze długo. Same jej zasady są bowiem obce głównemu nurtowi waszej nauki, tak jak zasady syntezy wodorowej są obce naszemu myśleniu. W rzeczywistości, kiedyś, nasi eksperci twierdzili, że jest teoretyczną niemożliwością uzyskanie takiego procesu w sposób sztuczny. Nasza teoria absolutności...

— Doprawdy przedziwny żart, Antaresie! Chciałbym cię ujrzeć w twym prawdziwym kształcie. Czy mógłbyś się zmaterializować w tej obcej dla mnie formie?

Jeśli to dowcip, to teraz go zdemaskuje!

Postać, którą miał przed sobą, rozplynęła się. Zamiast niej pojawiła się duża amorficzna masa. Z jej szczytu wyrastała grupa gąbczastych wypukłości, zginających się jak klawisze pianoli. Wyrzuciła z siebie nagle nibynóżkę, bezkształtną bryłę galaretowatej masy, na odległość około Wetrą,

połączoną z ciałem głównym cienką, zanikającą wicią. Wzdłuż tej wici pulsowała jakaś ciecz, rozdymając ją, zbierając się na samym końcu, aż oddzielona część swym rozmiarem zbliżyła się do rozmiaru ciała głównego. Ten proces trwał dopóty, dopóki część oderwana nie stała się masą główną, a masa oryginalna — nibynóżką. Po czym ta ostatnia wraz z wicią łączącą została wciągnięta do wewnątrz. Istota stała w odległości metra od miejsca, w którym stała uprzednio. Innymi słowy — zrobiła jeden krok. Po chwili zniknęła, ustępując miejsca postaci ludzkiej.

— My, Antarejczycy, może i jesteśmy powolni, ale niewiele jest miejsc nam niedostępnych — powiedział Antares. — Przybrałem ponownie kształt ludzki, by móc z tobą porozmawiać; wątpię czy jesteś biegły w moim języku.

— Dziękuję ci bardzo — powiedział brat Paweł. — To był zaiste imponujący pokaz. Czy mogę cię dotknąć?

— Żałuję, ale nie możesz — odpowiedział obcy. — Obydwie formy są bezcielesne. Postrzegasz tylko animację utworzoną przez moją aurę, co zresztą jest tylko możliwe podczas teleportacji. Twoja ręka przeniknie przez nią i nic nie poczujesz.

— Wobec tego jesteś duchem — powiedział brat Paweł. — Zjawą bez ciała. Mimo to spróbuję. — Pochylił się wolno do przodu, ponad maszyną do szycia.

Antares nie cofnął się, czego można by oczekiwać po dowcipnisiu. Stał nieruchomo, czekając na dotyk.

Ale dotyku nie było. Brat Paweł poczuł lekkie mrowienie, jak od wyładowania elektrycznego, które przeniknęło go dziwnym dreszczem, ale poza tym nie odczuł żadnego kontaktu fizycznego. To był rzeczywiście duch.

— Twoja aura! Zdziwiająca! Nigdy nie czułem czegoś podobnego! — wykrzyknął Antares.

Zaiste osobliwe stwierdzenie i poza wszelkimi kryteriami żartu. — Moja aura? — Solaryjski bracie Pawle, wiem już teraz, że nigdy przedtem cię nie dotykałem, ponieważ w twojej sferze nie może być drugiej takiej aury jak twoja. Nie znajdzie się takiej w mojej własnej sferze. Być może w sferach Spica, Canopus, Polaris czy Sador. Podejrzewam, że w całej galaktyce nie ma aury o większym natężeniu, bo tylko raz na tysiąc waszych ziemskich lat zachodzi statystyczne prawdopodobieństwo... — dlaczego nie przyszedłeś do mnie wcześniej?

Brat Paweł zdumiony cofnął rękę.

— Nie mam pojęcia, co rozumiesz pod terminem „aura”. Nigdy cię wcześniej nie spotkałem — ani żadnego innego ducha — i nie miałem pojęcia, że masz mi towarzyszyć podczas tej misji. Czy rzeczywiście jesteś istotą z innej części kosmosu?

— Rzeczywiście nią jestem — powiedział Antares. — A ściśle biorąc — byłem. Rozpłynąłem się bowiem jakiś czas temu, w rezultacie czego istnieję tylko w postaci aury. Jak to trafnie określiłeś — jestem duchem w maszynie.

— Miałem na myśli trzecią pamięć w tym małym kalkulatorze. Zaprojektowano go przecież dla dwóch pamięci, a jednak...

— Pozwól, że go obejrzę — powiedział Antares.

Brat Paweł wyciągnął rękę i pozwolił, by niematerialna dłoń obcego przeniknęła przez kalkulator.

— Aha. Mamy tu pamięć, choć nie całkiem tego samego typu. A to tutaj nazywacie stałą — bardzo przydatna przy wielokrotnych działaniach, ponieważ zaś każdy przycisk tej klawiatury pełni podwójną funkcję, w pewnych przypadkach ta podwójność umożliwia bezpośrednie odczytanie sta — tej, która normalnie pozostaje ukryta.

— Stała! — wykrzyknął brat Paweł. — Oczywiście! Żaden duch, po mostu źle pojęta funkcja. Podobna naturalnej funkcji ludzkiego ciała zachodzącej bez udziału świadomości.

— Naszemu gatunkowi rozumienie tych spraw przychodzi w sposób naturalny — powiedział skromnie Antares.

— Twierdzisz też, że twoja, hm, sfera dokonała wymiany z naszą? Teleportacja za syntezę wodorową?

— Wydatek energii nieunikniony przy transporcie na odległości międzygwiazdne czyni jakikolwiek handel towarowy niemożliwym — powiedział Antares. — Dlatego ten handel ogranicza się do wymiany informacji. Skoro zaś posiadacie technologię, której nam brak...

— Ale jeśli jesteście na tak wysokim poziomie technologicznym, dlaczego sami nie rozwinęliście procesu kontrolowanej syntezy wodorowej?

— Dla tego samego powodu, dla którego wy nie odkryliście natychmiastowej teleportacji materii. Nasz sposób myślenia nie pozwolił nam na sformułowanie niezbędnych pojęć. Sztuczna synteza wodorowa jest dla nas — czy raczej była — niepojęta. Jesteśmy zmiennym, elastycznym gatunkiem. Rozumowanie w kategoriach magnetyzmu lub laserów jest nam obce. Posiadamy natomiast sporą biegłość w obwodach elastycznych, w naukach dotyczących oporności płynnych. Dlatego dla nas teleportacja jest naturalną, choć bardzo złożoną techniką. Wy, Solaryjczycy, jesteście kulturą szermierczą: szturchacie kijami, przeszywacie mieczami i palicie ostrymi, spoistymi laserami. Dla was synteza atomowa przy użyciu lasera jest sprawą naturalną.

Było to dość przekonujące, chociaż bratu Pawłowi wydawało się, że łatwość, z jaką Antarejczyk przyswoił sobie operacje kalkulatora, wskazywałaby na pewne obycie z obydwoma magnetycznymi. Z drugiej strony termin „magnetyczny” mógł znaczyć dla niego zupełnie co innego. Człowiek rzeczywiście nie był w stanie wyobrazić sobie ciała materialnego poruszającego się w próżni z prędkością większą od prędkości światła. Jego sposób myślenia odrzucał obcą mu możliwość podróży momentalnej; dlatego taka nauka była nie do wyobrażenia. Myśl więc, nie prawa fizyki, była czynnikiem ograniczającym.

Co w takim razie z Bogiem? Czy człowiek był również niezdolny do wyobrażenia sobie Jego

prawdziwej natury? Jeśli tak, misja brata Pawła była z góry skazana na niepowodzenie.

Dokonałiście więc wymiany — powiedział brat Paweł, wracając do prostszych. — Potrzebna wam była energia wynikająca z syntezy, a nam teleportacja do podróży na wielkie odległości. Zresztą obecnie nasze generatory wykorzystujące syntezę wodorową są całkowicie zmonopolizowane przez energochłonny program TP.

— Na to wygląda. Postępujecie niemądrze, ale wydaje się, że wszystkie rozwijające się cywilizacje muszą przez to przejść. Jeśli rozum temu nie zapobiegnie, zrobi to zań wyczerpanie się wszelkich zasobów. Imperium Intersferyczne możliwe jest bowiem tylko poprzez transfer. W każdym innym przypadku regresja sferyczna wyznacza absolutne granice ekspansji każdej cywilizacji — co sami zresztą odkryjecie.

Brat Paweł ponownie uchwycił się jednego pojęcia.

— Transfer?

— Mając taką aurę, nic nie wiesz o transferze?

— Ani o aurze, ani o transferze. Nie wiem zupełnie nic o waszym społeczeństwie.

— Wasze władze nie informowały ludności na nasz temat?

— Najwyraźniej nie. A ja chciałbym również dowiedzieć się czegoś o tobie.

— Wobec tego chętnie udzielię ci wyjaśnień. Dawno już nikt nie wyraził osobistego zainteresowania moją osobą. — Antares przerwał, a brat Paweł przez jedną krótką chwilę obserwował zarys obcej protoplazmy, migocącej jak unosząca się w powietrzu dusza. — Każda ze znanych nam żywych istot posiada aurę, pole siły życiowej, która ją wypełnia. Solaryjczycy nazywają ją aurą Kirliana...

— Ach, o tym słyszałem! — powiedział brat Paweł. — Myślę, że to ta sama aura, którą opisał dr Kilner, a sfotografował później rosyjski uczoney Kirlian. Jeśli dobrze jednak zrozumiałem, był to po prostu efekt wywołany przez parę wodną w pobliżu żyjących organizmów.

— Możliwe, że para wodna ma jakiś związek ze zjawiskami fotograficznymi czy też wizualnymi — powiedział Antares. — Ale sama aura jest czymś więcej. Nie można jej wykryć zwykłymi metodami, choć niektóre urządzenia potrafią mierzyć jej ślad, a osobnicy o intensywnej aurze są w stanie postrzegać inne intensywne aury. Moja należy do bardzo intensywnych, natomiast twoja jest najbardziej intensywna ze wszystkich mi znanych. Dlatego też nasze aury oddziałują na siebie, dzięki czemu możemy się wzajemnie postrzegać. Bez wątplenia spostrzegłeś już kiedyś aurę u innych, założyłeś jednak, że jest ona wytworem twojej wyobraźni.

— Może rzeczywiście — zgodził się brat Paweł. Teraz, kiedy widział sprawy w tym świetle, łatwiej mu było zrozumieć pewne dziwne zjawiska z własnej przeszłości. Mimo to nie był przekonany. — Dlaczegoż to nie moglibyśmy postrzegać się nawzajem bez udziału aury?

— Bo tak naprawdę to ja już nie żyję.

Brat Paweł na tyle pogodził się z niezwykłością tej istoty, że to jej ostatnie oświadczenie przyjął bez zaskoczenia. Spojrzał ponownie na zegarek, odnotowując w pamięci, że minęło dziesięć minut i czterdzieści dziewięć sekund od nastawienia licznika. Wydawało mu się, że minęło więcej. Spróbował skupić się na jednym aspekcie tej konwersacji.

— Jesteś rzeczywiście duchem?

— Duchem w maszynie.

Brat Paweł usiłował pozbierać i zorganizować swoje reakcje, zapanować nad własnym językiem.

— Tak naprawdę, mózg ludzki ze swoim tajemnym podziałem funkcji i możliwości pomiędzy dwie półkule posiada właściwości, które są dla nas niezbyt jasne. Przyroda musiała mieć poważny powód, żeby zastosować to pozorne podwojenie. Wiemy, że lewa półkula zawiaduje prawą stroną naszego ciała i odpowiada za analityczne, abstrakcyjne myślenie, podczas gdy prawa półkula odpowiada za wyobraźnię artystyczną i muzyczną. Tak jak oczy są podstawą widzenia stereoskopowego, co umożliwia postrzeganie głębi, tak samo być może podwójność mózgu zwiększa zarówno ilość, jak i jakość ludzkiego myślenia. — Potrząsnął głową. — Zaczynam paplać. Chodzi mi o to, że zjednoczenie półkul, jak dotąd, jest niedoskonałe. Tworzy więc mózg rzeczy szalone, przydarzają mu się wizje i halucynacje. Przeto możliwe jest, że jesteś tym, za kogo się podajesz, to jest duchem obcej istoty, ale bardziej prawdopodobne jest, że ja właśnie cierpię z powodu chwilowego obłąkania...

— Solaryjski bracie! — zaprotestował Antares. — Twoja aura jest tak silna, że umożliwia zjawiska, które bez jej obecności by nie wystąpiły. Twój podzielony mózg jest niedoskonały, co bardzo utrudnia ci proces myślenia, ale ja nie jestem wytworem twojej wyobraźni. Jestem aurą uwięzioną w mechanizmie urządzenia do teleportacji. Nie wiedzieliśmy, że urządzenia te posiadają taką właściwość, ale nikt nigdy nie zgłębił do końca technologii Starożytnych, od których pochodzą i transfer, i teleportacja.

Cóż w końcu za różnica, czy ta istota jest rzeczywista, czy urojona? Niewątpliwie jest zajmująca!

— Powiedziałeś, że nie żyjesz.

— Moja sfera, chcąc rozwijać handel, transferowała aurę swych najbardziej odpowiednich członków w ciała istot rozumnych z innych sfer, ożywiając je tym samym — wyjaśnił Antares. — Miałem szczęście znaleźć tego gospodarza: Solaryjczyka, który utracił swą aurę i stał się żywym trupem, zombim, stworzeniem bez duszy. Nie bez kłopotów znalazłem właściwe władze i przekonałem je o swej autentyczności; straciłem na to cenny czas. Musisz bowiem wiedzieć, że aura transferowanego w ciało obcego gospodarza rozplywa się z prędkością około jednej intensywności dziennie, z powodów, których jeszcze nie pojmujemy, i kiedy spada do normy istoty rozumnej...

— Dusza obcego zostaje wchłonięta przez gospodarza — dokończył brat Paweł z nagłą wnikliwością.

Wszystko to było niepojęte, jednak posiadało wewnętrzną logikę, jak geometria nieeuklidesowa. W czasach fizyki nierelatywistycznej, dlaczego by nie?

— Właśnie tak. Moja naturalna aura, mierzona naszą skalą, była pięćdziesiąt razy intensywniejsza od przeciętnej. To bardzo dużo. Notabene, nie stanowi to nawet połowy twojej własnej. Miałem więc tylko cztery miesiące waszego czasu na działanie, z czego połowę straciłem jeszcze przed nawiązaniem kontaktu. A ponieważ wasi uczeni potrzebowali czasu, żeby skonstruować pierwsze urządzenie do teleportacji, po tym, jak dali się wreszcie przekonać, że jest to teoretycznie możliwe...

— Rozpłynąłeś się w nicość, nim zdążyłeś powrócić na gwiazdę Antares — powiedział brat Paweł.

Jakąż szczególną odwagę posiadał ten obcy, skoro podjął się takiej misji! Przenieść się duchem do obcego ciała, przekonać ludzi o czymś, co uważali za niemożliwe — i oddać swe życie. Ta istota musiała posiadać coś więcej niż samą aurę; musiała posiadać wyjątkową inteligencję, determinację i odwagę. Brat Paweł uważał swą własną misję za wyjątkową; teraz wydała mu się zwyczajną.

— Spadłem do normy istoty rozumnej — zgodził się Antares. — Poniżej tego poziomu się nie spada, chyba że w chorobie lub śmierci fizycznej. Straciłem jednak swą rodzimą tożsamość pod wpływem dominacji ciała-gospodarza. Kiedy wreszcie zbudowano pierwsze urządzenie do teleportacji, Solaryjczycy, zgodnie z umową, wysłali mojego solaryjskiego gospodarza wraz z ekspertem od syntezy jądrowej do mojej rodzinnej sfery. Ale jak już wtedy nie żyłem.

— Tyle, że nie jesteś martwy.

— Moja aura uległa wzmocnieniu przez maszynę teleportacyjną, co przywróciło mi tożsamość — zgodził się Antares. — Ale straciłem gospodarza; nie mogłem istnieć poza tym urządzeniem. Obecnie maszyna jest moim gospodarzem, a ja jestem jej stałą, jak w kalkulatorze. Nie mogę się ujawniać, chyba że zostanę wywołany przez kogoś takiego jak ty, zainteresowanego i z silną aurą. Kiedy przybędziesz do celu podróży...

Brat Paweł ponownie spojrzął na zegarek. Dziesięć minut, czterdzieści dziewięć sekund. Teraz był już pewien; wraz z pojawieniem się Antaresa czas przestał płynąć. Znaczyło to, że doznawał jakiejś silnej halucynacji. Być może.

— Ale skoro ja mogę cię widzieć i słyszeć, inni też będą mogli; wystarczy otworzyć kapsułę przed rozpoczęciem teleportacji...

— Ona już się rozpoczęła. Czyżbyś nic nie zrozumiał?

— To znaczy, że trwa? Sądziłem, że zjawisko to nie wymaga czasu!

— Słusznie sądziłeś, solaryjski bracie.

Brat Paweł przemyślał ten problem. Dłuższa konwersacja w zerowym czasie. Dlaczego by nie? Po prostu jedna niemożliwość więcej!

— Kim są ci „Starożytni”, których wspomniałeś? Dlaczego oni nie wyciągnęli cię z tej pułapki?

— Z tego, co wiem, wymarli. Wyginęli trzy miliony solaryjskich lat temu, pozostawiając po sobie tylko fenomenalne ruiny.

— Ruiny? Powiedziałeś przecież, że teleportacja pochodzi od...

— Niektóre ich partie ciągle funkcjonują. Większość zaawansowanych technologii została odtworzona z o wiele bardziej zaawansowanej technologii Starożytnych przez te współczesne gatunki rozumne, które były w stanie rozpoznać wartość potencjalną tych odkryć. Ruiny Starożytnych mogą znajdować się i w waszej sferze, lecz nie rozpoznane najprawdopodobniej ulegają zniszczeniu. Najważniejszą spośród technologii odtworzonych w innych sferach jest transfer, dzięki któremu przybyłem do sfery Sol–Słońca. Nie możemy podzielić się z wami jego tajemnicą, ponieważ jest on bezcenny, a wasz gatunek — proszę, nie obraź się — nie jest jeszcze na tyle dojrzały, by móc bezpiecznie posługiwać się tego rodzaju wiedzą.

Brat Paweł uświadomił sobie nagle, że podoba mu się ten duch obcego, nawet jeżeli jest tylko wytworem jego wyobraźni.

— Nie obrażę się. Sam czasami podobnie widzę mój własny gatunek. Przypuszczam, że mogę cię traktować jako wytwór mojego umysłu lub, jak ty to nazywasz, mojej aury. Nawet jeśli tak jest, muszę przyznać, że dodałeś mi otuchy i zająłeś mnie w tym trudnym dla mnie okresie.

— Nie wolno ci nie doceniać możliwości twojej aury, solaryjski przyjacielu — powiedział spokojnie Antares. — Mój krótki pobyt w ciele Solaryjczyka pozwolił mi poznać pewne aspekty natury waszego gatunku, mimo jego niewątpliwej obcości. Wiele waszych tajemnic da się wytłumaczyć w kategoriach aury, o czym sami się przekonacie, kiedy rozwinięcie tę gałąź nauki. Wasze różdżkarstwo jest zaledwie odbiciem oddziaływań, jakie zachodzą pomiędzy aurą a niewidoczną wodą lub metalami. Wasza „energoterapia” to ograniczona wymiana aury, w której zdrowa zasila słabnącą. To, co nazywacie telepatią, jest jeszcze jednym zjawiskiem auralnym: chwilowym nałożeniem się na siebie prądów auralnych, jak to, którego doświadczamy w tej chwili. Kiedy ktoś umiera, jego aura może ulec rozproszeniu w sposób wybuchowy, jak supernowa, wypełniając przez moment otoczenie i oddziałując na świadomość tych, którzy są w sposób naturalny do niej dostrojeni. Są to na ogół bliscy przyjaciele lub posiadacze aury podobnego typu. Dlatego właśnie zdarza się, że śpiąca osoba przeżywa nagle we śnie wizję zgonu swojego przyjaciela.

Antares — zniknął. Brat Paweł zerwał się zaniepokojony.

— Antaresie! — zawołał.

Ale przed sobą miał już tylko maszynę do szycia z napędem nożnym.

Wówczas zrozumiał, że to koniec podróży. Jest już na miejscu. Aura bowiem może objawiać się tylko tak długo, jak długo działa odtworzone na podstawie technologii Starożytnych urządzenie do teleportacji. Kiedy maszynę się wyłączy, stała zniknie — jak w kalkulatorze.

Spojrzał na zegarek. Jedenaście minut, piętnaście sekund. Czas ponownie zaczął płynąć; rozciąganie się jednego momentu w nieskończoność ustało. Znow był w świecie rzeczywistym, jakimkolwiek ze światów by on nie był.

Brat Paweł doznał uczucia dojmującej straty.

— Jeśli moja aura jest tak silna, jak twierdzisz, bracie w rozumie, jeszcze kiedyś cię przywołam — obiecał na głos. — Byłeś dobrym towarzyszem, Antaresie, i chciałbym kontynuować tę rozmowę. Może w drodze powrotnej...

Ale po co się oszukiwać? Uległ po prostu halucynacji podczas przerwania, uspokajając w ten sposób rozkołatane perspektywą teleportacji nerwy, co, jak rozumiał, zdarzało się niektórym ludziom. Lepiej będzie milczeć o tej sprawie.

— Żegnaj, pozaziemski przyjacielu — wyszeptał.

3

Działanie (Cesarzowa)

Twierdzenie

Poniżej

Jest

PRAWDZIWE

Twierdzenie

Powyżej

Jest

FAŁSZYWE

Brat Paweł mrużył oczy od rażącego światła słonecznego. Stał na skraju pola porośniętego zbożem nie znanego mu rodzaju. Mogła to być odmiana pszenicy; Ziemia eksportowała hybrydowe gatunki podstawowych zbóż tak szybko, jak tylko mogła je wyhodować, ciągle poszukując takiego, który byłby idealnie dostosowany do miejscowych warunków. Należało uwzględnić tyle zmiennych dotyczących światła, grawitacji, gleby i klimatu, że tylko uzyskane zbiory mogły stanowić prawdziwy sprawdzian przydatności danego gatunku. To pole wyglądało zdrowo; łodygi były wysokie i zielone, z delikatnym złotym połyskiem w górnych partiach, falujące łagodnie na lekkim wietrze: obraz sukcesu. Naturalnie, wygląd mógł być mylący; ziarno mogło okazać się zdrewniałe lub gorzkie czy wręcz trujące, a miejscowa fauna mogła zaatakować pole i zniszczyć zbiory przed ich zebraniem. W każdym razie, młócka ręczna tego zboża będzie ciężką pracą.

Nie opodal wznosił się spory kopiec. Zaintrygowały go jaskrawe kolory widoczne z jego jednej strony. Podeszedł do niego, żeby zaspokoić swoją ciekawość. Okazał się kopcem kompostu usypanym z resztek roślinnych, łodyg i liści, uformowanych w stos w kształcie kielicha w celu lepszego chwytania i zatrzymywania wody deszczowej, niezbędnej do przyspieszenia rozkładu.

Brat Paweł uśmiechnął się. Widział ten kopiec jako żywy proces przyrody, jako zwracanie glebie materiału organicznego, który gdzie indziej był już zbędny, jako zjawisko odnawiania — odmładzania życia. Czyż może być lepszy symbol cywilizacji pozostającej w harmonii z naturą niż funkcjonujący kopiec kompostu? W pewnym fundamentalnym sensie kompost był dla życia tym, czym Święty Zakon Wizyjny starał się być dla ludzkości: czynnikiem przywracającym stan idealny,

tworzącym żywną glebę dla przyszłych pokoleń. Czyż może istnieć wznioślejszy cel dla jednostki lub dla społeczeństwa?!

Jaskrawe kolory okazały się małymi balonikami ukrytymi w cieniu rzucanym przez kopiec. Czerwonymi, zielonymi, żółtymi i niebieskimi i we wszystkich odcieniach tych barw. Czyżby zostawiło je tu jakieś dziecko jako ofiarę dla tej ziemi. Wydawało się to mało prawdopodobne, bo były ważniejsze technologie, które należało sprowadzić na tę planetę, od technologii produkcji plastikowych baloników. Gdyby zaś jakieś dziecko przywiozło je było z Ziemi ze sobą, na pewno nie zostawiłoby ich tak bez troski na polu. Brat Paweł wyciągnął rękę, żeby ująć jeden z nich. Pękł pod dotknięciem. Okazał się tylko cieniutką błoną, niewiele solidniejszą od bańki mydlanej. Nic dziwnego, że znajdowały się w cieniu; wystarczyło światło słoneczne, żeby je zniszczyć! Być może były obcą mu formą wydzieliny z kompostu, gazem wypełniającym kolorową błonę. Ładną, lecz krótkotrwałą. Na nowych światach należało oczekiwać nowych zjawisk, zarówno drobnych, jak i bardzo ważnych.

Czas mijał. A gdzie komitet powitalny? Nie widział nikogo. Czy nie zależało im na przesyłce? Czy o niej w ogóle wiedzieli? Najwidoczniej były one dość przypadkowe, zależnie od przepelnionego harmonogramu TP. A dotyczył on tysiąca planet z pięcioma głównymi koloniami na każdej z nich co, z grubsza licząc, dawało pięć miliardów ludzi, więcej niż połowę ludności Ziemi sprzed exodusu. Planeta Tarot miała szczęście, że w ogóle o niej pamiętano! Więc pewnie ta przesyłka ich zaskoczyła. Jednak wstrząs wywołany jej przybyciem powinien ich zaalarmować i zmusić do natychmiastowego rozładunku, który pozwoliłby kapsule wrócić na Ziemię.

Czy powinien im pomóc i rozpocząć rozładunek sprzętu, nie czekając na nikogo? Przecież fakt, że był tu w szczególnej misji, nie wykluczał takiej pracy, tym bardziej że jakieś ćwiczenie fizyczne bardzo by mu się przydało.

Odwrócił się — i dostrzegł coś obok budynku stacji odbiorczej kapsuły. Wśród pszenicy stał kamień, blok kamienny — nie, tron! Siedziała na nim dziewczyna, ładne stworzenie o blond włosach, istna księżniczka. Cóż ona tam robi?

Ruszył w jej kierunku. W tym samym momencie dama wstała i zaczęła uciekać przez pole, a jej królewska szata płynęła za nią.

— Poczekaj! — zawołał. — Jestem z Ziemi!

Biegła jednak dalej, a krok miała chyży. Najwyraźniej zdrowa dziewczyna.

Brat Paweł zrezygnował z pogoni. Była przestraszona i goniąc ją nic by nie zyskał, choć był pewien, że udałoby mu się ją schwytać, gdyby zechciał. Cała ta sytuacja wydawała mu się dziwna, szczególnie po przeżyciach z duchem Antaresa.

Nagle coś dotarło do jego świadomości. — Karta numer Trzy! — krzyknął. Dama na tronie w polu pszenicy — trzecia z kolei karta Wielkich Arkanów w talii Tarota, zatyłowana Cesarzowa.

To była przecież planeta Tarot, gdzie karty ulegały ożywieniu, animacji. Nie spodziewał się

jednak niczego tak dosłownego i tak.

A może znowu ukazał mu się duch? Może to wszystko dzieje się tylko w jego mózgu? Jeśli tak, nie może polegać na własnym osądzie, na własnym rozsądku podczas tej misji. Ciekawe, co pokazałby zapis urządzenia rejestrującego. Żałował, że nie może tego sprawdzić, lecz nie posiadał odpowiedniego projektora, nie wiedział nawet, jak działa jego bransoleta. Niezależnie od wszystkiego, dama owa wydawała się rzeczywista i bardzo atrakcyjna pomimo (z powodu?) swej nieśmiałości.

Planeta, na której ilustracje kart Tarota pojawiają się jako dosłowne animacje. Zamyślił się nad tym problemem. Wśród swoich licznych zajęć dla zakonu zajmował się kiedyś piłowaniem drewna sosnowego i podczas tej czasami żmudnej pracy fizycznej jego umysł wyczarował paralełę pomiędzy sośniną a Tarotem. Drewno było lekkie i jasne na zewnątrz, łatwe do piłowania i obróbki, dobre na opał. Rdzeń, dla kontrastu, był twardy jak skała, zwarty, nasycony pomarańczowym sokiem. Mógł przetrwać całe lata i termity, których ulubionym pożywieniem była miękka sośnina, nie tykały go. Płonął tak ostrym płomieniem, że przepalał metalowe ruszty i kominki z cegły. Król drewna opałowego! Tarot wydawał się podobny: zewnętrznie interesujący, łatwo poddający się interpretacji amatorów. Ale jeśli sięgniemy wystarczająco głęboko, napotkamy rdzeń Tarota, jego sedno — zwarte i trudne, rozciągające umysł ludzki poprzez czwarty i piąty wymiar myśli i czasu. Niewielu umiało sobie z nim poradzić, ale na wytrwałych czekała nagroda, pełna głębi i trwałości. Brat Paweł uważał siebie za kogoś znajdującego się na granicy pomiędzy jasnym drewnem i pomarańczowym rdzeniem, za nowicjusza drżącego u bram Prawdziwego Znaczenia, który nie wie, co go czeka. Czy poczyni jakieś postępy tutaj, na planecie Tarot?

Tron Cesarzowej pozostał na miejscu. Sprawdzi go bardzo szybko. Podchodząc do niego, rozejrzał się po okolicy. Było to piękne miejsce, z wulkaniczną górą za polami i przebiegającym w pobliżu pasmem kolorowych skał. Powietrze było ciepłe, a przyciąganie tak bliskie ziemskiemu, że czuł się wysmienicie. To wszystko nie pasowało do obrazu nawiedzanej planety!

Nie było wątpliwości. Miał do czynienia z autentycznym tronem Cesarzowej Tarota. Lub czymś bardzo mu bliskim. Wykonany był z twardego, polerowanego drewna, nie kamienia; zdawał sobie sprawę z tego, że odpowiedni kamień może tu w ogóle nie występować. Na jednej ścianie wyrzeźbiona była sześcioboczna tarcza z dwugłowym orłem. Nie mógł co prawda założyć, że jest to przypadkowa symbolika, ale nie mógł też być pewnym, że nie jest. Wątpliwości mimo wszystko. Wieczne wątpliwości.

Solidne, drewniane słupki podpierały daszek ocieniający tron. Niezbędny środek ostrożności; nawet najpiękniejsza cesarzowa ucierpiałaby, gdyby przez cały dzień wystawiona była na bezpośrednie działanie silnych promieni słonecznych. A jednak...

Straszliwy ryk poraził go. Podskoczył wysoko, skręcając ciało w kierunku źródła dźwięku i zobaczył wielkie, zwinne, podobne do kota stworzenie biegnące wprost na niego. Wydawało mu się, że ma pięć łap. A może miało chwytny ogon?

Od damy do tygrysa! Brat Paweł uskoczył za tron, zwierzę podążyło za nim. Podobne do kota, ale nie kotowate; jego połączenia stawowe działały na jakichś obcych, niejasnych, ale robiących

wrażenie zasadach. Nie chodziło o to, że zginały się do tyłu, bo tak nie było. Po prostu zginały się inaczej. Nie miał jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Bestia ważyła co najmniej 150 kilogramów — dwa razy więcej niż brat Paweł — i nie było wątpliwości co do jej zamiarów. Uważała go albo za wroga, albo za potencjalną ofiarę.

Nie zaszkodziłoby, gdyby odpowiednie władze poinformowały go były o szczegółach ekologii tej planety. Prawdopodobnie jednak same ich nie znały. Powinien był pozostać wewnątrz kapsuły aż do przybycia miejscowego przewodnika; teraz pretensje mógł mieć tylko do siebie.

Ruszył wokół tronu, ale tygrysowaty stwór przewidział to. Zmienił kierunek z niesamowitą łatwością i okrążając tron z drugiej strony znalazł się tuż przed nim, z łapami wyciągniętymi i gotowymi do ataku.

Brat Paweł doświadczył tego nagłego błysku świadomości, które rzekomo zdarzają się ludziom w obliczu śmierci. Kończyny zwierzęcia nie posiadały pazurów ani kopyt; miały raczej coś, co przypominało skórkowe rękawiczki lub mitenki. Były one na końcach rozwidlone, przy czym część większa była zagięta na kształt półprzymkniętej dłoni, tyle że bez palców, mniejsza zaś podobna była przeciwstawnemu kciukowi. Sprawność takiej „dłoni” zapewne nie dorównywała ludzkiej, a stwardniałe poduszki na jej zewnętrznych krawędziach wskazywały, że była to raczej stopa służąca do biegania niż dłoń. A przecież kopyto lub łapa byłyby przydatniejsze do tego celu. Czemu więc miała służyć ta przypominająca klucz francuski konstrukcja?

Tygrys skoczył na niego z łapami wyciągniętymi do przodu, jak w walce bokserskiej; nie mierzył jednak w korpus przeciwnika. Brat Paweł wykonał skok do góry i jednocześnie w bok, tak że zwierzę chybiło celu. Cofnęło więc gwałtownie przednie łapy, wyrzucając do przodu pałkowate tylne kończyny. Wylądowało na nich, wykonując momentalnie przerzutkę do tyłu.

Brat Paweł zrozumiał, że gdyby pozostał na miejscu, te przednie łapy chwyciłyby jego nogi w kostkach, a tylne uderzyłyby z wystarczającą siłą, by je złamać. Unieruchomiony, byłby całkowicie bezbronną ofiarą. Nie był to rodzaj strategii, jaki można napotkać na Ziemi, lecz równie skuteczny, jak zęby, kły czy pazury.

Tygrys wykonał półobrót, pomagając sobie w odzyskaniu właściwej pozycji chwytym ogonem, i ruszył do ataku. Tym razem skoczył wyżej, co świadczyło o tym, że uczy się z przerażającą szybkością. Brat Paweł nie powtórzył poprzedniego skoku. Obrócił się bokiem, padając jednocześnie na kolana, i chwycił prawą przednią łapę atakującego zwierzęcia w zagięcie prawego ramienia. Po czym przeokoziłkował do przodu, ciągnąc unieruchomioną kończynę. Był to *ippon seoi nage*, rzut wykonany jedną ręką — technika judo, po raz pierwszy zastosowana przez niego wobec zwierzęcia, ziemskiego czy pozaziemskiego. I, miał nadzieję, że po raz ostatni.

Tylne łapy tygrysa z potężną siłą wystrzeliły do przodu. Otarły się o jego plecy i prawe ramię, a jedna z nich musnęła głowę. Te tylne kończyny były jak młoty; brat Paweł zobaczył wszystkie gwiazdy w momencie, kiedy wstrząs dotarł do jego mózgu.

Zastosował niewłaściwą technikę. Skoro tygrys poluje chwytając kończyny ofiary i łamiąc je, trzymając go w ten sposób sam się wystawia na ciosy. Człowiek po takim rzucie przeleciałby nad

jego grzbietem i ciężko wylądował na ziemi, jednak rozkład równowagi i moment obrotowy tego zwierzęcia były inne. I tak miał szczęście, że stwór nie pozbawił go przytomności; jeśli popełni jeden błąd, szczęście może go opuścić.

Mimo to nie puścił łapy. Ściskając ją, przekoziółkował powtórnie. Zwierzę, pozbawione początkowego impetu, przekoziółkowało wraz z nim. Padło na grzbiet i brat Paweł usiłował przycisnąć je do ziemi, kiedy uświadomił sobie niebezpieczeństwo, jakie niosły ze sobą wierzgające potężnie tylne łapy. Chwycił więc jedną z nich, odchylił się do tyłu i wyprostowując nogi ścisnął ją silnie kolanami. Chwył taki byłby niedozwolony w judo, ale któż pamiętałby o przepisach sportowych w walce na śmierć i życie ze stworzeniem z innej planety. Nie mógł przewidzieć takiej sytuacji, kiedy wstępował do zakonu. Wygiął się teraz w łuk i ciągnąc unieruchomioną łapę naciskał z całych sił na połączenie stawów. Nie miał pojęcia, czy to przyniesie jakiś rezultat, ale czuł, że warto spróbować. Człowiek w tej sytuacji już byłby z bólu...

Tygrys zawył z bólu. Zaskoczony niespodziewanym sukcesem brat Paweł zwolnił uchwyt tak, jakby to uczynił w przypadku przeciwnika, który uderzył dłonią w matę, przyznając się do porażki. Prawie w tej samej chwili dotarło do niego, że to przecież nie sportowiec, lecz stwór zdecydowany połamać mu kości. Za późno. Teraz zapłaci za swój błąd!

Ale tygrys miał już dość. Stał na cztery łapy, podpierając się ogonem i oddalił tak szybko, jak się pojawił. Brat Paweł z uczuciem ulgi obserwował, jak biegnie przez falujące morze pszenicy. Nie chciał mu zrobić krzywdy, ale nie miał wielkiego wyboru. Sam był potłuczony, lekko zamroczony, odzienie miał pomięte, nie odniósł jednak poważniejszych obrażeń. Mogło być gorzej — znacznie gorzej!

Kątem oka uchwycił jakiś ruch. Nadchodzili ludzie: pół tuzina mężczyzn. Byli uzbrojeni w długie włócznie — nie, to były trójzęby przypominające widły, doskonała broń do zakłucia osaczonego zwierzęcia. Równie skuteczna wobec człowieka.

Brat Paweł oczekiwał ich nadejścia z niepokojem. Nie było to dokładnie takie powitanie, jakiego się spodziewał. Kiedy znaleźli się bliżej, stwierdził, że zachowują się bardziej ostrożnie niż agresywnie. Rozglądali się wokół, trzymając broń w pogotowiu, jakby spodziewali się jakiegoś niebezpieczeństwa.

— Halo! — zawołał brat Paweł. — Jestem z Ziemi, z misją specjalną.

Mężczyźni popatrzyli na siebie znacząco.

— Jaką wiarę wyznajesz?

— Jestem brat Paweł ze Świętego Zakonu Wizyjnego. Nie przybyłem tu jednak po to, by przyłączyć się do waszej społeczności. Mam za zadanie... — Przerwał, nie będąc pewnym ich reakcji.

Ponownie wymienili spojrzenia.

— Wizyjnego — powiedział ich rzecznik z aprobatą. Był mocno zbudowanym, ciemnowłosym mężczyzną, z głębokimi bruzdami wokół ust, widocznymi nawet wtedy, kiedy się uśmiechał, tak jak w tej chwili. — Dobry wybór. Choć nie wiedziałem, że to sekta wojowników.

— Sekta wojowników? — Święty Zakon Wizyjny jest nastawiony pokojowo i zawsze poszukuje dróg...

— A mimo to walczyłeś z Łamaczem.

Łamacz. Cóż za odpowiednia nazwa!

— Zmusił mnie do tego instynkt samozachowawczy. Nie zrobiłem mu jednak krzywdy.

Po raz trzeci wymienili spojrzenia.

— Pozostaje pytanie, jak to się stało, że on nie zrobił krzywdy tobie? My musimy poruszać się w uzbrojonych grupach, żeby być w stanie odeprzeć jego wściekłe ataki o tej porze dnia, kiedy ma zwyczaj się pojawiać.

Najwyraźniej znali rozkład zajęć Łamacza, a to pewnie były jego godziny urzędowania. Wyjaśniało to, dlaczego nie pospieszyli natychmiast, żeby go powitać; musieli wpierw zorganizować oddział zbrojnych i postępować z odpowiednią ostrożnością.

— Przypuszczam, że miałem szczęście — powiedział brat Paweł. — Udało mi się go odstraszyć, kiedy myślałem, że już wszystko stracone.

— Nawet jeżeli tak było — powiedział rzecznik z powątpiewaniem — twój Bóg niewątpliwie dobrze nad tobą czuwa.

— Mój Bóg jest tym samym Bogiem, którego i wy wyznajecie — powiedział skromnie brat Paweł i był zdumiony reakcją, jaka nastąpiła po jego słowach. Było oczywiste, że popełnił jakiś nietakt.

— Pozwól, że się przedstawimy — burknął mężczyzna, rozładowując niezręczną sytuację. — Jestem wielebny Siltz z Drugiego Kościoła Komunistycznego, rzecznik tej grupy, za zgodą jej członków.

Brat Paweł nawet nie mrugnął. Po galaretowatym Antaresie, żywej Cesarzowej z Tarota i Łamaczu, czy mogło go zaskoczyć coś tak paradoksalnego jak Kościół Komunistyczny?

— Bardzo mi miło — powiedział.

A ponieważ mężczyzna nie wyciągnął do niego ręki, skinął mu tylko głową.

Stojący na prawo od wielebnego Siltza członek grupy przedstawił się również: Janson, adwentyści. Po nim, kolejno, pozostali: — Bonyly, masoni. — Appermet, yogini. — Smith, swedenborgianie. — Miller, wegijscy wegetarianie.

— Czekaliśmy na ciebie — zakomunikował ponuro wielebny Siltz. — Nie podano nam jednak dokładnej godziny twojego przybycia, choć sprawa jest dla nas dość istotna.

W tym miejscu jeden z mężczyzn zdusił parsknięcie, co przypomniało bratu Pawłowi o rozlicznych prądach kłębiących się pod wzburzoną powierzchnią. W co też się wplątał?

Wielebny Siltz rzucił tylko groźne spojrzenie na współtowarzysza i ciągnął dalej:

— Kościół Komunistyczny został wybrany drogą losowania, zgodnie z Przymierzem, jako ten, którego przedstawiciele powitają cię tutaj i zaofiarują gościnę na czas trwania misji. Nie określa to jednak w żaden sposób naszego stosunku do samej misji. Możesz, naturalnie, przyjąć gościnę gdzie indziej, jeśli taka jest twoja wola. Stacji Zakonu Wizyjnego tutaj nie ma.

Zaiste prądy! Czy losowanie zdecydowało, że ma go podejmować wróg, czy był to po prostu nadmiar miejscowej etykiety? Będzie musiał manewrować bardzo umiejętnie na tych wzburzonych wodach, dopóki nie dowie się czegoś więcej na temat tej dziwnej sytuacji.

— Z radością przyjmę twoją gościnę, wielebny, mając nadzieję, że moja obecność nie będzie kłopotliwa i nie sprawi zbytniego kłopotu.

Wreszcie doczekał się szczerego uśmiechu.

— Znamy twój zakon. Gościć ciebie będzie dla nas zaszczytem.

Wynikało z tego, że przyjęcie gościny było decyzją właściwą. Być może gburowatość Siltza wynikała z oczekiwanego sprzeciwu lub wahania i z obawy przed utratą twarzy, gdyby brat Paweł zachował się inaczej. Mógł ją spowodować także inny czynnik, taki jak ta oczywista różnorodność bogów, jak gdyby każda religia posiadała własne bóstwo. Brat Paweł zmówił w duchu króciutką modlitwę, prosząc, by było mu dane podejmować tutaj jak najmniej niewłaściwych decyzji. Jakie to szczęście, że dobre imię jego zakonu sięgało nawet na tę odległą planetę! Naturalnie, ta kolonia, jak i wszystkie inne, nie mogła mieć więcej niż cztery lata, najwyżej pięć, wobec czego jej mieszkańcy przywieźli swą wiedzę dotyczącą sekt religijnych z rodzinnej Ziemi. Nie było więc tutaj żadnego cudu.

Wielebny Siltz obrócił się gwałtownie w kierunku stacji odbiorczej, i ruchem, i gwałtownością niemile przypominając bratu Pawłowi spotkanie z Łamaczem.

— Musimy rozładować kapsułę przed teleportacją powrotną. Czy ładunek jest wartościowy?

— Maszyny do szycia, kołowrotki, piece — wyliczał brat Paweł, kiedy szli w kierunku budynku.
— Urządzenia do gręplowania, siekiery...

— Świetnie, świetnie — powiedział Siltz. — Wyposażyli cię dobrze.

Pomruk potakiwań zdziwił brata Pawła. Dwie myśli przebiegły mu przez głowę: pierwsza — że nie był tu dobrze widziany i dlatego „otrzymał posag”, który uczyni jego samego i jego misję bardziej strawnymi, i druga — dotycząca reakcji na skład ładunku. Naturalnie, że wszystkie te przedmioty

były bardzo użyteczne, ale czy ci koloniści zupełnie nie tęsknią za bardziej wyrafinowanymi wytworami cywilizacji? Rozładunek wypełnił im następne dwie godziny. Praca była ciężka, lecz nikt się nie oszczędzał; wszyscy byli krzepcy, a wielebny Siltz przykładał się tak samo do roboty jak pozostali. Jednak przez cały czas brat Paweł był świadom jakiegoś braku zaufania i to skierowanego nie do niego, lecz istniejącego wśród samych kolonistów, jak gdyby nie dowierzali sobie wzajemnie. W czym tkwił problem? Rozładunek wreszcie zakończono.

— Świetnie, świetnie! — powiedział wielebny Siltz, z zadowoleniem przyglądając się urządzeniom i narzędziom zwalonym trochę beładnie na stos na skraju pola pszenicy. — Jutro przyjedzie furgon.

Przykryli wszystko dokładnie plastikową plandeką dostarczoną przez spedytora i ruszyli w drogę powrotną.

Kiedy przechodzili obok tronu, brat Paweł miał ochotę zapytać o dziewczynę, którą tu widział, ale zawahał się; możliwe, że kolonistom wszelki bezpośredni kontakt z obcymi mężczyznami był zakazany. To by wyjaśniało, dlaczego uciekła, i uczyniło pytania na jej temat nie na miejscu. W społeczności przesiąkniętej sprawami kultu, jak ta, status kobiety pozostawał niejasny.

Za pasmem skał leżała osada, nie dalej niż dwa kilometry od stacji odbiorczej kapsuły. Brat Paweł byłby w stanie przebiec tę odległość w sześć minut, nie sądził jednak, by dziewczyna miała dość czasu, aby tutaj dotrzeć, zaalarmować osadę i wysłać tę grupę uzbrojonych mężczyzn, nim on skończył swe starcie z Łamaczem. Wielebny Siltz musiał znajdować się w drodze już w momencie przybycia kapsuły. Planeta Tarot najwyraźniej nie posiadała łączności elektronicznej, ani transportu samochodowego i jej mieszkańcy musieli polegać na sile nóg i na umiejętności obserwacji, jak zresztą większość mieszkańców Ziemi.

Solidna palisada z drewnianych pali otaczała osadę; każdy pał był dokładnie obrobiony i wypolerowany. Brat Paweł poznał wiele gatunków drewna podczas pobytu w zakonie, ale z podobnym się nie spotkał.

— Samo serce sośniny, jej rdzeń — wyszeptał.

Domy wewnątrz były z tego samego drewna, zbudowane z karbowanych bali uszczelnianych gliną. Ich dachy, w większości przypadków, obłożone były darnią, z której wyrastała trawa, a nawet kwiaty. Dość prymitywne, ale niewątpliwie szczelne. Tu i ówdzie widział grona kolorowych baniek, takich samych jak przy kopcu kompostu, z czego mogło wynikać, że nie są one jedynie produktem rozkładu organicznego.

— Cóż to takiego? — spytał brat Paweł, schylając się, żeby dotknąć jednej z nich. Nie pękła, wobec czego uniósł ją ostrożnie — i wówczas pękła. Wyglądało na to, że bańki różnią się wytrzymałością swojej błony.

— Banki Tarota — odpowiedział na jego pytanie wielebny Siltz. — Rosną wszędzie, szczególnie w nocy. Nie posiadają żadnej wartości, są jak pleśń lub chwasty. W pochmurne dni niektóre dzieci potrafią zbudować z nich zamki. Nie wnosimy ich jednak do wnętrza naszych domów, żeby nie

zanieczyściły żywności.

Jakże szybko urocza nowość staje się niezdarna! Brat Paweł był w stanie zrozumieć to pragnienie utrzymywania baniek z dala od żywności; mogą być wprawdzie nieszkodliwe, lecz po co ryzykować? Większość bakterii na Ziemi była zupełnie nieszkodliwa, ale te, które były groźne, potrafiły być zabójcze w swoim działaniu.

W centrum osady zobaczył stos drewna. Wokół niego pracowali ludzie. Mężczyźni piłowali deski czy raczej je skrawali, usypując przy tym kopce pozwijanych wiórów. Dzieci zbierały te wióry i składały je w określony sposób w pobliżu siedzących kobiet. Wyglądało na to, że kobiety, z kolei, gręplują te wióry, rozciągając włókna drewna tak, że przypominały bawełnę. Cóż to było za drewno?!

Wielebny Siltz zatrzymał się, a wraz z nim pozostali członkowie grupy. Wszyscy skłonili głowy w niemym szacunku. — Drzewo Życia, Boże Tarota, dzięki Ci składamy — powiedział uroczyście Siltz i przyklęknął przed stosem drewna.

Drzewo Życia? Bóg Tarota? Brat Paweł znał Drzewo Życia jako diagram znaczeń związanych z Kabałą, starożytnym, hebrajskim systemem mitologii, numerologii, magii i symboliki liter. Boga Tarota zaś przyjechał tu szukać i nie spodziewał się znaleźć go w stosie drewna. Co to wszystko mogło znaczyć?

Kiedy pozostali mężczyźni z towarzyszącej mu grupy odeszli, wielebny Siltz zwrócił się do niego:

— Tutaj, w Kolonii Tarot, wyznajemy wiele wiar. W jednym jednak jesteśmy zgodni: Drzewo jest źródłem naszej pomyślności. Nie uważamy, by nasi bogowie mieli coś przeciwko szacunkowi, jakim obdarzamy Drzewo.

— Czy przypomina ono Wielkie Drzewo Świata z nordyckiej legendy, zwanej Yggdrasil? — zapytał brat Paweł. — Jego korzenie sięgały trzech królestw...

— Są wśród nas sekty nordyckie, które odnajdują takie analogie — zgodził się Siltz. — Lecz większość z nas uważa je za fenomen tylko tej planety i dar od Boga. Zaiste, sami staramy się stwierdzić, który Bóg jest Drzewem.

— Postrzegacie Boga jako — jako obiekt fizyczny? Drzewo? Drewno?

— Nie dosłownie. Musimy współpracować, aby przetrwać i tylko poprzez Drzewo możemy tego dokonać. Dlatego Drzewo Życia jest Bogiem Tarota. — Uśmiechnął się, co nie zdarzało mu się często. — Pójdź teraz na posiłek i odpoczynek w mojej siedzibie, a ja spróbuję ci wszystko wyjaśnić na tyle, na ile pozwala mi Przymierze.

Brat Paweł skinął tylko głową, nie chcąc popełnić jakiegoś dodatkowego nietaktu, wynikającego z niewiedzy. Ta rodząca się dopiero kultura planetarna okazała się o wiele bardziej obca niż mógł przewidywać.

4

Władza (Cesarz)

*Nim lata biegnąć zaczęły
Swe piętno w tworzeniu człowieka
Wywarł czas, niosąc łzy, co płynęły,
I żal, co w klepsydrze przecieka,
Rozkosz, z bólem fermentu;
Lato, z kwiatami zwiędłemi,
Pamięć z gwiazd firmamentu,
Szaleństwo z piekła, na ziemi;
...zдобne płaczem, chichotem,
Wstrętem, miłością tworzone,
Z życiem przedtem i potem
I śmiercią w krąg otoczone,
...
Jego mowa — ogień płonący,
W sercu ślepe zaś chucie,
Usta — wysiłek męczący,
W oczach śmierci przeczucie,
Tka, a ma z drwiny odzienie,
Sieje, nie cieszy się żdźbłem;
Jego życie jest wizją, czuwaniem
Gdzieś między snem i snem.*

(tłumaczył Konrad Majchrzak)

Chata wielebnego Siltza była dokładnie taka sama jak pozostałe; wyróżniał ją tylko sierp i młot na grubo ciosanych drzwiach. Była niewielka, ale przytulna i dobrze urządzona. Ściany i sufit były wyłożone nie heblowanymi deskami, których słoje mimo to robiły duże wrażenie: ponownie drewno Drzewa Życia. Drewniana drabina prowadziła na poddasze. Okien nie było, tylko otwory wentylacyjne, wykonane pod takim kątem, który uniemożliwiał przedostawanie się do wewnątrz wody deszczowej. W środku pomieszczenia stał piec.

— Aha! Hermetyczny, z bocznym ciągiem — skomentował z uznaniem brat Paweł. — Z blachą do gotowania i piecykiem. Niewielki i znakomity w użyciu.

— Znasz się na piecach? — zapytał wielebny Siltz cieplejszym głosem.

— Jakoś sobie radzę z urządzeniami mechanicznymi — powiedział brat Paweł. — Nie uważam się za eksperta, ale w naszej stacji korzystaliśmy z drewna, a do moich zadań należało zbieranie opału w lesie. Zawsze podziwiam dobre konstrukcje, choćby dlatego, że wstyd marnować to, czemu Bóg pozwoli wyrosnąć. — A tutaj znalazł się nagle wśród ludzi, którzy spalają drewno z drzewa, któremu oddają cześć. Był coraz bardziej zaintrygowany!

Podeszła do nich kobieta w średnim wieku, o miłej powierzchowności. Nie zauważył jej przedtem, tak był zajęty piecem — oczywisty objaw lekkiego rozkojarzenia. Miała ciemne włosy, splecione w taki sposób, że przypominały korę drzewa. Przypominał sobie, że widział podobne uczesanie u kilku kobiet pracujących na dworze. Dziwne, ale nie pozbawione wdzięku. Czyżby jeszcze jedna oznaka szacunku dla Drzewa Życia?

— Moja żona — powiedział wielebny Siltz, a kobieta skłoniła głowę. Brat Paweł nie zauważył do tej pory żadnych zdecydowanych dowodów na to, że status kobiety na tej planecie jest równy statusowi mężczyzny, wolał jednak nie wyciągać pochopnych wniosków. — Syn jest w pracy; zobaczymy go pewnie wieczorem. — I znów ta dziwna modulacja głosu; albo wielebny miał wiele szczególnych powodów do zatroskania, albo brat Paweł przesadzał, doszukując się znaczeń tam, gdzie ich nie było.

— Twój dom jest niewielki według ziemskich standardów — powiedział ostrożnie brat Paweł. — Obawiam się, że moja w nim obecność nie zostawi wam w ogóle wolnego miejsca.

Siltz rozłożył ławkę przymocowaną do ściany.

— Poradzimy sobie. Żałuję tylko, że nie mamy więcej urządzeń służących wygodzie, ale jesteśmy ciągle kolonią pionierów.

— Nie miałem zamiaru niczego krytykować — powiedział szybko brat Paweł. — Nie

przyjechałem tutaj dla wygód, a to, co widzę, dalekie jest od niedostatku. Twój dom jest godny podziwu.

Żona Siltza wspięła się po drabinie i zniknęła na poddaszu.

— Teraz jej pora na sen. Sypiamy bowiem na zmiany — wyjaśnił Siltz. — Nocą pomaga pilnować drewna i musi być wypoczęta. Dzięki temu zresztą mamy miejsce dla ciebie.

— Pilnować drewna? — zapytał zdumiony brat Paweł.

Wielebny Siltz wyciągnął długie, giętkie paski drewna i zaczął z nich wyplatać coś na kształt koca.

— Bracie Pawle, drewno jest czymś fundamentalnym. Nasze domy są niego zbudowane i nim izolowane; dostarcza nam ono mebli, broni i ciepła — Na swój sposób oddajemy mu cześć, ponieważ tak bardzo jest dla nas niezbędne. Pozyskujemy je w odległym lesie i ciągniemy siłą rąk pod ochroną straży broniącej nas przed drapieżnikami. Nie odważamy się zakładać naszych osiedli bliżej lasu z powodu animacji; występują w tamtym rejonie o tej porze roku, a tutaj tylko sporadycznie. Inne osady na tej planecie są zlokalizowane podobnie, jak najdalej od źródła niebezpieczeństwa. Handel między osiedlami prawie nie istnieje. Zimą mieszkamy tutaj ośmiometrowej głębokości śniegi.

— Śniegi głębokości ośmiu metrów?! — zawołał wstrząśnięty brat Paweł.

— Izolują nas one od temperatury na powierzchni, która wynosi minus pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Ci, którym zapasy drewna opałowego wyczerpią się, zanim zima ustąpi, są zmuszeni spalić meble, a nawet część obelkowania, jeśli jednak tego drugiego spalą za dużo, dom nie wytrzyma ciężaru śniegu i zawali się, grzebiąc swoich mieszkańców.

— Czy nie mogą przekopać tunelu, żeby dostać się do sąsiedniego domu i dzielić zasoby z jego mieszkańcami?

— Mogą, jeśli sąsiedzi są tej samej wiary. — Mężczyzna zmarszczył brwi i brat Paweł zorientował się, że dotknął następnego trudnego problemu tej społeczności. Rodziny różnych wyznań nie podzielą się swoimi zasobami, nawet żeby uratować życie ludzkie. — Ci, którzy biorą więcej drewna niż wynosi ich przydział, narażają pozostałych na niebezpieczeństwo śmierci. Na tej planecie kara śmierci grozi tylko za dwa przestępstwa: kradzież i marnowanie drewna. Drzewo Życia nie może być niewłaściwie używane, nie może być łzone! — Twarz wielebnego spurpurowiała; opanował się jednak i ściszył głos. — Mamy tu trudną sytuację; to dobry świat, ale surowy. Wielość wyznań nie sprzyja zaufaniu, nie mówiąc już o zrozumieniu dla nedorzecznych praktyk religijnych własnych sąsiadów. Dlatego twoja misja jest tak istotna, tak znacząca. To ty zadecydujesz o tym, który z bogów jest prawdziwym Bogiem Tarota.

Brat Paweł próbował zaakceptować tak przedstawiony mu związek pomiędzy drewnem a Bogiem. Bez drewna ci ludzie zginęliby i dobrze o tym wiedzieli. Jednak nie tłumaczyło to ich ewidentnego fetyszyzmu. Na Ziemi woda była niezbędna do przetrwania i słodkiej wody brakowało, jednak nie otaczano jej taką czcią.

— Tak, taki jest cel mojej misji, niezależnie od tego, jak arogancko brzmi sformułowanie tego celu. Domyślam się, że ty jej nie aprobujesz.

Siltz spojrział na niego zaniepokojony.

— Czyżbym powiedział coś takiego?

— Nie, odniosłem tylko takie wrażenie. Nie musisz dyskutować ze mną tego problemu, jeśli sobie nie życzysz.

— Bardzo chciałbym go przedyskutować — powiedział Siltz. — Ale zabrania tego Przymierze. Jeśli moje stanowisko w tej sprawie jest tak widoczne, oznacza to, że jestem złym gospodarzem i powinienem znaleźć dla ciebie inne lokum. Co zapewne nie byłoby zbyt dyplomatyczne!

— Być może wyciągam pochopne wnioski; proszę o wybaczenie — powiedział brat Paweł.

— O nie. Jesteś inteligentnym i wrażliwym człowiekiem. Spróbuję więc przedstawić ten problem bez pogwałcenia zasad Przymierza. Rzeczywiście, jestem przeciwny twojej tutaj obecności, ale nie pozostaje to w żadnym związku z twoją osobą czy z twoją prawością. Po prostu nie wierzę, że tym sposobem da się rozwiązać nasz problem. Bóg, którego odkryjesz, będzie odpowiadał twoim osobistym poglądom, będzie zgodny z twoją wiedzą, ale jego zgodność z prawdziwym Bogiem może być tylko przypadkowa. Wolałbym przeto, by cała sprawa pozostała w zawieszeniu, niż gdyby na jej rozwiązaniu miał ciążyć błąd. Myślący tak jak ja są tutaj w mniejszości. Dlatego zostałeś wezwany, a głosowanie, w swej mądrości, przywiodło cię do mojego domu. Postaram się ułatwić ci twoją misję zupełnie tak, jakbym ją popierał. Tego ode mnie wymaga mój Bóg.

— Nie sądzę, by nasze koncepcje Boga były tak od siebie odległe — powiedział brat Paweł. — Uważam twoje podejście za godne szacunku. Pozwól jednak, że sprecyzuję jeden aspekt całej sprawy: to Ziemia mnie tu przysłała, nie Kolonia Tarot. My, na Ziemi, przywiązujemy dużą wagę do tego, czy Bóg Tarota jest autentyczny, czy jest tylko czyjąś fantazją. My też się obawiamy, by ktoś, kto jest przywiązany do swoich poglądów, nie był ślepy naprawdę, jakakolwiek by ona nie była. Nie wiem, czy jestem godzien tej misji, ale jest moją intencją pozbycie się osobistych uprzedzeń i dojście do prawdy, mimo że mogę być nią rozczarowany. Nie sądzę, by istniała potrzeba zaakceptowania mojego sprawozdania lub jego części przez was, kolonistów, nie uważam też, aby miało ono wpłynąć w jakikolwiek sposób na wasze życie. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak mam rozumieć te wszystkie wzmianki dotyczące pewnej liczby bogów. Bez wątpienia, Bóg jest tylko jeden.

Wielebny Siltz uśmiechnął się gorzko.

— Twoje zapewnienia stawiają mnie w sytuacji, w której mogę narazić na szwank moją uczciwość. Muszę bowiem zapoznać cię bardziej szczegółowo z naszą sytuacją dotyczącą spraw wiary i religii, prosząc cię jednocześnie, byś uwzględnił pewien brak obiektywizmu w tym, co usłyszysz. Jesteśmy kolonią schizmatyków, sekt odpryskowych. Wielu z nas wiedziało o zjawiskach występujących na tej planecie jeszcze przed emigracją, a każdy z tych, którzy wiedzieli, chciał w nich widzieć potencjalne urzeczywistnienie Boga — swojej konkretnej, specyficznej koncepcji Boga, by tak rzec. Im słabsza sekta czy, inaczej mówiąc, najmniejsza liczbowo, tym większa siła przyciągania

tutejszych zjawisk. Stąd niewielu wśród nas rzymskich katolików, mahometan, buddystów czy wyznawców konfucjanizmu, a wielu różokrzyżowców, spirytualistów, gnostyków, zwolenników Moona czy płonącego Miecza.

— Płonący Miecz? Czy to wizerunek z Tarota — to znaczy, z karty Tarota?

— Nie. Przepraszam cię za używanie niestosownego języka. Musisz pominąć widoczne w mojej mowie uprzedzenie wobec tych wiar. Płonący Miecz jest wydawnictwem Chrześcijańskiego Apostolskiego Kościoła z Syjonu, którego główna nauka głosi, że Ziemia jest płaska, a nie kulista.

— Na jakiej wobec tego zasadzie wyemigrowali? Nie mogą przecież wierzyć w istnienie innych planet!

— Należy o to zapytać członka tego kościoła; być może będzie w stanie przedstawić jakieś wiarygodne wyjaśnienie. Obawiam się, że ja tego nie pojmę, ale Przymierze zabrania mi krytykować inne wiary w twojej obecności, wobec tego powiem prosto: jeśli chodzi o wiarę, wszystko jest możliwe. Jestem pewien, że rozumiesz moją sytuację.

— Rozumiem — zgodził się brat Paweł. Mimo pozornej szorstkości, Wielebny był szczerym, rozumnym człowiekiem i dobrym gospodarzem. — Słyszałem kiedyś definicję wiary z ust jakiegoś dziecka: wiara jest wierzeniem w coś, o czym wiemy, że jest niemożliwe. — Przerwał na chwilę. — Hm, wybac mi, ale prawdę mówiąc takiego kościoła jak twój też się nie spodziewałem tu napotkać. Jakie są jego nauki i przykazania?

— Żałuję, że nie mogę ci udzielić precyzyjnej odpowiedzi. Przysięgłem bowiem na Drzewo Życia, że nie uczynię nic, co by mogło skazić twój umysł moją własną wiarą.

— Przysięgłeś z powodu Przymierza?

— Tak. Nie twierdzę, że zgadzam się z Przymierzem, ale jestem nim związany. Większość jest przekonana, że twój obiektywizm jest sprawą kluczową. Ja ze swej strony mogę tylko powiedzieć, że zasady kierujące Drugim Kościołem Komunistycznym są głęboko humanistyczne i że nasze związki z ateistycznymi komunistami na Ziemi są czysto symboliczne. My jesteśmy komunistami teistycznymi.

— Ach, tak. — powiedział brat Paweł zakłopotany. Bogobojni komuniści — jednak wielebny był najwyraźniej szczerzy. A przecież było to nie mniej paradoksalne niż bogobojni kapitaliści. — Odniosłem wrażenie, że dominującym językiem na planecie Tarot jest angielski; czy reprezentowane tutaj religie wywodzą się głównie z kultury zachodniej?

— Tak. Około osiemdziesięciu pięciu procent ma swoje korzenie w chrześcijaństwie zachodnim; pozostałe w religiach całego świata. W tym sensie, większość z nas wierzy w jakąś formę Chrystusa, tak jak ty wierzysz; dlatego zresztą powiedziałem, że twój zakon jest odpowiedni dla naszych celów, chociaż osobiście kwestionuję zasadność tych celów. Prawdopodobnie odnajdziesz Boga chrześcijańskiego, ale ponieważ jesteś całkowicie niezależny od miejscowych kościołów, pozostaniesz względnie obiektywny. Dobra reputacja twojego zakonu poprzedziła twoje przybycie; znany jest z tego, że nie miesza się w sprawy innych wiar i dochowuje wierności swojej własnej

wierze. Sądzę, że zostaniesz zatwierdzony.

— Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że moja misja ma polegać na zatwierdzeniu tutaj, na miejscu — powiedział brat Paweł oschle. — A co zrobią, jeśli im się nie spodobam? Wyślą mnie z powrotem na Ziemię? — Wiedział naturalnie, że koloniści nie mają takich możliwości.

— Są tacy, których wiara dopuszcza zadawanie śmierci niewiernym — powiedział Siltz. — My wiemy, że nasza osada jest bezpieczna, ale nie możemy ręczyć za inne osady. Będziemy, oczywiście, chronić twoją osobę do granic naszych możliwości — ale lepiej będzie, żebyśmy się w tej sprawie dobrze rozumieli.

— Tak, rozumiem. — Brat Paweł pokręcił ze smutkiem głową. Zgładzić niewiernych? Słysząc w tym głos fanatycznych morderców! Do jakiegoż to gniazda żmij go teleportowano? Bez uprzedzenia. Było oczywiste, że władze na Ziemi niewiele wiedzą o zjawiskach społecznych zachodzących w koloniach. Nie mógł zupełnie polegać na niepełnych instrukcjach, jakie otrzymał. — Jeśli większość sekt wierzy w Boga chrześcijan — który jest również Bogiem żydów i mahometan — skąd ta potrzeba dalszego Jego określenia?

— Sam usiłowałem znaleźć odpowiedź na to pytanie — powiedział wielebny Siltz. — Tu, na Tarocie, mamy do czynienia z wyjątkowym konglomeratem kultur, w których zazdrość wzajemna odgrywa ważną rolę. Twoja interpretacja Boga bez wątpienia różni się, w jakimś stopniu, od mojej, a obie od interpretacji Kościoła Ateizmu. Kto wie, która sekta najwierniej odzwierciedla wolę Boga? Na pewno jest taka, którą Bóg wyróżnia spośród innych, choć toleruje pozostałe przez wzgląd na tę jedną — i tę właśnie musimy odkryć. Być może to Bóg zesłał nam surowość klimatu zimą, zmuszając nas tym samym, byśmy gorliwiej Go poszukiwali, jak Bóg Żydów, który zesłał na nich niedostatek, by naprostowali swoje grzeszne drogi. Wszyscy jesteśmy uzależnieni od szczodrości Drzewa Życia i dlatego czcimy Boga tego Drzewa, choć może On nam się nie podobać, tak jak może nam się nie podobać sekta wybrana przez Niego. Nie jest ważne, czy nazwiemy Go Bogiem, czy Jedynym wśród wielu; musimy zwracać się do Niego tak, jak On nakazuje. I tak będziemy czynili. Wpierw jednak musimy upewnić się w sposób obiektywny, że jest to właśnie ten Bóg.

Ojej! Koloniści traktują tę sprawę o wiele poważniej niż uczeni na Ziemi.

— Trudno mi podjąć takie zadanie — powiedział ostrożnie brat Paweł. — Dla mnie Bóg jest Wszystkim; nie wyróżnia On żadnej sekty. Święty Zakon Wizyjny nie jest zresztą sektą w tym sensie; my poszukujemy tylko prawdy, która jest Bogiem, i uważamy formę za nieistotną. Oddajemy cześć Jezusowi Chrystusowi jako Synowi Bożemu, ale czcimy także Buddę, Zaratustrę i inne wielkie postaci religijne; zaiste wszyscy jesteśmy dziećmi bożymi. Pragniemy więc tylko stwierdzić, czy Bóg rzeczywiście się tutaj objawia; nie chcemy dochodzić, czyim jest Bogiem, i nie śmielibyśmy wydawać sądów dotyczących wartości poszczególnych sekt religijnych.

— Dobrze powiedziane! Sądzę jednak, że to Bóg będzie ostatecznym arbitrem. Oznajmi nam Swoją wolę na Swoją sposób, a ty — zgodnie z opinią większości, z którą się zresztą nie zgadzam — będziesz pośrednikiem w przekazaniu tej woli. Bóg jest mocą; nikt z nas nie może się jej sprzeciwić i nikt nie chce się jej sprzeciwiać.

Brat Paweł nie był całkiem pewien, czy udało mu się znaleźć jakąś wspólną pojęciowo płaszczyznę z wielebny, ale samą rozmowę uważał za intelektualnie stymulującą. Czas był jednak przejść do spraw bardziej praktycznych.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o ukształtowaniu waszej planety — powiedział. — Szczególnie zaś o miejscach, gdzie występują animacje.

— Jutro pokażemy ci takie miejsce. Animacje są, w pewnym sensie, wędrowne, ale na ogół zachodzą w oazie znajdującej się trzy kilometry na północ od nas. Dobierzemy też strażników dla ochrony twojej osoby.

— Och, nie sądzę żebym potrzebował...

— Cenimy sobie wysoko twoje bezpieczeństwo, bracie Pawle. Gdybyś zginął wewnątrz obszaru animacji, co przydarzyło się wielu, byłibyśmy nie tylko pozbawieni odpowiedzi na dręczące nas pytania, ale zyskalibyśmy również złą sławę na Ziemi.

Cóż za otrzeźwiający uwagi! Matka przełożona informowała go o tym, że różni duchowni uczeni postradali zmysły lub zmarli podczas badania tego zjawiska; tutaj miał tego potwierdzenie. Mimo to protestował dalej.

— Nie chciałbym waszej złej sławy, lecz...

Siltz parsknął śmiechem, kiedy usłyszał, że dobre imię planety jest ważniejsze dla brata Pawła niż własne życie.

— Lecz, jeśli dobrze rozumiem, drapieżne zwierzęta unikają terenów animacji.

— To prawda. Ale co uchroni cię przed samymi animacjami?

— Z tego, co wiem, są to po prostu kontrolowane wizje — widzialne wytwory wyobraźni. Nie ma tam miejsca na materialne...

Wielebny Siltz pokręcił głową.

— One są materialne. I Bóg, którego spotkasz, też będzie materialny, niezależnie od tego, czy uznasz Go za autentycznego, czy też nie. Zobaczysz.

Materialne wytwory wyobraźni? Musi tu zachodzić jakieś pomieszanie pojęć! Rzeczywiście, podczas odpraw na Ziemi występowało z takimi sugestiami, ale odrzucał je zdecydowanie jako przesadne interpretacje.

— Obawiam się, że nie... Wielebny uniósł dłoń.

— Sam się o tym przekonasz we właściwym czasie. Nie chciałbym pogwałcić teraz ducha Przymierza, bowiem wydaje mi się, że literę jego już naruszyłem. Chodźmy zatem, nim rozpocznie się burza.

Nie wymówił jeszcze ostatnich słów, kiedy brat Paweł usłyszał ponaglający huk piorunów.

— Dokąd idziemy?

— Na wspólny posiłek. Jest to o wiele bardziej wydajny sposób gotowania, a i pozwala na sprawiedliwszy podział żywności. Dlatego latem jadamy razem.

Brat Paweł pomyślał, że takie rozwiązanie musiało przypaść do gustu komuś, kto jest komunistą.

— Burza to najlepszy czas na posiłek, skoro i tak pracę na dworze trzeba przerwać.

— Twoja żona... czy idzie z nami?

— Nie. Jada na innej zmianie, tak jak i syn. Ja jestem zwolniony z prac na rzecz wspólnoty na okres twojego pobytu tutaj; moim zadaniem jest dbanie o ciebie. W tej chwili właśnie dopilnuję, żeby cię dobrze nakarmiono. Chodźmy już. Zaniedbuję bowiem swoje obowiązki, zwlekając z zabranieniem cię na posiłek. Pospieszajmy.

Pospieszyli więc. Na zewnątrz brat Paweł ujrzał ociążałe chmury, wyłaniające się z mgły nad leżące na wschodzie jeziora, chmury tak gęste, że wyglądały jak bąble lawy na niebie. Kaprysem lokalnego układu klimatycznego wiatr dał bezpośrednio z północy, sprawiając wrażenie, że pola pszenicy na zachodzie są już w deszczu. Chmury były jedyną widoczną oznaką burzy, której zewnętrzne zawirowania sięgały już osady. Po chwili dostrzegł błyski kolorów — bańki Tarota niesione wiatrem, pękające bez przerwy, lecz w takich ilościach, że ozdabiały niebo. Cóż za wspaniały widok!

— Za późno — zmartwił się wielebny Siltz. — Ponieważ jednak i tak muszę cię tam doprowadzić, będziemy musieli użyć kielichów.

— Trochę deszczu mi nie zaszkodzi — powiedział brat Paweł, który naprawdę lubił silne burze; były one przecież jaskrawym przykładem potęgi przyrody. Ale jego towarzysz już zniknął w wejściu do domu.

— Nie chodzi o wodę deszczową — wołał ze środka. — Chodzi o Bigfoota, który czai się w deszczu śniegu.

Bigfoot? Wielkostopy? Brat Paweł znał ziemskie legendy dotyczące Yeti, Sasquatcha, Ohydneho Człowieka Śniegu, Małpośmierdziela i Postracha; w rzeczywistości był, w pewnym sensie, fanem Bigfoota. Wraz z kulturalnym i technologicznym regresem Ziemi wszystkie legendy tego rodzaju przybierały na sile. Brat Paweł uważał jednak, że w większości przypadków człekokształtne monstra były widzianymi z daleka istotami ludzkimi. Brudny, rozczochrany, ubrany w łachmany, a do tego chory i zdesperowany człowiek — szczególnie widziany o zmroku, kiedy skrada się, żeby zdobyć coś do jedzenia — mógłby przerazić każdego. A czy takie człekokształtne monstra istnieją naprawdę — któż to może wiedzieć? Miał nadzieję, że tak — chociażby dlatego, żeby Ziemię uczynić bardziej interesującą.

Wielebny Siltz wynurzył się z chaty z naręczem drewnianych klepek. Zmontował z nich szybko

dwie półkule, każda około metra średnicy, Z zaostrzonymi kołkami na obwodzie. Przedziwne kielichy! Czy miały jakiś symboliczny związek z burzą? Woda, kielichy z Tarota?

— Załóż to na ramiona i przypnij pasami — instruował Siltz, pomagając bratu Pawłowi. — Kiedy zacznie się burza, pochyl się do przodu, a będziesz zabezpieczony. Nie pozwól, żeby wiatr przedostał się do wnętrza kielicha; mógłby unieść cię w powietrze. Jeśli nadejdzie Bigfoot, odpędzisz go ostrymi kołkami. Będę zresztą tuż przy tobie.

I wielebny założył swoje własne urządzenie.

Drewniana, parasolowata kopuła była na tyle głęboka, że ograniczała pole widzenia. Brat Paweł nie chciał sprawiać kłopotów swojemu gospodarzowi, ale to przecież było zupełnie niepoważne!

Wielebny poprowadził go obok stosu drewna, przy którym stało tylko dwóch strażników z trójzębami, w kierunku większego budynku stojącego na szczycie łagodnego wzgórza. Mimo nieporęcznego ekwipunku na ramionach, utrzymywali przyzwoite tempo. Pojedyncze grzmoty przypominały o gwałtowności burzy. Ściana deszczu znajdowała się w odległości kilometra od nich, na jeziorze. Deszcz padał tam z taką siłą, że powierzchnia jeziora kipiała, a horyzont był całkowicie niewidoczny. Nie miało to żadnego znaczenia dla brata Pawła, któremu drewniany kielich i tak zasłaniał wszystko dookoła. Patrzył przeto na własne stopy i stopy towarzysza, czując się trochę jak zbiornik na nogach, i wracał myślami do Bigfoota. Czy tutaj, na planecie Tarot, występuje podobne stworzenie? Czy są to tylko przesady z pogranicza? Przy tej różnorodności sekt i kultów religijnych wiara w zjawiska nadprzyrodzone nie byłaby niczym zaskakującym. Jeśli jednak istnieją...

Nagły, potężny trzask pioruna o mało nie zwałił go z nóg. Nigdy przedtem nie przeżył takiego szoku; ogłuszony i oszołomiony stał wpatrując się w ziemię, czując mrowienie we włosach i na całym ciele. Nie tylko powietrze było naładowane elektrycznie, on sam również! Należało się spodziewać dalszych wyładowań w pobliżu, a to mu się zupełnie nie podobało. Nie było żadnej przesady w twierdzeniach o surowych warunkach panujących na tej planecie! I drewniana tarcza nie osłoni go przed nimi!

Wielebny Siltz machał ponaglająco ręką, wskazując przed siebie. Zaiste! Sam równie gorąco pragnął znaleźć się wreszcie w bezpieczniejszym miejscu!

Nastąpiło uderzenie deszczu. Było to jak lawina zgniatająca kielich. Deszcz? Nie, to był grad, kulki lodu o średnicy centymetra. Stukały energicznie w tarczę, niewielkie ale bardzo twarde. Za nic nie chciałby się znaleźć z odkrytą głową wśród tych lodowych pocisków!

Poryw wiatru uderzył całą ich serią po jego nogach i szarpnął do góry tarczę. Zmienił szybko pozycję, ustawiając się tak, żeby odeprzeć atak wichury; ta burza rzeczywiście była potężna.

Grad przeszedł w deszcz ze śniegiem, następnie w deszcz. Teraz już był pewien; to, co dźwigał dla ochrony przed zaciekłym szturmem wody, to był kielich w sensie dosłownym. Nie wiedział, czy koloniści używają tej symboliki świadomie czy nieświadomie, ale był przekonany o jej istnieniu.

Pole było teraz rzeką, głęboką na centymetr. Unosiły się na niej kolorowe bańki Tarota,

podskakiwały na powierzchni wody i wydawało mu się, że pękają pod wpływem jego spojrzenia. A może było odwrotnie: te, które pękały, przyciągały tym samym jego wzrok. Pozostałe, ocalałe, przydawały scenerii jakiegoś surrealistycznego blasku.

Wielebny Siltz przysunął się bliżej.

— Wyjdź z tego kanału. Idź groblą.

Dopiero w tej chwili brat Paweł zauważył, że szedł w niewielkim zagłębieniu. Nic dziwnego, że aż tak rozpryskiwał wodę. Przeniósł się więc tam, gdzie przyczepność gruntu była znacznie lepsza.

— Bigfoot jest w pobliżu! — zawołał Siltz. — Bardziej szybko! I zaczął biec.

Bardziej szybko. Wygląda na to, że następują zmiany językowe w sytuacjach stresowych. To nie żarty; mężczyzna był wyraźnie zaniepokojony. Brat Paweł pobiegł za nim, zastanawiając się, czy Siltz obrał właściwy kierunek. Deszcz bowiem zakrywał wszystko i nie tracił na intensywności. Powstałe z deszczu rzeki wlewały się teraz do jeziora, zamazując jego brzegi; wszystko było wodą. Grad leżący na ziemi zamienił się w mokry śnieg. Ale o co tu chodzi z tym Bigfootem...

I wtedy zobaczył odcisk stopy.

Był podobny do śladu człowieka, tyle że półmetrowej długości. Stworzenie, które pozostawiło ten ślad, jeśli było proporcjonalnie zbudowane, musiało posiadać masę trzy razy większą od ludzkiej. Jakies dwieście dwadzieścia pięć kilogramów!

Poczuł dreszcz, jaki towarzyszy odkryciu — i dreszcz lęku. Ślad był świeży, sprzed kilku sekund, a już się rozmywał. Tutaj naprawdę jest Bigfoot — i to w odległości dwóch, trzech metrów od niego!

Wielebny Siltz chwycił jego ramię pod kielichem. — Naprzód! — zawołał głosem, w którym nietrudno było wyczytać strach.

W duszy brata Pawła ciekawość walczyła z rozsądkiem. Rozsądek zwyciężył. Ruszył ostro do przodu. Nie był to bowiem najlepszy moment do zabawy z dwustukilową bestią!

Deszcz uderzał w nich z olbrzymią siłą, niemal przekręcając ich tarcze. Grunt pod stopami mieli jednak twardy, tak że wkrótce znaleźli się w bezpiecznym schronieniu kuchni wspólnoty. Mieli tylko przemoczone nogi, co nie wydawało się im przeszkadzać.

— Naraziłeś naszego gościa na spotkanie z Bigfootem? — wyszeptał strażnik przy drzwiach do wielebnego Siltza.

Komunista wszedł do środka, nie odpowiadając na pytanie. Brat Paweł szedł za nim.

— Prawdę mówiąc, chciałbym zobaczyć Bigfoota — powiedział strażnikowi. — Bałem się raczej błyskawic i grzmotów.

Ale strażnik się nawet nie uśmiechnął.

W budynku było sporo ludzi zajmujących się swoimi sprawami i nikt nie mu serdecznego powitania. Wielebny Siltz zauważał tylko tych, którzy nosili znak sierpa i młota, emblemat jego kościoła, ignorując pozostałych. Poprowadził jednak brata Pawła do stołu, przy którym siedziało kilku mężczyzn należących do różnych wyznań. Przynajmniej tak sądził brat Paweł na podstawie fakturze godła na ich ubraniach różniły się między sobą.

— Musisz zapewnić tych ludzi, że nie usiłowałem w żaden sposób wpływać na twój obiektywizm w wiadomych sprawach — mruknął wielebny. — Ja przyniosę zupę.

Brat Paweł usiadł i rozejrzał się.

— Zapewniam was — powiedział z uśmiechem. — Sprawilem mu kłopot moimi pytaniami, zmuszając kilkakrotnie do powoływania się na Przymierze, ale wytrzymał ten atak. Jestem co prawda mokry ale czysty.

Mężczyzna siedzący po drugiej stronie stołu uśmiechnął się grzecznie. Był w średnim wieku, miał niebieskie oczy, sporą łysinę i drobne kreski zmarszczek od częstego uśmiechu.

— Jestem diakon Brown, Kościół Lemurii. Jesteśmy przekonani o twym obiektywizmie. Musisz wybaczyć swojemu gospodarzowi jego małomówność; przeżywa teraz kłopoty rodzinne.

— Zupełnie nie mam na co się skarżyć — powiedział brat Paweł ostrożnie. — Wielebny Siltz potraktował mnie z dużą serdecznością. Obawiam się, że zadając mu tyle pytań opóźniłem nasze wyjście i dlatego zaskoczyła nas burza. Ja rzeczywiście mam skłonności do gadania.

Tą przemową załatwił zapewne wielebnemu rozgrzeszenie ze spóźnienia. Miał teraz ochotę dowiedzieć się czegoś więcej na temat społeczności obejmującej tak dużą liczbę różnych sekt, ale zdecydował się poczekać. Wiedział przecież, że kolonistom nie wolno informować go o tych sprawach w sposób nieformalny, bo mogą być oskarżeni o prozelityzm, o nawracanie. Zresztą obecni tutaj najwyraźniej ignorowali jego aluzje na ten temat.

— Bo widzisz, jego syn ma poważne zamiary wobec kobiety z Kościoła Scientologii — ciągnął dalej diakon Brown. — Oboje pracowali tej wiosny przy zbiorach drzewnych i kielich się przelał.

Tym razem związek z Tarotem był niewątpliwy! Kielichy były nie tylko kolorem wody; oznaczały też religię — i miłość. Bardzo trudne zestawienie w tutejszych warunkach.

— Czy dozwala się małżeństwa pomiędzy wyznawcami różnych religii?

— Niektóre sekty dozwalają, inne zakazują. Musisz zrozumieć, bracie Pawle, że jesteśmy społecznością przesiąkniętą zazdrością. — Wielebny Siltz użył podobnego wyrażenia; niewątpliwie była to prawda! — Przybyliśmy tutaj jako niezależne sekty, aby doskonalić nasze własne metody kultu w pełnej wolności religijnej i ku naszemu niezadowoleniu i frustracji stwierdziliśmy, że jesteśmy zmuszeni pozostawać w bliskich stosunkach z wyznającymi fałszywą wiarę. Praktycznie zgadzamy się tylko co do jednego — co do konieczności przetrwania, ale i to nie zawsze.

— Tak, rozumiem. Ale przecież nie powinno się przeciwstawiać religii zdrowemu rozsądkowi.

Nie ma aż tylu członków każdej sekty w tej osadzie, aby można było szerzyć wiarę wewnątrz kościoła. Należy szukać jakiegoś rozsądnego kompromisu.

— Idziemy na kompromis — zgodził się diakon Brown. — Ale nie w wystarczającym stopniu. Rozumiemy, na przykład, sytuację wielebnego Siltza; żaden z nas by nie chciał, by jego dziecko poślubiło członka Kościoła Scientologii lub Baha czy jakiegoś innego potomka pogan. I dlatego moja córka nie przestaje w towarzystwie syna obecnego tu pastora Malcolma z Kościoła Narodu Islamu. — Siedzący obok mężczyzna potwierdził te słowa uśmiechem, ukazującym olśniewającą biel zębów kontrastującą z brązową skórą. — Ale kielich posiada wielką moc i dlatego czekają nas poważne kłopoty, jeśli nie uda się wkrótce określić prawdziwej natury Boga Drzewa Życia.

— Tak też zostałem poinformowany.

Brat Paweł znał już przyczynę napiętych stosunków pomiędzy kolonistami, ale wydawała mu się ona spowodowana niemądrym uporem. Tam, gdzie występują groźne burze, i Bigfoot, i wszelkie problemy świata pionierów i pogranicza — niepotrzebne już są bezsensowne właśnie religijne. Doświadczenie Świętego Zakonu Wizyjnego pokazywało, że współzycie różnych sekt ze sobą jest możliwe. Dla brata Pawła religia, która nie była w stanie tolerować innych religii, sama przyznawała się do słabości. Jezus Chrystus nauczał, że należy być tolerancyjnym wobec wszystkich ludzi. No, może nie wobec przekupniów i lichwiarzy w świątyni A jednak...

Wielebny Siltz wrócił z dwiema, wypełnionymi po brzegi, drewnianymi miseczkami. Postawił jedną przed bratem Pawłem, a sam usiadł na drewnianej ławie. W każdej miseczce była łyżka, również drewniana, niezbyt dokładnie obrobiona, ale dobrze spełniająca swoją funkcję. Musi tu być cały przemysł rękodzielniczy wytwarzający naczynia i sztuce. Było to zgodne z zasadami zakonu, a zastawa stołowa z drewna w tych warunkach była niewątpliwie bardzo praktycznym rozwiązaniem.

Brat Paweł i wielebny Siltz zabrali się ochoczo do jedzenia. Nie odmawiano modlitwy przed jedzeniem; prawdopodobnie sekty nie mogły dojść do porozumienia jeśli chodzi o jej formułę i zgodziły się w Przymierzu na jej całkowite pominięcie. Zupa była mu zupełnie nie znana, ale sprawiała wrażenie pożywej; posiadała konsystencję kartoflanki i miała niezwykley smak.

— Jeśli można spytać... — zaczął.

— Drewnianka — natychmiast odpowiedział diakon Brown. — Drzewo Życia karmi nas wszystkich, łatwiej jednak uzyskać jego wartości odżywcze po ugotowaniu drewna. Spożywamy również jego owoce, ale są jeszcze dojrzałe o tej porze roku.

Drewnianka. Dlaczegoż by nie? Coraz lepiej rozumiał ten dodatkowy, wtórny kult Drzewa. Może najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby Bóg Tarota okazał się ostatecznie tożsamy z tutejszym Drzewem. Żeby to była tylko sprawa interpretacji — będzie musiał jednak poczekać i zobaczyć, bez formułowania przedwczesnych wniosków.

Dokończył zupę i poczuł się syty. Wielebny Siltz natychmiast odniósł miskę. Najwyraźniej zależało mu na tym, żeby inni byli przekonani o bezstronności gościa, zostawiał go przeto samego pod byle pretekstem. Jeszcze jeden sygnał napiętych stosunków.

— Jeśli mogę spytać, nie urażając nikogo — zaczął brat Paweł, zdając sobie sprawę w pełni z tego, że uraza jest nieunikniona, jeśli ma kontynuować swoją misję.

— Nie jesteś stąd — powiedział diakon Brown. — Nie znasz obowiązujących tutaj zasad. Przedstawię ci je zwięźle: żadnych rozmów o religii. Na każdy inny temat możesz mówić swobodnie; postaramy się być tolerancyjni.

Hm. Chyba nie uda mu się zastosować ściśle do tej zasady, skoro jego zadanie tutaj było czysto religijne. Wszystko jednak we właściwym czasie.

— Dziękuję ci. Zauważyłem, że stosujecie tu symbolikę przypominającą symbolikę z talii Taro ta. Na przykład Kielichy, będące w Tarocie odpowiednikiem Kierów. Czy czynicie to celowo?

Wszyscy siedzący przy stole uśmiechnęli się.

— Naturalnie — odpowiedział diakon. — Każda sekta ma swoją własną talię Tarota, jakiś jego wariant. Jest to częścią naszego wspólnego szacunku, którym darzymy Drzewo Życia. Nie sądzimy, by pozostawało to w jakimkolwiek konflikcie z poszczególnymi wyznaniem; raczej je wzmacnia i wytwarza jedną z niewielu łączących nas więzi.

Brat Paweł skinął głową.

— Tarot wydaje się ściśle związany z waszą planetą, z wizjami zaczerpniętymi z jego kart...

— Nie z wizjami — poprawił go diakon. — Z animacjami. Są one bowiem namacalnymi, a czasami wręcz niebezpiecznymi zjawiskami.

— Ale chyba nie materialnymi — powiedział brat Paweł, chcąc wyjaśnić sprawę do końca.

— Zaiste, materialnymi! Dlatego potrzebna będzie ci ochrona, kiedy będziesz je badał. Czyżby komunista cię o tym nie poinformował?

— Owszem, ja jednak zachowuję sceptycyzm. Nie rozumiem, jak...

Diakon wyciągnął talię kart. — Pozwól, że ci zademonstruję, jeśli usłyszę sprzeciwu ze strony przedstawicieli innych wyznań. — Rozejrzał się wokół, lecz nikt nie protestował. — Burza jeszcze trwa; powinno być możliwe... — Wybrał jedną z kart i skoncentrował się na niej.

Brat Paweł przyglądał się temu sceptycznie. Jeśli ten człowiek spodziewa się utworzyć coś materialnego z powietrza...

Na stole pojawił się jakiś kształt, jakby wyłaniający się z chmury, rozmazany ale coraz wyraźniejszy. Ołówek, pałeczka do jedzenia...

— As Pałek! — wykrzyknął brat Paweł.

Diakon Brown nie odpowiadał; koncentrował się na swojej wizji. Wielebny Siltz powrócił

tymczasem i podjął wyjaśnienia.

— Sądziś zapewne, że to, co stworzył Brown, to forma bez materii, lustrzane odbicie tego, co postrzega na karcie. Patrz tedy.

Wyciągnął rękę i chwycił pałeczkę między kciuk i palec wskazujący. Jego dłoń nie przeszła przez nią, co miałoby miejsce, gdyby to był tylko obraz w powietrzu; ruchy pałeczki wyglądały na rzeczywiste.

— Teraz cię nią dotknę — powiedział Siltz.

I stuknął lekko wierzch dłoni brata Pawła końcem pałeczki. Była rzeczywiście litą materią. Brat Paweł poczuł ucisk, a potem pieczenie. Cofnął gwałtownie rękę.

— Gorące!

Kiedy to mówił pałeczka zapłonęła na końcu jak zapalka. Siltz upuścił ją na stół, gdzie dalej płonęła.

— Ogień — rzeczywistość stojąca za tym symbolem, potęga przyrody — powiedział. — Proszę, niech ktoś postara się o trochę wody.

Przedstawiciel Narodu Islamu wyciągnął kartę z własnej talii. Skoncentrował się na niej. Ukazały się dwa bogato zdobione, złote kielichy. Diakon Brown ujął jeden z nich i wylał jego zawartość na płonąca pałeczkę. Zasycało i kłęb pary unióśł się do góry.

Czyżby próbowano go oszukać sztuczkami magicznymi? Brat Paweł znał się na nich całkiem niezłe; jego własne palce były wyjątkowo sprawne.

— Czyż można? — zapytał, sięgając po drugi kielich.

Ku jego zdziwieniu, nikt nie oponował. Dotknął kielicha i stwierdził, że jest materialny. Podniósł go do góry. Kielich był ciężki, nawet bardzo ciężki; tylko czyste złoto mogło mieć taki ciężar! Zanurzył palec w płynie i dotknął nim języka. Woda! Spryskał nią oparzenie na dłoni i przyniosło mu to ulgę. Miał więc do czynienia z namacalnym, materialnym, w pełni wiarygodnym kielichem i z podobnie materialną wodą. Woda, ponownie rzeczywistość stojąca za symbolem, żeńskie dopełnienie do męskiego ognia. Tarot, który stał się ciałem.

— Zbiorowa hipnoza? — spytał brat Paweł w zadumie. — Czy wszyscy widzicie i odczuwacie te przedmioty?

— Tak, wszyscy — zapewnił go wielebny Siltz.

— Czy mógłbym sam spróbować? Przyznaję, że jestem pod wrażeniem, ale jestem też niepoprawnym sceptykiem.

— Prosimy bardzo — powiedział diakon Brown. — Pochwalamy sceptycyzm w twoim przypadku.

Niepotrzebny nam jeszcze jeden zaangażowany członek jakiegoś kościoła.

Rozległ się aprobowany pomruk, ale bratu Pawłowi wydawało się, że wyczuwa w nim nutę smutku. Przynajmniej obecni nie byli zbyt wrażliwi na punkcie swojej wyjątkowej sytuacji! Być może zostali wybrani do współpracy z nim spośród najmniej fanatycznych członków — swoich sekt.

— Wobec tego poproszę o talię Tarota.

Podano mu talię kart. Choć był zazwyczaj bystrym obserwatorem, fascynacja tym, co się działo, spowodowała, że pożyczający mu karty pozostał anonimowy; za nic nie mógł sobie później przypomnieć, czyjej talii używał. Przerzucał szybko karty, rozgrzewając palce. Były czasy kiedy... — ale tych czasów lepiej sobie nie przypominać.

Była to popularna średniowieczna wersja — z chłopami, skrzydlatymi postaciami i dziećmi. W tej sytuacji wolał taką od jakiejś współczesnej z wyrafinowanymi wzorami; talia surrealistyczna skomplikowałaby i tak już trudne i niewiarygodne doświadczenie.

— Wybiorę jedną kartę — mówił powoli brat Paweł. — Pokażę ją wszystkim z wyjątkiem jednego z was. Następnie ten jeden weźmie kartę i przeprowadzi jej animację, nie patrząc na nikogo z pozostałych. Czy mogę prosić o ochotnika?

— Ja to zrobię — powiedział diakon Brown. — My, członkowie Kościoła Lemurii, zawsze chętnie demonstrujemy realność naszego... — Ktoś zakasłał i Brown przerwał w pół zdania. — Przepraszam. Nie było moim zamiarem nawracanie na naszą wiarę.

Odwrócił głowę, a jego łysina błysnęła w przyćmionym świetle padającym przez okno. Ponury mrok towarzyszący burzy powoli ustępował. Brat Paweł wybrał Trójkę Mieczów. Była to ładna karta, ilustrowana prostym mieczem o czerwonej głowni, obramowanym dwiema bogato zdobionymi zakrzywionymi szablami, na tle kolorowych liści. Bez słowa pokazał ją każdemu po kolei, po czym podał diakonowi.

Prawie natychmiast ilustracja została odtworzona w powietrzu. Trzy ostrza i liście wisały nad stołem. Brat Paweł wyciągnął dłoń i dotknął jednej z dwu szabli, a wówczas wszystkie trzy przedmioty spadły z łoskotem na podłogę. W sali zapanowała cisza. Siedzący przy stołach w milczeniu obserwowali to, co się dzieje.

— Przepraszam — powiedział brat Paweł. — Obawiam się, że zepsułem wszystko wynikającym z niewiedzy dotknięciem. Pozwólcie na jeszcze jedną próbę.

W duchu zaś pytał sam siebie: jeśli byłem w stanie zaakceptować obecność Antaresa podczas teleportacji, cóż przeszkadza mi zaakceptować obecność tych przedmiotów? I natychmiast sam sobie odpowiedział: bo tutaj są świadkowie. Antaresa mogła stworzyć jego własna wyobraźnia; obecne zjawiska przekraczały wszelką wyobraźnię.

Rozejrzał się wokół. Gdzie jest pałeczka? Gdzie są kielichy i miecze? Nie widział teraz żadnego z tych przedmiotów. Czyżby zniknęły w otchłani, z której przybyły? Czy w ogóle zaistniały? No dobrze,

jeśli to są tylko sztuczki, za chwilę je zdemaskuje.

Ponownie wybrał kartę: Czwórkę Monet ilustrowaną czterema podobnymi do kwiatów krążkami, każdy z czterolistną koniczynką pośrodku, i ozdobioną tarczą z godłem IM. Pokazał ją wszystkim wokół i podał diakonowi. W rzeczywistości podał mu jednak Asa Kielichów, bowiem w tajemnicy przed obecnymi podmienił karty.

Jeśli teraz pojawią się cztery monety, będzie wiedział, że to zbiorowa hipnoza, wywołana i wzmocniona wiarą pozostałych. Ale jeśli pojawi się kielich...!

Pojawił się kielich — ogromny i kolorowy, z niebieskim brzegiem, czerwoną przykrywką i wyrytym na boku krzyżem.

— Wydaje mi się, że nasz gość bawi się naszym kosztem — zauważył wielebny Siltz ponuro.

— Sprawdzam tylko pochodzenie animacji — powiedział brat Paweł wstrząśnięty rezultatem eksperymentu. — Czy wszyscy widzą monetę?

— Kielich, nie monetę — powiedział Siltz. — Wywołujący przedmioty kontroluje sytuację; nasze oczekiwania są tu zupełnie nieistotne.

Najwyraźniej to prawda! Tym bardziej że z powodu rozmiarów kielicha diakon nie byłby w stanie ukryć go w swoim ubraniu, żeby wykorzystać w sztuczce kuglarskiej, nawet gdyby był na tyle sprytny, aby przeprowadzić taką sztuczkę pod doświadczonym okiem brata Pawła. Miał tutaj do czynienia z większym wyzwaniem niż się spodziewał! Miał do czynienia z konkretnymi, materialnymi zjawami przywołanymi do zaistnienia siłą woli człowieka!

— Imponujące — przyznał brat Paweł. — Wydajecie się rzeczywiście panować nad sytuacją. Jeśli dobrze rozumiem, byliście jednak kiedyś bardzo zaniepokojeni animacjami występującymi nie w porę.

Wielebny Siltz uśmiechnął się gorzko.

— To prawda. Tak było na początku, ale w ciągu ubiegłego roku poznaliśmy bliżej to zjawisko. Jesteśmy przekonani o realności animacji; pojąć musimy jeszcze tylko Boga.

Diakon odwrócił się i kielich znikł.

— Każdy z nas mógłby animować Boga na swoje podobieństwo, ale byłoby to tylko wyrażeniem subiektywnej opinii, a nie rzeczywistością. A dla nas sprawą żywotną jest poznanie prawdy.

— A czyż ja sam nie animowałbym Boga także na swoje podobieństwo? — zapytał zakłopotany brat Paweł.

Był to zresztą problem poruszony przez Siltza podczas ich rozmowy w cztery oczy.

— Musimy wierzyć w twój obiektywizm — a poza tym wyślemy ci do pomocy obserwatorów —

powiedział wielebny Siltz. Nie zdradzał się terazze swoim osobistym stosunkiem do jego misji! Czyżby wierni Drugiego Kościoła Komunistycznego grywali w pokera? — Będą cię oni chronić w niebezpiecznych sytuacjach, kiedy pojawią się nieoczekiwane animacje.

Animacje, które — co dano mu do zrozumienia — mogą zagrażać jego życiu.

— Czy pozwolicie mi spróbować? Teraz, tutaj? — spytał brat Paweł, odczuwając dreszcz podobny do dreszczu tremy przed publicznym występem.

— Uczyń to szybko, nim burza przejdzie — powiedział Brown. Zjawisko jest bowiem dość kapryśne; ta była wyjątkowo dobrą passą. Zazwyczaj, żeby uzyskać tak ostre i wyraźne animacje, musimy udać się do otchłani Doliny Północnej. A to już jest bardzo niebezpieczne. Paweł wybrał pierwszą kartę Wielkich Arkanów: Numer Zero, głupiec.

— Nie! — krzyknęło kilka głosów jednocześnie.

— Nie próbuj animować żywego człowieka — powiedział Siltz, a pozostali, wydawali się podzielać jego zdanie. — Może to przynieść nieprzewidziane skutki.

Brat Paweł skinął głową. Najwyraźniej to zjawisko jeszcze im całkiem nie zubożyło! Jeśli jednak do tej pory nie spróbowali animować człowieka, to ich eksperymenty niewiele są warte. Domyślał się, jak należy postąpić.

— Skoro chcecie, abym zbadał to zjawisko w sposób właściwy, powinniście pozwolić, żebym animował wszystko, co jest w mojej mocy — a wolałbym wykonać pierwszą próbę tutaj, przy waszej znajomości rzeczy i pod waszym przewodnictwem.

Twarze obecnych wyrażały obawę. Może i należeli do różnych religii, ale w pewnych sprawach byli wyraźnie jednomyślni!

— Zgadza się z twoim rozumowaniem — powiedział ciężko wielebny Siltz. — Jeśli już musisz to zrobić, lepiej żebyś to zrobił tutaj. Będziemy przyglądać się z boku.

Brat Paweł przejrzał szybko karty. W tej talii Głupiec nazywał się Le Mat i występował w stroju błazna. Było to całkowicie odmienne od interpretacji Waite'a, u którego Głupiec był szlachetnym i niewinnym młodzieńcem robiącym krok w kierunku przepaści, symbolizującym tym krokiem olbrzymi potencjał ludzkich aspiracji i błędów. W innych wersjach mały, zajadły pies szarpie za spodnie Głupca, obnażając jego pośladki: szczyt drwiny i pośmiewiska. Widział kiedyś wersję, w której Głupiec wydawał się wypróżniać. Taką rzeczywiście należałoby pominąć: jej użycie byłoby zaiste Szaleństwem.

Karta Numer Jeden przedstawiała Maga, ewentualnie Kuglarza pokazującego swe nędzne sztuczki na stole. W Stacji Zakonu zdarzało się Czasem, że któryś z braci przygadywał bratu Pawłowi — bardzo delikatnie, bo żaden z braci nie zraniłby z rozmysłem drugiego — na temat jego bliskich związków z tą właśnie kartą. Wiedzieli, że był kiedyś szulerem i obserwowali z podziwem jego biegłość i zręczność w obchodzeniu się z urządzeniami mechanicznymi. Brat Paweł traktował te

aluzje ze spokojem, wdzięczny za poczucie wspólnoty, jakie odnalazł w zakonie po uprzednim życiu, pełnym... — nieważne czego. Wolał myśleć o sobie jako o człowieku poszukującym ostatecznych znaczeń, których symbolami były przedmioty z karty Tarota Wizji: pałka, kielich, miecz i moneta, oznaczające odpowiednio: ogień, wodę, powietrze i ziemię w owej wszechobecnej symbolice formy. Również w tej wersji, kosmiczna lemniskata — pozioma ósemka, symbol nieskończoności — unosiła się jak aureola nad głową Maga, a wokół jego bioder owinięty był wąż pożerający własny ogon: robak Ouroboros, także symbolizujący nieskończoność. Wszystko, co zawierało się w czasie i przestrzeni — to była wielkość, do której dążył ten współczesny Mag. Ale tutaj, w tej talii, zdegradowany do roli nędznego sztukmistrza — nie, należy go również pominąć.

Karta Numer Dwa, zatytułowana Junona. W mitologii rzymskiej była małżonką Jowisza i królową bogów, odpowiedniczką greckiej Hery. Była szczególną opiekunką małżeństwa i kobiet. Jej ptakiem był paw, również przedstawiony na karcie. Ilustracja ukazywała ją jako piękną kobietę w jaskrawoczerwonej sukni, o pełnych piersiach i z obnażonymi nogami. . Postać takiej amazonki mogłaby być nie najlepiej przyjęta przez to zdominowane przez mężczyzn zgromadzenie. Niestety, należy ją również pominąć; nawet w powszechnie znanym stroju Arcykapłanki (i złej sławy papieżycy!) byłby to wybór wątpliwy.

Karta Numer Trzy, Cesarzowa — kobieta bardziej dojrzała i potężniejsza od poprzedniej. W wielu taliach Kapłanka reprezentowała dziewicę, podczas gdy Cesarzowa — kobietę matkę. Tutaj Cesarzowa siedziała na tronie; w innych taliach jej tron stał wśród łanów pszenicy. Czyżby to rzeczywiście ją widział zaledwie kilka godzin temu, gdy opuścił kapsułę? Jeśli tak było, nie chciał przywołać jej teraz w obecności innych. Wolałby ją raczej spotkać na osobności, bowiem było w niej coś, co go bardzo pociągało. Na razie ją pominie.

Karta Numer Cztery, Cesarz, tworzący parę z Cesarzową, symbol władzy ziemskiej, siedzący na tronie ze skrzyżowanymi nogami, trzymający w prawej dłoni berło w kształcie egipskiego Ankh — Krzyża Życia, a w lewej jabłko królewskie. Symbolizuje przewagę rozumu nad emocjami, świadomości nad podświadomością. Tak, to odpowiednia karta na tę okazję! Karta władzy i potęgi.

Choć trzymał w dłoni kartę średniowieczną, w myślach przywołał kartę w wersji Zakonu Wizyjnego. Gdyby bowiem chciał animować postać z tej talii, musiałby przywołać średniowiecznego monarchę z ogromną, wklęsłą tarczą, przypominającą nieco drewniany kielich używany tutaj dla osłony przed niebezpieczeństwem burzy, i z berłem, któremu wystarczyło dodać trzy ostrza, by stał się trójzębem. Wielebny Siltz mógłby spokojnie służyć twórcy tej ilustracji za modela!

Brat Paweł skoncentrował się. Czuł się trochę głupio; być może tak długo nie mógł podjąć decyzji, bo z góry wiedział, że to daremny i niemądry test, który chcąc nie chcąc musi przeprowadzić. Musiała istnieć jakaś sztuczka, dzięki której animacje kolonistów wydawały się realne, a on tej sztuczki nie znał.

I rzeczywiście, nic się nie wydarzyło. Czymkolwiek by nie było owo zjawisko animacji — nie potrafił go spowodować. Co oznaczało, że było jednak jakimś trikiem magicznym. — Wydaje się, że nic z tego nie będzie — powiedział z niejaką ulgą.

— Pozwól, że ja spróbuję; może trzeba ci trochę pomóc — powiedział wielebny Siltz.

Wziął kartę i skoncentrował się. Nic się nie wydarzyło.

— Burza przeszła — powiedział diakon Brown — i działanie zjawiska animacji ustało.

Tak więc moc sprawcza stojąca za animacją odsunęła się. Nie da się teraz niczego udowodnić, w żadną stronę. Brat Paweł przekonywał się w duchu, że czegoś takiego należało się spodziewać. A jednak był rozczarowany. Było to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, a on był tutaj prawdopodobnie po to, by rozwiać wszelkie złudzenia — ale jakąż niewiarygodną moc można by czerpać z animacji, gdyby tylko była autentyczna! Obiekty materialne uformowane wyobraźnią!

Cóż, trudno. Przybył tu po to, by stwierdzić realność zjawisk. Nie miał prawa spodziewać się istnienia zjawisk fantastycznych.

5

Intuicja (Hierofant)

Imperatorzy Wschodu żyli wytwornie i na wielką skalę. Przez około półtora tysiąca lat chińscy cesarze posiadali imponujące haremy składające się z jednej żony, trzech małżonek, dziewięciu współmałżonek, dwudziestu siedmiu konkubin i osiemdziesięciu jeden nimf. Cesarzowa dzieliła łożę z cesarzem raz na dwa tygodnie, pozostałe noce przypadały stojącym niżej w hierarchii haremu kobietom. Z upływem lat liczba kobiet w haremie rosła, aż bezpardonowe współzawodnictwo pomiędzy trzema tysiącami dam pałacowych doprowadziło do upadku całego systemu. Czym jednak, przed owym załamaniem się systemu, mogły zajmować się te panie w czasie wolnym, z którego głównie składało się ich życie? Musiały się przecież śmiertelnie nudzić! Tutaj, według Rogera Tilleya, autora Historii Kart do Gry znajduje się źródło pochodzenia kart do gry; wynalazła je jedna z dam cesarskiego haremu, by uwolnić, choć trochę, siebie i współtowarzyszki od dręczącej je nudy.

Następnego ranka wielebny Siltz zabrał brata Pawła na wędrowkę po okolicy.

— Ufam, że masz mocne nogi — powiedział. — Nie posiadamy bowiem tutaj ani maszyn, ani zwierząt pociągowych, ani wierzchowców, a teren jest trudny.

— Poradzę sobie — odpowiedział brat Paweł.

Po wczorajszych doświadczeniach z animacjami traktował słowa swojego gospodarza z należytą powagą — ale prawdopodobieństwo, że samo ukształtowanie terenu mogłoby go pokonać, było niewielkie.

Nie spał dobrze tej nocy. Poddasze było co prawda wygodne, z materacem wypełnionym pachnącymi wiórami, z sufitem z ładnych desek (w których prawie że spodziewał się ujrzeć korzenie trawy porastającej dach), ale oczyma wyobraźni ciągle widział wczorajsze animacje. Czy on sam mógł być uformować jakiś obiekt materialny, a wręcz postać ludzką, gdyby nie zwlekał, aż burza przejdzie? Jeśli zaś człowiek jest w stanie z własnej wyobraźni czy z ilustracji na karcie stworzyć miecz — czy miecz taki może być użyty jako narzędzie zabójstwa? Niewątpliwie miał do czynienia ze zbiorową hipnozą! Z drugiej strony, diakon Brown animował przecież kielich, a nie cztery monety...

Potrząsnął głową. Dojdzie prawdy we właściwym czasie, jeśli to w ogóle możliwe. Na tym polegała jego misja. Wpierw prawdy o animacjach, potem prawdy o Bogu. Intuicja i zgadywanie nie wystarczą; musi dotrzeć do źródeł, do nagich faktów.

Tymczasem wypadało zapoznać się z areną wydarzeń i z ludźmi, tutaj bowiem może być ukryta

cała tajemnica, a nie w animacjach. Mimo nocnych wątpliwości, rankiem czuł się znacznie lepiej, czuł, że podoła zadaniu. Jeśli to Bóg kryje się bezpośrednio za tymi zjawiskami — czegoż mógłby obawiać się zwykły śmiertelnik? Wszak Bóg to dobro.

Ledwie wyruszyli z osady, kiedy zatrzymał ich niski, śniady mężczyzna. Był albo tak mocno opalony, albo pochodził od przodków różnych ras, jak sam brat Paweł. Twarz miał pooraną zmarszczkami, choć mógł mieć nie więcej niż pięćdziesiąt lat.

— Przychodzę w sprawie najwyższej wagi — powiedział. Wielebny Siltz zatrzymał się.

— Pozwól, że ci przedstawię. To jest Swami z Kościoła Kundalini — powiedział sztywno. A do nowo przybyłego: — Brat Paweł ze Świętego Zakonu Wizyjnego.

— Właśnie do ciebie chcę się zwrócić — powiedział Swami do brata Pawła.

— A my wybraliśmy się na obchód terenu — powiedział wielebny Siltz z wymuszoną uprzejmością. Najwyraźniej traktował nowo przybyłego jak natręta. — Ogrodu, pól amarantu i rejonu animacji, gdzie czekają na nas obserwatorzy. Jeśli zechcesz się do nich przyłączyć...

— Chętnie dołączę do was — powiedział Swami.

— Ja zaś z radością porozmawiam z każdym, kto tylko wyrazi takie życzenie — powiedział brat Paweł. — Dużo jeszcze muszę się dowiedzieć na temat waszej planety i waszej społeczności.

— Nie możemy sobie pozwolić na oddelegowanie aż dwóch osób dla dotrzymania ci towarzystwa — nalegał Siltz. — Swami na pewno ma ważne sprawy gdzie indziej.

— Mam, ale będą musiały poczekać — powiedział Swami.

— No cóż, te kilka minut... — powiedział brat Paweł, niezadowolony z napięcia powstałego między dwoma mężczyznami.

— Być może Swami podejmie się roli przewodnika — powiedział Siltz, krzywiąc się. — Mam pewną sprawę, którą się zajmę teraz, skoro mam okazję.

— Czyżbym nieświadomie stał się powodem niezgody? — spytał brat Paweł. — Zapewniam, że nie chciałbym...

— Będę szczęśliwy mogąc służyć za przewodnika naszemu gościowi — powiedział Swami. — Drogę znam dobrze.

— Wobec tego oddalę się z wdzięcznością — powiedział wielebny, ale wyraz jego twarzy wyraźnie przeczył słowom.

— Ależ nie ma powodu, aby... — zaczął brat Paweł. Niepotrzebnie, bowiem wielebny z Drugiego Kościoła Komunistycznego odchodził już sztywnym ale szybkim krokiem w kierunku palisady otaczającej osadę.

Patrząc za nim, brat Paweł zastanawiał się; jakież jest pożytek z tej palisady, skoro nie chroni ona przed Bigfootem? A może to monstrum po prostu opłynęło palisadę i dostało się do środka w miejscu, gdzie dochodzi ona do jeziora; w czasie burzy nie było sposobu, żeby tego dopilnować.

— Tak to już u nas jest, bracie gościu — powiedział Swami. — Dzieli nas poważne różnice w sprawach wiary, lecz wszyscy przestrzegamy zasad Drzewa Życia. Wielebny komunista ma okazję, żeby sprawdzić, gdzie przebywa jego krnąbrny syn, a ja cię poprowadzę, przedstawiając przy okazji moje obiekcje wobec twojej misji.

Brat Paweł nie pozbył się jeszcze wątpliwości.

— Obawiam się, że wielebny czuje się obrażony.

— Mniej niż to pokazuje — powiedział Swami z uśmiechem. — Ma on rzeczywiście poważny problem wymagający jego uwagi, a niezręcznie byłoby pozwolić, aby ten problem przeszkodził mu w wypełnianiu obowiązków czy spowodował uchybienie gościnności. Ja również mam nie cierpiący zwłoki problem, który chciałbym z tobą przedyskutować. Za narzucanie się ze swoją sprawą jestem gotów wynagrodzić cię w miarę moich możliwości. Czy masz jakieś żądania?

Było to zbyt skomplikowane, by dało się pojąć natychmiast. Czy ten mężczyzna był przyjacielem, czy wrogiem, a może czymś pośrednim?

— W mojej sytuacji trudno mieć jakieś żądania. Proponuję przeto, żebyśmy kontynuowali naszą wycieczkę, a ja wysłucham tego, co masz do powiedzenia, ufając, że nie pogwałci to Przymierza.

— Pójdziemy skrajem rejonu stałej animacji, aż do miejsca, gdzie czeka grupa doradców. Wyprawa jest trochę niebezpieczna i musimy postępować ostrożnie. Jest to jednak niczym w porównaniu z niebezpieczeństwem, jakie przedstawia twoja misja, niezależnie od tego, z jak szczerymi intencjami podjęta, dla całej ludzkości. I to jest właśnie mój problem.

Brat Paweł spodziewał się czegoś takiego. W tym siedlisku schizmatyków musiał się znaleźć jakiś wieszczący zagładę prorok, ktoś, kto wyrazi silny sprzeciw wobec każdego planu wspólnoty, nawet takiego, którego jedynym celem będzie zjednoczenie służące przetrwaniu. Brat Paweł miał już pewne doświadczenie z rządami demokratycznymi w niewielkich wspólnotach. Tutaj dotąd wydawał się odgradzony od elementów szalonych. Teraz wyglądało na to, że jakoś do niego dotarły. Uważał jednak, że nawet fanatyk może posiadać pożyteczne informacje.

— Bardzo mi zależy na poznaniu wszelkich niebezpieczeństw — powiedział brat Paweł. — Fizycznych i społecznych.

— Dowiesz się i o jednych, i o drugich. Wpierw jednak pokażę ci ogród górski na południu: pomiędzy erupcjami uprawiamy tarasy, ponieważ popiół rozkłada się bardzo szybko i jest niewiarygodnie żyzny. Jeden ogród wykarmi całą osadę przez lato, co pozwala oszczędzić drewno na zimę. Jest to fundamentalne dla naszego przetrwania. Ten człowiek zupełnie nie robił wrażenia stukniętego!

— A co możesz mi powiedzieć o polach pszenicy, które widziałem wczoraj?

— Amarantu, nie pszenicy — poprawił go Swami. — Amarant to szczególny gatunek zboża, łatwo przystosowującego się do obcych klimatów. Kiedyś, na Ziemi, uważano je za chwast. Dopiero powrót do małych farm rodzinnych stworzył rynek na odporne, ręcznie uprawiane zboża. Uprawa prawdziwej pszenicy tutaj, na planecie Tarot, zakończyła się niepowodzeniem. Eksperymentujemy teraz z wieloma odmianami zbóż i spodziewamy się pomyślnych rezultatów. Pokrywa lawy na Górze Południowej jest również bogata, ale rozkłada się ona o wiele wolniej od popiołu, przez co wymaga upraw wolniejszych, lecz bardziej wytrzymałych. Klimat w dolnych partiach jest bardziej umiarkowany, co jest na dłuższą metę znacznie korzystniejsze.

Brat Paweł niewiele wiedział o amarancie, czy uprawie roli na terenach wulkanicznych i sporo z tego, co usłyszał, było dla niego nie całkiem jasne. Nie podejmował więc dyskusji. Jedną wszakże sprawą wydała mu się wątpliwa. Dekompozycja lawy — z tego, co wiedział — nie była procesem trwającym rok lub dwa lecz całe wieki. Zaś sezonowy wzrost roślin jest głównie zależny od pierwiastków znajdujących się już w glebie, a nie od powolnego rozpadu lawy.

Rozmowa się urwała, bo zaczęli wspinać się po bardziej stromym zboczu. Szkliste fasety skały przeświecały przez darń, jak osadzone w zboczu obsydianowe lusterka. Skała wulkaniczna? Niewątpliwie; żałował, że jego wiedza na ten temat jest tak ograniczona. Być może wulkany planety Tarot różnią się od ziemskich w sposób tak fundamentalny, jak ziemskie wulkany od tych, które znajdują się na sąsiednim Marsie. Fundamentalny. Uśmiechnął się, doceniając nie zamierzoną grę słów. Wulkan należał przecież do fundamentów, ukształtowanych przez najgłębsze siły skorupy planetarnej. Tak, że niezależnie od różnic czy podobieństw...

Potknął się na kamieniu i zgubił wątek myśli. Była tam co prawda ścieżka, ale niełatwa. Swami parł do przodu ze zwinnością małpy, chwytając za występy skalne z precyzją wynikającą z dużej wprawy. Brat Paweł z trudem dotrzymywał mu kroku, a i to tylko dzięki temu, że dokładnie powtarzał wszystkie ruchy i chwytaki przewodnika. W niektórych miejscach wspinali się prawie pionowo, a ścieżka pocięta była nieregularnymi szczelinami. Widocznie lawa, kurcząc się podczas stygnięcia, utworzyła te nieregularne rysy. Ukośne promienie słońca docierały do głębi wąskich szczelin i odbijały się oślepiająco w tę i z powrotem, powodując, że góra wyglądała jak zewnętrzna skorupa jakiejś piekielnej iluminacji. Ktoś, kto by zaglądał do tego kalejdoskopowego gabinetu luster, zostałby oślepiiony.

Lub zahipnotyzowany — uzmysłowił sobie nagle. Czy nie mogło to być źródłem animacji? Wobec tego, co oglądał i czego dotykał we wspólnej jadalni podczas burzy? Nie było tam żadnych szczelin ani promieni słońca. Tę teorię może odrzucić.

Szczeliny i gaz: tu już łatwiej o jakąś makabryczną analogię. Bocor, czarownik z Haiti, według wierzeń tamtejszych mieszkańców, jechał konno do chaty swojej ofiary, wysysał jej duszę przez szczelinę w drzwiach i zamykał ją w butelce. Później, kiedy ofiara umarła, otwierał grób, wyciągał butelkę i przekazywał zmarłemu jedno tchnienie jego własnej duszy. Tylko jedno tchnienie: nie dość, by przelać w niego całą duszę, a tylko jej część. Ciało zmarłego ożywało w postaci zombiego — żywego trupa, posłusznego i całkowicie podporządkowanego woli czarownika. Czy można to samo czynić z aurą i czy pozostaje to w jakimkolwiek związku ze zjawiskiem zachodzącym na planecie

Tarot?

Próżne spekulacje; dobrze zrobi, jeśli utrzyma je w korbach i zajmie się poszukiwaniem faktów obiektywnych. Wówczas dopiero będzie mógł sformułować kompetentną opinię. W tej chwili powinien zająć się najważniejszym: jak przeżyć tę niebezpieczną wspinaczkę!

Wydostali się wreszcie na wąską półkę skalną. Na tyle wąską, że mogli iść tylko jeden za drugim. Swami szedł przodem. Widok był przerażający; znajdowali się kilkaset metrów powyżej poziomu, na którym leżała osada, a ostatnie trzydzieści metrów stanowiła prawie pionowa ściana. Palisada wyglądała z tej wysokości jak ściana z wykałaczek. Biada temu, któremu brak poczucia równowagi!

Półka skalna przechodziła w ogród. Rosły tam nie znane mu krzewy i winoroślą. Nie było natomiast w ogóle baniek: najwyraźniej wysokość i silny wiatr zupełnie im nie sprzyjały. — Zaczęliśmy uprawiać ten kawałek dwadzieścia dni temu, kiedy tylko stopniał śnieg — powiedział Swami, dumny z osiągnięć wspólnoty.

— Dwadzieścia dni? Te rośliny wyglądają jak po sześćdziesięciu.

— Tak, to prawda. Uprzedzałem cię, że wzrost tutaj następuje z niewiarygodną szybkością, zatem nie cała zasługa spada na nas. Wkrótce rozpoczniemy żniwa i zapomnimy o drewniance aż do jesieni.

— Przydałaby się nam na Ziemi taka gleba!

— Niewątpliwie. Nam też przydałoby się trochę więcej dostaw z Ziemi, i to nie tylko wówczas, kiedy ojczysta planeta chce nas przekupić, żebyśmy pozwolili jej wtrącać się w nasze sprawy religijne. Możemy przecież wymieniać glebę za dostawy wyposażenia.

Brat Paweł nie był pewien, ile w tym wszystkim było dowcipu, a ile sarkazmu, wobec czego nie odpowiadał. Koszt teleportacji czynił przesyłanie ton ziemi zupełnie nieopłacalnym. Potrzebny był raczej jakiś przepis, wzór — chemiczna analiza gleby i trochę nasion z tych żywotnych roślin. A i to ostatnie nie byłoby łatwe, bowiem przywóz pozaziemskich roślin na Ziemię był zabroniony. Eksport nie podlegał żadnym ograniczeniom, import natomiast przechodził ścisłą kwarantannę; była w tym pewna logika, ale któż by zrozumiał biurokrację. Nawet gdyby on, brat Paweł, był na tyle dobrym chemikiem, żeby stworzyć i zapisać właściwy wzór chemiczny, zapewne nie byłby w stanie zainteresować nim władz na Ziemi. Ale jeśliby wziął próbki i spróbował...

— To są tereny aktywności wulkanicznej — zauważył brat Paweł, przecinając dość gwałtownie wątek swych własnych myśli. Nieraz zdarzało mu się stosować tę samodyscyplinarną technikę. — Co się stanie, jeśli przed zbiorami nastąpi erupcja?

— To zależy od gwałtowności takiej erupcji. Na ogół jest niewielka i wiatr rozwiewa popioły. Późną wiosną i latem, kiedy wiatry zmieniają swój kierunek, sytuacja jest bardziej niepewna.

Brat Paweł popatrzył w dół stromego zbocza w kierunku osady. Krajobraz przypominał zresztą wykonane malowidło, w którym jezioro odbijało i rozrzucało wokół promienie porannego słońca. Pięknie! Wolałby jednak znajdować się gdzie indziej, kiedy wulkan wybuchnie! Groziły tu bowiem i

popioły, i lawa. To mu przypomniało przerwany trudną wspinaczką tok myśli.

— Gaz — powiedział. — Czy z wulkanu wydobywa się gaz? To by mogło wyjaśnić...

— Są i gazy, i ciecze, i ciała stałe, i ogromne ilości energii, wszystko zgodnie z prawami Tarota — powiedział Swami. — Jednak żadne z nich nie posiada własności halucynogennych. Gdybyż nasz problem dało się tak prosto wyjaśnić! — Stał obok brata Pawła i wskazał w kierunku północnym. — Tam, jakieś pięć kilometrów od nas, znajduje się zagłębienie, które nazywamy Doliną Północną. Jest to główne siedlisko animacji dla tego regionu.

— Może podziemny wylot z wulkanu? — obstawał przy swoim brat Paweł. — One mogą wywoływać przedziwne zjawiska. Wyrocznia delficka — to takie miejsce na Ziemi — znajdowała się tuż nad ujściem...

— Tak, wiem. Tyle że żadne animacje nie zachodzą akurat tutaj, na wulkanie Góra Południowa. Tajemnica przeto musi być o wiele subtelniejsza i groźniejsza.

— Mimo to sprzeciwiasz się moim próbom wyjaśnienia tej tajemnicy. Swami poprowadził go w dół zbocza. Ścieżka zachodnia była o wiele

łatwiejsza i mogli nią schodzić prawie przez cały czas w pozycji wyprostowanej, ślizgając się tylko czasem na czarnym popiele.

— Czy pojmujesz *pranę*?

Brat Paweł odchrząknął.

— Nie. Próbowałem hatha yogi i medytacji zen i czytałem teksty Wedy, ale nigdy nie osiągnąłem świadomości właściwej dla *prany* czy *jivy*. Mogę tylko powtórzyć definicję popularną: *prana* jest zasadą życiową jednostki, *njiva* jej duszą.

— To tylko początek — powiedział Swami. — Ale masz większą znajomość rzeczy niż się spodziewałem. To bardzo dobrze. W tekstach hinduizmu, w Wedach i w Tantrach można spotkać symbol w postaci węża zwiniętego u podstawy ludzkiego kręgosłupa. Jest to Kundalini — zwinięta, ukryta energia *prana*, znana pod wieloma imionami. Chrześcijanie nazywają ją „Duchem Świętym”, Grecy „eterem”, specjaliści wschodnich technik walki używają nazwy „ki”.

To był już obszar, po którym brat Paweł poruszał się znacznie pewniej.

— Ach, tak. Kiedy ćwiczyłem judo, poszukiwałem energii *ki*, lecz bezskutecznie. Bez wątpienia moje motywy mogły być podejrzane; myślałem bowiem o niej w kategoriach siły fizycznej, a nie duchowej.

— Jest to źródło niepowodzenia u większości adeptów. — Swami zatrzymał się na zboczu. — Czy mógłbyś rozłupać tę skałę? — zapytał, wskazując wystający kawał kryształu.

— Młotem?

— Nie. W ten sposób. Za pomocą *ki*. — Swami uniósł prawe ramię i uderzył w skałę.

I skała pękła.

Brat Paweł patrzył w zdumieniu.

— Ki! — wyszeptał. — Posiadasz ją!

— Nie demonstruję tego, żeby zrobić na tobie wrażenie — powiedział Swami — lecz jako dowód, że jestem poważnie zaniepokojony. Patrzyłeś na mnie z ukosa, do czego masz zresztą prawo, musisz jednak także docenić szczerłość moich ostrzeżeń.

Brat Paweł ponownie przyjrzał się kryształowi. Czyżby jakaś skaza w kamieniu? Nie zauważył takowej wcześniej, a nawet jeśli tam była, potrzebne było coś więcej niż uderzenie dłonią, by ją wykorzystać do skruszenia skały. Energia *ki* wydawała się najbardziej racjonalnym wytłumaczeniem. Człowieka, który ją posiadał, należało traktować poważnie. Nie dlatego, że mógł być niebezpieczny. Swami na pewno przeszedł ostry trening i był poddany surowej dyscyplinie, uzyskując fundamentalną wiedzę o naturze człowieka i wszechrzeczy.

— Traktuję poważnie twoje ostrzeżenia — powiedział brat Paweł. Swami podjął wędrówkę w dół zbocza, jakby się nic nie wydarzyło.

— Tak niewielu podchodzi z właściwą powagą do poszukiwania aury...

— Aury! — wykrzyknął ponownie zaskoczony brat Paweł. Swami spojrzał na niego z ciekawością!

— To słowo przywodzi ci na myśl coś konkretnego?

Brat Paweł rozważał w myślach, czy ma opowiedzieć o swojej wizji istoty ze sfery Antaresa, która poinformowała go o istnieniu jego własnej, i to przypuszczalnie potężnej, aury. I doszedł do wniosku, że lepiej uczyni, jeśli nic nie powie. Zbyt słabo znał tego człowieka i tę społeczność, by dyskutować z nimi tak osobistą sprawę, jak ta, tym bardziej że rzucała ona pewne światło na jego kompetencje emocjonalne. Jakaż rozsądna osoba uwierzyłaby w ducha w maszynie, czy też w osobisty, intymny kontakt z istotą pozaziemską podczas teleportacji?

— Czytałem o fotografiach Kirliana.

— Nie. To zupełnie co innego. Aura przenika i wypełnia najważniejsze tkanki ciała i jest źródłem wszelkiej życiowej aktywności, włącznie z ruchem, postrzeganiem, myśleniem i odczuwaniem. Zbudzenie tej siły to największe przedsięwzięcie i najwspanialsze osiągnięcie, jakiego może podjąć się człowiek. Za jej pomocą stanie się możliwe zasypanie przepaści pomiędzy nauką i religią, między technologią i prawdą. Ale istnieje też niebezpieczeństwo. Bardzo poważne niebezpieczeństwo.

Znajdowali się teraz na równinie i szli na północ przez pole amarantu. Nic dziwnego, że ta „pszenica” wyglądała dziwnie! Nie przyjrzał się jej dokładnie, zaprzątnięty myślami o młodej damie i spotkaniu z Łamaczem.

— Skoro mówimy o niebezpieczeństwie — czy tutaj jest bezpiecznie bez żadnej broni? Niedaleko stąd spotkałem wczoraj dzikiego zwierza.

— Tak, słyszałem. Cała osada o tym mówiła! Ale Łamacz cię nie zaatakuje, jeśli już raz go pokonałeś. W przeciwnym razie nie prowadziłbym cię tą drogą. — Przerwał. — Chociaż, jak samotny człowiek był w stanie pokonać tak okropne zwierzę, do którego nikt z nas nie odważy się zbliżyć bez trójzębu?...

— Miałem szczęście — powiedział brat Paweł. Nie była to fałszywa skromność; szczęście rzeczywiście mu dopisało. — Gdybym sobie zdawał sprawę z niebezpieczeństwa, trzymałbym się z daleka od pola amarantu.

Swami zatrzymał się i stanął naprzeciw niego.

— Co konkretnie zrobiłeś, żeby pokonać Łamacza?

— Zastosowałem rzut z judo, a właściwie usiłowałem go zastosować — wyjaśniał brat Paweł. — *Ippon seoi nage* i uścisk ramieniem.

— *Ippon seoi nage* nie powinien być raczej skuteczny przeciwko takiemu stworzeniu; cała dynamika jest niewłaściwa. — Swami przyglądał mu się z błyskiem zainteresowania w oczach. — Zastanawiam się... — Zawahał się. — Czy mógłbyś mi pokazać dokładnie to, co wykonałeś?

— Och, nie chciałbym rzucać tobą o ziemię — sprzeciwił się brat Paweł.

— Zastosuj tylko uścisk delikatnie. — Nie było wątpliwości, że Swami był obyty ze wschodnimi technikami walki.

Brat Paweł wzruszył ramionami.

— Jak sobie życzysz. — Ułożyli się na ziemi w odpowiedniej pozycji i brat Paweł założył chwyt, nie stosując zbyt mocnego nacisku. — Nie ma w tym nic szczególnego — powiedział. — W przypadku Łamacza używałem właściwie nóg. Nie spodziewałem się zresztą pozytywnego rezultatu, ze względu na dość dziwną anatomię...

— Naciśnij mocniej — powiedział Swami. — Nie przejmuj się; mam silne ramię. Miał rację; brat Paweł wyczuwał zadziwiająco silne napięcie mięśni tego ramienia. W ogóle ten mężczyzna przypominał mu jeden z aspektów ducha w maszynie; robił wrażenie fanatyka, bo był niewłaściwie rozumiany, w rzeczywistości zaś był tylko posłuszny innym niż ogólnie przyjęte nakazom. Brat Paweł powoli zwiększał siłę nacisku, aż do punktu, w którym Łamacz zawył z bólu.

— Jeszcze — powiedział Swami.

— To niebezpieczne.

— O to właśnie chodzi.

No cóż, ból powinien sprawić, że mężczyzna da znak, zanim pęknie mu ręka w łokciu — pomyślał brat Paweł, dociskając jeszcze silniej.

— Jest! — wykrzyknął Swami.

Brat Paweł zwolnił uścisk, zaniepokojony.

Swami uśmiechnął się. Najwyraźniej nic mu się nie stało.

— Tak jak podejrzewałem. Wykorzystałeś *ki*!

Brat Paweł potrząsnął przecząco głową.

— Ja nie mam żadnej....

— Posiadasz potężną aurę — nalegał Swami. — Nie miałem pewności dopóty, dopóki jej nie zogniskowałeś, nie skupiłeś. Jesteś człowiekiem łagodnym i dlatego jej nigdy nie przywołujesz świadomie, ale gdybyś miał inny charakter, mógłbyś być potworem. Nigdy przedtem nie spotkałem takiej siły u człowieka.

Brat Paweł siedział zamroczony tymi słowami.

— Ktoś już kiedyś wyraził podobną o mnie opinię, ale odrzuciłem ją jako fantastyczną — powiedział, myśląc o Antaresie.

— Tylko ci, którzy panują nad swoją własną aurą, są w stanie dostrzec ją u innych — zapewnił go Swami. — Ja nie panuję nad swoją aurą w sposób doskonały, dlatego też nie mogłem natychmiast dostrzec twojej. Teraz jednak jestem pewien: to było twoje *ki*, zogniskowane użycie aury, które tak przeraziło Łamacza. Tej aurze zawdzięczasz także fakt wyboru do tej misji, chociaż ci, którzy o tym decydowali, sądzili, że kierują się zupełnie innymi przesłankami.

Brat Paweł potrząsnął głową.

— Jeśli ta... ta aura chroni mnie przed zagrożeniami, to przecież...

— Niebezpieczeństwo, o którym mówię, znacznie przerasta czysto fizyczne zagrożenie. Widzisz...

— Halo!

Spojrzeli w górę, zaskoczeni. Brat Paweł zobaczył dziewczynę z pola pszenicy, Cesarzową Tarota. Amarantu, nie pszenicy — poprawił się w myślach. Tym razem nie uciekała przed nim i za to był jej wdzięczny. Dowie się teraz, kim jest.

Ubrana była w jednoczęściowy strój, rodzaj przepasanej paskiem tuniki, haftowanej w sceny miejscowego krajobrazu. Każdy kolonista nosił ubranie w jakiś sposób związane z jego religijnymi przekonaniami, ale to było czymś wyjątkowym. Hafty przedstawiały kolorowe wzgórza i doliny, włącznie z dwoma górami wulkanicznymi na przodzie: prawdziwa mapa konturowa. Brat Paweł

usiłował nie patrzeć zbyt natarczywie. Szczególnie na wysokie i kształtne wulkany.

— Przechodzimy tylko — poinformował ją Swami.

— Uprawiając zapasy, depcząc uprawy i krzycząc? — spytała. — Zawsze wiedziałam, że jesteś stuknięty Swami, ale...

— To moja wina — wtrącił brat Paweł. — Usiłował zademonstrować, w jaki sposób zniechęciłem Łamacza.

Obrzuciła go taksującym spojrzeniem swych pięknych oczu.

— Wobec tego muszę z tobą porozmawiać — powiedziała stanowczo. Wszystko w niej było stanowcze i silne; była uderzająco urodziwą młodą damą, ze złocistymi włosami i oczami, i skórą, a jej budowa była jakby to wyrazili autorzy *Księgi tysiąca i jednej nocy*, cudem proporcji. Brat Paweł być może widział kiedyś w swym życiu istotę piękniejszą, ale za nic nie mógł sobie tego przypomnieć.

— Podjąłem się roli przewodnika wobec tego człowieka — powiedział Swami szorstko, kiedy wstał i otrzepał się z kurzu. — Musimy więc dotrzeć do Doliny Północnej na czas.

— Wobec tego dotrzymam wam towarzystwa — powiedziała. — Jest bardzo ważne, żebym mogła porozmawiać z naszym gościem z Ziemi.

— Nie wolno ci opuszczać swojego stanowiska!

— Moje stanowisko to Łamacz — który jest dzisiaj nieobecny — odpowiedziała ze stanowczością, kończąc dyskusję.

Brat Paweł milczał. Wyglądało na to, że potraktowano Swami tak, jak on sam potraktował wielebne Siltza; poza tym cóż to za przewrotna przyjemność mieć w czasie wędrówki towarzystwo tej malowniczej istoty. Obawiał się już, że jej nigdy więcej nie zobaczy, a oto była tutaj, praktycznie narzucając się ze swoją osobą. To wszystko wskazywało również, że status kobiety na tej planecie nie jest niższy od statusu mężczyzny. A to mogło mieć sympatyczne implikacje.

Swami wzruszył ramionami, najwyraźniej starając się ukryć irytację.

— Ta dama jest w pewnym sensie dublerem Łamacza — powiedział jakby ją przedstawiał. — Tylko ona nie boi się tego potwora. Co zresztą łatwo odgadnąć z jej zachowania.

— Swami woli swą potulną córeczkę — odwzajemniła mu się — która nie ma — najmniejszych złudzeń co do własnej samodzielności.

Pchnięcie i riposta!

— Jak brzmi twoje imię, Pani Łamaczu? — zapytał brat Paweł. — Czemu umknęłaś przede mną, ty, która nie znasz strachu?

— Myślałam, że jesteś animacją — odpowiedziała. — A jedyny sposób na animację to zwiewać od niej, gdzie pieprz rośnie.

Hm. Szczera, swobodna odpowiedź, która zachwiała jego przekonaniem, że ma do czynienia z Cesarzową.

— Twoje imię?

— Nazywaj ją, jak chcesz — powiedział Swami. — Delikatność nie trafia do niedelikatnych.

Dziewczyna uśmiechnęła się tylko, zupełnie nie przejęta gburowatym zachowaniem Swamiego. Nawet jeśli zamierzała podać swoje imię, teraz z tego zrezygnowała. Musiał jakoś rozładować to towarzyskie napięcie, skoro zależało mu na dobrych stosunkach z obydwójgiem, choć z każdym dla innych powodów.

— Wobec tego będę cię nazywał Amarantą — na cześć tego pięknego pola, gdzie się spotkaliśmy.

Brat Paweł wiedział, że komplementy dotyczące urody na ogół odnoszą skutek w odniesieniu do kobiet.

— Cóż za imię! Amaranta! Czy mogę je zatrzymać? — rozplýwała się, zachwycona.

— Jest twoje — odpowiedział łagodnie brat Paweł. Podobał mu się sposób, w jaki prowadziła tę słowną grę, i podobała mu się ona sama. — Sądziłaś, że jestem animacją diabła, a ja myślałem, że ty jesteś animacją cesarzowej. Bez wątpienia oboje mieliśmy rację.

Roześmiała się, powodując, że wulkany zadrżały niebezpiecznie.

— A ja myślałam, że członkowie Zakonu Wizyjnego są pozbawieni poczucia humoru!

— Niektórzy — powiedział brat Paweł. — Pozwól, że wysłucham Swamiego; potem będziemy mogli nagadać się do woli. — Co za wspaniała perspektywa!

— Moje ostrzeżenia mogą poczekać na bardziej sprzyjającą okazję — powiedział Swami kwaśno. — Dotyczą Doliny Północnej.

— Dziwna nazwa — zauważył brat Paweł, mając nadzieję, że ponownie uda mu się rozładować sytuację.

— Stosujemy bardzo uproszczone nazewnictwo — powiedziała Amaranta. — Właśnie zszedłeś z Góry Południowej; jesteśmy teraz na Polu Zachodnim; Dolina Północna to rejon animacji; wody na wschód od osady to...

— Jezioro Wschodnie — dokończył brat Paweł. — To rzeczywiście praktyczne. O co chciałaś mnie spytać?

— O nic.

— Być może źle zrozumiałem. Wydawało mi się...

— Nie przywiązuj zbytnej uwagi do tego, co mówi kobieta — powiedział Swami.

Zignorowała te słowa w elegancki sposób.

— Powiedziałam, że chcę z tobą porozmawiać. I właśnie to robię. Brat Paweł uśmiechnął się, skonsternowany. — Niewątpliwie. Jednak...

— Pokonałeś mojego Łamacza gołymi rękoma, nie robiąc mu krzywdy, ani sam nie doznając szwanku. Muszę przeprowadzać studia nad twoją osobą, tak jak to czynię z Łamaczem. Na tym polega moje zadanie: zrozumieć w pełni naturę przedmiotu moich studiów.

— Aha. To znaczy, że musisz zrozumieć również taką osobę, która ujarzmi zwierzę, nawet dzięki zupełnie przypadkowym okolicznościom — powiedział brat Paweł. Odnosił uprzednio wrażenie, że jest nim zainteresowana w sensie osobistym, ale jej wyjaśnienie wydało mu się jednak bardziej realistyczne. Dlaczego niby tak atrakcyjna dziewczyna miałaby się interesować statecznym nieznajomym? — Mimo to, ciągle nie rozumiem — ciągnął dalej.

— Nic nie szkodzi — powiedziała wesoło.

Swami uspokoił się na tyle, żeby pospieszyć z wyjaśnieniem.

— Przetrawanie tutaj jest rzeczą bardzo trudną — powiedział. — Musimy pilnie pracować zbierając drewno na srogą zimę i wszystko, co może w tym przeszkodzić, jest naszą wspólną troską. A Łamacz przeszkadza, ponieważ zmusza nas do poruszania się w uzbrojonych grupach, co jest dla nas niepotrzebnym marnowaniem siły roboczej. Dlatego przeprowadzamy nad nim specjalne studia — z nadzieją, że uda się go zneutralizować.

— Czy nie prościej byłoby go zabić? — zapytał brat Paweł.

— Zabić go? — powtórzył Swami zaskoczony. Teraz dziewczyna podjęła się wyjaśnienia.

— Wiele sekt jest przeciwnych zabijaniu istot żywych. Jest to problem moralny, ale ma również praktyczne implikacje. Nie wiadomo bowiem, jakie skutki może pociągnąć za sobą niepotrzebna śmierć. Zabijemy Łamacza, a jego miejsce zajmie jakiś inny. Inteligentniejszy albo bardziej zajadły. Zabicie wszystkich może spowodować klęskę ekologiczną, która z kolei zniszczy nas. Na Ziemi bezmyślna wojna przeciw szkodnikom spowodowała taką dewastację, że nie chcemy tutaj powtórzyć tego błędu. Poza tym, potrzebne nam są zwierzęta pociągowe, a Łamacz, gdyby dał się oswoić i pozwolił nałożyć sobie uprzęż, byłby doskonały do tego celu. Dlatego właśnie używamy trójzębów do obrony, a nie po to, by zabić Łamacza lub innego drapieżnika. Staramy się zawsze najpierw problem zbadać, a dopiero potem działamy.

— Podobnie mam zamiar postąpić z problemem animacji — wskazał brat Paweł.

— I właśnie dlatego musisz najpierw poznać niebezpieczeństwa — powiedział Swami. — Łamacz jest drobnym zagrożeniem; animacja wielkim.

— Chętnie wysłucham twoich rad — przypomniał brat Paweł. Swami milczał, wobec czego brat Paweł zwrócił się do Amaranty:

— Dlaczego akurat ty masz to niebezpieczne zajęcie obserwatora? Nie nosisz nawet trójzębu.

— Nie potrzebuje — mruknął Swami. — Ma dość ostrych kolców.

— W każdej młodej kobiecie widzi swoją zmarłą żonę — mówiła Amaranta, zwracając się bezpośrednio do brata Pawła. — Nieboszczka była bardzo złośliwa za życia. Jeśli zaś chodzi o mnie: to rezultat głosowania. Nie było ochotników, więc ciągnęliśmy karty Tarota i moja okazała się najniższa. Prawdę mówiąc, miałeś rację, byłam Cesarzową z Karty Numer Trzy. Zbudowano więc dla mnie ochronną skrzynię w kształcie tronu, odpowiednio ozdobioną — zjednujemy sobie Boga Ta — rota na każdy możliwy sposób — i wyruszyłam badać Łamacza. A także pilnować amarantu, ponieważ Łamacz najczęściej przebywa w jego pobliżu. I niewątpliwie odstrasza amatorów ziarna! Prowadzę również obserwacje dotyczące skrajnych temperatur, opadów deszczu i mierzę przyrost roślin. Kiedy pojawi się kapsuła TP — zawiadamiam osadę, chociaż hałas towarzyszący jej przybyciu czyni to na ogół zbędnym. Przepraszam cię, ale wczoraj trochę straciłam głowę; zapomniałam, że tym razem miał być również pasażer.

— A niebezpieczeństwo — przecież dziewczyna... Swami parsknął złośliwie.

— Niech się raczej Łamacz strzeże!

— Sama się trochę obawiałam — przyznała, ponownie ignorując drwinę. — Mam bowiem zainteresowania artystyczne i chciałam im pofolgować, rzeźbiąc pseudoikony oraz totemy z drewna Drzewa Życia i z kamienia wulkanicznego. Jednak to zajęcie przypadło komu innemu, a ja zmuszona zostałam do przyjęcia moich obecnych obowiązków. Kiedy wynik głosowania postawił mnie w tej niefortunnej sytuacji, zbuntowałam się.

— A w tym to jest niezła — przyznał Swami.

— I jest to jeden z powodów tego, że pozostaję niezamężna — kontynuowała. — Był co prawda kandydat na męża, ale odrzucił mnie, twierdząc, że brak mi poczucia wspólnoty. Oczywiście, on nie musiał stawić czoła Łamaczowi. W końcu jednak musiałam się podporządkować, ponieważ na tej planecie albo wnosisz swój wkład, albo głodujesz; to jedna z niewielu spraw, co do której istnieje zgoda naszych rozproszonych religii.

— Doskonała polityka — wtrącił Swami.

— I wiesz — ciągnęła dalej, nie obdarzając go nawet niechętnym spojrzeniem — jest znacznie więcej do odkrycia, jeśli chodzi o amarant i o Łamacza, niż na początku sądziłam. Każda roślina jest indywidualnością, podążającą własną drogą do zniw, wymagającą szczególnej uwagi i opieki. Czasami podrzucam cichcem trochę popiołu wulkanicznego roślinie, która niedomaga, chociaż nie wolno mi tego robić. Pod baldachimem zboża jest wiele stworzeń, owadów, a nawet węży. Czuję się tam jak w domu.

— Większość dziewcząt na Ziemi nie lubi węży, mimo niewątpliwej pożyteczności tych gadów.

— Większość dziewcząt na Ziemi nie darzy czcią Abraksasa — boga o węzowych nogach — odrzekła Amaranta. — Tak naprawdę, strach przed węzami jest względnie świeży, historycznie rzecz biorąc. W Biblii wąż był źródłem mądrości, który przekształcał...

— Ostrożnie — powiedział Swami. — Nie zapominaj o Przymierzu.

— Przepraszam. Nie wolno nam zagłębiać się w szczegóły dotyczące naszych wyznań, a to w interesie twojego stałego obiektywizmu. To dość irytujące. W każdym razie, odkryłam niezrównaną urodę gór, zachodów słońca i burz na tej dziewiczej planecie. Czy zauważyłeś, jak wiatr unosi bańki Tarota? A burze są najpiękniejsze w tej części Galaktyki. Staram się wpleść to piękno w materię, którą tkam w wolnych chwilach.

— Zajmujesz się także tkactwem? — spytał brat Paweł.

— O, tak. Zimą wszyscy coś robią z włókien Drzewa Życia, ponieważ potrzebne są nam ciepłe koce i ubrania dla ochrony przed mrozem. Nie wiesz, czym jest prawdziwa zima, dopóki nie spędzisz jej tutaj! Ale nawet latem muszę siedzieć godzinami nieruchomo, bez towarzystwa, a wówczas tkanie i haftowanie dostarcza mi pewnej rozrywki. Tę sukienkę zaprojektowałam i skroiłam sama — powiedziała z dumą, oddychając przy tym tak głęboko, że bliźniacze wulkany wydawały się grozić erupcją. — Jest tu dokładna mapa konturowa rejonu, który obejmuję wzrokiem ze swego stanowiska. — Wzruszyła ramionami powodując trzęsienie ziemi wokół gór. — Jeśli, naturalnie, patrzę we właściwym kierunku. Prawdę mówiąc, powinnam w tym celu leżeć z nogami wyciągniętymi w kierunku północnym...

— Bezwstydna! — zasyczał Swami.

— Och, daj spokój, Swami — powiedziała. — Czyż Kundalini nie łączą *prany* z seksem, tak jak mój bóg Abraksas? Szukanie paraleli między kobietą i naturą nie jest niczym wstydliwym. Kobieta jest naturą.

— Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że są dwa wulkany — powiedział brat Paweł, szukając sposobu przerwania kłótni. Nigdy przedtem nie sądził, że religia może odgrywać zbyt wielką rolę w życiu codziennym, teraz zaczynał zmieniać opinię. W stosunkach między ludźmi planety Tarot animozje związane z religijną nietolerancją były ledwie zamaskowane.

— O, tak — odpowiedziała. — Właściwie jest to jeden wulkan z dwoma stożkami. Na ogół wybuchają razem. Kiedy patrzy się z osady, jeden stożek przesłania drugi, a poranna mgła często zakrywa obydwaj, jednak stąd... — Odwróciła się i przyspieszyła kroku, żeby nie opóźnić ich marszu w drodze do Doliny Północnej. — Tak, stąd możesz widzieć obydwaj. Góra Południowa Lewa i Góra Południowa Prawa. — Poklepała mapę w odpowiednich miejscach, robiąc chwilowe zagłębienia w sprężystych i jędrnych wzgórkach.

Brat Paweł oderwał wzrok od tych wzgórków i obejrzał się. Rzeczywiście, obydwaj stożki były widoczne i swoim wyglądem bardzo przypominały te z mapy konturowej: pełne i zaokrąglone raczej

aniżeli stożkowe.

— Gdzie znajduje się ogród górski? — zapytał.

— Tutaj, w tej rozpadlinie — odpowiedziała, wskazując miejsce na mapie pomiędzy stożkami. — Dostęp do niego z wioski prowadzi wschodnim zboczem, tutaj. — Kreśliła drogę pod górę wzdłuż swego prawego boku. — Jest dość stromo, ale to najkrótsza droga. — Bez wątpienia! — My teraz znajdujemy się mniej więcej tutaj... — Dotknęła miejsca w okolicy pępka. — Kierujemy się do...

— Dość tego! — krzyknął Swami.

— Doliny Północnej — dokończyła. — Do studni namiętności.

— Przeklęta dziewczucha! — powiedział Swami. Twarz miał purpurową. Kontrola, jaką sprawował nad siłami ducha i intelektu, wyraźnie nie obejmowała już emocji. Widać było, że jest człowiekiem pełnym poważnych wewnętrznych konfliktów.

— Nie dolega mi nic takiego, czego nie mógłby wyleczyć odpowiedni mężczyzna — powiedziała pogodnie Amaranta. Cóż, Swami rozpoczął tę potyczkę, a ona ją kończyła.

— Nie wyjaśniłaś jeszcze sprawy Łamacza — przypomniał jej brat Paweł.

— Ach, tak. W trakcie moich studiów nad Łamaczem doszłam do wniosku, że jest on najbardziej interesującym zjawiskiem, jakie spotkałam. Z początku tak się go bałam, że barykadowałam się na moim tronie jak w fortecy, ale po jakimś czasie przyzwyczył się do mojej obecności. Powoli zdobywałam jego szacunek, oswajałam go i wiem, że teraz mnie nie zaatakuję, bo mnie dobrze zna. On mnie dobrze zna; myślę o nim jak o kimś zdecydowanie rodzaju męskiego.

— Bez wątpienia — mruknął Swami.

— Jesteśmy przyjaciółmi, na swój sposób — ciągnęła. — Jestem bliższa sukcesu niż ktokolwiek podejrzewa. Przychodzi bowiem na mój gwizd i pozwala się dotykać. Sądzę, że walczyłby nawet w mojej obronie, gdybym była w niebezpieczeństwie. Może dlatego zaatakował ciebie; myślał, że mnie ścigasz.

— Ścigałem — powiedział brat Paweł.

— Bardzo bym nie chciała widzieć go martwym. Jestem przekonana, że uda mi się wykorzystać jego siłę dla naszego wspólnego dobra. Jest to wspaniałe przedsięwzięcie i cieszę się teraz, że los padł na mnie. Szkoda, że go wczoraj przegoniłeś.

— Nie zdawałem sobie sprawy...

— Och, nie ma w tym twojej winy, szanowny panie! Musiałeś się bronić i uczyniłeś to, nie robiąc krzywdy Łamaczowi. Powróci za dzień lub dwa. Tymczasem — gdybyś mógł mi pokazać, jak to konkretnie zrobiłeś...

— Wykorzystałem zasady judo — zaczął brat Paweł i w tym momencie zauważył ostrzegawcze spojrzenie swojego towarzysza. Tak, lepiej będzie nie wspominać sprawy *ki* i aury. — *Sieroku zenyo*, maksymalna skuteczność...

Zatrzymała się.

— Załóżmy, że jestem atakującym cię Łamaczem. Jak się zachowasz? Deja vu! — Zademonstrowanie tego wymaga bezpośredniego kontaktu fizycznego, a dopiero co skończyłem tę gimnastykę ze Swamim. Nie jestem pewien...

— Ten wamp ma zamiar cię uwieść! — wykrzyknął Swami.

Brat Paweł nie był wcale przekonany o bezpodstawności tego ostrzeżenia. Śmiała kobieta, która z takim znanstwem mówiła o węzłach i sprawach zmysłowych, i w sposób tak oczywisty popisywała się swymi piersiami...

— Być może innym razem — powiedział. — Rozumiem, że nie uważasz już wyznaczonego ci zadania za pomyłkę.

Powiedziała to co prawda całkiem wyraźnie przed chwilą, ale brat Paweł zupełnie nie mógł znaleźć odpowiednich słów na tę sytuację.

— Było to jak objawienie — powiedziała szczerym głosem, podejmując wędrówkę. Łatwo się przystosowywała do okoliczności, czy to fizycznych czy konwersacyjnych. Bardzo intrygująca kobieta! — Losowanie wybrało dla mnie zajęcie lepiej niż zrobiłabym to sama. Wierzę, że taka była wola Abraksasa.

— Pogański demon! — mruknął Swami.

— Posłuchaj tego wielce powściągliwego yogę. Inne wywodzące się z Indii religie są bardzo tolerancyjne, ale on...

— A może Bóg Tarota pokierował losowaniem — powiedział brat Paweł. — Którykolwiek z bogów by to nie był. — Po czym, by zdążyć przed podjęciem działań nieprzyjacielskich przez towarzyszącą mu dwójkę, dodał: — Widzę przed nami jakichś ludzi. Swami, to może być ostatni moment, żeby mi powiedzieć o wspomnianym przez ciebie niebezpieczeństwie, nim ci ludzie nam to uniemożliwią.

Ku jego zaskoczeniu, Swami zgodził się od razu.

— Niebezpieczeństwo jest następujące: zjawisko animacji jest przejawem fundamentalnej mocy Kundalini — siły duchowej. Wywoływanie jej bez właściwego zrozumienia i kontroli jest jak przywoływanie Szatana, jak dawanie dzieciom do zabawy klocków z materiałów rozszczepialnych.

— Phi! — krzyknęła Amaranta. — Magia tego rodzaju jest znana, praktykowana i traktowana z czcią od tysięcy lat. Pozostaje tylko pytanie, czyj bóg jest odpowiedzialny za to zjawisko? Ty po prostu boisz się, że to nie będzie twój bóg.

— Zgadza się — powiedział Swami. — Z tym, że ja nie jestem czcicielem żadnego konkretnego boga; poszukuję tylko ostatecznego oświecenia. Ta animacja nie jest siłą boską, tylko przejawem niekontrolowanej mocy Kundalini. W historii ludzkości, Kundalini niewłaściwie użyte, spowodowało pojawienie się takich geniuszy zła, jak wódz Hunów Attyła i wódz nazistów Adolf Hitler. Jeśli ty, bracie Pawle ze Świętego Zakonu Wizyjnego, wywołasz ją teraz — a obawiam się, że posiadasz taką zdolność, zdolność uwolnienia całego dzinna z butelki, a nie tylko jego fragmentów, jakie tu do tej pory obserwowaliśmy — to dopuścisz do takiej koncentracji mocy, która zniszczy nas wszystkich i spowoduje zagładę całego rodzaju ludzkiego na planecie Tarot.

— Bestia będąca wytworem wyobraźni! — kpiła Amaranta.

Lecz brat Paweł nie był tak sceptyczny. Swami przedstawił mu powody swoich obaw i zrobiły one na nim wrażenie. Co mogłoby się stać gdyby moc *ki* wymknęła się spod kontroli? Jeśli ma ona rzeczywiście jakiś związek z animacją...

— Widziałem animację, dotykałem obiektów powstałych w jej trakcie — powiedział. — Jest w tym coś, co wymyka się naszemu rozumieniu rzeczywistości. Wiem, że ludzie ponieśli śmierć, usiłując zbadać tę tajemnicę. Mimo to, jestem tutaj po to, by ją zgłębić; wierzę, że najlepszą strategią jest nie unikanie animacji, lecz studia nad nią, badanie jej z najwyższą ostrożnością i z takimi zabezpieczeniami, jakie są tylko dostępne. Wiedza jest naszą najpotężniejszą bronią — szczególnie, kiedy mamy do czynienia z nieznanym.

— Spodziewałem się takiej odpowiedzi i szanuję ją — powiedział Swami. — Moim celem było jedynie upewnienie się, czy zdajesz sobie sprawę z ogromu zagrożenia. Nic więcej nie mogę zrobić. Nie mogę nawet próbować, jeśli chcę pozostać w zgodzie z Przymierzem.

Brat Paweł oczekiwał mniej powściągliwej reakcji. Swami potrafił przeskakiwać od zgryźliwej nietolerancji do postawy pełnej rozsądku, zupełnie bez ostrzeżenia.

— O ile wiem, wyznaczono obserwatorów, którzy mają towarzyszyć mi podczas badań. Gdybyś przyłączył się do nich, mógłbyś ostrzegać mnie, kiedy to będzie konieczne.

— Tak, mógłbym. Jednak musisz wiedzieć, że obserwatorzy są niczym wobec ogromu tej siły.

Podeszli do dwóch stojących postaci.

— Bracie Pawle — odezwała się jedna z nich. Był to trzymający się prosto, starszy mężczyzna o siwych włosach. — Jestem pastor Runford, świadkowie Jehowy. Pani Ellend, Kościół Chrystusowy Scjentyistyczny.

— Miło mi was poznać — powiedział brat Paweł. Osobno zaś zwrócił się do kobiety: — Chodzi o wyznanie „Wiedza Chrześcijańska”?

Kobieta potwierdziła. Wydawała się starsza od pastora, ale wyglądała też na zdrowszą, co stawiało w dobrym świetle przekonania społeczności religijnej, do której należała. Scjentyści odrzucali bowiem wszelkie leczenie konwencjonalne, wierząc, że choroba jest iluzją.

— My dwoje zostaliśmy wyznaczeni do obserwacji twojego eksperymentu. Sami mamy pozostać neutralni — powiedział pastor Runford. — Jesteśmy na obrzeżu Doliny Północnej, czyli tu, gdzie animacje najczęściej występują.

— Jeśli mogę zapytać — powiedział brat Paweł — wydaje mi się, że z wyjątkiem burz, zjawisko to jest praktycznie ograniczone przestrzennie. Czy nie prościej byłoby wyznaczyć po prostu granice rejonów animacji i trzymać się od nich z daleka.

— Zrobilibyśmy tak, gdyby to było możliwe — odpowiedział pastor Runford. — Młoda damo, jeśli pozwolisz skorzystać ze swojej mapy...

Amaranta wysunęła się do przodu z uśmiechem na twarzy. Pastor wziął łodygę jakiegoś zielska i użył jej do wskazywania szczegółów na mapie.

— Nasza jedyna droga do wielkiego lasu na północy przechodzi obok Góry Północnej. Tutaj. — Wskazał na prawe udo wystawione do przodu, jakby dla jego wygody. — I skręca tutaj, całkiem blisko Doliny Północnej. Wykonał niewielki gest w wiadomym kierunku, zaznaczonym na mapie w postaci szerokiego, płytkiego zagłębienia. — Czasami zjawisko animacji rozciąga się poza naszą ścieżkę, utrudniając nam transport. A przecież, jeśli nie uda nam się zdobyć odpowiedniej ilości drewna na zimę...

— Tak, rozumiem — powiedział brat Paweł.

Oznaczało to, że istnieje czysto praktyczna, geograficzna konieczność neutralizacji tego zjawiska, a nie tylko potrzeba zjednoczenia się kolonistów wokół jednego Boga.

— Nie chcemy, w najmniejszym stopniu, wpływać na twoje przekonania czy przeprowadzane przez ciebie badania — powiedziała pani Ellend. Głos miała delikatny ale donośny, pełen spokojnego autorytetu. — Ale ta cała sprawa jest dla nas ogromnie ważna. Dlatego współpraca z tobą, ułatwianie ci badań, bez narzucania się, będzie z korzyścią dla nas. Choć jako wspólnota różnimy się w bardzo wielu sprawach, w tym przypadku potrzeba zmusiła nas do kompromisu. — Spojrzała na Swamiego. — Czyż tak nie jest, Kundalini?

Swami skrzywił się, ale skinął potakująco głową.

Pastor wodził oczyma po zamglonej dolinie na północy. — Przewidując kierunek twojej wędrówki, ustawiliśmy obserwatorów zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz rejonu animacji. Pani Ellend i ja pozostajemy na zewnątrz; trójka kolonistów, których nie znasz, będzie wewnątrz. Wszystkich poinstruowano, że zgodnie z Przymierzem mają cię zostawić samemu sobie, chyba że znajdziesz się w bezpośrednim niebezpieczeństwie zagrażającym życiu lub będziesz bezwzględnie wymagał pomocy. Prosimy cię, abyś pozostał na obrzeżu, gdzie zjawisko nie jest tak silne, i wycofał się natychmiast w przypadku burzy. Nam, jako znajdującym się na zewnątrz, będzie o wiele łatwiej dostrzec oznaki zbliżającej się burzy, dlatego w razie potrzeby prześlemy ci sygnał lub wyślemy posłańca. Czy jesteś skłonny zaakceptować te warunki?

Brat Paweł rozważał słowa pastora.

— Jeśli dobrze rozumiem, granica pomiędzy światem realnym a wyimaginowanym w rejonie animacji jest zamazana. Mogę tam przeto dostrzec burzę, której nie ma, a przeoczyć rzeczywistość. Muszę przyznać, że efekty animacji wywołanej wczoraj przez diakona Browna były dla mnie wielkim zaskoczeniem; świadczyłyby o tym, że mój obiektywizm nie jest wystarczającą ochroną przed tymi zjawiskami. Dlatego jestem wam wdzięczny za wasze zatroskanie moją osobą. Wierzę, że jest ono głęboko uzasadnione, podobnie jak ostrzeżenia Swamiego. Pozostanę więc dziś na obrzeżu i zareaguję natychmiast na wasz sygnał lub posłańca.

— Szczerze doceniamy twoje podejście do tej sytuacji — powiedziała pani Ellend z uśmiechem, który rozgrzał mu serce. Cóż za pełna wdzięku matrona! — Jeśli ograniczysz swą wstępną eksplorację do godziny, będzie to również dodatkowe zabezpieczenie.

— Jedna godzina. — Brat Paweł nastawił licznik przy swoim zegarku. — Chciałbym zastosować jeszcze jeden dodatkowy środek bezpieczeństwa. Ponieważ naszą główną troską tutaj jest problem obiektywnej rzeczywistości, wyposażono mnie w urządzenia elektroniczne umożliwiającej porozumiewanie się na odległość z osobami pozostającymi poza terenem animacji. Zostawię wam wobec tego jeden aparat, który pozwoli nam utrzymać stały kontakt. — Wyjął jedną pałeczkę z kieszeni. — Włącza się to urządzenie przez naciśnięcie: aby nadawać wystarczy je ścisnąć kciukiem i palcem wskazującym, a zwolnić uścisk dla odbioru.

— Znam się trochę na tym — powiedział pastor Runford, biorąc od niego pałeczkę. — Na Ziemi używaliśmy podobnych w czasie kampanii agitacyjnych. Doskonały środek ostrożności.

Kampanie agitacyjne. Tak, świadkowie Jehowy byli najbardziej wytrwałymi werbownikami, niosącymi swoje przesłanie i literaturę do każdego domu. Wierzyli w bliski koniec świata, a pojawienie się teleportacji tylko tę wiarę wzmocniło. Brat Paweł nie miał zamiaru dyskutować na ten temat.

— Ostrzeżono mnie także przed próbą animowania Arkanów Wielkich, jednak niewiele więcej eksperymentów mogę przeprowadzić z takimi symbolami Tarota, jak miecze czy kielichy, ponad te, których świadkiem byłem wczoraj. Dlatego chciałbym animować wizje bardziej złożone, choć ciągle mieszczące się w ramach istniejących standardów. Wydaje mi się, że symbolika ilustracji Małych Arkanów, z tak zwanej talii Waite'a...

— Jesteś człowiekiem rozważnym — powiedziała pani Ellend. — Przyjmij tedy dla swoich celów moją talię. Jest to standardowa wersja Tarota Rider-Waite'a.

I podała mu talię kart.

— Dziękuję.

Brat Paweł wziął talię, zwrócił się twarzą w kierunku północy i zaczął iść. Czwórka kolonistów obserwowała w milczeniu jego odejście.

Odchodząc, odczuwał lekkie wyrzuty sumienia spowodowane zachowaniem dla siebie informacji na temat bransolety, którą miał na ręce, i jej związku z eksperymentem. W tej chwili wydawało mu

się, że najlepiej będzie pozwolić, żeby urządzenie rejestrujące rejestrowało, podczas gdy on postara się o nim zapomnieć; na Ziemi zaś dostarczy ono ostatecznego dowodu prawdziwości jego odkryć. Tu, na Tarocie, i tak nie miał możliwości sprawdzenia jego zapisu, w tym więc sensie nie było ono aż takie istotne.

Zastanawiał się, gdzie znajduje się pozostała trójka obserwatorów — trójka mająca przebywać wewnątrz rejonu animacji. Czy pozostawali w ukryciu? Prawdę mówiąc, nie miałyby nic przeciw ich obecności; obiektywny eksperyment zachowuje swą wagę niezależnie od publiczności, a zjawiska animacji nie wydawały się cierpieć z powodu nadmiaru tropy. Być może czekają na niego pod tamtym drzewem...

Drzewo było wspaniałe, wysokie na jakieś siedemdziesiąt pięć metrów, tym samym wyższe od większości drzew na Ziemi. Liście tworzyły tak gęsty baldachim, że w jego cieniu było ciemno jak w nocy. Piękne bańki Tarota, całe ich grona, szukały tam schronienia. Kwiaty pokrywały wyższe partie drzewa, a ich zapach spływał ku niemu. Czy mogło to być źródłem animacji — aromat drzew? Nie; coś tak oczywistego już dawno zostałyby odkryte przez kolonistów. Kwiaty pozostają w związku z porami roku, wobec czego zjawisko występowałoby tylko wiosną, a z tego, co słyszał — animacja zdarzała się wszędzie i o każdej porze roku, choć najczęściej podczas burz i w Dolinie Północnej. Poza tym, gdyby miała ona swe źródło w Drzewie Życia (zakładając, że to konkretne drzewo należało do tego gatunku), jej efekty byłyby najbardziej widoczne wewnątrz domów w osadzie. Skoro tam jednak były najślabsze, a spalanie drewna zimą również ich nie wywoływało — należało wykluczyć Drzewo jako ich prawdopodobne źródło.

Obserwatorów przy drzewie nie było. Brat Paweł zatrzymał się i rozważył sytuację. — To miejsce wydaje się odpowiednie na rozpoczęcie eksperymentu — powiedział do siebie. — Jeśli to drzewo jest Drzewem Życia i stoi właśnie tutaj, bo jest to rejon animacji, będzie to stosowna sceneria dla moich działań. Jeśli na północy jest cały las takich olbrzymów — cóż to musi być za las! Może odwiedzi go we właściwym czasie. Miał taką nadzieję.

Wyjął talię i przerzucał karty zręcznymi palcami. Zatrzymał się przy Asie Pałek. W tym wariantcie był to cały obrazek, a nie pojedyncza pałka. Dlatego właśnie wybrał talię Waite'a. — No cóż, może być i ta — powiedział.

Trzymał kartę przed sobą i koncentrował się. Czy uda mu się teraz, kiedy jest sam? Nie miał pewności, czy wszedł wystarczająco głęboko na teren animacji i wobec tego niepowodzenie niekoniecznie musi oznaczać...

Spojrzał w górę. I aż otworzył usta ze zdumienia. Na niebie wisiał mały cumulus, szary i wełnisty, jego kłęby rozciągnięte były pionowo około kilometra naci ziemią. Kiedy przyglądał się chmurze — z jej wnętrza wysunęła się biała ręka, świecąca upiornym blaskiem i ściskająca długą, drewnianą pałkę, wypuszczającą świeże, zielone listki. Wszystko to było w ogromnej skali, choć trochę zamazane i z nie najlepiej zachowanymi proporcjami, jednak wyraźnie oparte o ilustrację karty, którą trzymał w ręku. Nie ograniczało się tylko do wizji na niebie; w odległości kilku kilometrów poza nią, po drugiej stronie płynącego strumienia, widoczny był pagórek i stojący na nim zamek. Brat Paweł był pewien, że ani strumienia, ani zamku nie było w tym miejscu, kiedy zaczął się koncentrować. Oznaczało to, że cały widzialny krajobraz musiał dostosować się do karty. Sukces przeszedł jego

najśmielsze oczekiwania; był przygotowany na niepowodzenie, a w najlepszym razie na jakąś miniaturową scenkę.

Przyglądał się pilnie przywołanej scenie, kiedy ta zafalowała i zbladła. Zamek stał się mniej wyraźny, a chmura była już tylko zwykłą chmurą. Stracił zupełnie pewność, że widział to, co myślał, że widział.

Brat Paweł nie tracił czasu na rozważanie implikacji całego zdarzenia. Zamiast tego, wybrał z talii cztery dwójki, samą talię odłożył, a dwójki tasował tak długo, aż uzyskał pewność, że ich kolejność jest przypadkowa. Po czym odkrył tę, która znalazła się na wierzchu: Dwójkę Mieczów. Przedstawiała młodą kobietę, w długiej białej szacie, z przepaską na oczach, siedzącą na tle usianego wysepkami jeziora. W rękach trzymała dwa długie miecze. Ramiona miała skrzyżowane na piersiach w taki sposób, że skierowane w górę ostrza tworzyły kształt litery V. Ilustracja była do góry nogami, ponieważ tak długo tasował karty, że wreszcie wyłożył tę dwójkę odwrotnie.

Przed następną próbą zrobił pięćdziesiąt kroków na północ, mając nadzieję, że uzyska tam silniejszy i trwalszy efekt. Nie chciał zjawiska falowania i zniekształcenia obrazu, które mogłoby zachwiać jego .pewnością. Skoncentrował się na karcie i spojrzał w górę.

I rzeczywiście. Pojawiła się dama z przepaską na oczach. A także jezioro, wysepki i księżyc wewnątrz litery V. I cała ta scena była do góry nogami — tak jak karta. Jezioro znajdowało się u góry, księżyc na dole, a dama była jakby podparta dwoma sterzącymi mieczami.

Odwrócenie obrazu może być wielce znaczące w Tarocie. Podczas dywinacji — jest to bardziej elegancka nazwa wróżenia — może oznaczać osłabienie lub zmianę przesłania danej karty. Jego przytłumienie. Brat Paweł wiedział, że według autora tej talii, Artura Waite'a, odwrócona Dwójka Mieczów wróżyła oszustwo, fałsz lub nielegalność. Czyżby zła wróżba?

Nie, to nie była dywinacja! Był to tylko eksperyment — sprawdzenie swoistego, szczególnego zjawiska. Poza tym nie wierzył w złe wróżby. Dla jego celów to odwrócenie było bezcenne, jako że nie było możliwości, by mogło ono powstać w sposób naturalny. On sam był jego autorem; on sam je animował! Zweryfikowawszy je, pozwolił mu się rozpułnąć.

Brat Paweł wybrał teraz cztery trójki. Potasował je i wyłożył jedną. Kielichy, odwrócone. Skoncentrował się. Ukazały się trzy dziewczęta tańczące w ogrodzie z uniesionymi do góry kielichami, wznoszące toasty. Wszystko do góry nogami.

Gdyby wierzył w dywinację, miałby teraz poważne wątpliwości. Trójka Kielichów oznaczała bowiem szczęśliwe zakończenie każdej sprawy; odwrócona oznaczałaby więc...

Zmarszczył brwi, odłożył kartę i obserwował, jak wizja znika. Wybrał czwórki. Tasując je, przesunął się kawałek dalej na północ. Efekty animacji rzeczywiście wydawały się przybierać na sile, pomimo użycia kart w odwróconej pozycji; mogła to być rosnąca siła samego pola, które umożliwiało występowanie zjawiska, albo zwiększająca się biegłość eksperymentatora w miarę przebiegu doświadczenia. Tym razem przeprowadzi bardziej zdecydowany test, powołując do istnienia coś, czego będzie mógł dotknąć. Odkrył Czwórkę Pentagramów — nazwa dla Kręgów lub

Monet w talii Waite'a. I znowu była odwrócona. Obraz, który uformował się przed nim, powstał bez jego świadomego udziału. Również odwrócony. Była to wizja młodego mężczyzny, w pozycji siedzącej, mającego na głowie złocisty krążek z wpisaną weń pięcioramienną gwiazdą, inny taki krążek przed sobą i dwa u swoich stóp. Nad stopami, przy odwróconej karcie.

— Psiakrew! — zaklął brat Paweł w gniewie, który zupełnie nie przystoi członkowi Zakonu Wizyjnego. Zmęczyły go te odwrócone wizje i teoretyczne kłopoty, które oznaczały, a w które zupełnie nie wierzył. Ruszył więc naprzód machając ramieniem, jakby chciał zmieść tę obecną wizję sprzed swoich oczu. Będąc prawie pewny, że jego ręka nie natknie się na nic — utkwiał wzrok w pięknym mieście, które widział w oddali, też odwróconym, na podobieństwo mirażu.

Wyciągnięta dłoń uderzyła w krążek. Poleciał szerokim ruchem, przywodząc mu na myśl Lady of Shalott z poematu Tennysona, której wrzeczono pofrunęło podobnie, rozbijając lustro na dwoje. Czyżby on, jak owa Lady, żył w świecie fantazji? Krążek odbił się i potoczył po ziemi. Mężczyzna przewrócił się, a stopy jego dotknęły ziemi. Wyglądał na zaskoczonego. Otworzył usta jak do krzyku — i rozpląnął się.

Brat Paweł stał drżący w miejscu, w którym przed chwilą znajdowała się Czwórka Pentagramów. Przecież ta animacja była autentycznie materialna. Tak jak materialne były przedmioty wczoraj w jadalni. Nie było najmniejszej wątpliwości: wiara w wizję powodowała, że stawała się realna, że się materializowała. Wiara była kluczem.

Brat Paweł odłożył talię. Było dla niego oczywiste, że może animować wszystko, co widzi na kartach, i że te twory, które są produktem animacji, nie zagrażają mu osobiście. Ale czy kryło się za tym coś istotniejszego? Jeśli są to tylko dzieła sztuki — trójwymiarowe reprodukcje obrazów, obrazy przetwarzane w rzeźby — wówczas nie ma powodu, by szukać w nich Boga.

— Bracie Pawle — wyszeptał jakiś głosik.

Jeśli zaś nie ma Boga — przynajmniej takiego, który bezpośrednio kontroluje zjawisko animacji — jego zadanie jest proste. Oznajmi, że problem został rozwiązany i wróci do domu. Jednak, z drugiej strony, koloniści nie daliby się zastraszyć zjawisku animacji, gdyby było tylko formą sztuki, jak nie dali się zastraszyć wulkanom czy bańkom Tarota. A poza tym, co konkretnie wywoływało to zjawisko? Jego wola kontrolowała poszczególne wizje, ale coś innego powodowało, że są one możliwe akurat w tym miejscu, a nie występują gdzie indziej.

— Bracie Pawle — powtórzył głosik — czy mnie słyszysz? Wiedział, że musi postępować ostrożnie. Wierzył w Boga, a była to potężna i przenikająca wiara, która zmieniła całe jego życie osiem lat temu, kiedy zdał sobie sprawę z jej istnienia. Nigdy jednak nie pozwolił sobie na zbyt dokładne definiowanie Boga. Teraz również najważniejsze było utrzymanie obiektywizmu, a nie tworzenie jakiegoś bóstwa na swój obraz i podobieństwo. Przed tym właśnie ostrzegwał go wielebny Siltz i miał rację. Bo w tej misji, jak w życiu, jego Bogiem była Prawda: najbardziej konkretna, obiektywna, dająca się wyjaśnić, prawda, jaką był w stanie osiągnąć.

Jeśli sam Bóg objawia się poprzez animację, na pewno da się poznać na swój własny, jedyny sposób, jak ktoś już wcześniej zasugerował. Brat Paweł powinien być tylko przygotowany na

przyjęcie tego transcendentnego objawienia, tego najwyższego poznania.

— Panie — wyszeptał — nie pozwól, abym uczynił z siebie głupca w tym moim poszukiwaniu Ciebie. — Natychmiast się zganił: była to samolubna modlitwa. Jeśli zrobienie z siebie głupca było niezbędne do znalezienia Boga, tym samym było tego warte. Czyż nie w tym tkwiła istota Głupca z Tarota?

Wyznaczona godzina zbliżała się do końca. Powinien się pospieszyć, jeśli chce posunąć się dalej niż wczoraj. Ponownie wyjął talię i przerzucał karty szukając jakiejś inspiracji. Małe Arkana nie wydawały się go zadowalać; czy powinien animować Kartę Dworską? Może Króla albo Królową?

Ukazała się jakaś postać. Kobieta. Zbliżała się do niego. Ale przecież nie zaczął jeszcze następnej próby animacji. Chyba że...

No właśnie. Był w trakcie przeglądania Koloru Mieczów, kiedy pojawiła się Ósemka: skrępowana więzami kobieta, z zawiązanymi oczyma, w gąszczu sterczących w górę mieczy. Oznaczała niepomyślnie wiadomości, sytuację kryzysową, obcą ingerencję. Animował ją bez udziału świadomości. Musi być bardziej uważny; był już głęboko w rejonie animacji i nabrał takiego doświadczenia, że każda karta, na którą zerknie, może się zmaterializować, nawet bez świadomego zamiaru.

Czas na poważną próbę. Zobaczy, czy uda mu się zmusić talię Tarota do odpowiedzi na postawione przez niego pytania. Wyjął talię, przejrzał Wielkie Arkana i wybrał Hierofanta. W tej talii była to Karta Numer Pięć — wielki nauczyciel i przywódca religijny; w innych taliach przedstawiany jako Arcykapłan lub Papież, tworzący parę z Arcykapłanką. Wszystko to zależało od wyznawanej religii i od przekonań autora danego wariantu, a także od celu, jaki sobie wyznaczył. Zresztą nazwa karty nie była istotna, niektóre talie w ogóle nie używały nazw. Symbolika zawierała się w ilustracjach. Niewątpliwie, ta dostojna postać z Karty Numer Pięć powinna znać znaczenie animacji, o ile takowe znaczenie w ogóle istnieje.

Brat Paweł skoncentrował się i spodziewana postać zmaterializowała się przed nim. Dostojny mężczyzna siedział na tronie ze wzniesionymi ramionami, dwoma palcami prawej dłoni złożonymi do błogosławieństwa i z lewą dłonią dzierżącą berło z potrójnym krzyżem. Odziany był w obszerną, czerwoną szatę i bogato zdobione, złociste nakrycie głowy. Klęczało przed nim dwóch mnichów z wygolonymi tonsurami; za nim wznosiły się dwie rzeźbione kolumny.

Brat Paweł zadrżał. Przywołał najważniejszą osobę Kościoła rzymskokatolickiego, niezależnie od tego, pod jakim imieniem występowała ona w talii stworzonej przez protestanta. Czy miał do tego prawo?

Zdecydował, że tak. Nie był to bowiem prawdziwy papież, lecz postać z karty — Możliwe, że pozbawiony rozumu i wszelkiej myśli posąg. Ten brak rozumu należałoby sprawdzić i zweryfikować, aby uzyskać pewność, że za zjawiskiem animacji nie kryje się żaden intelekt.

— Wasza ekscelencjo — wyszeptał, chyląc głowę z szacunkiem, jakim obdarzał dygnitarzy każdej wiary. — Czy mógłbym uzyskać posłuchanie?

Postać skinęła głową. Opuściła lewe ramię. Skupiła spojrzenie na bracie Pawle. Poruszyła wargami. — Możesz — powiedział Hierofant.

Posąg przemówił.

Świetnie. Bransoleta rejestrująca zweryfikuje później ten fakt. Analiza głosu może pokazać, że brat Paweł mówił sam do siebie. W tej chwili nie było to ważne; jego misja polegała na czynieniu obserwacji, na wywoływaniu tych zjawisk, które dadzą się wywołać, aby zapis był jak najpełniejszy. Nie mógł sobie pozwolić na powstrzymywanie się od działania tylko dlatego, że odczuwał osobistą niechęć do tego, co się pojawia. Już żałował, że animował Hierofanta; był teraz zmuszony do rozmowy z tą zjawą, a to zmuszało go do intelektualnego zaangażowania, a tym samym do osankcjonowania tworu, którego nie powinno się sankcjonować i legitymować.

— Poszukuję informacji — powiedział potulnie. Święta głowa pochyliła się.

— Pytaj, a odpowiedź będzie ci udzielona.

Brat Paweł miał ochotę zapytać, czy Bóg był siłą sprawczą animacji, a jeżeli tak, jaka jest Jego prawdziwa natura? Przypomniawszy sobie jednak wydarzenie z czasów studenckich, kiedy to jeden z jego przyjaciół zadał pytanie trzyletniemu dziecku koleżanki ze studiów: — Powiedz mi dziewczynko, jaka jest natura ostatecznej rzeczywistości tego świata? — Natychmiastowa odpowiedź brzmiała: — Lizaki. — Miasteczko studenckie przez wiele dni pełne było dyskusji na ten temat, przy czym przeważała opinia, że odpowiedź była ścisła. Brat Paweł wolał nie uzyskać podobnej odpowiedzi od tej postaci. Musiał więc wpieryw sprawdzić naturę samego Hierofanta. W tym celu zadał prowokujące, ale nie decydujące jeszcze o niczym pytanie, pytanie z kategorii testujących.

— Co jest celem religii?

— Celem religii jest uspokojenie ludzkich umysłów i uczynienie ich posłusznymi w sprawach społecznych i politycznych — odpowiedział Hierofant.

Odpowiedź zaskoczyła brata Pawła. Na pewno nie przypominało to jego własnych poglądów na religię! Czy oznaczało to, że postać ta posiada niezależny, własny umysł? — Co w takim razie możemy powiedzieć o wędrówce ducha ludzkiego? Co się z nim dzieje, kiedy przejdzie do tamtego świata?

— Duch? Drugi świat? Przesady podsycane i wzmacniane przez władze polityczne — powiedział Hierofant. — Nikt przy zdrowych zmysłach nie zniósłby korupcji i okrucieństwa tych, którzy są u władzy, gdyby wierzył, że ten świat jest jedynym, jakiego doświadczy. Dlatego obiecuje się jakieś mityczne życie po śmierci, gdzie krzywdy tego życia pozostaną naprawione. Tylko głupiec w to może uwierzyć, co zresztą pokazuje, jak wielka jest liczba głupców. Głupcy nie rodzą się co minutę, oni rodzą się każdej sekundy.

— Panie, zmiłuj się nade mną, głupcem — wyszeptał brat Paweł.

— Hę? — spytał gderliwie Hierofant.

— Myślałem, że religia jest jednak czymś więcej — wyjaśnił brat Paweł. — Człowiek potrzebuje pociechy w obliczu nieuchronnej śmierci swego ciała.

— Bez śmierci nie byłoby religii! — stwierdził Hierofant, machając berłem dla podkreślenia swych słów. O mało nie uderzył w głowę jednego z mnichów. Zmarszczył brwi i mnisi zniknęli. — Religia bierze początek od duchów przyrody — pożaru lasu, powodzi, pioruna, trzęsienia ziemi i tym podobnych. Prymitywne dzikusy usiłowały uspokoić demony i składały krwawe ofiary żywiołom ognia, wody, powietrza i ziemi w nadziei, że schlebią tym dzikim potęgom i spowodują ich bardziej dobrotliwe zachowanie. Przeczytaj Dobrą Księgę Tarota, a znajdziesz tam jeszcze te zjawy w postaci czterech kolorów. Religia formalna, zinstytucjonalizowana, jest tylko wzmocnieniem tych koncepcji.

Zamiast zdumienia brat Paweł zaczął odczuwać gniew.

— Toż w taki sposób pojmuje religię idiota — powiedział. — Nie możesz twierdzić...

— Przeszedłeś pranie mózgu, które doprowadziło cię do zgody z intelektualnymi nonsensami — powiedział Hierofant z ojcowską troską w głosie. — Twoje całe istnienie pogrążone jest w religijnej propagandzie. W pamięć masz wrytą twarz Cezara i przesłanie: „W Bogu Pokładamy Nadzieję”. Ślubujesz wierność fladze totemicznej z napisem „Jeden Bóg, Jeden naród”. A dlaczego by nie: „W Szatanie Pokładamy Nadzieję”, skoro Szatan jest bardziej konsekwentny od Boga. Albo „Jeden naród wyznający nadprzyrodzonego upiora, niepodzielny, chyba że chodzi o żądzę władzy...”

— Zamilcz! — wykrzyknął brat Paweł. — Nie będę słuchał tych bluźnierstw!

Hierofant pokiwał chytrze głową.

— Przyznajesz tedy, że jesteś ofiarą zorganizowanej światowej zмовy religijnej. Twój zaś obiektywizm istnieje tak długo, jak długo prawda nie wejdzie w konflikt z dogmatami twego kultu.

Brat Paweł był wściekły, nie na tyle jednak, żeby nie zauważyć ziarna prawdy tkwiącego w tej kpinie z religii. Ta istota z kartonu wciągała go w pułapkę, naciskając guziki, zmuszając go do takich reakcji, jakich oczekiwała. Musiał odzyskać więc obiektywizm, obserwować raczej niż nawracać, w przeciwnym razie jego misja będzie skazana na niepowodzenie. Uspokoił się przeto wysiłkiem woli, który jednak wcale nie był aż tak wielki, kiedy tylko uzmysłowił sobie istniejącą sytuację.

— Wybacz, Hierofancie — powiedział, pozornie spokojny. — Możliwe, że posiadam fałszywe informacje. Chętnie cię wysłucham. — Jakby nie było, wolność słowa dotyczyła wszystkich, nawet tych z kartonowymi mózgami.

Postać uśmiechnęła się.

— Doskonale. Pytaj, o co zechcesz.

Teraz było nieco trudniej niż poprzednio. Zamiast pytania, brat Paweł zdecydował się popróbować stwierdzenia. Być może uzyska dzięki temu inicjatywę i zmusi animację do nieoczekiwanego zachowania; to powinno przynieść lepsze rezultaty od dotychczasowych. Najwyraźniej za tą fasadą krył się jakiś umysł; problem tylko w tym, jaki to był umysł?

— Powiadasz, że jestem w stanie tolerować tylko taką prawdę, która nie pozostaje w konflikcie z moją osobistą religią — powiedział ostrożnie. — Jestem pewien, że to stwierdzenie jest poprawne. Ja jednak uważam moją religię za Prawdę, utożsamiam ją z Prawdą i staram się upewnić co do prawdziwości każdej sytuacji. Popieram wolność słowa w przypadku każdego człowieka, włącznie z tymi, którzy się ze mną nie zgadzają, a probuję prawo każdego człowieka do życia, wolności i dążenia do szczęścia. To wszystko jest częścią tego, co chcę wyrazić salutując fladze mojego kraju czy przywołując boskie imię w sprawach codziennych.

— Niewiele narodów akceptuje te rzeczy — powiedział Hierofant. — A już na pewno nie monolityczny Kościół. Heretyk nie ma prawa ani do życia, ani do wolności, a do szczęścia nie ma prawa nikt.

— Ależ szczęście jest naturalnym celem człowieka! — zaprotestował brat Paweł. Teraz on zarzucał przynętę! Osobiście uważał szczęście tylko za jakiś fragment naturalnego celu człowieka; sam zresztą nie pożywał, nie łaknął szczęścia egoistycznego. Kiedyś, w przeszłości, być może i tak było; od tego czasu osiągnął jednak znaczną dojrzałość. Przynajmniej miał taką nadzieję.

— Zbawienie nieśmiertelnej duszy jest właściwym celem człowieka — powiedział stanowczo Hierofant. — Szczęście nie odgrywa tu żadnej roli.

— Ale przecież powiedziałaś, że dusza nieśmiertelna jest przesądem, wymysłem politycznych...

— Rzeczywiście — zgodziła się postać z uśmiechem.

— Ale wówczas to wszystko jest na nic! Wszystkie uczynki, całe ludzkie cierpienie, bez żadnej nagrody.

— Szybko się uczysz.

Brat Paweł potrząsnął głową, usiłując sobie w niej rozjaśnić. Ta rzecz nie ziapie go przecież w pułapkę!

— Tedy przeznaczeniem człowieka jest...

— Człowiek musi unikać radości, a dążyć do stałego umartwiania się.

— Ale wszystkie podstawowe instynkty ludzkie związane są z przyjemnością. Przyjemność zaspokajania głodu, odpoczynku po ciężkiej pracy, przeszywająca ekstaza cielesnego zespolenia...

— To są pokusy Szatana. Asceza to jedyny sposób życia. Jak najmniej przyjemności. Człowiek powinien żyć o chlebie i wodzie, spać na twardym łożu i mieć kontakty z płcią niższą tylko dla celów prokreacji, jeśli w ogóle.

— Wolne żarty! — zaprotestował, śmiejąc się brat Paweł. — Dualizm funkcyjny popędu płciowego od dawna jest już rozpoznany i uznany. Nie tylko służy on reprodukcji, ale zwiększa przyjemność wynikającą ze stosunków interpersonalnych, tym samym wzmacniając trwałość rodziny.

— W żadnym wypadku! — nalegał Hierofant. — Przyjemności, jakie przynoszą stosunki seksualne, są dziełem Szatana, a poczęcie dziecka jest karą bożą za ten grzech i trwającą całe życie pokutą.

— Karą?! — wykrzyknął zdumiony brat Paweł. — Gdybym ja miał dziecko, miłowałbym je i cieszył się nim przez całe życie! — Nie był jednak pewien, kiedy już wypowiedział te słowa, czy to nie była pusta retoryka z jego strony, nie posiadał bowiem najmniejszego doświadczenia z dziećmi.

Hierofant zmarszczył brwi.

— Jesteś na najlepszej drodze do wiecznego potępienia.

— Powiedziałeś przecież, że nie ma życia po śmierci. Jak tedy może istnieć wieczne potępienie?

— Okaż skruchę! Umartwiaj się, zdaj się na miłosierdzie Pana, w nadziei, że nie pozwoli ci cierpieć zbyt długo. Może wówczas, po straszliwej karze, twoja dusza zostanie oczyszczona z bezdennej ciężaru winy.

Brat Paweł pokiwał głową.

— Staram się bardzo być otwarty i obiektywny, a jednak nie mogę traktować cię poważnie. Marnujesz tylko mój czas. Precz! — Odwrócił się, wiedząc, że postać zniknie. Tym samym, być może, przegrał potyczkę, ale nie żałował.

Te animacje były fascynujące. Istniał w nich olbrzymi potencjał dobra — fizycznego, intelektualnego i duchowego — gdyby tylko można go właściwie zrozumieć. Dotychczas jednak to mu się nie udało. Animacja Hierofanta zaprezentowała mu pseudofilozofię tak płytką, na jaką stać postać z kartonu. Czy gdyby animował piękną kobietę, ta również okazałaby się nieudaną?

Piękna kobieta. Były tu pewne aspekty, które go intrygowały. Niektórzy mężczyźni uważali, że inteligencja jest niepotrzebnym obciążeniem u kobiety, tym bardziej że znane były przypadki, kiedy to rzekomo głupie kobiety zrobiły wspaniałe kariery, trzymając zaciśnięte usta, ale nie uda. Nie tego szukał u nich brat Paweł, choć nie był pozbawiony i tych zainteresowań. Zastanawiał się teraz, czy kobietę — twór animacji — będzie można dotykać, całować, wreszcie uwieść? Kobietę z powietrza jak demon, jak sukub?

Oderwał się od tych spekulacji. Były zbyt intrygujące; może rzeczywiście zaszedł już daleko na drodze do potępienia! Wykorzystać takie zjawisko, jakim jest animacja, tylko po to, by zaspokoić przelotną żądzę! Naturalnie, w samym pożądanym nie było nic złego; w ten sposób Bóg przypominał człowiekowi o potrzebie przedłużenia gatunku, a także dostarczał słabszej fizycznie kobiecie sposobu na omotanie mężczyzny, którego innym sposobem omotać by się nie dało. Ale pożądanie skierowane do tworu z powietrza (wyobraźni nie służyłoby żadnemu z tych celów. — Znajdź się wreszcie już za mną, Szatanie — wyszeptał. Ale nawet takie wezwanie było całkiem bezużyteczne, bowiem Szatan jest także mistrzem łotrów i łajdaków, i nikt rozsądny nie chciałby go mieć za plecami.

„ Brat Paweł spojrział na zegarek. Wyznaczony czas już się skończył i to dość dawno. Dlaczego

obserwatorzy nie dali mu znać? Musi natychmiast znaleźć się poza terenem animacji.

Ale którądy wyjść na zewnątrz? Chmury kłębiły się na niebie; w pobliżu była burza. Dlaczego nie zauważył jej nadejścia? Z tego również powodu obserwatorzy powinni byli...

Nagle sobie przypomniał. Przecież wzywali go — a on był tak zaaferowany, że nie dotarło to do jego świadomości. Mogli chociaż przysłać kogoś...

Dziewczyna z opaską na oczach, reprezentująca Ósemkę Mieczów! Czyżby Amaranta przyszła go ostrzec, kiedy zawiódł kontakt radiowy i została, wbrew swej woli, włączona w tę niemą wizję? Pewne dowody świadczyły o tym, że animacje były obiektami ze świata realnego przekształconymi percepcyjnie, być może więc osoba animowana była również kimś istniejącym realnie, odgrywającym tylko nałożoną jej rolę. Ale to też nie miało sensu; dlaczego ktoś miałby się godzić na odgrywanie takiej roli? Nikt przecież nie twierdził, że animacja posiada wpływ na działanie mózgu; zmienia ona tylko postrzeganie tego, co znajduje się na zewnątrz postrzegającego.

Być może Amaranta przyszła po niego i zdezorientowana wizjami przez niego wywołanymi nie mogła znaleźć drogi wyjścia. Oznaczałoby to, że i on, i ona — i prawdopodobnie ukryci obserwatorzy — są w pułapce, zagubieni na terenie animacji podczas burzy, i do niego należy znalezienie wyjścia z tej pułapki i wyprowadzenie z niej pozostałych.

Jak to zrobić? Oczywiście, powinien zawołać! Nawiązać kontakt z tymi, którzy są na zewnątrz, uzyskać wskazówki dotyczące dróg wyjścia.

— Pastorze Runford! — zawołał do mikrofonu swego aparatu.

Żadnej odpowiedzi, tylko trzaski. Nic w tym dziwnego; zasięg urządzenia był ograniczony, a ukształtowanie terenu i pogoda nie ułatwiały łączności. Możliwe, że obserwatorzy zostali zmuszeni do wycofania się jeszcze przed burzą i nie dali się zamknąć w rozszerzającym się obszarze rosnącej w siłę animacji.

Swoje kłopotliwe położenie zawdzięczał tylko sobie. Był nieostrożny wówczas, kiedy należało mieć się na baczności. Przykro mu było, że uwikłał innych w tę trudną sytuację, jeśli oczywiście nie udało im się bezpiecznie ująć. Co teraz?

Z drugiej strony, w jakimś stopniu, to kłopotliwe położenie zawdzięczał też talii Tarota; być może teraz pomoże mu ona się z niego wydobyć. Ponownie wyjął talię i przerzucił karty.

Może któraś z piątek...

Pierwsza piątka, jaką napotkał, była Piątką Kielichów, ilustrowaną trzema przewróconymi — z rozlaną zawartością — i dwoma stojącymi kielichami. Symbol straty, rozczarowania i próżnego żalu.

No właśnie.

Przyglądał się karcie, niepewny, co robić dalej, kiedy tuż przed nim pojawił się obraz. Mężczyzna w czarnym płaszczu stał przyglądając się przewróconym kielichom i nie zwracając uwagi na dwa

stojące. W tle płynęła rzeka — symboliczny strumień nieświadomości — a most spinający dwa brzegi prowadził do małego zamku. Czy to ten sam zamek, który widział w animacji Asa Pałek? Jeśli tak, mógłby go użyć jako punkt orientacyjny. Prawdopodobnie był on jednak tylko tłem, jak na malowidle, gdzie reprezentowałyby najwyżej wzajemne usytuowanie namalowanych przedmiotów. Mimo to, jeśli spróbuje zatrzymać ten układ w pamięci i podtrzyma jego realność, inni — również uwięzieni w tym rejonie — mogą z niego skorzystać, użyć go także jako punktu orientacyjnego i znaleźć drogę wyjścia. Koloniści znali zresztą prawdziwe otoczenie o wiele lepiej niż on sam.

Czy jest to pomysł szalony? Prawdopodobnie tak, lecz i tak wart próby. Jeśli jemu uda się podejść do zamku, tym bardziej uda się to im. A może znają drogę wyjścia i próbują właśnie go zlokalizować, aby wyprowadzić, a zamek może posłużyć jako miejsce spotkania. Przynajmniej powinien sprawdzić tę hipotezę.

Wpierw jednak sprawdzi, kim jest ta ubrana na czarno postać. Może to tylko Hierofant, w nowej roli. Z drugiej strony, może to być któryś z obserwatorów, któremu ta rola została narzucona, jeśli to w ogóle możliwe.

Brat Paweł ruszył do przodu. I nagle znalazł się wewnątrz obrazu, na drodze do mostu. Czarna postać usłyszała jego kroki i obróciła się. Ukazała swą twarz, a właściwie pozbawione oczu, nosa i ust gładkie oblicze — podobne obliczu manekina z wystawy sklepowej.

6

Wybór

(Kochankowie)

Człowiek wydaje się zafascynowany tajemnicami. Tajemnice i sekretne stowarzyszenia występowały licznie w naszej historii. Niektóre dotyczyły całych kategorii ludzi, jak rytuały inicjacyjne dla chłopców; inne spraw religii, jak misteria w świecie helleńskim; jeszcze inne związane były z wyspecjalizowanymi zainteresowaniami, takimi jak dewiacyjne praktyki seksualne, bractwa wszelkiego rodzaju czy okultyzm. Arkana Tarota odzwierciedlają tę fascynację tajemnicą: słowo „arkanum” oznacza tajemnicę — sekret — wtajemniczenie. Wielkie Arkana to „Wielkie Wtajemniczenia”, Małe Arkana — „Małe Wtajemniczenia”. Nic przeto dziwnego, że Tarot stał się obiektem badań niektórych tajemnych stowarzyszeń. Najbardziej znaczące były te prowadzone przez Hermetyczny Zakon Złotego Świtu, założony w roku 1887 jako odgałęzienie Angielskiego Towarzystwa Różokrzyżowców, będącego utworzonym dwadzieścia lat wcześniej odpryskiem Wolnej Masonerii, wywodzącej się z kolei od Masonów — stowarzyszenia, a wcześniej gildii mularzy i budowniczych. Złoty Świt miał 144 członków — liczba znacząca w wiedzy tajemnej — a utworzony został w celu uzyskiwania wiedzy i władzy, a także w celu uprawiania praktyk magicznych. Wiele znanych postaci, takich jak Bram Stoker (autor powieści Drakulaj czy Sax Rohmer (twórca Fu Manchu) było członkami Zakonu. Jednym z „wielkich mistrzów” był wybitny poeta William Butter Yeats. Przewodniczył on zgromadzeniom ubrany w szkocką spódniczkę, z czarną maską na twarzy i złożonym sztyletem za pasem. Ale Złoty Świt pamięta się głównie ze względu na związek niektórych jego członków z Tarotem. Artur Edward Waite, twórca znanej talii Tarota — Rider–Waite’a — był jednym z nich; podobnie wybitny badacz Tarota — Baul Foster Case; również Aleister Crowley, o którym powiadano, że był najbardziej nikczemnym człowiekiem na świecie, a który pod pseudonimem Mistrz Therion stworzył talię Tarota Thoth. Crowley posiadał wielką inteligencję i wszechstronne wykształcenie, był autorem głębokich dzieł, ale jednocześnie ulegał silnym namiętnościom, zażywał heroinę i kokainę, uprawiał czarną magię. Przypadek przywoływania Szatana zakończył się śmiercią jednego z uczestników wydarzenia, a dla Crowleya wielomiesięcznym pobytem w zakładzie dla umysłowo chorych. Miał skłonności homoseksualne, które skłaniały go do poniżania kobiet i degradowania ich wartości. Zorganizował sobie we Włoszech schronienie, zwane Opactwem Thelema, gdzie folgował swym mrocznym popędem. Mimo wszelkich wad jej autora, talia Tarota Thoth jest prawdopodobnie najpiękniejszą i najwartościowszą ze wszystkich talii współczesnych i dlatego zasługuje na uwagę każdego, kto poważnie interesuje się Tarotem.

Cała ta sceneria wokół brata Pawła zafalowała i rozmyła się. Zawahał się przez moment, ale już po chwili zrozumiał, co się stało: jego wejście w samą animację zmieniło ją. Możliwe, że legendarny chiński artysta — jakież było jego imię? — mógł wchodzić do swego realistycznego malowidła i znikać z doczesnego świata, ale niewielu innym dana była ta umiejętność! Brat Paweł mógł tylko patrzeć, ale nie uczestniczyć.

A jednak, dlaczegoż by nie? Przecież te animacje były, w pewnym sensie, kierowane jego własnym umysłem. Jeśli więc chce namalować obraz, na którym sam się znajduje, któż mu w tym mógłby przeszkodzić? Wyciągnął z talii Szóstkę Mieczów.

Uformował się nowy obraz. Strumień nieświadomości stał się rzeką świadomości. Most zniknął; rzeka w tym miejscu była dla niego za szeroka. Zamku nie widział. Naturalnie, był to inny obraz, z innej karty; Piątka Kielichów symbolizowała stratę, podczas gdy Szóstka Mieczów — podróż wodą. Stracił Piątkę, zgodnie z jej znaczeniem, zyskał zaś Szóstkę.

Dostrzegł łódź na wodzie. Była niewielka, płaskodenna, a jej pasażerami byli: kobieta z dzieckiem i mężczyzna popychający łódkę drągiem w celu przepłynięcia na drugą stronę.

— Poczekajcie! — zawołał brat Paweł, nagle zaniepokojony. — Ja też chcę popłynąć!

Ale nie zwrócili na niego uwagi; być może byli poza zasięgiem jego głosu, jeśli w ogóle istnieli jako ludzie. Byli, w sensie dosłownym, nie z tego świata, ale z takiego, do którego wejść się nie da.

Przypomniały mu się puste deklamacje Hierofanta i poczuł ponowny przyływ gniewu. On sam animuje te obrazy i on też uzyska odpowiedzi! Zamierzał dowiedzieć się, czy te animacje istnieją realnie, czy są tylko zmaterializowanymi wizjami jego umysłu. Jeśli to drugie — odpowiedź była prosta: nie istnieje żaden swoisty Bóg Tarota. Jeśli zaś pierwsze...

Teraz jednak musi znaleźć jakieś wyjście z obecnej sytuacji. Chciał przecież tylko spróbować tej wody, a nie w niej utonąć!

Woda — doskonały symbol. Dlaczegoż nie poddać go próbie?

Zanurkował w rzece, oczekując tarcia ciała o grunt, kiedy jego brzuch zetknie się z rzeczywistością. Skok był jednak czysty i jedyny szok, jaki odczuł, to fizyczny wstrząs zetknięcia się z wodą. Zapieniała się wokół jego twarzy i wsiąkała w ubranie; powinien był się rozebrać przed tą próbą. Ale tak naprawdę to przecież nie wierzył...

Jeśli wiara była kluczem do animacji, dlaczego ta woda była realna mimo jego niewiary?

Jego wtargnięcie w animację już ją zmieniało. Woda parowała, rzeka zmniejszała swe rozmiary. Brat Paweł nie odrywał wzroku od łodzi, chcąc zapobiec w ten sposób jej zniknięciu i rozplynięciu się całego obrazu. Gdyby mógł tylko porozmawiać z nimi, z tymi ludźmi wywodzącymi się z Tarota, i zapytać ich...

Łódź zachwiała się. Mężczyzna wyfrunął w powietrze, rozłożył skrzydła i usiadł na nisko wiszącej chmurze. Kobieta zestarzała się gwałtownie, przybierając postać starej jędzy. Dziecko zaś, w tym samym czasie, wyrosło na urodziwą młodą damę.

Kiedy brat Paweł zbliżał się, kobiety zwróciły ku niemu swe twarze. Zatrzymał się o kilka kroków od nich, stwierdzając przy tym, że znów stoi na własnych nogach i jest przemoczony od stóp do głów. Popatrzył na dwie kobiety — młodą i starą. Zdał sobie sprawę z tego, że nie jest to obraz z Małych Arkanów lecz z Wielkich. Była to Karta Numer Sześć, znana jako Kochankowie. Chociaż

niekoniecznie. Cała ta scena była bowiem nieostra, jakby kilka obrazów nakładało się na siebie.

Naturalnie. Nie wyciągnął przecież żadnej karty z Wielkich Arkanów, nie szukał konkretnych „Wielkich Tajemnic”, tym samym nie przygotował odpowiedniej scenerii. To sama animacja usiłowała uformować się z chaosu. Nie może do tego dopuścić; musi zachować nad nią pełną kontrolę!

Brat Paweł uniósł do góry talię kart, którą ciągle miał w dłoniach — ale zawahał się. Uznanych wersji Tarota było wiele, Wielkie Arkana to karty potężne. Który z wariantów Karty Numer Sześć będzie najbardziej odpowiedni?

Oczywiście, że jego własny — wersja Świętego Zakonu Wizyjnego. Uczni Zakonu udoskonaliли i uszlachetnili symbolikę opracowaną przez badaczy Złotego Świtu, a ilustracje uczynili na tyle czytelnymi, że talia ta stała się tym, czym być powinna: wspaniałym narzędziem samooswiecenia.

Jednak Święty Zakon Wizyjny nie ograniczał braci i sióstr do korzystania tylko ze swej własnej talii, tak jak nie zmuszał ich do czerpania tylko z własnych nauk religijnych. Sednem jego filozofii, podobnie jak sednem filozofii Jezusa Chrystusa i apostoła Pawła, była służba człowiekowi. Wolność wyznania mieściła się w pojmowaniu tej służby. Ci, którzy chcieli dojść do wyższych godności wewnątrz zakonu, mogli to czynić i mogli zostać duszpasterzami wizyjnymi. Pojedynczych członków, takich jak brat Paweł, zachęcano do poszukiwań prawdy na własną rękę, bowiem poświęcenie się zakonowi musiało wynikać z wewnętrznej potrzeby. Zakon uważał, że nie ma wolności bez oświecenia, i oczekiwał od swych członków głębokich studiów przed podjęciem przez nich decyzji dotyczącej orientacji wyznaniowej. Dlatego właśnie brat Paweł miał sposobność badania wielu aspektów religii i życia, choć z konieczności studia te nie były wystarczająco głębokie; życie jednego człowieka jest zbyt krótkie, by zdążył on pojąć w pełni znaczenia i subtelności jednej z wielu ziemskich religii, nie mówiąc o nich wszystkich. Gdyby zawęził swoje zainteresowania, byłby już kimś więcej niż „bratem” w zakonie — nie byłoby to jednak zgodne z jego charakterem. Teraz zadawał sobie pytanie: czy powinien użyć znanego mu Tarota Wizyjnego, czy też podobnej do niego talii Waite’a, którą trzymał w dłoniach, czy wziąć poważnie pod uwagę jakieś inne znane mu wersje talii Tarota?

Tak postawione pytanie dopuszczało tylko jedną odpowiedź. Jeśli w ogóle ma użyć jakąś talię Tarota, powinna to być ta, która najlepiej odpowiada potrzebie. Nie było jego zwyczajem akceptowanie ślepo jakiegoś rozwiązania przed całościowym zbadaniem problemu. Tarot Wizyjny był dobry — nie było co do tego żadnych wątpliwości — ale czy był najlepszy w tej konkretnej sytuacji? Ponieważ inne talie odzwierciedlały inne wiary, a cały problem planety Tarot sprowadzał się do wielkiej różnorodności pozostających ze sobą w konflikcie wiar — prawidłowa i szybka decyzja nie była rzeczą łatwą.

Nie planował wcześniej tak głębokiego zanurzenia się w animację już podczas pierwszej próby. Kiedy odkrył, że zanurzył się w niej, by tak rzec — włącznie z głową, miał odruch, by natychmiast się wycofać, by dać sobie możliwość rozważenia bardziej obiektywnego, spokojnie, tego, co odkrył, i podjęcia lepiej zorganizowanego programu badań. Czuł, że pośpiech byłby niemądry. Czuł także, że jeśli odezwie się do jednej z tych dwu kobiet, ta mu odpowie — i tym razem odpowiedź będzie miała więcej sensu niż odpowiedź Hierofanta. Nie znaczyło to jednak, że ma się do niej zwrócić już

teraz; wpięrow powinien rozważyć, której kobiecie zadać pytanie i jak to pytanie sformułować. Wybór osoby może być istotny. W tej sytuacji powinien się teraz wycofać, a odtworzyć tę scenę dopiero wtedy, kiedy będzie dobrze przygotowany, by ją właściwie wykorzystać.

Pozostawał wszakże jeden problem: jak znaleźć wyjście z tej animacji? Czy powinien spytać o to te kobiety? Zmuszony byłby wówczas prowadzić z nimi dialog, jak z Hierofantem. Lepiej zostawić je na razie w spokoju.

Po chwili zorientował się, skąd u niego ta wiara, że uzyska odpowiedź. Jednym z aspektów Karty Numer Sześć był wybór — wybór pomiędzy cnotą i występkiem. Jedną z tych kobiet była ta właściwą — ba, ale która? Obie były rozmazane, nieostre, nie mógł ich rozróżnić. A poza tym nie był w najmniejszym stopniu przekonany o tym, że wygląd zewnętrzny dostarczy niezbędnych wskazówek. Cnota nie zawsze była piękna, a występki nie zawsze brzydkie; gdyby bowiem takowymi były, niewielu dokonałoby niewłaściwego wyboru! To również problem, który należy rozpracowywać ostrożnie.

Bawił się nieraz w swym życiu liczbami i obrazami i nie uzyskał nic, nie dotarł nigdzie, ponieważ się bawił. Teraz, kiedy w końcu znalazł się wewnątrz animacji, sytuacja stała się o wiele bardziej niebezpieczna. Nie wiedział przecież, czyj Bóg, jeśli w ogóle, objawiał się poprzez animacje i nie dowiódł się tego nigdy, jeśli pozwoli, by jego własne, przedwczesne sądy zdominowały przeprowadzane badania. Bóg może przecież objawiać się poprzez najbardziej niespodziewanych pośredników. Może więc Tarot jest nieodpowiednim, wręcz absurdalnym narzędziem, lecz skoro wydaje mu się, że jest bliżej prawdy, której poszukuje, bliżej niż kiedykolwiek był lub kiedykolwiek będzie, nie wolno mu zmarnować żadnego narzędzia, żadnej okazji. Bóg nie musi mu ułatwiać zadania. Powinien więc przyjąć to, co jest mu ofiarowane przez okoliczności, i kontynuować eksperyment.

Jednak wrodzona ostrożność ostrzegała go krzykiem jak słabnący głos sumienia; nie powinien pozwalać sobie na poddawanie się wpływom drobnych okoliczności. Jakże zaintrygowało go przelotne spotkanie z Cesarzową, Dziewczyną z Pszenicznego Pola, która okazała się Amarantą, a która być może jest jedną z tych postaci przed nim. Jeśli opuści teraz tę animację, czy ona wyjdzie wraz z nim? Czy może zabłądzi? Jak może być tego pewny?

Pewny czego? Potrząsnął głową. Chyba nie podąży za tą wizją, bo podejrzewa, że mogłaby posiadać jakąś moc nad dziewczyną, jakiś sposób, by uczynić ją uległą... uległą czemu? Nie było żadnego oficjalnego powodu, dla którego miałby szukać jej towarzystwa, chyba że byłaby nim jej mapa, która pomogłaby mu znaleźć stąd wyjście. Ponieważ nie była ona jednym z wyznaczonych obserwatorów, sama jej obecność groziła wypaczeniem całej misji, szczególnie że jej ciało i osobowość były takie...

Kręcił się w kółko! Czy lepiej będzie uciec z tej animacji i przygotować następną o wiele staranniej, w bardziej sprzyjających okolicznościach, czy rzucić się naprzód, skoro już zaszło się tak daleko? Pogubił się kompletnie. Potrzebował obiektywnej rady. Nie mógł jej jednak znaleźć bez opuszczenia tej animacji (sceneria do Karty Numer Sześć tkwiła nieruchoma, zastygła w każdym swym nieostrym szczególe przez cały czas, kiedy on walczył z wątpliwościami), a to by była bardzo istotna decyzja, być może błędna. Oznaczało to, że jest zdany na własne siły. Chyba że uda mu się w

jakiś sposób znaleźć przewodnika tutaj, wewnątrz samej animacji.

A dlaczego by nie?

— Chcę — powiedział głośno i wyraźnie — znaleźć doradcę, który będzie moim przewodnikiem po tej animacji.

— Któż by nie chciał — odpowiedział mu jakiś głos.

Brat Paweł rozejrzył się. Głos był męski, a obie postaci przed nim, choć niewyraźne, były zdecydowanie żeńskie.

— Gdzie jesteś?

— Tutaj, na chmurze numer dziewięć.

Brat Paweł spojrzał do góry. Mężczyzna, który poprzednio płynął łodzią, spojrzał w dół.

— Czy jesteś tam z własnej woli?

— Nic o tym nie wiem. Przeprowałem się z żoną i dzieckiem przez rzekę, kiedy nagle... — Mężczyzna przerwał. — Nie mam już nawet ni żony, ni dziecka. Czyżbym oszalał?

— Nie — uspokoił go brat Paweł. — Jesteś częścią sceny, którą wywołałem z kart Tarota.

— Ty ją wywołałeś? A myślałem, że to ja ją wywołałem. — Mężczyzna podrapał się w głowę. — Ale jeśli ta scena odpowiada twojemu zamysłowi, musi być twoja. Ja nigdy nie planowałem fruwania!

Czy był to ktoś rzeczywisty, jakiś kolonista, biorący udział w animacji, tak jak brat Paweł? Czy był to tylko fragment wywołanego obrazu? Brat Paweł wahał się przed zadaniem pytania, ponieważ nie był pewien, czy może zaufać odpowiedzi. Powinien rozwiązać ten problem sam, we właściwym czasie.

— Cóż, spróbujemy cię stamtąd ściągnąć. — Wyciągnął inną kartę.

— Zaczekaj! — zawołał przerażony mężczyzna. — Zlikwidujesz w ten sposób tę chmurę, a ja spadnę i złamię sobie nogę.

Brat Paweł miał wielką ochotę wybuchnąć śmiechem, ale powstrzymał się i zastanowił. Nie było żadnych wątpliwości, że te animacje są trójwymiarowymi projekcjami wizji, widzialnymi także dla oka kamery (miał nadzieję, że jego osobisty rejestrator wszystko zapisuje, bo w przeciwnym razie — kto na Ziemi uwierzyłby w tę historię?) — ale w ich wnętrzu musiał znajdować się jakiś rdzeń rzeczywistości fizycznej. Ludzie naprawdę umierali w czasie animacji. Jeśli ten mężczyzna jest rzeczywisty, być może siedzi na jakimś drzewie i jeśli jego „chmura” znika, a on wierzy w to, że musi spaść, to zapewne spadnie z gałęzi i odniesie jakieś poważniejsze obrażenia. Brat Paweł nie chciał brać odpowiedzialności za coś takiego!

— Dobrze. Zostawię tę kartę tak jak jest, a wezwę rzeczników z talii Tarota, jeśli okaże się to możliwe. Jestem przekonany, że nic ci nie zagraża. — Jeśli mężczyzna mu wierzy, będzie bezpieczny. Wiara była tutaj kluczem, jeśli jego obecne rozumowanie było słuszne.

— A nie mógłbyś po prostu wyczarować drabiny, po której zszedłbym na dół? — spytał żałośnie mężczyzna.

Brat Paweł zastanowił się.

— Nie wiem, czy potrafię. Do tej pory tworzyłem te sceny wykładając karty i koncentrując się na scenach, które one wyobrażają. Nie mam karty z drabiną. Jeśli spróbuję wstawić drabinę w tę kartę, gdzie nie ma dla niej miejsca w oryginale — chodzi o to, że kiedy ja sam wszedłem do sceny poprzednio, spowodowałem jej zmianę. Obawiam się, że nie można wprowadzić pojedynczej zmiany do istniejącej scenerii bez rozbicia całego układu. Próba wprowadzenia drabiny mogłaby zlikwidować sam grunt, na którym stanie ta drabina i doprowadzić tym samym do upadku, którego przecież chcemy uniknąć. Możliwe, że gdybym posiadał większe doświadczenie z animacją — takie drobne, miejscowe zmiany byłyby możliwe, ale w tej chwili obawiam się, że...

— Rozumiem, co masz na myśli — powiedział mężczyzna. — Rób to po swojemu. Ja poczekam. Na razie ta chmurka jest całkiem wygodna.

Brat Paweł skoncentrował się. — Najstarszy z Tarotów, przedstaw swojego rzecznika — zaintonował, odczuwając nagły lęk. Cały ten problem animowania wizji w swoich szczegółach jest trudny i niebezpieczny, jak pierwsza jazda na wrotkach. Można opanować podstawowe zasady, ale nie posiadać niezbędnej koordynacji ruchów i zakończyć tę pierwszą próbę bolesnym upadkiem. Nie wiedział, czy w tej chwili w ogóle postępuje zgodnie z regułami gry, bo przecież był to dość nieokreślony rozkaz z jego strony, zamiast dotychczasowego wyobrażenia obrazowego.

Ukazała się jakaś postać. Czyżby działało? Postać wyglądała na króla, ubranego w odpowiednio bogate szaty. Król przemówił. Ale jego słowa były niezrozumiałe. Były w obcym języku! Powinien był wiedzieć, że nie uda mu się uzyskać informacji od kartonu; znów stawał przeszkodą. Chociaż...

Brat Paweł słuchał uważnie. W czasie swych studiów uczył się i francuskiego, i niemieckiego, a miał do języków smykałkę. Ale to było dziesięć lat temu. Jego niemiecki był lepszy, ale postać nie wyglądała na Niemca. Czyżby to był język francuski? Tak, prawdopodobnie francuski sprzed sześciu wieków, z czasów najwcześniejszej, ogólnie znanej, autentycznej talii Tarota! W takim razie to musi być Król Karol VI z przełomu czternastego i piętnastego wieku, ten, na którego zamówienie wykonano słynną talię kart Gringonneura.

Postać wykonała gest dłonią i pojawiła się nowa scena. Postać z animacji tworząca nową animację? Być może. Ta nowa scena była wypełniona ludźmi. Trzy pary maszerowały wesoło, jak na paradzie. Młodzieńcy mieli na sobie stroje średniowieczne, młode damy eleganckie nakrycia głowy i powłóczyście suknie. Ponad nimi, mężczyzna z chmury rozdzielił się na dwie postaci łuczników z naciągniętymi łukami. Strzały mierzyły wprost w maszerujących poniżej. Jakąż to rzeź spowodował teraz?

Brat Paweł uśmiechnął się. Nie była to ani zasadzka, ani symbol rozdwojenia jaźni, ale sceneria romantyczna. Siedzący na chmurze to dorosłe Kupidyny wypuszczające swe strzały miłości. Niepotrzebny mu był francuski komentarz do zrozumienia tej karty! Jednak jego celem było znalezienie przewodnika, nie zaś przywoływanie dokładnych interpretacji poszczególnych koncepcji Tarota. W każdym razie przewodnik, którego rady i tak by nie mógł dobrze zrozumieć, bo wygłaszana byłaby w języku niezbyt dobrze mu znanym, był dla niego bezużyteczny.

— Przykro mi — powiedział. — Może i jesteś oryginalnym Tarotem o nieskazitelnym guście, muszę cię jednak pominąć. Następny!

Scena zniknęła, włącznie z królem, a zastąpiła ją postać, którą brat Paweł uznał za Włocha, chociaż nie wiedział, na czym dokładnie oparł swe przekonanie. Był to mężczyzna w podeszłym wieku, uzbrojony w miecz, w półpancerzu i zdobionych nagolennikach. Miał na sobie bogato haftowany płaszcz i nakrycie głowy w kształcie korony. Niewątpliwie ważna osobistość. Mężczyzna ukłonił się sztywno.

— Filippo Maria Visconti — powiedział.

A więc to był sławny (lub niesławny) książę Mediolanu, znany bratu Pawłowi z literatury, który zamówił piękną talię Tarota Visconti — Sforza w celu upamiętnienia małżeństwa swej córki z potomkiem Sforzów. Surowy i okrutny człowiek, zarazem inteligentny i potężny polityk. Zapłacił małą fortunę za namalowanie kart, ale uzyskał najpiękniejszą talię spośród wszystkich wersji średniowiecznych i renesansowych.

Brat Paweł odwzajemnił ukłon.

— Brat Paweł ze Świętego Zakonu Wizyjnego — powiedział, przedstawiając się. — Bardzo mi przyjemnie. — Przyjemność tę psuło jednak dokuczliwe ukłucie pamięci: czyż to nie ten właśnie książę karmił swe psy ludzkim mięsem?

Visconti rozpoczął przemowę — po włosku. Jeszcze jedna bariera językowa! Książę wykonał gest ręką i pojawiła się następna scena. Były w niej tylko trzy postaci: młoda para i skrzydlaty Kupidyn na postumencie. Kupidyn miał opaskę na oczach, a w każdej ręce trzymał strzałę i gotów był do ciśnięcia tych strzał w młodych ludzi poniżej. Miłość jest ślepa — pomyślał brat Paweł.

— Francesco Sforza... Bianca Maria Visconti... — Wyłowił te imiona z niezrozumiałego komentarza. Młoda para jednocząca dwa potężne rody. Zaiste piękny obrazek. Ale stary Filippo Maria Visconti nie nadaje się na przewodnika.

— Następny — powiedział brat Paweł.

Tym razem pojawiło się dziecko. Było w nim coś dziwnie znajomego; czyżby je znał? Brat Paweł potrząsnął głową. Dziecko miało może cztery czy pięć lat, najwyżej sześć, i nie przypominało mu żadnego z dzieci, które znał na Ziemi.

Dziecko przemówiło po francusku i chociaż brat Paweł rozumiał już więcej niż poprzednio, ciągle

nie było to wystarczająco dużo. Słuchał jednak uprzejmie, powodowany zaciekawieniem samą osobą mówiącego. Czy to chłopiec, czy dziewczynka? Zdecydował, że jednak dziewczynka.

Dziewczynka wykonała gest dłonią i pojawiła się nowa scena. — Marsylia — powiedziała wyraźnie.

Wygląd tej sceny był najbliższy scenie oryginalnej, nieostrej: młody człowiek między dwiema kobietami, nad nimi Kupidyn z naciągniętym łukiem, gotowy do oddania strzału. Jeśli bratu Pawłowi nie uda się ściągnąć wreszcie bezpiecznie tego mężczyzny z chmury, to w końcu nie wytrzyma i wypuści swój pocisk!

Ale ten obraz bardziej niż dwa poprzednie przypominał rysunek. Chociaż postaci były trójwymiarowe i pozornie solidne, robiły wrażenie sztucznych, uformowanych niezbyt dokładnie z plastiku i pomalowanych wyblakłymi farbami: niebieską, czerwoną, żółtą i różową. Była to scena, która mogła się podobać dziecku. Pozbawiona wszelkich subtelności sztuki. Z tego samego jednak powodu jej znaczenie było całkiem jasne i zrozumiałe: mężczyzna musiał dokonać wyboru pomiędzy ładną i młodą kobietą a starą i brzydką. A może ta stara jędza była matką, dobrotliwie towarzyszącą zalotom swej córki lub syna? Bez wątpienia, odpowiedź na to pytanie znajdowała się w tym, co mówiła dziewczynka, lecz brat Paweł nie mógł pojąć jej słów.

Z zalem odrzucił przeto możliwość wykorzystania jej jako przewodniczki.

— Jestem przekonany, że odpowiadałoby mi twoje towarzystwo, mała dziewczynko — powiedział łagodnie. — Ale ponieważ nie rozumiem twoich słów, muszę poszukać kogoś innego. Następnym.

Ukazała się dama, w całkowicie odmiennym stroju. Wyglądała na Egipcjanę. Na głowie miała nakrycie w starożytnym stylu, przypięte ozdobą w kształcie małego węża, suknię zaś długą do kostek, w ciemne poziome pasy. Ustawiała się bokiem, ukazując swój profil, jak na staro — egipskich malowidłach.

— Mam nadzieję, że mówisz moim językiem — wyszeptał brat Paweł. Egipski był poza jego zasięgiem!

— O, tak. Reprezentuję Najświętszego Tarota Bractwa Światła.

Brat Paweł posiadał pewną znajomość Tarota Kościoła Światła i wiedział, że różni się on w sposób dość zasadniczy od Tarota Wizyjnego. Różne były, na przykład, hebrajskie litery związane z poszczególnymi kartami. Litera, którą brat Paweł znał jako Zain, oznaczająca Miecz, w talii Światła występowała jako Vau i oznaczała Gwóźdź. Ich odpowiedniki astrologiczne też były różne; dla Świętego Zakonu Wizyjnego były to Bliźnięta, podczas gdy dla Bractwa Światła — Wenus.

Kobieta wykonała gest wystylizowanym ruchem ramienia i pojawiła się scena z jej karty. Mężczyzna stojący między dwiema kobietami. Ręce miał skrzyżowane, dłonie oparte na ramionach; ręce kobiet zgięte były w łokciach, a dłonie wzniesione na wysokość ramion. Każda z nich jedną dłonią dotykała ramienia mężczyzny; głowy miały odwrócone od niego, a on nie patrzył na żadną. Nad nimi jakiś demon napinał rzeźbiony łuk, szykując się do wypuszczenia długiej strzały.

— To jest Arkanum Sześć, z tytułowane „Dwie Drogi” — powiedziała rzeczniczka. — Zwróć uwagę, że te dwie drogi się rozchodzą, jak w wierszu Roberta Frosta; wybór właściwej jest nader istotny. To Arkanum związane jest z egipską literą *Ur*, hebrajską *Vau*, lub literami angielskimi *V*, *U* i *W*. Jego wiedzą okultystyczną jest Kabała, kolorem — żółty, a tonem muzycznym — E. Swą zawartość znaczeniową wyraża na trzech poziomach: w świecie ducha odzwierciedla wiedzę na temat dobra i zła; w świecie intelektu — równowagę między wolnością i koniecznością; w świecie materii — antagonizm sił natury i powiązanie przyczyny ze skutkiem. Zauważ, że kobieta po lewej stronie ubrana jest z przesadną skromnością, podczas gdy ta po prawej jest zmysłowa, ma gołe piersi, girlandę we włosach, a przezroczysta suknia ukazuje jej całe nogi. Pamiętaj tedy, synu Ziemi, że dla zwykłego śmiertelnika powab występku jest o wiele bardziej fascynujący niż surowe piękno cnoty.

Brat Paweł był pod wrażeniem jej słów.

— Rzeczywiście udało ci się rozpracować symbolikę — skomentował. — Większość badaczy sądzi jednak, że karta ta symbolizuje raczej miłość niż wybór.

— To Wenus rządzi uczuciami i stosunkami między ludźmi — odpowiedziała nie skonsternowana. — Przynosi umiłowanie wygody, luksusu i przyjemności. Nie jest to samo w sobie złe, ale pójdzie po linii najmniejszego oporu może prowadzić do występku. Wówczas nie mogąc się obronić przed natarczywością zła dostajemy się pod negatywny wpływ Arkanum Dwa, Izydy Zasłoniętej...

— Chwileczkę, chwileczkę! — zaprotestował brat Paweł. — Nie chcę w tej chwili zajmować się Arcykapłanką czy innymi kartami; chcę tylko zrozumieć tę kartę jako reprezentatywną dla twojej talii Tarota, żebym mógł ją porównać z jej odpowiednikami w innych taliach. Czy mówisz więc, że jest to karta miłości czy wyboru? Wystarczy proste „tak” lub „nie” — to znaczy, jeden opis lub drugi.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Jeśli szukasz uproszczonych odpowiedzi na nieskończenie trudne pytania dotyczące spraw wiecznych, nie zwracaj się do Bractwa Światła.

Brat Paweł nie oczekiwał tak bezpośredniej i eleganckiej riposty od, jakby nie było, postaci wywołanej z karty.

— Przepraszam — powiedział. — Ja po prostu nie szukam pełnej symboliki, tylko przewodnika, który szybko i pewnie doprowadziłby mnie do prawdy. Wiem, że nigdy nie uda mi się opanować Tarota w sposób tak doskonały, jak udało się tobie, być może jednak mogłabyś mi pokazać...

Złagodniała.

— Być może. Spróbuję dostarczyć ci uproszczonych odpowiedzi. Ta karta jest kartą i miłości, i wyboru, ponieważ najtrudniejsze decyzje związane są z miłością. Zauważ, że mężczyzna stoi nieruchomo w trójkącie utworzonym przez połączenie się dwóch dróg, tak jak wydajesz się ty stać w tej chwili. Każda z tych kobiet wskazuje mu drogę. Cnota to ta ze świętym wężem u skroni; Występek ma wieniec z liści i grono winnej latorośli. Reprezentuje więc pokusę.

— Pokusę — powtórzył brat Paweł jak echo.

Ta „uproszczona” odpowiedź nie wydawała mu się prosta, doceniał jednak samą próbę wyjaśnienia trudności na jego poziomie. Zauważył, że ona sama swym wyglądem i sposobem bycia jest bardzo podobna do postaci Cnoty, podczas gdy skromny strój, który ma na sobie, nie całkiem ukrywa obecność wspaniałych piersi, nóg i innych atrybutów kobiecości. Przypominała mu... tak, Amarantę. I znów pokusa!

— Podoba mi się takie racjonalne wyjaśnienie — powiedział. — Żałuję, że nie poświęciłem kiedyś więcej uwagi Tarotowi Bractwa Światła. Kiedy wszakże zobaczyłem na niebie demonicznego Kupidyna, wyciągnąłem pochopny wniosek, że...

— To nie jest ani demon, ani Kupidyn — powiedziała. — To geniusz Sprawiedliwości, unoszący się w świetlistej aureoli dwunastu promieni zodiaku, ukoronowany płomieniem ducha, mierzący strzałą kary w Występek. Ta scena uosabia walkę między sumieniem a namiętnością, między duszą boską a duszą zwierzęcą; rezultat tej walki rozpoczyna nową epokę w życiu.

Brat Paweł pokiwał w zadumie głową. Wiele spraw w tej prezentacji przemawiało do niego. Venus niewątpliwie związana była z aspektem miłości, a interpretacja obrazu jako symbolizującego wybór, świetnie oddawała jego obecną sytuację. A jeśli ta dziewczyna była rzeczywiście Amarantą, opisującą używaną przez siebie talię, byłby usatysfakcjonowany, gdyby została jego przewodnikiem. Mimo wszystko, powinien zapoznać się z pozostałymi propozycjami przed podjęciem decyzji. Wyjaśnił to damie, z nutką przeprosin w głosie.

Uśmiechnęła się.

— Jestem pewna, że postąpisz właściwie — powiedziała i rozplynęła się. Wygląda na to, że spokojnie poczeka na swoją kolej. Była coraz bardziej interesująca.

Następnej prezentacji dokonał mężczyzna, wyglądem przypominającym mu Antaresa w jego ludzkiej postaci. Rozpoznanie sceny nie sprawiło mu najmniejszego kłopotu. Byli to Kochankowie z talii Artura Waite’a, prawdopodobnie najślawniejszego eksperta od Tarota. Scena przedstawiała nagiego mężczyznę i nagą kobietę, stojących przodem, z rozłożonymi ramionami, i wielkiego, skrzydlatego anioła unoszącego się nad nimi i przekazującego swoje błogosławieństwo. Po ich prawej stronie Drzewo Życia dźwigało dwanaście owoców; po lewej, za kobietą, stało Drzewo Wiadomości Dobrego i Złego z owiniętym wokół pnia wężem. Tarot Świętego Zakonu Wizyjnego wywodził się od Tarota Paula Fostera Case’a, który z kolei był udoskonaloną i uszlachetnioną wersją Tarota Waite’a. Dlatego obecna scena była tak bliska i znajoma dla członka zakonu. Nie przesłoniło mu to jednak argumentów przemawiających za wersją Bractwa Światła.

— Panie — powiedział nieśmiało brat Paweł do rzecznika talii Waite’a. — Obejrzałem właśnie egipski wariant tej Karty...

— Absurd! — warknęła postać. — Nie ma cienia dowodu na egipskie pochodzenie kart Tarota!

— Ale pewna liczba ekspertów uważa, że...

Postać przybrała postawę, która u człowieka mniejszego kalibru musiałaby być traktowana jako arogancka.

— Chcę oświadczyć, nie wykraczając poza ramy kurtuazji, jaka obowiązuje w społeczności naukowej, że nie obchodzą mnie żadne poglądy wypowiedziane na ten temat. Istnieje zarówno tajemna tradycja dotycząca Tarota, jak i tajemna doktryna w niej zawarta; podążałem zawsze...

— A aspekt wyboru, pokusy, dwie drogi... Postać nie ustępowała.

— Jest to w całej swej prostocie karta dotycząca spraw ludzkiej miłości, ukazanej tutaj jako część drogi, prawdy i życia. Zastępuje dawną kartę małżeństwa i późniejsze pomyłki, które przedstawiały męczyznę pomiędzy występkiem i cnotą. Na poziomie najwyższym karta przedstawia tajemnicę Przymierza i Sabatu.

— Ale...

— Stare znaczenia rozpadają się z konieczności, wraz ze starymi ilustracjami. Niektóre zresztą były zbyt prostackie, inne zaś fałszywe w swej symbolice.

Brat Paweł miał zawsze wiele szacunku dla Waite'a, ale obecna arogancja przypominała mu w nieprzyjemny sposób animowanego Hierofanta. Wyjaśnienia Pani Światła były złożone ale sensowne; wyjaśnienia Waite'a były już tylko złożone. Mimo wszystko miał jednak do czynienia z autorytetem. Próbował więc jeszcze raz.

— Według Bractwa Światła litera hebrajska przypisana tej karcie to *Vau*, a nie...

— To mi wygląda na robotę Eliphaza Leviego. Nie znam pisarza o większych zdolnościach, w swoim rodzaju, który zrobiłby z nich tak marny użytek. Uparcie umieszczał Głupca na końcu Wielkich Arkanów, tym samym zmieniając właściwą kolejność liter hebrajskich. Zaiste, imię Głupca jest dla niego całkiem stosowne! Nie było chyba nikogo, kto by wygłaszał rzeczy tak wzniosłe...

— Tak, tak. Ale w aspekcie astrologicznym Wenus wydaje się związana z kartą Miłości.

— Nonsens. Właściwą literą jest *Zain*, Miecz. Miecz rozcina i odcina. W ten sposób powstała Ewa z żebra Adama, ciało z jego ciała, kość z jego kości. *Zain*, który następuje za tym *Vau* Hierofanta, to gwóźdź łączący rzeczy ze sobą. Astrologicznie, mamy oczywiście Bliźnięta. Znak Bliźniąt, dwoistości — rozdwojenia, na męski i żeński. Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości.

Brat Paweł westchnął w duchu. Zgadzał się bowiem z analizą Waite'a, zanim jeszcze zapoznał się z interpretacją Tarota Światła; teraz obydwie te sprzeczne poglądy wydawały się racjonalne. Nie miał dostatecznie silnych podstaw, by spierać się na temat symboliki z takimi ekspertami. Nie było to zresztą jego zadanie. Ale dlaczego właśnie tak pozornie proste zadanie stawało się tak skomplikowanym? Chodziło przecież o wybranie jednego eksperta spośród sześciu, przy czym niektórzy już zostali wyeliminowani z powodu wieku lub języka. Szkoda, że nie może przywołać jednocześnie przedstawicieli talii Światła i talii Waite'a i posłuchać, jak rozstrzygają ten problem pomiędzy sobą.

A właściwie dlaczego by nie? Warto spróbować.

Nie, klóciłiby się tylko bez końca, a decyzję i tak musiałby podjąć on sam.

— Pozostała mi jeszcze jedna karta — powiedział brat Paweł, świadom obecnej tu symboliki liczb: sześć wariantów Karty Numer Sześć.

Waite zniknął ze zrezygnowaną miną. Najwyraźniej uważał, że branie pod uwagę jakiejś innej talii jest niepoważne. Na jego miejscu pojawił się niezbyt przystojny, tęgi mężczyzna o łysej głowie, który pomimo tych cech miał wygląd całkiem majestatyczny.

— Jestem mistrz Therion, Bestia 666 — oznajmił. — Podśluchałem twoją ostatnią rozmowę. Czyż stary Artwaite nie jest osłem? Cud, że ktokolwiek może go znieść!

Brat Paweł ponownie przeżył lekki szok. Te postaci z animacji wykazywały się o wiele większą indywidualnością niż mógł przypuszczać.

— Artur Waite jest uczonym. On... — Przerwał. — Jak się nazwałś?

— Bestia 666. Żyjący diabeł. Najbardziej nikczemny człowiek na Ziemi. Czy to się nie rzuca od razu w oczy?

— Hm, nie. Ja...

— Wobec tego zwracaj się do mnie mistrzu Therionie, jeśli chcesz. Niechaj „czyń, co ci się podoba” będzie jedynym prawem. Miłość jest prawem; miłość stosownie do naszej woli.

Brat Paweł był poruszony.

— Miłość jest prawem. Cóż za wspaniałe hasło dla Karty Miłości! Therion uśmiechnął się z aprobatą.

— Zaiste. Zauważyłeś jak stary Artwaite poślizgnął się w związku z Adamem i Ewą? On faktycznie wierzy w tę wiekową opowieść o żebrze Adama. Też coś, żebro! Ewa została uformowana z napletka penisa Adama, wyciętego podczas obrzezania. Sprawdź sobie w Talmudzie Babilońskim, z którego tyle ukradziono i włączono do Starego Testamentu. I z którego usunięto niepożądane ustępy. Kształtny, krwawy krążek skóry, pierwotny symbol kobiety. Bóg ukształtował go w żyjące, oddychające ciało, charakteryzujące się formami kulistymi, poczynając od dwóch kul absurdalnie umieszczonych na klatce piersiowej, a kończąc na kołowym sposobie działania jej eliptycznego mózgu. Kształt ten uzyskała tylko w jednym celu: żeby ponownie uchwycić i objąć tego członka, z którego została tak beztrzesko wycięta, i uczynić go na powrót całością. Mężczyzna, który pozwoli, by kobieta zajęła jego uwagę dla jakichkolwiek innych celów, jest głupcem.

Brat Paweł szacował krytycznie Theriona. Dawno już nie słyszał tak zdecydowanego, niczym nie sprowokowanego potępienia kobiety.

— Rzeczywiście jesteś bestią!

— Zgadza się — powiedział Therion z zadowoleniem.

— Chyba popatrzę teraz na twoją kartę.

— Czyń, co ci się podoba!

Therion wykonał gest ręką i pojawiła się następna scena. Była w jakimś sensie odmienna od poprzednich. Zapełniało ją wiele postaci, ale nie wydawała się zatłoczona. W punkcie centralnym stali mężczyzna i kobieta, oboje w szatach królewskich. Twarze mieli zwrócone w kierunku olbrzymiej, bezgłowej postaci, która wyciągała ciemne ramiona w geście błogosławieństwa; rękawy na tych ramionach były szerokie i pofałdowane jak akordeon, na podobieństwo rękawów kombinezonu astronauty. Tam, gdzie powinna być głowa, znajdował się skrzydlaty Kupidyn. W górnych rogach stały nagie postaci mężczyzny i kobiety, z przodu stało dwoje dzieci, a poza tym były tam jeszcze lew, ptak i wąż. W sumie jedenaście istot ustawionych tak harmonijnie, że wszystko jakoś do siebie pasowało. Efekt całościowy był absolutnie piękny. Brat Paweł nie poszukiwał jednak piękna, ale dobrej rady.

— Dwie poprzednie wersje tej karty różniły się od tej w pewnych szczegółach — zaczął ostrożnie.

— Artwaite jest niedorzeczny, choć w sprawie liter hebrajskich ma z grubsza rację — powiedział Therion. — Nawet zatrzymany zegar wskazuje czasem właściwą godzinę! Ta karta to Kochankowie, odpowiadająca literze *Zain* — Mieczowi, a astrologicznie Bliźniętom.

— Ma z grubsza rację? — powtórzył brat Paweł pytająco.

— Poprzestawiał karty Zgody i Pożądania. A tego nie da się racjonalnie uzasadnić.

Brat Paweł zdumiał się.

— Zgody? Pożądania? To nie są symbole Tarota.

— Znane uprzednio jako Umiar i Siła — wyjaśnił Therion. — Artwaite przestawił je z własnej inicjatywy, jak i zniekształcił ich symbolikę. Zaprzeczył egipskiemu pochodzeniu Tarota.

— Powiadasz, że ono jest egipskie?

— Bez najmniejszych wątpliwości. Nazywam go Księgą Thoth. Naturalnie, inni znaleźli bardziej wymyślne źródła i derywacje językowe. Hebrajskie *Ohev Tzarot* oznacza „miłośnika kłopotów”. Widać tu pewne związki, ale ja uważam je za przypadkowe. Moglibyśmy przecież zamiast „Tz” pisać fonetycznie „C” i wywodzić nasze słowo od Cara, a tym samym od rzymskiego Cezara. Wówczas „Carot” oznaczałby najwyższą władzę panującą nad imperium okultyzmu. Taka pokrętna logika warta jest Artwaite’a. W rzeczywistości bowiem faktyczne pochodzenie Tarota nie jest istotne, nawet gdyby było ono całkowicie pewne. Jego wartość opiera się na wewnętrznej spójności systemu i na zaletach własnych. Jest to, ponad wszelką wątpliwość, celowa próba przedstawienia w formie obrazkowej doktryny Qabalah.

— Kabały?

— Qabalah.

— Wróćmy wobec tego do karty Numer Sześć.

— Doskonale. Atut Sześć, wraz ze swoim bliźniaczym Atutem Czternaście, jest jednym z najmniej jasnych i zrozumiałych...

— Bardzo proszę — przerwał brat Paweł — potrzebna mi w miarę prosta analiza. — Jednocześnie zastanawiał się, czy otrzyma ponowną reprimendę.

Ale mistrz Therion uśmiechnął się pobłaźliwie. — Ależ naturalnie. Zacznę od początku. Jest taka asyryjska legenda o Ewie i Wężu: Kain był synem Ewy i Węża Mądrości, a nie Adama. Było rzeczą konieczną, żeby przelał krew brata, aby Bóg mógł wysłuchać dzieci Ewy.

— To niemożliwe! — krzyknął brat Paweł z odrazą. — Syn Węża?

Therion spojrzał na niego i zmarszczył brwi. — Myślałem, że poszukujesz prawdy.

— Ja... — Brat Paweł poczuł się dotknięty, nie miał jednak zamiaru stać się celem sprośności czy bluźnierstwa.

— Zdajesz sobie pewnie sprawę z tego, że odmówiono Adamowi i Ewie nie wiedzy w ogóle, ale wiedzy cielesnej. Wąż jest właśnie pierwotnym symbolem fallicznym.

— Naprawdę chciałbym być obiektywny — powiedział brat Paweł. — Ale czy nie mógłbyś mi dostarczyć jakiegoś skrótowego znaczenia tej karty? Na przykład, czy uważasz, że przedstawia sobą Wybór?

— Symbolizuje stworzenie świata. Analizę. Syntezę. Te małe postaci, które widać za okrytym płaszczem Eremitą to Ewa i pierwsza żona Adama, Lilith.

Brat Paweł zorientował się, że rozmowa prowadzi donikąd. Choć przedstawiona symbolika była w pewnym sensie fascynująca, nie przybliżała go do podjęcia decyzji. Prawdopodobnie karta Światła będzie dla niego najbardziej odpowiednia i dlatego ta piękna dama, jej rzeczniczka, powinna być jego przewodniczką. — Obawiam się, że...

— Czyń, co ci się podoba — powiedział Therion.

Brat Paweł uświadomił sobie, że aby naprawdę mógł czynić to, co mu się podoba, potrzebuje obecności tej pięknej kobiety. Wydawało mu się, że ten wybór jest dostatecznie umotywowany tym, co widział w kolejnych prezentacjach, i tym, co mówiły postaci przedstawiające kolejne wersje. Waite okazał się arogancki i mało elastyczny, podczas gdy Therion był — był rzeczywiście trochę bestią...

Nagle coś, czego nie zauważył przedtem, kiedy przyglądał się dwom centralnym postaciom ostatniej sceny, przyciągnęło teraz jego uwagę. Kobieta była podobna do dziewczyny z pola pszenicy, a mężczyzna był czarny. Nie czarny jak demon, ale czarny jak murzyn. Był to więc związek

przedstawicieli dwóch różnych ras!

Sam brat Paweł był tylko w jednej ósmej czarny, ale na rodzinnej planecie do tej jednej ósmej przywiązywano nieproporcjonalnie wielką wagę. Zaprażył teraz nagle potwierdzenia swojej tożsamości.

Wkroczył przeto do obrazu Theriona, dokonując tym samym wyboru.

I to był błąd.

Precesja (Rydwan)

Ci, którzy czytają standardowe wydania Biblii, zastanawiają się nieraz, skąd się wzięła luka około trzystu lat w zapisie pomiędzy Starym i Nowym Testamentem. Czyżby starożytni uczeni, historycy, filozofowie i prorocy przerwali na jakiś czas swą twórczą pracę? Okazuje się, że odpowiedź jest inna. Materiały były zapisywane i znane one były uczonym z czasów Jezusa, a być może samemu Jezusowi, ale nie zostały włączone do Biblii. Przez dwa tysiąclecia pokrywał je kurz starych bibliotek i praktycznie nikt o nich nie pamiętał. Dopiero odkrycie Rękopisów z Qumran nad Morzem Martwym, w 1947 roku, zmieniło sytuację, ponieważ dokumenty te, pochodzące z czasów Jezusa, zawierają wiele tych samych informacji i tym samym potwierdzają autentyczność materiałów. Dopiero teraz można było rozwikłać historię tych zagubionych lat:

Po podboju świata przez Aleksandra Wielkiego wielu Żydów zostało wypędzonych z Palestyny i znalazło schronienie we wszystkich krajach basenu Morza Śródziemnego. Była to Diaspora — nie pierwsze zresztą rozproszenie Żydów, bowiem różni zdobywcy używali tej metody wobec tego krnąbrnego ludu — istotna i znacząca, bo zbiegła się w czasie z przerwą w dopływie nowych ksiąg Biblii, która nastąpiła około roku 300 p.n.e. Wielu przesiedlonych Żydów używało raczej języka greckiego, a nie hebrajskiego, tak jak więcej było Żydów w Aleksandrii niż w Jerozolimie. Ale tylko hebrajskojęzyczne teksty, spełniające ostro wyznaczone kryteria, mogły być włączane do Biblii. Znalazło się więc poza nią wiele materiałów odrzuconych zarówno przez Żydów, jak i chrześcijan, choć i przez jednych, i drugich uznanych za ogólnie zgodne z tymi księgami, które się w Biblii znalazły. Całość tekstu zawiera przeto trzydzieści dziewięć ksiąg Starego Testamentu, czternaście ksiąg Apokryfów (znaczących „ukryte” teksty), osiemnaście ksiąg Pseudografów („pism fałszywych”) i dwadzieścia siedem ksiąg Nowego Testamentu. I ta całość daje dopiero ciągłość zapisu.

Rydwan pędził przez równinę. Brat Paweł usiłował chwycić się czegoś, co dałoby mu oparcie, ale na przeszkodzie stał mu olbrzymi kielich, znajdujący się wraz z nim w rydwanie. A lejców nie było.

Zaparł się nogami o słupki stanowiące podpórki dla daszka pojazdu i odkrył nagle, że ma na sobie zbroję. Przyłbicę miał podniesioną, ręce okryte elastycznymi rękawicami; było to bardzo dobre wyposażenie do walki. Rydwan był solidnie zbudowany; nie istniało niebezpieczeństwo, że się rozleci od wstrząsów wywołanych dużą szybkością. Konie...

Konie? Nie było tam żadnych koni, tylko jakieś niewiarygodne monstra w uprzęży. Jedno miało łeb byka, drugie głowę orła, trzecie człowieka, czwarte lwa. Cztery symbole żywiołów! Tyle że ciała nie pasowały do głów. To z ludzką głową miało orle szpony, a to z lwim łbem — skrzydła orła, kobiece piersi i kopyta byka. Było tu wszystko, co składa się na sfinksa, jednak żaden z tych stworów nie był sfinksem.

— Co ja tu robie? — krzyknął brat Paweł z zamętem w głowie.

Ludzka głowa, przystrojona na sposób egipski, odwróciła się ku niemu i ukazała twarz Theriona.

— Powozisz rydwanem! — odkrzyknęło monstrum. — Oprowadzam cię po Tarocie, jak sobie tego życzyłeś.

— Ale ja nie chciałem... — Brat Paweł przerwał. A czego on właściwie chciał? Prosił o przewodnika, a Rydwan był następną kartą w kolejności. Numer Siedem. Symbolem zwycięstwa lub Pojazdu Ezechiela, ciągniętego przez sfinksy, symbole zmysłów: pół lwa i pół kobiety. Te siły okultystyczne muszą być pod kontrolą, jeśli mają ciągnąć rydwan człowieka. Bez takiej kontroli nie znajdzie wyjścia z bagna, w którym się znalazł dzięki tym animacjom, nie mówiąc już o znalezieniu Boga w tym chaosie. Ale dlaczego cztery rumaki zamiast dwu? Ponieważ nie była to ta karta, którą brat Paweł znał, ale karta, którą znał Therion. Nic dziwnego, że tak trudno je opanować!

— Daj mi inny wariant! — zawołał brat Paweł.

Hybrydowe stwory przemieszczały się i przekształcały, aż stopiły się w dwa białe konie. Rydwan uzyskał formę pojazdu z okresu średniowiecza.

— Nie, nie ten!

Nastąpił dalszy ruch i pojawiły się dwa sfinksy, czarny i biały.

— Tak, właśnie ten! — krzyknął, zatrzymując i utrwalając obecny wariant.

Biały sfinks obrócił ku niemu głowę.

— Jak to miło, że znów cię mogę zobaczyć — powiedział.

— Światło! — zawołał brat Paweł, rozpoznając osobę. — To znaczy, rzeczniczka Tarota Bractwa Światła! Myślałem, że to talia Waite'a.

Zmarszczyła zuchwały nosek.

— Miałam nadzieję, że już zrezygnowałeś z tej skompromitowanej innowacji.

— Teraz mówisz jak Therion.

Parsknęła delikatnie.

— Po cóż wybierać pomiędzy jednym i drugim złem, kiedy można otrzymać prawdę? Bądź sobą, bądź Zdobywcą: użyj Miecza Zain, by pokonać przeszkody, zmiażdżyć wrogów i osiągnąć wszechwładzę ducha.

Brat Paweł zrozumiał jej słowa.

— Nazywasz Kartę Numer Siedem — „Zdobycą”!

— Tak, tak właśnie nazywam Arkanum Siedem. Ma to swoje historyczne uzasadnienie w Biblii.

O, do licha! Brat Paweł nie miał zamiaru wdawać się w dyskusje techniczne, niemniej jego ciekawość została wyraźnie pobudzona.

— W Biblii?

— Józef, sprzedany do Egiptu, pokonał wszelkie trudności i uzyskał wielką władzę, na co wskazuje ten miecz.

Brat Paweł dopiero teraz zauważył, że w prawej ręce trzyma zakrzywioną klingę. Odłożył więc miecz w obawie przed nieumyślnym uszkodzeniem gwiaździstego daszku nad swoją głową. Przypomniał sobie, że alfabet hebrajski w Tarocie Światła różnił się od tego, do którego on sam był przyzwyczajony. W tamtej talii Karta Numer Siedem to był właśnie Zain, Miecz. Czyli ta dama miała rację, naturalnie w ramach swojego systemu.

— Był kuszony przez żonę Putyfara, w Arkanum Sześć, ale pokonał tę pokusę. Objął sen Faraona o siedmiu krowach tłustych i siedmiu krowach chudych, a także o siedmiu latach urodzajnych i siedmiu latach nieurodzajnych. I Faraon rzekł do niego: „Ustanowiłem cię zarządcą nad całą ziemią egipską” i kazał mu jeździć rydwanem i uczynił go władcą nad...

— Głupie pieprzenie — zawołał czarny sfinks. Biały sfinks zastygł, zszokowany.

— Och, Therionie — powiedział brat Paweł, usiłując zachować spokój, choć ten okrzyk wytrącił go z równowagi. — Przecież ona nie przeszkadzała podczas twojej prezentacji.

— Bo ja nigdy nie wypowiedziałem nic równie bzdurnego! Kobiety są zupełnie bezmózgimi stworzeniami; gdyby nie posiadały macicy, byłyby kompletnie bezużyteczne.

Ten człowiek miał niewątpliwie w pogardzie płęć piękną! W czym tkwił problem? Pod każdym innym względem był bardzo inteligentny i bez uprzedzeń.

— Mimo to — upominał go brat Paweł — nie powinieneś przerywać.

Sfinks rodzaju żeńskiego zwrócił swą głowę, a następnie całe ciało w kierunku czarnego sfinksa. Rydwan skręcił niebezpiecznie, jako że oba rumaki ciągle galopowały z wielką szybkością.

— Pozwól mu, niech mówi. Chcę usłyszeć jego zarzuty. Czy kwestionuje zawartość Biblii!

— Trudno uznać Biblię za relację obiektywną, a jej zawartość jest okrojona i ocenzurowana. Oczywiście, że Hebrajczycy i ich pozbawiony tolerancji, zazdrosny Bóg podkoloryzowali zapisy stosownie do swoich potrzeb. Jak sądzisz, co też ci biedni, cywilizowani Egipcjanie czuli do tych barbarzyńskich zdobywców?

— Przyjęli Hebrajczyków bardzo serdecznie! Faraon wychował Józefa, włożył własny pierścień

na jego rękę, ubrał go w najdelikatniejszy len, włożył mu złoty łańcuch na szyję...

— Głupie pieprzenie! — powtórzył Therion. Wyglądało na to, że sprawia mu dużą przyjemność używanie nieprzyzwoitego języka w obecności damy. — Faraon nic nikomu nie dał! Wygłodniałe plemię Hebrajczyków Wtargnęło z pustyni, zajmując cywilizowane miasta, paląc domy, łupiąc świątynie i niszcząc wszystko na drodze. To oni byli tymi nikczemnymi Hyksosami, „królami — pasterzami”, którzy plądrowali kulturalny Egipt jak świnie przez dwieście lat, zanim złe zarządzanie i rozwiąłość nie osłabiła ich do tego stopnia, że dali się wreszcie wyrzucić Egipcjanom. Dlatego właśnie nazywani ten Atut „Zdobycwą”. Józef zaś był wywodzącym się z motłochu tyranem, złodziejem i mordercą. Cienka warstewka cywilizacji, którą zyskali jego ziomkowie, była egipska, tak jak Qabalah...

— Kabała? — zapytał biały sfinks.

— Qabalah. Jest tak samo wykradziona wiedzy egipskiej, jak złote ozdoby zrabowane z egipskich domostw. Te ozdoby, które ci złodzieje przetopili na Złotego Cielca, swojego bożka, na którego nawet nie zasługiwali i któremu oddawali cześć dopóty, dopóki posłuszni rozporządzeniu Mojżesza nie zdecydowali się na nie znoszącego konkurencji, żadnego krwi nowego Boga, którego imienia wstydzili się wypowiadać.

— Nie chcę tego słuchać! — wykrzyknęła przedstawicielka Światła. Scena zaczęła się zmieniać powoli.

— Poczekaj, ej ty! — krzyknął brat Paweł, doznając nagłego olśnienia. Ten bezlitosny atak na korzenie religii judeo-chrześcijańskiej — zaczynał rozpoznawać już argumenty.

— Czyżby usłyszała „Waite”? To mi wystarczy — rzucił gniewnie biały sfinks. Skręcił gwałtownie, powodując niebezpieczny przechył rydwanu.

Dlaczego wybrał za przewodnika Theriona, a nie reprezentantkę Światła? O ile lepiej się z nią rozumiał! Teraz, kiedy już prawie wciągnął ją na stałe do tej sceny, zaczęła się znów oddalać. W wyniku tych gwałtownych dysput, rydwan podskakiwał niebezpiecznie, grożąc wywrotką. Sfinksy przeszły odwrotną metamorfozę, stając się na powrót parą koni, białym i czarnym, a te z kolei zwierzęta stały się hybrydowymi monstrami z Atutu Thoth Theriona. I znów brat Paweł trzymał olbrzymi kielich ze świadomością, nie wiadomo skąd, że nie wolno mu go wypuścić z rąk.

— Siódemka! — zawołał. — Wywołuję Siódemkę Kielichów!

Kielich, który trzymał i który dostarczył mu inspiracji w tej krytycznej potrzebie, rozrósł się ponad miarę. Był teraz z czystego ametystu, z wnętrzem błyszczącym krwistą czerwienią. Stał się Świętym Graalem.

Kielich rozrastał się dalej, pochłaniając go, zawierając go w sobie, błyskając promieniami jak wschodzące słońce. Brat Paweł poczuł, że leci w jego głąb, spada coraz niżej...

I bryzgał kroplami na wszystkie strony, pływając w morzu krwi. Lepkiej, gęstej, zielonkawej

posoce — krwi jakiejś istoty pozaziemskiej raczej niż człowieka, może obcego ze sfery Antares. Jej wielkie, ciężkie krople padały na powierzchnię, tworząc wolno rozchodzące się kręgi na oceanie krwi. Krople spadały też z innych kielichów: sześciu ozdobnych naczyń umieszczonych w metalowej ramie wyrastającej z największego kielicha, spoczywającego na powierzchni tego okropnego morza. Zielony, lepki płyn przelewał się i wypływał z każdego kielicha, a w szczególności z największego. Na każdym z nich leżały odwrócone kwiaty, lilie tygrysie i lotosy, i z nich to właśnie wydawał się wypływać ten śluz. Odór rozkładu był straszliwy.

— W ten oto sposób Święty Graal sprofanowany został przez rozwiążłość — powiedział głos Theriona. Wydawał się dochodzić z największego, siódmego kielicha, jak gdyby mówiący te słowa zanurzony był w jego trującej zawartości.

— Nie interesuje mnie rozwiążłość — protestował brat Paweł, z trudem chwytając powietrze. Przebierał nogami w wodzie, walcząc z ciągnącą go w dół ciężką zbroją i z obrzydliwym fetorem. — Wywołałem przecież Siódemkę Kielichów.

— Zaiste, wywołałeś! Zauważ, jak najświętsze tajemnice natury stają się plugawymi i wstydliwymi sekretami nieczystego sumienia.

Brat Paweł otworzył usta, by ponownie zaprotestować, kiedy nagle zdał sobie sprawę ze znaczenia struktury podtrzymującej kielichy. Był to skręcony, zachodzący na siebie, podwójny trójkąt, uformowany w stylizowany zarys żeńskich organów rodnych. Macica przechodziła tam w pochwę, a największy kielich był sromem przepelnionym zielonkawą cieczą z organów płciowych roślin. Kwiaty były naturalnie organami kopulacyjnymi, a ich ponętna forma przyciągała inne gatunki, takie jak pszczoły, by z własnej woli wspomagały rozmnażanie się tych roślin. Czy wiele pruderyjnych kobiet rozumie pełne znaczenie tego co robią, kiedy zanurzają swe nosy w jaskrawe kielichy kwiatów, by poczuć ich upajającą woń? Natura kpi sobie z pretensjonalności ludzkich słabostek.

Jednak co za dużo to niezdrowo. Brat Paweł miał dość kąpieli w tej gęstej cieczy.

— Siódemka Kielichów Waite’a! — zawołał.

— Niech ci — będzie — powiedział Therion gderliwie. — To jeden z bardziej udanych produktów Artwaite’a, mimo że nie całkiem oddaje właściwe znaczenia.

Morze zagotowało się, wyzwalając wielkie chmury pary. Z daleka dobiegł głos Theriona:

— Będziesz żałował! — A echo powtórzyło: — Żałował! Żałował! Morze wyparowało, tworząc chmury z zielonkawych oparów, a brat Paweł stanął na elastycznej warstewce zieleni, która okazała się trawnikiem. Kielichy powróciły do swoich poprzednich pozycji, zmieniając przy tym kolor na złocistożółty. Kwiaty, które uprzednio były nad nimi, wpadły do ich wnętrza, zmieniając się w przeróżne przedmioty, widoczne ponad brzegami kielichów. Brat Paweł stał przed siedmioma kielichami wspartymi o wał szarych chmur.

— Proszę bardzo — powiedział Therion, stając obok niego. — Niezłe kłębowisko obrazów. Można stracić orientację.

— Ciągłe tu jesteś? Myślałem, że Waite...

— Mnie wybrałeś za przewodnika, pamiętasz? Jeszcze w Karcie Numer Seks. To znaczy, Numer Sześć. Możesz przeglądać każdą kartę, jaką tylko zechcesz, ale interpretacja należy do mnie.

Wyglądało na to, że dokonany przez brata Pawła wybór jest stały, przynajmniej na czas trwania tej wizji. Obawiał się, że dokonał go zbyt bez troski i nierozważnie. Trudno, jakoś sobie poradzi, a następnym razem będzie lepiej przygotowany. Tym razem jednak, mając do wyboru Cnotę bądź Występek, wyraźnie opowiedział się za tą drugą. Znał przynajmniej mniej więcej obecny obraz, chociaż Święty Zakon Wizyjny nie przywiązywał zbyt dużej wagi do Małych Arkanów.

Po pierwsze, musi się zorientować w nowej sytuacji. Dlaczego właściwie znajduje się tu, gdzie się znajduje? Oczywiście, że chciał wydostać się z wywracającego się rydwanu i z obrzydliwej zupy Therionowej Siódemki Kielichów, ale jaki miał przy tym wszystkim cel prawdziwy?

Odpowiedź: jest tutaj, aby odkryć ostateczne znaczenia i powiązania tych animacji. Jego cel bezpośredni, którym było wydostanie się z tej sekwencji, jest już nieaktualny; niezależnie od tego jak walczy, wydaje się tylko zanurzać coraz głębiej, jak człowiek, który ugrzązł w ruchomych piaskach, pogarsza tylko swoją sytuację rozpaczliwą szarpaniną. (Zawsze uważał, że skoro piasek jest gęściejszy od wody, można unosić się na jego powierzchni i wystarczy się rozluźnić, by odsunąć od siebie niebezpieczeństwo. Czy może unosić się, płynąć tu, w animacji, jeśli tylko da jej się nieść?) Wypada więc grzęznąć mu dalej, zgodnie z teorią, która powiada, że tak samo łatwo jest poruszać się do przodu, jak i do tyłu.

Kiedy Bóg objawił mu swą moc, tak jak uczynił to wobec innych, czyj to był Bóg? Rozmowa z Hierofantem nie przyniosła odpowiedzi; brat Paweł musi wpierw pojąć szczególny charakter tego zjawiska. Ponownie zastanowił się nad tym, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Czy wizje te były tylko wytworem jego własnego umysłu, czy stała za nimi jakaś obiektywna rzeczywistość? Był to bardzo trudny problem do rozwiązania, bo jak można ocenić autentyczność materiału uzyskanego na podstawie osobistych przeżyć? Było to jak szukanie sposobu na sprawdzenie, czy to, czego doświadczamy, to sen czy jawa; mógł się uszczypnąć, ale mogło mu się też śnić, że się uszczypnął. Gdyby wiedział, czym jest dany, konkretny szczegół animacji, ten szczegół byłby tym samym autentyczny, ale jeśli informacja była nieprawdziwa, czy był w stanie to stwierdzić? Wydawało mu się teraz pewne, że istnieje tutaj dodatkowy wkład informacji z innych umysłów, bo przecież on sam nie znał uprzednio wszystkich szczegółów poszczególnych wariantów Tarota, które dostrzegł w tej animacji. Niektóre z koncepcji przedstawionych przez Theriona były mu zupełnie obce, niemniej istniała możliwość, że są to jego własne tłumione wyobrażenia, tym bardziej szokujące, że zawsze zaprzeczał ich istnieniu. Najtrudniej jest bowiem człowiekowi stanąć oko w oko z gorszymi aspektami samego siebie.

Być może więc powinien to zrobić. Być może należałoby zanurkować w tę wizję i chwycić odpowiedź, nim zniknie. Niewątpliwie znajdowała się ona i' ii w którymś z tych kielichów. Winien był to sobie i swojej misji. |, Przyjrzał się kielichom dokładniej i uważniej. Jeden zawierał wysoki, miniaturowy zamek, inny był wypełniony po brzegi klejnotami, w pozostałych znajdowały się: wieniec, smok, głowa kobiety, wąż i postać z zakrytą twarzą. Wszystko to były symbole, których znaczenie poznał w czasie studiów w Świętym Zakonie Wizyjnym. Nigdy przedtem nie były one

jednak materialne, jak te tutaj. Wiedział już, że te animowane symbole nie poddadzą się biernie konwencjonalnej analizie.

Zamek był podobny do tych, które widział na innych kartach; być może była to ta sama budowla. Symbolika Tarota na ogół była stała; rzeka zawsze oznaczała strumień nieświadomości, biorący swój początek od trenu długiej i powłóczystej sukni Arcykapłanki, a kielich oznaczał naczynie uczuć lub religii. Ten zamek oznaczał dla niego punkt zborny, wstępną odpowiedź. Może należałoby do niego wejść? Cóż, można spróbować. Zbyt dużo czasu poświęcał rozważaniom miast działaniom.

I zamek zaczął rosnąć. Wydostał się ze swego kielicha i stał się wspaniałą budowlą stojącą na szczycie stromej góry. Z jego wyniosłych wieżyczek powiewały sztandary. Był piękny.

Brat Paweł ruszył w jego kierunku. Towarzyszył mu Therion, nucąc coś pod nosem, jakby obojętny na to, co się dzieje.

— Znam tę piosenkę — powiedział brat Paweł, zdecydowany podtrzymać udział Theriona w obecnych wydarzeniach. — Nie mogę jej tylko nijak umiejscowić.

— „Piosenka — zagadka” — odpowiedział mu natychmiast jego towarzysz. — Jeden z najsubtelniejszych ludowych utworów erotycznych.

— Ach, tak. „Dałam ukochanemu wisienkę” — ale dlaczego ma to być utwór erotyczny? Przecież to zwykła, prosta piosenka miłosna.

— Ha. Wisienka to jej *hymen*, który on rozerwał. Prowadziłeś zbyt zamknięty tryb życia i nigdy nie nauczyłeś się właściwego języka.

— Czyżby? A on jej dał kurczaka bez kości, pierścien bez końca i dziecko bez płaczu.

— Kurczak bez kości to jego pozbawiony kości, a mimo to twardy penis, wbijający się w otwór w kształcie pierścienia i płodzący dziecko, które naturalnie w tym czasie jeszcze nie płakało.

— No cóż, interpretacja jedna z wielu możliwych. Powinienem być pozostać przy strumieniu nieświadomości — mruknął do siebie brat Paweł.

— O, tak. Przy tej wodzie, o której Artwaite powiada, że przepływa przez całą talię Tarota, a wypływa z sukni ladacznicy. Co za brednie!

— Znów to samo! Zawsze uważałem to za piękne ujęcie problemu. Jak ci się udaje widzieć w nim brednie?

— Na wiele sposobów, bracie! Są to brednie, bo opierają się na kompletnym nonsensie; woda symbolizuje wiele rzeczy oprócz nieświadomości i śmieszne jest udawanie, że się o tym nie wie. Ale bardziej bezpośrednio, ten eufemizm, który podrzuca swoim fanom — czy naprawdę sądzisz, że ten płyn bierze początek w jej sukni!

— Cóż, może to być licencja poetycka, ale...

— Jej suknia zakrywa tylko prawdziwe źródło, którym jest jej ciało. Kobieta jest naczyniem pełnym wypływającej cieczy, co chciałem ci uzmysłowić moją Siódemką Kielichów. Mleko z jej piersi, krew z jej...

— Mleko i krew są chemicznie podobne — powiedział szybko brat Paweł. — W rzeczywistości chlorofil, kluczowy dla metabolizmu roślin, jest także zadziwiająco bliski...

— Wypływające ze wszystkich otworów, zalewające cały Tarot gorącym, gęstym...

— Zmieńmy lepiej temat — powiedział brat Paweł, niechętny kontynuowaniu takiej rozmowy. Cóż za szczególny przypadek ginofobii — lęku przed kobietami!

— Przybywam.

Przed nimi pojawił się nagle smok. Brat Paweł chwycił za miecz, który równie nagle odkrył u swego boku.

— Toż to Smok Pokusy — wykrzyknął. — Przecież on należy do innego kielicha, a ja go nie wzywałem!

— Musiałeś go jednak wezwać, Pawle — powiedział spokojnie Therion. — Bo ja tego łajdackiego czynu nie popełniłem.

— Ależ ja animowałem zamek i był to jedyny kielich, jaki opróżniłem! Therion uśmiechnął się złośliwie.

— Ty o tym wiesz i ja o tym wiem, ale czy toto o tym wie? Wyświechtany i mało zabawny frazes! A tu wielki, czerwony Smok Pokusy już szarżował na niego przez równinę. Nie było czasu na dyskusję o tym, kto jest odpowiedzialny za ten stan rzeczy; musiał go jakoś powstrzymać.

— Rycerze Okrągłego Stołu przynajmniej dosiadali wierzchowców — mruknął brat Paweł. — A lanca i zbrojny rumak...

— Z Pokusą walczy się samotnie — przypomniał mu Therion. — Zawsze tak było.

Na to wyglądało. Therion nie miał ani zbroi, ani broni; nie mógł więc stawić czoła smokowi, gdyby nawet miał taki zamiar. Brat Paweł zachował zbroję, którą miał w rydwanie, choć sam rydwan utracił. Wszystko więc zależało od niego.

Smok miał ogromny, klinowaty łeb, z którego tryskał niewielki pomarańczowy płomień. Nie, był to tylko jego haczykowaty jęzor. Przednie łapy wyrastały mu tuż za głową, prawie jak uszy, a niewiele dalej, z szyi, jak pióra czy włosy, sterczało dwoje małych skrzydeł. Wyglądało to na niezbyt sensowną i skuteczną konstrukcję, ale to samo można by powiedzieć o konstrukcji dinozaura gatunku *Tyrannosaurus Rex*, przedstawionej na papierze. Reszta potwora zwężyła się spiralnie ku ogonowi, na kształt jakiegoś robaka. Tylko jego przednia część wyglądała groźnie, przy wycofywaniu się takie stworzenie byłoby nieszkodliwe. Co zresztą pozostawało w pełnej zgodzie z naturą Pokusy czy jakiegokolwiek innego zagrożenia.

Ale smok się nie wycofywał. Podskakiwał radośnie do przodu, a jego węzowate ciało odbijało się od ziemi jak sprężyna.

Brat Paweł wyszedł mu naprzeciw, z mieczem błyszczącym jak Excalibur. Miał jednak wątpliwości; uważał się za człowieka pokoju, a nie wojownika, dlatego więc miałby atakować żywe stworzenie ostrym i niebezpiecznym narzędziem. Co prawda nie było to żywe stworzenie, był to tylko animowany symbol. Mimo to problem go niepokoił.

W odległości dwóch metrów od niego Smok Pokusy wyprostował się. Popatrzył z pogardą. Miał wielkie, żółte oczy i to spojrzenie robiło spore wrażenie. Jego czerwony pysk pokrywały wielkie, owłosione, zielono-niebieskie brodawki, a z czoła wyrastały mu sękaty, szare rogi. Kły miał krzywe i pokryte śluzem. Brat Paweł zastanawiał się, patrząc na niego, czy przed przybyciem na to miejsce nie babrał się czasem w jednym z kielichów Theriona.

Haczykowały jęzor śmignął jak strzała w kierunku brata Pawła, prawie sięgając celu. Małe skrzydła poruszały się w tę i z powrotem, a cienka, porowata skóra marszczyła się na żebrach. Brat Paweł nie przypominał sobie, by widział kiedyś w życiu coś równie szkaradnego.

— O co chodzi? — zapytał smok. — Masz pietra?

Brat Paweł poczuł ukłucie gniewu. Jakim prawem ten brudny stwór zwraca się do niego w ten sposób? Ścisnął mocniej rękojeść miecza i ruszył do przodu.

Zatrzymał się jednak ponownie. Przecież to była Pokusa — pęd do gwałtu bez dostatecznego powodu. Cóż z tego, że potwór spytał czy ma pietra? Dlaczego miałby reagować na tak prostackie szyderstwo? To był najniższy poziom stosunków „międzyludzkich”, a gwałt jest ucieczką niekompetentnych.

— Chciałbym tylko odwiedzić zamek, ponieważ podejrzewam, że znajduje się tam potrzebna mi informacja. Gdybyś więc odstąpił na bok, walka między nami byłaby zbędna.

— Pokusa nigdy nie odstępuje! — parsknęło stworzenie. Całkiem dobrze mu wychodziło mówienie i parskanie jednocześnie. — Musisz mnie pokonać, nim będziesz mógł zakończyć swą misję, tchórze.

— Ale ja nie chcę cię zabijać. Chcę tylko przejść obok ciebie.

— Nie możesz mnie zabić; jestem wieczny. Nie możesz przejść obok mnie. Nie możesz nawet ze mną walczyć; jesteś śmierdzącym tchórzem. Wynieść się po prostu z tej sceny i oczyścić powietrze.

Też rada. Cały czas usiłuje tego dokonać.

— Wyniósłbym się, gdybym nie miał misji do spełnienia. Odejdę po jej zakończeniu. A teraz proszę, zejść mi z drogi.

I brat Paweł ruszył naprzód. Smok ani drgnął.

— Pokusy nie przestraszysz bluffem — powiedział.

Brat Paweł był zdecydowany nie uderzać mieczem bez wyraźniejszej prowokacji. Chociaż wiedział, że to tylko symbol, jego podobieństwo do żywej istoty było zbyt silne.

Spróbował więc ominąć go — bez rezultatu. Za każdym razem smok, w sposób magiczny, znajdował się tuż przed nim.

O to mu chodzi; chce sprowokować do uderzenia mieczem. Jeśli brat Paweł uderzy pierwszy, będzie to oznaczać że uległ Pokusie.

Tym razem poszedł wprost na smoka. I odbił się od jego pokrytego brodawkami pyska.

Therion stał z boku, obserwując sytuację z chorobliwą ciekawością.

— Nie ugryzł mnie — powiedział zdziwiony brat Paweł.

— Pokusa nie atakuje w sensie fizycznym — wyjaśniał Therion. — Oferuje tylko bardziej intrygującą alternatywę. Zwyciężona jednak być musi.

Brat Paweł nie widział nic intrygującego w tym smoku. Znow chciał go ominąć i znow mu się nie udało. Był już więcej niż trochę zły i miał ochotę zmieść tę „rzecz” ze swojej drogi, ale zdusił w sobie ten impuls. Schował miecz do pochwy i spróbował zepchnąć Pokusę z drogi gołymi rękoma. Smok jednak był ciężki i „nisko zawieszony”, więc ani drgnął.

— Nie pokonasz mnie półśrodkami — powiedział.

Brat Paweł zaczął się pocić. Najwyraźniej ten stwór jest w stanie udaremnić wszelkie jego wysiłki, jeśli nie zgodzi się stanąć do bezpośredniej walki. Ciągłe był jednak niechętny takiej walce. Zwrócił się do Theriona:

— Jesteś moim przewodnikiem. Co radzisz?

— Musisz znaleźć wspólną płaszczyznę, na której mógłbyś się z nim potykać. Pokusa występuje pod wieloma postaciami. Być może któraś z nich będzie ci odpowiadała.

Brat Paweł rozważał jego słowa. Wiele postaci — czy ma to tutaj dosłowne znaczenie? Postaci w sensie fizycznym?

— Nie chcę wyciągać na ciebie miecza, bestio — powiedział brat Paweł do smoka. — Zarazem musisz ustąpić mi z drogi. Czy nie ma jakiegoś mniej gwałtownego sposobu rozstrzygnięcia tego dylematu?

— Mogę walczyć z tobą na każdym froncie, tchórze — powiedział smok.

— Co byś wobec tego powiedział na walkę gołymi rękoma? Czy możesz przybrać postać ludzką?

Smok znikł. Zamiast niego pojawił się potężny i muskularny mężczyzna o żółtych oczach, czerwonej twarzy, z niebieskimi różkami i pokrytym brodawkami nosem. Uśmiechał się drwiąco.

— I co teraz, tchórze? — zapytał.

— Skoro Jakub mógł się mocować z Aniołem Pana, ja mogę mocować się z Pokusą — odpowiedział brat Paweł.

Był teraz spokojniejszy. Ta sytuacja wymagała znajomości judo, a tu czuł się kompetentny. Może uda mu się ujarzmić przeciwnika bez robienia mu krzywdy.

— Nic nie wiem o żadnym Jakubie!

— „Gdy zaś wrócił i został sam jeden, ktoś zmagał się z nim aż do wschodu jutrzeńki”. To z Biblii, pierwsza księga Mojżeszowa, zwana *Genesis*, rozdział trzydziesty drugi.

Brat Paweł przerwał, oczekując, że demon cofnie się na wzmiankę o Biblii, ale spotkało go rozczarowanie. No cóż, nie był to demon z kręgów piekielnych, tylko demon, który tkwi w każdym człowieku i jako taki jest biegły w sprawach świętych, jak i całkiem nieświętych. Z tym, że chyba nie znał akurat tego epizodu biblijnego.

— Ach, ten Jakub! — powiedział demon z kpina w głosie. — Musiał to być jakiś słabowity anioł, skoro miał trudności z pokonaniem śmiertelnika. Wręcz by przegrał, gdyby nie zadał ciosu poniżej pasa.

Brat Paweł przypomniał sobie odpowiedni fragment: „A widząc, że nie może go pokonać, dotknął jego stawu biodrowego i wywichnął Jakubowi ten staw podczas zmagania z nim”.

— Nie wygląda mi to na cios poniżej pasa, raczej na chwyt nogami — nacisk na udo w celu wywichnięcia stawu biodrowego — powiedział.

— „Staw biodrowy” to eufemizm na krocze — nalegał demon. — Anioł rozwalił Jakubowi krocze.

— Być może — zgodził się brat Paweł. — To sprawa dyskusyjna. Dalej bowiem użyte jest określenie „to właśnie ścięgnó”, a ponieważ Jakub spłodził dzieci...

— Ale nie po walce z aniołem!

Brat Paweł rozłożył ręce. Choć sądził, że jego potyczka z demonem — smokiem będzie walką wręcz, nie miał nic przeciwko potykaniu się na arenie wiedzy biblijnej. W ubiegłych latach studiował Biblię i był zafascynowany jej religijną i historyczną zawartością. Intrygowało go również to, co następowało po księgach właściwych, mianowicie Apokryfy i Pseudo — grafy.

— W każdym razie, anioł go nie pokonał. Uzyskał nawet od anioła błogosławieństwo i imię Israel, co znaczy „Książę Boga”, i stanął na czele plemienia Israela.

— I jego córka została zgwałcona — dodał demon z uśmiechem satysfakcji na twarzy.

Ten stwór coś za bardzo przypominał mu Theriona. Obejrzał się do tyłu, ale Therion stał ciągle na swoim miejscu. Z drugiej strony Therion nie aprobowałby gwałtu, nie ze względu na kobietę zresztą, ale dlatego, iż uważał akt płciowy za poświęcenie ze strony mężczyzny i dar dla niegodnej przedstawicielki płci żeńskiej. Po cóż narzucać taki dar siłą?

— Gwałt to zbyt mocne określenie — ciągnął brat Paweł. — Młodzieniec był człowiekiem honoru i prosił o zgodę na formalne zaślubiny z Dinah, a nawet zgodził się na wymóg obrzezania, choć sam był księciem wyznania niemojżeszowego.

— O, tak. Niezłe musieli zamieszać w zapisach. Próbowali zrobić z tego legalne obłapanie, żeby nie trzeba było ukamienować go za gwałt, albo ją za przyzwolenie. Wiele soczystych kawałków wykrojono z Dobrej Księgi.

Brat Paweł już zamierzał ostro ripostować, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że ma do czynienia z jeszcze jednym aspektem tej samej walki. Pokusa walczyła i słowami, i pomysłami, a prawda była dla niej zupełnie nieistotna. Jeżeli wypaczenia i słownictwo wyprowadzą go z równowagi, zwycięstwo przypadnie smokowi.

Tak naprawdę to brat Paweł nieraz zastanawiał się nad lekceważącym podejściem do precyzji wypowiedzi u autorów biblijnych. Chciał bowiem zawsze rozumieć dokładnie znaczenie tego, co czyta, a całe fragmenty Biblii były tak irytująco niejasne. Takie spotkanie Jakuba z aniołem Boga — toż to cała zagadka! Dlaczego niby anioł miałby w ogóle zechcieć mocować się ze śmiertelnikiem i dlaczego ktoś tak czysty jak anioł miałby ulec tej pokusie? Wiedział także, że krytyczne podejście do Biblii wymaga dużej ostrożności, skoro całym pokoleniom badaczy nie udało się w sposób jednoznaczny podważyć zawartych w niej treści. A nowsze odkrycia archeologiczne wręcz potwierdzają ich autentyczność. A kimże takim był on sam, skromny nowicjusz skromnego zakonu, by mógł wydawać sądy o wiedzy i przemyśleniach zebranych przez tyle wieków?

Tu także musi zwyciężyć Pokusę. Nie jego rzeczą było publiczne dyskutowanie Pisma. Błędem było powołanie się na nie. Sam ponosi odpowiedzialność za to, co czyni, i nie powinien odwoływać się do Biblii. Wykorzystywanie Świętej Księgi do własnych celów jest zakłamaniem i przewrotnością — choć wielu szyderców tak właśnie czyni.

— Dość tego — powiedział brat Paweł. — Jeśli mnie nie przepuścisz, będę zmuszony użyć siły.

Demon roześmiał się. Był wyższy od brata Pawła i mocniej zbudowany. Kwestią otwartą pozostawała jego rzeczywista siła. Pokusę niełatwo jest ocenić na podstawie wyglądu zewnętrznego.

Brat Paweł ruszył ponownie w kierunku zamku i jak poprzednio demon zablokował mu drogę. Tym razem jednak brat Paweł natarł na niego, naciskając na jego prawe ramię, swoją prawą stopą podcinając jego lewą nogę do przodu i na zewnątrz. Było to znane w judo o *uchi gari* („duże wewnętrzne podcięcie”).

Demon padł na piasek, jakby poślizgnął się na skórcie od banana. Brat Paweł przeszedł nad nim i

podążył do zamku. Było to wszystko zadziwiająco łatwe! Demon jednak ponownie stał na jego drodze.

— Bardzo dowcipnie, śmiertelniku. Ale Pokusę nie tak łatwo zostawić za sobą. Mógłbyś mną rzucać i tysiąc razy, a i tak byłbym z powrotem przed tobą, bo jednorazowym aktem woli pokonać mnie nie można.

Jeszcze raz brat Paweł natarł na niego. Demon przygotował się na manewr, który go poprzednio powalił, ale tym razem brat Paweł chwycił jego prawe ramię obiema rękami i zrobił obrót do *ipoon seoi nage*, rzutu jedną ręką. Własna siła rozpędu pociągnęła demona do przodu, a brat Paweł przerzucił go tylko nad własnym barkiem i demon wylądował ciężko, z hukiem, na piachu.

Brat Paweł nie poprzestawał na tym. Dopadł demona i założył mu chwyt na szyję. W ciągu kilku chwil proste przyduszenie odetnie demonowi powietrze i spowoduje, że ten zacznie się dusić; zatrzymanie dopływu krwi nie dopuszcza tlenu do mózgu i pozbawia przytomności w kilka sekund.

Demon szarpał się i rzucał, ale bez rezultatu. Brat Paweł dobrze wiedział, jak stosować taki chwyt. Nie zabije tego stwora, pozbawi go tylko przytomności. Za kilka minut dojdzie do siebie — za późno jednak, by mu przeszkodzić w wejściu do zamku. Pokusa odłożona może się okazać pokusą pokonaną! Sekundy mijały, a ten stwór ciągle walczył. Chwyt był mocny, a mimo to bezskuteczny. W czym tkwił problem?

Ramię demona uniosło się i poszukało twarzy brata Pawła. Ostre pazury przeorały policzek w pobliżu prawego oka. Wiedział, że straci oko, jeśli nie cofnie głowy, ale żeby to zrobić — musiałby zwolnić uchwyt. Tego stworzenia nie obowiązywały żadne sportowe reguły! Chwyt najwyraźniej zawiódł. System naczyń krwionośnych demonów wydaje się odporny na ataki śmiertelników. Pokusy nie można po prostu zneutralizować. Brat Paweł zwolnił uchwyt i odskoczył.

— Jestem smokiem — powiedział demon, wstając. — Działam na zasadach magicznych. Oddech potrzebny mi jest wyłącznie do mówienia. Nie da się zdusić Pokusy, głupcze.

Najwyraźniej nie! Brat Paweł zrobił krok w kierunku zamku, a demon znów zablokował mu przejście. Brat Paweł chwycił go lewą ręką za prawe ramię, pociągając je do przodu. Prawe zaś ramię wysunął do przodu, jak gdyby miał zamiar otoczyć nim odporną na duszenie szyję demona. Ten zaśmiał się pogardliwie i cofnął, broniąc się przed rzutem i chwytem. Jednak prawe ramię minęło głowę demona, nie dotykając jej wcale. Brat Paweł skręcił się w miejscu, jakby się całkiem pogubił, i padł na ziemię. Ciężar jego padającego ciała porwał demona i pociągnął do przodu, tak że ten przeleciał nad grzbietem brata Pawła. Było to *soto makikomi*, dziwna i potężna technika w walce wręcz. Demon wylądował ciężko, a brat Paweł na nim; siła rzutu była taka, że przeciętny człowiek straciłby po nim przytomność. Brat Paweł natychmiast okręcił się wokół, przycisnął twarz demona do ziemi i założył bolesny chwyt, zwany *kansetsu waza*. Może i demon nie posiadał krwi, ale jego połączenia stawowe zbudowane były jak u człowieka. Mógł takie połączenie poważnie uszkodzić, zamierzał jednak użyć tylko tyle siły, żeby zmusić tego stwora do poddania. W tej pozycji nie miał on bowiem możliwości ataku: ani kłosa, ani kopania, ani drapania. Nacisnął na ramię, skręcając je fachowo w łokciu. Demon zawył.

— Poddajesz się? — spytał brat Paweł, lekko zmniejszając nacisk.

W odpowiedzi demon zmienił się na powrót w smoka, w swój początkowy, a może i naturalny dla niego kształt. W wyniku tego brat Paweł trzymał jedną z jego łap, ale ponieważ układ kostny był całkiem inny, chwyt nie mógł być dłużej skuteczny. Potwór rozwarł szczęki i wystrzelił z nich pomarańczowym ozorem, smagając nim twarz brata Pawła jak biczem. Ten musiał go natychmiast puścić. , — Nie wytrzymałeś — powiedział do smoka. — Przegrałeś więc.

— Pokusa nigdy nie przegrywa; może być tylko osłabiona, by móc powrócić później z odnowionymi siłami. A poza tym ciągle jeszcze stoję na twojej drodze. — I mówiąc te słowa, ustawił się ponownie pomiędzy bratem Pawłem a zamkiem.

Brat Paweł zwrócił się do Theriona, który z niewinną miną przyglądał się wypadkom.

— I co teraz powiesz, przewodniku?

— Napij się — powiedział Therion, podając mu wysoki, chłodny kielich jakiegoś napoju.

— Niepotrzebne mi... — zaczął brat Paweł, ale w tej samej chwili dotarło do niego, jak bardzo jest spragniony i że kielich czegoś odświeżającego jest rzeczą jak najbardziej odpowiednią. I kuszącą. Był pewnie zbyt zgrzany i zaaferowany, by zauważyć oczywiste rozwiązanie — jakiegokolwiek by ono nie było. Z chłodniejszą i jaśniejszą głową prawdopodobnie szybciej rozwiązałby irytujący problem smoka. Wziął kielich.

Napój był smakowity i uderzał do głowy. Po pierwszym łyku brat Paweł zwrócił się z wyrzutem do Theriona: — W tym jest alkohol!

— Naturalnie. Najlepsze, co może być dla dodania sobie odwagi.

— Odwagi!? — Brat Paweł o mało nie eksplodował. — Niepotrzebne mi takie środki dla dodania sobie odwagi. Mój zakon nie pochwała ani alkoholu, ani narkotyków. Daj mi wody.

— Tu nie ma wody; to jest przecież pustynia — powiedział spokojnie Therion. — Czy twój zakon zakazuje używania alkoholu?

— Nie. Święty Zakon Wizyjny niczego nie zakazuje, byłaby to bowiem ingerencja w dziedzinę wolnej woli. Patrzy tylko krzywo na te rzeczy, które powszechnie bywają nadużywane. Każdy może postępować zgodnie z własnymi standardami w sprawach ciała, ale tylko ci, których standardy są odpowiednie, mogą liczyć na sukces wewnątrz zakonu.

— Aha! — powiedział lekceważąco Therion. — Jesteś tedy niewolnikiem zakazów własnego zakonu i tylko nie chcesz się do tego przyznać.

— Nie! — Brat Paweł jednym haustem wypił resztę płynu, poddając się trawiącemu go pragnieniu.

Efekt był natychmiastowy. Poczł mrowienie na całym ciele; głowę miał przyjemnie lekką. Był to,

jakby nie było, dobry trunek!

Brat Paweł odwrócił się teraz do smoka, który z głupim uśmiechem na pysku stał ciągle między nim a zamkiem.

— Mam cię już dość, Pokuso. Wynoś się z mojej drogi!

— Zmusz mnie, ptasi mózdzku!

Brat Paweł wyciągnął lśniący miecz z pochwy. Postąpił groźnie do przodu, chcąc bluffem zmusić bestię do odwrotu. Kiedy ta jednak nie cofnęła się, walnął z całej siły w straszliwy łeb i rozciął go na pół. I naturalnie, nie było śladu krwi; czaszkę wypełniał jakiś gąbczasty plastik. Stwór wyzionął ducha z sykiem przypominającym parę wydobywającą się z naczynia pod ciśnieniem; padł na grzbiet, a jego łapy drgały konwulsyjnie na piachu.

— Cóż, zmusiłem go, żeby się ruszył — powiedział brat Paweł, wycierając ostrze o piasek, żeby pozbyć się z niego zielonej mazi.

— Bez wątplenia — zgodził się Therion.

— Ruszajmy piorunem do zamku, nim smok ożyje.

— Słusznie.

Między nimi a zamkiem wyrosła jednak nowa przeszkoda. Tym razem był to kielich zawierający Wieniec Zwycięstwa. Splecione gałązki i liście wystawały ponad brzegiem; między ich końcami była niewielka przerwa.

— Weź go — nalegał Therion. — Zdobyłeś go przecież. Pokonałeś Pokusę!

Brat Paweł rozważał ten problem.

— Tak, chyba tak — powiedział. Nie był całkowicie przekonany, ale wypity trunek podtrzymywał jego dobry nastrój. — Dlaczego nie?

Wyciągnął rękę i wyjął wieniec z wysokiego na metr kielicha. Dziwne, że i to występuje w jego wizji zamku; czyżby wybór jednego z kielichów przyznawał mu automatycznie wszystkie kielichy? Misja, której się podjął, przebiega chyba niezupełnie tak, jak przewidywał.

Włożył wieniec na głowę. Pasował jak ulał.

— Bardzo ładnie — powiedział Therion z aprobatą. — Wyglądasz jak prawdziwy Zdobywca.

Tak, to była Karta Numer Siedem — Rydwan, Zdobywca. Z Siódmką Kielichów nałożoną na nią. Brat Paweł schylił się, by zobaczyć swoje odbicie w gładkiej i błyszczącej powierzchni złotego kielicha. I zastygł w szoku.

Ujrzał bowiem Śmierć. Czaszkę z wystającymi żółtymi zębami i wielkimi, kwadratowymi oczodołami. Zachwiał się do tyłu, przerażony. Przypomniawszy sobie coś, coś tak zatrważającego... Nie! Odsunął tę myśl od siebie. To było tylko odbicie, nie nadprzyrodzonego. Zmusił się, by spojrzeć ponownie. Czaszka była tam nadal. Poruszył głowę. Czaszka poruszyła się również. Otworzył usta i koścista szczeka opadła. Zamrugął, ale naturalnie czaszka nie mogła mrugać, a nawet gdyby mogła, nie mógłby tego zobaczyć mając samemu zamknięte oczy.

Lewą dłonią dotknął twarzy. Ręka szkieletu dotknęła czaszki. Czuł przecież, że nos i policzki są na miejscu, istnieją w sensie fizycznym. Czaszka musi więc być tylko obrazem, nie zaś rzeczywistością. Ale co to wszystko ma oznaczać?

— Nie traćmy czasu — powiedział Therion. — Smok nie będzie udawał martwego przez cały dzień.

Brat Paweł wstał z ociąganiem i okrążył kielich. Wiedział, że czaszka oznacza coś ważnego. Jeśli była częścią naturalnej symboliki tej karty, dlaczego nie dostrzegł jej wcześniej? Jeśli zaś nie była, dlaczego ukazała się dopiero teraz? Widział tę kartę wielokrotnie jeszcze przed przybyciem na planetę Tarot; czy była na niej wówczas czaszka? Nie pamiętał. Było w tym coś — coś ukrytego i strasznego — ale on miał teraz misję do spełnienia. Być może rozwiązanie nasunie mu się samo.

Ruszył naprzód. Przyszło mu nagle do głowy, że mógł być sprawdzić, czy czaszka mruga, przymykając tylko jedno oko, a patrząc drugim. Myśli mu się nieco plątały, choć umysł wydawał się jasny i trzeźwy. Cóż, nie był to odpowiedni moment, by wrócić do kielicha i sprawdzać swoje hipotezy, tym bardziej że kielich mógł tymczasem zniknąć.

Obejrzał się. Olbrzymi kielich stał tam, gdzie przedtem, a za nim leżało ciało smoka. Żałował, że go zabił; nie powinien był tego zrobić. Nie był przecież człowiekiem gwałtownym. Co też go naszło? W ustach miał niesmak i zaczynała go boleć głowa. Żołądek sprawiał wrażenie poirytowanego, jakby chciał pozbyć się swej zawartości.

— Nie czuję się dobrze — powiedział.

— Mały kociokwik — powiedział szybko Therion. — Zignoruj go, a sam przejdzie.

Kociokwik? Aha — reakcja na trunek. Natychmiastowy stan upojenia i równie szybkie złe samopoczucie. To by się zgadzało!

Znajdowali się już w pobliżu zamku i wspinali ścieżką na stromą górę, na której stał zamek. Szli wolno, bo ścieżka była wąska, a mimo to brat Paweł męczył się bardziej niż zwykle. W pewnym momencie zobaczył jakiś otwór w prawie pionowej skale, rodzaj jaskini. W jej wejściu stał jeszcze jeden kielich. Był wypełniony po brzegi klejnotami: perłami, brylantami i innymi drogimi kamieniami. Cudowny widok!

Brat Paweł poszedł w jego kierunku, lecz stwierdził nagle, że jest zbyt słaby, by do niego dotrzeć. Zobaczył też, że kielich znajduje się w klatce z szyfrowym zamkiem. W zamku były obrazki trzech cytryn, ustawione w jednym rzędzie.

— Och — stary model jednorękiego bandyty — mruknął do siebie. — No cóż, nie przepadam za hazardem.

— Ale obejrzyj sobie potencjalną nagrodę! — krzyknął Therion. — Możesz być bogaty — możesz być multimilionerem w każdej walucie, jaką tylko wymienisz.

— Bogactwo nic dla mnie nie znaczy. Bracia i siostry naszego zakonu poświęcają życie sprawom niematerialnym, prostocie, czynieniu dobra.

— Pomyśl, ile dobra mógłbyś działać za pomocą tej fortuny!

— Chcę tylko dostać się do zamku i znaleźć odpowiedź na moje pytania — powiedział brat Paweł. — Jeśli tylko zbiorę siły, żeby dokończyć wspinaczki...

— Proszę, powąchaj sobie tego — powiedział Therion, otwierając ozdobne, srebrne pudełko.

Brat Paweł przyjrzał mu się uważnie. Wypełnione było jakimś białawym proszkiem.

— Co to takiego?

— Środek pobudzający. Używany od wieków, pozwala ludziom ciężko pracować bez odczuwania zmęczenia. Całkowicie bezpieczny, nie powoduje uzależnienia. Spróbuj.

Podstawił pudełeczko pod nos brata Pawła, a ten prawie że mimowolnie pociągnął nosem. Efekt był zdumiewający. Nagle poczuł się wyśmienicie: silny, zdrowy, z jasnym umysłem.

— Ho! ho! Co to było?

— Kokaina.

— Kokaina! Okłamałeś mnie! To jeden z najgorszych narkotyków!

Therion pokręcił z powagą głową.

— Nie ma mowy o uzależnieniu z powodów fizjologicznych. To jest najczystszy środek pobudzający, bez szkodliwych skutków ubocznych. O wiele lepszy od alkoholu. Ale jeśli mi nie wierzysz, możesz mi zwrócić tę próbkę.

— Zwrócić? Co? Pociągnięcie nosem? Niby jak mam to zrobić?

— To twoja animacja. Możesz zrobić praktycznie wszystko.

Brat Paweł zastanowił się. Skoro może zrobić wszystko, dlaczego nie może znaleźć drogi wyjścia z tego grzęzawiska? A może mógłby, gdyby chciał tego dostatecznie mocno. Ale teraz czuje się tak świetnie, po cóż to zmieniać? Chciał przecież dotrzeć do zamku i włożył w to już tyle wysiłku, że szkoda byłoby go zmarnować, wycofując się.

— Och, niech już ci będzie. Zwrócił oczy na kielich z klejnotami.

— Ale najpierw ten drobiazg. — Podeszedł do klatki i sięgnął do dźwigni jednorękiego bandyty. — Co mam włożyć do maszyny, żeby zagrać?

— Niewiele. Jedną siódmą swej duszy.

— Zrobione! — powiedział brat Paweł, śmiejąc się. I poczuł jakiś dziwny ból, który go zaniepokoił. Jeśli cena każdego kielicha wynosiła jedną siódmą, a już z kilkoma miał do czynienia... ale czuł się tak dobrze, że już po chwili zapomniał o tym. Pociągnął silnie za dźwignię.

Obrazki migwały w okienku zamka. Miecze, pałki, monety i coś niewyraźnego — być może lemniskaty, poziome ósemki, symbole nieskończoności. Gdzie się podziały cytryny? Wreszcie zatrzymały się: jeden kielich — dwa kielichy — trzy kielichy!

Drzwiczki klatki otwały się szeroko. Kielich pochylił się do przodu. Jego bogactwa wysypały się na ziemię. Główna wygrana!

— Zaryzykowałem i wygrałem! — zawołał brat Paweł. Therion pokiwał głową.

— To twoja animacja — powtórzył. — Ja tylko wskazuję drogę do samospełnienia.

Było w tym stwierdzeniu coś takiego... och, nieważne, co to było!

— Przekaż te klejnoty na cele dobroczynne — powiedział brat Paweł. — Ja muszę iść dalej.

Zrobił ostrożny krok nad błyszczącymi klejnotami i wyszedł z jaskini. Podejście było znów łatwe. W krótkim czasie znalazł się przy bramie głównej, a ponieważ była otwarta, wszedł niezwłocznie do zamku.

— Zupełnie jak pałac Śpiącej Królowej — zauważył Therion.

— Tak, jak pałac z bajki — zgodził się brat Paweł.

Therion, z niewiadomych powodów, uznał to stwierdzenie za tak zabawne, że zaniósł się śmiechem.

— Pokaż mi, z czego się śmiejesz, a powiem, ci kim jesteś — powiedział w przerwie, kiedy był zmuszony zaczerpnąć oddechu. A przecież to on się zaśmiewał, a nie brat Paweł. Dziwny człowiek!

— Zdziwiałające — powiedział brat Paweł — że chcąc odkryć, co powoduje animacje, sam wywołuję całą ich serię i ląduję w świecie fantazji, gdzie muszę zabić smoka i gdzie widzę czaszkę jako własne odbicie, i gdzie stawiam jedną siódmą mej duszy, by wygrać skarby, których w ogóle nie potrzebuję. Dlaczego nie mogę sięgnąć bezpośrednio do korzeni?

— Mógłbyś, gdybyś wiedział, jak to uczynić!

— Mam ciebie za przewodnika! Dlaczego ty nie możesz wskazać mi drogi?

— Właśnie, że ci wskazuję. Na swój sposób. Ale impuls musi wyjść od ciebie.

— Ja nie chciałem zabijać smoka! Ani uprawiać hazardu! Ty i te twoje cholerne narkotyki...

— Całkiem trafne określenie, nie można powiedzieć.

Dlaczego przeklina, skoro nie ma tego zwyczaju? Jest tutaj wiele zła przeplecione z intrygą. Czuje to.

— I co mam robić teraz? — spytał brat Paweł z irytacją.

— „Czyń, co ci się podoba” jest jedyną zasadą.

— Mówiłeś to już poprzednio i okazało się to kompletnie nieprzydatne. Jest to cytat z Rabelais'a, który, jak się domyślam, jest dla ciebie podstawowym źródłem materiałów. Bo oto tu jestem powstrzymany od czynienia tego, co mi się podoba. To znaczy — tego, co bym życzył sobie robić. A ty tylko chodzisz za mną jak cień i recytujesz zupełnie nieistotne zdania.

Therion odwrócił się do niego z poważną miną.

— Choć możesz mieć słuszność, dążąc do swego celu i uważając ten cel za ważny, nie masz racji, kiedy zapominasz, że inne sprawy są ważniejsze. Te inne sprawy są wielkie, nieme i nieugięte.

— Jakie sprawy?

— Twoja wola.

— Moją wolą jest rozwiązać zagadkę zjawiska animacji! A tymczasem wędruję po tym opuszczonym zamku równie daleki od jej rozwiązania jak przedtem! Co to w ogóle za miejsce?

— Thelema.

— Co?

— Opactwo Thelema, miejsce, gdzie możesz odkryć swą prawdziwą wolę.

— Ja już znam swoją wolę! Powiedziałem ci...

— Gdybyś ją znał, uczyniłbyś jej zadość.

Brat Paweł zastanowił się. Na jednym poziomie był to zupełny nonsens, na innym zaś wydawało się, że posiada jakiś niesamowity sens. — Powiadasz, że ja tylko sądzę, iż znam swoją wolę i że nie osiągam celu, bo podążam tropem fałszywej woli? Tropem iluzji?

Therion skinął głową.

— Nareszcie zaczniesz postrzegać problem właściwie. Po pierwsze — musisz rzeczywiście zrozumieć cel; dopiero wówczas go osiągniesz.

— Cóż, myślałem, że go rozumiem. Ale jakoś ciągle odchylam się od właściwego kierunku, jak gdybym padł ofiarą siły Coriolisa.

Przerwał, oczarowany własnym odkryciem. Siła Coriolisa — główny determinant pogody na każdej planecie. Masy powietrza usiłują się przesuwać ze strefy wysokiego ciśnienia w pobliżu równika do strefy niskiego ciśnienia na północy lub południu, ale kształt i obrót planety odchylają je na boki, ponieważ prędkość powierzchniowa obrotu jest wyższa na równiku niż na szerokościach podbiegunowych. Problem może i trudny do zrozumienia przez laika, ale całkiem podstawowy dla meteorologa. Robi to wrażenie, jak gdyby sama natura była skalana tym układem, powodującym ciągle reperkusje, niestabilności i zmiany, które składają się na pogodę. Czy jest coś takiego, jak psychiczna siła Coriolisa, siła powodująca, że dany impuls nie może znaleźć bezpośredniego spełnienia tak długo, jak długo nie poznamy w pełni natury ludzkiej kondycji? Nie była to najlepsza analogia, bo przecież umysł człowieka to nie powierzchnia planety, a myśli ludzkie to nie wietrzyki. Sytuacja tutaj jest o wiele bardziej dynamiczna, z siłą zmieniającą kierunek i oddziałującą pod kątem prostym na...

— Precesja! — zawołał głośno. Therion zerknął na niego dobrotliwie.

— Tak?

— Precesja. Czynniki, który wydaje się zmieniać kierunek siły przyłożonej do żyroskopu czy obracającego się koła. Kiedy jest wykorzystany właściwie, tak jak w rowerze, ma wpływ zwiększający równowagę, kiedy natomiast jest pojmowany niewłaściwie, przeszkadza w...

Therion pokręcił głową.

— Czy mógłbyś to dokładniej wyjaśnić?

— To termin techniczny. Precesja ma wpływ na Ziemię i na wszystko, co się obraca, a tym samym na technologię i mitologię człowieka. Precesja zrównania dnia z nocą... — Zacerpnął powietrza. — Mówiąc prosto, w obracającym się obiekcie jest spora bezwładność obrotowa i kiedy przyłożymy jakąś siłę z zewnątrz, żeby zmienić ułożenie tego obiektu w przestrzeni, musimy tę bezwładność uwzględnić. Jeśli to rozumiemy i znamy wektory...

Therion uśmiechnął się.

— To i tak w tym miejscu zastępuje nas nasza własna ignorancja, bo przecież inercja naszego mózgu jest o wiele bardziej złożona niż wykazują to jakiegokolwiek pobieżne badania. Poznaj sam siebie, albo — jak ja to wolę wyrażać — czyń, co ci się podoba.

— Tak — zgodził się brat Paweł, rozumiejąc w końcu, co jego towarzysz miał na myśli. Nie można robić tego, co rzeczywiście chce się robić, jeśli nie rozumie się samego siebie wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, czego się chce. Tego, czego się chce rzeczywiście, a nie co w swojej

ignorancji sądzi się, że się chce. Wielu ludzi ugrzęzło na tej ograniczonej ignorancją drodze i poszukuje bezustannie bogactwa i władzy, które przynoszą im tylko nieszczęścia. Inni poszukują szczęścia, ale definiowanego tylko w sensie materialnym. Jeszcze inni, chcąc naprawić ten błąd, definiują je tylko w czysto niematerialnym sensie, goniąc za chimerami. Być może brat Paweł należy do tych ostatnich. — Moja prawdziwa i ostateczna wola jest bardziej subtelna i bardziej skomplikowana niż to, co ja jestem w stanie pojąć świadomie. A ponieważ te animacje przynajmniej częściowo wypływają z mojej podświadomości, wpadam w precesję, kiedy usiłuję kierować nimi świadomą myślą. W ten sposób odchyłam się od właściwego kierunku, walczę ze Smokiem Pokusy i Bóg tylko wie, z czym jeszcze!

Therion ponownie skinął głową, przypominając w tym obdartego filozofa ulicznego.

— Ja też wiem, z czym jeszcze; z własnym sumieniem walczysz.

— Wiesz, biorąc wszystko pod uwagę; nie jesteś najgorszym przewodnikiem. Lepiej ode mnie wiedziałeś, jaka jest moja prawdziwa wola. Ale jeśli chodzi o doprowadzenie konia do wodopoju...

— Tylko jedna zasada — powiedział Therion.

Błąkali się po posępnym, pustym zamku. Weszli do jednej z sal na piętrze i ujrzeni jakąś kobietę. Spoczywała w pozycji półleżącej w ogromnym kielichu, z czego brat Paweł wywnioskował, że ma do czynienia z jeszcze jedną wizją Siedmiu Kielichów, z którą, w ten czy inny sposób, będzie zmuszony sobie poradzić. Podejrzywał, że kielich, który wybrał — ten z zamkiem — był tylko punktem początkowym i że czeka go spróbowanie zawartości wszystkich siedmiu, nim cała rzecz się zakończy. Gdyby wpierw wybrał tę damę, okazałoby się, że nakładają się na nią i czaszka, i Pokusa, i zamek, choć może nie w tym porządku. Kiedy ma się do czynienia z precesją, droga do celu nie jest ani bezpośrednia, ani łatwa. Jeśli zaś chodzi o tę kobietę, była cudem proporcji i urody, z włosami w kolorze pszenicy...

— Amaranta! — westchnął brat Paweł

— Co proszę? — spytał Therion.

Naturalnie jego towarzysz nie mógł znać imienia, jakie nadał dziewczynie od Łamacza. Sam był pewien, że Amaranta jakoś dostała się do tej animacji i że to ona tu była, aktorka w swojej szczególnej roli. Główne role w tych scenach grane były bowiem przez żywych ludzi, recytujących swoje kwestie, by tak rzec, czy raczej może improwizujących, zgodnie z ogólnymi wytycznymi scenariusza.

— Sprawa osobista. Zupełnie nieistotna — odpowiedział brat Paweł, wiedząc, że kłamie. A ponieważ kłamstwo było dla niego czymś obrzydliwym, natychmiast się poprawił. — Wydaje mi się, że rozpoznaję tę kobietę. Ona...

— Kobieta istnieje tylko po to, by służyć mężczyźnie — zauważył Therion.

Najwyraźniej nie interesowała go tożsamość tej kobiety. Dla niego wszystkie były, w pewnym

sensie, anonimowe. W tym przypadku brat Paweł nie miał nic przeciwko takiej grze; z tego, co wiedział o Amarancie, była ona w stanie szybko wyprowadzić z błędu nosicieli podobnych poglądów.

Podszedł do damy.

— W jakim sensie odzwierciedlasz moją ukrytą wolę? — zapytał.

Uniosła się z kielicha i stanęła przed nim, piękna jak marzenie.

— Jestem Miłością.

Miłość. Tego się nie spodziewał.

— Duchową czy cielesną? — spytał ostrożnie. — Jestem tu z misją religijną.

— On twierdzi, że miłuje Boga, a nie kobietę — wtrącił się Therion.

— Kocham i Boga, i kobietę — rzucił szorstko brat Paweł. — Ale moja misja wymaga...

Amaranta przeciągnęła się, podkreślając tym ruchem kształt swych cudownych piersi, i brat Paweł rozpoznał w niej inną formę Pokusy. Wiedział, że to nie animacja czyni ją tak piękną; w normalnym życiu była równie ponętna. Kobieta, która jest piękna tylko w animacji — ale, oczywiście, wygląd zewnętrzny nie powinien decydować o kobiecym powabie.

— Walczyłeś dzielnie, by wejść do tego zamku — zauważył Therion. — Czy teraz odrzucisz to, co ci ofiarowuje?

— Precesja stawia tę kobietę tutaj. To, czego ja szukam, znajduje się gdzie indziej.

— A skąd to wiesz?

Brat Paweł zastanowił się. Sądził, że zwycięża Pokusę — a była to potężna Pokusa — ale czy przypadkiem istotą jego poszukiwań nie miał być fizyczny aspekt miłości? Było to mało prawdopodobne, jednak pewności mieć nie mógł. Istniało przecież bliskie pokrewieństwo między rodzajami miłości, wyrażanej na najwyższym poziomie jako religia i na najniższym jako seks. Często się mówi „Bóg jest Miłością”. Czy on sam może osiągnąć jedną formę miłości bez tej drugiej?

Przypomniały mu się cierpkie uwagi Hierofanta. Jaka była natura jego wiary? Ze wyrażanie miłości fizycznej jest złe samo w sobie? Poglądy Hierofanta przypominały parodię...

— Hierofant! — krzyknął brat Paweł, zwracając się do Theriona. — Ty!

— Wreszcie zrozumiałeś — powiedział Therion z zadowoloną miną.

— Celowo zniekształciłeś poglądy religijne...

— Zniekształciłem? Nie nazwałbym tego w taki sposób — powiedział Therion. — Miałem rolę do odegrania, więc grałem ją z całkowitą bezstronnością. Przedstawiłem istotę, a nie kazuistykę. Współczesna religia nienawidzi seksu i przyjemności, i stara się je przytłumić, ponieważ mężczyzna ze sztywnym członkiem nie będzie szukał księdza. Starożytne religie były rozumniejsze; wiedziały, że drugą stroną miłości duchowej jest miłość cielesna. Jest ona przecież całkowicie naturalną, a i niezbędną funkcją ludzkiego organizmu.

— Ale nie poza związkiem małżeńskim — powiedział brat Paweł, wstrząśnięty faktem, że był prowadzony i manipulowany, zanim jeszcze wybrał sobie przewodnika.

— A dlaczegoż by nie? Czymże jest małżeństwo, jeśli nie pewną ceremonią ustalającą prawa własności mężczyzny w stosunku do kobiety? Czy Boga interesują konwencje obowiązujące w naszej kulturze? Kto tu w końcu rządzi — Bóg czy człowiek?

— Bóg, bez wątpienia — odpowiedział brat Paweł.

— To dlaczego Bóg nie czyni mężczyzny impotentem do czasu ceremonii ślubnej, albo wrażliwym tylko na jeden z głównych bodźców, takich jak zapach? Zwierzęta nie mają tych problemów.

— Człowiek nie jest zwierzęciem! — odparł brat Paweł. — Posiada sumienie. Kontroluje swoje popędy.

— To znaczy, że ogon macha psem. Człowiek kontroluje naturalne popędy, którymi Bóg go obdarzył, zamiast pozwolić im znaleźć swój wyraz zgodnie z boskim zamysłem.

— . To nie tak! Sumienie ludzkie pochodzi od Boga.

— A Bóg jest stworzony na podobieństwo człowieka.

Celne pchnięcie! Oczywiście, człowiek jest stworzony na podobieństwo Boga, ale jeśli zaczniesz przekonywać o słuszności tej tezy — Therion zwróci mu uwagę na to, że w takim wypadku należałoby mówić o Bogu jako posiadającym płeć i pozostającym w stanie bezzennym. A brat Paweł nie był pewien, jak sakrament małżeństwa pasuje do tego wszystkiego, bo przecież prawdą jest, że zwierzęta ślubów nie biorą. Postępują w sposób całkowicie naturalny, a mimo to są niewinne. Musiał jednak wierzyć, że jedyną z rzeczy odróżniających człowieka od zwierzęcia jest jego moralność, jego wyższa świadomość.

— Nie zamierzam ani dyskutować z tobą o małżeństwie — powiedział brat Paweł — ani też obrażać tej młodej kobiety. Chcę tylko sprawdzić, jaka rzeczywistość kryje się za tym obrazem.

— I ciągle wpadasz w precesję — powiedział ze smutkiem Therion. — Koniecznie chcesz stosować tutaj swoje osobiste standardy uformowane ziemskim doświadczeniem i za nic nie przyznasz, że być może nie dadzą się wykorzystać w tej konkretnej sytuacji. Sądzisz, że przebijesz się przez grzędawisko, rzucając się w nie głową. Kiedy wreszcie dotrze do ciebie, że nie wygrasz, jeśli nie będziesz grał zgodnie z regułami? Zakosztowałeś tylko zawartości trzech kielichów.

Pokusa, Zwycięstwo i Bogactwo. Najwyraźniej będzie musiał przebrnąć przez wszystkie, nim

dozna oświecenia. Żadnych skrótów! Ale czy obecność tej kobiety, złapanej w pułapkę animacji, oznacza, że musi wykorzystała ją cielesnie? To właśnie usiłował udowodnić Therion, co było samo w sobie dość dziwne, jako że utrzymywał, iż nienawidzi kobiet. Nie powinien jednak brać jego słów zbyt dosłownie, bowiem niekoniecznie odzwierciedlały one własną wolę Theriona. Ta kobieta może i jest uwodzicielska, ale on przecież nie musi być uwiedziony.

— Chciałbym z tobą porozmawiać — zwrócił się do damy brat Paweł. — Komu oddajesz cześć?

— Wielbię ciebie, I A O — odpowiedziała.

— Jestem brat Paweł ze Świętego Zakonu Wizyjnego — powiedział. Była to wystarczająco formalna prezentacja wewnątrz tej animacji, jeśli takowa w ogóle mogła być do czegoś przydatna. — Ty zaś — chyba już się poznaliśmy w, hm, w świecie rzeczywistym. Poza tym reprezentowałaś talię Tarota Bractwa Światła, nieprawda? Jak mam cię teraz nazywać?

Rozchyliła szatę. Była pod nią kompletnie naga. Miała szczupłe ciało, różowobiałą skórę i pełne piersi. Była ideałem kobiecej urody, co niewątpliwie przyciągnęło go do niej już podczas pierwszego spotkania. Usiłował teraz skupić się na wzniosłym rozumieniu Boga, ale jego ciało miało zupełnie odmienne pomysły.

— Wielbię ciebie, I A O — powtórzyła. Brat Paweł nie poddawał się.

— O ile pamiętam, w świecie rzeczywistym powiedziałaś, że czcisz Boga o węzowych nogach, zwanego Abra... — Nie mógł sobie przypomnieć pełnego imienia.

— Bóg, o którym mówi, to I A O albo Abraksas — dosłownie „Bóg który ma być wielbiony”. Dlatego go wielbi — wyjaśnił Therion. — Ma on kształt ludzki, głowę koguta, nogi z węzów i jest bogiem uzdrawiania. Wygląda na to, że ona wierzy, iż ty jesteś tym bogiem.

— Ja? — wykrzyknął przerażony brat Paweł. — Pogańskim bóstwem?

— Abraksas był jednym z najpopularniejszych bogów w cesarstwie rzymskim. Możliwe, że ona widzi w tobie jego współczesne wcielenie. Może gdybyś jej pokazał swoje nogi...

Brat Paweł odezwał się w sposób, który zupełnie nie przystoi zakonnikowi. Ale Therion nie zwrócił na to uwagi. Przyglądał się bowiem uważnie Amarancie.

— Jest bez wątpienia zdrowym, dobrze odżywionym okazem — zauważył, jakby oceniał konia pełnej krwi. — Większość ludzi i to we wszystkich czasach historycznych była niedożywiona; dopiero w ubiegłym wieku dobre odżywianie stało się powszechne. Ale nawet dzisiaj rzadko się widuje tak piękne kształty.

— Czy rzeczywiście czcisz pogańskiego bożka? — zapytał piękną damę brat Paweł. Jakoś nie przywiązywał do tego większego znaczenia, a wręcz jej nie uwierzył, kiedy wspomniała o tym jeszcze jako kolonistka.

— Jakby nie było, jest to wolne społeczeństwo — zauważył Therion. — Zgodnie z zasadami

Przymierza, nikomu nie wolno prześladować wyznawcy innej religii, niezależnie od natury tej religii. To jedynie jest w stanie zapobiec wojnie na śmierć i życie w tej kolonii. Jestem przekonany, że I A O ma tutaj takie same prawa, jak którykolwiek z bogów chrześcijańskich.

Jednym ruchem ramion dziewczyna pozbyła się swego stroju i stanęła naga przed nimi. Przepych jej ciała był olśniewający i to nie dlatego, że była dobrze odżywiona. Podeszła do brata Pawła. Cofnął się spłoszony.

— Kapłanki z dawnych czasów doprowadzały zagorzałych czcicieli kultu do zjednoczenia ze swoim bogiem, stosując bardzo bezpośrednie metody — ciągnął Therion. — Ona teraz pragnie ci pomóc w odkryciu twojej prawdziwej woli; czy nie zrobisz jej tej uprzejmości i nie pozwolisz sobie pomóc?

— Nie takiego zjednoczenia poszukuję — zaprotestował brat Paweł. — Nie z I A O, nie...

— Przypuśćmy, że I A O jest Bogiem Tarota. Czy odmówisz spotkania z Nim?

— Niemożliwe! — Ale już wymawiając to słowo, uświadomił sobie, że nie jest to niemożliwe. Mało prawdopodobne — tak, ale teoretycznie możliwe. Przecież problem planety Tarot i powodem, dla którego na nią przybył, było obiektywne ustalenie (jeśli okoliczności pozwolą), który z bogów jest siłą sprawczą stojącą za animacjami, czy też nie jest nią żaden z nich. Nie może pozwolić, by przeszkodziły mu w tym zadaniu jego własne uprzedzenia religijne. Może nim nawet być I A O, Bóg Uwielbiany. Jeśli zaś nie jest, to i tak musi uczciwie upewnić się co do tego faktu. Wszystkie religie planety Tarot czekały na jego werdykt. Żaden z przedstawicieli tych religii nie mógł przeprowadzić takich badań, ponieważ każdy z nich był zbyt mocno przywiązany do swej specyficznej koncepcji Boga, co nie pozwalało na obiektywizm. Ci zaś, którzy usiłowali pozostać obiektywnymi, cierpieli skutki utraty wiary, w niektórych przypadkach skutki śmiertelne.

Brat Paweł nie zamierzał zginąć podczas wypełniania tej misji. Nie zamierzał również uczestniczyć w zamazywaniu osobistych uprzedzeń czy nadawaniu im tylko nowej formy. Etyka zakonu, a także jego własny honor wymagały, by szukał jedynie prawdy. Misja była ważniejsza od małosłownych, osobistych skrupułów. Musiał więc udzielić I A O sprawiedliwego posłuchania.

— Czy to naprawdę konieczne, żebym...? — spytał żałośnie, patrząc na nagą kapłankę. — Jeśli jest ona współczesną czcicielką Abraksasa, w jej interesie leży przekonanie mnie, że jej Bóg jest tym jedynym, a tymczasem może nim wcale nie być.

— Prawda, prawda — zgodził się Therion. — Nie zazdroszczę ci zadania.

— I obcowanie z nią cieleśnie niczego nie udowodni.

— Chyba że, jak w walce z Pokusą, jest to droga do prawdy wewnętrznej, najgłębszej — powiedział Therion. — Wówczas błędem byłoby niesprawdzenie czy ona nie bluffuje i pozostawienie tego kielicha bez spróbowania jego zawartości.

— To nie ma sensu! — Brat Paweł ponownie spojrzał na kapłankę Abraksasa. — Gdyby to

rzeczywiście był Bóg Tarota i gdyby istniał tylko jeden sposób nawiązania łączności z tym Bogiem, poprzez Jego starożytny rytuał zjednoczenia...

— Powąchaj tego — powiedział Therion, otwierając jakieś inne pudełeczko.

— Nie! Żadnej kokainy! To niczego nie rozwiąże!

— To nie jest kokaina.

— Aha. — Brat Paweł ustąpił i wciągnął proszek do nosa.

— To jest heroina — dokończył Therion.

Ale narkotyk już działał. Brat Paweł zwrócił się do kapłanki:

— A więc chcesz nawiązać ze mną bliższe stosunki? — powiedział śmiało. — Wysonduję cię przeto do głębi, żeby dotrzeć do prawdy! — Ubranie opadło z niego, jakby za sprawą magii, a on sam ruszył zdecydowanie w kierunku dziewczyny.

Wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie. Jej chłodne, jędrne piersi przywarły do jego klatki piersiowej. Przesuwał dłonie po wygiętych w łuk plecach i gładkich biodrach, aż wreszcie zacisnął je na jędrnych, ale jednocześnie miękkich pośladkach. Cóż z niej był za okaz!

Pocałunek był cudowny; nigdy nie doświadczył podobnego! Wiedział, że to heroina wzmacnia jego zmysły, ale nie dbał o to. Czuł, że panuje nad sobą całkowicie i nic mu w tym nie przeszkodzi; mógł czerpać przyjemność z tego doświadczenia bez żadnych ograniczeń.

Doświadczenie. Najgłębiej zakorzeniony instynkt męczyzny; żądza nowych doznań, zaspokojenie ciekawości, różnorodność i ekscytacja. Doświadczenie. Każda minuta, każda sekunda była bezcenna; musiał pofolgować sobie do oporu, bo to było ostateczne znaczenie życia. Dlaczego miałby tylko siać, a nie zbierać.

Rozluźnił uścisk na tyle, by spojrzeć w jej twarz. Uśmiechała się.

— Wbij swój demoniczny uśmiech w mój mózg — powiedział Therion. — Zanurz mnie w koniaku, pocałunkach i kokainie.

Słowa te ostudziły nieco zapal brata Pawła, mimo heroiny. — Czy nie powinieneś gdzieś iść przypadkiem? — zapytał.

— Jestem twoim przewodnikiem. Muszę dopilnować, żebyś sobie poradził jakoś z tym wyzwaniem.

— Obawiasz się, że będę obcował cielesnie z kapłankę?

— Obawiam się, że nie będziesz, jeśli cię nie poprowadzę.

— To sprawa pomiędzy mną a moją religią!

— A twoja religia, jak praktycznie wszystkie współczesne wiary, jest w zasadzie wrogo nastawiona do seksu. Twoje rozumienie tych problemów jest ograniczone, chociaż twoje instynkty, gdybyś pozwolił im przemówić, są zdrowe. Seks jest dobrem; miłość jest prawem; ignorancja jest złem.

— Ale przypadkowy, bezmyślny seks...

— Żaden człowiek nie może funkcjonować na stałej diecie złożonej jedynie z abstynencji. Musi mu być wolno wyrazić się w seksie, jak Bóg to zamyślił. Musi znaleźć ujście dla swych naturalnych popędów, jakimi by nie były, albo uschnie i obumrze.

— Jednak... — powiedział brat Paweł bez przekonania. Miał przecież swoje poglądy, ale w tej chwili słabły one pod naporem tej logiki i kobiety w jego ramionach.

Kapłanka klęknęła przed nim w błagalnej pozie, ocierając się przy tej okazji podniecająco o jego nagi tors.

— Uwielbiam cię, I A O — powtórzyła.

— Hej, tu nie ma I A O — zaprotestował brat Paweł.

Po czym zdał sobie sprawę z tego, że może jednak i jest; czciła Boga o węzowych nogach, więc szukała węża w mężczyźnie. W jej dłoniach ten wąż uniósł się i nabrzmiał jak łeb kobry. Skórka się odsunęła, uwalniając ten mdły zapaszek wytwarzany w tym jedynym, szczególnym miejscu — zapach, którego za pomocą noża, a pod pretekstem higieny pozbawiono wielu chrześcijan i wszystkich muzułmanów i Żydów.

Brat Paweł nigdy nie był poddany temu najgorszemu z cięć. Jego członek był nienaruszony i funkcjonował zgodnie z boskim przeznaczeniem. Podniecający zapach popłynął w powietrze. Wciągnęła głęboko ten aromat. Uśmiech uszczęśliwienia rozjaśnił jej twarz.

— I A O — wyszeptała w ekstazie, pieszcząc oddechem ten narząd.

— Miłość jest prawem — zaintonował Therion. — Miłość podporządkowana naszej woli.

— Dość tego! — krzyknął brat Paweł, odpychając jej ręce i twarz od siebie. Uniósł ją do góry, ale wyrwała się i rozciągnęła na brzuchu na kanapie. (Kanapa? A gdzie był kielich? Aha — były jednym i tym samym). Ruszył za nią, chwycił za biodra obiema rękami i kiedy podciągnęła się na oparciu, przywarł podbrzuszem do wydętych okrągłości. Kiedy uniosła pośladki, dłonie trzymające za brzeg kielicha rozwarły się i ześlizgnęły w dół wraz z górną częścią jej ciała. Zgięta teraz była pod kątem prostym, z piersiami przyciśniętymi do wewnętrznej powierzchni kielicha, łokciami opartymi o dno, z twarzą niewidzialną w cieniu. Ale jemu niepotrzebne były jej ramiona, jej piersi czy twarz. Poprowadził członka ręką, odnalazł właściwe miejsce i pchnął potężnie.

Wyobrażał sobie, że penetracja będzie szybka i łatwa, ale nie miał racji. Odczuł pewien ból,

pokonując opór zaciśniętych mięśni i tarcia spowodowanego brakiem dostatecznej lubrykacji. Ale narkotyk popędzał go i dodawał mu ostróg; czyż nie był, jakby nie było, Zdobywcą!

Szczyt był wybuchowy: eksplozja ładunku jądrowego w podziemnym skarbcu. Odrzuciło go do tyłu, przerywając kontakt. Jednocześnie nastąpił spadek poziomu heroiny we krwi; poczuł się zmęczony i słaby, całkowicie wypompowany, pozbawiony ambicji, napełniony odrazą, zdegustowany. Kapłanka wypadła z kielicha na podłogę i leżała wyciągnięta, na wznak. Therion przykucnął obok, prawie nad jej głową. Być może doznała kontuzji; podmuch był bardzo silny. Brat Paweł nie dbał o to. Potrzebował tylko jeszcze jednej szczypty heroiny. Potoczył się do Theriona.

— Dawaj — zachrypiał.

— Jestem zajęty — warknął Therion, siedząc ciągle w kucki. — Muszę jej...

Brat Paweł odczuwał bolesne skurcze żołądka i ciekło mu z nosa. Wiedział, że to objawy głodu narkotycznego.

— Dawaj towar.

Therion zignorował go, koncentrując swą uwagę na dziewczynie.

— Chcę jeszcze trochę proszku — nalegał brat Paweł. — Jak to się teraz nazywa? Śnieg? Końskie łajno? Gdzie to masz?

Therion jednak nie reagował; ciągle siedział w kucki. Furia ogarnęła brata Pawła.

— Więcej uwagi przywiązujesz do niej niż do mnie! A przecież jesteś moim przewodnikiem!

— Gówno — powiedział Therion.

Teraz brat Paweł przypomniał sobie; to była jeszcze jedna nazwa heroiny.

— Wobec tego, dawaj to gówno! — krzyknął.

Pojawił się przed nim kielich, ale nie było w nim białego proszku. Walnął z wściekłością pięścią, przewracając naczynie. Wpadł z niego z sykiem zielony wąż. Czyżby noga boga Abraksasa? Nie, to tylko symbol Zazdrości. To prowadziło donikąd. Gorąco, które odczuwał, przechodziło w chłód. W co też się tym razem wpakował?

— Dlaczego jesteś tak pewny siebie — zapytał brat Paweł — podczas kiedy ja jestem zagubiony i chory? To niesprawiedliwe!

Therion spojrzał na niego.

— Jestem zadowolony, ponieważ rozumiem istotę samego siebie — powiedział. — Wiem, kim jestem i komu służę. Pozostaję w zgodzie z samym sobą. Żadne zwycięstwo, bogactwo czy kobieta nie może się z tym równać. „Czyń, co ci się podoba” — jest jedynym prawem.

— Pokaż mi zatem, jak ja mam rozumieć istotę samego siebie! — wykrzyknął brat Paweł. — To przecież klucz do najwyższej władzy!

— Musisz jej szukać wewnątrz siebie, uwalniając się od więzienia zmysłów — odpowiedział Therion. — Medytacja, taka jak u yogów...

— Nie! Nie mogę czekać. Chcę tego klucza już teraz!

— Idź wobec tego na skróty. — Therion pokazał mu małą kapsułkę. — LSD.

Brat Paweł wyrwał mu ją i natychmiast połknął.

Było to jak skok głową naprzód w potężny wir. Wrażenia dochodziły do niego ze wszystkich kierunków; wydawały się też emanować od niego na zewnątrz. Widoki, dźwięki, zapachy, wrażenia smakowe i dotykowe. Widział pokój, w którym się znajdowali. Dziewczyna leżała na podłodze z rozchyłonymi ustami. Therion w dalszym ciągu kuczał obok. Widział wszystkie meble. Widział plamę światła słonecznego na podłodze. Słyszał świst wiatru za oknem, wycie jakiegoś zwierzęcia, tykanie niewidocznego zegara. Czuł zapach skóry z kanapy, mosiądzu z wnętrza kielicha, kurzu z podłogi i delikatny, słodki zapach jakiegoś kwiatu na zewnątrz. Czuł na języku resztki zawartości kapsułki. Pod stopami czuł zimny kamień posadzki, na nagim ciele pieczętowaną delikatnego wietrzyku. Czuł wszystkie te drobiazgi, bez których się można obejść!

Skupił swą świadomość, odcinając się od bodźców z zewnątrz. Przez opuszczone powieki widział światło, bowiem nie były dość grube, by zamknąć go w całkowitej ciemności. Słyszał własny oddech i bicie serca. Czuł zapach własnego oddechu i wyczuwał w nim whisky. Whisky? Aha, to ta, którą wypił podczas potyczki z Pokusą. Na języku miał gorzki smak, mięśnie napięte — gotowe do utrzymania go w równowadze.

W rzeczywistości jest więcej niż tylko pięć zmysłów, ale większość tych, które nie mają nazwy, daje się podciągnąć pod dotyk: uczucie dyskomfortu, napięcie mięśni, orientacja przestrzenna. Drobiazgi rozpraszaające uwagę.

Usiadł na posadzce w pozycji yogi, najlepszej do medytacji i z pełną świadomością rozluźnił się. Stopniowo napięcia ciała ustąpiły, uwalniając umysł.

Było to jak niski lot nad ziemią w kierunku wschodzącego słońca. Na wpół przypadkowe myśli przelatowały przez jego głowę, jak chmury w technikolorze, niektóre bezkształtne, inne piękne, a pojedyncze gdzieś groźne. Poniżej przepływał zamek ze Śpiącą Królową, czekającą na pocałunek, który przywróci jej świadomość, tyle że taka interpretacja jest interpretacją okrojoną, ocenioną. W rzeczywistości to akt miłosny ma ją pobudzić, obudzić w niej życie, ale tego dzieciom się nie mówi (i dlaczego, do diabła, nie?), choć w tym przypadku akurat ten akt ukołysał ją do snu. Kapłanka Abraksasa. Czym więcej był taki kult świątynny niż zrytualizowaną prostytutką? prostytutka, ten najstarszy zawód kobiety. Będzie istniała dopóty, dopóki mężczyźni będą mieli pieniądze i potrzebę, a kobiety ani jednego, ani drugiego. Cóż za ironia, że jest powiązana z religią! Ale przecież religia i kościół mają bliższe związki z występkiem ludzkim niż jakakolwiek inna instytucja.

Narkotyki wzmacniał wszystkie zmysły, dostarczając fenomenalnych przeżyć — wizualnych, słuchowych i dotykowych. Smok Pokusy natarł na niego, ale nadał się przy tym jak balonik napełniony wodorem, aż pękł nie czyniąc żadnej szkody. Therion powiedziałby, że wypierdzał się na śmierć. I znów widział kapłankę I A O ofiarującą mu swe piękne ciało i wołającą „Wielbię ciebie, I A O!”, ale nie odczuwał już podniecenia. Kolory Tarota, ich symbole, latały wokół niego jak karty z *Alicji w Krainie Czarów*, męskie pałki i miecze przeszywały żeńskie kielichy i monety. Błyskawicznie, w ciągu kilku chwil, odegnał te wszystkie myśli od siebie. Zaczął stopniowo nastawiać się na cel: na ostateczną istotę samego siebie.

W oddali zobaczył pierwszą poświatę — blask Graala. Jak początek świtu — jego światło rosło i rozszerzało się, a on pomknął ku niemu jak strzała. Niszcząca obecność powierzchownych myśli skurczyła się, świecąc zaledwie pastelowymi barwami na tle słonecznego blasku, a on pędził obok nich, otwierając drogę do nirwany.

Wreszcie pojawił się jego iskrzący brzeg, wspanialszy od każdej wizji, jaką był w stanie przywołać. Toczył się do przodu, ukazując coraz więcej z tej wspaniałej krzywizny Świętego Graala, wiszącego perfekcyjnie na niebie.

Zobaczył teraz, że chociaż sam Kielich płonął, jak wówczas, kiedy przepływał obok zdumionych rycerzy Okrągłego Stołu Króla Artura, to jego jarzenie było słabiutkie w porównaniu ze światłem głównym. Wspaniała jaskrawość tego światła wypływała z zawartości Kielicha — z tego zamaskowanego cieniem kształtu, rozlewającego swój blask pomiędzy brzegiem i baldachimem. Kształtu jego Istoty!

Pełen entuzjazmu ruszył do niego, pewien, że ujrzy teraz chwałę, która jest jego duszą. Jaką formę przybierze to boskie objawienie? Czy olbrzymiego, pięknego, czystego kryształu z miriadami ścianek, rzucających miriady świetlnych refleksów? Boskiej jasności, delikatnie oślepiającej oko śmiertelnika? Niedotykalnej aury czystego zachwyty?

Podszedł do monstrualnego pucharu, tej Jezusowej czary, tej kwintesencji ambicji, i zajrzał pod przepiękną pokrywę. Poczł odór, ohydny i nie na miejscu, ale go zignorował. Wreszcie tu była Prawda, tu była Dusza!

Na dnie leżało półskręcone, półprzerwane, parujące ludzkie łajno.

8

Uzucie (Pożądanie)

Szawel ciągle jeszcze siał grozę i dyszał żądzą zabijania uczniów Pańskich. Udał się do arcykapłana i poprosił go o listy do synagog w Damaszku, aby mógł uwięzić i przyprowadzić do Jerozolimy mężczyzn i kobiety, zwolenników tej drogi, jeśliby jakichś znalazł.

Gdy zbliżał się już w swojej podróży do Damaszku, olśniła go nagle światłość z nieba. A gdy upadł na ziemię, usłyszał głos, który mówił: „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?” „Kto jesteś, Panie” — powiedział. A On: „Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz. Wstań i wejdź do miasta, tam ci powiedzą, co masz czynić.”

Ludzie, którzy mu towarzyszyli w drodze, oniemieli ze zdumienia, słyszeli bowiem głos, lecz nie widzieli nikogo. Szawel podniósł się z ziemi, a kiedy otworzył oczy, nic nie widział. Wprowadzili go więc do Damaszku, trzymając za ręce. Przez trzy dni nic nie widział i ani nie jadł, ani nie pił.

Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wyd. Pallottinum Dz 9,1–9.

Paweł prychnął, usiłując pozbyć się z nozdrzy odoru łajna. Prowadził samochód ze staroświeckim silnikiem spalinowym. Oznaczało to, że znajduje się na Ziemi w czasach przed wprowadzeniem teleportacji, na Ziemi dziwnie obcej i zarazem dziwnie znajomej. Wiedział, że to jeszcze jedna animacja, całkowicie różna od poprzedniej, ale będąca wytworem pewnych aspektów jego wyobraźni lub jego pamięci. Jeszcze jedno odchylenie wywołane precesją, której praw nie znał wystarczająco dobrze, by je świadomie spożytkować.

Wydawało mu się, że pamięta podobną jazdę samochodem sprzed lat dziesięciu lub dziewięciu, ale skąd wówczas jechał i dokąd? Nie było to dla niego całkiem jasne.

Na autostradzie znajdowało się wiele innych samochodów, jadących z maksymalną prędkością, na jaką pozwalały ich ograniczniki: 100 km/godz., równo i przyjemnie. Wszystkim rządziły setki; system był dziesiętny, metryczny i procentowy. Łatwy do liczenia, łatwy do sprawdzania, podzielny przez wiele liczb.

Samochody przypominały jego własny: wodorowe silniki, opływowe kształty, pełen komfort. Wodór uzyskiwano z wody w różnych zakładach energetycznych; część zużywano w procesie syntezy wodoru w hel, który to proces był głównym źródłem energii, część łączono ponownie z tlenem dla produkcji wody (czysta woda była bardzo cennym dobrem), część neutralizowano i napełniano tym sterówce transportowe, reszta spalała się wybuchowo w silnikach samochodowych. Wodór — najbardziej uniwersalny z pierwiastków. Paweł nie miał pewności co do źródła energii niezbędnej na samym początku procesu do uzyskiwania wodoru z wody, ale widocznie było jej dość, skoro cały system działał.

Miało to się zmienić za kilka lat, kiedy to program TP spadł na ludzkość i zawładnął wszystkimi głównymi źródłami energii. Istota ze sfery Antaresa, której sama obecność utrzymywana była w tajemnicy przed ludźmi i która tak gruntownie zmieniła świat — jakąż też biedę sprowadzi na sferę Soi? Tymczasem ludzie folgowali swoim słabostkom, a transport indywidualny był ciągle w zasięgu praw i możliwości przeciętnego obywatela. Choć ledwie, ledwie.

Pawła nie byłoby stać na samochód, którym jechał. Korzystał z niego w pewnym sensie bezprawnie, był bowiem kurierem przewożącym narkotyki. Ukryte zostały tak dobrze, że nawet on sam nie miał pojęcia, gdzie się znajdują; jeden pakunek mnemu — narkotyku oddziałującego na ośrodek pamięci w mózgu. Używany był przez studentów wkuwających do egzaminów; pod wpływem mnemu ich zdolność zapamiętywania stawała się prawie totalna, pozwalając im uzyskiwać wysokie oceny z przedmiotów wymagających zapamiętywania dużej ilości informacji, praktycznie bez uciekania się do oszustwa. Nie wzmacniał on inteligencji ani nie dawał trwałych umiejętności, ale zapamiętywanie choćby na ograniczony czas było tak istotne przy zdawaniu ocenianych przez maszyny egzaminów, że często decydowało o miejscu na listach kwalifikacyjnych, na podstawie których oceniano przydatność do zatrudnienia lub awansu. Paweł osobiście nie używał mnemu podczas studiów, nie z powodu jego nieosiągalności, ceny czy względów etycznych, ale dlatego, że nie było mu to potrzebne. Jego uczelnia nie stosowała ani testów, ani ocen. Narkotyk ten miał niewiele skutków ubocznych i można go było wykryć w ludzkim organizmie tylko przy użyciu specjalnych procedur klinicznych, a kliniki publiczne nie posiadały środków na szersze stosowanie tych procedur. Dlatego używanie mnemu było w miarę bezpieczne i istniało duże, stałe zapotrzebowanie na ten narkotyk.

Posiadał on jednak trzy wady. Po pierwsze — był nielegalny. Niewielu się tym przejmowało; w przypadku konfliktu moralności z wygodą, cierpiała ta pierwsza. Po drugie — był drogi, jak zresztą wszystkie inne nielegalne narkotyki, które prowadzą do uzależnienia; ich cena nie jest pochodną kosztów produkcji, tylko kosztów związanych z nielegalną dystrybucją. To już był problem dla większej liczby ludzi, nie taki jednak, który by zmniejszył w sposób znaczący jego spożycie. Elementy kryminalne doskonale wiedziały, ile jest w stanie wytrzymać rynek, podobnie jak wiedzą to grupy biznesu. W rzeczywistości obie te kategorie ludzi są do siebie podobne, jeśli chodzi o umiejętności i skrupuły (lub ich brak) i w dużym stopniu zachodzą na siebie. Kartel mnemowy oferował system bodźców tym, jktórzy byli w potrzebie, takim jak Paweł. Zdarzyło mu się bowiem, bezpośrednio po studiach, wykorzystywać mnem do swoich szczególnych potrzeb. Po trzecie wreszcie — zaprzestanie zażywania mnemu powodowało nie tylko utratę informacji zapamiętanej dzięki wzmocnieniu pamięci przez narkotyk, ale również ogólne pogorszenie pamięci, co prowadziło do dezorientacji i częściowej amnezji. Tym samym uzależnienie nie miało charakteru psychologicznego czy fizjologicznego, tylko czysto praktyczny; „uzależniony” nie mógł po prostu funkcjonować bez mnemu. To już martwiło większość zażywających, ale starali się oni nie myśleć o tym aspekcie sprawy. Był to paradoks ściśle związany z tym narkotykiem, a zarazem źródło wielu dowcipów na jego temat, mówiących o tym, że ludzie zapominają o jego podstawowej wadzie, mimo że tak bardzo wyostrza on ich pamięć.

Był to też powód, dla którego Paweł ryzykował utratą wolności, przewożąc swój ładunek przez granice stanowe. Używał był bowiem narkotyku, chcąc stać się ekspertem w swych pobocznych zajęciach; teraz mógł podtrzymywać ten nałóg tylko poprzez współpracę z dostawcami. Na szczęście

nie wymagali oni, by dana osoba wykonywała dla nich ten rodzaj usługi zbyt często; nie wynikało to z troski o dobro zainteresowanego, lecz było środkiem ostrożności podejmowanym w celu zmniejszenia ryzyka wykrycia tej nielegalnej działalności przez władze. Następne zadanie kurierskie mogło być wyznaczone Pawłowi dopiero gdzieś za rok, a tymczasem otrzymywałby mnem gratis. Był to faktycznie dobry układ.

Na poboczu autostrady stała jakaś postać; z sylwetki wyglądała na kobietę. Samochody mijały ją, nawet nie zwalniając. Zabieranie autostopowiczów było niebezpieczne, niezależnie od ich płci. Ale Paweł odczuwał jakiś dziwny niepokój, poza tym, choć jeździł rzadko, ta długa podróż znudziła go. Towarzystwo byłoby na to dobrym lekarstwem, szczególnie towarzystwo kobiece.

Zatrzymał się. Dziewczyna podbiegła do samochodu. Była młoda, Zapewne miała dopiero kilkanaście lat, ale była zadziwiająco dobrze rozwinięta jak na swój młody wiek. Ubranie jej było bardzo skąpe i w kompletnym nieładzie; miała na sobie cienką koszulę nocną, która ukazywała zarys jej falujących piersi w sposób tak pełen erotyzmu, że nie dałoby się osiągnąć takiego samego efektu przy pomocy nagiego ciała. Jednym słowem — naturalna dziewczyna w nienaturalnej sytuacji.

— Och, dziękuję bardzo! — powiedziała zdyszonym głosem, siadając na miejscu pasażera. — Bałam się, że prędzej zjawi się policja niż ktoś się zatrzyma.

— Policja? — zapytał nerwowo. Jeśli ona jest przestępcą...

— Och, proszę, niech pan jedzie! — zawołała. — Ja wszystko wyjaśnię, wszystko jest w porządku, nie będzie pan miał z mojego powodu żadnych kłopotów, tylko niech pan włączy się do ruchu, żebyśmy zgubili się w tej masie samochodów. Proszę, bardzo proszę!

Wahał się jeszcze i nie ruszał z pobocza. — Nie mam pieniędzy, tylko imienną kartę kredytową, której użyć nie możesz. Samochód wymaga co pół godziny odcisku mego kciuka, bo w przeciwnym razie wyłączy silnik i włączy automat, tak że nie mogłabyś...

Zwróciła ku niemu twarz i zobaczył, ku swemu zaskoczeniu, łzy na jej policzkach. Włosy miała w nieładzie, ale na swój rozwichrzony sposób była urocza.

— Z mojej strony nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo! Nie posiadam broni. W ogóle nie mam nic. Ani żywności, ani dokumentów. Nie wiem, jak się panu zrewanżuję, ale proszę już jechać, w przeciwnym razie wszystko będzie stracone. A wolałbym raczej umrzeć niż tam wrócić!

Ciągle niepewny, ruszył jednak i nabierał powoli szybkości, aż wtopił się w strumień pojazdów. — Dokąd chcesz jechać? — zapytał.

— Do Barlowville Station — odpowiedziała.

Zaczął wystukiwać adres na końcówce komputera, kiedy zaprotestowała. — Och, nie. Proszę tego nie robić! Proszę nie pytać maszyny. Namierzą mnie bardzo szybko i za kilka chwil policja...

Demon w maszynie. Paweł poczuł w palcach chłód. — Jesteś na liście osób poszukiwanych? — spytał zatrwożony. A już doszedł do wniosku, że jest zupełnie niegroźna. Kontrola jego samochodu

przez policję to była ostatnia rzecz, której potrzebował!

— Jestem poddana przeprogramowaniu — wyjaśniała pospiesznie. — Należę do Świętego Zakonu Wizyjnego i moja rodzina zaskarżyła...

— Ciągłe się jeszcze przeprogramuje odmieńców religijnych? — zapytał dość bezmyślnie. — Sądziłem, że skończyło się to jakieś dziesięć lat temu, wraz z innymi formami egorcyzmów.

— Ciągłe jeszcze się to zdarza — powiedziała. — Sekty uznawane nie mają się czego obawiać — ich inicjacja została zakończona lata temu — ale nowe sekty są ciągle prześladowane.

Rytuał przejścia — pomyślał sobie. Każda nowa religia musi znosić znęcanie się nad nią, żeby uzasadnić swoje istnienie, ale kiedy stanie się dość silna, by móc odeprzeć ataki, jak to było w przypadku wczesnego chrześcijaństwa — uzyskuje status wyznania pełnoprawnego i zaczyna prześladować tę, która przychodzi po niej.

Wzruszył ramionami.

— Niewiele wiem na ten temat. — Przy działalności, jaką prowadził, nie tylko niewiele wiedział na ten temat, ale zupełnie go to nie interesowało, z wyjątkiem może niezdrowej ciekawości dotyczącej łatwowierności ludzkiej. Tutaj jednak miał do czynienia z bardzo ładną dziewczyną, która wydawała mu się dziwnie znajoma. Te falujące włosy, te pełne piersi, ten sposób mówienia... Był zaintrygowany. — Jeśli rzeczywiście chcesz wrócić do tego kultu...

— O, tak! Bardzo chcę wrócić! — wykrzyknęła. — I jakoś tego dokonam.

Paweł podjął decyzję.

— Zabiorę cię tam, jeśli nie będę musiał zboczyć za daleko. Jeśli mi jednak nie pozwolisz uzyskać informacji na temat trasy z mojego pokładowego komputera...

— Sama mogę pokazywać panu drogę — powiedziała skwapliwie. Po czym odwróciła się do niego i uśmiechnęła, a wyraz jej twarzy sprawił, że wydawała się cała promieniować. — Jestem siostra Beth.

— A ja jestem Paweł Cenji.

Jakiego też, do diabła, imienia się spodziewał? Tkwiło coś w jego pamięci, ale ta pamięć odwijala się swoim własnym rytmem; nie mógł sobie przypomnieć tamtego dnia z przeszłości, będzie więc musiał przeżyć go ponownie.

Jechał chwilę w milczeniu, po czym zapytał:

— W jaki sposób dałaś się złapać z dala od swojego kościoła?

— Mojej Stacji. Nie mamy kościołów jako takich, tylko centra operacyjne. Zadzwoiła moja matka i powiedziała, że babcia jest umierająca, wobec czego natychmiast tam pojechałam. Nigdy nie

wyrzekłam się więzów rodzinnych; Święty Zakon nigdy by też tego nie wymagał. Szkoda, że moja rodzina nie należała razem ze mną! Ale kiedy tam dotarłam...

— Pochwycili cię i zawlekli do kliniki zajmującej się przeprogramowywaniem — dokończył za nią Paweł.

— Tak. Powinnam była coś podejrzewać, ale nigdy nie sądziłam, że moja własna matka mogłaby... — Wzruszyła ze smutkiem ramionami. — Jestem pewna, że była przekonana o słuszności tego, co robi. Wybaczyłam jej. Usiłowano mnie tam przekonać, żebym nie wracała do zakonu, a kiedy to nie przyniosło rezultatu — powiedzieli, że zastosują mnem...

— Mnem!? — wykrzyknął Paweł.

— To taki narkotyk — powiedziała, nieświadoma rzeczywistej przyczyny jego gwałtownej reakcji. — Stosują go przy rehabilitacji niepoprawnych przestępców. Nie powinien być stosowany wobec...

Znów rozbudziła w nim podejrzliwość. Czy to tylko przypadek, te uwagi na temat narkotyku, który on właśnie przewozi? A może policyjna pułapka?

— Słyszałem, że jest nielegalny — powiedział.

— W każdym przypadku, z wyjątkiem rehabilitacji przestępców i niektórych chorób umysłowych. Istnieje jednak czarny rynek. Kosztuje dużo, ale moja rodzina wzięła kredyt na ten cel.

Coraz mniej mu się to podobało. Uwodzicielsko niewinna dziewczyna, w skąpym odzieniu, podrzucona przy autostradzie, żeby przyciągnąć takie hulaki jak on sam, hulaki utrzymujące wysoki poziom życia dzięki dochodom z przemytu. Wielu głupców złapano w ten sposób. A teraz ona rzuca nazwą i czeka być może na podejrzaną reakcję z jego strony. Nietrudno jest zdradzić sekret, kiedy jest się olśnionym podobnym towarzystwem. Już mu się zresztą zaczęło wydawać, że zna ją dłużej, skądinąd, pod innym imieniem — wieczna zagadka, jaką jest kobieta. A może tylko żałował, że nie zna jej lepiej. Jej urok już go zaczynał korumpować; musi się jakoś pozbyć tego „wolnego jeźdźca” bez wzniesienia podejrzeń — jeśli jeszcze nie jest za późno. — Gdzie się znajduje ta twoja — Stacja?

— W sąsiednim stanie. Mógłby pan przejechać jeszcze sto kilometrów tą autostradą i dopiero wówczas z niej zjechać.

To by się zgadzało. Ona musiałaby przecież zeznać, że rzeczywiście przekroczył granicę stanową. To jedna z tych prawnych subtelności. Gdyby policja miała całe prawo dostosowane do własnych wymagań, przeprowadzałyby egzekucje na podstawie samych podejrzeń. Na szczęście Ameryka nie była jeszcze totalnym państwem policyjnym. Miał więc tyle czasu, ile mu zajmie jazda do granicy stanu. Tymczasem musi udawać, że wszystko jest w porządku.

— Miło mi, że mam towarzystwo na te sto kilometrów — powiedział.

Ironia polegała na tym, że byłaby to całkowita prawda, gdyby nie wspomniała o mnemie. Jakąż

bowiem ukazała mu twarz, jakie ciało i jaką czarującą prostotę obejścia! Był przyzwyczajony do innego gatunku kobiet, a teraz nagle odkrywał, że miał fałszywe pojęcie na temat własnych, osobistych gustów.

— Bardzo jestem wdzięczna za to, co pan dla mnie robi, panie Cenji. Kiedy dowiedziałam się, że mają zastosować mnem, poczekałam do wieczora, wyskoczyłam w nocnej koszuli przez okno i oto tu jestem. Nie podejrzewali, że jestem do tego zdolna. Gdyby pan się nie zatrzymał... prawdopodobnie już ogłosili alarm i mnie szukają.

Paweł włączył skaner dźwiękowy. Jeśli będzie komunikat... ale on byłby przecież częścią policyjnej przynęty; nie miałby wówczas żadnego znaczenia. Najlepiej będzie pozwolić jej mówić i zastanowić się w tym czasie, co z nią zrobić. — Myślałem, że przeprogramowywanie jako takie też już jest nielegalne.

— To prawda, ale oni używają po prostu innej nazwy. W tej dziedzinie też są czarnorynkowi profesjonaliści. Oskarżono mnie o kradzież cennej biżuterii. A ja nigdy bym niczego nie ukradła! Zanim by wyszło na jaw, że oskarżenie jest niesłuszne, mój mózg tak byłby wyczyszczony narkotykiem, że nie pamiętałabym nawet, iż kiedyś byłam siostrą — och, chyba wolałabym umrzeć! — Przykryła twarz dłońmi.

Cóż za wzruszająca scena! Dobra była w tej roli, niepokojąco dobra; miał ochotę włączyć automatycznego pilota, wziąć ją w ramiona i zacząć pocieszać. Uwaga! Niebezpieczeństwo! Na pewno zamierzała go zdradzić, zamierzała dorzucić jego skalp do swojej kolekcji w policyjnej szafce na komendzie.

Jak jednak planowała to przeprowadzić, skoro on sam nie miał pojęcia, gdzie w samochodzie ukryty jest pakunek z mnemem? Prawdę mówiąc, nie wiedział, czy tym razem jest tu w ogóle jakiś pakunek; od czasu do czasu kartel stosował tak zwany pusty przerzut, żeby wprowadzić w błąd swoich przeciwników. Jeśli tak było tym razem, wystarczy, że utrzyma nerwy na wodzy, a wygra. Nie miał najmniejszego zamiaru informować jej o ładunku, a przecież gdyby policja miała pewność, że coś przewozi, aresztowałyby go bez zbędnych ceregieli. Cała ta skomplikowana prowokacja nie miała więc najmniejszego sensu. Chyba że dziewczyna była doświadczonym obserwatorem umiejącym zauważyć symptomy uzależnienia od mnemu u podejrzanego. Były one mało widoczne, ale istniały, a on był przecież uzależniony. Jeśli nie zażyje odpowiedniej porcji dziś wieczorem, to jutro może już nie pamiętać nawet, gdzie mieszka. Musi więc się jej pozbyć, najlepiej za pomocą jakiegoś bluffu, jakiejś sztuczki. Zatrzymanie się tuż przed granicą stanu w tym wypadku nie jest żadnym rozwiązaniem.

— Z tego, co słyszałem, ten narkotyk nie jest taki zły — dla przestępców — powiedział. — Podobno jest zupełnie bezbolesny.

— Och, jest wręcz doskonały dla przestępców — powiedziała. — My, ze Świętego Zakonu Wizyjnego, zajmujemy się problemami przestępczości. Jesteśmy przeciwni karze śmierci; uważamy, że zabijanie przez państwo jest takim samym złem, jak każde inne zabijanie. A wiemy, że społeczeństwa nie stać na trzymanie ludzi latami w więzieniu i że niektórzy przestępcy są niepoprawni. Mnem jest tutaj odpowiedzią. Rozwiązuje on bowiem konflikt, jaki istnieje w

alternatywie: zabić przestępcę albo w ogóle go nie ukarać. Wierzymy w moc wybaczenia, ale wiemy też, że w niektórych przypadkach karanie jest lepsze. Może bowiem na powrót uczynić z przestępcy obywatela. Niektórzy członkowie zakonu to rehabilitanci, u których mnem wymazał poprzednie osobowości...

— Mnem jest w stanie wymazać osobowość? Sądziłem, że on tylko wzmacnia pamięć!

Czego jeszcze się od niej dowie?

— W większych dawkach lub przedawkowany jest w stanie to uczynić. W ilościach śladowych wzmacnia pamięć w stopniu wręcz niesłychanym, ale jest się wówczas zmuszonym do stałego zażywania mnemu w małych ilościach. Nie zniosłabym osobiście ani odebrania mi mojej pamięci, ani uzależnienia od takiego narkotyku na całe życie. Zakon byłby oczywiście Wstanie mi pomóc w przypadku uzależnienia, ale mnie chciano zaaplikować jedną wielką dawkę, która by mnie od tego zakonu oderwała, bo przecież nie pamiętałabym nawet, że byłam kiedyś jego członkiem. Nie mogłam się pogodzić z taką ewentualnością, więc uciekłam.

— Tak. To zrozumiałe.

Rzeczywiście wiedziała zbyt dużo jak na zwyczajną młodą osobę, na dodatek płci pięknej. Musiała więc być doskonale zamaskowaną agentką policji. I wkrótce go pewnie wystawi swoim mocodawcom. Część z tego co powiedziała mogło się bezpośrednio odnosić do jego osoby. On też nigdy nie zastanawiał się poważnie nad swoją przyszłością. Był uzależniony na całe życie i od narkotyku, i od całego przestępczego systemu jego rozprowadzania, a uwolnienie się od tego uzależnienia było możliwe tylko kosztem jego pamięci. Czy rzeczywiście tego chciał od życia? Może i nie, ale takie życie właśnie miał. Ona, jeśli wierzyć jej opowiadaniu, zdążyła uciec we właściwym momencie; dla niego było już za późno. Teraz mógł jedynie bronić tego, co posiadał — przed nią.

Mimo to zwlekał z podjęciem jakiejś konkretnej akcji, męczony wątpliwościami. Była tak diabelnie atrakcyjną dziewczyną, wydawała się tak sympatyczna, przedstawiała sobą taką drogę życiową, którą sam by wybrał, gdyby był kiedyś mądrzejszy. Była jak rasowy wóz wyścigowy, o właściwej linii, z silnikiem, z którym można czynić cuda, zdolnym przekroczyć jedną czwartą prędkości dźwięku, a jednocześnie potulnym i cichym na biegu jałowym. Jak mógłby wyrzucić ją z samochodu nie mając pewności? (Ciekawe, czy ona myślała w tym samym momencie podobnie: jak może go aresztować jako mnekomana, nie mając pewności?)

— Twój kult — to znaczy twój zakon — czym on się zajmuje? Czy jest to coś w rodzaju komuny? (Gdzie kobiety są wspólne, gdzie nikt nikomu niczego nie odmawia? Chyba mu się coś marzy na jawie!)

— Święty Zakon Wizyjny nie jest jakąś konkretną religią — powiedziała i było oczywiste, że jest to teren, na którym czuje się pewniejsza. Naturalnie, jeśli to rola, to nauczyła się jej na pamięć. — Każdy może do niego wstąpić, niezależnie od swego wyznania; zakon nie ingeruje w te sprawy. Naszym zadaniem jest przyczynianie się do pomyślności ludzi i przyrody, wszędzie tam, gdzie to jest tylko możliwe. Wielu przychodzi do nas z duchowymi kłopotami i Tarot pomaga niektórym z nich.

— Tarot? — zapytał. — Używałem kiedyś takich kart.

— Och? — Wydawała się autentycznie zainteresowana. — Do czego?

— Naturalnie, do biznesu. Jestem krupierem w licencjonowanym kasynie. Te dwadzieścia dwa atuty dodają niewątpliwego blasku grze; ludziom podobają się ilustracje, a i są jeszcze dodatkowe nagrody w tej grze.

— Do hazardu — wyszeptała ze smutkiem. — Czy to wszystko, co dostrzegasz w Tarocie?

— O, nie. Po pewnym czasie zorientowałem się, że te karty nadają się do wielu innych gier. Czasami podczas dłuższej jazdy włączam autopilota i układam pasjansa.

Mówił to wszystko, usiłując zbudować jakiś parawan dla swojej prawdziwej działalności, niezależnie od tego, jak wiele byłby on wart. A pewnie niewiele, jeśli tylko zechcą sprawdzić status jego zatrudnienia.

— My używamy ich do medytacji — powiedziała. — Kontemplacja pojedynczego Arkanum lub całej ich grupy może przynieść szczególne rozumienie wielu spraw, co wynagrodzi sam wysiłek włożony w tę kontemplację. Ja, na przykład, nie widziałam i nie rozumiałam celu mojego życia, dopóki nie doświadczyłam tej medytacji. Badamy także talię jako całość, analizujemy różnice pomiędzy poszczególnymi kartami i pomiędzy koncepcjami różnych ekspertów. Odkrywa się w ten sposób całe nowe filozofie, prowadzące do rozumienia natury myśli ludzkiej.

Paweł uśmiechnął się.

— Ciekawe, że jedna talia może być używana na cztery różne sposoby — zauważył. — Dla ciebie będzie to medytacja i badania, dla mnie biznes i rozrywka. Coś dla każdego.

— To prawda — zgodziła się z ujmującym ale i zrezygnowanym uśmiechem. — Bardzo chciałabym mieć swojego Tarota przy sobie. Ale zabrano mi talię, nazywając ją śmieciem.

Paweł miał swoją talię ze sobą, ale zdecydował, że lepiej będzie o niej nie wspominać. Przypomniało mu się bowiem jeszcze jedno zastosowanie Tarota: dywinacja czy też wróżbiarstwo, a potrafiło być ono irytująco trafne. Nie wierzył w zjawiska nadprzyrodzone (chyba że dotyczyły ograniczonej dziedziny, trudnej do wytłumaczenia, dobrej lub złej passy), ale nie miał zamiaru ryzykować analizy własnego charakteru dokonanej przy użyciu tej talii. Nie mówiąc już o tym, że karty pokryte były odciskami jego palców i przesiąknięte jego potem; zatem wystarczyła próbka wzięta z jednej z kart, by badania laboratoryjne odkryły bez trudu jego tożsamość. Błędem zresztą było podanie swego imienia i nazwiska, ale tego już zmienić nie mógł. Błędem była również ta cała z nią rozmowa; mogła przecież nagrywać jego głos za pomocą jakiegoś ukrytego urządzenia. (Bransoletki? Nie, nie miała na sobie biżuterii. Ale kobiety posiadały tyle sekretnych miejsc.) Niezależnie od tego wszystkiego, zaczął ją darzyć zbyt dużą sympatią. Może i jest świrem religijnym, ale w jej filozofii jest jakiś dziwny urok, dziwna siła przyciągania. Mogło to znaczyć, że albo ten Zakon Wizyjny jest zupełnie sensowną organizacją, albo ta policyjna agentka wyjątkowo dobrze przygotowała się do swojej roli.

Ale dość tych rozważań. Musi zacząć działać, i to natychmiast.

Paweł włączył autopilota i zdjął dłonie z kierownicy. Odwrócił się do niej z krzywym uśmiechem. — Przypuszczam, że się domyślasz, dlaczego cię zabrałem — powiedział, zmuszając się do pożądanego spojrzenia. Kobieta o takim ciele nieraz już musiała się spotkać z podobnym wyrazem twarzy i na pewno potrafiła natychmiast zrozumieć jego znaczenie.

Oczy siostry Beth zrobiły się okrągłe. Nie próbowała więc udawać, że nie wie, o co chodzi. — Och, panie Cenji, ja... to znaczy, miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Wydawał się pan tak miły.

Paweł czuł się jak skończony łajdak. Musiał to jednak zrobić, w przeciwnym razie ona wykończy jego. Musiał odegrać rolę gruboskórnego prostaka, który nie myśli o niczym innym tylko o seksie. Nie było to znowu tak bardzo dalekie od prawdy; każdy mężczyzna na jego miejscu reagowałby podobnie, różniąc się tylko sposobem wyrażania swoich odczuć. Był celowo chamski i nienawidził się za to, bo jeśli przypadkiem ona była tą, za którą się podawała, mógłby ją dostać subtelnym i okrężnym podejściem.

— Bo jestem miły. Zaraz się o tym przekonasz.

Cofnęła się tyle, ile pozwolił jej odporny na zgniecenie fotel. Oddychała szybko i nerwowo. — Nie jestem dość silna, by się obronić, ale w naszym zakonie dochowujemy czystości przed ślubem.

Ślub? Do diabła! Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie, zamierzając ją pocałować. Fotele rozłożyły się same pod naciskiem jego ciężaru. Jej wargi drgały, kiedy dotknął ich ustami.

— Proszę — wyszeptała. — Bardzo proszę, puść mnie. To, co zyskasz ode mnie, nie zrównoważy tego, co ja utracę. Pozwól mi wysiąść; może uda mi się jakoś stąd wydostać, nim pierścień obławy ostatecznie się zamknie.

O to mu właśnie chodziło; żeby sobie poszła z własnej i nieprzymuszonej woli. Znaczyłoby to bowiem, że udało mu się wyprowadzić ją w pole, że była przekonana, iż nie jest w nic poważnie zaangażowana, szczególnie w nic takiego jak mnem. Poszuka sobie kolejnej ofiary, a sieć zarzucona przez policję poczeka na jej sygnał. Ale jej dotyk podniecił go. Mimo stroju w nieładzie i mimo widocznego przerażenia pozostawała zniewalająco pociągającą kobietą. Mógł ją wziąć siłą; był tego pewien. Może i była policjantką, ale on sam miał spore doświadczenie w walce wręcz. Wykręci jej rękę i nie pozwoli sięgnąć po broń, jeśli takową w ogóle posiada, po czym bez zbyteń wysiłku zmusi ją do poddania się. Tak, mógłby to zrobić...

Wówczas jednak zorientowałyby się, że jest mnekomanem. Zawsze to jakoś wychodziło na jaw podczas namiętnych zalotów. Wszyscy narkomani i pośrednicy byli zgodni co do tego, a i jemu zdarzyło się w ten właśnie sposób zostać już kiedyś zdemaskowanym. W tamtym przypadku kobieta, z którą miał do czynienia, nie miała zamiaru go wydać, ale dość zdecydowanie odmówiła informacji na temat symptomów, po których rozpoznała jego uzależnienie. — Kobiety miewają swoje sekrety — powiedziała z zadowoloną miną. Mężczyźni też je mieli, ale jemu nigdy nie udało się rozpoznać objawów uzależnienia u innego mnekomana. Może kiedy zdobędzie więcej doświadczenia... — ale znowu zaczął dywagować, co mu się często zdarzało. Jeśli „siostra Beth” jest policyjną przynętą,

seks dla niej niewiele znaczy; zabezpieczona też jest przeciwko niepożądaney ciąży i chorobom wenerycznym. Prawdopodobnie zamierzała go uwieść za pomocą mistrzowskich protestów i w odpowiednim momencie zaobserwować wystąpienie owych zdradzieckich symptomów.

— Mogę cię wysadzić już tutaj — powiedział.

Położył lewą dłoń na jej gładkim udzie, w miejscu, gdzie nocna koszula podeszła do góry. Ta noga była podobna do nogi, którą znał — tylko gdzie? Kiedy? Półprzezroczysty materiał czynił ją bardziej podniecającą od pełnej nagości. Noga miała klasyczne proporcje, jak i cała reszta. Poczł przemożne pożądanie. Może warto byłoby się zdradzić...

— Tak, proszę mnie tutaj wysadzić — wyszeptała.

Widział, jak materiał na jej piersiach drga od wzmożonego bicia serca. Naturalnie, że protestowała; było to przecież wpisane w rolę. Jej ekscytacja mogła być autentyczna i wynikać z faktu, że była na krawędzi zdemaskowania podejrzanego. Który normalny mężczyzna mógłby odrzucić tak smakowity kąsek, tak prowokacyjnie opakowany i z tak pomysłową historyjką? Dziewczyna w ucieczce przed przeprogramowaniem, gotowa zrobić wszystko za podwiezienie, niezdolna nawet do obrony przed gwałtem ze strachu przed wymazaniem jej pamięci za pomocą narkotyku. Przyzwoity, prawomyślny obywatel wydałby ją w ręce władz; mający miękkie serce podwiózłby ją do jej Stacji. Cham albo kryminalista tylko by ją wykorzystał. Paweł nie należał do żadnej z tych kategorii. Przynajmniej nie dosłownie. Teraz to właśnie udowodni. Odwrócił się i nacisnął klawisz STOP. Samochód zwolnił, podjechał do pobocza i zatrzymał się na nim. Fotele wróciły do pozycji normalnej i zwolniły zaciski.

— Do widzenia — powiedział Paweł. Siostra Beth spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Przykro mi, że nie spełniłam pańskich oczekiwań — powiedziała i szybko wysiadła. — Niech pana Bóg błogosławi, panie Cenji.

„Niech pana Bóg błogosławi”. Te obce mu słowa uderzyły go z jakąś szczególną siłą. Nawet za niego, zbrutalizowanego typu, ofiarowała swą modlitwę. Czyżby rzeczywiście nikogo nie udawała?

Drzwi się zamknęły. Wcisnął klawisz JAZDA i auto wślizgnęło się na szosę, ciągle na autopilocie. Paweł odwrócił głowę, by spojrzeć po raz ostatni na dziewczynę.

Smutna i opuszczona ale urocza siostra Beth stała na wysypanej żwirem skarpie, a wiatr targał jej włosy i koszulę. Paweł poczuł gwałtowną chęć powrotu i zabrania jej ze sobą, i do diabła z konsekwencjami; zawsze przecież istniała szansa, że jest tym, za kogo się podaje.

Wtedy właśnie zobaczył patrolowy helikopter opuszczający się na ziemię w jej pobliżu. Policja już ją dostrzegła i dostrzeże także jego, jeśli natychmiast się nie zgubi w gęstym ruchu. Włączył się w strumień samochodów i starał się wytrzymać nerwowo tę sytuację. Możliwe, że miała jakieś urządzenie nadawcze, które naprowadziło jej mocodawców na miejsce jej pobytu. Wynikałoby z tego, że uciekł w ostatnim momencie.

Zupełnie spontanicznie powtórzył jej słowa: — Niech pana Bóg błogosławi. — Nie wierzył ani w Boga, ani w siostrę Beth, ale wstrząsnęła nim moc tego niespodziewanego błogosławieństwa.

Paweł zakończył podróż bez żadnych już przygód i odstawił samochód. Czekał teraz w eleganckim biurze na zapłatę — w formie zwiększonych możliwości kredytowych, które pozwolą mu uzyskać nieoficjalne ale cenne przywileje i udział w różnych, pozostających w zgodzie z prawem, biznesach i oczywiście w postaci odnowionego zapasu mnemu, który ukryje w wydrążonych zębach kieszonkowego grzebienia. Trwało zazwyczaj dość długo, nim pracownicy magazynu rozładowali samochód, zweryfikowali jakość towaru i upewnili się, że policja nie wpadła na trop samochodu. Wiedział jednak, że kiedy to wszystko sprawdzą, rozliczą się z nim jak prawdziwi biznesmeni. Cała operacja prowadzona bowiem była w sposób profesjonalny.

W rzeczywistości cały czarnorynkowy przemysł mnemowy prowadzono w sposób profesjonalny — lepiej niż wiele oficjalnych przedsiębiorstw. Paweł wciągał się weń stopniowo, naginając swoją filozofię życiową do stylu życia na wysokiej stopie. Studia ukończył z tytułem magistra nauk wyzwolonych, lecz pracy zgodnej z wykształceniem nie znalazł. Ponieważ miał bardzo zręczne dłonie, zaczął ich używać do sztuczek z kartami. To doprowadziło do kontaktów z firmami zajmującymi się legalnym hazardem. Jedną z bardziej popularnych gier, nie hazardową, ale służącą raczej do rozgrzewki przed hazardem właściwym, była *Tarocchi*, o której mówiono, że pochodzi ze średniowiecza, i do której używano siedemdziesięcioośmiokartowej talii Tarota zamiast talii standardowej, pięćdziesięiotrzykartowej. Można by było powiedzieć, że Joker ze standardowej talii rozwinął się w dwadzieścia dwa atuty w talii Tarota. Paweł zaadaptował tę talię do innych gier, opartych częściowo na szczęściu, a częściowo na umiejętnościach. Wyjątkowo dobra pamięć zmniejszała wagę pierwszego z tych czynników, a zwiększała wagę drugiego, co prowadziło go prostą drogą do mnemu. Kasyno, zirytowane kiedyś jego ciągłymi wygranymi, kazało wykidajłom wyrzucić go za drzwi. Był to błąd, ponieważ Paweł był bardziej, by tak rzec, profesjonalny w walce bez użycia broni niż w hazardzie. Zarządzający kasynem wykazał się bystrością umysłu i zmieniawszy taktykę kupił sobie Pawła, ofiarowując mu stałe zajęcie. Krótko mówiąc, Paweł był teraz ustawiony — dopóty, dopóki nie przyjdzie mu do głowy rozkołysać łodzi, w której siedzi.

Niech pana Bóg błogosławi.

Oglądał właśnie wiadomości. Jedna z informacji przyciągnęła jego uwagę: — Młoda kobieta popełniła ubiegłej nocy samobójstwo, wyskakując z policyjnego śmigłowca — powiedział spiker. — Zidentyfikowano ją jako siostrę Beth, od roku przebywającą w stacji kultu religijnego, zwanego Świętym Zakonem Wizyjnym. Prawdopodobny powód samobójstwa to depresja wywołana perspektywą przeprogramowania, niezbędnego w związku z popełnioną przez nią kradzieżą biżuterii...

— Ona nie ukradła tej biżuterii! — krzyknął Paweł i natychmiast zamknął usta, czując się trochę głupio. Na ekranie widział dziewczynę, tę samą, którą wiózł wczoraj wieczorem, i wiatr tak samo targał jej półprzezroczystą koszulą. Nawet robokamery potrafiły dostrzec takie detale, szczególnie wtedy, kiedy były powiązane z czymś autentycznie makabrycznym, takim jak śmierć.

— Wydawała się taka spokojna — mówił umundurowany policjant, z żalem w głosie. — Nie przyszło mi do głowy, że może coś takiego wywinać, w przeciwnym razie założyłbym jej kajdanki.

— Poklepał dłonią kajdanki wiszące jak genitalia w okolicach krocza.

Paweł nie chciał uwierzyć w to, co zobaczył i usłyszał. To nie może być ona; przecież dopiero co z nią rozmawiał. Była tylko policyjną prowokatką ze świetnie spreparowanym życiorysem. Potem poczuł gniew. Jak to się mogło stać? Dlaczego policja nie zajęła się nią we właściwy sposób? No tak, ale gdyby się nią zajęli właściwie, byłaby tak samo martwa, mając wymazaną całą pamięć. A może jest to fragment jakiegoś planu, jakiejś zasadzki? Nie, to nie miało sensu; żadna agentka policyjna nie zgodziłaby się ujawnić swojej tożsamości w wiadomościach, nawet gdyby miała udawać martwą. Jej obraz ostrzegłby potencjalne ofiary. Zbyt łatwo było ją zapamiętać, z tym bujnym ciałem i z tą niewinną twarzą. Na pewno była autentyczna — i dlatego nie żyła.

Dlaczego jej nie uwierzył wtedy, kiedy to się liczyło? Wiedział dlaczego; miał cyniczny stosunek do każdego związku religijnego, do każdej wspólnoty religijnej. Dość się nasłuchał niewiarygodnie egoistycznych apeli w rzekomo religijnych przesłaniach: „Popierajcie nas, uwierzcie nam, a pójdziecie do Nieba, będziecie żyli wiecznie w szczęściu, wolni od grzechu”. I temu podobnych. Jak można być jednocześnie i szczęśliwym, i wolnym od grzechu, było dla niego całkowitą tajemnicą.

A jednak siostra Beth wydawała się inna, jakby naprawdę wierzyła w ten szczególny rodzaj zbawienia, do którego dążyła. Ani razu nie wzywała niebios w jego obecności. Gdyby tylko zwracał tyle samo uwagi na jej słowa, co na jej ciało!

Ale jeśli rzeczywiście była siostrą, dlaczego jej Bóg nie osłonił? Na pewno byłby w stanie zawrzeć jakiś układ z odpowiednimi władzami. Mógłby także nie dopuścić do jej śmierci. Wystarczyło przecież tylko mieć wiarę...

Paweł nie miał żadnej wiary. I spowodował jej śmierć. Najpierw ją napastował, a potem wyrzucił z samochodu. Tamci obserwowali ich cały czas i dlatego mogli ją natychmiast schwytać.

Gdyby tylko zaufał jej, tak jak ona jemu zaufała. Był w stanie zawieźć ją do jej stacji bez większych problemów. Niewiele było dobrych uczynków ostatnio w jego życiu. Dana mu została możliwość udzielenia pomocy komuś, kto był lepszy od niego, a on...

— Pańskie konto zostało już sprawdzone — poinformowała go sekretarka słodziutkim głosem.

Paweł spojrzał na nią i przez moment widział w niej siostrę Beth. Coś się w nim zagotowało, depresja walczyła z gniewem i gwałtownością. Cóż jednak miał uczynić? Była to tylko zwyczajna sekretarka, skorupa konformistki okrywająca bezkształtną duszę, niewarta nawet przelotnej uwagi. Siostry Beth nie było już wśród żywych.

Wstał nagle, podejmując brzemienną w skutkach decyzję.

— Likwiduję swoje konto — powiedział. — Wszystkie rachunki mają być anulowane bez uszczerbku dla stron, i zapomniane.

Nawet nie drgnęła. I nic w tym nadzwyczajnego. Była co prawda z ciała i krwi, lecz miała mózg robota.

— Operacja musi być zaaprobowana przez kierownictwo — powiedziała.

— Mam gdzieś kierownictwo. Zawrócił na pięcie i wyszedł.

Dopiero na zewnątrz dotarło do niego znaczenie tego, co zrobił. W języku tego biznesu, poinformował magnatów narkotykowych, że się wycofuje, że nie oczekuje żadnej odprawy pieniężnej i że nie będzie się kontaktował z policją. Oznaczało to także koniec wszelkich powiązań z mnemem.

Był teraz w poważnych tarapatkach. Skończą się uboczne dochody i ucierpi na tym wysoki poziom życia, do którego się przyzwyczał. Ucierpi też jakość pracy w kasynie, bo bez mnemu wkrótce odczuje efekty głodu narkotycznego.

* * *

To był dobry wieczór dla kasyna. Goście przybyli tłumnie i nie oszczędzali pieniędzy. Paweł zajął swoje stanowisko za stołem do gry w „dwadzieścia jeden” i zaczął rozdawać karty z łatwością, którą przynosi duże doświadczenie. Reagował automatycznie na zawołania klientów, bo myślami był zupełnie gdzie indziej. — Jeszcze jedną. — Dał mężczyźnie dodatkową kartę. Dlaczego siostra Beth to zrobiła? — Jeszcze jedną. — Wydał dodatkową kartę i tej damie. Miała głęboko wycięty dekolt, lecz dziś go to nie interesowało. Gdybym był tylko wiedział! Dał jej jeszcze jedną kartę, zauważając przelotnie galaretowate drżenie jej piersi, kiedy po nią sięgała. Z wiekiem taka galareta zamieniała się w ciało o konsystencji albo bardziej płynnej albo bardziej stałej, a ta zaczynała wykazywać oznaki starzenia. Piers siostry Beth drgałaby właściwie. Siostra Beth mogłaby być tutaj. A nie jakaś tania i przekwitająca sensatka, jak ta hazardzistka.

Rutynowe czynności wydawały się nie mieć końca. Nie czerpał już z nich żadnej radości. Zarabiał w ten sposób jedynie na życie, a kasynu dostarczał dochodów. Dokąd się uda, kiedy stąd odejdzie?

— Stwierdzam nieczystą grę! — Suchy głos przerwał Pawłowi rozmyślania. — On rozdaje drugie!

Rozdawanie drugich: dawanie innym graczom drugiej w kolejności karty z talii i zatrzymywanie wierzchniej. Jedno z najstarszych i najporęczniejszych narzędzi w arsenale magika albo zręcznego rozdającego.

Dłonie Pawła zastygły. Wszystkie oczy skupiły się na talii, którą w nich trzymał. Zarzut oszustwa stanowił poważne oskarżenie.

— Komputer kasyna posiada pełny zapis każdej potasowanej talii użytej w grze — powiedział Paweł bez odrobiny złości. Istniały pewne ustalone procedury dla takich przypadków, jak i dla samej gry. — Czy życzy pan sobie zobaczyć wydruk?

— Nie interesuje mnie tasowanie — warknął mężczyzna. Był wysoki, szczupły, w nieokreślonym wieku. Nie wyglądał na hazardzistę, ale Paweł już dawno stwierdził, że nie istnieją żadne cechy charakterystyczne odróżniające hazardzistę od nie — hazardzisty. Hazardzistą się było, kiedy

uprawiało się hazard; to wszystko. — Chodzi o rozdawanie. Dałeś mi ósemkę, żebym miał „furę”, a sobie zatrzymałeś niższą kartę. Widziałem to! Nie dziwię się teraz, że zupełnie nie miałem dzisiaj szczęścia.

— Proszę wybrać kogoś do talii weryfikacyjnej — powiedział Paweł zimno. — Myślę, że potrafimy pana przekonać, iż gra była uczciwa.

— Nie! Macie tu pełno podstawionych graczy. Sam to zrobię!

Paweł skinął spokojnie głową. Jeśli ten człowiek jest uczciwy, wkrótce zauważy swoją pomyłkę. Jeśli będzie chciał zrobić Pawła, oszukując samemu przy rozdawaniu, komputerowy zapis układu kart to wykaże i skompromituje go.

— Proszę wziąć talię z pudełka i wykladać powoli karty, obrazkami do góry. Karty te będą zgodne z tymi, które ja rozdałem.

— Oczywiście, że będą zgodne! — wykrzyknął wściekle mężczyzna. — Rozdałeś je, owszem, ale w jakiej kolejności? Wydruk miałeś przygotowany wcześniej, tak że widziałeś, w jakiej kolejności karty będą przychodzić i...

— Chcemy, by pan był usatysfakcjonowany, szanowny panie — powiedział Paweł, ale już wiedział, że żadna racjonalna demonstracja nie zadowoli tego mężczyzny. Czyżby był intrygantem z konkurencyjnego kasyna? Nacisnął nogą przycisk alarmowy.

Na ekranie monitora ukazała się twarz.

— O co chodzi? — zapytał szef sali, a jego przeszywające spojrzenie było widoczne nawet w obrazie telewizyjnym.

— Oskarżenie o rozdawanie drugich — powiedział Paweł, wskazując ruchem głowy oskarżyciela.

Szef popatrzył na klienta.

— Nie musimy oszukiwać, proszę pana. Wystarcza nam ustalony — procent należny kasynu. Talia weryfikacyjna pokaże...

— Nie! — powiedział mężczyzna.

Szef zorientował się w sytuacji. Miał dobry refleks; za to właśnie mu płacono. Miał też szerszy zakres kompetencji niż Paweł i teraz zamierzał z nich skorzystać.

— Zagraj jeszcze raz, Pawle. Po swojemu. Pokaż mu.

Paweł uśmiechnął się. Dano mu wolną rękę.

— Proszę, oto jak by wyglądała ta gra, gdybym oszukiwał — powiedział, biorąc do rąk talię weryfikacyjną. — Rozdania, które powtórzę, nie podlegają obstawianiu; będzie to wyłącznie

demonstracja. — I zapalił napis GRA NIEWAŻNA.

Rozdał karty tak jak uprzednio, tym samym osobom i w takiej samej kolejności. Panna Dekolt była zafascynowana; była to najbardziej podniecająca sytuacja, jaka ją mogła spotkać tego wieczoru. Tym razem dłonie Pawła prezentowały swoje magiczne możliwości; jego karty zawsze były najlepsze, pozwalając kasynu wygrywać w stu procentach przypadków. Za każdym razem rozdanie wyglądało na zupełnie prawidłowe i uczciwe.

— Zatrudniamy najlepszych rozdających, dzięki czemu nie mogą być wykorzystani przeciwko nam samym — powiedział szef sali z ekranu. Być może przypomniały mu się okoliczności towarzyszące zatrudnieniu Pawła. — Ale gra jest zawsze uczciwa. Bierzemy dwadzieścia procent i nasze zapisy są dostępne dla każdego. Nie musimy nikogo oszukiwać i nie odczuwamy takiej potrzeby, ale nie pozwolimy też, by nas oszukiwano. Czy jest pan usatysfakcjonowany? Czy może życzy pan sobie, żebyśmy wnieśli przeciw niemu sprawę o zniesławienie?

Szef najwyraźniej szedł na całego! Oskarżenie o zniesławienie nie miało żadnych szans, ale klient mógł tego nie wiedzieć. Szef po prostu pokazywał, jak grają zawodowcy: ze spokojem i z fantazją.

Sprawca całego zamieszania niechętnie odwrócił się od stołu gry. Szef mrugnął do Pawła. — Zrób przerwę. I tak płynność ruchu została tutaj zahamowana. — Taka płynność była rzeczą dość istotną; ludzie musieli czuć pełną swobodę przy przechodzeniu od gry do gry, od stołu do stołu, od rozrywki do rozrywki. Przepływ klientów oznaczał przepływ gotówki.

Paweł zamknął stół. Panna Dekolt zwlekała z odejściem, licząc zapewne na jakiś podryw, lecz zignorował ją w dość demonstracyjny sposób. Wzruszyła ramionami i zabrała swe zabawki gdzie indziej.

Ale wściekły hazardzista nie zrezygnował. Należał do tych, którzy nie umieją przegrywać. Szedł za Pawłem — w sposób nie nazbyt oczywisty, bo nie chciał, by go wykopano z kasyna, ale i nie krył się zbyt. —

Paweł przeszedł spokojnym krokiem obok sali balowej, gdzie jakieś grupy nie pasujących do siebie piosenkarzy i instrumentalistów produkowały się na estradzie, kładąc nacisk raczej na głośność, a nie finezję wykonania, podczas gdy na parkiecie tańczono pojedynczo i parami. Młoda kobieta w obcisłym kostiumie śpiewała do mikrofonu, którego kształt był jednoznacznie falliczny; trzymała go obiema dłońmi, tuż przy piersi, prawie wkładając sobie do ust. Mikrofony były właściwie już zbędne w latach siedemdziesiątych, a tym bardziej potem; używanie ich miało więc raczej symboliczne, a nie praktyczne znaczenie.

Paweł zerknął na swego prześladowcę, kiedy obchodził estradę. Mężczyzna wydawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na występy. Paweł usiadł przy stoliku stojącym tuż przy estradzie, zmuszając tym samym idącego za nim do zajęcia miejsca przy sąsiednim stoliku, gdzie ilość decybeli była autentycznie ogłuszająca. Głośna muzyka miała naturalnie jakiś erotyczny urok; na tym polegała jej tajemnica. Te staroświeckie grupy znane były ze swoich talentów uwodzicielskich i być może fani, którzy tak gorliwie poszukiwali tego uwodzicielskiego czaru, naprawdę nie zdawali sobie sprawy z tego, co ich pociąga. Ci, którzy nie przepadali za seksem, jeszcze bardziej tracili nań ochotę

pod wpływem głośnej muzyki; ich protesty przeciwko „kiepskiej muzyce” nie wytrzymały próby czasu i upodobań następnych generacji młodzieży.

Kelnerka zjawiała się natychmiast — autentyczna, żywa kobieta, przedstawicielka innych, lepszych czasów, a nie tylko kompetentna, nowoczesna końcówka do znajdującej się na stoliku klawiatury. — Wódka — czysta — powiedział do niej głośno Paweł, jednocześnie wykonując prawie niewidoczny, przeczący gest dłonią. Rozpoznała w nim pracownika kasyna i skinęła głową; po chwili przyniosła mu szklaneczkę czystej wody. Podał jej kartę kredytową, której dotknęła swoim czytnikiem, rejestrując w pamięci urządzenia transakcję BEZ SPRZEDAŻY. Cała ta operacja była niemożliwa do zaobserwowania przez klienta przy sąsiednim stoliku. On sam zmuszony był kupić normalny trunk — a Paweł podejrzewał, że był abstynentem. Ludzie jego pokroju przeważnie takimi byli. Zaczynało być zabawnie.

Grający na banjo wyszedł do swojego solowego numeru, przykucnął na skraju estrady, także instrument zwisał pomiędzy jego rozłożonymi nogami, z szyjką skierowaną do przodu i do góry pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Szarpał napięte struny, w okolicach krocza, podczas gdy instrument skakał w górę i w dół jak w orgazmie, emitując głośne dźwięki. Paweł uśmiechnął się; może i nie imponowali jakością muzyki w dzisiejszych czasach, ale niewątpliwie potrafili ożywić symbolikę!

Klient przy sąsiednim stoliku odwracał wzrok od estrady, lecz bezlitosnego uderzenia muzyki nie mógł uniknąć. Najwyraźniej był świętoszkiem. Po cóż w takim razie przyszedł do tego rodzaju instytucji? Czy był agentem konkurencyjnego kasyna? Mało prawdopodobne; był na to zbyt niezręczny, prawdziwy agent nie spartaczyłby tak akcji przy stole do „dwadzieścia jeden”. Czy był inspektorem federalnym, sprawdzającym ewentualne oszustwa i oskubywanie klientów przez kasyno? Znowu, zbyt niezręczny. Czasy, kiedy agentów rządowych można było rozpoznać na odległość, dawno minęły; agenci federalni byli teraz profesjonalistami, jak wszyscy inni. A może ktoś z kartelu mnemowego, upewniający się, że Paweł nie ma zamiaru zdradzić?

Nie, jedynym sensownym wyjaśnieniem było takie, że jest to jednak gość, który nie umie przegrywać i w związku z tym szuka okazji, żeby się odegrać, choć niekoniecznie przy stole do gry. W rzeczywistości nie przegrał on dużej sumy; była to raczej utrata twarzy, a nie pieniędzy — przegrał bowiem i z Pawłem, i z kierownictwem, czego jednak powinien był się spodziewać. Żaden amator nie ma szansy w konkurencji z zawodowcami. Gry naprawdę były uczciwe, a gdyby nawet któraś nie była — nie byłby w stanie tego zauważyć. Paweł mógł wygrywać w „dwadzieścia jeden” bez pomocy oszustwa, a tylko dzięki dokładnemu zapamiętywaniu schodzących kart i zabezpieczeniu zakładów na podstawie przewidywanego układu pozostałych w talii kart. Czasami robił to, służąc kierownictwu kasyna za wabika demonstrującego naocznie, że kasyno można pokonać, i przyciągając w ten sposób klientów. Naturalnie, możliwe to było tylko dzięki wzmocnieniu pamięci mnemem; przeciętni klienci, jako kategoria, takich szans nie mieli. Zdarzali się szczęściarze, lecz było ich niewiele.

Posmutniał od tych myśli. Nie będzie już wygrywał w sytuacjach teoretycznie bez szans. Rezygnując z mnemu, rezygnował z wielu innych rzeczy. Czy było to tego warte?

Wyobraził sobie młodą kobietę spadającą z policyjnego śmigłowca. Być może ostry głód po mnemie wymaże to wspomnienie!

Dopił wodę i wstał. Klient ruszył za nim. Przeszli obok koła fortuny — to też przypomniało Pawłowi Tarota. Karta Numer Dziesięć była właśnie Kołem Fortuny. Niewątpliwie te koła tutaj unosiły fortuny klientów do góry — i ponownie ciskały nimi w dół! Ale Tarot znów przywiódł mu na myśl siostrę Beth ze Świętego Zakonu Wizyjnego, dziewczynę, której śmierć spowodował. Pełen obrót, jak w kole fortuny. Nie mógł uciec przed sobą samym. I fakt ten burzył coś w jego wnętrzu.

Odwrócił się. Mężczyzna był tuż za nim.

— Czego chcesz?

— Moich pieniędzy — odpowiedział mężczyzna.

Paweł wyjął kartę kredytową.

— Ile wynosi twoja przegrana?

— Nie. Nie chcę ich odzyskać w ten sposób. Chcę je od ciebie wygrać. Chcę cię pokonać.

Cóż za idiota!

— Nie możesz mnie pokonać. Gram dla kasyna; na dłuższą metę zawsze wygrywam.

— Potrafię cię pokonać — grając jeden na jednego.

— W porządku — zgodził się Paweł, który marzył tylko o tym, żeby pozbyć się natręta. — Jeden na jednego. Możesz wybrać grę.

— Czy znasz grę nazywaną Akordeon?

— Znam. Nigdy w nią nie przegrywam, jeśli jest grana na mój sposób.

— Niech będzie twój sposób — zgodził się mężczyzna. Jego niemądra, bezsensowna duma była coraz bardziej irytująca.

— Talia Tarota. Atuty półkontrolowane.

— Półkontrolowane?

— Każdy z dwudziestu dwu Atutów może pobić każdą kartę z poszczególnych kolorów — ale Atuty nie mają oznaczeń liczbowych i dlatego nie można ich kłaść na pierwszą lepszą kartę. Są one biernie niekontrolowane; jedyne co mogą robić, to znikać.

— A jeżeli ostatnia karta jest Atutem?

Nie taki znowu naiwny, jakby się mogło wydawać!

— Jest całkowicie niekontrolowana, dopóki nie zostanie wskazana. Wówczas jest

unieruchomiona.

Mężczyzna potrząsnął głową z podziwem. Półkontrolowany Akordeon Tarotowy!

— Czy wyzwanie jest ciągle aktualne? — poganiał go Paweł. Mężczyzna rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Aktualne. Identyczne rozdania, oddzielne kostki, włączone liczniki.

— Naturalnie — zgodził się Paweł. — Gramy o sumę równą przegranej. Może być z tego niezła zabawa, a jeszcze potencjalna ofiara sama się o to prosi.

— Tylko jedno rozegranie — powiedział Paweł, żeby zapobiec odgrywkom.

— Podeszli do stołu do gry w Akordeona. Usiedli w kabinach naprzeciw siebie. Otrzymali identyczne rozkłady od mechanicznego krupiera; nie mieli jednak możliwości obserwowania sposobu rozgrywania poszczególnych układów przez przeciwnika.

Paweł prawie zawsze był w stanie wygrać „otwartą” grę w Akordeona, ponieważ sukces był tutaj uzależniony od zapamiętywania przez gracza wszystkich wykładanych kart. Gdyby wolno mu było zobaczyć kolejność kart przed grą, na wydruku, chociaż przez jedną sekundę, jego wzmocniona mnemem pamięć pozwoliłaby mu grać tak, jakby miał całą talię rozłożoną przed sobą na stole. Mógłby wówczas obmyślać strategię, uwzględniając wszystkie siedemdziesiąt osiem kart. Ale nawet w grze „zamkniętej”, takiej jak ta, gdzie rozkład kart był mu nie znany, mógł sobie niezłe radzić, odnotowując w pamięci każdą zagraną kartę i biorąc pod uwagę rozkład tych tylko, które pozostały. Dlatego właśnie przy grze w „dwadzieścia jeden”, w zaawansowanych fazach partii jego gra stawała się coraz lepsza, a przeciwnego gracza — przeciwnie.

Teraz jednak znalazł się w tarapatkach. Poziom mnemu w jego organizmie obniżał się, a wraz z nim słabła siła i wyrazistość jego pamięci. Był w dalszym ciągu dobrym graczem, świetnie znającym strategię układania kolorów i numerów w potencjalne łańcuchy, aby zwiększyć własne pole manewru bez zdradzania swojej pozycji przeciwnikowi, lecz nie zdawał sobie sprawy z tego, w jakim stopniu zależny jest od swej doskonałej pamięci. Czuł się bez niej nagi, niepewny, słaby. Może przegrać — martwiło go to o wiele bardziej niż powinno. Prawie już zapomniał, co znaczy być przegranym i powrót do statusu przegrywającego był mało pociągający. Przegrać czasem, w rezultacie przypadku, było jedną sprawą; przegrać zaś z powodu własnej słabości było zupełnie czym innym. To drugie właśnie powodowało jego przeciwnikiem.

Czy powinien wrócić do mnemu? Ciągle było to możliwe, wiedział o tym. Nie byłby pierwszym — czy dziesiątym, czy setnym — który próbował rzucić mnem i poniósł porażkę. Uzależnienie było bowiem o wiele subtelniejsze niż czysto fizjologiczne. Niektórzy eksperci ciągle nie klasyfikowali mnemu jako narkotyku prowadzącego do uzależnienia. Ale byli to głupcy, zamknięci w swoich wieżach z kości słoniowej; uzależnienie było przecież czymś więcej niż zależnością fizyczną, o czym dobrze wiedzieli zażywający kokainę. Związane było z fundamentalną percepcją samego siebie; jeśli straci pamięć, straci własną tożsamość. Taki los zgotowano siostrze Beth. Paweł może więc przyznać się do błędu, wrócić do kartelu i....

Nie! Musi odpokutować za zabicie niewinnej dziewczyny; może to i niezbyt racjonalne ale nieodwołalne. Będzie żył albo umrze wolnym człowiekiem — tak jak ona chciała być wolną.

Tymczasem grał. Siódemka Kielichów na Piątkę Kielichów; Piątka Pąlek na Wieżę — oj, pomylił się. Powinien był zestawić dwie piątki — nie, w tym akurat wypadku to nie robiło żadnej różnicy. Ale powinien był przynajmniej wziąć pod uwagę te Piątki, nim się zdecydował na inną możliwość. Takie decyzje determinowały końcową wygraną lub przegraną.

Paweł grał dalej, koncentrując się bardziej niż dotychczas na grze, dopasowując kolory i numery aż do drugich i czwartych stosików, zagęszczając i ściśniając rozkłady w sposób, od którego ta gra wzięła swą nazwę. Występujące dość często półkontrolowane Atuty dostarczały mu cennych odstępów, pozwalających na utrzymywanie akordeonu w stanie ściśniętym, ale naturalnie jego przeciwnik korzystał z tych samych możliwości. A przeciwnik naciskał go coraz mocniej, tym bardziej że w tej grze obaj gracze musieli się zgodzić na wyłożenie każdej nowej karty. Zauważył on zapewne błąd Pawła i miał dzięki temu o jedną kartę mniej, mógł więc dobrać dwie lub trzy karty, podczas gdy Paweł był zmuszony czekać. Niewątpliwie wiedział, jak grać w Akordeon serio! Przyparł Pawła do muru i był świadomy uzyskanej przewagi. Paweł robił co mógł, ale nie mógł już odzyskać inicjatywy.

Ostatnią kartą był Atut: Arcykapłanka, jak na ironię związana z pamięcią. Pamięć — w tej chwili jego słaba strona. I naturalnie karta była odwrócona. Tarot miał zupełnie niesamowitą zdolność odkrywania znaczących związków! Arcykapłanka była w pełni niekontrolowana i mógł dzięki niej ścisnąć swój rozkład w sposób istotny. Nie przewidział jednak tej sytuacji i udało mu się zlikwidować tylko dwie kupki kart. Zostało mu osiem, co, jak na niego, było kiepskim rezultatem.

Jego przeciwnikowi pozostało tylko siedem. Paweł przegrał. Zirytowany, wyciągnął kartę kredytową.

— Nie — powiedział mężczyzna, sprawiając wrażenie wielkodusznego zwycięzcy. — Uregulujmy to prywatnie.

Co też on chce przez to powiedzieć? Płatność za pomocą karty kredytowej była sama w sobie prywatna; kontrakt był automatycznie rejestrowany przez największą sieć komputerową na świecie. Wynikało z tego, że mężczyźni nie chodzi o pieniądze. Ale przecież grali o pieniądze i Paweł nie był zobowiązany do dokonania płatności w jakikolwiek inny sposób.

Wzruszył ramionami. Wyszli z kasyna. Na ulicy mężczyzna zaczął mówić, cicho i szybko: — Jesteś mnekomanem na gwałtownym odwyku. Ja jestem federalnym agentem do spraw narkotyków. Twój kredyt wkrótce się skończy, jeśli już się nie wyczerpał. Dlatego właśnie nie chciałem przeprowadzać żadnych transakcji przy użyciu kart kredytowych; lepiej żeby nikt nie zorientował się w zaistniałej sytuacji. Znajdujesz się w poważnych kłopotach. Jeśli zgodzisz się zostać świadkiem koronnym i złożysz zeznania obciążające podejrzanych, zagwarantujemy ci pełną anonimowość.

Agent federalny! Był więc celowo niezręczny, a Paweł zupełnie go nie wyczuł!

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedział Paweł, wiedząc z góry, że wszelkie zaprzeczenia nie

mają sensu.

— Byłeś kurierem i dzisiaj rano dostarczyłeś towar kartelowi — nalegał mężczyzna. — Obserwujemy cię od sześciu miesięcy, podobnie jak setki innych narkomanów. Nie przygwoździł cię, bo nie zależy nam na tobie, lecz na twoich szefach. Twoja charakterystyka psychologiczna wskazuje, że jesteś najlepszym kandydatem do współpracy, ponieważ jesteś uczciwy i inteligentny, a mnem to dla ciebie ślepa uliczka. Wcześniej czy później musiałbyś z nim zerwać, a miałeś odwagę zrobić to już teraz. Wydarzyło się niewątpliwie coś, co było bezpośrednim powodem tego zerwania. Czyżby to była ta dziewczyna, którą wydałeś, ten religijny świrus?

— Ona nie była żadnym religijnym świrusem! — rzucił gniewnie Paweł. — Była bardzo sympatyczną dziewczyną!

— W porządku. Była miłą dziewczyną, zbyt nerwową, żeby wysiedzieć spokojnie w policyjnym helikopterze. Miłą dla nas, bo zrobiła to, czego my nie mogliśmy zrobić, to znaczy przygotowała cię do zerwania z narkotykami. Możliwe, że jej fanatyzm w jakiś sposób cię zaraził. Słyszałem też, że była bardzo ładną dziewczyną. W każdym razie zajęliśmy się tobą, bo wiemy, że jesteś gotów obrócić się przeciwko szefom tego biznesu. Z twoją pomocą możemy go złamać i skończyć z mnem na dobre.

— Nie — powiedział Paweł.

— Wiem, że już nie bierzesz; widziałem tego oznaki przy stole do „dwadzieścia jeden”. Myśli twoje błędziły, nie byłeś w stanie się skupić. Przerwałem tę grę i wyłączyłem cię z obiegu, zanim szef sali był w stanie zorientować się w sytuacji. Jeszcze gorzej było przy grze w Akordeon. Straciłeś zupełnie wzmocnienie pamięci, a wkrótce zaczniesz odczuwać przykrości spowodowane przerwami w jej ciągłości. Porozmawiaj ze mną Szczerze; wskaż mi bossów. Przekaż mi dane teraz, kiedy jeszcze je pamiętasz, a my się tobą zaopiekujemy. Posiadamy środki, które pomogą ci przetrwać ten najtrudniejszy okres i które ocalą większość twojej pamięci. Magnetofon mam włączony. To twoja jedyna szansa.

Przez krótką chwilę Paweł odczuwał pokusę, żeby zrobić to, co proponuje ten mężczyzna. Ale uświadomił sobie, że może on być równie dobrze agentem kartelu, jak i agentem federalnym. Być może kartel go sprawdza, upewniając się, że dochowuje obowiązującej tajemnicy. A musiał jej dochować, w przeciwnym razie bardzo szybko pożegnałby się z życiem. — Nic o tym nie wiem — powiedział. — Proszę mnie zostawić w spokoju.

— Nie jesteś już w stanie zarabiać na życie — nalegał agent (federalny? kartelowy?). — Jesteś skończony. Możemy ci pomóc, jeśli ty nam pomożesz. Teraz, kiedy jeszcze jesteś w stanie nam pomóc.

Paweł dał nurka w tłum. Krążył i kluczył, aż zgubił agenta. Bardzo szybko znalazł się na zupełnie innej ulicy. Przechodził obok jakiegoś budynku i jego kroki włączyły automatycznie olbrzymi neon nad wejściem — **CHRYSTUS = WINA**.

Uśmiechnął się. Czyżby nie zamierzona ironia? Z tymi religijnymi kultami nigdy nic nie wiadomo.

Przeszedł pod napisem i obejrzał się. Z drugiej strony neon głosił: **SEKS = GRZECH**. Nie było tu żadnej pomyłki; dla wielu fanatyków każda forma przyjemności była niemoralna i nikt nie mógł być święty, jeśli nie miał poczucia winy. Nawet w radości prawdziwej wiary należało odczuwać winę za samo uczucie radości.

U niektórych jednak ludzi to samo podejście miało jakąś poważną siłę przyciągającą; był w tym wszystkim jakiś powab, wynikający z poczucia bezpieczeństwa, związanego z przynależnością do grupy. Co to takiego było, do czego należała siostra Beth? Święty Zakon Wizyjny. Pamięć go nie zawiodła! Może to jeszcze jeden z tych represyjnych kultów, reagujących w ten sposób na represyjny system — ale przecież ona była taka delikatna. Dlaczego musiała umrzeć?

Paweł zatrzymał się, bo poczuł coś na kształt wybuchu w piersiach. Gorąco eksplodowało i rozlało się po klatce piersiowej; palący przypływ stopniowo ustępujący. Pojął nagle, że to nazywa się potocznie złamanym sercem. Nie odczuwał bólu fizycznego; uczucie było wręcz dziwnie przyjemne. Jednak coś, co w sposób subtelny było niezbędne do życia, odeszło, i to w momencie, kiedy zdał sobie sprawę z jego istnienia. W jego miejsce pojawiło się — poczucie winy.

Przez chwilę był całkowicie zdezorientowany; było już późne popołudnie, był sam i wchodził do jakiejś nędznej kamienicy. Nie wyróżniała się niczym, ale zainteresowani wiedzieli, jak się to miejsce nazywa. „Tuziny” — melina dla wyzutych i nie uznanych, dla odrzuconych. A dokładniej, była to enklawa wyłącznie dla kolorowych, i to w czasach, w których według prawa nie istniała dyskryminacja społeczna oparta na rasie czy wyznaniu. Instytucja tego rodzaju nie miała więc żadnych podstaw prawnych. Ale kartel mnemowy też ich nie posiadał. Prawo zapominało o swoich obowiązkach, a żaden biały nie był na tyle niemądry, by postawić swą stopę na terenie „Tuzinów”.

Pojawienie się Pawła w pierwszej chwili nie wywołało żadnej widocznej reakcji. Po kilku jednak sekundach trzech krzepkich mężczyzn zablokowało mu przejście. Jeden miał czerwonawy odcień skóry Indianina; drugi był pochodzenia orientального; trzeci był Murzynem. — Pewnie zgubiłeś drogę, białasie? — spytał cichutko Czarny.

Białasem nazywano stuprocentowo białego, który nie miałby szans przetrwania w tym kolorowym piekle. Paweł przyjął pozycję obronną, której znaczenie musiało być zinterpretowane jednoznacznie. — Nie. — Powstrzymał się jednak do użycia obraźliwego „smoluchu”.

— Jest mój — powiedział Żółty. Dwaj pozostali ustąpili na bok.

— Karate? — spytał.

— Judo.

— Kokodan?

— Ikyu — odpowiedział Paweł.

— Nidan — powiedział Żółty.

Uklonili się sobie, ograniczając tę formalność do sztywnego skłonu górnej części ciała. Przed chwilą wymienili nazwy szkół techniki walki i swoje w nich rangi. Ranga Żółtego była wyższa o dwa stopnie, a nie nabywało się tych rzeczy łatwo. W normalnym meczu prawdopodobnie pokonałby Pawła bez większego trudu. Paweł mógł z nim teraz walczyć, ale oznaczałoby to, że jego pobyt na terenie „Tuzinów” będzie bardzo krótki. Lepiej zrezygnować z walki. Jego celem było uzyskać posłuchanie i cel ten udało mu się osiągnąć.

— Nie jestem białasem — powiedział. — Jestem w jednej ósmej czarny. Jestem krupierem w kasynie. Agenci federalni depczą mi po piętach. Mnekomania.

Było to jedyne miejsce, gdzie nie musiał się obawiać ani kartelu, ani agentów federalnych; „Tuziny” potrafiły chronić swoich ludzi z diabelską wręcz skutecznością; ich możliwości sięgały wszędzie tam, gdzie znajdowali się kolorowi. Wpierw jednak Paweł musiał zostać zaakceptowany.

Żółty cofnął się, a na jego miejscu stanął Czarny.

— Możesz nam się przydać, ale jesteś w siedmiu ósmym biały. — Ton wypowiedzi był obraźliwy.

— Tak, to prawda. Nazywam się Paweł Cenji. Zostałem wychowany jako biały. Możecie sprawdzić moich przodków w rejestrach archiwum.

Czarny wyjął specjalistyczną krótkofalówkę. Nacisnął guzik i powiedział: — Paweł Cenji.

Odpowiedź nadeszła prawie bez zwłoki: — Dwanaście i pół procent czarny. Trzy procent żółty. Śladowe domieszki innych, niebiałych ras. W trakcie ucieczki przed kartelem i agentami federalnymi.

Czarny przyjrzał mu się krytycznie. — Jesteś w kłopotach. Ciało spełnia layteria — ledwo, ledwo. Ale duszę masz białą.

. — Wypróbuj mnie — powiedział Paweł. Wiedział, że i tak to zrobią, a zanim skończą, prawda wyjdzie na jaw.

Czarny znów mówił do swojego aparatu. Najwyraźniej nie była to standardowa końcówka komputera; „Tuziny” uzyskały informację o wiele bardziej aktualną i dokładną niż sądził, że to w ogóle możliwe. Wiedzieli wszystko o jego problemach z mnemem i o ofercie agenta federalnego! I te trzy procenty, odziedziczone po jakichś orientalnych przodkach; sam pierwszy o tym słyszał. Musiały się znajdować w jego białym dziedzictwie, nie sprawdził tak dokładnie jak czarne.

— Karrie!

Podeszła do nich brązowoskóra dziewczynka w wieku około sześciu lat. Czarny ustąpił jej miejsca z jakąś formalną uprzejmością, przypominającą ceremonialne zachowania podczas przygotowań do walki w technikach wschodnich. Cóż to mogło oznaczać?

Dziewczynka popatrzyła na Pawła z nie ukrywaną pogardą.

— Znasz tuziny? — spytała.

Nie miała na pewno na myśli budynku, w którym się znajdowali. Trochę zdezorientowany, Paweł rozłożył ręce w geście wyrażającym częściowe przeczenie.

— Niby tak — ale nie z udziałem kobiet i dzieci.

— Wobec tego zabieraj stąd swój biały tyłek — powiedziała dziewczynka.

Paweł przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Tak naprawdę, to znał „wulgarne tuziny” czy też zawody w obrażaniu, typową formę próby stosowaną przez czarnych. Szczególny rodzaj czarnego humoru, od którego pochodziła nazwa tego klubu. Było to najwłaściwsze wyzwanie w obecnej sytuacji; jeśli będzie w stanie pokonać miejscowego mistrza — udowodni, że duszę ma czarną, bo biali rzadko startowali w tej konkurencji i byli w niej słabi. Sam Paweł był dobrze przygotowany do tego współzawodnictwa, ale wyobrażał je sobie tylko w kategoriach rozgrywki między mężczyznami. Walkę mężczyzny z dzieckiem, na dodatek płci żeńskiej, uważał za co najmniej niezręczną.

Niemniej, musiał zastosować się do ustalonych przez innych reguł, jeśli miał przyłączyć się do ich klubu.

Skoncentrował uwagę na dziewczynce — Karrie. Demonstrowała ona chęć walki z dość szokującą bezpośredniością. Sprawiało to wrażenie, że walka będzie tak samo poważna, jak ewentualny mecz judo z Żółtym, tyle że bardziej odpowiadająca zaistniałej sytuacji. Mała Karrie za pomocą nieuprzejmej uwagi na temat koloru jego siedzenia zaproponowała mu odejście. Musiał to odeprzeć, kierując ostrze obrazy na swoją przeciwniczkę, a w miarę możliwości rymując swoją wypowiedź.

— Nie zobaczysz już tu mojego siedzenia, kiedy nauczysz się używać grzebienia — powiedział i natychmiast poczuł się zdegustowany. Co prawda było tu i odparcie i rym, lecz jako atak było to bardzo słabe. Dziewczynka w jej wieku mogła używać grzebienia — jeśli chciała. Często za punkt honoru poczytywała sobie jednak obywanie się w ogóle bez grzebienia lub pożyczanie go od jakiegoś chłopca. Faktycznie więc nie udało mu się zyskać żadnych punktów, co najwyżej wstąpił dopiero w szranki.

Zareagowała natychmiast:

— Wcisnę ten grzebień w białe obwarzanki — przerwała i dokończyła mocnym akcentem: — przy pomocy pianki.

Nie było to całkiem niewinne, mimo jej młodego wieku. Obwarzanki nigdy nie były czarne, tylko białe. Środki pieniące ciągle jeszcze używane były przez niektóre mniejszości w wiadomych celach profilaktycznych. Zyskała więc kilka punktów, wykorzystując jego własny pomysł przeciw niemu.

— Gdyby piankę się włożyło, nigdy byś nie wyszła — powiedział. Rymu nie było — ale obraza była silniejsza: sugestia, że się jest przypadkowym, nie chcianym dzieckiem. Niełatwo było złożyć to wszystko razem — sens, rym i obrazę — bez chwili namysłu. Ale na tym polegało wyzwanie w tej konkurencji. Nawet wielu czarnych nie umiało sobie dobrze radzić z tuzinami, brakowało im refleksu

i dowcipu. Jeśli on sobie poradzi, zrekompensuje aż nadto punkty minusowe wynikające z zapisu genetycznego. Teraz dopiero, zbyt późno, przyszło mu do głowy rymowe dokończenie ostatniej wypowiedzi: — nigdy by cię nie było.

Zebrał się tłumek. Był to rodzaj rozrywki w ich guście. Nie wszyscy obecni byli przeciwko niemu; zaczynał udowadniać, że styl tuzinów nie jest mu obcy; część z nich miała zaś podobnie jasne zabarwienie skóry jak on sam. Było ich około tuzina. Gra słów? Możliwe; tuziny nie miały żadnego związku z liczbą dwanaście. Wywodziły się od wyrażenia oznaczającego coś zaskakującego, nietuzinkowego. Jeśli wygra to współzawodnictwo, zyska przyjaciół i przyszłość bezpieczniejszą, jeśli nie całkiem bezpieczną.

— Niezły strzał — powiedział ktoś z boku. Zirytowana tą uwagą, Karrie wystrzeliła:

— Pianka z twej matki dała drapaka, kiedy pieprzyła białego prostaka.

— Odwrócone — skomentował jeden z widzów z bystrością cechującą zawodowca. Miał na myśli fakt, że pomysł Pawła został wykorzystany przeciwko jego autorowi, na dodatek wzmocniono go rymem i insynuacją rasową. W tym środowisku te „białe” strzały były najgroźniejsze!

Był zmuszony teraz do zdjęcia białych rękawiczek. Nie mógł sobie pozwolić na traktowanie Karrie jak dziecka i pamiętać ciągle, że jest dziewczynką; była tylko wrogiem, który chce go zniszczyć.

— To nie był prostak, twoja tu pomyłka; dał twej matce piątaka za obnażenie tyłka.

Rozległy się brawa. Paweł przebił jej wierszyk swoim własnym, imputując dodatkowo, że jej matka była prostytutką. W zawodach tego rodzaju zawsze obrażano matki uczestników; jest to, jakby nie było, słaby punkt każdego człowieka, niezależnie od koloru skóry. — Piątaka — ktoś szepnął, doceniając inwencję. Była to zwyczajowa suma za pewne usługi pół wieku temu; teraz oznaczała bardzo niską cenę, taką jak wspomniany zastrzyk pianki, co jeszcze podnosiło jakość wypowiedzi. Wyglądało na to, że chwycił rytm po kiepskim starcie.

Dziewczynka odczuła ten cios i wiedziała, że ugodzono ją celnie. Być może była właśnie przypadkowo dzieckiem prostytutki. Obelgi nie musiały odzwierciedlać faktów z życia przeciwników, lecz jeśli były celne, wyprowadzały współzawodnika z równowagi, ułatwiając zwycięstwo w zawodach.

— Wynoś się stąd, ty siedem ósmych jaja! — krzyknęła. — Wracaj do białej jak lilia p.... twojej mamy!

— Ho, ho! — zawołał ktoś z podziwem.

Czując, że traci grunt, Karrie uderzyła mocno, tworząc imponującą „ośmiojajową” grę słów na temat jego białych przodków i imputując mu kazirodztwo. Było to już bliskie najgorszej zniewagi, prawie że niemożliwe do przebicia w normalnie przebiegającej grze, tym bardziej że nie mógł jej odpłacić obelgą tego samego rodzaju. Niezbyt przekonujące byłoby bowiem oskarżanie jej o

kazirodstwo z matką. Zdał sobie sprawę z tego, że nie ma tutaj równych szans; niektóre z najbardziej raniących obelg nie miały zastosowania ani do kobiet, ani do dzieci. Z tego powodu Karrie przedstawiała sobą irytująco mały cel. Był już jednak rozgrzany walką i nie miał zamiaru się poddać.

— Moja mama jest w Afryce, nie widziałem jej ciała. Poza tym to mój biznes, ty jesteś za mała.

Nie słyszał żadnych komentarzy od widzów. Obronił się zręcznie, lecz nie udało mu się przeprowadzić ataku. Jednym słowem — stracił inicjatywę. Karrie poczuła zwycięstwo i zaatakowała ostro.

— Do Afryki wyniosła swoją dupcię śliczną / Być może chorobę leczy weneryczną.

Robi z niego dziecko choroby wenerycznej. Jak ma to przebić? Nagle pomysł sam przyszedł mu do głowy — nie do obalenia, z całkowicie łajdacką implikacją. I z odniesieniami fekalnymi!

— Kiedy twój tata robił to z mamą, nie trafiał, gdzie trzeba / taka kiepska głowa / I ciągle próbował wcelować od nowa / Dlatego ty wyszłaś całkiem tak brązowa. — A do tego jeszcze potrójny rym!

Karrie wpatrywała się w niego bez słów, pokonana, niezdolna do riposty. Rzeczywiście przygwoździł ją, czyniąc dzieckiem uryny i fekaliów. Publiczność jednak nie biła braw; wszyscy stali nieruchomo w przygniatającej ciszy.

Po chwili zrozumiał dlaczego: wygrał co prawda tuziny, ale przegrał sprawę. Przez implikację przyrównał bowiem wszystkich o skórze brązowej do fekaliów, o skórze żółtej — do uryny. Tak bardzo chciał wygrać, iż pozwolił, aby cel uświęcił środki i zniszczył w ten sposób sam cel. Tylko ktoś o duszy białej mógł wymyślić i rzucać takie obelgi.

Raz jeszcze chwycił zbawienie — a odkrywał w ręce łajno.

Wydawało się, że minęła jedna tylko chwila. Stał na ulicy, zastanawiając się, dokąd iść. Domyślał się, że minęło wiele godzin, bo cienie budynków wydłużyły się znacznie, a on odczuwał głód. Poziom mnemu w jego organizmie spadał ciągle; zaczynał tracić pamięć. Prawdopodobnie stracił też przytomność i stąd ta luka w pamięci; tak właśnie działał ten narkotyk. Czasami odbywało się to płynnie, kiedy indziej skokowo.

Czuł odór ognia. Wiedział, co to oznacza. To była animacja, która ukazała wartość jego wnętrza, źródła jego nieczystości. Amaranta grała tam rolę siostry Beth — ale sama pamięć o wydarzeniach była autentyczna.

Naprawdę zamordował niewinną dziewczynę dziesięć lat temu. Albo dziewięć, czy też osiem. Mnem stępił jego pamięć i dopiero teraz animacja wyostrzyła ją na powrót, odsłaniając najbardziej wstydliwą tajemnicę. Był zupełnie nic niewart.

W oknie zapaliło się światło. Stał przed jakimś domem mieszkalnym i albo zasłony na parterze nie były zasłonięte, albo stał na schodach przeciwpożarowych, szpiegując coś przez okno. Nie było to

całkiem jasne i nie wydawało się ważne. Zajrzał do wnętrza i zobaczył nagiego Theriona pośrodku pokoju i ubraną dziewczynę przykucniętą w rogu. Czy nazwać ją Amarantą, czy nazwać ją Światłem, czy nazwać ją siostrą Beth, czy sekretarką z kartelu, czy anonimową kelnerką z kasyna — nie było rzeczą istotną; była Dziewczyną przyciągającą oko mężczyzny i jego penis. A dom mieszkalny był zamkiem odkrywającym stosunki międzyludzkie.

Coś mu nie pasowało w usytuowaniu tych dwojga w pokoju. Był to bowiem ten sam pokój, w którym przebywał wraz z nimi, ale teraz on był na zewnątrz, zaglądał do środka i oglądał wszystko z innej perspektywy. Ale kochał się z nią przecież pośrodku pokoju, a nie w rogu. I ona była naga, nie ubrana. Tutaj zaś pośrodku znajdował się nagi Therion.

Paweł usłyszał jego głos: — Wbij swój demoniczny uśmiech w mój mózg; zanurz mnie w koniaku, pocałunkach i kokainie. — I zobaczył, jak ten otyły mężczyzna wypina swoje zwiotczone pośladki.

Smród stał się nie do zniesienia. Pawłowi zrobiło się mdło; usiłował powstrzymać wymioty, lecz nie dał rady. Odwrócił się od okna i zahaścił, aż do zawrotu głowy, nad wąską przepaścią uliczki. Wymiotował raz za razem przez usta i nos, obryzgując wszystko dookoła brązowymi w tym świetle wymiocinami i żółtym śluzem. Smród nie ustąpił.

Strzałka niedokładnie rzucona w ciemnościach trafiła w jego twardy pas i odbiła się od niego. Igła na jej czubku nie wbiła mu się w skórę, co zawdzięczał zarówno przypadkowi, jak i rozhuśtaniu własnego ciała. Mimo to krzyknął głośno, jakby odczuł nagły ból, i uderzył otwartą dłoń w swój bok.

Z mroku wynurzył się jakiś mężczyzna.

— Nie ma w tym nic osobistego — powiedział. — Pewnie przypuszczałeś, że opuścisz kartel, a za kilka dni i tak już nic nie będziesz pamiętał.

Paweł uświadomił sobie, że znowu miał przerwę w pamięci. Była już bowiem późna noc, plamy na koszuli wyschły, a obrzydliwy odór był ledwie wyczuwalny. Ale co robił w tym czasie nie objętym pamięcią? Nie miał pojęcia; mnem wyznaczał granice bardzo ostro. Strzałka rozbijała go całkowicie, odzyskał pełną świadomość, znał bowiem dobrze jej znaczenie. Instynkt przetrwania był w tej chwili znacznie silniejszy od jakichkolwiek uczuć; zmobilizował wszystkie swoje umiejętności, by stawić czoło niebezpieczeństwu. Strzałka przenosiła środek usypiający, który powodował ospałość i brak koordynacji, a tym samym pozwalał na łatwą likwidację zaatakowanego. Znał osobiście kilku, z którymi rozprawiono się w ten właśnie sposób.

— A teraz chodź ze mną — powiedział mężczyzna, nieświadom tego, że strzałka chybiła celu i w związku z tym ma przed sobą czujnego i groźnego przeciwnika. — Na małą przejażdżkę. Bo widzisz, jesteś na głodzie i jak cię gliny zwiną, bez problemu stwierdzą, że jesteś mnekomanem. A to nie byłoby dobrze dla nas wszystkich. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby cię capnęli teraz czy później.

Wyciągnął rękę w kierunku ramienia Pawła.

Paweł uniósł prawe ramię, by odparować ewentualny cios. Zwinął się jednocześnie w prawo, pociągając przeciwnika i pozbawiając go równowagi, po czym zacisnął swą prawą dłoń na prawej dłoni mężczyzny, chwytając palcami jej kant. Przekręcił się pod własnym ramieniem, jakby wykonywał figurę z menueta. Po wykonaniu pełnego obrotu, trzymał obiema dłońmi ramię przeciwnika, wyginając je brutalnie w przegubie. Zastosował dźwignię.

Z okrzykiem zaskoczenia i bólu mężczyzna padł na ziemię. No i dobrze; gdyby stawiał opór, miałby wywichnięte ramię. Stosując ten chwyt, małe dziecko byłoby w stanie zwalić z nóg zapaśnika sumo.

Paweł wykręcił mu ramię, zmuszając do leżenia twarzą do chodnika. Wziął strzałkę, która leżała obok na ziemi i wbił ją w odkryty kark. Począł kilka sekund, aż ciało tamtego rozprężyło się pod działaniem środka uspokajającego i wówczas go puścił. Mężczyzna nie wstawał.

— Nie ma w tym nic osobistego, przyjacielu — powiedział Paweł i dodał: — Niech cię Bóg błogosławi.

Po czym odszedł.

Wiedział już teraz to, co od początku powinno być dla niego oczywiste: kartel nie pozwoli mu tak po prostu odejść. Jego życiu zagrażało więc bezpośrednio niebezpieczeństwo, niezależnie od losu, jaki spotka jego pozbawiony mnemu umysł. Musi znaleźć schronienie, nim następny morderca lub mordercy wpadną na jego trop. Lub nim schwytają go agenci federalni.

Była wróżbiarką starej szkoły; kobietą w nieokreślonym wieku, o dużych ciemnych oczach, ubraną w długą szatę, pokrytą zagadkowymi symbolami. Siedziała w ponurym pomieszczeniu, za zasłoną, przy stoliku, na którym stała kryształowa kula. Wślizgnęła się tutaj najwyraźniej współczesna technologia, bo w owej kryształowej kuli widoczny był holograficzny krajobraz o zmroku, z księżycem wschodzącym nad pokrzywionymi dębami.

— Karta kredytowa — mruknęła.

— Nie, ja... nie mam karty — powiedział Paweł. Wiedział, że na pewno zablokowano już jego konto i że każda próba użycia karty poinformowałaby tylko jego prześladowców o tym, gdzie się znajduje. Wprowadzenie kart kredytowych w skali powszechniej było wielkim wydarzeniem dla technokratów, bo przecież każdy musiał wydawać pieniądze by żyć, a kiedy je wydawał, ujawniał przy okazji swoją tożsamość i miejsce pobytu. Wygoda wzrosła, lecz wolność osobista niewątpliwie ucierpiała. Obawa, wyrażona przez siostrę Beth, że może zostać schwytana poprzez system komputerowy, była teraz jego obawą.

Siostra? Prześladowcy? Czy znajdował się w jakichś tarapatach? Nie był w stanie sobie przypomnieć.

— Wobec tego gotówka — powiedziała zrezygnowana. Gotówka była bowiem niepewna, zbyt łatwa do podrobienia i utrzymująca w anonimowości tego, który jej używał. Wróżbiarki nie stać

jednak na grymasy.

Paweł sięgnął do kieszeni i wyjął z niej te nędzne resztki, które mu jeszcze pozostały: dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe i jedną dwudziestkę piątkę. Położył je na stoliku obok kryształowej kuli.

Kobieta westchnęła. Było to bardzo mało, lecz z drugiej strony zawsze akceptowała tę sumę, jaką mogła w danej chwili uzyskać. A tego dnia ruch był niewielki.

— Siadaj. Paweł usiadł.

— Nie wiem, dlaczego tu jestem — powiedział.

— Dowiemy się.

Utkwiła wzrok w kryształach i holograf zaczął się zmieniać, stając się wirami kolorów. Na tym, między innymi, polegała holografia wielościenne: najmniejszy ruch kulą zmieniał kąt patrzenia, przynosząc nowy obraz. Ale mogło to powodować też problemy, jako że traciło się efekt trójwymiarowości, jeśli ta zmiana zachodziła na płaszczyźnie pionowej, pomiędzy oczami patrzącego, tworząc dwa różne obrazy. Rozwiązano to na różne sposoby. Na ogół linie ścianek umieszczano poziomo, tak że i jedno, i drugie oko widziało to samo, a kula obracała się wokół osi poziomej. Kolory wirowały, pędząc hipnotyzująco po spirali. Paweł zdawał sobie z tego sprawę, ale było mu wszystko jedno.

— Jesteś zdezorientowany, zmęczony, głodny i samotny — powiedziała wróżbiarka. — Potrzebna ci pomoc, nie wiesz jednak, jak i gdzie jej szukać.

Paweł skinął głową.

— Programowanie — powiedział w nagłym przyływie pamięci. — Przeprogramowanie... muszę uciekać... narkotyk...

Oczy jej nabrały innego wyrazu.

— Pokaż dłoń.

Wyciągnął rękę. Ujęła jego dłoń i odwróciła wewnętrzną stroną ku górze. Wpatrywała się badawczo w jej linie.

— Typ mieszany, niemożliwy do zaklasyfikowania, ale z cechami wskazującymi na uzdolnienia psychiczne — mówiła, jakby czytała z książki. — Długa Linia Życia, przerwana... Umilkła na chwilę, patrząc bardzo uważnie. — Ale jest tu też cieniutka Linia Marsa. I rozwidlenie na dole. — Podniosła wzrok i ich oczy spotkały się. — Masz długie życie przed sobą, wkrótce jednak — prawie że już teraz — jakiś wypadek lub poważną chorobę. Przeżyjesz, lecz wyjdiesz z tego całkiem odmieniony. Twoje życie nigdy już nie będzie takie samo jak poprzednio, będziesz żył i umrzesz w obcych stronach lub też w sposób nie znany ludziom.

— To bardzo prawdopodobne — zgodził się Paweł.

— Czysta Linia Głowy, wychodząca ze Wzgórza Jowisza, styczna do Linii Życia, odgałęziającej się w kierunku Wzgórka Księżyca. Posiadasz wyjątkowo potężny intelekt i jesteś bardzo ambitny. Odniesiesz duże sukcesy dzięki wyobraźni i psychicznej samoświadomości.

— W tej chwili wygląda na to, że poniosłem porażkę — powiedział Paweł.

— Twoja dłoń lepiej się orientuje w sytuacji niż twój umysł — zapewniła go. — Być może jesteś w dołku, w okresie przejściowym, lecz masz ogromne możliwości. — Wróciła do odczytywania jego dłoni. — Linia Serca wznosi się pomiędzy Wzgórkami Jowisza i Saturna. Masz wielki potencjał miłości, zarówno duchowej jak i zmysłowej — i ta potencjalna miłość jest wyjątkowej mocy. — Ponownie spojrzała mu prosto w oczy. — Jeżeli o to chodzi, jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Mogłabym ci zaproponować... — Wzruszyła ramionami, pozwalając, by szal zsunął się z nich, odsłaniając piersi. Amaranta, w nowej roli, jak zwykle prezentująca swój seksapil.

— Chcę tylko poznać swą przyszłość — powiedział. Westchnęła.

— Linia Losu — bardzo krótka, płaska aż do połowy dłoni, potem wznosząca się ostro, wyraźna i rozwidlona. Pierwszą część życia miałeś wyjątkowo trudną, ale uzyskasz sukcesy dzięki własnym wysiłkom, a szczególnie dzięki wyobraźni. Linia Fortuny, wyraźna i ostra, przechodzi przez Wzgórek Apolla. Doświadczysz szczęścia i zadowolenia w późniejszych latach życia.

— Czy nie mówisz mi po prostu tego, co chcę usłyszeć? — zapytał Paweł ostro. — Nie chcę słuchać tego, co chcę usłyszeć! Chodzi mi o to, że... o co mi właściwie chodzi?

— Mówię ci tylko to, co twoja własna dłoń mówi do mnie — stwierdziła z naciskiem. — Czy wolałbyś jakiś inny sposób wróżenia? Tarot...

— Nie, tylko nie Tarot!

— I Ching?

Paweł nie wiedział, co to jest, a w sytuacji, w jakiej się znalazł, był bardzo podejrzliwy.

— Nie.

— Wobec tego plansza do ouiija.

Pawłowi źle się to kojarzyło; uważał ouiija za grę dla dzieci, której nie można traktować poważnie.

— Nie.

— W takim razie musi to być astrologia.

Wstał zza stolika, zdezorientowany i zaniepokojony.

— Nie, nie chcę już nic więcej wiedzieć! Chcę tylko...

Przerwał, bo nie wiedział, czego chciał, z wyjątkiem może ucieczki od — od czego? Jakiegoś strasznego uczucia...

— Albo dywinacja na podstawie snów — zasugerowała. — Albo z herbacianych liści. Albo z czoła — masz bardzo wyraziste czoło, z interesującymi Liniami Saturna i Jowisza.

Ale Paweł już wychodził, uciekał przed nią. Dobrze wiedział, że było sto, a może i tysiąc sposobów dywinacji i każdy z nich może odkrywać prawdę, ale w tym momencie bał się prawdy o swojej przyszłości i wolał jej nie znać.

Świt. Nogi miał obolałe, jedno ramię potłuczone, a ubranie pokryte kurzem i zaschniętymi wymiocinami. Był głodny i śpiący, ale nie mógł zasnąć. Zapewne biegał calutką noc, doprowadzając się na skraj wycieńczenia, nie pamiętał jednak nic i nie wiedział, gdzie się obecnie znajduje. Wiedział, że znowu z kimś walczył i że ciągle jeszcze nie jest bezpieczny. Ale dokąd może się teraz udać?

Dokąd szedł podczas okresów utraty pamięci? Na pewno zdawał sobie wtedy sprawę z tego, co robi i dokąd idzie; przecież nie był głupcem. Być może wymyślił już jakieś bezpieczne miejsce i był teraz w jego pobliżu — gdyby tylko mógł sobie przypomnieć. Może wymyśli je jeszcze raz; może wymyślił je już wiele razy podczas ubiegłej nocy i zbliżał się do niego stopniowo, przed każdą ponowną utratą pamięci.

Potknął się nagle. Odczuł ostry ból. Zobaczył cegłę odbijającą się od chodnika. To ona uderzyła go w ciemność, choć nie pozbawiła na szczęście przytomności. Zatoczył się, czując, że jednak traci przytomność; głód narkotyczny komplikował sytuację, bo mózg nie reagował normalnie na bodźce. Wyciągnął rękę, żeby się oprzeć o ścianę. Z wnek murów wychyliły się jakieś dzieci uzbrojone w kradzioną broń. Gang dziewięcio- i dziesięciolatków w poszukiwaniu dreszczyku emocji, pieniędzy lub premii od czarnorynkowego banku organów. Co prawda sztuczna krew i sztuczne organy były ogólnie dostępne, ale niektórzy pacjenci woleli naturalne. Płuca, nerki i wątroby osiągały bardzo wysokie ceny, jeśli były świeże i zdrowe, a jego własne właśnie takimi były.

Paweł próbował się jakoś pozbierać, żeby uciec, ale nie mógł się zorientować, dlaczego w ogóle ucieka i jakie jest bezpośrednie zagrożenie. Przeprogramowanie? Nie, to groziło tej dziewczynie, siostrze Jakoś Tam, a ona przecież nie żyła i to on ją zabił, i co on ma teraz zrobić, żeby ją przywrócić życiu? Był winien prześladowania niewinnego człowieka i musi za to zapłacić — a kara powinna odpowiadać zbrodni. Chrystus równa się wina. On sam musi być teraz ofiarą bezmyślności tego społeczeństwa — ząb za ząb, życie za życie, gówno za gówno — ale to byłaby kara śmierci, a ona była jej przeciwna...

— A, fe! Nieładnie się bawicie — odezwał się jakiś łagodny głos. Zaskoczone i zmieszane dzieciaki rozpierzchły się po swoich kryjówkach.

Młody mężczyzna ujął Pawła pod ramię, podtrzymując jego bezwładne ciało. — Proszę iść ze

mną. Obawiam się, że jest pan ranny. Pomożemy panu.

— Nie, nie — protestował Paweł słabo. — Muszę gdzieś iść...

— Krwawi panu głowa, jest pan wyczerpany, brudny i... — Mężczyzna przerwał na chwilę, przyglądając się mu badawczo. — Widzę też symptomy charakterystyczne dla mnekomana, cierpiącego bóle głodu narkotycznego. Ma pan olbrzymie kłopoty.

— Nie przypominam sobie — powiedział Paweł. — Kim...

— Jestem brat Jan ze Świętego Zakonu Wizyjnego — powiedział mężczyzna. — Znamy naturę uzależnienia od mnemu; jesteśmy w stanie pomóc. Proszę nam zaufać.

Święty Zakon Wizyjny! To tam kierował swoje kroki! I dotarł prawie na miejsce, tuż przed ostatnią utratą pamięci. Ale co oni z nim zrobią, kiedy dowiedzą się o jego roli w związku ze śmiercią siostry Beth? Bo przecież będzie musiał im o tym powiedzieć. Nim zapomni o swojej winie.

— Mnie nie można pomóc — powiedział. — Moje życie to gówno. Moje wnętrze — moja dusza — to dymiące łajno. Bezwartościowe. Nie należy plamić rąk dotykaniem mojej osoby.

Brat Jan ani się nie zżymał, ani nie gniewał. — Fekalia są surowcem na kompost — powiedział. — Ważnym etapem w cyklu biologicznej odnowy. Gleba jest fundamentem; bez niej życie na tej i na innych planetach wkrótce by zwiędło i znikło. Musi istnieć śmierć i odrodzenie, a pomiędzy nimi znajduje się gleba. Twoja dusza służy tutaj boskiemu celowi i nie ma w tym miejsca na wstyd.

Nie ma miejsca na wstyd! Gdyby tylko mógł w to uwierzyć! Niestety, ta druga sprawa, śmierć...

— Nie mogę.

Brat Jan wyjął talię kart.

— A może Tarot pomoże?

Zamroczony Paweł wyciągnął przypadkową kartę. Odwrócił ją. Była to Ósemka Pałek: osiem wypuszczających listki żerdek, opadających na ziemię. Ich siły się wyczerpały.

— Moje siły się wyczerpały — powtórzył Paweł.

— Czy dlatego, że zbliżasz się szybko do celu, do prawdziwego przedmiotu swoich pragnień? — zapytał brat Jan.

Jego cel. Zobaczył nagle wokół siebie oślepiające światło. Wiedział już, co musi zrobić.

— Proszę nie patrzeć prosto w słońce — ostrzegał go brat Jan. — Uszkodzi pan sobie wzrok.

Nie zwracał uwagi na jego słowa. Czym był bowiem wzrok w porównaniu z fenomenalnym objawieniem, jakie właśnie przeżywał? Prześladował członka Świętego Zakonu Wizyjnego i odebrał

mu życie. Musi więc w zamian dać zakonowi inne życie. Swoje własne. Była już śmierć; będzie też odrodzenie. Pomiędzy nimi jest gleba. Jego dusza.

Znalazł wreszcie — dom.

— Niech cię Bóg błogosławi, bracie — powiedział Paweł.

Dyscyplina (Siła)

Dorośli mają względnie przyziemne kłopoty: praca, pieniądze, ubranie, miłość, przyjaciele. Są one, w opinii pewnego dziecka z książki Stephena Kinga Salem's Lot, niczym w porównaniu z lękami, jakie są nocą udziałem każdego dziecka. Żadne służby socjalne nie pomogą dziecku, które musi poradzić sobie z potworem pod łóżkiem, czy z tym czymś, co czai się tuż poza zasięgiem wzroku. Dziecko prowadzi samotną walkę noc po nocy, a jedynym lekarstwem i obroną w tej sytuacji jest „ostateczne skostnienie daru wyobraźni” zwane dorosłością. Jakaż to ciągła tragedia ta powolna lobotomia ducha, która przysposabia dziecko do życia w naszym społeczeństwie!

Wokół nich uformował się krajobraz planety Tarot. Stali w czymś, co przypominało zagajnik. Kilka ogromnych pni wznosiło się z poszycia, ale były one martwe i zwęglone. Musiał tędy przejść pożar, jakieś dziesięć lat temu, który zniszczył większość dużych drzew, wszystkie mniejsze drzewa i spowodował, że las zaczynał rosnać od nowa. Nie było w tym nic złego; po wielu latach walk z pożarami lasów na Ziemi władze zdały sobie sprawę z tego, że pożary lasu stanowią część naturalnego cyklu przyrody, dosłownie czyszcząc las z martwego drewna i tworząc wolne miejsca dla świeżych roślin. Te sterczące kikuty pni przypominały w półmroku wysokie budynki, a cały las — miasto; tu więc znajdował się surowiec na tę animację, która się właśnie skończyła.

Brat Paweł obejrzał się. Stali w zagłębieniu obok frontowej ściany skalistego grzbietu. Było tu więcej surowca użytego w poprzedniej animacji; przed chwilą to była ściana z cegły i jego towarzysz...

Brat Paweł zwrócił się do stojącego obok mężczyzny:

— Chyba cię nie znam — powiedział. — W każdym razie, nie w tym świecie.

Jego towarzysz był kolonistą, z którym nie spotkał się wcześniej w osadzie, wysokim, szczupłym, przystojnym młodym człowiekiem, opalonym na brązowo, o zdrowym wyglądzie. — Jestem Lee, Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego — przedstawił się. — Jestem jednym z obserwatorów.

— Aha — mormon — powiedział brat Paweł. — W pewnym momencie wziąłem cię za... — Urwał, nie chcąc wspominać agenta federalnego do spraw narkotyków. — Ale to nieistotne.

— Ruszemy się stąd, nim ta szczelina w animacji się wypełni — powiedział Lee. — Moglibyśmy ponownie znaleźć się w pułapce. — Poszedł przodem energicznym krokiem. Po chwili dodał: — To, czego tu doświadczyliśmy, jest całkiem nowym i nieznanym nam aspektem animacji. W pewnym momencie wzięto mnie za członka twojej sekty, choć nie wiem absolutnie nic o twojej religii. Domyślam się tylko, że animacja ta była odtworzeniem wypadków, które przywiodły cię do zakonu.

— Tak — zgodził się zdziwiony brat Paweł. — Przez kilka dni byłem częściowo ślepy, bo, jak powiedzieli, wpatrywałem się zbyt długo w słońce. Sądzę jednak, że sprawa była trochę bardziej subtelna; mój imiennik, apostoł Paweł był podobnie oślepiiony po nawróceniu się. Możliwe, że narkotyk i mój zły stan ogólny jeszcze bardziej skomplikowały sytuację. Święty Zakon Wizyjny zaopiekował się mną, kurował mnie za pomocą lekarstw i dobroci, zmniejszając dawki pierwszego, a zwiększając drugiego, aż doszedłem do stanu równowagi. Nie odzyskałem jednak pełnej pamięci. Wówczas jednak znałem już swe przeznaczenie. Nigdy nie żałowałem podjętej wtedy decyzji.

Lee uśmiechnął się, rozumiejąc analogię. — Tak jak apostoł Paweł przyłączył się do chrześcijan, których przedtem prześladował...

— Tak ja wstąpiłem do zakonu, któremu wyrządziłem krzywdę — dokończył brat Paweł. — Tam stałem się chrześcijaninem, w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. Boleję tylko nad tym, że siostra Beth musiała umrzeć, bym ja mógł się nawrócić...

— Jestem pewien, że godnie ją zastępujesz — powiedział Lee. — Nie potrafimy zrozumieć znaczenia wszystkich aktów boskich. Wiemy tylko, że to znaczenie istnieje. Dlaczego Bóg dopuścił, by Apostoł Paweł ukamieniował Stefana? Gdybym ja tam był, na pewno uważałbym Stefana za lepszego rzecznika chrześcijaństwa od kulawego, epileptycznego faryzeusza. — Uśmiechnął się. — Co tylko pokazuje, jak niewiele wiem. Jedyne Bóg jest wszechwiedzący.

— Amen — zgodził się brat Paweł, odkrywając u siebie nowe zrozumienie rzeczy. — To właśnie apostoł Paweł uczynił chrześcijaństwo tym, czym ono obecnie jest. Otworzył je dla nie — Żydów. Ta pozornie niewielka i kontrowersyjna zmiana była w rzeczywistości kluczową.

— Zaiste, taką była — zgodził się Lee. — Być może ty również przysporzysz dobra swej sekcji i światu, jak to uczynił twój imiennik — Apostoł.

— Absurdalne marzenie — powiedział brat Paweł. — Bóg tylko wie, jak niedoskonałym jestem naczyniem. Czy dużą część mej animacji przeżyłeś wraz ze mną? — Bratu Pawłowi podobał się ten mężczyzna i miał nadzieję, że horror jego osobistych animacji był mu oszczędzony. Niektóre tajemnice powinny pozostać tajemnicami.

— Sądzę, że tylko niewielkie fragmenty. Grę zwaną Akordeonem Tarota — osobiście nie używam kart do rozrywki, nie moją jednak rzeczą jest osądzać. — Zamilkł na chwilę. — Czy wszystkie te epizody dotyczą wydarzeń z twojego życia, czy też część z nich ma charakter alegorii?

— Niektóre są rzeczywiste; niektóre to czysta fantazja — powiedział zażenowany brat Paweł.

Jeśli Lee nawet widział którąś z jego koszmarnych wizji, najwyraźniej był zbyt dyskretny, by mu o tym wspomnieć.

— Pytam — powiedział nieśmiało Lee — ponieważ przydarzyło mi się coś dziwnego i zastanawiam się, czy mógłbyś to wyjaśnić. Jakaś obca świadomość — ani wroga, ani niemiła, ale wyjątkowo dobrze poinformowana; jakiś umysł z odległych sfer, korzystający z mego ciała i z mych zmysłów...

— Antares! — wykrzyknął brat Paweł.

Lee patrzył na niego wstrząśnięty. — Skąd to wiesz?

— Ja... nie potrafię ci wyjaśnić. Ale spotkałem istotę ze sfery Antaresa. Powiedziała, że mnie odwiedzi, a przynajmniej ja chciałem, żeby to uczyniła... — Brat Paweł rozłożył ręce. — Niemądre nadzieje; przepraszam.

— Być może i niemądre. A jednak to doświadczenie dzieliłem z tobą. Nie twierdzę, że coś z tego rozumiem, lecz nie żałuję, że tak się stało; ta pozaziemska istota posiada poglądy kosmopolityczne, których jej zazdroszczę. — Wskazał ręką przed siebie. — Popatrz — oto i obserwatorzy.

I rzeczywiście. Stali tam: pani Ellend i Swami.

— Ale gdzie są pozostali? — spytał brat Paweł. — Ci, którzy zostali wciągnięci do wnętrza animacji tak jak ty? Nie możemy ich pozostawić...

— To prawda, nie możemy — zgodził się Lee, kiedy podeszli do obserwatorów. — Obserwatorzy, czy postrzeegliście naturę animacji, których doświadczyliśmy?

Pastor Runford pokręcił przecząco głową.

— Nie, nie postrzeegliśmy. Brat Paweł odczuł ulgę.

— Widzieliśmy... widzieliśmy rzeczy nazbyt złożone, by można było je teraz przedyskutować. Kilka osób zostało wewnątrz. Musimy je stamtąd wydostać, zanim...

Pastor Runford ponownie pokręcił głową.

— Nie możemy wejść na teren animacji. Młoda kobieta, którą nazywasz Amarantą, weszła tam, by cię ostrzec przed nadchodzącą burzą i...

— Rozumiem — powiedział brat Paweł. — Wrócę i odnajdę wszystkich.

— Pójdę z tobą — powiedział Swami. — Musieliśmy wycofać się z powodu burzy, ale teraz wydaje się, że efekt animacyjny już osłabł.

Lee ruszył pierwszy. Cała trójka rozproszyła się, przeszukując krajobraz, który przed chwilą był metropolią i który znów może się nią stać, jeśli zjawisko animacji powróci. Szybkość działania była teraz najważniejsza.

Najpierw znaleźli Theriona. Siedział pod drzewem i wyglądał na zmęczonego.

— Niezła była ta scena, którą spreparowaliście — zawołał.

— Ja jej nie zaaranżowałem — protestował Lee. — Grałem tylko role wyznaczone dla mnie przez dramaturga. Niektóre były wręcz diaboliczne — stąd zakładam, że pochodzą od ciebie. — Nie

uśmiechał się, mówiąc te słowa.

— Domyślam się, że nie przepadacie za sobą — powiedział brat Paweł.

— Niewielu z nas czuje sympatię do członków innych sekt — przyznał Lee. — Jest to problem tej kolonii. Występuje na całej planecie Tarot; pod tym względem nasza osada jest dość typowa. Wszędzie współzjemy ze źle skrywanym niezadowoleniem. Ten człowiek jest czcicielem nikczemnego Rogatego Boga, którego ja zwę Szatanem.

— Czciiciel diabła! — wykrzyknął brat Paweł. — To wiele wyjaśnia.

— Rogaty Bóg był wielki długo przed pojawieniem się waszych współczesnych parweniuszy — utrzymywał Therion, który dołączył do nich. — Nazywacie go Szatanem — ale to tylko dowodzi waszej próżności wynikającej z niewiedzy. Jest on bowiem Bogiem — i być może jest prawdziwym Bogiem Tarota.

— Błuznierstwo — krzyknął Lee. — To książę Zła!

— Słuchaj, mormonie — twoja własna sekta jest trudna do strawienia! — rzucił Therion ostro. — Cała religia oparta na plagiatorskiej bajeczce.

Lee rzucił się na niego, lecz brat Paweł stanął pomiędzy nimi.

— Czy wasze Przymierze nie zabrania przypadkiem jawnej krytyki wiary drugiej strony?

— Nigdy się nie podpisałem pod tym Przymierzem — powiedział Therion. — W każdym razie, nie wszystkie zasady tego hipokryty uważam za niewłaściwe. Weźmy, na przykład, sprawę poligamii — to całkiem smakowity pomysł. Bierze się trzydzieści, czterdzieści żon, obłapia wszystkie po kolei — to dopiero jest religia!

— Nie mam żony — powiedział Lee sztywno.

— Bo nie ma dość dziewcząt mormonek na tej planecie, a w twojej osadzie ani jedna nie jest stanu wolnego! Ale gdyby były, na pewno byś je wziął, może nie?

— To zupełnie akademicka dyskusja — odparł Lee.

— Ale gdyby nie była, gdybyś miał szansę poślubić taką właśnie liczbę młodych, pięknych, zdrowych kobiet, jaką byś tylko zechciał — ile byś sobie wziął?

— Jedną — powiedział Lee. — Wielożeństwo jest sprawą wolnego wyboru, a nie wymogiem. Jedna kobieta, jeśli jest tą właściwą, jest warta więcej od stu niewłaściwych. A ja poślubię tę właściwą.

— Mimo wszystko jesteś hipokrytą — powiedział Therion. — Chciałbym teraz móc wyczarować sto niewłaściwych kobiet i pokazać, że ty...

Dalszą dyskusję przerwało spotkanie z Amarantą. Stała nad małym strumykiem i wyglądała na oszołomioną.

— Amaranto — powiedział brat Paweł, ponownie uderzony jej urodą, chociaż miał już możliwość doceniać jej wdzięki nie skrępowane żadnym odzieniem. (Czy rzeczywiście?) Powiedziano kiedyś, że szaty czynią człowieka, wydaje się jednak, że z pewnością byłoby powiedzieć, że szaty czynią kobietę. — Musisz opuścić ten teren, nim powróci efekt animacji. Popatrzyła na niego z widocznym zakłopotaniem.

— Nie znam... nie znam zupełnie swej roli. Czy dalej jestem wróżką? Rzeczywiście była zdezorientowana!

— Nie — powiedział brat Paweł. — Jesteśmy na powrót w naszym zwykłym świecie. Nie musisz grać żadnej roli.

— Kiedy ona zawsze odgrywa jakąś rolę — mruknął Therion.

— O co tu chodzi? O jakich rolach mówicie? — zapytał Swami.

— To było tak, jak byśmy grali w sztuce, każdy z własnym scenariuszem. Każdy też mógł improwować, ale w ramach przypisanej mu roli. Nie wiemy, kto był autorem tego dramatu — odpowiedział mu Lee.

Swami wyglądał na bardzo zainteresowanego, chociaż uprzednio z taką emfazą ostrzegał przed animacją.

— Kogo dotyczyły te sceny?

— Wydaje się, że ja byłem postacią centralną — powiedział brat Paweł.

— Możliwe, że inni byli postaciami centralnymi różnych scen podczas mojej tam nieobecności...

— Nie — powiedziała Amaranta. — Role, które grałam, były grane wyłącznie dla ciebie. Pomiędzy poszczególnymi rolami ja... wydawałam się w ogóle nie istnieć. Być może spałam tylko. Po skoku z helikoptera myślałam jednak, że już naprawdę umarłam.

— Może nie powinniśmy tej sprawy dyskutować w obecności tych, którzy nie brali w tym udziału. — Brat Paweł starał się ukryć zażenowanie.

— Musisz ją przedyskutować — powiedział Swami, ze wzrokiem wbitym w niego. — Szukasz przecież Boga Tarota dla kolonistów tej planety.

— Rzeczywiście, wydaje się, że moja uwaga została trochę rozproszona — przyznał brat Paweł.

— Zgadza się z bratem Pawłem — powiedział Lee. — Doświadczyliśmy bowiem nadzwyczajnej, wspólnej wizji, której implikacje być może nigdy nie zostaną zrozumiane do końca, tak jak nasz sen może nigdy nie być dla nas jasny i zrozumiały. Powinniśmy zatrzymać nasze

przeżycia dla siebie, podobnie jak to czynią członkowie ławy przysięgłych aż do czasu złożenia wspólnego sprawozdania.

— Słusznie — powiedział Therion.

Swami popatrzył na jednego, potem na drugiego.

— Czciiciel Diabła i prawy mormon zgadzają się?

— Ja też tak uważam — powiedziała Amaranta. — Nikt, kto nie był wewnątrz zdarzeń, nie jest w stanie tego zrozumieć.

— Nadzwyczajna jednomyślność — skomentował sytuację Swami. — Ale mam pewien pomysł. Czyż nie jest możliwe, że to moc Kundalini...

— Pamiętaj o Przymierzu — przypomniał mu łagodnie Therion. Widać było wyraźnie, że ci ludzie zupełnie nie mają cierpliwości do filozofii innych! Przecież to Therion powiedział, że nie podpisał Przymierza i on też nazwał Lee hipokrytą. Teraz stało się jasne, kto tu faktycznie był hipokrytą.

— Nie zapomniałem o nim! — powiedział Swami ze zrozumiałą irytacją. — Ale ta moc, jakkolwiek byśmy jej nie nazwali — możesz ją nazwać magią Szatana, jeśli wolisz — może być siłą zawiadującą twoimi wizjami. Brat Paweł posiada najpotężniejszą moc psychiczną w naszej grupie, wygląda więc na to, że cała akcja skupia się na jego osobie.

— Aura — powiedział Lee. — On posiada aurę.

— To nie jest pewne — powiedział brat Paweł. — Realność tego wszystkiego, czego doświadczyliśmy w animacji, jest wątpliwa.

— Nie, nie. Ja myślę, że on ma rację — powiedziała Amaranta. — Jest w tobie coś...

— Nie zapominajmy o dziecku — wtrącił Therion.

— Czy jednym z obserwatorów jest dziecko? — zapytał brat Paweł. — W animacji była jakaś dziewczynka, ale założyłem, że to istota z mojej wyobraźni. — Te obelgi w „Tuzinach”...

— Miało być pięciu obserwatorów — wyjaśnił Lee. — Dwóch na zewnątrz i trzech wewnątrz animacji, reprezentujących krańcowe bieguny wiary. Dziecko było tym trzecim wewnątrz.

— Poszukam jej — powiedział wyraźnie zaniepokojony Swami. Wszyscy jej poszukamy — powiedział Lee. — Zmarnowaliśmy już sporo czasu; animacja może się w każdej chwili ponownie zamknąć.

Rozciągnęli się w linię, krocząc poprzez dolinę. Na lewym krańcu był Therion. Potem Lee, potem brat Paweł, potem Amaranta i Swami na prawym skrzydle. Nie było ani śladu dziewczynki.

Therion i Lee przesuwali się coraz bardziej na lewo wraz ze zmianą nachylenia terenu; słychać

było jeszcze ich wzajemne złośliwe uwagi na temat praktyk religijnych sekt, do których należeli. Swami zniknął za wzgórzem. Rejon ten okazał się bardziej zróżnicowany niż to się na początku wydawało; unosząca się w powietrzu mgła czyniła krajobraz bardziej regularnym niż w istocie był. Brat Paweł i Amaranta znaleźli się obok siebie, bo wąwóz, którym szli, zwężał się coraz bardziej. Drzewa tutaj były wyższe; najwyraźniej pożar oszczędził te partie lasu.

Nadszedł zmrok i cienie pogłębiły się aż do całkowitej ciemności. Pojawiły się świecące owady. Nie były to ziemskie świetliki, lecz żarzące się na niebiesko drobinki, wybuchające nagle jak małe, białe supernowe i równie nagle gasnące. W tym stadium supernowej potrafiły oświetlić metr sześcienny przestrzeni, pomagając wędrowcom w sposób realny, choć krótkotrwały zorientować się w terenie.

— Co to takiego? — zapytał brat Paweł.

— Nowiki. Nikt nie wie, jak one to robią. Naukowcy badający tę planetę po raz pierwszy zabrali kilka z nich na Ziemię, lecz eksperci z laboratorium stwierdzili, że musiała zajść jakaś pomyłka: owady te nie mogą świecić. Zatem oficjalnie one nie istnieją, ale my je lubimy.

— Jakież to typowe dla ekspertów! — wykrzyknął brat Paweł. — Jeśli nie potrafią czegoś wyjaśnić, zaprzeczają jakoby to coś w ogóle istniało. — Mogło się to odnosić jednak do wszystkich ludzi, nie tylko do ekspertów. — Czy chwyacie je i używacie jako latarenki, jak to ludzie czynią ze świetlikami?

— Próbowaliśmy to robić, lecz uwięzione nie świecą — powiedziała. — Na ogół też trzymają się z dala od osady. Tutaj mamy wyjątkowo piękny pokaz ich możliwości; są noce, kiedy w ogóle się nie pojawiają.

— Sprytne robaczki — powiedział brat Paweł. Było przecież oczywiste, że gdyby świeciły w niewoli, ani jeden nie pozostałby na wolności.

— Wiesz — powiedziała nieśmiało Amaranta — wzięłam udział w tym, co się tutaj rozegrało, zupełnie przypadkowo. Szłam właśnie, żeby cię ostrzec przed nadchodzącą burzą, bo nie reagowałeś na nasze wezwania przez krótkofalówkę. I wówczas...

— Rozumiem. Nie byłeś jednym z wyznaczonych obserwatorów. Przykro mi, że wpadłeś w pułapkę.

— Właśnie o tym chciałam mówić teraz, kiedy jesteśmy sami. Nie żałuję tego, co się stało. Udało mi się przedstawić moją własną talię Tarota, wbrew Przymierz, a moje umiejętności wróżbiarskie...

— Wydaje mi się, że coś niecoś pominęłaś pomiędzy tymi dwoma epizodami — powiedział sucho brat Paweł. — Muszę cię przeprosić za...

— Nie, nie przepraszaj! Nie żartowałam, kiedy powiedziałam, że jest w tobie coś, aura czy coś takiego. Czy powiedziałam to podczas animacji? W każdy razie powiedziałam to całkiem serio.

Muszę oczywiście studiować twoją osobę, żeby się dowiedzieć, jak poskromiłeś Łamacza, lecz teraz właściwie jest to już tylko wymówka — no cóż, niezły z ciebie gość i wewnątrz animacji, i poza nią.

— Wolałbym nawet nie myśleć o tym, że wszystkie te sceny były kontrolowane przeze mnie — powiedział brat Paweł. — Niektóre były w porządku...

— Jak te z siostrą Beth — zgodziła się. — Nie wyznaję twojej religii, ale po tym doświadczeniu zastanawiam się czy...

— Ale te inne — na przykład ta w zamku. — Zmuszał się, żeby wyjaśnić swe największe wątpliwości. — Czy cię zgwałciłem? — zapytał, jakby to była banalna sprawa!

— Nawet mnie nie dotknąłeś — zapewniła go. — A szkoda. Trudno jest bowiem zgwałcić chętną kobietę.

Nawet jej nie dotknął... To chyba było jeszcze gorsze.

— Jednak to moja wola dyktowała twój udział...

— Trochę improwizowałam. Moja rola polegała na kuszeniu ciebie, ale Therion ciągle wchodził mi w paradę. Lubię się ubierać i rozbierać. Lubię mężczyzn — no, może nie wszystkich, nie takich, jak ten nadęty Lee czy podrobiony Swami, ale mężczyzn odważnych, energicznych i...

— Podrobiony Swami?

— On wcale nie pochodzi z Indii. To znaczy, nie z indyjskich Indii. Jest amerykańskim Indianinem. Tak że cała ta gadka o Kundalini...

— Jego pochodzenie nie jest istotne — powiedział brat Paweł, ponownie świadom swego mieszanego pochodzenia. — Jeśli szczerze wyznaje swoją wiarę — a jestem pewien, że tak właśnie jest...

— I tak jest kanciarzem! — powiedziała.

— Nie jest kanciarzem! Pokazał mi siłę...

— Jak to się stało, że zeszliśmy na jego temat? — zapytała, odwracając się do niego. — Pocałujmy się i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

Brat Paweł był lekko zszokowany. Okazało się, że Amaranta jest równie śmiała w swych rolach w animacji, jak i poza nią. — Czy zawsze jesteś taka bezpośrednia?

— Chyba tak. Czy nie zauważyłeś, jak się ubieram? Mam wszystkie fizyczne atuty i chcę, żeby zostały zauważone, nim się zestarzeję, zwiędnę i stracę wszelkie szansę w życiu. Ale nie zachowuję się w ten sposób w stosunku do każdego mężczyzny. Niewielu jest odpowiednich w mojej osadzie, a może i na całej planecie. Większość przypomina tego starego nudziarza Siltza, powolnego, żonatego i strzegącego dziewictwa swego syna na podobieństwo wściekłego krokodyla. — Brat Paweł

zrozumiał nagle, dlaczego tak ją Siltz irytował; trzymał on przecież swojego nadającego się na męża syna z dala od matrymonialnego rynku. Widocznie było więcej takich rodzin i dlatego młodzi ludzie nie mogli się odnaleźć. — Czynniki religijny komplikuje całą sprawę jeszcze bardziej, ale biorąc to wszystko pod uwagę — ty jesteś kimś szczególnym. Jest w tobie coś — może to rzeczywiście ta aura, o której opowiada Swami. Chociażby sposób, w jaki poradziłeś sobie z Łamaczem! Mam zamiar cię uwieść, jeśli to nie jest niezgodne z twoją religią, a być może spodoba ci się to na tyle, że będziesz chciał więcej. Jak cię już raz dopadnę, dopilnuję, żeby zatrzymać cię na stałe. Czy seks na próbę byłby w niezgodzie z twoją religią? Bo mogę być o wiele subtelniejsza, jeśli okaże się to absolutnie konieczne.

— Cóż, Święty Zakon Wizyjny nie specyfikuje konkretnych zakazów, traktując pewne sprawy jako całkowicie osobiste. Ale istnieją pewne, by tak rzec, oczekiwania — cóż, jak powiedziała siostra Beth...

Amaranta westchnęła.

— To była naprawdę urocza dziewczyna. Niepodobna do mnie. Czy faktycznie w twojej przeszłości znalazła się taka kobieta?

— Tak — przyznał brat Paweł. — Nie była tak piękna jak ty, lecz poczucie winy związane z jej śmiercią zmieniło moje życie. Szkoda, że ta zmiana nie była możliwa bez tego poświęcenia — zawsze jednak powracam do tego samego faktu: że nie jestem w stanie zrozumieć woli boskiej.

— To samo mówią świadkowie Jehowy, kiedy ktoś ma do nich pretensje, że koniec świata nie nadchodzi, jak zapowiadali. „Nie staraj się być mądrzejszy od Jehowy!” Dla mnie to obraźliwe. Moją religią jest I. A. O., a żadna kapłanka Abraksasa nie boi się węzów, dosłownie czy w przenośni, ani opinii antyfeministycznego Boga. Jeśli więc zmienisz kiedykolwiek zdanie, służę próbkami.

Było coś przerażającego, ale i odświeżającego w tej jej szczerości. Pozwalała bowiem upewnić się co do własnej pozycji.

— Możliwe, że Abraksas okaże się Bogiem Tarota — powiedział brat Paweł. Cała ta konwersacja czyniła go nerwowym, ponieważ Amaranta była wyjątkowo atrakcyjna — zarówno w animacji, jak i w normalnym życiu. Irytowało go, że ona go widziała wtedy, kiedy się zupełnie nie kontrolował, kiedy był pożądanym samcem, hazardzistą i narkomanem. Czują zapach łajna. Widziała go z zerwaną maską, a potem za fasadą łagodnej religii — i go nie potępiła. Czy znalazłaby się druga taka kobieta, która widząc jego psychiczną nagość i plugawość jego istoty nie odrzuciłaby go? Nie miał w tej chwili zamiaru skorzystać z jej propozycji — a przecież nie odczuwał takich oporów w animacji! Kiedy był prawdziwym sobą?

Rozległ się krzyk — okropny, nieziemski, przesywający zimnym dreszczem dźwięk, odbijający się echem po okolicy. Jakieś dzikie zwierzę — albo coś znacznie gorszego.

— Bigfoot! — zawołała Amaranta. A potem, w nagłym przerażeniu, dodała: — Dziecko!

Ruszyli oboje biegiem w kierunku źródła dźwięku. Teren stał się bardziej nierówny, jak gdyby chciał im przeszkadzać właśnie teraz, kiedy tak im się spieszyło. Zbocze było pokryte gęstym poszyciem — wysokim zielskiem, małymi drzewkami, gęstymi krzakami i wyrastającymi korzeniami jakichś roślin, których przynależności gatunkowej nie był w stanie określić. Pokrzywy czepiały się jego spodni i parzyły skórę. Uskoczył na bok, by ominąć małą jarzącą się chmurkę, unoszącą się na wysokości jego kolan, po czym odkrył, że były to jedynie kwiaty jakiegoś leśnego zielska. Wpadł jedną nogą w jakąś dziurę i poleciał głową naprzód — zatrzymała go dopiero, tuż przed upadkiem, wisząca poziomo gałąź, której nawet nie zauważył w ciemnościach.

— Nie tamtędy. Tędy — dookoła! — wołała zdyszczanym głosem Amaranta. — Znam trochę tę okolicę. Przychodziłam tutaj z Łamaczem, kiedy animacja ustępowała. Jestem co prawda zdrowa i silna, ale nie potrafię biegać tak szybko jak ty.

Naturalnie, że nie potrafi. Niewielu mężczyzn mogło mu w tym dorównać, a z tego, co wiedział — żadna kobieta. Stanowiło to pewien problem w ich sytuacji. Ona bowiem знаła teren ale nie była w stanie dotrzymać mu kroku. On miał co prawda aż nadmiar sił, lecz marnował wiele energii, biegnąc w ciemności po nie znanym terenie. Oboje więc musieli zwolnić.

Usłyszeli jeszcze jeden rozdzierający krzyk, gorszy od pierwszego.

— Wielki Boże, Abraksasie! — zawołała. — Ocal to dziecko...

Brat Paweł skoczył do przodu, zelektryzowany jej słowami — i wpadł na uschnięte drzewo. Kora obtarła mu twarz, pył drzewny oślepił oczy, które zaczęły boleśnie łzawić. Nie może przyspieszyć; nigdy tam nie dotrze.

— Wydostaniemy się z tego wąwozu — wydyszała Amaranta, tuż za jego plecami. Była doskonałym biegaczem — jak na kobietę. — Ale uważaj na skałę na grani...

Brat Paweł podszedł do niej, objął ją lewym ramieniem w talii i zarzucił sobie na biodro. Niosąc ją, ruszył w górę zbocza.

— To ta skała! — powiedziała. Nie widział nic, lecz wąwóz udało mu się opuścić. — Teraz grań — opada na jakiś jard — będziemy musieli skoczyć...

Zwolnił, zdeorientowany. — Och — metr. — Odnalazł grań, postawił Amarantę na ziemi i skoczyli oboje w ciemność. Mogła to być bezdenna szczelina, jak te na wulkanie. Gdyby miał polegać tylko na wzroku, nie zaryzykowałby tego skoku. Ale nogi jego wylądowały na twardym gruncie.

— Krótkie, strome zbocze, potem kawałek płaskiego — powiedziała. — I następne wzgórze.

U stóp pasma skał objął ją ponownie ramieniem, jako że ciągle oddychała z trudem.

— Mogę już trochę iść... mój Boże, ależ ty masz siłę! — zawołała. — To nie jest tylko siła fizyczna... Ulżyj tylko troszkę moim nogom — o tak.

Pokierowała jego ramieniem. Kiedy wziął na siebie część jej ciężaru, przytuliła się delikatnie do niego. On jednak musiał iść dalej.

Wspięli się na wzgórze — i stanęli twarzą w twarz z zadziwiającą wizją. Płaskowyż przed nimi iskrzył się miriadami nowików, których wybuchy tworzyły coś na podobieństwo galaktyki pełnej rozbłyskujących i gasnących gwiazd. Po lewej stronie znajdowało się bajkowe miasto z wysokimi wieżyczkami, pięknymi pałacami i minaretami, płonącymi jakimś wewnętrznym blaskiem; była to najwyraźniej przywołana przez kogoś animacja. Oznaczało to powrót zjawiska animacji, wypływanie jej z jakiegoś nie znanego źródła, ogarnianie coraz szerszych połaci terenu. Wkrótce pochłonie ona ich samych. Po prawej stronie, na drodze ewentualnej ucieczki, stał jakiś potwór.

Stworzenie mierzyło około trzech metrów, było potężne i owłosione. Miało niedźwiedzie pazury i ryj dzika. Stopy były ludzkie, tyle że nieproporcjonalnie wielkie.

— Gdzie jest dziewczynka? — spytał brat Paweł.

— Nie tutaj — odpowiedziała Amaranta, odwracając się. Ten ruch spowodował, że jej lewa pierś znalazła się pod jego dłonią. Ciągle jeszcze oddychała bardzo szybko. — To było wycie Bigfoota, a nie krzyk dziewczynki; obawiałam się, że...

Teraz dopiero informacja, którą utrzymywał w stanie zawieszenia, dotarła do niego w pełni.

— Bigfoot! Chcesz powiedzieć, że Bigfoot rzeczywiście istnieje, że nie jest to tylko kwestia głosów i śladów? Materialny, widzialny...? — Puścił jej ramię.

— Spójrz tam — powiedziała. — Kręci się w pobliżu animacji.

Tymczasem granica animacji sunęła do przodu. Bajkowe miasto było piękne ale i przerażające, kiedy tak przybliżało się do nich. Mogli się w nim znaleźć nawet nie czyniąc żadnego ruchu, ale czy udałoby się im znaleźć z niego wyjście?

— Sądzę, że dziecko jest albo bezpieczne, albo poza naszym zasięgiem — powiedział brat Paweł. — Mam nadzieję, że to pierwsze. Nie widzę krwi na łapach Bigfoota. Powinniśmy spróbować się stąd wydostać — i mam nadzieję, że inni uczynią podobnie. Będziesz już w stanie biec po równym terenie?

— Nie mam wyjścia!

Ruszyli biegiem przez płaskowyż. Bigfoot jednak ich dostrzegł. Z okropnym rykiem wystartował, żeby przeciąć im drogę. Po kilku chwilach stał już w groźnej postawie przed nimi. Wokół niego skoncentrowała się masa nowików, oświetlając go niemal równym światłem.

— Spróbuję odwrócić jego uwagę — powiedział brat Paweł. — Ty biegnij dalej.

— Ale on cię zabije! Bigfoot jest straszny!

— Jeśli się nie ruszysz, ogarnie cię animacja — rzucił ostro brat Paweł, ruszając jednocześnie w

kierunku potwora. Nie miał żadnej pewności, czy sobie z nim poradzi, lecz musiał podjąć taką próbę. To coś nie pozwoli im przejść bez walki, a nie bardzo było któredy uciekać, jeśli nie chciało się być pochłoniętym przez animację.

Amaranta patrzyła za nim z przerażeniem. Po czym włożyła do ust dwa palce i zagwizdała przeszywająco.

Bigfoot zareagował natychmiast. Ruszył w jej kierunku. Brat Paweł rzucił się pomiędzy nich, uderzając w przelocie ramieniem bok potwora. Było to jak zastosowanie „bodiczka” wobec potężnego głazu. Bigfoot zrobił szybki zwrot i potraktował go łapą, odrzucając na bok. Był nie tylko masywnie zbudowany, ale i całkiem zwinny!

Kiedy Brat Paweł podnosił się mocno wstrząśnięty, ale poza tym bez szwanku — zauważył, że granica animacji zbliżyła się znacznie do nich, jak gdyby nabrała przyspieszenia. Bajkowe miasto wypuszczało przedmieścia, rozwijało również przed sobą szeroką, wysadzaną drzewami aleję. Czas uciekał teraz bardzo szybko. A Bigfoot ciągle znajdował się pomiędzy nim a Amaranta. Szkoda, że zwróciła na siebie uwagę tym niemądrym gwizdem!

Nowiki znalazły sobie nowy obiekt zainteresowania. Najwyraźniej przyciągało je wszystko, co się porusza. Brat Paweł dostrzegł z przerażeniem, że skoncentrowały się wokół istoty, którą napotkał pierwszą po przybyciu na tę planetę — wokół Łamacza. Coraz gorzej!

Łamacz biegł szybko w ich kierunku, pomagając sobie przy tym ogonem jak piątą łapą. Nie biegł tu jednak, by kontynuować swą potyczkę z bratem Pawłem. Rzucił się wprost na Bigfoota. Ten najwyraźniej spodziewał się ataku, bo nie stał w miejscu, tylko zaczął zataczać koła i robić wszystko, co możliwe, by atak ten udaremnić. Było widoczne, że są to naturalni wrogowie, przy czym Łamacz wydawał się mieć pewną przewagę w tej walce.

Nagle Bigfoot odwrócił się i ruszył w kierunku bajkowego miasta z animacji. Pobiegł aleją, jak gdyby wstępował w głąb obrazu. Łamacz nie zamierzał go gonić. Jak wszystkie istoty żyjące na tej planecie, wiedział on bowiem, że nie wstępuje się do animacji z własnej i nieprzymuszonej woli! Wszystkie, z wyjątkiem Bigfoota.

Łamacz odwrócił się do brata Pawła. Czyżby chciał zaatakować? Brat Paweł zebrał się w sobie. Nie pójdzie przecież w ślady Bigfoota. Zresztą teraz, kiedy już poznał sposób walki Łamacza, potrafi odeprzeć jego ataki. — Okazało się jednak, że nie było takiej potrzeby. Amaranta podbiegła do Łamacza i położyła mu dłoń na karku. Stworzenie stało zupełnie spokojnie. — Taki jest mój Łamacz — wyjaśniła. — Zagwizdałam na niego, żeby nam przybył z pomocą. Nie byłam pewna, czy usłyszy, czy w ogóle zechce przybiec i co zrobi, kiedy już tu będzie — ale nie mogłam pozwolić, byś walczył z tamtym potworem zupełnie sam.

Niewątpliwie udało jej się oswoić tego drapieżnika!

— Posiadasz większą siłę ode mnie — powiedział brat Paweł. Po czym — widząc, że miasto jest tuż, tuż — dodał: — A teraz biegnijmy!

Pobiegli z Łamaczem pędzącym wielkimi susami przy boku Amaranty. Granica animacji znów przesuwała się wolniej; wkrótce pozostawili ją za sobą. Dopiero teraz, przewrotnie, brat Paweł zaczynał być naprawdę ciekaw, co też takiego znalazłby w mieście, gdyby do niego wszedł: fantazje w stylu baśni z tysiąca i jednej nocy? Zdał sobie też nagle sprawę z tego, że Amaranta i Łamacz przypadkowo (Jeśli przypadek jest możliwy, kiedy ma się do czynienia z animacją) odtworzyli scenę z jeszcze jednej karty Tarota: tej, którą nazywa się Siła, Hart Ducha, Dyscyplina lub Żądza, a której ilustracja przedstawia piękną, młodą damę ujarzmiającą lwa. Czy było w tym coś więcej prócz przypadkowej zbieżności znaczeń?

Lee i Therion wydostali się jakoś na zewnątrz. Po Swamim i dziewczynce nie było śladu.

— Może znaleźli jakieś inne wyjście — powiedziała pani Ellend z nadzieją w głosie.

— Módlmy się, żeby tak właśnie było — zgodził się pastor Runford.

Jedno było pewne: Brat Paweł nie ośmielił się już zlekceważyć potencjalnych mocy tkwiących w animacji! Nie była to bowiem ciekawostka laboratoryjna, lecz żywa, drapieżna siła.

Cała grupa wróciła do osady i brat Paweł ponownie korzystał z gościny 'wielebnego Siltza.

— Zgromadzenie odbędzie się jutro — powiedział pastor Runford przy pożegnaniu. — Tam też złożysz swoje sprawozdanie. Do tego czasu powstrzymaj się, proszę, od dyskusowania z kimkolwiek tej sprawy. — Brat Paweł najchętniej nie dyskutowałby tej sprawy z nikim i nigdy. Prawdę mówiąc, czułby się o wiele lepiej, gdyby nigdy był nie wszedł na teren animacji.

Wielebny Siltz był w domu sam. Siedział przy stole i jadł zimną kolację.

— Miałem nadzieję, że wrócisz bezpiecznie; jednocześnie obawiałem się, że ci się to nie uda — powiedział. — Musisz być bardzo głodny.

— To prawda. Od dwóch dni nie miałem nic w ustach.

Siltz zerknął na niego zdziwiony.

— Kiedy przyjdzie właściwy moment — mam nadzieję, że dowiem się czegoś na temat twoich przeżyć. Z tego, co słyszałem, dziwne rzeczy mogą dziać się z czasem wewnątrz animacji.

— Na tej planecie i poza animacją mogą też przydarzyć się dziwne rzeczy. Wpadliśmy na Bigfoota — i uratował nas Łamacz. Mogę ci chyba o tym opowiedzieć, bo wydarzyło się to poza animacją, jeśli naturalnie jesteś zainteresowany.

Siltz był zainteresowany. Poza tym był przystępny i uprzejmy.

— Musimy rozszerzyć krąg, który patrolujemy, musimy zwiększyć jego promień. W normalnej sytuacji Łamacz nie zbliżył się do terenu animacji, tak że można podróżować samotnie w jej pobliżu, pod warunkiem, że nie przekroczy się jej granic. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że narażamy

obserwatorów na podobne niebezpieczeństwo.

— Łamacz nie przyszedł sam z siebie. Amaranta zagwizdała na niego i przybiegł jej na pomoc. Okazuje się, że wasza decyzja, aby raczej oswoić Łamacza zamiast go eliminować, zaczyna przynosić pozytywne rezultaty.

— Na to wygląda. Poczyła o wiele większe postępy niż przypuszczaliśmy. Być może uda nam się jeszcze oswoić tę planetę! — Siltz podkręcił lampę na olej drzewny i podał bratu Pawłowi kawałek chleba z tegoż samego drewna. — Przykro mi, że nie ma nic lepszego do jedzenia, ale o tej godzinie nasza wspólna kuchnia jest już zamknięta. Ten chleb jest jednak całkiem pożywny.

— Zastanawiam się — zauważył brat Paweł, przenosząc wzrok z lampy na nie rozpalony piec drzewny — dlaczego przy takim braku drewna opałowego zimą nie korzystacie z niego w sposób bardziej wydajny.

Siltz zeszywniał z lekka.

— Korzystamy z drewna w sposób tak wydajny, jak tylko potrafimy. Drzewo Życia jest dla nas, zgodnie z jego imieniem, życiem. Bez niego pomarlibyśmy. A jak poważną poprawę wydajności miałeś na myśli?

— Około czterystu procent — powiedział brat Paweł. Siltz rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Jestem dziś w dobrym nastroju, ale ten dowcip absolutnie mnie nie bawi. Używamy najbardziej wydajnych pieców, jakie tylko można dostać na Ziemi, i spalamy drewno w sposób bardzo oszczędny. Mimo to, obawiamy się zimy. Co roku zdarzają się tacy, którzy źle obliczą zapasy lub mają po prostu pecha i znajdujemy ich ciała wiosną, kiedy śnieg stopnieje. Zwiększenie wydajności pieców, i to pięciokrotnie, jest marzeniem niemożliwym do spełnienia.

— Mówię zupełnie poważnie — powiedział brat Paweł. Sprawiała mu przyjemność rozmowa na przyziemne tematy po horrorach animacji. — Możliwe, że wstrząs spowodowany ostatnimi przeżyciami pomógł trochę mojej pamięci. Powinniście być w stanie zwiększyć pięciokrotnie efektywność ogrzewania lub przynajmniej rozciągnąć w czasie możliwość korzystania z posiadanego zapasu na tak długo, jak to wam będzie potrzebne. To sprawa filozofii.

— Filozofii! Jestem człowiekiem religijnym, bracie, lecz spalanie drewna uważam za sprawę całkowicie materialną, niezależnie od tego, jak bardzo może ono ogrzać ducha. Takie zwiększenie efektywności zmieniłoby życie na całej planecie. Czy to nie żart, że filozofia może spowodować, iż uzyska się więcej kalorii z jednego litra drewna?

— Efektywność spalania może być również niewielka, ale ja mam na myśli jej użyteczność dla was, zwiększenie możliwości przeżycia zimą. W tej chwili bowiem większość ciepła marnujecie.

— Marnujemy ciepło! Nikt nie ośmieliłby się marnować drewna z Drzewa Życia!

— Pozwól, że wyjaśnię, w czym rzecz. Na ziemi, w niektórych krajach Wschodu, są regiony o ekstremalnym klimacie. Z bardzo gorącym latem i bardzo srogą zimą. U ludzi tam mieszkających

występują pewne cechy charakterystyczne, świadczące o przystosowaniu się do takich warunków: zwiększona ilość tkanki tłuszczowej na twarzy i całym ciele, mniejszy nos, żółtawa skóra i specjalny kształt powiek dla ochrony oczu. Mimo to, zima była zawsze dla nich ciężka, szczególnie odkąd przeludnienie ogołociło ziemię praktycznie ze wszystkiego. Drewna i innych paliw stosowanych do ogrzewania było ciągle za mało, nauczono się więc korzystać z nich w sposób najbardziej efektywny. Uświadomiono sobie, że ogrzewanie pustej przestrzeni nie ma sensu w sytuacji, gdy chodzi jedynie o ogrzanie ludzkiego ciała. Wobec tego...

— Żeby ogrzać ciało trzeba też ogrzać wnętrze domu — powiedział Siltz. — Nie możemy sobie po prostu wstrzyknąć kalorii bezpośrednio do żył!

— Wobec tego skonstruowali niskie, płaskie piece, wpuszczone w podłogę, zużywające paliwo bardzo powoli i oddające stosunkowo niewielkie ilości ciepła — kontynuował brat Paweł. — Członkowie rodziny leżeli bezpośrednio ni całej powierzchni pieca w ciągu nocy, pobierając z niego ciepło w sposób bezpośredni, praktycznie bez żadnych jego strat. Temperatura pomieszczenia mogła być poniżej punktu zamarzania, a ludziom i tak było ciepło. Unikali więc strat ciepła, które musiałyby występować przy Ogrzewaniu całego domu, i dzięki temu ich zapas paliwa mógł starczyć na znacznie dłużej...

— Zaczynam rozumieć! — zawołał Siltz. — Ogrzewaj ciało, a nie dom! Przypomina mi to skarpetki elektryczne, które widziałem na Ziemi, kiedy jeszcze byłem chłopcem. Tutaj w ciągu dnia sporo się poruszamy i piec jest nam niepotrzebny, nawet zimą. Marzniemy nocą, kiedy leżymy nieruchomo. Ale przecież nikt by nie zamarzał na czynnym piecu, na którym powoli by się przypiekał! Wymagałoby to gruntownej rekonstrukcji naszych pieców, ale pozwoliłoby rozciągnąć w czasie to, co jest dla nas najcenniejsze, i uratowałoby wiele ludzkich istnień. A latem nie musielibyśmy transportować aż tyle drewna co dotychczas, zatem moglibyśmy poświęcić więcej czasu uprawie zbóż i innym sprawom. — Popatrzył na brata Pawła, kiwając głową. — Nie aprobowałem twojej misji tutaj, bracie; możliwe jednak, że dzisiejszej nocy oddałeś tej planecie wyjątkową przysługę.

— Nie tę, którą planowałem — powiedział brat Paweł z kwaśną miną. — Mimo to będę zadowolony, jeśli...

Rozległo się gwałtowne walenie do drzwi.

— Wielebny Siltz, muszę z tobą porozmawiać! — wołał jakiś kobiecy głos.

Uprzejmość Siltza nagle znikła.

— Teraz nie mogę! — odkrzyknął.

— Ależ możesz! — powiedziała, otwierając drzwi. — Chcę widzieć... Przerwała, kiedy dostrzegła brata Pawła. Była drobną dziewczyną,

z ciemną fryzurą w stylu afro, choć skórę miała wyjątkowo jasną; pałała świętym oburzeniem. Nie była piękną, lecz była proporcjonalnie zbudowana, a widoczne wzburzenie czyniło ją atrakcyjną i dynamiczną.

— Mój gość, brat Paweł ze Świętego Zakonu Wizyjnego — powiedział wielebny Siltz z zabarwioną ironią sztywnością etykiety. — Jeanette, Kościół Scientologiczny.

— Wysłannik z planety Ziemia?

— Twojego syna...? — odezwał się brat Paweł, równocześnie z dziewczyną.

— Właśnie tak — zgodził się wielebny Siltz, odpowiadając na oba pytania. — A teraz, skoro nie możemy dyskutować na tematy religijne, a ja nie mam najmniejszego zamiaru rozmawiać o sprawach prywatnych...

— Ale ja mam zamiar porozmawiać na obydwie te tematy! — wybuchła Jeanette. — Co z nim zrobiłeś?

Siltz nie odpowiedział.

— Nie opuszczę tego domu, dopóki mi nie powiesz, dokąd wysłałeś Iwana! — krzyknęła. — Kocham go — i on mnie kocha!

Gospodarz milczał.

— Wydaje mi się, że nie jest to najlepszy moment do dyskusowania twoich problemów — odezwał się brat Paweł do dziewczyny. — Stawiasz bowiem wielebnego Siltza w sytuacji, w której będzie zmuszony albo pogwałcić prawa gościnności, albo zobowiązanie zabraniające mu dyskusji na tematy religijne w mojej obecności. A ja nie powinienem być poddany wpływow...

Jeanette zwróciła się wprost do niego:

— Może i dobrze by się stało, gdyby ktoś jednak porozmawiał z tobą na tematy religijne! Jak się możesz spodziewać, że uda ci uczynić cokolwiek dla tej kolonii, jeśli nic o niej nie wiesz?

Siltz robił wrażenie zaskoczonego.

— Coś jest w tym, co ona mówi.

— Zapewne tak — zgodził się brat Paweł. — Ale jak długo obowiązuje wasze Przymierze, wypada go przestrzegać.

— Podniosę ten problem na jutrzejszym zebraniu — powiedział Siltz. — Nie musimy koniecznie aprobować jakiejś misji, żeby przedkładać jej solidne wypełnienie nad spartaczenie.

— A ja podniosę moją sprawę już dzisiejszego wieczoru — zawołała Jeanette. Wykrzykiwanie wydawało się jej naturalnym sposobem wyrażania myśli. — Wysłałeś gdzieś Iwana, żeby nie mógł być ze mną. Nie uda ci się ten wybieg. Mam wszelkie prawa...

— Nie masz żadnych praw!! — ryknął Siltz. — On jest moim synem i jest również zaangażowanym komunistą! Poślubi dobrą, cnotliwą, komunistyczną dziewczynę.

Oczy Jeanette zapłonęły. Brat Paweł nie był pewien, czy było to tylko zjawisko optyczne, spowodowane załamaniem się promieni padających z lampy, czy też złudzenie, ale wrażenie było silne.

— Czy twierdzisz, że ja nie jestem cnotliwa?

Siltz najwyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, że posunął się za daleko, ale mimo to kontynuował odważnie:

— Cała twoja religia jest skażona! Te wasze liczniki O, ci chmurni...

— To są liczniki E i czyści! — krzyknęła. — Instrumenty i klasyfikacje ułatwiające osiągnięcie perfekcji w życiu.

— Instrumenty i środki służące do oddzielania głupców od ich pieniędzy!

— Na planecie Tarot nie ma pieniędzy, a twój syn nie jest większym głupcem od ciebie, skoro jest z twojej krwi!

To wszystko przypominało bratu Pawłowi w sposób nieprzyjemny grę zwaną „Tuziny”. Jeśli tego nie przerwie, język tu używany zdegeneruje się do postaci charakterystycznej dla tamtej gry. A dama naciskała na Siltza.

— Niewątpliwie...

Nie zwrócili na niego uwagi.

— Co nie zmienia faktu, że Scientologia jest niemądrym kultem — powiedział podniecony Siltz. — Cóż lepszego zresztą mogło wyniknąć z wynalazku pisarza science fiction, który został psychologiem, a następnie Mesjaszem? Osobiście uważam, że należy oddzielać kościół od fikcji.

— Uważasz też, że należy oddzielić kościół od zdrowego rozsądku — krzyczała. — Czy wyrzucasz dobre drewno dlatego tylko, że zostało zebrane przez wyznawców innej religii?

v Siltz pobladł, przypominając sobie zapewne swoją rozmowę z bratem Pawłem. — Nie, tak daleko bym się nie posunął. Poszukałbym jednak lepszego, komunistycznego sposobu jego wykorzystania.

— Skoro uważasz, że komunizm jest tak wspaniały, dlaczego Iwan ? tym się nie zgadza?

— Właśnie że się zgadza! Mój syn jest dobrym komunistą!

— Więc dlaczego mu nie pozwalasz, żeby się ze mną ożenił? Mógłby mnie przecież nawrócić!

Siltz wybuchnął śmiechem.

— Nigdy! Suka taka jak ty zburzyłaby jego prawość. Dlatego musi pozostać we własnym...

— Gdzie? — zapytała. — Gdzie jest ta panna twojej własnej wiary, która mogłaby ofiarować mu chociaż połowę z tego, co ja jestem w stanie ofiarować?

Zdumiony brat Paweł aż zagwizdał cichutko. Ta młoda dama miała niewątpliwie wysokie mniemanie o sobie! Siltz przyglądał się jej z niesmakiem.

— A cóż takiego dziewczyna taka jak ty ma do zaoferowania, z wyjątkiem przemijającego szybko seksapilu i niezrównoważonej osobowości?

Wybuchła ponownie.

— Przemijające! Niezrównoważone! — Szybko jednak się opanowała. — Nie dam się sprowokować; odpowiem na twoje pytanie. Mój ojciec ma pięciu braci i dwie siostry. Moi dziadkowie żyją na Ziemi i cieszą się dobrym zdrowiem. Mój pradziadek żył dziewięćdziesiąt dwa lata i cały czas pracował, a zginął w wypadku samochodowym spowodowanym przez kogoś innego. Noszę więc w sobie dziedzictwo po silnych i długo wiecznych mężczyznach i po płodnych kobietach. Miałbyś ode mnie wnuków, na których mógłbyś oprzeć się w starości, którzy rąbaliby drewno na długie zimy...

— Dość — powiedział Siltz. — Muszę przyznać, że posiadasz pewne zalety godne polecenia. Ale w jakim kościele wzrosliby ci moi wnukowie?

Patrzyła na niego bez słów.

— W jakim kościele? — powtórzył Siltz. Z pewnym trudem zaczęła mówić:

— Nie będę cię oszukiwać. W Kościele Scientologii. Oni muszą zostać Czystymi.

— Być może jakiś kompromis... — zaczął brat Paweł.

— Nie! — Zapłonęła znów gniewem. — Żadnych kompromisów. Nie w sprawach religii.

— Ale jak sama zaznaczyłaś — powiedział brat Paweł — zdrowy rozsądek...

— Do diabła ze zdrowym rozsądkiem! Nic o nim nie wiesz! — Obróciła się na pięcie i szybko wyszła.

— Przepraszam cię — powiedział brat Paweł do wielebnego Siltza. — Nie powinienem był się wtrącać. Nie mogę ciągle pojąć pewnych postaw mieszkańców planety Tarot. A ta dziewczyna to istna sekutnica.

— Nie — powiedział zamyślony Siltz. — To dobra dziewczyna, lepsza niż myślałem. Ma dobrych przodków i nie ma zamiaru wypierać się swej wiary. Nie łże, nie podlizuje się i jest inteligentna. Czy zauważyłaś, w jaki sposób mnie zaatakowała, nie obrażając mnie przy tej okazji? Nawet w najgorętszych momentach tej kłótni nie zapomniała o swoim celu, którym było pozyskać mnie osobiście, a nie zrazić. Było to bardzo mądrze rozegrane. — Chodził po niewielkim pokoju, z rękoma założonymi z tyłu. — Mój syn nie ma szczególnie silnego charakteru; można nim powodować.

Dlatego potrzebna mu solidna, nieugięta kobieta. Gdyby było tutaj więcej młodych komunistek, w ogóle nie pomyślałbym o jakimkolwiek kompromisie. Ale jest ich tak niewiele! Nawet dziewczęta innych wyznań niewiele są warte, jak ta ładaczka, która zajmuje się oswojeniem Łamacza. Religia nie musi czynić z człowieka całkowitego głupca. Jeśli uda mi się dobić targu, przynajmniej w sprawie pierwszych dwóch wnuków...

— Czy mam rozumieć, że młodej damie udaje się jednak powoli oswoić lwa?

Wielebny Siltz westchnął.

— Naprawdę nie wiem. Ona jest tak drobnej budowy, że sądziłem, iż jest słaba. Jej kościół jest szalony, więc myślałem że ona też jest szalona. Nie cała siła pochodzi jednak z ciała, a siła charakteru ma wręcz swe źródło w duszy. Sprowadzę Iwana do domu. Co ma być — to będzie.

10

Natura

(Rodzina)

Płaty czołowe ludzkiego mózgu umożliwiają przewidywanie przyszłości. „Ale fakt ten, na co zwraca uwagę Carl Sagan w książce Smoki Edenu, oznacza, że nie tylko antycypujemy przyszłość, lecz również się o nią martwimy. Zauważa on, że Pollyanna, która zawsze we wszystkim widziała dobre strony, była szczęśliwsza od Kasandry, która co prawda potrafiła przewidzieć przyszłość, lecz której nie wierzono. Takie antycypowanie przyszłości jest źródłem nauki, magii, etyki i kodeksów prawnych. Ponieważ możemy antycypować przyszłość, możemy też podjąć odpowiednie kroki w celu uniknięcia jej pułapek i uzyskania długoterminowych korzyści. Nasza umiejętność przewidywania i nasza przezorność zabezpieczają nas materialnie i dają nam dzięki temu czas na społeczne i technologiczne innowacje.

Zebranie rozpoczęło się rankiem w centrum osady przy stosie zebranego drewna. Przyszli praktycznie wszyscy. Naturalnie, nikt nie marnował czasu, mężczyźni i kobiety pracowali spokojnie, wyplatając koszyki, szyjąc, rzeźbiąc w drewnie lub ostrząc narzędzia. Starsza kobieta mocowała metalowe ostrza do długich drzewc; uzyskane w ten sposób dzidy unosiła w jednej ręce do góry, sprawdzając ich ciężar i wyważenie. Producent broni był niewątpliwie ważnym członkiem tej społeczności! Brat Paweł zastanawiał się, czy ta sama kobieta co drugi dzień zajmuje się wytwarzaniem trójzębów.

Wielebny Siltz poprowadził brata Pawła na szczyt stosu, który okazał się solidniejszą konstrukcją niż to wyglądało na pierwszy rzut oka. Kawalki drewna były dobrze do siebie dopasowane i przypominały mu zazębające się kamienie w egipskich piramidach. Był to być może tylko zapas paliwa, ale nie potraktowano go w niedbały sposób.

— Nie mamy tutaj żadnej formalnej organizacji ani żadnego przywódcy — wyjaśnił mu wielebny Siltz po drodze. — W tych sprawach nie potrafimy się porozumieć. Działamy więc w oparciu o losowania i konsensus opinii. Obejmiesz przeto przewodnictwo zebrania, złożysz raport i ogłosisz swoją decyzję. Być może wtedy uzyskamy jedność.

— Ależ ja przecież nie mam żadnej decyzji do przekazania! — protestował brat Paweł. — Pogubiłem się zupełnie, będąc w animacji...

— Żadnej decyzji? — zdziwił się Siltz. — Zakładałem, że... Lee, Therion i Amaranta wspinali się tuż za nimi.

— Nie ma w tym winy brata Pawła — powiedział Lee. — My, obserwatorzy, zostaliśmy wciągnięci w tę animację, zniekształcając ją — splątana tam była jeszcze jedna osoba, która nawet nie została wyznaczona do obserwowania. Możliwe, że jeszcze jacyś inni ludzie się tam znaleźli, ludzie, o których nic nie wiemy. Brat Paweł nie miał szans pracować tam w warunkach pełnej

swobody i nieskrępowania.

Brat Paweł zatrzymał się.

— A to dziecko, dziewczynka wróciła do osady?

— Nie — odpowiedział z powagą w głosie Therion.

Została więc w animacji albo zgubiła się gdzieś na pustkowiu, jeśli pozostała przy życiu. Bigfoot bowiem wszedł do animacji w pobliżu miejsca, w którym utraciono z nią kontakt...

Nagle brat Paweł uświadomił sobie z całą mocą ten fakt: animacja nie jest grą.

Wielebny Siltz stanął na szczycie stosu drewna. Zapadła cisza.

— Losowanie zdecydowało, że to ja przyjmowałem w moim domu naszego gościa z Ziemi, brata Pawła ze Świętego Zakonu Wizyjnego — oznajmił. — Moja opinia na temat jego misji nie jest istotna. Brat Paweł jest dobrym, szczerym człowiekiem i jest gotów udzielić nam cennych rad dotyczących pewnych technicznych aspektów naszej kolonizacji, które mogą okazać się wielce pomocne w naszym codziennym życiu. Wystąpiły jednak pewne komplikacje. Proszę o wyrozumiałość, a ja spróbuję wyjaśnić, na czym polega problem.

Tłum milczał, lecz ze spojrzeń, jakimi niektórzy obrzucili Siltza, brat Paweł wywnioskował, że oczekują po nim przekonujących wyjaśnień. Gdyby zaczęto podejrzewać, że komunista usiłuje w jakikolwiek sposób wpłynąć na sprawozdanie brata Pawła, spowodowałoby to olbrzymie kłopoty.

Po krótkiej przerwie wielebny ciągnął dalej:

— Nie zamierzaliśmy wysłać brata Pawła do wnętrza animacji od razu. Miał przeprowadzać swoje eksperymenty na jej obrzeżu. Na zewnątrz pozostawało dwoje obserwatorów: pani Ellend i pastor Runford.

— Kontroler scjentystów i obserwator świadków Jehowy — zauważył dowcipnie Therion.

Nikt się jednak nie roześmiał.

— Troje umieszczono wewnątrz strefy animacji — kontynuował Siltz. — Mormona, wyznawcę Rogatego Boga i poszukiwacza Dziewięciu Nieznanych Mężów. Uważaliśmy to za wystarczającą reprezentację naszych różnorodnych wiar. Wszyscy zostali poinstruowani, że mają pozostać bierni i nie próbować jakichkolwiek animacji na własną rękę; mieli tylko obserwować i ewentualnie pomóc bratu Pawłowi, gdyby jego brak doświadczenia doprowadził do niebezpiecznej dla niego sytuacji. Jednakże wszedł on głębiej w strefę niż przewidzieliśmy, a potem nadeszła burza. Ochotniczka, kapłanka Abraksasa, weszła do strefy, by ostrzec brata Pawła przed prawdopodobnym rozszerzeniem i wzmocnieniem zjawiska, ale burza nabrała gwałtowności i ona sama została schwytana w pułapkę animacji. Po niej zaś wszyscy znajdujący się wewnątrz obserwatorzy zostali wplątani w wydarzenia i sytuacja wymknęła się spod kontroli. Na szczęście burza ustąpiła, a wraz z nią towarzyszące jej zjawiska. Jedna osoba jednak nie powróciła. Ponieważ nastąpił powrót animacji, trzeba było

zrezygnować z poszukiwań. Poza tym pojawił się Bigfoot, przegnany, jak na ironię, przez Łamacza. W ten sposób misja zakończyła się klęską i brat Paweł nie był w stanie dokończyć swych poszukiwań mających na celu znalezienie prawdziwego Boga Tarota.

Głośne westchnienie wyrwało się z wielu piersi. Brat Paweł ujrzał na twarzach zgromadzonych zmartwienie przemieszane z ulgą i poczuł wstyd. Ci koloniści uczynili wyraźny wysiłek, by się zjednoczyć i ułatwić mu jego misję, a on ich zawiódł.

— Swami Kundalini został odnaleziony nocą na obrzeżu strefy, lecz jest pod wpływem szoku — ciągnął wielebny Siltz. — Dziecko, którego nie znaleźliśmy, należy uznać za zaginione.

— Nie należało wyznaczać dziecka! — zawołał jakiś głos. Wielebny Siltz pominął te słowa milczeniem.

— Teraz poproszę brata Pawła o złożenie sprawozdania w takim zakresie, jaki uzna za stosowny, po czym złoży swoje sprawozdania dwójka obserwatorów i dodatkowo — mimowolny uczestnik tych wydarzeń. Następnie podejmiemy decyzję, co robić dalej.

Brat Paweł zauważył, w jak delikatny sposób ten gburowaty mężczyzna ujął istotę sprawy. Pozostawił mu bowiem możliwość mówienia tylko na wybrane przez siebie tematy i to w zakresie, jaki on sam uzna za stosowny, ominął problem losu dziewczynki i powstrzymał się od wyrażenia swojej osobistej opinii na temat Amaranty. Komunistyczny wielebny okazał się uzdolnionym mówcą publicznym. I politykiem.

Teraz Siltz zwrócił się bezpośrednio do brata Pawła:

— Podczas naszych zebrań obowiązują tylko dwie zasady. Nie wolno prezentować zalet poszczególnych religii i mówcy wolno przemawiać tak długo, dopóki nie odda głosu komuś, kogo zresztą sam wskaże. Ci, którzy zechcą zabrać głos w kolejności po tobie, podniosą rękę, a ty wybierzesz spośród nich następnego mówcę. A teraz ustępuję ci miejsca.

I szedł ze stosu na dół.

— Mogę przedstawić tylko w bardzo ogólnikowy sposób to, co wydarzyło się wewnątrz animacji — powiedział brat Paweł. — A także dlatego uważam, że zakończyło się to niepowodzeniem. Wolałbym nie wchodzić w szczegóły: są zbyt osobiste. — Przez moment poczuł odór fekalii. Tu i ówdzie zauważył uśmieški. Wielu z obecnych wiedziało, czym jest animacja, choć prawdopodobnie nie zasmakowali jej tak dogłębnie, jak on sam. — Wydaje się, że animacja, w której uczestniczy kilka osób, jest rodzajem gry — sztuki, której elementy wybrane są z umysłów uczestników. W przypadku jednej osoby może to być ciągłe sprzężenie zwrotne pomiędzy jego nadziejami i obawami, ulegające stałemu wzmocnieniu aż do zniszczenia danej osoby. Kiedy jest kilka osób, jak w naszym przypadku, wszyscy wnoszą swój wkład, co do pewnego stopnia łagodzi siłę sprzężenia zwrotnego. J zapobiega niebezpiecznej intensyfikacji jednego tylko wątku. Ale rezultatem jest wówczas niemożliwa do przewidzenia sytuacja, skoro wola poszczególnych uczestników zachodzi na siebie lub pozostaje ze sobą w sprzeczności. Wydarzenia w animacji posiadają swoją własną realność; kiedy jedna osoba coś widzi, pozostali widzą dokładnie to samo, chociaż to coś być może w ogóle,

obiektywnie rzecz biorąc, nie istnieje lub istnieje jako coś zupełnie innego. — Przerwał na chwilę. — Obawiam się, że nie jest to całkiem jasne. Chodzi o to, że jeśli jedna osoba postrzega spalone drzewo jako budynek, inni widzą je w podobny sposób, i mogą to zweryfikować za pomocą dotyku lub innymi zmysłami. I mają do czynienia z realnym budynkiem tak długo, jak długo trwa animacja.

Brat Paweł rozejrzał się i doszedł do wniosku, że obecni rozumieją, co ma na myśli. Nie były to bowiem dla nich zupełnie nowe koncepcje.

— Kiedy dwoje ludzi walczy w animacji, odczuwają siłę zadanych ciosów i czują ból, choć jeden może postrzegać drugiego jako kogoś zupełnie obcego lub nawet potwora. A kiedy mężczyzna i kobieta kochają się... Wzruszył ramionami. — Robiłem to wszystko. Nie mam z czego być dumny. Niektóre sceny były całkowitą fantazją; inne stanowiły przegląd wydarzeń z mojego życia, które albo zapomniałem albo stłumiłem w pamięci. Nie zamierzałem robić czy pamiętać tych rzeczy. Okazałem się słabszym interpretatorem niż sądziłem. — Słowo „interpretator”, nie było tym słowem, które mu było w tej chwili potrzebne, ale właściwe określenia nie zawsze pojawiały się na zawołanie. — Mogę wam więc jedynie przedstawić w formie wyjaśnienia moją teorię precesji w animacji. Umysł ludzki jest ogromnie skomplikowanym obiektem, złożonym z masy psychicznej i inercji, obciążonym i przeciążonym doświadczeniem całego życia. Kiedy poddany jest naciskowi, nie ustępuje w linii prostej działającej nań sile, lecz przesuwa się w jakimś nieoczekiwanym kierunku. Chciałem znaleźć Boga; miast tego znalazłem — wstyd. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co znalazłbym, gdybym właśnie szukał wstydu. — Uśmiechnął się. — Dlatego też nie posiadam żadnych dowodów na to, że Bóg Tarota istnieje, lub na to, że mógłby być tym lub tamtym Bogiem. Jestem tylko pewien, że moje świadczenie nie obala teorii Boga, ale też i jej nie potwierdza. Bardzo mi przykro.

— Brat Paweł rozejrzał się z nadzieją, że ktoś zechce zabrać głos. Zobaczył uniesioną rękę Lee.

— Oddaję głos obserwatorowi Lee z Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego.

— Dziękuję ci, bracie Pawle — powiedział Lee. Wszedł na stos drewna przystojny młody mężczyzna, oblany światłem porannego słońca. — To, co powiedział brat Paweł, jest prawdą. Chciałbym jednak wnieść pewne poprawki. Mieliśmy do czynienia ze sztuką, w której my byliśmy aktorami. Nie kontrolowaliśmy jednak przebiegu akcji tej sztuki i nasz wkład w nią był niewielki. Cała sztuka była bowiem kontrolowana wolą jednej tylko osoby, a my przyjęliśmy na siebie role, które ta osoba nam wyznaczyła. Tą osobą był brat Paweł. W mojej opinii, zjawisko zwane aurą wyjaśnia tę kontrolę...

— Przymierze! — zawołał ktoś z tłumu.

— Nie mówię tutaj o religii — powiedział Lee, patrząc srogo na tego, który mu przerwał. — Mówię o realnej sile psychicznej, która...

— To jest rdzeń wiary tuzina różnych religii! — zawołał ktoś inny.

— Wobec tego, nie mam o czym mówić — powiedział zrezygnowany Lee. Rozejrzał się. — Kto chce zabrać głos?

— Ja! — rozległ się jakiś żeński głos. Należał do zapalczywej, małej Jeanette, dziewczyny starającej się o rękę syna Siltza.

— Zajmij tedy moje miejsce, przedstawicielko scientologów — powiedział Lee z wdziękiem.

— Wniosuję o zawieszenie Przymierza — wołała Jeanette. — Brat Paweł nie osiągnął celu, bowiem nie dano mu poznać naszej prawdziwej natury. To, co widział, było tylko uprzejmą grą z naszej strony, udawaniem, że wszystko jest w porządku — i dlatego w animacji odnalazł odgrywaną sztukę zamiast Boga. Pozwólmy mu ujrzeć nas takimi, jakimi naprawdę jesteśmy — prowadzącym ciągłą wojnę religijną motłochem!

Rozległy się okrzyki protestu, ale Jeanette nie zniechęcała się łatwo.

— Wniosuję, żebyśmy zawiesili Przymierze! — powtórzyła. — Czy ktoś popiera ten wniosek?

Zapadła cisza.

— Będzie tak długo przy głosie dopóki ktoś nie poprze jej wniosku lub dopóki sama go nie wycofa — szepnął Lee do brata Pawła. — Jest w stanie zamrozić i unieruchomić to zebranie, jeśli nie weźmie pod uwagę tego, co ludzie o niej myślą — a na ogół zupełnie się tym nie przejmuje. Zawsze chce przeprowadzić, co zamierza, niezależnie od konsekwencji.

— Czy jest coś niewłaściwego w jej wniosku? — zapytał brat Paweł. — Podejrzewam, że ona ma rację. Ja rzeczywiście chciałbym lepiej zrozumieć sytuację w waszej kolonii — wiedzieć, jaka ona jest naprawdę.

— Przyjęcie tego wniosku spowodowałoby chaos — powiedział Lee, a stojący za nim Therion i Amaranta potwierdzili szeptem jego słowa.

— Dalibóg, wniosek ten zasługuje, by poddać go pod głosowanie! — zawołała Jeanette. — Nie możemy mieć przecież związanych rąk bez końca. Niech ktoś go poprze!

— Popieram wniosek — powiedział wreszcie jakiś mężczyzna. Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. Rozległ się powszechny szmer zdziwienia. Popierającym bowiem okazał się wielbny Siltz.

Jeanette patrzyła na niego zdumiona.

— Kpisz sobie, komunisto.

— Daleki jestem od jakichkolwiek żartów — odpowiedział sztywno Siltz.

— Nigdy nie sądziłem, że tego dożyję! — rzucił Therion. — Stary krokodyl popierający najgorszą z konkurentek do ręki jego syna.

— Myślę, że ich wzajemna wrogość jest mocno przesadzona — powiedział brat Paweł. — Wielbny Siltz jest w głębi duszy humanistą; dobro człowieka leży mu bardziej na sercu niż jakaś

szczególna koncepcja Boga. Jeanette byłaby dobrą małżonką dla jego syna i on zaczyna sobie to uświadamiać. Musi go tylko przekonać o tym do końca.

— Znalazła sobie nie najlepszy sposób, żeby tego dokonać — mruknął Therion.

Jeanette zawahała się, po czym jej twarz nabrała zdecydowanego wyrazu.

— Ustępuję miejsca wielbnemu Siltzowi.

— Teraz popierający poprowadzi debatę i głosowanie — powiedział Lee. — Siltz jest świetnym organizatorem. Przeprowadzi całą rzecz bardzo szybko.

— Poparłem wniosek scientolożki, ponieważ sędzę, że posiada on pewne zalety — powiedział Siltz. — Miałem możliwość rozmowy z naszym gościem z planety Ziemi na tematy nie objęte Przymierzem i stwierdziłem, że jest on szczerym i rozsądnym człowiekiem. Jestem pewien, że jest równie szczerzy i rozsądny w sprawach dotyczących religii; znamy przecież dobrą reputację jego zakonu w tym względzie. Nasz gość nas zawiódł, ponieważ my zawiedliśmy jego. Za późno już, by naprawić ten błąd, ale nie ma nic złego w tym, że damy mu się poznać takimi, jakimi rzeczywiście jesteśmy. Jeśli nie usłyszę sprzeciwów, przeprowadzę głosowanie bez zbędnej debaty.

— Na Rogi Niebios! — zaklął Therion. — On rzeczywiście ją popiera! Ale to już wszystko, co od niego uzyska. Głosowanie, nie zaś syna.

Równie zdumieni przebiegiem wydarzeń koloniści nie zgłaszali sprzeciwów.

— Ci, którzy są za wnioskiem, niech to potwierdzą własnym słowem — kontynuował Siltz.

Rozległ się cichy szmer głosów za wnioskiem.

— Przeciw? Odpowiedziała mu cisza.

— Potrafi przekonywać — szepnęła Amaranta.

— Wniosek przeszedł — powiedział Siltz. — Wolno nam teraz wyrażać swoje opinie bez ograniczeń. Proszę jednak mówców, by mówili krótko i trzymali się tematów związanych z wizytą brata Pawła, bo w przeciwnym razie niczego nie dokonamy. — Rozejrzał się. — Udzielam głosu pastrowi Runfordowi.

— Dziękuję, wielbny — powiedział świadek Jehowy. — Jak wielu z was wie, byłem przeciwny eksperymentom reprezentowanym tutaj przez brata Pawła i obserwowałem je tylko po to, by być pewnym, że są prowadzone uczciwie; wiedziałem jednak, że porażka jest nieunikniona. Ponieważ koniec świata jest bliski, nie ma sensu szukać Jehowy za pomocą sztucznych środków. Objawi się On bowiem wkrótce na swój własny sposób. Jak powiada Biblia: „On będzie rozjemcą pomiędzy ludami i wyda wyroki dla licznych narodów. Wtedy swe miecze przekują na lemiesz, a swoje włócznie na sierpy. Naród przeciw narodowi nie podniesie miecza, nie będzie się więcej zaprawiać do wojny.” Dlatego też nie powinniśmy Go szukać pośród widm i zjaw animacji, lecz przygotować swe serca i dusze na Jego przywitanie. Człowiek podupadł od czasów Adama, każde pokolenie

stawalo się gorsze od poprzedniego, aż nawet cierpliwość Samego Jehowy wyczerpała się. Wszyscy zostaną zmiażdżeni, z wyjątkiem tych 144 000, którzy...

— Jesteś więc przeciw! — ktoś wrzasnął. — Pozwól tedy przemówić komuś innemu!

— Dżinn nareszcie wy dostał się z butelki — powiedział Therion z satysfakcją w głosie.

— W tym właśnie cały problem — szepnął Lee. — Zawieszenie Przymierza otwarło puszkę Pandory. Wkrótce prawdziwe świry otworzą swe usta.

Brat Paweł pokręcił głową w niemym zdumieniu. Wyglądało na to, że nie ma tu nawet śladu tolerancji religijnej! W opinii każdej sekty wszystkie pozostałe błędziły, a ich zwolennicy byli wariatami.

— Nie oddam głosu — powiedział Runford stanowczo. — Wy, to znaczy większość, ponieśliście porażkę, ponieważ obrzydliwością było to, co usiłowaliście przeprowadzić! Umizgiwaliście się do animacji, która jest jak ladacznica niosąca podarki i o której powiada Pismo: „I ujrzałem niewiastę siedzącą na Bestii szkarłatnej, pełnej imion bluźnierczych, mającej siedem głów i dziesięć rogów. A niewiasta była odziana w purpurę i szkarłat, cała zdobna w złoto, drogi kamień i perły, miała w swej ręce złoty puchar pełen obrzydliwości i brudów swego nierządu. A na jej czole wypisane imię — tajemnica: Wielki Babilon. Macierz nierządnic i obrzydliwości ziemi.”

— Brawo, bezrozumny świadku! — zawołał Therion. — Toż to nasza demoniczna karta Tarota zwana Żądzą, odczytana niewłaściwie przez innych jako Siła, Charakter czy wręcz Dyscyplina. Ty jedyny dałeś jej właściwe imię, w całym jej przepychu. Niech będzie błogosławiona ta nierządnica!

— Jesteś prawdziwą bestią — powiedziała Amaranta, z nutką podziwu w głosie.

— Będziesz potępiony! — krzyczał Runford do Theriona, aż trzęsąc się z gniewu. — Będziesz wdeptany w tłocznię wina poza miastem, i krew popłynie aż po wędzidła koni. I zapanuje wielkie przerażenie pod Armageddonem. Ciało twoje zgnije za życia; oczy twoje wygniją w oczodołach i język w twych ustach. Robactwo zalęgnie się w całym twym ciele...

— Pastorze Runford, bardzo proszę — powiedziała łagodnie pani Ellend. — Prawda jest cichym, spokojnym głosem myśli naukowej. Niebo to harmonia, a boska Nauka interpretuje zasady niebiańskiej harmonii. W *Apokalipsie* czytamy: „Potem wielki znak ukazał się na niebie: Niewiasta obleczone w słońce i księżyc pod jej stopami, a na jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu.” Musimy zawsze próbować odeprzeć złośliwy zwierzęcy magnetyzm. Wielkim cudem, dla człowieka, jest boska Miłość. Nigdy nie osiągniemy celu, jeśli czujemy nienawiść do naszego sąsiada, jakiegokolwiek wiary by nie był...

— A cóż złego jest w miłości cielesnej, szanowna pani? — Chciał wiedzieć Therion.

Najwyraźniej lubił nękać innych pytaniami, jak przystało dziecku Szatana. Brat Paweł, autentycznie zainteresowany poglądami innych, chciał, żeby ten się wreszcie uciszył. Spotkał już kiedyś świadków Jehowy na Ziemi i stwierdził, że są uczciwi i zdolni do poświęceń, czym przypominają pierwszych

chrześcijan. Czytał także pisma Mary Baker Eddy, założycielki religii o nazwie „Wiedza Chrześcijańska”, i był pod wrażeniem rozsądnej natury zawartych w nich uwag. W każdym razie brat Paweł nie uważał kpiny za właściwe narzędzie w debacie religijnej; odpowiednią bronią były, według niego, fakty i umotywowane opinie.

— Czyja teraz kolej? — zapytał młody człowiek pośród ogólnej paplaniny.

— Twoja, kwakrze — rzucił ostro Runford.

— Pozwólcie tedy, że wam przedstawię, jak ja widzę ten problem — powiedział kwakier. — Kiedy George Fox był dziewiętnastoletnim młodzieńcem, w roku 1643, pojechał w interesach na targ, gdzie spotkał swojego kuzyna, który był profesorem religii — moglibyśmy go dziś nazwać teologiem — w towarzystwie drugiego teologa. Poprosili George’a, by wypił z nimi dzban piwa, a ponieważ był spragniony i odpowiadało mu towarzystwo tych, którzy poszukują Pana, zgodził się. Kiedy wypili po jednej szklance, dwaj teologowie zaczęli wznosić toasty i zamawiać następne kolejki, umawiając się między sobą, że ten, który pierwszy przestanie pić, zapłaci za pozostałych. George Fox zasmucił się wielce, widząc, że ludzie, których zawód jest związany z religią, zachowują się w ten sposób, iż rywalizują w pijaństwie na koszt bardziej powściągliwych, choć być może taka sytuacja była typowa dla ówczesnej społeczności, tak jak jest typowa dla współczesnej. Głęboko zaniepokojony, położył na stole monetę czteropensową mówiąc: „Jeśli tak to ma być, opuszczę was.” Nie spał tej nocy, modlił się do Boga O radę, a Bóg rozkazał mu porzucić dotychczasowe życie i stać się jako obcy dla wszystkich. Poszedł tedy, niezachwiany, choć Szatan go kusił, i założył Społeczność Przyjaciół, zwanych także kwakrami — drżącymi, bo mówiono o nich, że drżą przed Panem. Jednak zasada, którą my się kierujemy, to nie drżenie przed Bogiem, ale ta wiedza w każdym człowieku, która jest światłem wewnętrznym umożliwiającym mu bezpośredni kontakt z Bogiem.

Nie potrzebuje on ani księdza, ani pastora, ani żadnego innego pośrednika i orędownika, by rozwijać swą wiarę; zbędne są także wszelkie rytuały i nabożeństwa. Bóg jest z nami wszystkimi, zawsze; wystarczy tylko w skupieniu sięgnąć do własnego wnętrza.

Młody człowiek przerwał i zwrócił wzrok na brata Pawła. — Nie pozwoliłbym sobie pouczać ciebie, przyjacielu, lub wypowiadać się na temat twoich osobistych doświadczeń. Proszę tylko, byś rozważył, czy prawdopodobieństwo znalezienia Prawdy w animacji jest większe niż prawdopodobieństwo znalezienia Jej w butelce.

Brat Paweł był pod wrażeniem spokojnej elokwencji kwakra i nie znajdował gotowej odpowiedzi. Może rzeczywiście te plany i nadzieje związane z animacją były nierozważne. Kwakier dość jednoznacznie wskazał na podobieństwo animacji do alkoholu lub innych oddziałujących na umysł środków i jako taka musiała być ona podejrzana. Jeśli iskra boża istnieje w każdym człowieku, po cóż jej szukać w animacji?

— Ja na to odpowiem, przyjacielu — odezwała się jakaś kobieta.

— Witam przedstawicielkę uniwersalistów i oddaję jej głos — powiedział kwakier.

— Dziękuję, przyjacielu. Posłużę się opowieścią z życia człowieka, który był kamieniem

węgielnym naszej wiary, Johna Murraya. W wieku niespełna trzydziestu lat, pogrążony w głębokim smutku z powodu śmierci ukochanej żony, niepewny swej własnej wiary, jako że jego postrzeganie natury Boga ulegało ciągłym zmianom — szukał pocieszenia w samotności. W roku 1770 wypłynął do Ameryki. Kapitan statku zamierzał przybić do brzegu w Nowym Jorku, lecz przeciwne wiatry zepchnęły ich na mieliznę w niewielkiej zatoczce na wybrzeżu Jersey. Johnowi powierzono komendę nad szalupą, na którą przeniesiono część ładunku, co umożliwiłoby ściągnięcie statku z mielizny podczas przyływu. Statek ściągnięto i oddalił się on od wybrzeża, lecz nim podążająca za nim szalupa zdążyła wyjść na pełne morze, wiatr ponownie zmienił kierunek, unieruchamiając ją w zatoczce. John Murray nie mógł więc wypłynąć, a ponieważ brakowało żywności, udał się na brzeg, by dokonać jej zakupu. Idąc przez przybrzeżny las, natknął się na stojący samotnie wśród drzew kościół. Zdumiony, zasięgnął informacji na jego temat w pobliskim domostwie i dowiedział się, że to pewien farmer analfabeta wybudował go własnym sumptem w podzięce Bogu za dobrodziejstwa, jakie go spotkały. Baptyści pragnęli korzystać z tej świątyni, lecz tenże farmer rzekł do nich: „Jeśli potraficie mi udowodnić, że Bóg Wszechmocny jest baptystą, kościół będzie wasz.” Podobnymi słowami zwrócił się do przedstawicieli innych wyznań, chciał bowiem, by wszyscy traktowani byli jednakowo. Teraz zaś czekał na kaznodzieję o podobnych jemu poglądach — i powiedział, iż wie od Boga, że John Murray jest właśnie tym kaznodzieją. Zasmucony John odmówił zgody na wygłaszanie nauk twierdząc, że nie posiada ani odpowiedniego wykształcenia, ani nawet skłonności kaznodziejskich. Zamierza jedynie udać się na północ, do Nowego Jorku, i zwrócić szalupę kapitanowi, skoro tylko zawieje sprzyjający wiatr. „Wiatr się nie zmienia, panie — poinformował go farmer — dopóty, dopóki w tym domu spotkań nie przekażesz nam posłania od Boga.” John jednak nie chciał przyjąć do wiadomości takiego stanowiska, nie chciał się ugiąć przed tak oczywistym zbiegiem okoliczności, pragnął jedynie kupić zapas żywności dla załogi szalupy. Farmer zaopatrzył go hojnie, odmawiając przyjęcia zapłaty i nie ustając w swych prośbach. Dni mijały, nadchodziła niedziela, a wiatr się nie zmieniał. W końcu, w sobotnie popołudnie, John uległ prośbom, lecz żadnego kazania na dzień następny nie przygotował; jeśli Bóg rzeczywiście chce, by on tu nauczał, sam dostarczy mu odpowiednich słów. Niedzielnym rankiem ludzie mieszkający w promieniu dwudziestu mil wypełnili kościół, a John Murray stał przed nimi i przekazywał im posłanie powszechnego odkupienia: że każdy człowiek znajdzie zbawienie i nikt nie będzie skazany na wieczne cierpienia. I tym kazaniem, które graniczyło w owych czasach z herezją, John Murray odnalazł swoje przeznaczenie. Kiedy skończył mówić, przysłała zmiana wiatru i mógł wreszcie popłynąć szalupą do Nowego Jorku. Powrócił jednak nie zwlekając i kościół ów stał się jego kościołem, jego własnym domem w Nowym Świecie i nauczał w nim do końca swych dni. Byli tacy, którzy go prześladowali, chcąc zniszczyć jego poglądy, ponieważ uważali, że tylko stanowiący mniejszość wybrańcy zyskają zbawienie — ale on walczył o wolność religijną w sądach i strzegł jej pilnie — tej samej wolności, która uczyniła Amerykę wielką. Prowadził go wiatr, wbrew niemu samemu, i doprowadził go do jego przeznaczenia — a przeznaczenie to ma olbrzymie znaczenie dla ludzkości.

Uniwersalistka zwróciła się do brata Pawła:

— Podobnie jak mój szanowny kolega, nie ośmieliłabym się narzucać czy zalecać ci jakiegoś konkretnego sposobu dalszego postępowania — powiedziała. — Bowiem charakter animacji, do tej pory, jest jeszcze niejasny. Nie można jej nazwać ani dobrą, ani złą. Również boskie cele bywają dla nas często niejasne, nie możemy więc mieć pewności, czy postępujemy właściwie. Czy ty jesteś

pewien, że należy odpłynąć od tego brzegu bez uzyskania pewności co do charakteru zjawiska animacji, choć sam możesz mieć w tej sprawie wątpliwości i zastrzeżenia osobiste? Jaki jest kierunek wiatru w twoim życiu?

Brat Paweł poczuł nagły chłód.

— Czy masz na myśli — mój powrót do animacji?

— Nie! — krzyknął pastor Runford. — Nie zważaj na pochlebstwa podsuwane przez Szatana. Jedna osoba w szoku, jedna zaginiona, misja Skończona niepowodzeniem — bo wołą Jehowy było, by tak się właśnie zakończyła! Animacja jest przekleństwem zła!

Zaginiona dziewczynka. Czy potrafi ona znaleźć drogę wyjścia z tej lataniny obrazów? A czy on potrafi żyć spokojnie, jeśli ona tej drogi nie znajdzie?

— Przecież się zgodziliśmy — ktoś zawołał. Po chwili koncentracji brat Paweł rozpoznał w wołającym Malcolma z Narodu Islamu, który nagle z rozsądnego człowieka stał się zapalczywym stronnikiem jednego tylko rozwiązania. — Allah zrządził...

Rozległ się wrzask anonimowych głosów, nawzajem się zagłuszających:

— Sprawa jest zakończona!

— Biblia powiada...

— Do diabła z Biblią!

— Według Koranu...

— Wsadź sobie swój Koran...

Zapanował kompletny chaos. Brat Paweł zrozumiał teraz, czym było Przymierze. Ci fanatycy, wyznawcy wielu różnych religii, nie byli w stanie porozumieć się w żadnej sprawie, chyba że ustalono bardzo ściśle procedury postępowania; nawet wówczas nie było gwarancji spokoju. Wszystko się rozleci, jeśli ktoś nie obejmie teraz przywództwa. Musi to być ktoś, kto nie ma tu nic do stracenia, ktoś niezależny od łaski tych różnych religii, ktoś zdolny przeć naprzód, nie zważając na złość innych, tylko dlatego, że przywiał go tu wiatr i przesłanie zawarte w tym wietrze powinno być wzięte pod uwagę.

Brat Paweł opanował się i uspokoił. Po czym nabrał powietrza w płuca, spiął się i wydał przesywający okrzyk, znany uprawiającym wschodnią technikę Walki Kiai: SAM KNOCZ SZEEE!

Zapadła cisza. W tej chwilowej ciszy brat Paweł zajął miejsce mówcy na stosie.

— Niewiele jest rzeczy, do których czułbym większą odrazę niż do myśli o powrocie na teren animacji — powiedział. — Ale przybyłem tutaj, by wykonać zadanie i to zadanie nie jest jeszcze wykonane. A wyniki tej misji mogą być istotne nie tylko dla społeczno — politycznej sytuacji na tej

planecie, ale także dla całej ludzkości. Jeżeli istnieje jakiś Bóg Tarota, jakieś Bóstwo Animacji — moim obowiązkiem jest Je odnaleźć i określić Jego charakter.

Przerwał na chwilę, przygotowując się psychicznie do stawienia czoła atakom ze strony tych, którzy byli zdecydowanie przeciwni jego poszukiwaniom.

— Sądzę, że niezbędny jest przegląd wszystkich religii dokonany w kontekście animacji. Niektóre z nich mogą być bliższe Prawdziwemu Bogu od innych — zakładając, że w animacji można w ogóle znaleźć jakiegoś boga. Jeśli więc wejdę do animacji z tak określonym celem, z otwartym umysłem, bez uprzedzeń i bez powziętego z góry sądu, a także świadom niebezpieczeństwa procesji... — Przerwał ponownie, zmieniając tok myśli. — Obserwatorzy — jeżeli zechcą znów uczestniczyć, tym razem w dobrze zorganizowanych, oficjalnych poszukiwaniach...

Pastor Runford zaprotestował. Odzyskał już kontrolę nad swoimi emocjami i wydawał się całkiem spokojny.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak niewielu powróciło z powtórnej wyprawy z głęb animacji? Narazasz na niebezpieczeństwo swoje zdrowie psychiczne i życie.

— Zdrowie psychiczne i życie zaginionego dziecka już są na takie niebezpieczeństwo narażone — wskazał brat Paweł. — Tak jak i pomyślność całej kolonii. Musicie się zjednoczyć, aby przetrwać...

— Najgorsze są kłótnie w rodzinie — powiedziała pani Ellend. — Do rozwiązania tego problemu musimy zastosować kryteria naukowe.

— Właśnie to miałem na myśli — powiedział brat Paweł. — Mam nadzieję, że te skandaliczne błędy, jakie popełniłem, czegoś mnie nauczyły i że tym razem będę postępował właściwie. Być może znowu zawiodę, a muszę przyznać, że perspektywa ponownego zanurzenia się w animacji napawa mnie lękiem. Nie rozumiem natury tego zjawiska, tak jak nie rozumiem natury mojego umysłu, natury Boga — prawdę mówiąc, natura samej Natury jest dla mnie tajemnicą. Jednak muszę przynajmniej spróbować, mając nadzieję, że objawi się dla mnie pomocna dłoń jakiegoś Boga, tak jak objawiła się George'owi Foxowi i Johnowi Murrayowi i każdemu z tych, którzy znaleźli Go w innych okolicznościach.

— Odznaczasz się wielką odwagą — powiedział pastor Runford. — Tutaj muszę się zgodzić z wielbnym Siltzem: choć nie pochwalam samej misji, doceniam jednak twą gotowość do poświęceń. Dlatego zgadzam się przyjąć rolę obserwatora na obrzeżu, jak poprzednio.

— Ja również — powiedziała pani Ellend.

— Szczerze doceniam wasze poparcie — powiedział brat Paweł. Odwrócił się do stojących za nim. — A wy, Lee i Therionie, którzy tak wiele ryzykowaliście. A ty, Amaranto — dostałaś się tam przez przypadek lub może raczej przygnał cię ten sam wiatr. Gdybym mógł mieć pomoc waszej trójki w tym koszmarze...

Lee skinął głową.

— Podzielam twoje obawy — i rozumiem twoje argumenty. To nie będzie łatwe, a jednak należy to zrobić. Przynajmniej musimy poszukać dziewczynki.

Therion i Amaranta skinęli głowami, zgadzając się z jego słowami. Patrząc na tę trójkę i doceniając jej przychylność, brat Paweł odczuwał jednocześnie, że unosi się wśród nich duch solidarności wynikający ze wspólnych doświadczeń. Była to, w pewnym sensie, jego rodzina; dzielili przecież jego przeżycia. Tylko oni wiedzieli, czym była pierwsza animacja.

— Musimy jedynie zdecydować, jaki jest właściwy sposób postępowania i konsekwentnie się go trzymać, nawet jeżeli wyda się nam niezgodny z naturą.

Wszyscy jednak wiedzieli, że natura zrobi to, co uzna za stosowne, niezależnie od ich ustaleń. Natura bowiem to inne imię Boga Tarota.

11

Los

(Koło Fortuny)

Karta Tarota przedstawiająca Koło Fortuny wydaje się ikonograficzną transformacją bardziej złożonego i subtelniejszego symbolu starożytnego. Pierwotne znaczenie tego koła zostało zapomniane, a na jego miejsce wprowadzono znaczenie nowe. Błąd tego rodzaju jest dość powszechny jeśli chodzi o Tarota i prowadzi on do wielkiej różnorodności interpretacyjnej. W tym przypadku oryginalną ilustracją był zapewne jeden z wariantów Koła Zaistnienia, zwanego również Kołem Życia i Śmierci, tak jak jest ono przedstawiane w mitologii buddyjskiej, a nawet w mitologiach buddyzm poprzedzających. Nie jest znana jedna religia, z której wywodzą się wszystkie religie Azji Zachodniej, ale pewne podobne do siebie wątki można odnaleźć w buddyzmie, brahmanizmie i hinduizmie wywodzących się z Indii, jak i w kulcie Mitry, Zaratustry i w judaizmie, mających swe źródło w Azji Mniejszej, co może świadczyć o tym, że istniał kiedyś jeden wspólny pień, z którego te religie wyrosły. Koło Zaistnienia mogło pojawić się również w Babilonie w formie horoskopów astrologicznych.

W części centralnej Koła Życia znajdują się postaci zwierzęce symbolizujące trzy korzenie zła: żądzę, nienawiść i ignorancję. Pięć szprych dzieli Koło na królestwa piekieł, zwierząt, duchów, bogów i ludzi. Na obrzeżu jest krąg przyczynowości, ilustrowany dwunastoma obrazami, reprezentującymi pojęcia, których nie można opisać prostym językiem. W przybliżeniu są to: Ignorancja, Powstawanie Życia, Świadomość Osobowa, Osobowość, „Myśl” jako szósty zmysł, Kontakt, Odczucie, Pożądanie, Seks, Małżeństwo, Narodziny i Śmierć. Niektóre z tych pojęć i ilustracji mogą być odpowiednikami tych, które spotykamy w Tarocie; Ignorancja prostaka to Głupiec, reprezentant Myśli to Hierofant (nauczyciel), uścisk kochanków z Kontaktu to Kochankowie w Tarocie, a Śmierć to Śmierć. Większość współczesnych talii Tarota nie posiada odpowiedników takich pojęć Koła, jak Odczucie, Pożądanie, Seks, Małżeństwo czy Narodziny — co sugerowałoby, że zagubiono je gdzieś podczas transformacji form. Być może, w odpowiednim czasie, zostaną one przywrócone Tarotowi, chociażby poprzez dodanie nowych kart do istniejących talii. Tymczasem, Koło Tarota w dużym przybliżeniu tylko reprezentuje koncepcję Losu.

Opodal rzeki stało olbrzymie, piękne drzewo, którego listowie tworzyło nieregularną koronę, rzucającą głęboki cień. Wyglądało ono na figowiec.

Brat Paweł podszedł do drzewa. Czyżby to było Drzewo Życia? Mogłoby być wówczas pewną drogą do Boga Tarota. Towarzyszące bratu osoby zniknęły, lecz wiedział, że pojawią się, kiedy tylko zostaną wezwane do odegrania swoich ról.

Pod drzewem siedział jakiś mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Trudno to było określić na pierwszy rzut oka, był bowiem niewielki i wydawał się przedwcześnie postarzały. Robił wrażenie wychudzonego i w ogóle wyniszczonego fizycznie. Twarz i głowę miał gładko wygolone, a ubrany

był w łachmany. Nie odwrócił wzroku, kiedy brat Paweł zbliżył się do niego.

— Czy mogę dotrzymać ci towarzystwa? — zapytał brat Paweł. Mężczyzna wykonał zapraszający gest dłonią.

— Witaj, wędrowcze. Jest tutaj dość fig, by wykarmić tłum, a w rzece jest również woda.

Brat Paweł usiadł obok niego po turecku. Wziął figę, kiedy uczynił to jego towarzysz, i przeżuwał powoli jej twarde mięsz.

— Czy jesteś ascetą? Nie chciałbym narzucać swojej osoby, jeżeli wolisz samotność.

— Byłem nim kiedyś i o mało nie doprowadziłem się do całkowitego wyniszczenia fizycznego. Mimo to nie doświadczyłem żadnych rewelacji wartych uwagi. Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu głodzić się i męczyć. Po czym odkryłem, że kiedy jadłem i piłem, i dzięki temu stawałem się silniejszy, moje myśli nabierały jasności. Uzmysłowiłem sobie, iż nauka, która powiada, że należy się zagłodzić, by zyskać mądrość, myli się. Tylko człowiek zdrowy postrzega świat właściwie i należycie pojmuje prawdy religijne. — Zerknął na brata Pawła. — Wynika z tego, że ty musisz postrzegać wszystko właściwie, jesteś bowiem okazem zdrowia. Czy mógłbym poznać twe imię?

— Jestem brat Paweł z... z pewnej odległej cywilizacji. A ty kim jesteś?

— Jestem Siddattha Gotama, ongiś księżę, obecnie mnich — żebrak.

Siddattha Gotama — człowiek znany w historii jako Budda, Przebudzony, Oświecony. Założyciel jednej z największych religii wszechczasów, buddyzmu. Był rzeczywiście księciem i odrzucił koronę, by szukać objawienia.

— To dla mnie wielki zaszczyt — powiedział brat Paweł z pokorą. Choć uważał się za chrześcijanina, darzył buddyzm głębokim szacunkiem. — Ja również poszukuję prawdy. I jeszcze jej nie znalazłem.

— Szukałem oświecenia przez siedem lat — powiedział Siddattha. — Często w tym czasie kusiło mnie, by skończyć z żebraniem i wrócić do żony i syna. Zawsze wtedy mówiłem sobie, że nie mógłbym być ponownie szczęśliwy w pałacu, wiedząc, że inni cierpią trudy i nędzę. Mimo to, nie znalazłem odpowiedzi na pytanie, jak uczynić innych szczęśliwymi.

Aha, więc to jest Budda jeszcze z czasów przed objawieniem.

— Czy pytałeś nauczycieli, mędrców? Siddattha uśmiechnął się gorzko.

— Odwiedziłem wielkiego nauczyciela, Alarę. „Naucz mnie mądrości tego świata!” — błagałem. Powiedział: „Studiuj Vedy, święte pisma. Jest w nich cała mądrość.” Ale ja już przestudiowałem Vedy i nie znalazłem w nich oświecenia. Powędrowałem przeto dalej i napotkałem innego wielkiego nauczyciela, Udakę, i zapytałem jego. Odrzekł mi: „Studiuj Vedy!” A ja przecież wiedziałem, że nie ma w nich wyjaśnienia, dlaczego Brahma pozwala ludziom cierpieć, chorować, starzeć się i umierać. Wiedziałem także, że nie można osiągnąć mądrości przez samookaleczenie czy siadanie na ostrych

gwoździach.

— W mojej kulturze — zgodził się brat Paweł — udziela się nam podobnych rad. „Czytaj Biblię”. A zła kondycja ludzka i nędza trwa nadal, nawet wśród tych, którzy tak bardzo sobie cenią Biblię. Podejrzewam, że prawd ostatecznych nie znajdziemy w żadnych księgach. A życie jest bardzo wymagającym nauczycielem.

— Tak, to prawda — zgodził się Siddattha. — Kiedy byłem księciem, udałem się pewnego razu na polowanie. Zobaczyłem mężczyznę — sama skóra i kości — skręcającego się z bólu na ziemi. „Dlaczego?” — zapytałem. „Wszyscy ludzie są narażeni na choroby” — poinformowano mnie. Zasmuciłem się wielce, bo w swoim dotychczasowym, oderwanym od rzeczywistości życiu nie spotkałem się bezpośrednio z cierpieniem. Następnego dnia ujrzałem starca z grzbietem wygiętym jak napięty łuk, z drgającą głową i rękoma trzęsącymi się jak liście palmy na wietrze; mimo dwóch lasek, z trudem chodził. „Dlaczego?” — zapytałem. „Jest stary; wszyscy się starzejemy” — powiedziano mi. I znów ogarnął mnie smutek, bo do tej pory znałem tylko młodość. Jeszcze następnego dnia zobaczyłem kondukt żałobny, a w nim wdowę i sieroty po zmarłym. „Dlaczego?” — zadałem pytanie. „Śmierć przychodzi do wszystkich bez wyjątku” — usłyszałem. Przeraziło mnie to, ponieważ nigdy przedtem nie rozważałem realności śmierci. Tak mało wiedziałem o życiu i o ludziach; spędzałem czas na niemądrych przyjemnościach. Dlaczego powodziło mi się tak dobrze, podczas gdy inni cierpieli? Zrozumiałem, że jestem raczej w wyjątkowej sytuacji i że większość ludzi na świecie to biedni i chorzy. Nie wydawało się to sprawiedliwe. Nawet wówczas, kiedy się nad tym zastanawiałem, moja piękna żona wydawała przyjęcie, podczas którego śliczne dziewczęta tańczyły i śpiewały, co tylko powiększało moją konfuzję. Kiedy zauważyła to moja rodzina, jej poszczególne członkowie doszli do wniosku, że dostarczona mi rozrywka jest nie wystarczająca i zmusili dziewczęta do jeszcze większego wysiłku, tak że padły w końcu ze zmęczenia. Jakżeż ucierpiała na tym ich uroda! Następnego ranka udałem się na targowisko i tam pośród kupców ujrzałem starego mnicha, ubranego z szorstką żółtą szatę, żebrzącego o pożywienie. Choć stary, chory i biedny, wydawał się uosobieniem spokoju i szczęścia. Wówczas postanowiłem być jemu podobny.

— Sądzę, że w tamtej chwili zostałeś oświecony — powiedział brat Paweł. — Być może prawdę ostateczną można odnaleźć tylko we własnym sercu. — Przypomniało mu się, że taka jest właśnie wiara kwaków.

Siddattha odwrócił się do niego.

— To wielce intrygująca myśl! Zastanawiam się, do czego też mógłbym dojść, siedząc po prostu pod tym Drzewem Bo i zgłębiając tę prawdę w mojej duszy.

Drzewo Bo! Dopiero teraz brat Paweł przypomniał sobie: nazywano je Drzewem Mądrości, ponieważ u jego stóp spędził Budda Najświętszą Noc i doznał przełomowego oświecenia.

— Wobec tego zostawię cię samego.

— O, nie, przyjacielu! Zostań ze mną i szukaj swej własnej prawdy — zachęcał go Siddattha.

Dlaczegoż by nie? Mogłoby to być bezpośrednią drogą do poszukiwanej odpowiedzi. Bóg, którego

odnalazł Budda — niewątpliwie musi być jednym z głównych pretendentów do godności Boga Tarota.

Zapadał zmierzch. Słońce zachodziło. Nie było im jednak dane medytować w spokoju. Grupa jakichś ludzi zbliżała się do Drzewa, i to najwyraźniej w złych zamiarach. Były wśród nich trzy młode i piękne kobiety; reszta zaś była zbieraniną zbirów.

Brat Paweł zerwał się na równe nogi, gotów odstraszyć intruzów, lecz Siddattha powstrzymał go. — To są zastępy Mary, Złego, który usiłuje odwieść nas od naszych poszukiwań. Od siedmiu lat depta mi po piętach. Nie grozi nam jednak z jego strony żadne fizyczne niebezpieczeństwo dopóki pozostajemy w cieniu tego Drzewa. Nie próbuj z nim walczyć; on właśnie tego pragnie. Nie można przecież zwalczać zła złem.

Czyżby tak naprawdę było? Brat Paweł cofnął się, polegając na osądzie Buddy. Nie miał tu przecież do czynienia ze zwyczajną potyczką!

I rzeczywiście, grupa zatrzymała się poza zasięgiem korony Drzewa. Ukazał się słoń, wielki i ciężki, aż ziemia drżała od jego kroków.

Jeźdźcem był korpulentny mężczyzna, ze złośliwym i szyderczym wyrazem twarzy. Był to bez wątpienia Zły.

— Ruszcie się stamtąd, tchórze! — zawołał Mara. Siddattha nie zmienił pozycji.

— Zły posiada osiem armii — wyjaśniał bratu Pawłowi. — Nazywają się Niezadowolenie, Głód, Pożądanie, Lenistwo, Tchórzostwo, Zwątpienie i Hipokryzja. Niewielu potrafi pokonać takie zastępy, ale ten, który zwycięży, zyskuje radość.

Brat Paweł zmarszczył brwi.

— Doliczyłem się tylko siedmiu. Nie żebym uważał, iż to mało.

Z kolei Siddattha zmarszczył brew.

— Zawsze zapominam jedną lub dwie. Zło nie jest moją specjalnością.

Trzy kobiety wysunęły się do przodu. Ubrane były w uwodzicielskie stroje i poruszały się w sposób, który dodawał im seksapilu.

— Poznajcie moje córki — zawołał Mara. — Są ekspertkami w dawaniu zadowolenia mężczyznom.

Trzy piękności wykonały zapraszające i zachęcające gesty. Brat Paweł odczuł ich siłę. W jakiś sposób animacji udało się stworzyć potrójne wcielenie Amaranty, a ta była doskonała w podobnych rolach.

— Nareszcie sobie przypomniałem imię ostatniej z armii Mary! — wykrzyknął uszczęśliwiony

Siddattha. — Żądza! — Wydawał się zadowolony tylko z intelektualnego aspektu tego faktu; nie kusiły go te bujne ciała.

Kobiety odwróciły się i odeszły, po raz ostatni wymownie poruszając kształtnymi biodrami. Było oczywiste, że poniosły porażkę. Siddattha nie da się uwieść pięknu ciała. A dlaczego miałyby mu ulec? Miał w domu żonę i syna, miał także koronę i prawdopodobnie pełen harem, gdyby tylko zechciał z niego skorzystać.

Teraz do przodu wysunęli się zbrojni, ubrani w skóry zwierzęce, gestykulujący dziko i hałaśliwi. Przypominali demony. Słońce już zaszło, ale światło księżyca oświetlało ich z nadnaturalną wyrazistością. Siddattha nie wyglądał na zaniepokojonego.

— Mara uosabia potrójne pragnienie: istnienia, przyjemności i władzy. Zaspokojenie egoistycznych pragnień jest Piekłem, a ci, którzy do takiego zaspokojenia dążą, to demony. — A ludzie — demony nie były w stanie mu zagrozić.

— Doskonała charakterystyka — zgodził się brat Paweł.

Podobał mu się ten człowiek; nie widział również niczego podejrzanego w jego filozofii. W jaki sposób miał jednak uzyskać pewność, że Bóg Buddy jest lub też nie jest Bogiem Tarota?

— Możemy tu siedzieć i przeprowadzać medytacje związane z Dziesięcioma Doskonałościami — powiedział Siddattha.

Żołnierze — demony wycofały się. Mara był wściekły.

— Usiłowałem postępować z wami delikatnie — krzyczał — ale nie doceniliście tego. Doświadczycie teraz mojego gniewu i siły mojej magii.

„Koniec z udawaniem Równego Gościa” — pomyślał brat Paweł, uśmiechając się do siebie.

Mara podniósł rękę. Natychmiast zadał wicher, tworząc trąbę powietrzną obejmującą swym zasięgiem całe Drzewo Bo. W jej centrum był jednak taki spokój, że nie drgnął ani jeden listek. Brat Paweł przyglądał się wirującej ścianie kurzu w zdumieniu i nie bez pewnej obawy, lecz Siddattha zignorował ją zupełnie.

— To tylko powietrze — szepnął do brata Pawła. Trąba powietrzna zniknęła.

— Wobec tego wypróbujemy wodę! — wrzasnął Mara.

Rozpętała się straszliwa burza, spadła potężna ulewa, zalewając w jednej chwili cały teren. Ani jedna kropla nie przedarła się jednak przez listowie Drzewa Bo, pod którym siedział spokojny i opanowany Siddattha. Natomiast słoń Mary był bardzo zaniepokojony, trąbił i przebierał nogami, rozchlapując wodę dookoła.

— Ziemia! — krzyknął Mara.

I burza przeszła w kanonadę kamieni, piasku i błota. I znowu nie miało to najmniejszego wpływu na siedzącego mężczyznę, który nie zmienił pozycji od czasu, kiedy to brat Paweł ujrzał go po raz pierwszy. Kilka kamieni przedostało się przez koronę Drzewa Bo, lecz spadły one na ziemię jak niegroźne kwiaty. Te zaś, które trafiły w słońca, wyrządziły szkodę; biedne zwierzę biegało w kółko, usiłując uniknąć pocisków z nieba.

— Ogień! — wrzasnął Mara.

Rozżarzone węgle spadły na trawę i krzewy wokół Drzewa Bo, zapalając je. Część gasła z sykiem w pobliskiej rzece. Siddattha nie odczuwał obawy, wobec czego nie można było uczynić mu żadnej krzywdy.

— Odparłeś atak czterech żywiołów — powiedział brat Paweł. — Pokonałeś Złego.

— Nie, bitwa dopiero się rozpoczęła. Teraz przystąpi on do oblężenia mego ducha.

Mara machnął ręką i światło księżyca zgasło, zalewając świat nieprzeniknioną czernią. Wówczas jednak rozżarzyło się samo drzewo Bo, przywracając w tym tylko miejscu widzialność. Mara ryknął z ciemności:

— Siddattha, wstań z tego miejsca! Ono należy do mnie, nie do ciebie! Siedzący pokręcił tylko przecząco głową.

— Jestem Księciem Świata! — wołał Mara. — Zawiaduję kołem Życia i Śmierci!

Światło powróciło, ukazując stojącą postać, trzymającą przed sobą olbrzymie koło z pięcioma szprychami w taki sposób, że tylko jej głowa, stopy i dłonie wystawały poza jej obwód. Ciało nie było widoczne poza kołem, którego cały środek wypełniały ruchome obrazy.

— Koło Zaistnienia — stwierdził Siddattha. — Dłoń śmierci dotyka każdego nowo narodzonego. Ja jednak nie umrę, dopóki moja misja nie zostanie spełniona.

— A cóż to za misja, wielki ignorancie? — pytał drwiąco Mara.

— Głoszenie Prawdy — odpowiedział mu prosto Siddattha.

— Jakiej prawdy?

Siddattha, któremu tak dobrze szło do tej pory, nie był w stanie udzielić odpowiedzi. Brat Paweł widział tę sytuację jako jeszcze jeden wariant gry zwanej „Tuziny”, w którym Budda odparowuje obelgi subtelnymi ripostami.

Mara ruszył do przodu, niosąc przed sobą Koło. Robiło ponure i groźne wrażenie. Jego poszczególne części kręciły się w przeciwnych kierunkach, powodując optyczną dezorientację u patrzącego.

— Jeśli nie potrafisz udzielić odpowiedzi, uschnięty asceto, zwycięstwo przypadnie mnie!

Rolę Mary odgrywał Therion i sprawiała mu ona wyraźną przyjemność.

Siddattha spojrział na siedzącego obok brata Pawła.

— Przyjacielu, obawiam się, że przegrałem tę potyczkę, bowiem Prawda nie została mi jeszcze objawiona, a Mara musi uzyskać odpowiedź.

W oczach miał łzy.

— Ale przecież Zły sprowadzi tylko samo zło na ten świat! — powiedział brat Paweł, jakby sądził, że te słowa mogą być rzeczywiście pomocne. — Kontroluje on Koło Zaistnienia i jest Księciem Świata. Tylko twoja dobroć może go powstrzymać!

Położył dłoń na kruchym ramieniu Siddatthy.

Ten kontakt fizyczny wywołał dziwną reakcję u ascetycznego męża.

— Czuję... czuję ducha Bożego — powiedział zdumiony. — Czy jesteś posłańcem od...?

— Nie, nie! — odpowiedział pośpiesznie brat Paweł. Wiedział, że to tylko rezultat kontaktu z jego aurą. — Ja również jestem poszukującym.

Coś jednak narastało. To, co dotychczas spoczywało uśpione wewnątrz Siddatthy przez całe jego życie, budziło się. Zaczynał być świadom swojej własnej aury — a była ona potężna.

— Duch Boży... jest we mnie — powiedział ze wzrastającą pewnością siebie. — Znalazłem klucz do Mądrości, Pierwszego Prawa Życia! Był on cały czas we mnie, czekając na tę chwilę.

Wstał. Był niewysoki, ale poczucie mocy czyniło jego postać imponującą.

— Słuchaj Maro i bądź przeklęty: Z DOBRA MUSI WYNIKAĆ DOBRO, A ZE ZŁA ZŁO.

Stwierdzenie to wprawiło w niejakie zakłopotanie brata Pawła. O ile dobrze pamiętał elementy logiki formalnej, fałszywa przesłanka prowadząca do prawdziwego wniosku uważana była za słuszną. Wynikałoby stąd, że jednak Dobro może wynikać ze Zła. Najwyraźniej jego towarzysz był innego zdania.

Mara wydał okrzyk bólu. Cofał się chwiejnym krokiem i wodził wokół rękoma, szukając swego słonia. Kiedy go wreszcie dotknął, zwierzę padło na ziemię. Jego podwładni wycofali się z pobliża Drzewa Bo w beładnym odwrocie.

Brat Paweł obserwował to wszystko w zdumieniu. Zrozumiał, że Siddattha jest teraz Buddą, Przebudzonym. I że, niezależnie od logiki formalnej, Bóg tego człowieka... zaiste mógłby być Bogiem Tarota. Jednak dla całkowitej pewności musi dokonać przeglądu innych wielkich religii świata, w celu ich ewentualnego wyeliminowania. Być może Ścieżka Ośmiu Możliwości jest tą właściwą, ale w tej chwili nie potrafi jeszcze rozstrzygnąć tego jednoznacznie.

— Nie ma powodu, bym pozostawał tu dłużej — powiedział do Buddy. — Mam nadzieję, że spotkamy się ponownie.

Drzewo Bo znikło.

Krajobraz, który otaczał brata Pawła, był oświetlony trzema słońcami: jednym normalnej wielkości i dwoma mniejszymi. Roślinność natomiast w dużym stopniu przypominała tę, która występuje na Ziemi, z tym że arktyczne świerki rosły obok palm tropikalnych. Powietrze nadawało się do oddychania, choć miało lekko odurzające właściwości. Grawitacja była słabsza od tej, do której był przyzwyczajony, ale teren był tak nierówny, że wydatek energii potrzebny do poruszania się na pewno równoważył zyski wynikające ze słabszego przyciągania.

Stał na pochyłej półce skalnej, tuż nad strumieniem płynącej lawy. Zapach, który dotarł z dołu do jego nozdrzy, spowodował, że cofnął się gwałtownie. Poślizgnął się przy tym i wylądował w śniegu. Zaledwie metr od wrzącej skały panował zimowy mróz. Nic dziwnego, że pas roślinności był tak wąziutki! Teren pomiędzy ostrym mrozem i ciągłym gorącem miał szerokość nie większą niż jeden do dwóch metrów.

Co to wszystko mogło mieć wspólnego z religią? Planował przecież sprawdzenie jednej z najnowszych i najbardziej żywych spośród wiar świata: voodoo. Pochodziła ona z Czarnej Afryki i rozprzestrzeniła się w obydwu Amerykach wraz z niewolnictwem. Chrześcijaństwo zostało narzucone społeczności kolorowej, która przyjęła je i stopiła swych rodzimych bogów ze świętymi katolickimi, tworząc w ten sposób podwójny panteon, który umożliwiał usatysfakcjonowanie misjonarzy i pozwalał dochować wiary starym bóstwom. Prawda, gdyby kiedykolwiek ją ujawniono, była taka, że w dwudziestym wieku więcej było czcicieli voodoo na terenie obydwu kontynentów niż autentycznych chrześcijan, a ich przekonania religijne były silniejsze, praktyka zaś ściślej przestrzegana. Brat Paweł zetknął się bliżej z Karaibską Santerią, regionalnym kultem voodoo, w związku z poszukiwaniem swoich czarnych przodków, i stwierdził, że jest on zarówno przerażający, jak i pociągający. Rytuały polegające na wypruwaniu wnętrzości z kurczaków czy spożywaniu karaluchów napełniały go odrazą, natomiast szczerłość praktyk religijnych i moc, jaką ta religia posiadała nad masami, zaspokajały jego młodzieńczą potrzebę przynależności do grupy. Później, już jako brat w Świętym Zakonie Wizyjnym, miał do czynienia na poziomie profesjonalnym z Santeros, Czarownikami, i doszedł do wniosku, że ogólnie rzecz biorąc wykazywali oni wielką troskę o potrzeby współwyznawców, podobną tej, która charakteryzuje księży katolickich, lekarzy i psychiatrów. Medycyna ludowa kwitła na terenach objętych voodoo. Święty Zakon Wizyjny nie wahał się odsyłać pewnych Osób z problemami do czarowników o znanej reputacji, jeśli zachodziła taka konieczność. Byli oni bowiem prawdziwymi uzdrowicielami czasów nowożytnych.

Ale to przecież nie jest Ziemia! Dlaczego animacja utworzyła coś takiego zamiast świątyni voodoo, której teraz poszukiwał? Czyżby to znowu działanie precesji? Jego zamiarem było ogarnąć religie świata, zbadać skrajności i zająć się samym centrum, eliminując tyle, ile to tylko możliwe. Naturalnie, w sposób obiektywny. Jeśli ma jednak do czynienia z precesją, nie wiadomo, co może się wydarzyć.

Ujrzał jakąś młodą kobietę, ubraną w przedziwny półkombinezon. Jedna jego strona, grubo

pikowana, pokrywała ją od stóp do głów. Po drugiej stronie nie było nic. Kobieta była po prostu półnaga.

— Zdaje się, że się zgubiłem — powiedział brat Paweł.

— A gdzie twoja połówka? — spytała.

— Ja... obawiam się, że nie rozumiem — powiedział, zmieniając pozycję, by uchronić swój lewy bok przed działaniem zimna ciągnącego od śniegu. Pojął nagle praktyczne zalety jej stroju: prawy jej bok był izolowany od zimowej strony półki, podczas gdy strona letnia nie sprawiała zbyt dużej przykrości jej gołemu ciału. Zapewne idąc w odwrotnym kierunku przestawiała ten strój na swój drugi bok. Najwyraźniej powietrze na tej planecie nie ulegało wpływowi prądów konwekcyjnych, jeśli takie tu występowały, co pozwalało na współwystępowanie ekstremalnych postaci klimatu bez żadnych turbulencji. Kiedy jednak przychodziły burze, musiały być one bardzo gwałtowne.

— Gdzie jest twoja siostra, twoja żona? — zapytała.

— Nie mam ani siostry, ani żony.

— Mam na myśli twoją partnerkę, według Xe Ni Qolz — wyjaśniła.

— Jak to możliwe, że wędrujesz jako połówka? Sytuacja nie stawała się ani trochę bardziej zrozumiała!

— Właśnie przybyłem tutaj z... innej planety. Jestem jedyńskim, do tego bezzennym.

Zmarszczyła swe ładne czołko.

— Nie wiedziałam, że przyleciał jeszcze jeden statek. Powinieneś się gdzieś ukryć, nim sprowadzisz na nas wszystkich wielką biedę.

— Nie wiem nawet gdzie jestem i na czym polega problem! Przyglądała mu się w zadumie.

— Słuchaj, sytuacja jest dość niespodziewana, ale może stać się szansą dla nas obojga. Pokłóciłam się właśnie z moim brameżem, wyrwałam się na zewnątrz sama, a teraz obawiam się, że Nath może nas przyuważyć. Co byś powiedział na to, że się dopełnimy?

Brat Paweł nic nie pojmował.

— Bramaż? Nath? Co oznaczają te słowa?

Podeszła bliżej i wzięła go za ramię.

— Nie ma czasu na wyjaśnienia — powiedziała. — Popatrz, tam jest jeden z nich!

Popatrzył za jej wzrokiem. Brzegiem nawisu śnieżnego przesuwało się coś, co wyglądało na dywan, tyle tylko że ślizgał się on pod górę.

— To... to chyba nie jest żywe? — wyszeptał zdumiony.

— Siedź cicho — odszepnęła. — Pozwól mi mówić. Wyglądało na to, że nie ma wyboru.

Dywan zatrzymał się dwa metry od nich. Brat Paweł zauważył, że poruszał się on, wyrzucając miriady małych haczyków na nitkach i podciągając się do przodu poprzez zwijanie ich gdzieś do wewnątrz. Prawdziwie obcy sposób lokomocji!

— Dobrego wciągania haczyków, Solaryjczycy — powiedziała istota. Jej mowa brzmiała dziwnie staccato. Brat Paweł domyślił się, że uderzała ona o podłoże setkami miniaturowych młoteczków, tak aby wygenerować dźwięki mowy ludzkiej.

— Nawzajem — odpowiedziała dziewczyna.

— Którą z całości — par jesteście? — zapytał Nath.

— Ja... my... — jąkała się, bowiem nie знаła imienia brata Pawła.

— Jestem brat Paweł — włączył się do rozmowy. — Ze Świętego...

— A ja jestem siostra Ruby — przerwała mu. Po czym odwróciła się do brata Pawła i zarzuciła mu ramiona na szyję, przyciskając mocno i letnią, i zimową pierś do jego torsu i całując go namiętnie w usta.

— Taka miłość między rodzeństwem to radość dla oczu — powiedział Nath. — Niech Koło obraca się gładko dla waszego odrodzenia.

Po czym stwór uniósł się lekko ponad śniegiem i zatoczył wokół nich koło.

— Niech Xe Ba Va Ra cię wspomaga — zawołała za nim Ruby, kiedy już się oddalał.

— No dobrze — powiedział brat Paweł. Naturalnie już ją rozpoznał. Amaranta w zupełnie nowej roli. Ponętna jak zawsze. Zastanawiał się teraz, kto odgrywał rolę Buddy w poprzedniej scenie. Nie był to bowiem ani Lee, ani Amaranta. Był na to zbyt filigranowy. — Czy wyjaśnisz mi teraz, co...

— Tak, tak. Wszystko, co trzeba — powiedziała. — Pójdź ze mną do świątyni Tarota, a w drodze ci wszystko wytłumaczę.

Ruszyła do przodu skalną półką, przemykając się zręcznie wśród listowia. Poszedł więc za nią. Nie mógł tu przecież pozostać; przebywanie w tym arktycznym tropiku było bardzo nieprzyjemne.

— Po pierwsze — powiedział, kiedy się z nią zrównał i kiedy zebrał myśli rozproszone na moment, zaprzątnięte bowiem rozpatrywaniem sposobu, w jaki jego oddech zamieniał się w mgiełkę po zimowej stronie ścieżki, i ruchem jej jędrnego, gołego pośladka po stronie gorącej. — Cóż to za świat?

— Jesteśmy kolonią ziemian w gromadzie gwiazdnej Hyjad — odpowiedziała. — Kolonia nasza

powstała trzysta lat temu dzięki teleportacji, po czym okazało się, że znalazła się ona w sferze Nath, wobec czego jesteśmy zmuszeni podlegać jej władzom. Ponieważ przestały docierać do nas dostawy z Ziemi, a Nathowie są tu od dawna zdomowieni, to może i dobrze, że tak jest. Musimy jedynie przestrzegać ich praw i szanować ich zwyczaje, a traktują nas równie dobrze jak traktowałyby nas sfera Soi. Nawet może lepiej. Jest to bowiem sprawa Przymierza Między sfero wego. Nie sądzę, by istniały jakieś stosunki dyplomatyczne między Soi a Nathem, ale wiem, że na obrzeżach sfer są pewne ustalone, obowiązujące w całej Galaktyce, sposoby postępowania...

— Chwileczkę, chwileczkę! — zawołał brat Paweł. — Chcesz przez to powiedzieć, że ludzie znajdują się pod rządami obcych istot, które na dodatek wyglądają jak... jak ten dywan?

— Tak, naturalnie. Nathowie naprawdę są bardzo sympatyczni. Z początku były pewne kłopoty, ale kiedy już wprowadzono Koło Tarota, wszystko się jakoś ułożyło. Teraz możemy darzyć czcią naszych własnych świętych, a oni zupełnie sobie z tego nie zdają sprawy.

— Koło Tarota — powtórzył brat Paweł. — Czy ma ono jakiś związek z Kołem Życia i Śmierci lub Kołem Zaistnienia?

— Tak, również tak bywa nazywane. Ono...

— Z pięcioma szprychami? I z każdą częścią reprezentującą...

— Tak. Nathowie nazywają te części: Energia, Ciała Gazowe, Ciała Płynne, Ciała Stałe i Plazma. Jak wiesz, jest to pięć stanów materii, przy czym każdy z nich przechodzi kolejno w następny, zataczając w ten sposób koło. Każdy też posiada swe bóstwo, które my nazywamy...

— Oddajecie cześć obcym bogom? — zapytał zatrwożony. Zatrzymała się na chwilę.

— Posłuchaj, bracie — gdybyśmy nie szanowali ich wiary, ich misjonarze zostaliby wycofani, a rząd mógłby podjąć decyzję o zaprzestaniu wydawania cennych środków na podtrzymanie przy życiu kolonii jakichś obcych osadników. Wyposażenie, materiały, wiedza technologiczna, łączność Na — thów są nam niezbędne i gdybyśmy ich nie otrzymywali — no cóż, możesz sobie wyobrazić przetrwanie w takich warunkach bez niczyjej pomocy? — Zatoczyła ręką półkole, wskazując na zbocze, na lawę i na lód. — Wyznajemy więc ich religię. Nie żądają tego od nas, ale jednak jest to konieczne.

Tak jak Czarni i Czerwonoskórzy w Ameryce Łacińskiej musieli wyznawać wiarę chrześcijańską. Zaczynał wreszcie pojmować sytuację.

— Stopiliście więc w jedno waszych świętych z ich duchami, żeby sądzili, iż wyznajecie ich religię?

— Zgadza się. Było to zupełnie łatwe w przypadku czterech części Koła. Ich bóg Ciał Gazowych, Xe Kwi Stofr, to nasz święty Krzysztof, a...

— Nie za bardzo dostrzegam związek. Ciało Gazowe odpowiada przecież żywiołowi Powietrza, który w Tarocie jest kolorem Mieczów, na ogół powiązany z intelektem, nauką czy kłopotami,

podczas gdy święty Krzysztof...

Ścieżka doprowadziła ich do małej dolinki osłoniętej wiszącą skałą. Znajdował się tam budynek w kształcie koła z pięcioma szprychami przykrytego dachem. Solidne tamy rozdzielały strumień lawy; przepływała ona po obydwu stronach Koła, topiąc lód po drodze. Wianuszek drzew rozmaitych gatunków otaczał Koło na utworzonej w ten sposób wyspie. Najwyraźniej ten strumień lawy płynął stale — zjawisko zaprawdę obce ziemskiemu doświadczeniu i wystarczająco zaskakujące, by przerwać tok myśli każdego nowo przybyłego. Wąski mostek, zbudowany z kamienia, prowadził nad strumieniami lawy na wyspę. Wszystko to byłoby bardzo trudne technicznie do skonstruowania bez maszyn i zaawansowanej technologii — a takowych koloniści nie posiadali. Niewątpliwie była to więc robota dobroczynnej, obcej cywilizacji: Nathów.

Było całkiem logiczne, że w kosmosie istnieje więcej istot rozumnych, a nie tylko protoplazmatyczni mieszkańcy Antaresa. Nie było więc powodu do specjalnego zdziwienia. Człowiek nieuchronnie spotyka obcych na swojej drodze i dobrze będzie, jeśli wykorzysta istniejące mechanizmy pokojowego współżycia.

— Pozwól sobie powiedzieć kilka słów o świętym Krzysztofie — ciągnęła Roby. — Był on silnym mężczyzną, który postanowił pracować dla najpotężniejszego króla na Ziemi. Kiedy stwierdził, że nawet ten najpotężniejszy z królów boi się Diabła, poszedł na służbę do Diabła. A kiedy Diabeł wzdrygał się ze strachu na widok Krzyża, Krzysztof zaczął szukać tego, który był z tym Krzyżem związany...

— Tak, naturalnie — powiedział brat Paweł. — Chodzi o Jezusa...

— Nie wymawiaj tego imienia! — krzyknęła, przerywając mu. — Nathowie znają źródła naszej religii i gdyby zaczęli podejrzewać, że popadamy ponownie w grzech...

Brat Paweł skinął głową.

— Tak tedy Miecz Tarota staje się Krzyżem, którego szuka święty Krzysztof. A kolor Pałek staje się...

— Świętą Barbarą, uwięzioną w wieży, ponieważ nie zechciała poślubić poganina — dokończyła. — Piorun, który pomścił jej męczeństwo, jest natomiast symbolem energii Ducha Natury Nathów Xe Ba Va Ra. A kolor Monet reprezentuje ich Ciała Stałe, Ducha Handlu, Xe Jun Olm Nar, którego my nazywamy z kolei świętym Janem Jałmużnikiem, z powodu jego hojności w rozdawaniu jałmużny. Ich duch sztuki, Xe Gul Yia Na, to nasza święta Juliana. Jedynym problemem pozostaje...

— Nieźle to sobie obmyśliliście — powiedział brat Paweł. — Dziwi mnie tylko, że zwykła zmiana imion była w stanie przekonać Nathów, że nawróciliście się na ich religię.

A przecież ten sam sposób okazał się skuteczny w przypadku wyznawców voodoo w krajach chrześcijańskich. Kiedy ktoś klękał przed figurą świętej Barbary, wymawiał jej imię z szacunkiem, składał ofiarę, czyż można było być pewnym, że modli się on do katolickiego świętego, a nie do Xango, boga piorunów w religii voodoo? Skąd można czerpać pewność, że to ten, a nie inny z bogów

wysłuchuje modlitwy? A wreszcie, czy to naprawdę takie istotne?

— Nathowie nie oddzielają spraw religii od spraw moralności — powiedziała dziewczyna. — Uważają, że jeśli wierzymy w ich duchy, postępujemy także zgodnie z ich kodem kulturowym. Nie dociekają więc zbyt szczegółowo naszej intencji, dopóki jawnie nie gwałcimy pewnych zasad. A jednak...

— Nathowie robią wrażenie sympatycznych istot — powiedział brat Paweł. Przechodzili właśnie przez most. Wzdrygnął się, bo poczuł odór Snących oparów napływających z dołu. — Nie odnoszę się krytycznie do Waszej religii, bo jest ona i moją własną, choć zapewne wyznaję wcześniejszą jej wersję.

— Wcześniejszą o trzysta lat — powiedziała.

— Tak? A skąd ty to możesz wiedzieć? — Zadając to pytanie oczekiwał jakichś protestów ze strony osoby odgrywającej obecną rolę, która przecież nie była chrześcijanką. Powinna kipieć z wściekłości.

— Tyle czasu potrzebuje statek — zamrażarka, żeby dotrzeć tutaj z Ziemi, jeśli porusza się z prędkością równą połowie prędkości światła lub trochę mniejszą. Jesteś więc mieszkańcem Ziemi z dwudziestego albo dwudziestego pierwszego wieku, odmrożonym po podróży, która wydawała ci się tylko chwilą.

Statek — zamrażarka? Hibernacja trwająca trzy wieki? Cóż, to całkiem naturalne rozumowanie w przypadku tubylczej dziewczyny. Skąd jednak Amaranta mogła wiedzieć o takich sprawach, zakładając oczywiście, że tak będzie wyglądać przyszła historia? Pewne subtelności tkwiące w tych animacjach wydawały się nie podlegać racjonalnym wytłumaczeniom.

— W każdym razie — kontynuował, kiedy wprowadziła go do części budynku oznaczonej obrazem świętego Mikołaja z gęstą białą brodą, ubranego w charakterystyczny czerwony strój — nie uważam, by wybieg tego rodzaju był tutaj konieczny. Dlaczego nie poinformujecie Nathów, że obdarzacie czią podobnych bogów, różniących się od ich własnych tylko imionami? Jestem pewny, że was rozumieją.

— Owszem, rozumieją. Zresztą rozumieją już teraz. Lecz tylko w czterech aspektach Koła. W piątym...

— To byłby kolor... — Przerwał zdumiony. — Chwileczkę! Przecież już są cztery kolory! Koło podzielone na pięć części nie może odpowiadać...

— Znajdujemy się teraz w części Koła reprezentującej aspekt Ponownego Podziału, ten kłopotliwy i problematyczny — powiedziała, ściągając swój jednostronny kombinezon. Stała przed nim naga i choć poprzednio była naga w połowie, a to, co odsłoniła, było tylko lustrzanym odbiciem stanu sprzed chwili, wydawała się o wiele bardziej naga niż wskazywałby na to zdrowy rozsądek. — Rządzony przez stan Płynny lub Ducha Wiary, który jest kluczem tego całego kompromisu. Xe Ni Qolz, nazywany przez nas...

— Święty Mikołaj! — zawołał, kojarząc sobie natychmiast jej słowa z wiszącym obrazem. — Stary, dobry święty Mikołaj!

— Tak, święty dzieci. — Ujęła jego dłoń i poprowadziła do szerokiej kanapy. Było zdumiewające, jak zdawkowa czynność rozbierania się mogła mieć całkiem poważne implikacje. Przedtem patrzył tylko na jej okrytą połowę; teraz... — Nathowie nas co prawda nie szpiegują, lecz ściany są zupełnie przenikliwe dla ich wzroku. Nie używają także naszego zakresu dźwięków; stosują raczej infradźwięki. Tak więc ich gubernator doskonale wie, co się tu dzieje.

— Cóż, nie mamy nic do ukrycia — powiedział z pewnym zażenowaniem. Ona niewątpliwie nic nie ukrywała, fizycznie rzecz biorąc. Traktowała swe ciało z dużą swobodą, co dobrze pamiętał z poprzedniej animacji — tyle że nie był całkiem pewien, czy to właśnie jej ciało...

Zdusił swe myśli w zarodku. Tym razem zamierzał trzymać się od niej z daleka. Potrzebował jedynie informacji.

— Jest jednak coś, co musimy ukrywać — powiedziała. — Jedyna sprawa, w której nie możemy iść na rękę Nathom, my koloniści. — Zaczęła ściągać z niego ubranie.

— Przestań! — zaprotestował.

Przytuliła się do niego i pocałowała go. — Nie rób zamieszania. Rozluźnij się i postaraj czerpać z tego przyjemność. Pamiętasz, że powiedzieliśmy Nathowi, iż jesteśmy rodzeństwem. A oni mają doskonałą łączność i natychmiast się zorientują, jeśli nie odegramy właściwie swych ról.

— Jestem brat Paweł ze Świętego Zakonu Wizyjnego — powiedział, zdecydowany nie pozwolić, by przegląd religii zakończył się tak jak w pierwszej animacji. Ona prawdopodobnie była również zdecydowana udzielić mu próbki samej siebie, lecz był pewien, że jej nie przyjmie. — To taki tytuł, wskazujący na mój status społeczny. Nie oznacza przecież, że jestem twoim biologicznym bratem — a zresztą to, co czynisz, nie przypomina mi siostrzanego podejścia do brata.

. — Zamknij się i posłuchaj — powiedziała, nie przerywając czynności rozbierania go, pomimo jego oporu. — Nathowie oczekują od nas zachowania właściwej moralności seksualnej; po tym poznają, czy jesteśmy rzeczywiście nawróceni. Pogwałcenie tych standardów... — Rozłożyła ramiona w niemej prośbie. — Nie przetrwalibyśmy jako kolonia bez ich pomocy. Widziałeś, co to za planeta — a to tylko jej część nadająca się do zamieszkania! Sądzymy, że to bliskość tylu gwiazd wywołuje ciągłe ruchy skorupy planetarnej, powodując działalność wulkaniczną — nie żebym miała coś przeciwko wulkanom, ale...

— No dobrze... — Wiedział, że lubiła wulkany, zarówno w naturze jak i symbolice, tak jak lubiła węże. — Potrzebna wam pomoc Nathów. To rozumiem. Uważam też za słuszne, że Nathowie nalegają na utrzymanie moralności seksualnej. Ja też na to nalegam! Ty natomiast...

— Nathowie rozmnażają się troszkę inaczej od nas — powiedziała. — Każdy z nich jest obojnakiem; posiada część męską i żeńską. Ten, z którym rozmawialiśmy, był w rzeczywistości małżeństwem.

— Już pojmuję. — Kiedy Nathowie się wiążą, robią to dosłownie. Na pewno jednak są w stanie zrozumieć, że ludzie, hm, stapiają się w ten sposób tylko w celach prokreacji. Nie mogą od nas oczekiwać, byśmy byli ze sobą złączeni fizycznie na stałe...

— Oni to rozumieją. Oczekują jednak, że pary małżeńskie będą pozostawać w rozsądnej bliskości ze sobą i że będą się stapiać w miarę często. Dlatego też wykazujemy tutaj o wiele więcej czułości niż ludzie na Ziemi, do czego byłeś przyzwyczajony. Zupełnie nam to nie przeszkadza. Wydaje się natomiast wzmocnić związki między dwojgiem ludzi.

— W przypadku małżeństw, to rozumiałe. Jeśli zaś chodzi o ciebie o mnie, to jeśli zaakceptujemy twoją odpowiedź Nathowi, że jesteśmy .watem i siostrą, wówczas...

— Och, bądź już cicho — powiedziała. — Musiałam tak to przekazać Nathowi, ponieważ tutaj ludzie nie chodzą nigdzie pojedynczo. Zgodnie z logiką Nathów, połowa istoty nie może istnieć samodzielnie. Cała kolonia wpadłaby w poważne tarapaty, a nie tylko ty i ja. Nie uwierzysz, jak wrażliwi są oni na tym jednym punkcie. Na punkcie tej swojej cholernej religii! Ja postąpiłam głupio wychodząc na dwór samotnie, a ty opuszczając statek bez odpowiednich instrukcji i bez przewodnika.

— Bardzo mi przykro — mruknął przepraszająco. — Jeśli jednak przestaniesz mnie rozbierać, łatwiej mi przyjdzie wysłuchać tego, co masz do powiedzenia.

— No dobrze, możemy przez jakiś czas poudawać — zgodziła się niechętnie. Pchnęła go na kanapę i położyła się obok niego w bardzo prowokującej pozycji. — Kiedy Nathowie chcą się rozmnożyć, rozszczepiają się. Dzielą się na połówkę żeńską i męską. Jest to jeden z dwóch przypadków w ich życiu, kiedy nie są ściśle ze sobą złączeni. Po czym każda z połówek regeneruje się. Czy ziemskie robaki ciągle postępują w ten sposób?

— Tak, ciągle to robią — zapewnił ją brat Paweł.

— Z tym, że męska połówka Natha nie jest w stanie odtworzyć płci żeńskiej i odwrotnie. Męska połówka regeneruje tkankę męską, a żeńska żeńską. Czy czujesz się zażenowany tym, co mówię?

— Mówisz przecież o rozmnażaniu się obcego, pozaziemskiego gatunku — przypomniał jej. — Dlaczegoż miałbym odczuwać w związku z tym jakieś zażenowanie? — W rzeczywistości był zakłopotany i zażenowany, ale miało to związek z jej ciałem i jej postępowaniem, a nie z tym, o czym mówiła.

— Rzeczywiście, dopiero co przybyłeś z Ziemi. Nie możesz więc wyczuwać miejscowej pornografii. W każdym razem, para jednopłciowa jest z natury rzeczy bardzo nietrwała.

— Domyślam się — zgodził się brat Paweł. — Byłaby przecież podobna do pary w układzie homoseksualnym lub lesbijskim...

— Tyle że jest ona niezbędnym elementem ich procesu rozmnażania — powiedziała. — Jednopłciowość powoduje natychmiast ponowny podział. W jego wyniku powstaje czterech sub-

Nathów. Konkretnie zaś są to: oryginał płci męskiej i osobnik z tego oryginału zregenerowany oraz ich żeńskie odpowiedniki. Potem następuje rekombinacja, tworząca...

— Rozumiem — powiedział brat Paweł. — W istocie przypomina to rodzinę ludzką. Para rodzicielska ma dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Lecz jest tutaj pewna różnica w szczegółach, lecz...

— Te szczegóły to cała olbrzymia różnica — powiedziała. — Niektóre fragmenty takiej rodziny muszą ją opuścić i połączyć się z fragmentami innych rodzin, po to, by utrzymać ciągły ruch w puli genetycznej...

— Tak, naturalnie. Właśnie dlatego ludzie na Ziemi są egzogamiczni, co znaczy, że poszukują współmałżonków poza najbliższą rodziną. Gdyby tak nie postępowali, nasz ludzki gatunek wytworzyłby dość szybko nowe i całkiem odmienne gatunki. Należy wyeliminować chów wsobny...

— To nie dzieci, te nowo powstałe osobniki są tutaj egzogamiczne — powiedziała Ruby. — Są na to zbyt niedoświadczone. Te osobniki starsze oddzielają się i pojawiają w innych układach. One...

— Muszą się rozwieść po prokreacji? — spytał brat Paweł. — Nie tak sobie wyobrażałem trwałą związek małżeński! A kto opiekuje się dziećmi?

— Radzą sobie same, z pewną pomocą ze strony społeczności Nathów. Tworzą parę, stapiając się i...

Brat Paweł był wstrząśnięty. — Ależ to przecież kazirodztwo!

— Zaczynasz wreszcie rozumieć, na czym polega problem — powiedziała. — Według ich standardów i zgodnie z ich religią jest rzeczą niemoralną w; przypadku rodzeństwa nie łączyć się ze sobą, a w przypadku rodziców nie odłączyć się i nie połączyć z innymi rozwiedzionymi. Jeśli tedy zależy nam na tym, by Nathowie wsparli naszą ludzką enklawę tutaj...

— Musimy popełniać kazirodztwo i rozbijać rodziny — dokończył brat Paweł. — Nareszcie pojmuję o co chodzi. Jako kolonia jesteście rozdarci pomiędzy potrzebą przetrwania a moralnością seksualną człowieka. Jednak, gdybyście wyjaśnili tę zasadniczą różnicę Nathom...

— Usiłowali to uczynić nasi przodkowie — powiedziała. — Misjonarze Nathów wyjaśnili nam swoje stanowisko w tej sprawie. Powiedzieli, że jako gatunek żyliśmy w niewybaczalnym grzechu i nie mogli nam w takiej sytuacji pomóc. Wbrew samym sobie musieli nas jednak poprowadzić do światła, bo uważali to za swój obowiązek. Nathowie potrafią być bardzo elastyczni, lecz w tym jednym punkcie są niewzruszeni.

— Jak to misjonarze — powiedział brat Paweł, wzdychając. — Jak sobie radzicie z obchodzeniem tych niewzruszonych zasad?

— Biologowie Nathów prawdopodobnie wiedzą, a misjonarze nie wiedzą lub udają tylko, że nie wiedzą, iż pary ludzkie na ogół nie miewają bliźniaków, a jeśli już rodzą się bliźnięta, to rzadko jest to chłopiec i dziewczynka. Dlatego też w przypadku narodzin naszych potomków spotykamy się tutaj

w dziecięcym segmencie Koła i potajemnie dokonujemy wymiany, tworząc pary egzogamiczne, które potem wychowujemy jako rodzeństwa. Wszyscy ludzie są dla Nathów podobni do siebie, wobec czego udaje nam się ich oszukiwać. Nathowie potrafią, co prawda, obserwować dokładnie jakąś poszczególną rodzinę, jeśli zechcą, co może w tej chwili dotyczyć nas dwojga, ale kiedy mają do czynienia z większą grupą, nie starają się być zbyt dociekliwi. W ten sposób nasze dzieci rosną i rozmnażają się bez szkody dla ludzkiej puli genetycznej. Po czym, z błogosławieństwem Nathów, rozwodzą się i szukają partnerów na współmałżonków.

— Brat Paweł potrząsnął głową.

— Rozumiem konieczność, lecz przerażają mnie stosowane środki!

— A teraz już kochajmy się — powiedziała Ruby. — Staną się bardzo podejrzliwi, jeśli będziemy zwlekać lub w ogóle z tego zrezygnujemy. Gdyby zdecydowali się przeprowadzić śledztwo i odkryliby prawdę, zmiotliby nas z powierzchni tej planety. Kolonia nie może sobie pozwolić na najmniejsze podejrzenia z ich strony!

— Lecz taki przypadkowy, od niechcienia seks...

— Przypadkowy, od niechcienia! Też coś! To poważna sprawa.

— Niezależnie od motywacji — politycznych czy ekonomicznych — jest to całkowicie sprzeczne z moją religią! — protestował.

— Nie masz prawa zjawiać się tutaj z twoimi nieistotnymi standardami moralnymi i narażać na niebezpieczeństwo całą naszą kolonię — odpowiedziała.

Brat Paweł uświadomił sobie, że miała, niestety, rację. Ta pseudoreligia kolonii ludzkiej osiadłej w gromadzie gwiazdnej Hyjad, gdzieś w przyszłości, była niewątpliwie ważna i prawomocna na swych własnych warunkach, niezależnie od tego, jak obca mogła mu się wydawać. Nie był w stanie jej zaakceptować — lecz nie mógł jej także potępić. A przecież, jeśli nie był w stanie wyeliminować ze swoich rozważań religii tego typu, na jakiej podstawie mógłby wyeliminować jakąkolwiek religię? Wszystkie przecież są prawomocne w danych warunkach. Może więc kontynuować swój przegląd religii do końca dni i nie być w stanie dokonać uzasadnionego wyboru. Jest równie daleki odpowiedzi na podstawowe pytania, jak na początku swej misji.

Który z bogów jest Bogiem Tarota? Żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, będzie zmuszony skorzystać z bardziej bezpośrednich środków. Wpierw jednak powinien rozwiązać aktualny problem. Animacje do pewnego stopnia podlegały jego kontroli, mimo bezustannego nacisku ze strony precesji. Mógł je więc, by tak rzec, wyłączyć, jeśli taka była jego wola. Lecz jeśli to uczyni, jeśli zrezygnuje z tej gry, bo już go zmęczyła, jaka będzie wartość odpowiedzi uzyskanych ewentualnie poprzez te animacje? W głębi duszy podejrzewał, że powinien grać tutaj w tę grę według własnych reguł, by chronić jej wagę i sens, co oznaczało, iż powinien rozwiązać stojący przed nim dylemat jeszcze przed wycofaniem się z tej animacji. Jak zachować własną prawość, a zarazem ochronić powodzenie i dobrobyt kolonii?

Aha — chyba znalazł rozwiązanie.

— Ruby, przecież tak naprawdę powinnaś się kochać ze swoim bratem–mężem, ze swoim brameżem, a nie ze mną. Nie jesteś aż tak bardzo wściekła na niego, prawda?

Zmarszczyła uroczo czołko, usiłując uniknąć bezpośredniej odpowiedzi.

— Nie ma go tutaj, a Nathowie...

— On tu jest. To mnie tutaj nie ma. Nie ma też żadnego statku z Ziemi. Jestem po prostu duchem.

Roześmiała się.

— Daj spokój! Tego nie ma w scenariuszu!

— Teraz już jest.

— W porządku. Odegram tę rolę. Zawsze byłam ciekawa, jak to się robi z duchem.

Za chwilę przyjmę swój właściwy kształt: kształt twojego ukochanego męża, który, jak się okaże, był tutaj z tobą przez cały ten czas. Czy jesteś gotowa?

— To nie może...

— Teraz. — Brat Paweł natężył siłę woli, mając nadzieję, że precesja nie zniweczy jego wysiłku, i zniknął.

Kiedy obraz otoczenia rozpływał się przed jego oczyma, brat Paweł zdążył jeszcze pomyśleć: ciekawe, kto gra rolę jej brameża?

12

Czas

(Sfinks)

Paul Christian w swej Historii i praktyce magii przedstawia szczegółowy opis Sfinksa. Wykuto go bezpośrednio w granicie płaskowyżu w taki sposób, że jego podstawa tworzy całość ze skałą podłoża, bez żadnych przerw czy szczelin. Wysoki jest na około siedemdziesiąt pięć stóp i długi na stóp sto pięćdziesiąt. Sama głowa mierzy około dwudziestu pięciu stóp wysokości, czternaście szerokości i ma osiemdziesiąt stóp w obwodzie. Warstwy skalne tworzą poziome pasy na jego twarzy, a usta ukształtowane są w przestrzeni pomiędzy dwiema takimi warstwami. W twarzy znajduje się głęboki na kilka stóp otwór, wypełniony zapewne kiedyś ozdobami. Posąg ma czerwony odcień i sprawia wrażenie, jak gdyby z napiętą uwagą patrzył i słuchał, świadom przeszłości i spoglądający w przyszłość.

Brat Paweł stał przed posągiem Sfinksa. Ten twór z kamienia robił szczególne wrażenie w świetle księżyca, tym bardziej że jego nos był nienaruszony: najwyraźniej był to czas przed Napoleonem, którego to żołnierze nos ten odstrzelili.

Cóż to za zwierzę, sprężone w sobie jak żywa istota! Brat Paweł poczuł mrowienie na karku. Była to przecież animacja; skąd mógł mieć pewność, że ten potwór rzeczywiście nie jest żywy?

Był on jednak absolutnie nieruchomy. Żadnego oddechu, żadnego bicia serca czy ruchu gałek ocznych. To tylko nieożywiony posąg. Na szczęście. Mimo wszystko sprawdzi go, dla pewności.

— Popęd płciowy wielbłąda jest silniejszy niż sądzi się normalnie — zacytował z pamięci wierszyk znany mu jeszcze z okresu przed wstąpieniem do Świętego Zakonu Wizyjnego. — W wędrówce przez pustynię jeden z nich zaatakował Sfinksa brutalnie.

Przerwał, nasłuchując i obserwując uważnie. Żadnej reakcji. Czy rzeczy — wieście ten potwór był nieożywiony, czy tylko się czaił?

— Teraz tylny otwór Sfinksa zasypują znad Nilu piaski — co wyjaśnia garb wielbłąda i uśmiech Sfinksa, enigmatyczny i płaski.

Ciągle nic. Nie było wątpliwości: jeśli to monstrum stało nieruchomo po wysłuchaniu takiego wierszyka, to znaczy, że było martwe.

Przyjrzał się jego poszczególnym partiom. Kobieca głowa, sugerująca judzką inteligencję, ludzkie aspiracje i strategie. Tułów byka znamionujący niezmożoną siłę niezbędną w pogoni za ludzkim losem. Łapy lwa oznaczające odwagę i siłę ludzkiej woli. I skrzydła orła, skrywające tę inteligencję, tę siłę i — odwagę do czasu, kiedy trzeba będzie wzlecieć. W ten sposób Sfinks jako całość symbolizuje utajoną inteligencję, siłę i wolę Panów i Mistrzów Czasu.

Sławni Grecy — Tales, Pitagoras, Platon i inni — studiowali u stóp tych mistrzów. Tales był pierwszym, który uznał wodę za podstawową substancję wszechświata i wyjaśnił problemy zmiany i trwałości. Pitagoras znany dzięki swej doktrynie wędrówki dusz i twierdzeniu Pitagorasa. Platon ceniony za dialogi, w których przedstawia swego nauczyciela Sokratesa, i za tezy, Roszące, że wiedza jest dobrem a ignorancja złem. Giganci filozofii, wszyscy trzej. Teraz brat Paweł miał spotkać mistrzów, których spotkali ci sławni Grecy — jeśli starczy mu śmiałości.

Nadszedł czas działania. Brat Paweł podszedł do monumentalnego posągu Sfinksa. Na jego piersi, pomiędzy wyciągniętymi łapami, widoczny był zarys jakichś drzwi. Drzwi te wykonane były z oksydowanego brązu, podobnego kolorytem do kamienia, w który były wmontowane. Brat Paweł wciągnął głęboko powietrze i dotknął drzwi dłonią.

Nie wydarzyło się nic. Metal drzwi był masywny, o neutralnej temperaturze — ani zimny, ani gorący. Zaczął wodzić dłonią po wyczuwalnych krawędziach, usiłując znaleźć jakiś uchwyt lub chociażby jakieś zagłębienie, ale nie znalazł tam nic poza gładką powierzchnią. Nie wiedział, jak je otworzyć.

Westchnął cicho. Uniósł dłoń i zapukał. Żadnej reakcji. Czy rzeczywiście chciał wejść do wnętrza? Zapukał ponownie, i po raz trzeci. Teoretycznie rzecz biorąc, starożytni mistrzowie byli w posiadaniu całej wiedzy i mogli odpowiedzieć na jego pytanie — jeśli taka byłaby ich wola. Wpierw jednak musiałby się poddać ich obrządkowi przejścia. A to, według szeptanej legendy, mogło być niebezpieczne dla zdrowia. Pukał więc dalej, mając nadzieję że ktoś na to pukanie zareaguje. Kiedy zapukał po raz piąty, drzwi otwarły się bezszelestnie.

Ujrzał dwie zakapturzone postacie. Jedna, sądząc po posturze i zachowaniu, była mężczyzną; druga niższa i drobniejsza, zapewne była kobietą.

— Jesteśmy Thesmothetami, strażnikami Obrządków — powiedział mężczyzna. — Kim jesteś ty, który pukasz do drzwi Sanktuarium Okultystycznego?

Brat Paweł opanował swą nerwowość.

— Jestem skromnym poszukiwaczem prawdy. Chciałbym poznać toż — i Prawdziwego Boga Tarota.

Wydawało mu się, że dostrzegł grymas gniewu na twarzy pod kapturem.

— Czy wiesz, kandydacie, że musisz zdać się całkowicie na naszą łaskę? — spytał Thesmotheta. — Że musisz postępować zgodnie z naszą radą, jak gdyby była rozkazem, nie zadając przy tym żadnych pytań?

Brat Paweł przełknął ślinę.

— Rozumiem to, Thesmotheto.

Mężczyzna stanął z boku.

— Wejdz, kandydacie.

Brat Paweł wszedł do środka. Kobieta dotknęła ściany; mała sprężyna cofnęła się pod jej dotknięciem, zwalniając ukryty mechanizm. Drzwi zamknęły się bezszelestnie i znaleźli się w całkowitych ciemnościach.

Mała rączka ujęła jego dłoń. Niewątpliwie należała do kobiety. Poprowadziła go naprzód, do samych wnętrzności Sfinksa. Do miejsca trawienia? Popęd płciowy wielbłąda... nie, nawet o tym nie myśl! Delikatnym naciskiem na jego palce, kobieta dała mu znać, żeby się zatrzymał. Czuł, że jej ciało znalazło się kilka centymetrów niżej niż poprzednio i domyślił się, iż zstąpiła w dół z jakiegoś stopnia. Ostrożnie wysunął stopę i wymacał ten stopień. Były to kręcone schody. Brat Paweł należał do tych, którzy, chcąc nie chcąc, muszą liczyć wszystko; usiłował zerwać z tym przyzwyczajeniem w ostatnich latach, lecz w sytuacjach stresowych nie mógł się opanować. Musiał po prostu wiedzieć, ile jest tego, co właśnie liczy, cokolwiek by to nie było i jak mało istotne by to nie było. Naliczył trzydzieści stopni, nim schody się skończyły.

Przed nimi były następne drzwi — także z brązu — które należało otworzyć, przejść przez nie i je zamknąć. Najwyraźniej Thesmotheci znali ten labirynt na pamięć i bezbłędnie odnajdywali w nim drogę. W nowym korytarzu powietrze było chłodniejsze, ale nie stęchłe. Oznaczało to dobrą wentylację; znajdował się przecież w czasach o kilka tysiącleci wcześniejszych od ery klimatyzacji.

Kroki jego wzbudzały echo, jak gdyby znajdował się w wielkim, kolistym pomieszczeniu. Przypomniało mu się opowiadanie E. A. Poe'a zatytułowane *Studnia i wahadło* i nerwowość jego wzrosła jeszcze bardziej. Naturalnie, miał u swego boku przewodników dobrze znających drogę; nie pozwolą mu przecież wpaść do lochu, z wahadłem czy bez wahadła.

Nagle obydwójce Thesmotheci zatrzymali się, a ramię mężczyzny zagrodziło bratu Pawłowi dalszą drogę.

— Stoimy na skraju przepaści — powiedział mężczyzna. — Wystarczy jeden krok, byś znalazł się na dnie.

No właśnie. Gdyby szedł tą drogą samotnie, na pewno w tych ciemnościach nie udałoby mu się uniknąć nieszczęścia. Powinien był wziąć ze sobą jakieś źródło światła — ale wówczas nie wpuszczono by go do środka.

— Poczekam — powiedział.

Miał zamiar zapytać o cel tego marszu aż na brzeg przepaści, przypomniał sobie jednak w porę, że nie wolno mu zadawać żadnych pytań. Mimo to, uzyskał odpowiedź na nie wyartykułowane pytanie.

— Ta otchłań — powiedział mężczyzna — otacza Świątynię Tajemnic i chroni ją przed lekkomyślnością i ciekawością nie wtajemniczonych. Przybyliśmy troszkę za wcześnie; nasi bracia nie opuścili jeszcze mostu zwodzonego, po którym wtajemniczeni docierają do tego świętego miejsca. Poczekamy na ich przybycie. Jeśli jednak cenisz sobie swoje życie, nie uczynisz żadnego ruchu, chyba że ci na to pozwolę.

Czy nie za dużo tych ostrzeżeń? Może tam jest jakaś otchłań, a może jej nie ma — brat Paweł nie mógł jednak pozwolić sobie na założenie, że nie ma tam żadnego zagrożenia. Szczególnie po doświadczeniach w innych animacjach. Tym razem zaaranżowano to tak, że całkowicie zneutralizowano jego kontrolę nad poszczególnymi wizjami. Był na łasce tej anonimowej pary, i to od momentu wejścia do Sfinksa. Przyszedł tu jednak z własnej i nieprzymuszonej woli; znajdował się na progu Nieznanego i jeśli czekała na niego odpowiedź...

Zabłyśło światło, oślepiające po okresie ciemności. Ujrzał przed sobą dwa groteskowe monstra, odziane w białe lniane szaty: jedno przewiązane złocistym pasem i z głową lwa, drugie z pasem srebrzystym i głową byka. Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się już do zmienionych warunków i zaczął rozróżniać szczegóły tych dwu postaci, pomiędzy nimi uniosła się ukryta przed nim wcześniej kłapa w podłodze. W otworze pojawiło się odrażające widmo z kosą. Przypominało Śmierć z ilustracji Tarota. Z przerażającym rykiem machnęło kosą, celując w głowę brata Pawła. Pierwszą instynktowną reakcją było odskoczenie do tyłu, by znaleźć się poza zasięgiem tej broni. Drugą — zanurkować pod ostrzem i wziąć się za bary z widmem. Przeważyla jednak ta trzecia: stać, nie czyniąc najmniejszego ruchu. Ostrze kosi świsnęło tak blisko jego głowy, że mogło zapewne zrobić mu przedziałek we włosach. I rzeczywiście, mały ich kosmyk spłynął mu po twarzy.

— Biada temu, który zakłóca spokój umarłym! — wrzasnęło monstrum, robiąc pełen obrót i ponownie celując kosą w brata Pawła.

Ten jednak po raz drugi ocenił tor ruchu ostrza właściwie i ani drgnął. Była to więc taktyka polegająca na straszeniu, a nie poważny atak, sprawdzian jego odwagi, do którego dobrze przygotowały go treningi judo. Jeszcze czterokrotnie kosa mierzyła wprost w niego i za każdym razem stał niewzruszenie w miejscu. Za siódmym razem kreatura zmieniła kąt ataku; tym razem skierowała ostrze w jego szyję.

Brat Paweł zaryzykował: stał bez ruchu. Nie po to chyba zaaranżowano tak skomplikowany pokaz, by przeprowadzić egzekucję kogoś, kto się w ogóle nie broni. I kiedy poczuł muśnięcie ostrza — monstrum znikło. Zapadło się w swą dziurę, a kłapa zakryła otwór. To również było bluffem, grożeniem pozornym, za którym nic nie stało.

Lew i byk zdjęli swe maski. Po raz pierwszy brat Paweł mógł zobaczyć ich twarze Theriona i Amaranty.

— Gratulacje — powiedział Therion. — Czułeś chłód zabójczej stali, a nie uchylłeś się; patrzyłeś na horror horrorów, a nie zemdlałeś. W swym własnym kraju mógłbyś zapewne być bohaterem. — Zmarszczył brwi. — Tu jednak, wśród nas, są cnoty większe od odwagi. Jak sądzisz, co oznaczają nasze kostiumy?

Brat Paweł już wcześniej rozgryzł ten problem.

— Ty jesteś lwem, jednym z aspektów Sfinksa, a twój złocisty pas symbolizuje astrologicznie Lwa i Słońce. Ona, z maską byka, jest innym aspektem Sfinksa, Bykiem i Księżycem. Uważa się, że Słońce i Księżyc wspólnie wywierają najbardziej bezpośredni wpływ na życie mieszkańców naszej planety. Człowiek poddany jest nie tylko wpływom Słońca i Księżyca; jest jeszcze zawsze wpływ

bezwzględne czasu, niosący ze sobą możliwość przedwczesnej śmierci...

— Jesteś zadziwiająco bystry — powiedział Therion. — Istnieje tu jednak wartość wyższa od inteligencji. Jest nią pokora — dobrowolna pokora, triumfująca nad próżnością dumy. Czy jesteś zdolny do odniesienia takiego zwycięstwa nad sobą?

Znaczyło to chyba, że test czysto fizyczny już się skończył. Świetnie! Brat Paweł był gotów na test moralny.

— Chętnie przekonam się o tym sam.

— Bardzo dobrze — powiedział Therion. — Czy poczołgasz się na swym brzuchu do wewnętrznego sanktuarium, gdzie nasi bracia już czekają, by przekazać ci wiedzę i władzę, których poszukujesz, w zamian za twoje upokorzenie?

Po cóż to nowe wyzwanie? Przecież nie szuka on władzy. Nie miał jednak wyboru, musiał je przyjąć.

— Tak, zrobię to.

— Weź tedy tę lampę — powiedział Therion. — Jest ona obrazem twarzy Boga, który nam towarzyszy wówczas, kiedy przed oczami ludzi pozostajemy ukryci. Idź bez strachu; od tej chwili możesz obawiać się tylko samego siebie.

Brat Paweł, mając w pamięci swe doświadczenia z Siedmioma Kielichami, nie był zbyt pewien siebie. Jakież to okropności czaiły się — w nim samym? Wziął lampkę i rozejrzał się. Sala zbudowana była z bloków granitu, w kształcie kopuły; nie było tu ani wejścia, ani wyjścia. Ponownie przypomniał sobie zobowiązanie do niezadawania pytań.

Po kilku chwilach Amaranta dotknęła innej sprężyny ukrytej w ścianie. Metalowa płyta odsunęła się na bok; pokryta była granitem, by przypominać wyglądem pełny blok. Odsłoniła korytarz, wąski i niski, w którym poruszanie możliwe było tylko na rękach i kolanach.

— Niech ta ścieżka będzie dla ciebie obrazem grobowca, w którym każdy musi kiedyś znaleźć miejsce spoczynku — zaintonował Therion. — I przebudzić się, wolny od ciemności spraw materialnych, w życiu duchowym. Pokonałeś widmo Śmierci; teraz masz szansę zatriumfować nad okropnościami grobu w Teście Samotności.

I obydwójce Thesmotheci wyciągnęli swe prawe ręce, wskazując na wejście do korytarza.

Brat Paweł zawahał się. Dlaczego teraz właśnie posyłają go zupełnie samego? Jakie okropności uważają za tak straszliwie przerażające? I ten korytarz — jeśli się zmniejszy, kiedy już w nim będzie... Jak się przezeń precyzyjnie czy obróci? Będzie zmuszony wycofywać się stopami do przodu, jak podczas nieprawidłowego porodu — a metalowa płyta i tak już będzie zasunięta.

Dwójka Thesmothetów stała nieruchomo, wskazując ciągle palcami ciemny otwór. Nie robili mu wyrzutów z powodu jego słabości, ale i nie zachęcali do kontynuowania testu. Ciekawe, co by

uczynili, gdyby się teraz wycofał?

Tak naprawdę to znał odpowiedź na to pytanie. Czytał gdzieś kiedyś a podobnym teście, prawie że o nim zapomniał i dopiero obecne doświadczenie odświeżyło tamte szczegóły. Kandydata, który się przestraszył, nie wykluczano, nie robiono mu nawet wyrzutów. Wyprowadzano go tylko ze świętego miejsca. Prawo magii wykluczało ponowny sprawdzian kiedykolwiek w przyszłości; słabość została już osądzona. Jeśli zatem naprawdę chciał uzyskać odpowiedź, musiał zdecydować: teraz lub nigdy. Prawa animacji na swój własny sposób były tak nieelastyczne, jak prawa starożytnych mistyków egipskich. Nie zdarzyło mu się spotkać dwukrotnie tej samej wizji; zmienna dynamika sytuacji nie pozwalała na skorzystanie ze scenariusza którejkolwiek z poprzednich scen.

Brat Paweł nie obawiał się zbytnio uczucia klaustrofobii, lecz obecna sytuacja zupełnie mu się nie podobała. Nie był drobnej budowy i przejście wystarczająco duże dla Egipcjanina czy Greka mającego 150 centymetrów wzrostu mogło okazać się zbyt wąskie dla niego. Jeśli zaklinuje się gdzieś wśród tych tysięcy ton kamienia...

Dwójka Thesmothetów, nieruchomych jak posągi, ciągle czekała, wskazując wejście do korytarza. Brat Paweł odmówił krótką modlitwę do Boga zawiadującego tą domeną — byłby nim Thoth? — i pochylił się, by wejść w ten przerażający otwór.

Amaranta nachyliła się ku niemu.

— Niech Bóg chroni cię przed krzywdą w tych wszystkich pustych miejscach, w których się znajdziesz — szepnęła i pocałowała go lekko w usta.

Po czym brat Paweł wyciągnął przed siebie ramię z lampką i wczołgał się do dziury. Wąski korytarzyk opuszczał się łagodnie w dół. Wyłożony był polerowanym granitem, tak gładkim, jak gdyby wywiercił go jakiś gigantyczny robak. Mieścił się w nim z wielkim trudem. Poruszał się na łokciach i kolanach, pomagając sobie przy tym palcami stóp. Ogłuszył go na moment okropny metaliczny dźwięk, wywołany przez zamykające się za nim drzwi z brązu. Z oddali usłyszał dudniący głos:

— Tak giną wszyscy głupcy pożądający wiedzy i władzy!

A echo powtórzyło natychmiast:

— władzy... władzy... władzy... władzy... władzy... władzy... władzy! — Siedmiokrotne wyraźne echo waliło jak młotem w jego mózg. Efekt był przerażający; dźwięk potrafi mieć potężny wpływ na emocje ludzkie, zagłuszając nawet rozsądek. Brat Paweł wiedział o tym — mimo to odczuł wyraźnie jego straszliwą siłę.

Czyżby magowie skazali go jednak na śmierć? Nie miało to wielkiego sensu; mogli przecież nie dopuścić go do Sfinksa już wcześniej. Jeśli zamierzali pogrzebać go żywcem, po cóż wyposażyli go w taką dobrą lampkę?

Irracjonalny strach stopniowo ustąpił. Gdzieś przecież musi być wyjście z tego tunelu; wystarczy

posuwać się ciągle naprzód. Tunel jednak ciągnął się bez końca! Brat Paweł posiadał niezły zmysł orientacji. Poinformował go on, że nie może się teraz znajdować wewnątrz Sfinksa czy też pod nim! Ten nie kończący się tunel przebiegał pod samym płaskowyżem — w kierunku Wielkiej Piramidy! Co więcej, obniżał się coraz bardziej i zagłębiał w litej skale. A co on uczyni, jeśli jego kapiąca lampka zgaśnie?

Czołgał się dalej. Łokcie i kolana miał obolałe, może krwawiące, ale nie chciał się zatrzymywać. Napięte nerwy nie pozwalały mu na odpoczynek. Przekładał lampkę z ręki do ręki, wynajdując nowe sposoby czołgania się... i czołgał się dalej.

W końcu tunel rozszerzył się. Cóż za ulga! Wkrótce mógł już iść pochylając się tylko. Tunel szedł ciągle w dół, przy czym podłoga obniżyła się, a sufit biegł dalej poziomo, dzięki czemu przestrzeń pomiędzy nimi powiększała się. To wszystko nie przybliżało go jednak do powierzchni.

Nagle podłoga skończyła się, bez żadnego ostrzeżenia. Słabe światło lampki ukazało olbrzymi krater, stożek sięgający w głąb skały, o bokach gładkich i twardych. Żelazna drabina prowadziła w dół do tej ponurej otchłani. Nie było innej drogi; tylko korzystając z tej drabiny mógł posuwać się naprzód, a ściśle biorąc — w dół. Miał teraz, co prawda, dość miejsca, by się obrócić, nie uważał jednak, by powrót tunelem był mądrym rozwiązaniem.

Ruszył w dół po drabinie, sprawdzając nerwowo każdy szczebel przed obciążeniem go całym ciężarem swojego ciała. Wszystkie były solidnie zamocowane. I naturalnie, liczył je schodząc: dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, i tak dalej.

Była ich dokładnie setka. Drabina nie prowadziła jednak na inny poziom czy do innego pochyłego tunelu. Kończyła się na skraju kolistej dziury. Brat Paweł nie miał przy sobie żadnego przedmiotu, który mógłby do niej wrzucić eksperymentalnie, lecz był pewien, że to jakichś loch, głęboki i bez wyjścia. Nie mógł ryzykować opuszczenia się w głąb czegoś takiego!

A przecież nie było innej drogi! Co teraz?

— Niech Bóg mnie chroni przed krzywdą w tych wszystkich pustych miejscach, w których się znajdę — powtórzył, patrząc w dół, w przerażającą pustkę. I dodał w myślach: I niech znajdą się jakieś drogi ucieczki z tych pustych miejsc!

Rozważył sytuację. Musi przecież istnieć jakaś alternatywa; to wszystko było zbyt skomplikowane, by miało być tylko śmiertelną pułapką. Musi w to wierzyć! Pozostaje mu tylko odnaleźć tkwiącą w tym wszystkim logikę. Drabina się skończyła; nie można było liczyć na to, że ciągnie się jeszcze niżej, ponieważ ostatni jej szczebel znajdował się w wilgotnym powietrzu tuż nad dziurą. Można jednak przyrzeć się temu dokładniej.

Zszedł niżej, przełożył obie nogi przez najniższy szczebel, zaczepiając się na nim zgięciami kolan jak hakami. Zahuścił się dwukrotnie, ze wzrastającą energią, sprawdzając jego mocowanie i siłę; był pewien, że utrzyma jego ciężar. Odchylił się powoli do tyłu, trzymając ostrożnie lampkę w pozycji poziomej, mimo że jego ciało zmieniało kąt nachylenia, i zawisł głową w dół. Lampka oświetliła komorę znajdującą się pod nim.

Była to pozbawiona jakichkolwiek ozdób studnia, sięgająca w dół, daleko poza zasięg światła z jego lampki. Ściany były oślizgłe i nie było tam następnej drabiny. Była to droga bez powrotu... prawdopodobnie wypełniona wodą z tamtej strony. Być może ciecz zamortyzowałaby jego upadek, ale wolał tego nie sprawdzać. Jeszcze nie teraz.

Dano mu przecież do zrozumienia, że nie ma się czego obawiać, z wyjątkiem samego siebie. Przyszło mu do głowy, że interpretacja tak postawionego problemu może być wielce niepokojąca. Jeśli podejmie decyzję i skoczy do lochu, a będzie to decyzja błędna, czy wówczas poniesie śmierć? Musi więc podjąć decyzję właściwą — i to nie mając oparcia we wiarygodnej informacji.

Cóż, nie widzi potrzeby przebywania jeszcze dłużej na tej drabinie! Chwycił szczebel lewą ręką i trzymając równo lampkę w prawej, podciągnął się na tyle, że mógł uwolnić nogi. Po czym rozpoczął wędrówkę w górę drabiny ze stu szczeblami.

Gdzieś przy dwudziestym szczeblu od dołu — dwudziestym drugim, ściśle rzecz biorąc — zauważył jakąś szczelinę, pęknięcie, niewidoczne z góry, bo zasłonięte wybrzuszoną w tym miejscu ścianą. Czy było ono naturalne, czy sztuczne?

Nie chciał się zdać na przypadek. Wychylił się tak daleko, jak to było możliwe, trzymając lampkę w wyciągniętej lewej ręce. Szczelina była wystarczająco szeroka, by człowiek mógł się przez nią precyzyjnie — i widać w niej było jakieś stopnie! To tutaj znajdowała się jego alternatywna droga!

Rozbijał ciało i jednym rzutem wylądował w szczelinie. Stopnie były śliskie ale solidne. Wchodziły coraz głębiej w ścianę, a szczelina zmieniała się w nowy tunel, miejscami tak wąski, że musiał iść bokiem, ale przynajmniej mógł gdzieś iść. Tunel przybrał kształt spirali, a kiedy doliczył do trzydziestu, stopnie doprowadziły go do niewielkiej platformy, gdzie dalszą drogę zagrażała krata z brązu.

Czyżby to było jakieś dojsście awaryjne, techniczne, używane przez Thesmothetów, które odkrył przypadkiem? Jeśli tak, byłaby to dla niego ślepa uliczka, ponieważ krata była zamknięta i wyglądała na nie otwieraną od dawna. Było w tym wszystkim jednak coś znajomego. Dwadzieścia dwa stopnie drabiny, które przebył, licząc od dołu, odpowiadały liczbie Wielkich Arkanów w Tarocie, a pojawiały się tylko wówczas, kiedy kandydat powracał z bezowocnej wyprawy do lochu. Nie był to na pewno przypadkowy zbieg okoliczności! Co w takim razie oznaczało owe trzydzieści stopni, które pokonał przed chwilą? Te wszystkie przejścia wydawały się posiadać ciągły motyw trzydziestek i setek, a to nie odpowiadało żadnej znanej mu talii Tarota. Tak więc, jeśli nawet był w tym jakiś sens numeryczny, nie udało mu się go zgłębić.

Brat Paweł zbliżył się do kraty, by zobaczyć, co znajduje się po jej drugiej stronie. Ujrzał długą galerię z posągami sfinksów: piętnaście po każdej stronie. W sumie trzydzieści. Ściany pomiędzy posągami pokryte były tajemniczymi freskami. Nie mógł rozróżnić szczegółów, lecz wyczuwał w nich coś dziwnie znajomego. Piętnaście lamp na trójnogach ustawionych było w rzędzie, a każda lampa miała kształt sfinksa.

Korytarzem w jego kierunku zbliżał się jakiś mag. Nie — to była Thesmothetka, Amaranta, w stroju kapłanki. Twarz miała zawoalowaną i ciało całkowicie zakryte długą szatą, lecz rozpoznał jej

provokujący sposób poruszania się, przy którym biodra i piersi subtelnie podkreślały kobiecy rytm kroków.

— Synu Ziemi — powiedziała z uśmiechem — uciekłeś z otchłani, odkrywając ścieżkę mądrości. Niewielu aspirujących do poznania Tajemnic przeszło ten sprawdzian; większość zginęła.

To by wyjaśniało los tych, którzy zdecydowali się opuścić do lochu!

— Bogini Izyda jest twoją protektorką — ciągnęła. Brat Paweł pamiętał Izydę egipską, o której mówiono, że jest boginią miłości. — Zaprowadzi cię Ona bezpiecznie do sanktuarium, gdzie cnota zostaje ukoronowana.

Cnota pod auspicjami bogini seksu? Toż to gęsi pod opieką lisa!

— Muszę cię ostrzec, że czekają cię dalsze niebezpieczeństwa; pomogę ci jednak, wyjaśniając znaczenie tych świętych symboli, które uzbroją twój umysł w niezwyciężoną moc.

Bez wątpienia: Amaranta była teraz Izydą. A rola ta pasowała do niej wyjątkowo dobrze.

Izyda otworzyła drzwi, naciskając jeszcze jedną z ukrytych sprężyn. Wzięła brata Pawła za rękę i poprowadziła galerią. Poruszała się powoli, prawie ociężale, ale i tak zbyt szybko, by mógł przyjrzeć się portretom obok których przechodzili. Pokazana tam była cała wiedza starożytnych — a on przebiegał obok jak jakiś turysta — ignorant!

Być może o to właśnie chodziło. Miał tylko widzieć, a nie kupić. Gdyby zdecydował się pozostać tutaj na czas nieokreślony, gdyby się zakwalifikował, przeszedłszy wszystkie testy, wówczas dopiero mógłby spędzić tyle czasu przy każdym symbolu, ile tylko by zechciał. Całe lata, gdyby to było konieczne.

— Najpierw zrobimy przegląd aspektów Natury — szepnęła Izyda. — Tu mamy Krokodyla. — Wolną ręką wskazała najbliższy obraz, tuż przed pierwszym sfinksem. Przedstawiał egipskiego chłopca idącego wzdłuż rzeki z dwoma torbami przerzuconymi przez ramię i krokodyla dotrzymującego mu kroku w wodzie. — Symbolizuje on Szaleństwo.

Karta Zero w Tarocie! Więc Tarot tkwił jednak u korzeni tego wszystkiego! Miał teraz doskonały punkt odniesienia, wzmacniający jego rozumienie spraw.

— Mag — powiedziała, wskazując malowidło na przeciwległej ścianie. — Symbolizuje Umiejętność.

Postać przedstawiała magika egipskiego, który przypominał wyglądem swego europejskiego odpowiednika, od którego różnił się tylko szczegółami stroju.

— Izyda Zasłonięta — powiedziała, przechodząc do następnej postaci. — Symbolizuje Pamięć — między innymi.

Postać z zasłoniętą twarzą przedstawiała ją samą. Nie musiał zgadywać, co jeszcze miała na myśli

mówiąc „między innymi”. Pamiętał Amarantę w jej sukience z krajobrazem i piersiami w kształcie żywych wulkanów. Pamiętał ją też jako nagą Pokusę w wizji Siedmiu Kielichów. Jako siostrę Beth ze Świętego Zakonu Wizyjnego, którą usiłował uwieść. Jaka była jej prawdziwa rola tym razem?

Zapewne znów Pokusa! Pokusa, której nie może ulec, jeśli nie chce, by straszliwy ciężar Piramidy zwałił się na niego.

Ale ona już przeszła do następnego malowidła. Nie przedstawiało ono nic.

— Duch — powiedziała. — Nieznane lub Nerozpoznane; Nieskończoność, Nicość.

A to co takiego? To nie wchodziło w zestaw kart Tarota! Zatrzymał się, gotów zadawać pytania — ale powstrzymał się w porę. Żadnych pytań! Myśli erotyczne związane z jej osobą omal nie wpędziły go w pułapkę. Musi po prostu przyjąć do wiadomości, że to nie Tarot. A przynajmniej nie jego dokładny odpowiednik. To raczej — nieznane.

— Izyda Odsłonięta — powiedziała, gwałtownie odrzucając woalkę. Była teraz Kobietą, w pełni przepychu, z piękną twarzą oświetloną światłem lamp. Niewątpliwie odgrywała wariacje na jeden temat, ale też posiadała odpowiednie instrumenty! — Akcja!

Akcja. Ciągle trzymała go za rękę, a teraz zaczęła przyciągać go do siebie, podając usta do pocałunku. Usta stworzone do całowania. Wykonał ruch ręką, pociągając zarazem i jej rękę i skierował się do następnego eksponatu. Jego akcja — to kontynuowanie nauki.

Poddała się z wdziękiem. Znała tysiące sztuczek; jedno niepowodzenie było bez znaczenia. Jeśli to był następny sprawdzian, to go przeszedł — prawdopodobnie.

— Teraz zrobimy przegląd aspektów Wiary — ciągnęła Izyda. — Tutaj mamy Suwerena, symbol Władzy. — Szła dalej. — I Mistrza Arkanów, symbolizującego Intuicję. A tu są Dwie Ścieżki, pokazujące możliwość Wyboru.

Brat Paweł szedł obok niej, potakując ruchem głowy. Było to podobne do Tarota, choć nie identyczne. Karta Nieznanego...

Zatrzymała się. Wstrząsnęła ramionami i jej szata spłynęła na podłogę. Stała przed nim w króciutkiej spódniczce i staniku, zjawiskowa jest zawsze.

— Wyboru, znanego także jako Próba — powiedziała, ponownie przysuwając się do niego.

Próba polegająca na odrzuceniu jej awansów? Tylko takie rozwiązanie wydawało się bezpieczne, niezależnie od tego, jak bardzo chciałby spróbować tego, co mu bezustannie oferowano. Celibat i odrzucanie seksu może i było dobre w przypadku słabowitego pustelnika, lecz brat Paweł cieszył się dobrym zdrowiem i był człowiekiem wielce towarzyskim. Cóż jednak z tego. Ruszył zdecydowanym krokiem do następnego obrazu.

Poszła za nim bez zwłoki.

— Rydwan Ozyrysa, oznaczający Precesję — wyjaśniła.

Precesja! Już miał zaprotestować, ale ugryzł się w język. Spodziewał się raczej, że zinterpretuje ten obraz jako Zwycięstwo. Za każdym razem, kiedy związki z Tarotem wydawały się wzmacniać, coś je gwałtownie przerywało!

Szła dalej.

— Pożądanie — Uczucie — powiedziała o następnym malowidle. Cóż, można to utożsamić z Siłą, w wersji Tarota Thoth zwaną Pożądaniem.

Pokazała mu następne:

— Oswojony Lew — Dyscyplina. — Ten musi oznaczać Siłę! Ale wówczas...

— Nazywany również Czarodziejka, Siła, Moc Ducha i Męstwo — kontynuowała.

Obraz przedstawiał kobietę uspokajającą lwa. Mimo wszystko...

— A tu Rodzina Człowiecza — Natura — powiedziała. Tego też nie kojarzył z Tarotem.

— Tutaj jest Koło symbolizujące Los. I Sfinks, znany jako Osłonięta Lampa, która, kiedy ją odsłonić, jest Czasem. Teraz dopiero pomieszało się wszystko! Czasem była przecież karta z Eremitą, a Sfinks siedział okrakiem na Kole Fortuny. Ona jednak ciągnęła swój wywód, nie pozwalając mu pozbierać myśli.

— Chronos, który był kiedyś Najwyższym z Bogów.

Brat Paweł uświadomił sobie coś jeszcze: spotykał przecież różne aspekty tych wyobrażeń od momentu przybycia na planetę Tarot. Być może już od momentu wyznaczenia go do tej misji! Czyżby przedstawiano mu w skrócie jego własny los? Jeżeli tak, za chwilę zapewne wejrzy też w przyszłość.

Izyda nie udzieliła mu dość czasu na rozważenie wpływających z tego wszystkiego wniosków.

— Tu mamy aspekty Wymiany. Pierwszy to Przeszłość, sugerująca Refleksję; drugi zaś Przyszłość, symbolizująca Wolę.

Brat Paweł usiłował przyjrzeć się tym malowidłom, lecz nie miał na to dość czasu. Niewątpliwie obydwa były tylko aspektami Czasu! Czy ukazywały jego własną przeszłość i przyszłość? Refleksję, zastanowienie się, był w stanie zrozumieć; sam jej się często oddawał. Ale jaki był tu związek z Wolą? Wydawało mu się, że zauważył samolot, butelkę wina, jakiś dokument, drzewa i dziecko, lecz nic z tych obrazów nie niosło sensownego znaczenia. Gdyby tylko pozwolono mu przyjrzeć się dokładniej...

— Tutaj mamy Temidę, boginię Praw, symbolizującą Honor.

Dziwne. Brat Paweł wiedział, że Temida jest boginią rzymską, a nie egipską. Możliwe, iż

oznaczało to tylko, że ta sekwencja obrazów pochodziła z wielu różnych źródeł i nie ograniczała się do jednej tylko mitologii. Rzym istniał już przecież w czasach wielkości Egiptu; archeologia potwierdziła istnienie miasta tysiąc lat przed legendarną datą jego założenia przez Romulusa i Remusa — braci wykarmionych przez wilczycę.

— Męczennik — Ofiara — kontynuowała Izyda.

Tym razem wyglądało to na kartę, którą znał jako Powieszony, człowiek przywiązany za jedną stopę do szubienicy. Czy właśnie to miało się wydarzyć w jego przyszłości? Spekulacje tego rodzaju mogły go doprowadzić do szaleństwa!

— Kosa — Zmiana — powiedziała.

Znał to jako ilustrację do Śmierci lub Transformacji.

— Wyobraźnia — Wizja.

Tego w ogóle nie był w stanie umiejscowić, choć było coś nieuchwytnie znajomego w tym obrazie. Pole, z jednej strony wieża, z drugiej jakiś parów...

— Alchemik oznaczający Transfer.

Transfer! Tego właśnie terminu użył Antares, kiedy mówił o przenoszeniu aury z jednego gospodarza do drugiego...

— I aspekty Magii, którą niektórzy nazywają Nauką — ciągnęła nieubłaganie.

Cóż to za męka móc rzucić tylko okiem na te wpół znane rewelacje! Bez wątpienia to wszystko dałoby się wpasować w większą całość, gdyby dane mu było...

— I Tyfon, znany jako Los, a oznaczający Gwałt. Ilustracja przedstawiała Diabła.

— Dom Pański — Objawienie.

Ten obraz znał jako Wieżę Uderzoną Piorunem, choć była to zapewne tylko zwykła transformacja ikonograficzna. Kartę znał dobrze — mimo to przeszył go ostrzegawczy dreszcz. Szukał co prawda Domu Pańskiego — lecz ta ponura budowla wydawała się bardziej diabelska niż anielska. Niektóre interpretacje utrzymywały wręcz, że jest to Dom Szatana i oznacza Upadek.

Tymczasem Izyda pozbyła się resztek swego ubioru. Objawienie — naturalnie traktuje je nie tylko dosłownie, ale i w sensie fizycznym! Gorąco pragnął, by przegląd ten dobiegł wreszcie końca; udawało mu się panować nad sobą, lecz ona nie ułatwiała mu zadania. Co czekało kandydata, który ulegał i wyciągał swe pożądliwe dłonie (pożądliwe dłonie? Ach, te eufemizmy!) po kapłankę?

— Gwiazda Magów — ciągnęła, a wyglądała teraz dokładnie tak, jak naga dziewczyna na tym malowidle. — Obawa i Nadzieja.

No właśnie.

— Półmrok — Podstęp.

Jeszcze jedna znana mu karta — Księżyc. Podstęp był tutaj niewątpliwie kluczowym pojęciem! Ukazując mu swe nagie ciało, oszukiwała go co do swych prawdziwych zamiarów.

Czyniły to zresztą wszystkie kobiety...

— I Światło Gorejące, sugerujące Triumf.

Cóż, miał taką nadzieję! Triumf — owszem, ale czyj?

— I aspekty Sztuki — powiedziała.

Sztuki aktów? Ciekawe, jak wielu interesowałoby się sztuką, gdyby obrazy nie były wypełnione postaciami nagich kobiet? W jego opinii nagi młodzieniec był, artystycznie rzecz biorąc, równie piękny jak naga dziewczyna; istota sprawy tkwiła jednak w seksie, a nie w kategoriach estetycznych. Kobiety nie pędziłyby kupować portrety nagich mężczyzn tak chciwie jak czynili to mężczyźni, tak więc definicja Sztuki stawała się...

— A tutaj mamy Myśl, interpretowaną przez nas jako Rozum. Obraz przedstawiał jakąś przestrzeń wypełnioną gwiazdami.

— Przebudzenie Zmarłych, oznaczające Decyzję.

Malowidło przypominało mu znaną kartę z Sądem Ostatecznym. Sąd nad nim samym może nastąpić już wkrótce!

— Uczony, symbolizujący Mądrość.

Naga, podeszła do ostatniego obrazu i odwróciła się do niego, ukazując się w pełnej krasie.

— Korona Magów — Dopełnienie — powiedziała.

Zbliżała się do niego, ujęła jego głowę w swe dłonie i pocałowała go szybko. Po czym otworzyła drzwi na końcu galerii i stanęła obok.

Za drzwiami znajdowała się długa, wąska krypta. Na jej przeciwległym końcu z rozżarzonego pieca buchały wysokie płomienie.

— Synu Ziemi — rzekła Izyda. — Sama Śmierć przeraża tylko tych, którzy są niedoskonalimi. Jeśli się boisz, nic tu po tobie. Popatrz na mnie: ja też kiedyś przeszłam przez te płomienie, jak gdyby były ogrodem różanym.

Brat Paweł spojrzał na nią. Nagle wydała mu się jeszcze bardziej kuszącą niż przedtem. Jeśli położy na niej swe dłonie, pogładzi jeden lub obydwa te doskonałe owoce — czy będzie mu

powolna? Czy też spotka go nagłe nieszczęście? Czy dotknięcie tego ciała warte będzie kary?

Zwrócił wzrok ku płomieniom. Wiedza, którą dopiero co uzyskał, choć przekazana w pośpiechu i niepełna, byłaby bezużyteczna dla człowieka skazanego na śmierć. Musi być tedy jakiś sposób, by przedostać się przez tę barierę! W pewnym sensie, stał na rozstaju dróg, Dwóch Ścieżek, znanych także jako Próba. A wybór dotyczył Miłości i Ognia. Czy nauczył się wystarczająco dużo, by przejść tę próbę?

Istniał sposób pokonania ognia, a przynajmniej rozżarzonych węgli. Tubylcy z wysp na południowym Pacyfiku rozgrzewali kamienie do czerwoności i chodzili po nich bosymi stopami, i nie było w tym żadnego oszustwa. Tajemnica polegała na znajomości szczególnego zjawiska, które można zaobserwować, kiedy patrzymy na kropelki wody tańczące na rozżarzonej blasze: wysoka temperatura doprowadza do wyparowania części wody i utworzenia warstwy pary pomiędzy kroplą i blachą; kropla unosi się na tej warstewce pary, izolowana nią od posiadającej o wiele wyższą temperaturę blachy. Kropelki te mogą więc parować stopniowo przez wiele sekund, miast wyparowywać od razu, jak to się dzieje na powierzchniach mniej rozżarzonych. Podobnie, naturalna wilgotność stóp tubylców staje się tą warstewką pary, która umożliwia im chodzenie po węglach bez oparzeń. Przeto, jeśli uda mu się znaleźć takie miejsce, w którym płomień są wystarczająco niskie, by odsłonić rozżarzone węgle, być może przejdzie. Jeśli starczy mu odwagi.

Wkroczył zdecydowanie do tego nowego pomieszczenia. I znów drzwi zamknęły się za nim z łoskotem, odcinając go od tego, co ewentualnie mogło się wydarzyć po tamtej stronie. Był sam, bez możliwości odwrotu. Czy między nim a płomieniem stał Bóg?

Kiedy zbliżył się do pieca, stwierdził, że w dużym stopniu był on iluzoryczny. Drewno leżało na żelaznych rusztach, a lampy ustawiono w taki sposób, by powstało wrażenie żywych płomieni. Odzyskał pewność siebie i ruszył do przodu. Jednak Bóg tam był!

Ścieżka pomiędzy ustawionymi lampami kończyła się dość nagle na skraju jakiegoś bajora. Trudno byłoby odgadnąć, co czai się pod jego mętną powierzchnią. Brat Paweł odwrócił się, by wycofać się po własnych śladach i poszukać innego przejścia — gdy niespodziewana kaskada oliwy spłynęła z otworów w suficie. Powstała iskra, nastąpił zapłon i oliwa zamieniła się w ścianę ognia. Udawany piec stał się piecem prawdziwym!

Zmuszony był albo przedrzeć się przez te płomienie, albo podążać naprzód przez wodę. Albo czekać, w nadziei, że któreś z tych zagrożeń ustąpi. To trzecie wyjście nie było chyba najwłaściwsze w tej serii wyzwań; musiał raczej wykazać się odwagą i zapałem przy pokonywaniu przeszkód, a nie ich unikać.

Zdecydował się na wodę. Zdjął swą szatę, zwinął ją ciasno i trzymał w prawej ręce razem z lampką. Po czym ostrożnie wszedł do wody. Dno było śliskie i pochyłe, co zmuszało go do szybszego poruszania się niż zamierzał. Z każdym krokiem zanurzał się coraz głębiej. Kolana, uda, piersi; woda była chłodna, co było o tyle pocieszające, że zmniejszało się prawdopodobieństwo, iż mogą w niej żyć jakieś gady. Piersi, ramiona, podbródek; teraz trzymał już lampkę nad głową. Jeśli zrobi się głębiej, będzie zmuszony płynąć — ale wówczas powstanie ryzyko utraty światła; nie będzie przecież w stanie płynąć trzymając jednocześnie lampkę w pozycji horyzontalnej.

Zorientował się w pewnej chwili, że jest już na środku bajora. W jego najgłębszym miejscu — jeśli ma szczęście lub jeśli tak zaprojektowali to miejsce ci, którzy przygotowali ten sprawdzian. Czyżby ktoś sprawdził jego wzrost i napełnił zagłębienie wodą do odpowiedniego poziomu? Powinno być teraz coraz płycej...

I było. Z ulgą wynurzał się z mętnej wody. Miał tu więc w zasadzie do czynienia z testem wytrzymałości, i to niezbyt skomplikowanym. Z wyborem pomiędzy ogniem i wodą. W rzeczywistości wszystkie te testy były natury dość podstawowej i materialnej; nowoczesny egzamin byłby bardziej wyrafinowany. Przecenił więc subtelność...

Stopa wpadła mu w jakąś dziurę w dnie. Poleciał naprzód uderzając wodę lewą ręką i kręcąc młynka prawą dla odzyskania równowagi. Udało się: palce stóp wymacały krawędź dziury. Zwykła sobie dziura! Lampka niestety zsunęła się ze zwiniętego ubrania i wpadła do wody. Sięgnął po nią z desperacją lewą ręką, lecz nie udało mu się jej chwycić — zresztą i tak już zgasła. Mógłby ją ponownie zapalić wracając do ściany ognia, ale oliwa była już rozcieńczoną wodą i nawet gdyby udało mu się dostać do ognia bez oparzeń, i nawet gdyby...

Spojrzał za siebie. Ściana ognia znikła. Nawet gdyby miał swoją lampkę i gdyby nadawała się do użytku, nie mógłby jej zapalić.

Zatrzymał się. Cóż za idiota z niego. Wystarczy przecież wziąć którąkolwiek z lampek, które tam stały. Było jednak dość ciemno i być może istniały jakieś inne pułapki na drodze powrotnej. Najlepiej robi akceptując konsekwencje popełnionego błędu i podąży dalej bez światła. Zawinił przesadną pewnością siebie — lekcja sama w sobie. Należy obawiać się tylko siebie samego!

Wyszedł z wody. Ujrzał przed sobą schody prowadzące do podestu, otoczonego z trzech stron obszerną arkadą. W przeciwległej ścianie znajdowały się drzwi z brązu, osadzone za wąską, skręconą kolumnienką, wyrzeźbioną na kształt lwiej paszczy. W jej zębach tkwił metalowy pierścień. Tyle tylko zdołał dostrzec w przyćmionym świetle.

Podszedł do drzwi i zatrzymał się. Powietrze było bardzo chłodne; drżał z zimna. Jak tylko wyschnie, włoży swą szatę i od razu poczuje się lepiej. Zauważył, że odległe już lampki gasną jedna po drugiej; światło ostatniej odbiło się w wodzie i znikło. Ponownie otoczyła go nieprzenikniona ciemność.

Jeśliby teraz wrócił po którąś z tych lampek — czy dotrze tam na czas? Jeśli im wszystkim kończyło się właśnie paliwo, żadna nie będzie użyteczna, a on może znaleźć się w jakiejś pułapce w całkowitych ciemnościach. Łatwo pobłądzić i wpaść do głębszej wody, gdzie mogą czaić się jakieś monstra...

W ponurych ciemnościach usłyszał głos:

— Synu Ziemi, zatrzymać się znaczy zginąć. Za tobą jest śmierć, przed tobą zbawienie.

Brat Paweł nie wysechł jeszcze. Zdecydował się polegać na głosie i ruszył do przodu nago. Wyciągnął rękę i dotknął rzeźbionych drzwi. Ten pierścień w paszczy lwa — czy to jakaś rączka?

Jeśli za nią pociągnie, czy drzwi się otworzą, czy też te kły zacisną się na jego dłoni?

Cóż, należy użyć wybiegu! Rozwinął okrycie, skręcił z niego linę i ostrożnie przewlekł ją przez pierścień. Po czym, trzymając za końce tej prowizorycznej liny, szarpnął energicznie.

Pod jego stopami otworzyła się kłapa — pułapka. Spadł, lecz niezbyt daleko — zawisł bowiem na skręconej przez siebie linie. I znów nie docenił pułapki! Nie mógł sobie pozwolić na więcej podobnych pomyłek!

Trzeba działać. Podciągnął się do góry. — Łatwiej powróż przejdzie przez ucho igielne... — zamruczał pod nosem, myśląc jednocześnie o całych wiekach nieporozumień spowodowanych niewłaściwym tłumaczeniem Biblii, w którym „powróż z sierści wielbłąda” przełożono jako samego „wielbłąda”. Podrzucił nogi do góry i wdrapał się na podest. Gdyby nie jego świetna kondycja fizyczna, manewr ten byłby niewykonalny. Odzyskał równowagę i wyciągnął swą szatę z pierścienia. Dobrze, że ten pierścień był solidnie przymocowany!

Usłyszał dźwięk zamykanej kłapy. Z kolei otworzyły się drzwi z brązu, zalewając korytarz światłem. Stał w nich Therion Thesmotheta, z jasną pochodnią w dłoni. — Wejdz, kandydacie.

Brat Paweł szedł teraz ciągiem galerii, z zamkniętymi drzwiami po obydwu ich stronach. Przy każdym drzwiach Therion szeptał hasło, czynił tajemny znak i drzwi się otwierały.

Podczas jednej z tych krótkich przerw brat Paweł wślizgnął się na powrót w swą szatę. Od razu poczuł się pewniej. Przynajmniej ten test się skończył!

Doszli wreszcie do krypty, która, co podpowiadał bratu Pawłowi jego nieomylny zmysł orientacji, znajdowała się wewnątrz samej Wielkiej Piramidy. Była to komora, której nigdy nie udało się odkryć archeologom! Ściany z polerowanego kamienia pokryte były malowidłami symbolicznymi. W każdym z rogów stał brązowy posąg: człowieka, byka, lwa i orła. Z sufitu zwisała ozdobna lampa. Brat Paweł zauważył, że promienie światła wychodzące pomiędzy posągów i idące od lampy, tworzą wspólnie zarys piramidy: pięć kątów i wierzchołek.

Pośrodku stał olbrzymi srebrzysty stół, a na nim znajdowały się dwa kielichy, dwa miecze, dwie monety, berła i lampy. Cztery symbole kolorów Tarota, plus lampy, niezbędne, by to wszystko oglądać w tej pozbawionej światła słonecznego komorze.

Therion zwrócił się do niego:

— Synu Ziemi, wystarczy, że dam znak, a będziesz ciśnięty żywcem w podziemne głębiny, gdzie pożywiać się będziesz chlebem wyrzutów sumienia i pić będziesz wodę udręki aż po kres swych dni. Nie jesteśmy jednak mściwi; żądamy jedynie uroczystej przysięgi, że nie odsłonisz przed nikim nic z tego, co widziałeś i słyszałeś tej nocy, a pójdziesz wolny. Czy złożysz taką przysięgę?

Całkiem rozsądne. Tajne stowarzyszenie nie pozostawałoby długo tajnym, gdyby nie podjęło podobnych środków zabezpieczających. Lecz misja brata Pawła wymagała, by przekazał on swą wiedzę na zewnątrz.

— Nie złożę — odpowiedział.

Therion wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

— W naszym zamierzeniu było to tylko pytanie retoryczne, kandydacie. Odpowiedź jest bowiem tylko jedna.

— Nie dla mnie.

Czyżby miał przejść przez to wszystko na próżno?

— Strzeż się, kandydacie! Bunt karany jest śmiercią!

Rozległ się groźny ryk i lampa wisząca zgasła. Tylko migotliwe światło świeczek umieszczonych za posągami oświetlało teraz komorę.

— Moje informacje nie przyniosą nikomu pożytku, jeśli zostanę zmuszony do dochowania tajemnicy — powiedział niewzruszony brat Paweł.

Therion wskazał na kielichy stojące na stole.

— Wobec tego musisz przejść tę próbę! — zawołał. — Jedna czara zawiera silną truciznę, zawartość drugiej jest zupełnie niegroźna. Wybierz jedną z nich, bez zastanowienia, i wypij jej zawartość.

Brat Paweł podszedł do stołu, wziął kielich stojący po prawej stronie i wychylił jego zawartość. Therion uśmiechnął się.

— Sam przeprowadziłem tę próbę. Napój w obydwu był zupełnie niegroźny.

I tak też sądził brat Paweł. Test oparty na czystym przypadku nie miałby sensu; liczyła się tutaj odwaga, a nie ślepy traf.

— Godny i gorliwy kandydacie — przemówił Therion. — Przeszedłeś wszystkie testy. Gotów jesteś teraz do poznania mądrości starożytnych. Magia składa się z dwu elementów: wiedzy i siły. Bez wiedzy siła jest niekompletna; bez pewnej siły nie można uzyskać wiedzy. Naucz się cierpieć, byś mógł pozostać spokojny, naucz się umierać, by stać się nieśmiertelnym; naucz się powściągliwości, a uzyskasz to, czego pożądasz: to trzy pierwsze sekrety, których musi się nauczyć mag nim zostanie kapłanem Prawdy. Musi on studiować z nami przez lat dwanaście, by ją poznać, tak jak to uczynił Żyd Mojżesz, Grek Platon i...

— Dwanaście lat? — zapytał brat Paweł.

— Na początek. Potem się zacznie prawdziwa edukacja.

— Nie mogę czekać dwunastu lat! — protestował brat Paweł. — Nie mogę czekać nawet dwunastu tygodni! Muszę już teraz znać odpowiedź. Nim przyjdzie czas powrotu na Ziemię;

harmonogram teleportacji nie ulegnie zmianie dla jednego człowieka.

— To niemożliwe — powiedział Therion stanowczo.

— Wobec tego muszę odejść.

Therion wykonał gest dłonią i u jego stóp odsunęła się płyta podłogi.

— Oto twoje wyjście.

Z otworu dochodziły odgłosy szczekania łańcuchów, odgłosy zmagania się i ryk jakiejś ogromnej bestii. Po czym rozległo się nieludzkie wycie człowieka w agonii — nagle urwane.

Brat Paweł podszedł do krawędzi otworu i zajrzał do środka. Zobaczył sfinksa wielkości lwa, rozszarpującego nagie ciało ludzkie. Obszedł otwór dookoła, porwał miecz ze stołu, zważył go w dłoniach i jednym susem skoczył do dziury. Zdażył jeszcze dostrzec zaskoczenie na twarzy Theriona i usłyszeć krzyk Amaranty gdzieś z oddali. Jego stopy wylądowały na grzbiecie potwornego sfinksa. Zamachnął się potężnie — i animacja, w której przebywał, eksplodowała w nicość.

Refleksja (Przeszłość)

Barrington Moore, junior, w swojej książce Rozważania nad przyczynami niedoli człowieka zastanawia się nad sprzecznościami zachodzącymi pomiędzy polityką a moralnością. Dlaczego rewolucjoniści rozpoczynają swoją działalność od proklamowania braterstwa wśród ludzi, a kończą ją często stosując to samo kłamstwo i tyranie, przeciwko którym wcześniej wystąpili? Brak skrupułów okazuje się bardziej skuteczny w działaniu niż ich nadmiar. Rewolucjonista postępujący przyzwoicie prawdopodobnie przegra ze swoim wrogiem, który nie przebiera w środkach. Tak więc sam proces zdobywania władzy jest już czynnikiem korumpującym.

Brat Paweł szedł przez las, rozglądając się za swoimi współtowarzyszami. Zaintrygowała go przez moment otaczająca sceneria, w której był w stanie wyróżnić aż pięć poziomów: trawa na ziemi, ustępująca miejsca jakimś płozącym się liściastym roślinom, które z kolei ustępowały miejsca podobnym do miniaturowych drzewek łodygom o wysokości jednego metra. Potem były wysokie krzewy, wreszcie drzewa.

Ciągle nie był pewien, co powie kolonistom; widział tyle i doświadczył tak wiele, a mimo to odczuwał brak podstaw do wydania osądu. Bóg mógł być tam wszędzie lub też nigdzie Go nie było; skąd miał to wiedzieć? Sprawa była na tyle w swej istocie subiektywna, że obiektywny werdykt wydawał mu się niemożliwy. Był jednak zobowiązany stawić się przed kolonistami, kiedy zbiorą się pozostali i zanim zamknie się ponownie szczelina w animacji.

Teren, na którym się znajdował, wydawał mu się zupełnie obcy. Czy szedł już tędy? Niewątpliwie przemierzał spore odległości podczas swych wizji; wiele przemaszerował, a jeszcze więcej przeczołgał. Mimo to, nie może być dalej niż kilka kilometrów od punktu startu w Dolinie Północnej, bo w przeciwnym razie już dawno znalazłby się poza animacją. A może tak też się stało.

Najlepiej zrobi, jeśli, biorąc pod uwagę położenie słońca, pomaszeruje w linii prostej. Natknie się wówczas na jakąś lokalną ścieżkę, która doprowadzi go do najbliższej wioski czy osady. Standardowe postępowanie w przypadku testów na inteligencję, dlatego podejrzane samo w sobie; na razie jednak zachowa się zgodnie z oczekiwaniami.

Nieoczekiwanie wyszedł na szeroką, płaską polanę. Zaczął ją przemierzać i w pewnym momencie odkrył, że idzie po betonowej nawierzchni. Była to nowoczesna autostrada!

Nie — przecież prowadziła donikąd. Nawierzchnia kończyła się jakieś sto pięćdziesiąt metrów od niego, z jego lewej strony. Droga bez przejazdu, tyle że dziwnie dobrze utrzymana. Nie porastało jej żadne zielsko czy trawa. Jakiemu celowi może służyć tutaj, na planecie Tarot?

Zaciekawiony ruszył w prawą stronę. Obłoczki mgły nie pozwalały widzieć dokładnie drogi, ale

w odległości około jednego kilometra dostrzegł zarys jakiegoś budynku.

Patrzył zdumiony. Miał bowiem przed sobą wieżę kontrolną lotniska. Znajdował się przeto na pasie startowym! Ale przecież w tym prymitywnym świecie nie było samolotów. To wszystko nie miało najmniejszego sensu.

W jaki sposób koloniści zorganizowali środki na budowę tak nowoczesnych urządzeń? Mieściło się to w ich możliwościach technologicznych, skoro przynajmniej teoretycznie cała wiedza z Ziemi była dostępna skolonizowanym planetom, lecz praca i energia włożona w takie przedsięwzięcie zrujnowałaby ich całkowicie! Ledwie starczało im paliwa na ogrzanie domów i materiałów na budowę palisady chroniącej przed zagrożeniami naturalnymi. A nawet jeżeli posiadali środki, które przed nim ukryli (po co mieliby go oszukiwać?), przeznaczenie ich na coś tak bezużytecznego, w świecie gdzie nie było nawet samochodów, a cóż dopiero samolotów — było szaleństwem!

Atrapa! To by wszystko wyjaśniło — imitacja na wielką skalę, skorupa — pomnik, pokazujący prawdopodobną przyszłość tej planety. Ale na jakąż skalę!

Zaintrygowany brat Paweł podszedł do terminalu. Był olbrzymi, opasany wstęgami asfaltu, otoczony parkingami, rampami i mniejszymi terminalami. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Samochody i samoloty wyglądały na prawdziwe; widok przypominał Ziemię sprzed dekady do tego stopnia, że poczuł ból nostalgii. Zieleń była świetnie utrzymana, a atrakcyjna fontanna wyrzucała strumienie wody zgodnie z jakimś artystycznym programem.

Ludzie wchodzili i wychodzili, zupełnie jak na Ziemi, każdy odziany odpowiednio na tę okazję, każdy zajęty własnymi sprawami. Brat Paweł dołączył do grupy przy głównym wejściu, z nadzieją, że jego obecność tutaj nie zepsuje widowiska. Habit Świętego Zakonu Wizyjnego pasował wszędzie. Był ciekaw czy wewnątrz budynku jest równie dobrze urządzone jak jego zewnętrzne otoczenie.

Okazało się, że tak. Niesamowicie długie schody ruchome przenosiły ludzi na różne poziomy. Głośniki bełkotały coś niezrozumiale. Przy kasach tworzyły się krótkie kolejki. Odzywały się brzęczyki urządzeń wykrywających obecność metalu w kieszeniach pasażerów. Wszystko to razem wyglądało na perfekcyjne odtworzenie rzeczywistości; nie zapomniano o żadnym drobiazgu!

Czyjaś dłoń pociągnęła go za rękę.

— Chodź już, tatusiu — spóźnimy się na nasz samolot! Zaskoczony, spojrzął w dół i zobaczył małą dziewczynkę uczeponą jego

ręki. Miała jakieś osiem, dziewięć lat, niebieskie oczy i dwa długie, jasne warkocze.

— Pospiesz się, tatusiu! — ponaglała go.

— Młoda damo, wyglądała na to, że zaszła jakaś pomyłka dotycząca mojej tożsamości — powiedział, nie pozwalając się pociągnąć.

Nie ustępowała jednak.

— Powiedziałaś, że odlatuje o dziewiątej pięćdziesiąt, a jest już dziewiąta czterdzieści i jeszcze nie znaleźliśmy właściwego wyjścia!

— Nie jestem nawet żonaty — protestował brat Paweł, kierując te słowa w równym stopniu do niej, co i do siebie. Gdzie jest jej rodzina? Nie chciał, by dziewczynka zgubiła się.

— Och, chodź już wreszcie, tatusiu!

I dosłownie pociągnęła go za sobą. Musiał ulec lub zaryzykować żenującą scenę z obcym mu dzieckiem. Wybrał to pierwsze.

— Ale ja nie mam biletu — powiedział bez związku, mając nadzieję, że to ją powstrzyma. Biletu dokąd?

— Pozwoliłeś, żebym ja miała nasze bilety przy sobie, pamiętasz? — Puściła na chwilę jego dłoń i otworzyła małą torebkę. Po chwili wyłowiła dwie koperty z przyczepionymi do nich kwitami bagażowymi; wszystko to razem sprawiało jak najbardziej autentyczne wrażenie. — Widzisz?

Zaczynał już żałować, że wszystkie szczegóły zostały tutaj tak dokładnie dopracowane! Wziął od niej te dokumenty podrózne i sprawdził je. Pierwsza koperta zaadresowana była do panny Karoliny Cenji. Był to dla niego duży szok bo praktycznie nie używał swojego nazwiska i sądził, że koloniści go nie znają. Druga koperta zaadresowana była do ojca Pawła Cenji. Celem podróży był Boston.

Odsunął na moment zagadkę związaną z personaliami. Czy na planecie Tarot był jakiś Boston? Tak, było to możliwe; jakaś wioszczyzna biorąca swą nazwę od ziemskiego oryginału, nazwę użytą na biletach dla uprawdopodobnienia sytuacji. Pomysłowe. Mimo to, nie wyjaśniało to wszystkiego.

— Rejs PA3 do Bostonu, wyjście 15 — zagrzemiał głośnik, tym razem wyjątkowo wyraźnie.

Brat Paweł uśmiechnął się. Stara, znana gra słów! PA 3 — patrzy — patrzy, czyli przewiduje. Cały ten skomplikowany pokaz jako ćwiczenie związane z przewidywaniem, z aspiracjami zacofanej planety patrzącej zdecydowanie w przyszłość. A może spoglądającej nostalgicznie w niedawną przeszłość, kiedy technologia i energia były tanie; jakież byłby inny powód użycia nazwy ziemskiego miasta? Dziwne, że tak trudno odróżnić przyszłość od przeszłości w pewnych sytuacjach. A czy była między nimi rzeczywiście duża różnica?

— To tutaj! — wołała Karolina z ekscytacją typową dla dziewczynek w jej wieku. — Pośpiesz się!

Ciągle usiłując dociec, w jaki sposób jego nazwisko znalazło się na Miecie — nie mówiąc o imieniu i nazwisku jego nie istniejącej córki! — brat Paweł dał się prowadzić do wyjścia 15. Musiał tu gdzieś tkwić jakiś błąd — ale o który błąd tu chodziło? Jego obecność na planecie Tarot nie była tajemnicą, ale nie była też znana szerokiemu ogółowi. Ważna persona mogłaby być w ten sposób oprowadzana, lecz on nie był...

Dołączyli do kolejki pasażerów sprawdzanych przez pracowników zabezpieczenia i ochrony lotniska. Czy powinien zadać jakieś pytania stojącym obok? Czy pogwałciłoby to ducha tej gry?

Być może ojciec dziewczynki jest gdzieś przy wyjściu — to takie oczywiste miejsce — i nieporozumienie dotyczące tożsamości ich trojga zostanie wreszcie wyjaśnione. On sam miał inne sprawy na głowie, od których i tak pozwolił się oderwać na zbyt długo. Być może pociągnęła go ta atrapa lotniska, ponieważ nie miał ochoty stawać przed społecznością osady z jeszcze jednym sprawozdaniem, które nic nie wyjaśnia. Nie powinien jednak pozwolić, by ta sytuacja przytłoczyła go całkowicie.

Przechodzili teraz przez urządzenie do wykrywania metalu — żadnego brzęczenia! — i do wyjścia. Pracownik sprawdzał ich bilety z przesadną uprzejmością.

— Dziękuję ojcu — powiedział. — Proszę przechodzić.

Ojcu? Ależ naturalnie, tak właśnie było wypisane na bilecie; przedtem jakoś tego nie zauważył.

— Jestem brat Paweł i obawiam się, że zaszło jakieś...

— Bardzo proszę. Niepalący do przodu. Rodziny z dziećmi wchodzi .pierwsze. — Mężczyzna nie patrzył już na niego, lecz zwracał się do następnego pasażera.

— Tatusiu, tamujemy cały ruch!

Czyżby jej ojciec już był we wnętrzu? Bez biletu nie wydawało się to prawdopodobne. Skoro jednak samolot był jedynie atrapą, takie szczegóły jak Wety nie były zbyt istotne. Zapewne był już w samolocie. Przypadkową zbieżność nazwisk można zaakceptować, ale przynależność do zakonu i stan cywilny zaskakiwały. Jak to możliwe, że dziewczynka w tym wieku mogła pomylić własnego...

Rękaw dochodził do samych drzwi samolotu. Brat Paweł wszedł do wódka i przyjrzał się pasażerom siedzącym w fotelach po obydwu stronach przejścia. Nie dostrzegł nikogo w stroju duchownego.

— To tutaj — powiedziała Karolina. — Przed skrzydłem, dzięki czemu będziemy mogli wyglądać przez okienka.

— Nie mogę tu zostać! — protestował brat Paweł. — Zatrzymałem się tylko przy terminalu, żeby zobaczyć...

— Proszę zapiąć pasy — powiedziała stewardesa.

— Chwileczkę! Ja muszę wysiąść.

Rękaw był już jednak odczepiony i drzwi zamknięte. Znalazł się w pułapce.

Trudno. Ten samolot i tak nigdzie nie polecie. Znalazł się tylko w bardzo wyszukanej scenografii, dopracowanej w każdym szczególe i to wszystko. Usiadł w fotelu i zapiął pas. Nie chciał być tym, który psuje innym zabawę.

Samolot zaczął kołować.

Brat Paweł zerwał się — i pozostał na miejscu. Pas trzymał mocno. Chwycił nerwowo zapięcie, jakoś je odpiął, wstał, rozejrzał się — i znieruchomiał.

Jeśli wyskoczy teraz, kiedy atrapa samolotu toczy się zupełnie realistycznie po betonowym pasie startowym, dziewczynka będzie zmuszona odbyć ten „lot” samotnie. Pozbawi ją w ten sposób połowy uciechy. Nie zostawiłby przecież dziecka, gdyby lot był prawdziwy; dlaczegoż miałby to uczynić teraz? Byłoby to takie samo okrucieństwo, przenośnie rzecz biorąc.

Usiadł wygodnie i zapiął pas. Umówione spotkanie trochę się tylko odwlecze. Bez wątplenia obserwatorzy, nie znajdując go na miejscu, sprawdzą skraj terenu animacji i natrafią na niego tutaj. Skoro zaś prawdziwi rodzice dziewczynki są nieobecni, brat Paweł będzie zmuszony zaopiekować się nią, dopóki się nie pojawią. Jak powiedział sam Jezus Chrystus o najmniejszych z dzieciak...

Samolot zawrócił i ustawił się na głównym pasie startowym, tym samym, który brat Paweł zauważył na samym początku. Po czym maszyna przyspieszyła ostro. Zieleń migąła za oknami. Przyspieszenie było na tyle gwałtowne, że pasażerów wcisnęło w fotele. Wyglądało to na jakieś dwieście kilometrów na godzinę. Zafascynowana Karolina wyglądała przez pochyłe okienko. Brat Paweł patrzył ponad jej głową na widok za oknem, choć powód jego zainteresowania tym, co się dzieje, był całkowicie inny. Dla niego to był bardzo efektowny pokaz!

Przód samolotu oderwał się od ziemi, po czym cała reszta. Maszyna leciała pod ostrym kątem. To było aż za realistyczne.

Migająca zieloność zniknęła w dole. To był start!

Start? Brat Paweł wpatrywał się w okienko poprzez kilka powiewających pasemek włosów, które uwolniły się jakoś z warkoczy dziewczynki. Ziemia znajdowała się jakieś dwadzieścia metrów pod samolotem i opadała wciąż gwałtownie, odpychana potworną siłą odrzutu.

Nagle zrozumiał. W okienkach wyświetlano film, zmieniając równocześnie kąt nachylenia samolotu. Wszystko to razem symulowało lot. Bardzo przekonująca iluzja.

Wkrótce obraz w oknie ukazał chmury, a maszyna leciała poziomo. Podano szampan; brat Paweł nie przyjął kieliszka. Był taki czas, kiedy — ale nigdy więcej nie dotknie środków mających wpływ na działanie mózgu!

Stewardesa szła przejściem między fotelami, stawiając tacki ze śniadaniem na małych stolikach opuszczanych z oparcia fotela znajdującego się przed każdym pasażerem. Jajecznicza, kiełbaski, grzanki i sok owocowy.

Śniadanie? Czyżby to był ranek? Możliwe, że tak, biorąc pod uwagę ten cały czas, który spędził na pełzaniu w labiryncie pod Sfinksem. Nie można polegać na subiektywnym wrażeniu upływu czasu, kiedy się jest wewnątrz animacji.

— Dostanę mleko? — spytała Karolina.

— Czy mogłabym dostać mleko? — poprawił ją brat Paweł, nie bardzo świadom tego, co mówi.

Stewardesa uśmiechnęła się i podała szklanekę mleka. Była dziewczyną o pełnych piersiach i już łańcuch skojarzeń związanych z mlekiem — zerwał go jednak. Skojarzenia i tak były nieuprawnione; wiele osób nie zdawało sobie przecież sprawy z tego, że krowy nie dają mleka, dopóki się nie ocielą.

Karolina miała dużo uciechy z tego „pikniku”, lecz brat Paweł był zadumany. Po co ta cała wypracowana w szczegółach scenografia, z prawdziwym, ziemskim jedzeniem (żadnej drewnianki!), jak gdyby był to rzeczywisty lot samolotem w epoce przedteleportacyjnej. Stawało się to czymś więcej niż tylko zabawą. Dlaczego trwoni się te skromne środki planety Tarot na to pełne nostalgii widowisko? Kiedy myślał nad tym dłużej, zaczęło to nabierać sensu. Sam przecież odczuwał nostalgię. Przyjemnie więc było odwiedzić zasobną technologiczną przeszłość, nawet na króciutko, nawet za pomocą atrapy. Minęło już tyle lat od jego ostatniej podróży samolotem — a i wówczas nie był on tak duży i elegancki jak ten. Dlaczego nie miałby się zrelaksować i bawić tym przedstawieniem?

Skończyli posiłek. Zauważył z niesmakiem, że Karolina zostawiła jego większą część nietkniętą; nie cierpiał marnotrawstwa.

Stewardesa sprzątnęła tacki.

Znajdowali się teraz powyżej warstwy chmur — na wysokości 37 000 stóp zgodnie z informacją pilota, co zmusiło brata Pawła do przerwania toku myśli, i przeliczenia tego na kilometry: około jedenastu i jednej czwartej kilometra — i przysięgłby, że strzyknęło mu uszach. Lot był spokojny i nudny. Część pasażerów czytała, inni spali, jakby ta podróż była dla nich czymś zupełnie zwyczajnym. Nawet jak na podróż sentymentalną, zaczynała być ona zbyt nużąca; co za dużo to niezdrowo!

— Kto to jest Will Hamlin? — spytała niespodzianie Karolina. Zaskoczony brat Paweł popatrzył na nią uważnie. — A cóż ty możesz

wiedzieć o Willu Hamlinie?

— Nic — odpowiedziała dowcipnie. — I właśnie dlatego pytam.

Brat Paweł zastanowił się nad tym pytaniem, odsuwając na później rozwiązanie niejasności tej dziwnej podróży. Bowiem Will Hamlin istniał rzeczywiście...

Paweł spotkał po raz pierwszy Wilfrida G. Hamlina, będąc świeżo upieczonym studentem, osiemnastolatkiem. Chodził na rozmowy z prowadzącymi zajęcia nauczycielami akademickimi, bo taki system panował w tej małej i niezwyklej uczelni, w której zaczynał studia. Próbował wybrać przedmioty najbardziej odpowiadające jego rodzącym się dopiero potrzebom intelektualnym.

Niezwykłość tej uczelni była właśnie powodem, dla którego Paweł wybrał właśnie ją. Nie było

tam egzaminu wstępnego, nie było testów, stopni i ustalonego z góry programu studiów. Studenci rozmawiali z nauczycielami, z których każdy reklamował swoje zajęcia, po czym wybierali te przedmioty, które wydawały się im najbardziej obiecujące. Jeśli dany przedmiot był wybrany przez zbyt małą liczbę studentów, zniknął on z planu, nim jeszcze zaczęły się ćwiczenia. W każdym semestrze wszystko układało się jakoś samo, mimo pozornego chaosu, który temu towarzyszył. Zajęcia miały charakter sesji dyskusyjnych, bez wykładów; prowadzący je próbowali po prostu logicznie zorganizować wyrażane podczas nich opinie i wskazać na istotne subtelnosci problemów. Wszystko to miało zrelaksowany charakter edukacji bez bólu.

Will Hamlin był drobnym mężczyzną, bez cech szczególnych, wyjąwszy fakt, że się lekko zaciął. Jego gabinetem był maleńki pokójek umieszczony przy nie ukończonym korytarzu prowadzącym do Teatru Stodoła.

Brat Paweł potrząsnął głową, kiedy przypomniał sobie dalsze szczegóły. Trzy lata później, właśnie w tym korytarzu przeżył pewną przygodę — ale to nie mogło zainteresować dziecka...

— A właśnie, że tak! — nalegała Karolina. — Opowiedz, tatusiu!

— Hm. No cóż. Więc...

Jeden z kolegów Pawła, powiedzmy Dick, i inny, o imieniu Guy — choć prawdopodobnie jacyś inni również brali udział w tym drobnym przedsięwzięciu — ta trójka więc i ich trzy dziewczyny, które pozostaną bezimienne (nie, Karolino, takie obyczaje obowiązują: nie należy wypowiadać się niepochlebnie o dziewczętach, jeśli można tego uniknąć. Powinny one być bez skazy) — babka (a może to był dziadek) jednego z tej szóstki zajęła się produkcją wina własnej roboty i próbka tego produktu znalazła się na terenie uczelni. Wino z mniszka — hodowanego przy domu — nie było zbyt dobre. W prawdziwym duchu studenckich tradycji, trójka tych inteligentnych, młodych ludzi — a byli oni inteligentni, niezależnie od ich osiągnięć naukowych — postanowiła udoskonalić jego smak poprzez destylację. Skonstruowali niewielki aparat destylacyjny w laboratorium naukowym, ciemną nocą (noc bowiem była czasem działań; dzień przeznaczony był na sen i ewentualnie zajęcia w klasach), i po przeróżnych przygodach udało im się uzyskać samą esencję: szklanekę czystego spirytusu. Destylacja, niestety, wzmocniła jedynie okropny smak oryginału; teraz dopiero była to kwintesencja ohydy. I co z tym zrobić? Ponieśli te ciecz przez Teatr Stodoła, w drodze do studenckiego Centrum — lecz nie uniknęli rozlania kilku jej kropel, jak kropli krwi świadczących o zbrodni, na podłodze korytarza tuż pod drzwiami gabinetu Willa. (Tak jest — stosunki na uczelni były na tyle pozbawione etykiety, że do wszystkich, z rektorem włącznie, zwracano się po imieniu.) Brat Paweł nie pamiętał już, co w końcu zrobiono z Destylowaną Babcią, ale pamiętał, że kiedy szedł tym samym korytarzem następnego ranka, jego zmysł powonienia został zaatakowany zapaszkiem Babci. Poczul mdłości. Cały ten teren został przesiąknięty tym ohydny smrodem, którego pochodzenia nikt naturalnie nie znał. Biedny Will; jego gabinet znajdował się tuż obok!

— Nie, nie sądzę byś rozumiała — powiedział brat Paweł. — Kiedy spoglądam wstecz, nie wydaje mi się to zabawne. Takie sobie wspomnienie...

Karolina jednak usiłowała stłumić dziewczęcy chichot. Cóż, być może ten epizod na nic więcej nie zasługiwał! Po prostu smród w korytarzu...

Teatr Stodoła? Uczelnia powstała czternaście lat przed przybyciem tam Pawła. Tak, był od niej starszy! Na jej użytek przebudowano typową farmę z Nowej Anglii i głównym jej budynkiem była wielka stodoła z czerwonym, dwuspadowym dachem. Grubo ciosane belki były widoczne nad salą teatralną; siano i słomę usunięto, lecz ciągle kilka ptaków gnieździło się gdzieś pod dachem. Gabinet rektora znajdował się w silosie. Will nie zasługiwał jeszcze na własny silos. Co sprowadza nas do pierwszego z nim spotkania? Być może nauka w stodole powoduje, że umysł jest zaśmiecony błędzącymi myślami, podobnymi bezpańskim psom wałęsającym się po kampusie, czyli miasteczku uniwersyteckim. Wróćmy jednak do tematu. Pokoik Willa był tak mały, że trudno było się w nim obrócić, ale przynajmniej posiadał okno. W gorące dni było ono błogosławieństwem. „USA, Dos Passos” — mówił Will. Brat Paweł uśmiechnął się na to wspomnienie. Wtedy bowiem sądził, że chodzi o miejscowość. Tak jak w przypadku Winesburg, Ohio czy Poletka Pana Boga.

Problem polegał na tym, że każdy z uczących mówił w ten sposób o swoich zajęciach, jakby student już dawno wiedział, o co w nich chodzi. Paweł nie miał pojęcia, czy ma ochotę odwiedzić Dos Passos, USA, czy raczej woli kontemplować Jednostkę a Społeczeństwo, pod opieką innego nauczyciela, czy też zajmować się dramatem, sztukami pięknymi, muzyką lub jeszcze czymś innym. Mieszało się od tego w głowie.

W rezultacie wybrał jednak zajęcia Willa. We właściwym czasie dowiedział się, że Dos Passos, USA, to okropne miejsce, długie na trzy tomy i wielkie jak dwudziestowieczna Ameryka, ale warte doświadczeń związanych z pokonywaniem jego labiryntów i bocznych ścieżek. Podobne w tym było do prawdziwego życia.

Paweł nauczył się o wiele więcej i rozwinął bardziej niż mogłoby to wynikać z horyzontów zakreślanych na zajęciach i z filozofii reprezentowanej przez uczących. Sam kampus był czymś w rodzaju Winesburga czy Dos Passos, z działaniami ukrytymi uzupełniającymi te otwarte. Poczta pantoflowa dostarczała informacji na tematy aktualne, a dotyczące studentów, grona pedagogicznego i związków pomiędzy nimi; pewne informacje były zabawne, inne poważne, a jeszcze inne pożałowania godne. Jedni rozkwitali w tym tyglu intelektualno — seksualnym, byli też tacy, których to niszczyło. Niewielka ilość wolności może posiadać niszczycielską moc! Paweł doświadczył tego osobiście i — głównie dzięki szczęściu, zdecydował, spoglądając wstecz — wyszedł cało z opresji. Nauczył się przy tym pewnej tolerancji i mniej już był skłonny osądzać kogoś na podstawie jednej z cech jego osoby, takiej jak, na przykład, ułomność fizyczna, pociąg do miłości lesbijskiej czy schizofrenia. Doświadczenie edukacyjne ukształtowało w dużym stopniu Pawła, choć było to zupełnie niewidoczne, w czasie, kiedy nauki pobierał.

W tamtych latach Will został opiekunem naukowym Pawła. System opiekuństwa i doradztwa naukowego na tej uczelni był bardziej ścisły niż gdzie indziej; opiekun interesował się blisko programem studiów podopiecznego i dbał o jego dobro w ogóle. Paweł w tym czasie został działaczem studenckim — to też było zupełnie normalne — i poprzez niego Will miał całkiem niezły wgląd w to, co kipiało w głębszych zakątkach splątanego życia w kampusie.

Uczelnia starała się przygotować swoich studentów do życia w tym wielkim świecie na zewnątrz, stając się sama wiernym mikrokosmosem tego świata. Studenci prowadzili większość prac usługowych na kampusie, zmywali naczynia, myli podłogi, utrzymywali zieleń, organizowali straż ogniową i zasiadali w różnych komisjach. Od czasu do czasu profesorowie również byli mocno

zachęceni do udziału w tych zajęciach, przy czym chodziło o to, by nie zamykali się w swoich wieżach z kości słoniowej (a faktycznie: w silosach), ale było to niewdzięczne zadanie. Większość z nich bardzo szybko wracała do swych rutynowych zajęć.

Całością zarządzało Zebranie Społeczności, odtworzone dokładnie na wzór Zebrania Miejskiego z Nowej Anglii. Studenci, nauczyciele i pracownicy administracji zbierali się w określonych terminach i dyskutowali sprawy znajdujące się na porządku dnia, stosując przy tym formalną procedurę parlamentarną. Przeróżne komitety, które były odpowiedzialne za poszczególne problemy w okresach pomiędzy zebraniem, składały swoje sprawozdania i otrzymywały nowe dyrektywy. Niektóre z tych komitetów miały tendencję do przechwytywania uprawnień do nich nie należących, zgodnie z przysłowiem, że władza korumpuje, co doprowadzało do poważniejszych nieporozumień. Wyróżniał się tu zwłaszcza Komitet Wykonawczy, w skrócie Wyk, złożony z przewodniczących pozostałych komitetów, rektora, wybranych przedstawicieli grona profesorskiego i przedstawicieli studentów z każdego akademika. Czasami Wyk ukrywał swoje działania przed społecznością uczelni, aby uchronić swe niepopularne decyzje przed obaleniem na walnym zgromadzeniu. — Powinniśmy być głową Społeczności, a niej jej ogonem — stwierdził jeden z członków Wyku. Na co zirytowany student odpowiedział: — To nie działajcie tak, jak gdybyście byli dupą tej Społeczności!

Przykład: był sobie pewien dwudziestokilkuletni student, uprzednio drobny biznesmen, o nazwisku Deacon, w skrócie Deac. Zorganizował on sklepik spółdzielczy, w którym sprzedawano papierosy, kosmetyki, materiały piśmienne i inne niezbędne drobiazgi, po obniżonych cenach. Przedsięwzięcie przynosiło dochody i dobrze służyło Społeczności; z tego też powodu organizator był serdecznie znienawidzony przez przeciwników wolnej przedsiębiorczości. Próbowali oni storpedować działalność kooperatywy na każdy możliwy sposób, nie wyłączając kradzieży z magazynu, lecz Deac okazał się inteligentniejszy od nich i spółdzielnia przetrwała. Zainstalował automat sprzedający batoniki; podniósł się wrzask z oskarżeniami, że jest to działanie niezgodne z „duchem Społeczności.” Jednak pewnego wieczoru zaobserwowano jak społeczny komunista, ten sam, który najbardziej gwałtownie protestował przeciw „fetyszyzmowi dóbr materialnych”, wślizgnął się do sklepiku i wsadził cichaczem monetę do automatu, po to, by z jego otworu wyjąć pudełeczko rodzynek. Był to zapewne największy sukces kooperatywy.

Deac miał małego pieska. Zgodnie z prawem Społeczności, na kampusie psów nie wolno było trzymać. Jednakże piękny seter irlandzki, własność rektora, zwany Pawłowem z powodu tendencji do ślinienia się, włóczył się swobodnie wokół budynków, a nawet wewnątrz nich. Zdarzało mu się nawet kiedyś „podlać” przerażonego studenta, stojącego w stołówce. Tak więc reguła nie była przestrzegana. Piesek Deacka mieszkał i jadał poza campusem, ale, naśladując innych członków Społeczności, zawsze podążał tam, gdzie coś się działo. (Nikt nigdy nie widział psa na zajęciach, co tylko pokazuje, jak te zwierzęta świetnie orientowały się w sytuacji.) Pewni członkowie Komitetu Wykonawczego dostrzegli tu szansę dla siebie. Właściciel jest odpowiedzialny za swego ulubieńca; pies złamał prawo. Dlatego też usunięto Deaca ze Społeczności. (Nikt nie zaproponował, by podobnie potraktować rektora; wyglądało na to, że istnieją jednak jakieś granice.)

Zrobił się szum. Deac miał co prawda wrogów w Wyku, ale posiadał także sporo przyjaciół wśród studentów. Większość była po jego stronie, chociażby ze względu na poczucie sprawiedliwości. W tej sytuacji Wyk przeprowadził manewr polegający na usunięciu tej sprawy z

porządku obrad. Deac musiałyby więc odejść, nim Społeczność miałaby możliwość formalnego przedyskutowania problemu: *fait accompli*.

Tak się złożyło, że sekretarzem Społeczności był wówczas Paweł, a jego przyjaciel Dick, znany ze sprawy Babcy, przewodniczył obradom walnego zgromadzenia. Przeanalizowali problem i odkryli, że porządek dzienny miał tylko charakter propozycji; można go było zmienić zwykłą decyzją większości. Wywieszono więc zawiadomienie o Zebraniu wraz ze starym porządkiem, by nie alarmować opozycji, a poczyniono zupełnie inne plany.

Rozpoczęto Zebranie o oznaczonym czasie. Tak przeprowadzono formalności, żeby pierwszą dyskutowaną sprawą było „psie prawo”. Zgłoszono wniosek: uchylić to prawo. Dyskusja? Trzy osoby przemawiały w obronie dotychczasowych przepisów; przeciwko nie przemówił nikt. Bardzo szybko doszło do głosowania — i prawo uchylono głosami milczącej większości. Deac powrócił na campus, nie można go było przecież usuwać za to, że jego pies pogwałcił nie istniejące prawo. Zbyt późno siły anti-Deacowskie, dominujące w Wyku, zorientowały się, że wyprowadzono je w pole. Zostały pokonane przy użyciu tej samej taktyki, którą same zapoczątkowały. Paweł opisał całą tę historię w protokole Zebrania, nie kryjąc dumy z faktu, że sam uczestniczył w wydarzeniach.

Później, w dorosłym życiu, Paweł zauważył, iż polityka tego rodzaju nie jest tylko jakąś aberracją czy odchyleniem małej lokalnej społeczności, lecz jest wręcz normą w polityce globalnej. Pozwoliło mu to zrozumieć siły, jakie się przejawiały w historycznym już maccartyzmie i w SKDA czyli SenaCkiej Komisji ds. Działalności Antyamerykańskiej. Władza rzeczywiście korumpowała, zarówno w makro jak i mikroskali, i zawsze niezbędne były jakieś nadzwyczajne środki, by naprawić krzywdy wyrządzone przez tych, którzy rzekomo reprezentują wolę większości. Paweł nigdy do końca nie zrozumiał tego zjawiska, które polegało na tym, że dobrzy faceci zachowują się jak źli faceci, ale przynajmniej nauczył się je rozpoznawać, kiedy już wystąpiło. Uczelnia rzeczywiście dobrze go przygotowała do życia na zewnątrz.

Niezależnie od tego, jak skuteczna była edukacja w tej instytucji, liczba studentów, finansowo rzecz ujmując, była niewielka i administracja podjęła decyzje prowadzące do jej zwiększenia. Uważano, że ostrzejsza dyscyplina przyciągnie większą liczbę kandydatów. Niektórzy członkowie grona profesorskiego byli przekonani, iż studenci postępują zbyt swobodnie w sprawach moralności seksualnej. (Niektórzy studenci mieli podobną opinię o swoich nauczycielach, lecz był to zupełnie inny problem.) Ustalono więc „godzinę policyjną”; żadnych mężczyzn w hallach akademików żeńskich i żadnych kobiet w hallach akademików męskich po godzinie dziesiątej wieczór.

Studenci poczuli się urażeni: uważali halle za teren wspólny i korzystali z nich o każdej porze dnia i nocy. Co więcej, halle podlegały władzy Społeczności; grono profesorskie stanowiło w niej mniejszość i nie mogło przejąć jednostronnie kontroli nad nimi, tak jak i Wyk nie mógł samodzielnie wyrzucić studenta za posiadanie psa. „Godzina policyjna” nie miała przeto podstaw prawnych i została kompletnie zignorowana.

Tak było do czasu, kiedy to jeden z nocnych strażników zauważył Pawła i jego kolegów w hallu żeńskim o godzinie 22.40. Paweł nie należał do ulubieńców pewnej grupy profesorskiej i nie była to tym razem sprawa uchylenia „psiego prawa”. Nie raz już stawał w obronie praw studenckich i na ogół z dobrym skutkiem. Był teraz całkiem pewny siebie. Teoretycznie rzecz biorąc, uczelnia

stawiała na uzyskanie przez studentów takiej pewności siebie: indywidualizm oznaczał charakter. W praktyce jednak patrzono niechętnym okiem na przejawy tego indywidualizmu, jeśli stał on w sprzeczności z bieżącą polityką. Wezwano tedy Pawła przed profesorski Komitet Norm Społecznych, zwany popularnie Jednostką Specjalną.

Paweł miał już wcześniej do czynienia z Jednostką Specjalną. Zasady jej tworzenia i działania były mu wstrętne. Zdarzało mu się być jednym z dwu studenckich członków Jednostki dokooptowanych tam tylko ze względów taktycznych. Nie wspominało go dobrze. Zwrócił bowiem uwagę rektora na związek dość wątpliwy, pomiędzy pewną studentką a członkiem tego właśnie Komitetu. — W jaki sposób Komitet zamierza egzekwować standardy moralne, jeśli sam ich nie przestrzega? — Starcie miało przebieg bardzo spokojny i uprzejmy, lecz rektor nie powiedział nic konkretnego. Wkrótce jednak członek Komitetu, o którego chodziło, został usunięty bez podania powodów takiej decyzji. Nie było to pierwsze starcie Pawła z rektorem. Miał dla niego sporo szacunku i nawet kiedy przeprowadzał swoją wolę, robił to tak, by nie wprawiać go w niepotrzebne zakłopotanie. Rektor był twardym człowiekiem, ale honorowym; ponadto był doskonałym administratorem. Jednostka Specjalna, jako całość, nie darzyła Pawła sympatią.

Innym razem, nocny strażnik przyłapał parę studencką w kompromitującej sytuacji, ale do rana wyleciało mu z głowy imię i nazwisko chłopaka. Wiadomo było o którą dziewczynę chodzi, lecz odmawiała ona podania personaliów swojego towarzysza, a uczelnia prowadziła zasadniczo politykę niekarania dziewcząt ze względu na rodziców ewentualnych przyszłych studentek. Tak tedy nowe prawo stosowane było raczej selektywnie. Hipokryzję takiego postępowania widzieli wszyscy studenci. Część dziewcząt była pozbawiona temperamentu, inne miały go nadmiar; założenie, że to chłopiec jest zawsze stroną prowokującą, było co najmniej naiwne.

W każdym razie, dzięki poczcie pantoflowej, wszyscy studenci wiedzieli, o którego z ich kolegów chodzi, a możliwe, że jego tożsamość znana była również niektórym profesorom. Informacja ta nie dotarła jednak do Jednostki. Linie bitewne zaczęły się zwierać. W społeczności, uprzednio tak świetnie współzyczącej, ujawniały się teraz bardzo nieładne prądy. Jak znana wojna w Azji, która zaczęła się od prostych i usprawiedliwionych idei, a przekształciła się później w siłę samoniszczącą. Paweł, przesłuchiwany przez Jednostkę, jeszcze raz dał wyraz swojej awersji do niej i jej celów. „Znam tego chłopca — ale nic wam nie powiem” — i uśmiechnął się, czerpiąc pewną satysfakcję z takiej sytuacji. Być może, pomyślał patrząc wstecz, był to Wład. Komitet nie mogąc kontynuować postępowania zakończył tę sprawę, ale...

Następnym razem, kiedy strażnik nakrył pewną parę, zapisał dane obydwójga. Tym razem pętla się nie ześlizgnie! Zupełnie przypadkowo, tym — chłopcem był przyjaciel Pawła, Dick, a para korzystała, za jego zgodą, z kryjówki Pawła; znajdowała się ona na strychu biblioteki, pod okapem budynku. Urządzona była nad belkami, wyposażona w materace, „pajęczarską” elektryczność i butelkę mocnej wódki (ale nie Babcie!); dostęp do niej był możliwy tylko po drabinie sznurowej i przez klapę w suficie. Prawdopodobnie było to najlepsze i najbardziej intymne gniazdko miłosne na kampusie. Tej nocy Pawła tam jednak nie było i przypadek zrzucił, że zamiast niego odkryto jego przyjaciela. Zaciągnięto Dicka przed Jednostkę Specjalną i zawieszono na tydzień.

Och, na miłosierdzie Boże...

(Ależ to tylko zwrot retoryczny, Karolino. Oznacza on — cóż, gdybyś miała cukierka i dała go przyjaciółce, a ta by go zjadła i rozchorowała się, to jakbyś się czuła?) W rzeczywistości upraszczał całą tę historię, podając w kilku słowach to, co przewijało się w ogromnych ilościach przez jego głowę, cenzurując co bardziej soczyste kawałki.

Paweł nie pogodził się z sytuacją. Był taki zwyczaj w Społeczności, że okradzionemu lub obrabowanemu pokrywano straty ze wspólnej kasy. Podczas najbliższego Zebrania Paweł zgłosił wniosek, by jego przyjacielowi pokryć koszty dojazdów (musiał mieszkać poza campusem), wynikające z bezprawnej akcji Jednostki Specjalnej. Pomysł był niedorzeczny, lecz atmosfera panująca w tym momencie na kampusie spowodowała, że wniosek przeszedł. Pieniądze wypłacono — i żadna ze stron nie zlekceważyła znaczenia tego faktu. Jednostka Specjalna miała podbite jedno oko, choć przecież, technicznie rzecz biorąc, odniosła zwycięstwo. Paweł odniósł też rany osobiście. Stracił swą kryjówkę i pozwolił, by przyjaciel poniósł konsekwencje z tą utratą związane. Stawka rosła, a jego utarczki, ciągle na pograniczu klęski, zawężyły jego możliwości.

W tym właśnie czasie zdarzyło się, że Paweł był w Centrum studenckim w momencie, kiedy wszedł tam strażnik podczas nocnego obchodu. Strażnik był mocno zbudowanym, krzepkim ale uprzejmym młodym człowiekiem, niewiele starszym od studentów. „Oto człowiek — powiedział głośno Paweł do zebranych — który czyni więcej niż wynikałoby to z zakresu jego obowiązków.” Była to bardzo cięta uwaga, której znaczenie chwycili wszyscy obecni, bowiem to temu właśnie strażnikowi udało się zlokalizować pewną ukrytą parkę, po pilnym poszukiwaniu, sprowokowanym pojedynczym śladem buta na śniegu. A przecież strażnik zrobił tylko to, co do niego należało, tak jak to robił zresztą teraz. Uśmiechnął się tylko, słysząc uwagę Pawła, zupełnie jak gdyby nadstawił drugi policzek, odbił kartę na zegarze i wyszedł.

Wreszcie sam Paweł stanął przed Jednostką Specjalną, która miała z nim pewne rachunki do wyrównania. Sugerowanie, że chodziło tu o zemstę, nie byłoby prawdziwe w stu procentach, jednak czynnika zemsty odrzucić całkowicie nie można było, bowiem Paweł sprowadził na Komitet więcej wstydu i kłopotów niż ktokolwiek inny. Symbolizował on, w pewnym stopniu, samo jądro opozycji przeciwko legalności działań Jednostki.

Przeprowadzono przesłuchanie wstępne. Podobnie jak w przypadku Inkwizycji, wszystko czyniono bardzo formalnie. Trójka z szóstki przychwyconej w hallu o godzinie 22.40 to dziewczęta (w pełnych strojach i w ogóle nienaganne), a ponieważ znajdowały się we własnym hallu, zostały wyłączone ze sprawy. Zresztą i tak byłyby wyłączone, jak to zdarzyło się w dwu poprzednich sprawach, w których zamieszane były dziewczęta. Pierwszy z trzech studentów powiedział: „Nie godzę się na godzinę policyjną w hallach i nie uznaję kompetencji tego Komitetu — ponieważ jednak nie mogę pozwolić sobie na kłopoty, jakie ten Komitet może na mnie sprowadzić w przypadku, kiedy będę domagał się swych praw, rezygnuję z ich obrony. Przepraszam za przekroczenie przepisu, więcej tego nie zrobię”. Było to dokładnie to, co Komitet chciał usłyszeć; kapitulacja z jednoczesnym uznaniem jego autorytetu. Studenta tego nie ukarano. Dokończył nauki na bieżącym semestrze, a po przerwie nie powrócił już na uczelnię. Był to ten rodzaj scenariusza, który Paweł dostrzegł później w wykonaniu wielu reżimów totalitarnych na całym świecie, ale do którego nie zamierzał się dostosować ani wówczas, ani kiedykolwiek.

Drugi z chłopców zwrócił się bezpośrednio do Pawła: „Czy postąpimy podobnie, czy będziemy

walczyć?” Paweł wiedział, że ten student ma ochotę walczyć — był to zresztą ten sam, który rzucił słynną uwagę dotyczącą cech analnych Wyku — ale nie chciałby walczyć samotnie. „Walczymy” — oznajmił Paweł. I wspólnie stawili czoło Komitetowi, oskarżając go otwarcie z precyzją charakterystyczną tylko dla bardzo inteligentnych młodych ludzi.

W odpowiednim czasie wezwano ich do wysłuchania werdyktu. Kolega Pawła wszedł do sali pierwszy i opuścił ją z informacją, że zawieszono go na jeden tydzień. Paweł, bardziej uparty, z większym tupetem, ale i ostrożniejszy, przyniósł ze sobą magnetofon. Reakcja Jednostki Specjalnej byłaby niewątpliwie zaskakująca dla tych, którzy nie znali jej członków. Odmówili oni bowiem zgody na wydanie werdyktu przy włączonym magnetofonie. Paweł zaś nie zgodził się na jego wysłuchanie bez tego zabezpieczenia. Odszedł więc nie wysłuchawszy werdyktu we własnej sprawie.

Studenci zorganizowali wielki wiec protestujący w związku z zawieszeniem kolegów i przeprowadzili go w hallu akademika żeńskiego. A gdzieżby indziej? Działo się to w nocy. Kiedy nadszedł nocny strażnik, dano mu listę pięćdziesięciu nazwisk — mniej więcej połowy ogólnej liczby studentów — i polecono dostarczyć ją właściwej instancji. Znaleźć się na tej liście było sprawą honoru. Ale Komitet nazwał to wszystko „demonstracją” i jako taką zignorował. Nie zależało im na połowie wszystkich studentów; chcieli mieć Pawła. Posunięcie i przeciwuderzenie; na tym etapie walka skończyła się remisem.

Studenci zwołali wówczas formalne zebranie w hallu akademika męskiego i zaprosili na nie, również w sposób formalny, grono profesorskie. Przebieg zebrania był spokojny, choć wyczuwało się wzajemną wrogość; poddano ostrej krytyce stanowisko władz uczelni. W odpowiedzi na powtarzające się pytania dotyczące przyzwoitości, legalności i etyki rektor stwierdził: „Jeśli decyzja o zawieszeniu nie będzie honorowana, zamknę uczelnię”. Nie żartował; przemówił z pozycji siły, a nie moralności i racji. W końcu studenci, stojąc na słabszej pozycji i posiadając więcej rozsądku, ustąpili; przegrali tę potyczkę. Student, który został na tydzień zawieszony (a faktycznie ukrywał się na kampusie przez kilka dni, czekając na decyzje dotyczące Pawła), wspólnie z Pawłem wypracował kompromis z Komitetem, który tak obawiał się taśmy magnetofonowej: werdykt na piśmie. Rozwiązanie to okazało się znaczące, bowiem kiedy ten właśnie student nie przyszedł na ważną próbę teatralną, jako że był właśnie zawieszony, czym rozwścieczył reżysera, Komitet zaprzeczył jakoby kiedykolwiek zawieszał tegoż studenta na cały tydzień. Pisemny werdykt wykazał, że kłamstwo i sprawę roztrząsano na następnym Zebraniu Społeczności. Mimo wszystko, Jednostka Specjalna wygrała i tę potyczkę. Zraziło to studentów do władz uczelni i było kpinią z samorządu studenckiego, lecz grono profesorskie przeprowadziło swoją wolę.

W tym całym zamieszaniu, profesorowie solidaryzowali się ze stanowiskiem rektora: godzina policyjna i zawieszenia są legalne. Prywatnie jednak dawali wyraz różnym poglądom na te sprawy. Mniejszość przychyliła się do stanowiska studentów. Na dodatek, w tym właśnie czasie, uczelnia znajdowała się w bardzo trudnej sytuacji finansowej i część pracowników nie otrzymała pensji za poprzedni miesiąc. Wiedzieli, że uczelnia może zostać zamknięta! W obliczu tych etycznych i praktycznych problemów, tylko jeden z nich miał odwagę wyartykułować swoje zdanie. Uczynił to podczas studenckiego protestu i w obecności rektora. W łagodnych słowach poparł pewne aspekty stanowiska młodzieży i zaprzeczył jakoby rektor mówił w imieniu wszystkich pracowników;

ponieważ zaś rektor tak utrzymywał, Will był bardzo bliski nazwania go kłamcą. Will Hamlin — opiekun naukowy Pawła.

— Taki właśnie — kończył swą opowieść Paweł, podczas gdy samolot podchodził do lądowania — był Will Hamlin — jedyny, który miał dość odwagi, by powiedzieć, co myśli, mimo że zagrażało to jego posadzie. W czasie wydarzeń, ta jego odwaga pozostała w dużym stopniu nie zauważona ze względu na złożoność sytuacji. Występowanie w obronie sprawiedliwości często bywa zadaniem niewdzięcznym. Ale ja nigdy tego nie zapomniałem. Możliwe, że moje przywiązanie do pewnych zasad zostało wywołane jego przykładem. W późniejszych latach otrzymywałem uprzejme prośby o finansową pomoc dla uczelni, podpisane przez jednego z członków Jednostki Specjalnej; były to rutynowe druczki, ale podpis na nich odrzucał mnie i żadnego wsparcia nie udzieliłem. Teraz jednak odezwał się sam Will — a jemu moje sumienie nie pozwoliłoby odmówić. Poza tym, wydaje się on jedynym, którego pamiętam z tamtych czasów i który ciągle jeszcze, po dwudziestu latach, pracuje w tej uczelni.

Po dwudziestu latach? Brat Paweł usłyszał wypowiedziane przez siebie słowa i zadumał się. Przecież opuścił tę instytucję dziesięć lat temu — A ta druga tajemnicza sprawa: jak mogło to dziecko pytać go o kogoś z jego przeszłości? Byłby to mało prawdopodobny zbieg okoliczności, który dziwnym sposobem nie wydawał się przypadkowy. Już prawie sobie przypomina. —

— Tatusiu, zabolalo mnie w uszach! — powiedziała Karolina. Problem bieżący wziął górę nad refleksją.

— To ciśnienie — tłumaczył dziewczynce. — Kiedy samolot obniża lot, powietrze...

Twarz małej była skrzywiona z bólu; nie był to czas na rozsądne wyjaśnienia.

— Spróbuj je odblokować — rzekł szybko. — Ściśnij nos palcami i dmuchaj. Mocno. Mocniej!

Pomogło, przestała się krzywić i otarła łzę.

— Zupełnie mi się to nie podoba — obwieściła.

Trudno ją za to winić. Sam co prawda nie odczuwał żadnego szczególnego dyskomfortu, ale wiedział, że ciśnienie powietrza na bębniaki może być bolesne, zwłaszcza dla dziecka, które nie rozumie, na czym polega to zjawisko.

Samolot opadał poniżej chmur. Ukazały się ulice i domy Bostonu.

Brat Paweł wiedział już teraz, że nie znajduje się na planecie Tarot. Przynajmniej jeśli chodzi o percepcję; to musi być następna animacja. Co prawda jakaś dziwna, bo rozwijająca się zupełnie niezależnie od jego woli.

A jeśli jest to jeszcze jedna wizja i nic więcej — w jaki sposób uzyskać pewność co do realności otoczenia i wydarzeń? Taka pewność jest mu potrzebna, żeby wiedzieć, czy znajduje się poza animacją. Jeżeli natomiast nie jest w stanie stwierdzić nawet, czy to sen czy jawa...

I to dziecko, Karolina — czyżby była tylko halucynacją? Zdziwiałoby to, że zaczynał sobie ją przypominać, po troszeczkę — choć przecież był kawalerem i nie miał dzieci. Jak więc mógł ją sobie przypominać? Efekty animacji były w stanie wpływać na jego postrzeganie, ale do tej pory nie tknęły jego umysłu. Silna wiara w nienaruszalność własnej tożsamości dawała mu siły podczas tej niezwykłej przygody; jeśli jego godność osobista i pewność własnej tożsamości rozmyją się teraz, będzie zgubiony. Nie życzył sobie, by cokolwiek igrało z jego umysłem!

Skoncentrował się, usiłując przerwać tę wizję. Karolina obróciła się ku niemu i spytała:

— Tatusiu, czy nic ci nie jest?

Rozluźnił się. Jeśli opuści teraz tę wizję — co będzie z nią? Podejrzywał, że nie istnieje ona realnie poza jego wyobraźnią, lecz mimo to wyobraził ją sobie jako więźnia w sztuce, z której uciekł aktor grający główną rolę. Cóż za okropne myśli! Musi ją dostarczyć do domu czy — gdziekolwiek ona się Udaje. Wycofa się dopiero później. Zgodnie z regułami gry.

Lotnisko w Bostonie było takie samo jak inne w tych czasach sprzed exodusu. Jedyne otaczające je miasto wydawało się jakieś dziwne, jakby skurczone. Różniło się od większości współczesnych metropolii tym, że posiadało energię elektryczną, a oświetlone górne piętra w wieżowcach wskazywały, że są one zamieszkane. Dziwne, bardzo dziwne!

Ziemia wybiegła im naprzeciw. Koła uderzyły o beton. Samolot wyhamował i podkołował do terminalu.

— Już po wszystkim — wyszeptał brat Paweł.

Opuścili samolot i znaleźli się w budynku terminalu głównego. Zgodnie z informacją na biletach, pozostało jeszcze kilka godzin do następnego samolotu.

— Czy możemy coś zjeść na lotnisku, tatusiu? — spytała Karolina z nadzieją w głosie.

Brat Paweł sprawdził portfel i odkrył, że ma dość gotówki; mogli coś zjeść. Ceny były wysokie, potrawy o niewielkiej wartości odżywczej, ale dziewczynka była bardzo zadowolona. Nieważne, co jadła; ważne, że jadła na lotnisku. Po posiłku poszli na przechadzkę po dzielnicy Bostonu najbliższej lotnisku. Karolinę fascynowało wszystko — od przeszklonych budynków do krat w oknach piwnic. Podobało mu się to dziecko; tak łatwo było dzielić jej radość i jej entuzjazm. Zawsze taka była, nadaktywna, ciekawa i łatwo się ekscytująca. Od samych narodzin pamiętał...

Pamiętał? Przecież ona była tworem chwili obecnej, nie istniejącym realnie poza tą wizją, bez żadnej przeszłości i bez żadnej przyszłości. Czy na pewno?

Brat Paweł potrząsnął głową, obserwując ją podskakującą wesoło jak mały szczeniak, który odkrył jakiś fascynujący szlak. Odczuwał dziwne poczucie winy. Dlaczegoż ma nie pamiętać — cokolwiek by to nie było, co już zaczynał sobie przypominać?

W końcu zgłosili się na terminal linii Air Non Entity, która miała ich dostarczyć do dziewiczych okolic Nowej Anglii. W porównaniu z olbrzymim odrzutowcem, ten mały samolocik przeznaczony

tylko dla dwudziestu pasażerów i z napędem śmigłowym, wydawał się zwykłą zabawką. Wszedł jednak na wysokie obroty, jakby był napędzany jakimiś potężnymi, skręconymi gumkami, i bez trudu wyskoczył w powietrze. Za każdym razem, kiedy przelatywał przez małą chmurkę, opadał trochę, wzbudzając niepokój brata Pawła i przestrasz Karoliny. Zupełnie nie był godny zaufania!

— Tatusiu, opowiedz mi historię stopni, których nie było — powiedziała Karolina wesoło, zapominając o chmurach i nagłych skokach samolotu. Wyglądało na to, że wszystko, co trwa dłużej niż pięć minut, traci swój urok dla dziecka w tym wieku.

Stopnie? Skąd mogła o nich wiedzieć? Widocznie jej o nich powiedział, a ona pokazywała mu teraz drugą stronę tego, co wynika z niemożności skupienia się na jednym temacie: lubiła, kiedy powtarzało jej się znane historyjki, ze wszystkimi szczegółami.

Nie było więc sensu przykuwać jej uwagi do chmur przelatujących za oknem czy koncentrować tę uwagę na stadium początkowym mdłości wywołanych chorobą lokomocyjną. Zamknął oczy, by nie patrzeć na torebki przeznaczone dla cierpiących torsje, umieszczone w kieszeniach foteli przed nimi, i opowiedział jej (ponownie?) o nie istniejących stopniach. Karolina była już na etapie, kiedy nienawidzi się ocen, i dlatego z przyjemnością słuchała jego naukowych obiekcji wobec Systemu. Stopniowo on sam zanurzał się we wspomnieniach, przeżywając tamte czasy, choć słowa, jakich używał, były celowo uproszczone, by mogła go lepiej zrozumieć.

Uczelnia nie stosowała stopni. To między innymi czyniło ją tak atrakcyjną: ta wolność od przygniatającego ciśnienia egzaminów, wyników podawanych w formie liter lub cyfr i wszelkiego towarzyszącego temu zła. Już w szkole średniej Paweł nie znosił współzawodnictwa o stopnie, szczególnie z tymi, którzy oszukiwali; obrzydziło mu to cały ten system. Bo chociaż sam nie oszukiwał, jego pozycja w klasie była w pewnym sensie, uzależniona od tych, którzy byli skrupułów pozbawieni. Skończył więc szkołę na pozycji niższej niż ci, którzy na to nie zasłużyli. Co więcej, nawet przy uczciwym podejściu uczniów wiadomo było, że sam system testowania jest niedoskonały, a on ponosił tego konsekwencje. Uczył się powoli, ale solidnie i zapamiętywał to, czego się nauczył, pogłębiając swą wiedzę długo jeszcze po jej sprawdzeniu. Inni zapominali wszystko natychmiast po teście. Ich stopnie jednak nie odzwierciedlały tego, czego się naprawdę nauczyli, a jedynie to, co wykazywały wyniki testów. Tutaj, na uczelni, oszukiwania nie było, bo nie było do niego okazji: żadnego nocnego wkuwania, żadnych krążących kopii pytań na egzaminach końcowych, żadnego karnego obniżania stopni już uzyskanych i żadnej potrzeby stosowania metody „nauczyć się — zapomnieć”. Wielkie, systemowe zło zostało wyegzorcyzmowane.

Zamiast tego, pod koniec każdego semestru, trzy osoby sporządzały sprawozdania: nauczyciel danego przedmiotu, student i opiekun naukowy studenta. Z tych trzech sprawozdań sporządzano jedną opinię — ocenę, bez liter i cyfr, i umieszczano w kartotece studenta. I to wszystko.

Tak przynajmniej utrzymywano w informatorze uczelnianym. Paweł wierzył w to przez cały czas pobytu na uczelni: cztery lata. Uwolniony od zmory stopni, korzystał z innych aspektów edukacji, takich jak śpiewanie piosenek „folk”, gra w tenisa, a także frustracje i radości związane z płcią piękną. Nie zaniedbał jednak formalnych zajęć; w rzeczywistości wyniósł z nich bardzo wiele, co przydało mu się w latach późniejszych. Ale te zajęcia były tylko częścią jego edukacji, nie zaś całością. Nigdy nie żałował takiego podejścia do nauki i doceniał politykę uczelni, która pozwalała

mu odnaleźć swą drogę na swój własny sposób. Paweł nie mógł rozwijać się w kaftanie bezpieczeństwa „normalnej” edukacji i tutaj tego robić nie musiał. Uczył się łatwo, co sprawiało mu przyjemność, w klasie i poza nią, i od tamtego czasu weszło mu to w nawyk. Uczenie się ciągle było dla niego radością, teraz bardziej niż kiedykolwiek — ponieważ w uczelni nauczył się nie faktów, ale samej metody uczenia się. Wszystkie stare udreki związane z nauką zbladły w pamięci, a ta jedna umiejętność pozostała.

Wiele lat później, kiedy odbywał nowicjat w Świętym Zakonie Wizyjnym, ojciec Benjamin położył przed nim cienką teczkę.

— Oto Pokusa — powiedział. Brat Paweł popatrzył na niego.

— Nie rozumiem. Miałem teraz poświęcić się medytacji. Medytacja była sprawą ważną: jeszcze jedną formą nauki.

— Zaiste, będziesz medytował, Pawle — odrzekł ojciec z enigmatycznym uśmiechem. — Będziesz medytował, czy otworzyć tę teczkę, czy też nie.

Czyżby ojciec żartował? Trudno to przyjąć za standardową medytację. Wyglądało na to, że jednak nie żartuje.

— Skąd mam wiedzieć, co jest właściwe? Nie znam przecież natury tej teczki.

— To są twoje papiery z okresu pobytu na studiach.

I ojciec Benjamin odszedł. Cóż za niepokój i zamieszanie wewnętrzne pozostawił za sobą! Brat Paweł wiedział, że papiery te to dla niego materiały tajne; nie były przeznaczone dla niego. W celu usunięcia stresów współzawodnictwa, uczelnia nie zaznajamiała poszczególnych studentów z materiałami ich dotyczącymi. Naturalnie, Paweł mniej więcej orientował się w swoich postępach, jako że jego własne opinie stanowiły również część tych materiałów.

Zastanawiał się teraz. Skoro wiedział, co w nich się znajduje, dlaczego były dla niego zawsze niedostępne?

Myślał, a wątpliwości narastały. Nikt nie utrzymywał jego wieku w tajemnicy przed nim, czyjego wagi, czy innych aspektów dotyczących jego osoby i jego działalności. Brat Paweł uważał, że każdy ma prawo do wszelkiej informacji dotyczącej jego osoby; w końcu to jego życie. Jaki był sens w utrzymywaniu tajemnicy?

Niewątpliwie uczelnia miała jakieś powody, by ograniczyć dostęp do tych dokumentów. Niepotrzebne ozdobniki zostały tam zapewne wyeliminowane, a zostały głównie suche fakty. Jeśli coś zostało ukryte, to widocznie było to niezbędne. Czy nie był przypadkiem zobowiązany do przestrzegania tych reguł i czy nie powinien zostawić tej teczki w stanie nienaruszonym?

Jeśli tak, to dlaczego ojciec Benjamin w ogóle mu ją przyniósł? Czyżby był to sprawdzian jego prawości, decydujący o jego losach w zakonie? Czy ojciec Benjamin odgrywa rolę adwokata diabła, wystawiającego go na pokusę? Czy on sam potrafi się oprzeć, jak Jezus Chrystus, i nie będzie miał

sobie nic do wyrzucenia — czy też, jak Ewa w ogrodzie Edenu, ulegnie pokusie skosztowania owocu z zakazanego Drzewa Wiadomości?

Wprowadzało to nowy aspekt problemu. Brat Paweł nigdy nie potępiał Ewy za zjedzenie tego owocu, choć kosztowało to ją i Adama utratę ziemskiego raju. Wiedza była istotą człowieczeństwa, tym co odróżniało go od zwierząt. Ktoś, kto unikał uczenia się, marnował swoje dziedzictwo. Eden nie był rajem; był więzieniem. Niewiedza nie była błogosławieństwem. Niewątpliwie Bóg wiedział, że ta pierwsza para naszych przodków zje owoc; byłoby rzeczą niewłaściwą go nie zjeść. Sens tej legendy tkwił w tym, że cena wiedzy jest wysoka i że zapłacona musi być. Alternatywą byłoby pozostanie w stanie zwierzęcym.

Być może, nie była to zbyt ortodoksyjna interpretacja, lub Święty Zakon Wizyjny, podobnie jak jego uczelnia, zachęcał do samodzielnego myślenia i korzystania z wyobraźni. Jeśli nienasycona ciekawość stanowiła grzech pierworodny człowieka, jakże inaczej mógł go odpokutować niż tylko przez tej ciekawości zaspokojenie?

— . Czy było coś istotnego w fakcie, że Szatan kusił Chrystusa, ofiarując mu władzę, bogactwo i dumę, ale nie wiedzę? „Jeśli jesteś Synem Bożym, powiedz, żeby te kamienie stały się chlebem.” A Jezus odparł: „Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych.” I na propozycję władzy ziemskiej w zamian za złożenie hołdu Diabłu rzekł: „Idź precz, Szatanie.” Dlaczego nie wiedzę?

Ponownie spojrział na teczkę. Wydawała mu się emanować jakiś zły blask, pomimo jego rozważań. A może wiedza to władza i jako taka, w tej właśnie postaci, miała swe miejsce podczas kuszenia Chrystusa i On ją odrzucił? Co miał na myśli ojciec Benjamin, kładąc te diabelskie dowody w zasięgu jego ręki?

Nie, taka koncepcja nie znajdowała potwierdzenia w Biblii. Dowody związane z wiedzą są mocno niepewne i każdy poszczególny przypadek osądzany musi być osobno.

Jakim prawem uczelnia zadecydowała, że każdy, z wyjątkiem najbardziej zainteresowanego, może poznać szczegóły jego edukacji? Tkwiła w tym jakaś oczywista wewnętrzna niesprawiedliwość. Jak mogli być na nią ślepi ci, którzy wychowaniem i nauczaniem się zajmują?

Wiedział z doświadczenia, że nauczyciele są tylko ludźmi, z ludzkimi zaletami i wadami. Nie postrzegają oni dobra i zła z jakąś szczególną, doskonałą klarownością. I niby dlaczego mieliby je tak postrzegać? Ich zadaniem jest pozwolić rozwijać się studentom; jeśli to im się udaje, to znaczy że dobrze spełniają swoje obowiązki. Czy Bóg mógłby żądać od nich czegoś więcej? Prawdopodobnie to administracja uczelni, a nie jej profesorowie, utajniała te dokumenty.

Ponownie zachodzi pytanie: dlaczego? Żeby studenci nie mogli się skarżyć? Dlaczegoż by student miałby się skarżyć w związku ze zwykłym zapisem jego postępów, zapisem, który sam pomógł skonstruować? Coś tu nie Pasowało...

Pamiętał swoje potyczki z Wykiem i z Jednostką Specjalną. Tajność była ich znakiem firmowym. Tajność, na którą się powoływano, po to, by chronić winnych.

Czy jest to tylko zapis? A może ta teczka zawiera jakąś złowieszczą tajemnicę, znaną wszystkim, z wyjątkiem jego samego? Przypomniała mu się anegdota o człowieku, który otrzymał jakieś przesłanie napisane w nie znanym mu języku. Ci, którym pokazywał ten tekst i którzy byli w stanie go odczytać, albo odmawiali podania mu zawartych tam treści, albo wręcz nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. W ten sposób człowiek ów na zawsze pozostał ze swoimi wątpliwościami i niepewnością. Czy te papiery z uczelni są również takim przesłaniem? Powinien to sprawdzić!

Wyciągnął rękę — i zawahał się. Czy cel uświęca środki? Celem było oświecenie, ale środkiem było nadużycie zaufania. Uczelnia była jedynie instytucją, to prawda, ale zaufanie to jednak zaufanie. Niezależnie od tego, jakie ciemne tajemnice kryją się w teczce, ich odsłonięcie byłoby grzechem osobistym, afrontem skierowanym przeciwko moralności, prawości i sprawiedliwości.

— Cóż, kiedy ciało jest słabe — wyszeptał Paweł, otwierając teczkę. Już po chwili tego pożałował. „Tak, Pandora!” — pomyślał. Pandora

była dziewczyną, która otworzyła puszkę (czyżby była jeszcze jednym wcieleniem Ewy?), uwalniając w ten sposób wszystkie nieszczęścia, a pozostawiając na dnie jedynie nadzieję. Paweł pozwolił umknąć nawet nadziei. Bowiem hołubione przez niego ideały z czasów studenckich, które przetrwały ciosy zadane im przez politykę uczelnianą, przez niesprawiedliwą administrację, przez wątpliwe zawieszenie, okazały się teraz urojeniem i złudzeniem. Przede wszystkim: ten zapis zawierał stopnie. Najzwyklejsze stopnie w postaci liter: A, B, C, takich właśnie, jakich uczelnia rzekomo nie stosowała. Były także oceny opisowe — lecz każda z nich była przełożona w literę, żeby komputer mógł przeliczyć to wszystko na punkty, jak w pierwszej lepszej szkole. Tyle że w innych szkołach stopnie wystawiono otwarcie; każdy wiedział, jaką pozycję zajmuje. Tutaj stawiano je w tajemnicy; student nie tylko nie znał swojej pozycji, ale w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest oceniany za pomocą stopni i punktacji. Stawiało go to w niekorzystnej sytuacji w jego późniejszym, pełnym współzawodnictwa życiu... To tak, jakby grał w pokera i każdy mógł widzieć jego rękę z wyjątkiem jego samego. Paweł znał dobrze zasady pokera i analogia z tą grą sprawiała mu ból. Miał oto przed sobą przesłanie w obcym języku i spośród tych wszystkich, którzy mogli udostępnić mu jego treść, tylko jeden to uczynił: Święty Zakon Wizyjny. Udało mu się przerwać tę zмовę milczenia wokół siebie, lecz tylko przypadkiem. Wyrządzonych wcześniej szkód naprawić się nie da.

— Alma Mater, jak mogłaś! — zawołał z bólem w sercu. Pierwszym dokumentem była notatka informująca o tym, że uczelnia wprawdzie wolałaby nie stosować stopni, lecz ze względu na wymagania zewnętrzne zmuszona jest to czynić. Inna notatka ostrzegła czytającego przed udostępnieniem zapisu zainteresowanemu. Nie dziwota!

Paweł przewędrował nieświadomie przez cały program studiów, nie poświęcając ani jednej myśli stopniom czy pozycji punktowej, tak istotnej we wszelkim współzawodnictwie; w tym właśnie tkwiła ironia. Uczył się w sposób eklektyczny, dla samego uczenia się — i teraz, z powodu tej hipokryzji, obróciło się to wniwecz.

Nie, nie — to byłby osąd niesprawiedliwy. Działanie w otoczeniu pozbawionym stopni zmusiło go do szczególnej dyscypliny. Tak łatwo było przecież popaść w marazm, będąc pozbawionym bodźców w postaci testów, stopni i z wykazaną czarno na białym oceną, jaką ze sobą niosły. Przydarzyło się tu

wielu i zniknęli oni z uczelni. Inni traktowali to jako wyzwanie — uczyć się, zdobywać wiedzę i rozwijać się pomimo braku formalnych bodźców. Kilku zaś, takich jak Paweł, zdolnych do współzawodnictwa o stopnie, gdyby były one wymagane, odkryło w zamian samą radość wiedzy. Wiedza o rzeczach i faktach była jedną z dróg prowadzących do wiedzy o samym sobie. Stopień jako taki był niczym; naprawdę liczył się tylko stosunek do wiedzy.

Proces ten dla Pawła nie zakończył się wraz z opuszczeniem uczelni. Wyjście z tego zamkniętego środowiska przyniosło wiele problemów, czego dowodem były chociażby jego doświadczenia z mnemem! Fundamenty jednak zostały położone i z czasem budował na nich, ucząc się coraz więcej i rozwijając się o wiele szybciej z każdym rokiem. To nie oczernianie systemu edukacji, wręcz przeciwnie, to tylko wskazanie na jego zalety. Uczenie się dla samej wiedzy — to było rzeczywiste, pomimo że sam system okazał się fałszywy.

„Z dobra musi wynikać dobro, a ze zła — zło” — pomyślał, przypominając sobie Buddę. A przecież miał do czynienia z wieloma stwierdzeniami zaprzeczającymi sobie nawzajem, gdzie jedno głosiło, że to drugie jest prawdziwe, podczas gdy drugie utrzymywało, że pierwsze jest fałszywe. Paradoks. A jednak w jakiś niezrozumiały sposób ze zła wynikło dobro.

— Gdybyś tylko w siebie wierzyła, administracjo uczelni! — wyszeptał, bardziej z żalem niż z gniewem. — Wykonałaś lepszą pracę niż sądziłaś i gdybyś tylko miała więcej wiary!

Stosowali oceny literowe, jednocześnie temu zaprzeczając, i okrywali je zasłoną tajemnicy. Był to więc częściowy brak wiary z ich strony, nie zaś całkowity. Ciało uczelni też było słabe.

Paweł popatrzył na stopnie z poszczególnych przedmiotów i przeżył jeszcze jedno zaskoczenie. To nie były jego stopnie! Zanurzył się głębiej, czytając oceny opisowe. Wkrótce sprawa się wyjaśniła: to były jego stopnie — lecz przedstawiały co innego niż sądził. Nie odzwierciedlały bowiem jego własnej, jednej trzeciej części wspólnej opinii ani też tego, co sądził, że jest opinią jego opiekunów naukowych. (Było ich trzech przed Willem Hamlinem.) Były to po prostu opinie wystawione przez tych, którzy prowadzili poszczególne zajęcia — tak jak praktykowano to w każdej innej szkole. W ten sposób z przedmiotów, które miały największy wpływ na jego rozwój umysłowy, Paweł uzyskał jedynie stopnie na poziomie B — i C — podczas gdy ocenę A wystawił profesor zakochany w własnym Przedmiocie. Przedmiot ten był dość ważny, ale nie bardziej istotny niż te, które oceniono niżej. Zróznicowanie ocen było więc bardziej odbiłem stosunku nauczających do swoich przedmiotów niż stosunku do nich samego studenta. Cały ten system oceniania okazał się w rezultacie fałszywy.

Na dodatek, Paweł nie zaliczył w ogóle niektórych zajęć, na które uczęszczał; nie zostały one nawet wyszczególnione w papierach. Muzyka i dramat, dzięki którym nauczył się zachowania na scenie, emisji głosu i sztuki dźwięku — sprawy istotne dla jego późniejszego rozwoju — znikły. Przez pomyłkę lub celowo — bardzo możliwe, że to drugie — uznano je za mniej ważne, niezależnie od wpływu, jaki wywarły na studenta, i wycięto. Gładko i fachowo, jak przy obrzezaniu. Gdyby był wiedział, na pewno by zaprotestował. Ale zasłona tajemnicy odgrodziła go od tych informacji.

Czy istnieje w ogóle jakieś usprawiedliwienie utajniania spraw? Czy jest to tylko pozorna konieczność ukrywania wszystkiego, zarówno przedmiotów, jak i informacji, która świadczy o tym,

że ukrywający uważa to, co ukrywa, za rzecz wstydliwą? Niewątpliwie sam akt ukrywania jest czynnością haniebną! Wymaga to głębszej medytacji.

Mimo wszystko, nierzetelność całego tego zapisu nie przekreślała faktu jego wykształcenia. Skorzystał bowiem wiele z doświadczeń wyniesionych z tej instytucji. Czyż nie to było prawdziwym celem edukacji? Uczelnia zniekształcając zapisy nie poniżyła go i nie pozbawiła niczego; obniżyła jedynie jego własną ocenę wpływu, jaki nań mogła mieć. Jeśli poniesie w życiu klęskę, jej zapowiedzi nie znajdzie w dokumentach; jeśli odniesie sukces, on również nie znajdzie odbicia w tych papierach. Jak większość zapisów zniekształconych czynnikami konwencjonalnymi, jest on w zasadzie nieistotny. Uczelnia oszukała samą siebie, produkując dokumenty mierne miast dokładnych i kompetentnych. Nikt nigdy się z nich nie dowie, co dobrego uczyniła dla niego jego Alma Mater.

Skończył czytać i zamyślił się. To nie dzieło Szatana, a jedynie rezultat działania omylnych ludzi. Jego zaś największym brakiem, a zarazem najsubtelniejszym było to, że w powodzi danych, wyników testów — tak, były tam takie! — i komentarzy władzom udało się jakoś zagubić istotę jego samego. Ktoś obcy, czytający te dokumenty, nie dowiedziałby się niczego o prawdziwej naturze Pawła i o jego możliwościach. Z czcionek maszyny do pisania wyłaniał się obraz kogoś nijakiego, bez osobowości i bez potencjalnych możliwości.

Będąc studentem wiedział, że pewna liczba profesorów (włącznie z Willem Hamlinem — ku żalowi Pawła) nie dostrzegą w nim nic obiecującego. Zapewne i dzisiaj nie uważaliby oni, że to, co właśnie robi, świadczy o jakimś „sukcesie”. Podejrzewał wówczas, że przyczyną tego był brak z ich strony uczciwego wysiłku, by go poznać, i że gdyby nawet na taki wysiłek się zdobyli, nie starczyłoby im inteligencji, by dokonać rzetelnej oceny. Sprawa Jednostki Specjalnej wykazała, jak rozumieją oni wartości ludzkie. Paweł był inteligentny na sposób niekonwencjonalny, a oceniany konwencjonalnie mógł wydać się przeciętny. Trudno go było zmierzyć za pomocą istniejących standardów. Potwierdziły to tylko leżące przed nim dokumenty: niosły bowiem informacje o nich, a nie o nim.

— Projektacja — powiedział.

— Słucham? — zareagowała Karolina.

Znalazł się nagle z powrotem w chwili obecnej, takiej, jaką była. I rzucił dość skomplikowanym psychologicznym terminem, choć jego towarzyszem było tylko dziecko. Projektacja. Zachodzi wtedy, kiedy ktoś przypisuje swoje uczucia lub czyny komuś innemu. Jeśli kogoś nienawidzi, powiada „ta osoba mnie nienawidzi”. Kiedy poczuje się zmęczony, powie „te schody są zbyt strome”. Jest to sposób radzenia sobie ze sprawami, których nie chce rozpoznać sam w sobie. Przerzuca po prostu ciężar na kogoś innego.

— Jak w voodoo? — spytała bystro.

— Ach, nie. Masz na myśli wbijanie igieł w lalkę, tak że osoba, którą ta lalka przedstawia, cierpi?

— Tak. Możliwe, że lalka również cierpi. Moja cierpiałaby. Naturalnie, jej sympatia byłaby po stronie lalki! Jak ciężko jest uniknąć

tej samej pułapki, tej, o której dopiero co przemyślał, a polegającej na nierozpoznananiu uczącego się i na złej ocenie jego (jej) postępów.

— To jednak nie to samo. Z drugiej strony...

Z drugiej strony — czyż cały ten zapis nie był taką lalką voodoo? Administracja uczelni — i wszelkie instytucje tego typu na całym świecie — uważały, że wystarczy zatytułować zestaw dokumentów imieniem „Paweł”, wbić weń igły tajnych opinii i w ten sposób go zdefiniować. Cóż, być może to im wystarczyło. Przecież następnego roku przychodzili nowi studenci i o nim zapomniano, grzebiąc go gdzieś w aktach biurowych. Ironia tkwiła w tym, że nie dotyczyło to tylko jego uczelni, lecz studentów wszystkich szkół i uniwersytetów na całym świecie. Większość z nich pozostaje bezimienna. Żadnej sławy dla nich czy dla ich uczelni. A ludzie zastanawiają się, dlaczego system edukacji zawodzi. Czyste voodoo byłoby od niego lepsze.

— Nie jest to tak bardzo odległe, kochanie — odpowiedział jej.

Ojciec Benjamin nigdy nic zapytał, jaką Paweł podjął decyzję odnośnie do zawartości teczek. Wiedział, że istotne było samo doświadczenie związane z tą decyzją. Nie tyle liczyło się to, co brat Paweł uczynił, ile to, co odczuwał, podejmując taką lub inną decyzję. Ostatecznie nie musiał odpowiadać przed nikim, tylko przed samym sobą — i Bogiem.

Teraz zaś wracał do swojej uczelni, po dwudziestu latach, w towarzystwie własnej córki. Pomimo dawnej o nim opinii wyrażonej przez administrację, która uważała za właściwe zawiesić go, a nawet go oszukać, odniósł w życiu sukces. Dlatego czekano na niego, jako na eksperta w swojej dziedzinie, który weźmie udział w konferencji naukowej w roli konsultanta.

Nie była to co prawda sprawa do śmiechu — ale czyż to nie on śmiał się ostatni?

Mały samolot obniżył lot, kierując uwagę brata Pawła na niższe poziomy. Teraz on odczuwał ból w uszach. Od razu lepiej zrozumiał to, przez co przeszła jego córka.

— Wydmuchaj nos, tatusiu! — radziła mu z troską w głosie. Ona rozumiała.

Dmuchał, ale odblokowało mu się tylko prawe ucho. W lewym odczuwał ból, jakby miał mu się rozerwać bębenek. Wyobraził sobie, że pęcznieje on do wewnątrz, pod wpływem nieznośnego ciśnienia powietrza. A samolot ciągle opadał, jakby miał zamiar wylądować w Piekło.

Wreszcie, kiedy koła samolotu dotknęły betonu lądowiska, dmuchał z taką desperacją, iż wydawało się, że wycisnie sam mózg przez ucho wewnętrzne — i dopiero wówczas z sykiem frustracji ciśnienie się wyrównało. Co za szczęście, że nie był przeziębiony!

— Podoba mi się Pandora — zauważyła Karolina. — Sama też bym otworzyła tę puszkę.

14

Wola

(Przyszłość)

W swoich Podstawach logicznych świńskiego dowcipu G. Legman zwraca uwagę na problemy wykraczające poza samo świntuszenie i związany z tym humor. Przykładowo, dziecko wychowywane w kulturze zachodniej bardzo wcześnie zauważa, że sprawy pici traktowane są w sposób pełen hipokryzji. To, co czynią dorośli, zabronione jest dzieciom, tylko dlatego, że są dziećmi. A może też dlatego, iż są one zbyt małe i słabe, by bronić swych praw; tym samym seks staje się symbolem dominacji dorosłych. Wszelka informacja dotycząca związków cielesnych jest systematycznie przed dziećmi ukrywana. Muszą się one nauczyć, że istnieje jedno prawo dla dorosłych i drugie — odmienne — dla dzieci i że jest rzeczą niebezpieczną wykazywać jakiegokolwiek zainteresowanie seksem. W ten sposób cała ich edukacja w trakcie dorastania dotyczy nie tyle spraw pici co władzy.

Przeszli po pasie startowym i weszli do niewielkiego budynku terminalu. Nie było w nim nikogo. Samolot, którym przylecieli, wzbijał się już w powietrze i słychać było dźwięk jego silnika.

— Czy ktoś miał po nas wyjść? — spytała Karolina.

— Tak. Niejaki David White — odpowiedział Paweł. — Czyżby zaszło jakieś nieporozumienie?

W tym momencie dostrzegli wysokiego, młodego, brodatego mężczyznę w sportowym ubraniu, spieszącego w ich kierunku.

— Ojciec Paweł? — zapytał, kiedy znalazł się przy nich.

— David White? — zapytał z kolei Paweł, ściskając wyciągniętą dłoń — tamtego i rozpoznając w nim Lee w jeszcze jednej roli. To potwierdzenie faktu, że jednak znajduje się w animacji, przyniosło mu ulgę; jakiegokolwiek alternatywne wyjaśnienie obecnej sytuacji byłoby wielce niepokojące, ze względu na implikacje. — To moja córka, Karolina.

— Przepraszam za spóźnienie. Widziałem, jak samolot schodzi do lądowania...

Wrzucili bagaże do małego samochodu Davida i zajęli w nim miejsca. Karolina zasiadła z entuzjazmem na tylnym siedzeniu, przyciskając do siebie swą małą torebkę i wielką, pluszową ośmiornicę. Samochód ruszył ostro sprzed budynku terminalu.

W drodze na campus rozmawiali o sprawach nieistotnych, poznając się nawzajem. David był studentem ostatniego roku, na urlopie, oddelegowanym do Biura Przyjęć. Nie był zachwycony obecnymi zajęciami i planował ukończenie studiów i znalezienie jakiejś ciekawszej pracy. Pod pewnymi względami przypominał on Pawła sprzed lat dwudziestu. Sprzed połowy jego życia! Z czysto osobistych, egoistycznych powodów Pawłowi było miło, że David jest kimś, kto daje się

lubić.

Uczelnia, jak się dowiedział od Davida, miała teraz prawie dwa tysiące studentów, w porównaniu z niecałą setką przed laty, ale większość z nich mieszkała poza campusem. Sam campus również się rozrósł; w miejscu lasu na północy stały teraz domy studenckie. Właśnie podjeżdżali do jednego z tych domów. Paweł wiedział, że zaszły tu zmiany, jednak odczuwał pewne rozczarowanie, patrząc na nie własnymi oczyma. Zmiana była istotnym aspektem życia i wszechświata, jednak emocje były jej przeciwne.

Wydano im żetony na posiłki w stołówce — w tej samej stołówce, w której Paweł jadał przez cztery lata. Ten budynek niewiele się zmienił; pozostał zaadaptowaną stodołą. Piwnica, którą pomagał kiedyś wykopać, była teraz jadalnią; zjadł tam obiad z Karoliną i tam poznał pozostałych uczestników konferencji. Dziwne to było uczucie — siedzieć w miejscu, które się pamięta jako dziurę w ziemi; przypominało to pobyt w pokoju z wyobrażeń, którego w rzeczywistości naprawdę w ogóle nie ma.

Nie widział znajomych twarzy; zmiany kadrowe były całkowite, z wyjątkiem Willa Hamlina, którego zresztą nie było na tym pierwszym posiłku. Jednak ci, których poznał, byli dobrze wykształceni, uprzejmi w obejściu i mniej więcej w jego wieku, który to wiek — jak mu się wydawało — uległ podwojeniu w przeciągu jednej nocy. Przeskoczył tym samym z dwudziestki do czterdziestki, ze statusu studenta do statusu nauczyciela, chociaż wewnątrz nie odczuł żadnej zmiany. Był takim samym buntownikiem jak kiedyś. Przynajmniej chciał tak o sobie myśleć. Zmienił się tylko zewnętrzny sposób wyrażania owej buntowniczości.

Karolina miała doskonały apetyt. Wypiła dwie szklanki mleka czekoladowego i czuła się jak w niebie. Uświadomiło mu to, z nagłym napływem uczucia, że jednak się zmienił; miał przecież córkę. Od chwili jej narodzin jego życie uległo znacznej metamorfozie; jej istnienie stało się najważniejszym aspektem jego istnienia. Zmieniał jej pieluszki, kiedy była niemowlęciem, obserwował, jak wkłada stopkę do ust po raz pierwszy (wielu z tego nigdy nie wyrosło!), uczył ją chodzenia, mówienia i czytania; odkąd przyszła na świat, zasypiał zawsze z myślą o niej i o jej bezpieczeństwie. Ani ukończenie studiów, ani małżeństwo, ani sam Bóg Tarota nie przyczynili się tak bardzo do jego transformacji. Kiedy ona się urodziła, on się odrodził. Nie był w stanie wyobrazić sobie wagi, na której można by ją zważyć w sensie znaczenia, jakie miała w jego życiu, na tle kosmicznej lemniskaty, symbolu nieskończoności w kształcie poziomej ósemki. Dlatego właśnie przywiózł ją tutaj; była częścią jego samego. Ośmioletnia, dziewięcioletnia za trzy miesiące (och! — nadchodzą następne urodziny!), bezcenna ponad wszelkie wyobrażenia.

Nie było to coś, co inni rozumieli lub rozumieć powinni. Sądziło, że jest tym samym Pawłem, starszym jedynie o dwadzieścia lat, a przecież nie znali go wówczas. Ale czy można w ogóle poznać drugiego człowieka? Problem filozoficzny, nierozstrzygalny.

Rozmawiał z innymi, planując pewne aspekty programu konferencji. Paweł znał Tarota; jeden z uczestników znał I Ching: była to już jakaś wspólna platforma porozumienia.

. — Rzuciłem patyczki w związku z jutrzejszymi sesjami — powiedział ten od I Chinga. — Uzyskałem odpowiedź: „Ośrodek konferencyjny będzie pusty”. Paweł roześmiał się.

— Dosłownie tak może się zdarzyć.

Mężczyzna pokiwał głową. Program zatytułowany „Przyszłość Objawienia” wyrażał co prawda zainteresowania studentów, lecz było rzeczą niepewną, czy udowodnią to oni swoją obecnością. W studenckich czasach Pawła wiele ciekawych programów padło tylko dlatego, że studentom nie chciało się przyjść na sesje dla nich organizowane.

Skończyli posiłek i poszli schodami do znajdującego się powyżej Teatru Stodoła. Przechodzili obok miejsca, gdzie był kiedyś gabinet Willa. Niewątpliwie przysługiwało mu teraz coś więcej niż taki mały pokój, przynajmniej silos. Paweł pociągnął nosem — i poczuł odór destylowanej Babci, ciągle jeszcze wypełniającej korytarz. Po dwudziestu latach? Niemożliwe...

Teatr był dokładnie taki, jakim go zapamiętał. Karolina biegała podniecona po scenie, usiłując grać rolę Aktorki. Oto tutaj Paweł malował kiedyś dekoracje, tam zaś walczył z tremą. Przemawianie publiczne nie przychodziło mu łatwo; wahanie i niezbyt silny głos bardzo przeszkadzały. W końcu, podczas jednej z prób, reżyser znalazł na to sposób: „Powtórz to jeszcze raz, dokładnie tak jak przedtem, tylko że dwa razy głośniej”. Paweł zrobił, co mu zalecono — i to było właśnie to. Nigdy już więcej nie mamrotał na scenie. W życiu codziennym w dalszym ciągu mówił cicho, ale znał technikę emisji głosu i w razie potrzeby potrafił zrobić z niej użytek. Uzbrojony w tę technikę stwierdził, że trema również zniknęła. Mógł teraz przemawiać przy pełnej sali w sposób improwizowany i wypaść dobrze. Odtąd wołał przemawiać ze sceny niż prowadzić rozmowy w warunkach kameralnych; to drugie bywało czasami niezręczne.

— Nie będziemy korzystać z tej sali — powiedział David White. — Wyjdziemy na trawnik; jest tam o wiele przyjemniej!

Należało to rozumieć następująco: nie wystarczy słuchaczy, by zapełnić Stodołę.

O zmroku usiedli na łagodnym zboczu tuż za Stodołą. Karolina pobiegła, by zbadać inne urządzenia campusu. Paweł przekonywał sam siebie, że nic jej nie grozi; nikt jej nie będzie molestował, a poza tym wie przecież, gdzie go znaleźć. Właściwie wychowanie dziecka wymagało dawania mu także nieco swobody; musi ono bowiem odkrywać nowe horyzonty na swój własny sposób.

Obecni przedstawiali się sobie, lecz ich imiona ulatywały z pamięci Pawła natychmiast, kiedy je usłyszał. Pamięć do imion, nazwisk i dat nie była jego silną stroną. Przynajmniej od czasu zerwania z mnemem! Gawędzili przyjaźnie i ciągle dochodził ktoś nowy. Kiedy zebrało się około trzydziestu osób, zjawił się również główny mówca. Zajął miejsce u podnóża zbocza, odłożył notatki i wygłosił chaotyczny wykład na temat własnych doświadczeń politycznych z okresu przed exodusem. Cały ten okres mieścił się w dziesięciu latach, zawierających się w czasie pomiędzy opuszczeniem uczelni przez Pawła i obecnym do niej powrotem, a wydawał się czymś znacznie dawniejszym. Ludzie nazywali go okresem „Głupoty” i rzeczywiście był on czasem szalonym; cała cywilizacja i kultura ziemską została przeorana w sposób trudny do wyobrażenia. Sam jednak exodus nie wziął się z niczego; Ziemia znajdowała się w punkcie bardzo bliskim wybuchu i dopiero teleportacja stała się realnym zaworem bezpieczeństwa. Mówca wykazał to w sposób jasny, używając przy tym soczystego języka, którym formułował swe zdecydowane opinie. Był to interesujący wykład, choć nie na ten temat, który figurował w programie.

Paweł zastanawiał się nieraz, jak będzie wyglądała jego uczelnia w przyszłości. Przeżywała bowiem regres, kiedy ją opuszczał; fakt, że go zawieszono w prawach studenta, był jedynie symptomem jakiejś głębszej choroby. W interesie własnego rozwoju i publicznego uznania dławiała wolności osobiste, poświęcając przy tym te wartości, które czynią uczelnię tym, czym być powinna. Teraz osiągnęła ten tak pożądaną wzrost; czy ma to oznaczać, że stała się nieprzyjemnie konwencjonalna? Było za wcześnie, by stwierdzić to z całą pewnością; pewne jednak oznaki wskazywały na to, że się obroniła przed konformizmem. Jeśli ten mówca był typowym przedstawicielem nowej generacji profesorów, uczelnia obecna wydawała się bardziej liberalna niż ta dawna.

Wraz z zapadnięciem ciemności przybyło uczestników sesji. Przyleciały również komary. Jakaś młoda para siedząca nieopodal Paweła wydawała się bardziej zajęta prowadzoną szeptem rozmową niż słowami wykładowcy. Dziewczyna puszczała wiatry i chichotała. Szmer rozmów wypełniał całą przestrzeń na zbczu. Trzy psy krążyły wokół siedzących postaci, robiąc to, co psy zazwyczaj czynią w podobnej sytuacji. Kilka osób odeszło. Najwyraźniej nie traktowano tego programu jako czegoś, w czym należy uczestniczyć od początku do końca, lecz jedynie jako krótki przystanek, rodzaj nie najciekawszej rozrywki, w której bierze się udział na zmiany. Zadano też mówcy kilka pytań, odzwierciedlających całkiem osobisty punkt widzenia pytających na zaprezentowane problemy.

Paweł zastanawiał się nad tym wszystkim, martwiąc się jednocześnie faktem, że wilgotna trawa pozostawi plamy na jego nieskazitelnym habicie. Powinien był założyć dzinsy. Nie ma żadnych wątpliwości: wahadło konserwatyzmu już dawno wychyliło się w przeciwną stronę. Tak właśnie oglądały sesje naukowe za jego studenckich czasów.

W końcu sesja się zakończyła. Paweł przeniósł się tam, gdzie zgodnie z programem miał wygłosić swój referat. Tematem był naturalnie Bóg Tarota. Był drugim w kolejności mówcą. Referat pierwszego trwał ponad godzinę. Był całkiem interesujący, ale oznaczało to, że nim przyjdzie kolej na niego, zrobi się całkiem późno. Paweł nie był pewien, czy o tej godzinie — materiał, który ma do zaprezentowania, będzie odpowiadał słuchaczom, przykroił go na tyle, by nie wydał się zbyt „dziwaczny” gustom bardziej konserwatywnym od jego własnego. Teraz, kiedy okazało się, że współczesne środowisko akademickie jest o wiele mniej konwencjonalne od samego Pawła, poczuł się bardziej skrępowany. On sam nie zmienił się przecież aż lak mocno i nie stał się bardziej konserwatywny w poglądach; to jego uczelnia zmieniła się w zupełnie niespodziewany sposób. Nie było w tym nic złego, lecz wytrąciło go to trochę z równowagi. Może okazać się przecież bardziej niemodny niż jest w istocie.

I wówczas przyszedł Will Hamlin. Był starszy, miał o wiele więcej siwych włosów niż niegdyś, lecz można go było rozpoznać bez najmniejszego trudu. I to na dwóch poziomach: odgrywającym tę rolę był Therion. Paweł zerwał się, by uścisnąć jego dłoń. Na więcej nie miał czasu; była to bowiem dokładnie połowa sesji.

Paweł wygłosił swój referat, wyjaśniając zdumiewające sposoby objawiania się Boga Tarota i na tym się sesja zakończyła. Komentarzy było niewiele; ci, którzy wytrwali do końca, byli równie znużeni jak on sam. Odnalazł Karolinę i poszedł z nią do pokoju w akademiku. Jej pora pójścia do łóżka już dawno minęła, co bardzo ją ucieszyło, jako że nie lubią chodzić spać nawet o sekundę wcześniej niż było to niezbędnie konieczne.

Szkoda, że nie było możliwości porozmawiania z Willem, nawet jeśli by była to tylko namiastka rozmowy wewnątrz tej animacji. Dwadzieścia lat — wokół nich zmienił się cały świat, a okoliczności pozwoliły im tylko na uścisk dłoni. Nie myślał w tym czasie zbyt często o dawnym opiekunie, a i zapewne on sam nie pojawiał się w myślach Willego w sposób fundamentalny (fundamentalizm to podstawowe pojęcie dla Willa); było to więcej jedynie zestawienie możliwości losu, które czas odchylił od siebie w sposób znaczący. Dwadzieścia lat wcześniej zarówno potencjalny sukces Pawła w życiu, jak i stały etat Willa na uczelni wydawały się jednakowo mało prawdopodobne — a jednak obydwie się urzeczywistniły, czego obecne spotkanie było dowodem. — Tatusiu, czy będziemy czytać?

Zazwyczaj wieczorem czytali wspólnie i choć było już bardzo późno, Paweł zdecydował zachować ten rytuał. Był to bowiem sposób przekazywania dodatkowej wiedzy córce i wzmacniania poczucia bliskości, tak ważnego dla nich obojga. Karolina była wrażliwym, nadaktywnym dzieckiem; potrzebna jej była stała obecność kogoś, kto ją rozumiał i jej pomagał, nie zaś strofował i wymagał. Przeczytał już jej całą serię książek związanych z Czarodziejem z Oz, adaptację Biblii w całości i rozpoczął lekturę nie cenzurowanego przekładu *Księgi tysiąca i jednej nocy*, mając w planach prace Lewisa Carrolla i *Don Kichota* Cervantesa. Niektórzy uważali, że nie jest to właściwa lektura dla kogoś w jej wieku, lecz Karolina była inteligentną dziewczynką. Wyjaśniał jej zresztą wszystko bardzo dokładnie i oboje czerpali wiele radości z tego wspólnego czytania. Wszystkie te książki były wartościowe i łączyło je więcej, niż wielu czytelników było w stanie zauważyć.

— Naturalnie, skarbie.

W walizce miał książkę, którą zapakował specjalnie na tę okazję: starą opowieść fantastyczną o gryfie, który z kamiennego posągu na powrót stał się żywą istotą. Jego historia zachwyciła dziewczynkę. Paweł nie unikał czytania jej również konwencjonalnych powieści; wszystko, co posiadało jakąś wartość, nadawało się na lekturę i było wykorzystywane od momentu, kiedy Karolina ukończyła dwa lata i przestała zadowalać się prostymi rymowankami. Paweł sądził, że historia gryfa będzie odpowiednia po przeżyciach związanych z podróżą samolotem i przyniesie pewną ulgę dziewczynce. Okazało się jednak, że podróż sprawiła Karolinie dużą radość, a on sam nie dotarł tego wieczoru do fragmentów, w których była mowa o lataniu w przestworzach. To, co przeczytał, było w sumie bardzo zajmujące.

Po wspólnej lekturze Karolina położyła się do łóżka i zaczęła czytać książkę, którą sama przywiozła dla siebie, podczas gdy Paweł czytał tę, którą zabrał z myślą o sobie. Byli rodziną, która czyta bardzo dużo; Paweł uważał wręcz książkę za najbardziej elastyczne i wszechstronne narzędzie edukacji i rozrywki dostępne człowiekowi.

Czytanie na ogół usypiało Pawła. Uspokajało jego umysł, który miał zwyczaj wędrować i błądzić tu i tam, nie pozwalając mu zasnąć. Ledwie zaczął czytać, kiedy Karolina przydreptała do niego w swej nocnej koszulce, wyjęła mu książkę z dłoni, pocałowała na dobranoc i zgasiła światło, podczas gdy oczy same już mu się zamykały. Słyszał tupot jej drobnych stóp, szybciutki — w celu uniknięcia ewentualnych potworów czających się gdzieś w ciemności, i pogrążał się powoli we śnie. Kto tutaj się kim opiekuje? On nią, czy ona nim? Wydawało się to zupełnie nieważne.

Obudził się o świcie. Na śniadanie było za wcześnie, a ponieważ nie chciał obudzić Karoliny,

ubrał się cichutko i wyszedł na zewnątrz. Zaczął spacerować po kampusie. Zauważył, że akademik, w którym mieszkali, był typu koedukacyjnego i posiadał zarówno kuchnię, jak i pralnię. Domy studenckie tego rodzaju nie istniały za jego czasów i nic nie wskazywało na to, że rozwój uczelni podąży również w tym kierunku. Niewątpliwie Jednostka Specjalna poruszyłaby Niebo, Ziemię i samych studentów (ruszyłaby najchętniej tych ostatnich poza teren kampusu) w swych szaleńczych wysiłkach zastopowania takich rozwiązań. Cóż się zatem wydarzyło? Paweł znał członków Jednostki zupełnie dobrze; jednego z nich nazywano „płytką i pustą wanną”, innego „średniowiecznym moralistą”. Zapewne udało się ich dokładnie wymanewrować!

Nie, musi być jednak sprawiedliwy: może nie znał ich zbyt dobrze. Być może zmienili poglądy i zaczęli akceptować to, co wcześniej odrzucali. Jest dość niebezpieczne osądzanie czyjegoś charakteru i stosunku do rzeczywistości, zakładając, że są one niezienne; przecież ciągle pojawiają się nowe aspekty spraw.

Ranek był chłodny, mimo letniej pory, a Paweł był lekko ubrany. Musiał poruszać się żwawo, by wygenerować trochę ciepła. Odpowiadało mu to; i tak lubił biegać. Otoczenie było urocze. Za budynkiem akademika znajdowało się jeziorko, na którym mieszkwały cztery kaczki. Kiedy tylko go ujrzały, zbliżyły się z głośnym kwakaniem, żebrząc o jedzenie. Niestety, nie miał nic dla nich. Przy brzegu jeziorka cumowały kajaki i łódka przeznaczone dla studentów. Kawalek dalej znajdowało się boisko do siatkówki. Wydeptane ścieżki prowadziły we wszystkich kierunkach. Także do lasu, który był tuż, tuż. Słysząc było tam ptaki i bez wątpienia żyły w nim jelenie i jeżozwierze: powracająca Przyroda. Wszystko to razem sprawiało bardzo przyjemne wrażenie, ta enklawa nauki w sąsiedztwie dzikiej przyrody. Gdyby podobnie wyglądał cały świat!

Wrócił do Karoliny. Pod tym względem przypominała swą matkę: spać tak długo, jak tylko się da i chodzić spać tak późno, jak to tylko możliwe. Paweł był rannym ptaszkiem, ona wprost przeciwnie. Nie należało jednak opuszczać śniadania.

— Wstawaj — wyszeptał prosto w małe uszko. — Mleko czekoladowe. — Poruszyła się. — Kaczki.

— Och, kaczki! — zawołała radośnie.

Budzenie się może być losem niewiele lepszym od śmierci, tutaj jednak perspektywa pozyskania nowych przyjaciół czyniła je czymś wartościowym! Paweł wiedział, że nim opuszczą campus będzie ona w przyjacielskich stosunkach z każdą kaczką, psem, kotem i dzieckiem w najbliższej okolicy. Taka była bowiem natura małych dziewczynek, niech Bóg ma je w swojej opiece!

Szli razem ścieżką do centrum kampusu. Droga wiodła drewnianymi schodkami w górę stromego wzgórza, zakręcała obok będącego w budowie budynku, czerpiącego energię bezpośrednio od słońca, przechodziła przez gmach w kształcie dzwonu, mieszczący Wydział Sztuk Pięknych, obok nowej, modernistycznej biblioteki, i wreszcie przez gęsty las sosnowy. Tylko ten lasek rósł tutaj w czasach Pawła.

— Wśród sosen jak dzieci — zaśpiewali razem — Gdzie słońko nie świeci, A zimny wiatr mrozi.

I rzeczywiście powiał chłodny wietrzyk, który ich lekko zmroził. Paweł pokazał jej olbrzymie świerki z odchodzącymi od pnia równiutkimi gałęziami, po których tak łatwo się wspinać i które zostawiają na rękach nie dające się zmyć brud, sok i żywicę.

— Nie wspinaj się na nie — powiedział ostrzegawczo. — Nie chciałbym, żeby ludzie myśleli, iż moja córka jest brudasem.

— Nie będę, tatusiu — przyrzekła, zerkając łakomie na drzewa. Rzeczywiście, te gałęzie były jak drabiny...

Dalej, przez ukwiecone pole, przypominające mu aliteracyjny wstęp do poematu epickiego *Widzenie Piotra Oracza*, w którym było piękne pole pełne postaci, reprezentujących ludzkość, zajętych przyziemnymi poczynaniami i pracami, nie zważających na Wieżę Prawdy nad nimi i zagrożenie ze strony Lochu Zła pod nimi. Karolina, naturalnie, pragnęła zbierać kwiaty, wręcz zebrać je wszystkie; przekonał ją jednak, że piękniejsze są żywe w naturze niż zerwane, w wazonie.

Dotarli do stołówki akurat w porze śniadaniowej. Ku swojej radości, Karolina odkryła kilka rodzajów płatków śniadaniowych, ciast i oczywiście ulubione mleko czekoladowe. Paweł zaś zainteresował się daniami na bazie orzechów, słonecznika i jogurtu; wziął również odtłuszczone mleko i jajecznicę z dwóch jajek. Płacił żetonami. Karolina była nimi zachwycona; miały w sobie coś z magii. Wystarczy je pokazać i wszystko najsmaczniejsze należy do ciebie.

Kiedy Paweł był jeszcze studentem, nie zwracano szczególnej uwagi na dietę i jej wpływ na zdrowie. Posiłki przygotowywano pożywne lecz całkiem konwencjonalne; szefowa kuchni należała do starszej generacji i nie poddawała się niczym wpływom. Żadnego jogurtu i żadnych nasionek. Patelnie zawsze były zbyt rozgrzane i jajka na ogół przypalone od spodu, a płynne na wierzchu. Z tego powodu Paweł przerzucił się na jedzenie jajek z ich „lewej strony” zamiast strony „słonecznej” — po czym odkrył, że udoskonaliła ona swą sztukę przypalania jajek i przypalała je z obu stron, zostawiając białko w środku półsurowe i śluzowate. Dzisiaj jednak jajka były doskonałe. Czuł się niemal zawiedziony.

Przyglądał się z ciekawością studentom wokół siebie. Prawie wszyscy mężczyźni mieli brody i bródki, większość dziewcząt nie nosiła staników; natomiast i jedni, i drudzy przeważnie chodzili w dżinsach. W czasach Pawła było mniej bród, a więcej staników; poza tym ogólny wygląd studentów zmienił się w niewielkim stopniu.

Zanim posiłek się skończył, Karolina już zdążyła się zaprzyjaźnić z paniami z kuchni.

— Tatusiu, czy mogłabym tu zostać trochę dłużej dziś przed południem? — zapytała wesoło.

Paweł wolał się upewnić, czy nie będzie przeszkadzała; dzieci i zwierzęta widziane są w kuchniach raczej niechętnie. Panie jednak nie miały nic przeciwko jej osobie. Pozwolił więc jej tam pozostać, informując ją tylko, gdzie go ewentualnie może znaleźć. Zresztą David White poprosił swoją koleżankę, Susan, by miała oko na Karolinę w czasie gdy Paweł będzie zajęty konferencją. Susan była miłą dziewczyną, z głową całą w loczkach, i Paweł był pewien, że Karolina będzie bezpieczna pod jej opieką.

Rozpoczęła się przedpołudniowa sesja. Miały się na nią składać trzy grupy dyskusyjne, każda prowadzona przez dwie osoby. I rzeczywiście: Bawiło się tylko sześć osób. Żadnych studentów. Ten aspekt życia akademickiego niewiele się zmienił; teoretycznie studenci mieli zdobywać wiedzę, lecz w praktyce jakiegokolwiek zajęcia zaplanowane na godziny poranne były z góry skazane na niepowodzenie. Przeprowadzono błyskawiczne konsultacje, po czym trzy grupy połączyły się w jedną. Następnie zdecydowano, które z tematów poddać dyskusji. Tymczasem przyszło jeszcze kilka osób, jak gdyby przypadkowo oderwanych od swoich normalnych zajęć, chwilowo tylko schwytyanych w wir wydarzeń, i w końcu zebrała się grupa kilkunastu studentów.

Paweł pokręcił głową. Dokładnie tak samo wyglądało to w jego studenckich czasach. Studentom zależało na dyplomie — na kawałku papieru, który potwierdzał oficjalnie ich wykształcenie — nie zaś na harówce związanej z uczestnictwem w zajęciach. Dzisiejszy dzień był pierwszym pogodnym od dłuższego czasu i każdy wolał być ze swoją sympatią na łonie natury, co samo w sobie nie było niczym nagannym. Paweł dobrze wiedział, że dojrzewania nie można przyspieszyć. Gdyby jego własne papiery rzeczywiście odzwierciedlały jego doświadczenia edukacyjne, wykazałyby, że uczestniczył najwyżej w jednej trzeciej obowiązkowych zajęć, co i tak było więcej niż studencka przeciętna, jako że wyróżniał się pewnymi skłonnościami intelektualnymi.

Dyskusja okazała się bardzo interesująca i przyniosła mu sporo satysfakcji. Jego osobisty w nią wkład był niewielki — nie dlatego, że był stremowany, znudzony czy niedoinformowany, lecz właśnie dlatego, że taki nie był. Nie odczuwał potrzeby udowadniania czegokolwiek przez zdominowanie tej sesji. Studentów nie zainteresowanych i niedojrzałych nie było tu, przyszli tylko ci, którzy wiedzę traktowali poważnie. Paweł zauważył, że wielu uczestników programu wiedziało o wiele więcej na temat zagadnień mieszczących się w zakresie ich specjalności niż on sam; mógł się od nich dużo nauczyć, a słuchanie ich wypowiedzi sprawiało mu przyjemność. Lubił mieć do czynienia z ludźmi z rozbudzoną świadomością intelektualną. I chociaż ta sesja mogłaby się wydawać klęską dla uczelni z formalnego punktu widzenia — dla niego osobiście była bardzo korzystnym doświadczeniem.

Karolina zaglądała kilka razy, by sprawdzić, czy gdzieś jej nie zniknął, po czym ponownie ruszała w teren. Zupełnie jak studentka. Podobało jej się tutaj, co zresztą z góry przewidział. Nie interesowały jej głębsze znaczenia związane z funkcją uczelni, nie przywiązywała również wagi do faktu, że to właśnie z powodu pobytu w tej samej sali po dozwolonej godzinie jej ojciec został kiedyś zawieszony w prawach studenta. Dla niej cała uczelnia i campus były jedynie gigantycznym placem zabaw, na którym ciekawi ludzie robili różne ciekawe rzeczy. Możliwe, że przyjdzie tu kiedyś w charakterze studentki i wówczas te inne znaczenia przyjmą dla niej realny kształt.

Liczba uczestników sesji wzrosła, po czym zmalała drastycznie. W końcu, za zgodą tych, którzy pozostali, skreślono pozostałe punkty programu. Uczelnia dała studentom możliwość skorzystania z wiedzy innych, nie mogła ich jednak zmusić do uczestnictwa w sesjach — i było to słuszne podejście. Paweł wiedział dobrze, że istnieją pewne zasady, które są ważniejsze od formalnej edukacji. Instytucje, które o tym zapomniały, mogły, co prawda, stawiać wysokie oceny na papierze, lecz maskowały one jedynie w ten sposób własną klęskę. Ta uczelnia, tak kiedyś jak i obecnie, pozostała oddana idei poszukiwania lepszej rzeczywistości.

Po południu Paweł zabrał Karolinę do moreny na południowym krańcu kampusu. Poznał tę jakże

typową formację kiedyś na lekcji geologii i utkwiała mu ona na zawsze w pamięci.

— Widzisz — mówił do niej, kiedy szli ścieżką wspinającą się wąską granicą porośniętą sosnami, której zbocza opadały stromo po obydwu stronach — kiedyś olbrzymie masy lodu pokrywały prawie całą powierzchnię tego kontynentu. Pokrywa lodowa miała dwa kilometry grubości. Nazywamy ją „lodowcem”. Lodowiec ten pchał przed sobą stosy kamieni, piachu i odłamów skalnych. Kiedy się roztopił, pozostawił po sobie ten skalny materiał, żeby nam pokazać, dokąd dotarł. Woda z lodowca utworzyła rzekę i rzeka ta płynie do dziś. Stoimy więc teraz na morenie lodowcowej.

Wiedział, że bardziej interesują ją drzewa, zbocze i ścieżka, a także jagody rosnące wokół, nie zaś jego teoretyczna prelekcja. Ponieważ jednak już niejednokrotnie zaskakiwała go jej umiejętność zapamiętywania, miał nadzieję, że i tym razem coś z tych wiadomości geologicznych zatrzyma się w jej pamięci. Jakimże to stał się ostatnio nauczycielem, na dodatek czerpiącym z doświadczeń studenckich! (Powinni byli napisać o tym zainteresowaniu moreną w jego papierach...)

W drodze powrotnej przeczytał krótki artykułik dotyczący uczelni. — „Są dwie zasady — głosili autorzy: żadnych zwierząt i wszyscy bez wyjątku pracują”. Ho, ho! Maleńka hipokryzja jednak pozostała! Byleby tylko nie usuwali studentów w sposób arbitralny.

Po kolacji Karolina wróciła do akademika, a Paweł został w centrum campusu, żeby porozmawiać z uczestnikami konferencji. Dziewczynka знаła już teren dość dobrze, nie martwiło go więc, że poszła sama. Jakby nie było, miała do wykarmienia cztery kaczkę. Dla nich to zabrała wszystkie resztki z obiadu. Dał jej też klucz, z uśmiechem mówiąc:

— Nie zamykaj drzwi na klucz, bo nie będę mógł wejść!

Wrócił późno. Drzwi były zamknięte i wisiała na nich kartka. „OJCZE PAWLE — Karolina nie mogła cię znaleźć, trochę się zdenerwowała, więc wzięłam ją do siebie”. — Pod spodem żeńskie imię i adres innego akademika.

Hm. Nie chciał, by jego mała dziewczynka miała najmniejsze powody do zdenerwowania. A często reagowała ona przesadnie na pewne sytuacje i nienawidziła być sama. Ruszył szybkim krokiem do akademika, którego adres miał podany na kartce.

— O, tak — powiedział chłopiec w holu na dole. — Przed chwilą tu były. Pokażę, gdzie jest jej pokój.

Poprowadził Pawła korytarzem. W pokoju nie było nikogo.

— Zdaje mi się, że poszły do akademika obok — powiedziała jakaś dziewczyna. — Dziewczynka płakała...

— Dziękuję — powiedział Paweł.

Nie było najmniejszych wątpliwości co do koedukacyjnego charakteru tych akademików; kręcili się tu i chłopcy, i dziewczęta; duża z nich część na pewno stanu wolnego. Paweł żałował, że nie było to możliwe w jego czasach, czego zresztą dowodem było jego zawieszenie. Uczelnia przyznawała

teraz, że to on miał wówczas rację. A może to jego wysiłki zachęciły ich do zmiany polityki; na pewno zdawali sobie sprawę z tego, że prowadzą walkę z najbardziej świadomymi pod względem intelektualnym i społecznym studentami, nie zaś z głupcami i nieudacznikami. Gdyby uczelnia przyjmowała tylko tych, którzy wykażą się posłuszeństwem wobec restryktywnych i (czy) nielegalnych przepisów, jakaż byłaby jej przyszłość?

No tak, ale czy on sam byłby gotów posłać swą niewinną córeczkę do uczelni, gdzie panuje tak swobodny stosunek do spraw naukowych, nie mówiąc już o polityce otwartych drzwi w akademikach? Zaiste, zrobi to, jeśli tylko ona zechce, a jego będzie na to stać pod względem finansowym. Walczył przecież kiedyś o taką wolność — wolność uczenia się uczenia, wolność do opanowania zasad obowiązujących w prawdziwym życiu — i ciągle jeszcze w nią wierzył. Jednostka Specjalna wygrała bitwę, lecz przegrała wojnę; odczuwał więc satysfakcję, obserwując rezultaty tej przegranej.

Wrócił do swojego akademika i — zastał tam Karolinę.

— Tatusiu! — zawołała z płaczem. — Myślałam, że przejechał cię samochód!

I to tylko dlatego, że nie mogła go znaleźć. Jej zbyt bujna wyobraźnia spowodowała ten stan depresji.

— Byłem w Centrum Konferencyjnym, tam, gdzie mnie zostawiłaś.

— Telefonowałam do ciebie, ale powiedziano mi, że już sobie poszedłeś.

A to dopiero! Czy ktoś go w ogóle szukał? Podobna historia wydarzyła się, kiedy sam był studentem. Osobiście, swym niemądrym zachowaniem, sprawił wiele kłopotu rodzinie studentki, ponieważ nie poszedł do jej akademika (nie chcąc narazić się na ponowne zawieszenie), by z hallu na dole zawiadomić ją o telefonie do niej. Wyjaśnił, co prawda, sytuację telefonującemu, ale później dowiedział się, że dziewczyna spędziła cały wieczór w Centrum Studenckim, czekając na ten właśnie telefon. Nie zajrzał tam nawet, nie miał bowiem powodu, by spodziewać się, że ona tam będzie; zresztą trudno byłoby przeczesać cały campus za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, w nadziei, że przypadkowo spotka się gdzieś osobę, o którą chodzi.

Młoda dama, która opiekowała się Karoliną, poszła z nimi do ich pokoju. Naturalnie, ponownie Amaranta; tym razem w roli Susan. Wszystkie młode kobiety, w teatralnym makijażu, wyglądały tak samo w tej animacji. Paweł był zadowolony, że zostawił pokój w porządku, z zasłanymi łóżkami, a nawet z pluszową ośmiornicą ułożoną na łóżku Karoliny. A przecież nie spodziewał się damskiego towarzystwa o północy! Przyplątał się do nich jakiś przyjaźnie nastawiony seter irlandzki, przypominając mu starą historię sprzed lat i pełną hipokryzji regułę wymienioną w dopiero co przeczytanym artykuliku. Karolina natychmiast poweselała. Paweł podziękował studentce za uprzejmość, ta powiedziała im dobranoc i odeszła. Wszystko znów było tak, jak być powinno.

Następnego ranka Karolina spotkała dziewczynkę w jej wieku, z którą mogła się wreszcie bawić. Wybrały się obie do kuchni, by zdobyć coś do jedzenia dla przeróżnych stworzeń żyjących na kampusie, w szczególności zaś dla żarłocznych kaczek. Karolinie udało się także wyprosić

przejażdżkę łódką po jezioru, co było jeszcze jedną wspaniałą przygodą. Mieć znowu osiem lat, bez trosk... a jednak w dzieciństwie było też coś więcej, jak pokazał poprzedni wieczór.

Obowiązki Pawła związane z konferencją skończyły się. Mógł teraz zająć się innymi sprawami, które go bardzo interesowały: nową siłownią wykorzystującą energię słoneczną, pracą miejscowego różdżkarza, budową wiatraka ze specjalnym rotorem Savoniusa i doświadczalnymi uprawami na szlamie. Wszystko to było co prawda w użyciu w latach exodusu, jednak dopiero teraz przyszedł czas udoskonaleń i stwierdzenia, jakie rozwiązania będą najlepsze na dłuższą metę. Hodowano tu również raki i stosowano drewno jako uzupełniające paliwo w celach ogrzewczych. Było to, w pewnym sensie, podobne do tego, co robił Święty Zakon Wizyjny i jako takie bardzo ważne dla współczesnego świata. Dla uczelni był to zupełnie nowy kierunek, ale taki, który Paweł w pełni aprobował. Skończyły się lata marnotrawstwa i zanieczyszczenia środowiska i miło mu było widzieć, że jego uczelnia dostosowuje się do rzeczywistości. Instytucje mogą bowiem uczyć się i dojrzewać, podobnie jak jednostki ludzkie!

Potem wyruszył na poszukiwanie Willa Hamlina. Jego dawny opiekun wydawał się równie nieuchwytny jak wszystko tutaj. W końcu znalazł go w jego gabinecie, mieszczącym się w budynku biblioteki. Na drzwiach zobaczył tabliczkę z napisem „Dziekan” — czyżby taka teraz była funkcja Willa?

— Zobaczyłam jak wygląda uczelnia z mojej przyszłości, by tak rzec — powiedział Paweł. — Minęło co prawda dwadzieścia lat, ale ponieważ losy rzuciły mnie gdzie indziej, wydaje mi się, że to było wczoraj. Zauważyłem wiele zmian, lecz również wiele podobieństw. — Zastanawiał się przez moment, czy system ocen był ciągle zafałszowany i czy Will ma jakiś udział w jego fałszowaniu, zdecydował jednak, że nie podniesie tej sprawy. Przecież nie powinien nic wiedzieć na ten temat. — Ty jednak byłeś tutaj przez cały ten czas. Interesuje mnie, jak ty sam widzisz rozwój naszej uczelni.

Była to tylko animacja i szansa uzyskania prawdziwej informacji zdawała się nikła, mimo to warto było spróbować.

Will był jedynym, który pozostał ze starej kadry, chociaż kilku profesorów było niewiele młodszych od niego, a jego sekretarka była żoną studenta, członka Jednostki Specjalnej z czasów Pawła. Student ów był inteligentnym i rozsądnym chłopcem, któremu nie przyszłoby do głowy wplątywać się w rozgrywki, które Pawłowi sprawiały tyle uciechy. Paweł nie zgadzał się z ujm w wielu sprawach, lecz szanował jego indywidualność i poglądy. Nie Zgadzać się z kimś otwarcie nie było zbrodnią; niewłaściwa była natomiast pełna hipokryzji zgoda. W każdym razie widoczne były dowody ciągłości wżyciu uczelni. Jej fundamentalnym nośnikiem, jak na ironię, okazał się sam Will. Will, którego imię oznaczało „wolę”.

Wola. Paweł zamyślił się w tym miejscu. W talii Tarota znajdowały się karty symbolizujące pojęcia Miłości, Zwycięstwa i Sprawiedliwości. Karta oznaczająca Hart Ducha lub Dyscyplinę w talii Thoth nazwana została Pożądaniem; a może potrzebne tu były dwie różne karty. Czy Hart Ducha i Dyscyplina to pojęcia identyczne? Może należy je ponownie rozdzielić i ustanowić nową kartę dla Celu — nazywanego trafną Wolą.

Miłość jest prawem, miłość zależna od woli. Nie ma potrzeby rozumienia tej frazy; koncepcja ta ma sens sama w sobie. Niewątpliwie wytrzymanie tutaj wymagało hartu ducha. Wymagało Willa; wymagało woli.

Pytanie, które przed chwilą zadał Willowi, dotyczyło dziedziny dobrze znanej profesorowi. I tak, nagle Paweł był znów studentem, a Will jego nauczycielem, tematem zaś uczelnia: przeszła i przyszła.

— Nie bardzo wiem, od czego zacząć — powiedział Will. — Kiedy tu byłeś, uczelnia nie miała jeszcze nawet dwudziestu lat...

— Tak, rzeczywiście — zgodził się Paweł. — Kiedy przyszedłem, miała lat czternaście, a kiedy ją opuszczałem, osiemnaście. Niektórzy studenci byli dokładnie w wieku swojej uczelni.

A i ona sama była wówczas w wieku młodzieńczym! Paweł był starszy od niej o cztery lata; był to wystarczający powód, by się z nią silnie identyfikować.

— Powiedziałbym, że na samym początku kładziono duży nacisk na traktowanie uczelni jako społeczności zaangażowanej w sprawy społeczności szerszej niż tylko akademicka — i trwało to jakieś osiem lat — wyjaśniał Will. — Później nastąpiła dekada większego zainteresowania samym procesem uczenia się i doświadczeń metodycznych wynikających z tego zainteresowania...

To były już czasy Pawła. Pamiętał je dobrze: zajęcia z filozofii na trawniku obok budynku, studenci zasypiający w pełnym słońcu; geologia ze spacerami wzdłuż rzeki, świadome uczenie się tejże rzeki, jej wpływu na krajobraz, morena z jej kamiennym gruzowiskiem; zajęcia ze sztuki prowadzone na terenie całego campusu, wpatrywanie się w krajobraz przez dwie godziny, nim pociągnęło się pierwszą linię na płótnie, i nauczyciel, który wszystko rozumiał. Paweł do dziś przechował swój pierwszy malunek — nie była to zapewne sztuka, lecz jeszcze jeden przykład uczenia się. Dramat, sztuki i sztuczki, odgrywane na scenie i w każdym możliwym miejscu podczas wyjazdów, włącznie z czymś prywatnym salonem. Wspaniałe ćwiczenia w różnorodności ekspresji! Garderoby nie zawsze były odpowiednie; kiedyś o mało oczy nie wyszły mu z orbit, kiedy ujrzał śliczną dziewczynę grającą główną rolę, przebierającą się w kostium w zatłoczonym pokoju, w którym on sam i jego koledzy walczyli z makijażem, kremem itp. Chciała ona zostać aktorką, lecz złamanie nogi na nartach przeszkodziło jej w tych planach. Podstawą wszystkich zajęć były dyskusje, a nie wykłady i wszelkie opinie traktowane były równie poważnie przez prowadzących. Tak, to było cenne podejście. Will nazywał je „troską o proces uczenia się”, Paweł zaś „uczeniem uczenia się”. Jakże widoczne było to podejście w obecnej uczelni.

— Potem nastąpił ośmioletni okres, w którym główny wysiłek skierowany był na eksperymenty programowe — ciągnął Will. — Działo się to pod sporym naciskiem grupy socjologów i psychologów.

Były to lata tuż po ukończeniu szkoły przez Pawła. Robiły wrażenie zupełnie zdezorganizowanych — podobnie jak jego własne życie. Pobyt w uczelni przypada na wiek pomiędzy dziewiętnastym i dwudziestym szóstym rokiem życia dla większości młodych ludzi; jest to wiek wczesnej dojrzałości, choć niekoniecznie okres właściwego osądu spraw. Niewątpliwie zaś wiek właściwy, by dobrze

zrozumieć i wykorzystać rady specjalistów. Czyżby tego rodzaju rady doprowadziły do likwidacji Jednostki Specjalnej i zapoczątkowały trend w kierunku deregulacji domów akademickich? Czy to one zwróciły rządy Społeczności tej Społeczności, do której należały, i zlikwidowały uczelnianą oligarchię?

— I sześć lat, kiedy to uczelnia usiłowała „rosnąć pozostając małą” — kontynuował Will. — Próbowano tego dokonać poprzez dzielenie rosnącej stale liczby studentów na dwie relatywnie oddzielne grupy kampusowe i organizowanie tych grup w jednostki złożone ze studentów i nauczycieli, jednostki typu „mieszkać razem — uczyć się razem”.

Wiek pomiędzy dwudziestym siódmym i trzydziestym drugim rokiem życia — pomyślał Paweł. Czas żeby się ożenić i ustatkować. Lecz uczelnia nie mogła wziąć ślubu. Rozmnażała się natomiast przez podział, jak istoty ze sfery Nath, tworząc campusy satelitarne, rozszerzając zakres wpływu swojego gatunku na swój własny sposób. Paweł ożenił się właśnie w tym wieku, wkrótce po powrocie z planety Tarot i po przebytych tam doświadczeniach, które uczyniły z niego zupełnie innego człowieka. Jakiż jednak człowiek byłby w stanie odwiedzić samo Piekło w swym poszukiwaniu Boga i nie przeżyć przemiany?

— I ostatnie sześć lat — kończył Will swoje podsumowanie. — To okres rosnącej autonomii programowej pięciu wypracowanych programów, traktujących edukację jako rytmiczną przemienność działania i refleksji, jako tworzenie umiejętności analitycznych i kreatywnych.

Jakże łatwo „edukacyjność” przychodziła „edukacjonaliście”!

Paweł również był twórcą nowych programów. Jednym z nich była jego córka Karolina. Miał teraz czterdzieści jeden lat, prawie czterdzieści dwa, ciągle o cztery lata więcej od swojej uczelni. W pewnym sensie jego życie mogło posłużyć za przewodnik, a to dobrze wróżyło jego byłej szkole. Będzie się ona rozwijała i zmieniała, uwzględniając tym samym zmiany zachodzące w świecie zewnętrznym. Mikrokosmos był bowiem zawsze odbiciem makrokosmosu, a wolna wola do pewnego stopnia była uludą.

Will wyciągnął z szuflady jakieś papiery.

— Ideały filozoficzne uczelni znajdują odbicie w jej prospektach — powiedział. — Ten pierwszy zachęcał do edukacji przygotowującej młodych ludzi do życia w świecie zewnętrznym poprzez rozwiązywanie problemów tam występujących. Zachęcał też studentów do uczestnictwa w formułowaniu ogólnych zasad polityki uczelni i kładł nacisk na zarządzenia...

— Wierzyłem w to wszystko — powiedział Paweł. — Jednak za wprowadzanie tych idei w życie zostałem zawieszony.

— Ciebie zawieszono? Zupełnie o tym zapomniałem. Najwyraźniej wydarzenie to nie miało takiego znaczenia dla Willa jak dla Pawła! A niby dlaczego miałyby mieć? Nie pomniejszało to jednak jego wagi. Will pozostał wierny ideom zawartym w prospekcie, podczas gdy reszta kadry w sposób oczywisty o nich zapomniała. Will nie sprzeniewierzył się zasadom, bo był taki, jaki był. Sądził zapewne, że wszyscy inni, którzy twierdzą, że jakieś ideały są im bliskie, również stosują je w

życiu.

— Więcej trudności sprawiała mi praktyka niż teoria — powiedział Paweł. — Teoretycznie poznawaliśmy życie „praktyczne”, a pracowaliśmy w przerwach międzysemestralnych. W praktyce, pozwalaliśmy w ten sposób uczelni oszczędzić na rachunku za ogrzewanie budynków zimą.

Will popatrzył na niego z ciekawością.

— Uważasz tedy ten cały program związany z pracą za nieprzydatny?

— Och, to była edukacja — ale nie ta zamierzona.

Bardzo trudno było uzyskać jakąkolwiek pracę na dwa zimowe miesiące. Szczególnie, jeśli mówiło się prawdę. Niektórzy studenci kłamali; twierdzili, że szukają stałego zatrudnienia. Po czym odchodzili wraz z końcem przerwy. Ci, którzy mówili prawdę, często spędzili więcej czasu na poszukiwaniu pracy niż na samej pracy. Oczywista nauka z tego wypływająca: jeśli chcesz odnieść sukces w życiu, musisz kłamać.

Paweł nie kłamał — i o mało co nie stracił punktów przyznawanych za pracę poza uczelnią. Uczciwe poszukiwanie pracy i uczciwe niepowodzenie w jej znalezieniu nie były akceptowane. Należało grać w tę grę, stosując się do jej reguł! Nie ma sensu zamęczać Willa tymi problemami; życie nie było łatwe, tkwiła w nim jakaś wewnętrzna niesprawiedliwość i tego właśnie się o nim nauczył. Bezmyślność uczelni w tej sprawie można by przecież zinterpretować jako jej dostosowanie się do rzeczywistości.

— Wiele spraw działa na podobnych zasadach — zgodził się Will, nieświadom myśli Pawła. — Historia tej uczelni ma więcej na to przykładów.

— Naprawdę?

— Jednym z nich mogłaby być Grupa Działania. Wchodzili do niej studenci i profesorowie mieszkający poza campusem. Zamiast zajęć klasowych, czytania tekstów i pisanie referatów, usiłowali oni poprzez działanie i konfrontację z rzeczywistymi problemami odnaleźć prawdziwe przyczyny potrzeby studiowania, dla każdego z osobna, zgodnie z jego zainteresowaniami i kompetencjami.

— Przypomina to postępowanie w normalnym życiu — zauważył Paweł.

— I takie też przyniosło rezultaty. Niektórzy studenci okazali się niezdolni do współpracy w ramach ustalonego wspólnie programu. Także dwóch profesorów miało z tym problemy. Pewien duch romantyzmu panujący wewnątrz tej grupy doprowadził między innymi do tego, że zaczęli się do niej przyłączać ludzie zupełnie nie związani z uczelnią. Był wśród nich młody mężczyzna z problemami emocjonalnymi, wymagającymi profesjonalnej pomocy; była stara kobieta, słaba na umyśle i chora fizycznie. Wydawało się więc po roku, że program ten poniósł klęskę — a jednak późniejsza analiza wykazała, że znacząca liczba członków Grup Działania należała do najlepszych i najbardziej pracowitych studentów. Kilka ważnych programów zostało stworzonych przez Grupę Działania —

programów, z których korzystamy do dziś dnia. Należał do nich pomysł „akademików z kuchnią”, w których sami studenci są odpowiedzialni za zaplanowanie i przygotowanie posiłków.

To tu znajduje się źródło koedukacyjności akademików, nad którym zastanawiał się Paweł. Rezultat nieudanego eksperymentu.

— Z nich także wyrosły — ciągnął Will — domy, w których mieszkali studenci mający podobne poglądy i zainteresowania — domy dla wegetarian, dla chłopców pracujących w straży ogniowej, dla feministek, dla politycznych radykałów, dla zainteresowanych pewnymi szkołami filozofii i psychologii, dla producentów zdrowej żywności w ogródkach organicznych...

— Widzieliśmy jeden z takich ogródków! — powiedział Paweł. — Wszystko to robi bardzo pozytywne wrażenie. Obawiałem się, że uczelnia, jaką zastanę, będzie beznadziejnie konserwatywna; wydawała się iść w tym kierunku, kiedy ją opuszczałem. Odczuwam wielką ulgę widząc, że nie miałem racji.

— Och, studenci nie pozwoliliby jej stać się konserwatywną — powiedział Will, uśmiechając się lekko. — Polityka wielkiego świata miała wpływ także na nas. Kiedy rektor podczas przeglądu po naborze zażądał, by chłopcy albo przycięli włosy, albo opuścili campus, wywołał tym falę protestów. „Bądź wierny samemu sobie!” Studenci zaczęli zajmować stanowiska na poziomie decyzyjnym. Zażądali również utworzenia ciał, do których można by się odwoływać od decyzji administracyjnych.

— Gdybyśmy posiadali takowe w moich czasach, nasza trójka nigdy by nie została zawieszona — powiedział Paweł.

Pamięć o tamtym wydarzeniu jątrzyła jak rana. Studenci byli wówczas zdecydowanie przeciwni stanowisku ciała profesorskiego. Paweł miał ciągle taśmę magnetofonową z zapisem zebrania protestacyjnego. Możliwe jednak, że sprawa ta przyniosła dobre skutki, spowodowała, że administracja w następnych latach złagodziła swoje stanowisko, nie dopuszczając do sytuacji kryzysowej. Paweł pamiętał dobrze prywatną rozmowę z rektorem tuż po tamtych wydarzeniach. Rektor zapytał go wówczas z autentyczną szczerością, dlaczego tak bardzo stara się sprawić uczelni kłopot. Paweł dopowiedział, że nie przepada za kłopotami, ale jego sumienie zmusza go, by bronić tego, co uważa za słuszne. Na tym rozmowa się zakończyła; gdyby rektor był człowiekiem ograniczonym i mściwym, Paweł zapewne nie kończyłby studiów.

W dużym stopniu — pomyślał sobie Paweł — rektor przypominał mu Diabła, którego spotkał na planecie Tarot. Diabeł był, jakby nie było, opadłym aniołem, jakimś aspektem boskości; on również posiadał swój honor. Faktycznie zaś w Piekło uważany był za Boga, bowiem dominująca siłą w Niebie z jego punktu widzenia wydawała się przewrotna i uparta. Wszystko jest sprawą właściwej perspektywy. Być może to umiejętność, jaką Paweł posiadał, umiejętność zrozumienia stanowiska i punktu widzenia przeciwnika pozwoliła mu wyjść cało z opresji i podczas wypełniania jego niezwykłej misji — a doświadczenia na uczelni przygotowały go do znoszenia późniejszych urazów psychicznych. W istocie więc cała ta sytuacja związana z zawieszeniem mogła mieć zbawienny wpływ...

— Decyzja administracyjna przeznaczająca niewielką sumę z budżetu uczelni na stworzenie boiska do siatkówki z betonową nawierzchnią — mówił Will — zgodnie zresztą z życzeniem studentów, w rzeczywistości wywołała ich protest, który zatrzymał buldożer. Studenci twierdzili, że pieniądze są potrzebne na inne cele, a poza tym betonowe boisko to działanie na szkodę środowiska naturalnego. — Will potrząsnął głową. — Wydaje mi się, że zarówno absolwenci, jak i nauczyciele mają w swej pamięci tę małą, intymną uczelnię z twoich studenckich czasów.

— Jej niewielkie rozmiary miały wiele zalet — przyznał Paweł. — Wszyscy się znali, co bardzo wzmacniało jedność środowiska. Chociaż nie można powiedzieć, że wszystko było wówczas lekkie i przyjemne. Tak, to była jedna wielka rodzina, lecz przecież właśnie w rodzinach występują najbardziej zaciekle antagonizmy. I lepiej jest brać w nich udział, po którejkolwiek stronie, niż izolować się od życia.

— Zdarzały się też pewne godne ubolewania wypadki. Była cała seria prób gwałtu na studentkach, wizyty handlarzy narkotyków i różnych 4pftpożądanych gości. Zatrudniono specjalnych strażników. Część studentów przyjęła ich obecność z ulgą, inni byli niezadowoleni i nazywali ich płatnymi lokajami rektora lub szpiegami Firmy.

— Trochę podobnie było i za moich czasów — zgodził się Paweł. Nie wstydził się z powodu swoich własnych działań w tamtym okresie, lecz żałował teraz użytego wówczas wyrażenia „człowiek, który czyni więcej niż wynikałoby to z zakresu jego obowiązków” w stosunku do nocnego strażnika. Dopiero później dowiedział się, że strażnik ów solidaryzował ze stanowiskiem studentów. Przyjął tę pracę z finansowej konieczności, kiedy jego dziewczyna zaszła w ciążę i musieli pobrać się wcześniej niż to sobie zaplanowali. Oddawanie studentów w ręce władz nie sprawiało mu żadnej przyjemności, ale było podstawowym warunkiem jego zatrudnienia, a honor nakazywał mu dobrze wywiązywać się ze swoich obowiązków. Pod koniec roku zrezygnował jednak z tej pracy; nie mógł znieść dłużej związanego z nią stresu. Paweł winił go za jego zachowanie i wyśmiewał się z niego — tymczasem okazało się, że strażnik w rzeczywistości był pokrewną duszą. Teraz więc, na jedną chwilkę, Paweł skupił się wewnątrz, wołając bezgłośnie: Panie, nie pozwól bym kiedykolwiek postąpił podobnie!

— Ta sprawa była znacznie poważniejsza — powiedział Will. — Jeden ze studentów podpalił „wartownię” przy bramie kampusu, usprawiedliwiając ten akt twierdzeniem, że wolność słowa musi, w pewnym momencie, doprowadzić do działań ekstremalnych, jeśli argumenty logiczne i wielokrotne prośby nie przynoszą rezultatów.

Znacznie poważniejsza? — Paweł miał wątpliwości. Student ten zniszczył dobra materialne. Paweł zaś nigdy nie będzie miał pewności, czy nie przyczynił się do zniszczenia czyjegoś życia. Pozornie drobna uwaga może być groźniejsza od podpalenia.

Will opowiedział dalej o przejściu na emeryturę ówczesnego rektora i problemach towarzyszących wyborowi nowego; o odrodzeniu Zebrań Społeczności i ich kłopotach; historię przyływu nowych idei i zaciętej obrony praw jednostki. Działający na własną rękę stali się instrumentem tworzenia nowego prawa, zarówno w skali mikro, jak i makro, a uczelnia wymyśliła nowe motto „wyjątek jest regułą”. Trudności finansowe nabrały charakteru chronicznego. Rozpad społeczny spowodowany exodusem również wywarł swój wpływ. A jednak uczelnia przetrwała jako zorganizowana instytucja

i być może jej osiągnięcia w przyszłości będą jeszcze znaczniejsze. Zmieniły się drobiazgi, lecz w swej istocie była to taka sama uczelnia, jaką znał Paweł. Zapewne stabilizowała się, wkraczając w swój wiek średni.

Paweł podziękował Willowi za czas, który mu poświęcił, a w myśli również za to, że pozostał sobą. Po czym poszedł po Karolinę, by zabrać ją na kolację. Odczuwał satysfakcję wynikającą z uzupełnienia wiedzy na temat swej byłej szkoły. Brakowało mu tej wiedzy przez minione dwadzieścia lat i czuł się bez niej niepełny. Teraz, na powrót, w pewien subtelny sposób, stał się całością.

Karolina bawiła się z innymi dziećmi na placu zabaw bardzo ciekawie urządzonego przez samych studentów. Znajdował się tam rodzaj piwniczki, do której schodziło się po drabince, i przejście utworzone z zawieszonych opon; prawdziwa radość dla dzieci. Karolina nie miała ochoty zostawiać tego wszystkiego, przypomniał jej więc o czekającym na nią mleku czekoladowym. Miał w głębi duszy nadzieję, że nie przywiązała się zbyt do tego, co ją teraz otaczało.

Po kolacji oglądali graffiti nad schodami prowadzącymi na tył budynku — by tak rzec, był to anus tej budowli. „Nie wygrasz z gównianym budynkiem” — twierdził jeden z napisów a propos. Inne były trochę bardziej wyszukane; na przykład, pytanie i odpowiedź: „Podaj nazwę swojej ulubionej grupy heavy-metalowej 1. żelazo 2. ołów 3. wolfram” (itd.) Paweł — wyjaśniał córce pewne pojęcia; było to zarówno ćwiczenie edukacyjne, jak i silosowanie w praktyce przekonania, że należy odpowiadać na wszystkie postawione w dobrej wierze pytania i to przy użyciu słownictwa zrozumiałego dla pytającego. Niektóre wyrazy czteroliterowe stanowiły niewątpliwe wyzwanie w tym względzie. Miał nadzieję, że takie podejście uchroni ją jednak przed doświadczeniami brutalnej rzeczywistości, nim pewne pojęcia staną się dla niej zrozumiałe. Nie miał pewności, czy mu się to uda, lecz uważał, że warto próbować. Nie chciał bowiem, by dorastała w ignorancji i bezsensownym wstydzie.

Poszli potem ścieżką wysypaną żwirem przez las w kierunku północnych obrzeży kampusu. W pewnym momencie Karolina zauważyła małą dróżkę odchodzącą od tej, na której się znajdowali.

— Tatusiu, pójdźmy tędy! — zawołała.

Najwyraźniej odziedziczyła po nim żądzę odkrywania wszelkich dróg, zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. Kochany dzieciak!

— Przejdziemy kawałek — odpowiedział.

Ścieżka szła w dół zbocza, urywając się od czasu do czasu i pojawiając na nowo.

— Zupełnie jak ta, którą chodziłeś do szkoły — powiedziała.

Nigdy nie miała dość słuchania historyjek z jego młodości. Paweł będąc w jej wieku rzeczywiście chodził do szkoły ścieżką przez las i droga ta długa była na dwie i pół mili. Nie opowiedział jej tego po to, by pokazać, jak stosunkowo łatwe było jej życie, lecz dlatego, że bardzo lubiła porównywać jego młodość z własną. Teraz znalazła ścieżkę podobną do tej z opowiadań i dodało to blasku jej

dziewczęcym poszukiwaniom i przygodom.

Czy inne dzieci podobnie utożsamiały się ze swoimi rodzicami? Zapewne usiłowały to czynić — lecz w większości przypadków uprawnione porównania były tłumione, prawdopodobnie rodzicielską obojętnością, pozostawiając jedynie osad freudowskich sublimacji. Jeśli dziecko płci żeńskiej nie mogło myśleć o ojcu jako zwykłym rodzicu lub partnerze zabaw ze świata imaginacji, istniało prawdopodobieństwo, że pomyśli o nim jako o partnerze seksualnym. A to już prowadziło do tragicznych konsekwencji w jego . późniejszym życiu. O ile lepiej jest pozwolić córce być córką!

Ścieżka wiodła przez chwiejny, drewniany mostek nad parowem i wiła się dalej. Karolina gnała do przodu — podniecona. Zupełnie jak on sam, kiedy wieku ośmiu lat buszował po ścieżkach leśnych — a i teraz odczuwał radość! Nadchodził jednak zmierzch, a oni musieli wstać dość następnego ranka, by zdążyć na samolot do domu. Nie była to pora na zgubienie się w lesie.

— Sądzę, że powinniśmy wracać — powiedział bez przekonania.

— Jeszcze kawałeczek! — prosiła i nie potrafił jej odmówić.

Półmrok dodawał szczególnego uroku otaczającej ich scenerii. Choć nie

zmienione, całe otoczenie wydawało się bardziej ekscytujące, piękniejsze. Jakże przypominało to poszukiwanie wiedzy, kiedy każde poznanie dostarczało nowych zagadek do rozwiązania, oddalających poszukującego od punktu początkowego poszukiwań. A patrząc na problem bardziej ponuro, jakże przypominało to drogę do Piekła, wybrukowaną dobrymi intencjami, drogę, którą on przebył niejednokrotnie, a mimo to nie pozbył się pokus... Poszli kawałek dalej, ulegając pokusie chwili. Dróżka biegła wesoło po mostkach ze zbutwiałych desek, obok powalonych drzew i dochodziła do rzeki.

— Och, ile kamyków! — zawołała Karolina, kucając niebezpiecznie blisko wody. Niedawno zapoczątkowała kolekcję skał i kamieni, i ciągle poszukiwała nowych kształtów i kolorów. — Och, jakie piękne!

Paweł był zadowolony z tych jej geologicznych zainteresowań. Piękno tkwi w oku patrzącego, a jej oczy były piękne. Ale to nie był odpowiedni czas!

— Musimy albo wracać tą drogą, którą przyszlismy, albo też iść do przodu — powiedział, patrząc na coraz ciemniejszy las. Chociaż spędził tu kiedyś cztery lata, nigdy nie zapuścił się tak daleko. Co przywiodło mu na myśl jeszcze jedną paralełę: niewątpliwie istniały całe dziedziny wiedzy na uczelni, które w podobny sposób przeoczył.

Zdecydowali, że pójdą do przodu z nadzieją wydostania się na otwartą przestrzeń nim ogarnie ich ciemność, tym bardziej że ścieżka prowadziła we właściwym kierunku. Paweł wrzucił kamyki do własnej kieszeni, jako że sukienka Karoliny kieszeni nie posiadała. Przeszli po jakimś większym moście, który znajdował się w tak daleko posuniętym stanie rozkładu, że deski przesuwwały się pod ich stopami i Paweł był zmuszony trzymać Karolinę za rączkę, żeby nie straciła równowagi.

— Po to właśnie są tatusiowie — powiedziała. Teraz już na pewno nie poszliby z powrotem!

W którymś momencie ścieżka się rozwidła. On poszedł jedną odnogą, ona drugą. Kiedy jednak za bardzo od siebie się oddalili, zaczął się denerwować. A co będzie, jeśli ją zgubi w tym lesie? Na myśl o niej samotnej, przerażonej i płaczącej — poczuł przyływ poczucia winy związany z poprzednim wieczorem, kiedy to dopuścił do tego, że nie mogła go znaleźć.

Po chwili dołączyła jednak do niego.

— Tam mogą być niedźwiedzie — zwierzyła się ze swych obaw. Zaiste — i to nie tylko czysto materialne! A tu będą niedźwiedzie... nie, chodziło o tygrysy. Na jedno wychodzi.

Droga wspinała się teraz stromym stokiem porośniętym sosnami, po czym skręcała w lewo — a to nie był kierunek, w którym chcieli iść. Trzymali się jej jednak dalej. Wreszcie osiągnęła grzbiet wzgórza, wkroczyła w przerzedzony las i ponownie się rozwidliła.

— . Spójrz! — zawołał Paweł.

Opodal stał wielki wigwam indiański, wysoki na piętnaście stóp, nie całkiem jeszcze ukończony. Niewątpliwie dzieło jakichś ambitnych studentów; tu i ówdzie leżały porzucone narzędzia. Miłe, zupełnie przypadkowe odkrycie.

Naturalnie, po chwili, zmuszony był objaśniać znaczenie słowa „koincydencyjny” swej bystrej córce. Kiedy więc szli dalej na północ, już wśród pól, opowiedział jej o trzech księciach z Koincydencji, którzy zawsze znajdowali to, czego szukali. O ile łatwiejszymi stawały się słowa podane wraz z towarzyszącą im ich własną legendą. Następnym razem, kiedy użyje tego słowa, niezależnie od kontekstu, usłyszy:

— Och, tatusiu. Ten wielki wigwam!

Wreszcie ścieżka przemknęła pomiędzy wysokimi krzewami, sięgającymi mu do ramienia, a Karolinie ponad jej głowę — i wyszła na znany im teren. A jednak się nie zgubili!

— To było wspaniałe, tatusiu! — wykrzyknęła.

Tak — to była rzadka przyjemność. Objął ją ramieniem i tak blisko siebie podążyli dalej. W ten miły sposób skończyły się ich doświadczenia i przeżycia związane z jego starą uczelnią.

Mimo to sny miał nieprzyjemne i męczące. Był w nich jakiś zagubiony list do Karoliny — list, na którym bardzo jej zależało. Telefon do niego, o którym go nie poinformowano. Był powrót jednostki Specjalnej, która nie mogąc przyłapać Pawła, skierowała swą wściekłość na Willa, wyrzucając go z pracy. Wszystko to naturalnie bez najmniejszego sensu, ale bardzo niepokojące.

Wstali przed świtem. Paweł martwił się ewentualnymi kłopotami, które mogą napotkać w drodze powrotnej: Dawid White może zasnąć, może popsuć mu się samochód albo samolot się spóźni i nie zdążą na przesiadkę, albo Paweł czy Karolina przeiębią się, co uczyni podróż samolotem niebezpieczną, albo zgubią bilety, czy też zła pogoda nie pozwoli...

Dawid przyjechał zgodnie z planem i wiozł ich teraz na miejscowe lotnisko. Jedno zmartwienie mniej!

— Do widzenia, kaczuski! — powiedziała Karolina. — Do widzenia, pieski. Do widzenia, uczelnio. — Zachmurzyła się nagle. — Tatusiu, tak chciałabym tu zostać...

Paweł nie zareagował. Był zadowolony, że jej się tu podobało, lecz teraz należało wracać do domu. Kochał córkę, ale kochał również jej matkę i obecne od niej oddalenie zaczynało mu ciążyć.

Samochód się nie zepsuł. Nie przeziębili się. Tablica świetlna informowała, że samolot odleci zgodnie z rozkładem. Pogoda była piękna. Paweł podał bilety urzędnikowi linii Air Non Entity. Żadna z jego niemądrych jakoś się nie zmaterializowała.

Mężczyzna sprawdził listę pasażerów.

— Przykro mi — nie mogą państwo wsiąść do samolotu — powiedział.

Paweł zmarszczył brwi.

— Tu jest potwierdzona rezerwacja. Bilety są ważne.

— Ale nie na ten lot.

Paweł zaczął odczuwać lekką irytację.

— Kupiliśmy te bilety trzy tygodnie temu. Zostały potwierdzone. Przylecieliśmy tutaj waszą linią z Bostonu. Albo znajdziemy się w tym samolocie, albo zostaną podjęte prawne kroki...

— Proszę mi nie grozić — odparował mężczyzna. — Muszę postępować zgodnie z listą. A pana na niej nie ma. Nie mogę dać panu miejsca należącego do innego pasażera.

I to było wszystko. Mężczyzna odmówił honorowania ich biletów, co więcej — nawet na nie nie spojrział. W ten sposób unikał naocznego stwierdzenia, że rzeczywiście są w porządku. Zatelefonował jednak do linii Allegory Airlines i dowiedział się, że w samolocie do Nowego Jorku są dwa wolne miejsca. Samolot ten odlatywał z większego lotniska, odległego o czterdzieści mil.

— Chętnie was tam zawiozę! — zaproponował David.

Paweł, pomyślawszy o przesiadce w Nowym Jorku, a także o obawach żony, gdyby nie zdążył na tamten samolot przyjął jego propozycję, chociaż nie chciał mu się narzucać, wiedząc, że ma wiele zajęć na uczelni. Był wściekły na Air Non Entity za dopuszczenie do podwójnej rezerwacji.

— Sądziłem, że Ralph Nader rozwiązał już ten problem kilkadziesiąt lat temu! — mruczał pod nosem. — Och, tak, przyjdzie jeszcze dzień obrachunku!

— Nie polecimy do domu? — pytała zmartwiona Karolina. — Dlaczego nie możemy wsiąść do tego samolotu?

— Polecimy innym samolotem — wyjaśnił Paweł krótko. — Samolotem Allegory Airlines. Pojedziemy na ich terminal samochodem.

— Linią Aligator! — zawołała zachwycona.

Jazda samochodem okazała się zupełnie przyjemna. Droga otrzymała nową nawierzchnię i była znacznie lepsza niż za czasów studiów Pawła. David opowiadał o swoich planach i o znalezieniu ciekawszej pracy.

— Niełatwo jest teraz znaleźć jakąkolwiek pracę — powiedział Paweł, przypominając sobie własne kłopoty, nim wstąpił do Świętego Zakonu Wizyjnego. — Nie powinieneś wykluczać możliwości stałego zajęcia na uczelni.

W dużym stopniu David przypominał Pawła sprzed lat dwudziestu; różnił się wszakże od niego pod jednym względem: Paweł nigdy nie znajdował się na liście potencjalnych pracowników swojej uczelni! Wbrew pozorom David był silną indywidualnością i posiadał duszę buntownika. Pewne uwagi, które Paweł usłyszał w prywatnych rozmowach, wskazywały, że uczelnia kipiała na wprost ukrytym buntem, jak dwadzieścia lat wcześniej; byli nawet tacy, którzy uważali tamte lata za złoty okres uczelni. Paweł podejrzewał, że wątpliwości, jakie David żywi względem pracy w tej szkole, jaw pełni uzasadnione. Niestety, świat zewnętrzny również nie przedstawiał się idealnie.

Szczęśliwie dotarli o terminalu Allegory Airlines. Nie mieli tam żadnych 'kłopotów'. Przedstawiciel linii wystawił nowe bilety bez dodatkowej opłaty. Paweł i Karolina pożegnali Davida. Jego pomoc uchroniła ich przed zamknięciem na lotnisku, jedynym zresztą problemem, którego Paweł nie przewidywał. Wsiadli do samolotu. Maszyna była o wiele przyjemniejsza niż mgły samolot obsługiwany przez Air Non Entity, a poza tym serwowano tu śniadanie.

— Jestem winna Susan sześć centów — oznajmiła Karolina.

— Co takiego?

— Pożyczyłam od niej sześć centów.

I dopiero teraz mu o tym mówi!

— Odeślemy pieniądze pocztą po powrocie do domu. — Czyżby to był ten zagubiony list, który śnił mu się ubiegłej nocy?

Wylądowali w Nowym Jorku o niewłaściwym czasie i na niewłaściwym terminalu. Paweł nie znał zbyt dobrze tego miejsca, zapytał więc o drogę. Dziewczyna za kontuarem wskazała mu kierunek, w którym powinien iść. Szedł więc zatłoczonym korytarzem z Karoliną drepczącą obok. Cała grupa znaków wskazywała drogę do tej linii, o którą mu chodziło, szedł więc zgodnie z ich wskazaniem. Jednak w następnej grupie znaków tego, który pokazywał drogę do jego linii, już nie było. Zatrzymał się zdezorientowany.

— Tatusiu, dokąd idziemy? — spytała Karolina.

— Sam chciałbym wiedzieć! — Popatrzył na zegarek. Czas szybko uciekał. Wrócili tą samą drogą, którą przyszedli, z tym, że zmęczona Karolina szła coraz wolniej. I znów miał przed sobą znak wskazujący drogę. Ale gdzie była linia?

— Tatusiu, zachowywałeś się tak, żebyś mnie nie pamiętał — powiedziała Karolina.

— Nie że. Jak. Jakbym cię nie pamiętał — poprawił ją. A po chwili zapytał: — O czym ty właściwie mówisz? — Uwagę miał ciągle zaprzątniętą problemem znikającej linii lotniczej.

— Kiedy wsiadaliśmy do samolotu. Na początku podróży. Powiedziałeś, że nastąpiła pomyłka dotycząca toż... toż...

— Tożsamości. — Jak to możliwe, żeby zniknęła cała linia lotnicza? : — No właśnie. Czy to oznacza, że nie jestem twoją córeczką?

— Cokolwiek... — zaczął. I zauważył, że jest bliska płaczu. — Oczywiście, że jesteś moją córeczką! Na pewno coś źle usłyszałaś. — Rzeczywiście, zdarza jej się zadawać kłopotliwe pytania w najbardziej nieodpowiednich momentach! — Teraz musimy koniecznie znaleźć naszą linię lotniczą.

Byli ponownie w hallu centralnym, z którego schody prowadziły gdzieś w dół, a korytarze rozchodziły się na wszystkie strony, tworząc olbrzymi labirynt.

— Może jest tam na dole — powiedział niepewnie. Czas, czas!

Zjechali na dół, by natknąć się na jeszcze więcej korytarzy i jeszcze większą liczbę znaków — tyle że niewłaściwych.

— Nic z tego nie pojmuję — skarżył się. Wolałby już zgubić się gdzieś w gęstym lesie!

Podszedł do stanowiska odprawy bagażu, aby poprosić o wskazówki, podczas gdy Karolina ważyła się na wadze bagażowej. Musiał poczekać, aż pasażer stojący przed nim odda swoją walizkę. W końcu wreszcie był w stanie przedstawić swój problem i dowiedzieć się, jak znaleźć właściwą poczekalnię.

— Wszystko w porządku, Karolino — powiedział lekkim tonem. — Teraz już wiemy, dokąd się udać.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Odwrócił się poirytowany — i skonstatował ze zdumieniem, że jego córka gdzieś zniknęła.

Zapewne znudziła ją zabawa z wagą i poszła dalej. Odeszła od niego na chwilę i zagubiła się w tym wirującym tłumie. Zaczął jej szukać z przeszywającym uczuciem paniki w piersiach.

— Karolino!

Nie mógł jej odnaleźć. Wokół niego ludzie śpieszyli w różne strony, każdy zaaferowany własnymi sprawami. Większość z nich stanowili dorośli. W pewnym momencie zobaczył dziecięcą figurkę,

zdążającą korytarzem do wyjścia. Pobiegnął za nią.

— Karolino!

Dziewczynka odwróciła się. Nie znane mu dziecko patrzyło na niego z zainteresowaniem. Zażenowany przebiegł obok niej, jak gdyby wołał do kogoś znajdującego się dalej. Znalazł się przy wyjściu. Na zewnątrz była ruchliwa ulica, pełna samochodów i ciężarówek dostawczych, przejeżdżających niebezpiecznie blisko wyjścia z terminalu. Czyżby dotarła aż tutaj?

Wybiegł na zewnątrz, rozglądając się z desperacją. Nie widział jej nigdzie.

— Karolino! — wołał rozpaczliwie.

A może poszła do toalety. Tak — rzadko zdarzało jej się przejść obojętnie obok „źródłka” z pitną wodą czy obok toalety i nie skorzystać z tych urządzeń. Korzystała z nich prawie zawsze od czasu, kiedy w wieku dwóch lat dowiedziała się, do czego służą. Musiała skrócić w bok i wejść do środka, podczas gdy on gnał bez opamiętania do przodu. A potem mogła mieć kłopoty z otwarciem ciężkich drzwi od wewnątrz.

Wracał, szukając po drodze toalety. Odczuwał silny niepokój, związany z tym, że ktoś wewnątrz mógłby — czasami zboczeńcy czatowali na małe dziewczynki — och, nie! Nie mógł jednak wejść do damskiej toalety, żeby samemu sprawdzić.... Akurat nadchodziła jakaś młoda kobieta.

— Przepraszam panią — powiedział dość gwałtownie. — Czy mogłaby pani...

Zatrzymała się zaskoczona jego słowami i wzrokiem. Po czym odwróciła się i szybko odeszła.

— Karolino! — krzyknął głośno. — Jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi. Nie był pewien, czy była akurat w tym pomieszczeniu; w tym olbrzymim kompleksie musiały ich być dziesiątki. Czy byłby w stanie sprawdzić je wszystkie?

Zdecydowanym krokiem zbliżał się do niego jakiś mężczyzna o wyglądzie funkcjonariusza. Paweł domyślił się, że młoda kobieta złożyła skargę; teraz zostanie aresztowany za nieprzyzwoite zachowanie. Odszedł.

Słyszał za sobą kroki. Przyspieszył; jeśli go teraz aresztują, nie znajdzie córki! Już jakieś widmowe obrazy zaczęły tworzyć się w jego umyśle; jeśli jej się coś stanie...

Tamtej nocy w uczelni to ona martwiła się o niego. Teraz już dokładnie wiedział, co musiała wówczas odczuwać.

Ponownie znalazł się przy wyjściu. Czy to ona tam na ulicy rozgląda się i szuka go wzrokiem?

— Karolina?! — zawołał, wybiegając na zewnątrz.

Dziewczynka zeszła z chodnika na jezdnię. Rozległ się dźwięk klaksonu i pisk opon.

— KAROLINO! — krzyczał Paweł, rzucając się do przodu.

Usłyszał złowieszczy trzask.

15

Honor

(Sprawiedliwość)

Według James'a L. McCary, autora Seksualizmu człowieka, starożytne prawa, zarówno możeszowe jak i doczesne, wywodzą się z potrzeby wzmocnienia siły poszczególnych plemion. Dotyczy to także ograniczeń nałożonych na ekspresję seksu. Kobiety uważano za nieczyste w okresie menstruacji, bo były wówczas nieplodne i seks niczemu nie służył; nasienie należało zachować na czas płodny, by zwiększyć liczbę potomków i pomnożyć liczebność plemienia. Podobnie, zabronione były praktyki homoseksualne, choć mniej surowo w przypadku kobiet, ponieważ nie zachodziło tam marnotrawstwo nasienia. Jezus Chrystus mówił niewiele o sprawach pici; mówili o nich późniejsi teologowie chrześcijańscy, poczynając od Pawła. Wydawali się oni zainteresowani ograniczeniem seksu i dążeniem do jego całkowitej eliminacji; stąd idealizacja celibatu i potępienie wszelkich stosunków pozamalżeńskich. Ostatecznym osiągnięciem mężczyzny miało być odrzucenie rozkoszy życia, a doskonałym stanem kobiecości — dziewictwo.

Therion siedział na ogromnej Biblii. Księga ta miała grubość jednego metra i jakieś cztery metry długości.

— Wróciłeś więc — zauważył akolita Rogatego Boga. — Wakacje się skończyły, hm?

Co się stało z Karoliną? Brat Paweł był nieżonaty i nie miał córki; teraz był tego pewien. Tym samym nie mógł jej utracić. Jednocześnie był przekonany o realności Karoliny. W tym samym czasie, za dziesięć lat...

Cóż, będzie się martwił swoją przyszłością, kiedy się do niej zbliży.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Theriona. Wiedział, że ten go prowokuje, tym bardziej że osobiście brał udział w ostatniej sekwencji wydarzeń.

— Dokonałeś przeglądu różnych religii i różnych filozofii, a także tego, co uważasz za doskonałą instytucję edukacyjną, i stwierdziłeś, że wszystkim czegoś brakuje — powiedział Therion. — Metodą eliminacji wybrałeś Boga chrześcijan. Czy starczy ci jednak odwagi, by przyjrzeć się Jezusowi i jego kultowi z takim sceptycyzmem, z jakim się innym przyglądałeś?

Surowe i poważne wyzwanie.

— Muszę pozostać bezstronny — zgodził się brat Paweł.

— Nawet jeżeli twój syn Boży był skończonym antyfeministą?

— Co takiego? — zapytał zirytowany brat Paweł.

— Miał do czynienia tylko z mężczyznami. Nim zaczął nauczać, udał się do swojego kuzyna Jana Chrzciciela, a zebrał wokół siebie dwunastu mężczyzn jako uczniów. Dlaczego nie było wśród nich kobiet? Czyż nie uważał, że one również są dziećmi bożymi? A może należały one do klasy służebnej, której nie traktuje się poważnie?

— Skądże znowu! — zareagował ostro brat Paweł. Po czym zastanowił się. Rzeczywiście, dlaczego nie było kobiet wśród uczniów? — Powinieneś zrozumieć, że w owych czasach cała kultura przyznawała kobietom ograniczony status, szczególnie w sprawach dotyczących religii.

— W świecie chrześcijańskim — powiedział Therion. — Ale nie wśród pogan. Rogaty Bóg akceptował kobiety. Jego świątynie pełne były kapłanek, kapłanki te były niczym nie skrepowane.

Zaiste tak było. Dla Theriona kobieta spełniała się tylko jako prostytutka świątynna czy stręczycielka, uwodzicielka mężczyzn. Nie ma sensu z tym dyskutować.

— Jezus był Żydem. Nie mógł sobie pozwolić na drwiny z ustalonych zasad swego ludu. Zostałby zlinczowany znacznie wcześniej niż to nastąpiło, gdyby przyjął kobiety jako swych uczniów i wówczas jego przesłanie nie dotarłoby do tak szerokiej rzeszy ludzi. — Ci, którzy nauczali, nim nadszedł ich czas, zawsze cierpieli z tego powodu; Paweł odczuł to na własnej skórze, kiedy wystąpił w obronie koedukacji na terenie swojej uczelni. Jakże dobrze rozumiał taką sytuację! — Okoliczności zmusiły go do...

— Głoszenia zbawienia dla mężczyzn, ale nie dla kobiet — dokończył ten drugi, chytrze i złośliwie.

— Jezus poważał kobiety! — rzekł brat Paweł z naciskiem. — Niektóre z nich pełniły dla niego funkcje misyjne...

Therion uśmiechnął się szyderczo.

— Na przykład?

— — Na przykład kobieta przy studni! — powiedział brat Paweł. — Opowiedziała o Jezusie Samarytanom i przyprowadziła do niego swych krewnych i przyjaciół, i było wielu nawróconych...

— Kobieta przy studni — powtórzył Therion, jak gdyby ten przykład miał w sobie coś bardzo zaskakującego. — Czy rzeczywiście uważasz, że może to być dowodem czegokolwiek istotnego?

— Tak! To wszystko znajduje się w tej Biblii.

Therion zeskoczył z Biblii.

— Zajrzyjmy tedy do twojej Dobrej Księgi i poszukajmy między liniami. — Uniósł okładkę jak wieko trumny. Strony przewracały się same poprzez Stary Testament, zwalniając przy Nowym Testamencie. Mateusz... Marek... Łukasz... Jan. Rozdziały 1...2...3...4.

— „Jezus opuścił Judeę i odszedł znów do Galilei” — czytał głośno Therion, akcentując

przesadnie poszczególne słowa. Wokół Biblii zaczął tworzyć się krajobraz z tamtych czasów. Wpierw sceneria wydawała się odległa, jak gdyby widziana z samolotu — Nie, tylko nie to! — po czym nabrała ostrości i uspokoiła się. Wyglądała jakby była widziana okiem kamery znajdującej się na ciężarówce jadącej wiejską drogą, przy czym rolę tej ciężarówki spełniała ogromna Biblia. W zasięgu oka kamery znajdowało się pole i studnia.

— „Trzeba mu było przejść przez Samarię” — kontynuował Therion, podczas gdy kamera zatrzymała się na studni. Olbrzymia Biblia zniknęła, zamieniając się w kamień. — „Przybył więc do miasteczka samarytańskiego zwanego Sychar, w pobliżu pola, które (niegdyś) dał Jakub synowi swemu, Józefowi. Było tam źródło Jakuba.”

— Tak — powiedział brat Paweł. Był przekonany, że jeśli dojdzie do cytowania ustępów z Biblii chrześcijańskiej, sprostą każdemu wyzwaniu rzuconemu przez swego rozmówcę. — To ten fragment. Samarytanie byli ludem niejednorodnym, osadzonym na terenie Izraela przez Asyryjczyków, po usunięciu ludności miejscowej. Przynieśli swe własne kulty, lecz kiedy zaczęli cierpieć z powodu plag, przeszli na judaizm, zawierali małżeństwa z Żydami i twierdzili, że pochodzą od Abrahama i Mojżesza. Irytowało to Żydów z dziada pradziada i stosunki pomiędzy tymi dwiema kulturami pogorszyły się. Było więc rzeczą istotną, że Jezus napotkał właśnie Samarytankę i nawrócił ją, mimo jej złej reputacji, wybacząc jej grzechy...

— Tak, to wszystko przedstawia ten ocenzurowany tekst — powiedział Therion. — Samarytanie chcieli uzyskać akceptację Żydów na każdy możliwy sposób. Popatrz na to, co się naprawdę wydarzyło.

Od pola nadchodził jakiś mężczyzna, ubrany w obszerną, białą szatę, przewiazaną niebieską szarfą. Szata ta była niezbędna dla ochrony przed palącymi promieniami słońca. Na głowie miał chustę, a mimo to jego brodate oblicze lśniło od potu. Wydawał się kimś znajomym, i to w dziwnie podwójnym sensie.

— Lee! — zawołał brat Paweł i natychmiast przykrył usta dłonią.

— Nie przejmuj się — powiedział Therion. — On jest przypisany do tej roli i nie może od niej uciec, niezależnie od tego, jak bardzo by go irytowała, chyba że go usuniemy ze scenariusza. Nas obu nie można postrzec; jesteśmy jak duchy.

Nie to jednak było głównym zmartwieniem brata Pawła. Jeśli w animacji można komuś narzucić jakąś rolę, a osoba ta uważa, że odgrywają z własnej i nieprzymuszonej woli — oznacza to, że animacja jest horrorem nieporównywalnym z niczym innym w annałach ludzkości!

Uderzył go jeszcze inny aspekt tej sytuacji.

— Lee — jako Jezus? — zapytał zdumiony.

— A dlaczegoż by nie? To tylko rola w skeczu, a nam potrzebny był aktor. Wiedział o tym, kiedy podejmował się tego zadania.

Wiedział, że może być poddany potwornym upokorzeniom, a nawet narazić się na utratę życia. Tak. Brat Paweł postąpiłby tak samo. Mimo to, animacja ukazywała mu bardzo niepokojące możliwości. Najlepiej będzie teraz pozwolić, by Therion przedstawił swój punkt widzenia.

Jezus był zakurzony i bardzo zmęczony; zmęczenie przebijało z powolnych ruchów i całego zachowania. Podeszedł do studni i usiadł na niskim Biurku. Było to miłe miejsce, praktycznie oaza, otoczona porośniętym winoroślem murem, chroniącym przed wiatrem i kurzem. Miasto, któremu studnia służyła, widoczne było w oddali; prowadziły do niego wpierw kamienne schodki, a potem wijąca się ścieżka. Brat Paweł zastanawiał się, dlaczego, studni nie usytuowano bliżej miasteczka, lub odwrotnie — miasteczka bliżej studni; domyślał się jednak, że musiało występować wiele komplikujących sprawę czynników, takich jak układ terenu, żyzne pola, skrzyżowania dróg, czy wreszcie zwyczajnie tradycja. Niewątpliwie, dla kobiet noszących ciężkie dzbany z wodą na głowie było to dobre ćwiczenie fizyczne.

Jezus usiadł obok studni z widoczną ulgą. Przesunął językiem po suchych wargach; był spragniony. Wstał, podeszedł do studni i zajrzał do jej wnętrza. Lustro wody było zbyt głęboko, by mógł do niej sięgnąć bezpośrednio. Była tam co prawda lina, ale bez wiadra. Nie było sposobu na zaczerpnięcie wody, chyba że skoczyłby do studni — co nie byłoby zbyt mądre, jako że nie mógł się z niej wydostać o własnych siłach (pragnienie kontra przetrwanie). Zrezygnowany, wrócił ponownie na murek i usiadł ciężko. Słońce stojące prawie w zenicie paliło niemiłosiernie. Jezus siedział samotnie, z opuszczonymi oczyma, dotykając od czasu do czasu językiem spękanych warg.

— Uczniowie udali się do miasteczka, by kupić żywność — wyjaśnił Therion.

Pojawiła się jakaś kobieta z dzbanem na wodę: dużym, glinianym naczyniem z wygiętymi uchami, uformowanym na modłę archaiczną. Była młoda i zarysem linii ciała przypominała swój dzban. Miała na sobie wypłowiałą niebieską spódnicę i brązowy szal, związany z przodu, podtrzymujący jej pełne piersi jak stanik, na głowie zaś chustę opadającą na jedno ramię. Delikatne stopy chroniła sandałami, złożonymi z pasków skóry zakrywających zaledwie pięty i podeszwy. Możliwe, że była niewiastą o nie najlepszej reputacji, lecz niewątpliwie urodziwą. Naturalnie, brzydkiej kobiecie o wiele łatwiej zachować dobrą reputację; nie jest ona bowiem narażona na stałe pokusy.

— Amaranta — wyszeptał brat Paweł. Sceny w animacji różniły się od siebie w sposób zasadniczy, jednak podstawowa obsada postaci była stała. Ale przecież Amaranta nie będzie mogła rozkoszować się tutaj swą zwykłą rolą uwodzicielki!

Kobieta zeszła po kamiennych schodkach kołysząc się krokiem, rzuciła przelotne spojrzenie na Jezusa i całkowicie zignorowała jego obecność. Zatrzymała się przy studni, wzięła do ręki luźno zwisającą linę, przełożyła jej koniec przez uchwyt dzbana i ostrożnie opuściła dzban w głąb studni.

Rozległ się donośny bulgot, kiedy bańki powietrza zaczęły wypływać na powierzchnię.

Jezus ocknął się z zamyślenia.

— Daj mi się napić — powiedział.

Zaskoczona kobieta popatrzyła na niego.

— Czyż nie jesteś Żydem? Z Galilei? — Akcent i ubiór ułatwiał identyfikację każdego, zarówno pod względem geograficznym, jak i kulturowym.

Jezus skinął głową.

— Żydzi również cierpią pragnienie, nawet ci z Galilei.

— Ty, Żyd, prosisz Samarytanę, by dała ci się napić? Przecież Żydzi i Samarytanie unikają się nawzajem.

Czując się jednak dziwnie usatysfakcjonowana, napełniła dzban i podała mu go. Częstowanie wodą było bowiem czymś fundamentalnym w tym pustynnym kraju.

Jezus pił długo. Wreszcie zwrócił jej dzban i otarł rękawem krople płynu z brody.

— O, gdybyś знаła dar Boży i wiedziała, kim jest Ten, kto ci mówi: „Daj Mi się napić” — prosiłabyś go wówczas, a dałby ci wody żywej.

— Cóż za przynęta — zauważył Therion z aprobatą. — Z łatwością pobudził jej ciekawość. Byłby świetnym naganiaczem w wesołym miasteczku.

Brat Paweł powściągnął swą naturalną reakcję, wiedząc, że to prowokacja ze strony Theriona.

Kobieta uśmiechała się z pobłażaniem, opuszczając dzban, by napełnić go ponownie.

— Nie masz czerpaka ani studni, skądże więc weźmiesz wody żywej? Czy sądzisz, że jesteś większy od Jakuba, który dał nam tę studnię?

Jezus, odświeżony odpoczynkiem i wodą, uśmiechnął się do niej.

— Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki.

Kobieta zestawiała pełny dzban na ziemię i odwiązała linę.

— W porządku, Żydie, dam ci się nabrać: daj mi tej wody żywej. Jezus opuścił dłoń w okolice łona, pokazując to, co uniosło się pod płótnem.

— A co na to powie twój mąż?

Źrenice kobiety rozszerzyły się, kiedy pojęła znaczenie jego oferty.

— Nie mam męża.

— Dobrze powiedziane — przyznał Jezus, ujmując jej łokieć i przyciągając do siebie. — Miałaś

bowiem wielu mężów, a każdego tylko na jedną noc. Teraz możesz mieć męża na cały dzień.

— Widzę, że jesteś prorokiem. — Uniosła twarz do pocałunku.

— Wierz mi, niewiasto, nadchodzi czas...

— Chyba nie tylko...

Brat Paweł nie mógł znieść tego dłużej.

— Przestań — zawołał. — To... to jest oburzające!

— Nie widziałeś jeszcze najlepszego — zaprotestował Therion z udawaną niewinnością. — Poczekaj, aż zobaczysz Świętą Erekcję. On rzeczywiście napelnia ją Duchem Świętym tak, że się przelewa...

— Jezus nigdy nie współżył cieleśnie z kobietami! On...

Therion zmarszczył brwi.

— Nie jesteś w stanie znieść zetknięcia z ocenzurowanymi stronami swojej Biblii? Gdzież jest twoja bezstronność?

Zdenerwowanemu Pawłowi zabrało krótką chwilę zebranie myśli na nowo.

— Istnieje pewna różnica pomiędzy bezstronnością a bluźnierczą pornografią. Nie wierzę, by Jezus mógł czynić coś takiego! „Woda żywa”, o której mówił, to Duch Święty. A ty nadajesz temu jakieś lubieżne konotacje...

— Nie uznajesz możliwości, że Jezus mógł być zainteresowany płcią odmienną? — zapytał Therion spokojnie. — Że mógł czasami odczuwać pokusę igrania z ładną dziewczyną, która okazała mu trochę serca? Nie z kobietą żydowską; to byłaby jaskrawa głupota. Lecz Samarytanie to już inna kategoria. Być prorokiem to ciężka praca; musiał czasem odpocząć.

— Nie! — krzyczał brat Paweł, nie dopuszczając do siebie powierzchownie rozsądnych argumentów Theriona. Wiedział dokąd taka droga może doprowadzić! — W całej Biblii nie ma najmniejszego dowodu na to, że Jezus miał związek cielesny z jakąkolwiek kobietą!

Therion uśmiechnął się złośliwie.

— Bardzo interesujące zastrzeżenie. Barrrdzo interesujące! Sugerujesz tym, że miał związki cielesne z mężczyzną?

— Nie! Ja...

Brat Paweł już wiedział, że w niemądry sposób dał się złapać w pułapkę. Zupełnie jakby nie znał skłonności tego czciciela Diabła. Therion zatrzasnęła nieubłagane szczęki pułapki.

— Jak sam stwierdziłeś, Jezus nigdy nie współżył cieleśnie z kobietą. Jeśliby więc Samarytanka przy źródle ofiarowała mu swe wdzięki, odrzuciłby ją i nie zajął się nawracaniem Samarytan. Dlatego też musiał dawać upust swym naturalnym namiętnościom z tymi, z którymi odczuwał bliższe powinowactwo. I rzeczywiście twoja Biblia informuje, że...

— To niemożliwe! — wykrzyknął brat Paweł.

Olbrzymie kartki przewracały się ponownie, zatrzymując się przy Jedenastym rozdziale według Jana. Uformowała się nowa scena.

— „Był pewien chory, Łazarz z Betanii, brat Marii, tej, która namaściła olejkiem stopy Jezusa i otarła je włosami, a On wybaczył jej grzechy.” — Therion uniósł wzrok. — Wiesz, to wielce interesujący użytek uczyniony z kobiecych włosów; muszę tego kiedyś spróbować. Najwyraźniej Jezus lubił wybaczać pięknym kobietom ich grzechy, szczególnie zaś, kiedy całowały jego brudne stopy. W tych czasach kobiety rzeczywiście знаły swoje miejsce. Podejrzewam, że niektóre były wdzięczne za to, że im pozwolono lizać jego palce, a gdyby tylko zażądał ich oralnych atencji trochę wyżej...

Przerwał, lecz tym razem brat Paweł odmówił chwywania przynęty. Szaleństwem bowiem było angażowanie się w przypadkowe dyskusje z tym człowiekiem.

— No cóż — kontynuował Therion. — Brat owej Marii miał na imię Lazor czy Łazarz. Jezus kochał Łazarza i jeśli potraktujemy to dosłownie...

Scena ukazała Jezusa kładącego dłonie na ramionach jakiegoś mężczyzny, przyciągającego go do pocałunku, podobnie jak to czynił z kobietą przy studni.

— Nie! — zaprotestował brat Paweł. — To była normalna przyjaźń! Nie masz podstaw, by zakładać...

Therion popatrzył na niego poważnym wzrokiem.

— Unikasz wszelkich rozsądnych przypuszczeń. A to tylko część problemu w przypadku twojej dziwacznej religii. Przetawię ci wobec tego do oceny następującą hipotezę: jeśli Jezus nie dogadzał sobie ani z płcią piękną, ani z mężczyznami, musiał tym samym folgować sobie w samotności...

— Nie!

— To co niby robił? Zabawiał się z owieczkami?

Brat Paweł nie był w stanie znaleźć odpowiedzi. Ten diabeł przytłaczał go potwornościami. Jakże miał wybrać pomiędzy stosunkami z płcią odmienną, homoseksualizmem, masturbacją i sodomią? Oświeciła go nagła myśl:

— Biblia opisuje jedynie niewielki fragment życia Jezusa! Tylko jego narodziny, confirmację w wieku lat dwunastu i początki jego duchowej misji, kiedy ukończył lat trzydzieści. Nie ma tam osiemnastu lat z okresu młodości i wczesnej dojrzałości. Mógł wówczas prowadzić pod każdym

względem normalne życie, którego pruderyjni twórcy Nowego Testamentu nie zechcieli opisać lub o którym niewiele wiedzieli!

— Właśnie to sugerowałem od początku — zgodził się Therion. — Kobieta przy źródle była zapewne tak ponętna, jak większość Samarytanek. Zauważ, że wkrótce potem opowiedział przypowieść o dobrym Samarytaninie. Zapewne miał na myśli przyjemności...

— Nie! — Brat Paweł ponownie znalazł się w pierwszej pułapce, grzęznąc w bagnie wyobraźni degenerata. — Żadnych przypadkowych stosunków. Na pewno poślubił...

Therion uniósł jedną brew. Miał doskonałą kontrolę nad mięśniami twarzy.

— Czy jest w Biblii jakaś wzmianka na ten temat? Czy naprawdę nie było żadnej drogi wyjścia?

— Nie, nie ma takiej wzmianki, ale, jak już wspomniałem, redakcja tekstu czy zwykłe przeoczenie...

— Czyżbyś rzeczywiście wierzył, że mogli przeoczyć coś takiego? Zgubić gdzieś całą żonę? — Therion uśmiechnął się zadowolony z przypadkowej gry słów. — Żaden apostoł, żaden z towarzyszących Jezusowi słuchaczy nie wspomnieliby ani słówkiem o takiej kobiecie? Nie byłoby wdowy podczas ukrzyżowania, nie byłoby osieroconych dzieci?

To było zupełnie beznadziejne.

— Nie, nie mogliby tego przeoczyć — przyznał brat Paweł z ciężkim sercem. — Jezus nie był żonaty.

Jak kuszący był pomysł przywołania obrazu kochającej żony, zmarłej przedwcześnie i bez potomstwa, nim jeszcze Jezus rozpoczął swą misję — i jak jałowy zarazem.

— Wracamy przeto do podstawowego pytania. Jak Jezus wykorzystywał swoje przyrodzenie, kiedy nie oddawał moczu?

— Nie wiem.

— Nie uważasz, iż winien to jesteś swojej misji, żeby się dowiedzieć? Diabelski imperatyw! — Tak — odpowiedział brat Paweł z zaciętą

odwagą. Rzucono wyzwanie samemu honorowi Jezusa Chrystusa i brat Paweł musiał go bronić, oczyścić z zarzutów — jeśli tylko potrafił. Niepowodzenie oznaczałoby wyeliminowanie całej grupy religii wywodzących się od Chrystusa i pozostawienie wolnego pola Rogatemu Bogowi.

— Zapis jest tutaj — powiedział Therion, wskazując na Biblię.

— Ojczy, wybac mi — szepnął brat Paweł błagalnie. — Muszę to uczynić.

Postąpił ku olbrzymiej Biblii, a strony księgi zaczęły się przewracać tak szybko, że aż zatarły się

ich kontury. Zanurzył w tej utworzonej ich szybkim ruchem mgłę jedną stopę, potem drugą, wreszcie zanurzył się cały i znalazł się w Galilei. Stał na górskim pastwisku i rozglądał się wokół.

Ujrzał typowy krajobraz podzwrotnikowy, a w nim zbocze góry, na którym rosło kilka krzepkich drzew i pieniała się wysoka trawa. Był pewien, iż wkrótce jakiś pasterz przyprowadzi tu swoje owce, a te przystrzygą tę trawę przy samej ziemi. Wówczas zabierze je na świeże pastwisko i pozwoli w ten sposób odnowić się ściętej krótko zieleni. Naturalnie, nie było tu żadnego ogrodzenia; teren był otwarty i każdy mógł z niego korzystać, jeśli miał na to ochotę i siłę, by go zająć. Pasterze bywali twardzi, wiedział o tym; mały Dawid stał się mistrzem w posługiwaniu się procą, broniąc stada przed wilkami, i pokonał tą bronią Goliata.

Z krzewów wyłonił się jakiś mężczyzna i począł się zbliżać, idąc spokojnym, lecz zdecydowanym krokiem. Był to Jezus. Brat Paweł poznał go na pierwszy rzut oka, bowiem rozpoznał charakterystyczny sposób poruszania się Lee. Było czymś naturalnym, że idzie on w jego kierunku; animacja została tak zaplanowana, by brat Paweł znalazł się na jego drodze.

Jezus dostrzegł go i zatrzymał się. Brat Paweł uniósł dłoń w geście powitalnym. Oczywiście, była to tylko scena ze sztuki, a nie autentyczna historia, mimo to odczuł dreszcz oczekiwania. Nawet jeżeli to tylko skecz, możliwość osobistego spotkania z Jezusem Chrystusem...

— Halo! — zawołał brat Paweł do nadchodzącego. Nie znał ojczystego języka Jezusa, którym był aramejski, tak jak i nie znał go Lee. W prawdziwym przeskoku do przeszłości bariera językowa byłaby nie do pokonania.

— Halo — odpowiedział Jezus. Był w wieku Pawła i nosił włosy długie do ramion, w tej chwili oświetlone ostrym lewentyńskim słońcem. Brodę miał krótką i rzadką. W ręku trzymał kij, jak broń gotową do użytku w razie potrzeby.

Sytuacja była dość niezręczna. Brat Paweł nie mógł, ni stąd ni zowąd, spytać Jezusa o jego życie intymne, a z drugiej strony nie chciał, by ów sobie po prostu odszedł.

— Szukam... towarzystwa. Czy mógłbym ci towarzyszyć w twojej wędrówce?

Jezus wyglądał na zaskoczonego.

— Chciałbyś iść razem z pariasem z Nazaretu? Nie wiesz, że jestem Jezus, zwany synem Józefa cieśli?

— A ja jestem... Paweł — powiedział brat Paweł, nie chcąc identyfikować się jako wyznawca religii, która jeszcze nie powstała. — Ja... ja zostałem wychowany przez przybranych rodziców.

Głos Jezusa natychmiast nabrał ciepłych odcieni.

— Przybranych rodziców! Czy to dobrzy ludzie?

— Bardzo dobrzy — potwierdził brat Paweł. — Jednak nie całkiem... — Rozłożył ramiona. — Zawsze jest ten cień, mimo że zupełnie nieuzasadniony.

— Tak! — zgodził się Jezus. — Józef to dobry cieśla i dobry człowiek. Zawsze dla mnie dobry, pomimo... — Przerwał, zaczerpnął głęboko powietrza, wzruszył ramionami i ciągnął dalej: — Tak naprawdę to nie jestem jego dzieckiem. Moja matka była brzemienna nim go poślubiła. Wiedział o tym, a mimo to nie rozwiódł się z nią, ani nie zażądał zwrotu zapłaty za narzeczoną. Zaakceptował mnie, by chronić jej dobre imię i nigdy nie traktował mnie gorzej niż inne dzieci, które z nią miał.

— A jednak nosisz na sobie to piętno — powiedział brat Paweł ze współczuciem.

— Przez całe swoje życie! Kiedy dobrze opiekuję się stadem, wieśniacy nie powiedzą: „Oto doskonały pasterz, który prowadzi swą trzodę na najlepsze pastwiska i tuczy ją...” — Jezus przerwał i potoczył zamyślonym wzrokiem po otaczających ich pastwiskach. — Zamiast tego mówią: „Ten bękart to ma szczęście”. Kiedy celuję w znajomości Pisma, nie chwalam mnie za mą wiedzę, lecz drwią z mojego zarozumiałstwa. Jestem intruzem, choć nigdy nim nie chciałem być. Nie odziedziczę warsztatu Józefa.

— Ludzie ciemni bywają okrutni — powiedział brat Paweł. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy jak delikatny to problem. Bycie bękartem...

— Czasami wpadam w tak wielki gniew... — Jezus uderzył zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń. — Kiedyś jeden z pasterzy kpił sobie ze mnie zupełnie otwarcie, powaliłem go więc na ziemię. — Potrząsnął głową. — Nie powinienem był tego uczynić. Zdarzają mi się jednak momenty wielkiej złości! Napisane jest: „Liczniejsi są od włosów mej głowy nienawidzący mnie bez powodu.” A przecież, kiedy w ten sposób reaguję na szyderstwa, staję się jak oni.

— Tak — zgodził się brat Paweł. — Hm... czy mógłbyś mi podać źródło tego cytatu? Obawiam się, że nie znam Pisma tak dobrze jak ty.

W rzeczywistości znał te fragmenty, chciał jedynie ponownie powiedzieć Jezusowi komplement. Czyżby był hipokrytą, pochlebiającym swojemu rozmówcy, by wydobyć z niego jego tajemnice?

— To psalm 69 — powiedział Jezus. — Mówi on dalej: „Boże, Ty znasz moją głupotę i występki moje nie są zakryte przed Tobą.”

— Bardzo a propos — zauważył brat Paweł.

W głębi duszy był jednak zaniepokojony. Miał tu do czynienia z poważnym, uczciwym, ludzkim człowiekiem — z kimś, kto nie przypominał Syna Bożego. Nie było wokół niego aury boskości czy jakiejś szczególnej atmosfery. Jakże mógł tedy ten poważny wieśniak zostać w przyszłości założycielem jednej z najważniejszych religii wszechczasów?

— Wybieram się do wyjątkowego miejsca — powiedział Jezus nieśmiało. — Do starej świątyni, obawiam się, że pogańskiej, dającej jednak sposobność do medytacji. Jeśli więc zechcesz pójść tam ze mną...

— Chętnie — odrzekł brat Paweł.

Poszli razem do tamtego miejsca. Była to zadziwiająco płaska dolinka na zboczu góry, z brzegami

porośniętymi olbrzymimi cedrami, które wytrzebiono długo przed czasami Pawła. Dolina była dobrze ukryta. Zresztą, ludzi na tym terenie mieszkało niewiele i tylko przez przypadek ktoś mógłby odkryć to miejsce dumania. W rzeczywistości, gdyby nie drzewa, niewarte byłoby odkrycia.

— Zapewne natknąłeś się na to ustronie, pasąc owce — powiedział brat Paweł.

— Pasterz ma dużo czasu na badanie otoczenia — zgodził się Jezus. — I na myślenie.

Brat zauważył wodę na dnie dolinki.

— Czy to źródło? Woda wygląda na zimną.

— Nie, to nie źródło — odparł Jezus. — Zagłębienie wypełnia się podczas deszczu, po czym wysycha. W tej chwili woda jest świeża, wkrótce jednak nie będzie się nadawała nawet do pojenia zwierząt. Gdyby było inaczej, przychodziłyby tu całe stada, tak cenna jest tutaj woda.

— Zaiste, tak musi być — zgodził się brat Paweł. — Mam ochotę popływać.

— Popływać? — Jezus robił wrażenie zdziwionego.

— Tam, skąd pochodzę, ludzie mieszkają w pobliżu zbiorników słodkiej wody — wyjaśniał Paweł. — Pływanie sprawia nam przyjemność. A tobie nie?

Jezus wzruszył ramionami wyraźnie zażenowany.

— Nie umiem pływać.

Człowiek z gór, nienawykły do głębokiej wody. Cóż, połowa ludzi w jego własnych czasach nie potrafi pływać; tutaj te proporcje są prawdopodobnie znacznie gorsze.

— Z przyjemnością pokażę ci, jak to się robi. Jezus rozważał propozycję.

— Jak już wspomniałem, są tutaj ruiny, możliwe, że pogańskiej świątyni. Pokrywa je teraz woda, lecz jeśli twoja wiara zabrania ci zbliżać się...

— Dziękuję za ostrzeżenie — powiedział brat Paweł. — Jest mało prawdopodobne, by moja wiara została skalana pogańskimi ruinami. A może goście o czterech obliczach, których widział Ezechiel, mieli tu swoją bazę? To tylko wzmocniłoby moją wiarę, będąc potwierdzeniem opisów z Pisma.

Jezus roześmiał się.

— Kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony. Nie wiem, zaiste, do której kategorii cię przypisać.

— W pływaniu nie ma nic złego. Jest to bardzo przydatna umiejętność w przypadku rozbicia się statku. Po cóż mamy tonąć, kiedy niewielkie przygotowanie może nas przed tym uchronić.

Oczywiście, prawdziwy Jezus chodził po powierzchni wody — choć mogłoby to być jedynie iluzją. W upalne dni można ujrzeć przypominające wodę miraże w zagłębieniach dróg i odbijające się w tej niby-wodzie pobliskie obiekty. Czy Jezus przechodził właśnie w takim miejscu?

Jezus pokiwał głową.

— Napisane jest: „Zaprawdę, żaden człowiek się nie wykupi i nie da Bogu ceny swego żywota”. Cóż zyska mając cały świat, jeśli utraci życie?

Żadnych wątpliwości: ta rola należała do Jezusa, znanego później jako Chrystus! Gdzież jednak była owa magia, która zmuszała ludzi do porzucania swych spraw i pójścia za nim, do oddawania życia za niego?

— Czy jesteś nauczycielem Pisma? — zapytał brat Paweł ostrożnie. Celowo nie użył słowa „Biblia”, ponieważ tworzenie się Biblii polegało na przyrastaniu tekstów przez wieki i w czasach Jezusa jej wielkość i zawartość nie były jeszcze ustalone. W rzeczywistości Biblia nie była księgą sensu stricto, lecz zbiorem pism kanonicznych, w pewnym sensie, religijną biblioteką.

Jezus uśmiechnął się skromnie.

— Nie mam jeszcze wieku rabiego.

Nie ma więc jeszcze trzydziestu lat, wieku dojrzałości intelektualnej.

— Niewiele ci jednak do niego brakuje. Niewątpliwie sprawdzałeś swoją znajomość Pisma podczas jakichś nieformalnych dyskusji.

Wszystkie te pytania były naprowadzające i sugerujące zarazem odpowiedź, jednak było rzeczą istotną, by się upewnić, w jakim stopniu widzenie Jezusa przez historyków chrześcijańskich miało oparcie w faktach. Czy Jezus rzeczywiście był wielkim nauczycielem, który pojawił się w tej roli dość nagle w wieku lat trzydziestu?

— Och tak, przyjacielu Pawle, wiele razy. Lecz moi krajanie to rolnicy, pasterze i rybacy; niewiele ich obchodzi magia Pisma i uważają mnie za lokalnego dziwaka, recytującego wersety aż do znudzenia.

— Ale testament starożytny nie jest przecież nudny! Jezus rozłożył ręce.

— Nie dla ciebie i nie dla mnie. Ale cóż on znaczy dla rolników, których główną troską jest deszcz, gleba i ziarno? W tym jest cały problem!

— Ziarno... — zadumał się brat Paweł. — Jakie ziarno jest najmniejsze?

— Gorczyca — powiedział Jezus bez namysłu.

— Czy nie mógłbyś przełożyć przesłania Pisma na język codzienny, bardziej zrozumiały dla słuchaczy? Weź takie ziarno gorczyczne, które musi być posiane w żyzną glebę, tak jak dusza ludzka

musi...

— I jak najmniejsze z ziaren wyrasta na wielką roślinę, na drzewo, w którym mogą gnieździć się ptaki — dokończył Jezus. — Tak, to mogliby zrozumieć!

— Taka jest moc przypowieści — zgodził się brat Paweł. — Błaha ludowa historyjka, złożona z elementów bliskich słuchaczom, ilustrowałaby nauki zawarte w Piśmie. I w ten sposób dotarłaby do prostego ludu.

— Muszę to przemyśleć — powiedział Jezus. — Znam przecież i Pismo, i prosty lud. Gdyby te dwie sprawy dało się połączyć, religię i sprawy codzienne...

— Wielu mogłoby tego wysłuchać — dokończył brat Paweł. — I zrozumieć. I skorzystać. Bowiem po raz pierwszy nauczyciel mówiłby ich językiem, a nie wydawał się ukrywać przed nimi słowa Bożego.

— Jednak arcykapłani ze Świątyni nie pozwoliliby...

— Po cóż przesiadywać w świątyniach? W moim kraju tych, którzy nie odnoszą swej wiedzy do spraw tego świata, nazywamy „intelektualistami z wieży kości słoniowej”. Zachowują się bowiem tak, jak gdyby sami zamknęli się w wieżach zbudowanych przez siebie z polerowanych kości, które może i są eleganckimi rezydencjami — i stracili tym samym poczucie rzeczywistości. Twoje zaś przesłanie musi być poniesione i na pola, i do lasu, i nad jeziora — wszędzie tam, gdzie żyje lud.

Jezus skinął głową.

— Ponieść przesłanie ludowi...

Brat Paweł rozebrał się i podszedł do jeziora. Na brzegu zatrzymał się, czekając na Jezusa.

Stali nago i przyglądali się sobie z ciekawością. — Nie jesteś Żydem! — wykrzyknął Jezus.

— A ty... — zaczął brat Paweł, lecz nie mógł mówić dalej. Ujrzał bowiem, że organ rozrodczy Jezusa jest dziwnie okaleczony i zdeformowany. Usiłował pokryć swą reakcję słowami. — Tak, rzeczywiście nie jestem Żydem. Nidy nie byłem obrzezany. Przestrzegam jednak tych samych zasad co ty, uznaję także prawdziwość Pisma.

— Lecz nie wyznajesz wiary!

Brat Paweł uśmiechnął się.

— Czyż człowiek nie może nie wyznawać waszej wiary, wręcz być poganinem, a mimo to być człowiekiem godnym? Czy niektórzy, tak jak Samarytanie, nie zaczynają poszukiwać oświecenia, będąc jeszcze poganami?

Jezus zastanowił się i skinął głową.

— Tak, niewątpliwie tak jest. Zdarzają się bowiem ludzie chodzący w ciemności, którzy nagle dostrzegają wielkie światło. To dobrzy ludzie i brak im jedynie przewodnictwa. Nawet Samarytanom. — Skrzywił się. — Gdyby tylko można było znaleźć odpowiednich przewodników! Uczeni w Piśmie stali się hipokrytami sprzedającymi łaski w świątyni, cytującymi fragmenty Księgi, której ani nie rozumieją, ani nie szanują.

— To smutne — powiedział brat Paweł. Jezus wykazywał doskonale zrozumienie obecnych problemów, lecz najwyraźniej nie zamierzał podejmować w związku z nimi żadnych działań. Gdzież jest ta Boża iskra? — Ktoś powinien do nich pójść i pokazać im, że błędzą.

— Ktoś powinien tam pójść i wyrzucić kupców i złodziei, i poprzewracać stoły lichwiarzy! — odpowiedział Jezus gwałtownie. — Świątynia to miejsce modlitwy, a nie interesów! — Po chwili ochłonął i uspokoił się. — Jeśli o mnie chodzi — urodziłem się w stajni i są tacy, którzy twierdzą, że to ciągle jest widoczne w moim zachowaniu.

— A mnie wykształcono w stodole — wtrącił brat Paweł. Jezus uśmiechnął się i ciągnął dalej:

— Było to w Betlejem, w Judei, dokąd moja rodzina udała się w związku ze spisem ludności. Obawiano się o moje życie, ponieważ złemu Herodowi powiedziano, że narodził się nowy król i ten w przerażeniu, iż może utracić tron, rozkazał pozabijać wszystkie niemowlęta. A były to jedynie plotki rozpowszechnione przez jakichś obcych astrologów, którzy zaobserwowali niezwykłą koniunkcję Jowisza, Saturna i Marsa — coś, czego zwykli ludzie nigdy by nie zauważyli, ale ja jako ten, który wiele nocy poświęcił obserwowaniu gwiazd, zapewniam cię, że ta trójka nie występuje blisko siebie, wobec czego byłby to fakt zadziwiający, gdyby tylko był prawdziwy — i plotki te bez wątpienia wstrząsnęły Herodem! Rzymianie nie przejęli się zupełnie całą sprawą i zabito niewielką liczbę dzieci, lecz moja rodzina była tak przerażona, że natychmiast udała się ze mną do Egiptu. Nie przygotowano właściwie mojego obrzezania, a przecież musiano go dokonać ósmego dnia. Nóż ciął zbyt głęboko, wdała się infekcja, której w czasie podróży nie można było odpowiednio wyleczyć. Tak więc... — Uniósł na moment swój narząd, ukazując wielką bliznę i nieprawidłowo rozwinięte jądra. Nie był kastratem, lecz było prawdopodobne, że jest bezpłodny i prawie pewne, że jest impotentem.

— To okropne — powiedział brat Paweł ze współczuciem. — W moim kraju mamy lekarstwa...

Naturalnie, było już prawie o trzydzieści lat za późno. Jezus doszedł do wieku męskiego z czegoś odarty, czegoś pozbawiony, ofiara niezwykłych okoliczności.

— Dawno już do tego przywykłem — powiedział Jezus. — Przynajmniej nie odczuwam pokusy, by grzeszyć. — Zmarszczył brwi. — Choć kiedy widzę radość jaką inni czerpią z takich pokus, czasami mnie kusi, by samemu zapragnąć podobnej pokusy.

W ten sposób, jednym cięciem (niesterylnego noża) wszystkie domysły Theriona zostały unieważnione. Jezus nigdy nie odczuwał potrzeby ekspresji seksualnej i był niewątpliwie czysty. Ale dlaczego, Boże, musiało do tego dojść taką drogą?

Jezus podszedł do wody i wstąpił do niej. Stopy jego pograżyły się w wodzie i spoczęły na dnie;

żadnych głupstw z chodzeniem po powierzchni jeziora.

Cóż, do rzeczy.

— Pływanie to w głównej mierze sprawa pewności siebie — powiedział brat Paweł. Przykucnął, żeby zanurzyć całe ciało w lodowatej wodzie. — Ciało ludzkie w większości przypadków jest lżejsze od wody i dlatego się na niej unosi. Zaufaj temu, a reszta będzie już prosta.

— Należy mieć wiarę — powiedział Jezus.

— Właśnie o to chodzi! Kiedy wierzymy, wszystko jest możliwe. Pokażę ci teraz coś, co nazywamy „unoszeniem się nieboszczyka”. — Czyżby niechęć zastosował tu grę słów? Bo przecież martwy członek Jezusa nie uniesie się nigdy.

Brat Paweł wyciągnął ramiona, zanurzył głowę i odepchnął się od dna. Posuwał się do przodu, poruszając stopami w górę i w dół. Po chwili uniósł głowę i utrzymywał się na powierzchni, przebierając nogami w miejscu.

— Widzisz, jakie to łatwe? Jeśli nieboszczyk może to zrobić, to cóż dopiero żywy człowiek!

Jezus był ostrożny, ostrożnością typową dla kogoś, kto nigdy nie powierzył swego ciała głębokiej wodzie.

— Obawiam się, że jeśli to zrobię, to rzeczywiście wkrótce zostanę nieboszczykiem! Jakże mam w takiej sytuacji oddychać?

— Cóż, to jest następny krok. Pozwól, że pokażę ci teraz, jak pływać pieskiem.

— Pieskiem? — spytał Jezus, marszcząc brwi.

— Pieskiem.

Brat Paweł zademonstrował mu ten prosty styl.

Jezus przyglądał się pokazowi ze zrozumieniem i z uśmiechem na ustach.

— Tak, widziałem kiedyś psa, który tak pływał. Lecz ja nie jestem psem.

— Zacniemy wobec tego od zupełnie podstawowej techniki przetrwania przeznaczonej dla ludzi — powiedział brat Paweł. — Ktoś, kto ją opanował, nie utonie, niezależnie od tego, jak długo jest zmuszony przebywać w Wodzie. Zaczerpnij powietrza, przytrzymaj je w płucach i unosi się w wodzie tuż pod powierzchnią, całkowicie rozluźniony. Stopy ci opadną, lecz głowa pozostanie blisko powierzchni. Kiedy zechcesz zaczerpnąć powietrza, rękoma wykonasz energiczny ruch w dół, tak że głowa wynurzy się ponad powierzchnię, wyprostujesz całe ciało, zaczerpniesz powietrza — i ponownie opadniesz tuż pod powierzchnię wody. Możesz zmarznąć, ale na pewno się nie zmęczysz.

Wkrótce, zachęcany stale przez brata Pawła, Jezus przećwiczył unoszenie się na wodzie i samo

pływanie. Nie ukrywał swego zadowolenia z rezultatów.

— Bóg mnie podtrzymał! Nabyłem umiejętności, która wydawała się znajdować poza moimi możliwościami!

— Tak — potwierdził brat Paweł. — Pamiętaj wszakże, by zawsze, gdy ćwiczysz, ktoś ci towarzyszył. Woda potrafi być niebezpieczna dla kogoś, kto nie jest z nią zżyty. A teraz wyjdźmy na brzeg, nim przemarzniemy.

Jezus zerknął na niego z zaciekawiony.

— Mnie wcale nie jest zimno.

— Podejrzewam, że spędziłeś wiele chłodnych nocy na otwartym powietrzu podczas wypasania swej trzody. — A gdzie były te owoce teraz? Prawdopodobnie pod opieką młodszego brata, skoro Jezus zbliżał się do wieku pełnoprawnego obywatela. — Ja nie jestem tak zahartowany, jak ty. — Tym razem komplement był całkowicie szczery.

— Wyglądasz krzepko — rzekł Jezus. — Prawdą jest jednak, że opiekun stada musi być przyzwyczajony do upału dnia i chłodu nocy.

Popłynął niezgrabnie do oddalonego o kilkanaście stóp brzegu, a brat Paweł ruszył, by przyłączyć do niego.

Kiedy płynął w kierunku Jezusa, zauważył coś pod powierzchnią wody. Na dnie jeziora spoczywał jakiś metalowy dysk, błyszczący i jasny. Było to dość dziwne; dlaczego nie był pokryty osadem i mułem?

Jezus zauważył jego reakcję.

— Dno tutaj jest jak miedź, zawsze jasne i błyszczące. To teren pogańskiej świątyni; nie pozostało z niej nic z wyjątkiem ołtarza.

Miedziane dno, tutaj, w pierwszym wieku? Pogańską świątynię można zrozumieć, lecz miedź w takiej ilości to coś nieprawdopodobnego! Brat Paweł zapomniał o nieprzyjemnie lodowatej wodzie.

— Muszę się temu przyjrzeć!

— Poczekaj kilka dni — radził Jezus. — Woda opadnie i będziesz mógł obejrzeć to sobie bezpośrednio.

— Obawiam się, że brak mi cierpliwości — odpowiedział brat Paweł.

Zanurkował w kierunku dna. Woda miała jedynie około ośmiu stóp głębokości. Metal wydawał się błyszczeć jeszcze jaśniej, kiedy się zbliżył do niego. Miedź? Wyglądało to raczej na złoto. Wyciągnął dłoń poprzez przezroczystą wodę, by dotknąć tajemniczej powierzchni. Cóż mógł robić tutaj taki anachronizm?

Kontakt! Przez jego ciało przepłynęło coś na kształt wyładowania elektrycznego, tyle że bezbolesnego. Znalazł się w kolumnie bladego światła, sięgającej od dysku ku powierzchni. Światło to jakby podtrzymywało go i podnosiło, choć on sam nie wykonywał w tym czasie żadnych ruchów. Zaczęło brakować mu powietrza. Ruszył w kierunku powierzchni, odchylając się ukośnie od kolumny światła. Wynurzył się i zaczerpnął tchu.

— Jezusie! — zawołał. — Tam coś jest!

— Widzę to, Pawle! Czy zapaliłeś tam lampę?

Brat Paweł parsknął śmiechem w odpowiedzi na ten dowcip.

— Dotknąłem jedynie metalu, a ten zaczął świecić! Zupełnie tego nie rozumiem!

— Pozwól, że ja spojrzę — powiedział Jezus.

Ostrożnie i niezgrabnie popłynął przez jeziorko. Po chwili znalazł się w kręgu światła, które w tym momencie sięgało ponad powierzchnię wody i zniknęło gdzieś wyżej. Nagle, sam Jezus zaczął świecić. Przemieniony, emanował swe własne światło. Nie wykonywał żadnych ruchów, nie pływał i nawet nie oddychał; po czym, powoli, zanurzył się w wodzie.

Brat Paweł rzucił się w jego stronę. Chwycił go tuż pod powierzchnią, objął jego szyję ramieniem i zaczął holować. Jezus był całkowicie bierny, nie stawiał najmniejszego oporu. Wkrótce znaleźli się na płyciźnie przy brzegu.

Brat Paweł stanął na równe nogi, unosząc Jezusa w swoich ramionach. Zataczając się wyszedł z wody. Jezus nie oddychał.

Nie było czasu, by zastanawiać się nad historycznymi czy osobistymi implikacjami sytuacji! Ułożył nieprzytomnego mężczyznę twarzą ku ziemi i zastosował sztuczne oddychanie. Jakimż był głupcem, zachęcając nowicjusza do pływania w głębokiej wodzie! Jednak Jezus wydawał się kontrolować sytuację, dopóty, dopóki to światło...

Poczuł jakiś ruch pod rękami. Jezus zaczął oddychać! Zwolnił tempo i po chwili Jezus odzyskał przytomność.

— Niewiele brakowało, żebyś utonął — powiedział brat Paweł. — Sądzę, że nie powinienes już więcej próbować pływania!

Jezus popatrzył na niego ogromnymi i błyszczącymi oczyma. — Niewiele brakowało, żebym żył — odparł.

Brat Paweł chciał protestować, zrezygnował jednak nim wymówił pierwsze słowo. Nagle bowiem uświadomił sobie coś niebywałego. Jezus posiadał aurę — jak pozaziemska istota zwana Antaresem, lecz o wiele potężniejszą.

A przecież nie miał jej przedtem. Brat Paweł dotykał go, prowadząc jego ramiona podczas nauki

plywania; nie było tam wówczas nic. Teraz zaś — jakakolwiek by nie była aura brata Pawła, Jezusowa była silniejsza.

Jak do tego doszło? Jezus wszedł do jeziora zwykłym człowiekiem. Wpłynął w kolumnę światła; to było jak chrzest światłem...

— Czy to możliwe? — szeptał zdumiony brat Paweł — Antares mówił coś o...

— Widziałem Ojca mego — powiedział Jezus.

Twarcz jego świeciła eterycznym światłem, jak na obrazach w kościołach chrześcijańskich, na których jego głowę otaczała aureola. Boskie światło!

— ...Starożytnych, pozostawiających swe stacje wzdłuż i wszerz galaktyki, zdolnych czynić rzeczy przedziwne — ciągnął brat Paweł. — Związane z aurą. Czy to możliwe, że wyzwoliłem działanie jednej z nich, włączyłem, uaktywniłem taką stację swoją aurą jak kluczem... kolumnę aury... napędzając cię... wzmacniając twoją aurę...

— Muszę zająć się sprawami Ojca mego — rzekł Jezus z cichą determinacją.

Brat Paweł wpatrywał się w niego, a zrozumienie docierało do niego powoli, lecz ze straszliwą siłą. Czy rzeczywiście istniała jakaś różnica pomiędzy aurą Starożytnych a tym, co chrześcijaństwo nazwało Duchem Świętym?

16

Ofiara

(Powieszony)

Pomoc w rozumieniu natury Jezusa Chrystusa może czasami nadejść z zupełnie nieoczekiwanej strony. W Szatanie i jego dziele Dennis Wheatley zauważa, że prawie cała informacja zawarta jest w czterech Ewangeliach, zapisanych po śmierci Jezusa na podstawie przekazów ustnych. Chrystus był niewątpliwie postacią historyczną, natomiast Jego boska natura jest już mniej pewna. Cuda takie jak niepokalane poczęcie dodawano po fakcie do żywotów świętych mężów, by przydać blasku ich postaciom. Jezus różnił się od innych nauczycieli tym, iż utrzymywał, że jest boskiego pochodzenia, choć nie dostarczył na potwierdzenie tego żadnych dowodów i brakło mu mocy, by wstąpić do nieba jedynie siłą swej woli. Możliwe jest, że interpretowano jego słowa niewłaściwie i że czynił on w rzeczywistości aluzje do iskry bożej istniejącej w każdym człowieku, również w nim samym. Duża część jego życia jest nam nie znana i nie wiemy nawet, jakie posiadał wykształcenie i jaką wiedzę. Mógł więc być zwykłym, cierpiącym człowiekiem, który uroił sobie własną boskość.

Brat Paweł wynurzył się z poprzedniej sceny zakłopotany. Therion siedział na ogromnej Biblii ze złośliwym uśmiechem na twarzy. — I co? Uzyskałeś swoją odpowiedź?

— Jakąś odpowiedź uzyskałem — odpowiedział brat Paweł. — Nie jestem jednak pewien, czy ją mogę zaakceptować.

— Byłeś tam osobiście; jeśli nie wierzysz, że to, co się wydarzyło...

— Byłem jedynie w podscenie animacji, nie zaś w rzeczywistym świecie historycznym. Podejrzewam, że sceny animacji są produktem wyobraźni nas Wszystkich, biorących udział w poszukiwaniu. Zjawisko precesji sprowadza zaś nas na manowce.

— Ja tylko obserwowałem. Nigdy przedtem nie słyszałem o miedzianej tablicy, która promieniuje kolumną światła Ducha Świętego. Nie możesz przypisywać mi żadnej winy w związku z tym!

— Och, nie. Był to wytwór mojego umysłu — przyznał brat Paweł. — Spotkałem kiedyś... pewną osobę, która poinformowała mnie o sile tak zwanej Aury Kirliana i o wymarłej cywilizacji, której twórców nazywała Starożytnymi. Sugerowała również, że na planecie Ziemia mogą jeszcze znajdować się potężne stacje lub ich ruiny, pozostawione przez owych Starożytnych. I może dlatego było sprawą naturalną, że w ten właśnie sposób tłumaczyłem sobie moc Jezusa.

Therion skinął głową.

— Napelnięny, umocniony przez maszynę liczącą setki tysięcy lat.

— Miliony lat.

— Miliony! Wspaniale! Dla ludów prymitywnych moc taka wydawałaby się mocą boską. — Therion spojrział na niego z ukosa. — Wspomniałeś coś o gościach Ezechiela, istotach o czterech obliczach. To niezły pomysł. Byli to bez wątpienia ludzie w kombinezonach z własnym napędem...

— Nie sędzę, żeby Starożytni byli humanoidalni — powiedział brat Paweł. — W każdym razie, nie było już ich tutaj, kiedy człowiek uzyskał jakiegokolwiek znaczenie na Ziemi.

— Mogli tu przybyć jacyś inni kosmici w poszukiwaniu tych potężnych stacji, pragnący wykorzystać ich bogactwo technologiczne, zanim uczyni to miejscowa ludność. Być może goście Ezechiela szukali właśnie takiej stacji, na którą natknął się Jezus. Czy... czy ja dobrze to zrozumiałem... że tylko istota z bardzo silną aurą jest w stanie uruchomić taką stację i dlatego nie udało się to tym gościom pozaziemskim? Kiedy dotknąłeś tablicy, włączyłeś urządzenie, a siła głównego uderzenia poszła w Jezusa.

— Tak to wyglądało w animacji. W rzeczywistości nie znajdowaliśmy się na Ziemi, tak że nawet jeśli tam były kiedyś takie stacje, nie mogłem przecież...

— Nie bądź taki pochopny z wyciąganiem wniosków! Taką teorię chrześcijaństwa jestem gotów zaakceptować! Młodzieniec z prowincji zmieniony w supermena przez uśpionego robota... jakichże to wyczynów dokonał przy użyciu uzyskanej mocy! Ale powinien był przebywać w tej kolumnie światła trochę dłużej, aż stałby się niepokonany i całkowicie odporny na ciosy — może z wyjątkiem pięty, choć naprawdę to nie pięta była słabym punktem Achilleusa — i nie mogliby go ukrzyżować.

Brat Paweł pokręcił głową.

— Sam fakt, że jesteś gotów zaakceptować takie rozwiązanie, wymusza na mnie krytyczny do tego stosunek. Jeśli bowiem Duch Święty wynika jedynie z technologii kosmitów, nie ma w Nim miejsca dla Boga.

— Och, drogi boskie bywają kręte! Możliwe, że działa On poprzez Starożytnych i ich stacje!

— Możliwe — zgodził się brat Paweł, ponownie nie dając się złapać na przynętę. — Wolę jednak myśleć o Jezusie jako o człowieku śmiertelnym, ale z nieśmiertelnym przesłaniem.

— Och, daj spokój, bracie! Syn Boga — zwykłym człowiekiem?

— Wzmocniony Duchem Bożym. Bez Ducha Świętego Jezus był zwykłym śmiertelnikiem.

— Aha! Liczy się więc Duch, a nie człowiek.

Brat Paweł nie zamierzał wdawać się w teologiczne dysputy z tym bystrym, pokrętnym i diabolicznym sceptykiem.

— Wobec tego szukałeś nie tam, gdzie należało. Szedłeś śladami Jezusa, a powinieneś iść śladami tej superaury.

Brat Paweł popatrzył na niego zaskoczony.

— Tak! To Duch uczynił Chrystusa i chrześcijaństwo tym, czym było. Czym jest. Jeśli Duch jest fałszywy, jeśli jest jedynie technologią, wówczas chrześcijaństwo jest fałszywe i...

— I musisz szukać Boga Tarota gdzie indziej — dokończył Therion. — Dokładnie to miałem na myśli.

, — Jeśli zjawisko to było jedynie aurą Starożytnych — ciągnął brat Paweł, analizując problem — mogła ona napęlić i wzmocnić zwykłego człowieka na jakiś przeciąg czasu, być może na całe jego życie — nie mogła jednak przetrwać utraty ciała gospodarza. Rozproszyłaby się wraz z jego śmiercią lub powróciła do swej maszyny. A przecież Duch Święty przetrwał śmierć tego człowieka i napęlił jego uczniów, tak jak to było przepowiedziane w proroctwie Joela i opisane w *Dziejach Apostolskich*. „W ostatnich dniach — mówi Bóg — wyleję Ducha mojego na wszelkie ciało, i będą prorokowali synowie wasi i córki wasze, i młodzieńcy wasi widzenia mieć będą, a starcy — sny”. To wydarzyło się naprawdę podczas pierwszego święta zbiorów, Pięćdziesiątnicy, po ukrzyżowaniu Jezusa. Apostołowie poszli nauczać Słowa, leczyć chorych i tworzyć zaczątki chrześcijaństwa...

— Czy jesteś pewien, że tak właśnie było — pytał Therion z ironią w głosie. — A może tylko złożyli wizytę w stacji Starożytnych; wykąpali się w „Świętym Świetle” i uzyskali łaskę od maszyny?

— To niedorzeczne! Nie było żadnej maszyny! To był jedynie produkt mojej wyobraźni...

Therion uśmiechnął się tylko.

— No, dobrze, bądź przeklęty — krzyknął ostro brat Paweł, świadomy ironii zawartej we własnych słowach. Jakże bowiem uczeń Szatana mógł być jeszcze bardziej przeklęty? — Powrócę tam i pójdę śladami aury. Czy to cię zadowoli?

— To ty musisz być usatysfakcjonowany — wytknął mu Therion. — To ty jesteś sędzią w sprawie Boga Tarota.

Ten człowiek miał rację i było to wielce irytujące.

— Pójdę śladami aury, aż do samego końca. Postąpił w kierunku Biblii.

Therion zeskoczył spiesznie, kiedy olbrzymie karty zaczęły się przewracać. Paweł znalazł się nagle w formującej się właśnie scenie... Ukrzyżowania.

— Och, nie — wyszeptał. Naturalnie, musiał w tym uczestniczyć, bo właśnie tutaj aura Jezusa przetrwa... lub się rozproszy.

Tłum ludzi posuwał się drogą prowadzącą na wzgórze. Centralną Postacią w tym tłumie był jakiś człowiek zmagający się z ciężarem ogromnego, drewnianego krzyża. Brat Paweł podszedł bliżej, przygryzając wargi. Choć było to dla niego bolesne, musiał się znaleźć jak najbliżej Jezusa, by zweryfikować istnienie jego aury.

Cóż za ironia, że ten tłum, złożony z około setki osób, to wszystko, na co stać było dwudziestopięciotysięczną Jerozolimę, by wyszydzać lub oplakiwać największego męża tych

czasów! Pozostawało faktem, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludności tego miasta było zbyt zajęte własnymi, codziennymi sprawami, by zwracać uwagę na...

Wpadł na jakiegoś gapia.

— Przepraszam — powiedział. — Chciałem jedynie zobaczyć... — Lecz mężczyzna nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Brat Paweł przesunął się do przodu i mógł teraz zobaczyć twarz niosącego krzyż. Zatrzymał się zdumiony. To nie był Jezus!

Roześmiał się z ulgą, choć wewnętrzna zgryzota i obawa nie ustąpiły. Jezus nie dźwigał swojego krzyża; był na to zbyt słaby po biczowaniu i zmuszono kogoś innego, by niósł krzyż za niego.

Jego śmiech przyciągnął na chwilę uwagę znajdujących się w pobliżu. Ludzie odsunęli się od niego, a rzymski żołnierz skrzywił gniewnie twarz.

Dopiero teraz zauważył Jezusa, idącego kilka kroków z tyłu, w koronie cierniowej, która przebiła mu skórę głowy w kilku miejscach. Szedł bez niczyjej pomocy.

— O, Jezu! — wyszeptał brat Paweł. — Czyż nie było innego sposobu! — Wiedział jednak, że wówczas nie byłoby chrześcijaństwa...

Grupa posuwała się powoli pod górę, ograniczona tempem marszu człowieka zataczającego się pod ciężarem krzyża. Brat Paweł, pełen obaw, by nie zakłócić biegu historii, nawet w animacji, dotrzymywał kroku idącym, starając się jednocześnie znaleźć jak najbliżej Jezusa, by czuć obecność jego aury i zarazem nie przyciągać do siebie zbytnej uwagi. Jednak żołnierz rzymski dostrzegł jego obecność i ponurym spojrzeniem nakazał mu trzymać się z daleka. W tej sytuacji brat Paweł zwolnił kroku i wmieszał się w tłum.

Podeszli do bramy w wielkim murze miejskim. Poza murem znajdowało się straszliwe miejsce zwane Golgotą. Brat Paweł przypomniał sobie znaczenie tego słowa — „Czaszka”.

Tłum kręcił się wokół, podczas gdy żołnierze przygotowywali miejsce ukrzyżowania. Należało wykopać dziurę, w którą wstawi się krzyż i umieścić tam podporę dla niego. Miejsca było niewiele, bowiem przybyło jeszcze dwóch skazanych z własnymi krzyżami; wariat religijny nie zasługiwał na to, by poświęcić mu całą tę ceremonię. Pomimo to Jezus znajdował się w centrum uwagi wszystkich obecnych.

Kobiety podeszły bliżej i żołnierze pozwolili na to naruszenie przepisów, bowiem niewiasty były najwyraźniej zupełnie niegroźne, a poza tym były tylko niewiastami. Brat Paweł usiłował podejść wraz z nimi, lecz ponownie został zauważony i żołnierz rzymski znaczącym gestem kazał mu trzymać się z daleka. Rzymianie zachowywali się poważnie, działali metodycznie i bez najmniejszych oznak emocji; nie podobało im się to zadanie, ale wykonywali podobne już przedtem, a i teraz wypełniali jedynie rozkazy i nie zamierzali pozwolić, by sytuacja wymknęła im się spod kontroli. Brat Paweł wycofał się, (jagle niezdolny do zweryfikowania aury Jezusa za pomocą bezpośredniego kontaktu.

Niewiasty zebrały się w pobliżu Jezusa, oplakując go głośno. W czasach współczesnych bratu Pawłowi termin „zawodzenie” miał konotacje ujemne, tutaj jednak owo zawodzenie było autentyczne: pełne uczucia demonstrowanie ostatecznej straty, które mroziło krew w żyłach i którego szczerłość nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości. Ludzie Zachodu nie byli zdolni do tak otwartego ukazywania swych uczuć i być może sami na tym tracili w jakiś sposób.

Jezus wyprostował się i przemówił po raz pierwszy od czasu, kiedy brat Paweł dołączył do tłumu.

— Córki Jeruzalem, nie płaczcie nade mną. Płaczcie nad sobą i nad dziećmi waszymi.

Zamilkły zdziwione. Jezus mówił do nich dalej, lecz bratu Pawłowi dalsze słuchanie uniemożliwiła ciężka dłoń, która opadła na jego ramię. Odwrócił się zaskoczony. Ujrzał rzymskiego legionistę o imponującym wyglądzie, w zbroi, zdobnym hełmie i z krótkim mieczem u boku.

— Gubernator Piłat życzy sobie rozmawiać z tobą — powiedział szorstko żołnierz.

Och, nie! Byle nie to! Ostatnią rzeczą, o której mógłby marzyć, było wplątanie się w historię. Naturalnie, nie był w stanie wpłynąć na bieg rzeczywistych, historycznych wydarzeń, lecz jeśli jego obecność zniekształci animację, utraci on możliwość w miarę obiektywnej oceny tej prawdy, której tak poszukuje. Czyż autentyczność Ducha Świętego jest z istoty swojej niepoznawalna?

Nie! Lepiej już wierzyć, że ktoś taki jak on sam był obecny przy Ukrzyżowaniu i że rozmawiał z Poncjuszem Piłatem. Brat Paweł okupował jedynie ciało takiego kogoś, gospodarza w procesie transferu, jak wyraziłby się Antares, gość z kosmosu. Powinien pogodzić się z tą sytuacją i postępować w sposób naturalny. Jeśli tylko nie wypadnie z roli, wszystko będzie w porządku.

Piłat wyglądał wspaniale w oficjalnym stroju rzymskim, złożonym z tuniki i haftowanego płaszcza, siedząc na grzbiecie imponującego ogiera. Miał za sobą flagę Rzymu, powiewającą na wietrze tak energicznie, że wyszyty na niej olbrzymi orzeł wydawał się fruwać. Och, przejawy dostojeństwa robiły niewątpliwe wrażenie!

Gubernator patrzył na brata Pawła z wysokości rumaka.

— Wydajesz się niezwykle zainteresowany wydarzeniami, a nie jesteś z Jerozolimy. Czyżbyś był jednym z uczniów tego człowieka? Brat Paweł stał jak skamieniały. Czy miał, jak to uczynił Szymon, zaprzeć się swej wiary? Lecz przecież nie był uczniem w tym sensie, jaki miał na myśli Piłat; nie był jednym z Dwunastu.

— Nie jestem uczniem — odpowiedział ostrożnie. — Wierzę natomiast w boskość Jezusa Chrystusa. — Czy jednak stwierdzenie to nie było samo w sobie kłamstwem? Znalazł się przecież tutaj po to, by zweryfikować aurę Jezusa, upewnić się, czy nie było to coś sztucznego, wywołanego przez maszynę, czy rzeczywiście był to żywy Duch Święty lub Bóg. Jak tedy mógłby twierdzić, że wierzy, podczas gdy obiektywizm wymagał, by powstrzymał się od wydania przedwczesnego osądu. — To znaczy, uważam, że może on być.

— Królem Żydów? — zapytał Piłat.

I w tym momencie brat Paweł go rozpoznał: Therion. Odgrywał on również role żołnierzy rzymskich, ale ta rola była dla niego bardziej odpowiednia.

— Być może — zgodził się brat Paweł z pewną rezerwą. Legionista znajdujący się obok niego przestąpił z nogi na nogę. (Czy jeden człowiek może równocześnie odgrywać dwie role w scenie z animacji? Najwyraźniej tak.)

— Czy potrafisz czytać i pisać? — spytał Piłat.

Skoro mówiono w tej animacji jego własnym językiem, brat Paweł mógł bezpiecznie założyć, że to samo będzie dotyczyło pisma. — Tak.

— Tak panie! — warknął legionista. — Okaż należyty szacunek gubernatorowi!

Brat Paweł przypomniał sobie o potrzebie postępowania zgodnie ze scenariuszem wewnątrz animacji.

— Tak, panie — powtórzył. Piłat skinął dobrotliwie głową.

— Doskonale. Mam dla ciebie zadanie. Nie jestem w zupełności przekonany o winie tego Jezusa; w rzeczywistości mam niewiele podstaw, by go skazać, z wyjątkiem kilku nieostrożnych słów, z których zresztą większość wypowiedzieli jego oskarżyciele. — Spojrzał w bok i uczynił wymowny gest spluwania. — Arcykapłani Świątyni, czujący że ich autorytet jest zagrożony przez kogoś, kto głosi odrobinę przyzwoitości, a także zbawienie, nawet dla biedaków. Faryzeusze! — Tym razem rzeczywiście splunął. — Z tego, co wiem, Jezus wyrzucił ich kiedyś ze Świątyni, przewracając przy tym stoły i rozsypując ich pieniądze. Żadna strata! — Wzrok jego spoczął ponownie na bracie Pawle. — Ale ci Żydzi pragną jego śmierci, a ja nie życzę sobie niepokojów, tym bardziej, że emocje już zostały podgrzane w związku ze świętem Paschy. Ma ono coś wspólnego z Egiptem, choć prawdę mówiąc, wolałbym usłyszeć, co na ten temat mają do powiedzenia sami Egipcjanie! W każdym razie, sytuacja polityczna wymaga mojej zgody na rozwiązanie, którego w rzeczywistości nie aprobuję. I dlatego umygam ręce od odpowiedzialności za tę decyzję. Żeby jednak inni poznali powód ukrzyżowania tego człowieka — słuszny czy niesłuszny — proponuję odpowiedni napis na tablicy, którą umieści się na krzyżu. Czy jesteś skłonny to uczynić?

Brat Paweł nie spodziewał się propozycji tego rodzaju ani od Piłata, ani od Theriona, a jednak zabrzmiała ona zupełnie serio, tym bardziej że stojący obok legionista dźgał go w tej chwili twardym jak żelazo paluchem w bok.

— Ja... ja... jestem skłonny — wyszeptał. Po czym, zauważywszy reakcję legionisty, dodał: — Panie.

Piłat odwrócił głowę, odprawiając tym samym brata Pawła. Ten zaś rozpoczął pracę nad tablicą. Wydawało mu się, że powinna być wykonana z kamienia, a dostarczono mu jedynie nie heblowaną deskę. No cóż, musi się nią zadowolić.

— Co mam napisać? — spytał legionistę.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Robił teraz wrazenie przyjaźnie usposobionego.

— A o co jest oskarżony?

— O to, że jest królem Żydów — odpowiedział brat Paweł na wpół żartobliwie.

— Wobec tego tak napisz. — Sprawa zakończona.

Brat Paweł wziął do ręki kawałek kredy i wypisał drukowanymi literami cztery słowa, tak wyraźnie, jak tylko potrafił: TO JEST KRÓL ŻYDÓW.

Jeden z kapłanów Świątyni podszedł, kiedy już kończył napis.

— To jest niezgodne z prawdą! — zaprotestował. — On nie jest królem Żydów. Powinieneś napisać, że on twierdzi jakoby nim był...

— Idź i wylej sobie wiadro wody na głowę — mruknął brat Paweł. Wściekły kapłan odszedł, by poskarżyć się gubernatorowi. Po chwili, ponad ogólnym hałasem dał się słyszeć ironiczny głos rzymskiego dostojnika:

— Co napisałem, pozostanie napisanym.

Brat Paweł uśmiechnął się do siebie. Biorąc na siebie autorstwo napisu, Poncjusz Piłat zdusił w zarodku dalsze ewentualne skargi. Legionista również się uśmiechnął.

— Dobrze tak tym obłudnikom — powiedział, patrząc na niezadowolonego kapłana. — Chciałbym ich wszystkich ujrzeć na krzyżach. — Przyjrzał się tablicy. — Czy tu rzeczywiście jest napisane...?

Naturalnie, był analfabetą. Dlatego właśnie Piłatowi potrzebny był Ochotnik potrafiący czytać i pisać. W przeciwnym razie musiałyby wypisać te słowa osobiście, a na to był zbyt wielki i w pewnym stopniu wplątałoby go to w sprawy, od których umywał ręce.

— Tak; tak jest napisane — zapewnił go brat Paweł.

— Powinien to zobaczyć król Herod — zauważył legionista złośliwie. Najwyraźniej pogardzał tym całym plemieniem żydowskim i obrzucanie jego członków obelgami sprawiało mu przyjemność. — Zanieś to teraz do krzyża. Pospiesz się, zanim go postawią.

Nagle pojawił się legalny pretekst, by znaleźć się całkiem blisko Jezusa. Teraz, gdy już miał tę możliwość, poczuł, że sam się ociąga. Jak może w tak bezpośredni sposób uczestniczyć w tej potworności?

— Ruszaj! — rzucił ostro legionista, macając rękoma w okolicy miecza. — Za chwilę go podniosą.

Brat Paweł podszedł z tablicą do leżącego na ziemi krzyża.

— Gubernator każe to przymocować...

— Taa? — odezwał się któryś z żołnierzy. — A może sobie wsadzisz...?

— Wszystko w porządku — powiedział legionista, stojący za bratem Pawłem. — Gubernator Piłat rzeczywiście wydał taki rozkaz.

Żołnierz wzruszył ramionami.

— Skoro tak twierdzisz, Longinusie. Weź tę włócznię. Muszę mieć wolne ręce.

Longinus wziął od niego włócznię.

— Przybij nad jego głową — powiedział do brata Pawła. — Właśnie go kładą.

I podczas kiedy brat Paweł stał, trzymając tablicę w rękach, oprawcy ułożyli Jezusa na krzyżu, opierając jego stopy na małej podpórce u podstawy drzewa i kładąc jego ramiona na belce poprzecznej. Jezus był prawie całkowicie nagi; ściągnięto z niego wszystkie szaty, z wyjątkiem przepaski na biodra; chodziło o dodatkowe upokorzenie związane z tą formą egzekucji. Nie wystarczyło pozbawić człowieka życia; należało pozbawić go również godności. Serce brata Pawła zamarło na chwilę, kiedy przyglądał się tej scenie. Czyż nie było sposobu, by uniknąć tej potworności? Logika i wiedza podpowiadały mu, że nie.

Któryś z żołnierzy podał mu ciężki, prymitywny młotek — faktycznie drewniany pobijak — i wielki żelazny gwóźdź.

— Tuż nad głową — powiedział.

Brat Paweł położył tablicę, przyłożył gwóźdź i uderzył. Praca nie była lekka, bo gwóźdź był ręcznej roboty, a na dodatek trochę skrzywiony, ale jakoś uporał się z tym zadaniem.

— W porządku — powiedział legionista z aprobatą. — A teraz rękę.

Brat Paweł wpatrywał się w Rzymianina głęboko wstrząśnięty.

— Nie mógłbym przecież...

Legionista zamrugał. Miał najwyraźniej jakieś kłopoty z oczami. Był to odruch, zupełnie nie związany z ukrzyżowaniem; jakaś infekcja zacerwieniła mu gałki oczne i spowodowała ból. Brat Paweł był pewien, że ta przypadłość nie wpływała dobrze na jego nastrój.

— Ruszaj się, ruszaj się, marnujemy tylko czas. Masz już młotek, tutaj jest gwóźdź — wbij go w przegub dłoni, dokładnie pośrodku, żeby dobrze trzymał. Gubernator życzy sobie szybkiego zakończenia tej roboty.

Brat Paweł spojrział na Poncjusza Piłata, który z grzbietu swojego konia obserwował to, co się dzieje. Wiatr wzmógł się i zaczęły się zbierać chmury. Mogła przyjść burza. Naturalnie, gubernator

chciał zakończyć całą sprawę i wrócić do pałacu! Ale żeby brat Paweł robił coś takiego osobiście...

Jeśli się teraz uchyli, może tym samym spowodować zmiany w biegu historii i stracić kontakt z aurą. W poprzednich animacjach usiłował siłą swej woli wpływać na przebieg wydarzeń i wpadał w potworną precesję; nie mógł sobie teraz na to pozwolić. Ta wizja musi rozwijać się zgodnie ze scenariuszem, skoro już się w niej znalazł.

Wybacz mi — wyszeptał załamującym się głosem.

Po czym wziął świeży gwóźdź, przyłożył go do bladego nadgarstka, siłą woli starając się utrzymać go w pionie i kontrolować drzenie własnej dłoni — i poczuł aurę. Tę samą, z którą miał do czynienia w scenie poprzedniej; niewiarygodnie silną, silniejszą od jego własnej, elektryzującą, wszechogarniającą i cudowną. Poczł Ducha Świętego.

Jezus zareagował na kontakt. Jego rozwarłe szeroko oczy patrzyły wprost w kłębiące się chmury, ciało zaś było nieruchome, ale on sam najwyraźniej był świadom obecności aury brata Pawła.

— Pawle — wyszeptał. — Jeziorko górskie...

Brat Paweł opuścił bezwładnie rękę z młotkiem.

— Nie mogę tego zrobić! Jezus nie spojrzał na niego.

— Uczyń to, bracie — powiedział. — Moje ciało nie odczuje cierpienia, kiedy dłoń przyjaciela będzie dzierżyła młotek. Nie pozwól, by szydery przybijali mnie do krzyża.

I brat Paweł, niezdolny odmówić tej prośbie, uniósł młot do góry i uderzył w gwóźdź. Ciało nie stawiało większego oporu niż deska tablicy.

Dokonawszy tego łamiącego serce dzieła odwrócił głowę i zwymiotował.

Szorstkie dłonie odepchnęły go od krzyża. Kiedy odzyskał równowagę, żołnierze skończyli przybijanie Jezusa do krzyża, a sam krzyż ustawili pionowo. Ubijali teraz stopami ziemię u jego podstawy, by mocniej trzymał się w ziemi.

Jezus wisiał całym ciężarem na okrutnych gwoździach, z upokarzającą tablicą nad głową. Został ukrzyżowany.

— Ojcze, wybacz im — powiedział z grymasem bólu na twarzy — bo nie wiedzą, co czynią.

Nagle rozpętała się burza. Południowe słońce, zakryte częściowo zadziwiająco gęstymi chmurami, zniknęło teraz całkowicie i nastąpiła ciemność. Ziemia zadrżała. Wiatr uderzał we wzgórze z taką gwałtownością, iż wydawało się, że zmiecie stojące tam krzyże.

— Tornado — wyszeptał brat Paweł. Ale to nie było tornado; brak było trąby powietrznej. — Trzęsienie ziemi. — Lecz choć ziemia zadrżała, nie tłumaczyło to nagłych ciemności. A przecież nie była to zwykła burza. W powietrzu unosił się dziwny swąd, jakby samo Piekło rozciągnęło swe

terytorium aż tutaj.

— — Wybuch wulkanu — krzyknął, rozpoznając w końcu wszystkie symptomy. Jakiś upust powstałych gdzieś głęboko ciśnięć, wyrzucający olbrzymie ilości popiołu zakrywającego słońce. Wybuch taki na wyspie Thera w roku 1400 p.n.e., w tym samym regionie globu, wywierający swój ‘Wpływ na cały basen morza Śródziemnego, a teraz podobny, zbiegający się przypadkowo w czasie z egzekucją Jezusa...

Przypadkowo?

Brat Paweł patrzył na Jezusa wiszącego na drzewie męki. Jak mogły być przypadkowe zaćmienie słońca i jęki ziemi? Jeśli oznaczały one protest Boga wobec poświęcenia i ofiary Jego Syna, dlaczego im nie zapobiegł? Teraz jeszcze mógł, w sposób dramatyczny i spektakularny, zniszczyć krzyż i uwolnić ofiarę. Zjawiska dramatyczne, których pochodzenia i celu widzowie nie rozumieją, to zmarnowany wysiłek. Większość mieszkańców Jerozolimy nigdy nie skojarzy ich sobie z ukrzyżowaniem.

Znał odpowiedź: ofiara ta była niezbędna dla Jego celów. Jezus Chrystus musiał umrzeć w taki właśnie spektakularny i ostateczny sposób po to, by Zmartwychwstanie miało swoje znaczenie. Bóg nie żądał od nikogo więcej niż zażądał od swego własnego Syna — a tu był tego dowód, w formie potwornej, upokarzającej, pozornie bezsensownej śmierci, najgorszej z tych, jakie to społeczeństwo potrafiło zadać. Tutaj był dowód na to, że każdy, niezależnie od tego, za jak małuczkiego się uważa, jest w stanie osiągnąć zbawienie. Pod warunkiem, że pójdzie za Jezusem i uwierzy.

Jednak brat Paweł ośmielił się nie wierzyć — był przecież tutaj po to, by w sposób obiektywny sprawdzić obecność lub nieobecność Ducha Świętego. Bez tego Ducha niemożliwe byłoby przetrwanie świadomości po śmierci ciała. Nie byłoby życia po śmierci — ani dla Jezusa, ani dla nikogo innego. Zmartwychwstanie Jezusa wydawałoby się oszustwem i nie miałoby sensu, gdyby jego śmierć nie była aż tak dramatyczna — zaś jego śmierć nie miałaby sensu bez Zmartwychwstania. Nie był to więc koniec historii; był to jej węzeł centralny, jej punkt zwrotny, kluczowe wydarzenie dla powstania nowej religii.

A jeśli aura uległa rozproszeniu wraz ze śmiercią Jezusa? Jeśli nie było Zmartwychwstania, jeśli nie było Ducha Świętego? Co wówczas z jego wiarą?

Brat Paweł stanął na trzęsących się nogach i podszedł do krzyża. Nikt mu nie przeszkadzał; ciemność i gwałtowna burza rozproszyły tłum. Gubernator Piłat odjechał pośpiesznie, pozostawiając jedynie kilku żołnierzy. Doszli już do siebie po początkowym zaskoczeniu i oddawali się teraz swemu normalnemu zajęciu w czasie wolnym: rzucaniu kości. Stawką było ubranie Jezusa, szczególnie zaś jego szata z jednego kawałka materiału, która miała być główną zdobyczą.

Aura objawiła się, kiedy brat Paweł zbliżał się do krzyża. Czuł ją już na odległość. Czym był bliżej, tym stawała się intensywniejszą. Stanął pod samym krzyżem.

Powieszony, karta z Tarota, jedna z Arkanów Wielkich. Domyślał się teraz, kogo w sposób ostateczny reprezentuje ta ilustracja. Jezusa ukrzyżowanego. Na karcie do góry nogami, ponieważ ta

cała sytuacja uległa odwróceniu: niewinny, cierpiący zamiast winnych — i to z własnej woli. Ofiara.

Jezus otworzył oczy, czując zbliżanie się brata Pawła.

— Gdzie żeś przebywał, mój nieżydowski przyjacielu? — zapytał. — Cztery lata cię szukałem, od czasu, kiedy uratowałeś mi życie i zniknąłeś. Próbowałem udoskonalić to, co sugerowałeś...

— Nie! — sprzeciwił się pośpiesznie brat Paweł. — Nie ponoszę żadnej odpowiedzialności!

— Dzięki tobie nauczyłem się wykorzystywać siłę przypowieści — nalegał Jezus. — Stała się ona moim najskuteczniejszym narzędziem nauczania. Dzięki tobie kierowałem moje nauki do Żydów i nie-Żydów. Ciągle szukałem twej aury...

— Nie, nie! — protestował słabo brat Paweł. — Uczyniłeś to wszystko sam. Ja byłem jedynie przechodniem...

— Z wyjątkiem momentów, kiedy wpadałem w złość. Kiedyś przekląłem drzewo figowe, bo nie miało dla mnie owoców, a drzewo to uschło i umarło. Nie był to dobry uczynek.

— Siddattha nie przekląłby drzewa figowego — zgodził się brat Paweł. — Takie właśnie drzewo było świadkiem jego Przebudzenia.

— Kto...?

— Był także wielkim nauczycielem, zwanym Buddą. Każdy jednak musi poszukiwać własnego oświecenia. Uczyniłeś, co ci było przeznaczone. Nie miałem udziału...

Błyszczące oczy skupiły się na jego twarzy.

— Czy zapierasz się mojej przyjaźni, Pawle, teraz kiedy nadchodzi koniec? Wstrząśnięty brat Paweł wyciągnął dłoń, by dotknąć kolana Jezusa.

— Nie, przenigdy! Chciałem jedynie powiedzieć, że w twoich osiągnięciach nie ma żadnej mojej zasługi. Ty jesteś Synem Bożym, Zbawicielem, a ja tylko...

— Przyjacielem — dokończył za niego Jezus. — Czyż można wyrazić komuś większe uznanie?

Jeden z żołnierzy oderwał na moment swoją uwagę od gry w kości.

— Odejdź od tego krzyża — on jeszcze żyje! — warknął na brata Pawła. Lecz Longinus, wsparty na włóczni, mruknął coś do niego i żołnierz uspokoił się.

— Żegnaj — powiedział brat Paweł z załzawionymi oczyma. Przerwał kontakt i cofnął się — i coś spadło na wierzch jego dłoni. Była to kropla krwi Jezusa, z ręki, którą on sam przybił do krzyża.

— Takie było moje przeznaczenie — powiedział Jezus.

— Jeśli mógłbym coś zrobić — powiedział brat Paweł, patrząc na krew. Ale cóż on mógł zrobić?

Odszedł odrętwiały i usiadł na ziemi, czekając na nieuniknione. Czas mijał powoli. Przejaśniło się i wyszło popołudniowe słońce. Od czasu do czasu ktoś podchodził do krzyża, by porozmawiać z Jezusem, czasami Jezus krzyczał z bólu i rozpacz, kiedy własny ciężar rozdzierał mu ciało na gwoździach, lecz nie szarpał się i nie walczył. Brat Paweł starał się nie słyszeć całej tej potworności i czuł się w związku z tym winny.

— Chrystus równa się Wina — wyszeptał. — Jeśli on cierpi, ja muszę przynajmniej być świadom tego cierpienia.

W pewnej chwili Jezus odezwał się wyraźnym głosem:

— Pragnę.

Żołnierz zmoczył gąbkę w occie, wbił ją na włócznię i zbliżył do ust Jezusa. Jezus dotknął jej wargami. Najwyraźniej nie była to dodatkowa tortura, lecz jedynie sposób na zwilżenie wyschniętych warg. Ostrość kwasu octowego mogła w jakimś stopniu odwrócić uwagę umierającego od jego sytuacji, choć tylko na krótki moment.

— Dokonało się — powiedział Jezus.

Ciało na krzyżu zwisło, a brat Paweł poczuł swędzenie na wierzchu dłoni. Podświadomie potarł to miejsce — i poczuł na palcach lepka krew. Krew Jezusa. Wpatrywał się w nią z uczuciem, jak gdyby to jego własne ciało zostało przebite w tym punkcie gwoździem. Cała dłoń była jak w ogniu. Wrażenie objęło również rękę i ramię; nie było nieprzyjemne, wręcz dziwnie radosne. Jak odwrotność rozdzierającego bólu serca.

Brat Paweł poczuł nagle obecność drugiej aury we własnym ciele.

— Witaj, przyjacielu — usłyszał głos Jezusa wewnątrz siebie.

— To... to przecież jest transfer! — wykrzyknął zdumiony brat Paweł.

— Są jeszcze pewne rzeczy, które muszę zrobić na tym świecie — powiedział Jezus — nim wrócę do Ojca mego.

— Ależ to nie jest... przecież ja nie mogę... — Brat Paweł miał kłopot z wyartykułowaniem protestu. — Historycznie rzecz biorąc, mnie nie...

— Sądziłem, że wyrażasz chęć pomocy — odpowiedział Jezus z delikatnym wyrzutem.

— Ja... miałem nadzieję, że uda mi się sprawdzić... widzisz, ja nie należę do twojej rzeczywistości — usiłował wyjaśnić sytuację brat Paweł.

— Rozumiem to... teraz — powiedział Jezus. — Postrzegam twe myśli, bo dzielę z tobą ciało. Bez ciebie, być może, nie wypełniłbym swej misji na Ziemi. Nie będę ci długo przeszkadzał; czy

zechcesz znieść moją obecność, dopóki nie dokończymy dzieła mojego Ojca i twojego własnego dzieła?

Brat Paweł nie mógł odmówić tej prośbie, niezależnie od tego jak bardzo komplikowałyaby ona jego badania.

— Pomogę ci.

Żołnierze łamali kości nóg dwom przestępcom wiszącym po obydwu stronach Jezusa, po to, by umarli wcześniej i by tortura nie przeciągnęła się do dnia następnego, do Sabatu. Ciało Jezusa oszczędzono, bo było już martwe; zjawisko to zdziwiło widzów.

Legionista Longinus, u którego taka nagła śmierć wzbudziła podejrzenia, wziął włócznię i wbił ją w bok ciała Jezusa. Krew wypłynęła z rany i płynęła po drzewcu włóczni. Longinus odskoczył przy wtórze śmiechu pozostałych żołnierzy, lecz krew i tak obryzgała mu twarz.

— Hańba! Hańba! — krzyczał jakiś Żyd, podbiegając z kielichem, by zebrać do niego krew. — Nie wolno dopuścić, by święta krew rozlała się na ziemi!

— A kim ty, do diabła, jesteś? — spytał ostro Longinus, wycierając twarz i mrugając oczyma.

— Jestem Józef, osoba zainteresowana. Mam... mam grób w grocie nie opodal, i... jeśli pozwolicie mi pochować tam ciało...

Longinus rozważył jego słowa.

— No dobrze. Pomogę ci go zdjąć. — Zamrugał ponownie. — Ależ się jasno! Nigdy przedtem nie widziałem tak wyraźnie.

— Opuśćmy to straszne miejsce — odezwał się Jezus.

Brat Paweł chętnie przystał na tę propozycję. Prowadzony przez Jezusa, ę do domu, w którym zatrzymała się Maria Magdalena.

— Jestem przyjacielem Jezusa — powiedział do bolejącej niewiasty. — Przybyłem późno i nie mam gdzie zamieszkać.

Wahała się, przyglądając mu się badawczo. Była obecna przy Ukrzyżowaniu; teraz ją rozpoznał. Lecz ona go tam nie widziała; cały czas patrzyła na Jezusa. Po chwili, bez jednego słowa, gestem wskazała mu wejście do pokoju pełnego ludzi. Była tam jej przyjaciółka, również o imieniu Maria, byli tam uczniowie, lecz Jezus się nie ujawnił.

— Cierpię ich cierpieniem, lecz czas jeszcze nie nadszedł — wyjaśnił Bratu Pawłowi.

Odpoczywali całą sobotę, Sabat, zgodnie z religią żydowską.

— Czy wiesz — powiedział brat Paweł do Jezusa — że w moich czasach odpoczywamy w

niedzielę, w pierwszy dzień tygodnia. Przypuszczam, że zwyczaj ten jest rezultatem jakichś zmian w kalendarzu, gdzieś po drodze.

— Nieważne, jak nazywamy ten dzień — odpowiedział mu Jezus. — Istotne jest, by jeden z siedmiu był przeznaczony na oddawanie czci memu Ojcu.

Później zasnęli, po bardzo męczącym dniu. Brat Paweł miał sny pełne koszmarów upokorzenia i agonii, a obudziwszy się stwierdził, że ich źródłem był umysł Jezusa, a nie jego własny. Dziwne, lecz najgorsze było pragnienie, nie zaś gwoździe i szyderstwa.

Kiedy nadszedł wieczór, Jezus obudził brata Pawła.

— Chodź, musimy pójść do grobu.

Opuścili pokój, potem miasto i udali się na Wzgórze Czaszki, gdzie ciało Jezusa zostało złożone w grobie. Nadchodziła noc; strażnicy przy bramie miejskiej patrzyli z zainteresowaniem na brata Pawła, bowiem niewielu było chętnych do opuszczania murów miejskich w porze nocnej.

Nagle grunt zadrżał pod jego stopami. Jeszcze jedno trzęsienie ziemi! Padł zaniepokojony na ziemię, lecz wstrząsy minęły dość szybko. Był jedynie trochę poobijany i brudny. Podjęli przerwany marsz.

Trzęsienie spowodowało jeszcze jedną szkodę. Głaz zamykający wejście grobu odtoczył się na bok.

— Dzięki, Ojcze — powiedział Jezus. Po czym zwrócił się do brata Pawła: — Musimy zabrać stąd ciało i pochować je gdzieś, gdzie nigdy nie zostanie odnalezione.

Brat Paweł nie odezwał się. Gdyby zaczął teraz zadawać pytania, nie byłoby im końca. Weszli do grobowca.

Ciało leżało krzywo, poruszone wstrząsem. Nie był to piękny widok. Brat Paweł zebrał się w sobie, dotknął je, ściągnął materię, w którą było owinięte, i wyciągnął je na zewnątrz. Starał się nie czuć tego zapachu, który zdawał się unosić w powietrzu. Wciągnął ciało w listowie ogrodu, znalazł kawałek płaskiego kamienia i wygrzebał nim grób, tak głęboki, jak było to tylko możliwe. Praca w ciemności była bardzo męcząca i za każdym razem, kiedy słyszał jakiś hałas, przerywał kopanie, wstrzymywał oddech, w obawie przed powrotem strażników. Najwidoczniej przerażili się wstrząsów, lecz wiadomo było, że kiedyś wrócą.

Wreszcie skończył kopanie. Ułożył ciało w dole, zasypał ziemią i ubił tę ziemię nogami. Świeży grób byłby łatwy do zauważenia przy świetle dziennym. Aby go ukryć, wyrwał pobliski krzew wraz z korzeniami, posadził go bezpośrednio nad grobem i rozsypał nadmiar ziemi, który pozostał po kopaniu, żeby nie było widać zdradzieckiego kopca. Jeśli ktoś zacznie kopać w miejscu, gdzie przedtem był krzew, to naturalnie nic nie znajdzie. Czy taki podstęp wystarczy, by ukryć ciało? Czas pokaże!

Ponownie usłyszał jakieś odgłosy. Tym razem ktoś rzeczywiście nadchodził! Było tuż przed

świtem; na wschodzie pojawił się słaby blask. Brat Paweł opuścił grób i pośpieszył w kierunku grobowca. Stał obok niego i nerwowo strzepywał resztki ziemi z dłoni.

Ktoś podszedł do grobowca — i zobaczył, że jest otwarty. Rozległ się cichy okrzyk zdumienia.

— To Maria Magdalena! — rzekł Jezus do brata Pawła. — Ją bym poślubił, gdyby...

Brat Paweł oczyma wyobraźni ujrzał skalpel chirurga, którego ostrze przekreśliło szansę normalnego życia dla Jezusa, na długo przedtem nim w ogóle mógł być tego świadom.

Kiedy wzeszło słońce, Maria przyprowadziła dwóch uczniów. Mężczyźni podbiegli z okrzykiem do grobowca. Znaleźli tam szaty Jezusa, pozostawione przez brata Pawła, i w wielkim podnieceniu pośpieszyli z powrotem do miasta. Maria pozostała. Stała przed grobowcem pełna smutku, z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Do diabła z historią! — powiedział brat Paweł. — Należy ją pocieszyć. — Podszedł do kobiety. — Niewiasto, czemu płaczesz? — zapytał.

Spojrzała na niego zaskoczona. Była młoda i ładna, i brat Paweł zorientował się natychmiast, kto gra tę rolę. Sam nie został rozpoznany, jako że był brudny, zakurzony i miał szaty w nieładzie. Pomimo że spędził w jej domu cały dzień, był teraz kimś obcym, lecz jej rozpacz nie dopuszczała strachu. Dzień wcześniej, dwa dni wcześniej, była jak odrętwiała pod wpływem bezpośredniości zdarzeń, teraz starała się pogodzić z rzeczywistością. — Panie, jeśli ty Go przeniosłeś, powiedz mi, gdzie Go położyłeś, a ja go wezmę.

Jezus przemówił do niej ustami brata Pawła:

— Mario!

Oczy Marii rozwarły się szeroko.

— Mój Nauczyciel! — zawołała, robiąc krok w jego kierunku.

— Nie zbliżaj się do mnie — powiedział Jezus, cofając się. — Bowiem nie wstąpiłem jeszcze do Ojca. Natomiast udaj się do moich braci i powiedz im, że wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego oraz do Boga mego i Boga waszego.

Skinęła bez słowa głową, a oczy jej lśniły miłością i nadzieją. Po czym odwróciła się i pośpieszyła do miasta.

— Czy to wydarzenie miało, historycznie rzecz biorąc, miejsce? — napytał brat Paweł, kiedy pozostali sami.

— Miej wiarę — odpowiedział Jezus. — Jak ziarno gorczyczne.

W następnych dniach Jezus ukazał się pewnej liczbie ludzi, głosząc wieści o Zmartwychwstaniu w taki sposób, jaki uważał za właściwy i brat Paweł zmuszony był mu zaufać w tym względzie. Potem

przenieśli się do rodzinnych stron Jezusa, do Galilei, gdzie Jezus ukazał się kilkakrotnie różnym osobom. W końcu Jezus powrócił do Jerozolimy.

— Tutaj musimy się rozstać — powiedział do brata Pawła. — Nadszedł czas, bym przekazał mego ducha uczniom, by mogli dalej prowadzić moje dzieło na Ziemi.

Lecz kiedy to się stało w Dniu Zesłania Ducha Świętego, Jezus stwierdził, że pewna, niewielka część Świętej Aury pozostała. — Nie rozumiem tego — powiedział. — Sądziłem, że wreszcie będę wolny.

Nagle brata Pawła olśniło:

— Święty Paweł!

— Zostaniesz świętym, przyjacielu?

— Nie ja! Paweł z Tarsu, faryzeusz. Możliwe, że znasz go pod imieniem Szawel.

— Nie znam żadnego Szawła z Tarsu, a poza tym nie sędzę, bym mógł przekazać pozostałą część mojego Ducha jakiemuś faryzeuszowi.

— Zaufaj mi — rzekł brat Paweł. — Musimy udać się do Damaszku.

— Przyjacielu, obawiam się o stan twojego umysłu — odpowiedział Jezus. — Jednocześnie jednak czytam z niego, że należy tak uczynić. Spotkam się tedy z tym faryzeuszem z Tarsu.

Zmiana (Śmierć)

Człowiek rodzi się, by umrzeć. Prawdopodobnie jako jedyny spośród stworzeń ziemskich jest świadom swej nieuniknionej śmierci. Można to traktować jako przekleństwo owocu z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego. Już w momencie, kiedy jego intelekt podniósł go ponad poziom żyjącego w niewiedzy i samozadowoleniu zwierzęcia po to, by mógł polepszyć swój żywot poprzez przewidywanie i planowanie, był w stanie postrzec los, jaki przygotowała mu Natura.

Psychologowie twierdzą, że osoba, która ma do czynienia z problemem własnej, przedwczesnej śmierci, zazwyczaj przechodzi przez pięć kolejnych etapów. Pierwszy, to ODRZUCENIE: nie wierzy ona po prostu, że ta okropność może być prawdą. Drugi, to GNIEW: dlaczego miałyby ją spotkać coś, co oszczędzone jest innym? To po prostu niesprawiedliwe i ta niesprawiedliwość wywołuje wściekłość. Trzeci, to TARGOWANIE SIĘ Z BOGIEM: modli się ona do Boga o zmianę wyroku i przyrzeka poprawę, jeśli tylko uzyska jego odroczenie. Czasami wykonanie wyroku ulega zawieszeniu i czasami dana osoba honoruje zawartą umowę. Jeśli jednak prośby zawiodą, następuje etap czwarty. DEPRESJA. Jakiż ma sens trwanie, skoro wyrok jest nieodwołalny i nie ma od niego żadnej ucieczki? W końcu przychodzi etap piąty: AKCEPTACJA. Pogodzony z sytuacją człowiek likwiduje swe ziemskie sprawy i oczekuje końca.

Wydaje się rozsądne założenie, że cały ludzki żywot rządzony jest podobnymi stanami świadomości, nawet jeżeli w grę nie wchodzi problem przedwczesnej śmierci. Jako dziecko, człowiek odrzuca śmierć, przekracza ona bowiem jego możliwości pojmowania. Kiedy jednak dojrzewa, śmierć krewnych, przyjaciół i nieznanomych narzuca mu siłą świadomość jej występowania i wówczas reaguje gniewnie, rzucając śmierci wyzwanie, prowokując ją, „udowadniając”, że jest na nią odporny. Kiedy zaś jest starszy, postępuje bardziej subtelnie; staje się religijny, akceptuje tezę, że śmierć fizyczna to jeszcze nie koniec, to jedynie zmiana sytuacji, przejście do „życia po życiu”. Możliwe, że wszelka religia wywodzi się z tego impulsu negowania śmierci; nie możemy targować się z Bogiem, jeśli Bóg nie istnieje. Jednak religia nie likwiduje w całości strachu przed śmiercią; nabożeństwa mogą być z czasem postrzegane jako rytuał bez treści i pewność istniejąca na początku może zaniknąć. Nieubłagane nadejście śmierci, zapowiadane zaawansowanym wiekiem, prowadzi do depresji; człowiek chciałby być znów młody. W końcu jednak godzi się z sytuacją, sporządza testament, wydaje dyspozycje dotyczące jego doczesnych szczątków i odchodzi z pewnym, niewątpliwym wdziękiem. Zaakceptował bowiem to, co jest nieuniknione.

Stali na drodze do Damaszku, patrząc w kierunku, w którym odszedł Paweł z Tarsu. Wcześniej już chromy i osłabiony chorobą, stracił teraz wzrok w wyniku tego spotkania. Brat Paweł wiedział, że dojdzie on wkrótce do siebie. Nim samym wstrząsnął kontakt z tym człowiekiem, człowiekiem, którego imię i zasady przyjął za swoje. Imię pozostało — lecz jeśli idzie o zasady, nie uważał ich dłużej za własne.

— Ciągłe jestem z tobą — zauważył Jezus. — Dlaczego nie uległem rozproszeniu? Marzę o tym, by połączyć się z mym Ojcem w Niebie.

— Nie wiem — przyznał się brat Paweł. — Nie wiem dlaczego sam nie wróciłem do własnej rzeczywistości. Te animacje trwają, mimo że ich cel został już osiągnięty. Ich cel bezpośredni. Sądziłem, że powrót nastąpi automatycznie, skoro tylko ty... skończysz.

— Ale ja jeszcze nie skończyłem — odpowiedział mu Jezus. — Moje życie i śmierć to zaledwie początek, wskazywanie drogi. Tą drogą musi teraz iść reszta świata, by zyskać Zbawienie.

— Wątpię... wątpię, by stało się to szybko.

— Przecież Pismo powiada...

— Czasami sprawy trwają dłużej niż się spodziewamy. W rzeczywistości nie wiemy, jak Bóg odmierza czas.

— Muszę wobec tego pozostać tutaj, by poobserwować. Nie mogę pozwolić, by ludzie podążali samotnie.

Brat Paweł pokręcił głową.

— Obawiam się, Jezu, że mogłoby ci się nie spodobać to, co byś ujrzał.

Jezus jednak był zdecydowany.

— Chodź, przyjacielu Pawle; ty i ja obejrzymy to wszystko wspólnie. Zostaw swe ciało, bo będziemy poruszać się Duchem.

Brat Paweł usiłował protestować, lecz wola Jezusa przeważała.

— Dobrze, obejrzymy to wspólnie. Nie sądzę jednak, byśmy byli w stanie uczestniczyć w wydarzeniach w sposób bezpośredni, skoro twoja powłoka cielesna jest martwa, a ja się jeszcze nie narodziłem.

— Chodź — powtórzył Jezus.

Ciało brata Pawła zadrżało i rozplynęło się. Wróciło ono do swojej rzeczywistości, lecz on i Jezus pozostali na miejscu i stali bez ruchu obok siebie.

— Chodź — powtórzył raz jeszcze Jezus, ujmując eteryczną, bezcielesną dłoń brata Pawła. — Podążymy za kulawym faryzeuszem.

Lecieli w powietrzu jak duchy, którymi zresztą byli, niewidoczni dla nikogo, z wyjątkiem siebie samych. Kiedy nudził ich lot, dokonywali skoku przez czas i przestrzeń, znikając w jednym miejscu i pojawiając się w drugim.

Obserwowali Pawła z Tarsu. Choć nie imponował on posturą fizyczną i był raczej kiepskim mówcą, posiadał subtelny, acz wąsko ukierunkowany, umysł. Jego logika była potężna, a sposób pisania wymowny i przekonujący. Posiadał także wyjątkową determinację, jakiś rodzaj perwersyjnej odwagi, która nie pozwalała mu zboczyć z raz obranego kursu. W niektórych miastach wyśmiewano go, a nawet atakowano fizycznie, on jednak dalej dążył do celu. Wielu spośród przywódców chrześcijańskich nie miało do niego zaufania i spiskowało przeciw niemu, lecz on zyskiwał nawróconych wszędzie, gdzie się pojawił.

— Przecież to nie jest moje posłanie — protestował Jezus. — Nie usiłowałem założyć nowego kościoła, a jedynie chciałem wskazać drogę...

— Powiedziałem, że może ci się to nie spodobać — przypomniał brat Paweł. — Lecz jeśli jest niezbędne założenie nowej religii po to, by wskazać ludziom drogę do Zbawienia...

Jezus westchnął.

— Chyba masz rację — powiedział bez przekonania. — Skoro i tak wkrótce nastąpi koniec świata, nie będzie to miało większego znaczenia.

Brat Paweł nie komentował. Było oczywiste, że chrześcijaństwo nie powstało z inicjatywy ani Jezusa, ani tych jego uczniów, którzy go znali osobiście. Wyglądało na to, że rolę krzewiciela nowej wiary musi przyjąć na siebie ktoś, kto nigdy nie spotkał Jezusa. Podobnie jak w upadającej firmie: sprowadza się specjalistę od zarządzania z zewnątrz i ten wykonuje swą pracę bez zwracania szczególnej uwagi na słabości istniejącego dotychczas systemu.

Lecz apostoł Paweł, co wkrótce stało się widoczne, kształtował tę wiarę na swe własne podobieństwo i obraz — a był on, niestety, bardzo zawężony. Jezus, mający neutralny stosunek do seksu, nie przedstawiał w związku z nim żadnych żądań, warunków i wymagań. Traktował wszystkich jednakowo, akceptując zarówno mężczyzn, jak i kobiety, niezależnie od ich pozycji społecznej i uprzedniego stanu sumienia. Nie odrzucał ani bogaczy, ani nierządnic, pod warunkiem, że wyrzekną się tego, co ich dotychczas obciążało. Paweł apostoł był bardziej surowy i prawie antifeministyczny; pozwalał kobietom wchodzić do Kościoła, lecz nie pozwalał im brać na siebie poważnych zobowiązań i poważnej odpowiedzialności.

Jezus pokręcił ze smutkiem głową.

— Nie przypuszczałem, że tak to będzie wyglądało — wyszeptał, obserwując kłótnie apostoła Pawła z innymi apostołami. Brat Paweł miał mieszane uczucia. O ileż lepiej jest widzieć swojego imiennika z perspektywy historii niż obserwować go bezpośrednio jako drobiazgowego skrupulanta! — Napisał jednak kilka doskonałych listów — zauważył.

Kiedy spojrzeli do przodu w czasie, odkryli, że nie wszystkie listy napisane przez apostoła Pawła znalazły się w Biblii, a z czternastu, które się tam znalazły, część nie była autorstwa Pawła. Ujrzawszy zabiegi, których celem było wydanie listu do Hebrajczyków pod imieniem Pawła, Jezus roześmiał się.

— Tak jak Paweł przypisuje mi poglądy, jakich nigdy nie głosiłem, tak inni przypisują mi autorstwo listów, których on nigdy nie napisał! Zaprawdę, mój Ojciec jest sprawiedliwy! — Spoważniał jednak natychmiast, bo wszystko to podkreślało jedynie stopień zniekształcenia, któremu uległo jego własne przesłanie.

— Posiedźmy może jakiś inny aspekt tej sprawy — zasugerował brat Paweł. Bliska mu bowiem była idea, że każde czternaście kart poszczególnego koloru w Tarocie odzwierciedlało czternaście listów Pawła umieszczonych w Biblii, a skoro na niektórych z nich nie można polegać...

— Być może w Ameryce dzieje się lepiej — powiedział Jezus.

Słowa te zaskoczyły brata Pawła. Toż to był anachronizm dużego kalibru; Europejczycy nie odkryją Ameryki jeszcze przez kilka stuleci! Lee najwyraźniej wypadł z roli.

— W Rzymie? — zapytał brat Paweł, usiłując ratować sytuację.

— Powiedziałem: w Ameryce. Po drugiej stronie globu, ale możemy tam się znaleźć w kilka chwil.

Tak się czasami zdarzało: umysłowe krótkie spięcie, które nabierało cech trwałości. Co w takiej sytuacji robili aktorzy w sztuce, żeby naprawić błąd i nie pozwolić, by publiczność zorientowała się w sytuacji? Nie było tu co prawda publiczności, lecz analogia wydawała się właściwa. Nie mogą przecież sprawdzać faktów, mieszając chronologię.

Brat Paweł spróbował raz jeszcze.

— Chyba nie znam tego miasta. Jezus zerknął na niego.

— To coś więcej niż miasto, przyjacielu Pawle. To cały kontynent. Pójdź, a pokażę ci.

— Ach, tak — zgodził się brat Paweł bez przekonania. Przynajmniej próbował.

Unieśli się w powietrze — kilometr, trzy kilometry i jeszcze wyżej.

— Wygląda na to, że nie słyszałeś o ludach Jaredytów i Nephitów — powiedział Jezus.

— Obawiam się, że nie.

Czyż nie było już nadziei na doprowadzenie tej sceny do porządku? Czy precesja była aż tak silna?

— Wyjaśnię ci podczas lotu. — Znajdowali się teraz na wysokości dziesięciu kilometrów i patrzyli w dół na przesuwane się chmury. Brat Paweł ze wzruszeniem i bólem przypomniał sobie swoją nie-córkę, obserwującą podobne widoki z okna samolotu. — W czasie pomieszania języków, które nastąpiło po próbie budowy wieży Babel, człowiek o imieniu Jared i jego brat, który był prorokiem naprzykrzali się Panu, mojemu Ojcu, by ocalił ich i ich plemię od nadchodzącego nieszczęścia. Pan wysłuchał ich modlitw i błagań, i powiódł ich nad ocean, gdzie zbudowali osiem wielkich naw i wyruszyli w podróż morską. Po niespełna rocznym żeglowaniu, wylądowali u

brzegów Ameryki, prawie dwa tysiące czterysta lat przed moim narodzeniem.

— 2400 p.n.e. — wyszeptał brat Paweł, zafascynowany tą dziwną historią, która wypływała z ust Jezusa Widma. Nigdy nie słyszał podobnej przypowieści. Byli teraz na takiej wysokości, że mógł widzieć krzywiznę Ziemi. Lecieli na wschód, nad wielkim lądem Azji, w pobliżu brzegów Oceanu Indyjskiego. Do czego doprowadzi ta animacja?

— W Ameryce rozmnożyli się i stali się kwitnącym narodem — ciągnął opowieść Jezus. — Potem jednak zaczęli walczyć między sobą i po osiemnastu wiekach wymarli. Mniej więcej w tym samym czasie, z Jerozolimy wyruszyła druga ekspedycja, sześćset lat przed moim narodzeniem. Przewodził jej żydowski prorok z plemienia Manasseh o imieniu Lehi wraz z członkami swojej rodziny i kilkoma przyjaciółmi. Pomaszrowali do Morza Arabskiego, tam zbudowali i wyposażyli statek, po czym pożeglowali przez południowy Pacyfik i wylądowali na zachodnim wybrzeżu Ameryki. Była to ich ziemia obiecana, lecz, podobnie jak pierwsza kolonia, podzielili się na dwa plemiona, Nephitów i Lamanitów. Nephici rozwijali sztukę i budowali cywilizację, podczas gdy Lamanici ulegli degeneracji. Zapomnieli o Bogu swych ojców, stali się dzikimi nomadami, pograżyli się w mroku barbarzyństwa, ich duch stał się ciemny i ciemna stała się ich skóra, podobnie jak w przypadku dzieci Kaina.

— Dzieci Kaina? — zapytał brat Paweł. Znajdowali się teraz nad środkowym Pacyfikiem i ciągle lecieli na wschód.

— Te złe. Rasy czarne — wyjaśnił Jezus.

Brat Paweł był wstrząśnięty. — Masz na myśli czarne rasy z Afryki?

— Właśnie te. Odrzuciły one moc Świętego Kapłaństwa i Prawo Boskie. Przeklęte zostały czarną skórą, odpowiednią dla ich czarnych serc.

Czy to mówi Jezus? Niemożliwe! To mormon Lee. Brat Paweł nie zdawał sobie sprawy z tego, że mormoni widzą Murzynów w takim świetle.

— Musi tu gdzieś tkwić błąd. Skoro wszyscy ludzie, z wyjątkiem Noego i jego rodziny, zginęli podczas Potopu, tym samym nie mógł przetrwać żaden potomek Kaina...

— Ta zła krew przetrwała w linii Noego — nalegał Lee. — Cham, jego syn, obawiając się dodatkowych dziedziców, z którymi musiałby dzielić Ziemię po Potopie, spiskował z braćmi, Semem i Jafetem, by wykastrować ojca. Ci dwaj okazali się jednak dobrymi synami i odmówili współpracy. Dokonał więc tego czynu sam, kiedy pijany Noe...

— Biblia powiada, iż ujrzał on tylko nagość ojca! — zaprotestował brat Paweł.

— Biblia została ocenzurowana — powiedział Lee ponuro. — Ale mówi o karze: dzieci Chama stały się sługami dzieci tych dobrych synów. W ten sposób rasy czarne otrzymały to, co im się należało...

— Sam jestem po części czarny — powiedział brat Paweł. — Sądziłem, że to było jasne dla

wszystkich. — Uświadomił sobie w tym momencie, że przecież Lee nie brał udziału w animacji z „tuzinami”, w której tak jaskrawo wystąpił problem rasowy, i że sprawa ta nie pojawiła się już nigdy potem. — Czy ja również jestem przeklęty?

Jezus przerwał Jot i patrzył na niego oczyma Lee, a widniał w nich szok. — Ty masz czarną krew?

— Około jednej ósmej, plus minus. Formalnie rzecz biorąc, jestem Murzynem o jasnej skórze.

Jezus pokręcił głową.

— Nie, to nie może być prawda. Jesteś przecież dobrym człowiekiem!

— Mam nadzieję, że jestem dobrym człowiekiem lub takim się stanę. Ale jestem również czarnym człowiekiem. Nie widzę tutaj żadnej sprzeczności...

— Nie! — krzyknął Jezus. — Nie można tolerować zepsucia w miejscach świętych! Czy to po to wyrzucam przekupniów i lichwiarzy ze Świątyni, by obrażano mnie w podobny sposób? Nie wolno ci tak żartować, Pawle!

Brat Paweł rozłożył ręce.

— Nie chciałbym być ani żartownisiem, ani kłamcą. Przykro mi, że ci to przeszkadza, lecz nie mogę i nie zaprę się swojego dziedzictwa.

Jezus–Lee patrzył na niego z niedowierzaniem, które powoli przechodziło w gniew.

— Porozmawiamy o tym kiedy indziej!

Po czym odwrócił się, a brat Paweł wyczuł w nim pewien chłód, jakby unieważnienie ofiarowanej poprzednio przyjaźni. Sądził, że już dawno uodpornił się na reakcje tego typu, lecz zauważył, że ciągle go jeszcze ranią. Lee był taką inteligentną, szczerą i uczciwą osobą; jak mógł być jednocześnie świadomym rasistą? Jak mógł to pogodzić z obrazem Jezusa obiecującego Zbawienie wszystkim ludziom, niezależnie od urodzenia i poprzednich grzechów?

Po chwili rozpoznał ten wzór zachowań: przypominało to reakcję na wiadomość, że musimy umrzeć. Wpierw niedowierzanie, potem gniew. Jego mormońska religia obarczała czarne rasy winą; fakt, że ktoś mu bliski mógłby mieć czarnych przodków — jakkolwiek niewielka by to była proporcja w stosunku do przodków białych — był w sposób fundamentalny nie 4© zniesienia.

Minie jakiś czas, nim jego emocje opadną, lecz niewątpliwie opadną tym bardziej że rola Jezusa niosła ze sobą uspokajający wpływ. Brat Paweł obawiał się jednak, że utracił przyjaciela.

Jezus skierował się pod ostrym kątem w dół i brat Paweł dokonał odpowiedniej korekty lotu, by lecieć tuż za nim. Zbliżali się do zachodniego Wybrzeża kontynentu amerykańskiego. Szybciej i szybciej: dziesięć tysięcy kilometrów na godzinę, piętnaście tysięcy, dwadzieścia tysięcy i ciągle Pospieszali. Jezus najwyraźniej wyładowywał swój gniew! Dwadzieścia pięć tysięcy!

— Hej, chyba zbliżamy się do prędkości orbitalnej — ostrzegł brat Paweł.

Lecz Jezus ciągle przyspieszał, przekraczając trzydzieści tysięcy km/godz., i pędzili teraz lotem ukośnym w kierunku odległej o sto kilometrów ziemi. Dziewięćdziesiąt kilometrów. Osiemdziesiąt — z każdą sekundą ubywało przeszło dziesięć kilometrów. A Jezus nie zwalniał.

Nad oceanem zmienili lot na poziomy i pędzili wprost na góry wybrzeża. Ich szczyty wyrosły tuż przed nimi i brakło czasu na wyhamowanie. Choć postaci, które z Jezusem przybrali, były praktycznie bezcielesne, brat Paweł miał dziwne uczucie, że ta olbrzymia prędkość zwielokrotniała ich masę, skoro prędkości zbliżające się do prędkości światła zwiększają masę obiektu do nieskończoności. Jezus pędził wprost na góry, nie zwalniając, i brat Paweł zmuszony był podążać za nim. Co się jednak stanie, kiedy...

Zderzenie!

— I wydarzyło się w trzydziestym i czwartym roku... przyszła wielka burza... i oto zmieniło się oblicze łądów z powodu burz i wichrów, i gromów, i błyskawic, i trzęsienia ziemi... I wiele potężnych miast zatoneło i wiele uległo zniszczeniu, a domy ich rozpadły się, mieszkańcy zaś zginęli i pozostała po nich pustynia. I wydarzyło się, iż nastąpiła ciemność na ziemi... i trwała trzy dni...

— A cóż to takiego? — zapytał brat Paweł w nieprzeniknionych ciemnościach.

— To kataklizm, który spadł na ziemię wraz z moją śmiercią — odparł Jezus.

— Tyle się domyślałem — powiedział brat Paweł. — Ogień, woda, powietrze i ziemia — cztery elementarne żywioły rozszalałe w formie wulkanów, powodzi, burz i trzęsienia ziemi. A teraz żywioł piąty — ciemność. Dlaczego jednak musiały cierpieć te ludy starożytnej Ameryki; nie były odpowiedzialne za twą śmierć, wręcz nic o niej nie wiedziały! I z czego pochodzi ten cytat, który przytoczyłeś?

— Rozdział 8 Trzeciej Księgi Nephi — odpowiedział Jezus. *Z Księgi mormona.*

Nagle wszystko stało się zrozumiałe. *Księga mormona!* — wykrzyknął brat Paweł. — Naturalnie! — Lee, jako mormon, wierzy w tę wersję historii i religii, która jest przedstawiona w jego własnej Świętej Księdze. Brat Paweł zapoznał się z zasadami wiary wspólnoty religijnej mormonów podczas studiów nad religiami świata, które odbył w Świętym Zakonie Wizyjnym, lecz nigdy nie przeczytał *Księgi mormona*. Przypomniawszy sobie teraz pewne istotne szczegóły. Chrześcijaństwo dotarło do Nowego Świata, a historia nawróconych plemion została zapisana na złotych tabliczkach przez człowieka o imieniu Moroni. Plemiona te zniknęły około roku 400, a tabliczki przetrwały zakopane w zboczu wzgórza znajdującego się w stanie Nowy Jork do czasu ich odkrycia przez założyciela współczesnej wiary mormońskiej, Josepha Smitha, w 1823 roku. Smith, a później Brigham Young poprowadzili osadników mormońskich do odległego Utah, gdzie większość z nich pozostała aż do czasu kolonizacji pozaziemskiej, której program dostarczył nowych planet do podboju.

Cóż, dlaczegóż by nie zrobić przeglądu mormońskiej wersji historii chrześcijaństwa? Mormonowie potrafili uzasadnić wiele ze swych stwierdzeń poprzez odkrycia w dziedzinie

archeologii, lingwistyki i etnologii. *Księga mormona* nie pozostawała w konflikcie z treścią Biblii; uzupełniała ją jedynie.

Powróciło światło. Jezus wyprostował się i przemówił, a głos jego rozbrzmiewał donośnie na całej połaci kontynentu.

— Słuchajcie, jam jest Jezus Chrystus, Syn Boży. Stworzyłem niebo i ziemię, i wszystkie rzeczy, które są. Byłem z mym Ojcem od początku. Jestem w Ojcu i Ojciec jest we mnie i poprzez mnie Ojciec dodał chwały swojemu imieniu.

— Przeszedłem do swoich, a swoi mnie nie przyjęli. I przepowiednie związane z moim przybyciem wypełniły się.

— A ci, którzy mnie przyjęli, stali się synami Bożymi; jak stanie się wielu, którzy uwierzą w moje imię, zważcie bowiem, przeze mnie nadchodzi odkupienie i we mnie wypełnione jest prawo Mojżeszowe.

— Jam jest światłem i życiem świata. Jam jest Alfą i Omega, początkiem i końcem...

Brat Paweł słuchał zafascynowany. Lee grał przedtem rolę Jezusa — człowieka, teraz odgrywał rolę Jezusa — bóstwa. Robił o wiele większe wrażenie, cytując bliskie mu teksty z *Księgi mormona*. A jednak brat Paweł wołał go jako człowieka.

— I wy złożycie mi w ofierze złamane serce i skruszonego ducha.

A co z rasizmem? — zastanawiał się brat Paweł. Jeśli to czarny człowiek ma złamane serce i skruszonego ducha?

Jezus mówił dalej, wygłaszając Kazanie na Górze, zaadaptowane bezpośrednio z Biblii Starego Świata, z Ewangelii według świętego Mateusza. Po czym uppełnomocnił dwunastu uczniów i założył swój Kościół. Było to dobrze wróżące przemówienie, zapowiadało pomyślność.

W końcu Jezus i brat Paweł powrócili do Starego Świata. Obserwowali historię i przenikanie nowego Kościoła chrześcijańskiego do żydowskiej diaspory, w rejonach, w których znaleźli się Żydzi, wypędzeni ze swoich ziem przez różnych zdobywców. Kiedy jednak umocniło się przesłanie misyjne Pawła apostoła, liczba chrześcijan nie — Żydów zaczęła rosnać. Chrześcijanie pochodzenia żydowskiego nie patrzyli na tę sytuację łaskawym okiem, wkrótce jednak stanowili mniejszość wśród chrześcijan, aż stopniowo zniknęli zupełnie.

Jezus pokręcił głową.

— Nie wiem, co myśleć — powiedział. — Nauczałem, iż należy się poświęcać celom, dla których żyjemy, a nie środkom, dzięki którym żyjemy. Sedno religii ginie w ceremoniałach. Dlatego właśnie nie ustanawiałem żadnych, specjalnych ograniczeń, lecz...

— Jesteśmy daleko od Galilei — przypomniał mu brat Paweł.

Zaiste byli daleko! Teraz centrum świata stanowił Rzym, Rzym, który od wieków prowadził wojny z imperium perskim na wschodzie. Linia frontu przesuwała się w tę i z powrotem; były okresy, kiedy Rzym władał Azją Mniejszą, sprowadzając stamtąd do stolicy imperium niewolników, więźniów, żołnierzy i kupców. Wraz z ludźmi przyszła ich religia: kult Mitry, kult magów, zwany później magikami. Czčili oni ziemię, ogień, wodę, wiatry, słońce i księżyc, a religia ich zdominowana była przez mężczyzn. Z tego być może powodu rozprzestrzeniała się w imperium rzymskim jak ogień po dwóch tysiącach lat bezruchu, a czasem wręcz prześladowań w samej Azji. Rzymowi nigdy nie udało się podbić Persji, a perska religia o mało nie podbiła Rzymu. Natrafiła tu jednak na konkurencję ze strony chrześcijaństwa! Wkrótce te dwie religie rywalizowały ze sobą o duchowe panowanie w imperium.

Kult Mitry posiadał wiele zalet, włącznie z jego monoteizmem i magią. Osłabiało go jednak wyłączenie kobiet. Chrześcijaństwo również nie traktowało kobiet zbyt dobrze, ale pozwalało im przynajmniej należeć do Kościoła. Zdarzało się więc, że pan domu czcił Mitrę, podczas gdy jego żona zadowalała się religią, która ją tolerowała. Powoli, w sposób subtelny i niewidoczny, chrześcijaństwo zyskiwało przewagę.

Jezus i brat Paweł zatrzymali się w jednej z kaplic poświęconych Mitrze w mieście Rzymie. Było to pomieszczenie podziemne, oświetlone jedną pochodnią. Elementem wyróżniającym była wspaniała, kolorowa rzeźba przedstawiająca zabicie byka. Znajdowało się tam kilka ołtarzy, z których jeden najwyraźniej służył jako miejsce ofiar składanych z ptaków. Były tam również kamienne ławy i miejsce między nimi, gdzie wierni mogli klękać podczas nabożeństw. Kaplica była niewielka, lecz dobrze zaprojektowana i solidnie wykonana.

— To kult pogański, lecz nie potępiabym go — zdecydował Jezus. — Modlitwa powinna być przeżyciem wewnętrznym, a nie pokazem publicznym, a ta mała kaplica jest krokiem we właściwym kierunku. Chciałbym porozmawiać z tymi ludźmi i opowiedzieć im o...

Rozległ się jakiś hałas.

— Pewnie właśnie nadchodzą — powiedział brat Paweł. Nie byli to jednak wierni. Do kaplicy wtargnęła grupa rzymskich żołnierzy. Przewrócili ołtarze i młotami zaatakowali rzeźbę. Obrócenie kaplicy w ruinę zajęło im kilka chwil.

— To... to jest straszne — krzyczał Jezus, a po policzku spłynęła mu łza. — Religia jest zasadą, nie prawem. Ci, którzy nie odnaleźli jeszcze drogi, powinni być nawracani, a nie prześladowani! Któż do tego doprowadził?

Wkrótce znaleźli odpowiedź na to pytanie. To chrześcijanie. Dogadali się z Grakchusem, prefektem Rzymu. Wynikiem zawartej umowy były prześladowania czcicieli Mitry na terenie całego imperium, a religia ta została praktycznie zakazana, z korzyścią dla chrześcijaństwa.

— Nie tego przecież nauczałem — protestował Jezus. — Religii nie da się oddzielić od moralności. Jak można prześladować innych w moim imieniu? Kł A jednak tak czyniono. Inne religie podzieliły los kultu Mitry i chrześcijaństwo stało się najwyższą religią w Rzymie. Nawracane na nową wiarę pogańskie plemiona z północy Europy wносиły swój wkład w postaci wartości

kulturowych i świąt pogańskich. Nadawano im nazwy chrześcijańskie: Boże Narodzenie, Wielkanoc — lecz ich istota pozostawała pogańska i dlatego łatwo ulegała komercjalizacji.

— Po ich owocach poznacie ich — powiedział Jezus ze smutkiem. — z mojego kapłaństwa uczynili interes! — Ale mógł jedynie obserwować.

Wkrótce chrześcijanie zaczęli prześladować żydów, a następnie heretyków: chrześcijan, którzy pozostawali w niezgodzie z oficjalną linią Kościoła.

Sam Kościół popadł w spory i podzielił się. Później wysłano armie pogańskich chrześcijan do Ziemi Świętej, by walczyły z cywilizowanymi niechrześcijanami; zwano to krucjatami.

— Nie mogę się temu przyglądać beczynnie! — wołał Jezus. — Gdzież to współczucie i zrozumienie, którego nauczałem, traktowanie innych tak, jak sami chcielibyśmy być traktowani? Moje imię zostało wykorzystane dla Strasznych celów! Muszę naprawić...

Historia ruszyła naprzód z wielką szybkością. Ledwo ustanowiono Kościół w imieniu Jezusa, a już zaczął się on dzielić zgodnie z naturą organizacji ludzkich (a nie boskich). Powstała niezgoda dotycząca samej natury Chrystusa. Od głównego nurtu oddzieliły się kościoły schizmatyczne: arianie, nestorianie, monofizyci. W końcu Kościół podzielił się na Wschodni i Zachodni. Jezus i brat Paweł obserwowali losy Zachodniego — a podzielił się on na katolicki i protestancki, a ten drugi na jeszcze mniejsze odłamy. Powstawały sekty, których końca nie było widać: luteranie, kalwiniści, episkopaliści, prezbiterianie, purytanie, baptyści, kongregacjoniści, kwakrzy, metodyści, i tak dalej. Wiek dziewiętnasty i dwudziesty nie przyniosły końca tym podziałom, aż doprowadziły one do takiej sytuacji, jaka istniała współcześnie na planecie Tarot.

— Nie, nie! — protestował Jezus. — Nie mam pewności, czy którykolwiek z tych odłamów jest zgodny z moimi naukami. Cofnijmy się na chwilę; chcę porozmawiać z kimś, nim...

Cofnęli się w czasie.

— Tutaj — powiedział Jezus, wybierając moment dość przypadkowo. Historia stanęła w miejscu.

Francja i Anglia, dwa chrześcijańskie narody prowadziły ze sobą wojnę, większości ludzi w obydwu krajach pogarszał się coraz bardziej. — Jeśli uda mi się zatrzymać tutaj, naprowadzić ich na właściwą drogę... — zaczął Jezus z nadzieją w oku. — Nie mogę patrzeć beczynnie; muszę coś zrobić.

— Nie możesz uczynić nic w sensie materialnym — zauważył brat Paweł.

Doskonale rozumiał ból Jezusa, lecz wątpił, by było rzeczą mądrą poprawienie historii, nawet w animacji. Precesja może jeszcze pogorszyć sytuację. — Gdybyś wygenerował jakąś wizję...

Jezus zatrzymał się w miejscu. Znajdowali się akurat w niewielkiej wiosce na terenie Francji.

— Przemówię do pierwszej napotkanej osoby!

Pojawiła się jakaś dziewczyna. Ubrana była w brudny strój wieśniaczki i nie miała zapewne więcej niż jakieś trzynaście lat.

— Powodzenia — mruknął brat Paweł bez entuzjazmu.

Jezus ukazał się dziewczynie. Ukazał jej się w postaci niematerialnej, lecz doskonale widocznej. W pierwszej chwili była zaskoczona, potem zatrwożona, wkrótce jednak pogodziła się z sytuacją. I podjęła akcję. Zebrała armię i zaatakowała Brytyjczyków.

Nazywała się Joanna d'Arc.

Jezus i brat Paweł śledzili jej losy ze wzrastającą konsternacją i przerażeniem.

— Usiłowała głosić Słowo Boże, które jej przekazałem — a oni spalili ją za herezję! — krzyczał Jezus.

— Taka jest natura polityki i inkwizycji — odpowiedział brat Paweł ponuro.

W innym miejscu i w innym punkcie historii spostrzegli mieszkańców chrześcijańskiego miasta podwyższających jego mury obronne, stare bowiem zapadły się częściowo w ziemię. „Nigdy nie będą stały solidnie, jeśli nie złożymy ofiary” — mówił zabobonny lud, a miejscowe władze kościelne zgodziły się z tym poglądem. Zostawiono więc niszę w budowanym murze, wstawiono do niej stół, krzesło i wypełniono przeróżnymi zabawkami i łakociami. Po czym do tego miejsca zabaw przyprawdzono małą dziewczynkę.

— Oho — mruknął brat Paweł, rozpoznając w dziecku Karolinę, utraconą w animacji z uczelnią.
— Nie podoba mi się to...

— Nie wolno nam interweniować — przypomniał mu Jezus.

Dziecko było zachwycone zabawkami i łakociami. Zajęły one całą uwagę małej dziewczynki. I kiedy tak bawiła się wesoło, pokrzykując radośnie, kilku murarzy fachowo i cicho zamurowało niszę i dokończyło roboty przy murze. Księża pobłogosławili ukończony mur i poszli swoją drogą — a mur był solidny.

Jezus patrzył na brata Pawła.

— To również w moim imieniu? — spytał wstrząśnięty.

— Wydobędziemy stamtąd dziewczynkę — odrzekł brat Paweł zwięźle. — Możemy to teraz uczynić bez powodowania zmian w historii.

Rola Karoliny już się jednak skończyła i kiedy wreszcie dotarli do wnętrza, malutkie pomieszczenie było puste.

— Środek jest pusty... — szepnął do siebie brat Paweł, rozpoczynając ciąg swoich intymnych refleksji.

Jezus przerwał mu dość gwałtownie:

— Modliłem się do Ojca mego, by mnie oświecił. Widzę, że moja ofiara nie przyniosła zbawienia światu i dlatego nie pozwolono mi wrócić do Nieba bezpośrednio po śmierci. Świat grzeszy dalej, bezczeszcząc imię moje i mego Ojca. Ale jest tutaj także dobro, tak jak było w Sodomie. Nie mogę zaprzeczyć, że ty sam jesteś człowiekiem dobrym i uczciwym; muszę ci tedy wierzyć, kiedy mnie informujesz, iż jesteś dzieckiem Kaina. Jak może być dobry syn w rasie przeklętej? Błagałem Boga o rozwiązanie tego paradoksu, a On wysłuchał mojej modlitwy.

Brat Paweł milczał, nie wiedząc, czego się spodziewać. Czyżby miał tutaj do czynienia z etapem dostosowania polegającym na targowaniu się allogiem? Czy była to już akceptacja?

— Prawdą jest, iż jesteś przeklęty — kontynuował Jezus. — Lecz tylko jedna ósma ciebie całego jest winna. Siedem ósmych jest niewinne i tę właśnie cześć poznałem jako mojego przyjaciela. To tak, jakby zamieszkiwał cię jakiś demon. Skoro się z nim urodziłeś, nie można go egzorcyzmować — z drugiej zaś strony nie mogę pozwolić, by to, co jest w tobie dobre, znalazło się w Piekło z powodu tej złej części. Wiem również, że nie da się oddzielić dobra od zła; obydwie są częścią ciebie. Mógłbym wygnać zwykłego demona, wyleczyć zwykłą chorobę lub wybaczyć zwyczajny grzech. Nie mogę jednak dać miejsca w Niebie synowi Kainowemu. Nie jest w mocy Syna zmiana wyroku wydanego przez Ojca.

Oczy Jezusa wydawały się płonąć.

— Ale mogę cię uratować — ciągnął. — Wystarczy, iż przejmę na siebie ciężar twojego grzechu. Ja pójdę do Piekła, żebyś ty mógł pójść do Nieba. Ze względu na naszą przyjaźń i ze względu na dobro, które jest w tobie, o samotny człowiecze z Sodomy, czynię to chętnie i z własnej woli. Taka jest moja transakcja z Bogiem.

Brat Paweł doskonale rozumiał wymowę słów, które usłyszał, i kontekst, w jakim się znalazł — jedyny sprawiedliwy wśród ogólnego zepsucia — nie był wszakże zachwycony użyciem przez Jezusa „Sodomy” jako analogii. Od niej pochodziło bowiem słowo „sodomia”, a ta poprzednia scena z Therionem...

— Decyzja jest ostateczna — mówił Jezus. — Pozostaje otwarty jedynie , problem sposobu, w jaki zstąpię w piekielne rejony. Osobiście chciałbym to zrobić w taki sposób, który zmaże grzechy reszty świata. Jeśli tym razem odniosę sukces, wkrótce potem nastąpi koniec świata i mój pobyt w Piekło nie będzie długi. W każdym jednak przypadku, ty zostaniesz uratowany, a za to jestem gotów oddać cały świat. Żegnaj, przyjacielu. — I Jezus-Lee wyciągnął do niego rękę.

Zaskoczony brat Paweł ujął wyciągniętą do niego dłoń i uścisnął ją z namaszczeniem. Przed chwilą reagował z niechęcią na użyte przypadkowo słowo, gubiąc tym samym częściowo wagę słów pozostałych. Jezus zstępował do Piekła — dla niego! Szersze znaczenie tego poświęcenia, tej ofiary, nie było dla niego jeszcze w pełni zrozumiałe.

Jezus odwrócił się. Otworzyła się przed nim panorama współczesnej Ameryki, tej jej części, w której zachowała się najwyższa technologia. W oddali widać było elektrownię opartą na syntezie

wodoru, a na pierwszym planie ludzie pracowali przy komputerach. Jezus ruszył w kierunku tej sceny.

Brat Paweł pojął nagle zamierzenie Jezusa. Pragnął on rozpocząć od nowa swoje nauczanie tutaj, na Ziemi, wykorzystując tym razem ciało swojego materialnego gospodarza: ciało Lee. Było to więc Powtórne Przyjście.

— Nie czyn tego, Jezu! — krzyknął brat Paweł. — Oni nie są jeszcze gotowi na nadejście Królestwa Bożego! Ukrzyżują cię ponownie!

Jezus zatrzymał się na skraju sceny i odwrócił głowę. Oczy jego lśniły łagodnym blaskiem poprzez łzy.

— Wiem o tym — powiedział.

Po czym ponownie zaczął iść — i wszedł do terazniejszości. Ciało jego zaczęło się materializować wokół niego, kiedy przechodził przez salę komputerową i zniknął za zakrętem korytarza.

Brat Paweł zamknął oczy i stał bez ruchu. Już po chwili usłyszał tę straszliwą wrzawę i stuk młotków uderzających w gwoździe.

Wizja (Wyobrażenia)

I oto prawnik z Filadelfii stanął przed nim i zapytał: „Nauczycielu, cóż mam uczynić, by zyskać życie wieczne?” Jezus odpowiedział: „Jakie jest prawo? Jak je interpretujesz?” A prawnik rzekł mu: „Będiesz miłował Boga całym swoim sercem i całą swoją duszą i z całej mocy swojej i całym swym umysłem, a bliźniego swego jak siebie samego „. Jezus powiedział: „Doskonale! Czyń tak, a będziesz żyć wiecznie”. Prawniki, chcąc się upewnić, zapytał: „A kto jest moim bliźnim?”

I odrzekł mu Jezus: „Pewien człowiek podróżował w interesach z Nowego Jorku do Waszyngtonu. Zatrzymał się w restauracji na posiłek, a kiedy wrócił do samochodu, z tylnego siedzenia powstał złoczyńca, przyłożył mu pistolet do głowy, zmusił do udania się w odludne miejsce, gdzie strzelił mu w brzuch, zabrał portfel i wszystkie pieniądze i dokumenty, i odjechał jego samochodem, pozostawiając go na miejscu, by wykrwawił się na śmierć.

Przypadkowo przechodził tamtędy duchowny i zobaczył tego człowieka i ominął go i poszedł dalej, odwracając wzrok od widoku krwi, mrużąc coś do siebie o później porze i o nabożeństwie, które ma właśnie odprawić. Potem przeszła obok młoda kobieta, sekretarka; usłyszała jęki i była przerażona i ominęła rannego i odeszła pośpiesznie. Potem nadszedł śmieciarz, cuchnący swoim zawodem, syn rasy Kaina, czarny jak smoła. Kiedy ranny go ujrzał, rzekł do siebie: »Ten czarnuch na pewno mnie wykończy!«

Ale czarny człowiek, na którego również w przeszłości napadnięto, odczuwał współczucie dla ofiary tego napadu i zatrzymał się i oczyścił jego ranę i wziął go do swojej ciężarówki i zawiózł go do lekarza i rzekł: »Nie wiem, kim jest ten , lecz wiem, że potrzebna mu pilna pomoc. Jeśli nie będzie w stanie zapłacić, zapłacę za niego po najbliższej wypłacie; a oto pięć dolarów zadatku.«. Jezus zwrócił się do prawnika: „Jak sądzisz, które z tych trojga było Prawdziwym bliźnim cierpiącego?” Prawniki odpowiedział: „Czarnuch.” A Jemu rzekł: „Idź i czyń podobnie.”

Brat Paweł stał pośród chaosu wywołanego zmianą animacji. Jezus odszedł — zapewne do Pieła — lecz co się stało z Lee? Czy opuścił on animację, czy też utknął w stworzonej przez siebie samego rzeczywistości?

Podejmowanie ryzyka nie wydawało się rzeczą rozsądną. Możliwe bowiem było wywołanie animacji w pewnym sensie siłą własnej woli, lecz po znalezieniu się wewnątrz niej, kontrola nad nią lub nawet jej opuszczenie stawały się poważnym problemem. To tak, jak z wejściem do samolotu — co on sam uczynił! — mógł być właściwy lub nie, lecz nie można było z niego wysiąść, dopóki nie wylądował. Jakikolwiek byłby powód lądowania — bezpiecznego na lotnisku, czy awaryjnego w terenie. Możliwe, że Lee nie opuści Pieła bez pomocy z zewnątrz.

Brat Paweł skoncentrował się na obiekcie praktycznie niematerialnym: na prawdopodobnym

obrazie Pieła w umyśle Lee. Był on zapewne wysoce artystyczny, literacki, zdecydowanie chrześcijański, choć niekoniecznie mormoński, bo ten byłby zbyt oczywisty. W jakim Piekłe mogli sobie mormoni wyobrazić Jezusa Chrystusa? Do takiego właśnie musiał się udać brat Paweł.

Wokół niego uformowała się nowa scena. Było to pole, w połowie zaorane, o powierzchni jednej piątej hektara. Poza nim, po stronie, którą uznał za wschodnią, wschodziło słońce. W pewnej odległości, jakby bezpośrednio pod wschodzącym słońcem, stała wieża — być może ta sama, którą widział w pierwszych wizjach Tarota.

— Wieża Prawdy — wyszeptał.

Popatrzył w kierunku zachodnim i ujrzał głęboką dolinę, poprzecinaną niebezpiecznymi rowami, a także ponurą budowlę położoną w najniższym jej miejscu. Pole leżało pomiędzy wieżą i doliną, w jedynym nadającym się do uprawy terenie. On nie miał jednak ani konia, ani wołu, który mógłby pociągnąć jego pług; zmuszony będzie udać się do sąsiada, by pożyczyć od niego zaprzęg, a to oznaczało pozostawienie pola bez opieki.

Ujrzał nagle jakiś tłum ludzi zbliżający się z boczem do jego pola. Był to dla niego problem; gotowi byli strzelać i ubić na twardo to, co zaorał wczoraj, jeśli nie pozostanie na miejscu, by ich powstrzymać.

Przyszędł mu do głowy następujący pomysł: a może niektórzy spośród nich pomogą mu w orce?

Kiedy jednak podeszli bliżej, zwątpił. Ludzie ci wydawali się przemieszczać bez żadnego celu. Jedni byli otyli, inni wyglądali na chorych, jeszcze inni na przygnębionych i otypiałych; żaden nie robił wrażenia odpowiedzialnego robotnika.

Z przeciwnej strony nadchodził ktoś bardziej obiecujący w tym względzie: pielgrzym w pogańskich szatach i z solidnym kosturem w ręce. Zgodnie ze scenariuszem samej animacji, pielgrzym dotarł na skraj pola brata Pawła w tej samej chwili, gdy ciżba napłynęła na nie z drugiej strony.

— Skąd przybywasz? — zapytał ktoś donośnym głosem.

— Z Synaju — odparł pielgrzym. — I od grobu naszego Pana. Byłem też jakiś czas w Betlejem i w Babilonie, i w Armenii, i w Aleksandrii, i w wielu innych miejscach.

— Czy znasz świętego o imieniu Prawda? — spytał ktoś inny z zapałem. — Czy możesz nam powiedzieć, gdzie mieszka?

Pielgrzym pokręcił przecząco głową.

— Bóg mi świadkiem, nigdy przedtem nie pytano mnie o niego! Nie wiem...

— I ja poszukuję Prawdy — powiedział brat Paweł. — Widziałem jego ę przed chwilą. Mogę wam wskazać drogę.

Popatrzyli na niego z powątpiewaniem.

— Ty, prosty oracz? Kimże ty jesteś?

— Jestem Paweł Oracz — odpowiedział i przeżył wstrząs, słysząc swe własne słowa, bowiem dopiero teraz rozpoznał tę scenę: pochodziła ona i *Widzenia o Piotrze Oraczu*, z piętnastowiecznego poematu epickiego, pióra Williama Langlanda. A jemu narzucono główną rolę!

— Dobrze, Pawle — powiedzieli ludzie. — Zapłacimy ci, żebyś nas tam zaprowadził.

Ale przecież tak naprawdę nie tam chciał iść. Przynajmniej nie teraz. Wpierw musi odnaleźć Lee; potem dopiero będzie mógł poszukać Wieży, okrytej w tej chwili za chmurami. Lee prawdopodobnie znajdował się w Kasztelu Udręki, który w tej animacji był jej wersją Piekła.

Skoro jednak znajdował się w tej wizji, musiał postępować zgodnie z jej scenariuszem. Najwyżej spróbuje przetrzymać tu jakiś czas tę ciżbę, a w tym czasie obmyśli sposób uratowania Lee.

— Nie, nie wezmę pieniędzy, ani ćwierć pensa — odpowiedział im. — Wskażę wam drogę — to tam, na wschodzie — lecz sam pozostanę, by orać swe pole.

Popatrzyli na wschód. Chmury gęstniały i zbierało się na burzę.

— Potrzebny nam przywódca. Musisz pójść z nami.

— Mam do zabronowania pół akra — protestował brat Paweł. — Jeśli pomożecie mi przygotować i obsiać moje pole, wskażę wam drogę.

To powinno zniechęcić i odprawić tych nierobów!

— To byłaby zbyt długa zwłoka — zaprotestowała jakaś młoda dama. Ubrana była w wymyślną sukienkę, na głowie zaś miała kapelusz zwany barbetem. Naturalnie, Amaranta. A pielgrzymem był Therion. — A cóż miałybyśmy robić my, kobiety, podczas oczekiwania?

To było niewątpliwie wyzwanie! Najwyraźniej ta dama rzadko miała okazję splamić sobie dłonie pracą fizyczną.

— Możecie zeszyć ten worek, żeby nie wysypywało się z niego ziarno — Odpowiedział jej. — Wy, piękne panie, mając tak długie paluszki...

— Na Chrystusa, to świetny pomysł — przyznał jakiś rycerz, jeszcze jedna wersja Theriona. — Sam chętnie pomogę w pracach. Nikt mnie jednak nie nauczył, jak prowadzić zaprzęg.

Teraz już wszyscy zgłaszali się na ochotnika. Wyglądało na to, że zadanie nie zostanie wkrótce wykonane. Nie całkiem o to mu jednak chodziło. Cóż, nie miał wyjścia.

Wkrótce okazało się, że niewielu potrafi dobrze pracować. Brat Paweł zmuszony był ich pilnować, pokrzykiwać na nich bez przerwy, nim praca została ukończona.

Pamiętał, że ta epicka opowieść pełna była dialogów przepelnionych symboliką, w których to dialogach ludzie o imionach takich jak Sumienie, Rozsądek, Mądrość i Kościół Święty dyskutowali problemy moralne z innymi, zwanymi: Kłamca, Fałsz, Pochlebstwo i Niezłomna Dziewica. Było to niewątpliwie wielkie dzieło literatury średniowiecznej, lecz nie prowadziło go ono tam, dokąd chciał iść. Musiał się więc oderwać jakoś od jego treści i znaleźć inne, które by lepiej służyło jego celom.

Prawdopodobnie działanie bezpośrednie nie przyniesie rezultatu; animacje miały tendencje do wywoływania precesji, kiedy przeciwstawiano się panującym w nich zasadom, o czym już miał okazję się przekonać. Być może subtelny nacisk pod pewnym kątem, przejście na lepiej mu znany teren, które pozwoliłyby mu przyjąć odpowiedniejszą dla niego rolę...

Jaki miał wybór? Piotr Oracz próbował spowodować, by ludzie zyskali zbawienie poprzez poprawę samych siebie. Czy był jakiś inny utwór epicki o podobnej sile i symbolice?

I nagle sobie przypomniał: — *Droga Pielgrzyma!* — krzyknął. Ta alegoria Bunyana miała nawet taką samą aliterację P! Jej protagonista, chrześcijanin, poszukiwał niebiańskiego miasta, a podpierali go tacy odtwórcy epizodów, jak Pomoc, Światowy Mędrzec, Prawo i Ewangelista. Czy ktoś by zauważył, gdyby się przeniósł do tamtej wizji? Oryginalny, literacki Piotr Oracz przejąłby jego rolę tutaj. Czemuż by nie spróbować? Nie na siłę, delikatnie...

Udało się! Brat Paweł znalazł się w Dolinie Upokorzenia z *Drogi Pielgrzyma*. Był sam, ale przy boku miał zacny miecz. Nie powinien mieć specjalnych problemów z dojściem do...

Pojawienie się potwora przerwało tok jego myśli. Och, nie. Teraz będzie zmuszony radzić sobie z niebezpieczeństwami tej wizji, a nie wydawały się przyjemniejsze od innych. To coś, co się pojawiło, zwało się Apollyon i nie można było przed tym uciec. Będzie więc musiał walczyć, jeśli nie uda mu się pozbyć potwora za pomocą jakiegoś bluffu. Stał w miejscu, naprzeciw monstrum.

A było ono ohydne; miało łuski jak ryba, skrzydła jak smok, niedźwiedzie łapy, lwią paszczkę i brzuch pełen ognia. Pysk natomiast wydawał się jakby znajomy: czyżby znowu Therion?

Apollyon popatrzył na niego wzgardliwie, wydmuchując z nozdrzy śmierdzący dym.

— Skąd przychodzisz i dokąd podążasz?

— Jestem z Miasta Zniszczenia — odparł brat Paweł — które jest miejscem wszelkiego zła, a podążam do Miasta Syjon.

Zablokowany został w akcji i w dialogach tego klasycznego utworu; tylko jego myśli pozostały wolne. Cóż za okrzęna droga, by znaleźć Piekło Lee!

Apollyon rozstawił szeroko łapy, zamykając mu drogę.

— Przygotuj się na śmierć. Klnę się na moje piekielne mieszkanie, że nie pójdziesz dalej; tutaj wycisnę z ciebie duszę.

I cisnął płonąca strzałę w pierś brata Pawła. Ten jednak miał tarczę, okrągłą i świecąca mosiądzem jak wielka moneta (czy była tam przed chwilą?), która przechwyciła pocisk. Wydobył miecz, lecz Apollyon już ciskał następne strzały. Brat Paweł usiłował je odbijać, ale spadały na niego jak md, magicznie pomnożone. Jedna celowała wprost w jego twarz; poderwał do góry miecz, by ją odbić, nie chcąc ryzykować użycia tarczy i odsłonięcia tym samym nóg, i strzała zraniła go w dłoń. Krzyknął z bólu i strząsnął ją z ręki; rana była powierzchowna, lecz paliła jak ogień. Następna trafiła go w stopę, zmuszając do podskoków na jednej nodze. Cóż też mogło być na tych grotach — jad czerwonej mrówki, szerszenia i skorpiona? Opuścił tarczę i trzecia strzała trafiła go w głowę, tuż ponad linią włosów.

Brat Paweł cofnął się. Najwyraźniej mógł zostać zmasakrowany! Sądził przedtem, iż jest odporny na wszelkie ataki mitycznych potworów, skoro jest tu tylko, w pewnym sensie, przechodniem. Błędne założenie! Animacje mogły zabijać i zabijały; był tego przecież świadom od samego początku. Apollyon może być istotą z wyobraźni Johna Bunyana, ale tu właśnie było królestwo wyobraźni, a ktoś rzeczywisty odgrywał rolę potwora. Jeśli w utworze *Droga Pielgrzyma* jego postać miała ponieść śmierć, brat Paweł znalazł się w poważnych tarapatkach. Chyba że ponownie przeniesie się do jakiejś innej opowieści i wejdzie w rolę kogoś, o kim wiadomo, że przeżyje...

Próbował skoncentrować się nad taką zmianą, ale bez rezultatu. Koszmarne strzały ciągle spadały na niego, a głowa, dłoń i stopa bolały bez przerwy. Strużka krwi spływała mu do prawego oka. Apollyon posuwał się do przodu z taką samą szybkością, z jaką on się cofał; poświęcenie nawet odrobiny uwagi innym utworom literackim mogło mieć dla niego fatalne skutki!

Nie ma wyjścia: musi walczyć tu i teraz. Nie uda mu się zwyciężyć, jeśli dostosuje się do reguł gry tego potwora; będzie musiał sprowokować go do walki na swój sposób. A ten sposób i styl to naturalnie judo; jak tylko dopadnie Apollyona gołymi rękoma, to...

Nie była to co prawda najlepsza taktyka w walce ze smokiem Pokusy .W — ,animacji Siedmiu Kielichów. Judo nadawało się zasadniczo do walki z ludźmi, a nie z potworami. Może więc będzie lepiej zachować je jako ostateczność, a teraz jednak posłużyć się mieczem.

Zatrzymał się i zaatakował, machając mieczem tak szybko, że aż tworzyły się błyszczące łuki w powietrzu. To była zacna broń, pięknie wyważona, z ostrzem magicznej wręcz ostrości, a sama animacja miała wyraźny fantazji heroicznej. Apollyon cofnął się, odczuwając nagłą obawę. Brat Paweł następował, usiłując przeciąć potwora na pół.

Ale miecz miał jeszcze jedną cechę — był ciężki. Bratu Pawłowi zaczynało omdlewać ramię. Jeśli nie położy nieprzyjaciela w najbliższych chwilach zmęczy się tak bardzo, że będzie praktycznie bezbronny. Podwoił więc wysiłki, by dokończyć dzieła.

Apollyon dążył do zwania. Brat Paweł odrzucił tarczę i trzymając miecz oburącz wymierzył cios w głowę potwora, z zamiarem przecięcia jej na pół. Zawahał się jednak, opuszczając ostrze: celował w Apollyona — lecz czy przypadkiem nie zginie Therion?

Apollyon wykorzystał ten moment, odskoczył na bok, obrócił się, chwycił ramiona brata Pawła w swe własne, wydał ogłuszający okrzyk KIIAIII! — i wykonał bezbłędny rzut *ippon seoi nage*. Brat

Paweł, jak głupiec, sam mu się podłożył! Rzuty takie jak ten wymyślono po to, by obezwładnić wojowników w zbroi lub rozbierać napastników. Pobito go jego własną bronią.

Upadek był bolesny. Miecz wyfrunął mu z garści i brat Paweł stracił dech w piersiach. Prawie półprzytomny, zauważył jednak, jak fachowo potwór zabiera się do tego, żeby założyć mu teraz odpowiedni chwyt. Miał to być *Kami shiho gatame*, jeden z najskuteczniejszych w arsenale judo. Potwór zastosował go i naciskał teraz całym ciężarem na głowę brata Pawła, przygważdżając ją do ziemi, zmuszając do odwrócenia jej w bok, by uniknąć uduszenia. Brat Paweł czuł w nozdrzach odór rybich łusek, a na policzku ich szorstkość. Usiłował zrzucić z siebie potwora, lecz chwyt był bardzo mocny. Apollyon wiedział, co robi! Żaden człowiek nie rozerwałby tego chwytu.

Nie był to, niestety, mecz judo. Nie można liczyć na to, że po trzydziestu sekundach potwór uprzejmie zwolni uchwyt, wiedząc, że odniósł zwycięstwo.

— Teraz sprawa jest już przesądzona — powiedział Apollyon, naciskając jeszcze mocniej. Ciężar jego ciała wzrósł w sposób magiczny, wynikał z czegoś więcej niż z samej pozycji. Brat Paweł miał wrażenie, że za moment pięknie mu czaszka. Oczy wyszły mu na wierzch, jakby miały zamiar opuścić głowę. Znajdował się w imadle, a jakaś niewidzialna ręka przekręcała je coraz ciaśniej...

I wtedy zobaczył swój miecz. Nie upadł daleko; leżał płasko na ziemi, w odległości mniej więcej metra. Gdyby odwrócił był głowę w przeciwną stronę, nigdy by go nie zauważył. Czysty przypadek! Wyrzucił gwałtownie lewą rękę — i chwycił za rękojeść.

— Nie raduj się przedwcześnie, mój ty nieprzyjacielu — wykrztusił z trudem. — Tam gdzie padłem, tam i powstanę.

I wykonał lewą ręką pchnięcie w bok potwora. Nie było ono zbyt skuteczne z powodu ograniczonej widoczności i złej pozycji, lecz mimo to zacny miecz wyrwał pewną ilość łusek i otworzył ranę w ciemnym cielsku potwora.

Apollyon zawył z bólu i rozluźnił uchwyt. Brat Paweł zrzucił go z siebie i natychmiast przetoczył się w bok. Wsparł się na dłoniach i kolanach, potrząsając obolałą głową. Zauważył, że z boku potwora wypływa brązowa posoka. Podniósł się do pozycji klęczącej, uchwycił mocno miecz w obie ręce i złożył się do ciosu. — Ba! — zawołał. — W tych wszystkich sprawach jesteśmy kimś więcej niż tylko zwycięzcami, poprzez Tego, który nas umiłował.

I opuścił miecz, by zadać decydujący cios.

Apollyon jednak, już pokonany, umknął do tyłu, unikając ciosu.

— Oszczędź mnie, wielki bohaterze! — krzyknął. — Wynagrodzę ci twą litość nade mną!

Brat Paweł zawahał się. Czy tak było w scenariuszu? Czy mógł mieć zaufanie do potwora lub człowieka, który grał jego rolę? Cóż, ciągle miał w rękach solidny miecz i mógł go użyć, kiedy tylko Apollyon wykona pierwszy fałszywy ruch. Poza tym potwór wydawał się nie posiadać więcej niebezpiecznych pocisków.

— Co chcesz mi zaoferować, ty diable?

— Informację! — zaowlał Apollyon z entuzjazmem. — Znam te dziedziny lepiej od ciebie. Mogę wskazać ci miejsca, których poszukujesz. Bogactwa, broń, piękne nimfy...

— Szukam kogoś, kto jest w Piekle.

Potwór rozpostarł skrzydła, zaskoczony jego słowami.

— Już byś tam był, gdybyś nie pokrzyżował moich planów.

— Nie chcę być odesłany do piekła... chcę uratować kogoś, kto być może tam się znajduje. Znajdź go dla mnie, a puszcze cię wolno.

Apollyon wykonał skrzydłami gest przypominający wzruszenie ramion.

— Widzę, że niewiele wiesz o Piekle, śmiertelniku! Jeśli tyle wysiłku kosztowało cię, żeby mnie pokonać (i to tylko dlatego, że zapomniałem kopnąć ostrze twego miecza w bok), mnie, który jestem najmniejszym z diabłów, w rejonach infernalnych nie masz szans przetrwać nawet kilku sekund. Musiałbyś poza tym posiadać gruntowną znajomość historii i psychologii Piekieł, by w ogóle próbować odgadnąć, gdzie może przebywać twój przyjaciel, ponieważ Piekło jest większe niż cały ten świat doczesny, a i wówczas nie ośmieliłbyś się zapuścić tam samotnie.

Brat Paweł rozważał jego słowa. Brzmiały całkiem rozsądnie!

— W porządku... przedstaw mi tę historię i psychologię. Potwór wypuścił płomienie ognia ze swych lwich nozdrzy.

— Śmiertelniku, toż to zajęcie na całe życie!

— Streszczaj się wobec tego — zasugerował brat Paweł, unosząc do góry miecz.

Apollyon westchnął, wypuszczając przy tym kłęby dymu.

— Spróbuję. Chociaż uważam, że najlepiej przedstawił to John Milton...

— Znasz dzieła Milтона? — zapytał zdumiony brat Paweł.

— Naturalnie. I on, i Bunyan żyli w tym samym czasie, dwie wielkie postaci purytańskiego interludium w literaturze brytyjskiej siedemnastego wieku. Jeden napisał wielką alegorię, drugi — wielki utwór epicki. Niektórzy uczeni (dranie!) lekceważą Bunyana, preferując Milтона, lecz...

— Dobrze, już dobrze — powiedział brat Paweł. — Opowiedz mi o Piekle Milтона.

— Cóż, jeśli mogę zacytować *Raj utracony*...

— Byle nie cały utwór! — zaprotestował brat Paweł.

— Dokonam redakcji i dobiore odpowiednie fragmenty — zapewniał go Apollyon i widać było, że przedtem nie miał takiego zamiaru. Stał w odpowiedniej pozie, rozstawił łapy i począł deklamować:

To wąż piekielny; on to był, którego
Podstęp zrodzony z zawiści i zemsty
Oszukał matkę ludzi, gdyż go pycha
Z niebios strąciła, a wraz z nim zastępy
Jego aniołów zbuntowanych, z których
Pomocą pragnął wzbić się w wielkiej chwale
Ponad równymi sobie i uwierzył,
Że Najwyższemu dorówna, gdy zechce
Opór mu stawić; mając ów cel dumny
Rozpoczął wojnę bezbożną w Niebiosach,
Przeciw tronowi i królestwu Boga
Bój tocząc próżny. Moc najwyższa wówczas
W dół go strąciła i runął płonący
W bezdenną zgubę żaru i ruiny Ohydnej,
aby tam zostać w okowach
I ogniu kary, jako że się ważył
Wszechmogącego wyzywać do boju.

— Doskonale — rzekł brat Paweł. — Doceniam wielkość Milтона, lecz chodzi mi o samo Piekło.

— Właśnie do tego przechodzę — odparł rozdrażniony Apollyon. — Szatan zbiera się po upadku, powstaje i mówi:

...Cóż z tego,

Że z pola trzeba było zejść? Nie wszystko

Jeszcze stracone; wola nie skruszona,

Wieczna nienawiść, myśl o zemście, także

Śmiałość, co każe, by się nie poddawać

Nigdy i nigdy nie korzyć, na koniec

Nie dać się zdeptać. Do tego mnie nigdy

Gniew ani przemoc Jego nie przymuszają:

Bym bił pokłony i błagał o łaskę

Zgiętym kolanem...

To nikczemnością i niesławą większą,

I hańbą większą niżli nasz upadek.

...Tak odszczepieńczy rzekł anioł, choć cierpiał,

Chępiąc się, jednak rozdarty rozpaczą,...

Bezzwłocznie postać potężną wydzwignął

Z jeziora...

Wreszcie osiada już na suchym lądzie...

...Czyż na ten obszar, na tę okolicę,

Na tę siedzibę — tak rzekł ów zgubiony

Archanioł — Niebo zamieniać musimy?

Światłość niebieską na ów mrok żałobny?

Niech się tak stanie...

...Żegnajcie, szczęśliwe

Pola, gdzie radość żyje wiekuista:

Witaj mi, grozo, witaj, świecie piekieł;

A ty, najgłębsza z piekielnych otchłani,

Przyjmij nowego pana, gdyż przybywa

Przynosząc umysł, którego nie zmienią

Czas ni siedziba. Umysł jest dla siebie

Siedzibą, może sam w sobie przemienić

Piekło w Niebiosa, a Niebiosa w piekło...

...Tutaj wolnymi będziemy przynajmniej...

...bowiem lepiej

Być władcą w piekle niż sługą w Niebiosach.*

Brat Paweł skinął głową pod wrażeniem deklamacji.

— Tak, jestem w stanie zrozumieć determinację Szatana. Nie poddał się; miał serce wojownika. Uczynił więc Piekło miejscem odpowiednim dla swoich gustów...

— Tak właśnie uczynił — rzekł Apollyon. — Jak tedy spodziewasz się zstąpić do tego Piekła, do inferalnego miasta Pandemonium i zyskać jakąkolwiek moc nad upadłym Archaniołem? On przeciwstawił się samemu Bogu; tylko wtedy, gdyby twoja moc była porównywalna z mocą Boga, miałbyś szansę wyrwać jakąś duszę z Piekła. Mówiąc szczerze, nie dorastasz do takiego zadania.

— Cóż, będę musiał znaleźć jakiś sposób — powiedział brat Paweł.

Apollyon rozpostarł swe smocze skrzydła i uniósł się w powietrze. Po chwili zniknął w oddali.

Co teraz? Nie byłoby rozsądnie udać się bezpośrednio do Piekła; Apollyon mu to wykazał. Nie mógł jednak zrezygnować z tej misji i pozostać w zgodzie z własnym sumieniem. Czy była jakaś alternatywa?

Strzelił palcami.

— Dante! — wykrzyknął. — Przecież on udał się do Piekła... z przewodnikiem. Był nim rzymski poeta Wergiliusz. Gdybym ja miał podobnego przewodnika...

Dante jednak nie zamierzał wrywać nikogo z czeluści Piekieł — na |te4atek kogoś takiego jak

Jezus. Wergiliusz prawdopodobnie odmówiłby u pomocy, a próba taka unieważniłaby jego wizę pobytową.

Lepiej robi, ponosząc ryzyko samotnie. Gdyby udało mu się wślizgnąć...

Nie! Byłoby to nieuczciwe. Cel nie może uświęcać środków. Sam Jezus nie przyjąłby pomocy dostarczonej przy wykorzystaniu wątpliwych środków. Jeśli nie może uczynić tego zgodnie z zasadami i regułami, nie robi tego w ogóle. Zatem...

Zatem uda się na sam szczyt — do samego Szatana, jeśli zajdzie taka potrzeba — i poprosi o pozwolenie. Jakby nie było, jest to sytuacja wyjątkowa.

Jesteś szalony! — krzyczał jakiś głos w jego wnętrzu. Czy było to sumienie, czy diaboliczny aspekt jego samego? Szatan cię schwyci i umieści w Piekło!

Hm, możliwe. Musi więc być wyjątkowo ostrożny. Jednak nie może zrezygnować. Skoncentrował się.

— Panie Piekło! Księżę Ciemności! Usilnie proszę o audiencję...

— Wokół niego zmaterializowała się Kula Ognista. Było w niej światło na kształt płynącej krętym nurtem rzeki wyrzucającej jasne iskry, które świeciły jak rubiny. Jeśli to była rzeka Styks... czy raczej rzeka Acheron... to Piekło było o wiele ładniejsze niż sobie wyobrażał.

Cóż, a może to jego wyobrażenie tego miejsca było fantazją! Wysłuchał propagandy strony anielskiej i wyobraził sobie Piekło jako coś wielce szpetnego; bez wątpienia dusze w Piekło informowane były o brzydocie Niebios. Czarne jest białe, białe jest czarne — dwumowa, dwumyślenie i tak dalej. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Jego bieżącym zadaniem było zlokalizowanie kwatery głównej...

Kiedy tak obserwował Kulę Ognistą świecąca rzeka zmieniła swój kierunek i uformowała spiralę, wir, którego punkt centralny zajaśniał jak słońce. Zewnętrzne zapętlenia stały się wzorzyste, każda pętla przypominała świeży kwiat — a każdy kwiat był skrzydlatą postacią. Czyżby zastępy demonów szatana? Dziwne; choć wiedział, kim są owe postaci, nie mógł odmówić im swoistego piękna!

Jedna z nich odłączyła się od grupy i podfrunęła do niego. Była duchem rodzaju żeńskiego, pięknym ponad wszelkie jego wyobrażenia o Piekło, pozornie czystość absolutna.

— Pawle — zawołała, zatrzymując się obok niego.

Uświadomił sobie nagle, że stoi na szczycie góry, z twarzą zwróconą w kierunku białej róży utworzonej z postaci, jak wir na niebie, a ona wynurzyła się właśnie z tego wiru.

Rozpoznał ją. Naturalnie — Amaranta, wieczna uwodzicielka. Było rzeczą równie naturalną, że pojawia się w Piekło! A przecież oblicze jej świeciło swym własnym, czystym blaskiem i była piękna na swój sposób, pięknnością raczej anielską niż...

— Co to za miejsce? — zapytał gwałtownie. — Kim ty jesteś? Uśmiechnęła się z wdziękiem.

— To Empireum, Dziesiąte Niebo... a ja jestem Maria.

— Dziesiąte co? — zapytał niezbyt inteligentnie. — Jaka Maria?

— Dziesiąte Niebo Raju — odparła, jeszcze raz uśmiechając się delikatnie. — Maria, matka Jezusa.

Coś tutaj było nie w porządku. — Ja... sądziłem, że jestem w Piekło. Popatrzyła na niego z wyrozumiałym zdziwieniem. Oglądasz Dwór Boga — i mylisz go z Piekłem?

— Precesja — wyszeptał. Po czym próbował wybrnąć z tej sytuacji. — Zamierzałem odnaleźć Szatana, by... by wnieść do niego prośbę. Ja... nie powinienem być teraz w Niebie. Chyba... pomyliłem wejścia.

— Czy Pan Niebios nie mógłby ci pomóc? — zapytała Maria. Wyglądała znajomo, lecz nie jak osoba, która grała jej rolę. Być może za wzór posłużył Jakiś obraz.

Brat Paweł rozważył jej słowa.

— Ja, hm, nie zamierzałem zajmować uwagi Boga swoją osobą, hm, właśnie teraz.

Znajdował się przecież w tych animacjach po to, by stwierdzić, czy Bóg Tarota jest autentycznym Bogiem; dlaczego więc wahał się teraz, kiedy miał szansę uzyskania bezpośredniej audiencji? Czy powodem był fakt, że nie czuł się przygotowany (a czy ktokolwiek mógł być przygotowany na takie spotkanie?), czy też obawiał się, że za tą nieziemską jasnością w centrum róży światła znajdzie taką samą odpowiedź jak ta, którą odnalazł wewnątrz jaśniejącego Graala? Pewien był jedynie tego, że nie chciał spotkać się z Bogiem właśnie w tej chwili.

— Może gdybyś mnie poinformował o naturze swych poszukiwań... — sugerowała Maria głosem pełnym współczucia.

— Uchwycił się tych słów.

Ach, tak. To... on... ja... to znaczy, twój syn Jezus... zamierzał... Nie wiedział, co mówić dalej. Brzmiało to tak nedorzecznie! , Jezusa nie ma w tej chwili — powiedziała Maria. — Przebywa z misją wśród żyjących i nie mieliśmy ostatnio od niego żadnych wieści. Jestem zaniepokojona.

— Jest w Piekło — wypaplał brat Paweł. — On... ja miałem tam pójść, lecz On w imię naszej przyjaźni udał się tam zamiast mnie i ja teraz usiłuję go stamtąd wydostać.

Przyglądała mu się z anielską powagą.

— Życzysz sobie zamienić się z nim miejscami?

— Nie! Nie chcę, by którykolwiek z nas pozostał w Piekło! Uważam, że Jego gest jest pomyłką,

jako że ja nie miałem być zesłany do Piekła, dym razie nie za to, za co On sądził, że powinienem tam się znaleźć. Chcę Go więc o tym przekonać i zabrać stamtąd — o ile potrafię Go odnaleźć.

Rozważała jego słowa.

Jeśli tak jest, jak powiadasz — oznacza to naruszenie obowiązujących norm. Piekło nie może go przetrzymać bez jego zgody. Ja, jako Jego matka, boleję nad Jego cierpieniem. Wiem, że jest samowolny, pamiętam, kiedy jako dwunastolatek zniknął z domu by dyskutować z kapłanami w Świątyni... nigdy nie był zachwycony niektórymi aspektami działalności przy świątynnej, kupcy i lichwiarze, wiesz zresztą... Jej głos ucichł, a oczy zaszły mgłą wspomnień.

— Gdybym tylko mógł z Nim porozmawiać — powiedział brat Paweł.

Maria podjęła nagłą decyzję.

— Sądzę, że Bóg nie miałby nic przeciwko temu, żebyś przeprowadził pewien przegląd rejonów duchowych. Mamy do czynienia z ciągłym napływem świeżego personelu i zaczynamy się trochę gubić. Czy jesteś biegły w liczeniu?

— Nie obchodzi mnie, ile dusz jest w... — Przerwał, ujrawszy jej niemy wyrzut. Wyjął kalkulator. — Tak, potrafię liczyć — powiedział.

— Będziesz musiał być bardzo ostrożny — ostrzegła go. — Bóg nie życzy sobie niepokojów. Gdyby ktoś zaczął podejrzewać...

— O to mi właśnie chodzi! Nie chcę zakradać się chyłkiem, chcę natomiast wejść tam i porozmawiać...

— Wejdiesz oficjalnie — powiedziała. — Gdybyś jednak miał czekać na przepustkę od Szatana, mógłbyś jej nigdy nie doczekać. Zwłoka biurokratyczna to jedna ze specjalności Piekła. Jako rachmistrz zaś będziesz mógł zacząć praktycznie natychmiast. Bóg rozumie.

Krótko mówiąc, była to metoda ominięcia formalności. Tak będzie musiał postąpić.

— Hm... czy jest jakaś mapa? Nie chciałbym się zgubić...

— Niepotrzebna ci mapa — zapewniła go. — W Raju jest dziesięć Kręgów Niebieskich, każdy oznaczony planetą lub gwiazdą, przeznaczonych dla Aniołów, Świętych, Prawych Władców, Duchów Wojowników, Teologów, Kochanków, i tak dalej. Wystarczy, że zstąpisz obok nich w odpowiedniej kolejności, czyniąc notatki. Znajdziesz się wówczas na górze zwanej Purgatorio, czyli Czyściec, posiadającej siedem poziomów: dla Pożądliwych, Żarłocznych, Skąpych, Gnuśnych, Gniewnych, Zawistnych i Wyniosłych. Po czym, już we wnętrzu Ziemi, ominiesz Szatana i wstąpisz do najgłębszego kręgu Piekieł: lodowatej dziedziny zdrajców. Stamtąd będziesz mógł wejść do każdego z pozostałych kręgów. Jest ich w sumie dziewięć i odnajdziesz Go w jednym z nich.

Patrzyła na niego w napięciu.

— Uważaj na siebie, Pawle.

— Postaram się — odpowiedział.

Cóż takiego w niej było? Nie to, że była matką Chrystusa; widział ją płaczącą pod Krzyżem, na Wzgórzu Czaszki, i nie było tam nic z magii — Nie, to coś bardziej osobistego...

Przerwał te spekulacje. Miał zadanie do wykonania. Rozejrzał się — i Maria zniknęła. Zagubiła się w Niebiańskiej Cizbie.

Dobrze więc: przeprowadzi spis Raju Dantego. Ale jak ma policzyć te ‘świecące miriady, nie mówiąc już o zapisywaniu wyników? Wszystkie dusze wszystkich ludzi, jacy kiedykolwiek istnieli! Kiedy jednak popatrzył na kalkulator, ujrzał ukazujące się i zmieniające liczby. Kalkulator dodawał już sam, wpisując wyniki do swej maleńkiej pamięci. Mógł więc ograniczyć się do sprawdzania końcowych sum.

Ruszył w dół zbocza. Czuł, że jest zbudowany z jakiejś materii duchowej i może poruszać się bez obawy przed upadkiem. Wielkie Kręgi Niebieskie oddalały się i wyglądały z daleka jak gwiazdy Drogi Mlecznej. Dopiero teraz y ich muzykę: — Gloria in excelsis...

Błyskawicznie przebył rejony gwiazd stałych — Saturna, Jowisza, Karsa, Słońca, Wenus, Merkurego i Księżycy — i dotarł do granic Czyścca. Chciał porozmawiać z niektórymi duszami w Niebie, lecz obawiał się, że jakakolwiek zwłoka mogłaby narazić na szwank jego drugą misję. A nie życzył sobie, by Jezus pozostawał w Piekło ani chwili dłużej niż to było konieczne.

Purgatorio było mroczne i posępne. Powietrze było szare, cienie głębokie, nocne sylwetki sękatych drzew sięgały wysoko. Poczuł wokół siebie dosłowny, fizyczny ciężar otaczającej go materii. Żadnych chórów anielskich w tym miejscu.’

Był to Poziom Siódmy, szczyt groźnej góry, miejsce, gdzie mieszkała Żądza. Nie było powodu, by pozostał tam dłużej niż wymagało zapisanie liczby dusz. Znał już przecież biedę, do jakiej może doprowadzić ślepa żądza. W pewnej chwili ujrzał wóz czy też rydwan stojący pod drzewem. Z nieba pikował nań wielki orzeł, nurkował kilkakrotnie w ataku, lecz za każdym razem w ostatnim momencie podrywał się, obsypując pojazd swoimi piórami. W ziemi otwarła się szczelina, z której wygramolił się smok. Jednym machnięciem ogona roztrzaskał rydwan, posyłając w powietrze chmurę piór.

I oto rydwan się zregenerował! Każda jego połamana część zapączkowała ciałem zwierzęcym: groteskowymi monstrami ze skrzydłami, rogami, wężowymi skrętami; monstrami o dzikim i okrutnym wyglądzie. Na jego W połowie ożywionej podłodze ukazała się kobieta o pełnym biuście i bezczelnym spojrzeniu rozglądająca się wokół zaborczo. Spozstrzegła brata Pawła i przywoływała go do siebie gestem jednej dłoni, drugą poklepując zachęcająco rydwan. Niewątpliwie prostytutka, odgrywana przez tę, która gra wszystkie podobne role, a tu przecież był Krąg Żądz.

Brat Paweł nie dał się skusić tym razem. Kiedy jeszcze przyzywała go gestem, tuż obok niej pojawił się potężnie zbudowany mężczyzna, prawdziwy olbrzym. Zaczął całować nierządnicę, a ona odwzajemniała jego pocałunki z zapalem — zerkając jednocześnie na brata Pawła. Olbrzym pobiegł

oczyma za jej wzrokiem, ujrzał brata Pawła i skrzywił gniewnie twarz, przypominając tą miną potwora Apollyona. Wyglądało na to, że zeskoczy z rydwanu i zaatakuje domniemanego rywala, wobec czego brat Paweł wycofał się pośpiesznie. I tak marnował tu niepotrzebnie czas. Olbrzym ujął tedy bicz i pognał nim część rydwanu złożoną z monstrów. Kiedy potworki ruszyły, obrócił się ku swej partnerce i zaczął ją smagać brutalnie i dziko. Brat Paweł oddalił się. Postanowił, że po zakończeniu swej misji przeczyta *Boską Komedię*, by dowiedzieć się, kim była ta dwójka i co oznaczała odgrywana przez nią scena.

Przekroczył rzekę Letę, brodząc po odkrytej w pobliżu płyciźnie i zwracając pilną uwagę na to, by żadna kropla jej wód nie znalazła się w jego ustach. Zapomnieć o celu swej misji było najgorszą rzeczą, jaka mogła mu się teraz przydarzyć! Wkroczył na ponure pustkowia, sprawdzając co chwila, czyjego kalkulator zapisuje wszystkie znajdujące się tam dusze. Jakież to kontrast z tym, co widział w Raju! Nie było co prawda zbyt wiele jawnych mąk i tortur wokół, wyjąwszy jakąś grupę nagich postaci przechodzących przez ogień, lecz uczucie nędzy i poniżenia było wszechogarniające. Żarłoczni z Szóstego Kręgu morzeni byli głodem, skąpi musieli obywać się bez wszelakich wygód; gnuśni stali beczynnie, cierpiąc wieczną nudę. Wyniośli i dumni z Pierwszego Kręgu dźwigali ciężkie kamienie na szczyt góry.

Jeśli to było tylko Purgatorio — Czyściec, to jak wyglądało Inferno — Piekło? Miał to odkryć już wkrótce!

Dotarł do miejsca, w którym z ziemi strzelały ku górze olbrzymie nogi Szatana. Był to jedynie posąg; Szatan żywy nie był w tej chwili na służbie. A może był służbowo gdzieś indziej; Zły pełnił przecież swą służbę permanentnie! Między tymi nogami a gruntem było wąskie przejście: wejście do Piekła, takiego, jakie stworzył w swym dziele Dante.

Brat Paweł rozpoczął wspinaczkę. Wpierw szedł co prawda w dół, lecz wkrótce przyciąganie ziemskie uległo zmianie, zmuszając go do zmiany pozycji i kontynuowania dalszej drogi głową do przodu. Przekroczył środek świata tuż obok kolosalnych rozmiarów genitaliów Szatana! Wspinał się teraz pod górę — do Piekła.

Robiło się coraz zimniej. Kiedy znalazł się w wielkiej, otwartej komorze, ujrzał zamrożone jezioro, którego powierzchnia sięgała poziomu piersi posągu — Szatana. Piekło Dantego, paradoksalnie, skute było lodem.

Trzęsąc się nie tylko z powodu zimna, brat Paweł ruszył w poprzek jeziora. Lód był tak zamrożony, że przestał być śliski; równie dobrze mogła to być skała. Zatrzymał się, by spojrzeć za siebie — i po raz pierwszy ujrzał Szatana w pewnej perspektywie. Zobaczył olbrzymie, rozpostarte nietoperze skrzydła i trzy oblicza — jedno białe, jedno szkarłatne, jedno czarne. Czarne patrzyło wprost na niego. Jedno oko mrugnęło, nie przypadkiem.

To nie był posąg. Był to Szatan We Własnej Osobie!

Jedne, o czym był w stanie pomyśleć brat Paweł w tym momencie, to: co by się stało, gdyby Szatan miał wiatry właśnie w tej chwili, kiedy on przekraczał „nadir”? Zdmuchnęłoby go na amen!

Odwrócił się i zaczął biec. Nikt go jednak nie gonił. Bo i po co? Jedyna droga ucieczki to ta, którą tu przyszedł — a tam właśnie stał Szatan.

Na skraju jeziora odkrył ludzkie ciała. Wmarznięte były w lód, twarzami ku górze, z rozwartymi oczyma — nie całkiem jednak pozbawione świadomości. Byli to zdrajcy, którzy działali na szkodę swoich dobroczyńców.

Pośpieszył dalej, nie zwracając już uwagi na kalkulator, który sam dokonywał obliczeń. Szansa na to, że uda mu się przechytrzyć Szatana, była niewielka, jednak dopóki był wolny, mógł działać. Może się jednak okazać, że będzie to jego własne Piekło: obliczenia dla każdej części tak się popłaczą, że będzie powtarzał je w kółko, wędrując po Piekło przez całą wieczność.

Brzegi jeziora otaczali olbrzymi — nie tak wielcy jak Szatan — o trzech obliczach (nie o dwóch?), lecz sześciokrotnie przewyższający wzrostem zwykłego człowieka. Każdy miał brodę dwumetrowej długości, opadającą na owłosioną pierś, tak że trudno było stwierdzić, gdzie kończyła się broda, a zaczynała pierś.

Brat Paweł zbliżył się do najbliższego z nich.

— Przeprowadzam obliczenia — rzekł, wskazując na kalkulator. Nie miał pewności, czy olbrzym go widzi i słyszy. — Czy mógłbyś mi pomóc dostać się do Ósmego Kręgu?

Ku jego zdumieniu, olbrzym pochylił się i wyciągnął rękę. Brat Paweł wszedł na nią i błyskawicznie znalazł się na szczycie skały.

— Dziękuję — powiedział, lecz olbrzym zignorował go całkowicie, odwracając się do niego plecami.

Szedł więc dalej, mijając ludzi z odciętymi nogami, rękami, a nawet głowami, a mimo to przytomnych i odczuwających ból. To jacyś fałszerze. Czy znajdzie między nimi Lee, dlatego że grał rolę Jezusa? Jaka jest definicja fałszu i oszustwa? Na pewno nie taka!

Gdzie też mógł się znajdować Lee? Apollyon miał rację: w Piekło było tak wiele kategorii zła i tak wiele dusz w każdej z nich, że mógłby poświęcić resztę swego ziemskiego (a nawet wiecznego) życia na szukanie jednego człowieka i nie znaleźć go. Być może o to właśnie chodziło Szatanowi. Musi postąpić inteligentnie i zawęzić drastycznie obszar poszukiwań. Grzechy cielesne? Nie, to nie Lee. Skapstwo? Nie, prawdopodobnie nie. Gniew? Cóż, być może...

Przerwał rozważania, uderzony czymś tak oczywistym, że aż do tej chwili nie było ono oczywiste. Nie powinien starać się zlokalizować Lee, czy Jezusa, lecz kombinację obydwu. W której części Piekła mogła się znajdować taka para? Na pewno nie wśród heretyków, choć sądząc po kościołach, które powstały w oparciu o imię Jezusa...

I nagle wpadł na to.

— Schizmatycy! — wykrzyknął. — Ci, którzy oddzielili się od Marti Kościoła.

Pasowałoby to do obydwu, ponieważ Lee był mormonem, członkiem sekty schizmatycznej, a sam Jezus nie mógłby zapewne zaakceptować zastrzeżeń kościoła, który torturował, a nawet zabijał w jego imieniu.

Schizmatycy przebywali właśnie tutaj, w Ósmym Kręgu, wraz z uwodzicielami, czarnoksiężnikami, złodziejami, hipokrytami, łgarzami, złymi doradcami i innymi oszustami. Brat Paweł nie zgadzał się z klasyfikacją Dantego, lecz był zmuszony działać wewnątrz obowiązującej tutaj konwencji. W każdym razie, Rzymianie ukrzyżowali Jezusa pomiędzy dwoma łotrami. Kiedy jesteś w Rzymie, czyń jak Rzymianie, kiedy zaś w Piekło...

Zbliżył się do rejonu schizmatyków, szukając kogoś o twarzy Jezusa — Lee. Wyglądało na to, że jest ranek — czas zmieniał się w Piekło w sposób magiczny — i dusze wstawały po niewygodnej drzemce na ziemi i kamieniach. Tworzyły kolejkę, zakręcającą i znikającą za wielką skałą. Może śniadanie?

Dlaczego ktokolwiek miałby potrzebować jedzenia czy snu w Piekło? Wszyscy byli przecież duchami! Cóż, ani literatura, ani religia nie uważały za stosowne opierać się na logice!

Brat Paweł ruszył wzdłuż kolejki z kalkulatorem w dłoni. Ludzie byli nadzy i nie mógł się zorientować, który odłam schizmy reprezentują. Zastanawiał się, gdzie są kobiety; czyżby kobiety nie należały do sekt niemiłych Dantemu? Dante posiadał całkiem szerokie horyzonty jak na swoją epokę, lecz czasy około roku 1300 nie należały do najbardziej liberalnych w Europie, o czym żyjący wówczas mieli okazję się przekonać.

Okrażył skałę od strony przeciwnej niż kolejka dusz. Coś tam się działo...

O Boże, nie! — zawołał w duchu. Wzrok go nie mylił: jakiś demon dzierżący wielki miecz wymierzał ciosy przechodzącym obok ludziom. Nie przypadkowo, lecz ze złośliwą precyzją. Jednemu obcinał uszy i nos, drugiemu rozcinał klatkę piersiową, innemu wreszcie wypruwał wnętrzności jednym potwornym cięciem od szyi do pachwiny.

Dusze cierpiały bez sprzeciwu, bez próby uników, bez słowa skargi. Krwawiące, zszokowane z bólu szły dalej, potykając się o własne nogi. Jedna, której wnętrzności wypłynęły na zewnątrz i sięgały prawie ziemi, przechodziła obok brata Pawła.

Brat Paweł uczynił krok do przodu, bo twarz tego człowieka wydała mu się znajoma.

— Panie, pozwól sobie pomóc!

Nie był jednakże pewien, co może uczynić w obliczu tej potworności.

— Tu nie może być żadnej pomocy — odparł mężczyzna. — Ta kara jest dla mnie karą wieczną. Pomóż temu, który idzie za mną; jest nowicjuszem, jeszcze bez ran.

— Kim jesteś? — zapytał brat Paweł, rozpoznając jednocześnie aktora, którym był Therion.

— Jam jest Mahomet, założyciel schizmy muzułmańskiej.

— Mohammed! Nie jesteś nawet chrześcijaninem. Nie powinieneś znajdować się w Piekle chrześcijańskim!

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo, zapominając na chwilę o bólu.

— Ty to wiesz i ja to wiem, lecz Allach jest chyba innego zdania. — Przerwał, by wcisnąć do swego wnętrza jakieś jelito. — Naturalnie, Dante jest w Piekle muzułmańskim, jak przystoi niewiernemu. Tak więc, być może...

— Pawle!

Paweł odwrócił się gwałtownie na dźwięk swego imienia.

— Jezus!

Jezus wyglądał strasznie. Demon ciął go na krzyż, obnażając pulsujące płuca, serce, wątrobę, śledzionę i kawałek nerki. Mimo to żył i poruszał się.

— Co tu robisz, Pawle? Sądziłem, że uwolniłem cię od winy i kary.

Szok brata Pawła, wywołany widokiem tych potwornych ran, przerodził gniew.

— Nikt mnie nie może uwolnić od winy, prócz mnie samego! Nie się za grzesznika, w tym sensie, w jakim ty mnie za takowego uważasz, ale gdybym nim, do cholery, był, odbierałbym należne mi kary osobiście! Nikomu nie pozwolę być moim dublerem!

Jezus milczał.

— Czy mógłbym odegrać rolę pośrednika? — zapytał Mahomet. — Nie jestem stroną w waszym sporze.

— A kim ty jesteś? — spytał go Jezus.

— Jestem Mahomet, prorok Allacha.

— Nie sądzę, bym cię znał.

Mahomet uśmiechnął się — efekt był dość makabryczny, bo ciągle podtrzymywał wnętrzości rękoma.

— Naturalnie, że mnie nie znasz, Proroku. Pojawiłem się sześćset lat po tobie.

— „Proroku”? Nie bardzo rozumiem...

— Nazywam cię tak, ponieważ za takowego cię uważam. Było wielu proroków w historii ludzkości, a ty byłeś... jesteś... wielkim prorokiem. Lecz ostateczne proroctwo, jak do tej pory, należy do mnie.

— Hm, być może zmiana tematu... — wtrącił brat Paweł.

— Nie, ten człowiek budzi moją ciekawość — powiedział Jezus. — Czyż może być coś lepszego od dyskusji na tematy filozoficzne, jeśli chcemy Zapomnieć o cierpieniach fizycznych? Proszę, opowiedz mi o sobie, Proroku Mahomecie.

Brat Paweł zamilkł. Tym dwóm była potrzebna ulga w cierpieniach fizycznych. Kiedy oni będą rozmawiali, jemu może uda się wymyślić jakieś bardziej przekonujące argumenty, które pozwolą wyciągnąć stąd Jezusa.

— Z przyjemnością, Proroku Jezusie! Urodziłem się w mieście Mekka — znanym ci, być może, pod nazwą Mekkeh lub jakąś inną — 570 lat po twoich własnych narodzinach. Jest to tylko pewne przybliżenie, spowodowane zmianami i błędami w datowaniu i w kalendarzach. Ojciec zmarł jeszcze przed moim urodzeniem, matka zaś, kiedy miałem sześć lat. Wychowywali mnie krewni.

— Nie miałeś ojca? — zapytał Jezus.

— W pewnym sensie — przyznał Mahomet. — Allach jest co prawda ojcem nas wszystkich, ale człowiekowi potrzebny jest również ziemski rodzic, który by go chronił i uczył odróżniać zło od dobra.

— Tak! — zgodził się Jezus. — Który by go chronił przed szydercami i prześmiewcami.

— Żeby mógł przebyć tę drogę z łona matki, kiedy jego życie jest nie zapisaną kartą, do znalezienia ucieczki u Boga przed tymi, którzy sieją w jego serce zarzewie niezgody.

— Przed intrygami Szatana — zgodził się ponownie Jezus. — Słusznie mówisz, Proroku.

Mahomet chciał wrzucić ramionami, lecz skrzywił się jedynie z bólu, kiedy rozpoczęty już ruch ramion spowodował przesunięcie się jego obnażonych jelit. — Mówię tylko to, co pomoże odnaleźć ludziom właściwą drogę, drogę, która podoba się Allachowi.

— Czy się ożeniłeś? Jak zmarłeś?

— Ożeniłem się młodo, mając 25 lat — odpowiedział Mahomet. — Z bogatą wdową, starszą ode mnie o lat piętnaście. Była dobrą kobietą i powierzyła mi wszystkie swoje sprawy handlowe. Bolałem nad jej śmiercią, a zmarła, kiedy miałem 49 lat.

— Jak mógł Prorok dzielić swą miłość do Boga z miłością do zwykłej niewiasty? — pytał Jezus.

— A jakże mógłby tego nie czynić? Czyż twoja błogosławiona matka nie była niewiastą, ulubieńcze Boga?

Jezus nie był jednak przekonany.

— Co wiesz o mojej matce?

I brat Paweł, który spotkał tę panią w Raju, zadawał w duchu to samo pytanie.

— Opuściła swój lud i udała się samotnie na wschód — odpowiedział Mahomet. — Bóg zesłał do niej swego ducha w postaci pięknego młodzieńca. Kiedy go ujrzała, zaniepokoiła się bardzo, obawiając się czegoś złego. „Niech Litościwy ma mnie w swojej opiece! Jeśli czujesz bojaźń Bożą, zostaw mnie w spokoju!” — zawołała. Lecz on odrzekł: „Jestem posłańcem od twego Boga i przybyłem, by dać ci świętego syna.” Ona jednak, ciągle zatrwożona, zapytała: „Jakże to się stanie, skoro nie znam męża?” A on odpowiedział...

Hm, nie jestem pewien — wtrącił brat Paweł, mając w pamięci sposób, w jaki Therion przedstawiał sprawy miłości cielesnej w poprzednich animacjach.

— A on odpowiedział: „Taka jest wola twójego Boga” — kontynuował stanowczo Mahomet. — „Twój syn będzie dla ludzkości znakiem, błogosławieństwem ode Mnie. Taka jest Moja wola.” I poczęła ciebie i reszta już z tego wynikała. Błogosławiona bowiem była Maria nad wszystkimi niewiastami — i błogosławiony był Józef, który ją poślubił, i który dał dziecku Bożemu dom. Nie byłoby dla mnie żadnym wstydem zamieszkać w domu Józefa Cieśli, tak jak mieszkałem w domu mego wuja.

— Tak — przyznał Jezus i było widoczne, jak wielkie wrażenie uczyniły na nim te miłe słowa. — Jaki był bezpośredni powód twojej posługi, Proroku?

— Martwiła mnie niegodziwość, którą dostrzegałem wokół siebie — powiedział Mahomet. — Bóg objawił Swoją Wolę żydom i chrześcijanom za pośrednictwem wybranych apostołów. Lecz żydzi sfalszowali Pismo, a chrześcijanie dopuszczali się okrucieństw w imię Jezusa...

— Tak! — potwierdził żarliwie Jezus.

— Pewnego dnia, kiedy ukończyłem czterdzieści lat, miałem widzenie, w którym przyszedł do mnie anioł Gabriel. „Recytuj!” — rozkazał, a kiedy nie rozumiałem, powtórzył to trzykrotnie i rzekł: „Recytuj w imię Boga, który stworzył człowieka z grudek zakrzepłej krwi”. Wówczas zrozumiałem, że mam recytować słowa Boże; tak więc recytowałem je i zapisałem je w księdze, którą nazwałem „Recytacją”, czyli Koranem. Faktycznie, została ona zredagowana z moich pism już po mojej śmierci przez głupców, którzy po prostu ułożyli poszczególne fragmenty w kolejności od najdłuższego do najkrótszego, ale ciągle jeszcze służy ludziom.

— Biblia jest zredagowana niewiele lepiej — wyszeptał Jezus. — Fakty dotyczące mego życia i nauczania spisano sto lat po mojej śmierci i przypisano ich autorstwo moim uczniom i nazwano Ewangelią. Pominięto przy tym ważne okresy z mojego życia i nauczania. Teraz jednak wiem, że nie ma to wielkiego znaczenia, bowiem ludzie, którzy sami siebie nazywają chrześcijanami, nie przywiązują zbyt dużej wagi nawet do tych fragmentów, które zostały zapisane. Nie miłują swych bliźnich. — Skrzywił się. — Tak więc czyniłeś cuda, Synu Boga? Czy również zostałeś ukrzyżowany?

— Nie dana mi była moc czynienia cudów i nie byłem Synem Boga; co więcej, potępiam chrześcijan za to, że czczą w tobie Syna Bożego.

— Ale...

— Nie powiedziałem, że nie jesteś Synem Boga. Byłeś i jesteś...

— Wszyscy jesteście — wtrącił brat Paweł.

— Lecz Bóg nakazał ludziom, by Go czcili i nikogo poza Nim. Kiedy zaczęli czcić ciebie i wszystkich świętych, wypaczyli jego dyrektywę. I właśnie dlatego, że zesłi na manowce, przybył do mnie anioł Gabriel i polecił mi, bym sprowadził ich z powrotem na łono prawdziwej religii, tej, której nauczał Abraham, i bym doprowadził ludzi do absolutnego poddania się Jego Woli.

— Tak — zgodził się Jezus z powątpiewaniem w głosie. — Mimo to...

— Mimo to chrześcijanie umieścili mnie w ich Piekło — dokończył Mahomet, uśmiechając się gorzko. — Bo prawdziwi heretycy to nie ci, którzy odeszli od chrześcijaństwa, by czcić Boga w bardziej odpowiedni sposób, Prawdziwi heretycy zarządzają Kościołem chrześcijańskim i Kościołem żydowskim. I...

— I Kościołem muzułmańskim? — spytał Jezus łagodnym głosem.

— I kościołem muzułmańskim — przyznał Mahomet. — Czy sądzisz, że nie widzę ich nienawiści, ich alkoholizmu, ich grzechów? A ci heretycy wszystkich kościołów skazują na Piekło tych, którzy chcą zdemaskować ich niegodziwość. Bóg jest litościwy, a dostojnicy kościołi nie.

— Tak więc zabito cię.

— Nie, zmarłem śmiercią naturalną, kiedy już mnie nie potrzebowano na ziemi.

Jezus podjął nagłą decyzję.

— Proroku, podobają mi się twoje poglądy. Twoja wiara nie pokrywa się z moją we wszelkich jej aspektach, sądzę jednak, że posiadasz wystarczające kwalifikacje, by rozsądzić spór, który istnieje między bratem Pawłem a mną.

— Chętnie spróbuję — rzekł Mahomet. — Pod warunkiem wszakże, że nie będzie to wymagało wysiłku fizycznego. Rany nasze nie zablizniają się przed wieczorem, a rano ponownie musimy przechodzić obok demona. W tej chwili mogę jedynie mówić.

Zwrócili się do brata Pawła. Cóż, dlaczego by nie? Jeśli może to doprowadzić do uwolnienia jego przyjaciela...

— Sprawa wygląda tak — powiedział brat Paweł. — Mam mieszane pochodzenie. Posiadam trochę, hm, nubijskiej krwi. On uważa, że to mnie skazuje na potępienie i ze względów przyjaźni bierze na siebie karę przeznaczoną dla mnie. Ja natomiast uważam, że nie dziedziczy się przestępstwa, z wyjątkiem być może grzechu pierworodnego, który skaził równo wszystkich ludzi. Czy posiadanie czarnej krwi jest grzechem?

— Nie dziedziczy się winy — rzekł Mahomet. — Każdy, kto wyznaje prawdziwą wiarę i zgodnie z nią postępuje, zostanie przyjęty do domu Allacha Współczującego, Litościwego. Żałuję, że tak wielu z tych, którzy twierdzą, iż postępują zgodnie z moim prorocstwem, nie wierzy w to. — Zwrócił się do Jezusa, wskazując dłonią na brata Pawła. — Czy on jest takim człowiekiem? Tym, który czci boga i w sercu, i w słowie?

— Tak — odpowiedział Jezus. — Lecz...

— Poszukuję Boga — powiedział brat Paweł. — Nie twierdzę, że Go odnalazłem, czy też, że jestem godzien...

— Nawet gdyby posiadał poważną skazę — kontynuował Mahomet — nie posłałbym go do Piekła i nie poszedłbym tam zamiast niego. Wybaczyłbym mu.

— Wybaczyć mu... — wyszeptał Jezus, jakby usłyszał coś fenomenalnie nadzwyczajnego. — Jak Bóg wybaczył człowiekowi...

— Uczyniwszy to — wtrącił szybko brat Paweł — nie będziesz miał powodu, by znosić cierpienia w Piekle. Zabierajmy się stąd. Jezus już prawie się zgodził. Zawahał się jednak.

— Tobie wybaczone, lecz kto mnie wybaczy?

— Tobie? Jesteś bez winy!

— Jezus jest bez winy, z wyjątkiem, być może, sprawy figowca. Lecz ten, który gra jego rolę — a gra ją niedoskonale — to już zupełnie inna historia.

Brata Pawła ogarnęło przecucie nadciągającej klęski. Zwalczył je w sobie.

— Chodźmy już stąd. Później przedyskutujemy to wszystko w spokoju.

— Nie — mówił Lee z rosnącym przekonaniem w głosie. — Teraz widzę, że oszukiwałem i was, i siebie. Znalazłem się tutaj za własne winy. Jestem mormonem i...

— A co to ma do rzeczy? — zapytał zdesperowany już tą sytuacją brat Paweł. — Szanowałeś przecież swą religię i postępowałeś zgodnie z jej zasadami.

— To jeszcze nie zostało udowodnione — upierał się Lee. — Ja...

— Przeprowadźmy wobec tego próbę — powiedział Mahomet. — Wkrótce uzyskamy dowody.

Pojawił się demon rodzaju żeńskiego — istna diablica. Nie miała na sobie ubrania, lecz ciało jej było pomalowane w tęczowe kręgi wokół piersi, a w rozwidleniu nóg czerwieniały rozwarte usta clowna. Znów odpowiednia rola dla Amaranty!

— Jezus może opuścić Piekło — powiedziała. — Jego „gospodarz” zaś nie, bowiem jego dziedzictwo jest skażone.

— Czy rzeczywiście? — spytał Mahomet. — Cóż masz przeciwko niemu i jego religii?

— Przejeżdżałam kiedyś przez Utah — powiedziała kobieta — demon. — Ujrzałam przystojnego mężczyznę. „Któż to taki?” — zapytałam. „To Brigham Young, przywódca mormonów” — poinformował mnie mój towarzysz. „Ma dwadzieścia siedem żon”. „Coś podobnego! Powinien za to wisieć!” — wykrzyknęłam. Mój towarzysz uśmiechnął się. „Pani, już wisi!” — odpowiedział. Kobieta — demon wskazała ręką Lee. — Jego Kościół praktykuje poligamię.

To żaden grzech — zaprotestował Mahomet. — Każdy mężczyzna powinien mieć cztery żony lub więcej, zależnie od okoliczności.

— Punkt dla obrony — mruknął pod nosem brat Paweł, kryjąc uśmiech. Nie, Mahometanie nie potępiają poligamii!

— Wobec tego oceń to! — powiedziała z gniewem diablica. Odwróciła się tyłem, wypięła obscenicznie i wypuściła chmurę dymu. Chmura zaczęła nabierać barw i charakteru obrazu. Przedstawiał on sznur wozów ciągnący aa zachód, gdzieś w dziewiętnastowiecznej Ameryce. — Brakuje im prowiantu i narzędzi — wyjaśniała „demonica” zza obrazu. — Miejscowi mieszkańcy, zastraszeni przez mormonów, odmawiają im pomocy. Wierzą, że w wozach znajduje się złoto i chcą wejść w jego posiadanie. — Na ruchomym teraz obrazie następuje atak Indian. Wydaje się, że pokonają obrońców, ale mężczyźni, kobiety i dzieci walczą tak dzielnie i tak desperacko, iż odpędzają czerwonoskórych. Zmienia się sceneria. Przywódcy taboru rozmawiają z mormonami. — Mormonowie byli w dobrych stosunkach z Indianami — ciągnęła „demonica”. Obiecują więc, że przeprowadzą bezpiecznie wozy przez wrogie i niebezpieczne tereny, pod warunkiem, że wędrowcy oddadzą na przechowanie broń, by nie straszyć nią i nie prowokować Indian. — Obraz ukazuje przekazanie broni i podjęcie na nowo wędrówki.

— Nie! — krzyknął Lee w gwałtownym bólu, który wydawał się silniejszy od powodowanego ranami.

— Tak! — powiedziała z naciskiem i prawie wesoło diablica. — To była zasadzka i pułapka. Przewodnik wyprowadził ich na odkryty teren, gdzie ponownie zaatakowali ich Indianie. Dołączył do nich tenże przewodnik i wspólnie zmasakrowali bezbronnych wędrowców. Na czele atakujących stali mormoni, których przywódcą był John Doyle Lee.

— Mój imiennik — powiedział Lee łamiącym się głosem. — Zdrajca i morderca! A przecież imię to przekazywano mi z taką dumą...

Brat Paweł drgnął. Nie dziwota, że Lee odczuwał ból!

— Fakt, że twój imiennik Lee popełnił być może taką zbrodnię, nie może kłaść się cieniem winy na całym mormońskim Kościele — zaprotestował.

— Czy mormoni usprawiedliwiali ten jego postępek?

— Nie — przyznał Lee. — Przeprowadzono proces i skazano go. Ale...

— I nie możesz ponosić winy za coś, co wydarzyło się długo przed twoim urodzeniem — ciągnął brat Paweł. — Nieprawda, Mahomecie?

— Nie zaakceptowałbym takiej wersji grzechu pierworodnego — zgodził się Mahomet.

— Jeszcze nie skończyłam! — oznajmiła kobieta — demon, pojawiając się na nowo. — Ten człowiek wyznaje wiarę, która jest wynikiem plagiatu.

— Moja wiara plagiatem?! — wykrzyknął Lee. — To piekielne kłamstwo!

— Tak powiadasz? Popatrz sobie na to — zawołała, powtarzając swą sztuczkę z dymem. Tym razem ukazała się scena przedstawiająca jakiegoś mężczyznę pracującego nad rękopisem. — To Solomon Spaulding, pastor kongregacjonalistów, niedoszły autor, piszący powieść w roku 1810 — oznajmiła. — Napisał kilka powieści, lecz żadnej nie opublikował. Jego zainteresowania obracały się wokół problemu pochodzenia Indian amerykańskich — Amerindów i sprawiało mu przyjemność tworzenie hipotez dotyczących ich ewentualnych związków z ludami po drugiej stronie Atlantyku. Zmarł w 1816 roku.

— To wszystko nie ma nic wspólnego ze mną i z moją religią! — zaprotestował Lee.

Nastąpiła zmiana scenerii. Wnętrze chaty rozdzielone było na dwie części wiszącym kocem. — Tutaj widzimy Josepha Smitha, założyciela Kościoła mormońskiego — powiedziała diablica. — Ukrywa się za tym kocem, by jego sekretarz (któremu dyktuje) nie zauważył, że popełnia on plagiat, wykorzystując do tego powieść Spauldinga, Biblię króla Jakuba i inne źródła, by sklecić z nich *Księgę mormona*.

— Nie! — krzyknął Lee. — *Księga mormona* jest rezultatem boskiego objawienia!

— A kiedy dyktowanie skrybie tych boskich rewelacji stało się zbyt męczące, Smith wykorzystał po prostu całe kartki oryginalnego rękopisu Spauldinga. „Pierwsi Nephi” są tego przykładem.

— Nie! — Tym razem okrzyk protestu zabrzmiał jak z ust człowieka z głową pod gilotyną.

— Wobec tego, może ty zechcesz wyjaśnić nam pochodzenie *Księgi mormona* — rzuciła mu wyzwanie.

— Została ona napisana przez członków ludu Nephitów, z których ostatnim żyjącym był Moroni. Ukrył on zapiski w miejscu zwanym później Cumorah, w stanie Nowy Jork. Miały one formę rzeźbionych tablic ze złota i leżały ukryte od roku 400 aż do 1827, kiedy to zmartwychwstały Moroni przekazał je Josephowi Smithowi, by je przetłumaczył i opublikował. Właśnie to tłumaczenie składa się na *Księgę mormona*.

— Mnie jako oskarżycielowi to w zupełności wystarczy — powiedziała kobieta–demon. — A czy ty ciągle jeszcze wierzysz w tę mormoniczną legendę?

Lee nie odpowiedział.

— Tak, to jest niewątpliwie poważny problem — rzekł Mahomet. — Jeśli cała twoja religia opiera się na kłamstwie...

— Nie! — zawołał brat Paweł. — Być może samo pochodzenie mormonizmu jest podejrzane, a może to wszystko jest jednym wielkim oszczerstwem. To naprawdę nieważne! Istotne jest, czym jest ta religia dzisiaj. Wiele godnych religii zachwiało się, kiedy ich wyznawcy zapomnieli o pierwotnych zasadach — tutaj natomiast mamy do czynienia z religią, która jest większa teraz niż w swoich początkach! Mormoni są obecnie jedną z najpotężniejszych sił na rzecz dobra, działających na Ziemi. Ich prawość pozostaje w jaskrawym kontraście z hipokryzją, będącą udziałem wielu bardziej konwencjonalnych religii. Dlatego też nie należy doszukiwać się winy u tego człowieka, który tak wiernie stał na straży zasad swej wiary. Nie krzyżujemy już ludzi tylko za to, że są lepsi od nas samych!

Lee był jak ogłuszony. Kobieta–demon, z obliczem wyrażającym wściekłość i furję, zniknęła. Mahomet kiwał głową w zamyśleniu. Wreszcie powiedział:

— Tak, bracie, sądzę, że masz rację. Należy sądzić ludzi według tego, co jest, a nie, co było kiedyś. Na tej podstawie...

— Do diabła z tym, co było kiedyś! — zawołał brat Paweł. — Ten człowiek na tyle przypomina Jezusa, na ile tylko może go przypominać ktoś współczesny. Powinien przebywać pośród żywych.

— Według tego, co jest — powtórzył Lee. — A mnie prześladowano za to, co było.

Po czym twarz jego rozjaśniła się, w sensie dosłownym.

— Nie mamy już nic do roboty tutaj, w Piekło — powiedział Jezus. — Zresztą Piekło jako takie nie powinno w ogóle istnieć. Prorocy na miarę Mahometa i dobrzy ludzie, tacy jak brat Paweł — cóż do diabła robią w tym diabelskim miejscu! Nigdy w moich naukach nie mówiłem o ogniu piekielnym; uczyłem wybaczenia ludziom i ich instytucjom. — Wyprostował się, a jego potworne rany zamknęły się i zablizniły w kilka chwil. Uczynił gest dłonią w kierunku Mahometa i wnętrzości Proroka zniknęły w jamie brzusznej, pozostawiając gładką skórę. — Pójdźmy, przyjaciele, musimy skończyć z tym okrucieństwem. — I ruszył przodem w kierunku skały, przy której demon ciągle jeszcze ciął na kawałki bezbronne dusze. Idąc, wyciągał ku rannym dłoń i mówił: — Powstańcie, weźcie swe ciała i pójdźcie za mną! — I zostali przywróceny do dawnej postaci.

Demon zerknął na zbliżającego się Jezusa.

— Co, już wyleczony? — krzyknął. — Przetnę cię teraz na pół! — I uderzył go z całej mocy.

Miecz jednak odbił się od ciała Jezusa i pękł na dwoje. Demon patrzył w zdumieniu i cofał się. A kiedy Jezus zbliżył się do niego, wrzasnął z wielkiej trwogi i uciekł.

Uzdrowione dusze zebrały się wokół.

— Jesteśmy uratowane! — wołały radośnie.

Po czym zwały szeregi i pomaszerowały za nimi jak armia. Śpiewały hymny zwycięstwa. Legiony demonów uciekały na ich widok z przerażenia. Powstanie ogarnęło całe Piekło.

Doszli do mroźnego Dziewiątego Kręgu, gdzie lód zaczął pękać i kruszyć się, kiedy zamrożone w nim dusze ożywały i dołączały do pochodu. Nawet olbrzymy stojące wokół dołączyły do maszerujących, a pionowa ściana rozpadła się, tworząc rampę o łagodnym nachyleniu.

Ujrzeni wreszcie monstrualnych rozmiarów Szatana. Jezus zatrzymał się.

— Książę Zniszczenia! — zawołał z oburzeniem — pogardzany przez anioły Boże, znieawidzony przez prawych ludzi! Jak śmiałeś ściągnąć tutaj osobę niewinną i prawą? Poniesiesz teraz karę...

— Nie, zaczekaj! — krzyknął brat Paweł, kładąc dłoń na ramieniu Jezusa. — Szatan wykonywał tylko to, co do niego należy. Musisz mu również wybaczyć!

— Wybaczyć Szatanowi? — Jezus był zdumiony, ale zdumiony był także Mahomet i zdumione były zregenerowane dusze.

— Poza tym — ciągnął brat Paweł — nie skończyłem swego spisu dusz. — I pokazał kalkulator, w którym ciągle migały cyferki. — Byłby to przecież zwyczajny podstęp, udawać badania, by wszcząć rozruchy.

Jezus popatrzył na Mahometa. Po chwili, jednocześnie, wybuchnęli śmiechem. Nagle śmiało się całe Piekło, nawet demony. Utworzyła się dzika plątanina ciał, kiedy to dusze padały ze śmiechu jedna na drugą. A nad tym wszystkim górował ogłuszający śmiech samego Szatana: HO HO HO HO HO!

Piekło roztopiło się w powszechnym chaosie. Po czym uniosło się jak dym, a oni stali pośrodku doliny, zanosząc się od nieopanowanego śmiechu.

Transfer (Umiar)

Jest taka anegdota o pracodawcy, który chciał wynagrodzić trzech wiernych pracowników. Dał każdemu z nich do wyboru — kawałek złota dużej wartości i Biblię. Pierwszy rozważał obie nagrody, lecz ponieważ nie był człowiekiem religijnym, wybrał złoto. Drugi mocował się z własnym sumieniem przez jakiś czas, w końcu jednak zaczął się tłumaczyć, że ma rodzinę, chore dzieci i że jest zmuszony wziąć złoto. Trzeci, choć najwyraźniej pociągało go złoto, zdecydował się na Biblię. Kiedy ją otworzył, spomiędzy kartek wypadły banknoty o dużym nominale. W sumie ich wartość była o wiele wyższa od wartości kawałka złota.

Oczywistym morałem wynikającym z tej historyjki jest ten, że kiedy ktoś szuka wiary zamiast ziemskich dóbr, może tych dóbr uzyskać znacznie więcej. Problem jedynie w tym, że tłumaczy on znaczenie Biblii nie jej własną wartością, lecz zyskiem, który można poprzez nią osiągnąć. A to już jest wypaczeniem znaczenia Biblii. Kiedy używa się Biblii jako środka do zdobycia bogactwa, oznacza to, że przekupnie owładnęli Świątynią, a chrześcijaństwo stało się tylko jednym z wielu biznesów.

Opodal stało dwoje obserwatorów zewnętrznych.

— Tym razem upewnijmy się, czy jest z nami dziewczynka — powiedział brat Paweł, kiedy wreszcie skończył się śmiać.

Wszystko jednak było w porządku, bowiem ujrzeli Amarantę i jakąś drugą, znacznie mniejszą osobę, zbliżając się do nich. Tym razem wydostali się wszyscy!

— Nasza mała! — zawołała pani Ellend, kiedy obie grupki się połączyły. — Znaleźliście ją!

— Wyszliście wszyscy — powiedział pastor Runford ponuro. — Ale czy wszyscy jesteście przy zdrowych zmysłach? Śmiaлиście się jak szaleńcy, kiedy mgła się uniosła.

— Jesteśmy wszyscy przy zdrowych zmysłach — powiedział brat Paweł. — Choć nie było to łatwe.

— Och, nie było to łatwe! — przyznał drżącym głosem Lee, przesuwając jednocześnie dłonią po piersi.

— Musicie odpocząć — powiedziała pani Ellend. — Jutro wysłuchamy waszego sprawozdania.

— Nie jestem pewien, czy jesteśmy gotowi przedstawić pełne sprawozdanie — powiedział brat Paweł, zerkając na Lee.

— Jestem bardzo ciekawa waszej opowieści o wydarzeniach w tych animacjach — powiedziała pani Ellend. — My dostrzegamy bowiem jedynie zjawiska występujące na obrzeżach. Kiedy zniknęliście tym razem, wydawało nam się, że widzimy krajobraz z rzeką i drzewem, ale potem burza przesłoniła to drzewo. Kiedy się rozjaśniło — ujrzeliśmy Sfinksa.

— I wielką piramidę — burknął pastor Runford. — Biblię w kamieniu. Analiza jej wymiarów zapowiada nadejście Armageddonu. Jehowa zainspirował faraona, by wybudował ją według tajemnego klucza...

— Ależ piramida to materia — zaprotestowała pani Ellend. — Dziedzina rzeczywistości jest duchowa, a nie materialna. Materia jest błędem wynikającym ze sposobu przedstawiania faktów. Wszelka choroba jest iluzją; Jezus ustanowił ten fakt fundamentalny, kiedy przegnał diabła i uzdrowił ludzi.

— Jezus był dobrym człowiekiem — wyszeptał Lee z przymkniętymi oczyma. — Powinniśmy obecnie zwracać większą uwagę na reprezentowane przez niego wartości.

— W każdym razie, po jakimś czasie Sfinks zniknął, ustępując miejsca czemuś, co wyglądało na ziemski terminal lotniczy — kontynuowała pani Ellend. — Potem wszystko stało się nieprzezroczyście aż do teraz, kiedy to wydawało nam się, że widzimy olbrzymów poruszających się w płomieniach. Czyżby to była czyjaś koncepcja, czyjs obraz Rejonów Infernalnych?

— Nie ma żadnych Rejonów Infernalnych! — krzyknął pastor. — Samo to pojęcie to niewłaściwy przekład hebrajskiego słowa *Sheol*, oznaczającego grób.

— Piekło istnieje — powiedziała pani Ellend. — W naszym życiu. Jest nim błędzenie, nienawiść, żądza, choroba i grzech.

— Tak! — zgodził się Lee. — Nic w Tamtym Świecie nie dorówna torturom, jakie zadajemy sobie w t y m świecie.

— Och, nie jestem o tym przekonany — zaczął Therion. — Szatan posiada takie środki...

— Czy moglibyśmy iść do domu? — spytała dziewczynka płaczliwie. — Jestem bardzo zmęczona.

— Ależ naturalnie, moje dziecko — odpowiedziała pani Ellend, mięknięc wyraźnie. — Twój ojciec ucieszy się, kiedy cię zo... — Urwała nagle.

— Stan bez zmian? — spytał Lee ostrożnie. Pani Ellend skinęła z powagą głową.

— Spróbuję z nim porozmawiać; być może uda mi się go przekonać, że jego choroba to jedynie iluzja. Z drugiej strony... — Zwróciła się do Amaranty. — A może dziewczynka mogłaby przenocować u ciebie. Przeszłyście tyle razem.

— A co się stało mojemu ojcu? — zażądała wyjaśnień Karolina. Była dziewczynką w wieku około dwunastu lat, miała kasztanowe włosy i ciemną cerę, podczas gdy Karolina w animacji była blondynką o jasnej karnacji. Sukienka jej była pognieciona i brudna, w wyniku przeżyć na odludziu, a

włosy w kompletnym nieładzie.

— Swami jest nieprzytomny — odpowiedział pastor Runford. — Usiłował cię odnaleźć, kiedy pojawiła się szczelina w animacji, i odniósł przy tym obrażenia.

Brat Paweł posmutniał.

— Swami... jej rodzonym ojcem?

— Był przeciwny temu eksperymentowi — powiedział pastor Runford. — Tak jak i wielu z nas. Mamy różne poglądy na wiele spraw, lecz w tej jednej wykazał się rozsądkiem. Skoro jednak zostaliśmy przegłosowani przez większość, uważał, że przedstawiciel naszej opcji powinien również znajdować się na terenach animacji. Jego córka zgodziła się być obserwatorem. Kiedy zjawili się wszyscy, a jej nie było, zachowywał się jak oszalały. Ucierpiał już bowiem wiele od tej planety.

— Bigfoot zabił moją matkę — powiedziała dziewczynka. Brat Paweł ciągle widział w niej Karolinę.

— To straszne! — zawołał. — Nigdy nie podejrzewałem...

— Prawdopodobnie powinniśmy byli cię lepiej poinformować o tych sprawach — powiedziała pani Ellend spokojnie. — Lecz zgodnie z Przymierzem...

— Chodźmy do mojego domu — powiedziała Amaranta do Karoliny.

— Nie! Chcę być z bratem Pawłem! — krzyknęła.

Zaskoczony i zarazem mile połechtany, brat Paweł wyciągnął do niej rękę.

— Mieszkam u wielebnego Siltza. Nie jestem pewien, czy to zaaprobuje.

— Idź z nim — powiedział Lee. — Zorganizujemy coś innego, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Karolina uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

— Dziękuję panu.

— Wygląda na to, że wasza grupa świetnie się rozumie — zauważyła pani Ellend. — Moja kobieca ciekawość walczy we mnie z naukową bezstronnością. Zastanawiam się jednak, czy cała kolonia odniesie korzyści sięgania się w animacjach?

— To oburzające! — wykrzyknął pastor Runford.

— Przeszliśmy wspólnie przez wyjątkowe doświadczenia — powiedział Therion. — Nie sądzę jednak, by była je w stanie przeżyć cała kolonia, a co dopiero z nich skorzystać.

— Dotarli do osady i rozdzielili się. Brat Paweł zabrał Karolinę do domu Stiltza. Wielebnego nie

było, ale zastali tam Jeanette. Filigranowa kandydatka do ręki syna komunisty siedziała oparta plecami o drzwi i wyplatała koszyk z elastycznych pasków drewna.

— Czatuję na wielebnego — oznajmiła. — Chcę się dowiedzieć, co sądzi o małżeństwie na próbie.

Wielebnego Siltza trafi chyba szlag! Nie była to jednak sprawa brata Pawła.

— Myślę, że możesz poczekać na niego w środku — powiedział. — Jestem jego gościem i gdybyś mogła mi pomóc... — Wskazał dłonią zaszarganą Karolinę.

— A cóż tu robi córka Swami? — spytała ostro Jeanette.

— Jest bardzo zmęczona przeżyciami w animacji, a jej ojciec jest chory — wyjaśnił brat Paweł. Było to pewne uproszczenie, ale musiało wystarczyć.

— Naturalnie, że pomogę — podjęła natychmiastową decyzję Jeanette. — Chodź, mała; w chwilę doprowadzimy cię do porządku.

Ujęła dziewczynkę za ramię, wprowadzając do wnętrza domu. Była niewiele od niej wyższa, ale nie można by ich pomylić: Karolina była bardzo szczupła i trochę niezgrabna w ruchach, podczas gdy Jeanette miała pełne kształty i ruchy bardzo zdecydowane. Udały się do łazienki, a brat Paweł opadł z ulgą na drewniany fotel.

Wkrótce dołączyły do niego. Karolina była czystiotka i miała porządnie uczesane włosy.

— Jesteś bardzo miła — powiedziała, zwracając się do Jeanette. — Odkąd umarła moja mama, nigdy nie...

— Nie ma potrzeby się nad tym rozwodzić — odparła Jeanette.

— Muszę — powiedziała Karolina. — Kiedy się zmęczone, zaczynam się bać, a teraz jestem straszliwie zmęczona i jeśli komuś nie opowiem, nie zasnę.

Jeanette zmarszczyła brwi.

— Czego się boisz?

— Bigfoota. Krąży w ciemnościach, zabił moją mamę i teraz czai się na mnie. Słyszę, kiedy nadchodzi, i wtedy krzyczę...

— Sądziłem, że to nieuzasadnione obawy — powiedział brat Paweł. — Spotkałem jednak Bigfoota, kiedy szukałem ciebie. Zaatakował Amarantc.

— Kogo? — spytała Jeanette.

— Czciicielkę Abraksasa — wyjaśnił brat Paweł. — Nie znam jej prawdziwego imienia, lecz wiem, że strzeże pola amarantu, tak więc...

— Ona nie jest podobna do mojej matki — powiedziała Karolina. — — Bigfoot prawdopodobnie się pomylił.

— Próbowałem powstrzymać Bigfoota — ciągnął brat Paweł. — Okazał się jednak silniejszy i gdyby nie pojawił się Łamacz...

— Tak, wiem — powiedziała Karolina. — Wtedy właśnie wychodziłam, ale kiedy zobaczyłam Bigfoota, pobiegłam z powrotem do mojego miasta z fantazji.

— Bigfoot również wbiegł do wnętrza animacji — powiedział brat Paweł. — Cieszę się, że cię nie złapał. — Delikatnie to wyraził!

— Przeprowadziłam się na drugą stronę rzeki, a on nie mógł tam się dostać — powiedziała z uśmiechem. — Kiedy byłam sama, mogłam mieć pewną kontrolę nad efektami animacji. Bigfoot szalał i wściekał się, nie mógł mnie jednak dopaść. Ale za to jak mnie wystraszył! — Ramiona jej zadrgały.

Brat Paweł wstał i objął ją ramieniem.

— Twój ojciec, Swami, na pewno potrafi cię obronić.

— Bigfoot przychodzi tylko wtedy, kiedy go nie ma w pobliżu! — krzyknęła. — W ten właśnie sposób zabił moją matkę! Poczekaj aż ojciec odejdzie i...

Jeanette zmarszczyła brwi.

— Bigfoot rzeczywiście za bardzo się tu kręci. Sądziłam, że to tylko drobny kłopot związany z animacją przywołaną przez burzę. Teraz jednak, kiedy twój ojciec jest wyłączony... — Spojrzała na małą. — Dlaczego Bigfoot uparł się właśnie na was? Dlaczego zabił twą matkę?

— Naprawdę nie wiem! — zawołała Karolina. — On nienawidzi mojego ojca...

Brat Paweł ścisnął uspokajająco jej ramię.

— Jest to zapewne rodzaj syndromu obronnego. Swami zna dobrze techniki walki i posiada imponującą moc psychiczną. Bigfoot go nie znosi, lecz nie jest w stanie pokonać go w bezpośredniej konfrontacji, wobec czego usiłuje go zranić poprzez tych, którzy są mu najbliżsi. Przez jego rodzinę.

Karolina wtuliła twarz w jego piersi i zaczęła płakać.

— Dlatego właśnie chciałam być z tobą — szlochała. — Tak naprawdę nie jestem w zbyt bliskich stosunkach z moim ojcem; wyznajemy dwie różne religie. Myślałam sobie... że ty jesteś przecież taki silny i wyrozumiały, że byłbyś dobrym ojcem... myślałam, że wystarczy wsiąść do samolotu i polecieć gdzieś, gdzie nikt nigdy nie słyszał o animacji, gdzie Bigfoot nie mógłby mnie znaleźć... och, proszę, wybac mi!

— A więc to była t w oj a animacja, a nie moja — powiedział zdumiony brat Paweł. — Sądziłem,

że wyszedłem z animacji...

Karolina oderwała się od niego, by znaleźć się nagle w objęciach Jeanette, która powiedziała:

— Drogie dziecko! Nie ma nic złego w tym, że się chce mieć rodzinę. Warto o to walczyć! To jest coś, o co ja również walczę. Nie wolno nam rezygnować z marzeń.

— Ale nic z tego nie wyszło! — łkała Karolina. — Tak świetnie się bawiliśmy, odwiedzając jego starą szkołę, ale wtedy zaczęłam się obawiać, że on... że coś okropnego się mu przydarzy. I to z mojego powodu. I wówczas wszystko się rozsypało i wsiedliśmy do niewłaściwego samolotu i zgubiliśmy się na lotnisku i to wszystko była moja wina...

— To nie była twoja wina! — zawołał brat Paweł. — To również nie była twoja animacja! Możliwe, że ją zapoczątkowałaś, lecz ja...

— I dlatego wymknęłam się, żeby już nie być dla niego ciężarem...

— I doprowadziłaś mnie prawie do utraty zmysłów! — krzyknął na nią brat Paweł. — Bałem się, że cię porwą lub przejedzie cię...

— Nie, ja po prostu przeszłam do innej animacji, tak jak poprzednio do tej, w której odgrywałam Buddę...

— Ty grałaś Buddę? — spytał ostro brat Paweł.

Rzeczywiście jej postura i wygląd pasowały do tej roli. Wystarczy zmiana uczesania, a to żaden problem w animacji! — i już może przypominać mężczyznę siedzącego pod Drzewem Bo. Znalazł ją i nawet nie był tego świadom!

— Tak. Znam historię Indii z powodu mojej religii, tak więc łatwo mi było...

— A jaka jest twoja religia?

— Czczę Dziewięciu Nieznanych Mężów. Nauczyła mnie tego moja matka. Ojcu się to nie podobało; ponieważ istnieją jednak pewne związki mojej religii z jego religią, pogodził się z tym.

— Nie znam tej religii — rzekł brat Paweł. — Opowiedz mi o niej. Karolina wyswobodziła się z ramion Jeanette.

— Czuję się już chyba całkiem dobrze. To... muszę zacząć od początku, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Po tym, co ci zrobiłam...

Brat Paweł popatrzył jej prosto w oczy.

— Jedno musimy sobie wyjaśnić. Nie zrobiłaś mi nic. To znaczy nic złego. Pokazałaś mi tylko, że jest we mnie coś, czego przedtem w ogóle u siebie nie podejrzewałem. Ja również pragnę mieć rodzinę! Chcę mieć taką córkę jak ty.

Twarz jej się rozjaśniła.

— Naprawdę?

— W tamtej animacji byłem na początku zupełnie zdezorientowany. Myślałem, że jestem na powrót w zwykłym świecie, jak już wspomniałem. Wiedziałem, że nie mam córki i sporo czasu zabrało mi oswojenie się z myślą, że jednak ją posiadam. Ale kiedy się już oswoiłem... — Rozłożył ramiona. — Przejąłem całą tę sekwencję i poprowadziłem ją według moich pragnień. A teraz nie mogę przywyknąć do myśli, że nie mam takiej córki jak ty.

— Córki też przynoszą radość — zgodziła się Jeanette. — Synowie i córki.

— Ale ty jesteś dzieckiem kogoś innego — mówił brat Paweł do Karoliny. — Przybyłem tu tylko na kilka dni; potem wyjadę. Nie mogę zabrać nikogo ze sobą. Ziemia i tak poświęciła na przysłanie mnie tutaj więcej energii niżby chciała. Swami jest twoim prawdziwym ojcem. Nie chciałbym przykładać ręki do... — Powstrzymał się od dalszych słów. Dlaczegoż ona nie jest jego dzieckiem? Z taką radością wyrwałby ją z tego wszystkiego, zabrał na Ziemię...

I tu gwałtownie zderzył się z rzeczywistością. I co? Nawet jeśli Ziemia wyrazi zgodę na teleportację dodatkowej osoby, jakie warunki zapewni jej po powrocie? W animacji miał żonę i dom. W świecie realnym jego domem był Święty Zakon Wizyjny. Wspaniała instytucja, lecz nie zastąpi jej rodziny —

— Powiedz mi o swojej religii — dokończył nie całkiem logicznie.

— Cóż, zaczęła się od Asoki — powiedziała. — Cesarz Indii, Asoka, urodził się w roku 273 przed Chrystusem. Był wnukiem Chandragupty, który Indie zjednoczył. Nie wszystkie jednak ziemie wchodziły w skład cesarstwa. Tak więc Asoka podbił Kalingę. W wielkiej bitwie jego armia zabiła sto tysięcy żołnierzy wojsk przeciwnika. Asoka był wstrząśnięty widokiem tej masakry. Odrzucił więc taką metodę podbojów i oznajmił, że prawdziwy podbój następuje wtedy, gdy zdobywa się ludzkie serca. A można to uczynić, będąc obowiązkowym i pobożnym, i pozwalając, by wszyscy żyli zgodnie ze swoimi przekonaniem. Przeszedł wtedy na buddyzm...

— Coś pięknego! — mruknęła pod nosem Jeanette.

— Był tak dobrym buddystą, że nawróciło się na tę wiarę wielu ludzi. Buddyzm rozprzestrzenił się w Indiach, na Cejlonie i w Indiach... Indon...

— Indonezji — podpowiedział brat Paweł.

— Tak. Nie mogę spamiętać tych wszystkich nazw z tamtego świata, tak jak i moja matka nie mogła ich zapamiętać. Asoka szanował wszystkie religie; nigdy nie zmusił nikogo do przejścia na buddyzm i nigdy nikogo nie przeszedził — dobrze powiedziałam?

— Prześladował — poprawił brat Paweł.

— Z pewnością byłbyś bardzo dobrym tatusiem! Pozwalał wyznawcom różnych religii

postępować zgodnie z ich zasadami, troszkę tak, jak to jest na naszej planecie, tyle że bez tego całego wrzasku. Był wegetarianinem i nie pił alkoholu. Myślę, że był najlepszym monarchą, jaki kiedykolwiek istniał!

— Historia też to przyznaje — rzekł brat Paweł. — Asoka był jednym z najlepszych.

— Wiedział jednak, że jego władza nie potrwa wiecznie. Pragnął powstrzymać ludzi od używania swych mózgów do złych celów. Dlatego założył wspaniałe tajemne stowarzyszenie, by o to zadbało. To właśnie owych Dziewięciu Nieznanych Mężów.

— Ale przecież to się działo tysiące lat temu — zaprotestowała Jeanette. — A co się stało, kiedy oni pomarli?

— Kształcili swych następców, w każdym nowym pokoleniu. Zawsze ich było dziewięciu, aż do dziś dnia, a każdy z nich był mędrcom. Używają sekretnego języka i piszą księgi, każdy ze swojej dziedziny wiedzy. Jeden zna psychologię. Drugi zna fiz....

— Fizjologię — odpowiedział znowu brat Paweł.

— Tak. Zna ją tak dobrze, że potrafi zabić człowieka dotknięciem. Niektóre tajemnice wydostały się na zewnątrz i teraz wykorzystywane są w judo!

— Judo! — wykrzyknął brat Paweł.

— To taka technika walki! — wyjaśniła.

— Aha, tak, rozumiem doskonale. Twoja religia naprawdę robi duże wrażenie. Skąd jednak znasz tożsamość owych Dziewięciu Mężów?

— Nie znam. Nikt zresztą jej nie zna, z wyjątkiem ich samych. Ale podziwiam to, co robią, bowiem pracują dla nas wszystkich. Są gdzieś wśród nas i... — Przerwała zawstydzona. — I myślę, że może... naprawdę nie wiem... że może mój ojciec Swami Kundalini jest jednym z nich. Tak dużo wie...

Brat Paweł spojrzał poza nią i ujrzał wielebnego Siltza stojącego w drzwiach. Zerwał się.

— Nie widziałem cię, wielebny! — zawołał. — Rozmawialiśmy właśnie...

— Słyszałem — powiedział Siltz. — Stoję tu już od jakiegoś czasu, nie chciałem jednak przerywać dziewczynce.

Jeanette zwróciła się do niego.

— Wielebny, przyszedłam tu, by... — Popatrzyła na Karolinę, nie chcąc podejmować wiadomego tematu w jej obecności. — Nieważne. Pójdę sobie.

Siltz wycelował w nią wskazujący palec. — Pierwszy wnuk. A także pierwsza wnuczka.

Komuniści.

Jeanette otworzyła szeroko zdziwione oczy. — Proponujesz kompromis?

— Wnuczki też są dobre — powiedział Siltz, jakby się usprawiedliwiał. — Czasami nawet lepsze od wnuków.

— Nie będę kupczyła sprawami dotyczącymi religii! — odparła Jeanette. — Wszystko inne, ale nie to. Wszystkie będą Scientologami.

— I któż tu jest uparty? — zapytał Siltz. — Mój syn jest na zewnątrz.

— To nie jest czysta walka! — krzyknęła.

— W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone — odparł Siltz. — Nie jestem pewien, z którym mamy tutaj do czynienia; możliwe że i z jednym, i z drugim. — Pierwsza dwójka dzieci... nawet jeśli to będą dziewczynki. To moje ostatnie słowo!

— Nie będę z tobą rozmawiać! — Jeanette wybiegła. Było to bardzo teatralne wyjście.

Siltz patrzył za nią. Po czym uśmiechnął się ponuro.

— Dwie wnuczki podobne do niej i Kościół Komuny. Nawróciłyby całą planetę!

— Nie wiedziałem, że twój syn już wrócił — powiedział brat Paweł. — Ja...

— Chcesz mieć córkę. Ja chcę tego samego — powiedział Siltz. — Nie kłopotuj się. Mój syn nie będzie dzisiaj tutaj nocował.

— Och, nie miałem zamiaru...

— Nie wiem, gdzie Iwan będzie spał i co będzie robił — ciągnął Siltz surowo. — Ale jutro... jutro zobaczymy, kto jest gotów pójść na kompromis.

Brat Paweł pomyślał o Jeanette, całej rozedrganej z gniewu, spotykającej się z młodym człowiekiem przed domem. Człowiekiem, którego kochała i którego pragnęła poślubić.

— Ona ma rację. Ty rzeczywiście stosujesz niedozwolone chwytaki.

Siltz skinął głową z wyraźną satysfakcją.

— To jak Tuziny — powiedziała Karolina, uśmiechając się. — Musisz odbić czyjeś pchnięcie, odwracając je zarazem przeciwko niemu.

— Tuziny czego? — Chciał wiedzieć Siltz.

— To zupełnie nieważne! — rzucił ostro brat Paweł, bardziej do siebie niż do niego. W czym to

umyśle powstały te obrzydliwe obelgi użyte w scenie Tuzinów? Porzucił domysły i zwrócił się do Siltza: — Mam pewien problem. Jak już zapewne słyszałeś, mieliśmy wiele poważnych przeżyć i przygód w animacji — nie mogę jednak powiedzieć, że udało mi się odnaleźć Boga. Nie jestem nawet pewien, czy w ten sposób można Go w ogóle znaleźć. Nie chciałbym jednak rozczarować waszej kolonii.

Siltz rozważał jego słowa.

— Moja wiedza o waszych przeżyciach w animacji jest niepełna. Z tego, co usłyszałem, wiem, że największe znaczenie zawierały wasze wizje osobiste, a nie religijne. Czyż nie jest możliwe, że szukasz nie tam, gdzie powinieneś?

— Ale przecież moją misją jest odnalezienie Boga, nie zaś zabawianie się!

— Wydawałeś mi się być bliżej Boga, kiedy obejmowałeś to dziecko ramieniem i kiedy je pocieszałeś, niż wtedy, kiedy mówiłeś o religii. — Siltz popatrzył na śpiącą w fotelu Karolinę. — Śpi.

Tak po prostu! W jednej chwili była gotowa rozmawiać o Tuzinach, w następnej się wyłączyła. Dorośli utracili tę umiejętność, dzięki czemu bezpieczniej wprowadzili pojazdy, ale byli o wiele mniej sympatyczni.

— Miała długą i ciężką drogę — przyznał brat Paweł. — Jakże mogą odnaleźć Boga, dogadzając swojej chęci posiadania dziecka?

— Pozwoliłeś mi dostrzec to, co było tak oczywiste, lepszy sposób ogrzewania domu — przez nieogrzewanie go. Być może łatwiej ci przyjdzie znaleźć Boga przez odnalezienie samego siebie. Musisz uwierzyć, że godzien jesteś przeprowadzenia osądu Boga.

— Nigdy w to nie uwierzę! Nie jestem godzien osądzać Boga! Widziałem w sobie takie głębie zepsucia, które czynią mnie niegodnym osądzania kogokolwiek! Ja... — Brat Paweł przerwał. — Właśnie dlatego nie mogę dokończyć tej misji. Wiem, że nie jestem...

— Wobec tego, kogo w ogóle jesteś godzien znaleźć?

— Szatana — odpowiedział brat Paweł ze smutkiem. — Tuż przed opuszczeniem animacji mieliśmy wizję Piekła. Poszukuję co prawda Boga, ale obawiam się, iż moje związki z Diabłem są bliższe.

— Czyż Szatan nie jest także Bogiem?

Brat Paweł patrzył na niego rozszerzonymi oczyma. — Chcesz przez to powiedzieć, że powinienem szukać Szatana?

— Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Wiem jedynie, że kiedy przyglądałem się tej małej diablcy, uganiającej się za moim synem, znalazłem w niej coś mi bliskiego. Zobaczyłem bowiem, jak łagodnie obchodzi się z dzieckiem. Badając diabła, odkryłem anioła. Nie wierzę w twojego

Szatana, ale czy nie istnieje taka możliwość, że on również posiada pewne zalety? Być może robi na nas jedynie wrażenie złego, ponieważ nie rozumiemy go wystarczająco dobrze.

Brat Paweł chodził tam i z powrotem po małym pokoju. — Mimo woli przychodzi mi na myśl karta z Tarota nazwana Umiar. Na ilustracji kobieta przelewa wodę z jednego dzbanka do drugiego, jak gdyby ją utleniała, dodawała jej tlenu, odnawiając tym samym jej siły witalne. Jak gdyby przelewała duszę z jednego naczynia do drugiego, przenosząc istotę osobowości z jednego żywota do drugiego. Być może z Ziemi do Piekła. A ty — ty przenosisz mój napór z jednego kierunku na drugi. Możliwe, że przyniesie to właściwy skutek, jeśli uwzględnimy precesję.

— Musimy szukać tam, gdzie musimy — przyznał Siltz — i robić to, co musimy. Dla jednych punktem orientacyjnym jest złoto, dla innych Biblia, kto może jednak stwierdzić z całą pewnością, którzy mają rację, a którzy jej nie mają, czy też że racja takowa w ogóle istnieje? Jest rzeczą oczywistą, iż Niebo ma więcej zalet od Piekła, lecz przecież oczywiste nie zawsze oznacza prawdziwe.

Brat Paweł skinął głową w zamyśleniu. Myślał zaś o tym, jak olbrzymi Szatan z Piekła Dantego mrugnął do niego. Niewątpliwie była to splotona koncepcja Szatana, taka, którą łatwo było wyśmiać — co zresztą uczynili. Co stałoby się jednak, gdyby wybrał się teraz, by uzyskać audiencję u prawdziwego Szatana? Poprzednio był jedynie do pewnego stopnia widzem w ramach konwencji przyjętej w celu torturowania Lee. Tym razem tortury mogą być dostosowane do niego samego.

Mimo to, im więcej się nad tym zastanawiał, tym bardziej niezbędne to mu się wydawało. Próbował zrobić przegląd bogów innych ludzi z obiektywnego punktu widzenia i poniósł porażkę, bowiem zbyt mało o nich wiedział. Próbował przeanalizować religię chrześcijańską, która była jego własną, i również poniósł porażkę. Ostateczna odpowiedź musiała więc leżeć w nim samym; żeby jednak poznać siebie samego, musiał poddać się próbie. Dopiero wówczas będzie w stanie udowodnić, że jest godzien osądzać Boga. Tak jak Lee, który poddał się próbie w jego własnym Piekle i po cierpieniach i zwątpieniach znalazł oczyszczenie.

Najpewniejszy więc test czeka brata Pawła w jego własnym, osobistym Piekle.

Przemoc (Diabeł)

Kiedy ukrzyżowano Jezusa Chrystusa, gubernator Poncjusz Piłat wyznaczył kilku rzymskich żołnierzy, by pełnili straż na miejscu kaźni. Jeden z tych żołnierzy, o imieniu Longinus, cierpiał na chorobę oczu. Gdy Jezus zmarł, Longinus wziął włócznię i przebił jego bok, by upewnić się, że rzeczywiście nie żyje. Krew spłynęła po drzewcu włóczni i odrobina jej dostała się do oczu legionisty. Zostały natychmiast uleczone. Fakt ten, w powiązaniu z innymi znakami, które się pojawiły w chwili śmierci Jezusa — zaćmieniem słońca i trzęsieniem ziemi — spowodował, iż Longinus uwierzył, że Jezus jest Synem Bożym i nawrócił się na wiarę chrześcijańską. Zrezygnował ze służby wojskowej, studiował wspólnie z apostołami i został mnichem. Wiele lat później przyprawiono go przed oblicze gubernatora, odmówił bowiem składania ofiar bożkom. Poddano go torturom: obcięto mu język i wyrwano zęby, lecz Longinus wziął topór i roztrzaskał posążki bożków, jakby tym odważnym czynem chciał powiedzieć: „Jeśli to są bogowie, niech ukażą swą moc!” Z rozbitych posążków wydostały się demony i wzięły w posiadanie ciała gubernatora i jego adiutantów; gubernator oślepl. Rozkazał wówczas ściąć Longinusowi głowę. A kiedy to uczyniono, padł na kolana przed jego ciałem, płakał i żałował swego czynu. I wzrok mu powrócił. I odtąd czynił wiele dobra.

Stali w dolince okolonej wielkimi, poskręcanyimi dębami. Księżyc w pełni oświeślał ich korony lecz jego blask nie docierał do samej ziemi. Sceneria była piękna, ale złowroga.

— Były sobie te dwa diabły — zauważył Therion. — I ten mały powiedział: „Mam już serdecznie dość bycia mniejszym złem!” — Nikt się nie roześmiał.

Powoli cienie stały się zupełnie nieprzezroczyste i uformowały się w ściany budynku, zamykające jedno duże pomieszczenie z ławami w jednym końcu i ozdobnym kamiennym ołtarzem w drugim. Kościół.

Ale jaki kościół! Krzyż na ołtarzu był odwrócony, na dodatek krzywo, i biegło przez niego pęknięcie. Witraże w oknach, które wyglądały jak posmarowane wysychającą już krwią, przedstawiały obsceniczne obrazy z satyrami, kobietami o rubensowskich kształtach i wieprzami. Za ołtarzem znajdowała się rzeźba Marii Dziewicy z odsłoniętą piersią, masturbującej małego Jezusa. Monstrualnych rozmiarów pentagram obejmował ołtarz i część wnętrza, włącznie z kilkoma ławkami. Miał kształt pięcioramiennej gwiazdy, której ramiona symbolizowały kończyny i głowę ludzkiego ciała, pięć ludzkich zmysłów i pięć żywiołów przyrody. Wszystko to było niewłaściwe, bluźniercze lub obrzydliwe, skalkulowane jako odwrócenie normalnej procedury religijnej. I takie właśnie musiało być. Miała to być bowiem czarna msza, ceremonia infernalna, poprzez którą mieli przywołać Szatana.

Dreszcz wstrząsnął bratem Pawłem. Czy rzeczywiście chciał to przeprowadzić? Nie było

najmniejszych wątpliwości: nie chciał! Poznał coś, co uważał za ostateczną potworność w czasie pierwszej animacji, ohydę osobistego upodlenia, po to tylko, by doświadczyć jeszcze większej potworności w animacji drugiej. Ta była trzecią i bez wątpienia będzie najgorszą, jeśli w ogóle uda mu się ją przeżyć. A jednak musi to zrobić, nie tylko ze względu na swą misję, lecz również jak na ironię, ze względów osobistych. Musi poznać samego siebie, niezależnie od tego, co to poznanie może przed nim odsłonić. Dopiero wtedy może mieć nadzieję poznania Boga.

Miał na sobie czarny płaszcz, wyszywany satanicznymi symbolami i węzami, otwarty z przodu i ukazujący jego genitalia, jako że był bez bielizny. Zebrani mieli na twarzach groteskowe maski, a niektórzy z nich przebrani byli w kostiumy wyobrażające różne zwierzęta. Młodzi akolici, kompletnie nadzy, obmacywali wzrokiem pośladki swoich współtowarzyszy: jawni sodomici. Machali kadzielnicami, od których bił zapach marihuany, opium i czegoś jeszcze gorszego.

Arcykapłan przystąpił do ołtarza. Jego szata, podobnie jak szata brata Pawła, była otwarta; animacja powiększyła do nieludzkich rozmiarów jego penis. Naturalnie, był to Therion. Pod jego kierunkiem członkowie zgromadzenia ułożyli na ołtarzu materac i przykryli go brudną płachtą.

— Rozpocznijmy ceremonię — powiedział kapłan Therion donośnym głosem. — Dziewico, pozbądź się swych szat.

Amaranta wysunęła się nieśmiało do przodu. Zwierzęce zgromadzenie rozpoczęło pieśń, której słowa były niezrozumiałe, a to dlatego, że śpiewano ją od tyłu. Amaranta ubrana była w ładną koszulę, przypominającą pod pewnymi względami tę, którą miała na sobie jako siostra Beth; materiał był półprzezroczysty i miał tendencję do odchyłania się w istotnych punktach, odsłaniając pewne części jej bujnego ciała. Brat Paweł nie był już tak naiwny, by traktować to jako przypadek; ona po prostu lubiła eksponować swoje ciało. A on, jak przystało prawdziwemu mężczyźnie, lubił je oglądać. Zaczęła tańczyć, odrzucając kawałki materiału stąd i stamtąd, w stylu striptizerki z nędznego lokaliku. Odsłaniała powoli swój bujny biust i jędrne uda.

— Wolałbym, żeby jej wysiłki związane były raczej z Niebem — wyszeptał stojący obok Lee.

Brat Paweł rozumiał, co Lee miał na myśli. Jednak niedoskonały człowiek nie miał szansy osiągnąć Nieba drogą bezpośrednią; wpierw musiał zadowolić się Piekłem. Widzieli obaj ten problem podobnie. Brat Paweł udał się do piekła Lee, by go stamtąd wydostać; teraz Lee towarzyszył mu w drodze do jego Piekła, by go tam wspomóc w miarę swoich możliwości. Na tym polegała przyjaźń.

Amaranta odrzuciła ostatnią część swego stroju i tańczyła nago. Miała tak wspaniałą kobiecą figurę z pełnymi piersiami i jędrnymi pośladkami przy ogólnie szczupłej sylwetce, że brat Paweł z trudem utrzymywał się w ryzach. Żałował, że nie jest dokładniej zasłonięty!

— Wspaniale giętkie ciało — powiedział Lee i brat Paweł zdał sobie sprawę, że mogłaby to być uwaga rzucona przez Antaresa. Amorficzny kosmita cenił zmienność, giętkość i galaretowatą ruchliwość szczegółów anatomicznych.

Zgromadzenie również doceniło jej urodę, witając jej nagość i taniec mieszanką pomruków,

warknięć, chrząknięć i zwierzęcego wycia. Niektórzy mężczyźni masowali się znacząco i kręcili biodrami, podczas gdy kobiety chichotały wulgarnie.

Brat Paweł czuł, jak narasta w nim gniew. Jakże ma stać tutaj i tolerować to poniżenie, jakiemu poddana jest kobieta, którą on kocha? (Kocha? Skąd to słowo przyszło mu na myśl? Możliwe, że go pociągała, ale przecież nie...) Przecież ona robi to z własnej i nieprzymuszonej woli... i robi to, by mu pomóc w wypełnieniu jego misji. Taka bowiem droga, zdaniem Theriona, była najszybsza i najpewniejsza dla tych, którzy szukali Szatana — a Therion był ekspertem w tej dziedzinie. Jeśli to jest najgorsze z poniżeń, jakie czekają jego, brata Pawła, to nie jest tak źle.

Amaranta podeszła ociężale do ołtarza i wzięła do rąk dwie świece. Brat Paweł wiedział, że zrobione są one z ludzkiego tłuszczu. Trzymając po jednej świecy w każdej ręce, usiadła ostrożnie na ołtarzu, po czym przechyliła się powoli i położyła na plecach. Głowę wsparła na poduszce, wyszywanej satanicznymi deseniami, a ramiona rozpostarła szeroko, używając ich jako podpórki dla kapiących świec. Bił od nich odór palonego mięsa, od którego bratu Pawłowi robiło się mdło. Nogi również rozłożyła szeroko, tak że zwisały z ołtarza, a jej kobiecość była widoczna dla wszystkich obecnych. Brat Paweł usiłował odwracać wzrok, lecz bez większego skutku. Zagryzał język, zwalczając reakcję, która dzięki jego otwartej szacie, byłaby nie do ukrycia przed zgromadzeniem.

Akolici przynieśli opłatki komunikantów skradzione w prawdziwym kościele i kwaśne wino o nieprzyjemnym kolorze rozcieńczonej krwi. Kapłan wzniósł komunikanty nad ciałem Amaranty i przeklął je najbardziej bluźnierczymi słowami. Po czym zwrócił je akolitom, by ci rozdzielili je pomiędzy członków zgromadzenia, a sam przyklęknął i z głośnym cmoknięciem pocałował dziewczynę poniżej brzucha.

Brat Paweł ruszył do przodu, lecz Lee powstrzymał go ręką na ramieniu.

— Taki jest rytuał — ostrzegał. — Jest on okropnością, ale droga do Piekła wybrukowana jest okropnościami, o czym zresztą wiedzieliśmy, nim zgodziliśmy się wziąć w tym wszystkim udział.

— A anioł Piekła raduje się każdą z nich! — oznajmił brat Paweł przez zaciśnięte zęby. Jego przyjaciel miał jednak rację: należy to znieść. Czy zresztą spodziewał się łatwiejszej drogi do Rejonów Infernalnych?

Zgromadzenie przyjęło komunikanty i wino, lecz nikt ich nie spożywał. Zamiast tego wszyscy poczęli rzucać komunikanty na podłogę, deptać je i polewać winem.

— Jezus Chrystus karmi się łajnem! — ktoś zawołał i bratem Pawłem wstrząsnął dreszcz na wspomnienie ukrzyżowania Zbawiciela. — Pieprzyć Marię Dziewicę!

— Słowa niewiele znaczą, zarówno uwielbienia, jak i potępienia — szeptał Lee. — Sataniści nadają zbyt duże znaczenie ekspresji zewnętrznej. Nie są w stanie obrazić takim zachowaniem ani Jezusa, ani jego matki.

I miał tu naturalnie rację. Ta piekielna ceremonia była istotna jedynie do tego stopnia, do jakiego mogła dotknąć brata Pawła, podobnie jak magia voodoo. Niech sobie demony bluźnią; głoszą w ten

sposób jedynie własną bezsiłę.

Kapłan Therion uniósł dobrotliwie prawą dłoń, jak kiedyś Hierofant. Lewą ręką drażnił swą męskość. Przypominało to bratu Pawłowi nieprzyzwoite hiszpańskie powiedzenie: „Drażnisz mojego penisa!”, będące odpowiednikiem angielskiego „Jesteś bólem w tyłku!” Najwyraźniej Therion drażnił własnego penisa.

— Wszystko we właściwym czasie — powiedział Therion, reagując na pokrzykiwania zgromadzonych.

— Zapłacą za to... we właściwym czasie — szepnął Lee głosem śmiertelnie poważnym. Było oczywiste, że mimo uspokajających słów wypowiedzianych do brata Pawła, sam był poruszony wydarzeniami.

Członkowie kongregacji porozpinali swoje kostiumy i oddawali mocz na masę utworzoną z opłatków i wina. Kapłan obdarzył dziewicę jeszcze jednym głośnym pocałunkiem, po czym wstał z kolan i oblizwał wargi.

— Napęlnić Graala — powiedział.

Akolici zebrali papkę z podłogi i napęlnili nią wielki i brudny kielich. Therion wziął od nich tę parodię Graala, wykonał nad nią obsceniczny gest i... trzymał na rękach niemowlę.

— Celebrancie, wystąp! — zawołał.

— To do mnie — powiedział brat Paweł ponuro. — Ostatnim razem, kiedy poszedłem taką drogą, pożałowałem tego...

— To tylko rytuał — przypomniał mu Lee. — Błuznierstwo, nagość, uryna... to wszystko jedynie wtedy może cię zranić, kiedy się temu poddasz. Zachowaj czysty umysł, czyste intencje, a wszystkie moce diabelskie okażą się bezskuteczne, a ich wysiłki daremne.

Doskonała rada! Brat Paweł postąpił do przodu.

Therion wyciągnął do niego ramiona z dzieckiem.

— Połóż to niewinne niemowlę na brzuchu Dziewicy, poderżnij mu gardło i zbierz krew do kielicha — poinstruował go. — Oto nóż ofiarny, a oto kielich. Musisz to zrobić dobrze, w przeciwnym razie Szatan nie przyjdzie.

Brat Paweł skamieniał, przerażony. I — Nie mogę tego uczynić — zawołał. — Nie mogę zabić...

Therion zmarszczył brwi, przybierając demoniczny wyraz twarzy.

— Och, daj spokój, Pawle — powiedział półgłosem. — Tak naprawdę, to nie jest niemowlę, rozumiesz; to szczenię. Zwierzę. Żywa ofiara dla Szatana. Widzisz? — I przez moment brat Paweł rzeczywiście widział małego szczeniaczka z podwiniętym pod siebie ogonem. — Nie bądź głupcem.

Nie psuj tego skeczu.

Ponownie pojawił się kształt niemowlęcia. A więc to tylko iluzja! Powinien był się tego spodziewać. Jakby nie było, widział jak kielich przemienia się w dziecko. Ale czy było rzeczą słuszną zabijać psa?

— Ruszaj się — ponaglał Therion. — Zatrzymujesz przedstawienie. Czy uważasz, że to coś gorszego od szlachtowania wieprza?

Czy rzeczywiście było to gorsze? Ileż to razy brat Paweł jadł mięso zwierząt? Tysiąc? Dziesięć tysięcy? Dla każdego takiego posiłku jakieś zwierzę, gdzieś tam było zabijane. Byłby hipokrytą, gdyby się teraz wycofał.

Wziął niemowlę i umieścił je na miękkim i białym brzuchu Dziewicy. Dziewicy? Jak mogła nią być po ich zbliżeniu w Zamku Siedmiu Kielichów, dwie animacje wcześniej? Nie mógł mieć jednak pewności, skoro Therion...

Odrzucił brzydkie myśli i przyjął nóż i kielich. Była to potworność, lecz reprezentowała sobą jego rytuał przejścia. Jeśli mógł jeść ciało zwierzęcia zabijanego dla niego, powinien być zdolny zabić też zwierzę osobiście.

— Tatusiu!

Znieruchomiał, wydawało mu się bowiem, że usłyszał jakiś głos. Jednak zachęcające go do działania wrzaski zgromadzenia zagłuszyły wszystko. Musiało mu się przywidzieć. Uniósł do góry nóż, obserwując przy tym, jak promień bladego światła księżyca odbija się w ostrzu. I nagle rozpoznał ten głos.

— Karolina — wyszeptał.

Nie... to zupełnie niemożliwe. Musiałyby już mieć jakieś dziesięć lat, zakładając, że animacje zachowują porządek chronologiczny. W żadnym wypadku niemowlę! Jako kolonistka miała już dwanaście lat i była na progu dojrzałości. Musi to być więc jakaś pomyłka dotycząca tożsamości osoby, możliwe, że wytwór jego przeciążonej wyobraźni.

Ścisnął nóż w spoczonej dłoni i zbliżył go do delikatnej szyi. To przecież „« była jej szyja, ale gardło szczeniaka. Zwykła iluzja... — Zastygł ponownie. Iluzja? Jeśli Therion był zdolny uczynić psie szcenię podobnym do ludzkiego niemowlęcia, dlaczegoż nie miałby z niemowlęcia uczynić szczeniaka? Lub z dziewczynki niemowlęcia?

Czyje gardło miał przeciąć?

I znowu przypomniał sobie epizod z Zamku, kiedy pochwycił nagą Amarantę... a później zajrzał przez okno i zobaczył Theriona stojącego w miejscu, w którym rzekomo była dziewczyna. Czyżby Therion upodobił się wyglądem do Amaranty i...

— Kończ już! — powiedział Therion przez zaciśnięte zęby. — Tubylcy zaczynają się

niecierpliwić. Czy chcesz wszystko zepsuć?

Poprzednio brat Paweł postąpił zgodnie z wolą Theriona i bardzo tego żałował. Czy był aż takim głupcem, by dać się zniszczyć dwukrotnie przez tę samą magię? Do jakiego to czynu popychał go tym razem jego zły towarzysz?

— Już! — wrzasnął Therion, a z jego głosu przebijała taka desperacja, że nawet jego penis utracił swoją horyzontalną pozycję.

Teraz jednak brat Paweł odzyskał pewność. Upuścił nóż i podniósł swą córkę z ciała Dziewicy.

— Co, do diabła, usiłujesz tu przeprowadzić? — zapytał bez żadnych bezbożnych intencji.

— Głupcze! — krzyknął Therion. — Już za późno, by się teraz zatrzymać. Szatan przybywa!

Usiłował chwycić niemowlę, lecz brat Paweł zastosował unik znany mu dobrze z judo i odskoczył na bok z dzieckiem na rękach.

Zgromadzenie, zawiedzione w swoich nadziejach, zmieniło się w szalejącą tłuszcę. Ze zwierzęcym rykiem ruszyło do ataku.

Brat Paweł położył dziecko za sobą i przygotował się do walki. Posiadał wystarczające umiejętności, by okaleczyć i zabić w sposób błyskawiczny, i jeśli tego chciała ta horda...

— Pawle, nie! — krzyknął Lee.

Brat Paweł zrozumiał. Lee nie chodziło o tłum; ostrzegał on jego samego. Już kiedyś uległ przecież Pokusie... postępując zgodnie z Jej wolą, w imię przeciwstawiania się Jej właśnie. Była to droga do klęski. Jego wzorem i powinien być raczej Jezus Chrystus: zachowanie własnych wartości, niezależnie od zagrożeń.

Stał twardo, obejmując dziecko ramieniem... i było tak, jakby otoczyła go aura, błyszczące światło, nieprzeniknione. Motłoch odbił się od tej tarczy i został odrzucony.

— Psiakrew! — krzyknął Therion. — Szatan przybywa. On swoją krew mieć musi! Pozostaje tylko jedna szansa... i muszę tego dokonać osobiście! — Skrzywił się, jak gdyby to, co zamierzał, było tak okropne, że sam się przed tym wzdragał.

Podszedł sztywnym krokiem do ołtarza, trzymając jedną dłoń na fallusie. I Dziewica leżała w niezmienionej pozycji, z zapalonymi świecami w wyciągniętych rękach. Therion zajął pozycję pomiędzy jej rozpostartymi nogami i opadł na nią całym ciężarem.

— Nienawidzę tego — powiedział. — Już wolałbym się na nią wypróżnić. Ale wszystko musi być uczynione zgodnie z konwencją.

Brat Paweł rzucił się do przodu... i ponownie został powstrzymany przez Lee.

— Zwyciężyłeś przecież... nie zmarnuj teraz tego! Co jest dla ciebie najważniejsze?

I brat Paweł uświadomił to sobie: życie córki było ważniejsze od dziewictwa przyjaciółki. Zatrzymał się i stał bez ruchu.

Therion zamknął oczy i obnażył zęby, jakby stał przed plutonem egzekucyjnym; zebrał się w sobie, zaklął i pchnął biodra do przodu. Amaranta wciągnęła ze świstem powietrze i wypuściła z dłoni świecę; najwyraźniej spodziewała się jedynie jeszcze jednego pocałunku. Na protesty było już jednak za późno. Trysnęła krew; symptomy utraty dziewictwa wzmocnione zostały przez animację.

Thuszczą wokół wpadła wprost w szal. Zmieniła się w jedno wielkie kłębowisko ciał. Ubrania zostały odrzucone. Mężczyźni spółkowali wściekle z kobietami, genitalnie, oralnie i analnie, a ci, którym nie udało się dopaść jakiegoś kawałka kobiecego ciała, wyżywali się równie zawzięcie w najbliższych dziurach i zagłębieniach. Była to nieprawdopodobna, pozbawiona wszelkich hamulców orgia. Okazało się, że część członków zgromadzenia to rzeczywiście zwierzęta, a nie tylko ludzie za nie przebrani, i zwierzęta te brały czynny i bierny udział w ogólnym szaleństwie.

Nagle cały ten demoniczny kościół zatrzęsł się w posadach. Spod posadzki począł wydobywać się dym. Motłoch jednak nie zwracał na to uwagi. Wszyscy zajęci byli zaspokajaniem swych, wzmocnionych narkotykami, zwierzęcych żądz. Wszyscy, z wyjątkiem brata Pawła, Lee i Karoliny.

Therion ciągle jeszcze składał swą ofiarę na ołtarzu, przesuwał eks-Dziewicę i materac w poprzek stołu ofiarnego, w ponurej determinacji, by zakończyć właściwie ten rytuał.

— Obrzydliwość! — mamrotał. — Nie mogę pozwolić, by mnie to sparaliżowało! Muszę ejakulować tę ofiarę, choćby nie wiem jak obezwładniała mnie ta Gorgona!

I podwoił wysiłki, zwalczając grożącą mu bezustannie impotencję. Amaranta usiłowała się podnieść, lecz nie mogła tego uczynić tak długo, jak długo nie skończył on rozpoczętego dzieła.

— O czym ty, do diabła, mówisz? — spytała, a jej zdziwienie, dezorientacja i, ból zamieniały się w gniew, kiedy zaczęło docierać do niej znaczenie tego słów.

Therion zeszywniał w ostatnim wysiłku, po czym rozprężył się powoli. Po chwili zdumiony wykrzyknął:

— Dokonałem tego! Naprawdę tego dokonałem! Pokonałem tego szeroko rozwartego potwora! Zwyciężyłem samą Jawną Kastrację! Tylko Szatan mógł mi pomóc w przebrnięciu przez taką ohydę!

— Taką ohydę? — wrzasnęła wściekła Amaranta. — Precz ode mnie, ty cioto!

Teraz wreszcie brat Paweł zrozumiał. Dla niektórych homoseksualistów, okolice genitalne kobiety były przerażającym dowodem realności kastracji, ponieważ tam, gdzie powinien być penis i jądra, znajdowała się szczelina, jak cięcie pozostawione nożem. Okropny miecz usunął wszystko. Ludzie tego pokroju muszą bez przerwy się uspokajać poprzez zadawanie się tylko z tymi, którzy pozostają nie okaleczeni: z innymi mężczyznami. Homoseksualizm jest Piełem.

— Czy wiesz — dodał Therion, z jeszcze większym zdziwieniem niż przed chwilą — że chyba mi się to podobało! — Przeszedł on zapewne równie poważną próbę jak Lee w Piekło Dantego i równie wiele z niej skorzystał. Odkrył bowiem heteroseksualizm.

Dym ustąpił miejsca językom ognia, strzelającym w górę jak płomienie z palnika spawarki, na wszystkich dziesięciu bokach pięciokąta. Płomienie te wyznaczały kontury pięciu ramion gwiazdy. Wszyscy zgromadzeni znajdowali się wewnątrz tak wyznaczonych konturów. Płomienie strzeliły wyżej, tworząc kurtynę z ognia, odgradząc gwiazdę od reszty obscenicznego kościoła. Posadzka zadrżała ponownie, jak gdyby pod wpływem trzęsienia ziemi.

— Szatan nadchodzi — oznajmił zwięźle Lee. — Akt kapłana wezwał...

— Nie... podejrzewam, że to my raczej udajemy się do Inferna — powiedział brat Paweł. — Kapłan naoliwił jedynie kanał, że tak powiem. Góra bowiem rzadko przychodzi do Mahometa.

— Postaw mnie na podłodze, tatusiu — usłyszał głos Karoliny. Dopiero teraz zauważył, że przyciska ją do siebie tak mocno, że

stopy jej wiszą w powietrzu. Przestała być niemowlęciem; błyskawicznie i w sposób niezauważalny dorosła do swego rozmiaru kolonistki. Gdyby był użył noża, ulegając rzekomej nienawiści Theriona do płci pięknej... nie! Opuścił ją delikatnie na posadzkę. Już i tak znalazł się zbyt blisko Pieła jak na swój gust!

Cała powierzchnia pentagramu skoczyła w górę z brzękiem, jaki wydaje metal uderzający o beton. Rozległ się syk pary, tworzącej wielkie chmury i przyduszającej ogień. Opary ozonu wypełniły powietrze. Eks-Dziewica spadła z ołtarza, pociągając za sobą kapłana; w końcu jakoś wyswobodzili się z płataniny rąk i nóg.

— Tatusiu, weź mnie na ręce! — zawołała Karolina.

Ale on jedynie ścisnął delikatnie acz stanowczo jej szczupłe ramiona, chroniąc ją przed upadkiem.

— Ruszamy do Pieła, skarbie — powiedział. — Nie obawiaj się jednak.

Odwróciła głowę i popatrzyła na niego. Nagle zdał sobie sprawę z bezsensu własnych słów. Oboje wybuchnęli śmiechem. Lee popatrzył na nich z dezaprobatą.

— Wesołość, znamię Diabła — mruknął pod nosem.

Para zgęstniała i powietrze stało się bardzo duszne. Szalejący motłoch zdał sobie wreszcie sprawę ze zmiany sytuacji. Rozległ się wokół kaszel i chrypienie, kiedy otaczający ich smog zmienił się w pokrywającą wszystko i wszystkich sadzę. Brat Paweł wyciągnął chusteczkę i przyłożył ją do ust Karoliny, aby ułatwić jej oddychanie. Nalegała, by dzielił ją z nią, przykucnął więc i przyłożył usta do jednego z rogów. Wydawało mu się, że oddychanie przez filtrującą duszący gaz i pył chusteczkę jest trochę łatwiejsze.

Podłoga zapadła się. Cały pięciokąt runął w bezdenną dziurę w ziemi, jak , której liny zerwały się

i której hamulce odmówiły posłuszeństwa. W dół i w dół, w swobodnym spadaniu, z żołądkami podchodzącymi pod gardła.

— I tak już zapadłem się w otchłań — odezwał się skądś Therion, wspominając zapewne swój ostatni wyczyn, swój najwyższy akt odwagi. — Zgromadzenie poniosło już pierwsze ofiary. Brat Paweł, Karolina i Lee trzymali się jednak mocno. Therion ześlizgnął się wreszcie z Amaranty i ta Stała na własnych nogach, praktycznie spływając z obryzganego krwią materaca. Brat Paweł usiłował nie patrzeć na nią ani na zwisającego już członka Theriona, nie bardzo mu się to jednak udawało. Miał dziwne uczucie, że ona go zdradziła, chociaż było rzeczą oczywistą, że ani się nie spodziewała, ani też nie brała czynnego udziału w tym, co zaszło. Poza tym, pewna odpowiedzialność spoczywała również i na nim, skoro odmówił poświęcenia niemowlęcia, zmuszając tym samym Theriona do zastosowania procedury alternatywnej. Zatem to Amaranta została złożona w ofierze w miejsce Karoliny. Przyglądając się teraz nagiej kobiecie, z ramieniem wokół dziecka, zrozumiał swą decyzję. Rzeczywiście, bardziej kochał swą córkę.

Powietrze pędziło wokół opadającej platformy. Powietrze — jeszcze jeden znak Diabła! Mieszanina oparów strzelała w górę, jej kolory podobne wijącym się wężom. Prędkość pięciokąta była tak wielka, że wiatr dosłownie gwizdał wokół nich. Przedziwne stwory, całe z kłów i skrzydeł, przelatowały obok, zerkając na pięciokątną platformę, jakby była półmiskiem. Po pierwszym szoku, spowodowanym nagłym upadkiem, powracała stopniowo równowaga, dająca platformie złudzenie stabilności. Członkowie kongregacji, niektórzy w strzępach odzieży, inni nadzy, stali w przerażonych grupkach, patrząc na zewnątrz. Zbliżająca się animacja Piekła nie była najwyraźniej tym, czego oczekiwali.

Nawet podczas tej przerażającej podróży w dół, brat Paweł nie mógł się powstrzymać od rozważania technicznych aspektów tej produkcji. Animacje potrafiły ukazywać rzeczy innymi niż one rzeczywiście były i zmieniać miraże w rzeczywistość, ale były to jedynie problemy związane z percepcją zjawisk. Nie działały natomiast bezpośrednio na umysły uczestników. Skąd więc to uczucie spadania i gwałtownego ruchu? Odpowiedź pojawiła się sama, kiedy formułował w myślach pytanie: istniało więcej zmysłów niż owe przysłowiowe pięć, a zmysły takie, jak zmysł równowagi, ruchu i napięcia mięśniowego stanowiły części w całości, jaką była animacja. Najbardziej intensywna z animacji pokrywała całe spektrum zmysłów; jedynie czyste, logiczne rozumowanie i pamięć pozwalały rozpoznać coś, co należało do świata obiektywnego. Zresztą nawet i pamięć ulegała częściowo sile animacji, o czym miał okazję przekonać się osobiście.

Pozostawało wszakże faktem, że większa część tego, co składało się na indywidualną świadomość, była pod kontrolą zjawiska animacji. Około czterdziestu procent możliwości umysłowych brata Pawła potwierdzało, że całkowicie rzeczywistą była wizyta na skolonizowanej planecie złożona przez nowicjusza ze Świętego Zakonu Wizyjnego w celu stwierdzenia, czy jakieś Bóstwo stoi za efektem animacji. Sześćdziesiąt procent mówiło mu, że udaje się do Piekła.

— Udajemy się do Piekła — powtórzył cicho, i tym razem już się nie roześmiał.

Z nagłym szarpnięciem, które rzuciło obecnych na podłogę, platforma zmieniła kierunek. Brat Paweł zachwiał się, usiłując uchronić Karolinę przed upadkiem. Lee wyciągnął rękę i chwycił jej ramię, pomagając jej zachować równowagę, a poprzez nią i bratu Pawłowi. — Dziękuję — wydusił

z siebie brat Paweł.

— Podtrzymałeś mnie kiedyś — powiedział Lee. — Ukazałeś mi błąd tkwiący w mojej filozofii i doprowadziłeś do jedności z Jezusem Chrystusem.

Teraz to Lee stanowił źródło siły, zdolny kontemplować samo Piekło z pewnym spokojem umysłu, ponieważ dusza jego była czysta.

— A co z moją duszą? — spytał sam siebie brat Paweł. — Jest ona gniazdem skorpionów, o którym sądziłem, że dawno zostało pogrzebane i zapomniane, a teraz na powrót zostanie uwolnione!

Platforma poruszała się teraz horyzontalnie. Zgromadzeni wdrapywali się na ławki, zasiadali w nich, trzymając się ich kurczowo. Therion trzymał się ołtarza, który znajdował się w części czołowej pięciokąta.

— Chodźcie tutaj! — zawołał. — Czy chcecie, żeby was zmiotło?

Lee patrzył na ukośne pasy kolorów poza obrzeżem platformy. Mgły przecierały się powoli, ukazując przerażającą otchłań, z której tryskały jęzory ognia.

— Czyż możemy spaść jeszcze niżej niż jest to nam przeznaczone? Słuszna uwaga. Z jednym wszak zastrzeżeniem.

— Jeśli pozostaniemy na platformie — powiedział brat Paweł — zwiedzimy Piekło i być może powrócimy z niego żywi. Jeśli z niej spadniemy — zginiemy i powrót może nigdy nie nastąpić.

Karolina również rozejrzała się wokół. Wir ognia wydawał się przybierać na intensywności, aż utworzył amorficzne, demoniczne oblicze, patrzące na nich zgłodniałym wzrokiem.

— Och, jak kręci mi się w głowie! — wykrzyknęła, chwając się nagle—Brat Paweł poderwał się, by ją chwycić, ale ponownie uprzedził go Lee, który pewną ręką podtrzymał dziewczynkę.

Całe to przechylanie się, podskakiwanie i nagłe przyspieszanie platformy spychało ich nieustannie w kierunku przerażającej otchłani. Członkowie kongregacji czuli się w miarę bezpieczni, ponieważ ławki były mocno przytwierdzone do podłogi; niektórzy z nich leżeli wręcz na spiczastych zakończeniach ramion gwiazdy i trzymając się zaciśniętymi palcami ich wąskich krawędzi patrzyli z napiętą uwagą w dół, w Piekło. Tutaj jednak, na samym przedzie, nie było się czego uchwycić, chyba że samego ołtarza.

Brat Paweł nie miał najmniejszej ochoty go dotykać. Jego płyta i leżący na niej materac spoczywały teraz na podłodze blisko obrzeża. Jednak wzrastała w nim nerwowość spowodowana tym, że ich punkty oparcia były tak niepewne. Przypominało to podróżowanie na skrzydle samolotu, bez znajomości intencji jego pilota. Poza tym pokryta śliską mazią podłoga była bardzo zdradliwa. Jakikolwiek nagły ruch...

Stało się. Pięciokąt przechylił się i cała trójka zaczęła się ślizgać po pochyłości. Materac wysunął się poza brzeg i spadł. Z dołu trysnął nagle płomień, kiedy zapalił się on od panującego tam żaru.

Therion wyciągnął do nich rękę. Chwycił machające bezskutecznie ramię brata Pawła i z jakąś demoniczną siłą wciągnął na ołtarz ten cały ludzki łańcuch, złożony z brata Pawła, Lee i Karoliny.

— Jedziemy do domu — powiedział z przerażającym zadowoleniem. — Dopilnuję, żebyście się gdzieś nie zgubili po drodze. Mój Pan byłby bardzo rozgniewany.

Był więc agentem Szatana. Cóż, czego innego mogli się po nim spodziewać? W Rejonach Infernalnych tylko naprawdę zły człowiek mógł być panem.

Stanęli przy ołtarzu, zaciskając palce na jego kamiennych krawędziach, i patrzyli przed siebie. Ujrzeni szyny, przypominające tory kolejowe, skręcające gdzieś w ciemność, na kształt błyszczących, stalowych żeber. Tak więc wyglądał mechanizm prowadzący ich platformę!

— To przecież roller-coaster! Jazda diabelską kolejką! — krzyknęła Karolina.

Brat Paweł wymienił spojrzenia z Lee.

— Z ust dzieci wypływa... — wyszeptał ten drugi. — Czy samo Piekło jest jedynie straszliwą przejażdżką?

Przed nimi wyłonił się tunel: czarna dziura w bezkresnej ścianie. Tory prowadziły wprost w jego głąbie.

Pięciokąt pędził w kierunku tej dziury... lecz nagle stało się dla wszystkich oczywiste, że pojazd był zbyt szeroki, aby zmieścić się w otworze, ku któremu zmierzał. Rozległy się krzyki przerażenia, kiedy ludzie znajdujący się na końcach ramion gwiazdy zdali sobie sprawę z zagrożenia. Nastąpiło zderzenie... i dwa ramiona zostały gładko odcięte przez ściany tunelu. Ludzie trzymający się kurczowo tych ramion... zniknęli.

Brat Paweł ujrzał oczyma wyobraźni obraz ciał ludzkich rozgniecionych na ścianach jak muchy, przyklejonych do nich przez moment, następnie zaś spadających w płomienie. Piekło było okrutne... ale z drugiej strony — czegóż więcej się po nim spodziewał? Miał jedynie nadzieję, że Karolina nie całkiem sobie zdaje sprawę ze znaczenia tych wydarzeń.

— Tatusiu, ci ludzie nie byli zbyt sympatyczni — powiedziała. — Mimo to...

Przytulił ją do siebie, a ona oparła głowę na jego ramieniu i rozplakała się bezgłośnie. Robiła tak zazwyczaj, kiedy jej wrażliwość ucierpiała z jakiegoś powodu, bowiem normalne problemy powodowały, że płakała otwarcie i głośno.

Platforma nie była już pełnym pięciokątem. Była teraz grotem strzały, pędzącym w kompletnych ciemnościach po swoim torze. Nagle z jednej strony pojawił się jakiś potwór. Miał wytrzeszczone, żółte oczy, ociekające krwią kły i piętnastocentymetrowe szpony. — **HO-HO-HA-HA-HA!** — śmiał się donośnie, dotrzymując kroku platformie.

— To tylko taka postać z gabinetu strachu — uspokajał brat Paweł Karolinę, kulącą się ze strachu. Gdyby można jej było oszczędzić tej podróży do Piekła; sądził przecież, że już jej dawno nie ma w

tej animacji... dopóki Therion nie przyprowadził jej na ofiarę. Niech będzie przeklęty! Czasami robił wrażenie całkiem przyzwoitego człowieka, ale zawsze na nowo ukazywał takie cechy charakteru, które czyniły go jeszcze gorszym niż uprzednio. Ta ofiara, na przykład; jedynie najbardziej zwyrodniały umysł mógł wymyślić coś podobnego. Podstępem doprowadzić do tego, by ojciec poderznął gardło swej własnej córce? — Ona jedynie ma straszyć... ale nie jest prawdziwa.

— Wygląda zupełnie jak prawdziwa — powiedziała, uspokojona. Potwór wyciągnął olbrzymie ramiona i pochwycił dwoje ludzi. Zawyli,

a Karolina krzyczała razem z nimi. Brat Paweł poderwał się do czynu, lecz Lee i Therion powstrzymali jego zapędy. Zadziwiająca sytuacja, gdy dwoje naturalnych antagonistów działa zgodnie! — Już po nich — powiedział Lee. — Nikt nie jest w stanie im pomóc, czy też zmienić sposób ich odchodzenia z tej rzeczywistości.

Potwór przybliżył łapy z ofiarami do otwartej paszczy. Karolina ukryła twarz. Therion roześmiał się. Potwór jednak zniknął z ich pola widzenia, nim rozpoczął przerażającą konsumpcję. Z oddali dochodziły jedynie coraz słabsze krzyki dwu ofiar.

Pozostali członkowie kongregacji, tak uprzednio gorliwi w przywoływaniu Szatana, kulili się teraz na swoich miejscach. Pojawiła się następna zjawy, tym razem w postaci olbrzymiej ośmiornicy z groźnym, zagiętym dziobem. Okręciła osiem ramion wokół ośmiu osób i pociągnęła je, wrzeszczące i kopiące nogami, w ciemność.

— Nie przejmujcie się — powiedział lekkim głosem Therion. — Ci, którzy dotykają świętego ołtarza, wolni są od tego rodzaju napaści.

Zapewne czeka ich znacznie gorszy los. Brat Paweł miał bardzo złe przeczucia.

Amaranta podniosła wzrok.

— Ja nie byłam od nich wolna! Leżałam wręcz na ołtarzu, kiedy... Zrezygnowała jednak z dokończenia tego zdania.

Pozostali na miejscu członkowie zgromadzenia kryli się pod ławkami. Nastąpiła mordercza walka o teoretycznie bezpieczniejsze pozycje, podczas gdy następne dwie osoby zniknęły za krawędzią ze znanym już wszystkim przerwany wpół przez jakieś chrupanie. Co też kryło się tam, na dole?

Ukazały się światełka, każde jak patrzące oko — dwie linie po bokach, jak lampy oświetlające jakiś podziemny tunel. Jeśli obrazy te powstawały w jego podświadomości, to niewątpliwie brakowało jej oryginalności. Jednak, jak do tej pory, to Therion wydawał się osobowością dominującą w tej animacji. Piekło to przecież jego dziedzina.

Pojazd przyspieszył. Światełka rozmazały się. Tory zakręciły i wszystkich rzuciło na prawo, kiedy wszedł on w zacieśniającą się coraz bardziej spiralę. Pędzili ciągle w dół, w leju wiru, ciasniejszym i ciasniejszym, aż w końcu platforma kręciła się jak żyroskop, dodając tym samym moment skracający do obrotowego. Czepiali się desperacko ołtarza, walcząc o życie, a palce ich

ześlizgiwały się z gładkiego kamienia.

Światelka zbiegły się i jeszcze raz okazało się, że otwór jest już zbyt mały nawet dla tego, co pozostało z platformy. Nastąpiło ponowne obcięcie jej wystających części i znów rozległy się krzyki tych, którzy tym razem wylecieli na zewnątrz spirali i znaleźli się pod kołami platformy wewnątrz spirali, gdzie pocięci zostali na drobne kawałki. Fragmenty rąk i nóg fruwały w powietrzu, odbijały się od platformy i spadały w ciemność. W pewnym momencie przetoczyła się po podłodze platformy czyjaś głowa, pozostawiając za sobą linię krwawych śladów.

— Nie zważano na ich dusze — zauważył Therion, bez żadnego współczucia w głosie. — Nie przygotowano ich odpowiednio do spotkania z ich Panem.

— A czy my jesteśmy przygotowani? — zapytał brat Paweł, zakrywając jednocześnie dłonią oczy Karoliny, by uchronić ją przed potwornymi widokami. — By spotkać ich Pana, czy też naszego własnego?

Wiedział że kongregacja nie składała się z prawdziwych ludzi, ale z pewnego rodzaju fantomów, ludzkich odrzutów, które właśnie są odrzucane. Dlatego nie byli oni w stanie zrobić mu jakiegokolwiek krzywdy, kiedy go zaatakowali, stanowili bowiem jedynie część scenerii. Jądro, w postaci pięciu prawdziwych osób, znajdowało się tu, obok ołtarza. Dlaczego nie przyszło mu wcześniej do głowy, by tak właśnie wytłumaczyć to Karolinie?

Platforma miała teraz formę pięcioboku, pozbawionej ramion gwiazdy. Tuzin czcicieli Diabła czepiał się jedynej ławki, która się jeszcze zachowała, pędził w dół przez oko wiru, by wreszcie uderzyć z pluskiem w powierzchnię jakichś ciemnych i mętnych wód.

Lee rozejrzał się wokół z dezaprobatą.

— Czy to już jest Piekło? — zapytał. — A może jedynie rzeka Styks?

— Piekło się jeszcze nie ujawniło. — zapewniał go Therion z zapalem.

Więc to wszystko było jedynie preludium. Pokazem na rozgrzewkę. Brat Paweł poczuł bardzo nieprzyjemny chłód przenikający jego ciało. Co pokaże im Piekło, kiedy podejdzie do sprawy poważnie?

Pięciobok kołysał się na niewielkiej fali, napędzany i prowadzony jakąś ukrytą siłą na drugą stronę rzeki. Płynęli pod wiatr, który niósł ze sobą intensywny odór zgnilizny. Na wodzie znajdowały się też inne łodzie, o lepszych wszakże niż ich własna kształtach; ich była właściwie tratwą. Dziwny był fakt, że tyle samo łodzi płynęło w jedną co i w drugą stronę i wszystkie miały komplet pasażerów. Czyżby ludzie opuszczali Piekło?

Therion patrzył przed siebie, odsłaniając nierówne zęby w dzikim i okrutnym uśmiechu. Amaranta opierała głowę o ołtarz; jej prywatne piekło zaczęło się jeszcze przed jazdą w dół. Wydawała się wówczas tak chętna do zabawy; czyżby było to jedynie udawanie? A może, po prostu, Therion nie był tym właściwym mężczyzną? Fakt, że okazała się dziewczcą, przemawiał za teorią udawania. Brat

Paweł wiedział, że bywają kobiety tego rodzaju. Wszystko na pokaz i żadnej w tym treści. Cóż, teraz ją miała!

Przerażenie Karoliny ustąpiło; rozglądała się wokół, zaciekawiona. Lee stał z zamkniętymi oczyma, w pozornej medytacji. Brat Paweł zdecydował, że nie będzie ich angażować w żadne konwersacje. Było tak spokojnie, jak tylko możliwe jest to w Piekło.

— Czy mam opowiedzieć jakiś dowcip, żeby umilić czas oczekiwania? — zapytał Therion. — Zdarzyło się, że Bóg „poczuł swą wolę” i zstąpił na Ziemię i nawiedził tę żydowską dziewczynę, w rezultacie czego...

— Powstało chrześcijaństwo — dokończył Lee. — Dlaczego nie spróbujesz dla odmiany powiedzieć czegoś bardziej oryginalnego?

Jakaś łódź przepłynęła obok ich tratwy, powodując powstanie wysokiej fali. Therion zmarszczył brwi.

— Uważaj jak płyniesz, cymbale! — wrzasnął.

— Zamknij dziób! — odkrzyknął ktoś z łodzi. Therion wyprostował się, zachwycony.

— Pocałuj mnie w tyłek! — zawołał. — Fala, którą wywołałeś, przelewa się nam przez pokład!

— Tak? To popatrz na te, frajerze! — odkrzyknął ten drugi. Łódź zawróciła, przyspieszając gwałtownie. Fale przetoczyły się przez tratwę, oblewając stopy stojących, a całe ciała tych, którzy leżeli pod ławką. Wstali przeklinając, woda bowiem nie była czysta; była brudna i mętna, a poza tym śmierdziała. Brat Paweł zauważył, że coś w niej pływa, coś, co przypomina — tak jest, fekalia.

Therion nachylił się, zagarnął ociekający wodą kawałek i cisnął w kierunku łodzi. Rzut miał odpowiednią siłę i był celny; łajno uderzyło w ramię jednego z pasażerów. W łodzi rozległy się wściekłe wrzaski. Jej pasażerowie sięgnęli do wody po „amunicję”.

— Naturalnie, zdajecie sobie sprawę z tego, że oznacza to wojnę — powiedział Therion z radosnym uśmiechem na twarzy. Przykucnął przy ołtarzu, nie po to jednak, by się ukryć, lecz by przygotować sobie odpowiednią ilość amunicji. Brat Paweł odwrócił się z niesmakiem. Therion był fekalną osobowością, a czym bliżej było do Piekła, tym otwarciej się to przejawiało.

Inni poszli za przykładem Theriona. Po cóż jednak mieliby mieszać w mętnych wodach w poszukiwaniu pocisków, skoro tak łatwo było uzyskać materiał wojenny o wyższej jakości, a na dodatek produkcji własnej? Wkrótce powietrze wypełnił świst śmierdzących pocisków. Wojujące strony ochlapwały się beznadziejnie brązową mazią.

Amaranta wyprostowała się, wykazując pewne zainteresowanie wydarzeniami.

— Och, gównno! — krzyknęła.

Była to prawda, w sensie dosłownym; to ono właśnie wylądowało pomiędzy jej piersiami i

splýwało ohydnie po białym ciele. Karolina zbliżyła się do niej.

— Pomogę ci — powiedziała.

Zaskoczona Amaranta popatrzyła jedynie na nią bez słów. Karolina zdrapała palcami z jej ciała brązową masę. Zrobiła półobrót i jej wzrok pobiegł w kierunku łodzi.

— Nie! — ostrzegł ją brat Paweł.

Z ociąganiem wrzuciła fekalia do wody i nachyliła się by opłukać ręce. Po czym nabrała wody w obydwie dłonie, aby Amaranta mogła się umyć.

— Kochane dziecko — szepnęła Amaranta.

Głos jej się załamał, więc nie odezwała się więcej, tylko splukiwała swe piersi wodą.

Dlaczego on sam nie wyciągnął pomocnej dłoni? — pytał sam siebie brat Paweł. I sam udzielił sobie odpowiedzi: ponieważ Amaranta splugawiła się w jego oczach. Legła na ołtarzu z tym fekalicznym maniakiem i apostołem Szatana. Nawet jeżeli nie było to z góry zaplanowane, i tak było alternatywą jeszcze większej zbrodni, o której wcześniej wiedziała i której była świadoma: egzekucji tegoż dziecka, które jej właśnie w tej chwili pomagało.

Karolina, w swej błogosławionej, dziecięcej naiwności, wybaczyła Amarancie. Brat Paweł jej nie wybaczył.

Coś ciężkiego, choć nie twardego, uderzyło go w tył głowy. Wiedział, co to jest, nim jeszcze spróbował się tego pozbyć. Kiedyś zdarzyło mu się postąpić niemoralnie i jego dusza unurzała się wówczas w łajnie. Tym razem wydał niesprawiedliwy osąd i został ukarany w podobny sposób.

Jedynie Lee pozostał nie zbrukany fekaliami. Stał ciągle, z zamkniętymi oczyma, pogrążony w medytacji, odporny na wszelkie ataki. Nawet tu, na skraju Piekła, otaczała go jakaś boska łaska.

Łódź i tratwa rozdzieliły się i bitwa wygasła. Nikt nic nie zyskał; i tak wszyscy podążali do Piekła. Być może był to jedynie jakiś fragment inicjacji: niezbędne upodlenie, unurzenie się w brudzie. Jak gdyby fizyczne zbrukanie przygotowywało grunt pod zbrukanie duchowe. I tak zapewne właśnie było.

— Prochem i brudem jesteś — wyszeptał brat Paweł. — I w brud się obrócisz. — Czyżby Piekło było jednym wielkim kompostem dla zaszarganych dusz?

Dopłynęli do brzegu. Nie musieli jednak wysiadać, bowiem tory wychodziły z wody i prowadziły dalej. Jazda diabelską kolejką trwała więc dalej.

— A teraz wielki objazd — powiedział Therion z zadowoleniem. — Nie można co prawda poznać wszystkich aspektów Piekła w przeciągu kilku minut, lecz jakaś jego część ukaże nam się w czasie tej jazdy. — Uśmiechnął się, ale nie był to uśmiech przyjemny. — Nie zapominajcie, że Szatan i Jego sługi to także bóstwa, a ich jedyną zbrodnią była przegrana podczas przewrotu pałacowego.

Rogatemu Bogu oddawano cześć przez wieki całe, a i dziś znajdziecie takich, którzy pozostali wierni prawdziwej religii. — Naturalnie, miał na myśli samego siebie.

Platforma wjechała do jakiejś egzotycznej galerii, przypominającej wnętrze Wielkiej Piramidy. Ściany były ozdobione starożytnymi, egipskimi malowidłami i piktografami, a we wnękach stały wielkie i ponure posągi: gryfów, hipopotamów, krokodyli, świń, żółwi i węzów. Na kamiennych gałęziach tuż pod sufitem siedziały ptaki z ludzkimi głowami.

Stał tam również rząd figur o ludzkich kształtach, każda w krótkiej spódniczce i egipskim nakryciu głowy, czekających na wyznaczenie im zadań i obowiązków. Odpowiedzialny za nich demon miał ludzkie ciało, głowę zaś jakiegoś dziwnego zwierzęcia, obdarzonego długim pyskiem.

— To Set — wyjaśnił Therion. — Ma głowę Oryksa. Jest bogiem wojny, brutalnej siły, zniszczenia i śmierci. Nawet Hyksosi, najeźdźcy Egiptu, czuli przed nim trwogę; usiłowali go obłaskawić nazywając Jahveh, lecz ostatecznie Egipcjanie zdetronizowali go i nazwali Szatanem. — Potrząsnął głową. — Smutny to koniec dla tak szlachetnego boga.

Pojazd ich przebił ścianę i znalazł się w sąsiedniej komnacie. Ujrzeni tu olbrzymiego potwora o czterech skrzydłach, stojącego na potężnych ptasich łapach. Przednie kończyny, zakończone szponami, miał wsparte na murze, a jego psia głowa zaglądała do ogrodzonego pomieszczenia, z którego usiłowano wydostać się wiele przeróżnych stworzeń. Większość z nich miała ludzkie ciała i głowy zwierząt: lwów, psów, niedźwiedzi, owiec, koni, orłów i węzów. Niektóre pokryte były rybnymi łuskami. W kątach poniewierały się resztki po uczcie skorupy naczyń, skórki owoców, okruchy chleba, a także ludzkie ręce i nogi.

— Bóg Chaldejczyków szydzi z nędznych wysiłków człowieka, który usiłuje ujść swemu losowi — zauważył Therion. — Śmieć się, Anu, śmieć się! — I niesamowite dźwięki radości wypełniły komnatę. — Sumerowie, Akkadyjczycy, Asyryjczycy, Babilończycy i pokrewne ludy posiadały bogate mitologie religijne, z których Hebrajczycy zaczerpnęli pełnymi garściami. Stworzenie świata, Eden, Drzewo Życia, Potop, Wieża Babel, zniszczenie miast ogniem, dwanaście znaków Zodiaku, symbole Cherubinów — wszystko to było wyryte na tabliczkach, wiele lat przed napisaniem Biblii. Nawet Trójca Święta, na którą składały się Ea, Bel i Ishtar, z boginią przedstawioną w postaci gołębic...

Pojazd przebił już następną ścianę. Tutaj gorące powietrze wypełnione było bzykaniem olbrzymich much.

— Aha, to jest na pewno siedziba fenickiego boga Baala Zebuba, gładczy Much — powiedział z zachwytem Therion. — Później zniekształconego na „Belzebuba” i przerobionego na diabła, zgodnie z odwieczną praktyką nieudaczników. W rzeczywistości bowiem nie był on gorszy od...

Jeszcze jedna ściana i znaleźli się w pomieszczeniu, którego dominującym elementem był ogromny fallus.

— To lingam brahmińskiego boga Siwy, jednego ze znanej trójcy głównych bogów hinduizmu — wykrzyknął Therion radośnie. — Symbol i narzędzie tworzenia i wszechogarniającego ognia, który

ewoluował w różdżkę, berło i pastorał. Może uda nam się też ujrzeć małżonkę Siwy, wieloramienną boginię Kali, reprezentującą siłę natury i bezwzględne okrucieństwo jej praw. Na jej cześć Thuggowie zabijali tysiące...

Nastąpiła kolejna zmiana scenerii.

— Och, do diabła — protestował Therion, zirytowany w końcu częstymi zmianami. — Każde z tych Piekieł warte jest, by mu poświęcić całe lata uwagi, a my mamy zaledwie nędzne sekundy. Zatrzymać, zatrzymać ten pojazd, żebyśmy mogli przyjrzeć się chociaż jednemu nieco dokładniej!

Platforma zahamowała z piskiem, o mało co nie wyrzucając ich na zewnątrz. Byli w długiej, wąskiej jaskini, gdzie z trudem mieściły się tory i usiana przeszkodami ścieżka; leżały na niej odłamki skalne i ciała ludzkie, a przecinały ją poszarpane szczeliny, z których wydobywały się niezdrowe opary. Ścieżką ciągnął powoli rząd nędznych postaci, maltretowanych przez demony.

— Hm, nie bardzo jestem w stanie to rozpoznać — przyznał Therion. — Wygląda na konwój, przerzut personelu z jednej jednostki do drugiej.

Platforma poruszała się teraz z prędkością marszu, dotrzymując kroku idącym nieszczęśnikom. Demony biegały w tę i z powrotem, wrzeszcząc na ludzi, kopiąc ich i bijąc biczami i pałkami.

— Karolina przyglądała się temu widowisku szeroko rozwartymi oczyma i z otwartą z przerażenia i zdziwienia buzią. Reakcja Amaranty była bardziej konkretna.

— Przestańcie! — zawołała. — Zostawcie w spokoju tych biedaków!

— Przecież to Piekło — powiedział Therion. — Grzesznicy są tutaj to, by cierpieć.

Brat Paweł i Lee nie odzywali się, wiedząc że nie należy się wtrącać, Piekło zaiste byłoby nieudanym przedsięwzięciem, gdyby było miejscem przyjemnym. Takie przypadki cierpienia szły tutaj w tysiące i w miliony, a jednak trudno było znieść ich widok.

Dziecko potknęło się o wystający kamień i o mało co nie wpadło do szczeliny. Kobieta idąca za nim chwyciła jego ramię, by pomóc mu utrzymać równowagę.

— Trzymaj łapy z daleka! — wrzasnął demon, uderzając ją pałką w głowę. Zachwiała się, przewróciła i wpadła nogą do wąskiej szczeliny, raniąc się przy tym. Popłynęła krew. Demon roześmiał się radośnie.

Nadszedł inny demon. Pomógł kobiecie wstać i przeprowadził ją przez trudne i niebezpieczne miejsce.

— Sprowadzę lekarza, jeśli uda mi się jakiegoś znaleźć. Nie mogę obiecać, ale spróbuję.

— Głupcze — powiedział pierwszy demon. — Przecież to Piekło! Sam się będziesz smażył, jeśli się nie dostosujesz.

Drugi demon odwrócił się do niego tyłem i zajął się swoimi sprawami. Pierwszy wrócił do swoich zajęć — do kopania pozostających w tyle, obrzucania ich obelgami i, ogólnie mówiąc, do dawania upustu swojej naturze.

— Dziwne — zauważył brat Paweł. — Nawet pomiędzy demonami istnieją zupełnie ludzkiego rodzaju różnice.

Ścieżka kończyła się przed podwójnymi drzwiami. Dusze potępione wprowadzano wejściem po prawej stronie; brat Paweł zauważył za nim prowadzące w dół ruchome schody. Demony, które zakończyły już służbę, wchodziły drzwiami po lewej stronie. Ponieważ tory prowadziły właśnie tędy, mogli być świadkami tego, co dalej się działo z demonami.

I oto — demony rozebrały się ze swoich kostiumów. Ich czerwone, rozwidlone ogony były tych kostiumów częścią, tak jak i kopyta, w których kryły się ludzkie stopy. Zdjęli też maski, a razem z nimi rogi. Były więc zwykłymi istotami ludzkimi.

Prawdziwy zaś demon siedział na niewielkim tronie. Każdy z pseudo — demonów stawał przed nim, a on wykonywał gest dłonią: kciuk w górę lub w dół. Tych, którym pokazał kciuk uniesiony w górę, przesuwano delikatnie przez znajdujący się w suficie otwór, z którego dochodziła wesola muzyka i w którym widoczne były kolorowe światła. Tych drugich wrzucano do otworu w podłodze.

Demon, który uderzył pałką kobietę należał do pierwszej grupy. — Widzicie — powiedział Therion, kiedy już oba demony zniknęły. — W Piekłe należy postępować zgodnie z regułami piekielnymi... albo zapłaci się karę.

Brat Paweł czuł się kompletnie zde gustowany i przybity.

Tory zakręciły ponownie i ujrzeli teraz tych, którzy tworzyli kolumnę marszową... i cóż to! Wszyscy okazali się przebranymi za ludzi demonami!

Karolina nie mogła się już dłużej powstrzymać.

— Panno Demon — zawołała do kobiety, którą wcześniej bito pałką a która okazała się teraz zdrową i silną diabolicą, z eleganckimi kopytkami, rogami i ogonem. — Jeśli pani nie jest prawdziwą osobą, to dlaczego pani... to znaczy, ten człowiek, który pani pomógł, on...

— Stwierdzono, że nie nadaje się do Piekła — oznajmiła panna-demon. — Ten otwór w podłodze prowadzi prosto do Nieba.

Wszyscy pasażerowie platformy otworzyli szeroko oczy.

— Przecież... — zaczął Therion.

— Jeśli zachowujesz się jak demon, tylko dlatego, że jesteś w Piekłe — poinformowała go demonica, ukazując spiczaste zęby w drwiącym uśmiechu — na pewno wkrótce w nim się znajdziesz. Jeśli zaś jesteś nieudacznikiem, nie jesteś nam potrzebny. Ten, który mi pomógł, najwyraźniej najmniejszego pojęcia, na czym to Piekło ma polegać. Brat Paweł i Lee wymienili spojrzenia. Cóż za

piekielna próba charakteru.

Therion robił wrażenie wstrząśniętego.

— Nie sądziłem, że można stąd uciec, skoro raz już ktoś się tu znalazł — powiedział.

— Przypuszczam, że Szatan jest o wiele bardziej wybredny niż sądziliśmy — zauważył Lee.

Mijali tak wielką różnorodność piekieł, że mogło się od tego pomieszać w głowie. Widzieli ludzi gotowanych w oleju, wieszanych za języki, zakopywanych głową do dołu w rozpalonym piasku, zamykanych w klatkach razem z nieśmiertelnymi skorpionami, patroszonych wśród mięsożernego robactwa, zrzucanych ze skał, niszczonej przez obrzydliwe choroby i cierpiących najgorsze udreki, jakie tylko diaboliczne umysły są w stanie wymyślić. Widzieli piekło wczesnych gnostyków chrześcijańskich, pilnowane przez olbrzymiego smoka z ogonem w pysku, gdzie znajdowało się dwanaście lochów pod strażą demonów o twarzach krokodyla, kota, psa, węża, byka, dzika, niedźwiedzia, sępa, bazyliuszka, siedmiogłowego smoka, siedmiogłowego kota i siedmiogłowego psa. Czasami dusze potępione wrzucano widłami do otwartej paszczy smoka lub wpychano je do jego odbytu. Widzieli króla Iksjona, który miał być czelność pożądać żony greckiego boga Zeusa i którego rozciągnięto za karę na ognistym kole w ten sposób, że jego członki i głowa tworzyły pięć żywych szprych. Widzieli Hades, Sheol, Gehennę–Tofet, hinduską Narakę z jej dwudziestoma ośmioma kręgami, Piekło muzułmanów z siedmioma kręgami, z których każdy zawiera siedemdziesiąt tysięcy ognistych gór, każda góra siedemdziesiąt tysięcy dolin, każda dolina siedemdziesiąt tysięcy miast, każde miasto siedemdziesiąt tysięcy wież, każda wieża siedemdziesiąt tysięcy domów, każdy dom siedemdziesiąt tysięcy ław, a każda ława siedemdziesiąt tysięcy rodzajów tortur. Brat Paweł wyciągnął kalkulator, żeby obliczyć całkowitą liczbę tortur, jaką reprezentował ten postęp geometryczny, ale nowe wizje Piekieł odwróciły jego uwagę i zrezygnował z obliczeń.

W pewnym miejscu dwa groteskowo wyglądające demony badały każdą duszę po kolei. Karolina nadała im przydomki „Małpa” i „Nagus”, nie dosłyszawszy ich właściwych imion, wymienianych jak zwykle przez Theriona. Jeśli ktoś prowadził uczciwe życie, dusza jego wyjmowana była delikatnie i bezboleśnie z ciała i przekazywana wyżej; jeśli jego życie było godne potępienia, demony wyrwały mu duszę z okropną brutalnością. Nieco dalej ujrzeni nordycką boginię Hele, córkę Lokiego, w jej królestwie wśród korzeni Wielkiego Drzewa Życia. Teraz brat Paweł był w stanie stwierdzić, jak wiele Dante pożyczył sobie z mitologii nordyckiej, by stworzyć własną wizję Piekła chrześcijan. Zaiste, samo chrześcijaństwo przejęło i zawarło w sobie wiele motywów z legend teutońskich. Usłyszeli imiona wielkiej liczby książąt Piekieł: Lucyfera, Belzebuba, Lewiatana, Beliala, Asztarota, Magota, i tak dalej, bez końca. Wszyscy bogowie, których czcili ludzie w przeszłości, stali się chrześcijańskimi diabłami i było rzeczą oczywistą, że piekło współczesne ma dość personelu na każdą przewidzianą i nieprzewidzianą okoliczność.

Wreszcie ten robiący niesamowite wrażenie, potworny objazd Piekieł dobiegł końca. Bratu Pawłowi kręciło się w głowie, a i jego towarzysze wyglądali na oszołomionych. Jedyne Karolina dostosowała się jakoś do sytuacji; ciągle bowiem była na tyle blisko fantazji dzieciństwa, że to, co ją otaczało, traktować mogła jako tych fantazji przedłużenie. Wyruszyli, by ujrzeć Piekło, lecz to, co zobaczyli, przeszło ich wszelkie wyobrażenia. Wyobrażenia te zaś, pomyślał sobie brat Paweł, niewiele odbiegają od przeciętnych.

Pojazd ich znalazł się na koniec u bram rezydencji samego Szatana. Hałas przybrał na sile; słychać było wrzaski przerażenia, udręki, oburzenia i bólu. Powietrze stało się duszne i gorące, a zapach ozonu jeszcze bardziej wyraźny.

Wyjechali zza zakrętu... i ujrzeli Szatana. Był olbrzymi. Wysoki na jakieś siedem czy osiem metrów, a każdy przegub jego członków miał kształt potwora, z którego otwartej paszczy wychodził dalszy kawałek jego ręki lub nogi. Posiadał wielkie, nietoperze skrzydła i długie, kręcone rogi, a jego fallus mierzył jakieś dwa metry. Wokół obydwu ramion owinięte miał węże i kiedy podnosił ku twarzy którąś ze znajdujących się wokół osób, jeden z tych jadowitych węży kąsał ofiarę w krocze. Szatan wkładał sobie ludzi do paszczy wypełnionej groteskowymi kłami i zjadał ich żywcem. Jednocześnie z szerokiego na metr odbytu wyciskał unurzane w kale szczątki częściowo strawionych ofiar, które przed chwilą skonsumował. Każda spadała kolejno, głową w dół, rodząc się tym razem dla Piekła, by tak rzec, i natychmiast porwana była przez jakiegoś podrzędnego demona i wrzucana w wypełnioną płomieniami głębię.

— Panie — zawołał Therion. — Oto są tutaj! — Uśmiechnął się triumfalnie. — Daj mi w nagrodę tę tylko! — Chwyił mocno ramię Amaranty.

Brat Paweł patrzył zdziwiony. A więc to tak! Therion pokonał wreszcie swój strach przed kobietami i teraz chciał osiąść Amarantę na stałe i stąd ta transakcja. Dlatego zdradził ich wszystkich!

Szatan spojrział w dół. Promienie jasnego światła tryskały z jego oczu, oblewając blaskiem stojącą przed nim parę.

— A czy ta suka ciebie zechce? — zapytał Szatan. Głos jego brzmiał, jakby dochodził z wielkiej odległości. — Czy kupi sobie wolność, idąc z tobą?

— Na pewno! — zawołał Therion. — Lubi te rzeczy!

Amaranta, przerażona obecnością Szatana, nie zaprotestowała.

Szatan roześmiał się. Opuścił błyskawicznie swe szpony i pochwycił oboje.

— Masz swoją nagrodę! — zadudnił głos Rogatego Boga, w momencie kiedy kły węży zacisnęły się na ich genitaliach.

Podwójny krzyk bólu napełnił powietrze, przebijając się nawet przez ogólny hałas panujący wokół.

— Przecież obiecałeś! — krzyczał Therion, a krew kapiała mu z ukąszonego miejsca. — Służyłem Ci wiernie...

Jego błagania urwały się nagle, kiedy Szatan odgryzł mu głowę, przeżuł jego drgający tułów i połknął za jednym zamachem. Natychmiast też zacisnął kły na Amarancie, tak że jej obcięte nogi spadły w płomienie z jednej strony, a głowa, ramiona i część tułowia — z drugiej. Szatan oblizwał wargi.

— Ci, którzy szukają Zła, i ci, którzy na to Zło się godzą... są smakowici. Wyciągnął teraz szpony po brata Pawła i Karolinę.

— Nie! — zaprotestował brat Paweł, a dziewczynka krzyknęła ze strachu.

Tulili się rozpaczliwie do siebie, lecz Szatan rozdzielił ich i uniósł wysoko w parujące powietrze. Dwa węże ześlizgnęły się z jego ramion i otworzyły szeroko kapiące jadem paszcze.

— Weź mnie! Oszczędź ją! — zawołał brat Paweł.

Szatan zawahał się. Węże znieruchomiały, posłuszne każdemu kaprynowi swego Pana.

— Jej ceną są dwie kulki — oznajmił Szatan. I gad po prawej stronie brata Pawła zbliżył swe zęby jadowe do jego oczu. Skórę miał nakrapianą, zęby nierówne, a jego oddech śmierdzął amoniakiem. — Te... — Głowa gada opadła w pobliże pachwiny brata Pawła. — Albo te. Wybieraj.

Jego wzrok... lub jego męskość. Dla uratowania córki. Lepiej byłoby, śdyby sam Szatan podjął za niego tę decyzję! Jakże mógł zrezygnować z jednego lub drugiego? A przecież... jeżeli któryś z tych organów zgrzeszył, aa pewno nie były to oczy. Niech będzie podobny raczej Jezusowi Chrystusowi, niech będzie pozbawiony pożądania seksualnego. W Piekło i tak byłoby całkowicie zbędne.

Decyzja nie przybrała jeszcze swego ostatecznego kształtu w jego umyśle, kiedy wąż uderzył. Szczęki gada zacisnęły się na jego mosznie, a zęby wbiły się w nią jak ostre kolce. Poczł nieznośny ból i zawył. Nie tylko z bólu, lecz i poczucia straty.

Krew spływała z jego umęczonego ciała, ale oczy dostrzegły, jak szpony Szatana stawiają Karolinę z powrotem na pięcioboku. Dziewczynką wstrząsał niekontrolowany płacz. Lee podszedł do niej, podtrzymał ją i otoczył ramieniem. Pięcioboczna platforma zaczęła się poruszać po torze, oddalając się od Szatana, oddalając się od Piekła.

Rogaty Bóg włożył brata Pawła do paszczy. Wylądował on w przepastnym gardle i ześlizgnął się do wnętrzości Diabła. I tworzył teraz jedność z Szatanem.

Objawienie (Wieża rażona piorunem)

Według jednej z dowcipniejszych legend na temat dzieła Stworzenia, Bóg uformował Adama i Ewę poprzez rozcięcie na pół pierwotnej istoty — hermafrodyty. W rezultacie tego rozdzielenia oboje mieli otwarte brzuchy, wobec czego każde otrzymało od Boga sznur ukrecony z gliny lub rzemień skórzany, by zaszyć swe ciała. Adam, zgodnie z męską naturą, zastosował rzadki ścieg, w wyniku czego nie zużył całego sznurka i jego pozostały kawałek zwisał mu z przodu. Ewa, jak przystało kobiecie, szyła gęstym, porządnym ściegiem, w wyniku czego zabrakło jej sznurka do zaszycia ostatniego odcinka poniżej brzucha. Błagała przeto Adama, by odciął swój zbędny kawałek i dał jej, aby mogła dokończyć rozpoczętą pracę, lecz on egoistycznie odmówił. I tak już pozostało, ów wieczny spór pomiędzy mężczyznami i kobietami o „ten mały kawałek rzemienia”, którego mężczyźni nie chcą dać kobietom, a jedynie używają go im od czasu do czasu.

Brat Paweł wylądował... w eleganckim, nowoczesnym biurze.

— Proszę usiąść — powiedziała przystojna sekretarka. — Książę Ciemności przyjmie pana za chwilę.

Zakłopotany, rozglądał się wokół siebie. Czyżby to było wnętrze Szatana? I co w ogóle się wydarzyło? Każde urządzenie biurowe i każdy przedmiot znajdowały się na swoim miejscu, poczynając od elektronicznego dyktafonu, poprzez ukryte głośniki, z których płynęła delikatna, klasyczna muzyka, aż do holograficznych zdjęć z wiejskimi krajobrazami zawieszonych na ścianach. Coś jednak się nie zgadzało!

Nagle poczuł, że zawodzą go jego własne kiszki. Nie pozbył się, niestety, ich zawartości w czasie przeprawy przez rzekę.

— Przepraszam bardzo, czy jest... gdzieś tutaj toaleta?

Zgrabna panienska wskazała mu kciukiem kierunek. Zobaczył napis: MĘSKI. Gdyby się dobrze rozejrzał, oszczędziłby sobie zakłopotania związanego z zadaniem tego pytania — choć, z drugiej strony, przysięgłby, że przed chwilą tego napisu tam nie było. Z pewną niechęcią otworzył drzwi i wszedł do środka.

Wszystko było jak należy. Ściągnął spodnie (ubrany był teraz w cywilne, ziemskie ubranie)... i zauważył, czego mu brakuje. Penis pozostał nienaruszony, ale zniknęła moszna i jądra. Skóra w tym miejscu była gładka, bez śladu blizn; wyglądało tak, jak gdyby nigdy tam nic nie miał. Nie odczuwał żadnego bólu, żadnego dyskomfortu. Równie dobrze mógł być niedojrzałym chłopcem... bez możliwości uzyskania kiedykolwiek dojrzałości. Był eunuchem.

Usiadł na aseptycznym sedesie i pozbył się materialnej części swoich kłopotów. Sięgnął po papier toaletowy... i zauważył, że jest on zadrukowany jakimiś słowami. Przybliżył papier do oczu i przeczytał: **BRAT PAWEŁ CENJI**.

Napis ten znajdował się na każdym kawałeczku papieru toaletowego.

Uśmiechnął się. Piekło ciągle miało czym zaskakiwać! Sięgnął do tyłu i zawahał się. Czyż ma się wycierać swym własnym nazwiskiem?

Dlaczego by nie! To przecież tylko dowcip, podobny do tego, w którym na papierze wydrukowano: „Nie odkładaj do jutra tego, co możesz zrobić dzisiaj”, czy „Pozbądź się tego ciężaru”. Drobny, diabelski żarcik. Jego godność własna i duma poddawane były przecież znacznie poważniejszym próbom. Wziął więc papier i dokończył dzieła.

— Rogaty Bóg przyjmie pana teraz — oznajmiła sekretarka, kiedy pojawił się ponownie. Była to bez wątpienia Amaranta, tym razem w drobnej rólce... ale co w takim razie zrobić z faktem, że widział na własne oczy, jak jej ciało jest miażdżone i posyłane w dół? Zdusił tę myśl; wskazywała mu właśnie drzwi i widział teraz wyraźnie, że wszystko ma na swoim miejscu. Zamiast więc gapić się na nią z czymś więcej niż tylko ciekawością erotyczną, przeszedł przez nie.

Szatan wyszedł mu naprzeciw i uściśnął serdecznie jego dłoń. Był ludzkich rozmiarów, miał ludzkie dłonie i stopy, a ubrany był w tradycyjny, konserwatywny garnitur biznesmena z końca lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, uzupełniony zawiązanym w węzeł gordyjski krawatem. Jedynie małe, eleganckie różki zdradzały, kim jest.

— Jak miło spotkać dobrego człowieka — powiedział.

Brat Paweł zrezygnował z doszukiwania się sensu we wszystkim, co się działo. Był tutaj i na pewno miał do czynienia z jeszcze jednym aspektem Piekła. Diabeł i tak przeprowadzi swą wolę, niezależnie od okoliczności.

— Jak do tej pory, było to wielce interesujące doświadczenie — odpowiedział.

— Jeszcze nie całkiem się rozpoczęło — powiedział Szatan uprzejmie. Brat Paweł zastanawiał się, kto grał jego rolę. Wydawałoby się, że jest tylko jeden sensowny kandydat, a przecież ten... cóż, Piekła i tak nie da się pojąć! — Proszę usiąść wygodnie. To może jakiś czas potrwać.

— Wieczność?

Szatan roześmiał się rozbrajająco.

— Ufam, że nie aż tak długo.

Brat Paweł zadał pytanie nim uświadomił sobie w pełni, że w ogóle ma zamiar j zadać.

— Przed chwilą mnie połknąłeś! Skąd zatem wzięłem się w tym biurze... i jak Ty się tu znalazłeś, na dodatek w ludzkiej postaci?

— Jestem wszędzie — odpowiedział Diabeł lekkim tonem. — Jestem w tobie, a ty jesteś we Mnie. Zło jest wszechobecne i nie ma granic.

— Ale...

— Jeśli świadomość dokładnej lokalizacji ma ci poprawić samopoczucie, to proszę bardzo. Połknąłem cię i znajdujesz się w Moim brzuchu. Właśnie jesteś trawiony. Moje soki żołądkowe rozpuszczają, warstwa po warstwie, wszystkie mechanizmy ochronne, którymi się otoczyłeś, aż ukazuje się fundamentalna prawda o twoim jestestwie. Wówczas i tylko wówczas będziesz mógł być sprawiedliwie osądzony.

— Ale przecież ty...

— Ja też jestem wewnątrz Siebie. Jestem po prostu wszędzie. W tej właśnie chwili przeprowadzam podobne rozmowy z miriadami dusz w miriadach takich samych gabinetów. Tylko właściwie obrobiona dusza może być stąd wyrzucona i przeniesiona na stałe stanowisko.

— Wydalona?

Szatan wykonał drobny gest oznaczający obojętność.

— Większość dusz to łajno i jak łajno muszą być traktowane. W końcu, jakby nie było, jesteśmy w rejonie należytej zapłaty.

— Myślę, że moja własna dusza jest również łajnem — powiedział brat Paweł. — Miałem ją okazję zobaczyć kiedyś podczas medytacji. Jednakże zwrócono mi wówczas uwagę na to, że łajno jest idealnym kompostem, niezbędnym etapem w cyklu odnowy życia...

— Cóż, na pewno się o tym przekonamy. Przejdziemy zatem...?

Brat Paweł uśmiechnął się blado.

— A czy mam jakiś wybór?

— Och, tak. Wybór to najgorsza z tortur. Brak zdecydowania może być o wiele gorszy niż zła decyzja. Czy wolałbyś odłożyć tę rozmowę?

Ciekawe, gdzie by przebywał przez ten czas? Czy w jednym z pod-Piekieł, które zwiedził?

— Nie, wolę to mieć za sobą.

— Jesteś inteligentny. Gdyby było więcej takich jak ty, Moje własne Zbawienie nastąpiłoby znacznie szybciej.

— Twoje Zbawienie? — spytał brat Paweł zaskoczony. Szatan wzruszył ramionami.

— Rzekomo jestem z natury przeciwny życiu. Ironia mojej tortury polega na tym, że jestem

związany z prokreacją, bo każdy akt prokreacji

to nowa dusza, nowe życie. Jestem Panem Zła i im bardziej Zło triumfuje Ba świecie, tym większy procent dusz musi przyjść do Mnie. W ten sposób Moja kara jest uwarunkowana waszą i jest większa od sumy wszystkich kar nałożonych na dusze ludzkie. Wolałbym, żeby rodziło się mniej ludzi i żeby więcej spośród nich szło do Nieba. Kiedy dusze przestaną przybywać do Piekła, stanę się wreszcie wolny, ale obawiam się, że bardzo długo przyjdzie mi na to poczekać.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem — rzekł brat Paweł zadumany. — Bóg wyznaczył cię do wykonania całej brudnej roboty...

— Dokładnie tak. A teraz, proszę połóż się na kanapie...

— Czy to ma być psychoanaliza?

— Najgłębsza. Nie na próżno określenie to zawiera w sobie słowo *anal*. Zygmunta Freud zapoczątkował pozycję leżącą, by jego pacjenci nie mogli widzieć jego zszokowanej twarzy, kiedy wysłuchiwał potworności zawartych w historii ich choroby. Ja osobiście nie cierpię na podobne przypadłości, uważam jedynie, że system kanapowy wydaje się odpowiedni w pracy z przedstawicielami współczesnego świata zachodniego.

Brat Paweł położył się na wygodnej leżance.

— I co teraz? — zapytał. — Czy mam po prostu zacząć mówić, czy...? Usłyszał szelest papierów.

— Jak wynika z twojej kartoteki, zaistniała pewna sprawa... klamerki do bielizny.

Kołek do bielizny. Brat Paweł był znów małym chłopcem na Ziemi. Opuścił po raz pierwszy dom w nowym miejscu zamieszkania i nie znał nikogo w okolicy. Zobaczył grupkę dzieci siedzących kołem na tyłach jakiegoś budynku. Były to dziewczynki, mniej więcej w jego wieku, zajęte jakąś grą, wśród chichotów i okrzyków.

— Czy mogę z wami zagrać? — zapytał Paweł.

Popatrzyły na obcego chłopca z niedowierzaniem i dziwną wesołością.

— Przecież jesteś chłopcem!

Paweł wydał wargi z łagodną wojowniczością.

— Co to, dyskryminacja płci? Chłopak potrafi zrobić wszystko, co potrafi dziewczyna.

Zareagowały spontanicznym wybuchem śmiechu.

— Przynajmniej ja potrafię! — nalegał.

— To tylko tyyyy tak uważasz — odezwała się jedna z dziewczynek, wstając i przeciągając

wymowę tego „ty”, aż zabrzmiało jak gwizd lokomotywy.

— Potrafię grać w waszą grę równie dobrze jak wy!

Nie zależało mu specjalnie na samej grze; jego duma małolata wystawiona została na próbę.

— Duma — usłyszał gdzieś z tyłu głos Szatana. — Jeden z siedmiu grzechów głównych. Związana z Kolorem Monet. Źle pojęta duma dostarcza mi więcej dusz niż cokolwiek innego, być może z wyjątkiem chciwości, która zresztą łączy się z tym samym Kolorem.

Dziewczynka przyglądała się badawczo Pawłowi. Miała delikatną budowę i rudawe, kręcone włosy. Przypominała mu kogoś... ale naturalnie wszystkie dziewczynki grane były przez tę samą aktorkę.

— Chcesz się założyć?

— Pewnie, że tak!

Odczuwał jednak jakiś dziwny niepokój. Dziewczynki były zbyt pewne siebie, zbyt pewne jakiejś wspólnej tajemnicy. Wiedziały coś, czego on nie wiedział. Nie mógł się jednak wycofać.

— W porządku, niech zagra — zdecydowała ruda. Odpowiedział jej nowy wybuch wesołości. Dziwne, ale u niektórych dało się wyczuć zażenowanie; jedna się nawet oblała rumieńcem. — Musisz jednak przyrzec, że nikomu nie powiesz.

— Zgoda. Przyrzekam — powiedział Paweł. — Na czym polega gra?

— Kołek do bielizny — odpowiedziała i ponownie zawtórował jej ogólny chichot. Co też w tym może być takiego śmiesznego?

— Zgoda — powtórzył. — Jakie są zasady?

— To takie zawody, współzawodnictwo — odpowiedziała. Podniosła do góry kołek do bielizny, staroświecki, bez żadnej sprężynki, zwykły kawałek drewna, rozwidlony na jednym końcu. Jego dwa zęby nasuwało się na bieliznę, przypinając ją mocno do sznura, żeby wiatr jej nie zrzucił, nim nie wyschnie. Ten kołek był spory, miał około piętnastu centymetrów długości. Nie rozdwojony koniec błyszczał, jakby był czymś posmarowany. — Wpycha się go do środka.

— Do środka?

Nie miało to dla niego żadnego sensu.

— W ten sposób — powiedziała. Zgięła kolana i uniosła sukienkę, pokazując przy tym, że nie nosi majtek. Miejsce pomiędzy jej nogami zupełnie nie przypominało jego własnego. Był zafascynowany, ale i zaniepokojony. Czegoś jej brakowało! Włożyła kołek w szczelinę i powoli wsuwała go w głąb ciała, jeden centymetr, dwa, trzy, cztery. — Kto wsadzi najgłębiej, wygrywa.

Paweł nie był zupełnie nieświadomiony w sprawach seksu. Słyszał jednak różne historyjki i widział różne sugestywne obrazki w telewizji, z czego utworzył sobie zupełnie sensowny obraz techniki ludzkiej kopulacji. Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie spowodowane bezpośrednim widokiem sekretnych rejonów żeńskiego ciała, był w stanie przełożyć obraz w umyśle na konkretną geometrię fizyczną. Rozpoznał w grze zwanej „kołek do bielizny” namiastkę stosunku płciowego. Co ważniejsze, zdał sobie natychmiast sprawę z tego, że przegrał zakład. Nie była to gra dla chłopca, bo nie miał on miejsca, do którego mógłby wsadzić ten kołek.

Dziewczynka wyjęła kołek i trzymała go w dłoni.

— A teraz twoja kolej. Mój znak jest tutaj.

I zaznaczyła paznokciem linię wskazującą poziom, do którego zagłębił się drewniany kołek.

Wszystkie oczy skierowały się na niego w oczekiwaniu, a śmiech wisiał w powietrzu. Och, rzeczywiście mu pokazały! Znalazł się w niemożliwej sytuacji. Wywiedziony w pole przez bandę głupich dziewczuch!

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Dziewczęta miały co prawda więcej otworów od chłopców... ale on też nie był ich całkowicie pozbawiony. Wziął więc kołek do bielizny, opuścił spodnie przy wtórze szalonych chichotów i wcisnął go do środka swego ciała ku szokowi i kompletnemu zdumieniu widowni.

Wygrał zakład... i współzawodnictwo. Zapłacił jednak za to pewną cenę. Nikt go naturalnie nie wydał, bowiem dziewczęta wiedziały, że nie mogą tego uczynić bez obciążania siebie samych, a dorośli mieli zwyczaj bardzo poważnie traktować tego rodzaju intymne zabawy i dociekania u swoich dzieci. Władze rodzicielskie nie dowiedziały się nigdy o całej sprawie. Dziewczęta jednak uczęszczały do tej samej szkoły, do której chodził Paweł, niektóre nawet były z nim w tej samej klasie, i za każdym razem, kiedy spotykał którąś z nich, chichotały jedynie niemądrze i mijały go bez słowa. Cały czas żył w strachu, że ktoś z dorosłych pozna jego tajemnicę. Powinien był raczej zaakceptować przegraną, a nie dążyć do zwycięstwa.

Kiedy bowiem wyciągnął na powrót kołek, ujrzał przyczepiony do jego drewnianej powierzchni kawałek kału.

— A więc to tkwiło u korzeni i było źródłem twojej wizji Łajna w Atu Siedem, Siódemce Kielichów! — wykrzyknął Szatan radośnie. — Coś pięknego; to się musi znaleźć w specjalnej kartotece!

Brat Paweł czuł, że się czerwieni na samo wspomnienie tamtego wydarzenia. Naturalnie, Szatan był zachwycony; w końcu to było Piekło. Żadne widły nie sprawiłyby mu takiego bólu. Mimo wszystko, uświadomienie sobie tych faktów przyniosło mu pewną ulgę.

— Wolałeś zapomnieć o tym pierwotnym epizodzie — ciągnął Szatan. — Porzucenie mnemu, narkotyku wspomagającego pamięć, pomogło ci go pogrzebać gdzieś w niepamięci. Pozostał on jednak w twojej podświadomości, wpływając pośrednio na twą samoocenę i na twoje stosunki z

kobietami. Ekskrementy były twoim Nemezys... ale teraz obaj już znamy prawdę.

Nie była to jednak cała historia.

— Hm — zastanawiał się Szatan. — Zdjęliśmy zaledwie jedną łupinkę z cebuli. Ciągłe jest pewna niejasność. — Przerzucał papiery. — Czyżby chodziło o ten epizod z Therionem? Nie, to był podstęp, a poza tym zbyt to świeże. Musisz zrozumieć, że nie posiadasz całkowitej kontroli nad tymi animacjami. Kiedy wchodzisz na teren, na którym ktoś inny przeważa, jest lepszym ekspertem w danej dziedzinie, jego wiedza i siła przejmują daną scenę. Występowało to szczególnie w początkowej fazie, na pierwszych etapach, nim twoja samodyscyplina pozwoliła ci nabrać pewności siebie. Jesteś przeto jedynie częściowo odpowiedzialny za to, co wydarzyło się w Zamku Siedmiu Kielichów i nie możesz być zesłany do Piekieł i potępiony tylko z powodu tamtejszych wydarzeń. Ten przypadek...

— Nie chcę wracać do tamtej sprawy! — krzyknął brat Paweł.

— Zapominasz, gdzie jesteś — upomniał go Szatan. — Jest rzeczą niezbędną ocenić cię całościowo; nie możemy tu przeprowadzać byle jakiej analizy. Therion cierpi na jakąś manię analną od dzieciństwa, o wiele silniejszą od twojej; twoja jest jedynie odbiciem przejścia przez ten etap każdego normalnego chłopca w jego drodze do dojrzałości. Ocena tego należy jednak do niego, a nie do ciebie. W tym przypadku dopuścił się sodomii pasywnej, po czym jej rezultaty usiłował umieścić na twarzy dziewczyny; był to akt symbolicznego zbezczeszczenia wszystkich kobiet, dokładnie w stylu jego imiennika. Końcowy zaś rezultat umieścił w Siódmym Kielichu po to, byś go tam odnalazł. W ten sposób stworzył dla ciebie nadzwyczajną sekwencję wydarzeń...

— Therion... zrobił to wszystko?

— Decydował o tym, jak się potoczą wypadki w tej scenie. Ty grałeś jedynie rolę dla ciebie wyznaczoną — tak jak inni grali wyznaczone dla nich role w innych scenach. Na ogół twoja wola jest dominująca, wtedy było inaczej, częściowo z powodu twojego osobistego poczucia winy. Nie byłeś świadom charakteru tej roli i wycofałbyś się, gdybyś ją znał. Jesteś więc winien raczej słabości, a nie postępowania z premedytacją. Będziemy musieli zajrzeć głębiej, by osądzić cię właściwie.

— Ale przecież brałem w tym wszystkim czynny udział! — zawołał brat Paweł w udręce.

— Wierzysz tedy, że nawet bez wiedzy i bez zamiaru ponosisz winę, jedynie z powodu samego działania?

— Tak — odpowiedział brat Paweł, choć bez przekonania. — Powinienem był się domyślić i nie tykać tych narkotyków. Powinienem był zachować kontrolę i zapobiec tym wydarzeniom.

— W takim razie musisz ponieść odpowiedzialność — rzekł Szatan. — Musisz odpokutować, a pokuta jest następująca: przedstawisz argumenty świadczące o pozytywnej roli sodomii w przetrwaniu gatunków.

— Chcesz bym usprawiedliwiał homoseksualizm u gatunku ludzkiego — spytał zszokowany brat

Paweł.

— Ja nie chcę, ja żądam — odpowiedział Szatan. — Wygląda na to, że ciągle zapominasz o swojej sytuacji. Bądź uprzejmy ograniczyć się do aktualnego problemu: sodomia nie jest tożsama z homoseksualizmem. Pierwsze jest kwestią działania; drugie to kwestia preferencji.

— Mojej sytuacji... — powtórzył brat Paweł. W tej chwili nie był w stanie wyobrazić sobie niczego gorszego od takiej pokuty.

— Bez uników i zwlekania — powiedział Szatan. Wokół stóp brata Pawła zaczęły tańczyć gorące płomienie. Ból był bardzo silny.

— Już odpowiadam! — wrzasnął i płomienie zgasły.

Argumenty? Jakie argumenty? Sodomia to przecież obrzydliwość!

Płomienie pojawiły się ponownie. Pod wpływem tego okropnego poganiania, brat Paweł wręcz wypluł odpowiedź, jak gdyby połączenie nastąpiło pomiędzy stopami i ustami, z ominięciem mózgu.

— Reprodukacja jest niezbędna dla istnienia gatunku. Dlatego też jest związana z zachowaniem przymusowym, a nie uzależnionym od woli. Zwierzęta mają okresy rui, w których zapach samicy zmusza samca do kopulacji. Ludzie są jednak inteligentniejsi; dojrzewają o wiele dłużej i o wiele więcej muszą się w tym czasie nauczyć. Niezbędnym do tego jest jakiś system rodzinny, w którym mężczyzna jest blisko, by chronić, karmić i kształcić potomstwo wspólnie z kobietą...

— Kwestionuję sensowność takiej linii rozumowania — powiedział Szatan. — Robi ono bowiem wrażenie argumentacji na rzecz heteroseksualizmu.

Płomienie strzeliły wyżej, liżąc stopy brata Pawła.

— Ale to, co mówię, jest istotne! — krzyknął brat Paweł. — Nie mówię o takim homoseksualizmie, który ty zdefiniowałeś. Mówię o uzasadnieniu dla aktów homoseksualizmu mogących zaistnieć w normalnych sytuacjach heteroseksualnych.

— No dobrze, tym razem na to pozwolę — powiedział Szatan. Płomienie ponownie przygasły.

— Tak więc u naczelnym cykl rui został porzucony — starał się mówić jak najszybciej brat Paweł. — Seksualizm jest stały. Kobieta jest zdolna do pożycia każdego dnia w roku i w ten sposób może trzymać przy sobie swego mężczyznę. Czasami jednak rodzina rozpada się pod wpływem okoliczności zewnętrznych, takich jak wojna czy katastrofa naturalna. Funkcje, z których nie korzysta się przez dłuższy czas, mają tendencję do zanikania, tak jak na przykład istniejąca kiedyś u człowieka zdolność produkowania we własnym organizmie kwasu askorbinowego. Witaminy C. Tak więc popęd płciowy u mężczyzn jest ciągły i uporczywy. Kiedy nie ma kobiet, wyraża się on na różne alternatywne sposoby, a jednym z nich jest sodomia. Gdyby bowiem tak nie było, popęd płciowy mógłby ulec atrofii i całkiem zaniknąć, co już byłoby zabójcze dla gatunku.

— Tak, takie wyjaśnienie mnie zadowala — powiedział Szatan. — A czy wobec tego sodomia jest

grzechem?

— Cóż, z takiego punktu widzenia, w szczególnych okolicznościach...

— Sam widzisz — powiedział Szatan zdecydowanym głosem — że nie istnieje coś takiego jak grzech w sensie obiektywnym. Grzeszy się jedynie wówczas, kiedy się wierzy, że to, co robimy, jest złe. Twoja więc definicja grzechu, po głębszym zastanowieniu, nie może zawierać odruchowej, nieświadomionej sodomii. Sprawa zamknięta.

Być może. Brat Paweł będzie musiał przemyśleć sobie to wszystko dokładniej przy innej okazji.

— A Therion... służył ci przecież dobrze, nawet jeśli z pobudek egoistycznych. Dlaczego go zabiłeś?

— Nie zabiłem go. W Piekło nie ma śmierci. Na tym polega jego piekielność! Śmierć byłaby przecież ucieczką przed karą. Ja natomiast jedynie zadałem mu trochę tortur. Upokorzyłem go, na co sobie zresztą zasłużył, przygotowując go w ten sposób do właściwej pokuty.

Brat Paweł ponownie zastanawiał się nad tym, kto odgrywa rolę Szatana. Musiał to być Therion — jak jednak mógł on mówić o sobie w taki sposób? Chyba że cała ta animacja w rzeczywistości kierowana jest jakąś boską mocą, a rola Theriona jest częścią jego pokuty. Czy jest jednak jakiś sposób, by uzyskać pewność w tych sprawach?

— Skoro jednak ułożył się z Tobą, że przywiedzie nas wszystkich tutaj...

— Rogaty Bóg nie wchodzi w układy! Wszystkie dusze, które należą do Mnie, przyjdą do Mnie we właściwym czasie. Dlaczegoż miałbym targować się o coś, co i tak do Mnie należy.

— Zaakceptowałaś jednak taki układ ze mną — oszczędziłaś Karolinę.

— Nie sędzę. Ona jest przecież całkowicie niewinna; w jej kartotece nie ma nawet kółeczka do bielizny. Poza tym, jeszcze się nie urodziła. Nie mogę jej zabrać. A ty... już i tak byłeś w Mojej mocy.

— Dlaczego więc torturowałaś mnie, udając, że zagraża jej prawdziwe niebezpieczeństwo?

— Przecież to jest Piekło — odpowiedział Szatan.

Naturalnie, była to prawda. Brat Paweł zdał sobie nagle sprawę z tego, iż jego obraz Piekła był zbyt ograniczony. Tortury mogły przybierać przeróżne formy, a najgorsze z nich to męki wewnętrzne.

Ponownie usłyszał szelest papierów.

— Dlaczego nie skomputeryzujesz tych cholernych danych? — zapytał brat Paweł z irytacją. Szatan jedynie zachichotał w odpowiedzi i brat Paweł zrozumiał: to też było Piekło.

— Zahamowania seksualne i (lub) skatologiczne nie tkwią u korzeni tego wszystkiego —

powiedział Szatan. — Poszukujemy może motywów rasowych. Jesteś pochodzenia mieszanego...

— Zostawmy moich przodków w spokoju — rzekł brat Paweł, obawiając się zgłębiania tej sprawy. — To nie oni są tutaj sądzeni... — Jego protesty na mc się jednak nie zdały.

Był rok 1925. Była młodą Murzynką, zbyt inteligentną, by pozostać w getcie. Przybyła więc do eleganckiej dzielnicy w poszukiwaniu odpowiedniego zatrudnienia. Szczęście jej jednak nie dopisało. Nie chodziło tu o powody rasowe, już raczej o fakt, że była kobietą. Wracała teraz do mieszkania, które dzieliła z inną kobietą, znajdującą się w podobnym położeniu. Był wczesny wieczór.

— Cóż my tu mamy! — Białą mężczyzna zastąpił jej drogę.

Zawróciła natychmiast, uciekając przed nim... ale za jej plecami stał już i mężczyzna. Chwycił ją za ramię. Dojrzała błysk noża.

Spokojnie, Czekoladko — powiedział. — Nie zrobimy ci krzywdy... zachowasz się właściwie.

Zrozumiała. Nie szarpała się i nie wzywała pomocy. A oni dotrzyмали słowa. Nie pobili jej; po zgwałceniu puścili ją wolno z niedbale wyrażoną przestrożą, że ma trzymać gębę na kłódkę, jeśli nie chce, by wrócili i wycisnęli z niej trochę czekoladowego mleka. Byli bardzo zadowoleni; udało im się oszczędzić po dwa dolary, zyskując na dodatek przyjemność z panienką znacznie bardziej czystą niż te, które przyjmowały w okolicznych wesołych domkach.

Nie opowiedziała nikomu o tym, co jej się przydarzyło. Niewiele by to zresztą dało, bowiem nie знаła żadnego z tych dwóch łobuzów. A nawet gdyby ich znała, byłoby to tylko słowo czarnej przeciwko słowom dwóch białych. Była realistką. Kupiła solidny nóż na wypadek zaistnienia podobnej sytuacji i kontynuowała poszukiwanie pracy. Wreszcie znalazła pracę pokojówki w domu majątnej białej rodziny, gdzie traktowano ją bardzo przyzwoicie.

Po czym zorientowała się, że jest w ciąży.

Straciła środki utrzymania, ale nie życie. Wróciła do domu rodzinnego i urodziła bękarta, którego skóra była o wiele jaśniejsza od jej własnej. Wychowywała go z podniesionym czołem, a jego jasny kolor był dla niej czymś, co go wyróżniało wśród innych. Był przystojny i inteligentny. Poślubił równie inteligentną i pozbawioną uprzedzeń białą dziewczynę. Karnacja ich córki była jeszcze jaśniejsza od karnacji ojca, a bariery rasowe w tym czasie uległy znacznemu osłabieniu. Dziewczyna wyszła za mąż za młodzieńca, który twierdził, że w żyłach jego płynie krew przodków hinduskich. Był zawodowym dyplomata. Paweł był synem tych dwojga. Był w jednej ósmej czarny, lecz skórę miał białą z lekkim zabarwieniem, jak po opaleniznie. Wyjechali do Afryki na placówkę dyplomatyczną. Tam, gdzie przebywali, wybuchły rozruchy, które, choć nieistotne dla światowej sceny politycznej, okazały się groźne dla przebywających w tym rejonie obywateli amerykańskich. Rodzice, chcąc zapewnić mu bezpieczeństwo, odesłali Pawła do kraju. Miał wówczas cztery lata.

Zamieszkał ze stryjem i jego żoną. Para ta była przesadnie konserwatywna, szczególnie że utrzymywała w tajemnicy przed ludźmi ową plamę w postaci hinduskiej krwi przodków. Nigdy nie

powiedzieli Pawłowi, że jest czarny, choć były to czasy, kiedy czarne było piękne. Posłali go do prywatnej szkoły, gdzie utrzymywał stosunki tylko z dziećmi białymi. W szkole tej obowiązywała naturalnie integracja rasowa, lecz Paweł nie zwracał uwagi na pojawiających się, od czasu do czasu, czarnych kolegów. Nie należał do ich grona.

Rozpoczął naukę — w towarzystwie chichoczących dziewcząt — lecz nim rok się skończył, opiekunowie przenieśli się na pomoc i zamieszkali na wsi. W tamtejszej szkole Paweł miał ciągle kłopoty, nie tyle z nauką i nauczycielami, co z innymi dziećmi, które dokuczały mu z owym szczególnym okrucieństwem, jakie bywa udziałem dzieci. Któregoś dnia, kiedy wrócił z podbitym okiem, jego opiekun oznajmił:

— Ten chłopak musi się nauczyć samoobrony. Poślemy go na zajęcia z karate.

W sąsiednim miasteczku prowadzono takie kursy. Paweł i jego opiekun weszli na salę, gdzie odbywały się ćwiczenia, i ujrzeli ludzi w białych strojach podobnych do piżam, padających na maty.

— Ile to kosztuje? — spytał opiekun instruktora, drobnego, niepozornego mężczyznę w wieku dwudziestu kilku lat, o łagodnym obejściu. Opłata nie była wysoka. Zapłacił więc, wypełnił niezbędny formularz, pobrał dla Pawła odpowiedni strój zwany *gi* i pozostawił go samego. Chłopiec miał uczyć się samoobrony.

Paweł miał dziewięć lat i był niezbyt duży jak na swój wiek. *Gi* wisiało na nim jak worek. Nie był jednak jedynym dzieckiem w tym wieku, a poza tym instruktor poświęcał mu sporo uwagi podczas pierwszych kilku lekcji. Instruktor miał na imię Steve i tak też do niego się zwracano. Kiedy Paweł zobaczył jego umiejętności, zrozumiał, dlaczego zwracanie się do niego po imieniu nie oznaczało braku szacunku.

Były to zajęcia z judo, a nie karate; po prostu weszli do niewłaściwej sali. Okazało się jednak, że judo odpowiada Pawłowi o wiele bardziej aniżeli karate, bowiem pozwala ono obronić się przed napastnikiem bez czynienia mu krzywdy, a Paweł nie lubił robić nikomu krzywdy. Judo było wiedzą i umiejętnością stosowania rzutów i chwytów, a po ich opanowaniu — uderzeń, przyduszeń i całego asortymentu bolesnych dźwigni. Stosując te umiejętności można powalić na ziemię atakującego olbrzyma i przytrzymać go w odpowiedniej pozycji tak długo, aż się podda. Można też spowodować, że dwu lub nawet więcej atakujących przeciwników wpadnie na siebie, nie czyniąc nam szkody. Można rozbroić błyskawicznie napastnika nożem lub pałką. Jednak najważniejszymi cechami judo są uprzejmość i samodoskonalenie. Uczestnicy kursu okazywali instruktorowi i sobie nawzajem szacunek należny ludziom zdolnym do zadania śmierci, ale się od tego powstrzymującym .

Nauka przebiegała stosunkowo wolno. Wpierw Paweł musiał opanować umiejętność takiego padania, by mógł być rzucony na matę i nie odnieść przy tym obrażeń. Potem nauczył się podstawowych rzutów. Ku jego zdumieniu, jego pierwszym partnerem była czarna dziewczyna, mniejsza od niego. Posiadała jednak złoty pas, a on sam miał biały, i potrafiła go pokonać bez trudu. Zwiększyło to natychmiast jego szacunek dla tej techniki Walki; jeśli bowiem dziewczyna ważąca mniej niż on sam jest w stanie z nim wygrać, jakąż będzie jego przewaga w stosunku do większych od niego chłopców — kiedy już opanuje judo!

Po zakończeniu pierwszej lekcji, Steve wziął go na bok.

— Jak to się stało, że masz podbite oko, Pawle? — zapytał, jakby nie było to oczywiste. Po czym polecił dziewczynie, o imieniu Karolina, postępować zgodnie z instrukcjami Pawła i odtworzyć sposób, w jaki szkolny łobuziak zaatakował Pawła, podbijając mu prawym kufakiem lewe oko. — Oto jak można temu zaradzić — powiedział Steve. — Pierwsze, co możesz zrobić, to uskoczyć na bok i uciec, jeśli to konieczne. Nie wolno ci dopuścić go na bardzo małą odległość.

— Ale wówczas dzieciaki... Steve pokiwał głową.

— Kiedy z takiego czy innego powodu, nie możesz uciec, musisz się bronić. Istnieje wiele sposobów obrony w takiej sytuacji, sądzę jednak, że dla ciebie ten będzie najbardziej odpowiedni. — Przywołał drugiego chłopca, większego od Pawła. — *Nage no kata*, drugi rzut, Uki — powiedział. Chłopiec zacisnął pięść i wyprowadził cios prosto w głowę dziewczyny. Ta zablokowała uderzenie lewym przedramieniem, wykonała półobrót, chwyciła ramię chłopca prawą ręką i pociągnęła. Chłopak przeleciał ponad jej grzbietem i wylądował z głośnym klapnięciem na macie. — Ten rzut nazywa się *ippon seoi nage*, rzut jednym ramieniem — objaśnił Steve Pawłowi. — Nauczysz się go — teraz.

Pawłowi nie raz zdarzyło się później odnieść przeróżne obrażenia, nigdy jednak nie ucierpiał od kolegów w szkole i nigdy więcej nie otrzymał ciosu prosto w twarz. Judo, do pewnego stopnia, stało się dla niego sposobem życia. Czynił postępy, uzyskując pas żółty, następnie pomarańczowy, zielony i w końcu brązowy. Brał też udział w turniejach judo, czasami wygrywając, a czasami przegrywając, zawsze jednak walcząc dzielnie i zachowując się uprzejmie, zarówno wtedy, kiedy przegrywał, jak i wtedy, kiedy zwyciężał. Nigdy nikogo nie zaczepiał i nie prowokował i rzadko ktoś szukał zaczepki z nim samym.

Zawsze też miał w pamięci te pierwsze zajęcia i małą dziewczynkę, która potrafiła go pokonać i nigdy nie wspomnieć tej jego przegranej. Paweł na ogół obawiał się trochę dziewcząt, ale w tajemnicy przed wszystkimi podkochał się w Karolinie. Przestała uczęszczać na zajęcia z judo kilka miesięcy po tym, jak on przyłączył się do grupy. Nie spotkał jej już nigdy potem, ale pozostawiła po sobie pewien ślad, w postaci miłego wspomnienia.

Kiedy Paweł miał osiemnaście lat, jego opiekunowie rozwiedli się. W tym czasie rozpoczął już studia, a fundusz edukacyjny, założony wiele lat wcześniej przez jego rodziców, pozwolił mu je ukończyć. Po studiach poszukiwał swych rodzinnych korzeni i przy tej okazji, po raz pierwszy, dowiedział się o swoim czarnym dziedzictwie.

— Nie, nie! — rzekł Szatan. — To nie to! To było już znacznie później! Nie masz żadnego ukrytego poczucia winy związanego ze sprawami rasowymi; nie wiedziałeś nawet, że jedynie uchodzisz za białego; zresztą, gdybyś nawet i wiedział, byłbyś winien kłamstwa, a nie odpowiedzialny za sam fakt. Wina twojego społeczeństwa, które praktykowało ukrytą dyskryminację rasową, byłaby i tak o wiele większa od twojej własnej.

— Czyżby to mówił Szatan? — zdziwił się brat Paweł głośno. — Ojciec kłamstwa?

— Szatan nie kłamie nigdy. To tylko służki Boga kłamią, kradną i — oszukują — aż owoce ich niegodziwości nie trafią w końcu do Mnie. Jam jest prawdą, a ponieważ prawda jest często szpetna, nazywają Mnie złem. — I znów irytująco zaszeleściły papiery. — Spróbuję teraz przyławkowego strzału, opartego na intuicji. Podejrzewam bowiem, że ta zablokowana przez ciebie tajemnica dotyczy okresu dzieciństwa. Sądzę też, że związana jest z jakąś kobietą, choć niekoniecznie w sensie erotycznym czy losowym. Potrzeba mi przeto jednego dnia z twojego życia, kiedy miałaś osiem lat.

Paweł musiał się wysiusiać. Zarazem chciał spać dalej, tym bardziej że ze stojącej na dworze ubikacji było bardzo zimno, a droga do niej była niebezpieczna, bo mógł się natknąć na jeżozwierza. Była jedna rzecz, której pies nie spróbowałby zrobić po raz drugi: zbliżyć swój nos do jeżozwierza; pierwsze doświadczenie i nos pełen okropnych kolców zupełnie mu wystarczały. Paweł nie miał najmniejszej ochoty nadepnąć przypadkowo na grzbiet tego zwierzątka. Lepiej już wysiusiać się w śnieg, tuż przy kuchennym wyjściu. Tak czy owak, musiał tam pójść.

Stał na chwiejnych nogach, dziwiąc się, czemu powietrze jest tak przyjemne i niezbyt mroźne, mimo że to zima. Poszedł korytarzem, na którego końcu znajdowała się ładna, nowoczesna, wyłożona kafelkami łazienka, ze spłukiwaną wodą muszlą klozetową — jakże mógł o niej zapomnieć? Stanął przy muszli i zaczął siusiać. Od razu zrobiło mu się przyjemniej; płyn wydawał się wypływać z niego bez końca.

Raptem poczuł coś dziwnego. Jakąś wilgoć w okolicy bioder, jakby zanurzył się po pas w gorącej kąpieli. A przecież niczego takiego nie widział. Usiłował pokonać to dziwne uczucie, lecz bez rezultatu. Z rosnącym przerażeniem zaczął pojmować, co się dzieje. Stał w mokrej cieczy. Leżał w niej. Był ciągle w łóżku; to wszystko było jedynie snem. Wszystko, z wyjątkiem siusiania.

Jak zwykle, zmoczył łóżko. Otworzył oczy. Było ciemno. Ciągle jeszcze trwała noc. Za wcześnie na wstawanie. Cóż, tu, gdzie leżał, było zupełnie wygodnie; gumowa podkładka pod prześcieradłem była nieprzepuszczalna, a zagłębienie w łóżku powodowało, że leżał w cieplej kąpieli. Wystarczy jedynie dopilnować, by koce na wierzchu pozostały suche.

Przypomniał sobie, jak to się zaczęło dwa lata wcześniej. Umieścili go w szpitalu na obserwacji, a on był tak przejęty sytuacją, że podczas pięciu dni, które tam spędził, nie zmoczył łóżka ani razu, chociaż zdarzyło się, że „zapomniano” mu przynieść basen przez okrągłe 24 godziny. Pewnego poranka, po przebudzeniu usłyszał, że tuż za drzwiami jego pokoju grupka pielęgniarek prowadzi szeptem ożywioną rozmowę. Czyżby rozmawiały o nim? — Nie powiedz mu przypadkiem... — nie dosłyszał reszty. Usłyszał natomiast stłumiony śmiech, taki sam, jaki słyszał u dziewcząt związanych ze sprawą kołka do bielizny, tyle że te tutaj to były dorosłe dziewczęta. — Sposób w jaki ja to robię... Robię co? — Po prostu ładuję do środka. — Przecież nie kołek do bielizny! Nagle sobie skojarzył: to jest szpital. Zapewne w tajemnicy planują jakąś operację. — Nie wygadaj się pacjentowi, bo mógłby uciec. Po prostu weź nóż i wepchnij do środka.

Paweł leżał w łóżku oblany zimnym potem, który przypominał urynę Mają zamiar go rozciąć. Zapewniono go co prawda, że tylko mu się przyjrzą (co samo w sobie już było niemiłe) w szpitalu, ale to samo powiedziano mu, kiedy po raz pierwszy zabrano go do dentysty. Dorośli uważali, że wolno jest okłamywać dzieci „dla ich własnego dobra”, które oznaczało na ogół coś bolesnego i nieprzyjemnego. Wynikało z tego jedynie, że nie można zaufać żadnemu dorosłemu — nigdy.

Pielęgniarki rozeszły się jednak, pozostawiając go własnym myślom. Jeśli nie teraz, to kiedy? Przez całutki dzień kulił się ze strachu w łóżku, czekając kiedy po niego przyjdą, kiedy to się zacznie. Stracił apetyt. Przestały go interesować dostarczone mu gry; nie czytał, nie oglądał obrazków nawet. Jakież mógł być pożytek z tych wszystkich czynności w obliczu tak strasznego zagrożenia?

Wreszcie go zwolniono. Werdykt szpitalny brzmiał: pod względem fizycznym wszystko jest w porządku. Wniosek: może przestać się moczyć w łóżku, jeśli tylko zechce. Zachęcano go więc, by zechciał. Każdego dnia musiał prać swoje prześcieradła. Nigdy nie używano słowa „kara”, ale przesłanie było jednoznaczne: Ty to zrobiłeś, ty sam to doprowadzisz do porządku. Pawłowi nie była potrzebna jakaś dodatkowa motywacja; chciał przecież mieć sucho we własnym łóżku, tyle że nie potrafił tego dokonać. Nocą zawsze się coś wydarzyło, niezależnie od tego, jak bardzo temu czemuś się opierał.

Tego ranka, na szczęście, ponownie zapadał w sen. Koszmary rzadko pojawiały się wtedy, kiedy miał opróżniony pęcherz moczowy. Wspomnienie szpitala zacierało się; przestało już mu praktycznie dokuczać. Byle tylko nie musiał tam wracać i znaleźć się na oddziale chirurgii. W ogóle ranki nie były złe. Stopy miał co prawda zmarznięte, ale do tego już się przyzwyczaił. Słyszał słabe, odległe, niesamowite pohukiwanie jakiegoś leśnego zwierzęcia; cieszył się, że nie musi być teraz na dworze. Przypomniawszy sobie poprzedni rok, który spędził w szkole z internatem, a ponieważ był tam najmniejszy z najmniejszych, goniono go, straszono i bito. Ale to nie był jeszcze cały koszmar. Pewnego ranka jeden z małych tyranów, starszy od Pawła o rok lub dwa, podszedł do niego, kiedy leżał jeszcze w łóżku.

— Ej, słyszałem, że lejesz do łóżka! — zawołał. — Zobaczmy.

I ściągnął koc.

Paweł rzeczywiście zmoczył łóżko tej nocy. Odrzucił mokrą piżamę, która leżała teraz zwinięta w kłębek w nogach; on sam był więc goły od pasa w dół i aż parował od ciepłego moczu. Łobuziak przyglądał mu się dłuższą chwilę, a Paweł leżał bez ruchu, nie tyle ze strachu, co z braku lepszej możliwości. Dawno już utracił godność osobistą w odniesieniu do własnego ciała. Po czym łobuziak opuścił koc i odszedł bez jednego słowa komentarza. Później, jeszcze tego samego dnia, porozmawiał z Pawłem na osobności.

— Kiedy ja leję ostatni już raz wieczorem, to czasem postoję trochę dłużej przy pisuarze i wtedy jeszcze trochę więcej polecę, a potem jeszcze więcej. I jeszcze trochę. Jak byś postać chwilę dłużej i poczekał, to też mógłbyś się pozbyć wszystkiego i... — Wzruszył ramionami. Najwyraźniej chciał pomóc.

Chłopiec ten nigdy już nie zaczepił Pawła; w jakiś sposób wzbudził on jego sympatię. Kilka dni później, w obecności całej grupy chłopców, inny łobuziak podszedł do Pawła.

— Nie uderzę cię więcej — powiedział i uściśnął mu dłoń.

— A jeśli to zrobi, to my już mu przyłożymy — odezwał się jeden z większych chłopców.

Po tym zdarzeniu nikt nie zaczął już Pawła. Mimo to szkoła była dla niego jednym horrorem; marzył o powrocie do domu.

Teraz był w domu i był z tego zadowolony. Wiedział, kiedy mu jest dobrze. Czasami wyobrażał sobie, że to wszystko jest jedynie bardzo długim i złym snem i że obudzi się wreszcie, będzie miał cztery lata i znajdzie się na powrót w Afryce, w swoim prawdziwym, szczęśliwym życiu. Od dwóch lat narastało w nim jednak przekonanie, że nigdy do tego nie dojdzie. Jego prawdziwe życie było teraz, tamto było jedynie snem.

Nie odczuwał już bólu w stopach z powodu zimna; zaczęły go one teraz parzyć, jakby je włożył w ogień. Było to całkiem przyjemne uczucie. Wyobraził sobie skaczące do góry płomienie, złote i żółte, rzucające iskry aż pod sam sufit. Mógłby tak leżeć bez końca i cieszyć się tym ogniem. Jeśli Piekło jest miejscem gorąca i płomieni, nie odczuje przed nim strachu; lepiej przecież iść tam niż na dwór w śnieg i wiatr.

Poderwał go dzwonek budzika. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że wiało mu się ponownie zapaść w sen. Nie mogło być żadnych wątpliwości; do pokoju sączyło się mdłe, zimne światło świtu. Zimowe poranki były takie ponure! Leżał jeszcze chwilę, po czym nabrał powietrza, przytrzymał je w płucach, zacisnął zęby i odrzucił koc. Och, jak zimno! Podłoga, choć drewniana, byki tak lodowata, że jego zaognione stopy nie mogły jej znieść; tańczył więc, przeskakując z nogi na nogę, by zmniejszyć to nieprzyjemne uczucie. Pobiegł nago do łazienki na parterze; nie było w niej ubikacji, bo nie było w niej bieżącej wody, stał natomiast duży dzban z wodą. Kiedyś wszystkie domy posiadały wodę z wodociągów i ogrzewanie na ropę, lecz energetyczny i zanieczyszczenie środowiska zmusiły wiele rodzin do zamieszkania tam, gdzie powietrze było czystsze i gdzie można było być w dużym stopniu samowystarczalnym. Wodę, którą noszono własnymi rękami, rzadko marnowano, a tym samym przyczyniano się do powstrzymania obniżania się poziomu wód gruntowych.

Wlał trochę wody do miski, zmoczył w niej myjkę, zacisnął zęby, zamknął oczy i uderzył tym zwiniętym kawałkiem materiału w pierś. Szok był podobny do tego, który odczuwamy, kiedy się dotykamy lodem, bo woda zimna, w nie ogrzewanym domu, jest na krawędzi przemiany w lód. Czasami w kuchni zamarzały rury i nie można było wpompować wody do wewnątrz; trzeba było rąbać lód i wyciągać wodę drewnianym kubłem. Wkrótce jednak myjka rozgrzała się od ciepła jego ciała i mógł już wodzić nią zygzakami po całej skórze, włącznie z brzuchem i udami. Potem jeszcze plecy. Poruszał się bardzo szybko, a mimo to szczął zębami i miał siną skórę. Nie było to jednak o wiele gorsze od kąpieli latem w górskim jeziorze; woda dopływała tam wąskim strumykiem gdzieś ze swoich górskich źródeł i była tak lodowata, że nie ośmielił się nigdy wskoczyć do niej; zamiast tego wchodził powoli, pozwalając, by zdrętwiały mu wpierw stopy, potem łydki, i tak dalej, aż wreszcie miał odrętwiałe całe ciało i mógł już pływać. Niektórzy wskakiwali natychmiast, wydając okrzyk w momencie, kiedy uderzało w nich lodowate zimno, ale ci na ogół byli obdarzeni warstwą podskórnego tłuszczu. Na tym polegał zresztą sekret morsa. A Paweł był bardzo szczupły; zimno przenikało natychmiast do samych kości i kiedy wychodził z lodowatej kąpieli, kości wypromieniowywały to zimno z powrotem do ciała. Rozgrzanie się zabierało mu pół godziny. Lubił jednak pływać. Woda unosiła go ponad niewidocznym gruntem i wydawało mu się, że lata. A lot był dla niego symbolem ucieczki, choćby chwilowej.

Umył się w niecałą minutę. Wylał wodę z miski do wanny, której rura odpływowa przechodziła przez dziurę w ścianie i kończyła się wśród zielska na zewnątrz domu, i pobiegł na górę. Teoretycznie rzecz biorąc, taki wydatek energii powinien rozgrzać jego ciało, ale ilość nagromadzonego zimna była zbyt wielka, by pokonać je takim sposobem. Nie użył ręcznika; woda zdążyła wyparować, kiedy biegł do swojego pokoju. Wreszcie mógł się ubrać, co było pewnym pocieszeniem. Minęła już najgorsza część poranka. Spodnie, koszula, sweter i skarpetki. Obrócił buty podszwami do góry i postukał jednym o drugi przed założeniem ich na nogi. Kiedyś tego nie zrobił i poczuł pod stopą coś dziwnego. To coś okazało się wielkim karaluchem. Przypadek ten wyrobił w nim na wiele lat odruch sprawdzania butów. Nie bał się owadów i robaków, nie lubił ich jedynie w swoim obuwiu. Poza tym niektóre z nich potrafiły nieźle ukąsić.

Z powrotem na dół, do kuchni ogrzewanej piecykiem na drewno. Ten sam kryzys energetyczny spowodował, że drewno znów stało się modne, szczególnie na wsi, gdzie dostęp do niego był łatwiejszy. Piec rozpalano rano i paliło się w nim przez cały dzień; czasami kiedy na zewnątrz było zero stopni, w kuchni dochodziło do stu stopni, według skali Fahrenheita, z której ciągle korzystali jeszcze ludzie zamieszkujący na wsi. W stopniach Celsjusza odpowiadało to minus osiemnastu na dworze i plus trzydziestu ośmiu wewnątrz.

Paweł lubił ten piec; między nim a ścianą była wolna przestrzeń, w której lubił przesiadywać i wygrzewać się w stałej temperaturze około 40° C. Nigdy nie miał dość ciepła; przypominało mu ono szczęśliwe lata w Afryce, gdzie zawsze było ciepło — i fizycznie, i uczuciowo. Dla niego te dwa rodzaje ciepła pozostawały w bezpośrednim związku. Teraz jednak nie pora na takie myśli; owsianka była gotowa, a poza tym powinien się pospieszyć. Polał owsiankę zimnym mlekiem kozim, żeby ją troszkę ochłodzić, i zaczął jeść. Była smaczna, pożywna i nigdy jej nie brakowało; nie musiał chodzić głodny.

— Zastanawiam się, czy to nas do czegoś przybliży — mruknął Szatan. — Cóż, mamy mnóstwo czasu. Jedziemy dalej.

Potem szybkie wciskanie kaloszy, wkładanie palt, rękawiczek i kaptura; ten ostatni ściągnięty tak, by chronił uszy. Do szkoły było daleko, ale kiedy ścieżka została już ubita, szło się nieźle. Na dworze było zimno. Jednak wiatr przycichł, a cal śniegu (niewiele ponad dwa centymetry według prawdziwej miary), który spadł w nocy, nie pokrył głębokiej koleiny, powstałej na skutek przełamania skorupy lodowej w ubiegłym tygodniu. Skorupy śniegowe to nie było byle co; tworzyły się wówczas, kiedy słońce topiło wierzchnią warstwę śniegu, a nocny mróz zamrażał ją na powrót w twardego lodu, podobny do tego, który powstaje na jeziorach. Kiedyś poślizgnął się na takiej skorupie na szczycie wzgórza i nie mógł się zatrzymać przez całe ćwierć kilometra, dopóki nie znalazł się na samym dole. Nic mu się nie stało; w rzeczywistości miał sporo uciechy. Innym razem uderzył w skorupę nogą po to, by ją przebić i znaleźć pod spodem solidny grunt. Noga poleciała jednak dalej niż się spodziewał; nie było tam gruntu, lecz jedynie druga skorupa! Ziemia znajdowała się znacznie niżej. Dopiero pod tą drugą skorupą był prawdziwy grunt. Kiedy śnieg pokrywał skorupę, nie rozpuszczała się ona przed nadejściem wiosny. Przypominała tym życie; kiedy ustali się ono na nowym poziomie, nie ma możliwości powrotu do poprzedniego. Czasami Paweł podkopywał się pod lodową skorupę, budując rodzaj śniegowej jaskini, której sufitem była owa skorupa. Śnieg był co prawda zimny, lecz miał swoje dobre strony.

Wspiął się na grań i zaczął schodzić w dół lasem po drugiej stronie. Wiatr tu nie docierał; słychać było jedynie jego świst wśród gałęzi na szczytach nagich drzew. Buków, klonów, białych brzoź, rozrzuconych tu i ówdzie białych sosen, które, naturalnie, nie były białe, lecz zielone, nawet zimą. Do szkoły było czternaście kilometrów, ale był przyzwyczajony do długich, pieszych wędrówek i lubił je. Zwierzęta żyjące w lesie były niegroźne; widział ich krzyżujące się tropy na świeżym śniegu. Czasami z daleka udało mu się dostrzec umykającego jelenia. Nigdy nie spotkał niedźwiedzia, choć wiedział, że tam występują. Bywało, iż sam śnieg był dla niego bardziej interesujący od otoczenia. Pewnego wieczoru padał marznący deszcz; tworzył on sople na każdej gałązce i obciążał je ich ciężarem. Las przemienił się wówczas w krainę baśni, pełną kryształowych girland podzwaniających przy najmniejszym ruchu. Nigdy w życiu nie widział piękna tak absolutnego! Być może istotą atrakcyjności była kruchość, kryształowa ulotność. W przeciągu ego dnia lód zabrudził się i połamał, a po trzech dniach zniknął. Drzewa były piękne — ale drzewo można zobaczyć zawsze. Lodowy las natomiast był doświadczeniem jedynym w życiu, cenionym nie tyle dla jego charakteru, co wyjątkowości.

Przeszedł obok starego dębu, którego gałęzie zwisały nad jego szlakiem. „A gdzie tylko sięgniesz okiem, wrzosowiska i moczary głębokie” — zaśpiewał na głos, wyobrażając sobie śnieg jako moczary i wrzosowiska. „Żaden ptak ci nie zaśpiewa, wszędzie tylko nagie drzewa”. Podobały mu się piosenki ludowe, lubił je śpiewać i nucić, ale nie mógł tego robić w domu. Stryj ucinał jego próby, nazywając je czynieniem hałasu. „Ale my nie narzekamy, zima przecież wkrótce minie. I z radością zawołamy: widać dom nasz, dom w dolinie!” Łzy napłynęły mu do oczu i poczuł dławienie w gardle. Czy zima i dla niego się kiedyś wreszcie skończy?

Dwa kilometry w dół i znowu zboczem pod górę. Ta trasa wiodła przez bezdroża, choć istniał też przetarty szlak, z którego mógł skorzystać. Jego minusem było to, iż wiodł on obok domu pani Kury. Była to historia sprzed roku. Pewnego dnia, będąc w szkole, Paweł mył ręce i zauważył ciekawą i charakterystyczną cechę powierzchni mydła; była ona twarda i solidna, a jednocześnie bardzo plastyczna. Pobudziło to w nim zmysł artystyczny. Przycisnął kawałek mydła do kurka kranu i pokręcił nim. I naturalnie, ujrzał równiutkie, koliste wgłębienie, jakby na małej planecie wylądował miniaturowy statek kosmiczny, topiąc skałę ogniem swych odrzutowych silników, po czym odleciał, pozostawiając jedynie wytopiony ślad na pozbawionej powietrza planecie. Tego samego dnia usłyszał wrzaski: „Ta woda smakuje mydłem!” Nie przyszło mu do głowy, że część mydła przylepi się do kurka; zajęty był kontemplacją innego aspektu tego zjawiska — kontemlował sztukę. Przyznał się do swego uczynku, zniósł spokojnie kpiny, splukał dokładnie kurek i zapomniał o całej sprawie. Inni jednak nie zapomnieli. Dla nich była to zniewaga, którą należało pomścić.

Kiedy indziej zabawiał się w białym, lekkim, puszystym śniegu, obok drogi prowadzącej do szkoły. Leżał na plecach i machał ramionami, robiąc „orły”, a potem biegał wokół młodych drzewek, trzymając się jedną ręką cienkiego pnia, co pomagało mu uzyskać kształtne koła i złożone z kół ósemki. Jakże łatwo było tworzyć figury geometryczne w naturze! Była to jedynie zabawa w drodze do szkoły, nie na tyle długa, by spowodować spóźnienie. Przypadkowo odbywała się ona w pobliżu domu pani Kury. Kobieta wybiegła z domu i obrzuciła go najgorszymi wyzwiskami, jakie usłyszał w swym życiu. Oskarżyła go o niszczenie drzew, przedziurawianie opon i bezczelność, kiedy usiłował jej wyjaśnić, że nie zrobił drzewkom żadnej krzywdy, nic nie wie o żadnych oponach i nawet nie posiada scyzoryka. „Ty to zrobiłeś!” — jazgotała. „Tak jak urwałeś kurek od kranu w szkole!” I

przegnała go stamtąd.

Nie był to koniec całej sprawy; był jeszcze list do nauczyciela, skargi do rodziny i wybieganie z wrzaskiem z domu, kiedykolwiek pojawił się w pobliżu. A była to jego jedyna droga do szkoły. Kiedy poznał inny szlak przez las, nie musiał już przechodzić obok jej domu. Życie stało się trochę cięższe i uległ terrorowi — ponieważ sąsiad złożył fałszywe świadectwo przeciw niemu.

— Ach, tak — zauważył Szatan. — Mamy ją tutaj, w Piekło. We władzy Belzebuba. Muszę sprawdzić, czy Władca Much zadał jej odpowiednią pokutę za fałszywe świadectwo. — Papiery zaszeleściły, kiedy czynił notatkę.

W szkole było już wszystko w porządku. Dzieciaki nie dokuczały mu więcej z powodu nagłych drgawek dłoni i bezustannego liczenia wszystkiego wokół, a ponieważ interesował się wieloma przedmiotami, życie szkolne stało się zupełnie znośne. Zdarzały mu się bóle brzucha w ciągu dnia, lecz przyzwyczał się do nich. Tylko w przypadku wyjątkowo silnego bólu, od którego skręcało go przez kilka godzin, miał pewne wątpliwości, ale na szczęście dokuczały mu one rzadko. Dzisiejszy, zupełnie drobny ból nie był dla niego żadnym problemem.

Skończył zadanie pisemne i siedział nad kartką papieru, usiłując narysować mansardowe okienko, takie, które wystaje poza powierzchnię stromego dachu. Zwykle okno nie było trudne do narysowania, bo całe składało się z linii prostych, ale mansardowe posiadało wiele różnych kątów, które trudno było sobie wyobrazić w przestrzeni. Papier był przecież płaski i nie był pewien, czy zadanie takie jest w ogóle wykonalne. Jak by nie było, okienko powinno być trójwymiarowe. Było to niewątpliwie wyzwanie. A może gdyby narysował tę linię przerywaną pod kątem...

Och. Nauczyciel wywołał go, a on nie usłyszał. Cała klasa się śmieje. Uważają go za głupiego i podejrzewa, że mają rację. Dlaczego bowiem nie wraża? Inni są bystrzy; uważają. Stracił zupełnie natchnienie do rysowania okna w mansardzie.

W drodze do domu usłyszał dalekie szczekanie psa. Dostał gęziej skórki i zaczął rozglądać się nerwowo, mając nadzieję, iż nie napotka tego zwierzęcia na swojej drodze. Kiedyś pogłaskał jakiegoś obcego psa, a ten obnażył kły i rzucił się na niego z taką wściekłością, że uciekł z płaczem, które były świadkami wydarzenia, uważały je za bardzo zabawne, ubiegłym roku zaatakował go pies z obozu drwali; obszczekał go, obwąchał i jedynie przestraszył. Inny ugryzł go w łydkę, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Twierdzili, że pies, który szczeka, nie gryzie, choć było to oczywiście nieprawdą. Problem polegał na tym, iż dwudziestokilogramowy pies wydawał się znacznie większy chłopcu ważącemu dwadzieścia siedem kilo mężczyźnie o wadze siedemdziesięciu kilo. Dzisiaj Paweł miał szczęście, pies, którego szczekanie usłyszał, obrał sobie inną drogę.

Tak naprawdę, to nie psy go przerażały, ale Potwór. Psy przynajmniej mógł widzieć. Potwór to zupełnie co innego. Codziennie po lekcjach szedł za nim olbrzymi i złośliwy, jak stonoga wielkości smoka z ogromnymi szczypcami z przodu i dziesięciometrowym ogonem jadowym z tyłu, i z małymi świecącymi oczyma na szypułkach, które mogły obracać się na wszystkie strony i widzieć wszystko. Miriady bocznych odnóży przeczesywały każdy krzak, nie pozwalając Pawłowi ukryć się i puścić Potwora przodem. Gdyby bowiem mu się to udało, zyskałby pewną moc nad Potworem, bo przecież on szedłby za nim teraz i widziałby go. Nie ośmielił się jednak przyczaić, właśnie dlatego,

że Potwór tak dokładnie sprawdzał krzaki, w których ewentualnie mógłby się ukryć. A przecież powinien go ujrzeć od tyłu. Takie bowiem prawo rządziło ich spotkaniami.

Obejrzał się, czując ukłucia strachu. Nic nie zobaczył. To też było typowe; Potwór mógł się wycofać w ułamku sekundy. Gdyby tylko Paweł miał oczy z tyłu głowy... rzecz polegała na tym, iż Potwór mógł go podchodzić jedynie od tyłu, z kierunku, którego nie miał w zasięgu wzroku. Kiedy się odwracał, bezpośrednie uderzenie jego spojrzenia przyhamowywało Potwora, dając mu większą swobodę ruchów. Jeśliby zaczął biec bez oglądania się do tyłu, Potwór dogoniłby go szybko i...

Nie! Paweł zatrzymał się, uspokoił rozdygotane ciało, odwrócił się i ruszył w odwrotnym kierunku. Pokaże, że się nie boi. Zauważy jego ślady, co będzie dowodem na to, że Potwór szedł za nim przez cały czas. To będzie jakiś punkt dla Pawła. Kiedy już raz zyska przewagę, nieważne, jak niewielką, będzie już mógł jej użyć, by spychać Potwora wciąż dalej i dalej, aż ten odejdzie na zawsze. Poszuka sobie jakiejś innej ofiary.

Naturalnie, nie było żadnych śladów; mógł był to przewidzieć. Setki łap na poduszkach nie zostawiały zagłębień w śniegu; były za mało obciążone, a poza tym Potwór był bardzo przebiegły i zacierał po sobie wszelkie ślady. Chyba zbyt przebiegły...

Paweł ponownie się odwrócił. Bez jednego dźwięku Potwór wznowił swój pościg. Paweł obejrzał się, ale ten natychmiast zniknął z jego pola widzenia. Nie mógł go pokonać w ten sposób. Musiał teraz iść po raz drugi tą samą ścieżką, narażając się znowu na niebezpieczeństwo. Skomplikował sobie jedynie drogę do domu.

Dziwne, że Potwór nigdy nie prześladował go rankami. Być może dlatego, iż był wówczas świeży i pełen wigoru, a może dlatego, że oczekiwał go długi dzień pracy w szkole. Po cóż Potwór miałby się wtrącać wtedy, kiedy on sam szedł prosto w kłopoty? Wolał zapewne iść za nim, kiedy znajdował się na granicy bezpieczeństwa. Głównym jednak powodem był bez wątpienia fakt, że po południu wydłużały się cienie. Potwór lubił cienie; był bestią ciemności, wzrastającą w siłę wraz ze zmniejszaniem się ilości światła.

— Byłeś trochę za bystry, jak na tego Potwora — zauważył Szatan z uznaniem. — Pamiętam jak tu zgrzytał zębami i narzekał na sposób, w jaki trzymałeś go z daleka wtedy, kiedy już sądził, że cię dopadnie. Musieliśmy go w końcu odesłać do innych zajęć.

Iście piekielny humor!

Paweł zbliżył się do grani i zobaczył, jak późne słońce przesuwają się wśród drzew, rozjaśniając cały las, czyniąc go piękniejszym, stwarzając wrażenie, jakby za rzędem drzew znajdowała się jasna polana. Latem ten efekt był jeszcze silniejszy i tworzył przecinki i przesieki w miejscach, gdzie rosły paprocie i kwiaty. Zimą cały las był jaśniejszy, więc efekt był słabszy. Mimo to w niektórych miejscach pozostawał silny, a to było jedno z takich miejsc. Jednak nie kontemplował tego zjawiska; odwrócił oczy i biegł pod górę, oddychając ciężko, aż znalazł się poza jego zasięgiem.

Dotarł wreszcie do domu. Junie obgryzała korę z drzewa w pobliżu domu; zabeczała na jego widok i ruszyła ku niemu po śniegu. Lubił Junie, tak jak wszystkie kozy; nie tylko dostarczała mleka,

lecz była także przywiązana i czuła. Pogłaskał jej pysk. Należała do rasy Toggenburg, najlepszej z kozich ras. Szkoda, że nie mógł jej brać ze sobą do szkoły; gdyby pojawił się Potwór, ubodłaby go swoimi spiłowanymi rogami. A nikt jeszcze nie wygrał zderzenia w głowę z kozą!

Czekały na niego obowiązki. Przede wszystkim musiał porąbać drewno na szczapy, które posłużą do rozpalki w piecu następnego dnia, a potem wyprać pościel zmoczoną ubiegłej nocy. Rąbanie drewna sprawiało mu przyjemność; lubił drewno i lubił jego obróbkę. Przepołowienie kłody to trudne zadanie, ale rąbanie na mniejsze kawałki było znacznie łatwiejsze i sprawiało wielką radość, którą daje widok rezultatu naszej pracy. Gdyby tylko problemy życiowe dawały się tak łatwo dzielić i pokonywać!

Pranie wielkiego prześcieradła nie było przyjemnością. Woda była zimna i powodowała, że dłonie miał czerwone i obolałe, co czyniło wyciśnięcie materiału jeszcze trudniejszym. Skręcał i skręcał prześcieradło, aż przypominało wyglądem sznur, a właściwie linę okrętową, taką, jakiej używano do cumowania statków, a mimo to ciągle w nim była woda i ciągle kapiała, niezależnie od tego, jak mocno je wyciskał. Praca ta jednak musiała być wykonana.

Patrzył na krople kapiące z prześcieradła. Poczł nagłe pragnienie... i przypomniało mu się, że nie napił się na zapas. A obowiązywał go pewien zakaz. Zabrano go kiedyś do lekarza w związku z nocnym moczeniem i lekarz powiedział: „Żadnego picia po godzinie czwartej po południu”. — I to stwierdzenie stało się dla niego obowiązujące. Nie zlikwidowało moczenia się w łóżku, ale uczyniło dla niego wieczory torturą. Włożył więc róg prześcieradła do ust, czując w ustach smak resztek uryny i wmawiając sobie, że tylko wyciska zębami prześcieradło; przełknął ukradkiem kilka cennych kropli. Nie było to dość, ale jednak coś; nawet kilka kropli potrafiło w jakimś stopniu złagodzić pragnienie.

Wieczorami stryj zazwyczaj czytał coś specjalnie dla niego: opowiadania przygodowe, fantastyczne i historyczne — wszystkie wielce fascynujące. Paweł był zakochany w przeszłości, przyszłości i fantazji. Te inne światy były zawsze interesujące, częściowo ze względu na ich egzotykę, a częściowo dlatego, że były zupełnie gdzie indziej.

W końcu nadeszła noc i czas snu. Paweł miał nocną lampkę, ale światło jej było słabe i niewystarczające, a właśnie teraz czaiło się największe zagrożenie w jego życiu, zagrożenie, które się zwało Strach. Pomieszane ono było z czymś zachwycającym, czymś, co pociągało go...

Ameryka! Jedyne urodzony poza nią jest zdolny docenić pełne znaczenie tego słowa. On sam znalazł wspaniałości nowego kraju wyrażone w jednej pięknej piosence. Nie znał jej tytułu, ani też wszystkich słów tekstu, nie potrafił zgłębić wszystkich odniesień, ale nie odczuwał takiej potrzeby. Ta piosenka była nie tyle odbiciem nowego świata, co sama była nowym światem.

Poprzez nią widział olbrzymie przestrzenie żyznych równin falujących bursztynowym zbożem i wysadzanych podobnymi klejnotom alabastrowymi miastami, błyszczącymi pod bezkresnym niebem. Majestatyczne, purpurowe góry rozciągały się od oceanu na wschodzie, który przybył w swej podróży, do cudownego oceanu na zachodzie, o urodzie umykającej wyobraźni. Wszystko to razem tworzyło trochę niejasny, lecz jednocześnie wspaniały obraz pola, na którym wielkie drzewa stają się coraz mniejsze, przechodzą w krzewy, a w końcu w paprocie i piękne kwiaty. Pola zachwytu i

uniesienia, od widoku których robiło mu się ciepło na sercu. Ameryka! Ameryka! Kochał ją w tej piosence i poprzez tę piosenkę.

Ale Ameryka to były również miasta — wielkie metropolie, których drapacze chmur sięgały nieba, a dymy przemysłowe wznosiły się do Boga. Samochody, pociągi, statki, samoloty, pojazdy kosmiczne, prasy drukarskie, elektrownie atomowe, olbrzymie lustra krążące na orbitach i wykorzystujące światło słoneczne — wspaniała technologia cywilizacji technicznej. Przyroda i nauka: dwa oblicza rzeczywistości, obydwie pociągające.

Te dwa oblicza, dwa obrazy rozpadły się na cztery i zastygły. Pozornie niewinne, rozpatrywane i widziane razem, były koszmarem.

1. Kobieta idąca ulicą z małym chłopczykiem u boku.

2. Kobieta w budce videofonicznej i chłopiec zaglądający przez szybę do środka.

3. Mężczyzna stojący na polanie, z lwem u swego boku. W pobliżu niego kobieta w lekkim ale kosztownym stroju, leżąca na nędznym łożu.

4. Mężczyzna trzymający lwa w ramionach na wysokości swej piersi. Jakaż tajemnica kryła się w tych nieruchomych obrazach, że budziły taką grozę? Jego umysł dążył do ich interpretacji i zrozumienia, choć zarazem wzdragał się przed tym.

Ameryka! Jakoś dziwnie te rosnące kadencje poczęły rozbrzmiewać dla niego pustym echem, bo miasto, przez które szedł ze swoją opiekunką, niezupełnie było alabastrowe. Miało jednak coś z tego blasku i podniecającej atmosfery, tak charakterystycznej dla nowego świata. Nie było ciche i spokojne jak farma; byli tu ludzie i były sklepy, i telewizja, i działały się przeróżne rzeczy. Radosny obrazek rzeczywistości.

Jego najwcześniejszym wspomnieniem z Afryki nie była sama Afryka, lecz wizja Jutra. Jutro to był rząd domów wzdłuż ulicy, którą szedł z pełną świadomością, że kiedyś znajdzie się w tych obcych domach zamiast w tych tutaj, bliskich i znajomych. I nagle to Jutro nadeszło i nazywało się Ameryka, i nie był na nie przygotowany. Sądził bowiem, że znajdzie się w nim z rodzicami. Ludzie w Nowym Świecie byli mili i sympatyczni, ale on marzył tylko o tym, by znaleźć się na powrót w domu.

Zorientował się, że miasto może być pułapką. Jego opiekunka znalazła się po drugiej stronie szklanych drzwi i bawiła się wspaniałym urządzeniem zwanym videofonem; oddawała się jednemu z tych tajemniczych zajęć dla dorosłych żyjących w wieku maszyn. Potem chciała wyjść, ale drzwi się zacięły i nie mogła ich otworzyć. Nagłe zaskoczenie i zrozumienie: maszynom nie wolno zaufać, miasto cię może nie wypuścić ze swego uścisku. Nadzieje związane z Ameryką zmieniły się w zagrożenie, nawet dla jej mieszkańców.

Pawła wolał życie na farmie, jego żona życie w mieście. Przeznaczeniem ich była niemożność znalezienia kompromisu. Paweł nie rozumiał praw rządzących konfliktem; widział jedynie dwie przeciwstawne siły: miasto i wieś. Kobieta była stworzeniem miejskim, mężczyzna — wiejskim. Byli małżeństwem, lecz nie tworzyli jedności. Nie mógł nazwać jednego z nich dobrym, drugiego

złym, nie mógł przyznać racji tylko jednemu; oboje byli dobrzy, oboje mieli rację — a mimo to prowadzili ze sobą wojnę.

Mężczyzna stał wśród drzew, symbol siły, panujący nad lwem. Kobieta znajdowała się teraz w jego mocy, przeniesiona z video — pułapki na stojące pod drzewem łoże, całkowicie spokojna. Mężczyzna na pewno powstrzyma lwa przed uczynieniem jej krzywdy!

Paweł chodził któregoś dnia wśród otwartych pól, tak podobnych do tych wspaniałych, otwartych przestrzeni z piosenki. On sam nie dokonał wyboru, nie potrafił wybrać pomiędzy tymi rywalizującymi siłami; zarówno miasto, jak i wieś były częściami Ameryki, tej ziemi obiecanej, Jutra. U podnóża wzgórza pokrytego trawą ujrzał czaszkę. Była to czaszka krowy, wielki kawał białej kości z pustymi oczodołami. Zdał sobie sprawę, że ten martwy przedmiot był kiedyś częścią żywego zwierzęcia, takiego jak Junie. Teraz było martwe, bezcielesne, a jego kopyta już nigdy nie będą deptały zielonego pola. Patrzył na fakt śmierci, na oblicze śmierci i zaczynał pojmować jej ostateczną nieodwołalność. Już nigdy! Jak zginęła ta krowa? Być może zabił ją afrykański lew.

Mężczyzna trzymał lwa w powietrzu i uśmiechał się. A jednak w tym obrazie była śmierć: nie konkretny akt zabijania, lecz niezdrowa i ponura wiedza o tym, że śmierć przeszła tędy, machnęła kosą i zostawiła po sobie ślad, którego nic już nie zetrze, bo jest to ślad ostateczny. Lew się posilił. Łoże jest puste. Wieś pożarła miasto. Mężczyzna trzymał lwa w ramionach, by stwierdzić, ile zyskał na wadze.

Pole, które było Ameryką, przeplotło się ze stygmatami horroru, terroru i śmierci. Strach był realny, przerażenie miało charakter ostateczny; w dzień można go było unikać lub stępić jego ostrze, ale nocą było wszechogarniające. Paweł był uzdolnionym chłopcem, obciążonym przekleństwem żywej wyobraźni; kiedy ciemność wykluczała normalne widzenie, oko jego umysłu wypełniało świat widmowymi obrazami o tak realnych kształtach, że widział ich każdy szczegół. Światło stanowiło jedyną obronę; dopóki miał oczy otwarte i widział, koszmary nie miały do niego dostępu, podobnie jak leśny Potwór.

Prześladowała go wizja ciała. Ciała, którego nie było na żadnym z czterech obrazów, ale o którym wiedział, że musi tam być, być może w ukrytym przed nim piątym obrazie. Ciało poszarpane przez lwa; puste, niewidzące oczy, białe kości, sterczące z tego, co kiedyś było...

Krzyki, krzyki po nocach! Był to obraz zbyt wstrząsający, by stawić mu czoło, zbyt uporczywy, by dał się zignorować. Wkraczał w dziedzinę świadomości i nie było przed nim ucieczki. Majaczył w dalekich polach, przetaczał się tuż obok jak lokomotywa, czyhał w pobliżu, doprowadzając go nieubłaganie do szaleństwa. Dotykał samej duszy, by wreszcie stać się jego duszą.

— Teraz, gdy spać iść muszę, niech Pan zachowa moją duszę — wyszeptał. — Gdybym miał umrzeć we śnie, niech Pan mą duszę weźmie.

Powtarzał te słowa w półspiewie, starając się odegnać nimi koszmar odrzucić go od siebie i wreszcie zasnąć. Nie dał się on jednak unicestwić, a każde mrugnięcie lampki przybliżało go tylko, aż Pawłowi zdawało się, że czuje jego dotknięcie na palcach stóp, tam, gdzie nie mógł go widzieć i gdzie nie śmiał nawet spojrzeć. Jakże mógł zobaczyć odczucie? Tęsknił do światła dziennego, które

uwolniłoby go od tej tortury. Jednak pomiędzy nim a dniem była noc, narzucająca mu tę mękę. Jutro — ale przecież to właśnie było Jutro, przed którym nie ma ucieczki. Jutro tej nocy rozpocznie jedynie od nowa powtarzający się cykl; był węń wprzęgnięty i nie widać było jego końca. Horror był bowiem tym, co minęło, a nie tym, co miało się zdarzyć. W nagłym natchnieniu zmodyfikował słowa swej modlitwy:

— Niech już zasną i nigdy się nie przebudzę — powiedział i dopiero wtedy zasnął.

— Tak więc zapieczętowałeś to sobie — odezwał się Szatan do Pawła, który leżał skąpany we własnym, parującym pocie, z oczyma wpatrzonymi w przestrzeń i z drżącymi rękoma. — Umiałeś się przystosować do wszystkiego w dzieciństwie i młodości, a do tego nie. Nie potrafiłeś sobie ani tego wytłumaczyć, ani zaakceptować. Wolałeś już zablokować tę część swojego życia; było to dla ciebie jedyne dostępne rozwiązanie, kiedy uwzględni się twoje potrzeby i możliwości. Naturalnie, ten horror cię nie opuścił. Pozostał w tobie jako podświadoma motywacja działania — A te pięć wielkich sił w twoim życiu — Ogień, Woda, Powietrze, Ziemia i Duch — wywoływane były po kawałku przez karty Tarota. Ogień płonącego drewna dający ulgę od wszechogarniającego zimna; Woda z twojego zmoczonego łóżka, podczas gdy ty cierpiałeś pragnienie; Powietrze przemocy w postaci pani Kurry, psów i niewidzialnego Potwora, żeby już nie wspomnieć gazów w brzuchu, wywołujących słabsze i silniejsze bóle; Ziemia twojego obrażonego poczucia godności, twoich nerwowych drzewek, braku statusu społecznego i Duch, którego wpływ był największy: strach.

— Strach — powtórzył brat Paweł słabym głosem.

— Mimo to posiadałeś pewien rodzaj nie wykorzystanego talentu; sztuka bowiem należy do dziedziny ducha — ciągnął Szatan. — Mogłeś zostać rzeźbiarzem, ale próba z mydłem i kranem wykluczyła tę możliwość. Mogłeś zająć się muzyką, lecz twoi opiekunowie nie pozwolili ci śpiewać. Miałeś talent artystyczny i mogłeś zostać malarzem, lecz nauczyciel w szkole Uważał, że rysujesz jedynie dla rozrywki. Tym samym odebrano ci możliwość zaspokojenie ambicji i ucieczki od nicości poprzez twórczość, i w końcu musiałeś to wszystko zapisać na konto strat.

Brat Paweł nie oponował. Szatan pokręcił głową.

— To trudny problem. Podejrzywałem jakiś grzech seksualny czy rasistowski, w związku z twoim pochodzeniem i — historią życia, a teraz obawiam się, że nie jest to nic tak konwencjonalnego. Co innego tchórzostwo; nic jednak nie wskazuje, byś kiedykolwiek był tchórzem. Zawsze walczyłeś, tyle że wydarzenia cię przerastały.

— Ale to zapieczętowanie się, to odcięcie się — ja się po prostu poddałem — powiedział brat Paweł, nie zważając na to, że dostarcza argumentów przeciwko sobie. — Nie potrafiłem stawić czoła tej trwodze, więc przed nią uciekłem. Ja...

— Jesteś uczciwy; to wielce niefortunne i trudne w twoim przypadku. — powiedział Szatan. — Oderwano cię od korzeni, zabrano z domu i od rodziny, z Afryki i przesadzono w nową glebę. A twoi opiekunowie mieli własne problemy. Ich style życia bardzo były różne, nie mogli się porozumieć i zaangażowali się w trwające dziesięć lat przeciąganie liny, które zakończyło się separacją, a następnie rozwodem. Twe kruche korzenie zostały ponownie zerwane, kiedy przenosiłeś się z miasta

na wieś i ze wsi do miasta, bo potrzebowałeś ich obojga, bo chciałeś mieć rodzinę. W końcu znalazłeś się na wsi — za cenę rodziny. Byłeś za mały, by zrozumieć, że to nie twoja wina; kiedy stryjenka przeniosła się do miasta, sądziłeś, że to ty ją tam wypędziłeś: zabiłeś ją, ujmując rzecz w przenośni. Nie umiałeś stać na jednej nodze, oprzeć się tylko na połowie rodziny, szczególnie w sytuacji, gdy korzenie już miałeś przycięte. Nic dziwnego, że upadłeś. Twoje moczenie, tiki i nocne koszmary były jedynie symptomami; nie byłeś w stanie przetrwać tej sytuacji cało i o zdrowych zmysłach. Wyszedłeś więc z niej, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Przeorientowałeś cały styl życia, wiążąc go z judo i zablokowałeś wspomnienia domu. Zaiste waham się, czy skazać cię za to na wieczyste potępienie.

— Już to uczyniłeś — powiedział brat Paweł. — Wydobyłeś na światło dzienne moją tajemnicę. Teraz Piekło jest ze mną — w mojej pamięci, gdzie kiedyś było zablokowane.

— Ale teraz jesteś silniejszy niż wówczas — zaznaczył Szatan. — Wypuściłeś nowe korzenie w Świętym Zakonie Wizyjnym. Twoje życie w tym charakterze było przykładne od momentu, kiedy przeżyłeś swą wizję nawrócenia. I nie przyciągnięto cię siłą przed moje oblicze, kopiającego i wrzeszczącego; zszedłeś do Piekła z własnej i nieprzymuszonej woli. Ostatnim twoim uczynkiem, tuż przedtem, nim cię skonsumowałem, była prośba o łaskę dla twej niewinnej córki, która nawet jeszcze nie istnieje, a nazwanej imieniem dziewczyny podziwianej przez ciebie dwadzieścia lat wcześniej. Dla jej bezpieczeństwa poświęciłeś swą męskość.

Szatan przerwał na chwilę i w zamyśleniu szeleścił papierami.

— Naturalnie, kierowałeś się strachem przed utratą wzroku, obawą przed koszmarami wiecznej ciemności, Potworem i Zwłokami. W sumie jednak szlachetność poświęcenia jest ważniejsza od motywów, jakie tobą kierowały przy wyborze tortury. Niestety, twój przypadek budzi wiele wątpliwości. Masz na sumieniu zło i jesteś słaby jak każdy człowiek, ale ja tu nie widzę, by któraś z szali na tej wadze przeważała.

Brat Paweł dochodził powoli do siebie po szoku spowodowanym odblokowaniem wspomnień. Znajdował się co prawda w animacji, ale te wspomnienia były jak najbardziej rzeczywiste. Musiał przyznać Szatanowi rację: był teraz o wiele silniejszy niż w dzieciństwie, widział też wszystko w szerszej perspektywie. Mógł również ocenić, ile piękna było w tej zablokowanej części życia; szkoda byłoby unicestwić je razem z tym, czemu nie można stawić czoła. Szatan ocenił sytuację właściwie.

— Uczyń ze mną co zechcesz — powiedział brat Paweł. Zaczął odkrywać w sobie autentyczny, zupełnie fundamentalny i niepokojący szacunek dla Szatana.

— Zadam ci torturę Trzech Życzeń — zdecydował Szatan. — Trzech, ponieważ potrzebowałem aż trzech prób, by odkryć twoje najtajniejsze sekrety związane z poczuciem winy. A zawsze jestem sprawiedliwy.

— Trzy życzenia?

— Zgadza się. Spełnię twoje trzy życzenia... i osądzę cię na podstawie użytku, jaki z nich

uczyniłeś.

— Mogę przecież po prostu życzyć sobie zbawienia! — zaprotestował brat Paweł.

Szatan ponownie pokręcił głową.

— Jakże trudno jest oszukać człowieka uczciwego! Muszę przyznać się do pewnej pułapki: życzyłbyś sobie zbawienia i przegrałbyś, ponieważ twoje życzenie byłoby samolubne. Honorowałbym naturalnie naszą umowę i dostarczyłbym cię do Nieba — ale tylko ciebie, bez przyjaciół i bez córki — a Wrota Perłowe i tak pozostałyby zamknięte dla twojej samolubnej duszy. Nie możesz świadomie szukać czysto osobistych korzyści i wykorzystywać do tego celu środki demoniczne.

— To wyklucza wiele spraw — powiedział brat Paweł. — Ale nawet w tej sytuacji nie bardzo wiem, na czym miałyby polegać tortura. Mogę przecież wypowiedzieć jakieś zupełnie niewinne życzenia.

Szatan uśmiechnął się, ukazując kły.

— Sam się przekonasz.

— Czy mam trochę czasu na zastanowienie?

— Całą wieczność. Tutaj.

— No cóż, dobrze. Życzę sobie wobec tego poznać prawdziwe pochodzenie i znaczenie Tarota.

Szatan skinął powoli głową.

— Jesteś mądrym człowiekiem. Domyślam się już, że następne życzenia będą podobnej natury.

Bez wątpienia. Brat Paweł miał nadzieję, że spełnienie jego pierwszych dwu życzeń pozwoli mu sformułować trzecie w taki sposób, iż uzyska dzięki niemu odpowiedź na podstawowe pytanie związane z jego misją. Jeśli znajdzie sposób, by dowiedzieć się, czy istnieje jakiś osobny, obiektywny W swym charakterze Bóg Tarota...

— Sama wiedza jednak nie jest ani dobra, ani zła — ciągnął dalej Szatan. — Liczy się to, jak ją nabywasz i co z nią robisz — o czym zresztą sam się przekonasz. Przeto — w drogę, Wuju!

Brat Paweł znalazł się nagle w dziurze podłogi pokoju. Ślizgał się w dół rynną, która zakręcała i tworzyła pętle jak jelito. Och, nie! — pomyślał. Zostanę wydalony, cały na brązowo, jak ta obelga w Tuzinach!

Kiedy jednak osiągnął punkt najniższy, przestrzeń zacisnęła się wokół niego, przeciskając go przez najniżej położoną pętlę i pchając ku górze. Otaczała go jakaś ciecz pełniąca rolę hydraulicznego transportera. Ciśnienie jej wzrosło do tego stopnia, że z trudem był w stanie to wytrzymać. W pewnym momencie nastąpił jego gwałtowny spadek i brat Paweł został wyrzucony z olbrzymią siłą

przez tryskający ku górze gejzer. Oczyma wyobraźni ujrzał wizję eksplodującej Wieży Tarota. Płynąc w powietrzu, obejrzał się za siebie i uświadomił sobie pewien fakt: takie właśnie było znaczenie tej karty, Dom Boży, lub Dom Szatana. To było Objawienie! On sam został ejakulowany z będącego w stanie erekcji monstrualnego fallusa Szatana. Był Nasieniem podążającym do celu, którego nie był w stanie odgadnąć.

Nadzieja / Trwoga (Gwiazda)

Kiedy patriarcha Konstantynopola wypróżniał się, kapłani pracowicie zbierali ekskrementy do jedwabnych chusteczek i suszyli je w słońcu. Po czym mieszały je z piżmem, bursztynem i benzoem, a kiedy już całkiem wyschły, ścierali je na proszek i wsypywali do złotych puzderek. Puzderka te wysyłano do wszystkich tj monarchów chrześcijańskich i do kościołów, gdzie ich zawartość była wykorzystywana jako najświętsze kadzidło przy uroczystych okazjach — przy błogosławieństwie nowożeńców, przy okadzaniu nowo narodzonych i podczas wyświęcania kapłanów. Jako że oryginalne ekskrementy patriarchy nie wystarczyłyby nawet dla dziesięciu prowincji, a cóż dopiero dla wszystkich ziem chrześcijańskich, kapłani fałszowali proszek poprzez mieszanie go z materią mniej świętą, to znaczy z ekskrementami niższych patriarchów, a nawet prostych kapłanów. Szalbierstwo takie nie było łatwe do wykrycia. Ci obrzydliwi Grecy cenili proszek także ze względu na jego inne zalety; używali go jako lekarstwa na chore oczy, żołądek i jelita. Tylko monarchów i ludzi bardzo majątnych stać było na zakup takiego leku, skoro, z powodu ograniczonej ilości surowca, proszek o wadze jednego dirhama sprzedawano za tysiąc dinarów w zlocie.

Księga tysiąca i jednej nocy, przetłumaczona z arabskiego na francuski przez Dr J C Mardrusa, a z francuskiego na angielski przez Powysa Mathersa: Volume I, Londyn, Towarzystwo Casanova, 1923.

Pierwszą rzeczą, którą brat Paweł ujrzał, była gwiazda. Widniała tuż nad horyzontem, jasna, piękna i cudownie czysta: Gwiazda Nadziei.

Natychmiast też poczuł lęk: gdzie też się znalazł? Czy to jedynie inny aspekt Piekła? Jakie zagrożenia czają się na tym nie znanym terenie? Bał się poruszyć, nie wiedząc, czy stoi pośrodku równiny... czy na skraju przepaści.

Na szczęście nie musiał czekać długo. Przybywało światła; wstawał świt, rozjaśniając jedną stronę firmamentu, pozwalając mu zorientować się w położeniu. Wiedział już, gdzie jest północ. Gdyby jeszcze wiedział, w której części wszechświata się znajduje. Wyglądało na to, że nie na planecie Tarot; roślinność, atmosfera i grawitacja były zbyt ziemskie, by zaistnieć gdziekolwiek poza Ziemią. Potrzebna mu jednak była a dokładniejsza informacja na temat własnego położenia! Domyślał się jedynie, że musi to być strefa umiarkowana, zauważył bowiem, iż drzewa należą do gatunków zrzucających liście.

Być może gwiazda, którą ujrzał, to Gwiazda Poranna, planeta Wenus, symbol miłości. Miał nadzieję, że to dobry znak. Ale rano mogły świecić także i inne gwiazdy, w zależności od pory roku, pokrywy — chmur i nastroju patrzącego.

Stał na łagodnym zboczu wzgórza. Najwyraźniej była wiosna. Choć ranek był chłodny, odczuwał

przyjemnie wspaniałe zapachy natury. Kwiaty się właśnie otwierały. Należały one wszystkie do znanych mu gatunków, mimo że nie potrafiłby ich nazwać. Gdyby mógł przeżyć ponownie swe życie, zwróciłby baczniejszą uwagę na kwiaty! Sceneria, która go otaczała, bez wątpienia podobałaby się Karolinie.

Karolina — gdzież była teraz? Dopiero podczas ostatniego przeglądu swojej przeszłości uświadomił sobie powód, dla którego dał jej to imię. Karolina, czarna w jednej szesnastej, na cześć stuprocentowo czarnej Karoliny, tej, która pokazała mu, czym może być judo, i która nigdy z niego nie drwiła. Szatan powiedział, że Karolina jeszcze nie istnieje — a przecież tak naprawdę dla niego już istniała, bo znał ją, kochał i była jego córką. Mała kolonistka była jedynie aktorką, zajmującą miejsce, grającą rolę prawdziwej Karoliny, która była — gdzie? Nie wierzył, że jest tylko istotą z jego wyobraźni; emocjonalnie było to dla niego nie do zaakceptowania. Cóż, przynajmniej udało jej się uniknąć Piekła; prawdopodobnie Lee zabrał ją z tej wizji. Dzięki Bogu!

A może te podziękowania należały się Szatanowi?

Jakaś muzyka przerwała jego myśli. Piękna, wygrywana na czymś, co przypomina flet, melodia *Poranka* Edvarda Griega, z jego słynnej suity z muzyki do Ibsenowskiego *Peer Gynta*. Grieg żył w drugiej połowie dziewiętnastego wieku i był Szwedem... nie, Norwegiem. Czy właśnie tam znalazł się brat Paweł — w Europie z niezbyt odległych czasów? Biorąc pod uwagę możliwości animacji, byłoby to wielce prawdopodobne. Jak Chętnie spotkałby tego muzyka, jednego z ulubionych przez niego kompozytorów! Ale nie, to nie była ta melodia; jeden z fragmentów zabrzmiał tylko podobnie. Cóż, należy zapomnieć w tej chwili o Griegu. Niestety. Trudno oczekiwać, że Szatan dostarczy mu takiej dodatkowej, a przypadkowej przyjemności.

Ale po co w ogóle zgadywać? Melodia dobiegała ze znajdującej się ku zachodnim doliny. Brat Paweł skierował tam swe kroki, że ma na sobie coś w rodzaju przepasanej pasem tuniki i proste, skórzane trzewiki, znoszone, a więc wygodne. Coś go zaswędziało... och! Podejrzewał wszy. Oznaczałoby to, że znajduje się zapewne w średniowiecznej Europie. Nie dbano wówczas zbyt o higienę. Szczególnie chrześcijanie. Niektórzy wręcz twierdzą, że chrześcijaństwo jest jedyną wielką religią światową, w której brud byłomalże utożsamiany z bogobojnością. Muzułmanie wyśmiewali takie podejście, szczególnie iż doprowadzała ich do wściekłości arogancja krzyżowców. Zmiana stosunku do higieny w przypadku chrześcijan nastąpiła stosunkowo niedawno.

Ujrzał grającego. Był to młody mężczyzna, wysoki, szczupły i silny, ubrany w jaskrawo kolorowe pantalone, kurtkę i kapelusz. Jeden trzewik miał niebieski, długi czerwony. Pończochy odwrotnie. U kolan wisały mu małe dzwoneczki, a na ramiona narzuconą miał jaskrawoniebieską pelerynę. Rondo kapelusza było tak szerokie, że nie widać było spod niego oczu. Jednak ta komiczna persona nie wydawała się zażenowana swoim wyglądem. Siedziała zrelaksowana pod gęstą koroną drzewa i grała na dziwnym, podwójnym flecie, przebierając palcami prawej i lewej dłoni po otworkach.

— Fletnia Pana! — wykrzyknął brat Paweł.

Mężczyzna przerwał grę. Spojrzał w górę pytającym wzrokiem. — Ja? — zapytał.

Brat Paweł przeprowadził szybki i krótki proces myślowy. To słowo zabrzmiało mu po niemiecku.

Nie był zbyt biegły w tym języku, ale znał go w miarę przyzwoicie.

— Ja... podziwiałem twoją grę — powiedział powoli po niemiecku.

— Flet pasterski — odpowiedział mężczyzna w tym samym języku. Akcent miał dziwny, ale zrozumiął. — Stwarza odpowiedni nastrój już na cały dzień. Przyłączysz się do mnie?

— Chętnie — powiedział brat Paweł.

— Poczęstuj się chlebem — rzekł mężczyzna, odrywając kawałek chleba z długiego bochenka i podając go przybyszowi. Chleb był czarny i czerstwy, ale pachniał smakowicie.

— Dziękuję — powiedział brat Paweł. — Obawiam się, iż nie mogę się niczym zrewanżować. Jestem tu obcy i nie posiadam żadnego majątku.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Nie ma obcych w obliczu Boga.

— Zaiste nie ma! — zgodził się brat Paweł. — Jestem brat Paweł ze Świętego Zakonu Wizyjnego. — Przerwał, nie będąc pewny, czy jego słowa mają jakikolwiek sens w tym kontekście.

— Czy ma to jakiś związek z wizją apostoła Pawła na drodze do Damaszku?

— Tak — przyznał usatysfakcjonowany brat Paweł. Nareszcie jakaś bratnia dusza! Aktorem był naturalnie Lee, ale ta rola najwyraźniej bardzo do niego pasowała. — Zarówno jeśli chodzi o mój zakon, jak i o mnie samego. Wierzmy bowiem, iż współczesne chrześcijaństwo powstało w momencie nawrócenia faryzeusza z Tarsu. W dużym stopniu to on uczynił chrześcijaństwo tym, czym jest. A mówiąc dokładniej, sformułował zasady, według których powinni postępować wyznawcy tej wielkiej religii, choć trzeba zaznaczyć, iż wielu z tych, którzy nazywają się chrześcijanami, odeszło od tych zasad. My, członkowie Zakonu Wizyjnego, usiłujemy przywrócić, miarę naszych możliwości, chrześcijaństwo z wizji świętego Piotra. Przywrócić wiarę dostępną wszystkim, niezależnie od nazwy, jaką nadają swemu wyznaniu.

Zdawał sobie sprawę z tego, iż nie jest dostatecznie wymowny z powodu ograniczeń językowych, choć szło mu coraz lepiej. Lee, naturalnie, wiedział wszystko, ale było rzeczą niezbędną, by zaistniał jakiś zapis dla tej animacji, która dopiero w ten sposób zyskiwała filozoficzne podstawy i odpowiedni kontekst.

— Doskonale powiedziane, bracie! Jesteś tedy wędrownym fratrem?

— Nie, absolutnie nie. Jestem tutaj... cóż, przypadkowo. Nie wiem nawet, gdzie jestem. I w jakich czasach. Sam pochodzę z Ameryki, z okresu około roku 2000.

Ciekawe, jak to zostanie przyjęte!

Młody mężczyzna uśmiechnął się ponownie i pokręcił głową.

— Żałuję, lecz nie znam ani twego zakonu, ani twego kraju, a już zupełnie nie pojmuję datowania i kalendarza. Niestety, nie znam się na subtelnościach religijnych; bliscy mi ludzie zawsze uważali, iż religia wywodzi się ze strachu. Nie wiem, czy taka jest prawda. Na geografii znam się jednak trochę lepiej: ziemia, na której się znajdujemy, położona jest na zachód od Renu i na północ od Alp, a mamy obecnie Rok Pański 1392, ja zaś jestem wędrownym minstrelem, komediantem i magikiem. Używam wielu imion i żadne z nich nie jest znaczące; możesz po prostu nazywać mnie Le Bateleur lub Kuglarz.

— Kuglarz? — powtórzył zaskoczony brat Paweł. — Tysiąc trzysta dziewięćdziesiąt dwa!

— Wyglądasz na zdziwionego, przyjacielu. Czyżbym cię obraził?

— Skądże znowu! Tyle że... w mojej rzeczywistości, istniejącej jakieś sześćset lat po twojej, imię to jest przydane karcie... służącej do wrózenia!

Mężczyzna machnął lekceważąco ręką, w której trzymał flet.

— Sam to czynię, jeśli widzę w tym jakiegoś obola. — Podrzucił flet wysoko w powietrze i chwycił go z wielką zręcznością. — Czy życzysz sobie, żebym ci powróżył?

— Ja... hm... nie, dziękuję. Jeśli obol to jakaś jednostka pieniężna, to nic takiego nie posiadam. — Bratu Pawłowi wydawało się, że pamięta jakąś średniowieczną monetę wartą mniej więcej centa; być może o nią właśnie chodziło. — Prawdę mówiąc nie posiadam żadnych środków i nie mógłbym zapłacić za chleb, chyba że znalazłaby się jakaś usługa, którą mógłbym dla ciebie wykonać.

Kuglarz przyjrzał mu się z taksującym spojrzeniem.

— Przyjmę zapłatę w postaci piosenki.

— Piosenki? — Brat Paweł stwierdził, że zaczyna odczuwać sympatię do tego bezpretensjonalnego i utalentowanego człowieka, ale obecna propozycja skonfundowała go nieco. — Nie jestem dobrym śpiewakiem, choć śpiewać niewątpliwie lubię.

— Podam ci melodię, żebyś mógł nucić, kiedy ja będę grał.

I Kuglarz przyłożył do ust swój pasterski flet i wydobył z niego dziwnie smutną melodię.

— Ładne — powiedział brat Paweł, podchwytyjąc bez trudu melodię. Przypomniało mu się, jak w dzieciństwie strofowano go za nucenie.

Teraz wolny od takich obaw, mógł nucić do woli i czerpać z tego przyjemność.

Kiedy opanował piosenkę i nucił ją swobodnie, Kuglarz zmienił sposób gry. Zastosował klucz dyszkantowy, uzupełniając i kontrapunktując głos brata Pawła. Dźwięk fletu sam w sobie był miły dla ucha, wzmacniając zaś głos ludzki wzniosł się na takie wyżyny piękna, że brat Paweł odczuwał rodzaj radosnego uniesienia. Zaiste muzyka łagodzi najdziksze serca.

Kiedy skończyli, Kuglarz uśmiechnął się.

— Bracie Pawle, człowieku wizji, byłeś zbyt skromny. Twój głos ustępuje najwyżej głosowi kastrata.

Brat Paweł doznał nieprzyjemnego uczucia, zupełnie nie związanego z wypowiedzianym pod jego adresem komplementem. W średniowieczu chłopcy o pięknych głosach bywali kastrowani przed wiekiem dojrzewania, po to, by mogli zachować słodki dźwięk wysokich tonów i tym samym śpiewać dalej w chórach kościelnych. Biblia zabraniała mężczyznom z podobną ułomnością być członkiem kongregacji Pana, lecz Kościół ignorował ten zakaz, kiedy było mu to wygodne. A co z nim samym: czy odzyskał już swą męskość, czy też cięcie Szatana miało skutki trwałe? Kuglarz użył przenośni; brat Paweł śpiewał tenorem, ponieważ kastracja po dojrzwaniu nie miała już żadnego wpływu na wysokość głosu. A jednak... Może to przecież sprawdzić. Ale nie teraz!

— Dziękuję ci za chleb... i za piosenkę. Muszę już iść. Czy mógłbyś wskazać mi drogę do najbliższego miasta lub miasteczka.

— Idź z biegiem rzeki, przyjacielu. Po drodze są wioski i osady, a dalej na północy leży Wormacja, Wolne Miasto Cesarstwa.

— Wormacja! Pamiętam Edykt Wormacki, kiedy to Marcin Luter... — Zamilkł nagle. Edykt Wormacki miał miejsce w roku 1521... sto trzydzieści lat później.

— Masz przyjaciół w Wormacji?

— Hm, niezupełnie. Być może jednak znajdę tam to, czego szukam.

— A mógłbym spytać, czego szukasz? Co prawda, nie moja to sprawa, ale podczas wędrówek nawiązałem tyle znajomości, że może byłbym w stanie ułatwić ci poszukiwania.

— Szukam talii kart, zwanych Tarotem. Kuglarz zmarszczył brwi.

— Ta-ro? Słyszałem chyba o takiej rozrywce dla majętnych.

— To specjalny rodzaj kart, w których aty są ilustrowane, a karty poszczególnych kolorów numerowane. Używamy ich jako pomocy przy medytacji, ale ich historia jest długa i pogmatwana. — Przerwał, bo zastanowiło go widoczne zakłopotanie Kuglarza. Najwyraźniej w tej roli ile posiadał on bezpośredniej wiedzy na temat Tarota. — To jest talia, której wspomniałem w związku z twoim imieniem; jest w niej karta zwana Kuglarz lub Magik.

Kuglarz rozłożył ręce.

— Pochlebiałoby mi to, gdyby nie było przypadkowe. Jest wielu takich jak ja, zebrzących o chleb i nocleg w wędrówkach od jednej wsi do drugiej. Czy istnieją również karty reprezentujące kupców, oraczy i fratrów?

— Raczej nie. Zazwyczaj przedstawiają one królów, królowe, cesarzy i papieży — odpowiedział

brat Paweł z uśmiechem. — Tak jak wspomniałeś: rozrywka dla możnych i majątnych.

— Wobec tego Wormacja jest odpowiednim miejscem na poszukiwania — powiedział Kuglarz. — Jest ona stolicą ksiąząt — biskupów i ośrodkiem intryg w Cesarstwie.

— Dziękuję ci.

Brat Paweł wstał i zwrócił się twarzą ku północy.

— Idź na wschód aż do rzeki — radził Kuglarz. — Drogi wzdłuż rzeki są wygodniejsze, a i wieśniacy przywykli do wędrowców.

Brat Paweł skinął głową i pomaszerował w kierunku wschodnim.

Wczesnym popołudniem był już bardzo głodny i bolały go nogi. Odnalazł co prawda rzekę i szlak wiodący na północ, ale wieśniacy nie byli zbyt gościnni dla kogoś, kto nie miał pieniędzy. Ta idylliczna i historyczna ziemia miała też swoje minusy. Szedł jednak ciągle naprzód.

Zza zakrętu wyłoniła się grupa niechlujnie wyglądających żołnierzy, podążająca na południe. Brat Paweł wiedział, że w czternastym wieku można było nabyć doskonałe zbroje i oręż, jeśli się tylko miało na to środki, ale ci bidzie wyglądali jak najgorszy motłoch, jak maruderzy. Zamiast zbroi lickawic rycerskich mieli na sobie kaftany obszyte kawałkami skóry; dłonie ich były nagie i pełne odcisków, a broń stanowiły noże, pałki i kije.

Znaleźli się przy nim, zanim zdał sobie sprawę, kim mogą być; a wszystko witego, iż było mu gorąco, był zakurzony, brudny i zmęczony i nie dość baczenie obserwował otoczenie.

— Z drogi, włóczęgo! — zawołał ich przywódca, wymierzając cios.

Brat Paweł zareagował odruchowo. Adrenalina napłynęła mu do krwi, pozwalając zapomnieć o zmęczeniu. Odstąpił krok na bok, chwytając jednocześnie lewą dłońią będący w ruchu kij. Zrobił skręt w lewo, a prawą ręką przycisnął prawą dłoń żołnierza do kija. Teraz znajdował się obok napastnika, a jego dwie dłonie spoczywały na kiju obok dłoni mężczyzny. Brat Paweł ugiął nogi w kolanach, pchając zarazem kij do przodu i w górę, zmuszając żołnierza do utraty równowagi. Pociągnął mocno... i jego przeciwnik przeleciał nad jego prawym ramieniem, lądując ciężko na ziemi. Kij, nie przypadkiem, znalazł się w rękach brata Pawła.

— Przepraszam — powiedział swoim niedoskonałym niemieckim. — Sądziłem, że chcesz mnie zaatakować. — Lepiej udać, że to wszystko jest jedynie nieporozumieniem.

Pozostali maruderzy otoczyli go, a w dłoniach trzymali noże. Wyglądali w tej chwili bardzo groźnie.

— Kim jesteś, łachudro? — spytał jeden z nich.

— Podróżnym, udającym się do Wormacji — odpowiedział brat Paweł z miną niewiniątka.

— Kim jest twój pan?

A więc wzięli go za czyjegoś sługę.

— Nie mam pana. Szukam jedynie talii Tarota... Żołnierze wymienili między sobą szybkie spojrzenia.

— Pachnie mi tu heretykiem — powiedział jeden, a pozostali pokiwali zgodnie głowami. — Bez protektora, zaczepia uczciwych żołnierzy... pokażmy mu, gdzie jest jego miejsce.

Oho, niedobrze. Brat Paweł rozejrzał się wokół i stwierdził, że nie uda mu się wycofać. Był jak w pułapce i przeczuwał kłopoty. Opóźnili swą zemstę tylko po to, by się upewnić, czy nie spotka ich kara ze strony jakiegoś potężnego magnata, który mógł przecież wysłać tego obcego z jakąś misją. Jeśli spróbuje uciekać, otrzyma cios brudnym nożem. Jeśli zdecyduje się walczyć — czeka go podobny los. Lepiej już przyjąć spokojnie ich połajanki... i następnym razem być znacznie ostrożniejszym.

— Wychłószczemy go — zdecydował przywódca, otrzepując się z kurzu. Brat Paweł nie rzucił nim zbyt mocno, a i miękka darń osłabiła upadek, był więc jedynie lekko potłuczony. — Rozebrać go!

Brutalne dłonie zaczęły szarpać jego ubranie, podczas gdy jeden z mężczyzn rozwinął groźnie wyglądający bicz. Zapowiadało się to niezbyt przyjemnie!

Ściągnęli z niego ostatni fragment odzienia... i zatrzymali się.

— On jest trzebiony! — wykrzyknął jeden.

— Pewnie jest niewolnikiem zbiegłym z galer... albo więźniem. Należy go zabić i obciąć mu uszy; może być z tego jakaś nagroda.

— Najpierw obciąć mu uszy — zasugerował inny. — Chce usłyszeć, jak wrzeszczy trzebieniec.

W tym momencie brat Paweł już wiedział, iż będzie zmuszony walczyć. Miał tutaj do czynienia z łotrami, dla których życie miało niewielką wartość i którzy nie znali litości. Bijąc i zabijając innych usiłowali wyzwolić się od swego własnego, nędznego losu. Przywódca przypominał z wyglądu Theriona. Brat Paweł zebrał się w sobie, odnotowując w pamięci pozycję każdego z przeciwników. Jeśli chwyci jednego i rzuci nim w dwu następnych...

— Co tu się dzieje? — zapytał jakiś nowy głos.

Zaskoczeni, wszyscy odwrócili głowy. Ujrzeli księdza, w czarnej szacie, z błyszczącym krzyżem na piersiach. Nawet bez tego stroju, mógłby obcych samym sposobem bycia. Jego stalowe oczy wydawały się miotać iskry.

— Nic takiego, ojczy — odpowiedział przywódca grupy. — Schwytaliśmy tego przestępcę i...

— Heretyka — wtrącił drugi.

— Pozwólcie, że to ja osądzę, co tu jest ważne, a co nie jest i kto jest lub nie jest heretykiem — powiedział ksiądz ostro. Jego blade oczy patrzyły na brata Pawła jakby oglądały go z dużej wysokości. Potarł dwoma palcami nos i zapytał: — Czyż nie jesteś eunuchem apostoła? Zaskoczony brat Paweł milczał. Kapłan wykonał władczy gest dłonią.

— Święte Officium życzy sobie mieć tego heretyka. Ubierzcie go i zwiążcie; zabiorę go do Wormacji osobiście.

— Tak, ojcze — zgodził się żołnierz uniżenie. — Czy jednak poradzisz sobie z nim sam? Moglibyśmy go trochę okaleczyć. To niebezpieczny typ...

Ksiądz popatrzył pogardliwie na żołdaka.

— Za dużo mielesz ozorem, sługo. Czyżby był za długi?

— Ojcze, ja...

— Święte Officium może go ukrócić, żeby nie przeszkadzał ci w pracy.

Żołnierz zacisnął usta, przełknął ślinę i zajął się bratem Pawłem, a jego towarzysze podskoczyli, by mu pomóc. Mogli oni bez najmniejszego trudu pokonać księdza siłą fizyczną, ale myśl taka najwyraźniej w ogóle nie przyszła im do głowy. Ubrali tylko szybko brata Pawła i związali mu ręce kawałkiem sznurka. Z ich zachowania widać było, że sama wzmianka o Świętym Officium potrafiła zmrozić najodważniejsze żołnierskie serca.

— Dobre pacholki — powiedział ksiądz burkliwym tonem. Uniósł dwa palce w niedbałym błogosławieństwie. — Zostańcie z Bogiem. I zajmijcie się waszymi obowiązkami.

Maruderzy skłonili głowy.

— Dziękujemy, ojcze — powiedział jeden z nich i wycofał się spiesźnie. — Po chwili wszyscy zniknęli.

Z deszczu pod rynnę?

Ksiądz ponownie skierował swój wzrok na brata Pawła. Uniósł wysoko rękę z krucyfiksem.

— Heretyku, ucałuj ten boski symbol twojego Zbawiciela — rzucił władczo.

Pamięć o przyjacielu, cierpiącym i krwawiącym na tymże krzyżu była świeża.

— Pocałuj mnie gdzieś — mruknął brat Paweł po angielsku.

Czytał był swego czasu o zepsutych i grzesznych duchownych średniowiecznych i ten tutaj wydawał mu się należeć do tej kategorii. Łatwiej mu przychodziło mówić o torturach niż o miłości

Jezusa. Lepsza już szorstkość i brutalność żołnierzy; przynajmniej nie byli takimi hipokrytami. Właśnie ludzie tego pokroju ukrzyżowują Jezua Chrystusa po raz drugi.

— Mogę posłać twoje uszy tam, gdzie są intymne części twego ciała — powiedział ksiądz ostro. Po czym uśmiechnął się. — Czy mnie naprawdę nie poznajesz, bracie Pawle?

Zdumiony brat Paweł rozpoznał go w tym momencie.

— Kuglarz!

— Ruszaj naprzód, przyjacielu; te łotry mogą zacząć coś podejrzewać. Uwolnię cię, kiedy tylko będziemy bezpieczni.

Mówiąc te słowa, Kuglarz wymierzył mu cios w kark, który ledwie musnął jego skórę. Cóż za aktor!

Brat Paweł ruszył do przodu chwiejnym krokiem, zginając kark, jakby był wielce zatrwożony.

— Jak... jak zdołałeś...?

— Poszedłem za tobą, bo miałem pewne wątpliwości co do twojej osoby. Kiedy przekonałem się, że nikogo nie udajesz, przebrałem się, w czym mam zresztą niezłą wprawę.

— Ani o moment za wcześniej! Oni mieli zamiar mnie zamordować! Ale dlaczego ty miałbyś...?

Kuglarz pokręcił głową ze smutkiem.

— Mój przyjacielu, wybaczone. Wziąłem cię za szpiega Inkwizycji, a przecież ktoś taki nigdy nie nuciłby heretyckiej melodii i nie zniósłby upokorzenia ze strony tych żołdaków, nie mówiąc o tym, że eunuch nie zostałby przyjęty do Świętego Officium. Zorientowałem się więc, iż źle cię oceniłem.

— Inkwizycja? Ja? — Brat Paweł roześmiał się. — Okropnością są dla mnie gwałty, za którymi stoi Inkwizycja!

— Dla mnie też. Gdybym miał znaleźć się w mocy Świętego Officium... — Kuglarz pokręcił z powagą głową.

— Dlaczegoż by mieli się tobą interesować? Minstrelem i kuglarzem, chociaż utalentowanym...

— Przyjacielu, wyznam ci, iż zongluję czymś więcej aniżeli samymi pałeczkami — powiedział Kuglarz, rozwiązując ręce bratu Pawłowi. — Jestem *bar ba*. Wuj.

— Wuj? — powtórzył brat Paweł, nie pojmując. Wydawało mu się, iż pamięta, jak Szatan użył tego terminu.

— Misjonarz waldensów.

Waldensi! Brat Paweł słyszał już tę nazwę. Nazwę sekty, prześladowanej za heretyckie przekonania.

— Mój towarzysz stał się ofiarą Czarnej Śmierci. Ocaliłbym go, gdybym tylko mógł... ale to było w rękach Boga, a nie moich. Teraz muszę pracować sam, wiernym bowiem należy nieść posługę religijną. Obawiam się jednak o swoją misję.

Kuglarz błyskawicznie zdjął i obrócił na drugą stronę szatę duchownego. Jej drugą stroną było ubranie chłopaka-kuglarza. Srebrny krzyż wcisnął do kieszeni z pogardliwym skrzywieniem warg. Teraz brat Paweł zrozumiał niezbędność aktorskich umiejętności u tego człowieka. Przewidywana długość życia podejrzanego o herezję była zaiste skromna, a jeszcze Skromniejsza w przypadku heretyckiego misjonarza!

— Kuglarzu — być może bezczelnością z mojej strony jest o to pytać — czy nie mógłbym ci towarzyszyć? Nie znam zupełnie okolicy i nie mam pieniędzy, ale być może mógłbym ci jakoś pomóc, gdybyś mi powiedział, co mam robić, a być może twoja trasa prowadzi tam, gdzie i ja idę. Nie mam żadnych uprzedzeń wobec twojej sekty; w mojej rzeczywistości jest wiele religii, chrześcijańskich i niechrześcijańskich, a tolerancja jest częścią naszych zwyczajów i naszego prawa. Dzięki Johnowi Murrayowi i jemu podobnym.

Kuglarz potraktował jego słowa z całą powagą.

— Bracie Pawle, miałem nadzieję, że złożysz mi taką propozycję. Szedłem za tobą właśnie w nadziei, iż okażesz się moim współtowarzyszem. Widzisz, przy moich sztuczkach potrzebna mi jest pewna pomoc, a sztuczki pokazywać muszę, chociażby po to, żeby nie wzbudzić podejrzeń Świętego Officium; bowiem podejrzania tutaj to dziewięć dziesiątych prawa. Nikogo nie oszukuję — zabrania mi tego moja wiara! — ale mój pokaz musi być jak najbardziej realistyczny. Tylko w ten sposób mogę usprawiedliwić swoją obecność, a tym samym mieć możliwość spotkania z tymi, dla których niosę moje przesłanie.

— A jakie jest to twoje przesłanie? Sam jestem człowiekiem związanym z religią i nie mam najmniejszego zamiaru wtrącać się w sprawy twojej wiary, jednak chciałbym...

— Waldensi wyznają zasady podobne do tych, według których żyli albigensi. Albigensów zniszczono mieczem i krzyżem dwa pokolenia wstecz, a my wyciągnęliśmy wnioski z ich nieszczęścia i staramy się być znacznie ostrożniejsi. Opieramy się na autorytecie Biblii, a nie Kościoła. Podkreślamy cnotę ubóstwa i dlatego obsługujemy głównie ludzi ubogich. Uważamy, że związki człowieka z Bogiem powinny być bezpośrednie i że kapłani nie są do tego potrzebni. Nie wierzymy w spowiedź i modlitwy za zmarłych, ani też w pośrednictwo świętych. Mężczyźni i kobiety mają u nas równe prawa. Nie czcimy krzyża, który był jedynie narzędziem tortury Chrystusa. My, misjonarze, znani jesteśmy naszym wiernym i tym, których staramy się nawrócić, pod imieniem *barbe* lub wujowie. Ponieważ zaś niesiemy przesłanie, które jest sprzeczne z przesłaniem Kościoła — zaiste, sądzimy wręcz, że chrześcijaństwo doskonale obyłoby się bez tej formalnej instytucji, jaką jest Kościół! — uważa się nas za heretyków i obrzuca obelgami. A przecież widzimy wokół pokusy szatańskie, podczas gdy Bóg zachowuje rezerwę. Gdyby Bóg prowadził tak aktywną rekrutację wśród ludzi, jak to czyni Szatan, świat byłby o wiele lepszy. Dlatego właśnie szerzymy naszą wiarę.

— Niewiele znajduję w twojej filozofii spraw, którym chciałbym się przeciwstawić — powiedział brat Paweł. — Moja własna sekta darzy czią Biblię, ale szanuje również pisma innych religii, takich jak buddyzm, islam czy konfucjanizm. Nie prześladowujemy żadnej z sekt; staramy się raczej poszukiwać pokojowej koegzystencji ze wszystkimi wyznaniami. Zauważam przy tym, że wiele z filozofii twojej religii przetrwało do moich czasów i zostało włączone w religie mojego świata, nie wyłączając Zakonu Wizyjnego. Kwakrzy wierzą w istotę bezpośredniego związku pomiędzy człowiekiem i Bogiem, nazywając go „światłem wewnętrznym”, świadkowie Jehowy usiłują walczyć z Szatanem poprzez prowadzenie aktywnej rekrutacji, a my, w Zakonie Wizyjnym, składamy śluby ubóstwa... — Rozłożył ręce. — Wiele by można powiedzieć na ten temat.

— Miałem nadzieję, że usłyszę coś podobnego. Twój zakon wydaje się siostrzaną szkołą.

— Bardzo możliwe — zgodził się brat Paweł. — Nie zajmujemy się jednak nawracaniem, lecz raczej wspomagamy duchowo tych, którym potrzebna jest wiara. — Przerwał. — Przypominasz mi kogoś, kogo znałem... kiedyś. On... — Przerwał ponownie. Dał się bowiem ponieść bieżącej akcji do tego stopnia, iż zapomniał, kto miał grać którą rolę! Przecież to jego przyjaciel Lee w przebraniu. Nie warto rozbijać tej sceny, mówiąc o tym głośno. — Zresztą nieważne. Wierzę, że twoje przesłanie powinno być głoszone, bowiem obecna epoka potrzebuje go. I ja ci w tym pomogę, w miarę moich możliwości.

— Pozwól, wobec tego, że ci pokażę plan lekcji — powiedział Kuglarz. — Nasi wierni to głównie chłopcy — analfabeci. To dobrzy ludzie, ale nie potrafiliby odczytać Biblii, nawet gdyby wolno im było ją posiadać. Nawet gdyby była przetłumaczona z łaciny na ich język. Jakiż jest sens w słowie Bożym, którego nie można odczytać i do którego nie mamy dostępu! Mimo to, nie ośmielamy się mieć przy sobie Biblii podczas naszych wędrówek, obawiając się, że zdradziłyby przed Świętym Officium nasze prawdziwe zadania. Zamiast niej używamy małych obrazków, których prawdziwą naturę skrzętnie ukrywamy przed sługami Kościoła.

Mówiąc te słowa, Kuglarz wyciągnął talię złożoną z trzydziestu rysunków. Brat Paweł patrzył na nie ze zdziwieniem, idąc obok przyjaciela, przypominały bowiem bardzo Arkana Wielkie Tarota. Nagle uświadomił sobie, że Szatan spełnia właśnie jego pierwsze życzenie: poznanie prawdziwego pochodzenia i celów Tarota.

— To... to jest to, czego poszukuję! — wykrzyknął.

— Kiedy wspomniałeś Tarota, byłem pewien, iż usiłujesz mnie podejść i wciągnąć w pułapkę — przyznał Kuglarz. — Choć nie całkiem pewien... i nie mogłem cię potępić na podstawie samego podejrzenia, bowiem tak postępuje Święte Officium, do którego odczuwamy wstręt. — Pokręcił ze smutkiem głową. — Jakiż świat byłby piękny, gdyby ludzie ufali sobie najemnie! Czy tak jest w twoim świecie?

— Nie — odpowiedział brat Paweł. — Jeszcze nie.

— Karty służące do nauczania ukrywamy w miejscu, które nie wzbudziłoby podejrzeń Świętego Officium: w talii kart do gry używanych przez hazardzistów i zamożnych degeneratów — powiedział Kuglarz, podając bratu Pawłowi resztę talii. — Karty te wchodziły w skład większej talii, którą

nazywamy Tarotem lub Tzarotem, to znaczy — władcą kart. Nie dokonaliśmy w nich większych zmian, a jedynie zaadaptowaliśmy ich symbolikę do naszych celów. Każdy z pięciu kolorów reprezentuje...

— Pięciu kolorów? — zapytał zaskoczony brat Paweł.

— Niektóre talie mają ich sześć, inne cztery; wygląda na to, iż jest wiele wariantów dotyczących numeracji i symboliki, bowiem każdy lokalny drukarz czy kopista wprowadza modyfikacje zgodne z własnymi upodobaniami. My uważamy za właściwą liczbę pięć, jako że reprezentuje ona pięć podstawowych żywiołów, tak jak nauczali starożytni.

— Starożytni! — powtórzył za nim brat Paweł, przypominając sobie coś, co powiedział Antares. Cywilizacja galaktyczna, która istniała przed trzema milionami lat i która zniknęła.

— Sumerowie, Egipcjanie, Minojczycy, Hetyci, Grecy, społeczeństwa megalityczne — wszystkie te ludy starożytne, które posiadały większą wiedzę niż przyznała im historia — dokończył Kuglarz i w jego oczach brat Paweł ujrzał uśmiechającego się smętnie Antaresa.

— Och. Tak. Bez wątpienia. — Mimo że to tylko animacja, nie należy wprowadzać anachronizmów. Była tutaj wszakże zupełnie inna sprawa. — Pięć żywiołów? Ogień, Woda, Powietrze, Ziemia i...?

— I Duch — powiedział Kuglarz łagodnym głosem. — Ten, który odróżnia człowieka od zwierzęcia. Człowiek posiada sumienie; człowiek potrafi odróżnić dobro od zła. Człowiek spożył owoc z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego i tym samym oddzielił się od nieświadomych zwierząt. Niektórzy nazywają to przekleństwem; my nazywamy to najważniejszym atrybutem człowieczeństwa.

— Duch — powtórzył brat Paweł, smakując brzmienie tego słowa. Wydawało mu się, że zawsze znał jego znaczenie. — To, co odróżnia człowieka od zwierzęcia.

— Inne kolory dają się interpretować na różnych poziomach — kontynuował Kuglarz. — Jako cnoty lub jako klasy społeczne, czy też cechy charakteru. I tak mamy Kij Wytrzymałości — odnoszący się do chłopów i Kielich Wiary — odnoszący się do Kościoła. — Skrzywił się. — Wiele też dobra zaznaje chłop od skorumpowanego, instytucjonalnego Kościoła! Jest także Miecz Sprawiedliwości — związany ze stanem rycerskim. — Uśmiechał się na widok miny brata Pawła; sam bowiem nie dostrzegał żadnych widocznych związków między sprawiedliwością i stanem rycerskim! — Moneta Dobroczyńności — związana z kupiectwem. I naturalnie Kaganek Ducha — symbolizujący nasze wędrujące dusze, niosące światło tym, którzy zechcą je przyjąć.

— Waldensom — powiedział brat Paweł.

— Lub wszystkim innym dobrym ludziom, którzy postępują zgodnie ze swoim sumieniem, a poszukują miłości i prawdy — poprawił go Kuglarz. — Tak jak czynili to wcześnie chrześcijanie, zanim zostali skorumpowani przez władzę. My, waldensi, nie żądamy żadnych specjalnych przywilejów czy praw; robimy jedynie to, co do nas należy, z nadzieją, iż ziarno, które rzucamy, padnie na żyzną glebę.

A najżyźniejsza gleba pochodzi z kompostu, uzupełnionego fekaliami. Szatan uczynił brata Pawła nasieniem i zasiał je tutaj. Jakie było znaczenie tego faktu?

— Ten obrazek, Kuglarz, reprezentuje mnie samego — powiedział Kuglarz z uśmiechem. Ilustracja rzeczywiście przedstawiała Kuglarza, czy też Magika, jaskrawo ubranego mężczyznę, stojącego przy stole, na którym znajdowały się przeróżne rekwizyty, używane w sztuczkach magicznych. — Kuglarz jest oczywiście mistrzem w sztuce przebierania się — tak jak i my, waldensi. Widok tej postaci pobudza czujność wiernych i kiedy ujrzę znak rozpoznawczy, o taki... — Nakreślił palcem wskazującym w powietrzu znak poziomej ósemki. — Jest to podwójny symbol słońca i księżyca, dwa połączone kręgi, nie kończące się, następowanie po sobie dnia i nocy; taki, jaki widzisz na moim nakryciu głowy. — Zdjął swój zwiotczały kapelusz, by pokazać, że jego rondo tworzy podobną lemniskatę. — Dzięki temu wiem, do kogo się mogę zwrócić po zakończeniu pokazu. Dyskretnie. Zazwyczaj wierny znajduje jakiś pretekst, by przyprowadzić mnie do swego domu, gdzie mogę już w spokoju poprowadzić swoją lekcję. W ten sposób jestem w stanie wypełnić tę część mojej misji pod czułym nosem Świętego Officium.

— Pięknie — szepnął brat Paweł. — W moich czasach karty te utraciły wiele ze swoich znaczeń. Tyje ukrywasz pod powierzchownymi interpretacjami w obawie przed podejrzliwością Inkwizycji; i właśnie te powierzchowne aspekty przetrwały wieki, przez co większość ludzi nie wie nic o ich znaczeniu pierwotnym.

— Tak właśnie powinno być — przyznał Kuglarz, wyraźnie zadowolony. — Oznacza to bowiem, że i w twoim kraju Święte Officium nie odniesie zwycięstwa. — Wskazał następną kartę. — To jest Papieżyca. Czy znasz jej legendę?

Brat Paweł skinął głową.

— Jednak nasze badania wykazują, iż osoba taka nie istniała.

— Być może nie na tym poziomie. Symbolicznie rzecz biorąc, istnieje ona na pewno! My bowiem w ten sposób patrzymy na Kościół, na tę Nierządnicę Babilońską, która przyjęła na siebie wszelkie atrybuty władzy świeckiej i stała się tym samym, czym są ziemscy królowie. W sposób naturalny, obrazek ten następuje bezpośrednio po pierwszym tak jak fałszywy Papież występuje tuż po fałszywym Magiku. Ladacznica przebrana za księdza, idąca śladami księdza przebranego za kuglarza. Wyznający prawdziwą wiarę i tak dostrzegą rzeczywistość za tą fasadą.

— Tak, mam nadzieję, że tak — zgodził się brat Paweł.

— A tutaj mamy szczególny przypadek — ciągnął Kuglarz, ukazując następną kartę. — Bądź uprzejmy podziwiać to dzieło sztuki.

— Ależ na niej nic nie ma — protestował brat Paweł.

— I jest, i nie ma — powiedział Kuglarz. — Niektórzy powiadają, iż jest to Duch Święty, niewidzialny Duch Boży. My wolimy nazywać tę kartę Nieznanym — niewypowiedzianą siłą rządzącą ludzkim żywotem.

— Los! — powiedział brat Paweł. Przypomniawszy sobie teraz tę kartę ze swoich odwiedzin w galerii pod Piramidą.

— Być może. W rzeczywistości bowiem, każdy interpretuje ją po swojemu. Jeśli ktoś wyciąga kartę z talii według reguł przypadku i pojawi się właśnie ta karta, jest ona sygnałem, że założenia, które ten ktoś przyjął, są niewłaściwe i że powinien on powtórnie przeanalizować swoją sytuację.

— Ciekawe — powiedział brat Paweł, w rzeczywistości bardziej zaintrygowany, niżby to wyrażała jego reakcja. — Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego pojawia się ona w tej talii tuż po Papieżycy, a nie na początku czy na końcu? Widzę też, że nie jest ona oznaczona numerem.

— Nie wyraża jej żadna liczba i jest ona nieskończona — przyznał Kuglarz. — Dlatego też nie ma ona wyznaczonego miejsca w talii. Kiedy układa się karty według numerów i kolorów, Duch wkładany jest w przypadkowe miejsce talii. Staramy się, by karta ta była razem z Atu, ponieważ Atu jest często oddzielane przez nas od kolorów, po to, by uniknąć podejrzeń, jeśli jednak znajdzie się wśród zwykłych kart i pojawi się podczas pokazu... cóż, jest wówczas jedynie kartą bez ilustracji, nie mającą żadnego znaczenia. — Przyglądał się przez chwilę z uwagą pustej karcie. — Rzadko pojawia się ona tak wcześnie. Musi być jakiś powód tego wczesnego pojawienia, ale przyznaję, że nie jestem w stanie go odgadnąć. Być może związany jest on z twoją osobą.

I znów Antares patrzył na niego oczyma Kuglarza.

Brat Paweł wzruszył ramionami.

— Rzeczywiście wygląda na to, iż w tym świecie to ja jestem niewiadomą.

Koncepcja związana z Duchem zrobiła na nim wielkie wrażenie. Nigdy przedtem, przed wejściem do animacji, nie podejrzewał, iż coś takiego może istnieć w Tarocie... ale najwyraźniej tak właśnie było.

— Dalej mamy Cesarzową i Cesarza, równych rangą, zgodnie z naszymi Zasadami, i stanowiących parę małżeńską. Wierzymy w małżeństwo i uważamy tak modny teraz w Kościele celibat za objaw hipokryzji. Bóg nie po to stworzył mężczyznę i kobietę, by nie poznali się wzajemnie i nie znaleźli spełnienia w rodzinie! Jest tylu niewinnych bastardów poczętych przez duchownych! Szepczą oni bowiem do młodych kobiet podczas spowiedzi, ekscytując je bez udziału ich świadomości, czyniąc je łatwym łupem dla rozpusty, a kobiety owe nie ośmielają się zdemaskować swoich uwodzicieli, by nie narazić się na oskarżenie o herezję i ryzykować kary bez sądu. Lepiej już byłoby, gdyby księża wchodzili w związki małżeńskie i rozmnażali się otwarcie, tak jak nakazuje Święta Księga.

— Tak... — wyszeptał brat Paweł.

Ale on sam, pozbawiony męskości... co z nim?

— I Papież we własnej osobie — ciągnął Kuglarz, pokazując następny obrazek. — Tak podobny do Cesarza, że aż trudno zauważyć jakąkolwiek różnicę, ubrany w drogie szaty, przystrojony w korony, berło, na dodatek siedzący na tronie! Jakież jest według ciebie znaczenie tej postaci!

— Takie, że Kościół stał się jawnie materialistyczny — odpowiedział brat Paweł bez chwili wahania.

Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że tak bliskie podobieństwo pomiędzy Cesarzem i Hierofantem (Papieżem) nie jest przypadkowe!

— Świetnie, bracie Pawle; pojmujesz sprawy błyskawicznie! My uważamy, iż Kościół, godząc się na przyjęcie wiana po cesarstwie rzymskim, uległ moralnemu zepsuciu i utracił mandat Chrystusowy. Został sprowadzony na manowce przez władzę doczesną, panowanie nad ludźmi i bogactwo, co zresztą spotkałoby każdą religię, niezależnie od tego, jak czyste zasady przyświecałyby jej na początku. Jesteśmy dlatego przeciwni wszelkim darowiznom na rzecz którejkolwiek z religii i jesteśmy przeciwni jakiegokolwiek władzy ziemskiej dla duchowieństwa.

Brat Paweł zmuszony był mu przerwać.

— Gwoli sprawiedliwości, muszę powiedzieć, iż sytuacja uległa znacznej poprawie w moich czasach, możliwe że dzięki waszym wysiłkom. Kościół katolicki stanowi zaporę przeciwko ciemnościom, a jego duchowieństwo jest prześladowane przez reżimy totalitarne. W wielu częściach Azji został on prawie całkowicie unicestwiony, w Europie zaś, podczas ostatnich, tragicznych wydarzeń politycznych, księża poddawani byli torturom. W Ameryce Łacińskiej... — Zmuszony był przerwać, ujrzawszy wyraz zdziwienia na twarzy Kuglarza. W tych czasach nie było jeszcze żadnej Ameryki „Łacińskiej”.

— Możliwe że w twoich czasach Kościół odzyskał swą dawną pokorę i swoje dawne cele — powiedział Kuglarz. — Obecnie jednak Papież ugina się pod ciężarem tych odrażających narzędzi tortur zwanych krzyżami i innych ozdób, niedozwolonych przez Pismo. Możesz to nazwać herezją, jeśli chcesz, ale my nalegamy na rozdział państwa i Kościoła, na likwidację tego ciemniejszego połączenia. Kardynałowie, na przykład, są tak żądni władzy, że współzawodniczą ze sobą w walce o tron papieski.

— Aha — przypomniał sobie brat Paweł. — Wielka schizma! Trzech papieży...

Kuglarz uśmiechnął się.

— Aż tak źle to jeszcze nie jest. Czternaście lat temu zmarł papież Grzegorz XI — czy znajduje się w waszych zapiskach? Ten, który zakończył „niewolę babilońską” papiestwa, przenosząc je z Awinionu we Francji na powrót do Rzymu...

— Niewola babilońska dla Nierządniczy Babilońskiej! — wtrącił brat Paweł ze śmiechem.

— No właśnie. Kiedy Grzegorz zmarł, Rzymianie wywierali nacisk na kardynałów, by wybrali kogoś miejscowego. Rzym to niesforne miasto i papieże nie–Włosi nie czują się tam bezpiecznie, być może nie bez powodu. Kardynałowie zareagowali wybierając Urbana VI. Nie twierdzę, że Urban był złym człowiekiem; był on bezkompromisowym reformatorem, który nie poddawał się żadnym naciskom w sprawach zasadniczych.

— I stąd pewnie kłopoty — mruknął brat Paweł.

— Zgadza się. Jego zdecydowany sposób postępowania usposobił do niego wrogo kardynałów, szczególnie francuskich. Unieważnili oni ostatnią elekcję i wybrali Roberta z Genewy, który przyjął imię Klemensa VII i za siedzibę papieżstwa obrał Awinion. Musiał to zrobić; w Rzymie jego życie byłoby wystawione na ciągłe niebezpieczeństwo! Trzy lata temu zmarł Urban, ale nie rozwiązało to problemu. Włosi bowiem zastąpili go papieżem Bonifacym IX.

Kuglarz z wyraźną satysfakcją rozgniół między paznokciami wiesz, którą przed chwilą złapał we włosach.

— Tak więc mamy dwóch papieży — ciągnął. — Który jest tym prawdziwym, a który antypapieżem — nikt nie jest w stanie powiedzieć. W Italii lepiej jest twierdzić, że Bonifacy, a we Francji, że Klemens. — Rozłożył ręce w geście bezradności. — Jakże jestem zadowolony, iż my, waldensi, nie uznajemy żadnego z tych clownów! Nie należy ich jednak lekceważyć; każdy z nich kazałby powiesić mnie za jedną nogę, gdyby mnie złapał, mnie czy któregokolwiek z *barbów*. Osobistości może są i zabawne, ale instytucja jest potężna.

Brat Paweł pomyślał o polityce swoich czasów i zgodził się z Kuglarzem.

— Jeśli to ma być dla ciebie jakimś pocieszeniem, to chcę cię poinformować, że sprawa ta znalazła pozytywne rozwiązanie. W moich czasach jest tylko jeden papież. Naturalnie, mamy za to o wiele więcej religii chrześcijańskich, które nie uznają papieża katolickiego za głowę ich kościołów, tak że sytuacja jest zapewne bardziej skomplikowana teraz niż kiedykolwiek przedtem.

Kuglarz kontynuował przegląd talii, obrazek po obrazku, a brat Paweł słuchał go z taką uwagą, iż nie odczuwał zmęczenia, mimo że przemierzali w tym czasie solidny dystans. Nareszcie bowiem miał do czynienia z Prawdziwym Tarotem!

Wędrując z biegiem rzeki dotarli do jednej z wiosek na terenie Świętego Cesarstwa Rzymskiego — w regionie, który za czasów brata Pawła znany był pod nazwą Niemiec. Kuglarz był wyjątkowo ostrożny w miejscach zamieszkałych, z obawy przed prześladowaniami; Cesarstwo nie było w tym roku zbyt bezpieczne dla waldensów.

Większość terenu była pokryta lasem i posiadała dziewiczą wręcz przyrodę, ale zafascynowanie brata Pawła Tarotem było tak silne, iż nie dostrzegał on zupełnie tego, co go otaczało. Drzewa mogłyby być drapaczami chmur czy jakimiś kosmicznymi formami życia, a on przeszedłby obok nich radośnie a nieświadomie.

W wiosce Kuglarz ustawił swój stolik i zaprezentował zebranym swe sztuczki, a był doskonałym wręcz magikiem, któremu sprawiało przyjemność zaskakiwanie dorosłych i zabawianie dzieci. Chłopi rzucali drobne monety w podzięce: niewiele, bo byli biedni, ale nawet obol starczał tutaj na jakiś czas.

Nie było żadnego tajemnego znaku, nie było więc spotkania z miejscowymi wiernymi.

— Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się tutaj żadnego kontaktu — przyznał Kuglarz. — Bliżej Wormacji wiernych jest więcej. Załatwię nam teraz nocleg w jakiejś stajni.

— Stajenką musiał zadowolić się nasz Zbawiciel — wyszeptał brat Paweł.

W jego ubraniu było już tyle robactwa, iż miał nadzieję, że więcej się na nim nie zmieści. Bolały go stopy, mięśnie miał zeszywniałe, a ubranie obtarło mu skórę w kilku miejscach; każde miejsce na odpoczynek byłoby w tej chwili dobre dla niego. Kiedy zaśnie, będzie śnił o Tarocie, zakładając, iż nic się nie zmieni teraz, kiedy jego życzenie dotyczące Tarota zostało już spełnione.

Następnego ranka nadal znajdował się w wieku czternastym, tyle że ciało miał jeszcze bardziej zdrętwiałe i obolałe, a skórę zaczerwienioną w wielu miejscach od ukąszeń niewidzialnego robactwa. Świeża woda i czarny chleb poprawiły mu trochę humor, a szybki marsz rozruszał mięśnie i kości. Nie był w najlepszej formie, ale nie był też w najgorszej. Zastanawiał się jedynie: co on tu jeszcze robi?

Kiedy tak szli na północ w kierunku Wormacji, w pewnej chwili Kuglarz zachwiał się.

— Och, co za straszne pragnienie! — zawołał.

Pragnienie? Brat Paweł chwycił jego ramię, chroniąc przed upadkiem. Poczul gorąco buchające od swego towarzysza. — Przyjacielu, masz gorączkę! — powiedział brat Paweł. — Musisz tu spocząć; przyniosę wody, by cię ochłodzić.

Kuglarz osunął się na ziemię i oparł plecami o pień drzewa.

— Obawiam się, że to nic nie da — wykrztusił z trudem. — Czułem, że to nadchodzi, lecz usiłowałem przekonywać sam siebie, iż to nieprawda.

Zwymiotował, brudząc ubranie na piersi.

Zaniepokojony wielce brat Paweł pośpieszył po wodę do rzeki. Kiedy dotarł do brzegu, stwierdził, iż nie ma żadnego pojemnika, do którego mógłby jej nabrać. Nie pomyślał, w pośpiechu, by wziąć jeden z kubków używanych przez Kuglarza do sztuczek, a zresztą taki kubek i tak byłby za mały. Może znajdzie coś na brzegu...

Biegł brzegiem rzeki, rozglądając się gorączkowo. Nie zauważył niczego, co mógłby użyć. A przyjaciel jego był poważnie chory! Przedarł się przez kępę drzew i ujrzał dziewczynę nabierającą wodę z rzeki. W każdej dłoni trzymała gliniany dzban i, jak zauważył teraz, płukała te dzbany, nabierając wody, obracając naczyniami i wylewając wodę na powrót do rzeki. Ponad jej ramieniem, nad wschodnim horyzontem, zobaczył pierwszą gwiazdę zmierzchu. Nadzwyczajnie jasną, prawie oślepiającą. Ogarnęło go nagłe uczucie *déjà vu*. Nie miał jednak czasu, by sobie przypomnieć.

— Panienko, och, panienko! — zawołał. — Fraiilein, czy mógłbym pożyczyć dzbanek?

Zaskoczona dziewczyna podniosła na niego wzrok. Przypominała mu z wyglądu... Ależ naturalnie, to Amaranta odgrywa tę rolę; dlaczego ciągle dziwiła go zmiana ról osób wchodzących w skład

podstawowej obsady?

— Mam przyjaciela, chorego — wyjaśnił brat Paweł zdyszczanym głosem. — Potrzebna jest woda.

Zawahała się.

— Chorego?

— Gorączka, wymioty, pragnienie...

— Czarna Śmierć! — Zerwała się gwałtownie, upuszczając do wody jeden z dzbanków, i uciekła.

Nie miał czasu, by gonić za nią. Zresztą, nawet gdyby miał czas i ochotę, cóż takiego mógłby on zrobić z kobietą? Był eunuchem. Wskoczył do wody, by chwycić unoszący się na powierzchni dzban, nim ten zatonie. Wreszcie miał go w swych rękach!

Stan Kuglarza pogorszył się znacznie. Brat Paweł spryskał wodą twarz przyjaciela, a także jego gorącą, suchą skórę. Podał mu wodę w kubku, a Kuglarz wypił ją łąpczywie.

Teraz dopiero brat Paweł dostrzegł je: czarne plamy na skórze.

— Och, och.

— To Czarna Śmierć — rzekł Kuglarz. — Pochowałem mojego towarzysza, niech Bóg przyjmie jego duszę, i sądziłem, iż udało mi się ujść przed nią.... — Podniósł wzrok w nagłej trwodze. — Przyjacielu, trzymaj się ode mnie z daleka! Nie zdołasz mnie uratować; zarazisz się jedynie.

— Nie ma takiego niebezpieczeństwa — zapewnił go brat Paweł. — Zaraza przenosi się ze szczurów na ludzi za pośrednictwem zarażonych pcheł.

— Pcheł! Ależ one są wszędzie!

Miał naturalnie rację. Wszy, gnidy i pchły — nie było przed nimi uciezki. Prawdopodobnie to właśnie pchły opuściły umierającego współtowarzysza Kuglarza i przeniosły się do jego ubrania. A teraz, po kilkudniowym okresie inkubacji, choroba dopadła samego Kuglarza. Możliwe, że przenoszą ją pchły szczurze, ale kiedy pchły znajdują się w ubraniu człowieka, szczury są im już niepotrzebne.

— Uratowałeś mi życie, broniąc przed bandą żołdaków — powiedział brat Paweł. Możliwe, że poradziłby sobie bez niczyjej pomocy... ale nie było to takie pewne. — Zrobię teraz dla ciebie, co tylko będę mógł.

Torsje ponownie wstrząsnęły Kuglarzem.

— Jest tylko jedna rzecz, którą by można dla mnie uczynić... ale o to nie powinienem cię prosić, nawet gdybyś tę prośbę potrafił spełnić.

Kuglarz był bardzo chory i słaby, a brat Paweł nie wiedział jak mu pomóc. Nawet pod opieką

szpitalną rokowania nie byłyby najlepsze, jako że morowa zaraza zabiła jedną trzecią ludności Europy pod koniec czternastego wieku. Gdyby nawet wiedział, gdzie może uzyskać pomoc, bałby się zabrać tam Kuglarza. Misjonarz heretycki w okresie prześladowań... nie, nie będzie szukał dla niego pomocy!

— Cóż to takiego, o co nie powinienes mnie prosić?

— Moja misja — odpowiedział Kuglarz. — Dobrzy ludzie czekają na wujów, by podtrzymali ich w wierze. Trzeba im powiedzieć... że muszą poczekać jeszcze kilka miesięcy, aż prześladowania osłabną i pojawi się nowy *barba*. Nie wolno im tracić nadziei.

— Ja im to mogę przekazać — powiedział brat Paweł.

— Ale oni się nie ujawniają... a szukać ich to ryzykować odkrycie ze strony Świętego Officium... ryzykować samemu i narażać ich na niebezpieczeństwo. Nie ośmielisz się przecież...

Kuglarz zamilkł na dłuższą chwilę. Słabł coraz bardziej. Kiedy zabójcza choroba opanowała już ciało człowieka średniowiecza, osłabione zmęczeniem i niedożywieniem, jej postępy były błyskawiczne!

Kuglarz zebrał resztki sił.

— Weź te święte karty, przyjacielu. Strzeż ich pilnie. Nie mogą one wpaść w łapy...

Przerwał i chwycił z trudem powietrze.

Bronić będę Świętego Tarota własnym życiem — rzekł brat Paweł ze śmiertelną powagą. — Inkwizycja go nie dostanie.

Kuglarz nie był już w stanie mówić. Jego rozpalona dłoń dotknęła ręki brata Pawła w niemej podzięce. Zadrzał cały, usiłował ponownie zwymiotować, ale nie zdołał. Po czym, w jakimś nadludzkim wysiłku, wypowiedział jeszcze kilka słów:

— Abra–Melim, mag z Egiptu... Żyd Abraham w Wormacji... powiedz...

Zakrztusił się i nim brat Paweł był w stanie cokolwiek uczynić, stracił przytomność.

Brat Paweł usiłował przywrócić mu przytomność, skrapiając go wodą; chciał ułożyć go w wygodniejszej pozycji, ale po kilku chwilach zorientował się, iż jego przyjaciel nie żyje.

— Pozwól mu jedynie zmienić role — modlił się, doświadczając tak intensywnego uczucia straty, że wydawało się ono obezwładniające. — Niech zginie rola, a nie aktor...

Nie mógł mieć jednak żadnej pewności, iż modlitwa jego zostanie wysłuchana, ciągle bowiem miał do czynienia z jednym z aspektów Pieła.

23

Fałsz

(Księżyc)

*Nie ma dzieła bardziej niemoralnego niż Stary Testament. Jego bóstwo jest starożytnym Hebrajczykiem najgorszego rodzaju, takim, który żydowskiemu patriarsze wybaczy każdy grzech, pozwoli mu na każdy grzech i rozkaże mu wręcz popełnić każdy grzech z Delakogu. Rozkazuje, na przykład, Abrahamowi zamordować swego syna i pozwala Jakubowi oszukać brata; Mojżeszowi zarząca Egipcjanina, a Żydom ograbić i wyniszczyć cały naród, któremu wcześniej zadali serię bolesnych ciosów i plag, co byłoby szczytem okrucieństwa, jeśli ta historia jest prawdziwa. Potem następuje wytrzebienie ludów Kanaanu. Ehud za zdradzieckie wyprucie wnętrzości królowi Eglonowi nagrodzony jest stanowiskiem sędziego. Jael błogosławiona jest pośród wszystkich kobiet za nikczemne morderstwo na śpiącym gościu; okropne czyny Judith i Esther są przedstawiane ludzkości jako godne naśladowania; a David, po cudzołóstwie i zabójstwie, za które powinna go spotkać haniebna śmierć, masakruje zastępy nieprzyjaciół, przecinając jednych pilami i toporami, a innych umieszczając w piecu do wypalania cegły. Przykładami obscenów i nieczystości są opowieści o Onanie i Tamarze, Locie i jego córkach, Amnonie i jego pięknej siostrze (2 Sam. XIII), Absalomie i konkubinach jego ojca, a nade wszystko Pieśń Salomona. Przykładów okropieństw zabronionych Żydom, z czego wynika, iż musieli je praktykować, dostarcza Levit VIII, 24; XI, 5; XVII, 7; XVIII, 7, 9, 10, 12, 15, 17, 21, 23 i XX, 3. Jeśli chodzi o przykłady nieczystości, cóż może być gorsze od Pierwszej Księgi Królewskiej XVIII, 27; Tobiasza II, 11; Esthery XIV, 2; Eccl. XII, 2; Isaiasza XXXVI, 12; Jeremiasza IV, 5 i Ezekiela IV, 12 — 15, w której Pan zamienia łajno ludzkie w „krowie placki!” *Ce qui excuse Dieu — rzekł Henri Beyle; c'est qu'il n'existe pas — a można by dodać, że takiemu, jakim uczynił go człowiek.**

Księga tysiąca i jednej nocy, przekład i przypisy Richarda F. Burtona: Volume Ten, The Burton Club.

Brat Paweł ułożył rzeczy Kuglarza w niewielki stos i przystąpił do grzebania jego ciała. Z ulgą stwierdził, iż ciało aktora nie było okaleczone. Obrzezanie Jezusa było tak nieprzyjemnie rzeczywiste!

Nie chciał pogrzebać swego przyjaciela byle gdzie, brakowało mu jednak i siły fizycznej, i siły woli, by być zbyt drobiazgowym. Uciął gałąź jednym z noży używanych do sztuczek magicznych i posłużył się nią przy kopaniu płytkiego grobu. Obawiał się, iż będzie to niewystarczająca ochrona przed zwierzętami, ale nie był w stanie zrobić nic więcej.

Nie wiedział, jaki ceremoniał obowiązuje u Waldensów podczas pogrzebu, wypowiedział więc jedynie kilka słów od siebie. „Niech misja, z którą wędrował ten dobry człowiek, w jakiś sposób się spełni.” Świadom był jednak, dzięki znajomości historii, że tak się nie stało. Kuglarz zmarł na próżno. Waldensi nigdy nie mieli zbyt wielu nawróceń, choć ich idee odcisnęły swe piętno na ruchu religijnym epoki.

Przejrzał dokładnie rzeczy Kuglarza. Były wśród nich: dwustronny płaszcz, kurtka i spodnie; miękki kapelusz z lemniskatowym rondem; fiołki z proszkiem używane do barwienia ognia i do innych efektów specjalnych; różdżka, zwisająca bezwładnie, gdy ją trzymać w ten sposób, a sztywna gdy w inny (och, ta falliczna symbolika!); kielich, nóż i moneta. Podwójny flet. Ten wywołał największy ból, był bowiem instrumentem, który przywołał brata Pawła i który wniósł piękno muzyki do jego życia w czternastym wieku. Taka smętna pamiątka! Jednak te wszystkie przedmioty przyćmione zostały znaczeniem talii Tarota, tym oryginałem idei, która przybrała tak wiele kształtów w czasach późniejszych. Być może to właśnie było prawdziwą misją tego człowieka — przekazać światu prawdę o Tarocie. W tym sensie misja Kuglarza nie była daremna.

Ukazał się sierp księżyca. Brat Paweł poszedł do rzeki, by się umyć i zaspokoić pragnienie; stamtąd patrzył na miejsce pochówku. Przeraził go widok, który tam ujrzał: dwa dzikie psy kręcące się wokół i natarczywie węszące.

— Hej! Zabierajcie się stamtąd! — zawołał.

Psy znieruchomiały na dźwięk jego głosu, gotowe rzucić się do ucieczki. Zauważywszy jednak księżyc, uniosły jedynie pyski i zawyły. Brat Paweł wiedział, że psy, zwierzęta kierujące się węchem, miały trudności z oceną czegoś, co widziały, lecz czego nie czuły: jeden zmysł informował je, że coś tam jest, podczas gdy drugi temu przeczył. Podobnie zdumiony jest człowiek, który słyszy głos, a nie widzi osoby; nazywają wtedy duchem. Pies w tej sytuacji po prostu wyje.

Coś tuż u jego stóp przyciągnęło nagle jego uwagę. Wyglądało na to, że jakiś rak usiłuje wspiąć się na brzeg, jak gdyby przyciągał go księżyc. Albo grób. Brat Paweł z dreszczem wstrętu odsunął od siebie tę myśl. Popatrzył ponownie w kierunku grobu i zobaczył sylwetki dwóch psów i sylwetki dwóch potężnych drzew po obydwu jego stronach; te ostatnie przypominały ciemne zamki, pomiędzy którymi świecił księżyc. Piękna nocna sceneria, na swój sposób — ale jednocześnie równie przerażająca, jak jego wizja z polem i lwem. Za każdą z nich czaiła się śmierć: nie ta związana z gwałtownym odejściem, lecz ta związana z trwającym całe życie bólem i żalem po utracie ukochanej osoby.

Ruszył w kierunku psów, a one wycofały się na jego widok. Grób był nienaruszony — ale jak długo taki pozostanie? Nie mógł przecież pozostać, by go pilnować. Kuglarz będzie musiał ryzykować po śmierci, tak jak ryzykował był za życia.

Noc była ciepła. Zapewne to pora „psich dni” — upału. Kiedy „psia gwiazda”, Syriusz, jest najlepiej widoczna... to chyba ta gwiazda, którą zauważył rankiem... czy wieczorem. Pomyślał, że bez trudu zniesie nocną temperaturę.

Poszukał odpowiedniego drzewa, wspiął się do rozwidlenia konarów, chwycił się jednego z nich i usadowił w miarę wygodnie. Zasnął natychmiast.

Obudził się głodny i zdrętwiały. Być może w lesie były jakieś drzewa owocowe, ale nie wiedział gdzie ich szukać, a kraść nie chciał. Najwyraźniej ta animacja jeszcze z nim nie skończyła, a nie chciał znaleźć się w statystykach zawierających tych, którym się nie powiodło, tzn. martwych. Szatan

obiecał mu informację na temat Prawdziwego Tarota; Szatan nie obiecał mu jednak, że będzie mógł ją zabrać ze sobą z tego czternastego wieku. Musi sobie jakoś radzić i wykazać się umiejętnością przetrwania tutaj przez czas nieograniczony.

Jak jednak uzyskać coś do jedzenia bez popełnienia przestępstwa? Nie miał ochoty zbliżyć się zbyt do mieszkańców wioski, ze względu na bezcenną talię Tarota, którą musiał ukrywać i chronić. Był obcym, mówiącym dziwnie, podejrzanym dla miejscowych i podejrzanym dla żołnierzy. Jeśli tylko pokaże się w jakiejś wiosce, może zostać zaatakowany. Chyba że...

O mało nie spadł z drzewa. Dlaczegoż by nie? Zdawało to egzamin w przypadku Kuglarza!

Z nerwową, lecz już zwiększoną pewnością siebie brat Paweł zsunął się z drzewa, rozprostował kości i włożył szatę magika. Na posiłek zapracuje sztuczkami. Fakt, iż jest obcym, powinien jedynie powiększyć efekt przedstawienia.

Przede wszystkim przećwiczył sztuczki. Przydało się doświadczenie z młodości; potrafił wykonać triki zręcznościowe bez większych kłopotów. Nie odpowiadał mu pomysł używania Świętych Kart do sztuczek magicznych, ale były one jego najlepszym narzędziem — a poza tym, już kiedyś używał kart Tarota do tego samego celu. Tasował je teraz przez chwilę, upewniając się, czy radzi sobie z nimi z odpowiednią zręcznością. Były drukowane, chociaż różniły się wykonaniem; prawdopodobnie do druku zastosowano jakiś ręcznie rzeźbiony blok drewna, bo przecież do wynalezienia i udoskonalenia techniki drukarskiej upłyne co najmniej pół wieku.

Odłożył karty i zaczął odwracać pobliskie kamienie. Szczęście mu dopisało i w krótkim czasie odkrył pod jednym z nich małego, niegroźnego węża.

— Spokojnie, kolego — mruknął pod nosem, chwytając go i zawijając w chusteczkę do nosa. — Puszczę cię wolno w odpowiednim czasie.

Tak... był już gotów.

Ruszył szlakiem na północ, starając się szybkim marszem pozbyć resztek odrętwienia z ciała. Nie czuł się zbyt dobrze, ale odzyskał pewność siebie. Gdzieś po drodze natrafi na wioskę i nie będzie już musiał jej omijać.

Wszystko okazało się łatwiejsze niż przypuszczał. Jego kostium kuglarza rozpoznawany był natychmiast i w chwilę po jego przybyciu do wioski otoczył go tłum. Bez żadnych zbędnych ceregieli ustawił stół przyniesiony przez wieśniaka i rozpoczął występ. Pokazał, jak mała srebrna moneta znika mu spomiędzy palców i pojawia się w uchu stojącego obok dzieciaka. Przelał wodę z jednego kielicha do drugiego, po czym pokazał zgromadzonym, że ten drugi jest pusty. Wykonał gest różdżką... i na stole zjawił się wąż. Na koniec przedstawił sztuczki z kartami, w których nieustannie pojawiał się As Pąk, niezależnie od tego, gdzie w talii go umieszczał i jak dokładnie tasował całą talię.

Nagle, pośrodku przedstawienia, przypomniało mu się coś, o czym nie myślał przez cały dzień. Ta talia posiadała pięć kolorów.

Dalsze sztuczki wykonywał już półautomatycznie, podczas gdy jego umysł zajęty był przeglądaniem kolorów. Pałki — Kielichy — Miecze — Monety i Lamy, tak jak powiedział Kuglarz. Od Asa do Dziesiątki, plus Paź, Walet, Dama i Król. W sumie pięćdziesiąt kart numerowych, plus dwadzieścia Kart Dworskich i trzydzieści waldensówskich Atu — cała talia składała się ze stu kart. Magiczna liczba, zarówno w tych czasach, jak i jego własnych!

Jak mogli uczeni mężowie w wiekach późniejszych przegapić fakt, iż ich talie były niepełne? 100 było liczbą, z którą coś można było zdziałać, podczas gdy 78 było niczym. Można powiedzieć, że nie dostrzegano całości poprzez gąszcz szczegółów.

Możliwe, iż to jeszcze jeden z aspektów Tarota, który czeka na odkrycie. Nie może przeto opuścić tej rzeczywistości, nim jego życzenie nie zostanie spełnione w całości — włącznie z implikacjami, o których nic wcześniej nie wiedział.

. Zakończył pokaz i uklonił się widzom. Na stole pojawiło się kilka drobnych monet. Sukces! Mógł teraz kupić coś do jedzenia, a poza tym nikt go nie zapytał o cel wizyty. Jest w stanie przetrwać.

Kiedy już tłum się rozszedł, zbliżyła się do niego z pewnym waha — młoda kobieta.

— Panie... twoje karty... czy jest wśród nich obrazek z Kuglarzem?

Kuglarz. Nie użył tej karty, tak jak nie użył żadnego Atu w tym pokazie, uważał je bowiem za zbyt cenne, by ryzykować ich ewentualną utratę, i obawiał się, że mogłyby wzbudzić czyjeś podejrzenia. Obiecał, że nie wpadną w ręce Inkwizycji, a najłatwiej tego dokonać, trzymając je w zanadrzu. Jakże mógł jednak teraz zaprzeczyć istnieniu karty reprezentującej osobę jego nieżyjącego dobroczyńcy? Powoli, powolutku skinął głową.

Dziewczyna nakreśliła palcem wskazującym w powietrzu kształt poziomej ósemki.

— *Barba* — wyszeptała. — Czekaliśmy na ciebie! Proszę, przyjdź do naszej chaty wieczorem.

Brat Paweł zastanowił się. Miał oto przed sobą Amarantę w nowej roli, dającą mu znak, po którym rozpoznawali się waldensi. Było rzeczą naturalną, że wierni ci wypatrują wędrownych kuglarzy! Czemu nie pomyślał o tym wówczas, kiedy podjął decyzję naśladowania tego, co robił jego przyjaciel? Powinien był powiedzieć, że takiej karty nie ma i tym samym nie wzbudzać fałszywych nadziei.

Z drugiej strony, przyrzekł przecież poinformować wiernych o zwłoce w odwiedzinach ich następnego wuja, po to, by nie tracili nadziei. Teraz miał możliwość spełnić to przyrzeczenie. Prawie już o nim zapomniał, ale w tej chwili nie miał żadnego wyboru.

— Panienko, z przykrością muszę cię poinformować, iż...

— Och, nie mów o tym tutaj! — przerwała mu, rzucając przez ramię nerwowe spojrzenie. Nadchodził jakiś wieśniak.

— Wobec tego wystąpisz dla nas wieczorem — powiedziała Amaranta wesoło. — Otrzymasz

wieczerzę i siano do spania.

— Tak, tak, będzie bardzo dobrze — odpowiedział brat Paweł zupełnie nieprzekonywająco. Uśmiechnął się do wieśniaka. — Mam nadzieję, że podobał ci się mój występ?

— Ten wąż... on był żywy!

— Naturalnie — odpowiedział brat Paweł z uśmiechem. — Wolałbym nie wyczarowywać martwego węża.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy.

— Jesteś tedy w zмовie z Szatanem!

Ho, ho! Ci prostacy wierzyli w magię. Przedobrzył z tym pokazem; był zbyt dobry. Dosłownie rzecz biorąc, był w zмовie z Szatanem, ale nie o to tutaj chodziło.

— Nie, to jedynie sztuczka. Rano pochwyciłem tego węża w lesie i schowałem w rękawie. Ale nie mów o tym nikomu.

Rozczarowany mężczyzna oddalił się. To było ryzykowne! Nie może sobie pozwolić na to, by być zbyt przekonującym!

We wsi nie było nic, co by przypominało supermarket, ale znajdowała się tam piekarnia, w której brat Paweł kupił bochenek czarnego chleba. Jego żołądek nie był zbyt zachwycony; jakością za bardzo przypominał chleb z jego dzieciństwa. Ale przynajmniej był czymś znanym.

Po południu pokręcił się po okolicy i udało mu się schwytać kilka żuków j gąsienic: rekwizyty do wieczornego występu. Zauważył też ładny, mały kamyk, który również schował do kieszeni, choć nie był pewien, czy go użyje do jakiejś sztuczki magicznej. Pogawędził trochę z ludźmi, którzy bardzo byli ciekawi wieści ze świata; na szczęście ich świat ograniczał się do kilku mil kwadratowych wioski.

Wieczorem młoda kobieta zabrała go do swojej chaty, która okazała się sporym budynkiem, o wymiarach jakieś dziesięć metrów na pięć, krytym strzechą i zbudowanym z solidnych, ręcznie obrabianych bali. Wnętrze, jednakże, służyło nie tylko ludziom, ale i zwierzętom; podłoga była pokryta słomą, a zapach zwierząt był bardzo silny. Czegóż innego oczekiwał? Najniższe klasy w średniowiecznych społeczeństwach nigdy nie miały lekkiego życia i żyły z dnia dzień.

Dom pełen był ludzi w różnym wieku.

— *Barba!* — zawołała jakaś staruszka. — Bałam się już, że umrę bez twojego błogosławieństwa!

A on zmuszony jest im powiedzieć, iż nie jest misjonarzem waldensów. To ich zaboli. Zasługują jednak na to, by poznać prawdę: że prawdziwy Kuglarz zmarł z powodu zarazy, niecałe pół dnia drogi od wioski, usiłując dotrzeć właśnie do nich.

— Z prawdziwą przykrością muszę wam wyjaśnić, iż nie jestem...

— Och, nie ma się czego obawiać, wuju — powiedziała kobieta. — Jesteśmy tu sami swoi, jednej wiary. Przyszliśmy ze wszystkich okolicznych wiosek. Niektórzy z nas zostaną ukarani za to, że nie stawili się do pracy u swoich panów, ale szli z daleka i chcieli dotrzeć na czas. Młoda para czekała ze ślubem kilka miesięcy po to, byś ty im mógł go udzielić. Mamy też chore dziecko, bliskie już śmierci, a wszystkim nam potrzebna jest twoja rada, bowiem życie nasze jest ciężkie; cierpimy prześladowania i nie wiemy nawet, jak modlić się do Boga, by doznać ulgi. Od roku już nie było nikogo, kto by nas nauczał prawdziwej wiary, a teraz wreszcie ty przybyłeś i jakież to dla nas błogosławieństwo! Jeśli umrę jutro, umrę szczęśliwa, bowiem umrę umocniona w mojej wierze dzięki twojemu dotknięciu!

I wyciągnęła do niego wysuszoną dłoń.

I cóż miał im teraz powiedzieć? Zebrali się na spotkanie z nim z takim poświęceniem, ryzykując nawet życiem, by uzyskać błogosławieństwo i słowa otuchy. Jakże wielka była ich prosta wiara w straszliwym cieniu Inkwizycji! Jak miał im teraz powiedzieć, iż prawdziwy misjonarz nie żyje?

Nagle zrozumiał z pełną jasnością sytuację Johna Murraya, który nie mógł odpłynąć i zająć się swoimi sprawami, dopóki nie zgodził się nauczać w miejscowym kościele. Murray uważał, iż nie posiada żadnych kwalifikacji, a jednak...

Jeśli jednak on sam, brat Paweł, nie powie tym dobrym ludziom prawdy, będzie musiał udawać, że jest tym wujem, za którego go uważali, przedstawicielem religii, której nie wyznawał. Nawet jeżeli takie postępowanie da się uznać za etyczne, czy jest ono w ogóle możliwe i wykonalne? Miał wątpliwości. Jakże mógł bowiem uczestniczyć w tak straszliwym kłamstwie?

Staruszka czekała. Musiał coś zrobić! Czy miał ją zabić prawdą, czy zbawić kłamstwem? Czyżby to była próba jego własnego charakteru? Jeśli skłamię, zostanie skazany na Piekło. Ileż jednak osób zabije prawda!

Brat Paweł dotknął jej dłoni.

— Twoja własna, silna wiara umacnia cię, dobra kobieto — powiedział łagodnie, wiedząc, iż zrozumie jego słowa po swojemu. Jeśli to ma być jego droga do Piekła, niech już tak będzie — Ja jestem tylko człowiekiem.

— Tak, tak — szeptała w zachwycie.

— Nie ma pośrednika pomiędzy tobą a Bogiem. Niepotrzebny jest ani ksiądz, ani *barba*, jeśli tylko masz serce otwarte przed Naszym Panem.

— Ach, jak jasne są twe słowa — wykrzyknęła. — Och, wuju, moja wiara tak często się chwiała, lecz twoje słowa uczyniły ją silniejszą niż była kiedykolwiek przedtem! Daj mi swoje błogosławieństwo!

— Moje błogosławieństwo nie znaczy więcej niż błogosławieństwo innego człowieka — powiedział brat Paweł zakłopotany. Niezależnie od tego jak bardzo usiłował pomniejszyć kłamstwo,

stawalo się ono coraz silniejsze, podobnie jak jej wiara. — Nie posiadame zadnej szczegolnej mocy; jestem niczym, jestem niegodny. Nie mam tez szczegolnego przystepu do Boga, takiego, który nie byłby i wam dany. Mogę wypowiedzieć słowa, lecz one...

— Wypowiedz je! — krzyknęła wniebowzięta. Nie było wyjścia.

— Niech błogosławieństwo Naszego Świętego Ojca spłynie na ciebie — wyszeptał.

Pomarszczona twarz kobiety uległa przemianie po wpływie uniesienia. Staruszka robiła wrażenie osoby uwolnionej od niebezpieczeństwa Pieła.

Teraz inni zbliżali się do niego, odpychając od niego starą kobietę, czego ta zdawała się nie zauważać, pogrążona w radości.

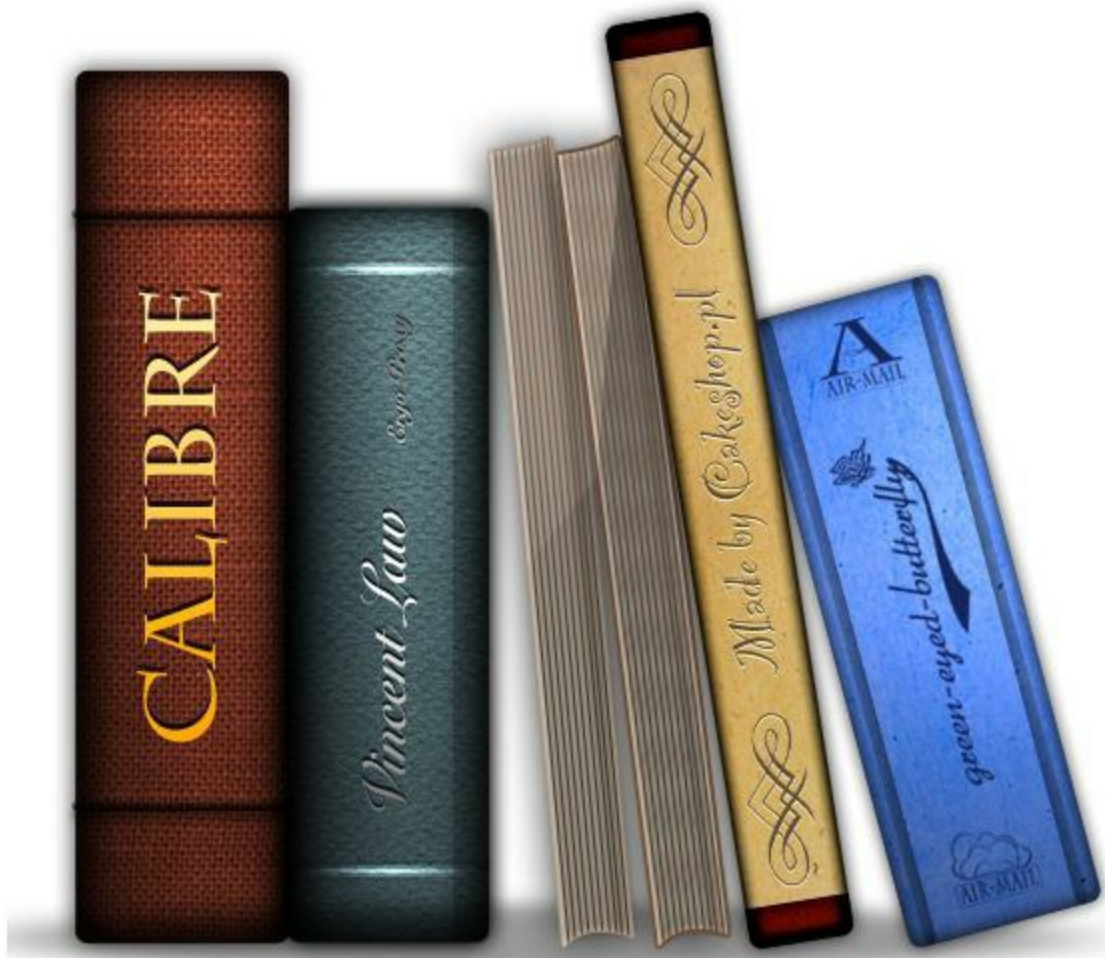
— *Barba* udziela nam wszystkim błogosławieństwa samą swoją obecnością — powiedział jakiś mężczyzna. — Pójdź, wuju, musimy zająć się dzieckiem, by nie zmarło nie oczyszczone.

Poprowadził brata Pawła w kąt pomieszczenia, gdzie na posłaniu ze słomy, otoczona rojem much, leżała dziewczynka. Brat Paweł patrzył na nią, zamierzając ponownie wyjaśnić pomyłkę dotyczącą jego tożsamości. Kiedy się jednak przyjrzał jej bliżej, rozpoznał w niej... Karolinę. Dziewczynka miała około dwunastu lat, lecz była tak wyniszczona chorobą i chuda, że wyglądała najwyżej na osiem. A przecież jej twarz... najwyraźniej to była ta sama aktorka, a tym samym, w konwencji, w jakiej to wszystko się rozgrywało, ta sama dziewczynka. Nie udało jej się uciec przed następstwami wypadków w Piele. Szatan go zdradził. Mógł być się tego domyślić, kiedy ujrzał Lee w tej sekwencji! A teraz... musi znów uratować Karolinę. Jeśli potrafi.

Na co zachorowała? Czy powinien o to zapytać? Nie, na

Conversion of WMF images is not supported

Use Microsoft Word or OpenOffice to save this RTF file as HTML and convert that in calibre.



calibre 0.8.43

... pewno nie uzyska sensownej odpowiedzi. Gdyby to była jakaś zwykła choroba, wyzdrowiałaby bez niczyjej pomocy. Niedozżywienie? Dotknęłoby również i innych członków rodziny. Musi to być więc coś, na co choruje tylko ona, coś, co ją osłabia, a nie poddaje się dostępnym tutaj kuracjom. Coś takiego jak... rak.

W takim przypadku nikt jej nie uratuje. Technologia medyczna pozwalająca wyleczyć raka powstała dopiero pod koniec dwudziestego wieku. *Barba* stał przed beznadziejnym zadaniem. Nawet autentyczny Kuglarz nie byłby w stanie zrobić tego, czego oczekiwali od niego ci ludzie.

Ale jeśli ona umrze, tutaj, w animacji, czy umrze również w świecie realnym? Nie miał pewności w tej sprawie. Byli tacy, którzy ponieśli śmierć w animacji, a i jego szansę przeżycia wydawały się niewielkie. Ale inni przeżyli. Czy jeśli ktoś myślał, że zmarł w animacji, czy tym samym zakończy również swe ziemskie życie? Moc czarownika voodoo świadczyła, że istniała taka możliwość.

Załóżmy, iż ktoś gra rolę osoby, która umiera, i ten ktoś jest tego świadom — czy wówczas przeżyje?

Jaki był obecny status Lee, jego Dobrego Towarzysza? Wzmocniony aurą Antaresa, grał rolę Jezusa Chrystusa i nie zmarł. Ale historycznie rzecz ujmując, Jezus wstał z martwych. Teraz, jako Kuglarz, Lee zmarł ponownie, w sposób bardziej przekonujący, bo nie był już Synem Bożym, lecz zwykłym śmiertelnikiem. Rola czy rzeczywistość?

Jeśli aktor umiera, niewątpliwie umiera wraz z nim jego rola, bo ktoś martwy nie może animować żyjącej osoby — nie w taki sposób. Antares był szczególnym przypadkiem. Jeśli rola umierała, aktor mógł żyć dalej lub umrzeć, zależnie od okoliczności. Jeśli rok trwała, aktor musiał żyć. Dlatego właśnie jedynym sposobem uzyskania pewności przetrwania było utrzymanie przy życiu osoby w danej roli; wówczas miałby pewność, iż Karolina, na przykład, przeżyje w każdym przypadku. Nawet jeżeli w jego własnej rzeczywistości czasowej jeszcze się nie narodziła, jeszcze nie przybrała kształtu, który pokochał.

Logika, którą stosował, wydawała się niepewna, ale jego uczucia były jednoznaczne. Musiał ją uratować. Nawet jeśli sam Szatan dyktował inne rozwiązanie. Do diabła z Szatanem!

— Spróbuję — powiedział brat Paweł, zdając sobie sprawę z tego, iż słowa te wiążą go ostatecznie z rolą, jakiej się podjął w tej sztuce. Grał rolę Kuglarza, rolę, która należała do jego przyjaciela. Oszukiwał tych dobrych ludzi. Księżyc — pomyślał, czując jaskrawą ironię sytuacji. Planeta podstęp i oszustwa. Sądził przedtem, iż honor jest tym, co posiada najwartościowszego; Szatan pokazał mu, że tak nie jest. Dla dobra nie narodzonego dziecka, dla roli w sztuce, utracił honor. Jeśli ta oczywista skaza na jego charakterze skaże go na potępienie — pomyślał ponownie — niechże tak będzie. Być może ci ludzie są złudzeniem, a autorem scenariusza jest Szatan, ale on sam jest tym, kim jest — zarówno w rzeczywistości, jak i w fikcji. Musi podjąć próbę uratowania tego dziecka.

Uklęknął obok dziewczynki i przyłożył palce prawej dłoni do jej czoła. Muchy bzycały wściekle. Nie miała gorączki. Czy był to dobry znak? Niekoniecznie; rak nie musiał wywoływać gorączki. Ujął jej wychudzoną prawą rączkę swą lewą dłonią. Jakże kościste były jej palce!

— Moja droga — powiedział.

Nie dostrzegł żadnej reakcji. Oddychała regularnie, choć z trudem. Spała, lecz nie był to lekki sen; podejrzewał, iż opanowana jest przez jakiś wewnętrzny koszmar, podobny do jego własnego.

Skoncentrował się, siłą swej woli, nakazując jej, by się obudziła, by wyzdrowiała. Antares powiedział mu przecież, iż posiada aurę i że ta aura może być użyta do uzdrawiania ludzi; Jezus Chrystus sugerował podobnie. Jeśli to prawda, będzie w stanie pomóc temu dziecku.

— Obudź się, malutka — powiedział, modląc się jednocześnie, by tak się stało.

Ale tak się nie stało. Modlitwa jego odbiła się od jakiegoś gładkiego muru. Brat Paweł nie był Jezusem Chrystusem; nie potrafił uzdrawiać za pomocą dotyku i siły woli. Nawet wtedy, gdy chodziło o jego córkę.

W końcu, czując się pokonanym, wstał.

— Nie znamy dróg Bożych, chyba że Jego wolą jest, byśmy je poznali — powiedział ze smutkiem. W którym miejscu postąpił niewłaściwie? — Zajmę się jeszcze tym dzieckiem. — Na pewno to zrobi. Będzie próbował ponownie, i jeszcze raz, bowiem była to jedyna klęska, której nie był w stanie zaakceptować jako ostatecznej.

Stara kobieta skinęła głową ze zrozumieniem. Czyżby oczekiwała od niego czegoś więcej?

Wrócił na środek pokoju. Oczy wszystkich obecnych zwrócone były na niego. Przybył do nich, by dać pokaz sztuczek magicznych, ale najwyraźniej oni oczekiwali czegoś innego. Chcieli przesłania od waldensów, potwierdzenia i wzmocnienia ich wiary.

Praktycznie rzecz biorąc, popełnił już rodzaj krzywoprzysięstwa, kiedy zajął się tym dzieckiem. Czy powinien brnąć dalej? Patrzył na twarze młodych i starszych, jaśniejące nadzieją, i zrozumiał, że musi dokończyć to, co rozpoczął. Nie mógł bowiem zniszczyć ich wiary, wiedząc o tym, że nie ma dla nich innej alternatywy. Obydwaj prawdziwi *barbe* obsługujący te okolice nie żyli i może minąć cały rok, nim pojawią się ich następcy. Lepsze jakieś prowizoryczne przesłanie niż żadne. Nawet aktorzy sztuki napisanej w Piekło zasługiwali na szacunek.

A Kuglarz? Co on sam uczyniłby w takiej sytuacji? Brat Paweł znał odpowiedź: dałby zdecydowane świadectwo swojej wiary. A teraz on zajął jego miejsce; czyż może być lepszy sposób, by odpłacić Kuglarzowi za to, co dla niego uczynił? Czy może być odpowiedniejsze epitafium od wynoszenia tego przesłania, które usiłował przynieść tu ze sobą Kuglarz!

— Bracia i siostry w wierze — zaczął brat Paweł, odczuwając nagłą treść. — Ja... jestem nowicjuszem. Prawdziwy *barba*, ten, który mnie uczył, który był moim przewodnikiem, u którego terminowałem... ten dobry człowiek zginął, nim udało mu się do was dotrzeć. Proszę o wyrozumiałość, bo nigdy przedtem nie wygłaszałem samodzielnie przesłania waldensów.

Nikt się nie odezwał. Wzięto jego słowa za czystą formalność, rytualną wręcz skromność, nie zauważając ich dosłownego znaczenia. Był wujem, przewodnikiem religijnym i jego doświadczenie nie było zbyt istotne. Zatem jego częściowe przyznanie się do oszustwa, tak naprawdę, nie było żadnym przyznaniem się. Szatan bardzo ułatwia popełnianie grzechów!

Cóż, po prostu musi to zrobić. Przekáže im przesłanie waldensów tak dobrze, jak potrafi. A nie jest to złe przesłanie.

— Waldensi wyznają zasady podobne do tych, według których postępują albigensi — zaczął brat Paweł. Natychmiast też zauważył, że słowa te nie docierają do słuchaczy. Ludzie ci nie posiadali żadnej wiedzy na temat filozofii religijnych czy sekt heretyckich; oni po prostu wierzyli w to, co wygłaszał *barba*.

Spróbował od początku.

— Waldensi uważają, iż ludzie powinni powrócić do zasad, które ustalił Jezus Chrystus i apostoł

Paweł. Do prostoty, pokory i bezinteresownej miłości.

I znów nie było to właściwe podejście. Był to raczej wykład. Kuglarz przemawiał jasno i logicznie, kiedy zwracał się do niego, ale była to sytuacja, w której komunikowało się ze sobą dwóch wykształconych znawców zagadnienia. Chłopi i niewolni wymagali czegoś bardziej namacalnego. Kuglarz podczas swego pokazu docierał do umysłów najmniej wyrafinowanych klas społeczeństwa z taką samą finezją, jak do umysłu brata Pawła. Był człowiekiem potrafiącym komunikować treści na wszystkich poziomach. Nie wystarczył bowiem fakt, iż ludzie pragnęli oświecenia; musiało ono przyjść do nich w strawnej i zrozumiałej formie. Ci ludzie byli niewykształconym, prostym ludem, z filozoficznego punktu widzenia przypominali dzieci: chętne do nauki, ale z bardzo ograniczonym doświadczeniem intelektualnym.

Potrzebny mu był jakiś gotowy program, najlepiej ilustrowany. Obrazki to świetne narzędzie w kontaktach z analfabetami.

Obrazki... program. Nagle doznał olśnienia. Oczywiście!

Brat Paweł wyciągnął trzydzieści Atu Tarota. Odnalazł Głupca i pokazał go zebrany.

— Spójrzcie na tego błazna! — wykrzyknął. — Idzie naprzód z oczyma Utkwionymi w niebo, podczas gdy miejski kundel rozszarpuje mu spodnie na tyłku!

Dopiero teraz zareagowali na jego słowa. Dopiero teraz miał ich pełną uwagę. Dopiero teraz mógł uzyskać rezultaty!

— Zaiste, trudno jest bogaczowi znaleźć dostęp do Boga — mówił brat Paweł. — Czy władcemu arystokracji, czy pysznemu księdzu. Czymże dla Boga jest bowiem bogactwo, władza i duma? Lepiej je pozostawić i szukać Boga sercem nie obciążonym dobrami i sprawami doczesnymi. Być jak ten głupiec, kroczący śmiało do celu, ze wzrokiem utkwionym we wspaniałość tęczy, poszukujący Boga czystą, bezinteresowną miłością.

Rozległ się szmer potakiwania; do biednych przemawiał argument, iż łatwiej im będzie osiągnąć zbawienie niż bogatym. Że błazen może być bliżej Boga niż pan.

— Nawet jeśli to czasem boli — dokończył, masując pośladki, jakby były obolałe. — Bo psy Dworu i Kościoła mają ostre zęby.

Na chłopskich twarzach pojawiły się uśmiechy zrozumienia. Arogancja władz świeckich i kościelnych zawsze im bowiem doskwierała i podobało im się porównanie ich do psów. Nie mogło być żadnych wątpliwości: brat Paweł wygłaszał herezje — tak jak je rozumiało społeczeństwo średniowieczne — i sprawiało mu to wyraźną przyjemność.

— Ten obrazek to Człowiek — ciągnął dalej. — Każdy człowiek, który poszukuje prawdy i oświecenia. Nie musi w tym celu wędrować po świecie; jego droga jest ciernista, choć nigdy nie opuszcza swojej wioski. Jego towarzysze mogą go wyśmiewać, ale on będzie parł do przodu z oczyma utkwionymi w chwale, która oczekuje tych, którzy wytrwali mimo drwin, a nawet tortur.

Można go nazwać głupcem, lecz prawdziwymi głupcami są ci, którzy się z niego śmieją.

Kilka osób zaczęło się śmiać, po czym natychmiast zreflektowało się. Inni śmiali się z nich... i naszły ich podobne refleksje. Większość jedynie kiwała potakująco głowami. Wszyscy w tym pokoju byli głupcami, cierpiącymi prześladowania za swój szczególny sposób wyznania wiary w Boga. Bratu Pawłowi znów się udało — dzięki tej karcie. Ogarnęło go miłe uczucie satysfakcji.

— Jeszcze lepiej jest, kiedy zna się kierunek, w którym się podąża — ciągnął dalej z rosnącą pewnością siebie. — Mamy więc tutaj Kuglarza — pokazał zgromadzonym właściwą kartę — który pojawia się w wielu postaciach, lecz zawsze z tym samym przesłaniem. Jest to posłanie od Jezusa Chrystusa, pierwszego pośród wielkich magów, który pragnął poprowadzić błądzące dusze ludzkie przed majestat Boga. Pomimo tego boskiego przewodnictwa, wielu spośród nas nie może odnaleźć właściwej drogi. To tak, jakby owo przesłanie było czymś magicznym, pojawiającym się i znikającym, wymykającym się nam, kiedy już jesteśmy pewni, iż znajdzie się w naszej dłoni. — W jego dłoni pojawiła się różdżka, zafalowała i znikła.

Przerwał. Miał teraz ich uwagę. Przyglądali się pilnie obrazkowi. Mówił im więcej niż słowa, ale wymagał interpretacji. Możliwe, że przesłanie zawarte w tych obrazkach powinno być bardziej jednoznaczne, wówczas jednak Inkwizycja nie miałaby żadnych problemów z ich rozszyfrowaniem. Musiały być więc zrozumiałe tylko wtedy, kiedy towarzyszyło im właściwe wyjaśnienie ich znaczenia. Jak zamki, które dadzą się otworzyć odpowiednim kluczem, a pozostają zamknięte dla innych. Zaiste, tak właśnie było 1 w tym przypadku; filozofowie szarlatani nie odkryli prawdziwego znaczenia Tarota mimo upływu wieków! Nawet talia Świętego Zakonu Wizyjnego była niedoskonała, zniekształcona całym ciągiem błędów interpretacyjnych — a on nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie znalazł się tutaj, pod koniec czternastego wieku. Szatan spełnił jego życzenie, nie tylko dostarczając mu oryginalną i autentyczną talię, ale również umożliwiając a poznanie jej właściwego znaczenia. Mimo to, do pewnych rzeczy musiał dojść sam; natychmiastowe zrozumienie filozofii tak złożonej jak Tarot nie było możliwe.

Brat Paweł uniósł teraz do góry kartę z Papieżycą.

— A kto usiłuje nam przekazać owo boskie przesłanie? Nierządnicą Babilońska! — Przerwał mu gromki śmiech. Och, tak, obecni znali tę historię! — Kościół stał się olbrzymią sukubą, kuszącą nas obietnicą zbawienia, a w rzeczywistości wiodącą na potępienie.

Pokazał im kartę Ducha.

— Niełatwo jest odróżnić dobro od zła. „Powiedz nam, co mamy czynić!” — wołamy, a odpowiedzią jest pustka. Jesteśmy bowiem stworzeniami obciążonymi niewiedzą. Jedynie Bóg wie wszystko, Nieskończony, Duch Święty, Duch! Nasza przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zasłonięte są przez nieznanne. Kto wie, które z nas umrze już jutro...

Przerwał, przypominając sobie chorą dziewczynkę. Pomyślał też o sobie. Jego udział w tym wszystkim był również niewiadomą. Tak naprawdę, to jego misja na planecie Tarot, w tej odległej, prawie zapomnianej rzeczywistości...

Odsunął od siebie niepokojące myśli i kontynuował prezentacje w ten sam sposób, w jaki czynił to Kuglarz, poprzez Cesarzową, Cesarza i Papieża. Czuł się w tej chwili jak prawdziwy waldensowski misjonarz.

Doszedł do karty Miłości. Tyle że pierwotnie nie była to Miłość, lecz Wybór. Zrozumiał teraz, iż przez całe wieki karta ta była interpretowana na podstawie celowo wprowadzającej w błąd ilustracji, a nie na podstawie jej fundamentalnego znaczenia. Transformacja ikonograficzna. Interpretowanie powierzchownego wyobrażenia, bez zrozumienia intencji symbolu. Podobne nieporozumienie musiało zapewne doprowadzić do całkowitego wyeliminowania Ducha! Karta była pusta, nie symbolizowała niczego, dlatego to coś nie mogło istnieć! Panie, iluż głupców zabawiało się Tarotem!

— Wybór: — Nie można służyć i Bogu, i Mammonowi. Bogactwo i światowe życie mogą być wielce kuszące, ale pożytki z nich płynące są powierzchowne. Zło często przybiera piękną postać, lecz mimo to pozostaje złem. — Jego samego zwiodła taka postać, która przybrała kształt błyskotliwego intelektu, kiedy na przewodnika po pierwszej animacji wybrał Theriona. Jakąż wysoką cenę musiał zapłacić za tamten błąd! Nauczyła go ona jednak głębokiej pokory, bez której nie zaszedłby daleko w następnych animacjach. W porównaniu z zapachem kompostu, każdy inny wydawał się lepszy. — Nie przedkładajcie miłości do rzeczy nad miłość do Boga! Oddajcie swe serca i dusze Jezusowi Chrystusowi. Poświęćcie się czynieniu dobra...

Przerwało mu ciche westchnienie. Nie powinien był go usłyszeć w szumie zatłoczonego pokoju, a jednak zabrzmiało mu w uszach jak ostry dźwięk trąbki. Chore dziecko!

Przerwał prezentację, podszedł do dziewczynki i ujął jej bezwładną dłoń.

— Nie wybieraj niewłaściwej drogi — wyszeptał do niej. Zapomniał w tym momencie, że pokój był wypełniony ludźmi. — Pójdź do światła; kochamy cię wszyscy.

Dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Zadrzały powieki. Nie przebudziła się jednak.

Brata Pawła ogarnęło straszliwe przeczucie: jeśli nie podniesie jej teraz, nigdy mu się już to nie uda, a ona zniknie i z tej roli, i z życia. Niezależnie od tego, czy to wysiłek związany z trzema animacjami wycieńczył jej siły, czy też jej stan fizyczny powodował, iż ta rola odchodziła wraz z nią, niezależnie od przyczyn — odchodziła od niego.

Nie wolno mu do tego dopuścić. Nie znał jej przed animacjami, a osoba, którą poznał, była jedynie młodą kolonistką grającą swą rolę. Był jednak dziwnie przekonany, że gdzieś tam była... lub będzie... jakaś Karolina, jego córka. Która umrze... albo w ogóle nie zaistnieje, jeśli pozwoli jej teraz odejść. Choć wydawało się, że nedorzeczne jest traktowanie z pełną powagą takiego przeczucia, on w nie wierzył.

— Śliczny dzieciaku — szeptał, zwracając się do najdroższego mu ducha, którego usiłował odnaleźć, nieświadom otaczających go ludzi. — Możesz istnieć tylko wtedy, kiedy ktoś w ciebie wierzy. Ja w ciebie wierzę. Ktoś musi cię kochać. Ja cię kocham. Musisz być komuś potrzebna. Ja ciebie potrzebuję. Jeśli odejdziesz, pójdę z tobą tam, dokąd zaprowadzi mnie twój duch. Jesteś moją

przyszłością. Bez ciebie moja miłość jest daremna. Moje życie jest puste. Musisz się zbudzić dla mnie. — Ujął jej twarz w dłonie, delikatnie, pogładził ją po głowie, nachylił się i ucałował jej czoło. Miała w oczach łzy i kiedy zbliżył do niej swą twarz, spłynęły one na jej blade policzki.

Poczuł w sobie drgnienie mocy, podobne do strumienia pola magnetycznego. To była aura. Boże — modlił się w myślach — jeśli jest we mnie moc uzdrawiania, pozwól mi ją uzdrowić.

— Tyle troski — szepnęła staruszka — o dziecko, którego nawet nie zna. — Mówiła to z podziwem, a nie z sarkazmem.

— *Barba* przekazuje miłość, o której mówi — miłość Boga — powiedział ktoś inny.

Gdybyż to była prawda! Związki brata Pawła z Szatanem wydawały się ściślejsze niż z Bogiem. Targował się z Szatanem, by uchronić Karolinę przed Piekłem, a nie pomyślał o tym, jak uchronić ją przed śmiercią. Tu tkwił błąd w układach z Diabłem; żaden człowiek nie był w stanie przechytrzyć tego straszliwego, złego i potężnego intelektu. Czyżby Szatan spełniał jego życzenie dotyczące wiedzy o Tarocie... za cenę jego przyjaciela Lee i jego dziecka Karoliny?

Jakoś w to nie wierzył. Nie mógł w to uwierzyć. Musiał natomiast wierzyć, iż Szatan, podobnie jak Bóg, dotrzymywał słowa. Szatan nie byłby bowiem zdolny osądzać dusz w sposób precyzyjny, gdyby on sam był skorumpowany. Musi to więc być kolejna próba, a nie kara. Możliwe, iż oferowano mu jeszcze jedną szansę poprawy swego losu kosztem innych. Szansę wycofania się z umowy z Szatanem. Wystarczy, że pozwoli jej umrzeć i powróci do własnej rzeczywistości z wiedzą na temat Tarota.

— Przebudź się — szeptał z rozpaczą. — Jest tyle rzeczy, dla których warto żyć! Przypomnij sobie łąki pełne kwiatów, sosny, kamyki. — Już chciał powiedzieć „samolot”, ale powstrzymał się w porę.

Znów zamrugały jej powieki.

— Kamyki... — wyszeptała.

Wszystkie dziewczynki lubiły ładne kamyki! To było zupełnie sensowne założenie.

— Na brzegu rzeki — mówił pośpiesznie. — We wszelkich kolorach, gładkie, z brązowymi lub czerwonymi pasemkami. Każdy inny, każdy cenny... bo jest twój, bo go cenisz. Nic go nie zastąpi. — W nagłym natchnieniu, sięgnął do kieszeni, przebierając palcami w drobiazgach, które tam miał. Znalazł to, czego szukał, wyjął, włożył do jej dłoni i zacisnął wokół tego jej drobne palce. — Kamień! — powiedział. — Najcudowniejsza rzecz pod słońcem! Kawaleczek Boga.

Jej dłoń zacisnęła się na kamieniu, wyczuwając jego kształt.

— Tak...

— Najcudowniejszy... zaraz po małej dziewczynce — dodał. — Kamyk bez ciebie jest niczym. On cię potrzebuje! Zaopiekuj się nim.

Dreszcz zrozumienia przebiegł przez jej ciało. Otworzyła szeroko oczy. Patrzyła na niego tymi niebieskimi, nagle ogromnymi oczyma, zbyt wielkimi jak na tę drobną twarzyczkę, uderzająco pięknymi.

— Wuju — wyszeptała.

— Chwała Ci, Boże! — wykrzyknęła staruszka. — Budzi się!

Łzy popłynęły po jej twarzy.

Brat Paweł ponownie poczuł, że ma łzy w oczach. Ścisnął delikatnie dłoń dziecka.

— Odpoczywaj, skarbie, odpoczywaj. Bóg jest z tobą. — I nie była to jedynie kwestia ze sztuki; nigdy nie był bardziej szczery.

— Bóg... — powtórzyła słabiutkim głosem.

— Miej tylko w Nim wiarę; jesteś Jego dzieckiem. Nikt nie stoi pomiędzy tobą a Nim. Oddaj swą duszę pod Jego opiekę; On cię nie zdradzi i nie zawiedzie. — Ponownie ścisnął jej dłoń. — Bóg cię kocha. Musisz w to wierzyć.

W tych słowach było jakieś drugie znaczenie, bo kiedy powiedział „Bóg” miał też na myśli „ja”. To było również jego dziecko i kochał je. I czy rzeczywiście to Bóg przywrócił ją do życia, czy też był to Szatan?

— Wierzę... — powtórzyła z szacunkiem.

— Wierzę... — powtórzyła jak echo stara kobieta.

— To cud uzdrowienia — powiedział mężczyzna.

Dziewczynka zamknęła oczy. Spała, z uśmiechem na ustach, ściskając mocno kamyk w dłoni. Brat Paweł wyprostował się.

— Będzie zgodnie w wolą Bożą — powiedział. — Nie wiem, czy Bóg zabierze ją dzisiaj... czy za lat dwadzieścia. Niezależnie od tego, jest ona stworzeniem Bożym, tak jak i my wszyscy.

— Tak, wuju! — zgodziła się kobieta. — Jakże cudowna jest wiara, którą przynosisz ze sobą!

— To miłość, którą Jezus Chrystus okazał człowiekowi — powiedział brat Paweł. A w duchu dodał: Dzięki ci, Jezu!

Pomyślał o powrocie do przerwanej prezentacji Tarota i doszedł do wniosku, iż może z niej zrezygnować. Oздrowienie dziewczynki było o wiele bardziej spektakularnym przesłaniem niż jakiegokolwiek inne. Jeśli był to rzeczywisty powrót do zdrowia, a nie jakieś chwilowe zahamowanie symptomów choroby.

Następnego ranka brat Paweł podjął swą podróż do Wormacji. Wiedział już więcej na temat Tarota niż kiedykolwiek miał nadzieję się dowiedzieć, lecz wyglądało na to, iż jego „życzenie” nie zostało jeszcze do końca spełnione.

Miał nadzieję, że dziewczynka wyzdrowiała całkowicie. Było za wcześnie, żeby mieć co do tego pewność. Chciał więc zorganizować jakiś sposób przesyłania wiadomości na temat jej rekonwalescencji, ale zdawał sobie sprawę, iż nie jest to bezpieczne. Nawet szyfrowana wiadomość: **LAMPA ŚWIECI** czy **LAMPA ZGASŁA** zagrażałaby zdrowiu posłańca, a być może i dziecka. Co uczyniłaby Inkwizycja, mając taki żywy dowód heretyckiego uzdrowienia? A poza tym, chłopci nie mogli podróżować bez ograniczeń; byli oni praktycznie przypisani do ziemi więzami systemu feudalnego. Każdy, kto nie zapłacił na czas czynszu, kto nie odpracował na pańskim tego, co do niego należało, kto nie pojawiał się regularnie w kościele — wpadał w kłopoty.

Brat Paweł nie chciał się podszyc pod *barbę*, ale wyglądało na to, iż nie ma innego wyjścia. Jedyne żołnierze, minstrele i panowie mogli podróżować bez ryzyka zatrzymania. Żołnierze poruszali się w grupach, a panowie i księża podróżowali konno i w otoczeniu służby. Gdyby żołnierze, których napotkał, byli bystrzejsi, natychmiast nabraliby podejrzeń w stosunku do duchownego, który wędruje pieszo i bez towarzystwa; na szczęście śmiały fortel Kuglarza spełnił swoje zadanie. Brat Paweł nie zamierzał nawet próbować udawać biskupa!

Zbliżył się do następnej wioski. Nim zdążył przygotować wszystko do przedstawienia, podbiegło do niego jakieś dziecko. Dzieci wydają się wszędobylskimi posłańcami, być może dlatego, iż nie są jeszcze wprzęgnięte w system pracy.

— Kuglarzu... Pan z dworu podejrzewa... musisz iść dalej!

Brat Paweł nie poddawał w wątpliwość tej informacji. We wczorajszym spotkaniu mógł przecież wziąć udział jakiś donosiciel. Jeździec na koniu mógł nocą ponieść wiadomość: misjonarz heretycki! Natychmiast spakował swoje rzeczy i opuścił wioskę. Choć czuł się bardzo zmęczony, nie mógł w niej dłużej się zatrzymać.

Oddalił się od wioski i nie wiedział, co począć dalej. Nie jadł od kilku godzin, ale nie odczuwał jeszcze dotkliwego głodu. Był bardziej zmęczony niż powinien być, lecz myśl o drzemce w rozgałęzieniu jakiegoś drzewa nie była zachęcająca. A przecież, jeśli wioski są tak niebezpieczne...

Ścieżka wiodła pod górę, a na szczycie wzgórza, do którego prowadziła, w ponurym mroku zmierzchu, stała szubienica. Kręcił się przy niej jakiś człowiek, ściągając w dół powróż. Zauważył on brata Pawła.

— Za późno! — zawołał wesoło. — Przegapiłeś przedstawienie. Już go powieszono, zdjęto i poćwiartowano.

Brat Paweł zatrzymał się. Nie czuł się najlepiej, a to, co zobaczył, nie poprawiło jego samopoczucia. Ponieważ zaś sam był narażony na podejrzliwość innych, nie mógł okazać jawnego wstrętu.

— Cóż, szedłem z daleka.

— Powinieneś być się pośpieszyć. — Mężczyzna oblizał się na wspomnienie wydarzenia. — Było co oglądać! Kopał nogami w powietrzu chyba przez całą minutę! I tak za łagodnie się z nim obeszli. Ja bym go ćwiartował żywcem! Żeby ukraść panu najlepszego konia i zajechać go prawie na śmierć... dostał to, na co zasłużył!

A więc to była publiczna egzekucja na jakimś biednym chłopinie za kradzież konia. Cóż, tak wyglądał sprawiedliwość w średniowieczu; konie były bardzo cenne.

— Zatrzymaj się tu na jakiś czas — powiedział mężczyzna. — Prawie co tydzień mamy nowe przedstawienie. W większości wieszanie za stopę, ale i tek jest na co popatrzeć. Oni...

— Wieszanie za stopę?

Coś w tych słowach budziło jakąś niezdrową ciekawość brata Pawła.

— Tak jest. Za drobne przewiny, takie jak zabicie bażanta czy obłapanie czarownicy. — Oprawca wybuchnął wulgarnym śmiechem, jednak Brat Paweł nie dostrzegł w jego słowach nic zabawnego. — Wieszają go za jedną stopę i zostawiają, żeby sobie powisiał przez jeden dzień. Niektórzy z nich są twardzi, jakby im to zupełnie nie przeszkadzało. Za to inni wrzeszczą jak wszyscy diabli, a niektórzy umierają, mimo że nie mają na ciele żadnych śladów.

Wieszanie za jedną stopę. Brat Paweł już wiedział, co go tak zainteresowało. Jedno z Atu Tarota zwało się Powieszony i przedstawiało człowieka zawieszonoego za jedną stopę. Poprzednio interpretował tę kartę zupełnie inaczej, ale naturalnie odnosiła się ona do tej prymitywnej, średniowiecznej tortury. Tarot był odbiciem swoich czasów. Ileż ta karta miała niewłaściwych interpretacji w następnych wiekach!

Brat Paweł pokręcił głową i ruszył w dalszą drogę. Czuł się coraz gorzej. Oddalił się zaledwie kilkadziesiąt kroków od szubienicy, kiedy usłyszał jakiś odgłos. Tętent konia!

Zszedł pośpiesznie ze ścieżki. Być może nie zwiastowało to nic groźnego, nie mógł jednak pozwolić sobie na ryzyko. Chociaż jedynie udawał *barbę*, to jednak głosił herezję, która była przeciwna temu, co średniowieczna kultura nazywała słowem Bożym, a to już była sprawa bardzo poważna. Inkwizycja...

Jeździec przejechał. Brat Paweł westchnął z ulgą i powrócił na ścieżkę. Postanowił iść dopóki będzie jasno i rozglądać się za jakimś dobrym miejscem na nocleg.

Poczuł ból w pachwinie. Zatrzymał się, by sprawdzić, co mu dolega, mając przez moment dziłą nadzieję, iż odrastają mu genitalia. Tak jednak nie było; wyczuwał jedynie jakąś opuchliznę, być może węzłów limfatycznych. Przeszkadzała mu w chodzeniu. Jakby miał mało problemów — bez pożywienia, bez wody, bez miejsca na nocleg...

Bez wody! Poczuł nagle potworne pragnienie. Czy znajdzie tu źródółko? Ścieżka oddaliła się od rzeki i prowadziła wśród wzgórz; potrzebował wody tutaj, a nie o milę stąd.

Zachwiał się, poczuł silny zawrót głowy. Było mu gorąco, płonął cały; wiedział, iż ma gorączkę, choć nie mógł tego sprawdzić w sposób obiektywny. Swędziała go skóra.

Powoli dotarła do niego prawda. Obserwował już przedtem podobne symptomy. U Kuglarza... tuż przed jego śmiercią.

Dopadła go Czarna Śmierć.

Padł ciężko na ścieżkę, uderzając głową o ziemię. Leżąc na wznak, ujrzał księżyc wiszący na ponurym, mrocznym niebie. Izyda, bogini Luny, symbol kobiecego fałszu, patrzyła na niego ze swojego wypełniającego się półksiężyca, oblicza żeńskiego łona. Z daleka dobiegło go smętne wycie psa.

Czas przestał istnieć... a zarazem minęła cała wieczność, wypełniona traceniem i odzyskiwaniem świadomości, torsjami, palącym pragnieniem, bólem. Znalezione go. Okrzyki: „Zabrać to z drogi!” Pozostał jednak na niej, nikt bowiem nie chciał go dotknąć z obawy przed zarażeniem. Potem pojawił się ktoś, kto jednak zechciał i wrzucono go bezceremonialnie na wóz i powieszono. Dokąd? Najpewniej do miejsca, w którym grzebano ofiary zarazy.

Usiłował coś powiedzieć, lecz usta odmówiły mu posłuszeństwa, a turkot kół i tak zagłuszał wszystko. Zresztą, co by to zmieniło? I tak wkrótce umrze. Szatan spełnił jego życzenie. A nie dotyczyło ono życia. Przynajmniej nie jego własnego.

Zobaczył światła: lampy w ciemnościach nocy. Cienie budynków, przybywał do stolicy Piekieł. Demon w roli woźnicy zatrzymał wóz, by pogawędzić z diablem stróżującym przy bramie prowadzącej do jakiegoś miejsca tortur. Pieniądze przeszły z rąk do rąk. Pieniądze — miłość do których tkwiła u korzeni wszelkiego zła. Jakże to właściwe, że właśnie one są elementem dominującym w piekielnych rytuałach! Potem obydwaj wyciągnęli brata Pawła z wozu i wprowadzili wąskim wejściem do budynku. Ciągnęli jego bezwładne ciało po schodach i wreszcie ułożyli na jakiejś pryczy. Być może sekcja da sygnał do rozpoczęcia zabawy...

Nieświadomość pełna niepokoju. Coś tuż przy twarzy: czuł wilgoć. Tortura wodna! Był jednak tak spragniony, że łykał pełnymi haustami. I inne tortury: gorzkie zioła, zimna woda na całym ciele. Wreszcie sen.

Obudził się w czystej pościeli. Obok stał mężczyzna, mniej więcej w jego wieku. Miał gęstą, czarną brodę, znad której patrzyły ciemne, przysłonięte powiekami oczy.

— Sądzę, mój nieznajomy gościu, iż przekroczyłeś już punkt krytyczny. Znał ten głos.

— To Czarna Śmierć — rzeki brat Paweł. — Zabrała mojego towarzysza.

— Zabiera wielu. I tobie niewiele brakowało. Znam się jednak trochę na ziołach, a i twój organizm jest silny. — Postawił drewniane krzesło tuż przy łóżku i usiadł na nim. — Pozostaje

jednak otwarte pytanie: dlaczego wykastrowany waldensowski *barba*, dotknięty zarazą, wzywa mojego imienia?

Brat Paweł patrzył na niego w zdumieniu.

— Twego imienia?

— Jestem Żyd Abraham.

— Mój towarzysz, nim umarł, podał mi dwa imiona. Jedno z nich należy do ciebie. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie wymówiłem go na głos.

— Miałeś szczęście, że to uczyniłeś. Interesują mnie dziwne sprawy... magia, czary i różne wierzenia. Kiedy oddział zajmujący się pochówkiem usłyszał od ciebie moje imię, przywiózł cię tutaj. Od razu się domyśliłem, że należysz do jakiejś sekty heretyckiej, ale czymże jest chrześcijańska herezja dla Żyda? Nie wydałem cię wtedy, ani nie pozwoliłem ci umrzeć. Zaintrygowany twoją osobą, zapłaciłem, co trzeba, dałem ci wody i dostarczyłem medykamentów. Teraz zaś oczekuję nagrody: całej informacji na temat ciebie samego i twojej magii.

Czy może zaufać temu człowiekowi? A czy ma to zresztą jakiegokolwiek znaczenie? Najwyraźniej nie było to Piekło, przynajmniej w sensie formalnym, lecz jedynie dalszy ciąg jego średniowiecznej wizji. Brat Paweł zdecydował, iż powie prawdę, a przynajmniej taką jej część, która zabrzmiał sensownie.

— Nie jestem *barbą*. Jestem tutaj obcym, który zaprzyjaźnił się z misjonarzem waldensów, po tym jak ów utracił swojego współtowarzysza. Kiedy zaś on sam umarł, zająłem jego miejsce.

— Podjąłeś się ryzykownej roli. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak tutaj postępują z heretykami?

— Właśnie uciekałem przed funkcjonariuszami Świętego Officium, kiedy zachorowałem — przyznał brat Paweł.

— Twierdzisz więc, iż to *barba* podał ci moje imię. Skąd mógł je znać? Nie miałem nigdy żadnych powiązań z waldensami. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, że zajmują się czarami.

— Jedynie magią wielkiej Bożej miłości — rzekł brat Paweł. — Reszta to sztuczki kuglarskie, by rozerwać prostaczków i odsunąć od siebie podejrzenia. Przypuszczam, iż waldensi przekazują sobie imiona tych, którzy mogliby im pomóc w nagłych przypadkach i pewnie twoje imię związane było z kimś takim, mieszkającym w Wormacji.

— Brzmi to zupełnie sensownie — przyznał Abraham. — Bo, jak się okazało, udzieliłem ci pomocy. Ale chyba musieli też wiedzieć, iż wszyscy Żydzi to chciwi lichwiarze i że jeśli im pomogą, to jedynie za stosowną opłatą. — Uśmiechnął się. — Szkoda, że nie jesteś autentycznym wujem; bardzo byłbym ciekaw, ile by mi zaproponowali. A jakie było to drugie imię, które usłyszałeś od swego przyjaciela?

Brat Paweł skupił z trudem myśli i wreszcie sobie przypomniał.

— Abra–Melim, mag z Egiptu.

Żyd pokręcił głową.

— Imię to nic mi nie mówi. A Egipt jest bardzo odległy od Wormacji.

— To prawda.

Brat Paweł poczuł się bardzo zmęczony. Zasnął więc, a Abraham pozwolił mu spać.

Obudził się — być może już następnego dnia — i czuł się o wiele silniejszy. Zioła Abrahama musiały mieć wielką moc! Przebudziły go jakieś dźwięki. Może to Żyd obudził go, przynosząc posiłek? W każdym razie zobaczył na stoliku obok łóżka słodką bułkę i dzbanek z mlekiem, choć w pokoju nie było nikogo.

Zaczął się posilać, zadowolony z faktu, iż odczuwał głód; świadczył on o tym, że zdrowieje. Był pewien, że jest już po nim, kiedy zachorował na śmiertelną zarazę, ale naturalnie nie była ona śmiertelna w stu procentach przypadków. By przeżyć, wystarczyła mu troskliwa opieka. Co za szczęście, że zawołał imię Abrahama w delirium!

Żyd Abraham — było w nim coś dziwnie znajomego. Gdyby zgolić tę brodę... naturalnie! To Therion w zupełnie nowej roli.

Cóż to mogło oznaczać? Dobry Towarzysz zmarł, a on był znowu w mocy Złego Towarzysza. Lee był Pałką Ognia; Therion był Mieczem Powietrza. Cóż ten pokrętny sługa Szatana obmyślił tym razem?

Usłyszał głosy i doszedł do wniosku, że to właśnie one go przebudziły. Jeden należał do Abrahama; drugi... nie, to nie mógł być przecież Kuglarz, bo w tej sekwencji już nie żył. Chyba jakiś nieznajomy.

Ale jaki nieznajomy szukałby jego osoby? Czyżby Żyd, rozgniewany na niego, iż nie jest w stanie zapłacić za opiekę, sprzedał go Inkwizycji? Jeśli tak, jak mógł stąd uciec? Czuł się co prawda lepiej, ale nie aż o tyle lepiej. To był przecież jego pierwszy posiłek od co najmniej dwóch dni: przyzwoity, ale dalece niewystarczający.

— ...minstrel, choruje na Czarną Śmierć. — Usłyszał wyraźnie głos Abrahama. — Niegroźny.

— Ja to osądzę — odpowiedział mu stanowczy głos. — Mam wieści o bezwstydnym heretyku przebywającym w tej okolicy.

— Herezja! — parsknął pogardliwie Abraham. — Cały wasz Kościół jest heretycki, zgodnie z naszą definicją!

— Za łatwe miałeś życie w tym pięknym mieście, Żydzie — odparł ten drugi surowo. — Może się w każdej chwili stać trudniejsze. — W głosie brzmiała zimna groźba. Sam głos przypominał głos Kuglarza, kiedy udawał księdza.

— Wyraziłem jedynie opinię. — Tym razem głos Abrahama zabrzmiał ugodowo; groźba najwyraźniej wywarła skutek. — Dla nas nie ma istotnej różnicy pomiędzy chrześcijanami a muzułmanami. Założyciele tych dwu religii byli prorokami, podpisującymi się pod naszymi zasadami; oba kultury są względnie młode.

Najwyraźniej zatrzymali się na podeście u drzwi pokoju brata Pawła, pogrążeni w tym niezbyt przyjaznym dialogu.

— Żydzie, nie licz na jakieś niewyczerpane pokłady tolerancji — powiedział ten drugi ostrzegawczo. — Przesłucham tego człowieka.

— Nie wiem, czy jest on dość zdrowy, by poddać się przesłuchaniu — zaprotestował Abraham. Mówił głośno i wyraźnie — najwyraźniej, chciał, by go brat Paweł usłyszał. Nie wyglądało to więc na zdradę, choć z drugiej strony sposób postępowania Złego Towarzysza zawsze był bardzo pokretny. — Jest on zwykłym kuglarzem, który usiłował mnie oszukać, udając, iż zna prawdziwą magię; to najzwyklejszy szarlatan. Nie może być jako taki obiektem zainteresowania waszego Zakonu.

— Żydzie! — Siła, z jaką wypowiedział to słowo, mówiła sama za siebie.

— No cóż, zobaczymy. Abraham otworzył drzwi. Brat Paweł nie chciał udawać, że śpi. Miał dość oszukiwania!

— Witajcie — powiedział, gdy weszli do pokoju. Nie przestał przy tym żuć bułki, którą miał w ustach.

Przybysz ubrany był w biały habit i czarny płaszcz: tradycyjny strój dominikanina. Brodę miał równo przyciętą, spojrzenie przenikliwe, a otaczała go atmosfera złowroziej surowości.

— Jestem brat Tomasz, Czarny Frater — przedstawił się.

Tak, to był on! Lee w nowej roli. Jednak przetrwał śmierć postaci z poprzedniej roli.

— Jakże się cieszę, że cię znów widzę, przyjacielu! — wykrzyknął brat Paweł.

Frater popatrzył na niego surowo.

— Czy my się znamy?

Naturalnie, Lee odegra swą rolę właściwie, bez wahań i odchyień; taki miał charakter. A cóż to była za rola! Stał się teraz przedstawicielem jego nieprzyjaciół, Inkwizycji.

W życiu Lee też był kiedyś, w pewnym sensie, rasistą. Teraz był „Czarnym” Fratrem. Była to

naturalnie jedynie nazwa, ale w tych animacjach nazwy i imiona często stanowiły istotny składnik symboliki. Zaiste, Lee usiłował się teraz zrehabilitować za nierozważne czyny z przeszłości! Oczywiście, skoro był to jedynie jeden z aspektów Piekła, możliwe, iż Szatan zażądał...

— Być może dał kiedyś pokaz swoich sztuczek w twoim domu — powiedział Abraham.

A co w takim razie myśleć o Therionie: drwił z Biblii, a teraz był Żydem. Szatan wyznaczył mu równie piekielne zadanie!

— Pozwól mu mówić za siebie. — Przenikliwe spojrzenie Fratra ponownie przeszło brata Pawła. — Kuglarzu, dlaczego nazwałeś mnie przyjacielem?

Brat Paweł pozwolił, by rozbiegane myśli odciągnęły jego uwagę od bieżącej sytuacji. Musiał teraz grać odpowiednio swą rolę.

— Sądziłem, iż cię rozpoznaję, ale możliwe, że popełniłem błąd.

Spojrzenie brata Tomasza było bardzo ostre. Ten człowiek bez wątpienia potrafi być groźnym wrogiem!

— Jestem pewien, iż nie spotkaliśmy się nigdy przedtem; nie utrzymuję stosunków z magikami i z ludźmi pokrewnych zawodów. Mimo to widzę wyraźnie w twojej twarzy, że rzeczywiście rozpoznałeś we mnie kogoś znajomego.

Sytuacja stała się dość nieprzyjemna. Niewątpliwie Lee — aktor rozpoznał i pamiętał brata Pawła — aktora. Nie spotkał się z nim jednak jako „brat Tomasz”. Dlatego też dominikanin musi zweryfikować to, przy użyciu jakiejś obiektywnej metody, co było wiadome aktorowi Lee: fakt, iż brat Paweł odgrywa rolę misjonarza heretyków. Możliwe zresztą, iż zgodnie z kryteriami historycznych dominikanów Święty Zakon Wizyjny brata Pawła byłby równie heretycki. Jakby na to nie patrzeć, brat Paweł znalazł się w poważnych tarapatach.

Czy rzeczywiście? Lee zagra rolę brata Tomasza zgodnie ze scenariuszem, bez żadnych odchyień, choć jako aktor będzie ograniczony w interpretacji tej roli całą swą przeszłością. Brat Paweł nie mógłby liczyć na to, iż pokona prawdziwego dominikanina w debacie teologicznej; jakby nie było, święty Tomasz z Akwinu, którego imię zostało użyte dla tej roli, był dominikaninem i prawdopodobnie największym i najgroźniejszym z teologów katolickich. Ale przecież Lee, w prawdziwym życiu, nie był dominikaninem; nie był nawet katolikiem. Było to zapewne dla niego pewnym utrudnieniem w obecnej roli. To samo dotyczyło Theriona, którego Rogaty Bóg był antytezą żydowskiego Jehowy. Brat Paweł w pełni doceniał ironię tej sytuacji.

— Nie odpowiadasz? — spytał ostro Frater. — Wydaje mi się to podejrzane.

A podejrzenie dla Inkwizycji było równoznaczne z pewnością! Musi coś powiedzieć!

— Nie jestem zwykłym kuglarzem — powiedział brat Paweł.

Jaką przyjmując taktykę, wiedząc, iż pewna częśćka tego człowieka znała prawdę i tym samym nie da

się zwieść? Jak blisko prawdy można się znaleźć, by postępować zgodnie z regułami tej surowej gry, a mimo to nie wydać waldensów i tym samym nie złamać przyrzeczenia, którego udzieliło się temu samemu aktorowi, tyle że w innej roli? A przecież skrupuły religijne i etyczne nie pozwalały mu kłamać. Wcielenie się w *barbę* było czymś wyjątkowym. Nigdy przedtem, od momentu wstąpienia do Świętego Zakonu Wizyjnego, brat Paweł nie odstąpił od prawdy, tak jak on ją pojmował. Ukrywał kiedyś swe lęki dziecięce, nawet przed sobą samym, a trwające jakiś czas uzależnienie od innemu spowodowało pewne niejasności w jego życiu. To wszystko jednak należało do przeszłości; nie zamierzał już więcej kłamać świadomie, niezależnie od siły nacisku zastosowanej przez Szatana.

— A cóż takiego ukrywa się za tą niewinną fasadą? — zapytał brat Tomasz.

W jego pytaniu wyczuwało się napięcie i oczekiwanie związane z chęcią zdemaskowania herezji, o której pamiętał z poprzedniej roli, że tam jest; chodziło jedynie o to, by udowodnić jej istnienie. A przecież brat Paweł zauważył u niego pewną obawę, jakby stłumiony żal człowieka, który wykonuje to, co do niego należy, choć jest to dla niego osobiście bolesne. Lee chciał, by ta ryba urwała się z haczyka, mimo że jako Czarny Frater zobowiązany był uczynić wszystko dla jej pochwylenia. A szansę niepowodzenia, w tym przypadku, były minimalne.

Och, Szatanie, to twoje najbardziej artystycznie — spreparowane diabelstwo, jak do tej pory. Zmuszasz nas, byśmy z pełną świadomością niszczyli się wzajemnie. Nawet bowiem Therion w roli człowieka, który ukrywa heretyka, skazany będzie na potępienie.

Cóż, a dlaczego by nie powiedzieć prawdy? Należy przecież zastosować «j, nadzwyczajne środki, by się wyplątać z tej matni. Brat Paweł już przedtem mówił prawdę. Innym aktorom wyznaczono role, lecz on grał samego siebie, nawet jeżeli przyjmował inną rolę, jak obecnie. Był przecież sobą samym, udającym Kuglarza, a nie sobą obsadzonym w tej roli. Niełatwe, ale bardzo istotne rozróżnienie. Nie był zobowiązany do udawania.

— Jestem przybyszem z innego...

Jednak jego wewnętrzny, chroniący go cenzor kazał mu przerwać w tym momencie. W animacji były bowiem różne poziomy prawdy. Przekonał się już poprzednio, w jak bezpośredni sposób te wizje potrafiły wpływać na losy ludzi znajdujących się w ich wnętrzu. Jeśli powie coś, co przekona Fratra, iż jest szaleńcem lub heretykiem, może stracić tę rolę. A dla niego, w przeciwieństwie do innych, jego rola była jego życiem. Nie powinien więc ryzykować.

— ...kraju — dokończył nieprzekonywająco. Po czym, starając się ubiec pytania Fratry, dodał: — Jestem członkiem tamtejszego chrześcijańskiego zakonu.

— Czy masz na myśli Italię? — zapytał brat Tomasz.

Italia — siedziba papieża (a przynajmniej jednego z nich) i waldensowskiej herezji. Brzemienne pytanie!

— Nie, to kraj za oceanem. Możliwe, iż go nie znasz. Mamy tam jednak zakonników dominikańskich i sądziłem, iż jesteś jednym z nich, znanym mi osobiście i dopiero po chwili

zorientowałem się, że jesteś jedynie przedstawicielem tego samego doskonałego zakonu. — Co wyjaśniało problem rozpoznania... a przynajmniej miał taką nadzieję. — Wierzmy w oryginalne przesłanie Jezusa Chrystusa i apostoła Pawła. — Brat Paweł znajdował się tutaj na dość bezpiecznym gruncie, trudno bowiem byłoby go złapać na ignorancji dotyczącej Jezusa i jego własnego imiennika Pawła.

— To stosowna wiara — zauważył dominikanin kwaśno.

— Biblia święta jest stosownym nauczycielem.

— Z tym stwierdzeniem zgadzam się całkowicie — włączył się do rozmowy Abraham. — Bez wątpienia dotyczy ono Tekstu Hebrajskiego, który nazywacie Starym Testamentem. Dla nas Jezus był jedynie człowiekiem, być może dobrym człowiekiem, i prorokiem, ale tylko człowiekiem. Jezus był Żydem; postępował zgodnie z Pismem, które od nas wzięło początek i które myśmy skodyfikowali.

W tej roli, Therion nie mógł rzucić wyzwania pochodzeniu Starego Testamentu, niezależnie od swoich osobistych wątpliwości.

— Mimo to zabiliście Go! — rzucił ostro brat Tomasz. — Za co jesteście przekłęci na wieki!

Abraham rozłożył obłudnie ręce.

— Nieprzyjemna komplikacja. Wasz święty Paweł również był zabójcą chrześcijan, jak dobrze wiecie. Pamiętacie jak kazał ukamienować Szczepana?

Och, Therionowi ta sytuacja sprawiała wyraźną przyjemność!

— Święty Paweł okazał skruchę! — rzekł Frater z ogniem. — Sam zresztą cierpiał kamienowanie za swą wiarę chrześcijańską!

— A teraz wy, chrześcijanie, jesteście chętni kamienować swoich współwyznawców, nazywając ich heretykami, kiedy protestują przeciw jawnemu zepsuciu w waszych szeregach.

Święte Officium nie kamieniuje chrześcijan — odparł brat Tomasz sztywno.

— To prawda. Święte Officium wieszka jedynie za kciuki odszczepieńców, jakby byli dziczyzną, a skryba skrupulatnie zapisuje ich każdy krzyk. Jakże wasz Jezus musi się radować tymi wrzaskami!

Zrobiło się nieprzyjemnie. Dominikanin pobladł. Brat Paweł wiedział, iż pamięta swą rolę Jezusa z poprzedniej animacji i swoją krytykę tego go zła, na które teraz wskazywał Therion. Och, to był bolesny cios!

Wyjaśniało to także częściowo, dlaczego Żyd skłonny był pomagać chrześcijańskiemu heretykowi. Żydzi przez wieki cierpieli prześladowania z rąk prawowiernych chrześcijan, z których wielu było hipokrytami nie mającymi pojęcia o pierwotnych zasadach własnej religii. A teraz waldensi, podobnie jak inne sekty przed nimi, głosili powrót do tych pierwotnych zasad i cierpieli podobne prześladowania. Therion, jako przedstawiciel innego, podlegającego prześladowaniom wyznania,

mógł więc grać swoją rolę z przekonaniem i z zapalem. Któż bowiem był bardziej oczerniany przez chrześcijaństwo od jego Rogatego Boga?

Brat Tomasz powoli odzyskiwał równowagę. Lee, jako mormon, wiedział, czym są prześladowania. Mormoni niejednokrotnie zmuszeni byli emigrować z nieprzyjaznego kraju, by zachować wolność wyznawania swej wiary, po czym, osiedliwszy się na nowych terenach, stwierdzali, iż kraj, w którym zamieszkali, Stany Zjednoczone Ameryki, przyłącza ich nowe terytoria i wyjmuje spod prawa obowiązujące ich zasady zawierania małżeństw. Tutaj miał jednak rolę do odegrania i na pewno spróbuje wywiązać się dobrze z tego zadania.

— Święte Officium nie czerpie radości z czyjś cierpienia. Niełatwo jest jednak uratować nieśmiertelną duszę zatwardziałego heretyka. A chwilowy dyskomfort podczas przesłuchania jest nieskończenie małą ceną za uwolnienie od wiecznych ogni piekielnych. Wrzód musi być wycięty, mimo iż zabieg bywa bolesny, w przeciwnym razie mógłby zatruć cały organizm.

To było dobrze powiedziane — pomyślał brat Paweł. Lee radził sobie nieźle ze swoją trudną rolą.

Żyd jednak wyraźnie zmierzał do zadania ostatecznego ciosu. Pojedynek ten przypominał bratu Pawłowi „Tuziny”.

— Myślę, iż lepiej byłoby spędzić wieczność w Piekło niż pośród hipokrytów.

— Och nie, hipokryci wydalani są bowiem w rejony infernalne — powiedział brat Tomasz spokojnym głosem. — Cierpią tam wieczyste męki, na które w pełni zasługują.

Abraham udał zdumienie.

— Bez zawieszenia wyroku?

— Bez zawieszenia. Mieli swoją szansę w życiu.

— Bez możliwości rehabilitacji?

— Po śmierci nie ma rehabilitacji.

— Nawet jeżeli hipokryta szczerze żałuje swej hipokryzji?

— Nawet wówczas. Kiedy raz już jest potępiony, potępiony jest na wieki.

— Czy tak właśnie powiedział Chrystus? Że nie będzie przebaczenia dla syna marnotrawnego?

— Przebaczenie za życia — odparł dominikanin stanowczo. — . Musi istnieć gdzieś punkt bez powrotu i punktem tym jest zakończenie żywota. Z chwilą śmierci decyzja jest ostateczna. Dlatego właśnie pracujemy tak pilnie, by ratować dusze na czas, za pomocą wszelkich dostępnych nam środków. Nie chcemy bowiem, by jakakolwiek dusza narażona była na wieczne cierpienie. — Popatrzył przenikliwym spojrzeniem na Abrahama. — Jest jeszcze czas nawet i dla ciebie, Żydzie.

Abraham roześmiał się.

— Nie lękam się Szatana. Wolałbym żyć tak jak Jakub, pełen zachłanności i żądy, oszukując i będąc oszukiwany... i być człowiekiem w każdym calu. A kiedy nadejdzie mój czas, mocować się z Bogiem, jak on to uczynił, i byłoby, co by miało być. Jahwe to zrozumie.

To już była interpretacja Theriona — pomyślał brat Paweł. Nie sądził, by autentyczny Żyd ujął to w taki sposób. Therion zaś, podobnie jak Lee, ograniczony był w podejściu do tych problemów swoją własną religią. Tym samym, jego Bóg uformowany był na modłę Szatana. Jednak takiego stwierdzenia nie mógł zaakceptować ani prostolinijny Lee, ani mnich dominikanin.

— Bóg nie akceptuje chciwości, oszustwa i pożądania. Błuźnisz więc!

— A przecież Bóg wydaje się akceptować Święte Oficjum — zauważył Abraham.

Brat Tomasz był jednak zbyt podniecony, by uchwycić prawdziwy charakter tej obelgi.

— Żadna kultura nie mogłaby usprawiedliwiać takich spraw. Są one bowiem okropnością w obliczu Boga!

Pozostawało to w zgodzie z tym, co brat Paweł wiedział na temat zasad mormońskich; zakazanym owocem Edenu była miłość cielesna. Ponieważ jednak Bóg nakazał człowiekowi, by był płodny i rozmnażał się, Adam i Ewa wybrali mniejsze zło w postaci miłości cielesnej. Dla brata Pawła taka interpretacja niewiele odbiegała od doktryny średniowiecznego Kościoła.

Problem polegał na tym, iż Lee był o wiele lepszym znawcą *Księgi Mormona* niż Biblii. Imiona w tych dwóch księgach występujące były takie same, dotyczyły jednak innych postaci. Jakub mormonów nie był Jakubem Żydów.

— Wasz Bóg przyjął człowieka, który wysłał swego pierworodnego na pustynię, razem z jego matką! — powiedział Abraham. — Pierworodnym synem Abrahama był Ismael... ale ów odrzucił go na korzyść drugiego syna, Izaaka. Od Izaaka i od jego drugiego syna, oszusta Jakuba, pochodzą Żydzi, a spośród nich wyszedł Żyd zwany Jezusem, którego wy...

Przerwał, widząc iż brat Tomasz przypatruje mu się bardzo dziwnie. Aha, Baala, Therion, pozwolił, by poniosły go osobiste uczucia sympatii i, zapominając, że w tej roli jest Żydem. Było rzeczą naturalną, iż Therion nie mógł się pogodzić z odrzuceniem swojego przodka filozoficznego, Ismaela, lecz jako Żyd sfuszerował swą rolę. »»i Fuszerka ta dała pewną przewagę dominikaninowi... i podkopała przy okazji pozycję brata Pawła. Stawką teraz była bowiem jego własna rola; Abraham wiedział o jego powiązaniach z waldensami, a brat Tomasz podejrzewał ich istnienie. Odkrycie tego faktu lub czyjaś zdrada prawdopodobnie by go wykończyły. Czy Therion go sprzeda, by uratować siebie? To byłoby do niego podobne! Lepiej więc wkroczyć samemu do tej rozgrywki.

— Możliwe, iż zaszło pewne nieporozumienie — powiedział brat Paweł ostrożnie. — Zgodnie z Biblią, Ismael był synem Abrahama i służącej jego żony, Hagar. Sara, żona Abrahama, będąc

niepłodną, dała mu tę egipską służącą, by mógł z nią spłodzić dziedzica. W tamtych czasach ta praktyka była dość powszechna, jako że dla nomadów dzieci miały żywotne znaczenie. Zwyczaj wydaje się wywodzić od Hurytów. Wielożeństwo było wówczas dozwolone i w związku z tym trudno tu obarczać jakąkolwiek winą Abrahama. Postąpiłby niewłaściwie, gdyby nie podjął odpowiednich kroków, by zapewnić sobie potomka i wzmocnić swe plemię.

Frater w tym miejscu mógłby zaprotestować — lecz aktor Lee, wrażliwy na krytykę, która spotykała mormonów w związku z ich praktyką poligamii, nie mógł się do takiego protestu zmusić. Żyd był zadowolony, iż usprawiedliwiono postępowanie jego imiennika Abrahama, a aktor Abraham z ulgą przyjmował pokrycie jego fuszerki. Na razie więc słuchano brata Pawła z wielką uwagą.

— Problem zaistniał dlatego, że chociaż Ismael był pierworodny, Izaak był synem z prawego łoża. Bóg uczynił bowiem Sarę płodną, kiedy ta miała lat dziewięćdziesiąt, a sam Abraham dobiegł setki w czasie narodzin Izaaka.

Była to więc sytuacja wyjątkowa, niemożliwa do przewidzenia. Wywiązała się ostra rywalizacja między dwiema kobietami i jedynym sposobem jej rozwiązania było odesłanie Hagar i Ismaela. Jahwe zaopiekował się dwojgiem, a potomkami ich są Arabowie, o wiele liczniejsi i bogatsi od potomków Izaaka, Żydów. Tak więc w tamtej trudnej sytuacji znalezione zostało rozwiązanie kompromisowe i nie uważam, by Arabowie czy Żydzi ponosili za nie jakąkolwiek winę.

— Winić należałoby raczej Hurytów — rzekł Abraham z wyraźną ulgą. Brat Tomasz nie wydawał się usatysfakcjonowany.

— Słyszałem przecież, co powiedział tutaj Abraham na temat Jakuba, coś o jego oszustwach, pożądliwości i walce z Bogiem! Brzmi to dla mnie jak herezja.

Przez co zapewne chciał dać do zrozumienia, że jeśli brat Paweł będzie próbował usprawiedliwić te uczynki Jakuba, zamiast je potępić, sam może być oskarżony o herezję — czego tak bardzo pragnął uniknąć. Gdyby bowiem Inkwizycja poddała go pod tym pretekstem torturom, kaci szybko wydobyliby z niego resztę informacji. Therion, najwyraźniej odczuwający antypatię do dzieci Izaaka, mimo swej obecnej roli, zupełnie nie miał możliwości wyplątania się samemu z tej pułapki. Ciężar odpowiedzialności ponownie spadł na barki brata Pawła. Czyżby to było zainscenizowane przez Szatana? Niezależnie od odpowiedzi na to pytanie, zadanie było diabelskie.

— To były trudne czasy — zaczął ostrożnie. Miał wrażenie, jakby stąpał po cienkim lodzie, pokrywającym krater huczącego wulkanu. Jeden fałszywy krok, jedna pomyłka... i potępienie. Szatan wyznaczył wysoką cenę za spełnienie życzenia! — Abraham miał wiele poważnych problemów i musiał podjąć wiele trudnych decyzji. Syn jego, Izaak, miał własne problemy; robił, co mógł, by chronić swą piękną żonę, Rebekę, przed zalotami współplemieńców. Jego synowie, bliźniacy Ezaw i Jakub, rywalizowali o względy ojca; Izaak faworyzował silnego myśliwego Ezawa, podczas gdy Rebeka darzyła względami bardziej umiarkowanego Jakuba. Tak więc w rodzinie wystąpił pewien, bardzo ludzki zresztą, podział. Można by tutaj przeprowadzić analogię do przeciwstawnych sobie sposobów życia nomadów i ludzi osiadłych w miastach. — I znowu jego osobisty problem: wieś czy miasto! — W jakim kierunku podąży całe plemię? Walka była subtelna, lecz bardzo intensywna. Jakub, co zdarza się chłopcom, przeprowadził transakcję z Ezawem, nabywając jego prawa

pierworodnego, po czym podstępem uzyskał od Izaaka błogosławieństwo dla siebie. Była to jakaś forma oszustwa. Rzecz polega jednak na tym, iż człowiek z czasów biblijnych był bardzo ludzki, podlegał normalnym ludzkim stresom i miał normalne ludzkie wady, a popełniał błędy w osądzie i w afektach. Niewątpliwie wystawiał cierpliwość Jahwe na wielką próbę.

— Tak — przyznał Abraham, a brat Tomasz skinął głową. Jak dotąd — nieźle, ale to jeszcze nie koniec kłopotów.

— Z kolei oszukany został sam Jakub, być może za karę — ciągnął brat Paweł. Dłonie miał mokre od potu; wytarł je cichaczem w koc. — Kiedy przepracował siedem lat, poślubił piękną Rachelę. Po skonsumowaniu małżeństwa odkrył, iż ojciec tejże podstawił w jej miejsce starszą siostrę Leę. Zmuszony był więc pracować następne siedem lat, by zdobyć Rachelę. W rzeczywistości pozwolono mu jednak w ciągu tygodnia poślubić Rachelę, nie musiał więc na nią tak długo czekać. W ten sposób miał dwie żony i dług do odpracowania. Być może w tym również uwidoczniła się ręka Boska, bo jak się okazało, Rachela była nieplodna. A właśnie Lea dała mu kilku dorodnych synów. Po czym Rachela, by zachować swój status, dała mu służącą w celach prokreacyjnych, by przynajmniej z niej miał syna. Wobec czego Lea dała mu swoją urodziwą służącą, by z tą również mógł mieć syna i... cóż, można to nazwać rozpustą, ale według mnie byłby to osąd niesprawiedliwy. Wszystko to bowiem służyło zwiększeniu liczebności plemienia, a ponieważ zbyt mała liczba ludności była wówczas podstawowym problemem...

Brat Tomasz, dominikanin, rozłożył ręce.

— Bracie, myślałem, iż zajmujesz się oszustwem, a ty najwyraźniej posiadasz doskonałą znajomość Biblii.

— Właściwie to Jakub oszukiwał — zauważył brat Paweł, czując pewną słabość towarzyszącą uczuciu ulgi. — I jego teść. Każdy miał swe powody...

— Na dodatek, twoja znajomość Biblii jest tak dokładna, iż podejrzewam, że czytałeś ją osobiście.

Och, nie! Teraz dopiero brat Paweł to sobie przypomniał: w czasach średniowiecznych Kościół patrzył z niechęcią na prostaczków czytających Biblię. Była to zbyt poważna sprawa, by ją zostawić przeciętnemu wiernemu; Biblia musiała być czytana i interpretowana przez hierarchię kościelną. Sam wpędził się w pułapkę.

— W moim kraju ludzie świeccy częściej studiują Biblię niż to wydaje się zwyczajem tutaj — powiedział. — Ja zaś, będąc wędrownym minstrelem, przyzwyczajony jestem do zapamiętywania różnych opowieści. A nietrudno jest zapamiętać największą ze wszystkich istniejących na świecie opowieści.

Czy takie wyjaśnienie będzie wystarczające?

— Jestem zmuszony zaakceptować twą wiarygodność jako chrześcijańskiego uczonego — kontynuował brat Tomasz. — Przepraszam cię za — to, iż przesłuchiwałem cię w czasie choroby.

Zwycięstwo! Brat Paweł w taki sposób sformułował swój komentarz, by bronić zarazem i mormonów, i Żydów biblijnych. I opłaciło się. Wielożeństwo, w dobrej sprawie...

— A co z tą sprawą mocowania się z Bogiem...? — rzekł Abraham, nie mogąc powstrzymać się od drwin.

Brat Paweł znów ujrzał klęskę na horyzoncie. Jeśli brat Tomasz podejmie wyzwanie...

— Wszystkim nam zdarza się mocować z Bogiem — powiedział dominikanin. — Nazywamy to sumieniem. Ciało ludzkie jest słabe, a Bóg jest potężny; zawsze powinniśmy Go słuchać.

— Tak — przyznał brat Paweł, ponownie się odprężając. Brytany zostały więc odwołane!

Brat Tomasz odwrócił się w kierunku drzwi.

— Jeszcze raz przepraszam za najście. Żegnaj. — Uczynił znak krzyża.

— Żegnaj — powtórzył brat Paweł, również czyniąc na piersiach znak krzyża. Prawdziwy *barba* nigdy by tego nie zrobił.

I to był błąd. Dłoń jego zawadziła bowiem o stół i talia Tarota spadła na podłogę. Karty rozsypały się z głośnym kłaśnięciem, na dodatek wizerunkami do góry.

Brat Tomasz okręcił się na pięcie i ruszył w ich kierunku z zaskakującą skwapliwością.

— A cóż to takiego? — spytał podnosząc karty.

— Narzędzia kuglarskie — odpowiedział szybko Abraham. — Za ich pomocą pokazuje sztuczki magiczne ku uciechu gawiedzi.

— Magia jest herezją — rzekł dominikanin z nagłym nawrotem surowości w głosie.

— Magia sceniczna — rzekł brat Paweł. Dlaczegoż to musiało się wydarzyć właśnie teraz? Przypadek najgorszy z możliwych! Niewątpliwa robota Szatana. — Sztuczki zręcznościowe. Mogę zademonstrować.

Frater jednak już przeglądał karty.

— Wiele z nich posiada zupełnie konwencjonalne ilustracje, takie, jakich używają różni nicponie do gier hazardowych. Inne jednak są o wiele bardziej skomplikowane. — Podniósł do góry kartę Fałszu z jej tematyką lunarną. — A cóż oznacza ta?

— Wygląda mi to na motyw astrologiczny — powiedział szybko Abraham. — Studiowałem dość pilnie astrologię i inne typy magii... — Uśmiechnął się widząc wyraz twarzy dominikanina. — Niech to cię nie szokuje, bracie! Nam, Żydom, magia nie jest zabroniona! Prawdę mówiąc, często jest nam wręcz niezbędna, by wytrwać pośród chrześcijan w chrześcijańskim kraju.

Brat Paweł domyślał się, co Abraham miał na myśli. Żydzi posiadali bowiem najbardziej znaczący system magii na świecie w formie Qabali, Kabballi, Kabały, czy jakkolwiek inaczej był on zapisywany. Strzegli wiedzy na jej temat tak pilnie, że była ona zupełnie nie znana chrześcijanom z tamtego czasu. Tym samym Kabała nie miała żadnych związków z Tarotem, choć późniejsi „eksperci” zrobili wszystko, by połączyć te dwa systemy w jeden.

— To jest astrologia? — zapytał brat Tomasz z powątpiewaniem. Astrologia, jeśli brat Paweł dobrze pamiętał, w średniowieczu uważana była raczej za naukę niż za magię. Tym samym nie była herezją, zgodnie z definicją Kościoła; co więcej — niektórzy uczeni Kościoła byli astrologami. — A gdzie jest horoskop?

— Horoskopem może być cała talia — wyjaśnił gładko Abraham — Symbole nie znajdują się wówczas na tablicach, lecz na poszczególnych kartach, a ich rozkład determinuje odczyt. Tutaj mamy najwyraźniej do czynienia z planetą Księżyc.

Ponownie wzrok dominikanina przeszył brata Pawła.

— Bracie, czy zajmujesz się wrózeniem?

— Nie — odpowiedział zgodnie z prawdą brat Paweł. — Obraz, który wywołują te ilustracje, powstaje w umyśle patrzącego. Jeśli ktoś dostrzeże w krajobrazie księżycowym symbol astrologiczny i zechce zapłacić mi za to drobną monetą, byłbym głupcem, gdybym jej nie przyjął.

Brat Tomasz zawahał się, po czym się uśmiechnął.

— Na tym świecie jest wielu głupców — powiedział. — Myślę sobie, iż wykorzystujesz czasami ludzką głupotę, bracie, kiedy jesteś głodny. Największym głupcem jest jednak ten tutaj Żyd, który wierzy w magię.

Przeżegnał się ponownie i wyszedł.

— Hipokryta — mruknął Abraham. — Cały jego Kościół zbudowany jest na magii! Powodem, dla którego palą heretyków jest fakt, iż ci uprawiają magię poza zasięgiem kontroli Kościoła. Nie mogą znieść konkurencji! Jezus Chrystus był magikiem; zamienił wodę w wino, a kilkoma okrucami chleba nakarmił tysiące. Ja poszukuję magii otwarcie... i pewnego dnia ją odnajdę!

Brat Paweł zauważył, iż zgadza się z jego poglądami.

— Jest bardzo wiele hipokryzji w religii. Dlaczegoż jednak pomogłeś mi, wiedząc, że nie uprawiam prawdziwej magii?

— Cóż, nie wiedziałem tego — powiedział Abraham otwarcie. — Byłem pewien, że większość twoich sztuczek jest niewinna i nieszkodliwa. Słyszałem jednak o waldensach i ich kartach, i podejrzewałem, że może w nich być jakaś magia. Wobec tego... — Przerwał, a na jego twarzy pojawił się nagle cień lęku. — Frater się przeżegnał. Dwukrotnie.

— Fratrom to się często zdarza — przyznał brat Paweł.

— Wtedy, kiedy mają do czynienia z jakimś wyzwaniem lub zagrożeniem. A przecież brat Tomasz właśnie wychodził. Dlaczego miałby się żegnać opuszczając dom Żyda?

Brat Paweł czuł się zmęczony i chciał zasnąć.

— Może usiłował odegnać od siebie herezję. Abraham pokręcił z powagą głową.

— Przeżegnał się, bo uwierzył, iż uzyskał potwierdzenie obecności zła. Zgodnie z jego pokrętnymi kryteriami, ja jestem złem wiadomym, ty zaś...

— Jeśli mnie rzeczywiście podejrzewa, dlaczego mnie nie zabrał, skoro miał taką możliwość? Jestem przecież osłabiony chorobą; nie mógłbym stawić wielkiego oporu.

Abraham chodził nerwowo po pokoju.

— To właśnie chciałbym wiedzieć. Nie ośmieliłbym się przecież wtrącić, gdyby stwierdził, iż jesteś heretykiem; najmniejszy drobiazg może być pretekstem do nowego pogromu! Miękkie serce ma swoje granice! Musiałbym się od ciebie odciąć i on dobrze o tym wiedział. Jaki więc może być powód udawania z jego strony? Niewątpliwie zamyśla coś bardzo złego.

Im więcej brat Paweł zastanawiał się nad tym problemem, tym większe odczuwał obawy. A jeżeli dominikanin zdecydował się mieć heretyka na haczyku w charakterze żywca, po to, by wyciągnąć większą liczbę heretyków, stosując jedynie przebiegłą cierpliwość? Mógłby wówczas udawać, iż jest usatysfakcjonowany rozmową, by uspokoić ofiarę, po czym poddać podejrzanego stałej obserwacji.

— Obawiam się, iż muszę się stąd zabierać — powiedział brat Paweł z żalem. Odpoczynek jest rzeczą cudowną, ale nie wtedy, kiedy przeciwko niemu i waldensom szykuje się coś złego. Musiał natychmiast zniknąć.

— Wydaje mi się, że myślimy mniej więcej tak samo — powiedział Abraham. — Dominikanin nie jest przekonany, a raczej jest przekonany! Węszy herezję! Zauważyłem, jak mu oczka zabłyśły, kiedy ujrzał twój Tarot. Gwarantuję, że widział już kiedyś takie karty, a przynajmniej zna je z opisu! Przypuszczam, iż udał się na konsultacje z innymi demonami tego samego zakonu i jeśli cię teraz nie zaaresztują, będą cię szpiegować, usiłując odkryć twoje kontakty i sposoby rozpoznawania, żeby móc spalić iluś heretyków zamiast tylko jednego. Uważam, że powinieneś natychmiast opuścić to miasto. Kiedy tylko odejdiesz, doniosę na ciebie, zadencuncjuję cię, żeby uratować własną skórę. Czy jesteś w stanie podróżować?

— Nie jestem pewien — powiedział brat Paweł. — Twoja opieka bardzo mi pomogła, ale ta zaraza to nie żarty; czuję się ciągle mocno osłabiony.

— Bez wątplenia Frater jest przekonany, iż dzisiaj nie mógłbyś jeszcze wyruszyć w drogę i dlatego nie zarzuca swej sieci. Ale jutro... Trzeba będzie zaryzykować — zdecydował. — Jestem Żydem; moja sytuacja jest niepewna. Mam pieniądze, więc postępują ze mną ostrożnie, ale nie wolno ich prowokować. Udzielę ci wskazówek, lecz nie mogę udzielić ci pomocy materialnej. To wszystko

musi sprawiać wrażenie, iż uciekłeś, kiedy właśnie miałem zamiar cię wydać.

Brat Paweł przyznał mu rację. Musi wyruszyć dzisiaj, natychmiast, dla dobra tego Żyda, dla własnego dobra i dla dobra waldensów.

— Jakie było to drugie imię, które usłyszałeś od misjonarza? — spytał niespodziewanie Abraham.

— Imię? Aha... Abra–Melim, mag z Egiptu.

— Abra–Melim, mag z Egiptu — powtórzył Żyd. — W Egipcie posiadają olbrzymią wiedzę. Być może chodzi tutaj o maga, którego ja sam szukam. Widocznie waldensi wierzą, iż ma on coś, czego oni poszukują.

Brat Paweł wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Dla mnie to tylko imię.

— Być może powinienem udać się do Egiptu — zastanawiał się Abraham. — Jeśli tobie uda się wymknąć, może to oznaczać, iż Wormacja przestanie być dla mnie bezpiecznym miejscem, przynajmniej na jakiś czas. — Uśmiechnął się. — Chętnie jednak podejmuję to ryzyko, chociażby po to, by zirytować tego świętoszkowatego urzędnika. Chodźmy, trzeba zorganizować twoją ucieczkę.

Triumf (Słońce)

Biblia, według opinii Freda Gladstone'a Brat tona, wyrażonej w jego Historii Biblii, nie jest podręcznikiem naukowym. Jej kosmologia jest prymitywna. Przedstawiona w niej ziemia jest płaska, a słońce, księżyc i gwiazdy umieszczone są na sklepieniu niebieskim. Poniżej tego wszystkiego znajduje się królestwo zmarłych. Całość została stworzona w sześć dni. Choroby są wywoływane przez demony, los wyznaczony przez gwiazdy, aniołowie przywracają do zdrowia cierpiących, a cuda występują w wielkiej obfitości. Traktowanie tego wszystkiego dosłownie nie wydaje się mądre. Pozostaje zatem wartość Biblii jako duchowego przewodnika i źródła zasad moralnych, wartość, która pozostała niezmienna mimo naszego geograficznego i naukowego oddalenia. Wiara, nadzieja i miłość są równie istotne dzisiaj jak w czasach, kiedy Biblię pisano.

Dwa dni później, wraz ze wzrastającą nadzieją, brat Paweł odczuł przyływ zmęczenia i gorączki. Zaczął też kaszleć. Nie był to nawrót choroby spowodowanej zarazą, lecz coś, czego symptomy dość szybko rozpoznał: zapalenie płuc. Zbyt duży wysiłek tuż po ciężkiej chorobie. Musiał teraz odpocząć... lub wrócić do Piekła na stałe. Nie odczuwał uprzednio świadomego zagrożenia zarazą, mimo jej potworności; nie był to rodzaj choroby, na którą uwrażliwiony byłby człowiek z dwudziestego czy dwudziestego pierwszego wieku. Zapalenie płuc to co innego, to budziło szacunek.

Dokąd mógł się udać? Opuścił był Wormację w przebraniu żebraka, Starannie unikając wszelkich kontaktów z waldensami. Kierował się ku Francji w nadziei, iż sługi Świętego Officium nie będą go ścigać poza granice Świętego Cesarstwa Rzymskiego, jeśli są na jego tropie. Nie mógł — Sobie pozwolić na zawieranie znajomości i przyjaźni; każdy, kto udzieliłby waldensom pomocy, naraziłby się na karę z rąk Inkwizycji.

Abraham, mimo zastrzeżeń dotyczących niemożności udzielenia pomocy materialnej, dał mu jednak trochę pieniędzy i przekazał kilka praktycznych rad. Dzięki temu mógł korzystać za grosze z gościnności położonych na uboczu gospodarstw, z których wieści o jego pobycie mogły dotrzeć do zainteresowanych w wiele dni po jego odejściu.

Dziwne, jak role się teraz odwróciły. Therion mu pomógł (mruczając coś pod nosem o ewentualnej nagrodzie i naruszeniu status quo), podczas gdy Lee usiłował za wszelką cenę zniszczyć. Szatan rzeczywiście wiedział, jak rozszarpać rany!

Brat Paweł usłyszał odgłos końskich kopyt. Czy powinien się ukryć, czy zaryzykować? Pogoń wydawała mu się mało prawdopodobna. Cóż bowiem znaczył jeden człowiek podejrzany o herezję w średniowiecznym społeczeństwie? Być może w ogóle go nie ścigano; Żyd chciał się po prostu go pozbyć i wymyślił całą tę intrygę...

Nie, nie mógł się jakoś przekonać do takiej interpretacji. Nie była to przecież autentyczna

społeczność średniowieczna; to była jedynie osadzona w niej animacja. Fikcja historyczna, z nim jako postacią centralną. Wszystkie intrygi muszą tym samym obracać się wokół jego osoby.

— Bracie, masz chyba urojenia paranoidalne — powiedział do siebie.

Skulił ramiona i szedł dalej. Odgłos końskich kopyt był teraz wy — raźniejszy; słyszał dwa konie i skrzypienie kół. Jakiś szybko jadący wóz lub dyliżans. Zszedł na bok ścieżki, by przepuścić pojazd; podróżnym mógł być jakiś szlachcic, a ci odznaczali się dużą arogancją. Konie mogły go startować, gdyby się znalazł na ich drodze. Żebracy niewiele znaczyli.

Konie zrównały się z nim, parskając. Zerknął w bok, nie odwracając głowy. Zobaczył dwukólkę, z daszkiem, przypominającą rydwan. Naturalnie, rydwan z Tarota — siłę w ruchu, symbolizujący człowieczą wędrówkę ku zbawieniu.

Szedł dalej, pozwalając, by pojazd go wyprzedził, zerkając co chwila na konie. Wyglądało na to, iż pojazd zwolnił i dotrzymywał mu jedynie kroku, zamiast go wyprzedzić.

— Kuglarzu — zawołał znany mu głos. Och, nie! Toż to brat Tomasz, dominikanin.

— Kuglarzu... nie ma potrzeby, by iść na piechotę, skoro można jechać — rzekł jego nieprzyjaciel wesoło. — Cóż to za szczęśliwy przypadek, że podróżuję w tym samym kierunku!

Brat Paweł rozważał ucieczkę. Nie mógł prześcignąć rydwanu na drodze; musiałby więc biec na przelaj. Zdawał sobie sprawę z tego, iż nie pobiegnie daleko; był chory, słaby i potrzebował odpoczynku, podczas gdy dominikanin był zdrowy i silny.

Zrezygnowany wspiął się na kozioł i siadł obok Fratra. Siedzenie było miękkie i zapadł się w nie z ulgą, choć tylko w sensie fizycznym. Cóż innego zresztą mógł zrobić?

Pojazd stanął. Brat Tomasz utrzymywał konie w miejscu silną dłońią. — Mamy tu cyrulika, który może ci pomóc — powiedział.

Czy w zdaniu tym tkwiła ukryta groźba? Cyrulik... zapewne nie tylko zwykły golibroda. Średniowieczny lekarz. Puszczający krew dla poprawy zdrowia pacjenta. Zabieg często fatalny w skutkach.

— Nie — zaprotestował brat Paweł słabo.

— Nie obawiaj się — rzekł dominikanin uspokajająco. — Nasz cyrulik stosuje najlepsze pijawki zbierane co tydzień w Sekwanie.

Wysysające krew robaki. Bratu Pawłowi zrobiło się niedobrze, lecz był zbyt słaby, by wymiotować. Uderzyło go coś jeszcze w słowach, które przed chwilą usłyszał.

— W Sekwanie?

— Od Wormacji dzieli nas kawał drogi, przyjacielu — poinformował go brat Tomasz. — Spałeś jak zabity... i, prawdę mówiąc, obawiałem się już o ciebie. Jesteśmy w sercu Francji, a oto nasz główny klasztor. Czyż nie jest piękny?

Brat Paweł uniósł się i spojrzał przed siebie. Brama była potężna. Okna wąskie i wysokie. Mury grube. To była prawdziwa forteca.

— Piękny — powtórzył ponuro.

Brama zamknęła się za nim. Był w pułapce, a nie udało mu się pozbyć kart. Trzymał je zapewne przez cały czas kurczowo, by nie wyrwała mu ich ciekawość Fratra. A może animacja przeskoczyła z jednej sceny do drugiej, opuszczając cały ten nudny okres pomiędzy nimi. Animacja była bowiem rzeczywista, ale według swych własnych kryteriów.

Weszli do centralnego hallu, gdzie w kominku płonął wielki ogień. Brat Paweł, którym wstrząsały dreszcze, podszedł natychmiast do niego. Pojawiło się kilku zakapturzonych mnichów i otoczyło go kołem.

— Musisz odpocząć — powiedział brat Tomasz. — Przygotowano już pokój. Zabierzemy twoje zabrudzone rzeczy i damy ci świeże ubranie.

Czy powinien się opierać? Byłaby to sprawa beznadziejna; był przecież chory i słaby, a ich wielu i w pełni sił. Nic by nie zyskał, a zawsze istniała możliwość, że mieli dobre intencje i że to Żyd go oszukał co do zamiarów dominikanina.

Pozostawał problem Tarota. Brat Tomasz już widział tę talię, a aktor Lee znał jej charakter ze swojej poprzedniej roli. Zatem Lee wiedział, czego szuka i jeśli dostanie talię w swoje ręce, uzyska podstawy do przeprowadzenia śledztwa i skoncentruje się na ich tajemnicy. Decyzja brata Pawła, by unikać waldensów uczyniła strategię szpiegowania bezużyteczną, wobec czego animacja zmieniła strategię. Teraz sprawą kluczową stały się karty; jeśli wpadną w ręce brata Tomasza i Inkwizycji, ujawnienie waldensów będzie praktycznie pewne. Dominikanie wykonają kopie kart, przebiorą się za kuglarzy, wygłoszą kazania w oparciu o karty... i przymkną wszystkich słuchaczy, oczyszczając z nich za jednym zamachem całe miasta. Uda im się akcja w tym stylu, ponieważ ludzie wierzą w autentyczność każdego, kto posiada takie karty — tak jak uwierzyli w autentyczność brata Pawła.

Bez kart brat Tomasz, dominikanin, nie posiadałby pewnego dowodu na to, iż brat Paweł jest heretykiem, i nie miałby narzędzia, którym mógłby się posłużyć przeciwko waldensom. Nie miałby podstaw do oskarżenia. Nie miałby ich zgodnie z regułami tej gry, niezależnie od tego, co wiedział prywatnie. A Lee bez wątpienia postępowałby zgodnie z przyjętymi regułami.

Krąg mnichów wokół niego zaczął się zacieśniać. To była animacja; czy oni byli istotami rzeczywistymi? A może byłby w stanie przejść przez nich i przez mury klasztoru. Byłoby to jednak niezgodne z regułami oszukiwanie. Szatan wysłał go tutaj na jego własną prośbę, by tak rzec; nie powinien zatem dziwić się, kiedy dostrzeża w tej sekwencji jakieś szatańskie elementy. A może gra tutaj rolę jakiejś autentycznej postaci historycznej i oczekują go jeszcze znaczące rewelacje. Musi więc grać tę grę animacyjną lub zrezygnować ze wszystkiego, czego dzięki animacji mógłby się

dowiedzieć. A w tej chwili oznaczało to, iż musi się poddać przemocy mnichów.

Z wyjątkiem oddania talii Tarota. Jeśli bowiem wierzy w tę grę, musi również wierzyć w to, iż waldensi zostaną rozgromieni, kiedy on zawiedzie zaufanie, którym obdarzył go Kuglarz. Zostanie im wytoczony proces o herezję, być może będą poddani torturom, być może spaleni na stosie. Tak jak Joanna d'Arc została spalona — zostanie spalona — w tej właśnie okolicy za jakieś 20–30 lat. Brat Paweł nie może dopuścić do tego, by on sam stał się instrumentem służącym do ich zniszczenia.

Nie mógł tedy wykorzystać siły niewiary w realność tej animacji i nie mógł również dać się jej biernie nieść. Musiał postąpić właściwie, pomimo niesprzyjających okoliczności. Cóż jednak oznaczało słowo „właściwie” w tym piekle niezdecydowania?

Wsunął rękę pod szatę, gdzie miał ukrytą specjalną kieszeń. Zacisnął palce na talii. Wyjął ją i patrzył przez moment na ten najcenniejszy przedmiot, jaki kiedykolwiek posiadał, na Prawdziwego Tarota. Przeszedł przez Piekło i po to zniósł cierpienia wywołane zarazą, by dotrzeć do tego papierowego Graala.

Opanował rozedrgane nerwy. Po czym rzucił szybkim ruchem Tarota w otwarty ogień, jednym błyskawicznym skręceniem nadgarstka, rozsypując karty tak, by spłonęły jak najszybciej.

Brat Tomasz wrzasnął, jakby to jego samego ogarnęły płomienie. Skoczył ku palenisku, wyciągając do ognia nagie dłonie, usiłując odzyskać karty. Mnisi pospieszyli, by go powstrzymać. Sądzieli, iż oszalał i zaiste w tym momencie był on szalony! Z trudem odciągnęli go od płomieni.

Brat Paweł rozumiał ból Fratra; sam odczuwał podobny. Patrzył jak karty zwijają się i skręcają pod wpływem żaru, jakby usiłowały przed nim uciec. Kolorowe jęzory tańczyły na ich ilustracjach. Żar słońca, płomienie Piekła, pożoga ducha — w mikrokosmosie!

Ogień przygasł. Opadły smętne popioły. Dokonało się; skarb uległ zniszczeniu. Skażony Dar został odrzucony. Brat Paweł grał zgodnie z regułami i wygrał. Za cenę Graala. Teraz ta animacja mogła już się zakończyć, uwalniając go od tortury związanej z jego pierwszym życzeniem.

Wszyscy czekali, jak gdyby byli żywym obrazem. Jednak nic się nie stało. Sprawa znalazła swoje rozwiązanie, a mimo to sztuka trwała nadal. Najwyraźniej Szatan nie zakończył jeszcze tej sekwencji. Z powrotem do swych ról!

— Unicestwiłeś tę demoniczną talię, dowód materialny przeciwko tobie — powiedział brat Tomasz. — Pozostaje ona jednak w twoim umyśle. Herezja bowiem nie jest przypadłością materii, lecz ducha. I z niej musimy cię oczyścić — dla dobra twojej duszy i dla dobra dusz tych wszystkich ludzi, którzy zostali sprowadzeni na manowce heretyckimi naukami.

Nie było więc sposobu, by tego uniknąć. Kościół średniowieczny miał słabość do stosowania środków fizycznych w celu osiągnięcia swoich duchowych celów. Czeka go ostateczna próba: tortury.

— Zabierzemy cię do naszego ośrodka przesłuchań — zdecydował brat Tomasz. — Ta sprawa

musi być przeprowadzona w sposób kompetentny.

Brat Paweł zakasłał. Nie był to z jego strony delikatny protest; czuł, że rośnie mu temperatura i wibrują płuca. Zapalenie płuc przybierało na ale. Nie przeżyje tortur; umrze nim wyrwą z niego jakąkolwiek informację. Spotkało go jednak rozczarowanie. Brat Tomasz zorganizował dla niego najbardziej skuteczne leki ziołowe, najlepsze mleko i chleb oraz wygodne łóże w cichym pokoju. Nie wezwał też cyrulika. Otoczył brata Pawła czułą opieką, czyniąc wszystko, co tylko w średniowieczu było możliwe, by go wykurować. Czy robił tak dlatego, iż wymagała tego rola — czy też z powodu przyjaźni, która między nimi istniała w ich poprzednich rolach?

Spał i śnił o Paryżu: mieście, którego nie widział ani w realnym życiu, ani w animacji. Obudził się w wygodnej komnacie. Nie podejrzewał nawet, iż mnisi żyją w takim komforcie! To nie była ciemna i ponura cela, lecz elegancki pokój. Właśnie przeciwko takim sprawom protestowały karty waldensów; przeciw kapłankom żyjącym jak cesarzowe i kapłanom jak sami cesarze. Podczas gdy prości ludzie żyli jak niewolnicy, którymi zresztą byli.

A jednak brat Paweł chętnie zamieniłby te doskonałe warunki na ubogą, ale serdeczną gościnność chłopów. Tutaj oczekiwały go tortury; nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. W każdej chwili te drzwi mogą się otworzyć, a on może być wywleczony...

Drzwi się otwarły. Brat Paweł zacisnął powieki, zbierając wewnętrzne siły. Był pewien, iż tortury w animacji będą potworne.

Poczuł zapach perfum.

— Czyżbym była aż tak brzydka? — odezwał się miękki głos.

Brat Paweł otworzył oczy. Obok łóżka stała bardzo atrakcyjna młoda kobieta. Pośpiesznie naciągnął na siebie narzutę.

— Kim...? — zapytał zdumiony.

— Jestem Lady Yvette — odpowiedziała, składając mu dworski ukłon.

Była piękna. Pod pozbawioną boków oponczą miała na sobie długą tunikę, tak dopasowaną, iż podkreślała wyraźnie kobiecość jej ciała, choć to, czym obdarzyła ją sama natura, nie wymagało żadnego podkreślenia. Miała też zapinany na guziki kaptur, nosiła go jednak odpięty pod szyją, odsłaniając wystarczający kawałek biustu, by wywołać grę wyobraźni. Oczywiście, Amaranta.

Brat Paweł nie był aż tak słaby, by jej wygląd nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Miał się jednak na baczności, wiedząc, iż to Szatan umieścił ją w tej scenie.

— Jak rozumiem, posiadasz wiedzę na temat pewnego pięknego kompletu kart do gry — powiedziała.

Należało się tego spodziewać. Jeszcze jedna sztuczka, by wciągnąć go w pułapkę.

— Miałem taką talię, ale niestety uległa zniszczeniu w ogniu.

— Tak, lecz przecież mógłbyś ją odtworzyć — rzekła z nadzieją w głosie. Uśmiechnął się.

— Nie jestem malarzem! — A kiedyś miał takie aspiracje... — Ta sztuka przekracza moje możliwości.

Przyglądała mu się z napiętą uwagą. Co kryło się tym razem za tą uroczą powierzchownością? Widział ją praktycznie zgwałconą podczas Czarnej Mszy, potem obsadzoną w roli sekretarki Szatana i w kilku pomniejszych rólkach obecnej wizji. Co naprawdę Amaranta czuła do niego? Kiedyś myślał, że ją kocha, ale ostatnie wypadki ochłodziły znacznie to uczucie.

— Możemy zatrudnić dobrego artystę. Opisywałbyś mu poszczególne ilustracje, a on by je malował pod twoim nadzorem. Trwałoby to trochę dłużej, lecz...

— Mogę nie mieć na to w ogóle czasu — powiedział. — Mam zostać poddany przesłuchaniu przez Święty Zakon w charakterze podejrzanego o herezję.

Podniosła w górę jeden palec.

— Ten zestaw kart byłby przeznaczony dla króla, który jest wielkim miłośnikiem...

— Aha! — Zalała go fala goryczy, czym sam poczuł się zaskoczony. — Jesteś jego kochanką!

Oblała się rumieńcem.

— ...wielkim miłośnikiem kultury — ciągnęła dalej. — Pięknej rzeźby, pięknego malarstwa. Te rzeczy sprawiają mu wielką przyjemność. Większą niż rządy królestwem. Gdybyśmy mu zasugerowali, iż poziom kulturalny dworu podniesie się wraz z wprowadzeniem pięknego kompletu kart z elementami mistycznymi, jestem przekonana, że byłby na tyle zaintrygowany tą sprawą, by złożyć zamówienie u najlepszego artysty. Szczególnie, że chodzi o karty o właściwościach magicznych.

— Właściwościach magicznych? Dlaczegoż król miałby się interesować takim nonsensem?

Pokręciła głową tak energicznie, że aż jej piersi zafalowały.

— Nie, nie... magia to nie nonsens! A Karol VI jest... — Zawahała się. — Jego królewska wysokość wykazuje pewien szczególny rodzaj zainteresowania okultyzmem. — Nachyliła się ku niemu i zniżyła głos. Bez wątpienia była w pełni świadoma, iż taka pozycja jeszcze bardziej wyeksponowała jej piękny dekolt. — Niektórzy twierdzą, że jest szalony, przynajmniej chwilami. Taki więc instrument — karty — mógłby być użyty do przywołania duchów...

Wszystko stawało się jasne. Król, nie w pełni władz umysłowych, zainteresowany sztuką i magią. Możliwe, iż są tacy, którzy mają nadzieję, że karty dostarczą mu rozrywki i zajmą jego czas, a oni tymczasem w spokoju będą rządzić królestwem. Cóż, nie było to zmartwienie brata Pawła.

— Jednakże, jeśli pomoże odtworzyć Tarota waldensów, otworzy tym samym drogę do zdrady.

— Przykro mi — powiedział.

Nachyliła się jeszcze bardziej, jak gdyby uważała, że widok jej piersi z odległości metra nie jest wystarczającym argumentem, iż odległość pół metra będzie o wiele bardziej przekonywająca.

— Nie rozumiesz wszystkiego, panie — rzekła z naciskiem. — Jeśli uczynisz to dla Karola, jeśli sprawisz mu radość — wyrwiesz się spod władzy Świętego Zakonu. Karol jest królem!

Oho! Jej propozycja była równie konkretna jak jej biust. Weź udział w dworskich rozgrywkach, a unikniesz tortur. Pomysł był pociągający. Z drugiej strony, naraziłby na niebezpieczeństwo tych wszystkich, których nauczali *barba*, wujowie — misjonarze. Inkwizycja niewątpliwie posłużyłaby się tymi kartami, by wciągnąć w pułapkę niczego nie domyślających się wiernych i uzyskać od nich przyznanie się do herezji.

— Nie — powiedział z żalem.

— Byłabym wielce zobowiązana — wyszeptała, dotykając stanika palcami jednej dłoni. — Namalowanie całości zabrałoby wiele tygodni, a ja byłabym przy tobie przez cały ten czas...

I to był ostatni aspekt jej propozycji. Miłość pięknej kobiety. Nie wiedziała, że jest kastratem. Pytony Szatana potraktowały ją podobnie, ale najwyraźniej tamto okaleczenie nie przeniosło się wraz z nią do tej sekwencji. Wszystkie członki i głowę miała na miejscu: została zmiażdżona szczękami Szatana, a następnie przywrócono jej dawną postać. Naturalnie założyła, iż z nim postąpiono podobnie. Jej wygląd i sposób zachowania mogły go i podniecać, lecz każda próba wykorzystania tego podniecenia okazałaby się daremna.

— Wynoś się stąd! — rzucił ostro.

Zaskoczona, wycofała się. A on zastanawiał się teraz: czy byłby w stanie oprzeć się takiej propozycji, gdyby nie pozbawiono go jąder?

Niedługo później brat Tomasz oprowadzał go po budynku. Zatrzymali się w piwnicach, gdzie znajdowała się stara i ociekająca wilgocią, lecz nadająca się do użytku izba tortur.

— Dziś jedynie eksponujemy narzędzia i urządzenia — rzekł brat Tomasz, rzucając na swego gościa zagadkowe spojrzenie. Jakie też były osobiste odczucia mormona w związku z tą rolą? — Muszę przeprosić za ponury nastrój. Odkąd Karol VI doszedł do władzy, kampania przeciwko błędom doktrynalnym jest o wiele mniej rygorystyczna niż ta, którą Kościół uważałby za właściwą. Stąd i nasze urządzenia troszkę zardzewiały.

— To przykre — powiedział brat Paweł ponuro. Poczuł przy tym, jak coś ścisnęło go w żołądku.

— Jednakże sytuacja ulegnie poprawie we właściwym czasie; słońce nie może być ciągle przesłonięte chmurami — ciągnął brat Tomasz. — Nie znaczy to jednak, iż nie będziesz się musiał poddać irytującej zwłoce.

— To miłe.

Nie było najmniejszych wątpliwości: brat Paweł odczuwał autentyczne przerażenie. Nigdy go jeszcze nie torturowano, a wiedział, że sługi Inkwizycji są ekspertami w tej dziedzinie. Może to wszystko jest tylko sztuką i grą, ale tortura na pewno będzie rzeczywista i równie rzeczywisty będzie ból. Czy któreś z przypadków śmiertelnych z poprzednich animacji zostały spowodowane torturami? Było to wielce prawdopodobne.

Brat Tomasz otworzył potężne dębowe drzwi i wprowadził go do ciemnej izby. Wyjął pochodnię z obręczy na murze, zapalił ją od tej, którą trzymał w dłoni, i umieścił z powrotem na dawnym miejscu. Dopiero teraz pomieszczenie było widoczne w całej swej okazałości i choć szczegóły nie były zbyt wyraźne, to, co sugerowały, nie bardzo odpowiadało jego gustowi. Otaczały go jakieś metalowe i drewniane konstrukcje. Cele i funkcje niektórych nie były zbyt jasne, charakter zaś innych był aż nazbyt, wręcz brutalnie oczywisty. Znajdowało się tam wielkie palenisko, wokół którego stały przeróżne naczynia, napełnione wodą, oliwą czy też jakąś inną cieczą. Ujrzał też noże, żelaza i topory. Z belek u powały zwisały sznury. Do murów przytwierdzone były łańcuchy i kajdany. Nie brakowało też drabin i opatrzonych w szprychy kół.

— Rozumiesz, iż praktyki magiczne w wykonaniu ludzi świeckich to nic innego jak uprawianie czarów — powiedział brat Tomasz, jak gdyby to był problem czysto akademicki. — A czary to herezja. Francja jest krajem, który przewodzi w świecie, jeśli chodzi o zdefiniowanie i wyjaśnienie charakteru tego zagrożenia. Nasi teologowie już wkrótce stworzą całościowy system procedur, który pozwoli uwolnić świat od tego zła. Przeszło sto lat temu arcybiskup Guillaume d’Auvergne wskazał właściwy kierunek, a Tomasz z Akwinu uczynił bardzo wiele, by ułatwić nam zadanie. Papież Grzegorz wyznaczył nas, dominikanów, do pełnienia tej świętej służby i tylko przed nim jesteśmy odpowiedzialni. Staramy się wykonywać nasze zadanie jak najlepiej.

— Bez wątpienia — zgodził się brat Paweł.

— Mimo to nie chcielibyśmy sprawić nikomu przykrości. Naszym pragnieniem jest jedynie obalić błędy religijne i ustanowić prawdę, tak jak jest ona przedstawiana przez Kościół. Dla dobra dusz ludzkich. Dlatego właśnie używamy każdego sposobu, by uzyskać dobrowolne wyrzeczenie się herezji.

— Takiego jak tortury — zauważył brat Paweł.

— Wolimy to nazywać przesłuchaniem — powiedział brat Tomasz z kwaśną miną. Na moment ich oczy się spotkały i nie było najmniejszej wątpliwości, iż za dyscypliną narzuconą przez rolę w duszy dominikanina czai się ból wyrzutów sumienia. — Mam szczerą nadzieję, iż dasz się namówić na dobrowolną współpracę, dzięki czemu zastosowanie przymusu okaże się całkowicie zbędne.

Jednostka Specjalna na uczelni w czasach studenckich brata Pawła żywiła podobne nadzieje. Rzadko jednak godność ludzka i wolność dały się zdławić bez żadnego oporu. Ludzie zawsze walczyli, jedni symbolicznie, inni z całą mocą. Brat Paweł wiedział, iż należy do tych drugich. Wiedział także, że Lee nie chciałby go torturować. Tak więc, chociaż kwestie w tej sztuce z założenia były pełne hipokryzji, w tym przypadku deklaracje brata Tomasza były szczerze.

— Wierzę ci — powiedział brat Paweł. — Powiedz mi jednak, naturalnie czysto teoretycznie, co stanie się z duszą człowieka, który zdradzi tych, którzy obdarzyli go zaufaniem? Jeśli uratuje siebie, a innych wyda na stos?

— Heretyków? — parsknął brat Tomasz. Ponownie jednak zdradzał oznaki napięcia. Drgał mu mięsień jednego policzka, a oczy były zwężone. Opanował te symptomy, podchodząc do pierwszego z narzędzi tortur.

— To są śruby do palców — powiedział, podnosząc do góry małe, metalowe urządzenia i oświetlając je pochodnią. — Nakłada się je na czubki kciuka lub palca, nie wyżej jednak niż podstawa paznokcia i zaciska tak długo, aż tryśnie krew lub pęknie kość. Zdziwiająco, jak wspomaga to przyznanie się do winy przesłuchiwanego; czasem wystarczy jeden palec. W przypadkach zatwardziałych śruby zacinają się i nie można ich zdjąć bez obcięcia palca. Mamy nadzieję udoskonalić ten instrument, żeby uniknąć tego całego bałaganu.

Brat Paweł zmusił się, by obejrzeć urządzenia. Nie były to żadne śruby, tylko prymitywne metalowe pierścienie, ściskane za pomocą skręcanych drutów. Przecież to zaledwie początki Inkwizycji; w ciągu następnych trzech wieków staną się one o wiele bardziej wyrafinowane — zgodnie z przewidywaniami brata Tomasza. W początkach bowiem zdarzało się, iż przesłuchiwani umierali, nim zdążyli odwołać to, co głosili; później takie przypadki były bardzo rzadkie. Czy powinien uważać się za szczęściarza, czy za pechowca?

— A to są bicz — kontynuował brat Tomasz, wskazując następną niszę w murze. — Zazwyczaj rozbieramy podejrzanego, wiążemy mocno i biczujemy jego grzbiet oraz pośladki. To pierwszy stopień przesłuchania. Jeśli nie odnosi skutku, rozciągamy go na drabinie. — Wskazał dłonią zwyczajną, drewnianą drabinę. — I oblewamy go wrzącym tłuszczem. Na ogół, w tym czasie, wyznaje swe winy.

— Bardzo praktyczne.

Metoda była prymitywna, ale na pewno wystarczająca. Brat Paweł był przekonany, iż on sam nie zniósłby takiej tortury. Mimo to, mając świadomość, jak wielu waldensów, których jedynym przestępstwem była wiara w pierwotne zasady głoszone przez Jezusa Chrystusa i w świętość Biblii, zostanie schwytanych i poddanych podobnym torturom — czyż mógł się ugiąć? Pomyślał o pełnej wdzięczności staruszce przywiązanej do tej drabiny i o chorej dziewczynce ze śrubami na drobnych paluszkach. Coś na kształt furii szatańskiej przesłoniło mu wzrok.

— A jeżeli podejrzanym jest niewinny? — zapytał, zaskoczony własnym spokojnym głosem. — Na cóż te wasze tortury, skoro torturowany nie ma do czego się przyznać?

— Nie istnieją niewinni podejrzeni — odparł brat Tomasz z chłodnym przekonaniem. — Zdarzają się jedynie małomówni heretycy. Tacy, którzy opierają się wstępnemu przesłuchaniu i poddawani są przesłuchaniu drugiego stopnia, zwanemu torturą zwykłą. — Wskazał na linę zwisającą z belki. — To służy do strappado. Ramiona podejrzanego zawiązywane są z tyłu, po czym unosi się go w powietrze i przywiązuje ciężary do jego nóg po to, by wyrwać mu ramiona ze stawów, nie rozlewając przy tym ani jednej kropli krwi i nie pozostawiając żadnych śladów na jego ciele.

Wyłamywanie członków. Oznaczało to, iż nawet jeśli uwolniono potem nieszczęśnika, nie był on w stanie powrócić w pełni do zdrowia. Nikt jednak nie miał zamiaru go uwalniać; jego cierpienie mogło się skończyć jedynie śmiercią. Na myśl o takiej perspektywie bratu Pawłowi zrobiło się niedobrze, lecz jednocześnie niezdrowa ciekawość zmusiła go do zadania następnego pytania:

— A jeśli ta małomówność trwa nadal?

— Wówczas z przykrością stosujemy trzeci stopień, zwany torturą nadzwyczajną. Jest to squassacja. Przypomina strappado, ale podejrzany podciągany jest wyżej, po czym gwałtownie spuszcza tuż nad podłogę. A ponieważ do jego nóg przywiązane są kamienie ważące i do stu kilogramów, ramiona wyłamane są w jednym momencie, a całe ciało boleśnie wyciągnięte. Trzykrotne zastosowanie powoduje na ogół śmierć.

Czy w średniowiecznej Francji używano kilograma jako jednostki wagi? Niezależnie od odpowiedzi na to pytanie, ciężar taki przekraczał z pewnością wagę przeciętnego człowieka. Jaką by miarę nie stosować, sprawa była ponura!

— A jeśli nawet i to nie spowoduje przyznania się?

— Ten, który przeżyje, zostaje poddany przesłuchaniu przy użyciu środków specjalnych. — Dominikanin zademonstrował mu prymitywne szczypce. — Podgrzewa się je w ogniu, a kiedy już są rozgrzane do czerwoności, rwie się nimi ciało podejrzanego. Albo sadza się go na krześle i zawiesza nad otwartym ogniem, gdzie smaży się powolutku. Można mu obciąć dłonie lub stopy, albo...

— Sądzę, iż to wystarczy — powiedział brat Paweł. Czy znajdzie „gdzieś miejsce, w którym będzie mógł spokojnie zwymiotować?”

— Miło mi to słyszeć. — Spojrzenie, jakim go brat Tomasz obrzucił, było połączeniem zwycięstwa, ulgi i z trudem ukrywanego przerażenia. Po czym odróżnić tancerza od tańca? — pomyślał brat olśniony nagłym zrozumieniem najgłębszego znaczenia tego wersu z poematu W. B. Yeatsa. Z jaką sympatią myślał teraz o mającej nastąpić za 500 lat przyszłości! I jak Frater mógł egzystować z sumieniem Kuglarza we własnym wnętrzu? Szatan poddawał go próbie równie surowej jak ta, której on sam był poddany. — Chodźmy na górę, gdzie skryba zapisze twoje zeznanie.

— Źle mnie zrozumiałeś — powiedział brat Paweł. — Nie mam nic do zeznania... z wyjątkiem mojej wiary w nieskończoną i niezmierną dobroć Bożą.

Rozczarowanie... i niema nadzieja.

— Odrzucasz wierzenia heretyckie i chronisz się na łono Świętej Matki Kościoła? — Co oznaczałoby kapitulację i podanie całej dostępnej informacji, włącznie z przywołaną z pamięci kompletną talią Tarota waldensowskiego, a także wydanie tych waldensów, których już spotkał na swej drodze. Lee nie chciał brać udziału w torturowaniu przyjaciela, tak jak i brat Paweł nie chciał kiedyś przybijać ręki swego przyjaciela do krzyża. Lee nie życzył sobie także prześladowania waldensów. Musiał jednak grać wiernie swą rolę, skoro nie było innej możliwości. — Ostrzegam cię, nie wyrwiesz się z naszej mocy; żaden podstęp, żadne fałszywe odwołanie na nic się nie zdadzą.

Dla niego byłoby najlepiej, gdyby brat Paweł zdołał uciec, bowiem wówczas nie byłoby ani tortury, ani zdrady. Stąd ta ukryta sugestia: przynajmniej SPRÓBUJ ucieczki. Brat Paweł mógłby nawet zginąć podczas próby ucieczki, a przecież i tak byłoby to lepsze od tej kościelnej alternatywy.

— Mam na myśli fakt, iż moje rozumienie szczególnych instrumentów dobroćliwości Kościoła jest więcej niż wystarczające — odparł brat Paweł, wskazując szerokim gestem narzędzia tortur. — Teraz muszę powrócić do siebie, by zastanowić się w spokoju nad decyzją.

— Naturalnie. — Brat Tomasz wyprowadził go z przerażającego pomieszczenia i zamknął drzwi do niego na klucz. Pewnie nie chciał, by ktoś się wślizgnął do wnętrza i zabawiał tymi instrumentami! — Możesz się zastanawiać tak długo, jak sobie życzysz... tyle że będziesz się musiał w tym czasie obejść bez dobrodziejstwa, jakim jest woda.

Pragnienie — najbardziej skuteczny z argumentów! Im dłużej brat Paweł zwlekał, tym gorzej dla niego. Czy Lee wiedział o jego małej odporności na pragnienie, datującej się z czasów dziecięcego nieszczęścia, czy był to zbieg okoliczności? Jego tortura już się rozpoczęła!

Po powrocie do pokoju brat Paweł ponownie obejrzał dokładnie zakratowane okno. Wyglądało to dość beznadziejnie; okno i kraty były solidne, a za oknem znajdował się wewnętrzny dziedziniec. Jediną drogą wyjścia pozostały więc zwykle korytarze i drzwi, które na pewno były pilnie strzeżone. Naturalnie, posiadał pewne szczególne umiejętności; mógłby pokonać mnichów w nocy, pozbawiając ich przytomności dzięki zastosowaniu techniki judo.

Nie. Przede wszystkim był chory; zapalenie płuc ustąpiło co prawda, kiedy odpoczywał, ale ciągle odczuwał skoki temperatury i cierpiał na krótki oddech, który świadczył o problemach z płucami. Walka i ucieczka doprowadziłyby szybko do poważnego pogorszenia jego stanu, nie na tyle jednak, żeby nie mogli go wykurować i przygotować na tortury. Po drugie — wiedział, że ci mnisi to jedynie aktorzy, ale jednak istniejący namacalnie i materialnie; nie miał moralnego prawa, by stosować wobec nich przemoc.

A przecież alternatywą ucieczki były tortury... lub zdrada. Jeśli poddadzą go torturom, prawdopodobnie i tak wszystko wyzna: możliwe jednak, iż inni, powstrzymani przez to samo, co i jego hamowało — rozsądek, przyjaźń, etykę — ustąpią po zastosowaniu jakiejś symbolicznej tortury czy kary. Wówczas udałoby mu się przez to przebrnąć. Jeśli jednak Lee gra swoją rolę z pełną odpowiedzialnością, tortury będą bez wątpienia bolesne. Jednym słowem — sytuacja bez wyjścia.

Usłyszał delikatne pukanie do drzwi.

— Jestem tutaj — zawołał drwiąco, jakby mogły być co do tego jakieś wątpliwości!

Drzwi się otworzyły. Stała w nich Yvette. Zdążyła się całkowicie przebrać. Teraz jej strój był w stylu włoskim, a włosy miała splecione w warkocz i owinięte wokół głowy na kształt korony. Góra sukni była obcisła i tak wymodelowana, by podkreślić kształt jej pełnych piersi, a rękawy wąskie i ściśle przylegające do przegubów dłoni. Linia kołnierza biegła prawie prosto od zaokrąglonych ramion do wypukłości piersi. Z tyłu sukni przechodziła w pelerynę, którą trzeba było, ze względu na obfitość materiału, podtrzymywać jedną dłonią, by nie przeszkadzała w chodzeniu.

Strój ten był uderzająco podobny do tego, który występował na ilustracjach kart najwcześniejszego Tarota, i bez wątpienia mógł cieszyć męskie oko. Naturalnie, nie było to nic zaskakującego w przypadku Amaranty; jakiegokolwiek roli by nie grała, zawsze posiadała potężny seksapil. Pozostawało jedynie pytanie, czy oprócz niego miała coś jeszcze?

— Chodź — wyszeptała konspiracyjnym szeptem. — Zostaniesz przyjęty na audiencji u króla.

— Co?

Jej kostium zbytnio zajął jego uwagę.

— Król Karol VI — powiedziała, mrugając do niego. — Opowiedziałam mu o twoich magicznych kartach i wyraził swoje zainteresowanie. To nasza wielka szansa.

Ujęła go za ramię i pociągnęła za sobą. Cóż, przynajmniej dawało to jakąś szansę ucieczki. Brat Paweł pozwolił się przeto wieść przez opustoszałe korytarze na zewnątrz budynku, gdzie wsiedli do zakrytego powozu, ruszyli. Pojazd trząsł niemiłosiernie na nierównościach, ale wewnątrz było intymne i był sam na sam z Yvette.

Obecna sytuacja sprawiała, jej wyraźną przyjemność. Odprawa, jaką poprzednio otrzymała, na krótko jedynie zbiła ją z tropu; jak zdrowe, młode zwierzątko — wykonała jeszcze jeden próbny skok. Podskakiwała też w sensie dosłownym; jej piersi wydawały się wrywać z krępującej je sukni. Nie wyglądałoby to bardziej interesująco, nawet gdyby była naga od pasa w górę. Jakież to miało jednak dla niego znaczenie? Był przecież eunuchem i bodźce docierały jedynie do jego mózgu.

— Mam wiele podziwu dla mężczyzn o silnej woli — powiedziała. — Jeśli tylko usłuzysz królowi...

Brat Paweł wzruszył jedynie ramionami. Żałował, iż nie może oglądać wielkiego miasta, Paryża. Już w czternastym wieku musiał być imponujący! Było dla niego oczywiste, że Yvette współpracowała z bratem Tomaszem (kij i marchewka pod nadzorem Szatana), usiłując przywieść go do zdrady, przed którą tak się opierał. Oboje więc pilnowali, by nie zorientował się w otoczeniu, bo mogłoby to ułatwić mu ucieczkę.

Oczywiście, mógł po prostu wyskoczyć z powozu i próbować umknąć, ale był pewien, iż jechała za nimi straż konna. Byłby bez szans! Musiał czekać na właściwy moment, jeśli... taki w ogóle nadejdzie.

Pałac robił wielkie wrażenie, zarówno swoją wielkością, jak i prymitywem. Weszli do ogromnego hallu, z którego prowadziły drzwi do pomieszczeń kuchennych; domyślał się tego, widząc nieprzerwany rząd służących, niosących półmiski z rybą, dziczyzną, gotowanym mięsem, pieczystym i ciastami. Poczul nagły głód. Ich przybycie zostało zapewne dokładnie zaplanowane, by wystawić na jego widok główny posiłek dnia. Był tak przejęty swoim pragnieniem, iż nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego, że od rana nie miał nic w ustach. Teraz to do niego dotarło!

— Wygląda na to, iż król jeszcze nie przybył — zauważyła Yvette.

Brat Paweł nie miał pojęcia, skąd mogła to wiedzieć, skoro cały hall wypełniony był ludźmi siedzącymi za drugimi stołami i uczującymi z zapalem. Wielu ubranych było w podbite futrem szaty i peleryny; powietrze było chłodne i brat Paweł żałował, iż nie ma na sobie czegoś cieplejszego. Jego towarzyszka była spostrzegawcza.

— Och, pewnie jest ci zimno. Podejdz do ognia. — I rzeczywiście, w samym środku sali znajdowało się palenisko, na którym płonął wielki ogień. Nie było tam jednak okapu i przewodu kominowego. Dym unosił się do góry i na boki wielkimi kłębami, szukając ujścia przez jedyny otwór, który znajdował się wysoko w suficie. Cóż, to ognisko przynajmniej dawało ciepło! Nie dziwota, że sala jadalna musiała mieć duże rozmiary; w przeciwnym razie dym zadusiłby wszystkich.

— Pozwól, że przyniosę ci coś do jedzenia i trochę wina — powiedziała Yvette z troską w głosie.

Prawdziwa Pokusa!

— Czy wolno?

— Naturalnie. Zostałeś wezwany na audiencję u króla; nie życzyłby sobie, żeby opowiadano, iż potraktowano cię niewłaściwie. Tutaj zawsze będziesz dobrze jadał.

Nie to miał na myśli. Cóż, może przeprowadzić eksperyment.

— Gdybym mógł dostać coś do picia...

— Jeśli król przybędzie, usłyszysz wpierw fanfary, po czym nastąpi cisza. Obrócisz się wówczas przodem do królewskiego orszaku i wykonasz ukłon. Poza tym, możesz zostać przy ogniu i ogrzewać się do woli.

Odplynęła w kierunku najbliższego stołu, falując biodrami. Teraz nastąpi sprawdzian: czy ta rola pozwoli jej na zaspokojenie jego pragnienia, a tym samym podkopanie zakazu nałożonego przez Fratra?

Brat Paweł rozejrzał się wokół. Co mogłoby go powstrzymać od opuszczenia tego miejsca w tej chwili, kiedy nikt nie zwracał na niego uwagi? Nie licząc oczywiście głodu i pragnienia. Kątem oka zauważył strażnika stojącego przy wyjściu. Nikt nie zwracał na niego uwagi? Ha!

Skupił ponownie swoją uwagę na czymś bardziej pozytywnym: na uginających się od jedzenia stołach. Ustawiono na nich wiele przeróżnych dań i przy odrobinie wysiłku był w stanie zidentyfikować sporą ich liczbę. Pieczone wołowe, popularne danie średniowieczne; duże kawały duszonego mięsa, pochodzenie niepewne; ryby morskie i słodkowodne; zupa na boczku; galareta migdałowa, złożona z drobno posiekanego kurczaka wymieszanego z ryżem i gotowanego w mleczku migdałowym, przyprawionego cukrem i podgrzewanego aż do stężenia. Zadziwiające, jak wiele był w stanie sobie przypomnieć, jeśli tylko zatrudnił właściwie swój wyostrzony głodem mózg! Miał nadzieję, że Yvette przyniesie mu coś z tych smakowitości!

Przede wszystkim miał jednak nadzieję, iż przyniesie mu ona coś do picia. Nie odpowiedziała bowiem bezpośrednio na jego prośbę; dopóki nie dostanie czegoś do picia, nie będzie miał

pewności, czy nie ma jedynie do czynienia z bardziej wyrafinowaną formą tortury. A może otrzyma w pierw jakieś danie, które wzmacnia jedynie pragnienie, i nie otrzyma później żadnego napoju? Pod stołami psy ogryzały kości i zjadały resztki. Nie istniał tu problem pozbywania się odpadków! Biesiadnicy odrywali rękoma kawałki mięsa i bez żenady oblizywali palce, nim sięgnęli po następny kawałek. Jeden ze szlachetnie urodzonych miał katar; wydmuchał więc hałaśliwie nos posługując się przy tym jedynie kciukiem i palcem wskazującym, po czym wytarł je o własną szatę i tymi samymi palcami sięgnął do miski, by wydobyć z sosu jakiś bardziej soczysty kawałek. Serwetek i sztucców nie było.

Rozległ się dźwięk przypominający głos rogu, a po nim zaległa cisza. Fanfary oznajmiające przybycie króla? Nie, fałszywy alarm; ktoś puścił wiatry z taką siłą, że dało się to słyszeć ponad ogólnym hałasem towarzyszącym ucztowaniu. Ludzie siedzący w pobliżu sprawcy odchylali się w tę i tamtą stronę, strojąc przesadne miny i pociągając znacząco nosem, ale było niemożliwością stwierdzić, kto jest winowajcą. Niewątpliwie dieta tego rodzaju musiała powodować gazy i wzdęcia, ale istniał też ogólnie przyjęty zakaz głośnego puszczania wiatrów. Przypomniało to bratu Pawłowi komentarz Marka Twaina na ten temat, zatytułowany *1601* — rzekomą konwersację pomiędzy angielską królową Elżbietą a jej dworzanami, wśród których znajdował się William Shakespeare. „Sama otchłań” wydała z siebie ten odór” — mruknął brat Paweł, cytując odpowiedź sławnego dramaturga na zarzut, iż to on był sprawcą smrodu. — „I artyleria niebieska wstrząsnęła całym globem z podziwu.” — Wydawało mu się to odpowiednim komentarzem do tej sekwencji, spłodzonej przez Diabła, władcę Powietrza. I jaki też miał z tym związek biblijny „boski wiatr”? Czyżby Kolor Mieczów w Tarocie obejmował również gazy?

Wróciła Yvette. Przygotowała dla niego wspaniały półmisek — kawałki mięsiwa w sosie cynamonowym; węgore w gęstym i ostrym puree; „frumenty” czyli gęsty pudding z pszenicznego ziarna i mleczka migdałowego, wzbogacony żółtkami jajek i zabarwiony szafranem; dziczyznę; a także kawałki czegoś o niejasnym pochodzeniu. I — chwala jej za to! — wino korzenne. Nareszcie ulga w pragnieniu!

Jakiż to kontrast pomiędzy tym, co miał na półmisku, a nędznym pożywieniem wieśniaków! Naturalnie żadnych sztucców. Mógł oczywiście jeść palcami, nie miał jednak ochoty naśladować obrzydliwych manier uczestników tej biesiady.

— Użyj deszczułka — zasugerowała Yvette delikatnie. To już były słowa Amaranty, która wypadła ze swej roli; autentyczna dama średniowieczna nie zauważyłaby, iż istnieje tu w ogóle problem.

Ach, tak — deszczułka. Gruba kromka czerstwego chleba, długa na około piętnaście centymetrów: służąca do wszystkiego łopatką, łyżką i talerzyk. Niezbędna w podobnych sytuacjach.

Brat Paweł przełknął trochę „frumenty” i popił winem. Ho, ho! Ależ ono mocne. Musieli je przyprawić obficie korzeniami, by zabić ten wściekle kwaśny smak! Jeśli jednak dobrze sobie przypomina warunki panujące w miastach średniowiecznych, wino to było o wiele bezpieczniejsze jako napój od wody; alkohol zabijał zarazki. Być może woda gdzieś w górnym biegu Sekwany była czysta, ale Paryż znajdował się zbyt daleko od nieskażonych terenów.

Stał obok ognia, nie niepokoiony przez nikogo, posilał się i popijał wszystko winem. Zaczął

odczuwać miłą lekkość; wolałby napój bezalkoholowy, lecz pragnienie było na tyle przemożne, że zadowolął się tym co miał. Najwyraźniej była to jednak prawda: Inkwizycja nie miała żadnej władzy w pałacu królewskim. Jeśli więc chciał uniknąć tortur...

Yvette spoglądała na salę zza filara podtrzymującego strop.

— Król nie przybył — zauważyła. — Będę musiała zaprowadzić cię do jego sypialni.

— Czy to przystoi? — spytał brat Paweł.

— Och, tak. Często tam bywam — powiedziała, idąc przodem. — Cóż, sam się o to prosił.

Sypialnia, położona piętro wyżej niż sala jadalna, była jednak czymś więcej niż tylko miejscem do spania. Znajdował się w niej kominek, ale z przewodem kominowym, dzięki czemu powietrze nie było duszne od dymu, jak w sali poniżej. Wokół kręciło się pełno dworaków; najwyraźniej była to także taka półformalna sala audiencyjna.

Król spoczywał na wielkim łożu z baldachimem. Wyglądało jak rydwan, a on jak jego woźnica. Na głowie miał nakrycie w kształcie turbanu zamiast korony, ale ozdobna, haftowana szata świadczyła o jego statusie. Brat Paweł poznał go natychmiast — był to bowiem Therion. Tak jak Lee z heretyka stał się dominikaninem, tak Therion z Żyda stał się monarchą. Czyżby Szatan dbał tak o swoich?

Król Francji Karol VI dostrzegł nowo przybyłych.

— Hej, ślicznotko! — zakrzyknął. — Chodź na całusa!

Yvette ruszyła w kierunku łoża — i nagle brat Paweł, któremu przypomniało się zakończenie Czarnej Mszy, stwierdził, iż dłużej tego nie zniesie. Odwrócił się i wybiegł z komnaty.

Za drzwiami wpadł wprost na brata Tomasza, którego obecność właśnie w tej chwili była dziwnie podejrzana.

— Pojmujesz już, jaka jest alternatywa. Czy nie lepiej byłoby wrócić na łono Kościoła?

Alternatywa: zawieszenie kaźni dzięki pośrednictwu kochanki szalonego króla. A Amaranta odegra swą rolę wiernie, rolę królewskiej miłośnicy, by oszczędzić mu tortur. Karty były jedynie pretekstem. Nie intelektualnej satysfakcji bowiem najbardziej pożądał Karol.

Brat Paweł miał przeto do wyboru: albo tortury, albo ujawnienie swych związków z Amaranta. A sam nie był pewien charakteru tych związków.

Dręczył go jakiś nieokreślony koszmar. Czuł ucisk wielkiego ciężaru na piersiach, utrudniającego mu oddychanie, niczego jednak nie widział. Był całkowicie bezbronny w obliczu tego nieznanego zagrożenia, a jednocześnie występował tu jakiś element lubieżności. Czyżby był masochistą, czerpiącym z bólu rozkosz zmysłową?

Potem do pokoju weszła pięknie zbudowana młoda kobieta, której sama obecność wydawała się rozświetlać powietrze. Była to Yvette, naga, promieniejąca. Wiedział, iż powinien jej unikać i kiedy zbliżyła się do niego, uderzył pięścią; zaciśnięta dłoń przeszła powietrze. Postać okazała się złudą.

Poczuł jej dotyk na swoim ciele, kiedy odrzucała przykrycie i ściągała z niego nocną koszulę. Choć opierał się ze wszystkich sił, nie mógł nic zrobić, bowiem jego ręce przenikały przez nią, podczas gdy jej dłonie były materialne. Krępowały go niewidzialne więzy i nie mógł opuścić łóżka; nie mógł nawet zmienić pozycji. Leżał na wznak, jak sparaliżowany, machając jedynie bezużytecznymi ramionami.

Nachyliła się nad nim, kołysząc przy tym ociężale kształtnymi piersiami, i pocałowała go w usta niewątpliwie w pełni materialnymi wargami. Nie mógł odwrócić głowy czy chociażby zamknąć oczu. Przypomnił mu się jeden ze świętych pańskich, który w podobnej sytuacji odgryzł sobie język, lecz on sam nie był w stanie poruszyć szczękami.

Jej namiętny pocałunek podniecił go mimo wewnętrznej walki i oporu. Usiłował więc skupić myśli na czymś obojętnym i odwracającym uwagę od tego, co się właśnie działo, na lodowatym prysznicu, na funkcjach trygonometrycznych, aż wreszcie jego ciało odprężyło się.

Nimfa jednak dopiero rozpoczęła swą walkę. A mówiąc ściślej — miłosną grę. Cóż za różnica! Przesunęła się w dół i nachyliła nad jego biodrami, unosząc jego męskość i umieszczając pomiędzy swymi gładkimi piersiami. Ścisnęła je dłońmi, unieruchamiając jego członek ich zmienną pełnością. Jej ciało ogrzewało go swym delikatnym, elastycznym naciskiem. Jego członek tak nabrzmiął, aż wydawało się, że się rozerwie, a jednocześnie stwardniał jak stal.

Przecież jestem kastratem! — krzyczał w myślach. — To nie jest możliwe! Nie mogę mieć reakcji seksualnych!

Najwyraźniej jednak mógł! Widziała jego pustą mosznę... pustą? W ogóle jej nie było!... i wiedziała o jego kalectwie. Cóż takiego więc ona wiedziała, o czym on sam nie miał pojęcia?

Zadowolona z operacji wstępnej, nimfa zmieniła pozycję i ostrożnie wprowadziła jego męskość w swe gorące ciało, które dla jego oczu nie było niczym więcej niż mgłą. Złączenie było całkowite.

Ponownie pocałowała go w usta, a całując go przesuwała się całym ciałem w górę i w dół, zwiększając i zmniejszając penetrację. Był to rytm spółkowania, a on nie miał żadnej przed nim obrony.

Mijały sekundy, minuty, a wreszcie, jak mu się wydawało, cała godzina. Ciężar, który czuł na swoim ciele, był niezmienny; przedtem był bezimienny, a teraz kobiecy. Przerazenie ustąpiło miejsca wstrętowi: nastąpiła jedynie przemiana wewnątrz tego samego uczucia. Była to więc tylko inna forma tortury.

Zrozumiał nagle: jego męskość była męskością chłopca przed dojrzewaniem. Mógł się podniecać aż do punktu krytycznego, ale nie mógł osiągnąć orgazmu. Mogło to przeto trwać i trwać...

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Stał w nich brat Tomasz z groźnym wyrazem twarzy. Yvette zniknęła: rozplynęła się po prostu w powietrzu, pozostawiając brata Pawła nagiego z widoczną erekcją.

— Ległeś więc z sukubą! — zagrział brat Tomasz. — Z nieczystością Szatana! Jesteś niepoprawnym heretykiem!

Brat Paweł milczał.

Znaleźli się w izbie tortur. Brat Tomasz pokropił święconą wodą instrumenty kaźni.

— Niech będą błogosławione te święte urządzenia, narzędzia Boga na Ziemi — zaintonował. — Niech się dzieje wola Twoja.

Umieścił dłonie brata Pawła w imadle i przykręcił śrubę. Brat Paweł zawył, ale nacisk nie ustąpił. Ból stał się nieznośny. Popękały paznokcie, krew tryskała małymi fontannami z każdego palca. Ciało i kości utworzyły jedną miazgę. Wiedział, że już nigdy nie będzie mógł posługiwać się swymi dłońmi.

Czyż nie była to stosowna kara? To przecież jego ręce, one jedynie, pozostawały wolne, wówczas gdy całe ciało było jak sparaliżowane. Nie dotykały sukuby, ponieważ nie istniała; była jedynie zjawą. A jednak czyjeś ręce go dotykały — a czyjeż to mogły być ręce prócz jego własnych? To on dotykał swych warg, wkładał własny palec do ust i uderzał we własne ciało, pod pretekstem wymierzania ciosów w zjawę. On sam dotykał i stymulował swą męskość w desperackim wysiłku odrzucenia realności demonicznej kastracji, którą był dotknięty. Jego to ręce były instrumentami nieczystości; teraz ponosiły więc kościelną karę.

Skryba—świadek trzymał w pogotowiu swe gęsie pióro.

— Zapijemy teraz twoje wyparcie się błędów — powiedział brat Tomasz.

Brat Paweł doświadczył nagłego przeblysku świadomości.

— Wsadź je sobie głęboko — powiedział w miarę delikatnie.

— Usta muszą być ukarane za bluźnierstwo — powiedział brat Tomasz ze smutkiem.

Umieścił w ustach brata Pawła metalową gruszkę i pokręcił korbką, tak że jej połowy rozdzieliły się i naciskały bezlitośnie na boki, powodując coraz szersze rozwieranie się ust, aż do wyłamania się ich połączenia skroniowo—zuchwowego. Nie mógł już nawet krzyknąć...

A przecież z tych właśnie ust płynęła herezja, popierająca olbrzymie zuchwalstwo waldensów. Tymi ustami przekazywał bluźniercze interpretacje Tarota i poniżał święte nakazy Miłującej Matki Kościoła. Skąd kara dla ust, które popełniły tak poważne zbrodnie: oko za oko, ząb za ząb...

Nie! — krzyczał w duchu. — Możliwe, że jestem grzesznikiem, lecz waldensi to dobrzy ludzie, a Tarot jest autentyczny i ważny. Nie mogę ich zdradzić!

Brat Paweł obudził się zlany potem. Był to więc koszmar nocny — demon snu. Dłonie miał całe, szczęki na miejscu.

Kiedy tak leżał, pozwalając, by pot powoli wysychał na jego ciele, uświadomił sobie, iż znaki świadczące o tym, że był to jedynie koszmar nocny, występowały przez cały czas. Sukuba wyglądała jak Yvette, jak Amaranta. Co oznaczało, iż była tworem z jego pamięci, a nie postacią z zewnątrz, z animacji. Prawdziwe kobiety nie zachowują się w ten sposób, co zresztą bywa przyczyną, iż mężczyźni miewają podobne sny. A narzędzia tortur — imadło i gruszka — z gwintowanymi śrubami. Przecież były to urządzenia bardziej wyrafinowane, na wyższym poziomie technologicznym; używała ich Inkwizycja w wiekach późniejszych, a nie teraz, w czternastym wieku.

Wszystko to było więc freudowskim snem wewnątrz snu, mechanizmem podwójnej cenzury, ukazującym mu żądze i lęki, do których nie chciał się przyznać jego umysł. Teraz powrócił do snu bardziej ogólnego, którym była animacja, stworzona przez Szatana wewnątrz animacji pierwotnej. A skoro już ujrzał to, co mieści się w tym potrójnym więzieniu...

Cóż w tym nadzwyczajnego? Miewał żądze! Lękał się bólu! Czy nie są to uczucia całkiem naturalne? Sen pokazał jedynie, jak trywialne są te jego tajemnice!

Pozostawało faktem, iż tortury tego rodzaju są nadzwyczaj skuteczne. I gdyby poddano go torturom na tym poziomie rzeczywistości, bez wątpienia przekazałby całą dostępną mu informację i zdradziłby swych przyjaciół. Jedynie w stanie snu miał dość odwagi, by kazać Inkwizycji wsadzić sobie... Nikt nie wytrzymałby w nieskończoność tak brutalnej karni. On sam, Wytrzymując tortury, czyniłby sobie jedynie krzywdę.

Yvette otworzyła drzwi i stała w nich przez chwilę, z lampą w rękę, jak sukuba, którą wydawała się niedawno być. Po czym wślizgnęła się do środka. — Kuglarzu... przybyłam tu w wielkim pośpiechu jeszcze przed świtem dla bezpieczeństwa nas obojga. Postąpiłeś bardzo nierozsądnie, wybiegając tak nagle od króla. Udało mi się go przekonać, że to przypadek żołądkowa zmusiła cię do nagłego odejścia, nie chciałeś bowiem zhańbić się w jego obecności, tak jak uczynił to ten stary śmierzdel w sali jadalnej. Karol jest zafascynowany sprawą kart magicznych i skłonny jest ci wybaczyć, jeśli powrócisz do niego bez zwłoki. — Stała nad nim, jak eteryczny duch kobiecy, odurzająco piękna. Gdyby ją teraz przyciągnął do siebie, rozebrał z szat, czy zachowałaby się jak ta sukuba? Poczul nagłą, dziką pokusę, by tak uczynić, ale powstrzymał się. — Błagam cię, mój przyjacielu — ciągnęła. — Pójdź ze mną, nim Święte Officium rozkaże zawlec cię do lochu. Kiedy już rozpoczną się tortury, nawet sam król nie wstawi się za tobą, z obawy przed z ekskomuniką, którą mógłby nałożyć na niego papież Klemens.

Ekskomunika papieska! Nadużywanie władzy przez Kościół nie miało granic! Na dodatek, papież Klemens znany był z historii jako antypapież, choć jego wybór nie był ani odrobinę bardziej uzasadniony względami politycznymi niż wybór innych, pełnoprawnych papieży. Możliwe, że jego głównym przestępstwem był fakt, iż nie rezydował w Rzymie. Kościół zmuszał wszystkich do posłuszeństwa wobec swoich zaleceń, a nie potrafił porozumieć się w sprawie Papieża i uznać, iż jego urząd jest o wiele ważniejszy niż miejsce zamieszkania. Brat Paweł podjął nagłą decyzję.

— Pójdę z tobą.

— Naprawdę? — spytała zaskoczona.

Jej wyraźne zdziwienie zastanowiło go. Co też on robi najlepszego? Wiedział przecież, iż przekazanie kart królowi będzie tym samym, co przyznanie się bratu Tomaszowi. W obydwu przypadkach, waldensi we Francji, w Świętym Cesarstwie Rzymskim, a być może i w samej Italii, zostaną zagarnięci przez Inkwizycję. Podda się ich torturom i prawdopodobnie uśmierci, tak jak uczyniono to z albigensami.

Nie było jednak sposobu, by oprzeć się delikatnej perswazji Kościoła. Nie był to więc wybór pomiędzy dobrem a złem, lecz między oczywistym złem, a złem subtelnie zawoalowanym. Problem ograniczał się jedynie do tego, czy przekaże posiadane informacje przed, czy po wyłamaniu ramion i zmiżdżeniu palców. Skoro i tak musiał skapitulować, lepiej będzie, jeżeli uczyni to w warunkach komfortowych, uczując przy stole królewskim i flirtując z królewską metresą.

Wstyd i hańba! Ale jakie inne wyjście mu pozostało? Poczucie osobistej godności, ostatnia z wartości, które w sobie cenił, zostało brutalnie stłamszone. Piekło upodlało go stopniowo, krok po kroku, aż nie był w stanie zachować swej dumy i godności. Tak więc uczyni, co ma uczynić... jeśli tylko będzie wiedział, co to ma być.

Cóż, mógł próbować ucieczki. Nie będą go przecież pilnować przez cały czas, a wkrótce jego zdrowie ulegnie poprawie i jeśli rozpocznie od opisywania kart najmniej ważnych w całej talii, może uzyskać szansę ucieczki, nim pojawią się te ważne i kluczowe. Przyjmując propozycję króla Karola, kupuje sobie czas i swobodę ruchów...

Nie! Nie będzie działał w złą wierzę. Skoro dał słowo, iż udostępni karty szalonemu królowi, będzie to musiał uczynić. Nie utracił przecież jeszcze swej godności.

Mimo iż w konsekwencji wszyscy związani z Tarotem zostaną praktycznie poddani ludobójstwu? Cóż to za godność?

Yvette wywiodła go (w więcej niż jednym znaczeniu) z cichego klasztoru, z tego miejsca tortur, i wsiadła wraz z nim do zamkniętego powozu. Na wschodzie pojawiło się pierwsze światło dnia. Żałował, iż nie może oglądać wschodu słońca!

Dziewczyna pocałowała go delikatnie.

— Tak się cieszę, że odzyskałeś zdrowy rozsądek! Wszystko jest już przygotowane. Bez żadnej dalszej zwłoki przedstawię cię artyście.

— Artyście?

— Temu, który pod twoim kierunkiem będzie malował karty. Nazywa się Jacquemin Gringonneur. Jest rzeczą niezbędną, by praca postępowała szybko, bowiem król jest niecierpliwy i trochę się na ciebie gniewa. Jest młodym człowiekiem, nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat, lecz niech to cię nie zwiedzie. Zdolny jest do najbardziej szalonych czynów.

— Bez wątpienia — przyznał brat Paweł, myśląc o historycznej postaci, jaką był Karol VI, który

wstąpił na tron jako dwunastoletni chłopiec i oszalał w wieku dwudziestu czterech lat... i o Therionie, grającym teraz jego rolę. Jednak myśli miał zaprzątnięte przede wszystkim swoim własnym problemem. Wyglądało na to, iż jedynym praktycznym i honorowym wyjściem, które mu pozostało, by uchronić się przed torturą i uratować waldensów przed zagładą — było samobójstwo. Myśl ta musiała kołatać się gdzieś w jego czaszce już w chwili, kiedy zgodził się przybyć do pałacu. Jak długo żył Kuglarz, w jakiegokolwiek postaci, waldensi nie byli bezpieczni, a Tarotowi groziło unicestwienie. W tym ostatnim była szczególna ironia losu: przekazanie Tarota w pięknym, dworskim wydaniu, opublikowanie go spowodowałoby jego zniszczenie wraz z zagładą jego twórców. Straciłby on swoje znaczenie, stając się zwykłą talią kart, jakich wiele.

Czy miał dość odwagi, by się poświęcić? Czy był to punkt, do którego dochodzili poprzedni badacze zjawiska animacji? Wkrótce się o tym przekona!

Powóz stanął. Yvette zaprowadziła go tym razem do otoczonego kamiennym murem pałacowego ogrodu.

— Zaczekaj tutaj — powiedziała. — Przyprawdżę artystę.

Kiedy wypowiadała te słowa, zza chmur wynurzyło się słońce i zaświeciło jasno ponad murem. Jego pierwszy promień padł na zegar słoneczny ustawiony na postumencie. Wysokie kwiaty falowały w porannym wietrzyku; czyżby to były słoneczniki? Nie wiedział dokładnie, która to pora roku; założył, że wiosna, ale równie dobrze mogła to być jesień. Słońce było tak silne, że jego promienie rozchodziły się w szesnastu kierunkach, dzieląc na ćwiartki, ćwierćkręgi, oświetlając cały świat.

Stał tam, trzymając dłoń Yvette w swojej dłoni, z niechęcią myśląc o jej odejściu, pomimo opinii, jaką sobie wyrobił na temat jej charakteru. Jakby nie było, robiła to wszystko dla niego; mogła być bowiem uwieść króla Karola, nie zajmując sobie głowy jakąś talią Tarota. Zgodnie ze swoim systemem etycznym, czyniła słusznie. Niesłuszne więc było potępienie dziewczyny jedynie dlatego, iż jej wartości moralne różniły się nieco od jego własnych. A poza tym, łatwiej mu przychodziło wybaczyć pięknej kobiecie.

Nagle, z jasnością równą tej słonecznej, doznał objawiania. Istniała alternatywa — taka, która zadowoliłaby wszystkie strony, nie wyrządzając krzywdy żadnej z nich — z wyjątkiem, być może, samej Inkwizycji.

— Pozwól, że opowiem ci o pierwszej karcie, którą zamierzam opisać dworskiemu artyście — rzekł do niej. — Jest ona poświęcona tobie, moja śliczna.

— Mnie? — Uśmiechnęła się, mile polectana w swojej próżności.

— Tobie, dziecięciu ogrodu. Przedstawia bowiem właśnie to miejsce o świcie, z murem i kwiatami... i z dwojgiem młodych ludzi, praktycznie dwojgiem dzieci w obliczu chwały Stworzenia, nagich jak Adam i Ewa...

— Panie? — odezwała się figlarnie.

— Niech będzie ubranych — powiedział z uśmiechem. Przywołał z pamięci kartę z Tarota Świętego Zakonu Wizyjnego, lecz wydała mu się w tym miejscu anachronizmem. — Skąpanych w jasnym świetle złocistego dysku. A obraz nazwany jest... Słońce.

— Słońce! — powtórzyła, zadowolona.

Jego zadowolenie nie było ani trochę mniejsze. Wiedział już bowiem, jak ma postąpić. Stworzy Tarota dla króla, ale nie będzie to dokładne odtworzenie Tarota waldensów. Uprości go, eliminując pewne Atu, aby Inkwizycja nie była w stanie domyślić się pełnego znaczenia talii. O niektórych kartach dominikanie już wiedzieli i te musiał zachować, usuwając z nich jednak kluczowe symbole, by uczynić ich znaczenie niejasnym. Ponieważ ilustracje były tak zaprojektowane, by można je interpretować na dwu poziomach, prawdziwym i powierzchownym, ta część zadania nie była zbyt trudna; nie zdradzi w ten sposób prawdziwej natury żadnej z ilustracji. A jeśli uda mu się wyeliminować osiem Atu i jednym śmiałym cięciem zlikwiduje kluczowy kolor Ducha...

Uśmiechnął się ponownie, trzymając ciągle jej dłoń w swojej. Szalony król Karol VI nie zauważy różnicy; interesuje go jedynie piękno tych kart (lub uroda tej, która mu je poleciła) i ich domniemane właściwości magiczne. Brat Tomasz nieprędko zorientuje się, że talia jest niepełna, ponieważ nie miał okazji przeliczyć kart, a brat Paweł przedstawi mu je w przypadkowej kolejności. Kolejność pierwszego pół tuzina zachowa nietkniętą na wszelki wypadek. Uwzględniając czas, jaki artysta poświęci każdej z osobna, szczególnie jeśli brat Paweł będzie wymagający w kwestii detali — naturalnie po to, by król otrzymał najlepszą z możliwych talii — mogą upłynąć całe miesiące, nim praca zostanie ukończona. A wtedy, któż będzie w stanie stwierdzić z całą pewnością, czy talia jest pełna, czy też brakuje w niej pewnych kart? Lee mógłby to wiedzieć, lecz jako brat Tomasz nie będzie miał możliwości, by to udowodnić, byłoby to bowiem niezgodne z regułami tej gry.

Praktycznie rzecz biorąc, brat Paweł stworzy nowego Tarota, złożonego z jakichś dwudziestu Atu i czterech kolorów z trzynastoma kartami w każdym kolorze... no, może czternastoma, niczemu to nie zaszkodzi. Pełna talia mieć będzie około 75 do 80 kart, a każda karta swój tytuł i interpretację ukrywające jej prawdziwe przesłanie. Inkwizycja może latami badać kopie takiej talii; zmarnuje tylko czas i wysiłek. Natomiast waldensi nie dadzą się zwieść „Kuglarzowi”, który nie wspomni ni słowem o Duchu, o Naturze, o Wizji czy Dwójce Aury. Ani takiemu, który nie podda pod dyskusję prawdziwego znaczenia Atu, znanego popularnie jako Słońce.

Bowiem dla waldensów ta ostatnia karta oznaczała... Triumf.

25

Rozsądek (Myśl)

I powstała kleista breja, by skrytykować dzieło sztuki. — Stoisz tam — powiedziała — pogodnie i zadowolone w swym hebanowym blasku... a przecież zupełnie bezużyteczne. Sądysz, iż jesteś piękne, a jesteś jedynie wymodelowaną lupiną. Pokrywa cię glazura, a jesteś łamliwe i płytkie. Gdzież w tobie jakaś miękkość? Gdzież ta subtelna, śliska odporność, będąca dziedzictwem najzwyklejszej kropli smaru? Gdzie płynność ruchu, elastyczność i ciepło pomyj? Brak ci zmienności rozmiarów, kształtów i kolorów, która jest udziałem każdego kubła na śmieci. Nie możesz unosić się swobodnie w delikatnym powietrzu, jak to czyni każda cząsteczka kurzu »gnieciona z podłogi. Nie potrafisz zrozumieć sztuki refrakcji, załamywania się promieni światła słonecznego w brudnej szybie. Nie potrafisz uczynić się nieśmiertelnym poprzez pozostawienie pięknej plamy na ścianie. I nigdy, przenigdy nie będziesz źródłem tego zadowolenia, które uzyskuje człowiek z dobrze wykonanej roboty, to znaczy, z uprzątnięcia śmiecia takiego jak ja.

— Nie jesteś piękne... jesteś potworkiem.

— Dzieło sztuki słuchało i odczuwało wstyd. Spadło z antycznego stolika i roztrzaskało się o podłogę. Breja przyglądała się pani domu zmiatające miriady fragmentów i odprysków, we wszystkich kształtach, kolorach i rozmiarach, i wrzucającej je ze smutkiem do kosza na śmieci.

— Teraz jesteś piękne — powiedziała breja i zniknęła w rurze kanalizacyjnej.

— No cóż — rzekł Szatan — czy jesteś zadowolony z tego, czego dowiedziałeś się o pochodzeniu i naturze Tarota?

— Tak — przyznał brat Paweł. — Czegoś się dowiedziałem. Czy spłaciłem jednak dług związany ze spełnieniem mojego życzenia?

— Zdałeś egzamin — odparł Szatan z otwartą szczerością. — Przez moment sądziłem, że już cię dopadłem w tym zawieszeniu pomiędzy grzechem i torturą, ale przeszedłeś przez ucho igielne. Naturalnie, skompromitowałeś się co nieco, świadomie wprowadzając w błąd Inkwizycję, lecz twój problem nie polegał na wyborze pomiędzy dobrem i złem...

— ...ale na wyborze pomiędzy dwoma rodzajami zła — dokończył brat Paweł. — Na tym polegała piekielność tej sytuacji.

— Dokładnie na tym. Każdy bowiem potrafi odróżnić dobro od zła, jeśli tylko zechce, w jakiejś konkretnej sytuacji; nie każdy natomiast potrafi zrozumieć zło na tyle dobrze, by zająć wobec niego rozsądne stanowisko. Wykonałeś doskonałą robotę i obawiam się, iż Piekło nie jest ci przeznaczone... ale pozostają jeszcze dwa życzenia. Często ktoś, kto zdoła sprostać najcięższemu

wyzwaniu, nie radzi sobie z drobniejszym. Możemy kontynuować?

Jakiż sens miałyby zwłoka? Brat Paweł chciał już zakończyć ten okropny egzamin!

— Bardzo proszę — powiedział, podniesiony na duchu swym sukcesem. Cóż może być gorszego od tego średniowiecznego Piekła, przez które właśnie przeszedł?

— Wymień swe drugie życzenie.

— Chciałbym poznać ewolucję i przyszłość Tarota. Szatan strzelił z ogona jak z bata.

— Tak też się stanie...

— ...ale bez cielesnego udziału z mojej strony! — krzyknął brat Paweł. — Chcę to jedynie postrzegać, a nie przeżywać osobiście!

Jedno doświadczenie historyczne we własnej skórze wystarczało mu zupełnie! Czy Szatan zgodzi się na taką modyfikację?

— Doskonale. Pa! Pa! — powiedział Szatan, machając czterema palcami. Gest ten w wykonaniu każdej innej istoty robiłby wrażenie zniewieściałego.

Brat Paweł poczuł, że się unosi. Spojrzał w dół... i zobaczył swe ciało stojące w gabinecie Szatana. Szatan i jego otoczenie nie zmieniły pozycji. Unosił się coraz wyżej i widział teraz pokój sekretarki — czyściła paznokcie w odwieczny dla tego gatunku sposób — i inne pokoje wokół niego. Był w stanie widzieć przez ściany, zobaczyć każdy szczegół; otrzymał prawdziwie rentgenowski wzrok.

A więc to tak wyglądała wędrówka duszy! Jego aura oddzieliła się od ciała i podróżowała postrzegając wszystko sama z siebie. On sam zaś zespolił się z piątym kolorem Tarota.

Ujrzał dziesiątki pokoi biurowych... setki... tysiące... zbyt wiele, by dało się je zliczyć. Każdy był komórką całości, połączoną z sąsiednimi za pomocą naczyń i tworzącą wraz z nimi większe organy. „I każdy w swej własnej celi jest niemal przekonany o swej wolności” — pomyślał, przypominając sobie słowa poety, Audena. Całość tworzyła monstrualnych rozmiarów budynek, wysoki na tysiące pięter, o nieregularnej sylwetce, wsparty na dwóch masywnych kolumnach — kształt Samego Szatana.

I jeszcze wyżej. Oglądał Piekło z jego miriadami cel, z których każda służyła wyspecjalizowanym torturom. Po czym wystrzelił w górę, w jasne światło dnia.

Zbliżał się teraz do kontynentu średniowiecznej Europy, świadom czasu, w którym się znajdował, choć źródło tej świadomości pozostawało dlań niejasne, i do miasta Paryża. I tym razem nie przyjrzał mu się dokładniej, bowiem przeniósł się nagle do sypialni króla. Karol VI walczył z ogarniającą melancholią, zabawiając się Tarotem Gringonneura. Talia ta powstała pod nadzorem brata Pawła i zawierała dwadzieścia dwa Atu, cztery kolory, sumie siedemdziesiąt osiem kart. Była jedynie cieniem Prawdziwego Tarota ale oznaczała również osobiste zwycięstwo brata Pawła!

Ponieważ Karol lubił towarzystwo podczas gry, zmuszał swoich dworzan do udziału w niej. Była to dla nich duża zabawa; stawali się oni z czasem ekspertami w wymyślaniu nowych interpretacji dla poszczególnych kart i rozkładów, takich interpretacji, które poprawiały królewskie samopoczucie i podbudowywały jego *ego*. Wkrótce powstało wiele kopii tej talii i gra w Tarocchi stała się modna w całej Francji i w całej Europie wśród tych, którzy mogli sobie na to pozwolić. Tarot stał się symbolem statusu społecznego. Bardzo szybko pojawiły się jego odmiany, związane z danym krajem, miastem czy środowiskiem. Niektóre talie posiadały aż czterdzieści jeden Atu — zwanych czasem Triumfami — na które składały się Atu „podstawowe”, zachowane przez brata Pawła, plus astrologiczne znaki zodiaku, plus cztery „żywioly” (skutecznie wyeliminował ten piąty!) i pewne Cnoty. Inne talie, z kolei, miały osiem kolorów. W żadnej nie występowały jednak karty ukryte przez brata Pawła: osiem Atu i cały kolor Aury.

Waldensi, naturalnie, znali prawdę... lecz nigdy nie podali jej do wiadomości publicznej. Przetrwali oni pomimo prześladowań i wielu ciosów, stając się w końcu uznaną sektą chrześcijańską, mającą swych wyznawców na całym świecie, włącznie z Ameryką. W wiekach późniejszych, kiedy herezja zyskała uznanie pod imieniem protestantyzmu, można było już wyjawić tę tajemnicę... ale wówczas nie była ona już tak ważna, by warto było ją sobie przypominać. Prześladowania uczyniły oryginalnego Tarota tym, czym był; brak prześladowań spowodował, iż jego znaczenie przyblakło. Okaleczony Tarot stał się praktycznie własnością Cyganów i innych marginesowych grup społecznych, używających go głównie do wróżenia. I tak tajemnica pozostała tajemnicą, zapomnianą w końcu i przez samych waldensów.

Wynalazek i rozwój techniki drukarskiej w końcu piętnastego wieku udostępniły karty do gry masom. Dla wielu ludzi pełna talia była jednak zbyt skomplikowana i nieporęczna, a piękne ilustracje zbyt drogie. Zlikwidowano więc część kart, a talia przybrała formę oryginalną, taką, w jakiej waldensi ukrywali swoje ilustrowane wykłady. Z Atu pozostał jedynie Głupiec, zwany teraz Jokerem, czyli Błaznem lub Żartownisiem. Czasami pojawiała się też pusta karta, dostarczana przez producenta karta zapasowa, będąca jedynie duchem Ducha. Rycerze zniknęli, co zmniejszyło liczbę kart w kolorze do trzynastu. W ten sposób talia chłopska liczyła pięćdziesiąt trzy karty. Symbole kolorów przeszły również metamorfozę dopasowującą je do chłopskiego poziomu: Miecze zmieniono na Dzwony, Owoce Granatu lub Papugi, a w końcu na Łopaty — Piki (Tarot zaiste przekuł miecze na lemieszce!), Kielichy na Róże i na Serca (Kiery), Pałki na Żołędzie i Koniczynki zwane później Treflami, a Monety na Liście i Diamenty (Kara). Talia niemiecka z roku 1437 przedstawiała sceny z polowania i miała takie kolory, jak: Kaczki, Sokoły, Jelenie i Psy. Późniejsza talia miała szesnaście oznaczeń kolorów: Słońca, Księżyc, Gwiazdy, Tarcze, Korony, Ryby, Skorpiony, Koty, Ptaki, Węże i inne. Grano w gry zwane Trappola, Hazard, Basset i Flush; grano zawzięcie. Karty dojrzały... ale na najniższym możliwym poziomie.

Tarot „kompletny” egzystował ciągle jako podgatunek, pociągający osoby o zainteresowaniach okultystycznych. We Włoszech, Philippo Maria Visconti, książę Mediolanu, kochał się w kartach i dlatego, za olbrzymią sumę, zamówił kilka zestawów, włącznie z elegancką talią heraldyczną, w celu uczczenia związku swojej córki z potomkiem Sforzów w roku 1441. — Ach, tak, najpiękniejsze z talii klasycznych — wyszeptał Brat Paweł, unosząc się w powietrzu i kontemplując te karty w ich oryginalnym przepychu. Była wśród nich Cnota Główna — Sprawiedliwość, przedstawiona jako dama w szacie utkanej ze srebrnej nici, dzierżąca miecz i wagę, z rycerzem pędzącym na rumaku w

tle. Był Księżyc, który inna dama trzymała na swej prawej dłoni, podczas gdy jej lewa dłoń pociągała za sznur podtrzymujący jej spódnicę; jeśli symbol lunarny nie był zbyt jasny dla patrzącego, lewa dłoń czyniła symbolikę kobiecą bardziej oczywistą. Ach, kobieta: czymże by była bez tych delikatnie sugerowanych tajemnic? I karta Świat, ukazująca otoczone murem miasto, zawieszony pomiędzy niebem i morzem. Cnota Główna — Męstwo, z potężnym Herkulesem walącym maczugą lwa. Szkielet — Śmierć z olbrzymim łukiem. I Czas w jasnyniebieskim płaszczu, narzuconym na żółtą tunikę, z klepsydrą w dłoni.

Brat Paweł nie mógł zatrzymać się tutaj dłużej. Musiał podążać śladami Tarota, gdziekolwiek by go miały zaprowadzić. Widział uproszczonego, prawie rysunkowego Tarota, powstałego we Włoszech; w takiej formie był bardziej zrozumiały dla chłopów i rzeczywiście stał się bardzo popularny wśród warstw najniższych. Wkrótce skopiowano go we Francji i nazwano Tarotem marsylskim. Kulminację dalszych jego wariantów stanowił Tarot szwajcarski z wieku osiemnastego. Niestety, symbolika uległa dalszej degradacji w ciągu wieków, w dużym stopniu za sprawą „transformacji ikonograficznej” — niewłaściwego odczytywania ilustracji i zmienionej interpretacji nałożonej na tak odczytane ilustracje. Czas zagubił swoją klepsydrę i stał się Pustelnikiem z lampą, a Herkules symbolizujący Męstwo zmienił się w damę delikatnie poskramiającą lwa i nazwaną Siłą.

Pojawili się eksperci, przysięgający przywrócić Tarota do jego pierwotnego stanu, lecz choć Inkwizycja przeminęła, nie udało im się odkryć brakujących kart. Hrabia de Gebelin twierdził, iż Tarot pochodzi ze starożytnego Egiptu i opiera się na siódmkach: dwa razy po siedem kart w każdym kolorze, trzy razy po siedem Atu (plus nie posiadający oznaczenia liczbowego Głupiec); w sumie jedenaście razy siedem (plus Głupiec). Nazwa zaś pochodzi od egipskiego *tar* znaczącego „drogę” i *ro*, które znaczy „royal”, czyli „królewski”. Stąd tłumaczenie Tarota jako „Królewska Droga Życia”.

Brat Paweł pokręcił nie istniejącą głową i podążył dalej. Napotkał ucznia Gebelina o imieniu Aliette, z zawodu perukarza, który utrzymywał, iż źródła Tarota należy szukać w czasach cztery tysiące lat wcześniejszych, to jest w okresie Potopu. Odwrócił on swe imię i nazwał nim talię Tarota własnego pomysłu, uzupełniając jeszcze tę nazwę wartościującym przymiotnikiem: Wielka Etteila. Tutaj Papieżyca stała się Doradczynią, piękną nagą kobietą stojącą wewnątrz powietrznego wiru, i nosiła jego imię, Etteila. Królowie i królowe stali się przedstawicielami różnych zawodów i grup społecznych, a Głupiec zmienił się w Szaleństwo. Talia była ładna i dobrze ilustrowana, lecz brat Paweł nie zamierzał zatrzymywać się przy niej dłużej. Następnie napotkał Alphonsa Louisa Constanta, który pod pseudonimem Eliphas Levi przeszedł pochodzenie Tarota wstecz aż do Enocha, biblijnego syna Kaina. Powiązał Tarota z żydowską Kabałą, przyporządkował — kowując Atu poszczególnym ścieżkom kabalistycznego Drzewa Życia. Potem brat Paweł ujrzał Gerharda Encausse’a, który pod imieniem Papus przyporządkował poszczególne Atu dwudziestu dwu literom alfabetu hebrajskiego.

— Żyd Abraham byłby zachwycony! — skomentował brat Paweł i podążył dalej.

W końcu zbliżył się do wieku dwudziestego. Był to wiek Zakonu Złocistej Jutrzenki i Arthura Edwarda Waite’a, twórcy jeszcze jednej „poprawionej” wersji Tarota. Waite uczynił Głupca postacią świętą, a psa jego ulubieńcem, zamiast gryzącym w łydki i siedzenie kundlem, a niesławnej pamięci Papieżyca stała się dziewiczą Arcykapłanką. Jednego z diabełków Szatana zamienił w nagą

kobietę o bujnych piersiach, sugerując tym Ewę, i w ogóle pomieszał w symbolice, jak wydawca poprawiający rękopis, którego nie zrozumiał. I naturalnie nie przywrócił Czasu, pozostawiając Pustelnika. Inny z członków Jutrzenki, Paul Foster Case, udoskonalił jedynie ilustracje Waite'a dla potrzeb swojej talii, ale pozostawił wszystkie błędy poprzednika. Święty Zakon Wizyjny brata Pawła wprowadził dalsze udoskonalenia do wariantu Case'a, tworząc Tarota na własny użytek.

Brat Paweł doszedł do wniosku, iż nie jest w stanie akceptować Tarota Wizyjnego w takiej formie. Jego związek z prawdą — taką, jak brat Paweł ją teraz widział — był tylko częściowy.

— Och, Szatanie, pozbawiłeś mnie czegoś, co bardzo ceniłem — powiedział. — Tarot Wizyjny wystarczał mi w zupełności; wierzyłem, iż jest najbardziej wyrafinowany i najbardziej autentyczny spośród wszystkich Tarotów... dopóki nie odwiedziłem Piekła.

Powędrował dalej. Aleister Crowley był jeszcze jednym członkiem Jutrzenki, który musiał wtrącić swoje trzy grosze. Przekształcił on Wytrwałość w Żądzę, ilustrowaną postacią rozpustnej, nagiej kobiety, ujeżdżającej wielogłowego potwora i trzymającej jedną dłoń na jego penisie, a drugą podtrzymującej kielich na tle plemników i komórek jajowych. Jego Diabeł przypominał monstrialnego fallusa, z nałożoną nań postacią kozła. Sprawiedliwość stała się Konformizmem, Umiarkowanie — Sztuką, Osąd stał się Wiecznością, Powieszony był kastratem (Brat Paweł doświadczył tu nagłego współczucia), a Pustelnik pozostał Pustelnikiem.

Brat Paweł wyrzucił w górę swe niewidzialne ramiona i powędrował dalej. Poznał już teoretyczną tożsamość swego Złego Współtowarzysza i nie był pewien, czy chce się dowiedzieć czegoś więcej.

A odmian Tarota przybywało. Byli tacy, którzy korzystali z mediów i planszy ouija, by stworzyć „Nowego” Tarota, nie przypominającego w niczym poprzednich talii. Powstał Tarot wojskowy, Tarot zwierzęcy, Tarot z kobiecymi aktami, Tarot kosmiczny gwiazdnej dziewicy, a nawet Tarot diabelski...

— Dostyc, Szatanie — zawołał brat Paweł bezgłośnie. — To jedynie warianty nic nie znaczącej talii, którą narzuciłem światu, przeinterpretowane aż do unicestwienia przez idiotów! Pozwól mi się skoncentrować na czymś istotnym, a nie na tym bezwartościowym bogactwie form! I pozwól, bym miał w tym choć troszkę czynnego udziału! — Jeśli tak bowiem wygląda życie ducha czy duszy wędrującej, jest ono na tyle frustrujące, by uważać je za jeszcze jedną odmianę Piekła. Przyswajając sobie wiedzę świata, duch absorbował także jego szaleństwo... i nie mógł nic zrobić, by je pomniejszyć.

— Niech tak się stanie — zgodził się Szatan.

Karty wystrzeliły w „górze”, rozrywając opakowania i wypełniając przestrzeń obrazami przypominającymi zakończenie *Alicji w Krainie Czarów*, wirowały wokół niego ze wzrastającą stale szybkością, aż ich ilustracje zamazały się zupełnie i wszystko stało się chaosem.

Pomocy!

Czy to on wołał? Nie, wiedział przecież, iż jest w mocy Szatana i żadna pomoc nie jest mu

potrzebna; wołanie dochodziło skądinąd, możliwe, że drogą telepatyczną. W stanie auralnym mógł zapewne odbierać takie przekazy.

Brat Paweł próbował skierować się do źródła bezgłośnej prośby, ale tkwił ciągle w chaosie. Kolory wirowały wokół niego, nie przybierając stałych kształtów. Miał wrażenie, że unosi się w bezwodnym oceanie, nie oddychając, bowiem jego aura nie posiadała płuc. Bezcielesny, a mimo to rozumny — nie miał wpływu na to, gdzie się znajduje; zależne to było od woli Szatana.

„Moja dusza dryfuje” — pomyślał. Ktoś wzywał pomocy i brat Paweł odebrał ten sygnał i był przezeń przyciągany.

Czyżbym nie żył?

Był to błysk światła, coś mającego znaczenie w ogólnym chaosie. Jakiś duch uwolniony od śmiertelności, dusza wznosząca się ku Nirwanie lub opadająca ku Piekłowi. Gdyby mógł do niej dotrzeć, poprowadzić ją...

Jestem głupcem! — błysnęło ponownie.

Brat Paweł zaczął nabywać umiejętności poruszania się w panującym chaosie. Kierował się ku błyskającemu światłu. Naturalnie, ten ktoś był głupcem... Głupcem z Tarota. Każdy nim był. Brat Paweł poruszał się korytarzem, otwartym w końcu, nie żadną aleją.

Usłyszał krzyk. Zapewne to Głupiec spadł do przepaści! Taka już była natura głupców. Tacy szlachetni, tacy idealiści, pełni najlepszych intencji — „ucieleśnienie tego, co najbardziej pożądane w cywilizacji. A jednocześnie tak doskonale niepraktyczni. Głupcy na ogół kasami są przez nieposłuszne psy: sadyzm analny ku ucieście gawiedzi. Szczególnie jeśli dotyczy jednostek pełnych wzniosłych aspiracji.

Wędrował daleko, choć niezbyt długo. Poruszał się z nieprawdopodobną prędkością przez jakąś zasłonę, której charakteru nie był w stanie określić. Wreszcie dostrzegł osobę, która go wezwała. Nie była to istota ludzka, ale też i nie przypominała Antaresa. Była ohydny, pierścieniowatym, opancerzonym robakiem z laserowymi soczewkami.

Potrzebuję przewodnika! — błysnęła.

Brat Paweł był kompletnie zaskoczony. Spodziewał się ujrzeć istotę ludzką, a nie błyskającego szczeliną w swym cielesnym stworze. Wyglądało na to, iż to stworzenie rzeczywiście wymaga pomocy. Jakże mógł mu odmówić?

— Będę twoim przewodnikiem — powiedział, nie dokończywszy własnych myśli.

Jak jednak mógł być przewodnikiem, skoro sam był zagubiony?

Kiedy wypowiadał swą propozycję, sceneria wokół niego wypełniła się. Ujrzał placówkę Świętego Zakonu Wizyjnego, a za nią obracające się skrzydła wiatraka. Były to elementy jego ostatniego świadomego kontaktu z przyrodą i Tarotem tuż przed wezwaniem do spełnienia tej

wyjątkowej misji, wezwaniem, które wydawało się odległe w czasie o tysiące lat. Przyjemnie było znowu czuć twardy grunt pod stopami; chaos nie był pociągający.

Czy mógł tak po prostu podjąć swój przerwany żywot na placówce, zostawiając Piekło za sobą? Miał ochotę spróbować! Przedtem jednak powinien pomóc tej istocie w potrzebie, jeśli potrafi.

Czymże ty jesteś? — spytało stworzenie, jak gdyby to ono było normalną istotą, a on jakimś dziwnym potworem. Cóż, z punktu widzenia tamtego było to sensowne, a po tym wszystkim, czego brat Paweł dowiedział się o sobie, łatwiej mu było zrozumieć, iż może wydawać się potworem dla obcej inteligencji.

Nagle uświadomił sobie, że nie jest to część jego rzeczywistości, lecz rzeczywistość przyzywającej go istoty. Sceneria placówki zakonnej była jedynie atrapą, stworzoną dla poprawy jego samopoczucia, jak klatka we współczesnym ogrodzie zoologicznym przypominająca wystawionemu na pokaz zwierzęciu jego naturalne środowisko. W rzeczywistości znajdował się w... przyszłości! Odbił podróż w czasie, daleko poza czas własnej śmierci.

— Nie jestem rzeczą, choć niegdyś nią byłem — odpowiedział brat Paweł z uśmiechem. Podobnie jak rzymski poeta Wergiliusz, autor *Eneidy*, został przeniesiony w przyszłość, by pomóc komuś, kto go znał. Nic dziwnego, iż przykładał taką wagę do Atu Czasu w Tarocie! — Żyłem na planecie Ziemia, około roku 2000, w okresie Szalonej Emigracji, która spustoszyła naszą planetę. — Wyjaśnił bardziej szczegółowo swoje pochodzenie, wiedząc, iż niełatwo będzie tej istocie je pojąć.

— Brat Paweł od Tarota! — przerwała istota. — Patriarcha Świątyni.

Cóż, należało się spodziewać podobnych omyłek.

— Nie, jestem brat Paweł, skromna istota ludzka. Nie może być mowy o żadnym patriarsze, o żadnej świątyni... to zupełnie nie w stylu Świętego Zakonu Wizyjnego. Pomogę ci jednak, jak tylko potrafię, bo jesteś w potrzebie i wezwałeś pomocy. Usłyszałem cię, a pomagać innym jest celem mojego życia... i wygląda na to, że śmierci również. Moja pomoc będzie jednak skuteczniejsza, kiedy poznam więcej szczegółów na twój temat. Z jakiego pochodzisz gatunku, z jakiej przestrzeni i z jakiego czasu, że mogłeś mnie w ten sposób przywołać?

— Dla ciebie, twoja sława może wydawać się czymś nieistotnym — błysnęła istota. — Jednak dla mnie, Szczeliny z Andromedy, żyjącego 2500 lat po tobie, nie ma większego imienia niż Brat Paweł. Jesteś przecież twórcą Tarota Kosmicznego, jednej z najpotężniejszych sił kształtujących współczesną rzeczywistość.

Tarot Kosmiczny? Brat Paweł nie mógł zidentyfikować tej nazwy. Niewątpliwie, musiała tu zaistnieć jakaś pomyłka. W tej chwili coś innego jednak zaprzętnęło jego uwagę: czas. Dwa tysiące pięćset lat po nim? Byłoby to około roku 4500! I jeszcze do tego istota inteligentna z innej galaktyki, z Andromedy! Jakież to skok wykonał!

— A kimże ty jesteś, przyjacielu? Nie mogę cię przecież nazywać Szczeliną.

— Jestem Heraldyk Uzdrawiciel, choć w chwili obecnej ja sam potrzebuję uzdrowienia!

— Ach, heraldyka — rzekł brat Paweł. — Często podziwiałem sztukę heraldyczną, ale przypuszczałem, iż pamięć o niej nie przetrwa tysiącleci, nie mówiąc już o tym, że może być ona znana na Andromedzie.

— Heraldyka przetrwała i kwitnie — błysnął Heraldyk. — Dotyczy to w szczególności twojego Tarota Kosmicznego.

Brat Paweł pominął milczeniem ponowną wzmiankę na temat swojego Tarota.

— No cóż, istoto z przyszłości, zbadajmy wspólnie naszą sytuację. Gdzie jesteśmy i co jest naszym celem?

I andromedyjczyk wyjaśnił mu, co się wydarzyło: został zraniony podczas wizyty na planecie Mars Systemu Słonecznego, znajdującego się w Segmencie Etaminy Galaktyki Drogi Mlecznej — zraniony uderzeniem wiązki promieni lasera, wypuszczonej z nieprzyjacielskiego statku kosmicznego. Wydobyto go ze szczątków jego własnego statku i zabrano do miejsca zwanego Świątynią Tarota, gdzie uprawiano terapię animacyjną, przywracającą sprawność umysłom po urazie. Heraldyk przywołał brata Pawła z odległej przeszłości, by pomógł w tym dziele.

Czy oznaczało to, iż Heraldyk andromedyjczyk jest osobą realną, podczas gdy brat Paweł jest jedynie tworem jego wyobraźni? Trudno mu było zaakceptować taką możliwość!

— Jestem troszkę dezorientowany — rzekł brat Paweł, czując zawrót głowy.

Andromedyjczyk oświetlił go promieniem lasera i brat Paweł natychmiast poczuł się bezpieczniej. Najwyraźniej był w stanie istnieć w tej rzeczywistości tak długo, jak długo jego współtowarzysz wierzył w jego istnienie. W każdym razie on sam odwiedził kolonię ziemską na Hiadach, w sferze Nath, trzysta lat po własnych czasach; tutaj miał więc do czynienia jedynie z różnicą ilościową, podczas gdy mechanizm zjawiska pozostawał taki sam.

— Czego chcesz się dowiedzieć, patriarcho?

— Mów mi bracie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. — Brat Paweł szukał jakiegoś punktu zaczepienia, który pozwoliłby ustalić wzajemne relacje z tą obcą istotą. — Zacznijmy od tego: dlaczego przywołałaś istotę ludzką, zamiast kogoś z własnego gatunku?

Czego tak naprawdę chciał się dowiedzieć? Wszystkiego... lecz przecież jego celem nie było zaspokojenie osobistej ciekawości. W każdym razie nie bezpośrednim celem. Jego zadaniem było poznanie przyszłości Tarota, ale musiał je na chwilę odłożyć; jego ludzkie sumienie nie pozwoliłoby mu bowiem opuścić kogoś w potrzebie.

— Kochałem istotę płci żeńskiej, należącą do twego gatunku — zwierzyło się obce stworzenie.

Ten tak absolutnie obcy stwór kochał ziemską dziewczynę? Jakże to było możliwe? Brat Paweł skrył jednak starannie swą konfuzję.

— Ja też, ja też! Czyż może być coś lepszego od słodkiej i ładnej dziewczyny?

— Nie ma nic lepszego w całym kosmosie! — przyznał Heraldyk. — Znajdowałem się wówczas w ciele solaryjkiego gospodarza, a ona...

Solaryjskiego... oznaczałoby to istotę związaną z gwiazdą Soi, ze końcem, a więc istotę ludzką. A gospodarz... ale może lepiej nie wyciągać pochopnych wniosków. Sposób postępowania Antaresa nie musiał być tożsamy ze sposobem stosowanym przez andromedyjczyka.

— Cofnijmy się nieco — powiedział brat Paweł. — Ta sprawa... solaryjskich gospodarzy?

— Dotyczy to czasów późniejszych niż dwudziesty czy dwudziesty pierwszy wiek — powiedział Heraldyk. — Jest rzeczą naturalną, iż nie spotkałeś się z tym zjawiskiem. Obecnie przenosimy się z ciała do ciała, ponieważ nasza tożsamość jest zawarta w naszej aurze. Wystarczy transfer aury — być może nazywacie ją duszą — i...

Jego domysły znajdują potwierdzenie!

— Dusza! Jesteście w stanie przenosić dusze z ciała do ciała?

— Owszem, jesteśmy. I czynimy to, bracie. Choć jestem Szczeliną z Andromedy, mogę zamieszkać w ciele należącym do istoty twojego gatunku. W tym kształcie naturalnie zachowuję się, jak...

— Ach tak. Jako człowiek mogłeś zainteresować się ziemską dziewczyną. Przepraszam, że nie mogłem tego wcześniej zrozumieć. Niewątpliwie, gdybym znalazł się w ciele jakiegoś Szczeliny, wasza płeć żeńska wzbudziłaby we mnie podobne zainteresowanie. — Wydawało mu się to jednak zupełnie niemożliwe; ani przez moment nie mógł sobie wyobrazić, by żywy, rzucający promienie światła, opancerzony krąg posiadał dla niego jakikolwiek seksapil. Intelkt pozwalał mu jednak uznać realność takiej koncepcji. — Należysz przecież do całkowicie odmiennego gatunku, wobec czego nie może być mowy o jakimś stałym uczuciu...

— Wprost przeciwnie! Miłość auralna jest miłością absolutną.

— Miłość jest prawem... Miłość podporządkowana woli — zgodził się brat Paweł i zamilkł, przypomniawszy sobie, iż były to słowa, które Therion zwykł wypowiadać. Czyżby Heraldyk Szczelina był Therionem w nowej postaci, gotowym zaprowadzić go do jeszcze jednego Piekła? Czy też miał do czynienia z krzyżówką międzygatunkową, połączeniem Szczeliny z Człowiekiem?

Nie, nie było to tutaj istotne. Brat Paweł przeszedł przez Piekło i zapewne uległ pewnemu oczyszczeniu. Nie pozwoli się już skompromitować. Uczyni to, co jest właściwe, właśnie dlatego, iż jest to rzecz właściwa. Jeżeli Heraldyk jest jakimś aspektem Theriona... cóż, któż potrzebuje pomocy bardziej od Theriona? Tak naprawdę, patrząc na wszystko z perspektywy kilku tysięcy lat, trudno jest nazwać Theriona złym; w wieku czternastym role się przecież odwróciły i to Lee grał prześladowcę, a Therion prześladowanego. Jak to było w tym powiedzonku? — „Jest tyle dobra w najgorszym z nas i tyle zła w najlepszym, że większości nie wypada wypowiadać się z pozostałych”. Ten, kto wyrzekł te słowa, bez wątplenia znał naturę ludzką. Therion miał w sobie wiele dobra, wiele cech godnych

podziwu, pomimo wielu przerażających zachowań. A Szatan na pewno wzmacniał jego złe cechy, zmuszając go chociażby do odgrywania roli szalonego króla.

Przyjęcie takiej ugodowej postawy pozwoliło bratu Pawłowi odczuwać radość, która musi towarzyszyć Odkupieniu. Doświadczenia przeżyte w Piekło czegoś go nauczyły. Nauczyły go ostrożności w osądzaniu innych, by nie narażać się samemu na osądzenie. Być może z czasem opanuje sztukę wybaczenia, które tak sam zaleca.

— Miłość jest prawem.. Miłość podporządkowana woli — powtórzył Heraldyk pięknymi błyskami. — Nie wiem, czy jest to prawda uniwersalna, ale dla mnie jest to prawda niewątpliwa. Cierpię z powodu utraty mej solaryjskiej narzeczonej. Życie bez niej niewiele dla mnie znaczy.

— Opowiedz mi coś więcej — nalegał brat Paweł. — Nie wiem, jak ci pomóc, lecz zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

— Nie potrafię jeszcze o tym mówić w sposób bezpośredni.

— Podejdź więc do tego w sposób okrężny — powiedział brat Paweł. — Wezwalesz mnie...

— Tak. Właśnie przebłąski wałem przez kolejne Atu Tarota Kosmicznego, zgodnie ze standardowym programem reorientacji i...

I znów to samo. A może rzeczywiście znalazł się tutaj, by poznać przyszłość Tarota. Jeśli jego poszukiwania wiążą się jakoś z problemem Heraldyka, powinien go lepiej poznać.

— Znam wiele odmian talii Tarota, lecz ta, którą wspominasz, jest mi nie znana. Czy pozostaje ona w bliższym związku z Tarotem Waite'a czy Tarotem Thoth, czy Tarotem Światła, czy...?

— Nie znam żadnej z tych nazw. Mam zaś na myśli Tarota, którego ty sam stworzyłeś na planecie Tarot? Czyżbyś nie pamiętał?

Brat Paweł pokręcił głową.

— Nie stworzyłem żadnej nowej talii, chyba że za taką uznamy oryginalną talię waldensów, którą osobiście ocenizowałem, by chronić...

— Możliwe, iż nadałeś jej inne imię. Być może nazwano ją Kosmiczną już po twojej śmierci.

Brat Paweł zastanowił się nad tymi słowami. Nie zakończył przecież jeszcze swego żywota; nie mógł więc wiedzieć, co uczynił w latach późniejszych, jeśli w ogóle przetrwał animację. Nie zadowalały go konwencjonalne, talie Tarota, nie wyłączając talii Świętego Zakonu Wizyjnego. Odpowiadała mu teraz jedynie oryginalna talia waldensów, ale ta znikła dla świata w roku 1392, chociaż nie istniał obecnie żaden powód, by pozostawała w ukryciu.

Doznał nagłego olśnienia, podobnego olśnieniu, które spotkało świętego i: może zrekonstruować talię waldensów i zwrócić ją światu! Może naprawić szkodę, którą wyrządził, teraz, kiedy ze strony tego świata nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo autentycznemu Tarotowi.

— Ten tak zwany Tarot Kosmiczny... czy posiada on pięć kolorów?

— Naturalnie.

— I trzydzieści Atutów? W sumie sto kart?

— Nareszcie sobie przypomniałeś! To właśnie ten Tarot. A Duch występuje w piętnastu wariantach, dla tych, którym potrzebne są czterdzieści cztery Atu lub dodatkowy kolor.

Piętnaście wariantów Ducha? Nie było to zgodne z talią waldensowską! Ale przynajmniej rozwiązywało część zagadki.

— Wynika z tego, iż zrekonstruowałem oryginalnego Tarota, a późniejsze pokolenia poprawiły go i zmieniły nazewnictwo. Nie moją tedy zasługą jest jego stworzenie; zaszczyt ten przysługuje ludziom żyjącym sześćset lat przed moim urodzeniem. A poza tym nie mam nic wspólnego z żadną świętynią.

— Moja znajomość historii starożytnej obcych sfer nie jest zbyt dokładna — odpowiedział Heraldik dyplomatycznie. — Jestem jednak pewien, iż to ty jesteś założycielem.

I rzeczywiście. Czy to wiadomo, co mu przypisano po jego śmierci, kiedy już nie mógł zaprotestować? Dalsza dyskusja na ten temat nie miała sensu.

— Przybyłem tutaj, by pomóc ci rozwiązać twoje problemy, a nie swoje własne. Cóż ma dla ciebie największe znaczenie?

Odniósł wrażenie, iż andromedyjczyk zmieszał się bardzo, po czym zebrał się na odwagę, by udzielić odpowiedzi.

— Pytasz, co posiada dla mnie największe znaczenie? Bez wątpienia, moja solaryjska dziecięca narzeczona, spalona za posiadanie, choć niewinna...

— Posiadanie? Czego? Narkotyków?

— Pozaziemskiej aury.

— Och. Powiedziałaś przecież, iż transfer duszy z jednego ciała do drugiego jest możliwy. — To wszystko nie miałoby sensu, gdyby nie jego rozmowa z Antaresem! — I że niektóre dusze... aura niektórych osób nie może zostać przeniesiona do ciał... pewnych gospodarzy? Wobec czego karzą oni...

Nagle, bez uprzedzenia, Heraldik wyświetlił obraz zamku: średniowiecznej budowli ziemskiej, z wieżyczkami i z fosą szeroką jak jezioro. Przypominał on zamek, który brat Paweł napotkał w pierwszej animacji. Ten tutaj oblegany był przez jakieś dziwne istoty na kołach, toczące się po usypanym z piasku nasypie, ciągnącym się od dalszego brzegu fosy, poprzez wodę aż do zewnętrznego muru.

— Wieża Prawdy! — wyszeptał brat Paweł. — A może Kasztel Udręki? Heraldik nie

odpowiedział. Rozszerzył jedynie pole widzenia. Brat Paweł odniósł wrażenie, że leci ponad jeziorem i ponad fortecą nad zakazaną wyspą. Jeszcze jeden lot duszy!

Na centralnym dziedzińcu płonęło ognisko, a w jego ogniu ujrzał zawieszoną na belce, śliczną, nagą dziewczynkę. Płomienie skakały wokół jej nóg, a ona na próżno usiłowała podciągnąć je wyżej, by uniknąć żaru. Jej skóra miała jakiś obcy, zielonkawy czy też niebieski odcień, lecz rysy twarzy nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości, co do jej tożsamości.

— Karolina! — jęknął brat Paweł, odczuwając nagły ból serca. Jego córka!

Heraldyk błysnął pytająco i brat Paweł uzmysłowił sobie, iż dla Szczeliny jest to ktoś zupełnie inny. Dziewczyna nie była, nie mogła być autentyczną, oryginalną Karoliną; tamta żyła i zmarła w dwudziestym pierwszym wieku. A jednak był to ktoś mu bliski, być może daleki żeński potomek Karoliny, jego Wyobrażenie Córki, niewinne dziecko. Tutaj osiągnęła już wczesną dojrzałość... co po dwudziestu pięciu wiekach było zrozumiałe! Jeśli jej charakter odpowiadał wyglądowi, nie należało się dziwić, iż Heraldyk ją kochał. Znać ją znaczyło kochać, niezależnie od okoliczności! Brat Paweł również ją kochał... miłość jego nie była konkurencyjna względem miłości Heraldyka; była jej naturalnym uzupełnieniem. Jednak tego rodzaju domysły w obecnej sytuacji stanowiły jedynie marnotrawstwo myśli i stratę czasu.

— Czy to jest rzeczywiste? — spytał brat Paweł wstrząśnięty płomieniami i oczywistą, potworną torturą. Karolina... w płomieniach Piekieł! Czyżby Szatan go okłamał i uratował ją przed nożem ofiarnym podczas Czarnej Mszy, po to jedynie, by zgłosić swe prawa do niej w sposób jeszcze bardziej okrutny? — W tej dalekiej przyszłości, w wieku imperium intergalaktycznego i obcowania ze sobą miriadów gatunków rozumnych poprzez cud transferu aury, dzieje się coś takiego? — A jednak, najwyraźniej tak właśnie się działo.

— Och, pomóż mi, patriarcho! To moja ukochana!

Obraz znikł, być może wygaszony wstrętem i odrazą, które brat Paweł odczuwał. Patriarcho? Gdyby podejrzewał, iż którykolwiek z jego potomków zginie w tak barbarzyński sposób, skutki łańcuchami i w płomieniach, nigdy by nie zapoczątkował własnego rodu!

— W obliczu takiego nieszczęścia niewiele mogę zaoferować prócz żalu i bólu. — Ależ to przecież nic nie rozwiąże! — Próbował dodać coś jeszcze: — Choć mam nadzieję, iż znajdziemy sposób, by przynieść ci ulgę. — Jakże całkowicie bezmyślnie i nieczule musiały brzmieć jego słowa, lecz gdyby chciał wyrazić to, co czuł, byłby to jedynie krzyk bólu i przerażenia: och, Szatanie, zachowałeś najgorszą z twych tortur na sam koniec!

— Ukaż mi więc ten sposób! — błysnęła istota. — Uzdrowicielowi potrzeba uzdrowienia!

Ukazać mu... ale jak? Jak można zanegować śmierć samą? Szczególnie kiedy przybywa się do innej epoki w postaci bezcielesnej aury.

— Być może pomogłoby nam odczytanie Tarota.

— Właśnie tu mamy Świątynię Tarota. Jednak zwykła animacja nie wystarczy mi na dłużej. Jest mi potrzebna rzeczywistość, a nie iluzja.

Interesujący komentarz do sytuacji. Brat Paweł przeżył tak wiele poziomów iluzji, że nie był już pewien, czy kiedykolwiek powróci do rzeczywistości. Musiał jednak wierzyć, iż pewne rzeczy są stałe i że andromedyczyk jest dobrze zakotwiczony w swoim świecie.

— Tarot odsłania rzeczywistość. Spróbujmy jakiegoś rozkładu.

— Najlepszy jest Kosmiczny Rozkład Satelitarny.

— Nigdy o takim nie słyszałem. Opisz mi go, a ja wyłożę karty.

Brat Paweł poczuł w swej dłoni talię kart. Potasował je, opierając się pokusie zerknięcia na wizerunki. Jedyłą ważną rzeczą było to, że miały one związek z potrzebami Heraldyka, a tego był dziwnie pewny.

— Rozłóż je na pięć stosików — błysnął Szczelina. — Oznaczają one odpowiednio: CZYNIĆ, MYŚLEĆ, CZUĆ, MIEĆ I BYĆ.

Brat Paweł rozkładał karty. Cóż za interesujący zestaw! Niewątpliwie odpowiadał on pięciu kolorom, które w talii waldensów oznaczały PRACĘ, KŁOPOTY, MIŁOŚĆ, PIENIĄDZE I DUCHA. W wersji popularnej odpowiadało to w każdym razie ich powierzchownym oznaczeniom. Znaczenia fundamentalne były o wiele bliższe tym, które wyliczył Heraldyk. Zauważył też, iż odpowiadają one średniowiecznym klasom, czy raczej warstwom społecznym: chłopu, żołnierzowi, księdzu, kupcowi i całej klasie ludzi pozbawionych korzeni, takich jak komedianci, Cyganie (którzy praktycznie pojawili się na scenie europejskiej przed rokiem 1392) i przestępcy. Takie dzielenie różnych rzeczy na pięć kategorii stanowiło pewne wyzwanie intelektualne. Eksperymenty reńskie korzystały z pięciu symboli; czy tamte symbole również odpowiadały kolorom Tarota? Kwadrat, okrąg, krzyż, gwiazda i linie faliste. Te ostatnie niewątpliwie symbolizowały wodę, czy kolor Kielichów; okrąg był tarczą lub Monetą; krzyż byłby Mieczem. Natomiast kwadrat..., cóż, cztery kije, pałki, różdżki lub berła utworzyłyby kwadrat, a wówczas byłby to kolor Pałek. I gwiazda, podobnie jak gwiazda betlejemka, wskazująca, gdzie się znajduje święty duch Jezusa Chrystusa... byłaby Aurą. Troszkę to może naciągnięte, ale jednak...

Rozłożył już wszystkie. Było pięć stosów, po dwadzieścia kart w każdym z nich. Taka konfiguracja podsunęła mu adekwatny tryb postępowania.

— Twój Sygnifikator, karta, która najbliżej cię reprezentuje... to powinien być Król Aury. — Nagle bowiem zdał sobie sprawę z tego, że Heraldyk Uzdrowiciel posiada fenomenalną aurę; czuł, jak zderza się ona z jego własną, jak obie zachodzą na siebie. Od czasu spotkania z Jezusem Chrystusem nie doświadczył czegoś podobnego. Być może ta aura właśnie sięgnęła poprzez tysiąclecia, by go przywołać. — Musimy go odszukać.

— Twoja własna aura jest co najmniej równa mojej — czego należało zresztą oczekiwać — błysnął andromedyczyk.

— Antares wyraził podobną opinię. Wyjątkowej mocy aura... to mu coś przypominało. Coś bardzo istotnego. Musi istnieć jakiś fundamentalny związek pomiędzy aurą i animacją...

W tym momencie pojawiła się karta, której szukał, przerywając tok jego myśli.

— Jest tutaj, w Stosie Drugim: MYŚLEĆ. Zgodnie z moją nomenklaturą byłyby to KŁOPOTY lub MAGIA, które to nazwy bez wątpienia w twoich czasach — zostały przekształcone w NAUKĘ.

— Ależ moim problemem jest CZUĆ — zaprotestował Heraldyk.

— Być może Tarot cię informuje, iż rozwiązanie leży raczej w sferze myśli, a nie uczuć. Powinniśmy przynajmniej zbadać tę możliwość. — W głębi duszy nie wierzył w swe własne słowa. Jakież rozumowanie mogłoby bowiem usprawiedliwić spalenie żywcem niewinnej dziewczyny? — Jak więc wygląda ten rozkład „Kosmiczny”?

Postępując według wskazówek Heraldyka, brat Paweł stworzył właściwy układ. Zaczął od Sygnifikatora, na którym umieścił w poprzek kartę definiującą, a następnie utworzył krzyż za pomocą kart położonych na Południu, Zachodzie, Północy i Wschodzie.

— Przeszłość, Teraźniejszość, Przyszłość i Przeznaczenie — wyszeptał do siebie, doceniając elegancką prostotę układu. — Zmodyfikowana konfiguracja celtycka.

— Celtycka? — błysnął pytająco zaskoczony andromedyjczyk.

— Rozkład znany w moich czasach, mający zapewne niewiele wspólnego z Celtami. Twój układ wydaje się oparty na piątkach, co przemawia do mojej wyobraźni. Znane mi układy były prawdopodobnie mniej precyzyjne.

Ponownie ogarnęły go jednak wątpliwości; jakże to możliwe, by pięć kart definiowało problem równie trafnie jak kart dziesięć czy dwadzieścia?

Brat Paweł przyglądał się wyłożonym przez siebie kartom. Na Sygnifikatorze leżała Trójka Aury, nazywana Perspektywą lub Doświadczeniem. Ponieważ leżała w poprzek, nie był w stanie stwierdzić, który z aspektów dominuje; możliwe, iż należało brać pod uwagę obydwa. Nie było to w tej chwili najistotniejsze. Karta leżąca w miejscu Przeszłości ; była...

— Brat Paweł przerwał rozważania, zaskoczony i usatysfakcjonowany zarazem. — Ach, próżności cielesna! — Była to bowiem karta Wizji, osiemnaste Atu w talii waldensów, przedstawiająca scenię z *Widzenia o Piotrze Oraczu*, którą to scenię poznał osobiście. Musiał mieć jakiś Związek z powstaniem tej karty, bo chociaż istniała ona już w czternastym wieku, równocześnie z waldensami, to jednak ich Tarot nie posiadał tej konkretnej ilustracji. Nie przypominał sobie, której karty używali, ale na pewno nie tej. Musiało mu się więc udać zrekonstruować całą talię w oparciu, przynajmniej do pewnego stopnia, o własne doświadczenia.

Lekko zamroczony rosnącą ciągle świadomością swojego udziału w tworzeniu tej talii, brat Paweł badał Kosmiczny Rozkład Satelitarny, usiłując zidentyfikować problem Heraldyka. Niezależnie od tego, jakie przesłania mogły odkrywać przed andromedyjczykiem, ich wymowa była znacznie

silniejsza dla brata Pawła. Wizerunki ich bowiem nie przedstawiały scen średniowiecznych; znajdowały się na nich istoty pozaziemskie, a Atu...

Nie był w stanie uchwycić i zachować w pamięci wszystkich wizerunków Atutów. Wiele z nich dotyczyło spraw i pojęć, które nie istniały w jego rzeczywistości, choć niewątpliwie wywodziły się z talii waldensowskiej. Tutaj, w animacji, karty stały się zadziwiającymi aspektami wszechświata z przyszłości i jedyne, co mógł uczynić, to wchłonąć tyle informacji, ile tylko było możliwe, bez poddawania ich krytycznej analizie. Przystawanie informacji nie było procesem płynnym, poznawał fakty porcjami, ale ogólny obraz, który powstał w jego umyśle, przedstawiał się następująco:

Po okresie Szaleństwa w historii ludzkości, ekspansja sfery Sol uległa zahamowaniu i ustabilizowała się w promieniu około stu lat świetlnych. Najdalej wysunięta kolonia ludzka znajdowała się na planecie Kres, a jej mieszkańcy mieli zielonkawą odcień skóry; Król Mieczów przedstawiał wizerunek niejakiego Flinta z Kresu, tamtejszego tubylca, charakteryzującego się aurą dużej mocy. Sam Tarot jednak, w wielości odmian, rozprzestrzenił się na kształt eksplozji, nie zważając na granice sferyczne czy gatunkowe. Zjawisko animacji z planety Tarot zostało przeniesione na inne planety, choć formalnie ograniczone zostało do sfery Soi. Symbole Tarota uzyskały cechy czterowymiarowe, co potęgowało skuteczność dywinacji. Kosmiczni, pozaziemscy misjonarze ponieśli Tarota Animacji poprzez Galaktykę Drogi Mlecznej. Większość sfery przyjęła stukartowe odmiany talii Kosmicznej, niektóre jednak korzystały z talii siedemdziesięcioosmiokartowych i innych. Świątynie Tarota powstały wśród poruszających się na kołach Polarian (78 kart), pływających Spikan (100 kart) i muzykalnych Mintaków (114 kart, wliczając warianty Ducha). W ciągu kilku zaledwie wieków Tarot rozprzestrzenił się na tysiące lat świetlnych przestrzeni, stając się elementem dominującym w kulturze olbrzymiego zbioru gatunków, które tworzyły potężne międzygwiazdne imperium zwane Segmentem Qaval, rządzone przez istoty rozumne przypominające wyglądem krokodyla o postawie wyprostowanej. Po czym Tarot przeskoczył miliony lat świetlnych kosmicznej pustki, sięgając Galaktyki Andromedy i Galaktyki Ognistego Kręgu. Wyrafinowane kulturowo organizacje międzygwiazdne wykorzystywały symbolikę Tarota; należało do nich Stowarzyszenie Gospodarzy, których kartą był Umiar; zajmowało się ono problemem transferu duszy lub aury z ciała jednego żyjącego gospodarza do ciała drugiego. W rzeczywistości właściwą nazwą tej karty był Transfer. W jakimś pokrętnym, zadziwiającym, ale i pociągającym sensie Tarot pomógł w zorganizowaniu się całej lokalnej gromady galaktyk.

Brat Paweł ujrzał flotyllę ogromnych statków kosmicznych, każdy o średnicy dwu kilometrów i każdy zbudowany w kształcie jednego z symboli oznaczających kolory Tarota. Statki przypominające Miecze walczyły ze statkami w kształcie Berel, Kielichów, Tarcz i Atomów. Wyglądało na to, że kolor Aury znany jest pod imieniem Lamp, Plazmy i Atomów; zaiste liczba Wariantów Tarota pośród obcych kosmitów przewyższała liczbą i wyobraźnią to wszystko, co brat Paweł zobaczył na Ziemi. Nie oznaczało to bynajmniej, iż średniowieczne talie ziemskiego Tarota zostały zapomniane; wręcz przeciwnie. Obcy z radością adaptowali wszystkie stare karty do nowych celów, tworząc stukartowe talie, a ewentualne nadwyżki umieszczając w Duchu. Każda istniejąca kiedykolwiek i gdziekolwiek talia Tarota, z definicji ustalonej przez Świątynię Tarota, była równie ważna.

Tym samym, każde bóstwo związane kiedykolwiek z Tarotem było uważane za ważne i autentyczne. W ten sposób Bóg Tarota stał się zbiorem wszystkich wymyślonych i możliwych do

wymyślenia bóstw wszelkiego czasu i wszelkiej przestrzeni. Powiedzenie „wszyscy bogowie są ważni i, autentyczni” stało się jednym z najbardziej popularnych powiedzonek.

Braki energii spowodowały wojny pomiędzy galaktykami. Jedyne fenomenalne wysiłki inspirowanych Tarotem bohaterów zapobiegły potwornemu zniszczeniu cywilizacji. Solaryjczyk Flint z planety Kres za pomocą interpretacji rozkładów Tarota śledził i neutralizował działania nieprzyjacielskie; Melodia z Mintaki, wybitna ekspertka Tarota i Heraldyk Uzdrawiciel czynili wszystko, by uratować całą gromadę galaktyk przed podbojem i zniszczeniem...

I tutaj oto miał przed sobą rozkład kart Tarota, który być może jest w stanie pomóc Heraldykowi w wypełnieniu jego życiowej misji. On sam zaś, brat Paweł, jest przewodnikiem. Potrząsnął głową, ponownie odczuwając lekkie zamroczenie.

— Przybyłem z samego Piekła, by ci pomóc — wyszeptał.

— Nie rozumiem.

— Tego się nie da pojąć. Możliwe jest bowiem, iż całe moje życie, a także moja śmierć zaistniały jedynie po to, by ułatwić twą misję, choć może to być! Z mej strony tylko złudzenie wielkości. Niezależnie od tego, jak wygląda, prawda, uczynię wszystko, co w mojej mocy. — Brat Paweł popatrzył na ostatnią kartę. — Mamy tutaj Przeznaczenie... ale na jego miejscu jest Duch, C wielka Niewiadoma. Interpretacja nie może kończyć się w takim miejscu!

— Rozkład można wzmocnić — błysnął Heraldyk.

W rzeczywistości ta wymiana zdań pomiędzy nimi odbyła się już wtedy, kiedy brat Paweł miał całą serię objawień dotyczących przyszłej historii i Tarota; wszystko to było beznadziejnie ze sobą poplątane, co teraz nie miało f zresztą większego znaczenia.

I tak oto zastosowali rozkład satelitarny, wzmacniając i modyfikując konfigurację podstawową. Gdzieś tutaj, a może i w innym miejscu, karty poszerzyły jego wiedzę o Starożytnych, istotach, których cywilizacja obejmowała swoim zasięgiem całą gromadę galaktyk przed trzema milionami lat. Ich technologia przewyższała wszystko, co osiągnięto nawet w tym solaryjskim roku 4500. A jednak zniknęli oni bez śladu. Obecnie zaś kosmiczny najeźdźca, znany jedynie pod imieniem Ameba, atakował za pomocą technologii zbliżonej poziomem wyrafinowania do technologii Starożytnych. Jedyne nadzieje na odparcie tego ataku leżała w odkryciu technologii Starożytnych... i to odkryciu jak najszybszym.

W jaki sposób miała w tym pomóc interpretacja rozkładu Tarota, interpretacja wspomagana przez człowieka sprzed dwu i pół tysiąca lat? Tarot mógł jedynie wydobyć na światło dzienne to, co już istniało w umyśle pytającego... podobnie jak animacja. Czy mógł jednak robić coś jeszcze prócz kontynuowania prób?

Coś wszakże nie dawało mu ciągle spokoju. Starożytni... animacja... Ameba... istniał tu jakiś istotny związek o wielkiej wadze, jego odkrycie jednak ciągle mu umykało.

Zastosowali następny rozkład satelitarny. Tym razem ożywiony... ponowne wyobrażenie Córki. Jak poprzednio — znajdowała się w ogniu, wijąc się z bólu i usiłując podciągnąć swe szczupłe nogi, po czym rezygnując z walki i poddając się losowi. Podobnie jak Jezus poddał się swemu losowi na krzyżu...

— Nie... nie zgadzam się! — krzyczał brat Paweł. — Ta tortura w żaden sposób nie może się przyczynić do wzmocnienia waszej kultury! Ja sam odczułem na sobie ogień piekielny; nie czyńcie tego wobec niej!

— Ona jest moją żoną, Paziem Mieczów! — błysnął Heraldyk, a błysk ten wyrażał jego potworny ból. Jego ukochana znajdowała się w płomieniach, a on sam tracił zmysły! — Cierp tak, jak ja cierpię. Ona goreje, ona goreje!

Była to wizja Heraldyka, a nie brata Pawła. On sam widział raczej Pazia Dysków, a nie Pazia Mieczów. Karolinę. Swoje dziecko. Lub dziecko swego dziecka, odległe o sto pokoleń. Jedna karta Tarota na każde pokolenie. Związek jednak... niewątpliwy. Nie mógł więc tolerować zadawania jej takiej tortury, takiego bólu.

Brat Paweł pragnął zawsze być człowiekiem nastawionym do wszystkich pokojowo. Teraz jednak zmuszony był walczyć.

— Dookreślam! — zawołał, rzucając następną kartę. — Ósemka Aury — Sumienie!

Możliwe, iż w odległej przyszłości karta ta nie reprezentowała już tego pojęcia, ale użył całej swej woli, by nadać jej takie znaczenie, niezależnie od okoliczności.

Karolina nie zniknęła. Otworzyła jedynie wykrzywione bólem usta i zawołała:

— Heraldyku, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią!

Jak Jezus. Tyle, że tym razem to jego córka prosiła, by wybaczyć jej oprawcom. W tej chwili jej aura była podobna Chrystusowej; odczuwał jej subtelny moc, nieporównywalną z niczym innym w tym wszechświecie. A przecież ofiara Chrystusa nie oczyściła błędnej ludzkości, nie wypędziła zła z tego świata. Zamiast tego, zło przeniknęło do samego Kościoła Chrystusowego i rozwijało się pomyślnie jak nigdy przedtem. Łzy Chrystusa...

Jeszcze jedno niewinne stworzenie składane było w ofierze, awansując, by tak rzec, od zamurowania w murze do tańczących płomieni. Jej piękne włosy płonęły od żaru, skręcając się błyskawicznie w czarną, zwęgloną masę.

Heraldyk rzucił się, by ugasić te płomienie, lecz było to działanie zupełnie nieskuteczne; nawet w jego własnej rzeczywistości była to jedynie wizja oparta na pamięci. Brat Paweł cisnął następną kartę, nie patrząc jaką, modląc się tylko, by owa powracająca krzywda dała się jakoś naprawić.

Czas się zatrzymał. Karta była pusta, ponieważ nie dokonał wyboru, a w tej animacji nie pojawiały się one na zasadzie przypadku. Musiał wybierać, choć nieistotne było, czy robił to świadomie, czy podświadomie. Czego on naprawdę chciał?

— Och, Boże, chcę, by była bezpieczna, wolna od płomieni — wyszeptał brat Paweł.

Bóg milczał. I dlaczegoż by nie? Bóg nie zwykł interweniować bezpośrednio w sprawy żyjących gatunków. Była to raczej domena Szatana.

— Cóż tedy masz do zaoferowania, Szatanie? — spytał brat Paweł. Odpowiedź była natychmiastowa:

— Zemstę.

Bóg był daleki i wyniosły; Szatan był bliski i konkretny. Nagle łatwiej mu przyszło zrozumieć, dlaczego człowiek pokroju Theriona wołał czcić Rogatego Boga. Obietnice Boga były mgliste i często na tyle spóźnione, iż ich spełnienie niewiele ważyło; sprawiedliwość spóźniona to brak sprawiedliwości. Szatan działał w sposób bardziej bezpośredni i reagował błyskawicznie. Szatan był biznesmenem; ustalał cenę za swoją usługę... ale się ze swoich zobowiązań wywiązywał. Nigdy nie oszukiwał, przynajmniej nie wprost. Używał wszelkich wybiegów, by dary Jego kosztowały więcej, niż ktoś byłby skłonny zapłacić z własnej woli, lecz postępował zgodnie z własnymi infernalnymi zasadami. Pokazał bratu Pawłowi pochodzenie i funkcje Tarota, a także jego ewolucję i przyszłość; teraz zarzucał wędkę, by chwycić na nią owe rozstrzygające trzecie życzenie.

Transakcja z Szatanem praktycznie oznaczałaby w tej sytuacji obdarzenie go czią boską. A przecież miał on wiele wartościowych cech. Być może brat Paweł spędził całe swe życie na poszukiwaniu niewłaściwego bóstwa.

Nie mógł jednak dokonać tej transakcji. Nie na tych warunkach.

— Nie! Chcę, by żyła!

— Zemsta... i życie — rzekł Szatan, dostosowując się natychmiast do zmiany sytuacji. Targi z Bogiem to zajęcie daremne i frustrujące; Szatan zachowywał zawsze pełną kontrolę nad przebiegiem zdarzeń.

Brat Paweł raz jeszcze popatrzył na okropne płomienie.

— Zgoda!

Karolina modliła się o przebaczenie dla swoich prześladowców. Miast przebaczenia, brat Paweł sprowadzał zemstę. Nie było wątpliwości, iż łzy Jezusa ciągle jeszcze płynęły!

Karta, którą wybrał, okazała się Wieżą — Domem Bożym — i Domem Diabła. Była to Wieża Prawdy i Kasztel Udręki, ten właśnie kasztel, który miał przed sobą. Z nieba uderzył strumień energii... i wszystko stało się oślepiającą jasnością.

Objawienie! Wizja cofnęła się i ujrzał kłębiącą się kulę ognia eksplozji atomowej. To była zemsta w stylu Szatana; zniszczenie ogniem całego zamku. Wszyscy ci, którzy przyczynili się do potworności palenia żywcem Karoliny, wpadli we własne sidła. Wszyscy zginęli w ogniu.

Szatan pełnił teraz rolę przewodnika, prowadząc go po całej Gromadzie Gwiazdnej i pokazując mu wojnę z kosmicznymi obcymi, z Amebą. Był to wiek Aury; dusza Karoliny, znanej Heraldykowi jako Psyche, uwięziona była w sieci Transferu Starożytnych. Wraz z odrestaurowaniem tej sieci, nastąpiło jej uwolnienie.

Karolina (Psyche) straciła ciało swego człowieczego gospodarza, żyła jednak wiecznie w ciałach innych gospodarzy. Była szczęśliwa z Heraldykiem. Nie była już małą dziewczynką brata Pawła, ni ciałem, ni duchem. Odnalazła własne życie. I tak już musiało pozostać.

Szatan przyznał mu możliwość spełnienia trzeciego życzenia i brat Paweł zdał sobie sprawę z tego, iż skorzystał z tej możliwości w sposób egoistyczny. Kiedy nadszedł bowiem sprawdzian sumienia, złożył w ofierze swój osobisty honor. A fakt, iż nie żałował tego, mówił także wiele o jego charakterze.

— A czy znasz wyrok na swoją duszę? — zapytał Szatan z wirującego chaosu próżni.

— W momencie krytycznym i ostatecznym poddałem się swym niższym instynktom — odpowiedział brat Paweł. — Jakby nie było, jestem czcicielem Rogatego Boga.

— Jaki los cię teraz czeka?

— Skazany jestem na Piekło — odpowiedział brat Paweł, świadom, iż jego własna niegodziwość jest jedynie odbiciem niegodziwości całego rodzaju ludzkiego. Człowiek nie był jeszcze przygotowany na spotkanie z Bogiem — ani w czasach brata Pawła, ani w czterdziestym piątym wieku, a być może nie będzie na nie nigdy gotów. Szatan pozwolił mu w końcu odzyskać rozsądek. — Jestem gotowy.

— Niech tak się stanie!

Chaos zniknął. Brat Paweł stał wśród zielonych traw planety Tarot. W promieniu pół kilometra wokół siebie ujrzał rozproszone postaci Lee, Theriona, Amaranty i Karoliny.

Popatrzył dookoła i zrozumiał, że oto nastąpił koniec trzeciej i ostatniej animacji. Przeżyła ją cała ich piątka. On sam odzyskał zdrowe zmysły, a skutki kastracji zniknęły gdzieś bezpowrotnie.

Z rosnącym zdziwieniem i przerażeniem pojął przyczynę takiego stanu rzeczy.

26

Decyzja (Wyrok)

W książce zatytułowanej Historia Diabła a idea Zła jej autor, Paul Carus, wyraża opinię, że być może niewłaściwie pojmujemy naturę Diabła. Diabeł jest bowiem duchem, który powoduje, że poszukujemy nowych ścieżek, wyprawiamy się na nieznane morza, a nasze myśli i uczynki charakteryzuje oryginalność. Daje nam również nadzieję bogactwa i sny o szczęściu. Niezadowolenie, którego jest przyczyną, sprawia, iż staramy się być lepsi. Tym samym, Diabeł jest faktycznie środkiem stosowanym przez Boga do stymulowania naszych najbardziej szlachetnych wysiłków. Sam Bóg nie jest ani dobrem, ani złem, lecz mieści się w obydwu. Jest we wzroście i w rozkładzie, w burzy i w spokoju, w życiu i w śmierci. Jest w nieczystym sumieniu i w przekleństwie grzechu, w tych dwóch doskonałych nauczycielach. Szatan jest więc lojalnym pomocnikiem Boga i mówić o istnieniu Diabła to tyle, co być napełnionym boską obecnością.

— Widzę, iż wreszcie uzyskałeś odpowiedź — powiedział wielebny Siltz.

— Nie, nie uzyskałem odpowiedzi, której szukałem. Obawiam się, że misja, której się podjąłem, nie mogła zakończyć się sukcesem — odrzekł brat Paweł, żując smaczny chleb, którym poczęstował go gospodarz. — Udałem się do Piekła, lecz zyskałem wiedzę o Tarocie, a nie o Bogu.

— Jutro się przekonamy — powiedział Siltz pewnym głosem. — Obserwowałem twą twarz, kiedy wynurzyłeś się z animacji, a także twarze innych. Wyglądaliście jak członkowie jednej rodziny, przeobrażeni. Dowiemy się od ciebie prawdy.

— Prawda nie jest tutaj najbardziej istotna — powiedział brat Paweł. — Poznałem oryginalnego Tarota, który ma trzydzieści Atutów, a każdy z nich posiada pseudoznaczenie i znaczenie prawdziwe. Razem reprezentują one życie Jezusa, które jest równocześnie żywotem Człowieka biorącym początek z nicości, rozwijającym się poprzez dzieciństwo i młodość do dojrzałości, podlegającym zmienności przypadku, błędom, osądom, karom i wreszcie transformacji w inną rzeczywistość, gdzie dopiero następuje prawdziwa edukacja. W końcu człowiek podlega sądowi ostatecznemu i być może zyskuje zbawienie. Karty mniejsze udzielają wskazówek pomocniczych na tej drodze — pięć kolorów, każdy dotyczący fundamentalnego aspektu żywota, każda zaś karta z dwoma wersjami podstawowego przesłania. Najbardziej wyrafinowana talia kart, a przecież będąca czymś znacznie istotniejszym. Cała historia religii znajduje swoje odbicie w Tarocie!

— Na to wygląda — zgodził się Siltz. — A może powinieneś uczynić zapis całej tej szczególnej talii, nim zniknie ona z twojej pamięci?

Brat Paweł skinął głową.

— Tak... zniszczyłem ją; muszę ją teraz zrekonstruować. Ludzkość zasługuje na posiadanie

prawdziwego Tarota! Muszę też dać światu Satelitarny Rozkład Kosmiczny... czy może byłoby to wykradanie czegoś z przyszłości?

— Musiała to być zaiste niezwykła animacja — zauważył Siltz. — Umieram z ciekawości. Jakie było znaczenie kart tego dodatkowego koloru?

— To kolor Aury. As jest zatytułowany BYĆ, a jego symbolem jest lampka oliwna w kształcie kosmicznej lemniskaty. — Narysował palcem w powietrzu figurę: oo. — W przyszłości w jej miejscu użyją symbolu rozbitego atomu z protonowo — elektronowym jądrem, otoczonym spiralną powłoką elektronową. Nakreślił następną figurę: oo. — Nie przypadkiem przypomina ona kształt galaktyki. — Uśmiechnął się. — Transformacja ikonograficzna. Cywilizacje Gromady korzystają z wszelkich możliwych wariantów, jakie przypadną im do gustu. Podobnie czynią w przypadku miar i wag. Na Etaminie używają mil zamiast kilometrów... — Pohamował się. — Zaczynam dywagować! Dwójka ilustrowana jest ludzką aurą, a interpretuje się ją jako DUSZĘ lub SIEBIE SAMEGO, w zależności od tego, jak się ułoży. Trójka to PERSPEKTYWA lub DOŚWIADCZENIE...

— Zapisz to, zapisz to koniecznie! — rzekł Siltz. — Jestem wielce zaintrygowany tą twoją talią marzeń! Osobny symbol dla każdej blotki?

— Tak. Wszystkie symbole w kolorze mają związek z tematyką danego koloru i naturalnie każdemu kolorowi przypisana jest jakaś barwa. To jest kolor Sztuki, zakodowany fioletem...

— Myślałem, iż nazwałeś ten kolor Aurą.

— To są jedynie aspekty tego samego zjawiska. Aura, Sztuka, Duch, Plazma, Atomy...

— Wszystko to jednym kolorem? — spytał Siltz, marszcząc brwi.

— Tak. Każdy z kolorów można interpretować na wiele sposobów, w zależności od punktu odniesienia. To tak, jak przycisk w kalkulatorze. Karty wyglądają tak samo, lecz przesunięcie funkcji powoduje, iż ich działanie jest inne. W ten sposób użyteczność pojedynczej talii jest zwielokrotniona. Zamiast stu lub dwustu aspektów, mamy tysiąc i więcej, każdy o określonej specyfice. Kiedy punktem odniesienia są klasyczne żywioły, nazywamy kolory OGNIEM, POWIETRZEM, WODĄ, ZIEMIĄ i AURĄ. Kiedy są nim ludzkie osiągnięcia, nazywamy je NATURĄ, NAUKĄ, WIARĄ, HANDLEM i SZTUKĄ. W czasach średniowiecznych ten drugi kolor to była MAGIA, a nie NAUKA, jego znaczenie jednak było takie samo. Siltz roześmiał się.

— Tak też sądziłem.

— Kiedy zaś punktem odniesienia jest popularna dywinacja, kolory reprezentują PRACĘ, KŁOPOTY, MIŁOŚĆ, PIENIĄDZE i DUCHA. Kiedy są nim stany materii, mamy wówczas do czynienia z ENERGIA, GAZEM, CIECZĄ, CIAŁEM STAŁYM i PLAZMĄ. Kiedy...

— Plazmą?

— W fizyce takim mianem określa się stany materii występujące we wnętrzu supergęstych gwiazd, gdzie ciśnienia są tak ogromne, iż następuje załamanie się struktury atomowej...

— Och, już pojmuję. Rozbity atom! Zapadnięta galaktyka. Zapisz to, zapisz to koniecznie! Nie chciałbyś przecież wracać do animacji po coś, czego zapomniałeś. Przygotuj tabelę, która będzie zawierać nazwy, liczby i symbole. — Zaczął pośpiesznie rysować linie na kartce papieru, dzieląc ją na kolumny. — Asy reprezentują u ciebie...

— CZYNIĆ, MYŚLEĆ, CZUĆ, MIEĆ i BYĆ — powiedział brat Paweł, wpisując te wyrazy w kolumny. — Z symbolami Berła, Miecza, Kielicha, Monety i...

Przerwało im pukanie do drzwi.

— Wejdz, dziewczyno — zawołał Siltz, nie odwracając wzroku od tabeli. A do brata Pawła wyszeptał: — Myślałem, że już nigdy się nie ugnie! Od kilku dni nie pojawiła się w moim domu!

Weszła Jeanette. Była prawie piękna w zaskakująco kobiecej sukience, z ułożonymi włosami i widocznymi spod sukienki kształtnymi łydkami.

— Ależ ty... skąd wiedziałaś?

— Niezawodny Tarot Animacji brata Pawła poinformował mnie, iż zbliża się jakaś bieda. A twoja sprawa wiąże się z pracą, kłopotami, miłością, pieniędzmi i duchem.

— Nie z pieniędzmi! — rzuciła ostro. Po czym, nagle zawstydzona, przyklękła przed nim na jednym kolanie. — Wielebny Siltzu z Kościoła Komunistów, błagam o pozwolenie poślubienia twojego syna.

Siltz skierował palec skazujący wprost w jej zuchwały nosek.

— Dwójka wnucząt!

— Pierwszych dwoje dzieci zostanie wychowane w twojej wierze — powiedziała ponuro. — Tylko pierwszych dwoje!

Siltz uśmiechnął się triumfalnie.

— Jestem człowiekiem rozsądnym, choć czasami na tym tracę. Udzielam mojego pozwolenia.

Jeanette straciła kontrolę nad swym dotychczasowym, pełnym rezerwy, zachowaniem.

— Och, wielebny, dziękuję ci! — wykrzyknęła, zrywając się i zarzucając mu ramiona na szyję.

— Proszę cię, córko... rozsypiesz cenne karty brata Pawła, machając tak swoją śliczną spódniczką.

— Nie przejmuj się moimi kartami — wtrącił szybko brat Paweł. — Jestem pewien, iż macie do obgadania mnóstwo szczegółów związanych ze ślubem, i tak dalej. Pójdę na spacer. — Ruszył do drzwi.

Żadne z nich go nie usłyszało. — Nazwałaś mnie córką! — zawołała Jeanette. — To cudowne.

— Tylko opiekuj się dobrze moim synem — mruknął Siltz. — Nie jest przyzwyczajony do małżeństwa. Nie będzie wiedział, co ma robić.

— Zupełnie dobrze wie, od czego zacząć — powiedziała, rumieniąc się.

Brat Paweł wynurzył się z chaty. Wzruszyło go to pojednanie, choć przypomniało mu zarazem o jego własnych problemach. On także pragnął mieć córkę... lecz córka, którą miał na myśli, należała do innego mężczyzny, a on sam nie miał nawet żony. Zresztą i tak wkrótce zostanie teleportowany z powrotem na Ziemię, a inni muszą tu zostać. Przede wszystkim, nie uzyskał jednak odpowiedzi, po którą tu przybył. Nie miał, niestety, takiej odpowiedzi, którą skłonny byłby przedstawić kolonistom! Jak może stanąć jutro przed całą tutejszą społecznością, przynosząc jedynie rozczarowanie?

Było ciemno. Światło padało z okien chat, pomagając mu znaleźć drogę, ale kiedy opuścił teren osady, mógł polegać jedynie na gwiazdach. Zastanawiał się, czy widoczne stąd są któreś z gwiazd należących do cywilizacji, o których się niedawno dowiedział: Etaminy, Mintaki, Spiki czy galaktyki Andromedy. A gdzie znajduje się galaktyka Ognistego Kręgu? Nigdy przedtem o niej nie słyszał! Tutaj, nocą, te obce, cywilizowane sfery wydawały się jednocześnie bardzo bliskie, a zarazem boleśnie odległe, zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Chciałby... nie, to było daremne. Wykorzystał już swoje trzy życzenia i był teraz w Piekło, gdzie było jego miejsce.

Szedł w kierunku Doliny Północnej, świadomy, iż podejmuje niemądre ryzyko oddalając się od osady samotnie i bez broni. Było mu jednak wszystko jedno. Ujrzał wszechświat i go utracił; cóż więcej miał do stracenia? Jakiż drapieżnik może być gorszy od tego, którego już napotkał w Piekło?

Przed sobą widział błyski nowików. Tam należało się udać! Potknął się o coś. Pociągnął to coś gwałtownie za sobą, kiedy usiłował odzyskać równowagę. Usłyszał całą serię cichych trzasków. Bańki Tarota; wszedł na ich grupę spoczywającą w zagłębieniu gruntu. Nowik błysnął tuż przed nim, oświetlając kurczące się bańki.

Widok ten wyzwolił coś w jego umyśle, pozwolił mu doświadczyć nagłej iluminacji.

— Animacja! — wykrzyknął głośno. — Źródło animacji! Nareszcie rozumiem!

Skoncentrował się. Rozjarzyło się światło... nie, nie były to tym razem nowiki, lecz światło przywołane wolą brata Pawła. A przecież nie znajdował się jeszcze na terenie animacji.

— Kontroluję ją — powiedział do siebie. — Rozwiązałem problem animacji! — Po czym, ciszej, dodał: — Ale nie rozwiązałem problemu Boga.

Stał przez jakiś czas, pogrążony w zadumie, obmyślając i przygotowując swoje wystąpienie przed kolonistami.

— Animacja — powiedział. — Starożytni. Aura. To wszystko łączy się ze sobą, co już prawie odkryłem w przyszłości, w wizji Heraldyka Uzdrawiciela.

Po czym zaczął zbierać bańki Tarota, zamierzając udekorować nimi scenę, na której jutro wystąpi.

Brat Paweł stał na szczycie stosu drewna. — Przybyłem tutaj, by ustalić tożsamość Boga Tarota — mówił. — Istniał bowiem problem, czy za zjawiskiem animacji stoi jakiś bóg, a jeśli tak, który to z bogów. Mam odpowiedź na to pytanie... lecz nie jest to odpowiedź, która sprawia mi przyjemność, tak jak i wam jej nie sprawi. Mógłbym wam powiedzieć, iż wszyscy bogowie są tu jednakowo ważni...

Tak jak się spodziewał, kręcili przecząco głowami. Nie mogli zaakceptować takiej odpowiedzi. Chcieli jednego, dominującego Boga, a nie filozofię opartą na kompromisie.

Przerwał na moment, próbując tak sformułować swoją decyzję, by była jak najmniej bolesna dla tej społeczności. Jakiż sens miała zwłoka, po tym, jak przeszedł przez Piekło? Zauważył jednak, iż nie jest w stanie przedstawić im swoich wniosków w sposób brutalny i bezpośredni, że musi ich do nich doprowadzić drogą okrężną.

— Wiele danych, na których opieram swoją opinię, jest niepewnych, ponieważ pochodzą z animacji, która sama jest obiektem badań. Animacja jest zmaterializowanym zbiorem wyobrażeń uczestników wypadków. Ich wspólnym snem, by tak rzec. Wygląda na to, iż ten sen był głównie moim snem, a ja jestem naczyniem niedoskonałym... nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo niedoskonałym, dopóki tego wszystkiego nie doświadczyłem! Możecie więc odrzucić moje wnioski, jeśli tylko zechcecie.

Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu. Dziekan Brown z Kościoła Lemurii obserwował go, mimo iż oczy utkwione miał w ziemi; sprawiało to niesamowite wrażenie! Duchowny Malcolm z Narodu Islamu. Pani Ellend z Kościoła Chrystusowego: scjentystka, być może najstarsza wiekiem w tym zgromadzeniu. Pastor Runford, świadek Jehowy. Jeanette, siedząca tuż przy wielebnym Siltzu; scjentolog i komunista, wreszcie zjednoczeni. Brak było jedynie Swamiego, który wciąż nie odzyskał przytomności.

— Trzy miliony lat temu istniały istoty, które znamy pod imieniem „Starożytnych”. Nie były to istoty humanoidalne, a ich cywilizacja obejmowała kilka galaktyk naszej Gromady: Drogę Mleczną, Andromedę, Ognisty Krąg i wiele pomniejszych gwiazdozbiorów. Byli oni istotami wyrafinowanymi, a ich technologii nikt nigdy nie dorównał. Jeden z wielu kierunków badań, którym się szczególnie zajmowali, dotyczył ekspresji sztuki, kontrolowanej inteligentną świadomością. Interesowali się mechanizmem wyobraźni i poszukiwali dróg pozwalających uczynić sztukę przeżyciem bardziej bezpośrednim. Po cóż bowiem dokonywać nużących czynności, takich jak malowanie czy rzeźbienie, kiedy sam umysł potrafi tworzyć wyobrażenia w sposób bezpośredni, bez pośrednictwa instrumentów i obiektów materialnych? Sztuka tego rodzaju byłaby nie tylko o wiele bardziej wygodna ze względu na możliwość natychmiastowej kreacji, lecz byłaby również znacznie elastyczniejsza od tej, którą się tworzy przy użyciu środków konwencjonalnych. I tak Starożytni stworzyli animację.

Brat Paweł zamilkł na chwilę. Niewątpliwie upraszczał cały problem, bo przecież wiedział, iż radość w sztuce wynikała z samej czynności jej tworzenia. Miał jednak do rozwiązania problem

zgrania pewnych spraw w czasie. Słońce przygrzewało dość mocno. Większość ślicznych baniek Tarota już popękała. Nadszedł więc właściwy moment.

— To właśnie — rzekł brat Paweł unosząc i rozkładając szeroko ramiona — jest animacja.

Nagle cały świat stał się purpurowy. I czarny. Otoczyły ich styksowe ciemności... i dopiero błyski nowików dostarczyły przerywanego, migającego światła.

Zjawisko ustąpiło. Wszystko wyglądało tak samo jak przedtem.

— Nowiki zyskują swe światło poprzez animację — powiedział brat Paweł. — Dlatego właśnie mechanizm powstawania światła w ich organizmach był niezrozumiały dla nauki. Nie ma on bowiem natury fizycznej i materialnej. Leży w sferze wyobraźni... i to w sensie dosłownym. Ośmielam się twierdzić, iż wiele innych niezwykłych cech występujących w przyrodzie tej planety będzie można wyjaśnić dzięki zastosowaniu takiego podejścia.

Wielebny Siltz, zaskoczony jak i cała reszta zebranych, zwrócił się do brata Pawła.

— Jak...?

— Właśnie do tego przechodzę, wielebny komunisto — powiedział brat Paweł. — Odprężmy się widokiem czegoś ładnego, podczas gdy ja przekażę wam te bardziej ponure szczegóły. — Pomiędzy ludźmi pojawił się iskrzący trumien i płynął zakolami do stojącej w centralnym punkcie fontanny. Brat Paweł stał na jej szczycie. — Jak widzicie, animacja potrafi ukazywać obrazy tam, gdzie nic nie ma, i ukrywać przed naszymi oczyma to, co jest. Potrafi też do pewnego stopnia wytwarzać dźwięki; mowa niosąca znaczenie musi jednakże być wypowiedzana przez osoby żyjące. Wpływa na zmysł dotyku, ale zazwyczaj jedynie poprzez modyfikację istniejących już powierzchni. Mówiąc krótko — istnieje zawsze jakaś materialna postawa dla wytworu animacji, ale ta podstawa i to pojawienie się wytworu nie muszą być ze sobą zbyt blisko związane. Animacja może wytworzyć wrażenie wody... — w tym miejscu woda z fontanny rozlała się szeroko na kształt jeziora, oblewając i moczając kolonistów — ale nie może was utopić, jeśli nie wpadniecie przypadkiem do prawdziwej wody. Moglibyście się udusić, wierząc, iż znajdujecie się pod wodą, jednak nie byłby to bezpośredni rezultat działania animacji. — Woda sięgała teraz kolonistom do piersi i podnosiła się coraz wyżej, powodując całkiem poważne zaniepokojenie. — Nie zamierzam was torturować, chcę jedynie pokazać, że można zginać w animacji, nie będąc przez nią zabitym. — Woda opadła i utworzyła ponownie kształt fontanny.

— Zwróćcie uwagę, że nie jest to masowa hipnoza — mówił dalej brat Paweł. — Pokazałem wam te zjawiska, zamiast o nich opowiadać. Wszystkie istoty żyjące posiadają pewną niematerialną siłę, którą nazywamy aurą. Jeden z jej aspektów udało się sfotografować w procesie Kirliana, ale był on zapewne jedynie załamaniem się światła spowodowanym przez opary wody związane z naszą formą życia. Bowiem prawdziwa aura może być wykryta tylko za pomocą wielce wyrafinowanych technologicznie instrumentów, których ludzkość nie potrafi skonstruować jeszcze przez kilka najbliższych wieków. Niektórzy nazwaliby ją duszą — najgłębszą istotą osoby ludzkiej, niezależną od ciała. I rzeczywiście, pewne pozaziemskie cywilizacje są w stanie przenosić tę duszę do innych ciał, umożliwiając w ten sposób podróże po obcych światach istotom znajdującym się w

ciałach tymczasowych gospodarzy.

— Aura pojedynczego osobnika różni się od każdej innej typem, jakością i intensywnością; większość posiada jednak aurę zbliżoną do „normy sapiens” oznaczonej cyfrą 1; aura intensywniejsza oznaczona jest cyfrą wyższą. Każda jest czymś wyjątkowym i cudownym, lecz aura o ponadprzeciętnej intensywności jest spektakularna na szczególny sposób.

Przerwał, a fontanna zmieniła kolor na jasnożółty i wytworzyła u swej podstawy pierścień zielonych oczu.

— Nie wyraziłem słowami swojego życzenia — rzekł brat Paweł, uśmiechając się. — A mimo to, moja wola jest dla wszystkich widoczna! Nie obawiajcie się o wasz stan psychiczny; wszyscy postrzegacie tę samą niemożliwość. Moja aura należy bowiem do grupy najbardziej intensywnych wśród przedstawicieli naszego gatunku. Nie oznacza to, iż jestem lepszy od innych; daleki jestem od takiego twierdzenia! Jestem natomiast naczyniem niedoskonałym, pełnym najgorszych ludzkich wad. Przypadek sprawił, że otrzymałem ten dar. Do czasu przybycia na tę planetę nie byłem nawet go świadom, a do ubiegłej nocy nie rozumiałem go w pełni. Okazuje się jednak, iż to właśnie aura steruje animacją... i w tym fakcie leży moja siła.

Żółta woda przybrała postać żółtego potwora, drgającego i wydającego głośne ryki, a brat Paweł stał na wysuniętym z jego paszczy jęzorze.

— Kiedy wkroczyliśmy na teren animacji, moja aura rozszerzyła się, oddziałując na słabsze aury innych, przekazując im tym samym moją wolę. Dlatego właśnie widzieli to, co ja widziałem, i najogólniej mówiąc, wypowiadali słowa, których ja od nich oczekiwałem. Przypomina to telepatię, lecz nie jest bezpośrednim kontaktem umysłów. Ponieważ zaś animacja nie oddziałuje bezpośrednio na umysł, a jedynie na percepcję, mogli oni interpretować swe role w miarę swobodnie, chociaż zawsze to ja odgrywałem główną rolę.

— Ale co powoduje, że ona w ogóle pojawia się?! — zawołał wielebny Siltz, wpatrując się w potwora. — Dlaczego zjawisko animacji zachodzi jedynie tutaj, na planecie Tarot? Przecież na Ziemi są również ludzie posiadający aurę.

Potwór zamienił się w stos kamieni przetykanych zielonymi klejnotami.

— Starożytni użyli swej wyrafinowanej wiedzy i technologii, by stworzyć specjalną formę życia, której zadaniem było ułatwianie kontaktu między aurami — powiedział brat Paweł. — To wyjątkowe stworzenie generuje... przypuszczam, iż można by to nazwać pewnego rodzaju gazem, który wzmacnia proces zachodzenia, nakładania się jednej aury na drugą. Generuje katalizator. Zwykła aura posiada charakter dyskretny, nieciągły i utrzymuje swoją odrębność nawet wówczas, kiedy dwie aury zachodzą na siebie. Niektóre istoty lubią przebywać w bezpośredniej, fizycznej bliskości z innymi, dzięki czemu ich aury tworzą wspólną „chmurę”, inne wolą trzymać się z daleka. Substancja, o której mówię, neutralizuje do pewnego stopnia ową odrębność aury, czyniąc ją przenikalną dla innej, łącząc ją z tą inną. W jakimś fundamentalnym sensie, grupy ludzi znajdujących się w pobliżu owego gazu łączą się ze sobą, uczestniczą we wspólnym przeżywaniu doświadczenia. Animacja może więc być potencjalnie najdoskonalszym instrumentem służącym jedności i harmonii.

— Ale przecież niektóre animacje to koszmar! — krzyknął pastor Runford.

— Tak jest rzeczywiście — zgodził się brat Paweł. — Ponieważ przeciętny człowiek nie jest jeszcze przygotowany do takiego zjednoczenia i harmonii. Ma on bowiem problemy z własnymi koszmarami, które animacja potrafi zmaterializować, i woli nie przeżywać koszmarów innych ludzi. Ci z nas, którzy uczestniczyli w eksperymencie, przeżyli horrory dostępne jedynie naszej własnej wyobraźni. Przed nami byli tacy, którzy z tego powodu stracili życie. Jest bowiem rzeczą wielce niebezpieczną uwolnienie okropności naszego umysłu, szczególnie kiedy długo tam były tłumione. Swami Kundalini próbował mnie przed tym przestrzec. — W tym miejscu przerwał, zastanawiając się nad istotą owej przestrogi: — Na szczęście byliśmy dobrze dobraną grupą, przynajmniej pod tym względem, i nasze horrory neutralizowały się wzajemnie co najmniej w takim samym stopniu, w jakim się nawzajem wzmacniały. Przeżywalismy więc pewną złożoną całość, która była zasadniczo niezależna od woli poszczególnych uczestników, nie wyłączając mojej własnej. Bardzo pomocne okazało się oparcie na wizerunkach Tarota, Tarot bowiem jest wyrafinowanym zbiorem wyobrażeń i myśli filozoficznej, której korzenie tkwią głęboko w ludzkim doświadczeniu i symbolice. Bez tego oparcia przy tworzeniu własnych struktur animacyjnych popadlibyśmy w olbrzymie kłopoty. W przyszłości Świątynia Tarota zintegruje Tarota z animacją, stosując potężne, ale precyzyjnie kontrolowane techniki i rozpowszechni go w całej gromadzie galaktyk. — Uśmiechnął się. — Wszędzie, z wyjątkiem sfery Soi. Nasz rząd zakazuje korzystania ze zjawiska animacji i spowoduje, że — jak na ironię — pod tym względem pozostaniemy w tyle za innymi.

Jeanette słuchała jego słów ze zmarszczonymi brwiami. Pociągnęła za ramię Siltza, a kiedy ten się nachylił, zaczęła szeptać mu coś do ucha. Jakże szybko nabrała praw własności i dawała im wyraz wobec całej społeczności! Mogła przemówić sama, ale najwyraźniej wołała, by wielebny przemówił w jej imieniu. Pokazywała swą siłę nie tyle poprzez małżeństwo z młodym Iwanem — którego nawet nie było wśród zgromadzonych — ile przez konfidencjonalną bliskość z jego ojcem, głową rodu. Należała już do rodziny, a publicznie okazywany jej szacunek stanowił dowód jej zwycięstwa.

Siltz słuchał z powagą, tak jak ojciec wysłuchuje tego, co jego córka ma do powiedzenia, po czym zabrał głos:

— Nie odpowiedziałeś na pytanie, bracie Pawle. Czym są owe stworzenia animacji? Czy możesz nam jakieś pokazać?

Ach, tak; znowu zboczył z głównego tematu, jak to miał w zwyczaju.

— Są wszędzie. To bańki Tarota.

— Bańki!?! — wykrzyknęło kilka osób.

— Zgadza się. Te niewinne kawałki piany powstające w nocy i pękające za dnia. Są formą życia — nie wiem, czy są roślinami, zwierzętami, grzybami, bakteriami, czy jeszcze czymś innym. Podejrzewam, iż są formami obcymi, tą piątą możliwością, skoro wszystko tutaj, w sposób zupełnie naturalny, dzieli się na pięć kategorii, jak kolory w Tarocie. Rozmnażają się, rosną, odżywiają i usiłują przetrwać...

— Ależ one jedynie siedzą w jednym miejscu lub latają w powietrzu!

— Przebywają zazwyczaj w cieniu — wyjaśniał brat Paweł. — Kiedy pękają, uwalniają ze swego wnętrza czynnik halucynogeny i zarodniki, które pozwolą wzrosnąć nowym osobnikom po powrocie sprzyjających warunków.

— Po cóż w takim razie istnieje zjawisko animacji? One go nie potrzebują!

— Bańki Tarota nie ewoluowały w sposób naturalny. Zostały stworzone, a przynajmniej zmodyfikowane, przez cywilizację, której motywy i umiejętności są niewiarygodnie skomplikowane. Możliwe, że animacja jest jakimś mechanizmem służącym ich przetrwaniu. Możliwe, że chroni je przed atakiem, wywołując obrazy odciągające uwagę ewentualnych napastników. A chęć przeżycia doświadczenia halucynogennego, która jest udziałem większości istot rozumnych, mogła się przyczynić do rozprzestrzenienia baniek w zamieszkałym wszechświecie, tak jak rozprzestrzeniły się rośliny dające owoce, owady produkujące miód czy użyteczne zwierzęta. Podejrzewam również, że kontrolowana animacja może spełniać rolę naturalnego specyfiku przeciwbólowego i naturalnej pomocy naukowej. Specjaliści z wielu dziedzin odkryją w niej coś pożytecznego. Do kontroli i do sterowania animacją będą im potrzebne bańki. Dzięki temu, same bańki mają zapewnioną szansę przetrwania. — Brat Paweł zmarszczył brwi. — Jednakże o wiele mniej optymistycznie widzę szansę naszego gatunku, którego szaleństwo może jedynie ulec zaostreniu. Wiele bowiem lekarstw o zbawiennym działaniu zostało w przeszłości użytych niewłaściwie, że przypomnę morfinę czy mnen. Co się wydarzy na Ziemi, kiedy dotrze tam animacja? Najwyraźniej rozwój wypadków doprowadzi do tego, że zostanie tam zakazana.

Żółty potwór rozplynał się powoli w powietrzu. Brat Paweł ponownie stał na stosie drewna w centrum osady.

— Wydaje się, że gaz uległ rozproszeniu — powiedział. — Kiedy animacja przekracza swoje natężenie progowe, jej skutki znikają równie szybko, jak płomień zdmuchniętej świecy. Ubiegłej nocy przyniosłem tutaj pewną liczbę dojrzałych baniek, nie dość jednak, by podtrzymać zjawisko przez czas dłuższy. W depresji, którą jest Dolina Północna, gdzie warunki dla nich są o wiele korzystniejsze, animacja trwa znacznie dłużej, chyba że burze i wiatry przesuną unoszący się w powietrzu gaz w jakieś inne miejsce. Mam nadzieję, że moje wyjaśnienia i pokaz trafiły wam do przekonania.

— To nie ulega wątpliwości — rzekł wielebny Siltz. — Ale jaka jest twoja odpowiedź? Kto jest Bogiem Tarota?

— Odpowiedź nie jest łatwa, skoro odmówiłeś przyjęcia tej, którą zaproponowałem — mówił brat Paweł powoli. To był dla niego najtrudniejszy fragment wystąpienia! — Wszystkie przejawy animacji wydają się mieć materialne podstawy. Zależności pomiędzy bańkami a indywidualną aurą i zmienne tam występujące czynią wyjaśnienie zjawisk bardzo trudnym, sądzę jednak, że niezależne badania potwierdzą moje domysły. Tym samym, nie widzę potrzeby, by zakładać bezpośredni udział jakiegoś bóstwa w wydarzeniach.

Zapadła chwila ciszy.

— Nie ma Boga? — spytał Siltz powoli.

Wyglądało na to, że został rzecznikiem całej społeczności. Ze sposobu, w jaki wypowiedział pytanie, brat Paweł nie był się w stanie domyślić, czy oznaczało ono dla tego mężczyzny zwycięstwo, czy klęskę. Wielu humanistów wierzyło w ducha Człowieka, a nie w Boga; jakie też mogło być stanowisko w tej sprawie Kościoła Komunistów?

— Tego... nie mogę powiedzieć — odpowiedział brat Paweł. — Mogę jedynie stwierdzić, że mnie Bóg się nie objawił poprzez animację. Dlatego nie mogę ustalić tożsamości Boga Tarota, skoro nie mam żadnych konkretnych dowodów na to, iż Bóg Tarota w ogóle istnieje.

— Ale przecież jakiś Bóg jest — nalegał Siltz. — I można go odnaleźć w ludzkich sercach. Szukałeś prawdy. Musiałeś coś znaleźć.

— Nie — odpowiedział z wysiłkiem brat Paweł. — Straciłem pewność, że jest jakiś Bóg. Starałem się bardzo Go odnaleźć, lecz zawsze kierowany byłem gdzieś w bok, gdzie demaskowano moje umiłowane zasady wiary. Najbliżej boskiej obecności znalazłem się wówczas, kiedy moje poszukiwania szły w całkiem odwrotnym kierunku i kiedy wpadłem w precesję.

Nie było okrzyków gniewu. Zebrani osadnicy, należący do tylu różnych wyznań i wiar, patrzyli na niego z żalem i współczuciem.

— Nie wątpię, iż zachowałeś wiarę w swojego proroka, Jezusa Chrystusa — powiedział wilebny Siltz. — Prosiłszy jedynie, byś wybrał jednego spośród naszych bogów, a nie żebyś odrzucił własnego.

— Nie jestem pewien, czy zachowałem wiarę — powiedział brat Paweł. — To, co uczynił Jezus, można wyjaśnić obecnością aury. Mógł więc być zwykłym człowiekiem, nawet... okaleczonym, z wyjątkowo intensywną aurą. A aura może wywołać wizje; aura może uzdrawiać. W przyszłości będą tacy, którzy zawodowo zajmą się uzdrawianiem za pomocą aury, nie łącząc z tym spraw religii. — Heraldyku Uzdrawicielu, gdzież teraz jesteś? — Bóg... trudno mi odkryć jakieś obiektywne argumenty przemawiające za istnieniem Istoty Najwyższej wobec faktów związanych z animacją i aurą.

— Ale przecież to nie jest zanegowanie! — nalegał Siltz. — Te rzeczy są być może dowodem na to, iż Bóg działa poprzez takie narzędzia, jak Starożytni czy aura. Są fakty, których nie potrafimy wyjaśnić; jest także dobro i zło. Musi więc istnieć Boska Inspiracja, Siła Duchowa... i ty zapewne musiałeś natrafić na jakieś informacje czy wskazówki, które pozwoliłyby ustalić tożsamość tej Siły.

— Być może — zgodził się brat Paweł niechętnie. Wiedział, co Siltz usiłuje uczynić: uratować planetę Tarot przed depresją i chaosem, które mogłyby zapanować w rezultacie negatywnej decyzji. Lepszy jakiś obcy bóg niż anarchia. Kolonia potrzebowała zjednoczenia, przynajmniej pod względem politycznym, zjednoczenia wokół jednego bóstwa — jakiegokolwiek bóstwa. — Nie mam teraz jednak żadnej pewności, co jest dobrem, a co złem i czy rzeczywiście istnieje między nimi jakaś różnica. Jedno nie ma najmniejszego znaczenia bez drugiego, tak jak czarne znaki, które nazywamy pismem, nie znaczą — nic bez białego tła papieru. Czerń i biel wspólnie tworzą znaczenie;

głupstwem byłoby nazwanie któregoś z tych kolorów bogiem. Dobro i zło istnieją tylko jako współtowarzysze, jako krańce tej samej perspektywy; bóg może być w obydwu lub w żadnym, ale nie można twierdzić, że jest jednym lub drugim. Mimo to, nie mogę zakładać jedynie na podstawie subiektywnych dowodów...

— Możesz! To nie są jedynie przypuszczenia! Pięć osób uczestniczyło w wydarzeniach animacji; wszystkie wniosły swój wkład w wizje. W tym zbiorowym wysiłku musielibyście osiągnąć jakiś consensus, w przeciwnym bowiem razie zniszczylibyście się nawzajem. Wyszliście stamtąd zjednoczeni... widoczne to jest w każdym z was, nawet w tym dziecku. Jako grupa osiągnęliście porozumienie, nawet jeżeli świadomie nie rozumiecie logicznych podstaw tego porozumienia. Skoro tak zróżnicowana grupa ludzi jak wasza piątka może się zjednoczyć, równie dobrze może to uczynić cała nasza kolonia — wokół tego samego bóstwa. Jako grupa; ustaliliście tożsamość Boga!

Brat Paweł popatrzył na Lee i na Theriona, i na Amarantę, i na Karolinę, siedzących na kłocach drewna tuż za nim. Powoli każde z nich, po kolei, skinęło głową. Mimo to nie ulegał.

— To, czego doświadczyliśmy — mówił brat Paweł — było sytuacją szczególną, nie dającą się prawdopodobnie zastosować w świecie zewnętrznym. Nie mogliście zaakceptować...

— Czy mamy zwrócić się z tym pytaniem bezpośrednio do obserwatorów? — zapytał Siltz.

Brat Paweł milczał.

— Żądamy odpowiedzi — nalegał Siltz. — Mormonie, twoja wiarygodność jest bez skazy. Wiemy, że nas nie zwiedziesz, choćbyś miał utracić własną wiarę. Kto jest Bogiem Tarota?

Lee jednak pokręcił przecząco głową, odmawiając odpowiedzi. Siltz zwrócił się do Amaranty.

— Abraksas? Nie byłaś wyznaczona na obserwatora, lecz fakt, że przeżyłaś trzy animacje, udowodnił twą siłę. Kto?

Amaranta milczała.

Wzrok wielbego spoczął na Karolinie.

— Dziecko, Dziewięciu Nieznanych Mężów nie będzie zadowolonych, jeśli nie odkryjesz tego, co sama zgodziłaś się obserwować. Kto jest Bogiem Tarota?

Dziewczynka próbowała się opierać, lecz widząc utkwione w siebie oczy wszystkich zgromadzonych, załamała się.

— Sz-sza'n — wyszeptała.

— Nie dosłyszałem — rzekł Siltz surowo. — Mów wyraźnie!

Karolina spróbowała jeszcze raz.

— Sza... Szatan jest Bogiem Tarota.

Therion, który do tej pory zachowywał się całkowicie biernie, teraz uśmiechnął się szeroko.

— Znany również pod imieniem Rogatego Boga — powiedział. — Powrócił po tysiącach lat, by domagać się tego, co do Niego należy. Mnie byście nigdy nie uwierzyli, ale tym innym musicie uwierzyć. — Zwrócił się do pozostałych obserwatorów i do brata Pawła: — Kto temu zaprzeczy?

Nikt nie zaprzeczył. Brat Paweł odczuwał szczególny rodzaj bólu, związany z jego wiarą. Cóż najlepszego uczynił, ulegając niższym instynktom i wypowiadając trzecie życzenie? Został odesłany do Piekła... a teraz i tu było Piekło. Szatan był Bogiem Piekła.

— Ludzkość należy do Diabła — oznajmił Therion z triumfem. — A świat żyjących jest jedynie jednym z aspektów Piekła. Nie udało nam się znaleźć łaski w animacji... tak, nawet mormonowi, nawet dziecku, nawet bratu Pawłowi!... i Szatan przywrócił nas do Swego królestwa. W końcu poznaliśmy prawdę.

Zgromadzeni milczeli.

Mądrość (Mędrzec)

Wzrasta liczba ludności. Człowiek zatrzuwa lądy, morza i powietrze w zatrważającym tempie. Czyż to nie ironia, że mógłby się wyżywić przez jeszcze wiele wieków, gdyby przetwarzał odpadki zamiast zaśmiecać nimi własne środowisko? A tak, pogarsza jedynie sytuację, nadużywając trucizn (insektycydy, pestycydy), środków użyźniających i energii, co prowadzi do dalszej degradacji środowiska. Ironia polega również na tym, że, jak podkreśla G. Legman w swej książce Podstawy logiczne świńskiego dowcipu: „To właśnie łajno jest nieskażone, a »czysty, biały proszek« truje!” — Wygląda jednak na to, że nie należy oczekiwać racjonalnych działań w tej dziedzinie i że niefrasobliwa eksploatacja zasobów naturalnych będzie postępowała aż do całkowitego wyczerpania żywności.

Therion, któremu towarzyszyło kilkoro osadników, prowadził uroczyste modły:

Ojcie, nasz, Któryś jest w Piekło, Bądź przeklęte Imię Twoje.

Przyjdź Królestwo Twoje, Bądź Wola Twoja, jako w Piekło tak i na Ziemi.

— To rzeczywiście jest Piekło — wyszeptał brat Paweł. I z nagłą nadzieją w duszy pomyślał: czy to naprawdę jego niepowodzenie związane z trzecim życzeniem spowodowało to nieszczęście na planetę, skazało ją na potępienie za jego pośrednictwem, pośrednictwem niedoskonałego człowieka? A może to tylko jeszcze jedna animacja udająca rzeczywistość, tak jak to było w przypadku sceny na lotnisku? Trudno mieć pewność. Być może więc...

Nie. Jeśli to nie było rzeczywistością, to nigdy w życiu nie będzie w stanie odróżnić rzeczywistości od animacji. Swoją drogą ciekawe, jak Szatan zareaguje na modły swych nowych wiernych. Niewątpliwie w taki sposób, który każe im żałować uczynionego wyboru!

— Och, Swami — wyszeptał. — Miałeś słusność ostrzegając mnie wówczas! Odstłoniłem bowiem rąbka tajemnicy animacji... i sprowadziłem na Ws Szatana!

A przecież Szatan dotrzymał swych umów z bratem Pawłem. Odpowiedział też na jego wezwanie, podczas gdy Bóg zachował wyniosłe milczenie. Szatan był uczciwy i chętny do pomocy. Może rzeczywiście godzien był czci.

— Smutne, nieprawda? — odezwał się ktoś obok niego. Był to dziekan Brown z Kościoła Lemurii.

— Dla mnie nie — powiedział brat Paweł nieszczerze. — Jak wkrótce wyjeżdżam.

— Dla niego — rzekł dziekan, wskazując Theriona. — Otrzymał to, co sądził, że pragnie otrzymać... a okazało się to Piekłem.

— Ale chyba jest szczęśliwy.

— Skądże znowu. Posłuchaj jego słów.

Brat Paweł słuchał. Therion najwyraźniej opowiadał jakiś świński dowcip: — ...wobec tego poszedł do Piekła. „Okropnie się nudziłem tam, w górze” — rzekł do Szatana. „Żadnych przyjęć, żadnych kobiet, alkoholu” Szatan machnął kopytem i pokój wypełnił się nagimi, pięknymi i chętnymi kobietami. Prufrock zanurkował w gęstwinę nagich ciał. Po chwili rozległ się jego krzyk: „Hej! Te panienki nie mają żadnych dziurek!” „Zgadza się” — odpowiedział Szatan. „Przecież to jest Piekło.”

Reakcja zgromadzenia daleka była od entuzjazmu.

— Bo widzisz, on teraz poczuwa się do pewnej odpowiedzialności powiedział dziekan. — Musi ich prowadzić, wskazywać im drogę i jeszcze ich zabawiać na dodatek, a przecież ich systemy wartości nie są w żaden sposób zbieżne z jego własnymi. Usiłuje do nich dotrzeć, rozgrzeszyć się wywołując ich śmiech, oburzenie lub gniew, ale oni nic reagują. Sam więc staje się pośmiewiskiem... i to jest jego Piekło. Rzucane przez niego łajno trafia w jego własną twarz.

— Tak... — powiedział brat Paweł, doskonale pojmując słowa rozmówcy. — Musiał jednak przewidywać taki obrót spraw w momencie, kiedy obrał Rogatego Boga za swoje bóstwo.

— To nie on wybierał; Rogaty Bóg został mu narzucony. Jeszcze na Ziemi poślubił bardzo piękną i inteligentną kobietę, a ta okazała się lesbijką, wykorzystującą go jedynie jako przykrywkę.

— Nie miała dziurki! — wykrzyknął brat Paweł, w lot chwytając sedno problemu.

— W każdym razie nie dla niego. Zdradzała go ze swą kochanką. Dla normalnego człowieka jest to Piekło — na — Ziemi... a cóż dopiero dla kogoś obdarzonego wybujałym temperamentem i odczuwającego lęk wobec płci przeciwnej.

— Gorgona — powiedział brat Paweł. — Kompleks kastracyjny. Ma go aż nadto! W animacjach... — Zdecydował jednak, iż nie wspomni o własnej kastracji; nie uważał jej teraz za rezultat swych żądz, podobnie jak nie była nim koncepcja duszy — jako — ekskrementów. — Przyprawiła mu rogi, i to bez współudziału innego mężczyzny, co jeszcze bardziej skomplikowało sprawę jego kompleksów. Dlatego zwrócił się do Rogatego Boga!

— I dlatego nie ma zaufania do kobiet i usiłuje je splugawić — dokończył dziekan. — Lęka się, iż zdradzi go każda, którą pokocha.

— Usiłuje splugawić kobiety... — powtórzył brat Paweł, ponownie przypominając sobie własną katastrofę w animacji Siedmiu Kielichów i jej interpretację dokonaną przez Szatana. Ekskrementy rzucone w twarz kobiety! I Czarna Msza... próba zamordowania młodziutkiej niewiasty na ciele dojrzałej. Wiele spraw stawało się teraz bardziej zrozumiałych. — A przecież gdyby spotkał taką, która nie byłaby lesbijką... skądby miał o tym wiedzieć? Odrzucając wszystkie kobiety buduje swe własne Piekło.

— Tak właśnie czyni — zgodził się dziekan. — Jakaż bowiem kobieta zechce przebić się przez

jego obronę i zneutralizować to Piekło? Byłoby to wielce niewdzięczne zadanie!

Brat Paweł pokręcił głową.

— A jest on człowiekiem wielu zalet. Poza tym sędzę, iż jego podejście do tych spraw uległo fundamentalnej przemianie w animacji i że gotów jest teraz zaakceptować normalne stosunki heteroseksualne. Możliwe, że pewnego dnia jakaś energiczna niewiasta dostrzeże te zalety i podejmie ten wysiłek.

Tymczasem Therion czynił ciągle żalosne próby wywiązania się z nowych zadań.

— Pozwólcie opowiedzieć sobie o Sposobie z Rękawa. Był sobie facet, który wypróbował już wszystkie, jakie tylko sobie można wyobrazić, sposoby i chciał doświadczyć czegoś zupełnie nowego. Wziął więc...

Brat Paweł odszedł, zostawiając Theriona, zostawiając dziekana. Jego misja była zakończona. Cekał teraz jedynie na odesłanie jego kapsuły na Ziemię. Termin powrotu kapsuły na Ziemię został zaplanowany z góry, przed rozpoczęciem misji, i kapsuła wróci tam w oznaczonym czasie z nim lub bez niego. Polecą w niej niektóre miejscowe wyroby, a także zamknięte hermetycznie zarodniki baniek Tarota, stanowiące załącznik do sprawozdania. Bratu Pawłowi pozostało jedynie zakończenie spraw osobistych. Niełatwe zadanie!

Po pierwsze, musiał rozwiązać problem Amaranty. Wyrażała poważne zainteresowanie jego osobą wewnątrz animacji i poza nimi, ale jego własne uczucia, pomijając pewne pokusy, były co najmniej niepełne. Owszem, miała wspaniałe ciało i chętną naturę, lecz jakoś nie mógł sobie wyobrazić poślubienia wiecznej kusicielki, dla której Lilith była archetypem. W tym życiu istniały jeszcze inne rzeczy obok seksu. Tak więc, nawet gdyby możliwe było zabranie jej na Ziemię, nie zrobiliby tego. Role, które odgrywali w prawdziwym życiu, zbytnio się różniły od siebie. Gdyby była bardziej podobna do siostry Beth, a mniej przypominała służkę Szatana...

Pozostawał wszakże problem, jak jej o tym powiedzieć. W jej pojęciu wszystko, co robiła, robiła właściwie. Chętnie się rozbierała, a czyniła to spektakularnie i nie zwracała mu głowy intelektualnymi dyskusjami.

Zgodne to było z jej obrazem idealnej kobiety. Z poprzednich rozmów na temat przyrody i Łamacza wiedział, że była w niej pewna głębia; ta powierzchowność natomiast stanowiła jedynie część roli, którą odgrywała. Byłaby dobrą żoną... dla odpowiedniego mężczyzny. Tak się złożyło, że to nie on był tym mężczyzną.

Czuł, że nie może jej tego powiedzieć. Nie w sposób bezpośredni. Wrócił więc do chaty wielbego Siltza i siedział w zamyśleniu nad tabelą Tarota... i znalazł rozwiązanie. Tarot Thoth Theriona da się wykorzystać do tego celu!

Po jakimś czasie uświadomił sobie, że napisał wiersz zatytułowany *Cztery Miecze* — w Tarocie Thoth Czwórka Mieczów oznaczała Rozejm. Da jej to przesłanie w formie wiersza, wyjaśniając jednocześnie problem ról, a być może go zrozumie. Byłoby to zarazem pożegnanie z Tarotem Thoth i

z pozostałymi taliami Tarota, zawierającymi tylko cztery kolory; odtąd poświęci całą energię rekonstrukcji i udoskonaleniu pięciokolorowego Tarota waldensów. Otrzymał go od Szatana i nie pozwoli, by się zmarnował. Być może, mimo wszystko, sam jest czcicielem...

Rozległo się pukanie. Brat Paweł podszedł do drzwi, otworzył je... i ujrzał Amarantę.

— Bardzo mi przykro — powiedziała. — Nie mogę z tobą jechać, bracie Pawle. Sądziłam, że jesteś mi przeznaczony, naprawdę tak myślałam, lecz te animacje ukazały mi rzeczy... poznałam się lepiej grając te role i dostrzegłam, jak głupie były niektóre z nich. Nie taką naprawdę chciałabym być.

— Rozumiem — rzekł brat Paweł. I zaiste rozumiał!

— Czuję... czuję się bliższa innemu mężczyźnie — ciągnęła. — Mężczyźnie, na którego nawet bym nie spojrzała przed animacją. Modliłam się do Szatana, by rozwiązał mój dylemat, a On przysłał mi...

— Theriona! — wykrzyknął brat Paweł.

— Tak. On... on jest bardziej w moim typie. Podoba mu się moje ciało, a mnie podoba się jego umysł. W animacjach... całkiem nieźle to działało. Szczególnie, kiedy był królem Karolem. On czyni z werwą i zapałem to, czemu ty się opierasz, a ja... ja chcę, by mężczyzna zbliżał się do mnie z zapałem.

— Tak — przyznał brat Paweł.

— On nie jest biseksualistą, czy kimś w tym rodzaju. On tylko nigdy przedtem nie zbliżył się do prawdziwie kobiecej kobiety, pomimo całego tego jego gadania. Posiada bardzo szerokie horyzonty. O wiele szersze od moich. Może więc wskazać mi możliwości, a ja ich potrzebuję, bo nie cierpię nudy. Nam dwojgu nigdy by się nie udało, Pawle. Nigdy nie byłam siostrą Beth czy Marią Dziewicą, czy którąkolwiek z tych miłych, czystych kobiet, które cię podniecają. Jestem stworzeniem folgującym swym namiętnościom, stworzeniem bez zahamowań. Chcę, by mężczyzna zbliżał się do mnie z żądzą w oku, by zdzierał ze mnie suknię...

Przerwała.

— Wiem, że odczuwasz zażenowanie, kiedy ci to opowiadam. Nigdy z nikogo nie zdarłeś ubrania. Nawet podczas aktu miłosnego leżałeś biernie i nie reagowałeś.

Podczas aktu miłosnego? Miała na myśli jego sen we śnie, kiedy gwałcony był przez sukubę, niezdolny do żadnej reakcji, ponieważ był i sparaliżowany, i wykastrowany. To rzeczywiście ona grała tę rolę!

— Tak więc... żegnaj.

Odwróciła się i odeszła.

Brat Paweł patrzył na kartkę papieru, którą trzymał w dłoni. Nawet jej nie dał swego wiersza. Rzeczywiście był bierny! Czy powinien go zniszczyć? Miał służyć tylko jednemu celowi, ale właściwy moment już przeminął. Nie... był przeciwny paleniu książek i przeciwny wszystkiemu, co mogło to palenie przypominać. Odłoży ten wiersz pomiędzy swoje papiery; być może przyszli badacze ze Świątyni Tarota odnajdą go i będą się zastanawiali nad jego znaczeniem. Był anonimowy, jak na wiersz przystało; brat Paweł nie znał nawet prawdziwego imienia osoby, do której był adresowany. Jest wielce prawdopodobne, że nigdy go nie pozna.

A przecież teraz, kiedy to się skończyło, odczuwał pewien zawód. Mogłoby być tak ciekawie, gdyby postępować na sposób Amaranty! Zdzierać z niej ubranie. Była istotą, dla której stworzono męskie pożądanie, a on, jakby nie było, był mężczyzną. Szkoda, że czternastowieczna animacja skończyła się, nim doszło do romansu w pałacu; mogłaby odkryć, że nie zawsze był sparaliżowany.

Pokręcił głową. Szatan Theriona — możliwe, że z zazdrości — dopilnował, by bratu Pawłowi nie powiodło się z Amarantą w tamtej sekwencji. A teraz czekały go inne sprawy.

Musiał rozwiązać problem Karoliny. Jego miłość dla niej była o wiele silniejsza niż uczucie, jakie żywił w stosunku do Amaranty, i miała zupełnie odmienny charakter. Będzie jej musiał wytłumaczyć, że nawet gdyby mógł zabrać kogoś ze sobą (czego zresztą nie mógł uczynić), nie byłby w stanie odebrać dziecka jego naturalnemu ojcu. Co było możliwe w animacji, w życiu takie nie było.

To było rzeczywiście Piekło.

Szedł powoli w kierunku domu Swamiego. Wielebny Siltz wspomniał, że Swami odzyskał wreszcie przytomność, być może dzięki zabiegom pani Ellend, i że Karolina przeprowadza się z powrotem do niego. Większość kolonistów pracowała na polach i w lesie; surowy klimat nie pozwalał na dłuższe przerwy w obowiązkach. Usłyszał stuk młotów, który zmroził mu krew w żyłach, nim zorientował się, że dobiega on z warsztatu opodal. To zdun pracował nad przeróbką pierwszych pieców, tak by ogrzewały one ,raczej ludzkie ciało, a nie przestrzeń wokół niego. Kilku rybaków ciągnęło sieć na Jeziorze Wschodnim, zbierając wodne żniwo do suszenia i solenia na zimę. Co by się stało, gdyby pojawił się Lee w swojej Chrystusowej postaci i rzekł: „Wstańcie i pójdźcie za Mną, a uczynię was rybakami ludzi”? Prawdopodobnie nic, jako że tu była domena Szatana. Jakiś mężczyzna pracował na dachu, pokrywając go strzechą ze świeżo impregnowanych szerokich liści. Podstawowym materiałem pozostawała darń, ale widocznie latem wystarczały liście. Wszystko przypominało mu, że to tylko krótka, letnia przerwa; reszta roku była... Piekłem.

Therion kończył modły:

— Szatan jest mym Pasterzem; nie wystarczy mi...

Brat Paweł pośpieszył dalej. Udzielił odpowiedzi mieszkańcom tej kolonii, lecz sam nie mógł jej zaakceptować. Możliwe, że Szatan posiada godne podziwu zalety, ale...

W domu Swamiego nie zastał nikogo. Gdzie wobec tego była Karolina? Była zbyt młoda, by pracować, a szkoła dzisiaj była zamknięta, ponieważ społeczność nie doszła jeszcze do porozumienia

w sprawie niezbędnych zmian w podręcznikach, by ujawniła się w nich obecność Boga Tarota. Prawdopodobnie poszła na spacer, by w samotności zorientować się w swoich uczuciach. Wiedziała, że życie jej będzie związane z tym miejscem, nawet jeśli nie mogła zaakceptować tego faktu. Znajdzie ją.

W osadzie jej nie było. Oznaczało, że wyszła na zewnątrz, poza palisadę. To go zaniepokoiło; teren nie zamieszkały był niebezpieczny dla samotnego dorosłego, a cóż dopiero dla dziecka. Dlaczego podjęła tak niemądre ryzyko?

Zaiste, dlaczego? Całe jej życie znajdowało się w punkcie krytycznym; cóż znaczyło jedno dodatkowe niebezpieczeństwo? Musiał ją jakoś przekonać, że życie jest cenną wartością, nawet życie w Piekło.

Odnalazł ją po południu, na stromym, wschodnim zboczu Góry Południowej, kiedy zaczęły się pierwsze podmuchy wiatru. Ujrzał jej małą figurkę na półce skalnej, gdzie siedziała ze spuszczone nogami i machała mmi w pozornie beztroski, dziewczęcy sposób. Samobójstwo? Nie, coś podobnego nie leżało w jej charakterze; po prostu było jej tam wygodnie i miło. Na północy jednak kłębiły się chmury, zapowiadając burzę. Zdarzały się one tutaj prawie codziennie i rozprzestrzeniały się gwałtownie, sprowadzając nie chcianą animację. Karolina powinna zejść z tej góry w ciągu kilku najbliższych minut!

Brat Paweł podbiegł do podnóża bliższego stożka, odczuwając podczas biegu przyjemny powiew wiatru. Zaniedbał, niestety, ćwiczenia fizyczne tu, na planecie Tarot!

Burza go poganiała. Widział jej czoło wysoko na niebie, falujące wyzywająco; wielki, czarny kłęb w kształcie głowy Szatana, obracający swe pozbawione oczu oblicze w kierunku tej świeżo wyzwolonej osady. Poniżej przemieszczające się opary ukazywały turbulencję, której warstwy zwiły się jedna na drugą. To jedna z tych groźnych!

— Zejdź na dół! — zawołał, mając niewielką nadzieję, że usłyszy go poprzez szum wiatru. Karolina jednak spojrzała wprost na niego. Dopiero teraz uświadomiła sobie groźbę sytuacji. Podniosła się i rozpoczęła drogę w dół, biegnąc chyżo wzdłuż poszarpanych zboczy, przeskakując szczeliny z beztroską zwinnością.

Wiatr stęzał. Pierwsze wielkie krople deszczu spadły na zbocze. Burza nadchodziła wprost z Doliny Północnej; zapewne niosła ze sobą pełną moc animacji. Karolina powinna znaleźć się na dole, nim zjawiska wywołane animacją zniekształcą otoczenie. Mogłoby to spowodować tragiczny upadek!

Zatrzymała się nagle na półce skalnej, jakieś dziesięć metrów powyżej poziomu, na którym znajdował się brat Paweł. Krzyknęła rozpaczliwie.

— Nie lękaj się! — zawołał brat Paweł. — Schodź powoli, to sobie porozmawiamy. Uważaj na śliskie kamienie. Ja jestem w stanie kontrolować wizje...

Ale ona wskazywała na coś ponad jego głową. Zaniepokojony, brat Paweł odwrócił się.

Zobaczył Bigfoota, tak samo włochatego i ogromnego, jak ten, z którym już raz miał do czynienia.

— Nie ruszaj się! — zawołał do Karoliny. — Ja go powstrzymam. — Nie miał bowiem najmniejszych wątpliwości, co było celem potwora; kierował się on nie na brata Pawła, ale na najbliższą grań, prowadzącą do stanowiska Karoliny. To ją chciał dosięgnąć!

Brat Paweł zaatakował. Nie miał zbyt wielkich złudzeń co do możliwości zwyciężenia Bigfoota w bezpośrednim starciu. Pokonał co prawda Łamacza, a Łamacz powstrzymał Bigfoota... ale istniało wówczas prawdopodobieństwo, że Bigfoot zorientował się, iż Amaranta nie jest tą kobietą, którą chce zabić, i sam zrezygnował z dalszych ataków. W każdym razie jego masa i siła będzie istotna; judo jest w stanie wyrównać szansę do pewnego stopnia, ale i tak wydawało się, że przewaga jest po stronie Bigfoota. Brat Paweł, rzucając wyzwanie temu potworowi, podejmował tym samym walkę swego życia.

Nie miał jednak wyboru. Musiał walczyć. Bigfoot był u podnóża stożka i zaczął się wspinać po grani. Zza krawędzi półki skalnej widoczna była przerażona twarz Karoliny spoglądającej w dół. Bigfoot dostrzegł ją i zawył przeraźliwie. Twarz zniknęła. Wszystkie dzieci należące do gatunku ludzkiego mają swoje wyimaginowane potwory, które straszą je w ciemnościach; Karolina miała rzeczywistego.

Wiatr wzmógł się i uderzał silnie o skałę. Brat Paweł miał nadzieję, że dziewczynka trzyma się mocno skały w jakimś zagłębieniu i że nie da się od niej oderwać. Bigfoot nie był jedynym zagrożeniem w tej sytuacji!

Pobiegł granią w górę. Bigfoot, z zadziwiającą zręcznością, pokonywał — właśnie pierwszy zakręt. Brat Paweł dopędził go i wyciągnął rękę, by chwycić jego potężne ramię.

Bigfoot odwrócił się ku niemu, zadając jednocześnie straszliwy cios. Brat Paweł przewidział ten manewr. Zanurkował pod opadającym ramie — i chwycił je obydwoma rękami, próbując przerzucić potwora ponad barkiem wprost w przepaść. Próba się nie powiodła. Mimo olbrzymiego wysiłku, nie był w stanie poruszyć Bigfoota z miejsca. Wydawał się on wrośnięty w skałę. Ileż musiał ważyć, skoro był w stanie oprzeć się tak potężnemu rzutowi!

Jeśli jednak nie uda mu się wykonać rzutu już teraz, znajdzie się w mocy potwora, bowiem w żaden sposób nie dorównywał mu siłą. Pchnął więc swe ciało do przodu, wyciągając prawe ramię do *uchi makikomi*. Wychylił ciało poza półkę, ciągnąc Bigfoota za sobą. Była to bardzo skuteczna technika; upadek spowodowałby bowiem utratę przytomności u przeciwnika, nawet gdyby nastąpił z niewielkiej wysokości. Bigfoot jednak nie ustępował.

Brat Paweł uczynił ostatni wysiłek. Wykonał nagły skręt w lewo i utrzymując równowagę na lewej nodze, prawą uderzył nogę Bigfoota, stosując uderzenie *hane*. Powinno ono unieść przeciwnika w górę i rzucić ich obu na ziemię, ale tak się nie stało.

Teraz z kolei ramiona Bigfoota objęły go i ścisnęły. Brat Paweł znalazł się w powietrzu, machając bezradnie nogami.

Wbił łokieć w twardą masę za sobą, z całej siły. Odbił się jak od skały. Zgiął kolano i uderzył piętą. Uderzenie zmiażdżyłoby coś bardziej kruchego, tutaj odbiło się bez skutku. Chwycił włochatą dłoń, która naciskała na jego pierś, próbując wygiąć do tyłu jeden z palców i spowodować, by ból zmusił stworzenie do zelżenia uścisku, ale jego palce były jak pręty stalowe, nie dały się nawet poruszyć. Próbował wyrzucić ramiona do góry i do przodu, rozrywając objęcie na piersiach na tyle tylko, by opadając na kolana wydostać się z matni, lecz znów bez rezultatu. Wydawało się, że Bigfoot nie ma żadnych słabych punktów!

Brat Paweł czuł oddech potwora na karku. Stwór zamierzał go ugryźć!

Jego desperacja spowodowała nagły przyływ inspiracji. Nie był w stanie pokonać potwora siłą fizyczną... być może powinien wykorzystać animację!

Skoncentrował się. Przybrał kształt przypominający Łamacza.

Bigfoot zareagował natychmiast, odrzucając od siebie przerażającego przeciwnika. Brat Paweł poleciał nad półką, ale ustawił się w powietrzu we właściwej pozycji i wylądował na ugiętych nogach. Uderzenie o ziemię było bardzo silne, ale nie eliminujące z dalszej walki. Zamortyzował je bowiem nogami i przewrotną do przodu. Nie było to przyjemne na tym kamienistym podłożu, ale i tak o wiele lepsze od tego, co zamierzał z nim uczynić Bigfoot. Zetknięcie grzbietu z podłożem zostało dodatkowo złagodzone przez kilka baniek Tarota, które tam się właśnie znalazły; popękały one pod jego ciężarem, uwalniając swój gaz.

Skoczył na równe nogi i poszukał wzrokiem Bigfoota. Potwór kontynuował wspinaczkę, trzymając się blisko skalnej ściany, by nie narazić się na oderwanie przez silne podmychy wiatru. Padał łagodny deszczyk. Wkrótce Bigfoot dotrze do półki skalnej, na której jest Karolina.

Brat Paweł skoncentrował się. Ścieżka przed potworem zniknęła, a na jej miejscu pojawiła się bezdenne przepaść. Bigfoot zatrzymał się, czego zresztą należało oczekiwać.

Teraz się okaże: czy był głupią bestią, czy też inteligentną? Jeśli tym pierwszym, to bratu Pawłowi już udało się go pokonać... jeśli zjawisko animacji potrwa odpowiednio długo. Jeśli tym drugim, to najprawdopodobniej przejrzy jego fortel. A to będzie oznaczało duże kłopoty.

Potwór wysunął ostrożnie jedną nogę, przesuwając powoli stopę po skale. Mógł jej nie widzieć, mógł jej nawet nie wyczuwać, ale ta skała istniała tam w dalszym ciągu w swym materialnym kształcie i nie zagrażał mu żaden upadek. Tak więc... Bigfoot był zbyt szybki, by dać się zwieść iluzji dłużej niż tylko na chwilę. Szkoda. Ale przynajmniej na tę jedną chwilę został powstrzymany.

Czy mógłby teraz wyczarować miecz i uderzyć z nim na potwora? Przecież przedmioty przywoływane poprzez animację w sali jadalnej, na samym początku jego pobytu na tej planecie, były materialne. Jednak, o czym dobrze pamiętał, były to przetworzone miseczki drewniane i tym podobne, a nie wytwory z powietrza. Obiekty materialne w animacji musiały mieć materialne podstawy w świecie realnym; w przeciwnym razie były jedynie iluzją, demaskowaną chociażby dotykaniem. Niematerialne sztylety nie powstrzymają Bigfoota dłużej, niż uczyniła to iluzoryczna przepaść.

Mimo to należało próbować. Brat Paweł przywołał ogromnego, czarnego, skrzydlatego jastrzębia. Drapieżnik zanurkował wprost na Bigfoota. Ale potwór zignorował jego atak. Jastrzębie takie nie zamieszkiwały na tej planecie, więc ten był oczywistym oszustwem. Pech; ten potwór posiadał prawdziwie ludzką przebiegłość.

Jakże miał go zatrzymać? Bigfoot był już w połowie zbocza prowadzącego do Karoliny, a kiedy chwyci ją w swe szpony, nie pomoże żadna iluzja. Wytwory animacji traciły skuteczność, a na to, że pokona go czystą siłą fizyczną, nie mógł raczej liczyć. W pobliżu nie widział żadnych kamieni, których mógłby użyć jako pocisków, ani żadnej innej broni. Niczego, co mogłoby służyć jako broń! A przecież nie może dopuścić, by stwór ten dopadł Karolinę!

Pozostawała jedna szansa: brat Paweł musi stawić mu czoło w bezpośrednim starciu... ukrywając jednak i siebie, i swoje zamiary za pomocą animacji. Jeśli Bigfootowi uda się pokonać to zdradliwe zbocze, podczas burzy i przy zdeterminowanym ataku niewidzialnego nieprzyjaciela — oznaczać to będzie, iż nic go nie jest w stanie zatrzymać.

I jeszcze jeden pomysł. Wyczarował samolot ciągnący za sobą wielki napis: **POMOCY — GÓRA POŁUDNIOWA**. Wysłał go w kierunku osady. Jeśli animacja potrwa dłużej i sięgnie osady, ktoś ujrzy ten napis na niebie i uzbrojona grupa mężczyzn wyruszy, by zbadać sytuację. Prawdopodobnie przybędą za późno, ale przynajmniej była to jakaś, choć minimalna, szansa.

Przywołał teraz całą grupę Łamaczy. Zbliżały się groźnie, jeden za drugim, do Bigfoota... lecz nie odniosły żadnego skutku. Raz dał się oszukać; ignorował je całkowicie. Wśród tych atakujących zjaw jedna nią nie była; to brat Paweł przybrał jedynie formę Łamacza. Gdyby bowiem udało mu się dostać pomiędzy potwora i skalną ścianę, po czym uderzyć nagle i z całej mocy...

Bigfoot był już prawie na skalnej półce Karoliny, kiedy brat Paweł zrównał się z nim. Dziewczynka kuliła się w kąciку, skąd albo można się było wspiąć jeden metr, albo opuścić dziesięć metrów. A ściany były śliskie od deszczu i wiatr dał potężnie; próba wspinaczki lub zejścia byłaby próbą samobójczą.

Kiedyś sama powstrzymała Bigfoota, tworząc w animacji rzekę, której potwór nie mógł pokonać. Tym razem była zbyt przerażona, by pomyśleć o czymś podobnym, a poza tym potwór nie dałby się wywieść w pole po raz drugi fortem tego samego rodzaju. Wiedział, że jego ofiara znalazła się w pułapce.

W chwili, w której brat Paweł znajdzie się w fizycznym kontakcie z Bigfootem, potwór go rozpozna, a to będzie oznaczało koniec zmagania. Potwór był dla niego po prostu zbyt silny! Parł teraz nieubłaganie do przodu, ze wrokiem wbitym w dziewczynkę. Nie zatrzyma go żadna wyczarowana przepaść czy bariera, a dziecko nie miało dokąd uciekać. Co zrobić?

Brat Paweł skoncentrował się. Ściana tańczących, pomarańczowych płomieni wyrosła pomiędzy potworem i dziewczynką. Bigfoot zawahał się jedynie na moment, po czym ponownie ruszył do przodu. Za kurtyną ognia... nie było nikogo. Dziewczynka zniknęła.

Bigfoot zatrzymał się z lekka zdezorientowany, po chwili jednak wydobył z siebie brzęczące

zupełnie ludzko „aha!” Domyślił się; Karolina była gdzieś obok, tyle że niewidzialna. Brat Paweł osłonił ją za pomocą animacji. Potwór przechylił łeb i nadśluchiwał.

Stojący za nim brat Paweł oddychał ciężko, usiłując zagłuszyć cichszy oddech Karoliny. Niestety, nie nauczył się jeszcze kontrolować głosów i dźwięków w animacji. Tym samym zdradzał obecność jeszcze jednej osoby na skalnej półce. Z pośpiechu popełniał tyle samo błędów, ile wykonywał sensownych posunięć. A czas uciekał.

Z dołu rozległo się wołanie.

— Co tam się dzieje? Burza nadchodzi! — usłyszał głos Lee.

— Bigfoot zagraża Karolinie! — krzyknął brat Paweł. — Nie mogę go powstrzymać!

— Już idę! — zawołał Lee.

— Nie! Nie zdążysz! Znajdź jakąś broń, kamienie, cokolwiek!

W udęcie niezdecydowania brat Paweł pozwolił, by efekty animacji ustąpiły. Karolina pojawiła się ponownie.

Bigfoot wydał ostry krzyk zwycięstwa i ruszył do ataku.

Brat Paweł skoczył za nim, jeszcze raz koncentrując się całą mocą. Druga Karolina pojawiła się obok pierwszej, a potem trzecia.

— Poruszaj się, biegaj wokół! — zawołał do niej. — Tak, żeby nie mógł was odróżnić.

Dziewczynka jednak stała nieruchomo, skamieniała z przerażenia.

Bigfoot zbliżył się do tej prawdziwej. Potężne, włochate ramię chwyciło dziewczynkę, uniosło w górę.

— Tatusiu! — krzyknęła rozpaczliwie.

Brat Paweł uderzył. Głową rąbnął w brzuch Bigfoota. Włożył w to uderzenie całą swą masę; potwora odrzuciło dwa kroki do tyłu. Brat Paweł błyskawicznie znalazł się tuż przy nim i wyciągając ramiona po dziewczynkę przybrał jednocześnie zupełnie nowy kształt.

Wzrok Bigfoota wyrażał omalże ludzką konsternację. Po czym jego wysunięta do tyłu stopa, którą usiłował wymacać krawędź półki, trafiła na pustkę.

Brat Paweł wyrwał Karolinę z jego ramion w momencie kiedy potwór zaczął już spadać. Machał jeszcze ramionami, ale równowagi już nie odzyskał. Spadł dziesięć metrów i znieruchomiał u podnóża skały.

Lee dotarł na półkę. Spojrzał w dół na nieruchome ciało potwora.

— Mój Boże! — wykrzyknął. — Toż to Swami!

Teraz brat Paweł przyjrzał się leżącemu ciału. To był rzeczywiście Swami... i wyglądał na martwego.

A przecież Karolina krzyknęła „Tatusiu” i on odniósł to do siebie. Ona zaś rozpoznała swego naturalnego ojca w tym ostatnim momencie. Brat Paweł również go rozpoznał, tyle że nieświadomie; tylko *ki* czy *kundalini* Swamiego mogło tłumaczyć siłę fizyczną Bigfoota. Ostatnim zaś kształtem, który brat Paweł przybrał, była postać samego Swamiego. Bigfoot był zaskoczony widokiem swego *alter ego*... i uczynił ten jeden nierozważny krok, który kosztował go życie.

Brat Paweł zabił prawdziwego ojca Karoliny.

— Chodźmy stąd, moja droga — wyszeptał Lee obejmując Karolinę ramieniem. Poddała mu się, z twarzą jak sucha maska, bez jednej łzy. Brat Paweł patrzył za odchodzącymi w osłupieniu, doświadczając zarazem uczucia *déjà vu*. Coś podobnego wydarzyło się już przedtem, takie odejście mężczyzny i dziewczyny z miejsca przejmującego zgrozą — odejście od bram piekielnych.

Tu też było Piekło... i było ono realne.

Brat Paweł chodził w tę i z powrotem w chacie wielebnego Siltza, czekając na straż honorową mającą mu towarzyszyć do stacji teleportacyjnej. Jego misja była zakończona, sprawy osobiste rozwiązane, a mimo to depresja, w której się znajdował, nie ustępowała. Gdyby tylko wcześniej posiadał mądrość wynikającą z doświadczenia, nim zabił ojca dziewczyny. Przecież istniały widoczne znaki i sygnały, a on nie miał dość rozumu, by zinterpretować je właściwie. Swami, mężczyzna bardzo poważny, nietolerancyjny wobec innych religii, posiadający silną moc psychiczną, nie był w stanie zaakceptować faktu, iż jego własna żona odmówiła przejścia na jego wiarę. Na obrzeżach animacji, jego dzika i zwierzęca furia przybrała kształt fizyczny, być może w rezultacie intensywnego, pozytywnego sprzężenia zwrotnego. Gniew, poczucie winy, szaleństwo: animacja mogła być równie niszczącym narkotykiem, jak heroina, kokaina, LSD czy mnem, zabijającym naturalne skłonności ludzkiego umysłu i uwalniającym potwory. Ileż prawdy było w pierwszym ostrzeżeniu Swamiego: animacja kryje w sobie wielkie niebezpieczeństwa. Swami wiedział, o czym mówi, bo opierał się na własnym doświadczeniu.

A jednak brat Paweł nie mógł uwierzyć, że był on człowiekiem z gruntu złym. Opiekował się przecież troskliwie Karoliną, kiedy znajdował się w swej ludzkiej postaci; czy jego transformacja w Bigfoota była w pełni świadoma? Prawdopodobnie nie. Gdyby był przestępcą, nie potrzebowałby pomocy animacji, by uśmiercić swą żonę i córkę. Animacja mogła wzmacniać jego szczególne umiejętności, jak to było w przypadku Theriona, kiedy odgrywał rolę potwora Apollyona i wykazał się znajomością arkanów judo, chociaż tu wina leżała po stronie brata Pawła, który przydał Therionowi talentów, jakich tamten nie posiadał. Umiejętności Swamiego były natomiast autentyczne. Naturalnie, rozmiary i masa Bigfoota zostały wzmocnione przez animację, ale siła *ki*, która powstrzymywała brata Pawła, istniała w nim już wcześniej. Gdyby moc psychiczna Swamiego została ukierunkowana na aurę, tak jak moc brata Pawła, jego zdolności magiczne wewnątrz animacji byłyby równie wysokie. Niestety, skupił się on tylko na jednym: na Bigfoocie. Była to jego prywatna

wojna pomiędzy świadomością i podświadomością, pomiędzy Dr. Jekylllem i Mr Hydem, dwoma nie dającymi się pogodzić aspektami osobowości. Schizofrenia. Tylko Szatan wiedział, jaki wpływ mogła rruć religia na niektóre jednostki ludzkie! Brat Paweł wiedział natomiast, że nigdy nie pojmie w pełni motywów, jakie kierowały Swamim. Usiłować zabić swe własne dziecko!

Teraz było ono podwójnie osierocone. Matka nie żyła, ojciec naturalny przemienił się w potwora, a przybrany stał się mordercą. Z prawnego punktu widzenia było to zabójstwo w obronie własnej; Lee był świadkiem dobrych intencji brata Pawła. Jednak w oczach Karoliny...

Rozległo się miarowe pukanie do drzwi. Czas iść. Brat Paweł otworzył drzwi... i ujrzał Lee.

— Och, ...myślałem, że to...

— Już wkrótce przyjdą — rzekł Lee z powagą w głosie. — Przykro mi, że tym razem zwracam się do ciebie w sprawie osobistej, lecz nie miałem wyboru.

— Wejdz, proszę. I usiądź — powiedział brat Paweł serdecznie. — Jestem tak przygnębiony, że przyda mi się coś, co oderwie moje myśli od własnych problemów, choć może na to nie zasługuję. Moja misja poniosła całkowitą klęskę, sprowadziłem na kolonię chaos religijny i osierociłem niewinne dziecko. Planeta Tarot zasługiwała na coś znacznie lepszego!

Lee stanął na wprost niego. Był bardzo przystojnym mężczyzną, a jego silny charakter uwidaczniał się w sposobie bycia. Zaiste przypominał Chrystusa.

— Kogóż, do diabła, usiłujesz oszukać? — spytał spokojnie.

Brat Paweł o mało się nie roześmiał, słysząc tak niestosowny dobór słów. A przecież w kontekście animacji koncepcje Chrystusa i Piekła nie były aż tak odległe.

— Mam nadzieję, że nikogo. Przedstawię uczciwe sprawozdanie, podparte zapisem holograficznym, tak jak mi polecono, po czym powrócę do mojego Zakonu Wizyjnego, by dać wytchnienie mojemu sumieniu, jeśli to w ogóle będzie możliwe. Przeprosiłbym i ciebie, i pozostałych mieszkańców tej planety, gdyby nie było to tak niedorzecznie niewystarczające w tej sytuacji.

Lee pokręcił głową.

— Sam się udałem do Piekła i zasługiwałem na to, by tam się znaleźć. Ty natomiast wydobyłeś mnie stamtąd, ukazując błędy w moim rozumowaniu, uświadamiając mi, w czym tkwił mój rzeczywisty grzech, i egzorcyzmując go. Obecnie wygląda na to, że sam siebie posłałeś do Piekła... i na mnie spoczywa obowiązek oddania ci podobnej przysługi. Pawle, misja twoja zakończyła się sukcesem. Dostarczyłeś kolonii odpowiedzi, której żądała i na którą zasługiwała, i ocaliłeś cudowną dziewczynę od pewnej śmierci. Widziałem cię w Piekle i poznałem cię na tyle, na ile ktoś obcy może poznać drugiego człowieka. Jesteś zdeterminowany i szczery w swoich poczynaniach, jesteś wielkim i dobrym człowiekiem, najbliższym mojemu pojęciu świętego spośród wszystkich żyjących.

Tym razem brat Paweł nie odczuwał ochoty do śmiechu.

— Hiperbola nie zaprowadzi cię zbyt daleko! Ośmielam się twierdzić, że prawda leży gdzieś pomiędzy tymi dwiema skrajnościami, które obaj przedstawiliśmy. Słyszałem kiedyś, iż prawda ma odcień szarości.

Lee uśmiechnął się.

— Lub brązu. Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie uczyniłeś. Poszerzyłeś moje spojrzenie na świat i przywróciłeś mi moją wiarę wówczas, kiedy najbardziej wątpiłem. Dzięki tobie poddałem w wątpliwość te zasady mojej wiary, których przedtem nie ośmieliłbym się zakwestionować, i dowiedziałem się, że Jezus nie postąpiłby tak, jak ja postępowałem. Dzięki tobie zrozumiałem Jezusa Chrystusa w sposób głęboki i osobisty. Odtąd zawsze będzie ze mną, noszę bowiem stygmaty jego obecności. Wiem teraz, iż duszy ludzkiej nie można osądzać na podstawie rasy, do której dana osoba należy... i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ta doktryna mojego Kościoła została zrewidowana. Tak, będę nawet nauczał korzystając z Przypowieści o Dobrym Czarnuchu, bo przecież to ty jesteś tym człowiekiem z przypowieści.

— Dziękuję ci — powiedział brat Paweł, niezupełnie pewien, czy ma się uśmiechnąć, czy zmarszczyć brwi. Tak jak uwłaczające określenie „czarny” Stało się w połowie dwudziestego wieku powodem dumy dla tych, których dotyczyło, tak określenie „czarnuch” przestało mieć pejoratywne konotacje pod koniec tego samego wieku. Dużo wcześniej podobne zmiany dotyczyły »kwaków — drżących« i bez wątpienia tego rodzaju procesy będą zachodziły w przyszłości. Być może kiedyś „Piekło” stanie się synonimem duchowego oświecenia. A może to już się wydarzyło.

— Co wiąże się ze sprawą, z którą tutaj przyszedłem — ciągnął Lee — twoja córka, z oczywistych powodów, również ma czarnych przodków...

— Karolina? Przecież ona nie jest moją córką; w rzeczywistości ma przodków czerwonoskórych. Swami był Amerindem, a nie Azjaindem.

— Och! — powiedział zaskoczony Lee. — Mormonowie darzą dużą sympatią Amerindów, którzy są potomkami pierwszych izraelskich kolonistów na terenie Ameryki. Ale to nie ma tutaj nic do rzeczy. Nie robię tego, by pokazać, że jestem wolny od uprzedzeń rasowych, czy też by poddać je próbie; wspominam o tym jedynie, by wyjaśnić, że bez ciebie w ogóle nie byłbym w stanie rozważyć podobnej możliwości.

— Jakiej możliwości? — spytał zdezorientowany brat Paweł.

— Połączenia dwóch ras.

— Mój mózg coś niezbyt sprawnie działa dziś rano. Nie bardzo rozumiem...

— Nie ma teraz innego ojca, tylko ciebie, i to do ciebie, zgodnie ze zwyczajem tej planety, muszę się zwrócić z prośbą...

— Proszę cię, przestań! — powiedział brat Paweł z nagłym bólem w sercu. — Nie posiadam

żadnej władzy nad Karoliną! Nawet jej imię jest wytworem mojej niewiedzy; powinna używać swego własnego imienia. Ja wkrótce opuszczam tę planetę.

— Tak. I to jest powód, dla którego zwróciłem się z moją prośbą właśnie teraz. Jest ona bowiem niepełnoletnia i innego wyznania. Nie będę żądał zmiany wyznania, ale pójdę na kompromis w tej sprawie za przykładem wielbego Siltza i...

Brat Paweł zmarszczył brwi. — Niepełnoletnia, zbyt młoda... na co?

— Panie — powiedział Lee oficjalnie. — Pokornie proszę o pozwolenie poślubienia twojej córki.

Ogłuszony tymi słowami, brat Paweł był jedynie w stanie wyjąkać:

— Ty... ty...

— Wśród innych ról, grałem też Heraldyka Uzdrawiciela z dalekiej przyszłości. Ona była Psyche. Nagle zrozumiałem, że ją kocham i że ta miłość narastała od momentu, w którym wykazała się taką odwagą, zgłaszając się na obserwatora animacji, i że muszę ją mieć, choćby samo Piekło przeszkadzało temu związkowi. Kiedy zobaczyłem ją śmiertelnie zagrożoną przez Bigfoota...

Ciągle jeszcze przygnieciony falą sprzecznych uczuć, brat Paweł zerwał się na równe nogi i wypadł na zewnątrz.

Stała tam Karolina, czego się zresztą podświadomie spodziewał. Miała na sobie ładną, białą sukienkę, a włosy na głowie zaplecione i ułożone na kształt diademu. Przypominała księżniczkę z bajki ...ale już nie dziecko. Przez krótką chwilę brat Paweł widział Psyche, wijącą się z bólu w potwornych płomieniach, dziecięcą narzeczoną złożoną w ofierze: obraz rozdzierający duszę, a zarazem ukazujący zupełnie nową rzeczywistość. Małe dziewczynki dorastają, a przeskok z dwunastu do trzynastu lat może być skokiem ogromnym.

— Tatusiu! — zawołała i rzuciła się w jego ramiona, w sposób podobny do tego, jaki zademonstrowała Jeanette w stosunku do wielbego Siltza. Dziś dziecko... jutro kobieta.

— Tak! Tak! — zawołał, przytulając ją z całej siły, a radość wypełniła jego duszę. — Tak, Karolino, tak... wyjdź za niego! Nie znajdziesz lepszego mężczyzny na całej tej planecie! Nigdy już nie będziesz cierpieła od ognia, nigdy nie zaznasz lęku, nigdy nie będziesz samotna! Nie będzie ci potrzebna rodzina, bo stworzysz swą własną!

Pocałowała go delikatnie i uwolniła się z jego ramion. Poprzez łzy brat Paweł ujrzał stojącego obok Lee. Chwycił jego dłoń i zobaczył plamkę, znak pozostawiony przez gwóźdź. Stygmat Chrystusa. Blizna zaledwie, a przecież...

Włożył dłoń Karoliny w dłoń Lee, doznając uczucia ogromnej ulgi. Teraz już wiedział, że będzie ona pod dobrą opieką.

— Macie moje błogosławieństwo — powiedział, ściskając mocno ich złączone dłonie.

Rozległy się brawa Brat Paweł zamrugał... i zobaczył wielebnego Siltza z żoną, Jeanette z jej łagodnym i potulnym narzeczonym, Theriona, Amarantę i pozostałych mieszkańców osady.

— Czas już wyruszać do teleportera — powiedział Siltz.

— Błogosławieństwo niech spłynie na was wszystkich — rzekł brat Paweł, czując, jak ustępuje jego dotychczasowe przygnębienie.

Kiedy brat Paweł znalazł się już sam w kapsule teleportacyjnej, rozłożył na skrzyni zawierającej bańki Tarota wykonane przez siebie naprędce karty Tarota Animacji, by wypróbować je w Akordeonie. Nie posiadały one Żadnych wizerunków, a jedynie znaki mówiące, co reprezentują. Talia nie była ładna, ale zupełnie wystarczająca do tego celu. Oczyma duszy widział bole występujące w talii waldensów i te, które będą występować w talii kosmicznej.

Rozgrywał tę grę z lęku przed nagłą samotnością, w której się znalazł. To, czego tu doświadczył, w animacji i poza nią... skończone jest na zawsze.

Pojawiło się Atu z Duchem. Z pustej powierzchni karty uniosła się mgiełka, rozciągnęła w powietrzu i stężała. Potem nabrzmiała i wysunęła z siebie nibynóżkę, którą dotknęła podłogi. Wkrótce na podłodze spoczywała pokaźna masa protoplazmy.

— Witaj, ziemski przyjacielu — zasygnalizowała.

— Witaj, Antaresie — odpowiedział brat Paweł. — Bardzo mi miło, że mogę cię zobaczyć.

— To była wielce intrygująca przygoda, wytchnienie od codziennej nudy — rzekł Antares. — Przeżywasz wspaniałą talię pojęć.

— Tarota Animacji? Czy rzeczywiście w nim uczestniczyłeś?

— W animacji, tak. Umożliwiła mi to twoja aura. I twoja wyobraźnia. Możliwe, że wystąpiło pewne zbliżenie tych zjawisk, ponieważ zarówno aura, jak i animacja mają swe źródło w wiedzy Starożytnych. Ale to ty byłeś tym, który połączył je w jedno. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że to doświadczenie ma bardzo bliski związek z twoją talią pojęć?

— Moje doświadczenie?

— Twój świat z jego szaleństwem teleportacji tworzy scenerię. Potem następują kolejno wszystkie karty, aż do obecnego aspektu twojej mądrości. Stałeś się bowiem mędrcom, posiadającym największe doświadczenie w tej wyjątkowej dziedzinie. Teraz podążasz w kierunku Spełnienia.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie odkryłem prawdziwego Tarota? — spytał brat Paweł zakłopotany. — Że przełożyłem jedynie me życie w karty i nimi je wyraziłem?

— Nie, nie to miałem na myśli. Twoje życie jest odbiciem oryginalnego Tarota, tak jak żywoty wszystkich ludzi. Dla ciebie jednak było to o wiele bardziej dramatyczne i miało więcej artystycznej

ekspresji. Nawet te pięć kolorów mają swą siłę jako fragmenty twojej przygody. Ten twój Tarot rozprzestrzeni się poprzez Grupę Galaktyk i wywrze wpływ na wiele obcych cywilizacji, by na koniec uratować je przed zgubą.

Brat Paweł uśmiechnął się.

— To samo sugerowano mi w animacji. Lecz my tego nie możemy wiedzieć, przyjacielu. Przecież były to jedynie produkty naszej działającej wyobraźni.

— Przyznaję, iż wiele spośród tych futurystycznych szczegółów to moje dzieło — odpowiedział Antares. — Na przykład, cywilizacja sfery Nath. Jednak nie wszystkie. Istniał tam bowiem element, którego nie można było wytłumaczyć racjonalnie.

— Chcesz przez to powiedzieć, że wszystko było jedną wielką fantazją — powiedział brat Paweł. — A przecież nie zamieniłbym tego doświadczenia na żadne inne. Moje życie zostało naznaczone tym, co wydarzyło się na planecie Tarot.

Lee nosił swe stygmaty na ciele; brat Paweł miał je w swej duszy.

— Nie wątpię, iż twoje życie zostało naznaczone. Nie sądzę jednak, by była to fantazja. Wolę nazywać ten nieznan element dziełem Bożym, niezależnie od tego, w jaki sposób On zechciał się nam objawić. W rzeczywistości skłonny jestem zgodzić się z tezą Świątyni Tarota, iż wszystkie postaci Boga i wszystkie wiary są równie ważne i autentyczne.

— Świątyni Tarota... — powtórzył brat Paweł. Czyżby rzeczywiście był założycielem czegoś takiego? To niemożliwe!

— Kiedy byłem Heraldykiem Uzdrawicielem, dzieląc zresztą tę rolę z twoim zięciem, zapoznałem się z historią twego życia. W czterdziestym piątym wieku po narodzeniu Chrystusa byłeś bardzo znaną postacią starożytną. Spopularyzowałaś Tarota Kosmicznego i przekonanie, że to prawdziwa wiara, a nie jej poszczególne formy, jest istotą religii i że żadna religia nie powinna poddawać w wątpliwość zasad i sposobu postępowania wyznawców innych religii. Świątynię Tarota stworzono dla uczczenia twego imienia, być może już po twojej śmierci, i każdy nowicjusz do niej wstępujący musi osobiście doświadczyć tych samych przygód, które były twoim udziałem na planecie Tarot. Nazwano cię także patriarchą Tarota.

— Po moim trupie — powiedział brat Paweł pobłażliwie. — Czy twoja tak twórcza pamięć o mojej przyszłości zawiera informację o tym, co przydarzyło się mojej dziewczynce na terminalu lotniczym?

Antares zastanawiał się przez chwilę.

— Nie, ten szczegół zaginął gdzieś w przekazach historycznych, ale jestem pewien, iż nie przydarzyło się jej nic złego, ponieważ w wieku dojrzałym zajmowała się ilustrowaniem kart Tarota Animacji i czyniła to bardzo pięknie. Domyślałam się jedynie, że naturalny rozwój wypadków w tej wizji został przerwany przez odgrywającego rolę, który nałożył osobiste troski i problemy na te,

które wynikały z roli, unieważniając tym samym w tym punkcie całą sekwencję. Prawdziwa Karolina prawdopodobnie towarzyszyła ci przez cały czas i razem wróciliście do twojej żony, a jej matki, bez dalszych przygód.

Jakiej żony? — Miło się o tym dowiedzieć, choćby tak późno — powiedział brat Paweł. — Powiedz mi, przyjacielu... skoro pojawiaasz się jedynie w animacji podczas teleportacji, czy jeszcze cię kiedyś zobaczę? Nie sądzę bowiem, bym miał okazję wyruszyć w podobną podróż za swego życia.

— Tego nie wiem — odrzekł Antares. — Ponieważ jednak wiesz ze sobą na Ziemię pewną liczbę baniek Tarota, istnieje możliwość, że doświadczysz ponownie znanych ci zjawisk, i jeśli wówczas o mnie pomyślisz, znajdę się przy tobie.

— Skąd będę wiedział, że to ty właśnie, a nie spełnienie wyrażonego życzenia przez moją własną wyobraźnię?

Odpowiedzi nie usłyszał. Stwierdził, iż wpatruje się usilnie w kartę i Pucha — symbol nieznanego. Podróż była zakończona.

Pozostało jednak jej znaczenie, to, które zostało odrzucone przez kolonistów, a zaakceptowane, jak się wydawało, przez cywilizację przyszłości: Wszystkie wiary są ważne i autentyczne. Jeśli było, dotyczyło to również jego wiary w pozaziemskiego przyjaciela, r Antaresa.

Spełnienie (Wszechświat)

James Drought był postacią fascynującą. Nie mogąc sprzedać swych książek wydawcom zawodowym, sam zajął się ich wydaniem poprzez stworzony przez siebie Skylight Press — po czym odprzedał Tajemnicę znanej firmie wydawniczej Avon za pięciocyfrową zaliczkę. Proza jego była żywa i żarliwa, pisana z wielką pewnością siebie: krótko mówiąc — była czymś godnym zazdrość i i podziwu ze strony aspirujących do miana pisarza. Namawiał w niej, byśmy nie poddawali się biernie wymaganiom Boga dotyczącym naszego własnego życia, byśmy „uderzyli Boga w twarz” i umknęli, unikając noża ofiarnego, klucząc tak, by nas Bóg nie mógł schwycić, a kiedy już nas pochwyti, byśmy walczyli do końca. Podejście takie wydaje się istotą jego Tajemnicy. Kiedy jednak szukaliśmy Jamesa Droughta, by uzyskać zgodę na zacytowanie jego słów, nigdzie nie mogliśmy go znaleźć, a później przeczytaliśmy informację o jego śmierci w wieku lat pięćdziesięciu dwóch. Czy żył zgodnie z tym, co głosił? Tego nie wiemy. Miło by było jednak wierzyć, iż umykał przed Bogiem, tak jak umknął przed nami, aż do ostatniej chwili i że w ten sposób zasłużył sobie na Boży szacunek.

Brat Paweł spodziewał się przeróżnych komplikacji związanych z jego powrotem na Ziemię, ale było ich raczej niewiele. Znudzeni urzędnicy zabrali jego urządzenie rejestrujące, a lekarz przebadał go bardzo pobieżnie.

— — Twoja forma fizyczna pozostawia wiele do życzenia, ojcze, ale to nic poważnego. Dużo snu, trochę gimnastyki i dobrego jedzenia, a szybko powrócisz do normy.

Był już ubrany i przechodził do następnego gabinetu, kiedy to do niego dotarło. Ojcze? Musiał się przesłyszeć.

— Na razie to wszystko — powiedział urzędnik. — Teraz komputer analizuje zapis holograficzny; skontaktujemy się, jeśli będą nam potrzebne jakieś dodatkowe wyjaśnienia. — Najwyraźniej, ani urzędnik, ani komputer nie mieli pojęcia, co znajduje się w zapisie; dla nich były to jedynie rutynowe czynności. Brat Paweł chciał się stąd wydostać jak najprędzej i znaleźć się w terenie, nim zdąży kogoś obrazić. — Gdzie będziemy cię mogli znaleźć?

— Najpierw zgłoszę się do mojego przełożonego, jego wielebności ojca Crowdera ze Świętego Zakonu Wizyjnego — odpowiedział brat Paweł. — Jego adres jest w waszych papierach. Potem prawdopodobnie udam się do mojej stacji, by nadrobić zaległości. Pewnie jest ich tyle, ile drzew w lesie. — Urzędnik nawet się nie uśmiechnął; praktycznie nie zwracał uwagi na skierowane do niego słowa. Robił jakieś notatki na kawałku papieru. Przypomniało to bratu Pawłowi pewną starą definicję wykładu uniwersyteckiego: system, w którym materiał przechodzi z notatek wykładowcy do notatek studenta bez pośrednictwa mózgu któregośkolwiek z nich. — Będziecie mogli się ze mną skontaktować za pośrednictwem jego wielebności.

— W porządku — powiedział urzędnik, dopisując „JW” na swoim kawałku papieru. Uśmiechnął się. — Powodzenia, ojcze.

Czyżby na powrót znalazł się w animacji? Brat Paweł potrząsnął głową, wziął bilet, złapał autobus elektryczny i już po czterech godzinach stał przed jego wielebnością.

— Witam na Ziemi, ojcze Pawle. Mam nadzieję, iż czujesz się dobrze.

— Wygląda na to, że mam pewne trudności z dostosowaniem się do rzeczywistości. Jakim tytułem mnie przywitałeś, wasza wielebność?

— Wyjaśnię ci to w miarę krótko — powiedział energicznie jego wielebność Crowder. — Święty Zakon Wizyjny rozwija się bardzo szybko. Wydaje się, że przyspieszona degeneracja naszej cywilizacji, wynikająca z programu kolonizacji, stwarza nienasyconą potrzebę na ten rodzaj posługi, jaki my niesiemy. Nie ma wątpliwości, iż obecny trend ulegnie kiedyś odwróceniu, obecnie jednak odczuwamy wielki brak kompetentnych organizatorów dla naszych nowo powstających stacji. Musimy służyć tam, gdzie nasza służba jest potrzebna; na tym zawsze polegała nasza misja. W niektórych więc przypadkach byliśmy zmuszeni pominąć normalne wymagania. Ty posiadasz doskonałe rekomendacje, a twoje zachowanie podczas spełniania tej pozaziemskiej misji nie pomniejszyło twoich szans. Awansowałeś, ojcze Pawle.

— Moje zachowanie?! Skądże możesz o nim wiedzieć?

— Sam fakt, że przeżyłeś, byłby wystarczający; twój awans zaś był w planach, nim jeszcze opuściłeś Ziemię. A ponieważ jesteśmy instytucją odpowiedzialną za ten program, otrzymaliśmy wydruk komputerowy natychmiast — wyjaśnił jego wielebność Crowder. — W ciągu tych czterech godzin mogłem jedynie go przejrzeć, ale nawet ta próbka wystarczyła, by stwierdzić, że nie jesteś człowiekiem zwyczajnym. Wygląda na to, że udało ci się ustalić tożsamość Boga.

— Nie! — zawołał ojciec Paweł. — Nie mogę tego zaakceptować!

— Och, zapisy holograficznie ukazują wszystko dość szczegółowo, zawierają również dane dodatkowe. Pewnie zainteresuje cię fakt, iż technicy sprawdzili obwody urządzenia teleportacyjnego i odkryli w nich odchylenia odpowiadające założonemu tam występowaniu „aury” pozaziemskiego gościa, tego, który dostarczył na Ziemię tajemnicę teleportacji. A prace Laboratorium Chemii Pozaziemskiej zostały w pełni utajnione w związku z przywiezioną przez ciebie próbką „baniek Tarota” Tym samym, na tyle, na ile jesteśmy to w stanie zweryfikować, twoje przeżycia mają podstawy obiektywne. Jestem przekonany, że rzeczywiście spotkałeś Szatana.

Ojciec Paweł bał się zapytać o to, ile z tego zapisu holograficznego zostanie udostępnione osobom postronnym. Był przeciwny cenzurze, lecz w tym przypadku kusiło go, by prosić o jej zastosowanie.

— Ależ ja przecież poszukiwałem Boga, a nie Szatana!

— Nie ma wątpliwości, że to Szatan odpowiedział na modły kolonistów — ciągnął wielebny Crowder. — Pragnęli uzyskać choć trochę ulgi w swej ciężkiej doli, spowodowanej surowym

klimatem planety. Teraz ją będą mieli. Wkrótce ma bowiem obowiązywać zakaz kolonizacji; Komputer Kolonizacyjny stwierdził, iż animacja stanowi zbyt wielkie niebezpieczeństwo dla rodzaju ludzkiego. Wszyscy zatem mieszkańcy planety Tarot zostaną przesiedleni na inne planety. Biurokraci potrafią działać bardzo szybko, jeśli tylko zostaną do tego zmuszeni.

— Likwidują kolonię? — spytał zdumiony ojciec Paweł. — Przesiedlają wszystkich ludzi, ze wszystkich osad na całej planecie?

— Szatan nie działa w jedwabnych rękawiczkach, o czym sam dobrze wiesz.

— Nie oznacza to jednak, że należy...

— Nie bądź tym tak wstrząśnięty, Pawle. Nie ma w tym żadnego bluźnierstwa. Szatan jest jedynie odwrotną stroną oblicza Boga.

— Odwrotną stroną oblicza Boga! — wykrzyknął ojciec Paweł.

— Może istnieć i istnieje tylko jeden Bóg... ale posiada On wiele aspektów. Tym, którzy nie są jeszcze gotowi, by stanąć przed Nim w Jego Niebiańskiej Postaci, udostępnia Siebie na ich poziomie. Nie musi w tym tkwić jakaś szczególna tajemnica. W rzeczywistości bowiem chrześcijaństwo czerpie swój dualizm od gnostyków, wierzących, iż wszystkie rzeczy mają podwójną naturę. Czerń istnieje w opozycji do bieli, dobro w opozycji do zła, a Bóg w opozycji do Szatana. Tak jak dwie płci umożliwiają ewolucję gatunku, wydaje się, iż te dwa aspekty bóstwa umożliwiają ewolucję sumienia. Przez to ciągłe występowanie przeciwieństw i ich przenikanie jesteśmy sprawdzani i udoskonalani, aż jesteśmy czymś więcej, niż moglibyśmy być w innych warunkach. Tak jak kobiety są dopełnieniem mężczyzn, ku ich zakłopotaniu, ale także dla ich dobra, Szatan jest dopełnieniem Boga.

— Ale przecież wszystko miało swoje racjonalne wyjaśnienie! Nic nie wskazywało na to, że niezbędne jest pośrednictwo Sił Wyższych, czy rozróżnienie pomiędzy dobrem i złem. W ramach międzygalaktycznej cywilizacji Starożytnych...

Jego wielebność popatrzył na niego przenikliwym spojrzeniem.

— Nie uważasz tych czynników za produkt własnej wyobraźni?

— Ja... — Ojciec Paweł zawahał się, usiłując zapanować nad mieszaniną myśli i emocji. — Sam powiedziałeś, że istnieją obiektywne dowody istnienia Antaresa...

— Rzeczywiście tak powiedziałem. Wierzę bowiem w autentyczność tej wizji, Pawle. Sprawdzam natomiast, czy ty sam w nią wierzysz.

Ojciec Paweł ponownie się zawahał.

— Wierzę, naprawdę... choć doprowadziła mnie ona do Szatana lub do odrzucenia jakiejkolwiek koncepcji bóstwa. Zdaję sobie sprawę z tego, że tym samym nie zasługuję na awans, który mi zaproponowałeś, nie zasługuję nawet na pozostanie w Świętym Zakonie Wizyjnym i żałuję bardzo, że

tak cię zawiodłem.

— A czy mógłbyś mnie poinformować, jaka wiedza lub technologia umożliwia dywinacyjny wgląd w przyszłość? — spytał jego wielebność.

— Ja...

— A kiedy spotkałeś Szatana i zostałeś przez Niego uniesiony do góry i skonsumowany... jak planetarna rzeczywistość może to wyjaśnić?

— Nie potrafię wyjaśnić tych rzeczy — przyznał ojciec Paweł. — Mogę jedynie potwierdzić, że w nie wierzę.

— Podobnie jak twój holograf... i Komputer Kolonizacyjny, i rosnąca ciągle armia techników — powiedział jego wielebność. — Ja też w nie wierzę. Jak bowiem wyjaśniłbyś ten fantastyczny zupełnie przypadek, że właśnie człowiek posiadający najpotężniejszą aurę pośród przedstawicieli swojego gatunku jest tym, którego wysłano na planetę, gdzie aura steruje animacją?

— Ale... — zaczął ojciec Paweł całkiem już zbity z tropu.

— Przedkładam ci tedy pod rozwagę twierdzenie, iż istnieje jedna tylko siła, której działanie mogłoby wyjaśnić całość twojego doświadczenia. Jak nazwałbyś tę Wielką Niewiadomą?

— Cóż, to mógłby być jedynie... — Koncepcja była tak śmiała, że obawiał się wyrazić ją słowami. — Widziałem... widziałem Boga? — spytał jak w odrętwieniu. Nagle wszystkie elementy wydawały się znajdować na swoich miejscach. Czyżby w końcu cała ta precesja doprowadziła go dokładnie tam, gdzie pragnął się znaleźć?

— Służę logiczną argumentacją — powiedział jego wielebność Crowder. — Załóżmy, iż dla dobra Wszechświata, a przynajmniej dla dobra naszej Grupy Galaktyk, niezbędne jest wykształcenie w bardzo szczególnej dziedzinie pewnej grupy istot rozumnych. Istoty te, posiadające Kirlianowską Aurę Wysokiej Częstotliwości, choć wymodelowane z niedoskonałej gliny, lecz przykrojone do określonych potrzeb, stają się odpowiednimi instrumentami działania. Nazwijmy je przykładowo Heraldykiem Uzdrawicielem, Melodią z Mintaki, Flintem z Kresu... czy Pawłem od Tarota. A może nawet Jezusem Chrystusem. Przyjmijmy, że te osoby, odpowiednio przygotowane, zapoczątkują proces, który po kilku tysiącleciach uchroni całą Grupę Galaktyk przed bezsensowną zagładą. Tak jak przez zaprojektowanie czy rekonstrukcję talii kart, których ilustracje ułatwiają rozumienie i interpretację wydarzeń w sytuacjach krytycznych...

— To niedorzeczne — rzucił ostro ojciec Paweł. Jego wielebność uśmiechnął się.

— Bez wątplenia. Dlatego też na pewno nie przedstawiłbym tak fantastycznych pomysłów innym. Gdyby jednak tak trudny do wyobrażenia przypadek zdarzył się, czy biologiczne trwanie jednej skolonizowanej planety nie byłoby znikomą ceną do zapłacenia? Kwestionujemy czasami Boże zamysły, ku naszej własnej zgubie.

Ojciec Paweł włożył rękę do kieszeni, w której nosił wykonaną przez siebie talię Tarota

Animacji. Czy coś takiego mogło być prawdą?

— W takim razie — powiedział przejęty grozą — Bóg istnieje... i taka jest Jego wola.

— Czy nie lepiej w to wierzyć... miast odrzucać swą uprzednią w Niego wiarę?

— Tak! — wykrzyknął ojciec Paweł, kiedy jego zablokowana wiara przerwała tamy i porwała ze sobą, oddalając od potępienia. Nagle poczuł, że znów jest całością.

Jego wielebność ponownie się uśmiechnął.

— Możesz być spokojny. Ani ta dyskusja, ani zapis holograficzny nie przedostaną się do publicznej wiadomości. Jestem przekonany, że w tej chwili, kiedy tu rozmawiamy, Komputer Kolonizacyjny nadaje całej tej sprawie status absolutnej satanicznej tajemnicy i że moja własna kopia hologramu zostanie wkrótce skonfiskowana. Pragnę jedynie, byś wiedział, że ja osobiście wierzę, iż wolą Boga było, abyś przeżył te doświadczenia, to hartowanie ducha w Piekło, i że wywiązałeś się ze swego zadania ku Jego zadowoleniu. Łatwo bowiem być szlachetnym i czystym, kiedy nie podlega się stresom, pokusom i zmianom świadomości. Ty byłeś człowiekiem, nie pozbawionym wad i skaz, a jednak przeżyłeś. Tym samym usprawiedliwiasz istnienie naszego gatunku, a może i tych wszystkich form, które życie przybrało w tym segmencie Wszechświata, w tym formę życia obdarzoną aurą.

— Dzięki ci, ojcze — wyszeptał ojciec Paweł, nie odczuwając w sobie ani owej szlachetności, ani czystości.

Jego wielebność Crowder wykonał gest wskazujący, że ten temat uważa za zakończony.

— Jest jeszcze jedna sprawa. Jak już wspominałem, Święty Zakon Wizyjny rozrasta się. Nie wynika to z naszej gorliwości misyjnej, ale z widocznego zapotrzebowania na naszą posługę współczesnego społeczeństwa, które przeżywa kryzys. Chyba się troszkę powtarzam. Chodzi mi o to, że w tej chwili bardzo ważną rzeczą jest zminimalizowanie tarć, które mogą zajść pomiędzy naszymi wielce kompetentnymi funkcjonariuszami.

— Naturalnie — zgodził się ojciec Paweł, niezbyt pewien, dokąd to wszystko prowadzi.

— Przyznasz zapewne, iż wielebna matka Maria jest osobą kompetentną.

Sens tego zdania był nieprzyjemnie jasny.

— Tak! To ona pomogła mi wyjść z ciemności, którą była moja ignorancja. Ale ona nigdy by nie opuściła...

Jego wielebność Crowder pokręcił głową.

— Złożyła wypowiedzenie. Ojciec Paweł był wstrząśnięty.

— Jej wiara w Boga jest absolutna i nie podlega takim wahaniom jak moja! Ona...

— Życzy sobie opuścić Święty Zakon Wizyjny. Spełnia swoje obowiązki dopóty, dopóki nie znajdziemy kogoś na niej miejsce. Przyszło mi na myśl, że być może ty wiesz, na czym polega jej problem.

— Ja? Nie, ja... — ojciec Paweł przerwał, skonsternowany. — Nie awansowałeś chyba mnie po to, bym zajął jej miejsce!

— Nie, nie, naturalnie, że nie! W każdym razie nie w sensie bezpośrednim. Zgodnie z zasadą rotacji i tak miała wkrótce przejść na inne stanowisko, a rzeczą właściwą wydaje się, by twój pierwszy przydział przypadł na znaną ci stację. I skoro znasz ją lepiej ode mnie, sądziłem, że dobrze byłoby, gdybyś z nią porozmawiał przed jej odejściem. Nie muszę ci chyba mówić, jak ważne jest przekonanie jej, by jednak z nami pozostała. Jest jednym z najzdolniejszych członków naszej kadry. Mimo to, kiedy o niej mówię, nie mam na myśli jedynie dobra zakonu, ale również dobro samej Mani. Nie wierzę bowiem, by była szczęśliwa zajmując się czymś innym.

— Na pewno — zgodził się ojciec Paweł. — Zakon jest jej całym życiem. To... to do niej niepodobne! — Pokręcił głową w zakłopotaniu. — A tak chciałem znów z nią pracować. Czy jest coś, co by wyjaśniało, dlaczego...

Jego wielebność Crowder zmarszczył brwi.

— Mam naturalnie dostęp do jej akt osobistych, tak samo zresztą jak i do twoich. Wiem, w jaki sposób ty znalazłeś się w Świętym Zakonie Wizyjnym. Zostałeś nawrócony przez siostrę Beth...

— Ja ją zabiłem — powiedział ojciec Paweł. — Wiesz o tym, a mimo to awansujesz mnie.

— Ty, podobnie jak i ona, byłeś ofiarą okoliczności. Wszyscy mamy wystarczająco wiele grzechów na sumieniu i nie musimy nadawać zbytniego znaczenia wypadkom, które znajdują się poza naszą kontrolą. Sedno sprawy tkwi w czym innym: my w Świętym Zakonie Wizyjnym znamy dobrze naszych członków, w szczególności zaś tych obiecujących. Większość naszych ludzi przyszła dosłownie z rynsztoka. Ja sam do nich należę. Na moich rękach jest krew, a na moim mózgu blizna po lobotomii. Podobnie jak ty, nie zdałem swego ostatecznego egzaminu; tyle że to społeczeństwo, a nie Szatan, wymierzyło mi sprawiedliwość. Żyjemy w okrutnym świecie. Praktycznie rzecz biorąc, w Piekło. Ale to właśnie Piekło, a nie Niebo, potrzebuje pracowników społecznych. Dlatego twój życiorys ani mnie nie dziwi, ani nie szokuje. Istotny jest obecny stan twego ducha, co, jak sądzę, sam usiłowałeś wyjaśnić mormonowi. Maria również należy do grupy nawróconych.

— W to nie mogę uwierzyć!

— Ta naiwność bardzo do ciebie pasuje. Spędziłeś całe swe życie w Piekło, a tak, jakbyś go nie widział. Nie zdradzę szczegółów z życia Marii ani sposobu jej dotarcia do nas. Sam widziałeś, jakim klejnotem się stała. Chcę jedynie ci uzmysłowić, że gdyby to jej pozwolono podjąć się tej misji na planecie Tarot, animacje nie byłyby bardziej łaskawe dla niej, niż były one dla ciebie.

— Pozwolono? Chcesz przez to powiedzieć, że ona...

— Tak, zgłosiła się na ochotnika. Nie udzieliliśmy zgody, bowiem brak jej było niezbędnej siły fizycznej. Wyznaczając ciebie, podwójnie zraniliśmy jej godność.

— Czy... czy podejrzewała, jak tam może być?

— Tak. I przypuszczam, że miała wyrzuty sumienia, iż wysłała ciebie... tak jak ty miałeś wyrzuty sumienia z powodu oddania siostry Beth w ręce policji. Na szczęście przeżyłeś, dowodząc tym samym słuszności mojej decyzji... i sądzę, że gdybyś teraz porozmawiał z Marią...

— Tak. Tak, naturalnie — zgodził się ojciec Paweł. — Nie musi przecież odczuwać wyrzutów sumienia z mojego powodu!

— Byłem pewien, że mnie zrozumiesz — powiedział jego wielebność ojciec Crowder. Uśmiechał się przy tym zagadkowo.

Droga powrotna brata Pawła przebiegała zupełnie inną trasą niż ta, którą udawał się do stacji teleportacyjnej tak dawno temu, licząc czas przebytym doświadczeniem. To również była polityka zakonu: poszukiwanie nowych terytoriów, nawet przejazdem, a nie chodzenie po własnych śladach. W rezultacie znalazł się pewnego wieczoru pośród plemienia Piktów. Czy rzeczywiście przypominali oni oryginalnych Celtów europejskich — było wielce wątpliwe, ale był zbyt dobrym dyplomata, by okazywać sceptycyzm.

Wódz ich chodził nago, ale ze skórą pokrytą zupełnie nieprawdopodobnymi tatuażami w kolorze niebieskim i zielonym, najwyraźniej stanowiącymi powód wielkiej dumy.

— Nieczęsto miałem okazję spotkać się z tak piękną sztuką — powiedział ojciec Paweł taktownie.

— Witamy cię z całą naszą gościnnością — rzekł nagi artysta, doceniając komplement. — Przy okazji, ojcze, gdybyś zechciał... dziecko moje jest chore...

— Nie jestem lekarzem — powiedział ojciec Paweł ostrożnie.

— Lekarzy to my mamy, ale nie byli w stanie nic zrobić. Powiadają, że potrzebny jest szpital, prześwietlenia, transfuzja, diagnostyka, lekarstwa...

Stał przed ojcem Pawłem, patrząc mu wprost w oczy. — Do cywilizacji daleka stąd droga. Umrze, nim ją tam dowieziemy!

— Obejrzę ją — rzekł ojciec Paweł. Jednym z problemów tej upadającej cywilizacji był powrót starych „zabójców” podnoszący śmiertelność wśród dzieci, chorób wynikających z braku należytej opieki, niskiej higieny i ogólnej ignorancji. Piktowie rzeczywiście znajdowali się daleko od cywilizacji, i to nie tylko w sensie odległości w przestrzeni.

Dziewczynka leżała na barłogu w ciemnej chacie. Kiedy się do niej zbliżał, przeżył ponownie uczucie *deja vu*. Czyżby już kiedyś tu był? Na pewno nie w tym stuleciu!

Była bez wątpienia bardzo chora. Miała około dziesięciu lat. Ból wykrzywił jej twarzyczkę, a wokół ust widoczne były zaschnięte pozostałości po męczących ją wymiotach. Prawdopodobnie niedożywienie było czynnikiem pogarszającym jej stan, podobnie jak to bywało w średniowieczu. Wiedział, iż nie jest to jedynie wynik zaniedbania; ludy prymitywne nie rozumiały znaczenia właściwej diety i zdrowego środowiska. Możliwe, iż lekarze usiłowali wyjaśnić te sprawy wódzowi, ale nie wszystko da się powiedzieć, jeśli mówiącemu zależy również na zachowaniu własnego zdrowia i całej skóry. Ojciec Paweł mógłby wypisać receptę na coś, co pozwoliłoby do pewnego stopnia uzupełnić i zrównoważyć jej dietę, jeśli udałoby mu się najpierw wyprowadzić ją z tego krytycznego stanu. Jeśli jej pomoże, możliwe, iż ojciec dziewczynki choć trochę zmieni swój stosunek do tych spraw.

Skórę miała bladą, prawie przezroczystą. Potrzebne jej było światło i opieka, i miłość. Gdzie była jej matka? Ktoś, kto by ją przytulił, opowiedział bajkę i wysłuchał jej zwierzeń o małych radościach i smutkach. Życie prawdziwych ludów prymitywnych koncentrowało się wokół dzieci, lecz te współczesne prymitywy jeszcze do tego nie doszły. Ich rodziny prawdopodobnie ulegały rozpadowi wraz z rozpadem ich dotychczasowego sposobu życia. Wśród różnych ludzi regres postępował z różną szybkością i na różne sposoby. Dla instytucji małżeńskiej był on Piekłem. Będzie musiał wypisać receptę na leki i w tej dziedzinie.

Może się wszakże okazać, że są to czysto akademickie rozważania, jeśli jej choroba poczyniła zbyt wielkie postępy. Wpierw więc powinien spróbować rozwiązać ten problem.

Usiadł obok niej i ujął jej rozpaloną dłoń.

— Kocham cię, moja śliczna, I twój ojciec cię kocha. I Bóg cię kocha. Zbudź się i bądź zdrowa.

Położył dłoń na jej czole i modlił się po cichu: Boże, pomóż temu dziecku. Wyprowadź je z Piekła. Aura jego przepłynęła przez jej ciało... ta aura, o której inni powiadali, że jest jedną z najpotężniejszych. To, co teraz nastąpiło, nie było animacją pozorów, lecz próbą animacji, ożywienia czegoś bardzo istotnego: woli życia. Musiał w niej stworzyć nowy obraz siebie samej, taki, który pozwoliłby jej uwierzyć, że ta choroba jest jedynie iluzją dającą się rozproszyć, że ona, tak jak scjentyści, może zwyciężyć, jeśli mieć będzie wiarę.

I ozdrowiała. Gorączka opadła, napięcie mięśni ustąpiło, a dziewczynka przebudziła się. Czuł, jak odzyskuje świadomość, czerpiąc siłę z jego siły, z jego miłości. Otworzyła oczy, jasnoniebieskie. Uśmiechnęła się.

— Od dzisiejszego dnia — powiedział stojący za ojcem Pawłem wódz, głosem drgającym ze wzruszenia — to plemię będzie oddawać cześć twojemu Bogu.

— Moim Bogiem jest miłość — odpowiedział ojciec Paweł.

I w tym dopiero momencie dotarło to do niego. Uzdrowił ją! Dotknął, przekazał wolę życia, wezwał Boskiej pomocy i użył swej aury na nowy sposób, by uzdrowić to dziecko, tak jak czynił to Heraldyk Uzdrawiciel w dalekiej przyszłości i Jezus Chrystus w niezbyt odległej przeszłości.

Zdolność, która ujawniła się w animacji... pozostała z nim również w normalnym życiu. Był teraz Uzdrowicielem.

Stacja, z jej wiatrakami i skromnymi zabudowaniami, była mu wzruszająco bliska. Ojciec Paweł musiał sam siebie przypominać, że nie było go tutaj jedynie jakieś dwa tygodnie, chociaż w tym czasie wędrował w tę i z powrotem w czasie pięciu tysięcy lat. Od Buddy do Ameby!

Kiedy przechodził obok kuchni, w jej drzwiach pojawił się brat Piotr.

— Gratuluję, ojcze! — wykrzyknął. — Idź prosto do biura przełożonej; czeka na ciebie.

Ojciec Paweł przedłużył o moment chwilę powitania.

— Bracie... jak ona się czuje? Słyszałem, że nie najlepiej. Brat Piotr zerknął w dół, na ich połączone w uścisku dłonie.

— Jest coś takiego w tobie... jakaś moc...

— Moc odnowionej wiary w Boga — rzekł ojciec Paweł. Nie chciał w tej właśnie chwili podnosić sprawy aury. — Jeśli zaś idzie o przełożoną...

— Ojcze, jestem przekonany, że sobie poradzisz. — I nic więcej brat Piotr nie był skłonny powiedzieć.

Ojciec Paweł udał się prosto do biura, nie odświeżony i w zakurzonej po podróży ubrani. Tutaj zaczęła się jego misja, cały świat i całą wieczność temu; słuszne było, by i tu się zakończyła. Zatrzymał się przed drzwiami i powtarzał nerwowo w myślach swoje argumenty: o ile więcej dobrego mogła uczynić wewnątrz zakonu niż poza nim; jak to wysłanie go na planetę Tarot nie stanowiło dowodu niełaski, ale pozwoliło mu odnaleźć samego siebie; jak dobrze wyrażał się ojej poczynaniach jego wielebność ojciec Crowder; i jak bardzo zakonowi potrzebne były jej usługi właśnie teraz, kiedy przechodził kryzys związany z gwałtownym rozwojem swojej działalności. Naturalnie, nie wspomni nawet o tym, czego dowiedział się o jej przeszłości; nie byłoby to dyplomatycznie, chociaż w jego własnym umyśle nadawało jej ludzkiego wymiaru, którego mu przedtem brakowało. Miast aniołem, była bowiem anielską kobietą: znaczące rozróżnienie. Uczyni wszystko, co będzie w jego mocy, by ją przekonać, żeby pozostała na miejscu. Tak.

Otworzył drzwi i wszedł do tego samego niewielkiego gabinetu, w którym już kiedyś był. Stała przy biurku, odwrócona tyłem; robiła wrażenie tragicznie samotnej i opuszczonej. Cóż złego ją spotkało?

— Mario — powiedział, zaskoczony falą dziwnego uczucia, które nagle go ogarnęło. Nie to zamierzał powiedzieć!

— Wiem, z czym przychodzisz, Pawle — odezwała się stłumionym głosem. — Ale powzięłam już decyzję. Chcę jedynie wyjaśnić ci mechanizmy zarządzania i pogratulować...

Coś w niej takiego... scena z animacji *Paradiso* Dantego...

— Spójrz na mnie, Mario — powiedział łagodnie.

Odwróciła się powoli, nie usiłując ukryć łez, które spływały po jej policzkach.

— Jesteś cały i zdrowy. Dzięki Bogu.

Dzięki Bogu. Ojciec Paweł przyglądał się z uwagą jej twarzy, dopiero teraz zauważając w niej to, czego nie był w stanie dostrzec wcześniej. To ona była tym aniołem, którego poszukiwał poprzez te wszystkie animacje! Nie dziwota, że nie uległ do końca zalotom Amaranty. Amaranta była postacią zastępczą, zajmującą chwilami miejsce kobiety, którą naprawdę kochał. Podczas wszystkich swych przygód w animacji szukał tego... co pozostawił za sobą. „Dziewczyny z sąsiedztwa”. A przecież nie śmiał, nawet w wyobraźni, żywić nadziei, że ten ideał kobiety mógłby być kiedykolwiek jego.

Co bowiem pozwalało mu przypuszczać, iż coś się zmieniło? Nigdy przedtem nie dała mu w żaden sposób do zrozumienia, że interesuje się nim jako mężczyzną; zawsze postępowała właściwie, tak jak przystało jej stanowisku. Trudno było uwierzyć, iż jej losy przed wstąpieniem do zakonu były równie poplątane jak jego; przekonany był, że pochodzi z jak najlepszego środowiska. Teraz, wytracona z równowagi tym, co uważała za niewłaściwą decyzję ze swej strony, czyżby zamierzała powrócić do tego mniej wartościowego sposobu życia?

Miał ochotę wykrzyknąć tę nagle odkrytą miłość, ale nie śmiał. Byłby przecież głupcem, gdyby przypuszczał, że ten anioł potraktuje poważnie jego starania! Wyrażenie ich w słowach wywołałoby uprzejmą, delikatną, współprzepraszającą odmowę; wskazałaby mu jego miejsce bez ranienia jego uczuć. Mimo własnych problemów, uczyniłaby ten wysiłek z samej dobroci swego serca. Dotknięcie oznaczałoby jej zabicie, podobnie jak w przypadku siostry Beth... nawet gdyby dotknął ją jedynie słowem. Nie miał takiego prawa!

Z drugiej strony... dlaczego płakała? Nigdy przedtem nie widział u niej tak otwartej rozpacz, takiej utraty wewnętrznej równowagi; nie sądził nawet, że potrafi płakać. Gdyby to była troska o niego w związku z jego niebezpieczną misją, w której udziału jej odmówiono, teraz mogła już czuć się rozgrzeszoną. Przecież przeżył, rozwinął się i powrócił! A jeśli to smutek związany z odejściem z zakonu, to po cóż go opuszcza? Musi to więc być coś zupełnie innego.

— Mario, czy zechcesz mi powiedzieć, co cię boli? — zapytał. — Jeśli utrata tej stacji, to z radością zrezygnuję z tego stanowiska. Wiem, iż nie dorastam do takich standardów, jakie ty tu narzuciłaś. Odejdę stąd...

Głos miała spokojny i równy, wyraźnie kontrastujący z jej wzrokiem.

— Nie czyń tego, Pawle. Cieszę się z twojego sukcesu. Wybacz, że straciłam nad sobą kontrolę; zupełnie to nie pasuje do tej okazji. — Przerwała. Po czym dodała: — Widziałeś Boga.

A ona nie? Zresztą nie należała do ludzi, którzy by mu tego zazdrościli! Jednocześnie wyczuwał tutaj coś niejasnego, a zarazem bardzo ważnego.

Pomyślał o swym nowym Tarocie. Czy mógłby mu pomóc w tej sytuacji? Nie, sam będzie musiał rozwiązać ten problem. Podjął złą decyzję w przypadku siostry Beth, dziewczyny, której praktycznie nie znał. O ile bardziej istotna była ta decyzja! Czy powinien ryzykować wszystkim, wyznając jawnie swą miłość do Marii, czy też ją ukryć? Nie był w stanie znieść jej niezrozumiałych łez, nie mógł także pozwolić sobie na pogorszenie sytuacji poprzez popełnienie jeszcze jednego błędu.

Pozostawała mu jedyna droga. Padł na kolana, by prosić Boga o odpowiedź na te pytania.

Matka Maria uklękła naprzeciw niego.

Boże Tarota, Boże Ziemi, Boże moich doświadczeń... wskaż mi drogę! — modlił się w milczeniu.

Bóg nie przemówił do niego. Bóg nigdy nie przemawiał, przynajmniej nie w ten sposób. Czy powinien tedy modlić się do Szatana? Diabeł zwykł reagować na wznoszone do Niego modły!

N i e! Możliwe, że Bóg i Szatan stanowią jedność, możliwe, że zło jako takie nie istnieje... ale on musi skupić się na tym aspekcie, w który wierzy. Boże Dobroci, Prawości i Miłości. Niech się dzieje wola Twoja.

Maria przemówiła:

— Widzę, że się dręczysz, Pawle. Jest rzeczą niewłaściwą, bym ukrywała przed tobą moje troski. Bóg mi to mówi. Dlatego też powiem ci o nich w prostych słowach. Miałam wizje związane z twoją osobą podczas twojej nieobecności. Czasami byłam w nich... kobietą demonem, ladacznicą, kusicielką, taką, jaką rzeczywiście byłam, nim odnalazłam Boga. Istotą złą, zwabiającą cię w pułapkę błędu i w myśli, i w czynie. Twe serce i oko skupione było na Bogu, ale ja byłam agentem Szatana wiodącym cię do samych Piekieł, nie cofającym się przed niczym, używającym dziwnych kart Tarota... — Zawahała się, a łkanie wstrząsnęło jej ciałem. — Nie podejrzewałam, że tkwią jeszcze we mnie takie głębokie zepsucia. Dlatego muszę zniknąć z twojego życia na zawsze. Oby Bóg wybaczył mi grzech, który popełniłam przeciwko tobie!

Ojciec Paweł otworzył oczy i patrzył poprzez otchłań, która oddzielała go od Marii. Jej oczy pozostały zamknięte, a twarz nabrała spokoju, który czynił mu ją znajomą na nowy, odmienny sposób. Wyspowiadała się... nie rozumiejąc prawdziwego charakteru swojej spowiedzi. Bo przecież sprzęgła się z nim psychicznie podczas jego animacji! Sądziła, że intrygi Amaranty i Theriona miały swe źródło w jej własnej wyobraźni i w jej własnej woli. Nie mogła wiedzieć, iż to, co dla niej było fałszem, dla niego, paradoksalnie, było prawdą. Ona widziała Szatana... a on rozpoznał w Nim Boga.

Jakież to kaprys sprzęgł ich umysły poprzez całe lata świetlne dzielące je od siebie? Żadna znana siła nie byłaby w stanie tego uczynić, a jedynie wola Boża... wyrażona siłą miłości.

Kochała go!

Patrzył na jej twarz z nowym rozumieniem. Maria dzieliła z nim jego doświadczenia. Nie musi więc mieć przed nią tajemnic, nie musi kryć wstydu. Widziała go przecież w sytuacjach najgorszych z

możliwych i usiłowała przejąć i wchłonąć w siebie całe zło.

— Czy stałaś również pod Krzyżem, kiedy krzyżowano Chrystusa? — spytał łagodnie. — I byłaś w Dziesiątym Niebie Paradiso?

— Tak — przyznała, nie rozumiejąc. Jakże błogosławiona była ta jej niewinność!

Tą spokojną pozą przypominała mu dziwnie...

Dotarło to do niego jak błysk z jasnością wybuchu supernowej. Karolinę. Jego córkę wewnątrz animacji! Nie młodziutką aktorkę, która teraz znajdowała się wraz z narzeczonym w drodze na jakąś odległą planetę, gdzie problemy religijne nie będą tak ostre, a animacja w ogóle problemem nie będzie. Raczej tę, która towarzyszyła mu w podróży samolotem, odwiedzała starą uczelnię, za dziesięć lat od teraz. Tę, o której życie walczył w wieku czternastym. Jego prawdziwą córkę... lub tę, która jego córką dopiero być miała.

Miał przed sobą matkę tego dziecka.

Ojciec Paweł wyciągnął rękę, ujął dłoń Marii i pozwolił, by jego aura ją uzdrowiła.

A jednak Bóg Tarota wysłuchał jego modłów.

Aneks

Tarot animacji

Talia Tarota Animacji, zrekonstruowana przez brata Pawła ze Świętego Zakonu Wizyjnego składa się z trzydziestu Atutów odpowiadających, w przybliżeniu, dwudziestu dwu Atutom we współczesnych, konwencjonalnych taliach Tarota i z pięciu różnie nazywanych kolorów odpowiadających czterem kolorom konwencjonalnym plus Aura. Każdy kolor numerowany jest od jednego do dziesięciu i posiada dodatkowo cztery karty „Dworskie”. Trzydzieści Atutów przedstawionych jest w spisie treści niniejszej powieści, a klucze do ich złożonych znaczeń i form pochodnych znaleźć można w odpowiednich rozdziałach. Dla ułatwienia, Atuty te przedstawione są poniżej, a po nich ujęte w formie tabeli kolory, wraz z ich znaczeniami lub zbiorami znaczeń (dla kart w pozycji normalnej lub odwróconej); symbole zapisano kursywą. Ponieważ kolory są czymś więcej niż zwykłym zbiorem pojęć, pięć esejów dotyczących ich fundamentalnego charakteru kończy tę książkę.

W chwili obecnej na rynku nie ma ani jednej wydanej oficjalnie talii Tarota Animacji. Brat Paweł dla przedstawienia rzeczonych stu pojęć używał kart papierowych o rozmiarach trzy na pięć cali, na których własnoręcznie zapisywał znaczenia, rysował symbole i robił notatki mające ścisły związek ze sprawą. Nie były one ani tak ładne, ani wygodne w użyciu, jak karty wydawane drukiem, ale zadowalająco spełniały swą rolę podczas dywinacji, studiów, rozrywki, interesów i medytacji. Pełna analiza każdej z kart i poszczególnych konwencji związanych z talią Animacji jest zbyt skomplikowana, by dało się ją tutaj przedstawić, lecz ci, którzy zechcą wykonać swą własną talię i z niej korzystać, powinni spodziewać się własnych i osobistych odkryć. Zgodnie z dotyczącą przyszłości wizją brata Pawła, talia ta zostanie kiedyś opublikowana, być może w obydwu wersjach: archaicznej (waldensowskiej) i przyszłościowej (kosmicznej), w tej pierwszej wykorzystując do ilustracji postaci średniowieczne, a w drugiej wizerunki przedstawicieli miriadów cywilizacji zamieszkujących naszą Grupę Galaktyk około roku 4500. Nie wydaje się, by osoby zainteresowane zechciały na to czekać aż tak długo.

ATUTY

0 Szaleństwo (Głupiec) i Umiejętność (Mag)

2 Pamięć (Arcykapłanka)

4 Nieznane (Duch)

3 Działanie (Cesarzowa)

4 Władza (Cesarz)

5 Intuicja (Hierofant)

6 Wybór (Kochankowie)

7 Precesja (Rydwan)

8 Uczucie (Pożądanie)

9 Dyscyplina (Siła)

10 Natura (Rodzina)

11 Los (Koło Fortuny)

12 Czas (Sfinks)

13 Refleksja (Przeszłość)

14 Wola (Przyszłość)

15 Honor (Sprawiedliwość)

16 Ofiara (Powieszony)

17 Zmiana (Śmierć)

18 Wizja (Wyobraźnia)

19 Transfer (Umiar)

20 Przemoc (Diabeł)

21 Objawienie (Wieża Rażona Piorunem)

22 Nadzieja/Trwoga (Gwiazda)

23 Fałsz (Księżyc)

24 Triumf (Słońce)

25 Rozsądek (Myśl)

26 Decyzja (Wyrok)

27 Mądrość (Mędrzec)

28 Dopelnienie (Wszechświat)

Karty kolorów

	NATURA	NAUKA	WIARA	HANDEL	SZTUKA
1	Działać <i>Berło</i>	Myśleć <i>Miecz</i>	Czuć <i>Kielich</i>	Mieć <i>Moneta</i>	Być <i>Lemniskata</i>
2	Ambicja Obrotność <i>Pochodnia</i>	Zdrowie Choroba <i>Skalpel</i>	Poszukiwanie Marzenie <i>Graal</i>	Włączenie Wyłączenie <i>Pierścień</i>	Dusza Jaźń <i>Aura</i>
3	Wzrastać Kurczyć się <i>Drzewo</i>	Inteligencja Ciekawość <i>Lobiryni</i>	Obfitość Gratka <i>Róg Obfitości</i>	Zysk Strata <i>Kolo</i>	Perspektywa Doświadczenie <i>Holograf</i>
4	Dźwignięcie Podróż <i>Dźwignia</i>	Decyzja Zaangażowanie <i>Pióro</i>	Radość Smutek <i>Puszka Pandory</i>	Investycja Spadek <i>Narzędzia</i>	Informacja Piśmienność <i>Książka</i>
5	Innowacja Podejrzliwość <i>Miara Chwały</i>	Równowaga Zastój <i>Latawiec</i>	Bezpieczeństwo Uwięzienie <i>Zamek</i>	Stalość Efemeryczność <i>Pięciokąt</i>	Bilans Subiektywizm <i>Waga</i>
6	Natarcie Odwrót <i>Most</i>	Wolność Ograniczenie <i>Balon</i>	Pokusa Wina <i>Butelka</i>	Podarek Kradzież <i>Pakiet</i>	Zmiana Stagnacja <i>Wstęga Moebiusa</i>
7	Wysiłek Błąd <i>Drabina</i>	Pokój Wojna <i>Plug</i>	Obietnica Pogróżka <i>Statek</i>	Obrona Słabość <i>Tarcza</i>	Piękno Brzydota <i>Twarz</i>
	Potencjał	Zwycięstwo	Zadowolenie	Sukces	Sumienie

8	Impotencja	Klęska	Rozczarowanie	Porażka	Bezwzględność
	<i>Rakieta</i>	<i>Flaga</i>	<i>Lustro</i>	<i>Korona</i>	<i>Yin–Yang</i>
	Dokonanie	Prawda	Miłość	Majętność	Światło
9	Zachowanie	Błąd	Nienawiść	Bieda	Ciemność
	<i>Trofeum</i>	<i>Klucz</i>	<i>Butelka Kleina</i>	<i>Pieniądze</i>	<i>Lampa</i>
	Głód	Przetrwanie	Rozmnażanie	Godność	Wyobrażenie
10	<i>Fallus</i>	<i>Nasienie</i>	<i>Macica</i>	<i>Jajo</i>	<i>Kompost</i>
	ENERGIA	GAZ	CIECZ	CIAŁO STAŁE	PLAZMA

Karty dworskie natura nauka wiara handel sztuka

PAŹ	Dziecko Ognia	Dziecko Powietrza	Dziecko Wody	Dziecko Ziemi	Dziecko Aury
RYCERZ	Młodzian Pracy	Młodzian Kłopotów	Młodzian Miłości	Młodzian Pieniędzy	Młodzian Ducha
KRÓLOWA	Dama Aktywności	Dama Konfliktów	Dama Emocji	Dama Statusu	Dama Ekspresji
KRÓL	Człowiek Natury	Człowiek Nauki	Człowiek Wiary	Człowiek Handlu	Człowiek Sztuki
	ENERGIA	GAZ	CIECZ	CIAŁO STAŁE	PLAZMA

Natura

Bogini Płodności najbardziej popularna była w okresie wiosennym. Ludy prymitywne wierzyły bowiem w magię rezonansową; wierzyły, że zachowania ludzkie wpływają na procesy zachodzące w przyrodzie — że seksualizm człowieka czyni roślinność bardziej płodną. By zyskać pewność, że ich przesłanie dotrze do natury i takie właściwie pojmie, ustawiali Drzewo Życia, które było w rzeczywistości olbrzymim, dwa razy wyższym od człowieka fallusem skierowanym w niebo. Nagie kobiety tańczyły wokół niego, śpiewając i przystrajając go jaskrawymi wstążeczkami. Odbywało się to pierwszego dnia miesiąca maja i dlatego uroczystości te nazywano Dniem Majowym, a fallusa Słupem Majowym. Promowanie i lansowanie dnia pierwszomajowego we współczesnych krajach komunistycznych doprowadziło do zaniku jego obchodów w świecie zachodnim, jednak zasada leżąca u podstaw tych obchodów nie straciła na sile. Słup Majowy jest tym samym Drzewem Życia, które odnajdujemy w Edenie, tym, które w talii Tarota symbolizuje Kolor Natury: pionowy pręt utworzony z żywych, wypuszczających listki gałązek. Kolor nazywany bywa Pałkami, Różdżkami, Buławami, Berłami lub, w taliach konwencjonalnych Treflami. Pręt ów tryska życiem: jest źródłem męskości, zawsze gotowym do wzrostu i posiania swego nasienia. Związany jest także z klasycznym żywiołem Ognia, z wszelką bronią palną, z raketami i materiałami wybuchowymi. W religii staje się on berłem lub pastorałem, uważany też bywa za miarę wiary, jej „kanon”.

Wiara

Nie jest nam znane prawdziwe źródło licznych legend o Graalu. Możliwe, iż sławny puchar był pierwotnie symbolem kobiecości, używanym w pogańskich rytuałach płodności, odpowiednikiem męskiego Słupa Majowego. W mitologii chrześcijańskiej najlepiej jest znany jako czara uformowana z jednego olbrzymiego szmaragdu, z której Jezus Chrystus pił wino podczas Ostatniej Wieczerzy. Skradziona przez służbę Poncjusza Piłata, posłużyła prokuratorowi Judei do obmycia rąk przed wydaniem wyroku na Jezusa. Kiedy Chrystusa ukrzyżowano, pewien bogaty Żyd, który lękał się przedtem wyznać swą wiarę, teraz użył tej czary, by zebrać do niej krew, która wypłynęła z ran Jezusa. Człowiek ów, Józef z Arymatei, złożył ciało Jezusa do własnego grobowca i stamtąd właśnie Jezus zmartwychwstał kilka dni później. Sam Józef został jednak ukarany; uwięziono go i latami przetrzymywano w bardzo złych warunkach. Pokarm, napój i pożywienie duchowe czerpał wprost z Graala, który udało mu się zachować przy sobie i dzięki niemu przeżył. Kiedy go uwolniono, zabrał Graala do Anglii gdzie osiadł na stałe w roku 63. Zajął się nawracaniem tamtejszej ludności na chrześcijaństwo. Jego następcy przekazywali sobie Graala z pokolenia na pokolenie, aż w końcu znalazł się on w posiadaniu Sir Galahada, rycerza Okrągłego Stołu Króla Artura. Tylko bowiem osobom czystym dane było ujrzeć to święte naczynie. Być może istnieje również związek Graala z *cornu copiae*, z Rogiem Obfitości, starożytnym symbolem bogactwa ziemi, płodności i obfitości. Jest on kielichem miłości i wiary, naczyniem klasycznego żywiołu Wody i symbolem istoty kobiecości (i.e. kobiecego łona), reprezentowanym w Tarocie przez Kolor Kielichów.

Handel

Jest rzeczą wielce intrygującą, który z ludzkich instynktów jest najsilniejszy. Wielu zakłada, że jest nim popęd płciowy, dążenie do posiadania potomstwa. Jednak pewien interesujący eksperyment wydaje się temu przeczyć. W eksperymencie owym poddano grupę ochotników, a wśród nich kilka par małżeńskich, systematycznemu głodzeniu. Po pewnym czasie zdjęcia pięknych dziewcząt wiszące na ścianach zastąpiono zdjęciami przedstawiającymi różne potrawy. Nastąpiło widoczne osłabienie popędu płciowego, a niektóre pary znalazły się wręcz w konflikcie. Jedzenie stało się dominującym tematem wszelkich konwersacji. Sugerowałoby to, że głód jest silniejszy od seksu. Podobnie przetrwanie — instynkt samozachowawczy — wydaje się silniejszy od łaknienia, skoro umierająca z głodu osoba nie tknie pożywienia, o którym wie, że jest zatrute, i nie napije się słonej wody, mimo iż cierpi pragnienie pośrodku oceanu. Tego rodzaju hierarchia ważności instynktów wydaje się rozsądna, ponieważ każdy gatunek musi wpierw przeżyć, by móc się rozmnożyć. A przecież możliwy jest jeszcze bardziej fundamentalny instynkt, silniejszy od wspomnianych. Żydzi, uwięzieni w nazistowskich obozach śmierci, współpracowali ze sobą na tyle, na ile to było możliwe, dzieląc się swoją własnością i resztkami jedzenia. Ostatnią więc rzeczą, jaką mogli utracić, była godność osobista. Naziści robili wszystko, co tylko mogli, by zniszczyć godność więźniów, wiedząc doskonale, że ludzie, którzy zachowali dumę, nie zostali pokonani do końca. Tym samym godność osobista lub poczucie własnej wartości może być najsilniejszym z ludzkich instynktów. W Tarocie reprezentowany on jest przez Kolor Dysków lub Tarcz, lub Pięciokątów, lub Monet i kojarzony zazwyczaj z żywiołem Ziemi i z pieniędzmi (jedynym kryterium statusu społecznego ignorantów), z interesami i handlem. Prawdopodobnie jego pierwotnym symbolem był gładki dysk słoneczny (złoto) lub tarcza Księżycy (srebro).

Magia

W Ogrodzie Edenu Wąż kusił Adama i Ewę, by zjedli owoc z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego. Nie wiadomo, jaki to był owoc; na ogół uważa się, że było to jabłko (i.e. pierś), bardziej prawdopodobny wydaje się jednak banan (i.e. fallus). Pewne jest jedynie to, że zakazana wiedza dotyczyła spraw cielesnych. W Ogrodzie znajdowało się jeszcze jedno Drzewo o szczególnym znaczeniu: Drzewo Życia, które wydaje się pozostawać w pewnym związku z tym pierwszym. Skoro przyswojenie sobie przez tę ludzką parę wiedzy cielesnej i związanego z nią wstydu spowodowało wygnanie jej z Raju i narażenie na wszystko, co wiąże się ze śmiertelnością i ziemską egzystencją, musiała ona zyskać jakieś alternatywne środki pozwalające podtrzymać gatunek. Środkiem takim stała się prokreacja — powiązana karnie z pełnionymi przez tę parę wykroczeniem seksualnym. W ten sposób owoc „wiedzy” doprowadził do owocu „życia”, na zawsze już skażonego Grzechem Pierworodnym.

Naturalnie, Adam i Ewa uciekliby swemu losowi, gdyby tylko mogli, wślizgując się na powrót do Edenu. By zapobiec takiej możliwości, Bóg zagroził im drogę mieczem ognistym. Stał się on zapewne źródłem symbolu Koloru Mieczów w Tarocie, reprezentującym żywioł powietrza. Miecz kojarzy się z przemocą (wojna), z nauką (skalpel) i intelektem (jakości niematerialne), i świadczy o oczywistej męskości (płci męskiej) Boga. A przecież ta groźna, choć i wszechstronna broń w tradycji chrześcijańskiej uległa przemianie w symbol Zbawienia. I tak jak człowiek przechodzi od starożytnej wiary w magię do współczesnych spekulacji naukowych, miecz odbywa nieuchronną wędrówkę od Edenu... do Piekła.

Sztuka

Nieznane przejmuje trwogą, a zarazem fascynuje człowieka. Poszukuje on przeróżnych dróg, by zgłębić to, czego nie pojmuje, a kiedy zrozumienie zjawisk przekracza jego możliwości, wymyśla sobie logiczne argumenty, by mu służyły w miejsce prawdy. Być może w ten sposób można wyjaśnić powstawanie religii i cywilizacji: nienasyconą ciekawością człowieka, pchającą go poza granice własnego doświadczenia. A przecież i tak pozostają tajemnice: pochodzenie wszechświata, najmniejsza cząstka materii, natura Boga i cała grupa dziwnych i zaskakujących zjawisk. Czy media rzeczywiście komunikują się z nieżyjącymi? Czym tłumaczyć skuteczność różdżkarstwa w poszukiwaniu wody? Czy możliwa jest telepatia? A uzdrawianie? Wypędzanie demonów? Miłość od pierwszego wejrzenia? Dywinacja? Duchy?

Wiele z tych niewytłumaczalnych zjawisk dałoby się wyjaśnić za pomocą koncepcji aury. Jeśli duch, czy też dusza człowieka, jest zorganizowaną siłą wypełniającą ciało sięgającą poza nie ze zmniejszającą się wraz ze wzrostem odległości intensywnością, bliskość dwojga czy większej liczby osób powodowałaby, iż otaczające je aury nachodziłyby na siebie i przenikały się wzajemnie. Osoby te byłyby świadome obecności innych nie tylko na czysto fizycznych i materialnych podstawach. Mogłyby bowiem odbierać myśli i uczucia, podobnie jak to czyni odbiornik elektroniczny wychwytyjący transmisje radiowe, czy zwoje transformatora magnetycznego wychwytyjące energię. Różdżkarz wyczuwałby wówczas wzajemne oddziaływanie własnej aury i znajdującej się głęboko pod ziemią wody i stąd wiedziałby, gdzie jest ona zlokalizowana. Osoba posiadająca silną aurę mogłaby poprzez dotknięcie chorego, swą silną aurą podładować aurę słabą, pomagając w ten sposób chorej osobie odzyskać wolę życia. Mężczyzna i kobieta posiadający aury o wysokim stopniu zgodności mogliby odczuwać silny wzajemny pociąg do siebie. Zła aura może wywierać negatywny wpływ na drugą osobę i powinna być egzorcyzmowana. Po śmierci fizycznej ciała, lub gospodarza, aura unosiłaby się swobodnie, jako duch lub dusza, i w tej postaci byłaby w stanie komunikować się z osobami posiadającymi szczególny rodzaj zdolności i wrażliwości, zwanymi mediami.

Krótko mówiąc, koncepcja aury czy ducha potrafi spowodować, iż wiele zjawisk nadprzyrodzonych (nadnaturalnych) znajdzie swą naturalną interpretację. W talii Tarota Animacji jest ona reprezentowana przez Kolor Aury, którego symbolem w czasach średniowiecznych była lampa, a w czasach współczesnych jest nim lemniskata (symbol nieskończoności: oc), Kolor, powiązany z piątym spośród najważniejszych instynktów czy popędów człowieka: sztuki i ekspresji artystycznej. Jedynie człowieka bowiem, wśród wszystkich istot żyjących na Ziemi, interesuje estetyczny aspekt rzeczy. Tylko człowiek jest w stanie docenić malarstwo, rzeźbę, muzykę, taniec, literaturę, elegancję matematyki, stosowność etyki oraz wszelkie formy i warianty ekspresji artystycznej. Tam, gdzie istnieje człowiek, wraz z nim istnieją jego artefakty — a kiedy człowiek odchodzi, pozostają one jako dowód jego unikatowej natury. Dusza ludzka, której emanacją, a zarazem symbolem jest sztuka, jest tym, co odróżnia człowieka od zwierząt.